ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1885.

TOM III.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXIX.





WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1885.

Дозволено Цензурою
Варшава, 21 Августа 1885 года.

SPIS RZECZY.

I. HISTORYA.

2. RZECZY SPOŁECZNE.

3. LITERATURA I BELETRYSTYKA.

4. PSYCHOLOGIA.

5. NAUKI PRZYRODNICZE.

6. GEOGRAFIA.

7. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

DWIE MISYE

FRANCISZKA PONIŃSKIEGO, STAROSTY KOPANICKIEGO, DO PIOTRA I,

w latach 1717 i 1718.

Poselstwo Franciszka Ponińskiego, starosty Kopanickiego do Piotra, o którém nam tu mówić przychodzi, wymaga dla bliższego objaśnienia swéj genezy i zrozumienia przebiegu rzeczy, rozpatrzenia się nieco szczegółowego w okolicznościach i stosunkach, które je poprzedziły. W tym celu zaś wypadnie sięgnąć w przeszłość dość daleką, bo aż do roku 1703, miesiąca października, kiedy Patkul, jako pełnomocnik Piotra, wchodził z królem Augustem w przymierze, mające w niespełna rok później, dnia 30 sierpnia 1704, znaleść potwierdzenie i rozszerzenie przez zawarty w Narwie między Piotrem a rzecząpospolitą traktat.

Do najważniejszych tegoż traktatu postanowień należały artykuły zaręczające rzeczypospolitéj, prócz posiłków w ludziach i subsydyów pieniężnych, dotrzymanie aliansu aż do wywalczenia wspólnego pokoju i zwrot „zabranych jéj przez buntownika Paleja twierdz ukraińskich“. *Piąty*, najważniejszy ze wszystkich dla rzeczypospolitéj artykuł traktatu brzmiał następnie: „Jako Jego Carskie Wieliczestwo po te czasy swoje zwycięzkie oręża nie tylko w Inflantach, ale i innych miejscach, cokolwiek w posessyach wspólnego nieprzyjaciela zostawało, przy pomocy Najwyższego prowadził, tak i na potém prowadzić będzie, takim sposobem, że wszystkie te fortece, miasta y zamki, które w całém Księztwie Inflantskiém i przynależących do niego ziemiach, cokolwiek do Rzeczypospolitéj należało i za pomocą Boską do Jego Carskiego Wieliczestwa wziętych być może, że Królewskiemu Wieliczestwu i Najjaśniejszéj Rzeczypospolitéj bez

nagrody z ochotą odda i ustąpi". Dodajmy, że wzamian zobowiązywała się rzeczpospolita artykułem *ósmym* dopomagać Piotrowi „po uwolnieniu swoich ziem od nieprzyjaciela, do zdobyczy, mających się dokonać na Szwedach".

Wiadomy przebieg wojny szwedzkiéj od chwili zawarcia tegoż traktatu. Od roku 1704 zalewały wojska rosyjskie kraje rzeczypospolitéj, wśród wyprzątania arsenałów polskich, twierdz i zamków, ze znajdującéj się w nich artyleryi, wśród uprowadzania licznych jeńców strony przeciwnéj w głąb' ziem rosyjskich, między którymi dość wspomniéć rozgłośnego długą niewolą i tragicznemi kolejami wziętego roku 1707 w Sapieżyńskiéj twierdzy Bychowie, generała wojsk litewskich Siennickiego. Powrót Karola XII z Saksonii w jesieni roku 1707, pochód jego przeciw Piotrowi w roku następnym, zawrót tyle fatalny na Ukrainę zadnieprską, uwieńczony tak dlań zgubnie klęską pułtawską, wyprzątnął do roku 1709 kraje rzeczypospolitéj z wojsk rosyjskich. Po bitwie pułtawskiéj wracają one wraz z Piotrem do Polski od wschodu, kiedy z drugiéj strony, od Saksonii nadciąga August, tak pierwsze, jak drugi w najstraszniejszéj, jaka być mogła, chwili, bo nie dość siedmioletnich już klęsk i spustoszeń wojennych, szerzy się z jesienią r. 1709 w Polsce straszna, znana dobrze w ówczesnych dziejach dżuma, która wyludnia kraje rzeczypospolitéj i w pustynią je niemal zamienia. Nie przeszkadza to jednakże Augustowi pracować nad restauracyą swego obalonego wojną szwedzką panowania, a w tym celu zwołuje w styczniu 1710 słynną radę warszawską, która,—pominąwszy bardzo wiele innych, obojętnych dla naszego przedmiotu rzeczy, zwraca ostatecznie między innemi baczne oko na stosunek rzeczypospolitéj do Piotra i na postanowienia narewskiego traktatu.

Przypomniała się *radzie warszawskiéj* stypulacya traktatu narewskiego co do zwrotu Inflant i zamków ukraińskich, przypomniał się nadto późniejszemi okolicznościami spowodowany obowiązek żądania zwrotu zabranéj z twierdz polskich artyleryi i licznych jeńców polskich. Z poleceniem domagania się o wszystkie te rzeczy wyprawiła rada warszawska, z uchwały swéj powziętéj 2 kwietnia 1710, Wołłowicza w. marszałka litewskiego. Poseł rzeczypospolitéj wziąwszy sobie do boku jako sekretarza ambasady, powiedziawszy po dzisiejszemu, brata swego, Wołłowicza referendarza lit., wybrał się do Moskwy. Z jakim skutkiem? Niechaj na to pytanie odpowiada następny, lakoniczny zapisek dyaryusza sejmu Grodzieńskiego z roku 1718: „*Sesya piętnasta z dnia 19 Października*. Następnie zdawał sprawę pan Wołłowicz referendarz W. Księztwa Litewskiego, brat zmarłego w. marszałka Litewskiego, który poselstwo na

Moskwę sprawował, w owym zaś czasie uczestniczył w legacyi jako sekretarz, zajmując to samo miejsce, które zwykle zajmuje marszałek izby poselskiéj. Nasamprzód przedstawił, jako legacya ta była wyznaczona przez walną radę Warszawską z roku 1710 z żądaniem wyprowadzenia wojsk moskiewskich, satysfakcyi za doznane krzywdy, zwrotu zabranéj artyleryi i jeńców, nadto oddania kraju Inflantskiego stósownie do brzmienia paktów, wreszcie innych punktów z dobra i korzyści Rzeczypospolitéj wypływających. Uczynił następnie relacyą podróży, odbytéj przez posła, zatrzymania jego na granicy przez dwanaście tygodni kwarantanny z powodu grasującéj naówczas dżumy, daléj przybycia jego do stolicy Moskiewskiéj i przyjęcia z wszelkiemi honorami charakterowi jego należnemi. Czytał potém memoryały i żądania uczynione J. Carskiéj Mości, wraz z odpowiedzią na pojedyńcze punkta, *która to odpowiedź wiele wprawdzie obiecywała, ale wszystko prawie warunkowo i dwuznacznie*". W ten to sposób nie odniosło poselstwo Wołłowicza żadnego prawie rezultatu, a upłynęły odeń znów dwa lata ciężkich utrapień i dolegliwości dla przetrzebionego dżumą, niszczonego pożarami, rabunkiem, przemarszami i pobytem wojsk obcych kraju.

Podobny stan rzeczy zaciężył wreszcie nawet samemu królowi Augustowi, tém więcéj, że groził pomścić się na trwałości jego panowania w Polsce. Właśnie podczas najsroższéj gospodarki „wojsk auxyliarnych" w kraju, a pobytu Augusta w Karlsbadzie, — w maju 1712,—nastąpiła słynna swego czasu wyprawa Jana Grudzińskiego, starosty rawskiego, z Benderu, z pod boku Karola XII, do Polski. Po niespodzianie szczęśliwych początkach rozbiło się to przedsięwzięcie, omylone w nadziei pomocy mającéj przybyć ze Szwecyi, o przewagę wojsk rosyjskich. Pobity w końcu czerwca pod Krotoszynem starosta rawski, znalazł się w konieczności odwrotu. Łatwość jednakże początkowa jego powodzeń, współczucie, jakie w kraju znalazł, — wszystko to wpłynęło nie tylko na co prędszy powrót Augusta z Karlsbadu do Polski, ale co ważniejsza na chęć zaradzenia *przyczynie* złego, które się streszczało głównie w fakcie uciążliwego pobytu „wojsk auxyliarnych" w krajach rzeczypospolitéj. W tym celu złożył król 13 sierpnia 1712 r. radę senatu w Międzyrzeczu wielkopolskim i ogłosił na mocy jéj uchwał do narodu manifest, w którym obiecywał ewakuacyą kraju ze strony wojsk obcych i zapowiadał w tym celu wyprawienie poselstwa do Piotra. Misya ta dostała się w roku następnym Jakóbowi Duninowi, regentowi kancelaryi koronnéj, który jéj dopełnił wiernie, z tym samym ujemnym, co Wołłowicz, rezultatem. Posłuchajmy znów równie lakonicznéj relacyi Dunina, na téjże saméj sesyi póżniejszego sejmu grodzieńskie-

go 19 października 1718: „Następnie (po Wołłowiczu) czynił drugą relacyą Pan Dunin, regent kancelaryi koronnéj komisyi swéj do Cara Jmci, jaką miał i uchwały rady senatu r. 1713. Odczytał daną sobie instrukcyą i sporządzony na podstawie jéj memoryał, który Carowi przedłożył. A ponieważ tak memoryał, jak i konferencye z jego strony odbyte zawierały drażliwą materyą w przedmiocie bezzwłocznéj ewakuacyi wojsk moskiewskich i satysfakcyi za doznane krzywdy, został z tego powodu nie tylko odprawiony bez ekspedycyi, ale nawet oskarżony, jakoby się z danego polecenia był źle wywiązał. Po ukończeniu tych relacyj wspomnieni sprawozdawcy (Wołłowicz i Dunin) wykonali przysięgę na prawdę swych sprawozdań i że po za obrębem swych poleceń niczego nie praktykowali“.

Mimo więc obu wspomnianych poselstw, pozostały „wojska auxyliarne“ w krajach rzeczypospolitéj, a zbieg okoliczności w latach następnych wpłynął z rozmaitych przyczyn raczéj znów na przedłużenie i utrwalenie ich pobytu. Nie zapominajmy, że lata po misyi Dunina, są właśnie epoką przygotowującéj się konfederacyi Tarnogrodzkiéj i ostatecznego jéj wybuchu w roku 1715. Obie wojujące strony, tak król August, jak skonfederowana szlachta, potrzebowały Piotra, że się odwoływały do jego, reprezentowanéj przez posła kniazia Hrehorego Dołgorukiego mediacyi. Rozumie się, że wśród podobnych okoliczności, mimo wszelkiego, wypływającego z pobytu wojsk obcych ciężaru, nie mogło być mowy o zbyt energicznych krokach w celu ich wyproszenia po za granice rzeczypospolitéj. I otóż *pierwszy* powód ich przedłużonego pobytu.

Drugi, ważniejszy nierównie, stanowiła odbywająca się równocześnie, ważna, zagrażająca zmianą dotychczasowéj postaci rzeczy oscylacya polityki Piotrowej. Karol XII wyparty naówczas (1715. 1716) z całego lądu stałego Europy, przyprowadzony do ostateczności, pozbawiony prawie środków dalszego prowadzenia wojny, oddał się zupełnie niemal w ręce znanego późniéj przez swój tragiczny koniec Holsztyńczyka, barona Goertza, przy którym pełnił służbę powiernika królewskiego i wyręczyciela Stanisław Poniatowski. Planem Goertza było pogodzić jakimbądź kosztem króla szwedzkiego z Piotrem, poświęcić prowincye szwedzkie, znajdujące się już w faktycznem jego posiadaniu, by w dalszém następstwie, a w porozumieniu z Rosyą odbić swe straty na Danii i Niemczech. Pomysł ten trafiał Piotrowi do przekonania tém więcéj, że ułatwiać się zapowiadał olbrzymich rozmiarów akcyą, jaką korzystając ze swych dotychczasowych tryumfów, sam podjąć naówczas zamierzył. Akcya ta zdążała do opanowania całych, o ile możności, południowych brzegów morza baltyckiego, Gdańska, Szczecina, Stralsundu, księstw

Meklemburskich, może nawet Kopenhagi. Jednym z pożądanych niezmiernie *środków i sposobów* podobnéj akcyi, stawała się dla Piotra sprawa zatargu księcia Meklembursko - Zwierzyńskiego, Karola Leopolda, ze stanami swego kraju. Piotr postanowił wziąć w tym celu pod opiekę niециekawego skądinąd wcale księcia Meklemburskiego i nie rozwiedzionego jeszcze z pierwszą żoną ożenić z Katarzyną Iwanówną, synowicą swoją, siostrą owdowiałéj już wówczas Anny, księżnéj Kurlandzkiéj. Od téj chwili rozpoczyna się, ze strony Piotra akcya, tłómacząca zarazem jak najwyraźniéj przedłużony pobyt „wojsk auxyliarnych" w krajach rzeczypospolitéj.

W kwietniu 1716, właśnie wśród najgorętszego żaru konfederacyi Tarnogrodzkiéj, zjeżdża Piotr, wraz z małżonką Katarzyną, opuszczając na długo swój kraj, do Gdańska. Zjeżdża tu równocześnie August w otoczeniu dygnitarzy saskich i polskich, dyplomatów zagranicznych mocarstw, w towarzystwie ówczesnéj kochanki swojéj Denhoffowéj, zjeżdżają reprezentanci konfederacyi Tarnogrodzkiéj, Romanowski, podkomorzy chełmski i sekretarz jego Frezer, wszyscy naturalnie w swoich specyalnych interesach, kiedy Piotr podejmuje przedewszystkiém zabiegle i energicznie *własne.* Pierwszym na téj drodze krokiem były zaślubiny ks. Meklemburskiego z synowicą carską, odprawione uroczyście w Gdańsku 19 kwietnia 1716. Stosunek zawiązanego w ten sposób pokrewieństwa stawał się najlepszym pomostem do zawarcia związku politycznego. W sam dzień zaślubin stanął między księciem Meklemburskim a Piotrem traktat przymierza, mocą którego drugi obowiązywał się być pierwszemu pomocą w jego zatargach ze stanami własnego kraju. Stosownie do brzmienia traktatu polały się szerokim strumieniem wojska rosyjskie z krajów rzeczypospolitéj wzdłuż nadbrzeża baltyckiego do Meklemburgii i urosły wkrótce w poważną, groźną Rzeszy Niemieckiéj, Hanowerowi i Danii siłę 40 tysięcy ludzi, pod naczelném dowództwem generała Adama Weyde. Rzecz naturalna, że w obec podobnych, zakrojonych na północne Niemcy i nadbrzeża baltyckie planów, kraje rzeczypospolitéj wychodziły na podstawę operacyjną akcyi Piotra, że interes jego polityki wymagał zatrzymać wojska swe w Polsce, że nadewszystko miasto Gdańsk stawało się dla niego punktem oparcia nieobliczonéj wagi. Podczas pobytu swego w Gdańsku, w kwietniu i maju 1716, widzimy też główną jego działalność zwróconą na „zabezpieczenie" sobie Gdańska i Gdańskiego przymierza, na wpół podstępem, na wpół przymusem. Obecność równoczesna w Gdańsku króla Augusta i panów polskich nie stanowiła pod tym względem żadnéj przeszkody, ponieważ wśród zawichrzeń konfederacyi Tarnogrodzkiéj Piotr był pierwszemu i dru-

gim *potrzebnym*, tak, że polityki jego choćby nawet nieprzyjaznéj miastu wchodzącemu w skład rzeczypospolitéj, krzyżować nie chcieli. Dzięki tedy podobnemu położeniu rzeczy i zbiegowi okoliczności, wymusił Piotr na magistracie Gdańska, poparty równocześnie obecnością swéj floty, złożonéj z 48 galer o siedmiu działach, oraz z załogą 4000 ludzi, a tamującéj miastu handel od strony morskiéj, słynną w dziejach téj epoki konwencyą, mocą któréj Gdańsk obowiązywał się wypłacić Piotrowi znaczną, mającą się późniéj oznaczyć bliżéj sumę pieniężną i wystawić pięć tak zwanych *kaprów*, każdy o 18, przynajmniéj 12 działach, z majtkami i żołnierzami do połowy gdańskimi, w drugiéj połowie moskiewskimi, pod komendą oficerów zamianowanych przez Piotra, ku czuwaniu nad brzegami Baltyku i przejmowaniu jakiéjbądź komunikacyi szwedzkiéj z temiż wybrzeżami. Prócz tego miał być ustanowiony w twierdzy Weichselmündzkiéj osobny komisarz Piotra, którego zadaniem było poddawać ścisłéj rewizyi wszystkie, czy-to wypływające z Gdańska na morze, czy przybywające do miasta statki w celu stwierdzenia, czy pomiędzy towarami, jakie wiozą, nie zawierają kontrabandy wojennéj. Magistrat gdański oglądał się w swém zakłopotaniu nadaremno na opiekę króla i rzeczypospolitéj. August nie zatwierdził wprawdzie owéj konwencyi, wstawiał się za magistratem u Piotra, ale nie uczynił wraz z otoczeniem swojém nic istotnie, aby jéj trwale na przyszłość zagrodzić drogę. Konwencya przyszła tedy przymusowo wśród podobnych okoliczności do skutku, jakkolwiek chwilowo odroczono jéj wykonanie. Piotr opuścił wśród salw artyleryi miejskiéj i własnéj floty, z warującą fakt konwencyi literą w ręku, Gdańsk d. 11 maja 1716 i ruszył w długą podróż do Niemiec, następnie do Holandyi i Francyi. „*Wojska auxyliarne*“ zostały tymczasem w kraju, będąc z jednéj strony neutralnemi świadkami toczącego się między Sasami a konfederacyą Tarnogrodzką boju. Przez rok 1716 i 1717 znajdują się te wojska w stanie ciągłych marszów po całéj przestrzeni krajów rzeczypospolitéj, stosownie, bądź to do potrzeby własnego utrzymania, bądź do ewolucyi polityki Piotra, na widowni nadbaltyckiéj, a mianowicie w księstwie Meklemburskiém. I tak np. kiedy z początkiem roku 1717 oddziały wojsk rosyjskich, zajmujące województwa wielkopolskie zabierają się niby to do wymarszu stamtąd, zapowiada wkroczenie swe w też same województwa, powracający z Meklemburgii korpus generała Weyde. „*Marches und remarches*“—otóż, jak bawiący natenczas w Polsce rezydent cesarski Martels ruchy ówczesne wojsk rosyjskich charakteryzuje. O istotnéj ewakuacyi krajów rzeczypospolitéj nie ma przez te lata wcale mowy. Magazyny wojska obcego pozakładane w różnych miastach na całéj przestrze-

ni rzeczypospolitéj. Spotykamy się z niemi w Skwierzynie nad granicą brandenburską, w Toruniu, w Starogrodzie, w Grodnie, w Kownie, Wilnie. Ogólna liczba sił rosyjskich, będących w Polsce w stanie ciągłych ruchów po kraju i przemarszów do Pomorza i Meklemburgii, wynosi razem do 40000 ludzi. W Wielkopolsce spotykamy się z generałem Matuszkinem kwaterującymw Skwierzynie,— podkomendnym jego w pobliskiéj okolicy jest pułkownik Campenhausen. W Lesznie kwateruje przez niejaki czas generał Szeremetiew, na Żuławach generał-porucznik Dołgoruki, następnie Repnin i generał Jakowlew, na Litwie brygadyer Ropp, w Małéj Polsce generał Bauer, nie wyliczając wielu, bardzo wielu innych, żywioły rozmaitéj narodowości, pośród których najliczniéj przecież reprezentowany niemiecki. Jedno z niepodejrzanéj wiarogodności, współczesnych sprawozdań opowiada, „jak każdy prawie z tych panów ma po kilka koni a nawet psy do polowania“.

W najjaskrawszych przecież barwach skreśla straszliwe w owym tragicznym roku 1716 wycieńczenie i zniszczenie kraju, rezydent cesarski przy boku Augusta, baron Martels. Martels, który towarzyszył królowi w jego ówczesnéj wycieczce do Gdańska, skreśla z niesłychaną dokładnością wszystkie szczegóły tamtejszego pobytu Augusta i Piotra, wszystkie dolegliwości miasta Gdańska, wraca następnie w czerwcu wraz z Augustem do Warszawy. Posłuchajmy, jak brzmi opowiadanie tego niepodejrzanego świadka o stanie zniszczenia, jaki wówczas kraj polski przedstawia: „Ta, jakkolwiek krótka podróż (z Gdańska do Warszawy) była jedną z najuciążliwszych, jaką sobie tylko wyobrazić można, zwłaszcza, że wszystkie wsie polskie, przez które przejeżdżaliśmy, odznaczały się takiem ubóstwem i nędzą, że w nich nie można nawet było dostać ani jednego kawałka chleba, a cóż dopiero mówić o innéj żywności! Pojawiający się w nich, rzadcy mieszkańcy wyglądali raczéj na zwierzęta, aniżeli na ludzi, a gdyby J. Król. Mość (August) nie była miała przezorności zabrać z sobą z Gdańska potrzebnych zapasów, byłoby chyba trzeba po drodze z głodu umierać. J. K. Mość była tak dla mnie, jak dla posła angielskiego (Vernon) tyle łaskawą, że nas wszędzie zaopatrywała w kwatery i zapraszała do królewskiego stołu. W Mławie, gdzieśmy znów po raz pierwszy na ziemię polską wstąpili, spotkaliśmy 300 dragonów moskiewskich, składających się z samych dzielnych żołnierzy, którzy nas aż tutaj (tj. do Warszawy) eskortowali.“ Otóż jeden z obrazów ówczesnéj nędzy i wyniszczenia kraju polskiego, o jaki zresztą wtedy nie trudno a jakichby się znaleść dało wiele więcéj.

Wśród takich to okoliczności, rozpoczęły się za medyacyą Piotra, w obecności jego posła Dołgorukiego w Janowcu, Kazimierzu nad Wisłą, Lublinie, wreszcie w Warszawie saméj owe układy między królem a konfederacyą Tarnogrodzką, których ostatecznym rezultatem był słynny w dziejach Augusta, zatwierdzony na tak zwanym sejmie Niemym traktat warszawski z dnia 1 lutego 1717. Pomiędzy licznemi artykułami onego znajdują się dwa, które w szczególności przedmiot naszego opowiadania interesują. Jednym z nich obowiązywał się król z wyjątkiem 1200 ludzi gwardyi, wyprowadzić wojska saskie w przeciągu czterech tygodni od dnia zawartego traktatu po za granice rzeczypospolitéj, drugim, nie wprowadzać do kraju nigdy jakiegobądź innego obcego żołnierza bez wyraźnego pozwolenia rzeczypospolitéj. Stypulacya ta obejmowała, według interpretacyi tyle spragnionéj wytchnienia i pokoju szlachty, tém niewątpliwiéj ewakuacyą krajów rzeczypospolitéj i ze strony „wojsk auxyliarnych", że sam Piotr w podpisanéj przez się własnoręcznie, a kontrasygnowanéj przez kanclerza Gołowkina asekuracyi udzielonéj posłom konfederacyi Tarnogrodzkiéj Romanowskiemu i Frezerowi w Gdańsku 26 kwietnia 1716, wystawił następne zaręczenie: „Tymczasem, aby zadowolnić Wasze i Rzeczypospolitéj życzenia, przyrzekamy wam i oświadczamy niniejszém pismem i słowem Carskiem, że przez tęż medyacyą nie żądamy z naszéj strony w obec Rzeczypospolitéj nic innego, jak tylko rzeczywistéj zgody a doskonałego pokoju i pojednania najprędszego między królem a Rzecząpospolitą, to jest: aby Rzeczpospolita była przywróconą do wszystkich swych praw i swobód, tak, aby żaden na przyszłość gwałt nie mógł przeszkodzić ich wykonywaniu i zachowaniu, *a nareszcie, że nie wymagamy za wszystkie nasze starania żadnego wynagrodzenia, ani od króla ani od Rzeczypospolitéj, poprzestając na jedynéj a osobliwéj dla nas korzyści, zachowania dawnéj przyjaźni i przymierza.*" Wobec podobnych stypulacyj traktatu warszawskiego i zaręczeń Piotra, zdawalo się szlachcie rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że i wymarsz wojsk „auxyliarnych" nastąpi równocześnie z wymarszem wojsk saskich, które istotnie do końca miesiąca lutego wyszły po za granice rzeczypospolitéj. Tymczasem stało się inaczéj, a z wiadomych nam już powodów, pozostały czy zapowiadały powrócić wojska rosyjskie, kiedy saskie polski kraj opuściły. Goertz nie zasypiał swéj sprawy, nie przestawał pracować nad zawarciem partykularnego pokoju między Karolem XII a Piotrem, Piotr nie zrzekał się swych szerokowładnych planów baltyckich, nie zrzekając się ich, uważał Polskę za bezpieczną dla siebie przystań, nie myślał z niéj wojsk swych wyprowadzać. Podobny stan rzeczy, dostrzegalny co-

raz wyraźniéj od pierwszych dni marca, zaczął ciążyć szlachcie, zaczął być niewygodnym królowi samemu, który nareszcie chciał się wyemancypować z pod opieki potężnego sprzymierzeńca, który nadto stawał w fałszywém świetle w obec szlachty podejrzywającéj go coraz mocniej, iż przedłużony pobyt wojsk rosyjskich nie dzieje się bez jego przyzwolenia. Piotr sam tymczasem znajdował się naówczas wraz z małżonką Katarzyną. podkanclerzym Szafirowem, osobami zaufania Tołstojem i Kurakinem w Holandyi.

Wśród takich to okoliczności odbyła się 22 marca 1717 w Warszawie rada senatu, któréj przedmiotem obrad od początku do końca była sprawa pobytu wojsk augzyliarnych w Polsce wraz z obmyśleniem środków, jakby się tyle ciążących krajowi gości pozbyć. Rada ta senatu zapisuje obecność następnych osób: najprzód samego króla, daléj biskupa kujawskiego Szaniawskiego, biskupa poznańskiego Krzysztofa Szembeka, biskupa przemyskiego Bokuma, kasztelana rawskiego Trzcińskiego, w. marszałka koronnego Józefa Mniszcha, kanclerza w. koronnego Jana Szembeka. Po bliższém zastanowieniu, zapadła uchwała, aby wyprawić ze strony króla i rzeczypospolitéj do Piotra, gdziekolwiekbądź się znajduje, posła, któryby z powołaniem się na traktaty i przymierza istniejące między nim a rzecząpospolitą, upomniał się o jéj krzywdy i należności a przedewszystkiém zażądał wyprowadzenia wojsk ze wszystkich krajów polskich, nie wyjmując naturalnie i terytoryum Gdańska. W dodatku wchodziła téż jeszcze w program, jeżeli tak wolno powiedziéć, owéj uchwały i sprawa kurlandzka. Z nią miała się rzecz następnie. Owdowiałą od roku 1711 po księciu Fryderyku Wilhelmie Kettlerze, przebywającą stale w Mitawie księżną, była Anna Iwanówna, synowica Piotra. Stosunek jej ze stanami kurlandzkiemi nie był najlepszym, mianowicie miała księżna do nich pretensyą, iż zalegly od śmierci jéj małżonka w wypłacie ustanowionego na 40000 talarów rocznie wdowiego grosza. Piotr nie omieszkał z podobnego zatargu skorzystać i uczynił się opiekunem interesu synowicy. W tym celu zajął Kurlandyą korpusem wojsk pod dowództwem generała Bestużewa jako osobnego komisarza, obsadził portowe miasta w celu przyaresztowania dochodów celnych a nareszcie obłożył sekwestrem dobra skarbowe kurlandzkie, ażby cała zaległość księżnéj wdowy wraz z procentami zupełnie zaspokojoną była. Łatwo pojąć, jak dalece podobny stan rzeczy ciążył szlachcie i stanom kurlandzkim, jak w kłopotach swych i dolegliwościach odnosiły się drogą korespondencyi i częstych poselstw do króla i rzeczypospolitéj.

Wszystkie te sprawy razem spowodowały ową odbytą 22 marca 1717 radę senatu do postanowienia wspomnianego poselstwa. Wy-

bór osoby, któréj przeznaczono odbyć tę z pewnością nie łatwą w danych okolicznościach misyą, padł na Franciszka Ponińskiego, starostę Kopanickiego. Nim pójdziemy daléj w naszém opowiadaniu, zapoznajmy się z osobą, charakterem i dotychczasową przeszłością posła. Zobaczymy, że to wcale rzeczą nie obojętną ani dla ocenienia charakteru epoki, ani postawy posła podczas trudnéj misyi, jaką mu spełnić przyszło.

Starosta Kopanicki Franciszek Poniński, należał do znanéj, zamożnéj, osiadłéj oddawna w województwie Poznańskiem rodziny, która, jakkolwiek nie świecąc w rzędzie możnowładców, miała w chwili, kiedy Ponińskiemu poselstwo powierzono, już swoję osobną a zaszczytną kartę w ostatnich kilkunastu latach téj smutnéj epoki. Było ich trzech braci, Władysław starosta Babimojski, podkoniuszy, późniéj referendarz koronny z ramienia Stanisława Leszczyńskiego, gorliwy i wytrwały jego stronnik; daléj Karol kanonik poznański; wreszcie nasz Franciszek, urodzony roku 1676, ożeniony z Ludwiką Domiechowską, właściciel dóbr Dłuska nad granicą brandenburską, starosta na Kopanicy, miasteczku i dobrach, leżących na owym województwa poznańskiego krańcu, który wchodzi ostrym klinem między Szląsk a Nową Marchią. Papiery, które po nim posiadamy a których treść znajduje jak najzupełniejsze potwierdzenie w innych, nierzadkich, tyczących jego osoby dokumentach, odsłaniają nam w staroście Kopanickim przymiot będący niestety szczęśliwym wyjątkiem tylko w owéj epoce. Przymiotem owym jest— nieskazitelny charakter i bezinteresowna miłość kraju. Jak większa część Wielkopolan staje starosta Kopanicki z chwilą zawiązania konfederacyi Średzkiéj w r. 1703 po stronie tejże konfederacyi przeciw Augustowi. Związany bliskiemi stosunkami z rodziną Sobieskich, znajduje się we Wrocławiu, kiedy zamach króla Augusta uprząta z widowni Jakóba i Konstantego Sobieskich, by ich osadzić na kilkoletniéj więziennéj pokucie w Pleissenburgu i Koenigsteinie. Po ustąpieniu ze sceny Sobieskich, staje się starosta Kopanicki nie inaczéj od brata swego, starosty Babimojskiego, gorliwym zwolennikiem sprawy Leszczyńskiego. Wystawiony wśród ówczesnych przemian ważącéj się fortuny na dokuczliwe prześladowania ze strony Sasów i ich sprzymierzeńców, raz ich twardo traktowany jeniec, inny raz ciężko nawet ranny przez oficera saskiego podczas napadu na własny dom—nie zmienia, jak tylu innych po bitwie pułtawskiéj i powrocie Augusta politycznéj roli a dzięki podobnéj wytrwałości, dzięki prawdziwie obywatelskiemu, tak rzadkiemu w owym czasach charakterowi, staje się mężem zaufania obu województw wielkopolskich, niejednokrotnie marszałkiem ich obrad na sejmikach w Śro-

dzie, delegatem wreszcie na kongres mający zagodzić zatarg między królem a konfederacyą Tarnogrodzką. Z tą niewątpliwą bezinteresownością, uczciwością i siłą charakteru łączył starosta Kopanicki bystry i jasny, przyrodzony rozum, tyle pożądaną daléj na stanowisku dyplomatycznêm rutynę towarzyską i śmiałość, wreszcie odpowiedni stopień ukształcenia, objawiającego się w znajomości języków łacińskiego, niemieckiego, francuzkiego, nie mówiąc o innéj nauce, na jaką ówczesną epokę stało. Jako szczegół uboczny, obojętny w ocenie moralnéj wartości starosty, ale pewnego znaczenia dla dziejów ówczesnéj obyczajowości zamożniejszéj szlachty wielkopolskiéj, zapiszmy, że wykwintniejsze meble dla domu swego czy to w Kopanicy, czy to w Dłusku, kanapy, krzesła, taborety, sprowadza sobie przez Hamburg, Berlin, Frankfurt nad Odrą, z Paryża, gdzie widocznie ma dobre znajomości i stosunki.

Otóż to osobistość, któréj rada senatu w owych kłopotliwych dniach marcowych 1717 powierzyła trudną misyę do Piotra. Co na wybór podobnéj osobistości wpłynęło? Jeżeli dobrze rzecz rozumiemy, przedewszystkiém, bliska starosty styczność z dzielnicą wystawioną chwilowo na najcięższe kłopoty z powodu pobytu „auxyliarnego żołnierza"; niewątpliwie daléj przymioty charakteru, umysłu i towarzyskiego obejścia, mianowicie owa gwarancya, jaką przeszłość polityczna starosty dawała, w obozie przeciwnym szacunek mu nie tylko jednała, ale nawet pośrednictwa *jego* osoby dla *własnego* bezpieczeństwa poszukiwać kazała. Wrzały jeszcze pod świeżem wrażeniem tylko co minionéj konfederacyi przeciw królowi Augustowi nienawiści, odzywały się przeciw niemu mniéj lub więcéj głośno podejrzenia szlacheckie. Wybór starosty Kopanickiego na posła był szlachcie wystarczającą rękojmią, nakazywał od razu milczenie czy to nienawiściom, czy podejrzeniom, do tego stopnia, że troskliwe o powodzenie misyi żywioły, wyrażają z *tego* właśnie powodu swe obawy i wątpliwości. Tak np. znajdujemy w depeszy nuncyusza Pauluccego do dworu Rzymskiego z Warszawy 24 marca 1717 taki ustęp: „Nie podobało się księciu Dołgorukiemu (posłowi rosyjskiemu w Warszawie), że wybrano starostę Kopanickiego na posła do cara, ponieważ go uważa za człowieka usposobienia do pewnego stopnia szorstkiego, nadto nieszczególnie miłego J. K. Mości, zwłaszcza iż w czasach dawniejszych trzymał się strony szwedzkiéj."

Właśnie jednakże może to, co się niepodobało u starosty Dołgorukiemu i Augustowi, było dlań najlepszém poleceniem w obec szlacheckiego narodu a z wiosną r. 1717, wśród kwietniowych słót roztopów, widzimy starostę puszczającego się w drogę wraz z księ-

dzem Stanisławem Świecimskim, mężem światłym i świadomym obcych języków, jako sekretarzem. Dokądże mu należało podróż obrócić, aby poszukać Piotra, *gdziekolwiekbądź się znajduje*, jak brzmiała jego instrukcya? Piotr przebywał naówczas w Holandyi. Nie było pewności, czy tamże pozostanie długo, czy z nastaniem wiosny i lepszéj pory nie obróci podróży swéj na południe. Cokolwiekbądź, wypadło posłowi rzeczypospolitéj sterować ku Holandyi, jeżeli się chciał z Piotrem spotkać, a odebrawszy przez umyślnego posłańca z Warszawy uchwałę rady senatu i instrukcyą, któréj cel już znamy a treść poznamy jeszcze niżéj, ruszył przez Frankfurt, Berlin, Lippstadt, wśród najstraszliwszych, jak powiada, dróg nasamprzod do miasta Wesel. Żałować należy, że starosta nie pozostawił żadnych zapisków z pierwszéj części swojéj podróży, a że ograniczając się w listach do dygnitarzy rzeczypospolitéj, jak do prymasa, do w. kanclerza i w. marszałka kor. do biskupów kujawskiego i poznańskiego na wyłącznem traktowaniu powierzonéj sobie sprawy publicznéj, nie zamieszcza w nich szczegółów, którebyrzucały więcéj światła na obyczajową i społeczną stronę owéj epoki. Z czém się chyba tylko w opisie jego przeprawy przez Belgią i Flandryą spotykamy, to ze skargami na utrudnienie komunikacyi pocztowéj i na przepaściste drogi, w których z powodu nieustających deszczów topić się prawie można. Stanąwszy 24 kwietnia 1717 w Bruksellі, dowiedział się starosta, że Piotr opuścił już Holandyą i że się znajduje w Dunkierce. W niepewności, czy ztamtąd puści się do Anglii, czy może do Paryża, czy nie wróci czasem znów do Holandyi, wyjechał starosta do Lille, gdzie stanąwszy 26 kwietnia, dowiedział się na pewno, że Piotr ma zamiar zwiedzić Paryż a że zaproszenie od regenta Francyi księcia Orleanu i karety dworskie wyprawiono doń do Calais. Pamiętny jedynie tylko na obowiązek spełnienia powierzonéj sobie misyi choćby nawet z obrazą ceremoniału i dyskrecyi dyplomatycznéj, starosta doniósł kanclerzowi d. 26 kwietnia, że tego samego wieczora jeszcze opuszcza Lille, by zatrzymać się w Abbeville i zajechać tamże drogę jadącemu z Calais do Paryża Piotrowi. W Abbeville stanął starosta 28 kwietnia z postanowieniem cokolwiekbądź odniesienia się tutaj wprost do niego lub do jego ministrów w sprawie swéj misyi. Tymczasem przypadły na tę właśnie porę święta wielkanocne według starego kalendarza a Piotr zatrzymał się, aby je uroczyście obchodzić, wraz z całém swém otoczeniem przez kilka dni w Calais. Po całotygodniowym przykrym pobycie w małém mieście jak Abbeville, doczekał się go tutaj starosta 5 maja. Przewidywał wprawdzie dobrze trudności w uzyskaniu audiencyi u znajdującego się w podróży monarchy, ale odstraszyć się tém nie pozwolił. Zaledwie

karety wiozące Piotra i jego otoczenie zatętniały na bruku Abbeville'u, zaledwie przybyła kawalkada miała czas się rozgościć, udał się starosta do ministrów Piotrowi towarzyszących, podkanclerzego Szafirowa i Tołstoja, odsłaniając charakter ablegata króla i rzeczypospolitéj wraz z żądaniem bezzwłocznéj audiencyi. Zadziwienie, pomieszanie, widoczny kłopot obu ministrów były rezultatem jego niespodziewanéj na ziemi francuzkiéj wśród podobnych wydarzeń obecności. „Jakoż za odezwaniem się mojém," pisze starosta w liście swym z Abbeville do kanclerza w. koronnego 6 maja 1717, „Jmci Panu Szafirow Podkanclerzemu Cara Jmci, tak zaraz z wielkiem zmieszaniem się Jmci Pan Podkanclerzy *incanduit*, żeby wierzyć nie chciał o bytności moiey y *copiam* rozmówienia się z sobą nie pozwolił; Cara Jegomości zaś od przyjęcia y dania audiencyi tém exkuzował, że się teraz rekracyą bawi, nie ekspedycyami, ani z sobą kancelaryi ma wielkiey, do którey expedycye należą. Uważali tuteysi wielkie w Carze Jmci po odebraney o mnie wiadomości pomieszanie y nieukontentowanie. Przecież poiachawszy do Jmci Pana Tołstoy ministra Carskiego, *tulit Deus alter opem*, kiedy po uprzątnionych trudnościach, po niektórych remonstracyach y rozważeniu honoru tego, który niosę w podziękowaniu za poważną Cara Jmci interpozycyą, odebrałem zapewnienie, że w Paryżu audiencyą po odprawionych z Królem Jmcią Francuzkim ceremoniach zaraz mieć będę y prędką expedycyą." Po takiéj rezolucyi, przedstawiała się tedy staroście konieczność dalszéj podróży do Paryża, gdzie się spodziewał uzyskać nareszcie upragnioną audiencyą, doręczyć Piotrowi memoriał w sprawie powierzonéj sobie misyi i doczekać ze strony ministrów tak zwanéj „expedycyi."

Donosząc z Abbeville'u jeszcze o tém wszystkiém do Polski, zapowiadał starosta, „że zapewne nie zgrzeszy przeciw prowincyi swojéj, jeżeli za bytnością w Paryżu uczyni równocześnie ze strony Króla y Rzeczypospolitéj komplement Maiestatowi Francuzkiemu, tak Regentowi, iako Królowi."

Nawiasowo powiedziawszy, nie zawierają pozostałe po nim papiery żadnego śladu, aby zamiar ten swój był istotnie spełnił, co natomiast widzimy, to że z uznania godną energią i pośpiechem ruszył za Piotrem do Paryża, gdzie stanął 8 maja. Ciekawość, spodziewająca się znaleść w pozostałych po staroście papierach wrażenia ówczesnego jego pobytu paryskiego, opisy osobliwości, stosunków towarzyskich i społecznych paryskich, doznaje zupełnego zawodu. Czyż mylimy się? Zdaje nam się, iż biorący bardzo poważnie powierzoną sobie misyą, starosta nie miał ani myśli, ani oka dla niczego innego, ograniczał cały czas swój i starania około pisania memoria-

łów do Piotra i jego ministrów, około konferencyi z nimi, około usiłowań, by uzyskać nareszcie upragnioną audiencyą w interesie stękającego i zniszczonego kraju. Pod tym względem spotykał się przecież z niesłychanemi trudnościami, z niecierpliwiącemi go do najwyższego stopnia zwłokami. Autentyczne świadectwo jego potwierdza w stanowczy sposób, co wiadomo zkąd inąd o Piotrze, o jego niestrudzonéj ruchliwości, o jego czynnym rodzaju życia, zwłaszcza wtedy, kiedy wychylił głowę na zachód. Nie podobna prawie staroście mimo najusilniejszych starań dostać się do audiencyi, do konferencyi z ministrami. W dniu 13 maja pisze do kanclerza kor. „Stanąwszy tu 8 *praesentis* zastałem Cara Jmci zabawnego wizytami tak od Księcia Jmci Regenta Francyi, jako od J. K. Mości Francuzkiego.“

„Jużbym był miał dnia dzisiejszego konferencyą, gdyby był *May* Ichmościów P. P. Ministrów Cara Jmci zabawnych (zatrudnionych) nie uczynił.“

„Największą trudność znajduję w Jmci Panu Szafirow podkanclerzym Cara Jmci a władającym sercem Pana swego. Car J. Mość w tey umysłu swego rozrywce tak w ciekawości z ministrami swymi pracowity, że prawie noc Cara Jmci do lustrowania *curiositatum* z pałacu wyprowadzi, noc przyprowadzi, przy szczupłéj asystencyi ponieważ z cudzey nie bardzo kontent.“

Starosta opowiada w swych listach, jak Piotr zajęty ciągłém bieganiem za osobliwościami paryskiemi, wspomina o jego wycieczkach do Marly i Fontainebleau, ale, nie zapominajmy, jedynie tylko jako o przeszkodach stawających w drodze pośpiechowi jego interesu. Dowodem gorliwości starosty niechaj będzie, że mimo wyraźnéj niechęci Szafirowa, że mimo tych wszystkich „zabaw“ i zatrudnień Piotra, uzyskał odeń już czwartego dnia po swém przybyciu do Paryża, 12 maja, audiencyą. „Dopiero,“ pisze, „12 *praesentis* miałem audiencyą prywatną u Cara Jmci, iako prywatnie y w cudzym Państwie bawiącego się, odpowiadał mi sam lubo obecnych miał swoich Ich Mościów P. P. Ministrów y po podziękowaniu za to dobre słowo, którém Carowi Imci uczynił, we wszystkim mnie do konferencyi z Ichmościami Pany Ministrami swymi odesłał.“

Niechaj dalszym dowodem zabiegłości starosty w powierzonym mu interesie będzie, że już w trzy dni późniéj, mimo wszelkich przeszkód, 15 maja, wykołatał na ministrach Szafirowie i Tołstoju, pierwszą konferencyą. Z przesłanego o niéj prymasowi, biskupowi kujawskiemu, kanclerzowi koronnemu sprawozdania, nie widzimy, aby starosta był szczególnie zadowolniony lub aby się był oddawał optymistycznym ułudom. „Miałem,“ pisze 21 maja, „z Ichmościami Pana-

mi Ministrami konferencyą dnia 15 maja, *in puncto evacuationis* Moskwy siła była obietnic; *in puncto* Kurlandyi więcéj trudności, ale wszystkiego rezolucya do Cara Jmci zawieszona, o któréj mnie upewnili, że expedycya nastąpi *ad vota* Rzeczypospolitéj. Jakoszkolwiekbądź, przecież to zwyczayne Ichmościów obietnice nie bardzo mię kontentuią, uważaiącego ustawicznie *praecrastinationes*, z których biorę suspicyą, żeby chcieli jakimkolwiek sposobem *eludere* tę Rzeczpospolitey rekwizycyą, samą tylko nadzieią y obietnicą nas kontentuiąc, a tym czasem dłużey wojska swoje o naszym trzymać chlebie. Jużem Ichmościom Panom Ministrom powiedział, żem jako w teraźniejszey negocyacyi był do tego czasu dyskretny, tak ieżeli pomyślny *ad vota* Rzeczypospolitéj nie odbiorę *expedycyi*, wielkim będę Ichmościom *importunem*."

„O Gdańsku widzę nic nie myślą, aleby myśleli, *gdyby Król* z *Rzecząpospolitą myślał*."

„Nie mogę doskonale wiedzieć intencyi K. Jegomości, dla czego w instrukcyi mnie danéj ostrożnie bardzo względem Gdańska poczynać każe, czy dla tego, aby gotowemu na Gdańsk humorowi okazynie przypominać, czyli żeby milczeniem zdał się K. J. Mość *contemnere* ten manifest. Dla tego nie śmiem nic mówić, lubobym sądził rzecz potrzebną upomnieć się o remanifest przez którego ministra, jako się stał przeciwko woli Cara Jmci, ile kiedy zrozumiewam, że Car J. Mość bardzoby był niekontent z jakich między sobą a Rzecząpospolitą z K. J. Mościem teraz zjednoczoną rozruchów."

Zabawy i zatrudnienia paryskie, jakim się według opowiadania starosty Piotr i jego ministrowie od rana do późnego wieczora oddawali, opóźniały ową z takiém upragnieniem, z taką niecierpliwością oczekiwaną przezeń „expedycyę." Nareszcie, po upływie dwóch tygodni od odbytéj z ministrami konferencyi, odebrał starosta 29 maja 1717 expedycyę, czyli raczéj trzy, podpisem Piotra zaopatrzone, datę dnia poprzedzającego noszące dokumenta, które do pewnego stopnia przynajmniéj, jak się zdawało, wieńczyły pożądanym skutkiem misyą posła. Posłuchajmy pierwszych po odebraniu tych dokumentów wrażeń starosty, odbijających się w liście jego do prymasa z 30 maja 1717: „Odebrałem list do K. J. Mości y do Rzeczypospolitéj od Cara Jmci (bo do Waszey Xiążęcy Mości *antecedenter* odpisano, o com się umawiał *in puncto evacuationis*, rozumiem, że *ad vota* W. X. Mości), ponieważ Car Jmość zaraz posełа ordinans do woysk swoich jeden, aby się iako nayprędzéj ruszały y wynosiły z Polskiey y granic W. X. Litewskiego, drugi na ręce moie, który posyłam iako nayprędszy do J. Mości P. Kanclerza Naszego w. koronnego, żeby tém prędzey mógł doyść woysk moskiewskich. Trze-

ci *iterato* posyła ordinans sam Car J. Mość. Posełam kopią ordinansu tego W. X. Mości..... Względem woysk w Meklemburgskiem Xięztwie zostających, starałem się pilno, aby y od tych państwa Rzplitéj wolne być mogły, ale się jeszcze Car J. Mość nie determinował, czy się ztamtąd ruszy, czyli nie, jednakże mi deklarowano y assekurowano mnie, że jeżeli się bez tego obeyść nie będzie mogło, że woyska z Meklemburgii lądem powracać będą, tedy wprzód upraszać będą o konsens na to od J. K. Mości y Rzeczypospolitéj y jusz inszym nie jako przedtem poydzie porządkiem. *In puncto* Xięztwa Kurlandzkiego inszey rezolucyi otrzymać nie mogłem nad tę, że Car J. Mość ludzi swoich ztamtąd wyprowadzi, jeżeli J. K. Mość y Rzeczpospolita ręczyć będą za Xięcia Kurlandzkiego. Siełam w tey materyi przez konferencye pracował y byłbym jeszcze przez memoriały starał się służyć jako naylepiej Xięztwu Kurlandzkiemu, ale widząc, że tak w tym jest osobliwy sekretny Cara J. Mości interes, aby tam był *in possessione* w pretensyi (jako powiada) kilku milionów talarów, jako tesz dziś zaraz ztąd ruszają do Fontainebleau, by nie długo jusz chcący pożegnać w kilkanaście dni Francyą, czasu do tego nie pozwolą. Musiałem po expedycyi pożegnać Cara J. Mości.“

Otóż tedy skreślony pod pierwszém wrażeniem odebranéj od ministrów ekspedycyi rezultat misyi starosty Kopanickiego. Jakże się przedstawia przebieg jego negocyacyi w rzeczywistém świetle? Piotr i jego ministrowie, zajęci od rana do wieczora rozglądaniem się w osobliwościach paryskich, wizytami u dworu, wycieczkami w okolicę, byli najwidoczniéj zakłopotani przybyciem posła rzeczypospolitéj, starali się, o ile możności przewlekać z nim konferencye, odkładać postanowienie ostatecznéj rezolucyi. W obec wiadomości dochodzących ich o wzburzeniu umysłów w Polsce, które w razie jakiego, zapowiadanego już niejednokrotnie przeciw wojskom rosyjskim pospolitego ruszenia, zagrażało nader szkodliwą dywersyą planom Piotra nadbaltyckim i pokojowi partykularnemu ze Szwecyą, nie chcieli zrażać sobie króla i rzeczypospolitéj prostą, odmówną odprawą posła. Stąd to owa konferencya pożegnawcza 29 maja i owe ekspedycye z dnia poprzedniego o których nam tutaj bliżéj jeszcze pomówić przychodzi. A więc, nasamprzód zgadzał się niby to Piotr na bezzwłoczne wyprowadzenie wojsk swych, będących w krajach rzeczypospolitéj. Rozkaz jego wyprawiony „do JMość Pana Generała Feldmarszałka Graffa Szeremetiewa, dowodzącego wojskami auxyliarnemi“ w województwach wielkopolskich, zdawał się być kategorycznym i nie pozostawiać najmniejszéj wątpliwości. W rozkazie tym, datowanym z Paryża 28 maja 1717 pisał Piotr do Szeremetiewa: „Potwierdzamy pierwsze nasze do Was ordynowane ukazy

y rozkazujemy, aby jak najprędzéj możecie przygotować się ku marszu, abyście do naszych maszerowali granic". Co się tyczy wykonania owego odwrotu, nakazywał feldmarszałkowi wejść w porozumienie z komisarzami wojewódzkimi, którzyby mu byli pomocnymi w regulowaniu kwater, dowozu żywności i furażu, przestrzegał nadto „pod uniknieniem srogości praw wojennych" przeciw „wszelkim aggrawacyom obywateli", gwałtom i grabieżom w marszu. Uszczęśliwiony z wydobycia podobnego ukazu, posłał go starosta niezwłocznie w kopii w. kanclerzowi koronnemu, wojewodzie poznańskiemu, oryginał zaś „przez moskiewskiego kuryera" do samegoż feldmarszałka.

Co się tyczy innych punktów instrukcyi starosty Kopanickiego, mianowicie wojsk mających powracać z Meklemburgii i sprawy Kurlandzkiéj, wyprawił Piotr na ręce starosty do króla dwie osobne odpowiedzi pod tąż samą datą, w których przypominając, że wprowadzenie wojsk rosyjskich nastąpiło za wspólném porozumieniem w Gdańsku (w kwietniu 1716) w celu uspokojenia konfedaracyi Tarnogrodzkiéj, żalił się, iż rzeczpospolita nie tylko nie dotrzymała mu warunków sojuszu, nie tylko zniewoliła go do ponoszenia całego ciężaru wojny przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, królowi szwedzkiemu, ale co więcéj, poczynała się już odwoływać „do Porty i Chana Krymskiego, żądając ich Bisurmańskiéj pomocy". Zatrzymanie dotychczasowe, już po zawartym z konfederacyą Tarnogrodzką pokoju, wojsk swych, a mianowicie generała Bauera, tłómaczył Piotr prawdopodobieństwem „nowych związków skasowanych chorągwi". Sprawę wojsk, mających powracać z Meklemburgii, pomijał mimochodem uwagą „że onym powracając do swoich krajów okrom Polski inszey drogi nie masz, co według sprawiedliwości nie należeło by za trudność poczytać, rozważając to, że tę woyska dla dobra pospolitego y przeciwko spólnego nieprzyjaciela użyte były". Co rzeczą najwięcéj w odpowiedziach tych zastanowienia godną, a jak się przekonamy z poniższego opowiadania, wcale nie przypadkową, to że sprawa przeszłorocznéj konwencyi gdańskiéj, sprawa owych gdańskich kaprów i wojennéj kontrybucyi gdańskiéj, zupełném pominiona milczeniem. Dla czego, przekonamy się niżéj, a tymczasem powiedzmy jeszcze, że drugi, z téjże daty list zajmował się wyłącznie sprawą Kurlandzką. Piotr występował w tym liście, jako opiekun i rzecznik ciężko, według niego, pokrzywdzonych praw synowicy swéj, owdowiałéj księżnéj Kurlandskiéj, Anny Iwanówny, przeciw królowi, rzeczypospolitéj, stanom Kurlandzkim, a nadewszystko przeciw bawiącemu w Gdańsku stryjowi jéj zmarłego małżonka, Ferdynandowi Kettlerowi. Stosownie do zawartego kontraktu przed-

ślubnego, żądał dla swéj synowicy 40.000 rubli rocznéj renty, zwrotu posagowéj sumy wraz z procentami „y przystojnego zamku dla mieszkania przy jéj wdowstwie“. Dopóki tym wszystkim żądaniom zadość by się nie stało, oświadczał Piotr, iż nie może wypuścić z pod nałożonego przez się „sekwestru“ książęcych majętności w posesyi naszey teraz zostających“, cofnąć z Kurlandyi swego żołnierza, odwołać komisarza swego, którym naówczas był Bestużew.

Otóż tedy w zupełnéj całości i dokładności rezultat, jaki starosta Kopanicki z misyi swéj paryskiéj wynieść zdołał, jaki go, nawiasowo powiedziawszy, wcale nie zadowalniał, ale jaki lepszym mimo wszelkich usiłowań być nie mógł, ze względu na środki, któremi rozporządzał, ze względu daléj na nagły wyjazd Piotra z Paryża i Francyi w pierwszych dniach czerwca 1717. Sam tedy nie lenił się z powrotem, w interesie jak najprędszego zdania sprawy z powierzonéj misyi, w czém przecież doznał pewnych przeszkód ze strony władz francuskich. Czy w tém domyślać się może jakichś wpływów Piotra lub jego otoczenia, nie umiemy powiedzieć. Wnet po odebraniu swéj ekspedycyi, zabrał się starosta do wyjazdu z Paryża. Trzeba było jednakże do tego i do przejazdu przez Francyą paszportu generalnego zawiadowcy policyi (lieutenant gèneral de police), którym był naówczas markiz d'Argenson. Mimo żądania starosty, zwleka tenże odpowiédź i wystawienie paszportu, co spowodowało starostę do napisania w dniu 6 czerwca mocno szorstkiego listu z upomnieniem się o swój charakter posła króla i rzeczypospolitéj Polskiéj oraz z położeniem przycisku na prawa narodów. Podobne wystąpienie poskutkowało, jak się zdaje, bo nareszcie donosi starosta kanclerzowi koronnemu i biskupowi Poznańskiemu d. 10 czerwca, że Paryż opuszcza.

Szczegółów podróży powrotnéj nie znajdujemy w pozostałych po staroście papierach. Natomiast widzimy z późniejszéj korespondencyi jego, że drogę w drugiéj połowie czerwca, pierwszéj lipca, obrócił na Drezno, aby zdać sprawę królowi, że zaś następnie udał się razem z nim, być może w celu poratowania zdrowia, na krótki czas do Cieplic. Pod koniec lipca wraca nareszcie w domowe strony, do Kopanicy, Dłuska, Poznania, przekonany, jak to widać z listów jego do prymasa i podkanclerzego koronnego, że Szeremetiew odebrawszy rozkaz swego monarchy, rozpocznie z pierwszemi dniami sierpnia odwrót swój z krajów rzeczypospolitéj. Cóż tymczasem dzieje się *tutaj*? „Donoszę“ pisze starosta, „jako *tardo gradu* Moskwa idzie, y ta, która z Meklemburgii wyszła. Imci Pan Szeremetiew *persistit* w swoiey u Gdańska pretensyi y podobno wybierze sumę *praefixam*, kiedy nikt *non impediet*, ani się o to skarżyć będzie

że ukaz Carski *violatur*, *Majestati et Reipublicae illuditur*. Z tego woyska, które z Meklemburgii wyszło, wróciło się nazad z pod Poznania pod Skwierzynę dwa Regimenty". Słowem, zaczynało się w początku sierpnia, tuż za powrotem starosty Kopanickiego z podróży paryskiéj, na widowni wielkopolskich mianowicie województw, powtarzać dawne widowisko, które poseł cesarski Martels scharakteryzował tak trafnie, mówiąc o „*marches und remarches*" wojsk rosyjskich w Polsce. Na istotną i szczerą ewakuacyą krajów rzeczypospolitéj ze strony tychże wojsk wcale się nie zanosiło. Feldmarszałka Szeremetiewa widzimy naówczas w Lesznie, generała Matuszkina w Skwierzynie, pułkownika Campenhausena nad granicą marchijsko-szląską. Między Campenhausenem a starostą Kopanickim zawiązała się nader cierpka korespondencya z powodu nadużyć, jakich komenda pierwszego dopuściła się w dobrach starostwa. Równocześnie nadaremnemi pozostały, mimo danych mu niedwuznacznych przecież rozkazów, wszelkie negocyacye z Szeremetiewem (przez miesiąc lipiec, w Lesznie), czy-to trybunału Radomskiego, za pośrednictwem sędziego bydgoskiego Wolskiego, czy to wojewody poznańskiego przez wyprawionego do Leszna Gruszczyńskiego, kasztelana gnieznieńskiego o wymarsz wojsk rosyjskich. Feldmarszałek stawiał wyraźny wszystkim tego rodzaju żądaniom opór, zasłaniając się argumentem, że bez wyznaczenia osobnych, jak tego rozkaz Piotra wymaga, komisarzy wojewódzkich, bez obmyślenia etapów marszowych i bez przygotowania potrzebnéj w marszu żywności, wojska zostające pod jego komendą wyruszyć nie mogą.

Ostatecznie więc pozostały wojska auxyliarne, w Wielkopolsce, a jeżeli się ruszyły skądkolwiek, ustępując miejsca innym nadciągającym pod dowództwem generała Weydego z Meklemburgii, działo się to w zamiarze wykonania zamachu niebezpieczniejszego w gruncie rzeczy dla Polski, aniżeli było proste ich kwaterowanie w jéj ziemiach. Mówimy tu o coraz to groźniejszych demonstracyach przeciw Gdańskowi w celu zmuszenia go do wykonania przeszłorocznéj konwencyi.

Właśnie w owych ostatnich dniach miesiąca lipca, pierwszych sierpnia, kiedy starosta Kopanicki, pełen najlepszéj otuchy wracał w rodzinne strony z paryskiéj misyi, poczęły komendy rosyjskie pod dowództwem generała-lejtnanta Dołgorukiego i generałów Schlippenbacha i Jakowlewa, mając swe magazyny w Toruniu, Grudziądzu, Starogrodzie, ściągać się coraz bliżéj pod Gdańsk, a nareszcie ścisnęły miasto pierścieniem ścisłéj blokady. Dodać tu zaraz możemy, iż w kilka tygodni późniéj posunęły się w téż same strony komenda Szeremetiewa i dywizya generała Repnina. Jako reprezen-

1*



tant woli i pretensyi Piotra, wystąpił w obec wystraszonego magistratu Dołgoruki, domagając się wykonania przeszłorocznéj konwencyi,—wystawienia kaprów i złożenia kontrybucyi. Żądanie to było tém niebezpieczniejsze dla miasta, że od strony morza stanęły, jako wymowny, popierający je argument, liczne galery rosyjskie z załogą 4—5000 żołnierza, że ze strony lądowéj pojawili się na terytoryum gdańskiém Schlippenbach i Jakowlew, zapowiadając bezzwłoczne nadejście nowych komend Szeremetiewa i Repnina. Miasto było przerażone, odnosilo się w listach z 24 lipca do kanclerza koronnego, z 2 sierpnia do samegoż Dołgorukiego. Tymczasem starał się magistrat przewlekać, o' ile możności, negocyacyą, utargować coś z pretensyi, która się streszczała w żądaniu wystawienia pięciu kaprów i zapłacenia kontrybucyi pół miliona talarów. Wybieg ten nie pozostał bezskutecznym. Dołgoruki nie chciał ze strony morskiéj doprowadzać do ostateczności, ze strony lądowéj nie mógł z powodu nie wystarczającego żołnierza. Po upływie całego miesiąca jednakże, kiedy komendy Szeremetiewa i Repnina zbliżyły się pod miasto, podnosił się groźny ton Dołgorukowych wezwań, wzrastała groza zapowiadanych przezeń środków przymusowych. Z listu, wystosowanego przez magistrat 25 sierpnia 1717 do marszałka koronnego Mniszcha, przekonywamy się, że Dołgoruki postawił Gdańsk w wyborze między bezzwłoczném przyjęciem znanéj konwencyi a ścisłą, ogładzającą i niszczącą blokadą. Gdy miasto ciągle się jeszcze wahało i targowało, urzeczywistnił Dołgoruki groźbę swą do tyla, iż zakazał komendom blokującym miasto od strony lądowéj, wpuszczać doń chłopskie wozy z żywnością. Niedostatek jéj zaczął się dawać miastu we znaki.

Wśród takich okoliczności nadszedł początek miesiąca września, a miasto znalazło w swym kłopocie pośrednika między magistratem a Dołgorukim w osobie Zygmunta Rybińskiego, wojewody Chełmińskiego, który wyjednał Gdańszczanom tydzień nowéj zwłoki. Wszelkie instancye zanoszone do króla, rzeczypospolitéj, jéj dygnitarzy, okazywały się nadaremnemi. W Dreznie i Warszawie przekonywano się coraz dowodniéj, do jakiego stopnia misya starosty Kopanickiego była bezowocną, jak dalece dane mu w Paryżu przyrzeczenia pozostały martwą literą. Po jeszcze dalszych zwłokach i układach, stanęła nareszcie między magistratem gdańskim a Dołgorukim d. 27 września, z zastrzeżeniem ratyfikacyi króla, konwencya, mocą któréj miasto zobowiązywało się dostarczyć Piotrowi trzy kapry i wypłacić kontrybucyą 140000 talarów. Do takiego to *ultimatum* opuścił Dołgoruki pierwotne swe, wygórowane pretensye; oburzył się jednakże, gdy miasto ofiarowało się zapłacić zaraz połowę

téj sumy, a w zamian żądało ustąpienia wojsk ze swego terytoryum. Tymczasem, właśnie wśród toczących się owych układów, przybył, wracając z podróży po zachodniéj Europie, Piotr do Gdańska, dnia 2 października; witany salwami dział, przyjmowany uroczyście przez władze miejskie, zgodził się na ratyfikacyą zawartego przed pięciu dniami układu, mocą którego miasto obowiązywało się do przyszłéj wiosny wystawić trzy kapry, a tymczasem zapłacić kontrybucyę 140000 talarów. Suma ta miała być przeznaczona na utrzymanie dywizyi Repnina, która pozostawała na Żuławach gdańskich aż do wykonania wszystkich warunków konwencyi. Podobnym układem było zmuszone do różnych dostaw i kontrybucyj generałowi Weydemu i miasto Toruń. Po podpisaniu konwencyi Piotr wyjechał wraz z małżonką 9 października z Gdańska do Królewca, stamtąd morzem do Inflant. Dołgoruki opuścił również miasto, zażądawszy odeń dla siebie za podjęcie trudów negocyacyjnych 6000 rubli i obraz pięknego pędzla, przedstawiający sąd ostateczny.

A więc załoga rosyjska na Żuławach gdańskich, kiedy miasto samo pozostaje pod Damoklesowym mieczem zawartéj konwencyi; Toruń zobowiązany osobną konwencyą z generałem Weydem; generał Matuszkin przy magazynach w Skwierzynie na straży województw wielkopolskich, Jakowlew nad dolną Wisłą; Ropp na Litwie, inne oddziały rosyjskie w krajach rzeczypospolitéj w stanie ciągłych „marszów i remarszów“, otóż to stan rzeczy jaki mimo niby to szczęśliwie spełnionéj misyi starosty Kopanickiego przedstawia się późną jesienią r. 1717, wywołując coraz to rozpaczliwsze, coraz groźniejsze w całym kraju usposobienie. Nie zbywa zewsząd na poświadczających je, licznych objawach; potwierdzają je współczesne pamiętniki, potwierdzają *lauda* sejmików wojewódzkich, potwierdzają depesze rezydenta cesarskiego.

K. Jarochowski.

GRAŻYNA

I JEJ STOSUNEK DO „JEROZOLIMY" TASSA,

w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

STUDYUM LITERACKIE.

Praca nad dziejami naszéj literatury skupia się dziś przeważnie koło dwóch postaci i dwóch współczesnych im epok. Epokami temi są: pojawienie się poezyi polskiéj w XVI wieku i powtórny jéj rozkwit w pierwszéj połowie XIX,—postaciami zaś, koło których grupują się wydatniejsze momenta i osobistości obu rozkwitów: Kochanowski i Mickiewicz. Literatury tych dwóch epok stanowią dwa odrębne lecz wiążące się ze sobą organizmy. Wprawdzie nowa poezya rozwinęła się z zasobów i materyałów, przygotowanych przez dawną, jednak wyrosła ona nietylko na świeżym zupełnie gruncie ale i śród radykalnie zmienionych warunków. Jak każdy normalnie rozwijający się płód, zerwała ona z chwilą dojrzałości, węzły wiążące ją z matczynem łonem i pod wpływem nowych czynników ulegała szybkim przekształceniom. Przecie od czasu do czasu, mocą prawa, dziedziczności rysy matki występowały na obliczu córki, przyćmiewającéj blaskiem swéj piękności skromną urodę rodzicielki.

Przez długi czas patrzyliśmy na nową poezyą, jak na jakieś nadprzyrodzone zjawisko, jak na zesłankę niebios, mającą swym blaskiem i wewnętrzną pięknością pocieszać nas i pokrzepiać w ciężkich warunkach ziemskiéj doli. Ten wspaniały kwiat, rozwijający się na świeżych grobach i ruinach, wydawał się duszom upragnionym wyższéj interwencyi i upatrującym jéj w każdym ważniejszym zjawisku, w każdéj wybitniejszéj postaci—znamieniem szczególnéj opieki niebios i zapowiedzią dalszych łask mających spaść na lud wybrany.

Ów obłęd mistyczny miał swe źródło zarówno w nieszczęściach i cierpieniach wiekowych jak i w zaniedbaniu, śród klęsk publicz-

nych i nieprzyjaznych dla oświaty warunków, wyższéj kultury umysłowéj.

Podobnie jak w pierwotnéj dobie życia duchowego ludzkości, nowa poezya nasza łączyła się ściśle z religią i filozofią; mieliśmy poetyczną religią, poetyczno-religijną filozofią i poezyą filozoficzno-religijną. Uczucie, stanowiące główny motor naszego życia duchowego, umożebniało, pożądane w ciężkich warunkach, wycieczki balonowe po za granice rzeczywistości, lecz wyczerpując się szybko, narażało żeglarzy na bolesne starcia z nieznanemi i nierozumianemi przez nich stosunkami. Zamiast pchnąć bryłę świata na nowe tory i stać się „niedzielą wieków" dla ludzkości, musieli marzyciele-rozbitkowie zająć, na twardéj téj bryły skorupie, niewygodne i podrzędne stanowisko śród tych, co umieli praktyczniéj i rozumniéj urządzić swe siedziby.

Dziś gdy półwiekowa odległość pozwala nam, bez narażenia się na olśnienie, rozpatrywać istotną piękność nowéj poezyi, gdy po przebyciu próby czasu nie potrzebuje ona lękać się rezultatów rozbioru krytycznego a krytyk nie potrzebuje padać na twarz przed świetném ale naturalném zjawiskiem, nadeszła pora do odszukania i uwydatnienia połączeń zachodzących między dwoma wielkiemi epokami naszéj literatury.

I.

Jeżeli po przeczytaniu czwartéj części Dziadów, z uprzytomnieniem sobie związku łączącego bohatera utworu z samym poetą, weźmiemy do ręki Grażynę, wyda się nam ona dziełem jeśli nie innego autora to przynajmniéj innéj, odległéj epoki życia śpiewaka cierpień Gustawa. Ta potężna indywidualność, napełniająca niebo i ziemię skargą i protestami z powodu własnych zawodów sercowych, przybiera tu na się skromną postać ludowego rapsoda opiewającego z całym spokojem i chłodem kronikarskim epizod dziejowy z odległéj przeszłości.

Cierpieniom i uczuciom, które niedawno przepełniały jego duszę i nie zostały bynajmniéj stłumione, nie pozwala zdradzić się ni jednym wybuchem. Zaledwie drobna wzmianka o „pięknéj dolinie przy Kownie" może uważnemu czytelnikowi podsunąć na myśl postać samego poety i jego niedawne dzieje. Pod wpływem swego postanowienia nie odkrywa on przed słuchaczem tajników serc bohaterów poematu, jak to czyni późniéj w „Konradzie Wallenrodzie" z uszczerbkiem dla architektoniki samego utworu. Małomówną milczącą niemal postać saméj bohaterki, przesuwa on przed oczami czy-

telnika, który jedynie z czynów może domyślać się uczuć miotających jéj duszą rycerską.

Powstanie „Grażyny“ wiąże się z planem poety zmierzającym do uleczenia ran serca, przez otwarcie dla umysłu szerszych widnokręgów i dostarczenie wyobraźni nowych wrażeń. Podróż zagraniczna i studya naukowo-literackie, w ogniskach zachodniéj cywilizacyi, stanowiły treść tego programu; środków do wykonania miała w formie stypendyum uniwersyteckiego dostarczyć władza szkolna. Decyzya ostateczna zależała od kuratora (księcia Czartoryskiego), którego spodziewał się poeta pozyskać dla swéj sprawy, przez wygotowanie utworu, dającego miarę uzdolnień młodego kandydata a jednocześnie czyniącego zadość ówczesnym wymaganiom i upodobaniom literackim, w kołach starszyzny uniwersyteckiéj i w otoczeniu księcia kuratora (1).

Jakkolwiek żadne stosunki nie łączyły poety z dworem puławskim, mógł on jednakże zapoznać się z panującemi tam upodobaniami i pojęciami literackiemi z dziełka „Myśli o pismach polskich“ (Wilno 1811 i 1812), którego autorem był stary książę feldmarszałek. Sędziwy autor zaleca tu studyowanie pisarzów polskich z XVI w. Dla podniesienia piśmiennictwa doradza poddawanie wszystkich nowoukazujących się utworów surowéj krytyce, któréj obowiązek wkłada na ówczesne Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Wprawdzie zachęca on młodych pisarzów do starannego odczytywania „Sztuki rymotwórczéj“ Dmochowskiego i osypuje pochwałami „Świątynią Wenery“ Szymanowskiego ale jednocześnie przytacza jako przykład Lessynga, który w swym Laokoonie „iskrą gieniuszu rozgrzał trętwą i nie używaną imaginacyi władzę“ (str. 213). Zna również poezyą włoską z epoki odrodzenia, podaje szczegóły z życia Dante'a i Ariosta, przytacza wyjątek z listów Bernarda Tassa i ustęp z „Jerozolimy wyzwolonéj“ w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Wyrazem uznania, jakiego doznawał poemat Tassa na dworze puławskim, było umieszczenie posągów dwóch wybitnych postaci utworu: Kloryndy i Tankreda w ogrodzie przed pałacem (2).

Uwielbienie to dla włoskiego poematu podzielał z dworem puławskim i z całą inteligencyą ówczesny profesor literatury w uniwersytecie wileńskim Borowski a za jego wpływem i przyszły twórca Gra-

---

(1) Co do pobudek, które skłoniły Mickiewicza do napisania Grażyny opierałem się na szczegółach podanych przez Tretiaka w jego pięknéj pracy: Mickiewicz w Kownie i Wilnie (Lwów 1884 r.). O wykładach Borowskiego podaje szczegółową wiadomość Piotr Chmielowski w biografii tego profesora w Encykl. Wychow.

(2) Szczegół ten podaje Leon Dembowski w swych pamiętnikach, ogłoszonych częściowo w „Ateneum.“

żyny (1). Zdaniem Borowskiego, wygłoszoném przy rozbiorze „Jerozolimy“, Tasso „mistrzowskim przykładem rozwiązał pytanie, jak charaktery poezyi nowoczesnéj i dawnéj, romantycznéj i klasycznéj, prawdziwy talent godzić może i powinien.“ Z tego powodu uważał on przekład „Jerozolimy“ przez Piotra Kochanowskiego, za jeden z najważniejszych faktów w dziejach naszéj literatury, i w odczytach swoich miewanych w Akademii duchownéj (między 1833 a 1842) poświęcał mu aż cztery lekcye. Sąd ten możemy dziś potwierdzić w całości ale na zupełnie innych oprzemy go podstawach. Borowski wskazując swym słuchaczom poemat Tassa, jako wzór do naśladowania, miał na myśli współczesną i przyszłą poezyą i w jéj zbliżeniu się do harmonii, urzeczywistnionéj przez włoskiego mistrza, widział najwłaściwszą drogę do udoskonalenia literatury polskiéj. Dla nas dziś doniosłość Jerozolimy, polega na jéj rozległym i długotrwałym wpływie, który od chwili ukazania się przekładu Piotra Kochanowskiego w 1618 r., trwa przez całe dwa wieki i sięga aż w pierwsze lata nowego rozkwitu poezyi polskiéj, w przygotowaniu którego odegrał także dość wydatną rolę. Borowski, nie mając w ręku najważniejszych pomników poezyi wieku XVII, nie wiedział jak licznych wielbicieli i zdolnych naśladowców miał u nas Tasso w Twardowskim, Morsztynie, Kochowskim a nawet i Potockim. Brodziński znowu, który współcześnie w swym wykładzie literatury polskiéj pierwszy zwrócił uwagę na niepospolitą piękność „Daphnis“ Twardowskiego, nie znając Tassa, nie spostrzegł, iż ta urocza sielanka jest w części swobodném a w części dość ścisłém naśladowaniem a raczéj odczuciem i odtworzeniem romantycznych epizodów „Jerozolimy.“ Jakkolwiek, wskutek studyów nad Morsztynem i wynalezienia poezyi Grotkowskiego, dostrzeżono już dawno wpływ poezyi włoskiéj na literaturę wieku XVII, nie przypuszczano jednak, by wpływ ten tak szeroko sięgał i by główną w nim rolę odgrywał Tasso w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

Poszukując odbicia tego wpływu, należy pamiętać, iż poeci wieku XVII, z wyjątkiem Morsztyna, nie znali Tassa w oryginale. Tymczasem pomiędzy przekładem Piotra Kochanowskiego a pierwowzorem zachodzi ogromna różnica, będąca wyrazem niższości kultury umysłowéj, obyczajowéj, artystycznych uzdolnień, języka i form literackich w ówczesnéj Polsce w stosunku do Włoch. Polski tłumacz odtwarza wiernie najgrubsze jedynie kontury, rysy i barwy, wszystkie delikatniejsze odcienia i linie zostają przez niego pominięte, za-

---

(1) W 1823 r. w kwietniu w teatrze wileńskim amatorowie przedstawiają na dochód ubogich żywe obrazy z „Jerozolimy“ układu Rustema. Odyniec, jako Tasso, recytuje odpowiednie ustępy przekładu Kochanowskiego (Odyniec: Wspomnienia z przeszłości).

tarte lub skarykaturowane a dość często zastąpione przez własne, niefortunne pomysły. Nietylko że zmienia on nieraz porównania brane z włoskiéj przyrody na obrazy czysto polskie (Wisła, Tatry, Krępak), ale wykwintny dyalog włoskich dworów zastępuje rubaszną mową szlacheckiego sejmiku lub obozu. Najstaranniejszym i najszczęśliwszym względnie, bywa tłómacz w epizodach romantycznych, które też na polskich czytelnikach najsilniejsze wywierały wrażenie, jak o tém świadczy zarówno „Legacya" jak „Daphnis", „Nadobna Paskwalina" i „Historya Wirginii". Ślady ostatniéj fali tego wpływu dopatrzéć można jeszcze u Słowackiego w „Szwajcaryi."

Dla nas dzisiaj poemat Tassa może przedstawiać jedynie artystyczny interes, który został zatracony w przekładzie. Idee i ideały włoskiego poety straciły swą siłę żywotną a postaciom jego zbywa na prawdzie i głębokości charakterystyki. Wielbiciele kunsztownie wykończonéj formy i uroczéj melodyjności języka znajdą tu zawsze niewyczerpane źródła rozkoszy artystycznych. Do pojawienia się Mickiewicza przecie „Jerozolima", pomimo wszelkich braków przekładu Kochanowskiego, była najpiękniejszym większych rozmiarów utworem poetyckim, jaki polski czytelnik posiadał w języku ojczystym (1). Bohaterzy Tassa stali się najpopularniejszemi i jedynemi zresztą artystycznemi kreacyami, które wyobraźniom młodym dostarczały pożądanych i pięknych obrazów. Poezya epoki stanisławowskiéj, pomimo zwrócenia się ku francuzkim przeważnie wzorom, odbija na sobie niejednokrotnie wpływ Jerozolimy (Krasicki w Wojnie chocimskiéj a nawet Monachomachii). Cztery wydania w ciągu lat pięćdziesięciu (od 1772 do 1826) świadczą, iż nie zbywało na czytelnikach, zapalających się do czynów Tankreda i Rynalda, wdzięków Kloryndy, Armidy i Erminii. Przekład Kamińskiego jakkolwiek ogłoszony dopiero w 1846 r. ale dokonany przez człowieka, który przyszedłszy na świat w 1786 r. należał do generacyi posiadającéj w Jerozolimie jedyne artystyczne wcielenie rycersko-romantycznych rojeń młodości—stanowi ostatni wyraz hołdu dla włoskiego mistrza od pokoleń zawdzięczających mu tyle duchowych roz koszy.

Twórca Grażyny z wyobraźnią wykarmioną wojennymi scenami poematu Tassa i świeżemi wrażeniami pochodu i odwrotu wielkiéj armii napoleońskiéj, marzył w młodocianych latach, by stać się

---

(1) Klasyczne poematy, jak „Eneida" w przekładzie Jędrzeja Kochanowskiego, utwory Owidyusza, Lukana itp. nie przedstawiały dla polskich czytelników tego pokrewieństwa rycersko-religijnych i czarodziejsko-romantycznych idei, postaci, obrazów, łączących świat Jerozolimy ze światem polskiego społeczeństwa.

w przyszłości „Goffredem“ lub „Janem III“, jak to sam w „Dziadach“ opowiada. Z latami śród tych marzeń rycerskich zaczęła się pojawiać urocza postać Kloryndy, odsłaniającéj z pod spuszczonéj przyłbicy pełne uroku lica i złocisty warkocz. Ten kontrast między rycerską postawą i uzbrojeniem a niewieścimi wdziękami oblicza budzić musiał nieopisany zachwyt w dawniejszych czytelnikach. Choć nie wszystkie poglądy i upodobania swego profesora podzielał młody akademik wileński, to w uwielbieniu dla Tassa panowała między nimi najzupełniejsza zgodność.

Świadczy o tém recenzya „Jagiellonidy“, poematu Tomaszewskiego (wydany w 1818 r.), napisanego na wzór Jerozolimy, oktawami i z niewolniczą a nieudolną zawisłością od obrazów i epizodów pierwowzoru. W poemacie polskim Elmini, skopiowana z Kloryndy, walczy w męskiém uzbrojeniu z polskiém rycerstwem. Młody Fredro goniąc za nią:

Już z mieczem płytkim wznosił nad jéj karkiem ramię,
Gdy hełm w gwałtownym biegu zsunięty z jéj głowy
Odkrył w długich warkoczach niewieściéj płci znamię.

Tasso, malując tę samą sytuacyą, ukazuje nam w przelotnym obrazie Kloryndę, gdy przez strącenie hełmu od kopii Tankreda

Błysnęła ogniem i warkoczem złotym.

Rys ten zachwyca młodego krytyka-poetę. „Możnaż równać, powiada on, to przedziwne, pełne mocy i wdzięku wyrażenie z rozwlekłym dwuznacznym naszego autora wierszem“. Kloryndа, wraz z czułą Erminią od pierwszego pojawienia się polskiego przekładu Jerozolimy podbiły serca czytelników. Twardowski opisując w swéj „Legacyi“ urodę tureckich tancerek i spiewaczek, porównywa je z Kloryndą (1), w Daphnis zaś zespala rysy obu bohaterek Tassa.

Romantyczno-rycerski nastrój uczuć i ugrupowanie pojęć stanowi już w drugiéj połowie XVIII wieku wydatną cechę stanu dusz na całym obszarze litewsko-ruskich prowincyj Rzeczypospolitéj. Kniaźnin i Karpiński są wyrazem tego stanu. Upodobanie w Tassie było raczéj wynikiem nie zaś przyczyną główną takiego kierunku

---

(1) Przy końcu punktu IV tak charakteryzuje przysłane poselstwu śpiewaczki:

One się rozwinąwszy z miękiego zawoju,
Twarz i oczy ukażą. W turskim były stroju
Uzłocone na głowie missury i bindy
Jakie.... Harpalice, albo i Kloryndy.

To odsłonięcie zakrytych twarzy nasunęło poecie na myśl chwilę odsłonięcia się Kloryndy wobec Tankreda.

pojęć i uczuć, choć z drugiéj strony „Jerozolima“ dając wyraz tym pojęciom i uczuciom, realizując je w pięknych i sympatycznych postaciach, w budzących zapał lub zachwyt scenach wojennych i romantycznych obrazach, utrwalała i potęgowała wpływ tych uczuć i ideałów. „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza powstały pod wpływem poematu Tassa. Mało komu zapewne wiadomo, iż pierwsze dwa śpiewy: „Duma o Żółkiewskim“ i o „Stefanie Potockim“ były utworzone i ogłoszone drukiem jeszcze w 1794 r., p. t. „Dumy polskie“ (1). Otóż cały początek śpiewu o „Żółkiewskim“ jest wierną kopią obrazów „Jerozolimy“. Jak u Tassa, mamy tu noc miesięczną i ten ulubiony poecie włoskiemu efekt odbicia się światła księżycowego o metal zbroi:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc w noc cichą świecąc roztoczony
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał.

Zbroja ta należała do rycerza, który „żalem obciążony wzdychał i dumał“,

...alić po bladym promieniu
Błyszczącą widzi stal pomiędzy krzaki,
Był to hełm i na nim wzbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego i krwi i rdzy znaki.

To samo znajdujemy w „Jerozolimie“. Gdy po wyzwoleniu Rynalda z rąk Armidy wracają wraz z nim rycerze:

Widzą na niskim cyprysowym krzaku
Ku miesiącowi zbroję zawieszoną:
A tak na zbroi jako na szyszaku
Perły sadzone ręką nauczoną,
Widzą tamże tarcz wiszącą na boku
W piękne obrazy wszędzie wydrążoną. (Pieśń XVII—58).

Te same postaci, obrazy i epizody, które w XVII wieku zapalały wyobraźnią Piotra Kochanowskiego i Twardowskiego, a w wieku XVIII dostarczały wzorów Krasickiemu, Niemcewiczowi, a w części i Karpińskiemu, budziły zachwyt twórcy balad i Grażyny, wiążąc tym wspólnym ideałem zachód poezyi pierwszego rozkwitu z jutrzenką nowego.

II.

Wpływ Jerozolimy występuje już w najpierwszych utworach litewskiego mistrza. „Pierwiosnek“, rozpoczynający zbiór młodzień-

---

(1) Warszawa—w drukarni wolney—(bez roku). Duma o Żółkiewskim uległa znacznym skróceniom i zmianom w późniejszych wydaniach.

czych poezyi Mickiewicza, jest pod względem języka i obrazów tak samo zestawieniem, organicznie spojonych zresztą, obrazów i form językowych przekładu Kochanowskiego, jak „Żywila“ mozajką językową z kroniki Stryjkowskiego. W wierszu tym poeta, albo bierze żywcem epitety i obrazy „Jerozolimy“, albo tworzy nowe w duchu pierwowzoru.

Jak Klorynda „błysnęła twarzą i warkoczem złotym“, tak i ów kwiatek wiosenny „błysnął ze złotych obsłonek“. Epitet „złoty“, „złocisty“ powtarza się nieustannie na kartach Jerozolimy. Nietylko u Kloryndy ale i u Erminii włos jest „złoty“; „złotym“ jest także żagiel i promień księżyca i gwiazdy i włos jutrzenki i wóz nocy nawet. Rynald w pałacu Armidy wiedzie swój żywot „w ustawnym kwietniu“ (Lepsza w kwietniu jedna chwilka). W ogrodach téj czarodziejki „kwitną róże i białe lilie“, ona sama pieszcząc się z Rynaldem:

„Na piersiach miała *rąbek* rozdzielony,
Włos rozczesany w powietrze puściła,
Do przyrodzonych swych *lilii* włożyła
Pielgrzymki *róże* i *rąbek* stuliła. (XVI pieśń).

„Złociste światełka“, które każe kwiatkowi przymrużać poeta, są jakby przypomnieniem „wdzięcznych gwiazd“, którymi „patrzyła“ Armida (XIX—67). Przymiotnik „niebieski“ (w znaczeniu niebiański) powtarzający się często w „Jerozolimie“ („Niebieska łódź“, niebieska pani—pieśń XV 9 i 43) występuje tu dwukrotnie w pierwszéj i ostatniéj zwrotce („z niebieskich piosnek“ i „niebieska Marylko“).

Pomysł do ballad o Switeziankach nasunęły poecie epizody włoskiego poematu, w których Tasso z wielkim smakiem i artyzmem odtworzył fantastyczne kreacye młodzieńczéj wyobraźni ludów południa i zachodu. Głównymi momentami téj akcyi czarodziejskiego świata, przeplatającéj wydarzenia rzeczywistego są: pobyt Rynalda w ogrodach Armidy i cudowne wyswobodzenie go z więzów uroczéj czarodziejki, tudzież walka z duchami o las zaczarowany zakończona zwycięstwem za sprawą Rynalda. Ów bór litewski, śród którego „szatan wyprawia harce“ i „*larwy* się szamocą“, gdzie „śród wody gwar jakoby w mieście, ogień i dym bucha gęsty“, gdzie rozlega się „zgiełk walczących i wrzaski niewieście i dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty“, jest zmniejszoną i zmodyfikowaną kopią lasu w którym rycerze Goffreda tak długo walczą z przeszkodami złych duchów.

Jeden z tych odważnych:

.....obaczy w lesie
Ogniste miasto.......
....nagle ognie zniknęły straszliwe

A na ich miejsce gęste chmury wstały

. . . .

Wiatr, pisk, szum morski, ogień nadstawiony
I ryk zwierzęcy.....

Pod wpływem tych strachów serce mężnego Tankreda

Fałszywym *larwom* zwieść się dopuściło.

Ów anioł, którego widziała we śnie córka Tuhana z balady, jak „okrążył Switeź miecza błyskawicą i nakrył złotymi póry", występuje kilkakrotnie w „Jerozolimie", jako specyalny stróż Goffreda, którego osłania skrzydłami przed ciosami nieprzyjaciół.

Scena wynurzenia się Switezianki z łona wód jest wiernem odbiciem wrażenia, jakie w wyobraźni polskiego poety pozostawiło ukazanie się rycerzom szukającym Rynalda, nimf kąpiących się w jeziorze i zapraszających pieśnią i wzrokiem do uczestnictwa w rozkoszach.

Choć byli twardzi przecie się zmiękczyli
Obaj rycerze, i podszedłszy blisko
Długo na piękne pławaczki patrzyli,
Kiedy swe lube kończyły igrzysko.
W tém pełne piersi jedna w onéj chwili
I pod piersiami, insze członki nisko
Ukaże, i to co wzrokowi miło;
Dalsze swym rąbkiem jezioro zakryło. (XV. 59)

Mickiewicz skraca ten zbyt realistyczny obraz w jednym wierszu: „W tém z zasłon błysną piersi łabędzie.... zostawiając wyobraźni czytelnika odtworzenie szczegółów. Nimfy Tassa obiecują rycerzom podobne rozkosze co nimfa litewska strzelcowi:

.....Tu tak żyć będziecie
Jako wiek złoty za dawnego lata
Żył sobie wolny.....
Pole waszego boju odtąd będzie
Lub miękka trawa, lub usłane łoże.

. . . .

Razem się śmiała, razem się sromała.
A śmiech był w sromie daleko piękniejszy

. . . .

Potém tak z nimi łagodnie gadała
Żeby się zmiękczył i najnieludczejszy. (XV. 64).

Idealniejszém i poetyczniejszém jest wprawdzie łoże Switezianki „na miękiéj wodnych lilijek bieli" i jéj fantastyczne pląsy śród fal jeziora, ale i te ostatnie są tylko przetworzeniem rysów pierwowzoru, w którym obie nimfy:

To sobie twarzy rękoma prędkimi
Pryskały wzajem, to się wyścigały

Czasem szły nurkiem i nagle ginęły
Czasem pospołu po wierzchu płynęły.

Do sceny momentalnéj pieszczoty, któréj się oddaje zwabiony strzelec, dostarczył rysów obraz Rynalda przy boku Armidy:

Jako drży promień na wodę ciśniony
Tak niespokojne źrzenice toczyła,
Wisiała nad nim. On na łonie u niéj
Głowę trzymając wszystko patrzy ku niéj. (XVI—98)
. . . .
. . . .
I tak w jéj twarzy oczy utopiwszy
. . . .
Ssie wdzięczne usta.
. . . .

„W pięknych licach topi oczy, ustami usta różane goni“—powiada Mickiewicz, streszczając drobiazgowe wykończenie pierwotnego obrazu, tracącego zwykle w grubych rysach kopii Kochanowskiego, wszystkie delikatniejsze odcienia.

III.

O ile w baladach poeta oddalał się swobodnie od pomysłów pierwowzoru, dowolnie przekształcał i oświetlał pożyczone od Tassa obrazy i rysy o tyle znowu w Grażynie, stara się on pozostać wiernym, nietyle poecie włoskiemu ile jego tłómaczowi. Nie umiejąc jeszcze po włosku (nauczył się dopiero w Odessie), niezna Tassa w oryginale i stąd niekiedy przejmuje nawet wady tłómacza, uważając je za właściwość pierwowzoru. Ta wierność co do formy i budowy wzorowi, który, mimo romantycznéj osnowy, cieszył się ogólnym uznaniem w obozie klasyków i w całym zresztą społeczeństwie, staropolski język i osnowa z dziejów książąt litewskich (od których wyprowadzali swój ród Czartoryscy), odpowiadały wybornie celom, jakie poeta zamierzał osiągnąć przez napisanie Grażyny. Przy takich z góry oznaczonych warunkach, gienialny jedynie poeta mógł stworzyć poemat niepospolitéj wartości, nie zaś poprawne jedynie wypracowanie wierszowe jakiego próbką w prozie jest Żywila.

W pomyśle Grażyny widziéć należy wcielenie więcéj romantyczno-rycerskiego, niż patryotycznego (jak się może zdawać dzisiejszemu czytelnikowi) marzenia lat młodzieńczych, poprzedzających okres miłości dla Maryli. W obec rzeczywistego ideału rozpierzchły się obrazy fantazyjne, wywołane rozczytywaniem się w pieśniach Jerozolimy—istotne, gorące uczucie stłumiło poloty wyobra-

źni, goniącéj za rycerskimi czynami krzyżowców i rozkoszami gajów Armidy. W „Dziadach“ mamy odbicie zachwytów i cierpień zawiedzionego serca. Potrzebując teraz przedmiotu nie tykającego sfery świéżo doznanych uczuć, pozwalającego na swobodne i objektywne obrobienie, zwrócił się poeta do swych dawniejszych marzeń i ostygłych zachwytów. Odrzuciwszy z nich miłosne czynniki wysunął na pierwszy plan ideę rycerską.

Nie ożył w nim wprawdzie „Goffred i Jan trzeci“, ale za to w cierpiącéj duszy nieszczęśliwego kochanka dawne zapały rycerskie zaczęły przybierać nową postać i w myślach jego zaczął się zarysowywać nowy ideał, w którym ogólno-ludzkie uczucia miały znaleść swe harmonijne zespolenie z narodowemi. „Oda do młodości“ i wiersz „do Lelewela“ odbijają nam częściowo ten niesformułowany wyraźnie ideał poety, którego wpływ widocznym jest także w przewodniéj myśli Grażyny i męskiéj energii języka tego poematu. Mężnemu Litaworowi, który wraz z całym zastępem rycerzów średniowiecznych goni tylko za sławą i podbojami, przeciwstawia bohaterską „z ducha“ Grażynę, obronicielkę interesów wyższych, narodowego bytu i ogólnego dobra społeczeństwa.

Tło i akcesorye, charakterystyka postaci zewnętrzna i psychologiczna, uscenizowanie ważniejszych momentów akcyi, przemowy i dyalogi „Grażyny“ są przeważnie zapożyczone lub swobodnie naśladowane z Tassa.

Zawisłość ta rozpoczyna się zaraz z pierwszym księżycowym krajobrazem, na tle którego ukazuje nam poeta zamek, mający stanowić główną widownią akcyi. W Jerozolimie podobnież większa część rycerskich i miłosnych epizodów rozgrywa się śród nocy, w oświetleniu księżycowém, podnoszącém romantyczny urok postaci i sytuacyi. Ucieczce Erminii (pieśń VI) sprzyja piękna, południowa noc swém wspaniałém oświetleniem:

Noc na się była rąbek z gwiazd włożyła
A niebo jasne świeciło pogodnie,
Już i Cynthia pełna prowadziła
Swe złote wozy między mniejsze ognie;
Erminia téż swoje rozłożyła
Pospołu z niebem, gorące pochodnie:
Czyniąc ich świadkiem życzliwe milczenie
I nieme pola i miesięczne cienie.

Ten romantyczny krajobraz ujęty przez tłómacza w oktawę, któréj-by się nie powstydził Słowacki, oddziałał tém silniéj na wyobraźnią, rozczytującego się w Jerozolimie młodzieńca, iż służy on za tło dla pełnéj wdzięku i słodyczy postaci Erminii, która z mimowolnéj wojowniczki staje się mimowolną pasterką.

Te same efekty oświetlenia księżycowego, jakie zapożyczył Niemcewicz w dumie o Żółkiewskim, spotykamy w Grażynie:

Miesiąc pogodny swym promieniem złotym
Bił z nieba z góry w zbroję niezakrytą,
. . . .
Więc po poświecia szata się bielała
A na szyszaku tygrys się błyszczała.

Jak zbroja Erminii, tak zamek nowogrodzki „od miesięcznego brał pozłotę blasku“. Pancerni rycerze, zbliżający się ku zamkowi „świécą mocno“, a za każdym „gałęź cieniu się czerni“. Wprawdzie noc litewska niéma blasków nocy południowéj i księżyc zasłaniają przesuwające się czarne chmury i tumany, jednakże i nad Jerozolimą się to przytrafia i tam:

Phebe jasne zasłoniwszy rogi,
Piękną twarz swoją w chmurze utopiła. (XIII—9).

Gdy pod Nowogródkiem śród nocy świat wydał się poecie polskiemu „nakształt gmachu sklepionego“, to włoskiemu śród skwaru letnich miesięcy przedstawiało się „niebo podobne czarnemu piecowi“ (XIII—56). Związek obu tych porównań jest wielce prawdopodobny.

Sam zamek, jakkolwiek stoi na barkach nowogrodzkiéj góry i jest siedzibą Litawora, wygląda raczéj na rezydencyą Goffreda lub Tankreda. Poeta zna historyą Litwy i ma pojęcie o prostocie budowy i ubogiém urządzeniu grodów książęcych. Sam przez usta Litawora powiada:

Miasto blach złotych mokry kamień błyska,
Miasto kobierców śniade mchów skorupy;

jednakże unikając realistycznych rysów, niedopuszczających okazałego układu scenicznego, nieodzownego w każdym klasycznym, bohaterskim poemacie, posiłkuje się ciągle zużytą dekoracyą i układem scenicznym rycerskich powieści i poematów. Kamienny, a w połowie i drewniany zapewne, prostéj, nieforemnéj budowy gród litewski przeistacza się w poemacie na pałac z „wieżami“, „balkonami“, „krużgankami“, panujący nad rozciągającą się u stóp góry „stolicą“, która z ubogiéj osady urasta na ludne „miasto“, wysyłające „tłumy narodu“ na spotkanie wracającego z wyprawy wojennéj władcy. Wspaniałości budowy odpowiada i całe urządzenie książęcego dworu:

„Żaden z *pałacowéj straży*
Ani z *dworzanów* ani z *panów rady*
Do jego progów zbliżyć się nie waży.

Otoczenie to zachowuje cały ceremoniał książęcych dworów zachodu. Gdy na czele rycerstwa wyrusza Litawor z zamku, straż

przyboczna wita go fanfarą, a orszak dworzan i pacholików odprowadza przez mosty i dziedzińce rozległéj rezydencyi. Czyż przy zachowaniu rzeczywistego tła możebne-by były takie obrazy, jak np. chwila gdy Rymwid:

....stąpał prosto na *pałacu ganek*,
A w tém się z *lekka* rozwarły *podwoje*
Litawor wyszedł.......

Cała ta scena wyjazdu na wyprawę jest włoską, francuską, niemiecką, ale nigdy litewskim obrazem. Skopiował tu poeta widocznie jakiś ustęp z rycerskiéj powieści, albo rycinę, przedstawiającą wyjazd na wojnę. Giermek, podający łuk i kołczan, trębacze, oczekujący pojawienia się pana, chorągiew *złota*, powiewająca nad hufcem rycerstwa, *purpurowy* płaszcz, pokrywający świetną zbroję księcia,— wszystko to są rysy i barwy zapożyczone z zachodniéj kultury, lecz nie zgodne z prostotą i ubóstwem drobnych dworów książęcych na Litwie w XIV wieku. Nawet na Wawelu za Jagiełły, władcy wielkiego państwa, w ludnéj i zamożnéj stolicy, nie spotkalibyśmy się z podobnym obrazem, chyba w wyjątkowych okolicznościach, przy podejmowaniu dostojnych gości. Jak Tasso na życie obozowe i na postacie krzyżowców i niewiernych przeniósł rysy obyczajów i kultury wieku odrodzenia, z otoczenia dworu książęcego w Ferrarze, tak samo i Mickiewicz przekształca z pomocą pożyczonych, od Tassa przeważnie, rysów, na pół barbarzyńskie, prostacze postacie wojowników litewskich, w ogładzonych, wymownych i nieco sentymentalnych rycerzy zachodu. Przybycie gońca krzyżackiego śród nocy, odmalowane rysami wziętymi z Tassa, tworzy obrazek bardzo odpowiedni w romansie Walterskota.

Za pierwowzór służył poecie ustęp z Jerozolimy:

......Ktoś kuryerowi
Podobny bieży ze wszystkiego skoku,
Bicz trzymał w ręku na dół ku koniowi,
Trąbka na sznurze wisiała u boku.

. . . .

Zatrąbił w trąbę kuryer przed mosty,
Zaczém spuszczony na dół wzwód drzewiany. (VII—27 i 29).

Mickiewicz zamiast „bicza“, daje przybyszom „kopią“ i dodaje im „różaniec“ i „szablę“, co ze względu na epokę stanowi anachronizm.

Taka prosta operacya, jak ścinanie drzewa na stos, mający pochłonąć zwłoki Grażyny, operacya, któréj czytelnik nie ciekaw wcale, zajmuje niepotrzebnie miejsce w skoncentrowanéj akcyi poematu, dla tego jedynie, że Tasso za wzorem Eneidy opisuje wycina-

nie lasu, na budowę taranów szturmowych. Rzecz naturalna, iż mamy tu powtórzenie rysów wziętych z Jerozolimy. Goffredowi „cieśle“ wyprawiają się „do lasu“ z toporami:

Cedry, cyprysy, topole rąbali,
Ten buki twarde i jesiony ścina,
Ten wielkie sośnie i jedliny wali;
Drudzy wysokie ścinali modrzewie,
Drudzy gałęzie ścinali na drzewie.

Kochanowski spolonizował drzewostan lasu palestyńskiego i dla tego Mickiewicz mógł z małemi opuszczeniami przenieść go pod Nowogródek:

.....między gęste krzewie
Schodzą trabanci z piłami, z topory,
Sieką chróst, walą topole, modrzewie,
A ociosane pnie, gałęzie, wióry
Toczą na barkach i wozach do miasta.

Malując spustoszenie, jakie „czarny rycerz“ szerzy w szeregach krzyżaków, posiłkuje się tym samym obrazem:

Jako leśnicy gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali,
Jęczą topory, chrobocą pił zęby
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali.....

Poezya puszcz, którą twórca „Pana Tadeusza“ pochwycił i odtworzył z takim mistrzowstwem nie odsłoniła mu wtedy jeszcze swoich tajemnic. Wspaniałość leśnéj przyrody żywiéj odczuwał Piotr Kochanowski obeznany widocznie z puszczami tatrzańskiego podgórza, gdy spolszczając obrazy Tassa powiada:

Świerki i dęby ogromne spadały,
Pod same prawie niebo wyniesione,
Co się piorunom nie raz opierały,
I nic niedbały na wiatry szalone.

Nawet ten tak litewski, tak lokalny napozór obraz walki Niemna z Rumszyskim olbrzymem, którego „wkoło mokrém ramieniem obchodzi, dnem podkopuje, pierś górą wydyma“, lecz mimo to „ani się zruszy skała w piasek wryta“—jest tylko przekształceniem, bardzo szczęśliwém zresztą, obrazu Jerozolimy:

Lecz jako kamień niepożytéj skały
Co do pół boków w morzu wielkim stoi
Odpiera deszcze, wiatry, gromy, wały... (IX. 31),

mającéj uplastycznić bój krzyżowców z Solimanem. Porównanie to, bardzo trafnie użyte przez Tassa dla odmalowania potężnéj siły i męstwa wodza Saracenów, górującego swą wyniosłą postawą i siłą ręki

nad padającemi pod jego konia napastnikami, w Grażynie, mimo swéj piękności, jest zupełnie nie na miejscu, gdyż w poprzedzającym obrazie bitwy przedstawił nam poeta dwie masy walczących, które zmięszawszy się z sobą nie mogą się przemóc:

Ni w tył, ni naprzód nie ruszono kroku.
A Bóg zwycięstwa, przyszłe ważąc losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd bierze.

W téj spoistéj masie idących we wzajemne zapasy nie widzimy ni wydatnéj grupy, ni pojedyńczéj postaci, którąby jak Rumszyski olbrzym „stawiała czoło napierającym nań" falom. Wprawdzie poeta usiłuje powiązać oba te obrazy, powiadając, że:

Ani się zruszy skała w piasek wryta,
Ani jéj rzeka ustąpi koryta —

lecz to zestawienie równéj na pozór oporności obu walczących potęg jest fałszywem, bowiem rzeka w istocie ustąpiła koryta zalegającemu je kamieniowi.

Jak romantyczny obraz nocy księżycowéj tak i klasyczne upostaciowanie świtu w różanowłoséj jutrzence („Już różane włosy zorza na wschodnim roztacza obłoku"), jest zapożyczone od Tassa, a raczéj od jego tłómacza, który swymi dodatkami i zmianami nadaje oktawom włoskiego mistrza, to klasyczny, to polsko-szlachecki charakter.

Nawet w obrazie wziętym z widoków nieba gwiaździstego poszedł twórca Grażyny za swym pierwowzorem. Gdy Litawor, odpowiadając reflektującemu go Rymwidowi, unosi się gniewem i oburzeniem na Witolda, poeta wyczerpawszy cały zasób namiętnych skarg i wyrzutów, wygłaszanych przez usta bohatera, powiada:

Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa,
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę: od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

W ustępie tym połączył Mickiewicz trzy odrębne porównania wzięte z Jerozolimy. Gdy Goffred przed ostateczną wielką bitwą z Solimanem przemówił do swych wojowników:

Światłość mu padła z góry na ramiona.
Jako więc lecie noc z swego odzienia
Gwiazdy z długiego otrząsa ogona. (XX—20).

W drugiém znów miejscu malując roznamiętnienie saraceńskiego bohatera Arganta, powiada włoski poeta:

Jako się świeci kometa, gdy miece
Krwawym ogonem promień rozciągniony. (VII 52)

W innym jeszcze ustępie rozjątrzony Tankred:

.... miecz piorunowy
Uderzył w filar przy moście kamienny,
Skry i kamienie poszły pod obłoki. (VII 42).

Potocki Wacław, posiłkujący się niejednokrotnie w swych poematach pomysłami i porównaniami Tassa, powiada odtwarzając scenę przedbojowéj przemowy hetmana do uszykowanego rycerstwa:

Gdy dokończył Chodkiewicz takiéj swojéj mowy,
Zdało się, że ze słońca promień go ogniowy
Ogarnął, że na głowie i na skroni biały
Włosy mu oszedziałe płomieniem gorzały. (Woj. Choc. cz. IV)

Jako uplastycznienie zapału i wiary w słuszność bronionéj sprawy, ta ognista aureola nad głowami Goffreda i Chodkiewicza, pokrewnych sobie męstwem i religijnym nastrojem, nie razi nas a przeciwnie wydaje się najwłaściwszém scharakteryzowaniem stanu egzaltacyi duchowéj, naturalnéj bardzo w chwili stanowczego kroku, mającego rozstrzygać o losach wielkich wypraw i całych społeczeństw. Miotania się ambitnego Litawora nie usprawiedliwiały podobnego odznaczenia, tak że tylko chęć przyozdobienia poematu jak największą liczbą pożyczonych od Tassa porównań, tłómaczy nam to dopasowanie aureoli pobożnego Goffreda do głowy butnego książęcia litewskiego.

IV.

Ścisła zależność od Tassa pod względem tła i akcesoryi pozwalała poecie na nieco większą swobodę w charakterystyce postaci. Ze swobody téj korzystał twórca Grażyny o tyle, iż bohaterzy jego, mimo licznych rysów wspólnych z postaciami Jerozolimy, uwydatniają swą indywidualność i litewskość, chociaż w niektórych tylko chwilach. Grażyna sama jestto Klorynda, tylko przebrana w strój litewski, posadzona na żmudzkiego rumaka i uposażona hojniéj nieco w uczucia niewieście niż w rycerskie przymioty.

Na charakterystykę litewskiéj bohaterki składają się te same przeważnie rysy, jakimi Tasso maluje wojowniczkę saraceńską.

Gdy Mickiewicz powiada o Grażynie:

Twarzą podobna i równa z postawy
Sercem téż całém wydawała męża,

Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy
Gardząc, twardego imała oręża.

to kopiuje on tylko wizerunek Kloryndy:

Do igły i do wrzeciona nie chciała
Nigdy obrócić swojéj pysznéj ręki,
Miękką twarz i strój pieszczony złożyła
A męską na się postawę włożyła. (II, 39)

Gdy małżonka Litawora „często myśliwa na żmudzkim rumaku...... pośród strzelczego hasała orszaku“, to szła ona za przykładem bohaterki Tassa, która:

.....szalone konie objeżdżała
. . . .
Łuk tęgi dziewczą ręką wyciągała,
A jeśli w lasy na łów kiedy poszła,
Nieraz się ze lwy mężnie uganiała.

Główna różnica między Klorynda a Grażyną leży w tém, iż pierwsza zachowuje aż do zgonu swą dziewiczą niezawisłość i zadawalnia rycerskie upodobania czynnym udziałem w walce z krzyżowcami, druga zaś jest także kobietą, małżonką „wyższą nad żon prostych rzędy“, podziela z rycerskim mężem nietylko „łoże i serce“ ale „myśli jego i władzę nad ludem“... „Wojny i sądy i tajne układy częstokroć od jéj zależały rady.“ Co się tyczy męstwa i patryotyzmu i w ogóle szlachetnych uczuć, to Klorynda nie ustępuje Grażynie. Gdy dla ocalenia Jerozolimy podejmuje niebezpieczną nocną wycieczkę, w któréj znajduje zgon bohaterski, to poświęcenie jéj o tyle chyba niższém jest od czynu Grażyny, iż łatwiéj jéj przychodzi, jako zahartowanéj w licznych bojach i nie stawiającéj na kartę nic prócz własnego życia.

Poświęcenie się litewskiéj księżny spadło na nią jako wynik powikłanych okoliczności i to pomimowolne bohaterstwo potęguje naszą sympatyą. Ten rys jednakże przypomina w części drugą z postaci kobiecych Jerozolimy: Erminią, gdy przebrana w zbroję, którą z trudnością dźwiga, przekrada się do obozu krzyżowców by odszukać rannego Tankreda.

Grażyna podbija nas sobie od pierwszego pojawienia się gdy „na żmudzkim rumaku, w szorstkim ze skóry niedźwiedziéj kirysie, spiąwszy na czole białe szpony rysie“, ukazuje się nam na tle puszczy litewskiéj, w otoczeniu orszaku myśliwców. Wysmukła kibić, pełne świeżości i życia oblicze, stanowią uroczy kontrast z liniami i barwami, zarówno ponurego leśnego krajobrazu jak surowych postaci oto-

czenia i męskiego stroju bohaterki. Zachwyca nas też, gdy nie mogąc wzruszyć Litawora, rzuca mu się do nóg by go powstrzymać od zamierzonéj wyprawy, gdy potém wobec groźnych następstw wydanego samowolnie rozporządzenia, przebywa ciężką walkę wewnętrzną, tak po mistrzowsku odmalowaną przez poetę, („Czoło pochyłe, w którém się przebija, jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka;" itd.); wreszcie gdy w ostatniéj chwili raniona śmiertelnie, ukazuje swe blade oblicze z pod usuniętéj przyłbicy. W momentach tych ona milczy lub wypowiada kilka zaledwie słów charakteryzujących jéj stan wewnętrzny. Ilekroć jednak poeta wkłada w jéj usta szersze rozumowania, wtedy zwykle znika nam z przed oczu Grażyna, pełna prostoty córka przyrody, a występuje uczona oratorka przemawiająca napuszonym i wyszukanym językiem.

Pierwsza jéj odpowiedź Rymwidowi byłaby może na miejscu w ustach Anny Jagielonki, Urszuli Mejerin albo jakiejś wymownéj ksieni. Wychowawczo-mentorski punkt widzenia, jaki poeta zajął w tém przemówieniu miał zapewne pozyskać mu względy księcia kuratora, który mógłby taki ustęp jak słowa Grażyny o jéj małżonku:

..... jeśli nagła *gniewu flaga*
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi,
Jeśli niekiedy, *lotem młodych ludzi,*
Chęć swą nad słuszność lub nad możność wzmaga.
Zostawmy, *niech czas i cicha uwaga*
Rozjaśni myśli, zapały przystudzi.

wcielić żywcem prawie do korespodencyi urzędowéj z władzami szkolnymi lub uroczystego przemówienia na akcie publicznym. Druga jéj mowa zaczynająca się od słów:

Radzco sędziwy, nie dobrze się dzieje,

nie jest wolną także od frazesów retorycznych. (Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje, szczęśliwsze jutro może wynagrodzi). Dusze energiczne a skromne, szybko się decydujące i działające odważnie jak Grażyna, nie bawią się w frazeologią lecz wyrażają swe myśli zwięźle i prosto, zwłaszcza gdy mówią z poufnym doradzcą o sprawie wielkiéj wagi.

Najwięcéj jednolitości i prawdy—zarówno historycznéj jak psychologicznéj przedstawia postać Litawora. Ten rycerski władca drobnego księstwa, któremu ciasno w jego szczupłych granicach, który potrzebuje szerszego pola dla swéj działalności i świetniejszéj widowni dla swych czynów, który pragnie bogactw, potęgi i sławy—był wcieleniem, częściowem naturalnie, rycerskich i ambitnych pra-

gnień samego poety, zarówno z czasów kiedy marzył o tém by zostać Gofredem lub Sobieskim jak i z późniejszych lat, gdy pragnął „bryłę świata“ pchnąć „na nowe tory.” Ta porywająca siła zapału, ta prawda uczucia, jaką tchnie ognista skarga Litawora, mają swe źródło już nie w Tassie lecz w własném sercu poety, w jego ambitnych i podniosłych porywach, zapełniających w zranioném sercu próżnię po wydartéj miłości dla Maryli. Litawor to pierwszy skromnych rozmiarów odlew z tego samego metalu, który dostarczy późniéj materyału na wielką postać Konrada. Nie można jednakże powiedzieć, by postać ta była zupełnie niezależną od pierwowzorów rycerskich „Jerozolimy.“ Gdy pędzi na pomoc Grażynie, na czarnym koniu, w czarnym płaszczu, z czarną tarczą i w tejże barwy hełmie, przestaje on być litewskim kniaziem a staje się jednym z rycerzów Ariosta lub Tassa spieszącym nie na ratunek ukochanéj małżonki lecz na popis w turnieju lub dla ocalenia zagrożonéj niebezpieczeństwem kochanki. Bohaterski koniec rycerskiéj pary małżonków: Odoarda i Gildyppy, którzy przez cały ciąg wyprawy walcząc obok siebie, znajdują jednoczesny prawie zgon na polu bitwy (pieśń XX 94—100) mógł nasunąć poecie pomysł zjednoczenia w śmierci równie bohaterskiéj książęcéj pary.

Gildyppa podobnie jak Grażyna otrzymuje ranę śmiertelną w pierś.

Wodze nieboga nagle opuszczała
I pochylona coraz bardziej bladła

Grażynie także:

Cugle z słabego wyciekły ujęcia
Spływając z siodła już się bokiem chyli...

Trzecia postać Grażyny „radzca sędziwy“ Rymwid jest tylko bladą kopią, skupiającą w sobie rysy starców występujących w „Jerozolimie“ zarówno w chrześciańskim jak saraceńskim obozie.

Zaraz na początku II pieśni spotykamy starego czarownika Izmena, udzielającego rad królowi Jerozolimy.

Cokolwiek rady ma w sobie wiek stary
Co jedno umiem i co jedno mogę,
. . . .
Tém ci rad wszystkiém o królu pomogę
. . . .
Powiem ci krótko a ty słuchaj mało.

Podobnież i Rajmund, starzec o rycerskiéj duszy, podbudzając do męstwa towarzyszów, powiada do Goffreda:

Ja chociam się to skrzywił od starości
I jużem zgrzybiał jako mnie widzicie...

Rymwid odradzając Litaworowi sojusz z krzyżakami, mówi:

Długo ja żyłem i na siwym włosie
Dźwigam i czasów i czynów nie mało.

Litawor przyznaje mu, że

... zewsząd godzien mojéj czci i wiary
Jak w polu młody tak na radzie stary.

Goffred podobnież osypuje pochwałami Rajmunda:

Kiedybym dziesięć miał między młodemi,
Którzyby byli téj co ty dzielności
. . . .

Starzec czarodziéj, który Rynaldowi odsłania przyszłość jego rodu, takie mu daje nauki:

Twarz ci wyniosłą natura sprawiła
I siły do prac i serce gotowe,
Myśl ci wspaniałą wysoką sprawiła,
Abyś szedł wzgórę przez środki takowe,
Gniew w cię gorący i prędki włożyła,
Nie żebyś go miał na *zwady domowe*
I na rozterki między swemi użyć
Albo nim żądzy bezrozumnéj służyć.

Mamy tu obok charakterystyki Rynalda, która mogła poecie dostarczyć głównych rysów psychologicznych postaci Litawora, jeszcze tę samę przestrogę, jaką litewskiemu księciu daje Rymwid:

... czy do tych kresów zaszły rzeczy
Iż *domowego* naszych *zwad* kąkolu
Nie zdała wyrwać dłoń bratniéj przyjaźni.

W scenie podsłuchiwania pod drzwiami Litawora jego rozmowy z Grażyną, Rymwid przypomina Wafryna podsłuchującego radę wojenną w namiocie Solimana.

Jak szpieg Goffreda „zajrzał płótna trochą rozprótego, zkąd ową dziurą był mały słychany głos z hetmańskiego pokoju dalszego", tak Rymwid „na progu usiada, szczeliną patrzy i ucho dokłada."

Realizm, z jakim szkicuje poeta podrzędne postacie utworu, ma swe źródło nietyle w Tassie ile w jego tłómaczu, wprowadzającym do poematu cały szereg szlachecko-obozowych wyrażeń i zwrotów. (Rozjadł się jak pies, pies pogański, durny i zuchwały, ugodzić w gębę itp.) Rubaszne uwagi strażnika zamkowego o posłach krzyżac-

kich, rozmowa z nimi, wreszcie złorzeczenia odprawionego krzyżaka nie są bynajmniéj nowościami w poezyi polskiéj, jak to możnaby wnosić z porównania tych ustępów z językiem klasycznych poematów stanisławowskiéj epoki i puławskiéj grupy.

Że te pojedyncze realistyczne rysy nie były wynikiem stanowiska jakie zajmował poeta względem przedmiotu, dbałości o prawdę historyczną i psychologiczną, świadczy obraz bitwy, który pomimo iż przedmiot nadawał się do realistycznego traktowania, przedstawia nam wierną kopią bitew „Jerozolimy."

W szczegóły walki, niepotrzebne zresztą dla saméj powieści, nie wdaje się poeta i milczenie swe usprawiedliwia stereotypowym klasycznym wykrzykiem:

Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięstwa i walki rycerzy?

W ogólnéj charakterystyce: okrzyk rozpoczynający walkę, szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzów, pryskające bronie, spadające hełmy, głowy, konie gniotące podkowami rannych—są to rysy powtarzające się niejednokrotnie u Tassa w opisach bitew (1).

Przestrach, jaki budzi czerwony płaszcz Litawora i jego godła na hełmie i tarczy, wznieca tak samo zbroja Solimana z ognistym smokiem na hełmie jak również godła i barwy, którymi wyróżniają się wszyscy wybitniejsi rycerze „Jerozolimy" tak dobrze Tankred jak Argant, Rynald jak Klorynda. Spustoszenie, jakie szerzy czarny rycerz w szeregach Krzyżaków, przedstawia te same rysy co pojawienie się Rynalda w walce z Solimanem:

Wpadł jako wściekły na dardy wytknione,
Hufce i gęste poprzerywał rzędy,
Posiekł i szyki pomięszał ściśnione. (XX. 60)

Pojedynek dwóch najznakomitszych wojowników z obu stron walczących stanowi nieunikniony moment bitew rycerskich. Komtur tak samo szuka Litawora na placu boju jak Soliman Goffreda lub Argant Tankreda. Czarny rycerz, który „spada nakształt gromu" i „jak czarna chmura ryknąwszy, błyśnie piorunowym gradem", rzuca się na zwycięzkiego komtura, zwala go z konia na ziemię i „tratuje po nim", przypomina Arganta, który zwaliwszy z konia Ottona, „piersi leżącemu podeptał a zwarłszy konia ostrogami" na widok Tankreda, biegnącego na pomoc obalonemu, wybucha dzikim okrzykiem.

(1) Por. ustęp ks. II str. of. 29. Tak wiele kopii miały obie stronie
Że się z nich zdał być las jaki wysoki itd.

Jako więc obłok w niepogodę huczy
Z którego piorun wypada trójzęby,
Tak każde słowo argantowe było,
Zdało się, że grzmi, kiedy wychodziło. (VI. 38)

V.

Najwymowniejszą miarą rozległości wpływu, jaki wywarła na Mickiewicza „Jerozolima“, w przekładzie Kochanowskiego, jest język Grażyny, będący w części mozajką żywcem z pierwowzoru przejętych wyrazów i wyrażeń, po części zaś nową kreacyą nacechowaną kunsztownem pochwyceniem właściwości a nawet wad polszczyzny XVII wieku.

Język poezyi epoki odrodzenia i późniejszych stuleci nosi zarówno we Włoszech jak i u nas piętno podobnych warunków w jakich się wytwarzały. Obok klasycznych wzorów starożytności, na których się kształcili i które naśladowali poeci, odbija ta poezya obyczaje dworskiego otoczenia w jakiem się rozwijała. Zależni od książąt i panów, którzy zapewniali im swobodną egzystencyą, musieli poeci w zamian za pensye i dary uświetniać publiczne obchody i prywatne uroczystości w domach możnych protektorów, odami, panegirykami, poematami, sztukami dramatycznemi. W utworach tych przemawiając do ograniczonego koła dworskich słuchaczów, posługiwali się językiem dworskiego otoczenia, odbijającym wysoki stopień towarzyskiego uobyczajenia, wytworzony zarówno przez rozpowszechnione po dworach klasyczne wykształcenie jak i rozwinięty szeroko ceremoniał form, grzeczności, zwyczajów, ujmujących w silne karby jednostkowe namiętności i umożliwiających wspólne, pokojowe pożycie ludzi nie mających przed sobą wyższych celów, lecz dążących na dwory możnych pod wpływem egoistycznych pobudek. Konieczność hamowania swych uczuć, ukrywania swych celów i przekonań, odgrywania ciągłéj komedyi wobec patrona i towarzyszów, nadała językowi dworskiemu i całéj literaturze dworskich ognisk umysłowych wytworność i subtelność a zarazem sztuczność, napuszoność a wreszcie i martwotę. Nasze życie umysłowe i piśmiennictwo odkąd z cieniu murów klasztornych przedostało się na dwory królów i panów, w podobnych rozwijając się warunkach, podobne przedstawia cechy. Język dworski doszedłszy w „Dworzaninie“ i „Szachach“ wysokiego stopnia wyrobienia pod względem wytworności, wyradza się szybko, przez makaroniczną pstrociznę łacińskich słów i frazesów, i przez coraz większą przesadę w wyrażaniu sztucznych uczuć i przestrzeganiu formuł ceremoniału

towarzyskiego (1). W przekładzie „Jerozolimy" posługuje się Kochanowski zarówno językiem dworskiego życia jak językiem uczuć religijnych i miłosnych wydoskonalonym przez mistrza czarnoleskiego w Pieśniach, Psałterzu i Trenach. Twórca „Grażyny" utrzymując się na czysto opisowym stanowisku i pragnąc nadać swéj opowieści klasyczne, staropolskie piętno, posiłkuje się dworskim przeważnie językiem mów i opisowych ustępów Jerozolimy. Mistrzowskie wniknięcie w ducha tego języka, pozwoliło poecie obok pożyczanych wyrazów i zwrotów, nadać staropolskie piętno całemu tokowi opowieści.

Wyrazy takie jak: brona, sprawa (szyk bojowy), wierna rada, kwapiony, kromia, wrzkomo, starożytne formy dopełniacza:, szyje, cisze, są wspólne Grażynie z Jerozolimą. Jeszcze więcéj archaiczność języka cechują formy, które z czasem zmieniły pierwotne znaczenie jak: *troskliwy* w znaczeniu *stroskany* (troskliwie powieki) i *błędny* w znaczeniu *błąkający się* (błędnego Mogoła), wyrażenia takie jak: *wydaje* twarzą troski, zbroją *ubezpiecza* piersi, wyrazy języka obozowego i sejmikowego cieszące się prawem obywatelstwa w poezyi XVII w. jak: plucha, urwisz, wrzask.

Naśladownictwo zbyt wierne niekiedy i zbytnie zaufanie w klasyczność przekładu prowadzi poetę do przejmowania błędów i wad tłómacza. Ponieważ Piotr Kochanowski zmienia w przekładzie Apeniny na Krępak i Tatry przeto i Mickiewicz chcąc nadać piętno polskości starolitewskiemu poematowi, przyczepia bez żadnéj racyi „Tatry" do opowieści Litawora i każe mu „przez Tatry" napadać na „Polski pięknie zbudowanéj sioła." Jeśli niezbyt szczęśliwym pomysłem jest owa: „gniewu flaga" budząca „doczesną burzę" w sercu Litawora to już wprost komiczne wrażenie sprawia niefortunnie zobrazowana klasyczna „fama" rozsypująca „ziarna" które „*ucho* (!) gminne *chwyta* i *przesadza*" (!) i z których następnie gorzki owoc się wyradza co *truje* zgodę i *sławę szczypie*" (!). W zapale naśladowczym nie spostrzegł poeta klasycznéj niedorzeczności tego tak szeroko rozwiniętego obrazu. Ponieważ Kochanowski, opuszczając w przekładzie delikatniejsze rysy pierwowzoru, dla zapełnienia powstałych ztąd luk, posługuje się, na każdéj stronie prawie, powtarzaniem téj saméj myśli, różnymi tylko wyrazami przeto i Mickiewicz powiada:

A potem milczał i nie mówił więcéj.

Wogóle jednak klasyczno-archaistyczna forma jest otworzona z wielkiem mistrzowstwem i nadaje poematowi powagę posągową,

---

(1) Przesadę tę wyśmiewał już Górnicki w swéj broszurce p. t. „Raczył."

charakter płaskorzeźbowego przedstawienia. Gdy przez usta Rymwida powiada poeta:

„Inaczéj cale po dawnym zwyczaju
Litewskie niegyś stąpały książęta
Niosąc stolicę do własnego kraju.
. . . .
. . . .
Zdarza się wprawdzie że sąsiad sąsiada
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc: przyjacielu.
Że bardziéj jeszcze niźli złe sąsiady
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy
Często u wspólnéj siadają biesiady,
Snu używają pod jednymi dachy
I miecze łączą ku wspólnéj potrzebie.

Jest to już ten sam język, który w kilka lat późniéj dochodzi szczytu prostoty, siły i epicznego majestatu w „Powieści Wajdeloty.“ Te wspaniałe ustępy powstawały w momentach natchnienia, gdy zapatrzony w dziejową przeszłość Litwy zapominał o „Jerozolimie“ i Tassie.

Posągowa piękność głównéj postaci, na pół barbarzyńska jeszcze energia mężnego Litawora, urok języka w którego stalowéj dźwięczności rozbrzmiewają echa rycerskich tryumfów i dworskiéj świetności wieku Jagiellonów i Zygmuntów (1), budząc zachwyt czytelnika, nie pozwalały mu dopatrzéć słabych stron utworu, dostrzedz licznych naśladownictw, które począwszy od oktawowéj budowy większéj części strof, występują tak wybitnie w formach wyrazowych i właściwościach stylowych wziętych od Piotra Kochanowskiego i wkracza, daléj w zakres charakterystyki zarówno tła krajobrazowego i akcesoryi jak samych postaci, zarówno przebiegu akcyi i jéj uscenizowania jak i wewnętrznych procesów psychicznych.

Piękności Grażyny podnosił cały szereg krytyków. Jeżeli Dziadom i Wallenrodowi czyniono często dość surowe nawet zarzuty to powieść o bohaterskim czynie „pięknéj księżny“ przyjęta życzliwie nawet przez obóz klasyków, uznaną została ogólnie za małe arcy-

---

(1) Czeczot mówiąc w swym liście o 2-im tomie poezyi Mickiewicza, mieszczącym Grażynę, powiada: „Styl z czasów Zygmuntowskich w miłą przeszłość przenosi i dziwnie się podoba.“ Już więc współcześni i najbliżsi poety spostrzegali wpływ poezyi wieku XVI na ten poemat.

dzieło. W ostatnich czasach dopiero zaczęto czynić pewne zastrzeżenia przeciw temu sądowi.

Praca niniejsza, przynosząc dowody zmieniające znacznie nasze dotychczasowe pojęcie o genezie tego poematu, stawia sądzącego na inném stanowisku i ukazuje mu w Grażynie studyum odtwarzające z pomocą rysów zebranych u Tassa i według jego wzorów, postacie, które choć mówią jeszcze językiem klasycznych bohaterów i przywdziewają najczęściéj ich maski i zbroje, żyją przecie już własném życiem i hołdują nowym ideałom poety.

Bronisław Chlebowski.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

III.

Znała Pietrusia istotnie mnóstwo sposobów zaradzania różnym przypadłościom życia, w których skuteczność ani na chwilę nie zwątpiła sama i któremi przysługiwała się innym. Doświadczyli tego na sobie jednocześnie, ale w sposób różny, Piotr Dziurdzia i Jakób Szyszko. Pierwszy był jednym z najbogatszych gospodarzy w Suchéj Dolinie. Czy grunt jakiś lepszy od innych przypadł im w udziale, czy trzeźwiejsi i pracowitsi byli niż inni, dość, że dziad jego, ojciec i on sam uchodzili we wsi za bogaczów. Wkrótce po nastaniu wolności Piotr zbudował chatę, mającą pozór porządnego domku. Miała ona komin, dwa spore okna, mały ganek i ściany z zewnątrz pobielone. Wewnątrz, nic tam osobliwego na pierwszy rzut oka spostrzedz się nie dawało. Sień, duża izba i obszerna komora; w dużéj izbie ogromny piec do gotowania strawy i pieczenia chleba, ławy, stoły, krośna tkackie, gospodarskie statki drewniane, nic więcéj; wszystko tak jak u innych. Ale zajrzéć tylko do komory, obory, stajni, spichlerza! Tam już działo się wcale niepospolicie, W największy choćby nieurodzaj, zboża nie brakowało, bo z roku na rok zostawał zawsze jaki taki zapas i zbytek lat jednych łatał braki drugich. Cztéry krowy, dwa konie, z których jedna klaczka, co roku przyprowadzająca źrebię, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie gnieżdżące się na dachu, w ogrodzie gęsty gaik drzew wiśniowych, zmieszanych z dzikiemi gruszami, których owoc dostarczał na zimę wybornych *gniłek*, wszystkiego tam było pełno. W komorze, na pułkach i na ziemi piętrzyły się worki i garnki z wszelkiém dobrem, jedna ściana czerniała cała od pozawieszanych na niéj mot-

ków nici, stojące pod ścianą skrzynie napełniały po brzegi przyodziewki męskie i niewieście, jako też, niepokrojone jeszcze *ściany* szarych płócien i sztywnych *samodziałów*, w sine i czerwone pasy, na domowych krosnach wytkanych. Ale nie tylko niezwykły dostatek napełniał chatę Piotra; pełną była ona także i niezwykłego spokoju. Piotr był człowiekiem charakteru flegmatycznego, ruchów ociężałych, mowy rozważnéj; żona jego, kobieta wysoka, urodziwa i łagodna. W młodości swéj jeszcze zaniemogła na reumatyzmy i inne jakieś choroby, które uczyniły ją także powolniejszą i mniéj od innych niewiastą do kłótni skorą. Stękała często, szeroko i długo użalała się na cierpienia swoje, u kogo tylko mogła rady na nie zasięgała, gdy bóle srodze dokuczać jéj zaczynały, popłakiwała sobie w kącie albo i na całą chatę głośne lamenty zawodziła, ale do kłótni z mężem nigdy nie stawała. Gdzieby jéj tam, z osłabłemi nogami i powykrzywianemi palcami rąk, jéj, niezdarze, która jak jaka pani wyręczycielek potrzebowała, do kłótni jeszcze stawać! Szczęściem już dla niéj wielkiém było i to, że mąż z chaty jéj nie wyganiał, za niedołęztwo nie łajał, a nawet często ulitował się, żałośliwie nad nią głową pokiwał i po ludzku z nią pogadał. Dość była roztropną, aby szczęście to ocenić i każdą wolę męża tak szanować, jakby to była wola bozka. Rozumowanie jéj pod tym względem było proste. W chwilach wylania do sąsiadek mówiła.—Dla czego ożenił się on ze mną? Nie dla posagu ożenił się, bo nijakiego nie miałam, ale dla tego żeby w chacie dobrą gospodynię mieć. O jakaż ze mnie gospodyni? Do pracy rwę się jak ten koń do studni, co *zdążam*, zrobię, ale mało zdążam. Jak *chwaroba* schwyci, to i ręce od wszystkiego odpadną. A on mnie za to nigdy nic, żeby choć jedno złe słowo powiedział! Cierpi i milczy. Jeszcze czasem i zapyta się: może tobie Agatka, trzeba czego? Może ciebie znów do znachora zawieść? Dobry człowiek. Toż ja jemu nie sprzeciwiam się w niczém. Niech jemu i Pan Bóg przenajświętszy nie sprzeciwia się....

Zresztą, sprzeciwiać się Piotrowi nie byłoby rzeczą łatwą. Miewał i on przystępy gniewu, rzadkie, ale straszne. Możnaby rzec, że w naturze téj cichéj i poważnéj, burze wybuchały tém gwałtowniéj, im powolniéj i dłużéj wzbierały. Kiedyś, za młodu, był on dla rodziców swych synem uległym i o stare lata ich dbającym, jednak, gdy matka ze starości zdziwaczała już nieco, dokuczyła mu ciągłemi kłótniami z synową i raz komorę przed nią zamknęła tak, że wróciwszy z pola strawy zgotowanéj nie znalazł i głodnym być musiał, uderzył ją tak silnie, że stara zaniemogła, przeleżała na piecu czas jakiś i umarła. Może ona i nie od uderzenia synowskiego umarła, bo wprzódy już nic prawie sił w niéj nie było, ale Piotr zgryzł się tém

tak bardzo, że długo jak nieprzytomny po świecie chodził. Żonie i kumowi, którego bardzo lubił, powiedział wtedy, że sam siebie tak bać się zaczął, jakby już dyabłu duszę był zaprzedał. Odtąd też stał się bardzo nabożnym. Do kościoła jeździł i spowiadał się częściéj od innych, za pługiem idąc, pacierze czasem odmawiał, w każde uroczyste święto, wielkie bochny chleba i grube zwoje płótna, u kościelnego ołtarza na ofiarę składał. Można-by rzec, że myśl iż krzywda zrządzona matce, duszę jego w posiadanie dyabelskie oddała, napełniała go trwogą i żądzą oczyszczenia się przed Bogiem. Z czasem wznieciło to w nim niejaką skłonność mistyczną, któréj ustawiczna a ciężka praca fizyczna wybujać nie pozwalała, lecz która malowała się w marzycielskim trochę wyrazie, z jakim niekiedy siwe jego oczy patrzały na świat z pod gęstych brwi, jako też w szczególném zaciekawieniu do cudów, czarów i wszelkich nawet opowiadań o nadprzyrodzoności. Skłonność ta zwiększyła się jeszcze wypadkiem, który wydarzył się w dzieciństwie młodszemu z synów jego Jasiukowi. Chłopak przyszedł na świat wtedy właśnie, gdy Piotrowa chorzeć zaczynała i około pięciu lat życia swego mając, wysechł i wyżółkł tak, że podobniejszym stał się do figurki z wosku, niż do dziecka. Nogi miał na wewnątrz powykrzywiane, gębę wiecznie otwartą, gdy biedz chciał, padał. Klemens hodował się zdrowo i jak wzdłuż, tak wszerz rósł niby na drożdżach; nad Jasiukiem płakała matka, sąsiadki żałośliwie kiwały głowami, a ojciec, według zwyczaju swego, z cicha i powoli coś pomrukując, ponuro czasem głowę zwieszał. Doszło do tego, że Agata, któréj obrzydły i kwękania chłopca i ciągłe pilnowanie go, jakby przez tyle lat niemowlęciem być nie przestał, w gniewie i żalu rzekła raz do sąsiadek.

— Ot, niechajby go już lepiéj Pan Bóg sobie zabrał...

Wtedy Piotr rozgniewał się znowu. Od śmierci matki przez długie lat kilka nie gniewał się nigdy; teraz znowu w gniew wpadł i byłby wybił żonę, gdyby mu ona z płaczem do ręki nie przypadła, prosząc o zlitowanie nad jéj chorobą i niedolą. Krzyczał więc tylko okrutnie, sąsiadki, które macierzyńską żałość Agaty gadaniną swą drażniły, z wielkim dla nich wstydem z chaty wypędził, a wkrótce potém z chorém dzieckiem na wóz wsiadł i do cudownego miejsca na odpust pojechał. Jeżeli tam innym Pan Bóg cuda swe okazywał, czemuż-by i jemu okazać nie miał. Powiedział mu ktoś, że dla uproszenia téj łaski, trzeba kupić jedną z woskowych figurek, które w niektórych kruchtach kościelnych sprzedają, i złożyć ją na ołtarzu. Piotr kupił taką figurkę i jeszcze mszę na intencyą dziecka zakupił, a przesłuchał ją klęcząc i głośno, żarliwie, z ciężkiemi westchnieniami i uderzaniem się pięścią w pierś odmawiając pacierze. Gdy u stóp

ołtarza chłopcy dzwonili na podniesienie, on, w obu ramionach, okrytych rękawami baraniego kożucha, podniósł chłopca swego w górę, tak jakby go zmiłowaniu bożemu ukazywał, a sam twarz brunatną i gęsto zarosłą wysoko także podnosząc, marzycielskiém spojrzeniem swém ścigał błękitne dymy, które nad głowami ludzkiemi blaskiem świéc i rzeźbami ołtarza, wzbijały się pod mroczne sklepienie świątyni. Dziecko wróciło z odpustu do chaty tak jak odjeżdżało: wyschłe, żółte, słabe, z wykrzywionemi nogami i otwartą gębą, lecz wkrótce, może w parę miesięcy potém, widocznie poprawiać się zaczęło: bielało, tyło, prostowało się, wprost odżywało. Wprawdzie, była to wiosna ciepła i słoneczna, w któréj odżywało wszystko, co na świecie było: drzewa, trawy, kwiaty, a także i dzieci. Wprawdzie Aksena, która podówczas świeżo w Piotrowéj chacie była osiadła, doradziła Piotrowéj, aby codziennie wyprawiać Jasiuka na ten suchy piasek, który białą ławicą słał się u końca wioski. Niechaj biedulek grzebie się sobie w tym piasku—mówiła,—to jak go słoneczko mocno rozgrzeje dziecko zdrowe będzie. Taka już święta siła jest w gorącym piasku, że on dzieci uzdrawia, kończyła Aksena i Pietrusi, która wtedy jeszcze niedorosłą była dziewczynką, rozkazywała, aby Jasiuka na piasek prowadziła i tam pilnowała go i zabawiała. Jasiuk nigdy wprawdzie nie stał się silnym ani tak pięknym i roztropnym, jakim był niewiele odeń starszy Klemens. Wyzdrowiał przecież, nie kwękał już tak jak pierwéj, nie padał co krok, więcéj mówić zaczął, wybielał. W chacie Piotra mówiono często o tém wyzdrowieniu i przyczyny jego rozważano. Jedne z bab nabożnie składając ręce na brzuchach, mówiły.—Taki to Piotrowa ofiara na odpuście.

— Piasek ten, co go Aksena doradziła—twierdziły inne.

Piotr zaś przemawiał.

— I ofiara na odpuście i piasek, a wszystko Pan Bóg przenajświętszy zrządził; bo,—z powagą mówił daléj,—jeżeli piasek ma taką świętą siłę, to mu ją Pan Bóg dał. Ot co.

— Jest na świecie i *czartouskaja* siła—zauważyła jedna z bab.

— A jest — z przekonaniem potwierdził Piotr i po długim namyśle dodał—ale w piasku jest siła boska, bo ot, dobrze zrobił; a żeby w nim była siła czartowska, toby źle zrobił...

Zastanowił się jeszcze trochę, wskazujący palec w górę wzniósł i dokończył.

— *Czartouska* siła zawsze źle człowiekowi zrobi, a bozka dobrze. Ot co.

Boską tedy moc zjednywał sobie Piotr Dziurdzia coniedzielném jeżdżeniem do kościoła, odmawianiem pacierzy, ofiarami składane-

mi kościołowi w postaci chlebów, serów i płócien, dyabelskiéj zaś lękał się okrutnie, choć nigdy jéj na sobie, w widoczny przynajmniéj sposób nie doświadczył, i miał ją w obrzydzeniu i nienawiści wielkiéj. Jeżeli ktokolwiek opowiadał przed nim o ludziach, którzy, jak naprzykład wiedźmy i czarownicy różni, przez nią złe figle innym ludziom płatali, spluwał z obrzydzeniem i ze złością przez zęby wymawiał.—*Kab* im ręce połamało! *Kab* im skonanie ciężkiém było! *Kab* oni królestwa niebieskiego nie oglądali!

O królestwie niebieskiém Piotr wspominał często; zdaje się, że było ono tym przedmiotem, który kędyś, wysoko, w zarysach mętnych i nieokreślonych unosił się nad nim wtedy, gdy oczy jego pod gęstemi, wypukłemi brwiami, przybierały wyraz zamyślony i trochę marzycielski.

Jednakże, rojąc sobie dziwne może obrazy królestwa niebieskiego, dbałym był i o ziemskie. Gospodarstwo swe pracowicie i zapobiegliwie prowadził, a wielce ucieszył się, gdy go mieszkańcy Suchéj Doliny na urząd *starosty* swego wynieśli. Wtedy okazało się widocznie, że od ambicyi wszelkiéj wolnym nie był i że zaszczyt, który go spotkał, przyjemnie pogłaskał jego dumę. Wprzódy trzymał się był trochę pochyło; zostawszy *starostą*, grzbiet wyprostował, uśmiechnął się tak szeroko i swobodnie jak nigdy przedtém, lecz za to z większą jeszcze niż przedtém powagą stąpać zaczął i z widoczną lubością, niemal uroczyście, na zewnętrznéj ścianie swojéj chaty przybijał siną tablicę, na któréj wielkiemi białemi literami wypisane było: *Piotr Dziurdzia, starosta.* Sprawami publicznemi, które sąsiedzi w ręce jego złożyli, zajął się gorliwie i cierpliwie. Gdy obległy go różne, z urzędem jego związane trudy i przeciwności, ze skruchą w głosie mawiał.—Pan Jezus więcéj cierpiał.

Albo.

— Pan Jezus mnie to w królestwie niebieskiém wynagrodzi.

I swoje robił, ani na dokuczanie ludzkie, ani na fatygi różne nie zważając. Często także unosiła go ludzka duma. Podnosił palec do góry, uśmiechał się szeroko i w zwykły sobie, powolny sposób mówił.

— *Ciepier*, jak *toj kazau*, ja *tut* pierwszy *jezdem* i ze wszystkich *najwyższejszy*...

Starszemu synowi także czasem perory prawił.

— Patrzaj Klemens, bądź taki jak ja, a Pan Bóg przenajświętszy da tobie panowanie ziemskie i królestwo niebieskie. Nie pij, cudzego nie żądaj, co do ciebie należy rób, a w moc czartowską nie oddawaj się. W moc boską oddaj się, a w moc czartowską nie oddawaj się, bo jak *toj kazau*, gospodarstwo zginie i duszę zgubisz. Ot co.

Ważny wypadek zostania *starostą* wiejskim, zaszedł w życiu Piotra w parę lat po weselu Michałka Kowalczuka z Pietrusią, a wkrótce potém, roztrząsaniu mieszkańców wsi nastręczyła się sprawa wielkiéj dla nich wagi. *Magazyn* wiejski, w którym mieściły się zapasy zboża, przeznaczone dla wspomagania lat nieurodzajnych, tak już był starym, że całkowitym upadkiem groził, *Stanowy* (policyjny urzędnik) kilka razy zapowiadał konieczność zbudowania innego i mieszkańcy Suchéj Doliny konieczność tę czuli sami, ale z przystąpieniem do roboty z roku na rok zwlekali. Wiadomo, kosztów lękali się, a i nowego kłopotu nie bardzo żądali. Teraz jednak przyszedł już kres ostateczny zwlekania. Magazyn trzeba było budować, chcąc nie chcąc, bo tak stanowczo i nieodwołalnie przykazano z góry. W chacie starosty, aż ciemno zrobiło się od ludzi, którzy zeszli się tam dla narady o téj kosztownéj i dość skomplikowanéj sprawie. Piotr Dziurdzia przewodniczył naradzie ze zwykłą sobie powagą i roztropnością, doradzając jak i kiedy pieniądze na ową budowę zebranemi być mają, gdzie i jakie drzewo kupić na nią należy, kogo i za jaką cenę wezwać do wymierzenia ziemi, którą budynek na inne miejsce przenoszony zająć musiał. We wszystkich tych rozważaniach i wyliczeniach, skutecznie pomagał mu stryjeczny jego brat Stepan, mający jedną z najlepszych głów we wsi ilekroć nie był pijanym, albo nie wpadał w pasyą. Miał on nawet tę nad drugimi wyższość, że biegle liczyć umiał. Nikt go tego nigdy nie uczył, ale z natury już tę zdolność posiadał i nauczył się sam. Że zaś tym razem trzeźwym był i nie gniewał się na nikogo, a przytém, kroił sobie koniecznie na najbliższych wyborach sędzią wiejskim zostać, siedząc tedy obok Piotra, szeroko i roztropnie prawił, biegle różne cyfry dodawał i mnożył, słowem, zapominając o tém co gryzło go i dręczyło w życiu prywatném, sprawom publicznym oddał się całkiem. Przy téj czynności, rozjaśniła mu się nieco i wypogodziła twarz przedwcześnie pomarszczona i najczęściéj ponura a gniewna. Pomimo jednak roztropności i powagi dwóch Dziurdziów, w izbie wybuchała często wrzawa taka, że ludzie jedni drugich zrozumiéć nie mogli. Wszyscy tam jednocześnie mówić zaczynali, łokciami i ramionami odpychali się wzajem od stołu, za którym siedział starosta, o każdy grosz zawodzili kłótnie, na każdą propozycyą odpowiadali zaprzeczeniami. Piotr cierpliwie to znosił, kilku uważniejszym słuchaczom swoje prawił, a czasem, kiedy sąsiedzi łając go już i przeklinać zaczynali, pomrukiwał.

— Pan Jezus więcéj cierpiał!

— Bydło! *praklatoje* bydło! *Kab na was chalera*—wykrzykiwał popędliwy Stepan i najnatarczywszych pięścią od stołu odpychając,

zaczynał już w paroksyzm złości wpadać, gdy nagle, kłótliwą wrzawę męzkich głosów, niby ostrzem noża przerznął piskliwy a rozpaczliwy krzyk niewieści. Była to Piotrowa, która z komory wypadłszy, ręce łamała i z boku na bok przechylając się, w niebogłosy krzyczała i zawodziła.

— Jazu mój! Jazu! O Jazuż mój, Jazu najmiłosierniejszy!

Tu i dziewka, która w zastępstwie Pietrusi, w gospodarstwie jéj dopomagała, tuż za nią także z komory wypadła, włosy sobie z głowy wyrywając, a po chacie też biegając; jeszcze donośniéj i piskliwiéj wtórzyła.

— O matko boska przenajświętsza! zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia* ty nad nami nieszczęśliwemi!

Mężczyzni rozprawiać i kłócić się przestali i z gębami pootwieranemi, jak słupy stojąc, błędnemi wzrokami wodzili za niewiastami, które jakby w konwulsyach rzucały się po izbie. Sporo czasu upłynęło zanim gospodarz chaty, zrazu perswazyą, a potém groźbą spuszczenia im pięści swych na plecy dopytać się u niewiast zdołał, co się stało. Stała się istotnie rzecz zasmucająca: z komory zginęły dwa sadła, 12 par kiełbas, i dziesięć *ścian* świéżo utkanego płótna. Wszystko to ukradzione zostało nie wiedziéć kiedy, przez kogoś, kto odpowiedniém narzędziem wewnętrzną okienicę przepiłował, zamykającą ją zasuwę usunął, przez okno do komory wlazł i tyle dobra z niéj wyciągnął. Okno komory wychodziło na ogród, w téj późnéj jesiennéj porze pusty i tylko błotem pokryty, noce jesienne długie są i ciemne.... Piotrowa rozpaczała; Piotr stratę poniesioną mniéj żywo do serca biorąc, zmartwił się jednak i nadewszystko oburzył się przeciw nieznanemu złoczyńcy. Ludzie, którzy tu obradowali i obrady swéj nietylko nie skończyli, ale po razy kilka jeszcze kończyć nie mieli, rozeszli się zwolna; w izbie pozostał Piotr, w zamyśleniu na ławie siedzący i łokciami na stole rozparty i trzy kobiety, które przed ogniem żywo płonącym w piecu, głośno o zaszłym wypadku rozprawiały. Były to trzy Dziurdziowe, żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne z sobą typy chłopek i trzy wyraźnie różne dole kobiece. Niemłoda już i schorowana, ale spokojna i jeszcze dość urodziwa Piotrowa, żona męża dobrego, gospodyni chaty dostatniéj i matka dwóch dorastających synów, skrzyżowała na piersi ramiona i smutnie już tylko nad stratą swoją głową kiwała, z cicha powtarzając.

— *Jakije* złe ludzie! aj, *jakije* nie godziwe!

Zwinna jak żmijka, czarnooka, śniada i ognista Stepanowa, sławna ca całą okolicę złośnica i plotkarka. o któréj zresztą wszyscy wiedzieli, że mąż jéj cierpiéć nie mógł i że wiecznie biła go lub przez

niego bitą była, na pierwszą wieść o tém co się w chacie Piotra przytrafiło, porzuciła niedawno urodzone, a przez 4 lata małżeńskiego pożycia jedyne dziecko i przyleciawszy tu, krzyczała, złodziejów przeklinała i miotała się tak srodze i hałaśliwie, jakby ją samą i stokroć od téj większa strata spotkała. Szymonowa przeciwnie przywlekła się zwolna i z dzieckiem na ręku, które już było szóstem czy siódmem. Nie starą była jeszcze i nie brzydką, ale strasznie wymizerowaną z czołem zmarszczonem i wiecznie skrzywionemi usty. Piotrowa, choć starsza i schorowana, daleko lepiéj od niéj wyglądała. Wiadomo, żona pijaka, siedzącego po uszy w długach u żyda arendarza zaciągniętych, mająca chatę kurną jeszcze i drobnych dzieci pełną a komorę prawie pustą, tyć i wesoło sobie *bajdurzyć* nie mogła. Na Agacie wyraźnie odbijały się spokój i dobrobyt, na Rozalii Stepanowéj charakter zapalczywy a złem pożyciem małżeńskiém do stopnia prawie wściekłości rozjątrzony; na Parasce, żonce pijaka Szymona—skłopotanie i nędza. Tuląc i kołysząc dziecko, które w piersi matczynéj mało znajdowało pokarmu i rozkrzyczało się w niebogłosy, z podziwém, pełném świętobliwego jakby poszanowania, wciąż powtarzała.—Dwa sadła i dziesięć *ścian* płótna! oj, Bożeż mój Boże! dwa sadła, dziesięć *ścian* płótna i dwanaście par kiełbas... oj, Bożeż mój Boże!...

Bogactwu takiemu, które aż tyle rzeczy bez ostatecznego ogłodzenia poszkodowanych z komory ukraść pozwalało, dosyć nadziwić się i nalubować nie mogła! Nie zazdrościła, owszem, żałowała krewniaków że im się taka szkoda stała, ale oczy jéj zachodziły łzami. Dawało to jéj miarę i żywne uczucie biédy własnéj. Zaś, czarne oczy Rozalki rozpalały się coraz bardziéj, błyskały i latały jak u oszalałéj, a język, szybciéj jeszcze latał niż źrenice. Przekleństwa najstarszliwsze na nieznanego złodzieja miotała, lecz wiadomem to już było, że zawsze coś lub kogoś przeklinać musiała; podobno sprawiało to ulgę nieustannéj zgryzocie, która u innych roztopiłaby się w łzy, a ją napełniała warem i płomieniem.

Zasmucony lecz już ułagodzony głos Piotrowéj, przebił się przez wrzaskliwe zawodzenia Rozalki.

— Żeby tam niewiem co, rzekła, ja taki będę wiedziéć kto to ten złodziéj.

Zwróciła się do Piotra.

— Pietruk, rzekła głosem, który objawiał zgodny i przyjacielski stosunek jéj z mężem; *idzi* do Akseny... *popytaj sia*, może ona zna co takiego, żeby tego złodzieja odkryć...

Nad wszelkie spodziewanie niewiast, Piotr ani jedném słowem nie sprzeciwił się temu żądaniu, wstał, na głowę czapkę baranią włożył i z chaty wyszedł.

Wieczór to był jesienny, ciemny; wiatr szumiał w ogrodach i miotał drzewami; pod niebem szmaty chmur, lecąc jak ciężkie ptaki, przysłaniały to znowu odsłaniały gwiazdy. Błotnistą ścieżkę wijącą się pomiędzy ścianami obór i gumien, a opłotkami ogrodów, wysoki, barczysty, chłop, w kożuchu i baraniéj czapce, z grzbietem nieco przygarbionym, szedł szerokim i ciężkim krokiem w kierunku zagrody kowala. Zdala już widać było kuźnię, buchającą czerwoném światłem i słychać turkot odjeżdżających wozów. Przed tą kuźnią, zawsze jak na odpuście albo jarmarku. Z całéj okolicy ludzie do Michałka Kowalczuka przyjeżdżają, bo takiego jak on kowala nigdzie nie ma. Ale teraz już wieczór i ci co tu dziś konie podkuwali, obręcze na koła i siekiery robić a pługi i wozy naprawiać kazali, jadą do domów, drogą pomiędzy wierzbami i bzami, w których puszczyki i lelaki gnieżdżą się i skomlą. Przed otwartemi drzwiami kuźni nie ma już nikogo, tylko leży szeroko błoto straszne, kołami wozów i kopytami końskiemi rozbite i pogłębione. Piotr Dziurdzia w błocie tém stanął i przez chwilę, we wnętrze kuźni wpatrywał się z przyjemnością niejaką. Czerwoném światłem napełnione, jaskrawo odbijało ono, od ciemności panujących na zewnątrz. W tém świetle, pięknie przedstawiała się postać młodego kowala, który pracować jeszcze nie przestał. W majtkach i koszuli z wysoko odwiniętemi rękawami, silny i zgrabny chłop, żwawo podnosił żylaste ramię, co siły bił młotem po rozpaloném żelastwie, skry z pod młota sypały się w dół deszczem a słupem tryskały w górę, śniada twarz z czarnym wąsem i czarna jego czupryna stały w czerwonym blasku. Żwawo pracował i wesoło. Nadewszystko wesoło. Co chwilę zagadywał coś do pomagającego mu chłopaka, czasem i przyśpiewywał sobie, albo, gdy uderzenie silniejszém czy zręczniejszém być musiało, podnosząc i opuszczając ramię, niby do tańca wykrzykiwał sobie.—Hu, ha! Piotr z zadowoleniem niejakiém na tę raźną i wesołą pracę popatrzawszy, uszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i wszedł do chaty kowala.

Izba tam była takaż prawie jak u Piotra, obszerna, z drewnianą podłogą i wolna od dymu, który przez komin uchodził, tylko spostrzegać się w niéj dawały pewne wymysły, jakich u *dzidów* i *pradzidów* nie bywało. Oprócz stołów i ław stały tam trzy drewniane krzesła, u sporych okien zieleniało w wazonach kilka nizkich roślin, na małéj szafce z dwoma szybkami połyskiwał blaszany samowar. Wymysły te, przywiózł z sobą Kowalczuk z szerokiego świata, a może téż zapoznała się z niemi i Pietrusia, w tym szlacheckim dworku, w którym za dziewkę folwarczną służyła. Wymyślność ta jednak nie doszła do tego stopnia, aby gdzieindziéj .umieścić ogrom-

ny piec z okopconém wnętrzem, w którym, jak o téj porze w każdéj z chat chłopskich, palił się ogień wielki. Nie dosięgła też ta wymyślność ani świéc, ani lampy; pomiędzy cegły pieca wetknięte łuczywo, paląc się czerwonawym i dymnym płomieniem oświetlało postać staréj Akseny w ten sposób, że komuś wchodzącemu do izby, musiała ona naprzód rzucać się w oczy. Według starego swego zwyczaju, kościana babka siedziała na piecu i w dostatniéj siermiężce, w czarnym czepcu, wyprostowana, jedną ręką wyciągała z kądzieli nić lnianą, w drugiéj kręciła wrzeciono. Pietrusia nosiła po izbie roczne dziecko, kołysaniem i półgłośném śpiewaniem uśpić je usiłując. W drzwiach izby, poważnym i uprzejmym głosem wymówione, zabrzmiało pozdrowienie Piotra.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... z uradowaniem widoczném odpowiedziała Pietrusia i z dzieckiem na ręku, z rozbłysłemi od zadowolenia oczami, ku gościowi podbiegłszy, w rękę go pocałowała. Aksena, która od czasu oślepnięcia swego słuch miała ostry, poznała też Piotra po głosie i na chwilę prząść przestając, w znak powitania głową tak kiwać zaczęła, aż się jéj do koła czarnego czepca białe, siwe włosy rozwiały. Przytém chropowatym i z powodu braku zębów szepleniącym głosem, dziękowała mu za to, że sobie o nich przypomniał i chatę ich nawiedził. Pietrusia tymczasem, uśpione już dziecko położyła w kołyskę, jedno z trzech krzeseł fartuchem otarła i w radośnym uśmiechu ukazując białe zęby, zapraszała byłego gospodarza swego, aby na niém usiadł. Piotr popatrzał na krzesło tak jakby przekonać się chciał, że nie złamie się ono pod jego ciężarem i z ostrożnością niejaką na niém usiadł.

— Nu, zaczął oglądając się po izbie, po pańsku tu u was, pięknie... *Kresła* sobie wymyślili i samowar... oho!

— Po pańsku, nie po pańsku, podchwyciła Aksena, któréj zaledwie widzialne wargi z wielkiego ukontentowania rozciągnęły się od ucha do ucha, ale chwała Bogu, niczego nie brakuje... wszystko jest... i chleb jest i zgoda święta jest... jak Pan Bóg przykazał...

— I syn jest... dodał Piotr, z żartobliwą dobrotliwością na Pietrusię patrząc. Ona, zawstydziła się trochę i spuściła oczy, ale wesoło wciąż uśmiechając się, odpowiedziała.

— A jest, dziadźku...

— I drugi zaraz będzie... żartował daléj starosta.

Tym razem młoda mężatka zaczerwieniła się jak burak, odwróciła trochę twarz i z cicha zachichotała. Aksena ze swéj strony śmiała się na piecu swoim starym śmiechem, który suchy klekot drewnianéj grzechotki przypominał.

— Czy jeden jeszcze...... oj, oj, czy jeden jeszcze będzie! mówiła.

— Daj Boże szczęśliwie, z życzliwością zakończył Piotr, a tu i kowal wszedł do izby. Przed opuszczeniem kuźni włożył był na siebie szary spencer sukienny, zieloną taśmą oszyty, i wyglądał w nim bardzo zgrabnie. Twarz miał zaognioną i spoconą od pracy; na widok Piotra ucieszył się bardzo i w obadwa ramiona go ucałował.' Ani on, ani Pietrusia nie zapominali o tém nigdy, że stara Aksena i jéj wnuczka przez lat wiele w Piotrowéj chacie chleb jadły. Nie darmo wprawdzie go jadły, ale był on dobrym i omastą życzliwości obojga gospodarstwa przyprawionym. Że tam potém stało się inaczéj i na tułaczkę znowu iść musiały, w tém już winy Piotra nie było.

— Pietrusia! zawołał do żony kowal, zrób no dla *dziadźka* herbaty...

Piotr poprawił się na krześle. Lubił bardzo herbatę, choć pijał ją tyle tylko, co czasem w miasteczku, kiedy na odpust albo na targ przyjechał, we własnéj chacie samowaru mieć nie chciał, bo go *dzidy pradzidy* nie miewali.

— Oho! zauważył, wy jak pany... *harbatę* sobie pijecie...

— Codzień nie pijem, ale czasem pijem, odpowiedział kowal, a co robić? wódki do gęby nie bierzem, to czasem trzeba czém inném *żywot* rozegrzać... I staréj babuli ziele to życie przedłuża i jak gość *trapi się*, potraktować dobrze...

— Dobrze, czemu nie dobrze? potwierdził Piotr i zaczął kowala wypytywać się o różne różności, których on mnóstwo wiedział, bo i kawał szerokiego świata zchodził i teraz ciągle z mnóstwem ludzi, zwyczajnie jako rzemieślnik, do czynienia miał. Michałka nie trzeba było długo do rozmowy zachęcać, bo z natury był on wielomównym i wesołym. Więc téż szeroko i długo opowiadać zaczął gościowi o jakiémś wielkiém mieście, w którém jako żołnierz lat parę przebywał, a tymczasem Pietrusia z pośpiechem zagotowała wodę w samowarze i po kilku minutach z glinianego *czajnika* nalała herbatę do trzech szklanek z grubego zielonawego szkła i do każdéj z nich włożywszy cynową łyżeczkę, na białym spodku kilka kawałków cukru położyła. Naczynia i cukier z szafki wyjmowała, zwijała się po izbie bosemi nogami żywo i zgrabnie, szklanki i łyżeczki, jak wesołe dzwonki w ręku jéj dzwoniły. Dwie szklanki z herbatą postawiła na stole przed gościem i mężem, trzecią, na ławę wskoczywszy, na piecu umieściła i gdy dwaj mężczyzni bezprzestannie gawędzili z sobą, ona gorącą herbatę na spodek wylewała i wydymając policzki, z całéj siły i głośno na nią dmuchała. Potém końcem palca dotykała

płynu a przekonawszy się, że już był ostudzony, brzeg spodka do ust babki przykładała, mówiąc.

— *Piej*, babulo, *piej*! Siedziała na brzegu pieca i ślepą babkę herbatą poiła. Chustki na głowie w domu nie nosiła. Ciemne włosy rozrzuciły się trochę do koła jéj twarzy a czoło miała takie gładkie i pogodne a oczy tak od wesołości błyszczące, że choć tam w kołysce usypiał roczny już chłopak, na dziewczynę wyglądała. Michałek z Piotrem rozmawiając, spojrzał na żonę raz, drugi, a potém, opowiadanie jakieś przerwał i zapytał.

— Pietrusia! a ty *znou harbaty* nie pijesz?

Wydęła trochę wargi i bosemi stopami po ścianie pieca bębniąc, odpowiedziała.

— *Nie chaczu*! *nie lublu*! *paskudnoje ziele.* Mnie lepsza zaciérka z sadłem.

To wspomnienie o sadle przypominało Piotrowi cel dzisiejszych jego odwiedzin. Wsparł tedy łokieć na stole, twarz na ręku i wypadek, który chatę jego nawiedził, opowiadać zaczął. Obecni dziwili się i bardzo ubolewali. Zajęło ich nadewszystko pytanie: kto to taki—ten złodziéj? Kowal przypomniał sobie, że wczorajszéj nocy wracał właśnie z sąsiedniéj wsi, do któréj za interesem był chodził, i widział jakiegoś człowieka, który z workiem na plecach prędko szedł pod płotami.—A jakże on wyglądał, ten człowiek? ciekawie zapytał Piotr. Kowal odpowiedział że był to człowiek chudy, małego wzrostu i zdaje się, że siwy zarost miał do koła twarzy. Tego ostatniego na pewno nie utrzymywał, bo noc była, ale że widział go dość zblizka i gwiazdy świeciły, więc zdaje mu się, iż miał siwy zarost do koła twarzy. Piotr zadumał się a potém rzekł.

— To zupełnie tak jakby Jakób Szyszko...

W podejrzeniu wyrażoném względem Jakóba Szyszki nic nieprawdopodobnego nie było. Nie raz już on w życiu swojem na złodziejstwie był złapanym, a ot, dwa lata temu, za wdarcie się przez dach do stodoły dworskiéj pół roku w turmie przesiedział. Jednak było to tylko podejrzenie, Piotr wlepił oczy w ślepą twarz Akseny.

— Ja do was prośbą, ciotko, rzekł. Może wy znacie jaki sposób, żeby tego złodzieja odkryć...

Baba milczała chwilę, potém, chropowatym swym i bezzębnym głosem, ale powoli i z namysłem, mówić zaczęła.

— Czemu mam nie znać? znam. Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi podłoży palce pod ucha nożyc, a *drugie ludzie* niech mówią różne nazwiska, różne jakie sobie tylko *wspomną*... Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to

jest taka pewna prawda, że ja nie raz ale sto razy na własne oczy widziała...

Umilkła, wyciągnęła ramię i parę razy w żółtych palcach wrzeciono pokręciła. Kowal zaśmiał się głośno.

— Głupstwo! rzekł.

— Michałek! z przerażeniem prawie zawołała Pietrusia; ty zawsze taki! tobie wszystko głupstwo! ej, niedowiarek paskudny!

Aż zaczerwieniła się cała, tak ją niedowiarstwo męża oburzyło. On pobłażliwie wymówkę jéj przyjął i tylko zcicha jeszcze zamruczał.

— Oj, baby, baby *durnyje*!

Ale Piotr z nadzwyczajną uwagą i powagą słuchał słów Akseny, która, rękę z wrzecionem opuściwszy, dodała jeszcze.

— Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na Ewanelję. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, a w drugich na Ewanelję wróży się... To już wszystko jedno... jak kto woli...

Piotr rękę do włosów podniósł.

— To już ja na Ewanelję wolę, rzekł a po chwili dodał.—Zawsze to Boska rzecz jest i Boska siła...

— No, to tak samo w Ewanelję nożyce wbić... nauczała baba.

— Głupstwo! zaśmiał się znowu kowal, a Pietrusia skoczyła i ręką mu usta zamknęła. On ją wpół pochwycił, dwa razy się z nią w kółko okręcił, a potém tak załaskotał, że zachodząc się głośnym śmiechem, na ławę upadła. Piotr na te swawole młodych żadnéj uwagi nie zwracał. Jemu ważniejsza sprawa na sercu leżała i przytém wszelkie rozmowy o wróżbach, cudach i czarach przejmowały go na wskróś tajemniczą i trwożliwą uroczystością. Wstał z krzesła i z niejakiém zakłopotaniem zaczął.

— *Dziakuju* wam Aksena za waszą radę... Tylko, jak to zrobić... trzeba, żeby to kto *znający* robił...

— Ja wam to, dziadźku, zrobię... Zrywając się z ławy zawołała Pietrusia; czemu nie! Tyle lat chleb wasz jadłam a terazbym téj przysługi wam nie zrobiła?.. Ot już idę...

I już na nogi trzewiki wkładała. Nigdy do wioski bez trzewików nie chodziła. Mąż, który miał w tém przyjemność i ambicyą swoję, wszelakie stroje dla niéj kupował a i jéj podobało się to bardzo, że szczęściem swém popisać się mogła przed ludźmi, pośród których kiedyś najuboższą i najpośledniejszą była. W trzewikach tedy, w kupnéj perkalowéj spódnicy, w zgrabnéj, nowiutkiéj siermiężce i kwiecistéj chustce na głowie, w kilka minut potém, weszła do chaty starosty i przed dawną gospodynią swą pokłoniwszy się

nizko, w rękę ją pocałowała. Dwom innym kobietom za to, ledwie głową kiwnęła. Wiedziała dobrze, że dla obydwóch jest tém samém, co sól w oku. Jedna jéj swą małżeńską niedolę przypisywała, druga zazdrościła dostatku. Teraz przecie, na chwilę o urazach swych zapomniały, ciekawość przemogła nad nienawiścią. Skupiły się dokoła przybyłéj i zarzuciły ją pytaniami, ale ona, z dwoma niedorosłymi jeszcze chłopcami gospodarstwa zaraz gwarzyć i chichotać zaczęła. Znała ich niemal od niemowlęctwa; Klemensa w czerwony policzek uszczypnęła a Jasiukowi palec włożyła w usta, które najczęściéj gapiowato otwierał. Oni ją za to za nogi tak pochwycili, że jak długa na środku izby upadła. Baby i dzieci aż za boki brały się od śmiechu i wiadomém to już było, że gdzie Pietrusia wpadła, tam pełno być musiało gadania, śpiewania i śmiechu. Jedna tylko Rozalka ani myślała śmiać się. Na klocku drzewa przed piecem usiadła, ręką brodę podparła i zadumała się ponuro. Wtém, jakby makiem posiał, zrobiło się w izbie cicho. Piotr wyszedł z komory, niosąc w ręku niewielką książeczkę w podartéj oprawie i ze zżółkłemi kartami. Była to Ewangelia, którą z poszanowaniem chował on na dnie skrzyni od lat wielu, odkąd mu ją po sobie w sukcesyi zostawił dziad bardzo stary, który z nią od dworu do dworu i od wsi do wsi chodził, aż nakoniec w Suchéj Dolinie, w Piotrowéj chacie umarł. Piotr dziadowi trumnę własnemi rękami z 4-ch desek zbił, uczciwie go pogrzebał a książkę starego żebraka, jako rzecz świętą uważając, w chacie swéj pozostawił. Nie otwierał jéj nigdy, bo czytać nie umiał, ale obecność jéj na dnie skrzyni za niejakie ubezpieczenie chaty od nieczystéj siły uważał, a ot teraz, z poszanowaniem z komory ją wyniósłszy, w milczeniu Pietrusi podał. Ona, z kieszeni siermiężki wyjęła nożyce, które z sobą przyniosła i w tém mgnieniu oka tak spoważniała, że aniby w niéj poznać wesołą mołodycę, która tylko co po izbie, z niedorosłymi chłopcami uganiała się i koziołki wywracała. Spoważniała, czoło trochę zmarszczyła, a wzniesione w górę jéj oczy wyraz modlitewny przybrały. Westchnęła głośno, westchnęły za nią i inne kobiety, nawet Rozalka, Piotr przeżegnał się, naśladowali go synowie obaj, rosły i czerstwy Klemens z rozbłysłemi od ciekawości oczami i blady, chuderlawy Jasiuk z gębą, szerzéj niż kiedykolwiek otwartą. Nagle, jednym zamachem, Pietrusia rozwarte nożyce w grzbiet książki wbiła i pod jedno ucho nożyc palec wskazujący podkładając, drugie Piotrowéj wskazała.

— Trzymajcież, ciotko!

Piotrowa uczyniła, co jéj rozkazano. Książka na ostrzu nożyc wisząca, szeroko ku dołowi rozwierała swe stare, pożółkłe karty.

— Gadajcież teraz, zadysponowała Pietrusia, różne a różne nazwiska, gadajcie. Na czyje nazwisko Ewangelia pokręci się, ten złodziéj... Rozalka pierwsza wyskoczyła z pytaniem.

— Anton Budrak? pytającym tonem wymówiła a pragnęła, aby książka uczyniła owe zapowiedziane poruszenie, bo wczoraj właśnie, nad stawem, przy płukaniu bielizny pobiła się z Budrakową. Ale książka ani drgnęła.

— Lewon Kuziauka? cienkim dyszkantem zapytała Szymonowa, był to albowiem jeden z najdokuczliwszych wierzycieli jéj męża. Ale książka pozostała nieruchomą. Nazwiska za nazwiskami wypadały z ust kobiet i chłopców, uszczęśliwionych tém, że w tak ważnym akcie niejaką rolę grać mogą. Książka jednak wciąż nie odpowiada nic. Nakoniec, Piotr, który dotąd żadnego jeszcze nazwiska nie wymieni, basowym i przytłumionym swym głosem rzekł.

— Jakób Szyszko.—Nie darmo przed półgodziną u kowala wyrażono podejrzenie na człowieka, który się tak nazywał. Palec Pietrusi drgnął tak lekko, że drgnięcia tego nietylko nikt nie spostrzegł ale ona sama nie uczuła, a książka powolném i zaledwie też dostrzegalném poruszeniem, dokonała mały półobrót.

— Aha! zawołało chórem głosów siedm. Pietrusia ostrożnie i z uszanowaniem z grzbietu książki ostrza nożyc wyciągnęła i pochyliwszy się nabożnie starą okładkę ucałowała. Za przykładem jéj poszli inni. Całowały książkę wszystkie z kolei kobiety, całowali tak, że aż prawie smoktać ją zdawali się dwaj chłopcy; długim i skruszonym pocałunkiem usta swe do niéj przyłożył Piotr i natychmiast łuczywem sobie świécąc, do komory ją znowu poniósł. Potém, kobiety i chłopcy wymówili znowu chóralne.—Aha! w którém mieściły się uczucia różne: oburzenia, uradowania i wdzięczności dla tego czegoś, co im złodzieja odkryć pozwoliło. Czém było to coś, nie zapytywali o to i ani dorozumiéć się mogli. Czuli tylko i myśleli, że była to jakaś siła, która usługę im oddała za pośrednictwem Pietrusi. Tego wieczora jeszcze ognista Rozalka latała po wsi a zgnębiona Paraska ze skwiérczącem dzieckiem swém na ręku od chaty do chaty łaziła, a obie, na wyścigi, jedna prędko i zapalczywie, druga powoli i mazgajowato, rozpowiadały o wszystkiém, co działo się i stało w chacie starosty.

Potém głuche już tylko chodziły wieści o tém, co pomiędzy Piotrem i Jakóbem zaszło. Podobno pierwszy, w rzadko u niego zdarzającym się ale gwałtownym przystępie gniewu, zbił Jakóba we własnéj jego chacie i pociągnięciem go przed sąd zagroził, jeżeli nie przyzna się do winy i skradzionych rzeczy nie odda. Jakób wiedział już z doświadczenia, że od sądu nie zawsze bezpiecznie wykręcić się

można, a na stare lata nie chciało mu się po raz trzeci turmę nawiedzać. Przytém, gdy synowe i córki z małemi dziećmi na rękach rzuciły się do nóg staroście, prosząc, aby gospodarstwa ich nie rujnował, winowajca rozpłakał się, wszystko przed Piotrem wyznał i zwrócił mu dwa sadła i pięć ścian płótna. O reszcie płótna utrzymywał, że gdzieściś je zgubił, a o kiełbasach, że je jakimściś przypadkiem psy zjadły. Płakał, bił się pięścią w piersi i na zbawienie wieczne zaklinał się, że tak było. Synowe i córki, wiedząc dobrze, że tak nie było, skupiły się w kącie izby i milczały. A nuż Piotr uwierzy a pięć ścian płótna i kiełbasy w chacie pozostaną! Piotr nie uwierzył, ale gniew odszedł mu nieco i widział zresztą, jak ubogą była ta Jakóbowa chata i jaka ją napełniała gromada. Było tam dusz ze trzynaście, starych, młodych i małych. Tyle ludzi za winę jednego gubić i samemu nie małych kłopotów nabrać się. Ręką tedy machnął, to co oddano mu zabrał, a o tém, czego nie oddano, przez zęby mruknął.

— Pan Bóg przenajświętszy tę moję krzywdę w królestwie niebieskiém wynagrodzi...

I sprawy zaniechał, ale inni mieszkańcy wsi długo zapomniéć o niéj nie mogli. Nie zapomniał o niéj przedewszystkiém Jakób, który odtąd ilekroć Pietrusię spotykał, spluwał na stronę i z gniewem mruczał.

— Zgiń, przepadnij *nieczystaja siła*!

Nic w świecie nie zdołało-by zachwiać w nim przekonania, że téj kobiecie moc jakaś tajemnicza i jéj saméj tylko znana, postępek jego wyjawiła. Nienawidził jéj i zarazem lękać się zaczął. Lękać się jéj też zaczęły niektóre z niewiast, a przecież były i takie, co przepadały za nią. Młodéj Łabudowéj na przykład, gdy sroga febra nią trzęsła, doradziła ona na pierwszą wiosnę wylęgnięte kurczę, albo kaczę spójrzéć i w téjże chwili, co prędzéj, węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać. Jak ręką odejmie! upewniała. Istotnie ujęło jak ręką. Łabudowa, która już schnąć, szpetnieć i siły tracić zaczęła, febrę utraciła, że zaś miała męża młodego, świekrę gderliwą i roboty wymagającą, wdzięczność jéj dla Pietrusi była wielką. Inną znowu kobietę, w ciężkim połogu będącą napoiła płynem, z dziesięciu gatunków ziół przyrządzonym, a zwanym *dziewięcioranką*, który także okazał się wielce skutecznym. Miała zawsze w chacie pełno suszonych ziół, z których każde służyło na chorobę inną. Od gardła dawała brunelkę, od kaszlu ślaz i dziewannę, od bolów krzyża krwawnik, od ściskania *w żywocie* czomber i miętę. Przeciw chorobom jednym doradzała koniczynę białą i wiśniową korę w dół z drzewa zeskrobywaną, przeciw chorobom innym koniczynę różową i takąż korę, tylko w górę z drzewa zeskrobywaną. Dzieci, które dostawały

konwulsyi, kładła na desce pośród koła zarysowanego krédą, a te, które koklusz męczył, poiła sokiem rzepowym, nie z czego innego dawanym, tylko z saméjże rzepy, w formę kielicha wydrążonéj. Słowem, nieprzebraną była w środkach, zaradzających cierpieniom, najpospoliciéj dolegającym mieszkańcom wsi. I nie tylko znała je, ale ich udzielała zawsze z uprzejmością i chętnością wielką. Inna brałaby za to jaja, len, płótno, kury, miarki zboża i Bóg wié co jeszcze. Ona nie. Nigdy niczego w zamian rad swoich nie żądała, a gdy która z niewiast i przyniosła jéj kiedy cokolwiek w fartuchu lub pod chustką, nie przyjmowała. Rękę wyciągającą się z dodatkiem odpychała, mówiąc.

— Nie chcę, nie trzeba, na co mnie to? ja z życzliwości....

I była ludziom życzliwą istotnie. Bywało, gdy przez wieś idzie, a jaką biedną kobiecinę, albo znędzniałe dziecko zobaczy, staje i zapytuje się. — A co to? A gdzie boli? a może to ze zgryzoty jakiéj? a jaka to zgryzota? Wypytawszy się, czasem jakie ziółko albo inny sposób na ludzką biédę doradzi, a jeżeli żadnéj rady nie wymyśli, to z dorosłym o biédzie jego pogada i głową pokiwa, dziecko w ramionach pokołysze, w chude ciałko pocałuje i potém już w swoję drogę idzie. Stara Aksena słysząc ciągle, że ludzie do niéj po radę przychodzą, z rok czy ze dwa milczała, ale potém, zaniepokoiła się czegoś i wnuczkę gderać zaczęła. Z wysokości pieca swego mówiła do niéj.

— A czego ty, jak ta suka, ciągle przed ludźmi język wywieszasz? To i to pij, tak i tak zrób! Będziesz ty za to podziękowanie miała, jeszcze cię wiedźmą zrobią...

Pietrusia, na miotle łokieć wsparła i zamyśliła się. Po chwili, z namysłem zaczęła.

— Ot widzicie, babulo, mnie zdaje się, że kiedy mnie Pan Bóg szczęście dał, to ja ten świat bardzo już polubiłam... i wprzódy ja jego lubiłam, ale kiedy Michałek ze mną ożenił się, polubiłam jeszcze więcéj... A teraz co? Michałek coraz lepszy... i dostatku wszelkiego przybywa i dzieci przybywa i ciągle mnie na świecie lepiéj i lepiéj a ja ten świat lubię więcéj i więcéj i wszystko co jest na świecie lubię... i słoneczko to Boże ciepłe i gwiazdy te boże jaśnieńkie, i drzewa te szumiące i kwiaty pachnące i ludzi wszelakich i każde żywe stworzenie... Wszystko lubię... i kusego lubię... kusy! kusy! na masz!

Brzydkiemu kundlowi w czarne i białe plamy kromkę czerstwego chleba rzuciła, po twardéj sierści go pogłaskała i daléj izbę zamiatając, na całą chatę zaśpiewała:

„Tam na dole, na pryhore,
Posiejali proso,
Oj tam chodził Jasiuleńko,
Do dzieuczyny boso!

Aksena chciała jeszcze gderać.

— Oj maładaja, durnaja! szeptała, lecz promień słońca przez okno padający, łagodnie ogrzewał starą jéj głowę, a izbę napełniał zapach skwarzącéj się w piecu słoniny i wesoły, rozgłośny śpiew wnuczki. Co tam było szczęśliwéj tej roztrzepanicy napomnienia jakie prawić, albo złe wróżby gadać? Sama więc w uszczęśliwionym uśmiechu rozciągnęła wązkie swe wargi od ucha do ucha i na bok nieco przechyliwszy głowę, pilnie nasłuchiwała, czy nie zbudzi się czasem i w kołysce swéj nie zaskwierczy malutka Krysieńka. A to już ręce od przędzenia zabolały i błogo byłoby na kolanach potrzymać prawnuczkę!...

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

POZYTYWNA POLITYKA REFORMY SOCYALNEJ

WEDŁUG SCHÄFFLEGO.

(Die Aussichtslosigkeit des Socialdemokratie. Drei Briefe an einen Staatsmann, zur Ergänzung der „Quintessenz des socialismus“ von dr. Albert L. Fr. Schäffle. Tubingen. 1885).

Wśród wszystkich gatunków socyalizmu, na jakie specyalizują się już dzisiaj ekonomiczne i socyologiczne teorye téj kategoryi, coraz wyraźniéj zarysowuje się i przybiera coraz poważniejsze kształty socyalizm państwowy; pomagają mu w tém bowiem: z jednéj strony nauka prawa publicznego, w któréj uczeni niemieccy ciągle wyżéj podnoszą znaczenie idei państwowéj w życiu historyczném narodów, wskazując potrzebę ciągłego rozrastania się organów władzy i mnożenia ich zadań; z drugiéj strony statyści, kierujący dzisiaj polityką państw europejskich, zajmują się żywo najrozmaitszemi projektami reformy społecznéj, chętnie poddają je studyom i dyskusyi publicznéj, szukając w nich chociażby zarodka pomysłu praktycznego, któryby dawał nadzieję, że to ziarno, rzucone na pole życia społecznego, zakiełkuje i z czasem przyniesie owoc uspokajający burzliwe prądy dzisiejsze.

Liberaliści prawdziwi, wzrośli i wykształceni wśród tradycyi ekonomii angielskiéj i prawa francuskiego, dla których, rozwój wszechstronny osobistości ludzkiéj w społeczeństwie i równowaga organów władzy w państwie są podziś dzień ideałem najwyższym, nie mogą sympatyzować z teoryami socyalizmu, które wszystkie są dla nich niemal jednakowo wstrętne, a których odcienia zlewają się w ich oczach w jedno jaskrawe widmo nadchodzącego despotyzmu czy to z demagogią u postaw czy z absolutyzmem u góry, albo, co się im także prawdopodobném wydaje, z jakimś mniéj lub więcéj

trwałym kompromisem obu rzeczonych żywiołów, połączonych przeciwko swobodnemu i samodzielnemu rozwijaniu się jednostek. Kiedy jednak mrzonki demokracyi socyalnéj, wysnute z marzeń filantropów ideologów, albo z metafizycznych kategoryj socialistów filozofów, zdają się być liberalistom poprostu niemożebnemi w praktyczném przystosowaniu i dlatego mniéj niebezpiecznemi, projekta socyalizmu państwowego, oparte na poważnych studyach ekonomicznych, popierane cyframi statystycznemi, a nadewszystko patronowane przez ludzi władzę mających, o wiele bliżéj stykają się z życiem i zdają się grozić natychmiastowem niemal zalaniem wielu kanałów życia gospodarczego, na których dzisiaj jeszcze odbywa się ruch swobodny ścierających się z sobą interesów i powstają wśród niego coraz to nowe siły. Tutaj więc niebezpieczeństwo bliższe, tu władza zorganizowana i ciągle czynna może chłonąć w siebie życiodajne soki, krążące w organizmie społecznym i spowodować w nim różne choroby, na które, wedle najgłębszego przekonania liberalistów, nie znajdzie się skutecznego lekarstwa w zapasach apteki administracyjnéj.

Liberaliści, którzy w Europie stanowią jeszcze siłę bardzo poważną, bronią się energicznie od wszelkich prób rządowych reformy społecznéj, jednakże, wobec nacisku opinii publicznéj, ustępują powoli krok za krokiem. Przy tych walkach, niechęć i nienawiść nawet, właściwe stronnictwom politycznym, rozwijają się coraz silniéj pomiędzy obozem liberalnym z jednéj a reformatorsko-zachowawczym z drugiéj strony; nie szczędzą one sobie wzajemnie zarzutów, którym za temat najczęściéj służą utarte już hasła: egoizmu szkoły manczesterskiéj, lub ucisku socyalistycznego.

Podobne zarzuty spotykały nieraz jednego z najgorętszych stronników reformy społecznéj, dr. Alberta Schäffle'go. Poważny ten uczony, pisarz niezmiernie płodny, były minister austryacki w chwilowym gabinecie hr. Hohenwartha, kiedy przez laty ośmiu czy dziesięciu chciał przekonać zachowawców o całém niebezpieczeństwie gromadzącéj się wśród proletaryatu fabrycznego burzy rewolucyjnéj, przedystylował wszystkie pragnienia, projekty i myśli socyalizmu, przez logiczno-naukowy aparat i otrzymaną w ten sposób „Kwintesencyą socyalizmu" podał światu ku nauce i pożytkowi praktycznemu. Jakkolwiek w téj książce nie przyznawał on prawdy zasadniczemu dogmatowi socyalizmu o wytwarzaniu wartości przez pracę jedynie i mierzeniu jéj czasem potrzebnym na wytworzenie; jakkolwiek podawał w wątpliwość, aby szeroko zakreślane plany socyalistów mogły dać ludziom większą dozę szczęścia niźli ta, która im się dostaje w stosunkach dzisiejszych; przy rozbiorze jednak

szczegółów projektowanych urządzeń, wykazywał niejaką możebność przeprowadzenia ich w życiu, szczególnie jeżeli się tego podejmie władza silnie zorganizowana i działająca bezwzględnie. Książeczka ta zjednała Schäfflemu sympatye socyalistów, szczerą niechęć liberalnych, a pomiędzy zachowawcami podała go w podejrzenie o zbyt już serdeczne sprzyjanie socyalizmowi i dążenie do reform zbyt radykalnych. On nie oglądał się na to, pisał i drukował daléj, rozbierał najróżnorodniejsze kwestye społeczne, opracował szczegółowo kilka projektów reformy—ale nie poruszał kwestyj zasadniczych. Obecnie, czy zniecierpliwiony posądzeniami o socyalizm czystéj wody, czy téż w przeczuciu lub przewidywaniu, że może się przed nim na nowo odkryć droga do teki ministeryalnéj, uczuł widać potrzebę zbliżenia się do zachowawców, rozmówienia, się z nimi na seryo i wytłómaczenia im, że rewolucya jest dlań zawsze antypatyczną, socyalizm demokratyczny wstrętnym, liberalizm niemiłym; że będąc tylko nauczycielem na polu pozytywnéj polityki społecznéj, wskazuje konieczność zmian, możebność ich przeprowadzenia, ale nie zaznacza nawet czasu kiedy program jego będzie mógł wejść w życie, bo czas sam przy rozwoju prawidłowym wskaże, które kwestye już do rozwiązania dojrzały.

Takie wyznanie wiary, taką apologią własnych przekonań spisał Schäffle i ogłosił w formie trzech listów do przyjaciela, męża stanu, w których podaje charakterystykę socyalizmu, krytykę jego i zarys programu tego, co nazywa polityką pozytywną reformy społecznéj.

Charakterystyka socyalizmu bardzo dobitna i w najwyższym stopniu nieprzyjazna, ale oryginalném w niéj jest to, że autor jednym cięciem uderza w obu nieprzyjaciół i dowodzi, jako teorye socyalizmu są tylko dalszym ciągiem doktryn liberalnych, podniesionych do potęgi wyższości. Chcąc być sprawiedliwym, podnosi on zasługi liberalizmu a mianowicie wskazuje, że liberalizm wykrył i zapewnił ludzkości posiadanie prawdy najcenniejszéj o niewyczerpanych korzyściach spływających na ogół ze swobodnego rozwijania się czynności osób. Czémże jednak był i jest liberalizm?—Jest to kierunek krytyczny indywidualizmu. Potężnym był on, kiedy owiany duchem swobody, szedł do walki ze zwietrzałemi formami społecznemi starego porządku rzeczy, kiedy zrywał jedne po drugich pęta średniowieczne, krępujące rozrost organizmu społecznego i domagał się praw równych dla wszystkich, wołając: dajcie nam wolność, nie przeszkadzajcie, my sami sobie damy radę—wtedy hasło jego, *laissez faire*, *laissez passer*, miało znaczenie żywotne, a krytyka jego była brzemienną wielkiemi następstwami. Ale kiedy osiągnął to, czego żą-

dał, kiedy pod panowaniem wolności politycznéj i ekonomicznéj zaczęła się rozwijać produkcya do niewidzianych dawniéj rozmiarów, zwycięski liberalizm wygłosił, że całkiem dobrze jest na świecie i że nic zmieniać nie należy, bo ludzkość weszła na drogę prowadzącą do szczęścia, na któréj *wszyscy* będą wolni i równi. Rzeczywiście działo się dobrze, a przynajmniéj lepiéj niż dawniéj ludziom bogatym, wykształconym lub szlachetnie urodzonym; ale równość idealna nie zadowolniła umysłów, których usposobienie krytyczne sięgało daléj; zaprzeczyli oni liberalistom prawa do twierdzenia, że *wszystkim* dobrze się dzieje, bo ogromna większość ludzi nie miała dogodnych warunków życia, brakło równości w używaniu, we wpływach społecznych, brakło im wolnego przystępu do władzy. Rozpoczął się zwrot radykalniejszy tego samego kierunku krytycznego, w obec którego liberalizm grał już tylko rolę doktryny broniącéj się rezonowaniem od krytyki ostréj, opierającéj się na fakcie ogólnéj nędzy klas roboczych, któréj zaradzić nie zdołały zasady liberalne. Radykalizmowi krytycznemu przyszła w pomoc nowa filozofia: na pniu liberalizmu zaszczepiono płonkę spekulacyi heglowskiéj. Proudhon, Lassale, Marks wykształcili się w szkole Hegla, zbadali tam wszystkie tajemnice dyalektycznego wysnuwania rzeczywistości z logicznych kategoryj rozumu ludzkiego i wnieśli na pole ekonomiczne zapatrywanie na świat zarazem niezmordowanie niszczące i budujące samowolnie, wedle podmiotowych upodobań czy urojeń, na mocy wszechwładzy rozumowania osobistego. Właśnie tego potrzeba było socyalistom, ażeby ułożyć teorye naukowe; krytyka ich niszczy cały porządek społeczny, fantazya buduje świat nowy.

Demokracya socyalna domaga się: równego dla wszystkich udziału w używaniu dóbr materyalnych, pod rządem demokratycznym z uprawnionym dla każdego przystępem do władzy. Pozornie więc tylko, zdaniem Schäfflego, staje ona w sprzeczności z liberalizmem bo wspólnym ich ojcem jest indywidualizm, zasadniczo to te same wymagania; kolektywista tak samo jak liberalny uważa społeczeństwo, naród, państwo za środek do osiągnienia korzyści osoby; tylko że kolektywista idzie daléj, naród nie jest w jego oczach uosobieniem trwałości zasad, przekonań i interesów wśród zmieniających się osób i pokoleń, ale środkiem do łatwiejszego, na ograniczonéj przestrzeni, zorganizowania jednostajnego dla wszystkich dobrobytu. Lassale powiadał w swéj zjadliwéj krytyce, że liberalni chcą widzieć we władzy państwowéj nocnego stróża, któryby pilnował worka kapitalistów; dla demokracyi socyalnéj państwo jest tylko mechanizmem ułatwiającym używanie dóbr materyalnych, nie chodzi im nawet o dobre obsadzenie organów rządu, lecz jedynie o stwierdzenie prawa

każdéj pojedyńczéj osobistości do panowania; zwie się ona humanitarną, kosmopolityczną, chce objąć ludzkość całą w uczuciu niby braterstwa, ale ta ludzkość nie jest dla niéj organizmem złożonym z członków narodowych, lecz tylko gromadą osób używających o ile można najwięcéj, pracujących o ile można najmniéj; jest to więc ten sam liberalny indywidualizm, jeno podniesiony do potęgi najwyższéj. Liberaliści zawsze chcieli być jaknajmniéj rządzeni, skrajny odłam socyalistów—anarchiści, widząc że absolutna równość i wolność nie możebne są pod władzą rządową, po prostu władzę tę chcą skasować, w ich oczach ona na świecie niepotrzebna. Trafili tu na drogę błędną, z któréj nie ma wyjścia, chyba do wojny wszystkich ze wszystkiemi. Doktorowie socyalizmu zatrzymują się więc na téj drodze, ale tu ironia losu każe im wykonywać skok śmiertelny: z najwyższego szczytu zasady indywidualizmu muszą się przerzucać w projekta organizacyi społecznéj, wpadają więc prosto z mostu we wspólność, bez podstaw w przeszłości, bez gruntu trwałego do założenia fundamentów, nie możebną do urządzenia i trwałego utrzymania, ale koniecznie w imię wolności i równości absolutnéj.

Socyalizm, ostry i często miewający słuszność w krytykowaniu dzisiejszego porządku społecznego, opartego na podstawie liberalnego kapitalizmu, w programie swym pozytywnym stawi jednę tylko zasadę wyraźną, którą można zrozumiéć i o któréj można rezonować, mianowicie kolektywizm. Jest to zniesienie własności prywatnéj, dziedzicznéj, a ustanowienie własności wspólnéj wszystkiego co może służyć jako środek do produkcyi a więc być źródłem pobierania dochodu bez pracy fizycznéj. Z tego już wynika organizowanie pracy wytwórczéj w gminnych i państwowych grupach fachowców, zarządzanych przez urzędników publicznych; podział wytworzonych bogactw na zasadach prawno-publicznych, w stosunku do wytworu pracy osobistéj—wedle demokracyi socyalnéj, w stosunku do potrzeb każdego—wedle grubszego komunizmu; obok tego nie mogłoby istniéć gospodarstwo prywatne, bo resztki kapitalizmu niszczyłyby zbiorowość i wspólność. Więc produkcya w całéj swéj objętości i we wszystkich gałęziach musi być zcentralizowana i to jednocześnie, wyłącznie, ogólnie, na zasadzie czysto demokratycznéj, w celu równego albo przynajmniéj ściśle ustosunkowanego rozkładu zarówno pracy jak używania.

Jestto materyalizm praktyczny, uważający życie fizyczne, wygodne, za punkt najważniejszy a nawet jedyny, na którym szczęście ludzkie może się urzeczywistnić. Bebel powiadał, że socyalizm—to ateizm w religii, republikanizm demokratyczny w państwie, kolektywizm w gospodarstwie. Schäffle dodaje, że to: optymizm w etyce,

materyalizm naturalistyczny w metafizyce, rozluźnienie rodziny w domu, wychowanie przez państwo w pedagogice, oświecanie ogólne w nauce. Ludzie zapominając o duchowéj stronie życia, zdają się mieć za jedyne zadanie urządzenie się jaknajwygodniejsze pod względem tylko materyalnym. Każdy więc śmiało brać się może do rozwalenia obecnego ustroju społecznego, tego owocu tysiąców lat historycznego żywota ludzkości, a to na mocy swego osobistego na świat poglądu, opartego na zupełnéj nieznajomości historyi, na błędnéj psychologii i złudnéj nauce ekonomicznéj. Bo nigdy i nigdzie nie będzie możebną produkcya zbiorowa, oparta na własności wspólnéj, ale wyłączna, ogólna i to rządzona na zasadach demokratycznych, a więc improwizująca, bez władzy w rządzie, bez odpowiedzialności osobistéj, a więc bez zainteresowania materyalnego wszystkich biorących w niéj udział. Tego zaś właśnie żądają kolektywiści, bo to przyjemnie łechce niejasno wyrobione u proletaryatu pojęcia o wolności i równości w indywidualizmie przesadzonym do karykatury.

Błędne te pojęcia dochodzą szczytu nierozumu w anarchizmie, który uważa mord i pożogę za prawowity protest pierwszéj lepszéj osobistości przeciwko niedogodnemu dla niéj porządkowi społecznemu. To już najwyższe przecenianie osoby, zbrodnicze ubóstwianie „wolności wedle własnego jéj pojmowania", szalony bunt jednostki przeciwko ogółowi i przeciwko historyi — indywidualizm doprowadzony do potęgi niebywałéj.

Po charakterystyce tak dosadnéj, Schäffle ostro prowadzi krytykę socyalizmu.

Kolektywizm zapowiada urządzenie ogólne produkcyi siłami wspólnemi w tym celu, żeby znikający po zniesieniu własności prywatnéj zysk kapitalisty, nie był już wydzielany z sumy wytworzonych wartości, a przytém obiecuje, że przy nowéj organizacyi potrafi zapobiedz przesileniom handlowym i przemysłowym i uwolni robotnika od stosunku jego z przedsiębiercą, który dzisiaj utrzymuje całą klasę roboczą w zależności bardzo zbliżonéj do niewoli. Chodzi więc tu wyłącznie o interesa gospodarskie jednego tylko proletaryatu fabrycznego, którym w ofierze ma się przynosić, razem z obecnym ustrojem kapitalistycznym przemysłu, cały dzisiejszy ustrój społeczny, wynik przebiegu życia historycznego narodów cywilizowanych.

Cel, do którego dąży kolektywizm i który obiecuje osiągnąć, to wydzielenie każdemu człowiekowi biorącemu udział w produkcyi, całkowitéj wartości wytworzonéj przez jego pracę. Obietnica tak

pożądana dla robotników łatwo jedna ich sympatye dla nowéj nauki; ale żaden z doktorów ani proroków socyalizmu nie wynalazł jeszcze formuły wydzielania „sprawiedliwego“ dochodu, któryby pokrywał całkowicie udział robotnika w wartości produktu. Każdy wyrób jest wynikiem niepodzielnym trzech czynników: pracy, kapitału i sił przyrody; wprawdzie socyalizm zamierza dokonać zuchwałego cięcia i wyrzucić z procesu produkcyi dwa czynniki—kapitał i siły przyrody, po czém pozostanie do wynagrodzenia tylko jedna praca. Ale jeżeli pojąć można gwałt na prawie własności do wykonania możebny, jakże zniszczyć różnice pomiędzy siłami przyrodzonemi, rozmaitość urodzajności gleby, klimatu, dogodność spadów wodnych, i wszystkie te do wyliczenia nawet niemożebne dogodności lub niedogodności miejscowe, które stanowią o mniejszym lub większym dochodzie z przedsiębierstwa. Czy każdy z robotników przyszłości, dzierżący w swych ręku, a przynajmniéj w swém *votum*, cząstkę władzy najwyższéj, zrzecze się tych korzyści miejscowych, zapewniających jego pracy większą wydajność, a to dla pożytku innych, nieznanych mu ludzi? O tém wątpić wolno. Przypuszczając jednakże, iż i to możebne, jakie środki znaleść można na „sprawiedliwy“ wymiar udziału pracy robotnika w produkcie? W każdym przedmiocie zlewa się praca co najmniéj dziesiątka, a nierzadko i setek osób, a każda z nich pracuje inaczéj, to zręcznéj to powolniéj, nie jeden psuje i niszczy, inny znowu przemyślnością, bystrością lub umiejętnością techniczną nieraz zwiększa wydajność pracy ogólnéj, albo ratuje wyroby od straty wartości; jakże tu, chociażby w przybliżeniu „sprawiedliwie“, wynagrodzić każdego w stosunku do danéj przezeń cząstki wartości do przedmiotu niepodzielnego? Czyż normowanie tych udziałów wedle miary czasu przeciętnie koniecznego do wyrobienia przedmiotu nie będzie największą niesprawiedliwością dla wielu osobiście. Czy nareszcie ów przeciętny, czy społecznie konieczny czas roboty, który opisać można, da się kiedykolwiek obliczyć, wymierzyć i ocenić. Tego nie dowiodła cała literatura socyalizmu. Zresztą sprawiedliwość nie może polegać na wyszukiwaniu niemożebnych formuł, a zależy poprostu na staraniu około polepszenia bytu robotników, których praca fizyczna wyświadcza społeczeństwu ogromne dobrodziejstwo, którzy więc za to powinniby żyć w warunkach pozwalających im utrzymać się na stopie siły dzielnéj, ku pożytkowi ogółu pracującéj, czerstwi i zdrowi zarówno fizycznie jak moralnie i umysłowo.

Projektowane w kolektywizmie wynagrodzenie roboty udziałem w dochodach, odpowiednim przeciętnie potrzebnym ilościom czasu roboczego, nietylko nie zwiększy nigdy produkcyi, ale i utrzy-

mać jéj nie potrafi na stopniu dzisiejszym; a to dla tego, że razem z innemi wielu rzeczami zniszczy też odpowiedzialność osobistą każdego za jego robotę, czyli dokaże tego, że nikt nie będzie widział swojéj korzyści w pracy dobréj i pilnéj, a przecież zwiększać wydajność pracy może tylko oszczędzenie materyału i mądre zużytkowanie siły roboczéj. Tępiąc bodziec interesu osobistego, można jedynie zmniejszyć produkcyą, zobojętnić człowieka nie tylko do pracowitości, ale i do przemyślności, i zamknąć drogę wszelkim nowym udoskonaleniom.

Cała rewolucya ekonomiczna i społeczna, uplanowana przez kolektywizm, ma się dokonać gwoli niedopuszczania kapitału do wyzysku pracy, ale jakże potrafią usunąć wyzyskiwanie ludzi jednych przez drugich; robotnicy pomiędzy sobą wyzyskiwać się zawsze będą mogli, chytry na prostaczka, zuchwały na cichego i pokornego, leniwy na szczerze pracowitego, zawsze potrafią zwalić część pracy swojéj i zabrać przeto należny im dochód. Jakież przestronne pole do wszelkiego rodzaju nadużyć i faworyzowania odkryje się przy samém obliczaniu owych ilości koniecznego czasu roboczego. W demokratycznie zorganizowanéj administracyi nie zabraknie nigdy zbieraczy głosów, pochlebców wszechwładnego ludu, uganiających się za popularnością, którzy tu będą mieli ułatwienie niezmierne dla swych zabiegów.

Zastój w przemyśle, bezrobocie—to prawdziwa groza życia robotników, od któréj ich uwolnić przyrzeka kolektywizm, żywiąc nadzieję, że mu się uda uregulować produkcyą, uporządkować ją i przezto zapanować nad konjunkturami handlowemi, dostarczając wyrobów ilość odpowiednią do obliczonéj potrzeby. Ale zmienność zapotrzebowania zależy nie od jednych tylko stosunków społecznych, w znacznéj części przyczyniają się do tego przyczyny naturalne: różnice w urodzajach, zmiany w temperaturze, niejednostajność wzrostu ludności, wynalazki techniczne i rzeczy tym podobne, na które wpływu nie mają ustawy ludzkie; a jeżeli zwrócimy uwagę na przyczyny społeczne tego nieprawidłowego ruchu, jak nieregularność w przenoszeniu się ludności z miejsca na miejsce, wolny wybór powołania i miejsca pobytu, swobodne stanowienie o zaspokojeniu potrzeb własnych, nad któremi do pewnego stopnia mógłby zapanować rząd silnie zorganizowany i sprężysty w działaniu; toż takiemu porządkowaniu trzebaby przynieść w ofierze najcenniejsze dobro ludzkości, wolność osobistą człowieka, którаby się ostać nie mogła w obec despotycznego nakazu postępowania wedle wskazówek.

Zależność robotnika od pracodawcy „niewola zarobkowa“ bywa ciężką dla robotników, szczególnie dla tych, którzy wśród ogółu

wyróżniają się zdolnościami i charakterem; ale nie jest zgoła rzeczą dowiedzioną, ażeby dzisiejsze stosunki fabryczne nie mogły się poprawiać, wśród nich zaś jeszcze zdolności wyższe mają zawsze drogę otwartą do stanowisk wyższych. Jednakże kolektywizm przyrzeka, że zapewni wszystkim pozycyą urzędników płatnych, pracujących dla ogółu. Można tu zapytać, czy jest na świecie jakikolwiek ustrój, w którymby uleganie woli przełożonych nie było koniecznością. A urzędnicy dzisiejsi? Jakąż masą uległości i przykrości osobistych, muszą okupywać zapewnienie stałego i mniéj więcéj dostatecznego utrzymania, jak często muszą spełniać rozkazy niemądre i znosić nawet kaprysy naczelników, nieraz faworem a nie zasługą osobistą wyniesionych na stopień wyższy. Przeciwko faworyzowaniu nieudolnych pochlebców kolektywizm żadnych gwarancyj przedstawić nie jest w stanie, a zależność rozumnego od głupiego, najuciążliwsza ze wszystkich, nie będzie miała szans zniknięcia nawet przy obiecywanych rozkoszach organizacyi kolektywnéj.

Ale, czy produkcya kolektywna wspólnemi siłami wszystkich da się urządzić ogólnie, powszechnie, wszędzie i na zawsze na gruncie czysto demokratycznym rzeczypospolitéj z ludem wszechwładnym i urzędami wybieralnemi? Jeżeli plany takiéj organizacyi dają się obmyślać lub w części na papierze projektować, pierwszym ich warunkiem być musi władza silna i trwała organów przewodniczących i kierujących, do których trzeba odwoływać się co chwila; bez tego, zarówno w warsztacie na dole, jak w biurze fabryki lub w kancelaryi wydziałowéj czy ministeryalnéj rozpoczną się ciągłe zmiany, próby, doświadczenia, a za niemi wstrząśnienia i zamieszanie w całym olbrzymim mechanizmie, a wtedy cóż się stanie z produkcyą, z jéj ciągłością i trwałością, jak potrafi ona odpowiedzieć ściśle obliczonym potrzebom. Zresztą władza centralna zupełnie stała, spokojna o swe istnienie, rozporządzająca licznym zastępem urzędników, bezwarunkowo od siebie zależnych, nie mogłaby istnieć bez szerokiéj podstawy żywiołów czysto zachowawczych, a więc natury arystokratycznéj; a wtedy cóżby się stało z republiką demokratyczną, z wolnością, równością, z usunięciem środków i powodów do nadużyć i wyzyskiwania. Jeżeliby, rozpoznając niemożebność produkcyi kolektywnéj bez władzy silnéj, demokracya zdecydowała się jéj ulegać, już tém samém przestałaby być demokracyą socyalną.

Nie potrafi więc socyalizm uporządkować po swojemu interesów gospodarskich społeczeństwa, a jeżeli przez wybuch rewolucyjny pogrąży całą produkcyą w nieład chaotyczny, będzie musiał chwytać się jedynéj deski zbawienia—władzy despotycznéj, która niewątpliwie okaże się o wiele gorszą od dzisiejszych stosunków społecznych.

Mamiąc ludzi obrazami znikomemi przyszłéj niby szczęśliwości, wzywa on do rozbicia społeczeństwa dzisiejszego, nie wahając się zniszczyć w niém tych warunków szczęścia, jakie dzisiaj istnieją i chce wyrwać z gruntu cały historyczny rozrost narodów.

Przemawia zaś socyalizm do nas w imię interesów proletaryatu fabrycznego, tj. pewnéj, wszędzie mniéj licznéj, części ludności. Dbać o poprawę losu téj części jest niewątpliwie rzeczą ważną, a nawet konieczną, ale przynosić jéj w ofierze wszystko, co stanowi treść życia całego narodu, byłoby już niedarowanym obłędem. Gospodarstwo narodowe musi nastrajać się do harmonii ze wszystkiemi wymaganiami życia narodowego, interesa materyalne są bardzo szanowne, ale nie są przecież wszystkiém dla człowieka i narodu. Widzimy w historyi, że pełne rozwijanie się narodu wymaga: rządu dla utrzymania ładu w społeczeństwie, wojska dla obrony, kościoła dla życia idealnego, nauki dla wyjaśnienia warunków wśród których żyjemy, związku rodzinnego, jako kolebki przyszłych pokoleń, kapitału jako środka zwiększającego produkcyą, instytucyj dobroczynnych dla ulżenia nędzy przypadkowéj lub bezwinnéj, rozlicznych instytucyj dla kształcenia myśli i uczuć człowieka; wszystko to mamy dzisiaj, musi to pozostać i rozwijać się daléj; a jeżeli dla tego potrzeba, ażeby w podziale wytwarzającego się bogactwa pobierane były dochody przez ludzi nie biorących udziału w produkcyi przemysłowéj, czyż mamy narazić byt tych wszystkich najpotrzebniejszych rzeczy dla niemożebnego urzeczywistnienia wymarzonéj przez socyalizm wolności i równości. Wymarzonéj, mówimy, bo wolność ta polega na niekrępowaniu żadnych zachcianek człowieka, a równość na równości dochodu i używania wygód życia materyalnych. Wygody życia nie stanowiły i stanowić nigdy nie mogą o szczęściu ludzkiém, czego każdy na sobie doświadcza. Chyba obłędem indywidualizmu hiperkrytycznego nazwać można szukanie w materyalnych warunkach bytu—równości, któréj nie ma w materyi, nie ma w naturze. Możebna jest równość tylko idealna w używaniu praw i w pełnieniu obowiązków, do niéj ludzkość dąży od dawna i spełnia w tém swe powołanie, ale nie powinna i nie może poddawać się fantazyom metafizyki materyalistycznéj.

Obrońcy proletaryatu przemysłowego zapatrują się na świat cały ze stanowiska interesów gospodarskich, a poglądy swe wygłaszają z taką stanowczością i absolutyzmem, że zanadto już ulegamy im wszyscy, sprobujmy wyrwać się z ciasnego koła interesów materyalnych, a demokracya socyalna okaże się jedynie zbiorem twierdzeń przesadnych.

Społeczeństwa muszą się opierać niszczącym wpływom krytyki dokonywanéj przez liberalizm i socyalizm, muszą bronić się od niéj, ale obrony takiéj nie przeprowadzi polityka stronnictw wstecznych, liczących tylko na siłę materyalną, ani staro-zachowawcy, noszący się z marzeniami o powrocie do zużytych i przeżytych form starego porządku. Dzisiejsza polityka socyalna musi chwytać się środków pozytywnych, któreby społeczeństwom ludzkim otworzyły drogi dalszego doskonalenia w wierze, w obyczaju, w prawie i gospodarstwie narodowém, nie ścieśniając jednak swobody osobistéj, ani równouprawnienia, a kierując raczéj swobodną czynność człowieka ku pożytkowi ogólnemu. Reforma dążyć musi do podnoszenia i wzmacniania osobistości przez ogół, a ogółu przez siły pojedyńczych osób; musi ochraniać wolność i porządek, i starać się związać organicznie inicyatywę osobistą z opieką prawną, gospodarstwo prywatne z publicznem, samoistność z wzajemnością. A polityka taka tém konieczniejszą jest obecnie, kiedy system demokracyi socyalnéj, jakkolwiek do przeprowadzenia nie możebny, budzi jednak sympatye licznych mas proletaryatu, i ułudnemi obietnicami jedna sobie wielu stronników w innych sferach ludności; nie można twierdzić, że się nie uda prędzéj lub późniéj zarządzenie wybuchu rewolucyjnego, któryby potrafił szeroko roznieść zniszczenie. Nie trudno zniszczyć lub zmarnować kapitały, nagromadzone w urządzeniach fabrycznych, ale tém trudniéj będzie odtwarzać je nanowo; a w dzisiejszym ustroju ekonomicznym nic nie potrafi zastąpić potęgi kapitału, którą Schäffle wyraźnie uznaje.

„Kapitał, powiada on (str. 52), podejmuje urządzenie i kierownictwo zakładów wytwórczych; siebie samego, istnienie swoje stawi w zakład jako porękę gospodarności w produkcyi bogactw i w ich obrocie; kieruje więc wszystkiém ku wytwarzaniu skrzętnemu i użytecznemu; siły robocze organizuje i utrzymuje w ładzie należytym; ponosi koszta wszelkich zmian technicznych i straty z upadku cen przy okolicznościach niepomyślnych; wypłaca naprzód zarobki, nakłady, podatki itd.; niesłychanie zawikłany proces wytwarzania, przemieszczania i zamiany bogactw, a także podziału dochodów snuje w sposób stosunkowo prosty, nie gmatwając innych funkcyj społecznych. Zupełnie słusznie pobiera za to zyski, jeżeli zręcznie i szczęśliwie umié służyć ogółowi. Zysk kapitału to premia sprawiedliwa i nader skuteczna, przyznawana za gospodarność w prowadzeniu całéj operacyi wytwórczéj i podzielczéj. Nadużycia najwstrętniejsze, zdarzające się na polu działania kapitału, a wypływające z popędów egoizmu bezwstydnego i bezgranicznego, nie mogą jeszcze usprawiedliwić usiłowań zniszczenia kapitału, ani uzasadnić

nadziei zastąpienia go niemożebną produkcyą kolektywno-demokratyczną. Winne one jednak być powodem dostatecznym do starań około porządkowania samego użycia środków produkcyi i sprowadzania kapitalizmu do równowagi, a nawet harmonii z istniejącemi już urządzeniami gospodarstwa zbiorowego, opartego na wspólności lub wzajemności".

Do takiego porządkowania i równoważenia Schäffle czuje się specyalnie powołanym. Wyraźny stronnik, a nawet jeden z filarów kierunku zwanego socyalizmem państwowym, opierając się na licznych swych dziełach, na które się ciągle powołuje, w krótkiém streszczeniu podaje tu na 60 stronicach projekty, a raczéj rzuca myśli całych szeregów reform, możebnych, jego zdaniem, teraz lub w przyszłości, które wszystkie noszą cechy prawno-publiczne, bo wszystko ma się tam wykonywać w korporacyach, w gminie, w okręgach administracyjnych, a zawsze pod wyższym kierunkiem i kontrolą władz państwowych.

Żeby jednak swobodniéj poruszać się na tém polu, poddaje uprzednio krytyce szczegółowéj, zdaniem naszém, słusznéj próby i projekty przeprowadzenia reformy społecznéj w granicach prawa dzisiaj obowiązującego, z rozwinięciem tylko niektórych jego artykułów. Istnieją już dzisiaj spółki wytwórcze robotników, zwane stowarzyszeniami spółdzielczemi, i praktykują się umowy o udział robotników w zyskach przedsiębierstwa. Oba te gatunki umowy nie mają przed sobą przyszłości. Jeżeli socyalizm błądzi, uważając kapitał za robotę wykonaną w przeszłości, skrystalizowaną niejako, i dla tego nie przyznaje mu praw innych, ani natury odmiennéj, jak saméj robocie, to spółki wspomniane wpadają w błąd odwrotny i pracę chcą uważać za kapitał, dla niéj domagają się praw takich, jakie ma kapitał. Oba te pojęcia sprzeczne są z naturą rzeczy i stosunków ludzkich i dla tego nie mogą być przez ogół uznane za prawdziwe, ani w prawidłowym obrocie bogactw zająć miejsca pierwszorzędnego.

Udział w zyskach zarówno jak towarzystwa spółdzielcze w niczém nie są szkodliwe społeczeństwu, wyjątkowo mogą nawet mieć powodzenie; ale o tyle tylko są dobre, o ile wynikają z umowy dobrowolnéj stron interesowanych i w każdym pojedyńczym wypadku oznaczają szczegółowo warunki, jakich strony obowiązane są trzymać się. Oba te rodzaje umowy, mało rozpowszechnione właśnie dla tego, że przedstawiają ogromne trudności w dostateczném zrównoważeniu praw uczęstników, łatwo prowadzą do sporów, a zatém otwierają drogę do procesów, które przy dzisiejszym stanie procedury cywilnéj naraziły-by na tak znaczne koszta, że nie można liczyć na rozpowszechnienie podobnych form produkcyi. Jeżeliby zaś

władza prawodawcza, chcąc tutaj przyjść w pomoc reformie społecznéj, podjęła rozszerzenie samego kodeksu i procedury, musiałaby zabłąkać się i utknąć w labiryncie przepisów, taks, orzeczeń biegłych, uwzględnić tysiące najrozmaitszych warunków, zmieniających się zarówno w czasie jak w przestrzeni, tak iż nigdyby nie potrafiła doprowadzić tego wszystkiego do jasności i dokładności, konieczném w orzeczeniach prawa obowiązującego.

Proponowane bywają jeszcze na polu prawa cywilnego ograniczenia w pobieraniu dochodów: przy pożyczkach, wynajmie lub dzierżawie, bo właściciel kapitału przy tych umowach może wyzyskiwać i to nie tylko robotników najemnych, ale i przedsiębierców, np. zadłużonego rzemieślnika, albo robotnika włościanina. Nie wystarczą tu jednak same ograniczenia, ani nawet mogą być prawdziwie użyteczne; prawo cywilne zarówno jak publiczne musi rozwijać się daléj i przystosowywać do wikłających się stosunków, trzymając wysoko pomiędzy nimi sztandar sprawiedliwości; ale przepisy prawa prywatnego nie otworzą pola, na któremby można rozwinąć politykę pozytywną reformy społecznéj.

Do tego lepiéj się nadaje prawo publiczne. Tutaj Schäffle wpada na przedmiot ulubiony, a pisząc w swobodnéj formie listu do przyjaciela, puszcza wodze swéj bogatéj fantazyi i przesuwa przed czytelnikiem nieskończone pasmo naszkicowanych od niechcenia myśli o tém, co by dało się zrobić; wybiega daleko po za granice praktyczności, roztropnéj wstrzemięźliwości, cechującéj zwykle plany i projekta poważnych statystów, nie krępuje się nawet oględnością uczonego i nie dba o powiązanie w całość wszystkich cząstek planu, który nietylko spełniać ale i układać jeszcze będzie musiał polityk, chcący pójść za jego wskazówkami. Wspomina o wszystkiém, o czem myślał i o czém pisał w ciągu lat kilkudziesięciu pracy naukowéj; od pieczołowitości o los drobnego handlarza wędrownego, do urządzonych w wioskach kosztem gmin motorów elektrycznych, któreby przenosiły do chat włościańskich ruch mechaniczny, od opieki nad dziećmi nieuczciwych rodziców do projektu traktatów międzynarodowych, do stosunku kościoła katolickiego z protestanckim, wszystko tu wzmiankowano. Ciekawe to kartki, których streścić niepodobna, bo one same są już jaknajkrótszém streszczeniem kilkunastu tomów dzieł uprzednio przez autora napisanych. Sprobujemy tylko zaznaczyć kierunek, w jakim myśli jego biegną, a może i wskazać granice, przy których muszą się zatrzymać.

Schäffle opracował już pierwéj szczegółowo kilka projektów instytucyj społecznych; pomiędzy nimi zdaje się największą wagę przywiązywać do dwóch: do *korporacyi robotników*, któreby pobie-

rały składki, mające służyć za premium ubezpieczenia od wszelakich przypadków, chorób, braku roboty, niezdolności do niéj, a zarazem jako kasy emerytalne, w których to składkach przedsiębiercy braliby udział w stosunku do ilości zajmowanych w ich fabrykach robotników; i do *inkorporacyi kredytu hipotecznego*, co miałoby znaczyć, że księgi hipoteczne byłyby spisywane nie dla pojedyńczych drobnych właścicieli, ale dla gmin całych, a gminy dopiero według swego rozumienia i pod swoją kontrolą szafowałyby kredytem na korzyść oddzielnych udziałów gruntowych, czerpiąc na to środki w ogólno - państwowéj instytucyi kredytowéj hipotecznéj. Dwie te instytucye nie istnieją jeszcze; Schäffle widzi początki pierwszéj w niedawno ustanowionych w Niemczech kasach ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków; ale w myśli jego oba projekty tak są, a raczéj będą płodne w skutki dobroczynne, że nie waha się wskazywać na nie jako na źródło ratunku i środek rozwiązania najróżnorodniejszych trudności.

Polityka pozytywna musi najprzód dbać o produkcyą i nie naruszając jéj skuteczności, pamiętać o dostatecznéj opiece nad osobą robotnika. Tutaj Schäffle przypisuje największe znaczenie usiłowaniom samychże robotników, domagając się dla nich faktycznego zapewnienia wszelkiego rodzaju swobód, jak wolności wyboru rzemiosła, zmiany miejsca zamieszkania, i stowarzyszenia się wszelkiego rodzaju aż do wolnéj zmowy na bezrobocie, która ostatecznie jest jedyném poważniejszém narzędziem obrony w ręku robotnika. Tu należą: zakres działania inspekcyi fabrycznéj, prawa i przepisy o pracy kobiet i dzieci, opieka sądowa dla krzywdzonych wymaganiami niesłusznemi lub złém obejściem się, prawne oznaczenie godzin dnia roboczego, świątowania dni niedzielnych; tutaj także otwarte pole szerokiéj czynności dla towarzystw opieki nad ludźmi, które już powinnyby się ukonstytuować w całéj Europie, a które bardzo skutecznie mogłyby wglądać w warunki, w jakich są obowiązani pracować robotnicy, pojedyńczo lub w małych grupach rozrzuceni, naprzykład wiejscy lub w warsztatach drobnych rzemieślników. Takie towarzystwa mogłyby rozpatrywać skargi, sprawdzać ich zasadność, starać się o załatwienie spraw polubownie, a dopiero rzeczy ważniejsze i niedające się naprawić, oddawać na drogę sądową. Wszystko to w niczém nie byłoby podobne do urządzeń kolektywnych, a mogłoby w znacznéj mierze uporządkować produkcyą.

Ale właściwa akcya socyalizmu obiecuje rozwinąć się głównie przy podziale a nie przy produkcyi. Tutaj, jakkolwiek bajką jest pochłanianie przez kapitał zwyżki produkcyi z pracy robotnika, a niezmiernie dużo jest przesady w żelazném prawie zarobku, je-

dnakże zarobki mogą zniżać się do rozmiarów minimalnych i to nie tylko u robotników najemnych pracujących w fabrykach, ale i u rzemieślników pracujących na własny rachunek i u chłopów-właścicieli. Chodzi o to, żeby się te zarobki podnosiły wyżéj nad normę nieodbicie potrzebną do utrzymania fizycznego procesu życia.

Poradzić w tém może wolny odpływ nadmiaru ludności i możność zatrzymania dla siebie całego wytworu pracy własnéj, któréj to możności nie ma człowiek oplątany sieciami lichwy. Więc z jednéj strony rozumna polityka kolonialna, przygotowująca grunta swobodne, które emigranci mogliby uprawiać,—z drugiéj, jako środek przeciwko lichwie, hipoteka gminna, regulująca kredyt i samę cenę ziemi—obronią chłopa-właściciela od wyzysku kapitalisty. Podniesienie dobrobytu chłopów i pozycya ich zabezpieczona od wyzysku, będzie najskuteczniejszą bronią przeciwko demokracyi socyalnéj.

Nie mniéj téż zająć się winno społeczeństwo losem rzemieślników robotników, trudniących się przemysłem domowym i drobnych handlarzy; tych wszystkich wyzyskują agenci kapitalistów; bronić ich trzeba od wyzysku ale nie należy niszczyć kapitału, bez którego oni obejść się nigdy nie będą mogli. Tutaj bieda i nędza pochodzi nie tyle z braku kapitału, ile ze złych nałogów, upartego trzymania się sposobów tradycyą przekazanych, domatorstwa, marnowania czasu i roboty nieudolnéj. Zupełna swoboda ruchów, rozgatunkuje z czasem tych ludzi w sposób naturalny, jedni wyemigrują, inni przejdą na robotę do fabryk, inni znowu mogą się wykształcić na rzemieślników artystycznych. Do tego potrzebne są odpowiednie urządzenia w gminach; przymusowy udział wszystkich w kasach wsparcia i ubezpieczenia, ułatwienia w nabywaniu zbiorowém materyałów i w sprzedaży wyrobów, nauka rzemiosł w szkołach wiejskich, która w należyty sposób prowadzona ułatwi w wysokim stopniu rozmaitość zajęć wedle zdolności i usposobień.

Punkt ciężkości reformy socyalnéj leży w sferach polityki kolonialnéj, agarnéj i rzemiosłowéj, bo ta oddziaływać może zbawiennie na żywioły z natury swojéj więcéj zachowawcze, ale nie należy téż zaniedbywać żywiołu nadewszystko ruchomego; proletaryatowi fabrycznemu dopomagać można w kierunku podwyższania zarobków i bezpieczeństwa od przesileń sprowadzających bezrobocia.

Prawodawstwo może w tém okazać ważne usługi, działaniem pośredniém, wpływając na polepszenie warunków, a tém samém stale podnosząc stopę życia robotników; w tym kierunku działa przy-

mus szkolny, policya fabryczna wymagająca dla warsztatów pomieszczenia bezpiecznego i zdrowego, policya budowlana niedopuszczająca wynajmu mieszkań zbyt nędznych. Tu najważniejszą rolę grać będą korporacye, czyli ogólne stowarzyszenia ubezpieczeń wszelkiego rodzaju, bo takie instytucye najłatwiéj łączą pojedyńczych ludzi w całość zbiorową, najprędzéj doprowadzają ich do zrozumienia interesu ogólnego; wszakże angielskie stowarzyszenia robotników nie tylko wspierają chorych lub chwilowo pozbawionych roboty, ale i wśród ogólnych bezroboci umiały dzielnie się trzymać, pomagając sobie nawzajem. Przy gromadzeniu się kapitałów korporacyjnych, można je lokować w nieruchomościach, nabywać grunta i domy i wydzierżawiać je tymże robotnikom, którzy w ten sposób sami będą zwiększać dochód kas swoich.

Na przesilenia w przemyśle lekarstwa radykalnego nie obmyślono ani wynaleziono dotychczas, ale dopomódz tu w znacznym stopniu mogą kasy korporacyjne i odpowiedni w nich udział przedsiębierców, gdyż to zainteresuje ich jeszcze bardziéj w możliwém strzeżeniu się od przesileń, a przytém zjednoczy producentów każdego fachu, którzy zapoznając się bliżéj przy administrowaniu wspólném kasą, lepiéj będą wiedzieli o swoich siłach i środkach, o samém natężeniu produkcyi i trafniéj będą mogli kierować własnemi interesami. Przesileniom ogólniejszym zaradzić by mógł związek państw europejskich handlowy i monetarny, jednostajne cła fiskalne, któreby nie wykluczały protekcyi umiarkowanéj; powszechne usunięcie przymusowego obrotu waluty papierowéj, do czego jednak niezbędnym warunkiem byłoby sformowanie kapitału wojennego, któryby mógł służyć do mobilizacyi wojsk w razie potrzeby; mogłoby jeszcze i bardzo zaradzić stowarzyszenie międzynarodowe robotników, jeżeliby chciało wyłącznie zajmować się interesami, zamiast marzyć o rewolucyjnych przewrotach.

Główném zadaniem reformy socyalnéj jest i będzie rozpowszechnianie ustawiczne własności dającéj dochód; udostępnienie jéj dla jaknajwiększéj liczby osób, a to w przeciwieństwie wyraźném do dążeń socyalizmu, który znosząc własność, usiłuje wydziedziczyć całe masy ludności na korzyść mniéj licznéj grupy proletaryatu fabrycznego. Dzisiaj już w procentach kas oszczędności proletaryat czerpie cokolwiek ze źródeł dochodu, kasy takie miejscowe, szkolne a nadewszystko pocztowe są instytucyą doskonałą, zachęcają do oszczędności, i ułatwiają gromadzenie się kapitału; szczególniéj ostatnie odpowiadają dążeniom nowoczesnym, bo nie krępują swobody ruchu osób. Kasy oszczędności, korporacyjne i gminne kasy ubezpieczeń, kredyt szafowany przez gminy, wszystko to znakomi-

cie dopomoże do skupienia się małych sum pieniężnych w znaczniejsze masy kapitału, a te, lokowane w nieruchomościach, część własności ziemskiéj oddadzą w ręce proletaryatu, lokowane w akcyach przedsiębierstw korzystnych część wysokich dywidend obrócą także na korzyść ludu.

Pewna część kapitałów korporacyjnych będzie mogła być użyta na udzielanie pożyczek, jeżeli obok tego ustanowimy przymusową amortyzacyą wszelkich należności wieczystych, spłatę nieumarzalnych długów państwowych, sformowanie skarbca wojennego, któryby na przyszłość pożyczki państwowe zrobił niepotrzebnemi, organizacyą kredytu hipotecznego korporacyjną; wszystko to razem musiałoby spowodować ogromną podaż kapitału i usunąć radykalnie lichwę, uwolnić od niéj właścicieli ziemskich średnich i małych, rzemieślników i drobnych handlarzy. Dobre ustawy akcyjne, mądre prawa giełdowe, policya handlu mogłyby ostatecznie nie dopuszczać wyzyskiwania źródeł dochodu na korzyść nielicznéj grupy ludzi—a dać do nich dostęp szerokim kołom zarówno robotników jak i tych, co pracować rękami nie mogą.

Dalszą poprawką podziału bogactw będzie rozumne urządzenie pobierania podatków, których podstawą główną powinien być podatek bezpośredni państwowy i gminny, a dopełnieniem i wyrównaniem podatki pośrednie, byleby obciążały przedmioty zbędne. Tytoń i trunki wszędzie mogą być obłożone, ale oprócz nich ileż to jest innych potrzeb zbytkownych, na które wcale nie trudno ustanowić podatek, a które dotąd nim niedotknięte, chociaż służą głównie do uprzyjemnienia życia bogatych; mieszkania wykwintne, odzienie strojne, meble, ozdoby, jedzenia wymyślne—wszystkoby dało się opodatkować z łatwością.

Innym jeszcze naprawianiem podziału jest dobroczynność, niosąca pomoc prawdziwie potrzebującym; powinna się ona ciągle doskonalić i uszlachetniać, dzisiaj dzieje się to już we wszystkich krajach cywilizowanych, ale droga do ulepszeń i tutaj szeroko odkryta.

Komunikacye, transport towarów na drogach żelaznych i statkach parowych dzisiaj już przechodzą w zawiadywanie rządowe, i niezawodnie ruch w tym kierunku pójdzie daléj jeszcze. Robotnicy i oficyaliści, pracujący tutaj pod kierunkiem władz rządowych, powinni być wynagradzani słusznie, mieć zapewnione utrzymanie i mieszkanie porządne, a to przy wzrastaniu ich liczby musi coraz skuteczniéj oddziaływać na cenę pracy robotników w ogóle.

Wychowanie potrzebne dla każdego odpowiednie jego stanowisku i charakterowi. Powinno ono—rozwijać osobistość, kształcić

człowieka; jednakże oświata ludu nie zwalcza demokracyi socyalnéj, dzisiaj owszem daje jej więcéj zwolenników. Owóż wychowanie nie powinno być oświecaniem ogólném, dającém tylko powierzchowne o rzeczach pojęcie, zadaniem jego nauczyć robić umiejętnie to, co robić potrzeba. Najcięższe do zwalczenia przyczyny nędzy tkwią w panowaniu lenistwa, niedbalstwa, kastowego przywiązania do nawyknień miejscowych, do nędznych sposobów wyrabiania produktów w podlejszych gatunkach, do trzymania się progu domowego jako jedynego przytułku.

Od tych wad tradycyjnych wychowanie może i powinno wyswobadzać ludzkość, a każde pokolenie wznosić się będzie na wyższy stopień wykształcenia. Już ogródek freblowski uogólniony i urządzony na wzór tego, co dzisiaj robią we Francyi, może być szkołą dla każdego rzemiosła bardzo odpowiednią elementarną, w któréj małe dziecko nawykać będzie do lepszego używania narzędzi i do roboty sprawniejszéj; nauka rzemiosł w szkołach gminnych umiejętność tę podniesie wyżéj, a zapewnione każdemu prawo i ułatwione środki wolnego wyboru powołania i miejsca osiedlenia ostatecznie mogą ratować rzemieślników i rolników. Dla zdolniejszych trzeba ułatwiać dostęp do wykształcenia wyższego naukowego; kościół, szkoła, wojsko zawsze otwierały drogę wznoszenia się talentom wyższym, idąc w ich ślady należałoby zachować w wyższych zakładach naukowych miejsca na koszt publiczny, któreby, rozdawane z konkursu, mogły być zajmowane przez młodzież rzeczywiście uzdolnioną.

W korporacyach prawnie zorganizowanych umysły kształcić się będą praktycznie i dojdą do jasnego pojmowaaia idei państwowéj, do wyborów stawać będą wtedy z pełną świadomością ich celu. Głosowanie powszechne należy utrzymać, nie dla tego, żeby ono być miało organem władzy ludu wszechwładnego, ale że to jest sposób najprostszy porozumiewania się władzy z ludem. W izbach doradczych, przemysłowych, handlowych, w radzie ekonomicznéj a nawet w radzie stanu należałoby zapewnić udział warstwom chłopskim, rzemieślniczym i proletaryatu, bo to ułatwi praktyczne rozwiązywanie wielu trudności.

Rząd silny i sprężysty, kościół nauczający i niosący pociechę, wojsko karne, wychowanie praktyczne, nauka swobodna, a obok tego samorząd administracyjny w korporacyach—to są potęgi, których nigdy przemódz nie potrafi demokracya socyalna. Ale ona żyć będzie i wzmacniać się nawet aż do czasu, póki nie zmusi społeczeństwa, do energicznego i poważnego podjęcia na całéj linii pozytywnéj polityki reformy społecznéj.

Oto w głównych zarysach podany przez Schäfflego program zwalczenia socyalizmu. Stojąc pośrodku pomiędzy skrajnym indywidualizmem a wspólnością absolutną, domaga się on realnéj swobody dla wszystkich, przez zlanie osobników w korporacye, ustanowienie wspólności nie ogólnéj lecz korporacyjnéj dla pewnych celów, działającéj w granicach więcéj zacieśnionych, a więc dostępniejszéj, która mogłaby wchłonąć w siebie, nawet przymusowo, samotnie dzisiaj stojące do walki o byt indywidua a przez to, spowodować postęp ogółu przez wolną pracę jednostek.

Program to tak szeroki, że na opracowanie go w szczegółach potrzebaby kilkunastu lat pracy, na przeprowadzenie w praktyce bodaj czy i kilka setek lat by wystarczyło. To téż i autor nie podaje go do wykonania lecz tylko wskazuje do czego dążyć należy. Nie jedna z myśli tu wyrażonych może się okazać bardzo płodną w skutkach, ale rzucanie ich masami i stawianie jako zadanie polityki pozytywnéj, pozwala nam nazwać Schäfflego doktrynerem socyalizmu państwowego. Przywiązuje on znaczenie przesadne do skuteczności działania przepisów prawnych na stosunki społeczne; zdawałoby się, iż dość napisać ustawę, żeby się wedle niéj wszystko już działo. Tak na rzeczy nie patrzy mąż stanu, ani nawet uczony, trzeźwo studyujący naturę człowieka i społeczeństwa. Przepis, wskazujący co mam robić, wtedy tylko okaże się praktycznym, jeżeli ja do téj roboty mam uzdolnienie i skłonność. Wprawdzie Schäffle co chwila powtarza, że nie chce ścieśniać w niczém swobodnego działania jednostek, ale mimo to nakazuje im łączyć się w korporacye. W oczach jego przymus to zupełnie naturalny, w tym rodzaju co przymus należenia do gminy lub państwa, w którém się człowiek urodził a nawet zastrzeganiem kilkakrotném prawa wolnego przesiedlania się przymus ten zdaje się być zobojętnionym. Jednakże rozszerzenie zakresu prawnego działania gminy i państwa wszędzie i na każdém miejscu spęta człowieka, pomimo przesiedleń; a przymus taki, rozciągniony do ułatwień kredytu a przez nie do ścieśnień w rozporządzaniu własnością nieruchomą, do składek na ubezpieczenie od przypadków, nieszczęść osobistych lub ogólnych, od niedołęstwa starości nawet, a więc pochłaniający bardzo poważną część dochodów każdego robotnika, przymus taki o tyle tylko mógłby nawet w oczach reformatora być usprawiedliwiony, o ile byśmy mieli dowody dotykalne, że gmina i korporacya potrafią tém wszystkiém rozporządzać rozumnie, praktycznie, skutecznie.

Nie możemy wypowiadać zdania stanowczego o tém, czy gminy wiejskie niemieckie zdolne są do kierowania sprawami i interesa-

mi osobistemi swoich członków, ale z licznych opisów wiemy, o ile niezaradne i mało żywotne są stowarzyszenia rzemieślników i robotników niemieckich w rozlicznych *gewerkszaftach*. Wszakże każda korporacya i stowarzyszenie o tyle może działać zbawiennie o ile składające ją jednostki są dzielne i rozwinięte, dla tego to zawiązywanie dobrowolne jest dotąd najlepszą gwarancyą ich powodzenia. Pod wpływem nauk socyalizmu pojęcie o stowarzyszeniach przymusowych szerzy się ciągle, i wchodzi w zwyczaj przypisywać im znaczenie to samo, co i dobrowolnym. Schäffle przytacza przykład stowarzyszeń robotników angiel. które wytrzymały dzielnie próby gwałtownych przesileń przemysłowych i handlowych, ale zapomina przy tém, że te stowarzyszenia powstały samoistnie, bez żadnych nakazów z góry, że egzystencyą prawną wywalczyły sobie bojowaniem długiém i wytrwałém, i że skutecznie działać zaczęły dopiero wtedy, kiedy wyrzekły się wszelkiego przymusu, pozwalając każdemu usuwać się ze swego grona i same zachowywując prawo usuwania tych, co im bruździą. Siła tu leży nie w formie stowarzyszenia, ale w doborze stowarzyszonych; czyż w obec przymusu ogólnego dobór taki jest możebny?

W korporacyach przymusowo związanych, których przykładów dużo wskazuje historya, kierunek spraw ogólnych zależy od przypadkowego zgrupowania się osób; albo panuje tam mierność i głupota liczebnie silniejsza ku pognębieniu kilku wybitniejszych osobistości, albo te ostatnie biorą górę, co się najczęściéj kończy na wyzyskiwaniu ogółu; w nader rzadkich wypadkach zdolności poważniejszych obywateli łączą się z sumienném pojmowaniem obowiązku i siłą charakteru do spełnienia go dostateczną, wtedy naturalnie sprawy mogą iść jak najlepiéj, ale czyż zbieg takich okoliczności nie jest wszędzie wyjątkowym.

Piękna to zasada: wzmacniać jednostki siłami wspólnemi ogółu i podnosić ogół energiczniejszém działaniem jednostek; ale ażeby ją zrobić praktycznie skuteczną, należy w każdéj danéj kwestyi rozpatrzyć, ile bezpiecznie, można ofiarować ze swobód osobistych dla osiągnięcia wskazanego celu; bo inaczéj, ścieśniając wolność jednostki, zmniejszamy jéj odpowiedzialność za następstwa jéj czynności, łamiemy, a przynajmniéj osłabiamy, sprężynę najsilniéj pobudzającą do pracy i czynności i zamiast skutków zbawiennych, możemy otrzymać w rezultacie ostatecznym martwotę i bezwładność.

Samorząd administracyjny w gminach i korporacyach jest rzeczą bardzo pożądaną, jako gwarancya dbałości o interesa miejscowe i jako zabezpieczenie przeciwko nieoględnemu szafowaniu groszem

publicznym, a więcéj jeszcze może jako szkoła kształcąca pojęcia i charakter obywateli; ale reformator nasz znacznie rozszerza zakres samego pojęcia administracyi. W projektach Schäfflego gmina i korporacya występują jako opiekunki przydane każdemu z osobna chłopu właścicielowi, każdemu rzemieślnikowi i wyrobnikowi; mają one szafować kredytem, kontrolować przechodzenie własności nieruchoméj z rąk do rąk, bodaj nawet stanowić o udziałach przy spadkach, brać od każdego nie małą część jego dochodu, zapewne mało co mniéj nad to co pozostanie od opędzenia potrzeb życia, żeby zabezpieczyć każdego od wypadków nieszczęśliwych i zapewnić mu środki utrzymania na starość. Ubezpieczenia tak ogólne, żeby mogły odpowiadać swemu celowi, będą musiały być rozciągnięte na wielkie masy osób, zatém sumy pobierane będą się centralizowały z dużych obszarów kraju, bodaj z całego państwa; w takim razie ów samorząd w gminie i korporacyi ograniczy się do egzekwowania składek i wysłuchiwania rachunków, jeżeli je do gmin przesyłać zechcą instytucye państwowe finansowo-administracyjne. Inkorporacya kredytu hipotecznego czy nie będzie zwrotem wstecz do czasów ograniczeń w prawie własności i czy da się pogodzić z niezależnością gospodarską każdego właściciela? Czy łudzi tutaj autor sam siebie, a w owém przymusowém wzmacnianiu jednostki wspólnemi siłami ogółu, czy nie odzywa się tylko jakieś echo atawistyczne patryarchalnych obyczajów średniowiecznych? Kiedy w stowarzyszeniu dobrą wolę zastąpi przymus, czy nie zaginie przytém w jednostkach świadomość celu, dla którego siły się łączą, a w ślad zatém czy nie osłabnie i tych sił natężenie? Na téj drodze, jak się nam zdaje, nieprędko dojść można do skutków pożądanych.

Utrzymanie drobnéj własności ziemskiéj w stanie kwitnącym leży niewątpliwie w interesie każdego państwa, zbytnie drobienie działów chłopskich uważane jest powszechnie za szkodliwe, a jednak kiedy szło o powstrzymanie tego drobienia, politycy parlamentu niemieckiego nie chcieli narzucać w tém przymusu, a zapisali tylko w prawie pozwolenie każdemu chłopu wycofać na przyszłość swoję własność z pod ogólnego prawa dzielenia spadków; kanclerz niemiecki przystał na to, zapewne nie z poszanowania dla zasad liberalnych ani z obawy w obec kroku zbyt stanowczego, powodował nim tutaj instynkt praktyczny prawdziwego statysty, bo w ten sposób łatwiéj dojść do zamierzonego celu.

Ale może nie mamy prawa domagać się praktyczności w programacie, wypisanym przez Schäfflego dla wykazania, w czém się poglądy jego różnią od zapatrywań socyalistów. Różnica niewątpliwie

ogromna, zupełnie dostateczna dla odstręczenia od niego wszelkich sympatyj demokratów socyalnych; różnica ta jednak nie powstrzyma liberalistów od nazywania go socyalistą chociażby państwowym, a wątpimy, ażeby mogła mu zjednać czy przywrócić zaufanie zachowawców, nawet najświeższego autoramentu, których postępowość wstrzemięźliwa bodaj czy się nie ulęknie téj mnogości reform, przesuwających się przed nią w kalejdoskopie stylu nader ciężkiego, na tle obłoku, fantastycznie skłębionego z mięszaniny swobody i przymusu, nigdzie dostatecznie nie rozgraniczonych.

A. Oskierka.

ZARYSY

RUCHU LITERACKIEGO RUSINÓW.

VIII.

Żaden z wielkich poetów słowiańskich nie pozostawił tak mało utworów jak Taras Szewczenko, a rzadko który dorówna mu bogactwem treści. Dwa tomy nieduże (wydanie r. 1876 w Pradze) zawierają najpiękniéj wypowiedziane idee braterstwa, równości, miłości i swobody, bez których urzeczywistnienia nie może być szczęścia na ziemi. Dla tego to imię Szewczenki i poezye jego tak są popularne na Ukrainie i w ziemi Halickiéj. Śpiewa on językiem swojskim dla każdego Ukraińca, a śpiewa o rzeczach tkwiących głęboko w sercu każdego Słowianina, każdego człowieka. Utwory Szewczenki doczekały się nie tylko dwunastu już wydań w oryginale, lecz i cały świat słowiański zwrócił uwagę na wieszczą muzę śpiewaka ukraińskiego; poezye jego tłómaczono na wszystkie języki słowiańskie, najwięcéj jest przekładów na język rosyjski, ale na nieszczęście z całéj masy tych tłómaczeń w żadném nie zachowano świeżości i wdzięku oryginału. Gładsze daleko i z większém wykonane artyzmem są tłómaczenia polskie, szczególnie Kondratowicza (Przekłady z małoruskiego, Kobzarz Szewczenki. Warsz. 1872). Nie dziw, że przekłady różnią się między sobą, bo różne bywają talenta i zdolności tłómaczów. Tylko prawdziwy poeta może tłómaczyć poetę, tak samo jak malarz bez talentu nie skopiuje Madonny Rafaela. Na język rosyjski tłómaczyli Szewczenkę poeci nieudolni, a przytém nie znający Ukrainy, jéj natury, zwyczajów i zapatrywań ludności miejscowéj.

Pisarze niemieccy, francuscy, włoscy i angielscy zaznajamiali swoję publiczność z poezyami i z życiem Szewczenki. Sam spis artykułów i autorów, którzy pisali o nim, mógłby zająć pół arkusza z górą ścisłego druku. Najlepsze sądy o Szewczence znajdujemy u pisarzy galicyjskich jak Omeljan Partyćkyj („Prowidni idei Szewczen-

ka". Lwów, 1872) i prof. uniwersytetu lwowskiego Emilian Ogonowski, który w piśmie „Prawda" ogłosił cały szereg monografij krytycznych o Szawczence i jego utworach.

Zresztą chronologicznie pierwszy rozbiór poezyi Sz. z podaniem dokładniejszych wiadomości o jego życiu napisał po polsku Battaglia p. t. „Taras Szewczenko, życie i pisma jego" Lwów, 1865.

W r. 1882 M. Czałyj wydał w Kijowie dość dużą książkę „Żizń i proizwiedienja Tarasa Szewczenka", ale, zdaniem samego autora, książka ta jest tylko materyałem surowym do biografii, zgoła bez krytycznego opracowania.

Pomimo więc obszernéj literatury o Szewczence nie ma dotąd jego życiorysu pełnego i dokładnego, a podobno, nie można nawet spodziewać się go prędko, szczególnie takiego, któryby zawierał krytyczną ocenę jego utworów. Możemy więc tylko wspomnieć tutaj o ważniejszych chwilach z życia naszego genialnego poety.

Urodził się Taras Szewczenko 25 lutego (9 marca) 1814 r. we wsi Moryńcach, powiecie Zwinogrodzkim, guberni Kijowskiéj; rodzice jego byli poddanymi obywatela Engelhardta, ludzie naturalnie ubodzy, nieoświeceni i żadnych praw nie mający. O całém otoczeniu fizyczném i moralném, wśród którego ubiegły dziecinne lata poety, możemy wnosić ze słów jego własnych, które wyjmujemy z prześlicznego poematu, pisanego w roku 1850 „*Jakby wyznały panyczi*". Oto słowa poety:

Ja w chati muczywsia kołyś,
Moi tam slozy prolilyś
Najperszi slozy! Ja ne znaju
Czy jest u Boha lute zło,
Szczob w toi chati ne żyło?
Ne nazowu jiji ja rajem
Tij chatynoczki u haj
Nad czystym stawom kraj sela.
Mene tam maty powyla
I powywajuczy śpiwała
Swoju nud'hu pereływała
W swoju dytynu; w tim haju
U tij chatyni, u raju
Ja baczyw pekło!.. Tam newola,
Robota tiażkaja, nikoły
I pomołytyś ne dajut'!
Tam matir dobruju moju,
Szcze mołoduju, u mohyłu
Nużda ta pracia powałyły!
Tam bat'ko płaczuczy z dyt'my
(A my mali buły i holi)

Ne wyterpiw łychoi doli,
Umer na panszczyni!.. a my
Rozlizłysia meży ljud'my,
Mow myszeniata Ja do szkoły
Nosyty wodu szkolaram,
Braty na panszczynu chodyły,
Poki łoby im pohołyły
A sestry?...

. . . .

Wy w najmach wyrosły czużyj,
U najmach kosy pobilijut'
U najmach sestry pomrete!!...

Nie ma w tém przesady. Matka Szewczenki zmarła dość młodo jeszcze, kiedy chłopiec liczył lat siedem; miał on dwóch braci i dwie siostry; brak gospodyni w domu, biéda chłopska i pięcioro dzieci znagliły ojca Szewczenki do powtórnego małżeństwa. Druga żona, także wdowa, miała dzieci z pierwszego męża; dla małego też Tarasa począł się szereg różnych przykrości, macocha biła nieraz chłopca. Wkrótce ojciec oddał go na naukę czytania do mieszczanina Hubskiego. Uczeń był zdolny, ale nauczyciel nie mógł z nim dać rady. Taras był dzieckiem swawolném i figlarném, nauki i groźby ojca mało też wpływały na żwawego chłopaka; na nieszczęście i ojciec umarł prędko, a Taras osierocony w jedynastym roku życia, został na opiece macochy, która go nie lubiła, ani była przezeń lubioną. Ostatnie słowa umierającego ojca sprawdziły się Tarasowi. Starzec mówił przed śmiercią: „Synowi Tarasu z moho chozjastwa nyczoho ne treba, win ne bude aby jakim czołowikom, z joho wyjde abo szczoś dobre, abo wełyke łedaszczo“.

Po zgonie ojca, macocha oddała Tarasa na naukę do dziaka Buhorskiego, u którego on przebył dwa lata. A jaka to była szkoła? sam poeta opowiada o niéj w swéj krótkiéj autobiografii: „Dziecięce serce moje milion razy obrażał ten wyrodek despotyzmu seminaryjskiego; zakończyłem z nim (Buhorskim) jak zwykle kończą ludzie wyprowadzeni z cierpliwości, zemstą i ucieczką. Znalazłszy raz dziaka pijanego bez pamięci, użyłem nań jego narzędzia—rózeg. Ile mi starczyło sił dziecinnych, odpłaciłem się mu za wszystkie okrucieństwa“ (1). Wtedy to rozwinął się u Szewczenki namiętny pociąg do rysunku, o którym w liście do swego przyjaciela, Kozaczkowskiego mówi: że zdarzało się czasem, iż

.....w uczytela diaka
Harneńko wkradu piataka,

(1) Czasopismo „Narodnoje cztienje“ 1860. Zesz. 2-gi.

(Bo ja buło trochi ne hołe
Take ubohe) taj kuplu
Paperu arkusz i zroblu
Małeńku knyżeczku. Chrestamy
I wizerunkamy z kwitkamy
Okruh łystoczki obwedu,
Taj spysuju „skoworodu“
Abo „try caryje so dary“,
Ta sam sobi u burjani,
Szczob ne poczuw chto, ne pobaczyw,
Wyśpiwuju o jyn, ta płaczu!....

Po Buhorskim Taras długo szukał odpowiedniego nauczyciela, powracał do domu,

„Pas jahniata za sełom“.

Nakoniec w 15-m roku życia Dmytreńko, rządca majątku Engelhardta, wziął go na kozaczka pokojowego. „Pan mój Engelhardt, opowiada Szewczenko, był bardzo czynny, ciągle jeździł to do Kijowa, to do Wilna lub Petersburga, i woził mnie z sobą, dla siadywania w przedpokoju, podawania fajek i tym podobnych usług. Dostrzegłszy w chłopcu zdolność i popęd do malowania, a chcąc mieć z czasem z niego „własnego“ malarza, Engelhardt oddał Szewczenkę na naukę w Warszawie, najprzód do malarza ściennego, a potém do portrecisty Lampiego. W tym peryodzie życia swego poeta poznał po raz pierwszy „kochanie“, zakochał się w panience z innéj sfery. Ale jako poddany nie mógł się żenić, nie mógł ulubionéj prowadzić w niewolę poddaństwa, którego okrucieństwo widział koło siebie i doświadczał nieraz na własném ciele. Stanęło więc przed nim pytanie bolesne i palące: „Czomu i nam krepakam ne buty takymiż wilnymy lud'my jak inczy?“ Engelhardt tymczasem przeniósł się do Petersburga i zawiózł tam z sobą Szewczenkę, a przekonawszy się o niezdatności jego do służby lokajskiéj, przystał na usilne prożby i oddał go na lat cztery do malarza Szirajewa. Szewczenko miał wtedy lat 19, przypadkiem poznał się tu ze swym ziomkiem, artystą Soszenką, który serdecznie się losem jego zainteresował i zapoznał go z pisarzem małoruskim Hrebenką. Starania nowego opiekuna zwróciły na Szewczenkę uwagę ówczesnych znakomitości: poety Żukowskiego i malarza Briułowa. Ten ostatni wymalował portret Żukowskiego, puszczono go na loteryą, z któréj zebrano 2500 rub. i za te pieniądze d. 22 kwietnia 1838 r. geniusz małoruski wykupiony został z poddaństwa.

Briułow zaraz wziął Szewczenkę na naukę do siebie do akademii sztuk pięknych; z tego czasu pochodzą pierwsze jego poezye. „Surowa muza Ukrainy“—powiada o sobie poeta—długo nie przypa-

dała do mego smaku, zepsutego życiem w szkole dziaka i w pańskich przedpokojach, po zajazdach, lub apartamentach wielkomiejskich; ale kiedy swobodny oddech powrócił uczuciom moim czystość lat dziecinnych, spędzonych pod ubogą strzechą ojcowską, ona, dzięki jéj za to, wzięła mnie w swe objęcia i w stronie obcéj pieszczot nie szczędziła. Z pierwszych moich prób nieudolnych, pisanych w Letnim ogrodzie, drukowana jest tylko jedna balada „Pryczyna“.

Poezye Szewczenki ukazały się poraz pierwszy w 1840 roku w niewielkiéj książeczce, zatytułowanéj „Kobzar“. W wydaniu tém zamieszczono jeden z najlepszych jego poematów, „Kateryna“ i kilka prześlicznych „dumek“ lirycznych; krytyka jednak przyjęła w ogóle te utwory drwinkami nie tylko z saméj poezyi, ale i z języka i narodowości autora. Krytycy nie rozumieli myśli Szewczenki, ale i nie bardzo mogli rozumiéć, czytając „Kobzarza“ bez tłómaczenia; lecz co najdziwniejsza, że krytycy drwili z Szewczenki jako z „poety chłopskiego“ (mużickij poet). Pojęcia poddaństwa i niewoli panowały jeszcze tak silnie, że na Północy ludzie, przodujący nawet innym, nie pojmowali idei demokratycznych narodowości i swobody.

Krytyka nie przestraszyła Szewczenki, dzielny temperament poety nie dbał o nią: „nechaj ja budu mużyczyj poet, mini bilsz niczoho i ne treba“, powiadał i *tworzył* daléj. Pieśni i dumy zrozumiano nad Dnieprem i po roku wyszło wydanie drugie „Kobzarza“, zwiększone nowym poematem „Hajdamaky“. Sława Szewczenki obiegła całą Małoruś, siła nieprzezwyciężona ciągnęła go w strony rodzinne, gdzie pod brzemieniem poddaństwa cierpiały miliony braci i siostr jego, gdzie „mużićki duszy aż pyszczat’“:

„A patriot, ubohich brat,
Doczku i tełyczku odnimaje
U mużyka...“
gdzie „Łatanu swytynu z kaliki znimajut’
Z szkuroju znimajut’“ (Kobzar 1876, str. 15).

Poeta pojechał w strony rodzinne i tutaj poznał się z wielu ludźmi z pośród wykształconych Małorusinów. Objechawszy Ukrainę, osiadł w Kijowie jako malarz przy komisyi archeologicznéj; tutaj zaznajomił się z Kuliszem, Kostomarowem i innymi.

Kostomarow był wtedy profesorem historyi rosyjskiéj w uniwersytecie kijowskim i pracował nad epoką Bohdana Chmielnickiego; młody uczony żył tu w towarzystwie ludzi wykształconych, w kółku tém grupowali się: Szewczenko, Kulisz, Biełozierski, Hułak-

Artemowski, Nawrocki, Markowicz. „Pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia r. 1846 siedzieliśmy, opowiada Kostomarów (1), u Hułaka, rozmawialiśmy o sprawach Słowiańszczyzny; wyrażano nadzieje połączenia się w przyszłości narodów słowiańskich w federacyą grup państwowych, a ja mówiłem, jakby użytecznėm było słowiańskie towarzystwo naukowe, któreby się podjęło wielkiego celu zbliżenia i urządzenia wzajemnych stosunków pomiędzy plemionami słowiańskiemi, tak sobie mało znanemi. Myśl, o któréj już nieraz rozprawialiśmy, i wtedy obudziła gorące spółczucie. Rozmowa jednak się urwała i przeszliśmy na przedmiot inny, o historyi kraju maloruskiego a szczególnie o czasach Chmielnickiego."

Poeta musiał zamilknąć właśnie w epoce najpełniejszego rozwoju swego talentu. Najlepsze utwory Szewczenki przypadają na lata 1841—1847; z tego czasu pochodzą poematy: „Najmyczka," „Kniaźna", „Chołodnyj jar," odezwa (posłanije) „Do żywych, mertwych i nenarożdennych zemlakiw moich." W téj odezwie poeta gorzko się żali na nieuctwo i demoralizacyą inteligencyi maloruskiéj, napada na bezmyślne naśladownictwo wszystkiego co obce, na niedbalstwo o interesa ludu materyalne, moralne i umysłowe, i z głębi serca zaklina:

Obnimyteż, braty moi,
Najmeńszoho brata,
Nechaj maty usmichnietsia,
Zapłakana maty..
I zabudetsia sramotnia
Dawniaja hodyna,
I ożywe dobra sława
Sława Ukrainy;
I świt jasnyj, neweczernij
Tycheńko zasiaje..
Obnimytsia-ż braty moi
Molu was, błahaju" (Kobzar, str. 41)

Po ośmnastu miesiącach los Szewczenki ulżył się nieco: zarządzono ekspedycyą dla zbadania morza Aralskiego pod dowództwem Butakowa, który za zezwoleniem głównego naczelnika kraju, zabrał z sobą Szewczenkę dla rysowania widoków nadbrzeżnych. Wyprawa wróciła w jesieni r. 1849, ale podróż po stepach kirgiskich i morzem nie bardzo pocieszała poetę. Kochał on namiętnie pełną poezyi naturę ukraińską a tu zamiast stepów pokrytych aksamitną zielonością, zamiast szumiącego Dniepru i wiosek otulonych wiśniowemi sadami, przed oczami jego stały:

---

(1) Ruskaja starina 1880 r. Zesz. III str. 599.

I nebo newmyte i zaspani chwili
I po nad berehom het'-het'
Nenacze pjanyj oczeret....
Tut burjan, piski, tały,
I chocz-by na śmich de mohyła
O dawnim dawni howoryła;
Nenacze lude ne żyły.,.. (Kobzar 107)

Na wygnaniu spędził Szewczenko lat dziesięć. Po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II. za staraniem hr. Teodora Tołstoja i jego żony, został uwolniony ze służby i pozwolono mu zamieszkać gdzie zechce, oprócz stolic; ale wprędce i to ścieśnienie usunięto. Opuścił fort Nowopietrowski 9 sierpnia 1857 r.; zatrzymany czas jakiś w Niżnim-Nowogrodzie, napisał tu jeden z najpiękniejszych poematów „Neofyty."

Zabawiwszy czas jakiś w Petersburgu, poeta w r. 1859 wyjechał w strony rodzinne; znalazł tu starą biédę, która go dręczyła całe życie. Rodzeni jego bracia i siostry na równi z całą masą wiejskiego ludu byli jeszcze w poddaństwie; boleść swą gryzącą wypisał wtedy w wierszu „Do sestry" w Czerkasach 20 czerwca 1859. Odwiedzając Ukrainę, poeta poczuł chętkę do ożenienia i zamieszkania nad brzegiem Dniepru; ani jedno ani drugie pragnienie nie ziściło się, a on sam wskutek czyjejś denuncyacyi o mało znowu nie trafił do kozy. Na szczęście generał-gubernatorem w Kijowie był wtedy człowiek rozumny, książe Wasilczyków; wezwał on do siebie Szewczenkę i radził mu wracać do Petersburga: „tam, powiadał, ludzie więcéj wykształceni, nie czepiają się do drobnostek w nadziei wysłużenia się kosztem bliźniego" (1).

Po powrocie do Petersburga Szewczenko zamieszkał w akademii sztuk pięknych, zajął się malarstwem i pisał daléj. Ale prędko zły los najsrożéj go dotknął, w jesieni r. 1860 zachorował i zmarł na dni kilka przed ogłoszeniem manifestu o zniesieniu poddaństwa w lutym 1861 r. Zwłoki Szewczenki, wedle jego ostatniéj woli, przyjaciele odwieźli na Ukrainę i pochowali w okolicy Kaniowa na samym brzegu Dniepru w wysokiéj górze „Czerneczéj", skąd rzeczywiście widać:

„I łany szyrokopoli
I Dnipro i Kruczi".

Czytelnik zapewne nie wymaga od nas szczegółowego krytycznego rozbioru utworów genialnego poety i zechce zrozumiéć przyczyny, dla których zrobić tego nie możemy; musimy tu ograniczyć się krótkiemi słowami.

(1) Żyźń Szewczenka. Kijów, 1882, str. 143.

Najlepsze rzeczy Szewczenko napisał albo przed wygnaniem, jak poematy: „Kateryna“, „Najmyczka“, „Kniaźna“, albo po powrocie, jak „Neofyty“, „Wid'ma“, „Maria“. Z poematów historycznych najsłabszy „Hajdamaki“—silniéj natchnione i pełne pięknych obrazów: „Iwan Pidkowa“, „Hamalija“, „Tarasowa nicz“ i „Czerneć“.

„Kateryna“ to pełen artyzmu obraz losów dziewczyny-matki, zakochanéj, oszukanéj i opuszczonéj. W „Najmyczce“ znowu matka-dziewczyna podrzuca swe dziecko zamożnemu, a bezdzietnemu chłopu, sama najmuje się u niego do służby, a gdy już wyhodowała i ożeniła swego syna *bezbatczenki*, umierając, dopiero w ostatnich chwilach przyznaje się przed nim, że jest jego matką. W „Wid'mie“ zarysowany silną ręką obraz dziwnie dramatyczny cierpień matki, obłąkanéj z miłości do dzieci a nienawiści ku panu. Kiedy była młodą, pan wziął ją z sobą, wstępując do wojska, przebrał za deńszczyka i spłodził dwoje dzieci bliźniąt. Kiedy dzieci wyrosły, pan skusił się pięknością własnéj córki i romansował z nią, syna zaś oddał gdzieś na służbę lokajską. Matka z boleści straciła rozum i poszła na wędrówkę po Ukrainie, w Besarabii przyczepiła się do taboru Cyganów. Cyganka ziołami wyleczyła wiedźmę i nauczyła ją leków tajemniczych; wiedźma wraca do domu w nadziei widzenia dzieci, lecz niestety! Pan wywiózł Nataszę do Moskwy i tam ją porzucił, a Iwana oddał w sołdaty; samego pana wiedźma znalazła umierającym, probowała ratować go swemi lekami, a kiedy umarł, ona:

. . . Za joho
Bohu pomolíłaś.

W „Neofitach“ poeta przenosi się w pierwsze wieki chrześciaństwa i opiewa męczeństwo neofitów pod rządami cezarów rzymskich. W prologu zwraca się do Matki Boskiéj, prosząc ją o natchnienie:

Molu rydajuczy: poszli,
Podaj duszy ubohyj sylu,
Szczob ohnenno zahoworyla,
Szczob słowo płamenem wzjałoś,
Szczob ludiam serce rostopyło
I po Ukrajni proneslóś.
I na Ukrajni śwityłoś
Te słowo czysteje, kadyło
Czystijszyj istyny.
. . . .

Podobne żądania wyraża poeta w odezwie swéj do Szafarzyka, mówiąc, że „nimota“ (niemcy):

Semju Słowian rozjedynyla
I tycho, tycho upustyła

Usobić lutuju zmiju.
Połyłysia riki krowi...
Pożar pohasyły,
A nimcziki pożaryszcze
I syrit podiłyły...

Poeta zanosi modlitwę do Boga,

Szczob usi Sławianie stały
Dobrymi bratami
I synami soncia prawdy.... (Kobzar, str. 29).

Szewczenko próbował też pisać w narzeczu wielkorosyjskiém powieści prozą i wierszami, ale w utworach tych, wedle słów Kostomarowa (1): „Szewczenko wpada w melodramatyczność i nieraz jest zbyt rozwlekłym. Pisane są one niedbale; są to raczéj szkice aniżeli utwory wykończone, podobne do drogich kamieni w nędznéj oprawie; ale wszędzie widnieje tu ogromny talent poety: prawdziwość charakterów, głębokość i szlachetność myśli, bogactwo obrazów i pełne życia opisy; ostatnie te zalety zapewne dla tego tak wybitnie się rysują, że autor był z zawodu malarzem“.

Naturalnie Szewczenko zjawia się jako wynik rozbudzonego już ruchu literackiego na Małorusi, ale on a nie kto inny sprowadził tu przełom stanowczy, on stworzył i utrwalił na wieki literaturę małoruską. Cokolwiek się stać może z narodem małoruskim, jakikolwiekbądź przewrót sprowadzić mogą warunki historyczne, przypuszczając nawet najgorsze warunki, że narodowość małoruska przestanie istniéć, że się rozpłynie w jakiém „morzu“, zawsze jednak na kartach historyi pozostanie na wieki język ukraiński i wielki jego przedstawiciel Taras Szewczenko. „Jeżeli kiedykolwiek, powiada Kostomarów, potomkowie narodu długo nieszczęśliwego, poniżonego, umyślnie pozbawionego oświaty, dojdą do zażywania pełni swobody i używania owoców ludzkiéj cywilizacyi, losy, jakie przeżyli ich praojcowie, żyć będą we wspomnieniach wnuków, a przytém z uszanowaniem będą wspominać imię Szewczenki, który opiewał cierpienia ich przodków, szukał dla nich swobody rodzinnéj, społecznéj, duchownéj. razem z nimi i za nich cierpiał na duszy i ciele, cierpiał myślą i czynem“ (2).

---

(1) „Ruskaja Starina“, 1880, marzec, 610. (2) Poezija Sławian“. Petersburg, 871, str. 159—161.

IX.

Jednocześnie z Szewczenką występuje na pole działalności literackiéj i jednocześnie trafia na wygnanie do Tuły Pantelejmon Kulisz. Urodzony w roku 1819 w miasteczku Woronežu, powiecie Gluchowskim, gubernii Czernihowskiéj, syn kozaka, z powodu braku środków, wykształcenie naukowe zakończyć musiał na kursie gimnazyalnym w Nowogrodzie Siewierskim. Kulisz próbował sił swoich w języku małoruskim jako poeta, powieściopisarz, etnograf i historyk, ale wyznać musimy, że za wyjątkiem etnografii na żadném polu pisarskiém nie zjednał sobie wielkiéj sympatyi publiczności, a to nie dla braku talentu, którego mu odmówić nie można, lecz z powodu zmienności w poglądach i ideałach. Trudno wskazać innego autora, któryby z taką łatwością przerzucal się od uwielbień do nagany, od zupełnego potępienia do wielkich pochwał.

Po powrocie z wygnania w r. 1856 Kulisz osiadł w Petersburgu i zajął się czynnie wydawnictwem dzieł własnych i cudzych. W roku 1861, po ukazaniu się „Osnowy“, Kulisz zajmuje w niéj swemi utworami niemal $^2/_3$ miejsca, a jednocześnie jest współpracownikiem w kijowskiém wydawnictwie Ksenofonta Howorskiego „Wiestnik Jugozapadnoj Rossii“, którego kierunek był wręcz przeciwny dążeniom „Osnowy“. Było to powodem, że stracił zupełnie popularność, jakiéj zażywał na Małorusi w latach 1857—1861. Po zamknięciu „Osnowy“ w r. 1865, Kulisz zajmuje w Warszawie urzędowe stanowisko w wydziale oświecenia, które zresztą prędko opuszcza; w literaturze nie słychać o nim niemal siedm lat, dopiéro w r. 1874 wydaje „Istoria wozsojedinienija Rusi“, gdzie wyrzeka się wszystkich dawniejszych ideałów, rzucając błotem na dążenia literatury ukraińskiéj, którym hołdował w latach młodszych. Do roku 1870 był Kulisz czcicielem fanatycznym niemal przeszłości ukraińskiéj, w „Historyi“ występuje z fanatycznem jéj potępieniem, dowodząc, że kozacy byli tylko rozbójnikami, zepsutemi złoczyńcami, zasługiwali na wzgardę, a rządy panów na Ukrainie były największém dobrodziejstwem dla kraju i jego kultury. Krytyka z obozu ukraińskiego nazwała tę pracę nieumiejętną, a krytyka kierunku przeciwnego także jéj nie pochwaliła. W pięć lat późniéj Kulisz, nie osiągnąwszy zamierzonego celu, zjawia się w Galicyi, wydaje we Lwowie 1-y tom prześlicznego swego tłómaczenia Szekspira na język ukraiński, a następnie „Chutorną poezyę“. W poezyi téj widnieją odblaski Kulisza z czasów „Osnowy“, tutaj wysławia on znów język ojczysty, który w „Wozsojedinieniu“ skazał już na śmierć; składa hołdy geniuszo-

wi Szewczenki, któremu tam urągał, mianem „pijanéj muzy“. Obok „Chutornéj poezyi“ pomieścił prozą pisany „Zazywnyj łyst do Ukraińskoi inteligencii“, wzywając ją do pracy wspólnéj dla dobra Ukrainy i jéj ludu i rozwoju literatury. Nowa ta metamorfoza zdziwiła Rusinów, jednakże nie dowierzając autorowi, przyjęto ją nieprzyjaźnie; poczém Kulisz zajął się propagowaniem myśli wydawania we Lwowie gazety rusińskiéj z pomocą Polaków. Polacy bardzo słusznie zechcieli najprzód dowiedziéć się: kto składa stronnictwo Kulisza? a kiedy się okazało, że on nie ma stronników, odmówili dostarczenia środków. Potém zjawiła się „Kraszanka“, za pośrednictwem któréj chciał Kulisz pozdrowić Polaków na wielkanoc, a którą oni przyjęli dość chłodno; kiedy „Kraszanka“ publicystyczna dostała się do Rosyi i tam była potępioną „Moskowskije Wiedomosti“ nazwały autora zdrajcą; „Wiestnik Ewropy“ i „Zaria“ Kijowska wspomniały o niéj ironicznie; a jeden z pisarzy ukraińskich, Daniło Mordowcow, odpowiedział Kuliszowi w osobnéj broszurze, zatytułowanéj „Pysanka“. Tutaj bezlitośnie roztrząsa on stronę psychologiczną Kulisza, niby trupa w prosektorium anatomiczném, kraje go nożem krytyki chłodnéj, i na mocy własnych listów autora zdawało się, że pogrzebał go już na wieki. Ale natura Kalisza tak jest sprężystą i pełną życia, że nazwawszy Rusinów galicyjskich „cielętami“, spokojnie wrócił on do Rosyi, przystał do pisma charkowskiego „Jużnyj Kraj“ i drukuje w niém dotąd swe wiersze, w których wszystkich pisarzy ukraińskich mianuje „hajdamakami literackimi“.

Nie możemy badać szczegółowo ciekawych metamorfoz psychicznych Kulisza, przytoczymy tylko słowa Pypina, wyjaśniające poniekąd przyczyny tych przeskoków. „Kulisz, powiada Pypin, nie był nigdy ani prawdziwym etnografem, ani prawdziwym historykiem; do historyi lub etnografii miesza on pobudki publicystyczne, albo i poetyczne, a brak artystyczny poezyi czystéj dopełnia namysłem sztucznym. Pod wpływem uczucia chwieją się w nim poglądy teoretyczne i nie raz wpadał on w sprzeczne ostateczności. Tak np. po pełnym zachwytu panegiryku Gogola idzie potępienie jego powieści z życia ukraińskiego, sąd zupełnie nie słuszny“. (1) Dodać musimy, że ten sąd o Kuliszu pisany był na trzy lata przed jego przemianami galicyjskiemi.

Z utworów ukraińskich Kulisza najlepszym niezawodnie „Czorna Rada“, kronika powieściowa z czasów hetmaństwa Brzuchowieckiego; niezłe wcale, chociaż w innym rodzaju, „Łysty z chutora“ drukowane w „Osnowie“. Poezye drukowane oddzielnie „Doswitki“

(1) Ist. słow. liter. I, 375.

(Petersburg, 1862) i „Chutornaja poezya“ (Lwów. 1882) ciekawe są dla bibliografa, ale poetycznego nie ma tam nic, ani rymu, ani uczucia, ani ciepła, nie mówiąc już o natchnieniu, gdyż wieje z nich chłód jak od mrozu zimowego.

Lepiéj i pożyteczniéj użył Kulisz swego talentu na tłómaczenie pisma św. na język ukraiński. W r. 1871 wydał w Wiedniu tłómaczenie Pięciu Ksiąg Mojżesza, i osobno Ewangelii, potém we Lwowie przekład Psalmów Dawida i Księgi Hioba, w roku zaś 1880 wydano we Lwowie jego przekład całego Nowego Testamentu, dokonany wspólnie z dr. Palujem.

O „Hramatce“ (elementarzu) Kulisza wspomnimy późniéj, kiedy przejdziemy do pedagogiki; nie mamy zaś potrzeby mówić o powieściach pisanych w narzeczu wielkorosyjskim, chociaż treść ich czerpana z życia maloruskiego, ponieważ nie wchodzą w zakres niniejszego szkicu.

AFGANISTAN

I JEGO STANOWISKO GEOGRAFICZNO-DZIEJOWE.

(*Dokończenie*).

V.

W związku z oro-i hydrografią kraju a po części i klimatem stoi *kwestya komunikacyi*, *kwestya dróg*, ważna wogóle dla stosunków strategicznych i handlowych, ważniejsza témbardziéj w kraju tak pełnym gór niedostępnych i pustyń trudnych do przebycia, jak Afganistan, który do tego jeszcze leży na drodze do bogatych Indyj i jest „baryerą“ między dwiema współzawodniczącemi potęgami. Dlatego zajmiemy się teraz kwestyą dróg, i to nietylko dróg w samym Afganistanie, ale i dróg doń prowadzących.

A) *Drogi z Turkiestanu i Persyi* idą albo od morza Kaspijskiego albo od Amu-Darii.

a) *Drogi od morza Kaspijskiego* idą albo od ujścia Atreku, albo od Krasnowodzka.

1. *Droga od ujścia Atreku* w górę téj rzeki przez Meszed (Persya) lub przez Merw (Turkiestan) do Heratu. Rosyanie od 1873 r. przedsiębrali wyprawy w górę Atreku, aby utrzymać w posłuszeństwie rozbójnicze plemię Teke-Turkomanów, które napadało często na Persyę i które wielce przeszkadzało Rosyi w usadowieniu się nad dolną Amu-Darią. Wyprawy te jednak nie mogły postępować daleko w górę Atreku, gdyż część jego środkowa i górna należą do Persyi.

2. *Droga od Krasnowodzka* nad morzem Kaspijskiém przez Turkomańskie stepy, przez Achal oazę i Merw do Heratu. Droga ta z początku tylko przechodzi przez pustynie solne, pozbawione wody, i napotyka pewne trudności terrenu (Wielki i Mały Bałkan), lecz da-

léj prowadzi przez kraj dobrze nawodniony i posiadający turkomańskie osady, wzdłuż północnego stoku gór Kiurrendagh do północnego stoku wyżyny Iranu, wzdłuż którego dosięga Merwu i Heratu. W ostatnich czasach, Rosyanie przeprowadzili tędy koléj żelazną, która od morza Kaspijskiego sięga już do Aschabadu. Od téj drogi oddziela się na północo-wschód pod fortem Kisilarwat droga do Chiwy.

b) *Drogi od Amu-Darii* idą albo przez Merw, albo przez zachodnie wąwozy Hindukuh, albo przez wschodnie, to jest przez Pamir.

1. *Drogi idące przez Merw*, prowadzą do Heratu, jest ich dwie: jedna prowadzi z Chiwy, druga z Buchary. Obie one są uciążliwe z przyczyny pustyń, szczególniéj pierwsza: nieliczne cysterny zawierają złą wodę i to w tak małéj ilości, że karawana z 800 wielbłądów zużywa ją zupełnie; prócz tego pył i odblask powierzchni gruntu wywołują choroby oczów. Wojska Nadir Szaha (1739) i chana Chiwy (1832 r.) w wyprawie na Merw ucierpiały wiele na téj drodze i musiały kopać źródła. Chan Chiwy stracił przeszło 2.000 wielbłądów i musiał zakopać armaty. Obie te drogi schodzą się w Merwie, ztąd idą w górę rzeki Murghab i jéj lewego dopływu, Kuszki, przez niskie przejście w Paropamizie do Heratu. Na téj drodze właśnie, w oazie Pendżdeh, w pobliżu ujścia Kuszki do Murghabu Afganie zostali rozbici przez następujące wojska Komarowa.

2. *Drogi idące przez zachodnie wąwozy Hindukuh* do Kabulu; jest ich także dwie: jedna prowadzi z Chulm, druga z Kunduz. Pierwsza doliną rzeki Chulm prowadzi do wąwozów Bamiańskich, któreśmy poprzednio wymienili, a przez nie do Kabulu. Tędy przechodził Aleksander W., Dżengischan, Nadir Szah; tu dotarli Anglicy 1840 r., ścigając, ustępującego na Chulm, emira afgańskiego, Dost Mohameda; tędy szło rosyjskie poselstwo Stoletowa 1878. Droga ta od Bamianu może także zboczyć i przez Szibertu i dolinę Ghorbendu dosięgnąć Kabulu. Wyżyna Bamian jest kluczem całéj téj drogi i posiada z tego powodu ważne strategiczne znaczenie. Już Aleksander W. zbudował tu twierdzę Alexandria ad Caucasum (1), a gdyby Anglicy zajęli Afganistan i oparli swe „umiejętne granice“ od Turkiestanu o Hindukuh, to także musieliby silnie ufortyfikować przejścia Bamiańskie. Druga droga doliną rzeki Kunduz i Inderab prowadzi przez wąwóz Chewak, przez który przechodził zdaje się Aleksander

(1) Tak twierdzi Ritter, inni sądzą, iż twierdza ta była zbudowaną na półn. Kabulu, przy wyjściu Ghorbendu z gór.

W. na północ, a Timur na południe, lub przez wąwozy ku zachodowi leżące—do doliny Pandżiru i Kabulu.

3. *Droga przez Pamir* prowadzi z Kokandu przez wyżynę Pamir, przez wąwóz Barogil do doliny Kunaru (Czitral) i wzdłuż niéj do Dżellalabadu. Według nowszych badań angielskich można z doliny Kunaru (Mastodża) zboczyć i dostać się do doliny Gilgitu (Yassin), dopływu górnego Indu, a więc wprost do Indyj. Droga ta przez Pamir, z powodu jego znacznéj wysokości i pustynności, uciążliwa dla armii i dotąd nie praktykowana. Mimo to jednak Anglicy w 1879 obawiali się wkroczenia Rosyan z téj strony i polecili księciu Kaszmirskiemu strzedz téj drogi.

Wszystkie powyższe drogi, idące od Amu-Darii łączą się ze sobą drogą poprzeczną, idącą wdłuż doliny téj rzeki i mającą połączenia z Samarkandą i Taszkentem, tak iż Amu-Daria obok morza Kaspijskiego mogłaby stanowić podstawę operacyjną Rosyan w ich wyprawie na Afganistan.

B) *Drogi w Afganistanie* ciągną się wzdłuż dolin rzecznych i prowadzą ostatecznie do doliny Indu przez cztery wąwozy Solimanu: Khyber, Kurum, Guleri (Gomal), Bolan.

a) *Drogi z Heratu do Kabulu*; jest ich dwie: północna prowadząca wprost do Kabulu, i południowa, prowadząca przez Kandahar.

1. *Droga północna* idzie doliną rzeki Herirud ku wschodowi przez krainę Hazareh, między Sefidkuhem i Siahkuhem; pod Dauletiar dzieli się ona na dwie odnogi. Jedna przekracza Sefidkuh i wzdłuż północnego stoku Kohi Baby dosięga Bamianu, a ztąd albo przez Hadżiak, albo przez Szibertu i dolinę Ghorbendu—Kabulu. Druga przekracza Siahkuh, i idąc wzdłuż południowego stoku Kohi Baby, łączy się z pierwszą u jéj południowego wyjścia z Hadżiaku (pod Charsar). Droga północna jest niedogodna z powodu dzikości krainy Hazareh; wojsko może przechodzić tędy w odpowiedniéj porze roku, ale nie armaty. Drogą tą (przez Szibertu) wracał 1506 r. Baber z Heratu do Kabulu i ledwie nie zginął ze swą armią od zimna, głodu i walk z wojowniczymi góralami.

2. *Droga południowa* („Droga Królewska“) jest dłuższa (ma blisko 150 mil), ale dogodniejsza; otacza ona półkołem południowe gałęzie Siahkuhu i Kohi Baby, ciągnąc się przez wyżynę wzdłuż dolin rzecznych; przez Harud, Farehrud, Hilmend (warownia Giriszk, broniąca brodu) i Argandab dosięga Kandaharu prawie w połowie drogi (80 mil), a ztąd doliną Tarnaku i Ghusni przez miasto Ghusni i przejście Szeridana dostaje się na dolinę Logaru i wzdłuż niéj (20 mil) do Kabulu. Droga ta tylko w pierwszéj części między Heratem i Kanda-

harem, napotyka na pewne trudności z przyczyny małéj ilości wody i dlatego ta część posiada jeszcze drugą odnogę, która prowadzi przez południowe odgałęzienia Siahkuhu (Ghorat i Gasarman).

b) *Drogi odgałęziające się na wschód od „Drogi Królewskiéj"* i prowadzące przez wąwozy Solimanu do Indyj: jest ich cztery.

1. *Droga z Kandaharu* doliną Dory, przez wąwóz Kodżak (7.300') lub Gwadża w górach Amran, przez równinę Piszin, przez fort angielski Quettah (5600'), i wąwóz Bolan w Beludżystanie do Szikarpur nad Indem (przeszło 70 mil). Część téj drogi do Quettah (połowa drogi) tak w dolinie Dory jak na równinie Piszin jest dogodna, daléj wązki i długi wąwóz Bolan z nagłemi spadkami, pozawalany odłamami skał, poprzerzynany potokami, był uciążliwy, ale Anglicy zbudowali tu drogę dogodną dla artyleryi. Po wyjściu z wąwozu droga prowadzi przez żyzną okolicę beludzką Katsza Gundawa, a następnie przez piasczystą równinę do Indu. Tą drogą wkroczyli do Afganistanu Anglicy 1839, 1842 i 1878 roku.

2. *Droga z Ghazny* przez okolice jeziora Ab-istada, przez wąwozy Sargo i Sarwandi w górach Kohnak, wzdłuż doliny Gomalu przez wąwóz Guleri w Solimanie do Dera Izmaił Chan nad Indem. Drogą tą wracał do Kabulu przez Ghaznę Baber z wyprawy swéj na rozbójnicze góralskie plemiona Solimanu. Tędy głównie ciągną z Indyj do Ghazny i napowrót handlowe karawany (kafila) kupców wojowników, Powindah; to dziwne połączenie dwóch różnych stanów wynikło z niebezpieczeństwa, jakie grozi w Afganistanie karawanom od rozbójniczych plemion: karawany muszą być konwojowane przez eskorty walecznych i od stóp do głów uzbrojonych ludzi, którzy gotowi są każdéj chwili na odparcie łupieskiego napadu.

3. *Droga z doliny Logaru* (z Kabulu lub Ghazny) przez wąwóz Szutargardan na dolinę Kurumu i wzdłuż niéj przez wąwozy Peiwar i Derwaza, przez fort afgański Kurum (zajęty 1878 r. przez Anglików), przez wąwóz Kurum w Solimanie i pograniczne miasto angielskie Thal do Indu (do 60 mil). Droga ta idzie przez okolice dobrze nawodnione i żyzne i jest, podobnie jak droga poprzednia, dostępna dla wozów. Jestto najdogodniejsza ze wszystkich dróg do Indyj. Tędy 1878 r. wkroczyła środkowa kolumna angielska i tu w wąwozie Peiwar pod zasłoną silnéj pozycyi na skałach, pokrytych iglastemi lasami, na wysokości 9000' Afganie stawili najzaciętszy opór Anglikom; tylko brak dobrych oficerów wydarł mężnym góralom zwycięstwo.

4. *Droga z Kabulu* wzdłuż doliny Kabulu przez wąwóz Khyber do Peszaweru (przeszło 40 mil). Droga ta w pierwszéj części, to jest na wyższéj terrasie Kabulu, jest bardzo uciążliwa; nie mogąc bowiem

iść nad samą rzeką, do któréj przypierają strome skały, musi zdala od rzeki głównéj wić się dolinami jéj licznych prawych dopływów, i aby się dostać z doliny jednego dopływu do drugiego musi wspinać się na dzielące je odgałęzienia Sefidu, przez które prowadzą wysoko położone wąwozy. Takiemi wąwozami są Kurd Kabul (7000') (klęska Anglików 1842 r.) i Karkacza (7.500') (broniony przez warownię Tessin), przez które przechodzi południowa gałęź drogi z Kabulu, oraz Latabund i Jugdullak, przez które prowadzi północna gałęź tejże drogi. Obie gałęzie łączą się ze sobą w dolinie rzeki Surkhrud, wzdłuż któréj droga dosięga warownego miasta Dżellalabadu (połowa drogi); ztąd droga idzie bez przeszkód w pobliżu rzeki głównéj przez równinę Dżellalabadu do Daki, gdzie napotyka góry Khyberu. Tutaj nie może już iść daléj wzdłuż rzeki, gdyż ta, przedzierając się przez góry, płynie bezpośrednio między ścianami skał, droga zbacza więc w kierunku południowo-wschodnim przez wąwóz Khyber (przeszło 3.000'), który się ciągnie od Daki do angielskiego fortu Dżamrud na 8 mil. Wśród tego wąwozu, tam gdzie on najbardziéj się zwęża (do 50'), wznosi się na szczycie stroméj skały, jak „orle gniazdo," fort afgański Ali-Muszid, który jednak za pomocą obejścia po ścieżkach górskich można zdobyć (Anglicy 1839, 1842, 1878 r.). Daléj ku wschodowi wąwóz się rozszerza i wychodzi pod Dżamrudem na równinę Peszaweru, który jest wielką warownią, broniącą Indyj od najścia z Afganistanu, tak jak Dżellalabad broni Afganistanu od najścia z Indyi; ostatni prócz tego, jak wiemy, panuje nad drogą do Afganistanu przez Pamir. Wąwóz Khyber ma w historyi wojen i wędrówek ludów ogromne znaczenie: tędy zapewne dostali się do Indostanu Aryowie i zawojowali pierwotne tamtejszy ludy, następnie wszyscy wielcy zdobywcy Indyj, jak Aleksander W., Seleucus, Mahmud, Timur, Baber, Nadir Szah, nie licząc częstych najść Afganów, przechodzili przezeń i przeprawiali się następnie przez Indus pod Attokiem, gdzie prąd rzeki wolnieje i umożliwia przeprawę. W obecném stuleciu już cztery razy wkraczali tędy Angicy (1839, 1842, 1878 i 1879). Jak pod względem strategicznym, tak i pod względem handlowym droga przez Khyber utrzymała swe znaczenie od najdawniejszych czasów do chwili obecnéj. Prócz tego miała ona niegdyś ważne znaczenie dla rozszerzenia się buddyzmu z Indyj do Azyi północnéj (Stupas, But-Bamian), a potém islamu do Indyj. W naszém stuleciu stała się ona niestety drogą cholery, która ze swéj ojczyzny, Indyj, doszedłszy do Kabulu, rozgałęziała się ztąd przez Hindukuh do Turkiestanu, a przez Herat do Iranu, zkąd przeszła i do Europy. W przyszłości może tą drogą rozszerzy się w Afganistanie z Indyj europejska cywilizacya.

Linia rzeki Indu, gdzie zbiegają się wszystkie drogi Afganistanu, jest dla Anglików taką samą podstawą operacyjną przeciw Afganistanowi, jak Amu-Daria dla Rosyan. Lecz linia Indu ma pod tym względem wielką wyższość nad linią Amu-Darii, bo najprzód leży bliżéj wschodniego afgańskiego walu (Soliman), niż Amu-Daria północnego (Hindukuh), powtóre drogi i przejścia od niéj do Afganistanu są daleko dogodniejsze niż od Amu-Daryi, i nakoniec wzdłuż téj linii idzie kolej żelazna, połączona z siecią kolei indyjskich, podczas gdy linię Amu-Darii oddzielają od Rosyi europejskiéj rozległe, trudne do przebycia stepy.

VI.

Dopiero po obznajomieniu się z drogami Afganistanu możemy dostatecznie ocenić *strategiczne i handlowe znaczenie trzech głównych centrów osiadłego życia w Afganistanie*: Heratu, Kandaharu i Kabulu (każdy około 60.000 mieszkańców).

W *Heracie* krzyżują się cztery drogi: jedna prowadzi z Turkiestanu (Merw), druga z Persyi (Meszed), trzecia do Kabulu, czwarta do Kandaharu i Kabulu. Droga z Persyi, oddzielonéj trudnemi do przebycia pustyniami od Afganistanu, jest prawie jedyną komunikacyjną arteryą między dwoma krajami; Herat więc dla Persów jest kluczem Afganistanu. Ztąd jego strategiczne znaczenie, ztąd ciągłe walki oń z Persami (1508 r. zdobyli go Persowie, 1715 odebrali go Afganie, 1731 zdobył go Nadirszach perski, 1749 odebrał Achmed król afgański, 1856 r. korzystając z wojen domowych, zajęli go znów Persowie, 1862 odebrał go Dost Mohamed, emir Afganistanu). Lecz i dla władców Turanu, w obec trudnych przejść przez Hindukuh, Herat, leżący już u znacznego obniżenia północnéj krawędzi Iranu (niski łańcuch Barkhut, zachodnie przedłużenie Sefidkuhu) i u wyłomu rzek Turano-afgańskich, ma także znaczenie owego „klucza“. Zdobywali go Dżengishan, Kulikhan, Tamerlan, w 1879 zagrażała mu rosyjska wyprawa Łomakina, a obecnie -Komarowa. Ze względu to na Herat Anglicy obawiali się zawsze zajęcia Merwu (zkąd w dziesięć dni marszu można stanąć w Heracie) przez Rosyan; Rosyanie zaś dążyli do jego zajęcia, by stać na straży Heratu. Gdyby bowiem Herat zajęli Anglicy, to zagrażaliby posiadłościom rosyjskim w Turkiestanie i rozpostarliby swój wpływ na Persyę, a podając tym sposobem rękę istniejącemu już wpływowi na Turcyę (dolina Eufratu, Azya Mniejsza i Cypr) odnowiliby z czasem państwo Aleksandra W. Gdyby zaś Herat zajęli Rosyanie, to obróciliby w ni-

wecz angielskie poszukiwania umiejętnéj granicy po za Solimanem i na seryo zagroziliby Indyom.

Kandahar ma prawie centralne położenie w przecięciu się przekątni afgańskiego czworoboku i prócz tego leży w połowie półkola, które tworzy „Droga Królewska“. Stąd rozchodzą się drogi do Heratu, Kabulu i Quetty. Kandahar ma więcéj handlowe niż strategiczne znaczenie, gdyż okoliczne wyniosłości panują nad jego fortyfikacyami, a z Merwu można prędzéj stanąć w Heracie niż z Kandaharu.

W *Kabulu* lub w jego okolicach krzyżuje się 4—6 dróg. Najprzód dwie drogi z Turkiestanu, z których jedna idąca doliną Baranu jest zbiegowiskiem dróg prowadzących przez wszystkie zachodnie wąwozy Hindukuh od Chewak do Szibertu włącznie, druga zaś prowadzi wprost do doliny Kabulu przez wąwozy Bamiańskie. Powtóre dwie drogi z Heratu, jedna bezpośrednia, druga przez Kandahar i Ghaznę. Nakoniec dwie drogi do Indyj: jedna Khyberska wprost z Kabulu, druga Kurumska, oddzielająca się nieco na południe Kabulu od drogi prowadzącéj z tego miasta do Ghazny. Tym sposobem Kabul leży w najobfitszym węźle dróg (*τριοδος* u Strabona), w ognisku promieni górskiego amfiteatru (podobnie jak Turyn), a mając, jak wiemy, przewagę klimatyczną nad również korzystnie pod względem komunikacyjnym położoną Ghazną, najbardziéj nadaje się na stolicę kraju.

Powyższe punkta przecięcia się dróg w kraju, jakkolwiek nieposiadającym do wywozu wielu własnych płodów (wełna, owoce suszone, asafetyda), ale zajmującym stanowisko przejściowe, mają oddawna prócz strategicznego wielkie znaczenie handlowe. Herat na granicy z Persyą jest pośrednikiem w handlu między tém państwem a Indyami (przez Kandahar i Bolan); Heratczyk jest w Afganistanie uosobieniem celnika. Kabul jako leżący u zbiegu dróg z Turkiestanu jest pośrednikiem w handlu między tym ostatnim, a Indyami, z których do Turkiestanu idą przedmioty europejskiego przemysłu (stąd i we względzie handlowym krzyżują się w Afganistanie interesa rosyjskie z angielskiemi). Handlowe znaczenie Kabulu sięga odległéj starożytności: Nazwę jego (*καβουρα* u Ptolomeusza) wywodzą od wyrazu zendzkiego, oznaczającego emporyum. Kandahar, leżący po środku kraju i dróg jest pośrednikiem w handlu między Heratem i Indyami, oraz między Heratem i Kabulem. Ważne znaczenie tych miast, a w ogóle Afganistanu w tranzytowym handlu między Turkiestanem, Persyą i Indyami stanowi główne źródło jego państwowych dochodów, bądź w postaci cła od przewożonych towarów, bądź w postaci opłat od karawan za prawo pastwisk

VII.

Poznawszy fizyko - geograficzne stosunki Afganistanu, przejdźmy teraz do jego stosunków *etnograficznych i dziejowych*, które rozwinęły się na tle pierwszych.

Mieszkańcy Afganistanu, jako kraju przejściowego i górzystego, przedstawiają mieszaninę różnych narodów, podobnie jak np. mieszkańcy Kaukazu, leżącego na przejściu z Azyi do Europy. Już sułtan Baber dziwił się mnogości języków, któremi mówiono w tym kraju. Prócz głównéj masy ludności, Afganów, znajdują się tu jeszcze liczne, choć drobniejsze ludy, będące bądź autochtonami wypartymi w góry, bądź późniejszymi przesiedleńcami. Ci ostatni znowu są po części resztkami przeciągających tędy zdobywczych hord, po części przez nie zostali tu przesiedleni, po części przybyli tu dobrowolnie w celach handlowych. Ważniejsze z tych narodów są:

Kafiry albo *Siapusz*; pierwsza nazwa znaczy „niewierni“ i została im nadana z tego powodu, że nie dali się nawrócić na islam; druga znaczy „czarno odziani“, rzeczywiście bowiem dawniéj ubierali się oni przeważnie w skóry czarnych kóz. Kafiry mieszkają w północno-wschodniéj części Hindukuh na wschód od przejścia Chewak, w alpejskiéj krainie, zwanéj Kafiristanem. Podanie o pochodzeniu ich od legionów Aleksandra W. jest bajką. Już *a priori*, ze stanowiska geografii porównawczéj, jest to nieprawdopodobne, albowiem w niedostępnych górach znajdujemy zwykle ludy pierwotne, wyparte tam przez późniejszych zdobywców, nie zaś kolonie tych ostatnich; dość wspomnieć góry Walii, Szkocyi, Karpaty, Biskaję, Atlas itd. Zresztą prof. Trumpp, znakomity znawca języków wschodnich, który przebywał dłuższy czas w Peszawerze, owém etnograficznem muzeum Indyj, Iranu i Turanu i tam badał różne języki, sprawdził na podstawie lingwistycznéj, że Kafiry nie są bynajmniéj potomkami Macedończyków, lecz resztkami pierwotnego ludu Hindu, wypartemi w niedostępne góry. Pod względem cech fizycznych zbliżają się do europejskiego typu, zdarzają się u nich nawet jasne włosy i niebieskie oczy. Kobiety kafirskie, podobnie jak opiewane przez poetów Czerkieski i Gruzinki, słyną z piękności i stanowią również jak te ostatnie upragnioną zdobycz i dumę haremów; są one też powodem ciągłych wojen między różnemi pokoleniami kafirskiemi, praktykującemi egzogamię. Kafiry mówią językiem pokrewnym sanskrytowi i wyznaję religię pokrewną religiom wedyckim, pomięszaną z różnemi zabobonami. Odznaczają się niepospolitém męstwem, zamiłowaniem swobody i nienawiścią do mahometan;

moralnym obowiązkiem każdego Kafira jest ściąć głowę czterem wrogom; prawo nie wymaga większéj liczby, pochwala jednak tych co „dla własnéj satysfakcyi“ pozwalają sobie na więcéj. To téż Kafiry, raz ustąpiwszy w góry, nie dali się podbić, mimo ciągłych wypraw fanatycznych mazułmanów pod wodzą takich zdobywców, jak Timur, Baber, Akbar chan, Nadir szah. Kafiristan pozostał podobnie jak Abisynia, Biskaja i Czarnogóra wyspą śród muzułmańskiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o te naturalne górskie warownie.

Tadżiki jestto naród perskiego pochodzenia, choć zresztą dość zmieszany z obcemi elementami; dla tego obok pięknych perskich typów napotykają się i inne. Mieszkają oni po miastach wzdłuż zachodniéj granicy Afganistanu (zwani tu Parsiwan, są autochtonami), w zachodniéj części Kohistanu (doliny Ghorbendu i Pandżiru) i w żyznych dolinach systematu Hilmendu. Mówią po persku, zajmują się przemysłem, handlem i rolnictwem, wyznają islam sekty szyickiéj; są chciwi i nie przebierają dróg, prowadzących do zbogacenia; służalczość, fałszywość, chytrość, pochlebstwo itp., są cechami ich charakteru. W ogóle zajmują oni w Afganistanie i krajach sąsiednich podobne stanowisko jak żydzi w Europie (1).

Hazareh i *Aimak*, ludy mongolskie, pozostałe z armii Dżengischana, zamieszkują góry Paropamizu (Hazareh na pn.-wschód od Aimak); za czasów Babera mówili jeszcze swym rodowitym językiem, obecnie mówią po persku, z wyjątkiem małéj cząstki, zamieszkałéj w najbardziéj niedostępnych górach. Jest to zjawisko zwane w etnologii lingwistyczną pseudo-morfozą (2). Ludy te wiodą życie pasterskie (kozy, owce, bydło, konie) i podobnie jak wiele ubogich górskich ludów (Sabaudya, Galicya, Dalekarlia itp.) wędrują za zarobkiem do miast afgańskich. Są to ludy miłujące wolność (tworzą demokratyczne respubliki) i waleczne, które dzięki niedostępnéj przyrodzie swych gór, podobnie jak Kafiry, zachowały swą niepodległość: pochody Babera i Nadira przez ich kraj były również jak

---

(1) Tadziki zamieszkują także prowincye na północ od Hindukuh wraz z Uzbekami, plemieniem tureckiém, które prowadzi częścią koczujące, częścią osiadłe życie.

(2) Mineralogowie, mówi Peschel, odkryli, że czasami części składowe kryształu bywają uniesione przez wodę, a w opróżnione miejsce wciska się obcy minerał i przybiera przeciwną jego naturze maskę kryształu; taki łudzący kształt nauka nazywa pseudomorfozą. Podobny proces w zjawiskach językowych odkrył Fallmerayer. Język grecki utrzymał się w swéj dawnéj siedzibie, ale etnograficzny materyał hellenizmu został rozłożony i uniesiony, a na jego miejsce osadziły się obce, mianowicie słowiańskie składniki i utworzyły lingwistyczną pseudomorfozę (Peschel - Ruge, Geschichte der Erdkunde 1878, str. 802).

i Aleksandra W. (wówczas kraj Paropamizadów) bardzo uciążliwe, tak z powodu przeszkód naturalnych, jak i waleczności mieszkańców. Nawet między sobą ludy te z powodu różnic religijnych (Hazareh są szyici, Aimak sunici), prowadzą, podobnie jak Maronici i Druzowie na Libanie, zacięte walki.

Kisilbaszi, plemię tureckie, przesiedlone przez Nadira do Kabulu, mówią po turecku, wyznają islam sekty szyickiéj, stanowią kawaleryę emira, oraz klasę urzędniczą.

Prócz tych, są jeszcze w Afganistanie w nieznacznéj ilości *Ormianie*, *Żydzi*, *Persowie*, *Hindki* (z Indostanu) itd. osiedleni jako handlarze lub przemysłowcy.

Przeważną jednak część ludności Afganistanu stanowią *Afganie*, mieszkający głównie na południe linii Herirud-Kabul, którą przekraczają tylko we wschodniéj części. Prócz tego część Afganów wywędrowała po za naturalne granice kraju na wschodzie i mieszka między Solimanem i Indem, szczególniéj na dolinie Peszaweru. Nazwa Afgan, etymologicznie nie objaśniona, jest tylko konwencyonalno-literacką (1), sami Afganie nazywają siebie Pasztunah lub Paktunah i według zwyczaju muzułmańsko-azyatyckich narodów wywodzenia swego rodu od biblijnych znakomitości (np. Turcy od Jafeta) uważają się za potomków Izraela. Podanie to jest bajką, mimo to, że niezbyt dawno znaleźli się, według wyrażenia Vambery'ego, „mocni w biblii“ (bibelfest) Anglicy, którzy zapisywali całe kolumny „Timesa“ w obronie żydowskiego pochodzenia Afganów; na szczęście bowiem znaleźli się też „mocni“ w innéj gałęzi wiedzy, a mianowicie w lingwistyce, którzy dowiedli, że w języku Afganów nie ma ani jednego wyrazu hebrajskiego (prof. Trumpp) i że w ogóle język ten nie ma nic wspólnego z językami semickiemi. Według tych lingwistycznych badań, Afganie należą do aryjskiego szczepu i są narodem przejściowym między Persami i Indusami—narodem indo-perskim. Rzeczywiście zachodni Afganie pod względem fizycznym, pod względem zwyczajów, obyczajów i języka, mają wiele wspólnego z Persami, wschodni—z Indusami. Wschodni Afganie, zwani wogóle Berduranami, zamieszkują wschodnie góry graniczne Soliman i odnogi Hindukuh i dzielą się na wiele pokoleń, z których ważniejsze są: Jusufsaj, zamieszkujący dolinę Kunaru, Pandżikory i Swatu, daléj na południe plemiona Khyberu (np. Afrydzi) i plemio-

---

(1) Niektórzy jednak wyprowadzają tę nazwę od sanskryckiego wyrazu Asvaka (Assaka), co znaczy jeździec (Ob. Vivien de St. Martin. Nouveau dictionnaire de Geogr. Univers., str. 25).

na właściwego Solimanu (np. Wasiraj). Plemiona zachodnie zamieszkują zachodnią część kraju od rzeki Farehrud do Solimanu i od gór Hazareh i rzeki Kabul prawie do południowéj granicy. Do plemion tych należą Durani, najliczniejsze ze wszystkich plemion afgańskich, zamieszkujące zachodnią część kraju od rzeki Farehrud do Tarnak i Gilsaje—na wschód od nich.

Co do cech fizycznych, to Afganie są smukli, lecz dobrze zbudowani, szczególniéj Durani i Gilsaje odznaczają się niezwykłą siłą. Włosy mają ciemne i bujne, oczy czarne i pełne ognia. Nosy orle i gęste brody nadają ich fizyonomii wiele powagi. Kolor skóry u wschodnich plemion (Berdurani), podobnie jak u Indusów ciemny, u zachodnich oliwkowy. Piękność ich powierzchowności podnosi jeszcze obfitość uzbrojenia i strój malowniczy, o który więcéj dbają niż o swe mieszkania, składające się z namiotów ze skóry baraniéj lub domów z niepalonéj cegły.

Język Afganów zwany Paszto albo Pakto, należy do pnia indoeuropejskiego; nie jest on dyalektem perskiego lub indyjskiego, lecz stanowi mowę samodzielną, mającą pewne cechy wspólne z obydwoma powyższemi językami i dzieli się według tego na dyalekt wschodni i zachodni. Z biegiem czasu, gdy powstawały nowe pojęcia, nowe potrzeby, a do ich wyrażenia nie było w ubogiéj i nieokrzesanéj mowie afgańskiéj wyrazów, weszło do niéj wiele wyrazów perskich i arabskich. Dźwięki afgańskiéj mowy są twarde i gardłowe „jak gdyby zimny wicher, pędzący ze śnieżnych szczytów Hindukuh, zmuszał mówiących do przymykania ust“. To téż Persowie żartują sobie z nieokrzesanéj mowy Afganów: Burnes opowiada, iż w czasie jakiéjś uroczystości w Kabulu pewien dowcipny Pers występował jako komik i improwizator. Chcąc przedstawić charakterystyczne cechy różnych narodów, obrał sobie temat: jak umarli każdego z nich będą przyjmowani przez proroka u bram raju (na straży których umieścił Heratczyka, jako przebiegłego i chciwego urzędnika celnego). Otóż, gdy między innymi zapukał Afgan, Prorok nie zrozumiał jego barbarzyńskiéj mowy, uznał, że jest mową piekieł i że dla mówiących nią nie ma miejsca w niebie. Dykteryjka ta przypomina podobne o niektórych trudnych do wymawiania europejskich językach: o czeskim np. istnieje dykteryjka, że gdy przesłano pierwszą telegraficzną depeszę po czesku, drut telegraficzny porozrywał się. O biskajskim zaś powiadają, że dyabeł uczy się go w Bilbao przez lat wiele, lecz w końcu uciekł biedak, nie mogąc nauczyć się więcéj nad trzy słowa itp.

Przemysł i handel stoją u Afganów na niskim stopniu; zajęcia te pozostawiają oni Tadżikom, sami zaś prowadzą życie koczujące,

pasterskie; tylko ci, co zamieszkują żyzne doliny nadrzeczne, np. dolinę Hilmendu, także niektóre doliny Solimanu, a głównie doliny Kunaru, Pandżikory i Swatu (Isufsai), zajmują się rolnictwem. Koczujące ruchliwe życie Afganów wpłynęło na rozwój poczucia swobody, niezależności i odwagi—cech charakteru, któremi Afganie różnią się wybitnie od swych niewolniczych i tchórzliwych sąsiadów, osiadłych Indusów i Tadżików. Mimo ciągłych przejść zdobywców przez ich kraj, Afganie nigdy nie byli zupełnie podbici. Odwaga jednak w obec ubogiéj górskiéj lub pustynnéj przyrody, łatwo wyradza żądze rabunków i mordów, a kontrast ubogiéj pustyni z bogactwem, sąsiednich oaz jeszcze bardziéj podsyca tę żądzę: „inni mają ziemię, a my— siłę“, powiadają Afganie. To téż zdaniem Vambery'ego, żądzą tą Afganie odznaczają się bardziéj nawet, niż na równym stopniu kultury z nimi stojący Semici i Altajczycy; „Bóg niech cię strzeże od zemsty słonia, węża i Afgana“, mówią mohometanie indyjscy. Szczególniéj słyną z odwagi i żądzy rabunków Gilsaje, którzy w 1842 r. zniszczyli całą armię angielską w Khur Kabulskim wąwozie, a 1870 r. wymordowali angielskie poselstwo w Kabulu; także Wasirai w Solimanie i Afrydzi, którzy trzymając w swych ręku wąwozy Khyberskie, pobierają opłatę za wolny przepust karawan lub wojsk. Wszyscy władcy Afganistanu, nawet tacy wojownicy jak Nadir szah, musieli im się opłacać; a jakkolwiek Anglicy po zawładnięciu Indyami, chcąc położyć koniec wycieczkom rozbójniczych górali na dolinę Indu, pobudowali u wyjść z ważniejszych dolin Solimanu (podobnie jak Rosyanie na Kaukazie a Francuzi w Algierze) szereg fortów, to jednak dla bezpieczeństwa muszą się także uciekać do opłat i podarków, a i to nie pomaga, jak tego dowiodły liczne napady górali na tyły angielskich kolumn tak khyberskiéj jak i kurumskiéj w 1878 r.

Owo poczucie wolności, będące wybitną cechą charakteru Afganów, odbija się także w stanowisku kobiety, jak i w ogóle w stosunkach społecznych i politycznych. Kobiety afgańskie nie żyją bynajmniéj w takiém odosobnieniu jak w ogóle na wschodzie i mają daleko więcéj wolności, mają nawet pewne przywileje, przypominające czasy średniowiecznéj szwaleryi: Afganka, która pośle jakiemuś, choćby zupełnie nieznajomemu, mężczyznie swą zasłonę, może być pewną jego pomocy i obrony w potrzebie. Poligamia trafia się rzadko i to tylko u bogatych. Wprawdzie mężczyzni kupują sobie żony, to jest płacą ojcu za córkę pewną sumę, lecz to nie tylko nie wpływa ujemnie na stosunki małżeńskie, ale owszem uszlachetnia i wzmacnia wzajemną sympatyę, wymagając często obopólnéj ofiary. Młody człowiek, nie mogąc często złożyć wymaganéj przez ojca sumy,

udaje się w dalekie strony, nawet do Indyj, na czas dłuższy i tam zebrawszy sobie pieniądze, powraca do oczekującéj nań kochanki, aby osiągnąć cel upragniony. Przysłowie afgańskie oddaje pochwały tamtejszym kobietom: „po bogactwa idź do Indyj, po uciechy do Kaszmiru, po dobrą żonę do Khorossanu“. Według prof. Trumppa, Afganie są jedynym (?) narodem Azyi, u którego wyraz miłość („minah“) pojmowany jest w naszém wyższém znaczeniu.

Zamiłowanie wolności odbija się i w formie rządu: Afganie wyznają pod tym względem téż same zasady liberalne, co w ogóle nomadzi azyatyckich stepów. Jak Turkomanie mówią o sobie: „my nie potrzebujemy książąt, myśmy wszyscy równi, u nas każdy królem“, i chwalą się dumnie, że „nie spoczywają ani pod cieniem drzew ani pod opieką króla“; tak podobnież pewien Afgan odpowiedział posłowi angielskiemu, który przedstawiał mu korzyści z porządnie uorganizowanego rządu: „My jesteśmy zadowoleni z naszych kłótni, rozruchów i krwawych zatargów, lecz nie ścierpimy nad sobą żadnéj zwierzchności“. To téż rzeczywiście Afganistan jest zbiorem wielu respublik, po większéj części demokratycznych; Afganie bowiem dzielą się na pokolenia (ulus), a te na podpokolenia, czyli klany (kheil), tych pokoleń i podpokoleń ma być według rachuby afgańskich genealogistów aż 395. Na czele pokolenia stoi chan, na czele klanu malik; maliki zależą od chanów, a ci od emira rezydującego w Kabulu. Jednakże władza tych naczelników jest bardzo słaba: chanowie niewiele zależą od emira, a maliki—od chana. Pojedyńcze jednostki również nie wiele zależą od malików i chanów i ogólne sprawy rozstrzyga zebranie ludowe (dżerga), nieraz bardzo burzliwe. Podpokolenia w częściach kraju górzystych, złożonych z odosobnionych dolin, stoją w bardzo słabym związku z pokoleniem i często odosobniają się powoli, tworząc samodzielne pokolenia; wszystko dąży tu do jaknajwiększéj decentralizacyi. Niektóre pokolenia górskie nie mają nawet chana (Jusufsai, Khyberowie, pokolenia Solimanu) i składające je podpokolenia łączą się ściśléj tylko w czasie wojny. Tylko w zachodniéj części kraju, gdzie rozciąga się szerzéj nieprzerwana górami wyżyna (u Duranów), panuje większa łączność między podpokoleniami; tam téż rozwinęła się arystokracya rodowa i władza chana jest nieco silniejsza, zawsze jednak jest on, jak się wyraża Trumpp, tylko „primus inter pares“.

Afganie wyznają religię mahometańską przeważnie sekty sunickiéj, nie są oni jednak zbyt fanatyczni i koran nie ma dla nich takiego uroku, jak dla innych mahometan (szczególniéj w kwestyach prawnych nie posługują się koranem, lecz swém dawném prawem zwyczajowém: „pasztunwal“). Religia jest dla nich tylko płaszczy-

kiem, jeżeli chcą wywrzéć swą osobistą zemstę, wykonać mord lub grabież na ludziach innéj wiary. Po za interesem własnym są oni tolerancyjni i wolnomyślni; opowiadają o pewnym wojowniku afgańskim, iż zeszedłszy mollaha na kopiowaniu koranu, zabił go, mówiąc: „ty bezczelny łgarzu! twierdzisz, że ta książka z nieba pochodzi, a ja cię złapałem jak ją sam piszesz“.

W ogóle Afganie są narodem inteligentnym, wrażliwym na każdą nowość, chciwym dowiedziéć się o rzeczach nieznanych; mają oni w swych wsiach i obozach szkółki i znaczna ich część umie czytać i pisać. Z czasem europejska cywilizacya zapewne przyjmie się i rozwinie między nimi lepiéj niż u innych narodów azyatyckiego lądu i zapewni im ważną rolę w cywilizacyjnym postępie Azyi.

VIII.

Rozwój *dziejowy* Afganistanu wyraża się głównie w ciągłych przemarszach przezeń różnych zdobywców do Indyj, którzy po większéj części, chcąc być bezpiecznymi od tyłu, zakładali najprzód państwa w samym Afganistanie. Lecz państwa te w kraju górzystym, wśród plemion wojowniczych, miłujących wolność nie miały silnych podstaw, upadały, a na ich miejsce z chaosu wojen domowych wyłaniały się nowe państwa, również bez silnych podstaw, również nietrwałe.

Przemarsze obcych zdobywców zaczęły się w głębokiéj starożytności, kiedy jeszcze imię Afganów nie było znane. Jakkolwiek bowiem postać Semiramidy jest mityczną, to pochód Asyryjczyków przez ten kraj, według Dunkera, nie ulega kwestyi. Znany jest daléj pochód Aleksandra W., jak również i Seleuka. W ową epokę Afganistan zamieszkiwały po części irańskie, po części indyjskie i mongolskie ludy, wtedy to buddyzm znajdował przez wschodnią część tego „kraju przechodów“ swe ujściowe koryto z Indyj do Azyi północnéj; podczas gdy w zachodniéj panowała religia Zoroastra. Późniéj na początku wieków średnich wtargnęli tu Arabowie, postępując ku wschodowi wzdłuż wyżyny Iranu, wyparli oni pierwotne religie i zaprowadzili islam, który miał następnie przejść stąd do Indyj.

Dotąd nie słychać nic o Afganach, zresztą „Παχτυες“ w wojsku Kserksesa, o których wspomina Herodot, odpowiadają, według Trumppa, dzisiejszym Paktunach. Pierwszą jednak wzmiankę o Afganach pod tą nazwą spotykamy dopiero w VII wieku po Chr. u ich historyka Ferischta. Według niego, Afganie mieszkali pierwiastkowo w krainie Ghor (czyli Ghar co znaczy góry) i stąd wywędrowali na zachód i północ. Z téj wskazówki, oraz ze w skazówki Herodota,

że kraj Paktyika, gdzie mieszkali owi Paktyes, leżał na granicy Indyj, nakoniec stąd, że dawniéj Afganów zwano Sulajmanami, prof. Trumpp wyprowadza wniosek, że pierwotną ich ojczyzną są góry Soliman. Czynnie występują Afganie w historyi dopiero około 1000 r. gdy sułtan Mahmud z Turkiestanu założył państwo Ghaznewidów i na czele Afganów pierwszy z mahometańskich władców przeszedł Indus, jak niegdyś Aleksander W. Lecz w dwa wieki niespełna powstają Afganie, obalają państwo Ghaznewidów, wkraczają do Indyj i zakładają czysto afgańskie państwo Ghoridów. Napady mongolskich zdobywców, Dżengischana w XIII i Timura w XIV wieku, na to państwo chwilowo tylko niem wstrząsnęły. Ale sułtan Baber, potomek Timura, ów „Cezar Wschodu," który w swych „Pamiętnikach" pierwszy dał nam dokładne wiadomości o Afganistanie i Afganach, położył na początku XVI wieku kres ich panowaniu: utwierdziwszy się najprzód w Kabulu, a potém wkroczywszy do Indyj i zwyciężywszy Afganów pod Paniputem w pobliżu Dehli, założył tam potężne „państwo Wielkiego Mogoła." Wtedy Afganistan, rządzony przez namiestników W. Mogoła stał się baryerą między państwem perskiem i państwem W. Mogoła w Indyach (jak obecnie między Rosyą i Anglią). Persowie prowadzili ciągłe walki o Afganistan z państwem W. Mogoła i zajęli zachodnią część tego kraju (Herat, Kandahar). Lecz mężne Afgańskie plemię Gilsajów wyparło Persów, a nawet zawładnęło Persyą. Dopiero Nadir 1729 r. wygnał Afganów z Persyi, przeszedł zwycięzko przez Afganistan do Indyj i po bitwie po Paniputem zajął Dehli.

Ze śmiercią Nadira 1747 r. upadło i jego państwo: Achmed szach z drugiego potężnego afgańskiego plemienia Duranów zrzucił nienawistne jarzmo szyickich Persów i koronował się w Kandaharze królem Afganistanu, Achmed powielekroć wkraczał do Indyj i zwyciężywszy Mahratów pod Paniputem, utwierdził tam swą władzę; za jego panowania państwo Afganów dosięgło najwyższéj potęgi i rozciągało się od morza Kaspijskiego do Dżumny i od Oksu do Indyjskiego Oceanu. Lecz już przy końcu XVIII w. państwo to zaczęło się rozpadać w wojnie domowéj między wnukami Achmeda (Firuz, Machmud, Ziman, Szudsza) i wodzami pokoleń z czego korzystali Persowie, wkraczając z zachodu i Sikkowie—ze wschodu.

Nareszcie w 1833 Dost Mohamed z pokolenia Duranów, klanu Baraksai, położył koniec wojnom domowym. Wkroczył do Indyj, pobiwszy Sikksów, rozszerzył swe granice ku wschodowi i zaczął panować w Kabulu nad szczuplejszem już państwem, przyjąwszy tylko tytuł księcia (emir). Za panowania Dost Mohameda zaczęły się już w Afganistanie krzyżować interesa rosyjskie z angielskiemi i powsta-

ła rywalizacya dwóch potęg, Romy i Kartagi naszych czasów, lądowego „niedźwiedzia,“ co wstrząsa kratami kontynentalnego więzienia, i morskiego „polipa“, co ramionami swemi osnuł wszystkie wybrzeża. Wtedy już spotkali się tutaj wysłannicy obu państw, oficerowie Witkowicz i Burnes (jak późniéj Stoletow i niedopuszczony do Kabulu Chamberlain). Anglicy nie mieli szczęścia w dyplomacyi, wypowiedzieli więc wojnę Dost Mohamedowi. W 1839 r. wojska angielskie wkroczyły przez Khyber i Bolan, zajęły Kandahar, Ghaznę i Kabul, wzięły w niewolę Dost Mohameda a osadziły na tronie wygnanego w czasie wojen domowych szacha Szudszę. Anglicy sądzili, że Afganistan stał się lenném państwem, lecz nie znali kraju i jego mieszkańców: nastąpiło smutne rozczarowanie. Już 1841 r. w zimie, gdy pomoc z Indyj była niemożebna, wybuchło powstanie pod wodzą syna Mohamedowego Akbara. Armîa angielska, stojąca w Kabulu pod wodzą generała Elphinstona, zmuszona została do odwrotu, podobnego do odwrotu Francuzów z Moskwy; w tym bowiem odwrocie, w czasie srogiéj zimy na początku 1842 r., armia angielska została w wąwozie Kurd Kabulskim do szczętu zniszczona; Anglicy przekonali się dotkliwie o trafności słów Achmeda szacha: „Niedowierzajcie memu ulowi: pszczoły w nim są, ale miodu nie ma.“ Jeden tylko człowiek z dwudziestotysięcznéj armii uszedł do Dżellalabudu, aby dać znać trzymającym się tam Anglikom o straszliwej klęsce... Wprawdzie tegoż samego jeszcze roku Anglicy pod wodzą Polloka wkroczyli znów przez Khyber, zajęli Kabul i pomścili klęskę, ale zawsze znaczenie ich w Azyi centralnéj zostało zachwiane. Nauczeni doświadczeniem pierwszéj wyprawy, cofnęli się oni szybko z Afganistanu, pozostawiając go swemu losowi. Dost Mohamed wypuszczony z niewoli znów objął rządy kraju. Raz jeszcze miał on zamiar wystąpić przeciw Anglikom i wkroczył do Indyj dla wsparcia Sików, lecz gdy ci zostali pobici przez Anglików, Dost Mahomed powrócił do kraju i żył odtąd w zgodzie z Anglikami, powiększając swe państwo zdobyczami na północ Hindukuh i Heratem odebranym po długich walkach Persom.

Po śmierci Dost Mohameda 1863 r. wstąpił na tron syn jego Szir-Ali, lecz wkrótce zmuszony był prowadzić walkę z braćmi ze zmiennem szczęściem, tak iż na dwa lata (1866 do 1868) utracił tron. Anglicy „sparzywszy sobie już raz palce po za Solimanem,“ przypatrywali się obojętnie, z „mistrzowską (?) bezczynnością“ téj wojnie domowéj i na prośbę Szir-Alego o pomoc odpowiedzieli życzeniem pogodzenia się z losem. Od tego czasu datuje nienawiść Szir-Alego do Anglików, którzy w nieszczęściu opuścili go, a gdy potém, dzięki swemu zwycięztwu pod Ghazną, tron odzyskał, znów weszli z nim

w przyjazne stosunki. Jednak Szir-Ali umiał nienawiść swą do czasu pokrywać i złudzić Anglików pozorną przyjaźnią.

Tymczasem wskutek układu między Anglią i Rosyą 1872 r., że Amu-Daria ma stanowić granicę interesów i zawojowań rosyjskich i angielskich (jak niegdyś Ebro—rzymskich i kartagińskich), granice Afganistanu rozciągnęły się na północ do Amu-Darii, a niedługo potém Rosyanie, zawojowawszy 1873 r. część Chiwy a 1875 Khokand, stali się bliskimi sąsiadami Afganistanu i zawiązali z nim ściślejsze stosunki. Od tego czasu Szir-Ali zaczął coraz jawniéj okazywać swą niechęć Anglikom, którzy obawiając się o swój wpływ w Afganistanie, porozumieli się z Beludżystanem i obsadzili warownię Quettah u wyjścia wąwozu Bolan, klucz do Afganistanu z południa. Niechęć obustronna wzrastała; tymczasem wybuchła wojna wschodnia. Rosya, chcąc odpłacić Anglikom za sprzyjanie Turcyi i narobić im kłopotów, wysłała 1878 r. poselstwo Stoletowa do Kabulu; niebawem toż samo uczynili Anglicy, lecz ich poselstwo pod naczelnictwem Chamberlaina zostało wstrzymane przez Afganów w Khyberze pod fortem Ali-Muszid. Rękawica rzucona tym sposobem Anglii została podjęta: wojska angielskie trzema kolumnami przez Khyber, Kurum i Bolan wkroczyły do Afganistanu, opanowały wszystkie ważniejsze wąwozy, zajęły Kandahar i zbliżały się ku Kabulowi; Rosyanie zaś pozostawili Afganistan własnemu losowi, bo kongres berliński sparaliżował ich plany. Szir-Ali umarł ze zmartwienia, pozostawiając tron synowi Jakub-Chanowi.

Nowy emir, widząc grożące niebezpieczeństwo, zawarł pokój w Gundamuk (1879 r.), na zasadzie którego Anglicy opuścili Afganistan i tylko pozostawili w Kabulu swego rezydenta majora Cavagnari z licznem poselstwem. Jednakże Gilsajowie wkrótce podnieśli bunt i angielskie poselstwo zostało wymordowane. Anglicy musieli po raz drugi wkroczyć do Afganistanu (1879); przeszli Khyber i Szutargardan, zdobyli Kabul, pomścili się na mordercach, wzięli do niewoli Jakub-Chana, posunęli granicę swych posiadłości do zachodniego Solimanu i gór Amran, osadzili garnizony w Kandaharze i Kabulu i zaprowadzili w Afganistanie rządy wojskowe. Ale Gilsaje ciągle się burzyli. Ghazna, owe skaliste gniazdo, stała się ogniskiem powstania; Anglicy zdobyli ją, ale obawiając się ciągłych zamieszek, osadzili na tronie Abdurrahmana, wnuka Dost Mohamedowego i znowu opuścili Afganistan (1880 r.), nie mieszając się w jego sprawy.

I znów lat kilko upłynęło; Rosya tymczasem, usadowiwszy się na wschodzie morza Kaspijskiego, zdobyła oazę Achal-Teke i zaanektowała Merw. I dopiero teraz, gdy Rosyanie stanęli już prawie u wrót Heratu, Anglicy zaczynają wchodzić w ściślejsze przymierze

z Afganistanem (zjazd Abdurrahmana z lordem Dufferinem w Rawul-Pindi).

„Afganistan, pisał przed kilku laty Vambery, jest pionem na politycznéj szachownicy Azyi centralnéj, a czy prędko wystąpi król-Rosya; to niedaleka przyszłość okaże. Lecz w każdym razie Rosya przy obecném swém stanowisku w Azyi centralnéj może robić Anglii tylko wiele niespodzianek i kłopotów; może nawet zdobyć się na jaką szaloną wyprawę pod wodzą śmiałych i awanturniczych Skobelewów, ale będą to tylko wyprawy *à la* Timur bez trwałych rezultatów; o nowéj wyprawie Aleksandra W. (lepiéj Babera) do Indyj z trwalym rezultatem, to jest zniweczeniem potęgi angielskiéj w Indyach mogłaby być tylko wtedy mowa, gdyby Turkiestan z Rosyą łączyły nie trudne do przebycia ścieżki przez suche stepy, lecz szyny kolei żelaznéj“ (1).

A obecnie szyny takie biegną już właśnie wzdłuż północnych stoków Kiurrendagu!....

IX.

Na tém kończymy niniejszy zarys Afganistanu, zwrócimy tylko jeszcze w *interesie geografii uwagę*, że nie pisaliśmy go jedynie dla

---

(1) Odprowadzenie wód Amu-Darli (Oxus) do morza Kaspijskiego mogłoby również o wiele zwiększyć szanse Rosyan w rywalizacyi ich z Anglią w Azyi centralnéj, otworzyłoby bowiem nieprzerwaną drogę wodną od Newy do Hindukuh i ożywiłoby pustynię przesmyku Truchmeńskiego, w któréj armie Perowskiego (1839 r.) i Markozowa (1872 r.) w wyprawach na Chiwę tak wiele ucierpiały i niedopięły celu. To téż podawana przed kilku laty przez gazety wiadomość, że Amu-Daria, przerwawszy tamę pod Bend w Chiwie, płynie „dawném korytem“ ku morzu Kaspijskiemu, narobiła wiele hałasu i wywołała naukowe ekspedycye w celu zbadania wylewu oraz w celu zbadania kwestyi, czy Amu-Daria łączyła się niegdyś z morzem Kaspijskiém, jak to ze starożytnych autorów zdawało się wynikać. W ostatnich czasach kwestyę tę badał inżynier Konszin i twierdzi, że Usboj nie jest dawném korytem Amu-Darii do morza Kaspijskiego, za jakie go dotąd uważano, lecz szeregiem zagłębień śród stepu, podobnych do rosyjskich bałek (Peterm. Mit. 1884 str. 35).

Fakt ten nie wyklucza naturalnie możliwości dawnego połączenia Amu-Darii z morzem Kaspijskiém inną drogą; w każdym jednak razie nie ma żadnego dowodu na to, aby w historycznych czasach Oxus wpadał do morza Kaspijskiego. Przytaczane dotąd dowody opierały się na niedość krytycznych rozbiorach ksiąg starożytnych, albowiem dowód czerpany z Herodota upada wobec tego, że autor ten pomięszał Oxus z Araxem, mającym dawniéj rzeczywiście samodzielne ujście do morza Kaspijskiego; co zaś do dowodu, czerpanego z Eratostenesa (cytowanego przez Strabona), mianowicie—dowodu polegającego na świadectwie Patroklesa, żeglarza wysłanego przez Seleuka Nikatora dla opłynięcia morza Kaspijskiego, to jakkolwiek żeglarz ten wzmiankuje rzeczywiście o ujściu Oxu do morza Kaspijskiego, jednakże, jak to okazał K. Neuman, popełnił téż błąd biorąc wąskie ujście zatoki Kara-Bogaz za ujście Oxu (Ob. Zeitschr. für Wissenschaftliche Geographie 1885 s. 271, 272).

zadość uczynienia ciekawości chwili obecnéj, owszem, staraliśmy się traktować rzecz z umiejętno-geograficznego stanowiska, przeprowadzić pewną ideę. Mianowicie staraliśmy się w myśl Rittera, tego twórcy geografii umiejętnéj, rozważać fizyczne cechy kraju w stosunku ich do człowieka, narodu, do dziejów; staraliśmy się głównie zaznaczyć te zjawiska, które w rozwoju czasu noszą na sobie cechę niezmienności, cechę ogólnych praw. Oto synteza tych zjawisk.

Położenie Afganistanu uczyniło go jedyną niemal drogą do bogatych Indyj i oto najwięksi zdobywcy od czasów najdawniejszych do naszych przechodzą przezeń lub przynajmniéj marzą o tém (Napoleon I (1)). Górzysta i pustynna przyroda kraju uczyniła go bezdrożnym, tylko niektóre wąwozy i niektóre doliny rzek wśród pustyń są stosunkowo dogodne do przejścia i oto temi sami wąwozami, temi samemi drogami przechodzą wszyscy zdobywcy, tak, iż pochód jednego jest powtórzeniem pochodu drugiego. W punktach przecięcia się dróg powstają niesłychanie ważne warownie, o które państwa staczają uporczywe walki, bo zajęcie ich przez jedno jest groźném, nawet zgubném dla interesów drugiego. Lecz te drogi, prowadzące do bogatych Indyj, nietylko strategiczne mają znaczenie: najodleglejsze narody, nawet Chińczycy, tędy prowadzą handel z Indyami, a tego handlu nie mogą zniszczyć ani ciągłe przemarsze armii, ani wywołany przyrodą kraju łupieski charakter plemion afgańskich; nadaje on tylko kupcom wojenny charakter (Powindah); punkta przecięcia się dróg są nietylko warowniami, lecz zarazem emporyami, gdzie zbiegają się kupcy różnych narodów. Okolica, gdzie najbardziéj krzyżują się drogi we wnętrzu kraju, hydrograficzny, a więc i drogowy jego węzeł, była punktem wyjścia władzy politycznéj nad Afganistanem (podobnie jak wyżyna Wałdajska na nizinie Sarmackiéj (2)) i wpływu na Indye hydrograficznie z nią połączone (podobnie jak półwysep Bałkański z niziną Sarmacką). Lecz owa władza polityczna nad zbiegowiskiem ludów, które tu osiadły w niedostępnych górach lub koczowały na stepach, nie mogła być silną; niektóre ludy utrzymały zupełną niepodległość, zależność innych była zawsze luźna. Ztąd i państwa same były nietrwałe, témbardziéj, że leżały na odwiecznéj drodze zdobywców. Różnorodność ludów, odosobnienie ich przez przyrodę nie dozwalały na ich zlanie się w jeden

---

(1) Ob. Revue des Deux Mondes 1882 str. 635, 636.

(2) Z tą różnicą, iż rzeki Sarmackie były bezpośredniemi drogami wodnemi, rzeki zaś afgańskie służyły za komunikacyjne arterye tylko pośrednio, umożliwiając drogi lądowe. (Ob. W. Nałkowski. Rzeki Wałdajsko Sarmackie. Przewodnik Naukowy. Lwów 1877).

naród, owszem każdy z tych ludów jeszcze porozdrabniał się na pokolenia i podpokolenia, bez dostatecznéj między sobą łączności, z ciągłém dążeniem do decentralizacyi, partykularyzmu. Życie wśród gór, koczowanie wśród stepów rozwinęło zamiłowanie wolności w tych ludach, które jakkolwiek wskutek braku spójni między sobą nie były wstanie przeszkodzić obcym zdobywcom do zakładania w ich kraju państw, lecz zawsze umiały prędzéj lub późniéj obalić je a w czasie ich istnienia być tylko nominalnie podległemi. Afganistan więc, podobnie jak np. Albania, Irlandya itd. należy do tych krajów, w których z powodu rozdrobnienia przez przyrodę, a ztąd i braku spójni między mieszkańcami, łatwym jest najazd, ale trudnym pokój; kraje takie są jak owe niższe organizmy zwierzęce, nie posiadające jednego głównego organu życia, których każdy organ żyje życiem odrębném i których z tego powodu niezmiernie trudno zabić. Tylko na niektórych żyznych dolinach rzek wśród stepów i pustyń powstało w Afganistanie obok życia koczującego, wolnego, życie osiadłe, niewolnicze—zjawisko powtarzające się często wśród stepów i pustyń. Ten to osiadły lud stanowił głównie poddanych całego szeregu zmieniających się państw, nie biorąc udziału w wywołaniu tych zmian, które dlań były tylko zmianami jarzma. Przeciwnie ludy górskie i nomadyczne, biorąc czynny udział w tych rewolucyach i zmianach, gdzie, jakby w jakim chaotycznym natłoku, jeden drugiego potrącał, popychał, obalał, by z kolei uledz temuż losowi, wyrobiły w sobie waleczność, energię, spotęgowały ruchliwość, która się objawiła bądź w wyprawach wojennych na sąsiednie kraje, jednak bez trwałego rezultatu, bądź w emigracyach do bogatych Indyj. Oro-i hydrograficzny podział kraju na dwie (lub trzy) pochyłości wywołał dwa (lub trzy) różne etnograficzne, a poczęści i polityczne wpływy: perski i indyjski (a po części i mongolski). Obecnie z osłabieniem państwa Perskiego, z zajęciem Indyj przez Anglików, a Turkiestanu przez Rosyan, Afganistan stał się ścianą dzielącą te dwie nowe potęgi i już uległ wpływowi obu, już po niedługim spokojnym peryodzie nastąpił dlań nowy peryod przemarszów i rewolucyj. Afganistan pod względem powyższych zjawisk geograficznych przedstawia wiele analogii ze Szwajcaryą i Hiszpanią, zwłaszcza jeżeli pojęcie geograficzne pierwszéj rozszerzymy nieco wzdłuż alpejskiego łuku. Wtedy i ona zamknie tak dostęp do bogatéj i rozkosznéj Italii, jak Afganistan do Indyj, wtedy znajdziemy w niéj przyrodę górską i formę Karstu i zdobywców przeciągających przez nią odwiecznemi drogami i wąwozami do uroczych równin Lombardyi; znajdziemy życie osiadłe obok pasterstwa na almach, znajdziemy różne wpływy etnograficzne, odpowiadające różnym pochyłościom

dolin rzecznych, znajdziemy ludy republikańskie z silném zamiłowaniem swobody, których jednak krwią dokonywali obcy zdobywcy podbojów, znajdziemy Kurd Kabul w Morgartenie itd. Podobnie wiele analogij z pół wyspem Pirenejskim wprawdzie nie co do położenia, ale pod względem budowy pionowéj i hydografii, oraz wynikających ztąd stosunków etnograficznych. Na półwyspie Pirenejskim znajdujemy także silny rozwój prowincyonalizmów, odrębności etnograficzne, a po części i polityczne, dawniéj daleko wybitniejsze, obecnie po części stłumione w walce z centralistycznemi dążeniami obszernego wewnętrznego płaskowzgórza (Kastylia) znajdujemy toż samo zamiłowanie wolności i męztwo (wyparcie Napoleona I), umiejętność prowadzenia gerilli, a zarazem i rozbójnictwo w górach, znajdujemy Kafirów w Baskach, dumnych z tego, że „kopyta arabskich hufców nie tratowały nigdy ich ziemi;" znajdujemy nawadniane sztucznemi kanałami przestrzenie (vegas) obok pustyń (campos) i życie osiadłe obok pasterskiego (merinos) itd.

Te i tym podobne objawy etnograficzne i dziejowe są, jak widzimy, bardzo wyraźnemi funkcyami fizyko-geograficznych warunków. Afganistan, podobnie jak, Szwajcarya i Hiszpania, przedstawia bardzo wdzięczne pole dla owych wyżéj wspomnianych umiejętno-geograficznych badań, tak, iż mimowoli przychodzą tu na myśl słowa Cousina: „przedstaw mi mapę kraju, jego postać, klimat, wody, wiatry, całą jego geografię fizyczną; podaj mi jego płody naturalne, jego florę, faunę itd. a obowiązuje się powiedzieć ci *a priori*, jakim jest człowiek tego kraju, jaką rolę kraj ten odegrał w historyi nie przypadkowo lecz koniecznie, nie w téj tylko epoce, lecz we wszystkich nakoniec ideę, do któréj repezentowania powołany." Są to naturalnie słowa zbyt śmiałe, nie mogą one być krótko terminowym wekslem wystawionym przez geografa, ale w każdym razie przedstawiają wysoki ideał jego wielostronnych badań.

Wacław Nałkowski.

LIRYKA HEBRAJSKA.

(Psalmy. Tłómaczył i objaśnił dr. J. Cylków. Warszawa. 1883).

Dziwne losy spotykają na świecie nie tylko pojedyńcze jednostki i społeczeństwa całe, lecz i pojęcia ludzkie, a nawet słowa. Ze szmeru nieodgadnionego, z ruchu, którego przyczyn nie mógł pierwotny wytłómaczyć sobie człowiek, powstały w jego wyobraźni zastępy duchów, mających w przyszłości rozpaść się na dwa obozy, dobrych i złych. Z okrzyku trwogi lub rozpaczy, którym swą niemoc wyrażał Akkad starożytny, wynikło tajemnicze zaklęcie. Z biegiem zaś czasu owemu zaklęciu nadaną została, przez nieświadomych pochodzenia jego, moc cudowna nad siłami przyrody; zmieniać więc ono miało naturalny rozwój wypadków, przeistaczać własności ciał, uzdrawiać chorych, udzielać jednym władzę nad drugimi, tych z przestępstw lub zbrodni uniewinniać, tamtym nakładać przez życie całe nierozwiązalne więzy, przykuwające ich do osób lub urządzeń. Ciche w Jerozolimie stowarzyszenie kilkuset żydów, oczekujących powrotu na ziemię skazanego na śmierć przez kapłanów mistrza swego, zawiązane w celu łatwiejszego i odpowiedniejszego oczekiwania, przetworzyło się w Europie we wspaniałą instytucyę religijno-polityczną, którą przenieść do innych części świata, zaszczepić we wszystkich plemionach sili się oddawna europejczyk.

Podobnież dziwnym losom podlegają niekiedy i utwory piśmienne.

Jeden z takich utworów w przekładzie nowym na nasz język przedstawia nam dr. J. Cylków. Jest to hebrajska *Sefer tehillim*.

Nowa a piękna szata, w którą przyobleczoną została ta księga, powinna zachęcić do przypomnienia sobie jéj treści, oraz poznajomienia się, chociażby pobieżnego tylko, z jéj dziejami.

1.

Pierwszy wyraz tytułu, *sefer*, daje się dosłownie przetlómaczyć, na nasz *księga*. Drugi, *tehillim*, pochodzi od słowa *halal* (błyszczał, świecił; zrobił błyszczącym, sławił) i oznacza dosłownie: *chwała, pochwała, pieśń chwaląca*. W przekładzie na język grecki *Sefer tehillim* brzmi *psalmoi*, skąd nasze *psalmy*, lub *księga psalmów*.

Więc jest to ta księga, z której pieśni rozlegają się obecnie we wszystkich językach po wszystkich świątyniach każdego z wyznań chrześciańskich, a wszedłszy do rytuału kościelnego w języku obrzędowym, towarzyszą wszystkim od kolebki do grobu ważniejszym aktom życia pojedyńczego człowieka, o ile w nie wchodzi, sankcyonując je, żywioł religijny.

Jeżeli wprowadzenie pieśni z *Sefer tehillim* do świątyń chrześciańskich wyjaśnia ta okoliczność, że świątynie te są wzniesione właśnie ku czci tego samego Jehowy, którego imię sławią te pieśni, to czyż w tym fakcie, że dotychczas jeszcze są używane, jak przed kilkunastu wiekami, nie uwydatnia się przyznanie, że nad te pieśni nic godniejszego dotychczas i dla obrzędów stosowniejszego nie utworzyły uczucie i wyobraźnia tylu narodów?

Utwory, zawarte w *Sefer tehillim*, raz będąc uznane i podane za najwyższy szczyt liryki religijnéj, służyły dla wyrażenia uczuć religijnych w chwilach najwyższego ich podniesienia i natężenia, bądź w rozwoju dziejowym narodu, bądź téż w życiu pojedyńczego człowieka. Przy śpiewie psalmów szły na siebie hufce uzbrojone, by orężem udowodnić wyższość swych twierdzeń dogmatycznych nad twierdzeniami przeciwników. Przy śpiewie psalmów postępował orszak żałobny, odprowadzający na miejsce palenia skazanego na stos za błędne przedstawianie sobie tajemniczego związku i pochodzenia trzech osób, stanowiących jedynego boga, lub nienależyte pojmowanie działania łaski i skutków odkupienia. A nuta psalmów, wraz z towarzyszącym jéj trzaskiem płonącego ogniska, była wtedy ostatnim dźwiękiem, który słyszał skazaniec, ostatniém pożegnaniem, przesyłaném przez ludzi pozostających przy życiu, rozpływającéj się w nicość istocie ludzkiéj. Nie własnymi, lecz słowami psalmów wyraża człowiek swe żale, tłómaczy postępki, usprawiedliwia winy, gdy w chwili porachunku z sumieniem, odbywa akt religijny pokuty i postanawia zerwać z przeszłością.

Nie mniejszém przytém jest znaczenie téj księgi w dziejach estetycznego wychowania każdego narodu, w rozwoju jego piśmiennictwa. Od przyswojenia sobie jéj w przekładzie na język własny roz-

poczynał się zwykle ruch piśmienniczy. Na niéj kształcili się poeci. Tłómaczeniem z niéj stawiali pierwsze kroki w swoim zawodzie. Naśladownictwo udatne wyrabiało im rozgłos i sławę. Ona dostarczała wyobraźni szczytnych obrazów, pięknych zwrotów i porównań językowi.

Tłómacze atoli i naśladowcy najczęściéj poznawali księgę Psalmów nie w oryginale, lecz tylko w przekładzie łacińskim. Przekład z przekładu dokonywany nie wyrażał naturalnie ni mocy oryginału, ani téż mógł uwydatnić wszystkich odcieni myśli. A gdy rymy właściwe nowym językom zastąpiły prozę łacińską, która częstokroć zupełnie zaciera paralelizm hebrajskiéj poezyi, wtedy zarówno w formie, jak i w treści napróżnobyśmy szukali blizkiego podobieństwa do oryginału. Przekłady więc z hebrajskiego stają się od czasu do czasu koniecznymi. Potrzebie téj u nas uczynił zadosyć przekład d-ra Cylkowa, dokonany z oryginału.

2.

Księga Psalmów składa się ze 150 różnych co do długości utworów lirycznych. Jedne z nich bowiem liczą zaledwie po kilka, inne zaś po sto kilkanaście, a nawet sto kilkadziesiąt wersetów, jak CXIX (wersetów 176). Większość tych utworów ma nad sobą jeszcze nadpisy, złożone z dwóch lub więcéj wyrazów.

Dr. J. Cylków przekład swój Psalmów poprzedza wstępem, w którym, między innemi wiadomościami, tyczącemi się tych utworów, wyjaśnia pochodzenie istotne wyrazów, spotykanych w nadpisach. Rzuca to nowe światło na cel ich, oraz rozwiązuje kilka spornych dotychczas kwestyi, co do ich znaczenia prawdziwego.

W napisach, złożonych z dwóch wyrazów, pierwszy określa bliżéj charakter utworu. Spotykamy więc: dumania, modlitwy, elegie, pieśni śpiewane przy towarzyszeniu instrumentów muzycznych, śpiewy, którym żaden instrument nie wtóruje. Niektóre pieśni noszą jeszcze specyalną nazwę; bywają więc: pochwalne, dziękczynne, żałobne, erotyczne, pieśni pielgrzymów. Nadto, wskazaném bywa szczególne przeznaczenie utworu: na pamiątkę, dla nauczania, na świadectwo, na dzień odpoczynku, na poświęcenie domu bożego, do śpiewania w chórach, w których rozmaite głosy na przemian się odzywają. Drugi wyraz w dwuwyrazowych nadpisach podaje imię autora danego utworu.

Nadpisy kilkuwyrazowe rozpoczyna wyraz *lamnaceach*. Użytym on jest 53 razy. Otóż co do znaczenia tego wyrazu zdania były różne. Dr. J. Cylków wyprowadza go, jak się domyślam, od słowa

syryjskiego: נצח (*nacach*), w hebrajskim używanego tylko w formie *piel* i oznaczającego *przewodniczyl*, *rozpoczynał śpiew*. W takim razie byłby to imiesłów *menaceach* i oznaczał by: *przewodniczący w śpiewie*, a jako rzeczownik—*przewodnik* w śpiewie, czyli chóru. Zgłoska *la* jest przyimkiem i oznacza 3-ci przypadek. Więc *lamnaceach* znaczy dosłownie *przewodnikowi chóru*, a w nadpisie, jak wnosimy, oznaczać może, że dany utwór powierzony został przewodnikowi chóru do podłożenia według wskazówki pod muzykę lub rozłożenia na głosy.

Za tym wyrazem idzie zwykle inny, oznaczający nazwę chóru. W nadpisach wymieniono ich dziewięć. Jedne chóry są nazwane od imienia naczelnika rodu lub samego przewodnika. I tak, jest chór *Machalat*, synów Machola; chór *Gitit*, synów Obed Edoma z Gat, chór *Bena*. Inne są nazwane od liczby i rodzaju członków. Są przeto: *Alamot*, chór dziewic; *Szeminit*, w którym ośm głosów przeważa; *Szoszanim*, w którym sześć głosów. Nareszcie nazwy dwóch pochodzą od używanego instrumentu: *Nechilot*, chór, któremu wtórowały flety, czy też instrumenta dęte; *Neginot*, chór z towarzyszeniem instrumentów smyczkowych. Częstokroć w nadpisie wskazaną jest jeszcze melodya psalmów. Dla tego celu użytym jest tylko początek jakiéj dobrze znanéj pieśni. Wyrazy w nadpisie: *Gołębico, niema dali*, *Nie zatracaj*, *Łanio zorzy*, oznaczają, że dany utwór ma się śpiewać na nutę przytoczonéj pieśni. Wyraz *Sela*, ile razy w Psalmach użyty, ma według d-ra J. Cylkowa oznaczać, że w tém miejscu potrzeba dać sygnał orkiestrze, aby uderzyła w bębny.

Po takiém dopiero objaśnieniu nadpisy są zrozumiałe. Naprzykład, nadpis Psalmu VI dr. J. Cylków przetłómaczył w następny sposób: Przewodnikowi chóru, przy towarzyszeniu instrumentów smyczkowych, na ośm głosów, Psalm Dawida. W poprzednich przekładach nadpis ten brzmiał: Przedniejszemu śpiewakowi na Neginot i Seminit, Psalm Dawida. Ta nazwa chórów była wzięta za nazwę instrumentów muzycznych, na których celował ów przedniejszy śpiewak. Nadpis Psalmu XXII brzmi w przekładzie nowym: Przewodnikowi chóru, na nutę „Łanio Zorzy“, pieśń Dawida. W dawniejszym: Przedniejszemu śpiewakowi na czas poranny psalm Dawida. Lub nakoniec Psalm LIII w nowym: Przewodnikowi chóru Machotów, dumanie Dawida. W dawniejszym: Przedniejszemu śpiewakowi na Machalat pieśń Dawidowa nauczająca.

Nadpisy rzeczone dwojaką oddają usługę. Po pierwsze, świadczą jak wysoko stało wykształcenie muzyczne i jak umiejętnie traktowano muzykę, skoro urządzone były chóry tak specyalne, skoro znano tyle melodyi, tyle pieśni było popularnych, że dość było wspomnieć początek jakiéj, by nauczyć, jak nową śpiewać należy.

Po drugie, co dla nas jest jeszcze ważniejszém, nadpisy wykazując autorów, pozwalają określić datę psalmu; wiążąc pieśni z życiem rzeczywistém, pozwalają szukać w pieśni odblasku onego życia.

I tak. Mojżesz jest podany za autora Psalmu XC; król Dawid za autora 74-ch psalmów; Salomon za autora dwóch (LXXII i CXXVIII); Asaf, syn Berechiasza, wieszcz współczesny Dawidowi—dwónastu; Synowie Koracha—jedénastu. Tak więc—na podstawie nadpisów połowa Psalmów jest utworem Dawida, a na ogół znani są autorowie dwóch trzecich części pieśni. Przytém te, które nie są Dawidowe, lecz których autorowie są znani, pochodziłyby z jego czasów, lub blizko po nim idących.

Wreszcie nadpisy te, określając bliżéj rodzaj poezyi, wskazując chóry, które miały wykonywać pieśni, i nakoniec, podając imiona autorów, dowodzą zupełnego braku wszelkich podstaw w układzie Psalmów w tym zbiorze, wszelkiego porządku w następstwie jednego po drugim. Biorąc Psalmy w porządku chronologicznym, należało by Psalm Mojżesza postawić na czele, po nim pomieścić 74 Dawidowe, następnie współcześników jego, Salomona i dopiero inne późniejsze, czy téż tylko nie znanych autorów. Tymczasem Psalm Mojżesza pomieszczonym został na 90-tém miejscu, a 74 Dawida poprzekładane rozmaitemi innemi, znanych lub nie znanych autorów. Zachowując inny porządek, należało by ułożyć je, bądź według chórów, bądź téż według rodzaju utworów. Tymczasem, za pieśnią Dawida idzie dumanie Asafa; za chórem Machalat chór Neginot. Co tém bardziéj zadziwia, że w tym zbiorze, z kilku zaledwo wyjątkami, wszystkie utwory noszą charakter religijny.

3.

Pomniki starożytnego piśmiennictwa hebrajskiego posiadają szczególniejszą własność. W dwojakiéj bowiem postaci stają zwykle przed czytelnikami. Postać owa dwojaka, a stąd i różny ich charakter, wypływa z przypisywanego im pochodzenia dwojakiego. Inne pochodzenie nadaje im tradycya i opierający się na niéj zbieracze lub redaktorowie późniejsi; inne zaś, wyświetlając rozwój historyczny piśmiennictwa, odkrywa krytyka.

Nie inaczéj przedstawia się nam i *Księga Psalmów*. Zbieracze, na podstawie tradycyi, na czele każdego utworu zapisywali imię autora. Tymczasem w niektórych Psalmach, przypisanych Dawidowi (XX, XXI, LXI), autor mówi o królu w trzeciéj osobie lub téż bezpośrednio zwraca się do niego. Przytém spotykają się wyrażenia,

których autor sam do siebie zastosować by nie mógł: „Wielka chwała jego w pomocy twojéj; sławę i świetność włożyłeś nań (XX, 6)“.

Następnie w innych, również Dawidowi przypisywanych Psalmach, autor zwraca się do Jehowy z następnemi słowami: „Obdarz w łasce twojéj Syon, odbuduj mury Jerozolimy (LI, 20).“ Daléj upewnia, że Jehowa „odbuduje miasta Jehudy i osiądą tam (w Judei) i odziedziczą ją, a potomkowie sług jego posiadać ją będą; a miłujący imię jego zamieszkają w niéj (LCIX, 36, 37)“; zwroty te wyraźnie świadczą, że za czasów autora Jerozolima była zburzoną, a więc, że autor żył w czasach, kiedy Judea wchodziła w skład państwa babilońskiego (588—537 przed erą naszą). Nadto zaś, inny w tym samym psalmie ustęp: „obcy się stałem braciom moim i nieznanym dla synów matki mojéj,“ lub: „ty znasz hańbę moją; przed tobą wszyscy ciemiężcy owi (9,20),“ pozwalają zaliczyć autora do rzędu tych synów Judei, których okrucieństwo i polityka królów babilońskich wygnała z ojczyzny. W takim duchu napisany jest Psalm LX, CIII i wiele innych z tych, które za utwory Dawida są podane Psalm CXXXIX nosi na sobie wyraźny wpływ języka aramejskiego; język zaś hebrajski zaczął ulegać wpływom aramejskiego dopiero w III i II stuleciu przed erą naszą, nim zupełnie wyszedł zużycia.

To samo spostrzegamy w Psalmach noszących nazwy innych autorów. Na przykład: w LXXIV autor błaga Jehowę, by pośpieszył do swojéj świątyni, albowiem legła ona w ruinie zupełnéj, wszystko w niéj wrogowie zburzyli, „rzeźby młotem i oskardami rozbijali... (gmach cały) dali na pastwę ognia.“ I kończy temi słowy: „powstań boże, wytocz sprawę swoją i wspomnij na zniewagę wyrządzoną ci przez nikczemnych; nie zapominaj o krzyku nieprzyjaciół twoich (3, 6, 7. 22, 23).“ Psalm LXXIX autor zaczyna tak: „Boże, wtargnęli ludy obce do dziedzictwa twego, znieważyli przybytek święty twój, przemienili Jeruzalem w zwaliska.“ Czyż obrazy kreślone w tych pieśniach odpowiadają epoce najwyższéj potęgi politycznéj państwa żydowskiego? A tymczasem oba te psalmy przypisane są Asafowi, współczesnemu Dawida.

Daléj, porównanie kilku psalmów wykazało, w jaki sposób niektóre z nich powstawały. I tak. Psalm CVIII został utworzony z dwóch, z LVII (8—12) i z LX (7—14). W Psalmie CXLIV odkrywamy kilka wersetów z VIII i XVIII. Psalm LXVIII zawiera w sobie zaledwo kilka wersetów oryginalnych; reszta, są to pozszywane z sobą, a nawet niezupełnie udatnie, oddzielne przysłowia i urywki z poematów dydaktycznych poczęści znanych. Psalm LIII to lekka przeróbka XIV. A jednakże wszystkie te psalmy podane są jako utwory Dawida; więc wynika, że Dawid powtarzał się, przerabiał

sam swoje utwory, lub układał psalmy kompilując innych autorów i korzystając ze zbiorów już istniejących. Lecz to wszystko nie zgadza się zupełnie z oryginalnym i potężnym jego talentem poetyckim, którego posiadamy próbki autentyczne.

4.

Spostrzeżenia te i wypływające z nich wnioski podkopują całkowicie znaczenie tych nadpisów na psalmach, które wskazują ich autorów i, co za tém idzie, datę. Lecz ponieważ na podstawie tylko owych napisów polegało twierdzenie, że *Księga Psalmów* zawiera przeważnie utwory Dawida i jego współczesnych, przeto z usunięciem podstawy upada i samo twierdzenie. Autorowie psalmów pozostają nieznani, data psalmów niewiadomą.

Rezultaty jednakże krytyki nie mogą być tylko negacyjne. Odrzuciwszy wskazówki z zewnątrz pochodzące, należało, w celu otrzymania rezultatów dodatnich, poszukać ich wewnątrz, w treści samych utworów.

Treść dostarcza dwojakiego rodzaju wskazówek. Wzmiankowane fakty polityczne, kreślone obrazy dziejowe stanowią jeden rodzaj. Drugim zaś będzie styl i język. Według pierwszych, aczkolwiek wzmiankowane fakty są zbyt powszechne, a obrazy kreślone tylko w ogólnych zarysach, psalmy rozpadają się na dwie główne grupy, na pochodzące z czasów niezależności politycznéj i swobodnego rozwoju kultu Jehowy i na pochodzące z czasów upadku politycznego i prześladowania religijnego. Według wskazówek drugiego rodzaju, w obu tych grupach dadzą się wyróżnić psalmy wcześniejsze od późniejszych, oryginalne od naśladowanych.

Kombinując tak podzielone psalmy ze znanemi z dziejów faktami, krytycy dochodzą do wniosku (1), że na czasy Dawida (1047—1007) wypada zaledwo 10-ta część ogólnéj ilości Psalmów, które mogą być zarówno jego utworami, jak i jego współczesników. Reszta zaś pochodzi z czasów późniejszych. I tak: na dobę dziejową, od podziału królestwa Dawida do końca panowania Hiskii (724—696), wypada psalmów 19. Z ostatnich lat niezależności pań-

---

(1) Dokładnego pojęcia o całym procesie krytycznym, któremu była poddana księga Psalmów, dostarczy dzieło H. Ewalda: *Die Dichter des alten Bundes. Die Psalmen.*

A nadto, wielce przydatnemi jeszcze być mogą: *Wette*: *Lehrbuch der hist.-kr. Einleitung in die Bibel.* kilka wydań, ostatnie *neu bearbeitet von E. Schrader*. *Fr. Bleek*: *Einleitung in das Alte Testament.* kilka wydań.

stwowéj pochodzi 25. Na czasy zwane niewolą babilońską przypada 29. Okres dziejowy, ciągnący się od czasów odbudowania świątyni do wystąpienia na widownią polityczną rodziny Machabeuszów, wydał 40. Nakoniec z epoki ostatnich walk narodowych, poprzedzających czasy Heroda, 24 (1). Tak więc księga Psalmów obejmuje utwory z peryodu tysiącoletniego dziejów żydowskich (1047—40). Sama zaś powstała z kilku oddzielnych zbiorów, połączonych z sobą tylko mechanicznie, a powstała w czasach, kiedy żydzi, zmuszeni ratować swą narodowość od zagłady, w religii dojrzeli najwybitniejsze znamię swéj odrębności, więc, wytworzywszy sztuczny systemat teologiczny, ogłosili Jehowę bogiem nad bogami a siebie uznali za lud przez niego wybrany. Czego następstwem mogło być tylko wprowadzenie do życia zasad ściśle teokratycznych i uporządkowanie przeszłości na podstawie tych zasad.

Lecz czy czasy Dawida przedstawiają najwcześniejszy okres twórczości literackiéj? Czy *księga Psalmów* przechowała wszystki utwory liryczne?

5.

Poezya liryczna powstawała w każdym narodzie współcześnie z opisową. Gdy bowiem wypadek jaki dziejowy lub podanie o nim, pewne zjawisko w przyrodzie lub tłómaczenie jego dało początek opowiadaniu historycznemu albo legendzie; wrażenie wywołane przez ten wypadek lub zjawisko, budząc uczucie podziwu czy téż trwogi, żalu czy téż radości, uzewnętrzniało się w słowach, wylewało w pieśni.

Przerzucając karty w księgach historycznych narodu żydowskiego, znajdujemy wymowne dowody takiego powstawania pieśni i wśród Hebreów starożytnych, a zarazem natrafiamy na ślady wcześniejszych niż Psalmy Dawida utworów lirycznych. Utworów tych było nie mało. Do każdego bowiem faktu, do każdego podania przywiązano pieśń odpowiednią.

W pieśni Jakób umierający błogosławi zebranych u łoża swego synów (Genezis, XLIX). W pieśni wynurza Mojżesz uczucia swéj radości, skoro ujrzał morze pomiędzy gromadą uciekających z Egiptu żydów a goniącymi ich hufcami egipskimi (Exodus, XV). Pieśń

---

(1) Podaję tu systemat Ewalda. Niezgodność cyfr w sumie z ogólną ilością psalmów pochodzi ztąd, że niektóre Psalmy, jako to 144,66, powstałe z dwóch odrębnych utworów, pochodzących z dwóch różnych epok, należało rozbić na pierwotne części składowe.

poprzedzała zbrojne najście Hebreów na Kanaan (Numer. XXI, 27—31). Jozue, chąc wyzyskać zwycięstwo swoje nad nieprzyjaciołmi, w pieśni wzywa słońce, by się zatrzymało, księżyc, by mu przyświecał (Jozue, X, 13—13). W pieśni wypowiada Debora swój sąd o walczących, w pieśni głosi zasługi pojedyńczych pokoleń, gdy przy zajęciu Kanaanu pierwotnych jego mieszkańców tępili Hebreowie (Księga Sędziów, V). Słysząc niewiasty śpiewające hymn pochwalny na cześć Dawida, zagorzał Saul gwałtowną ku niemu nienawiścią (I Samuel, XVIII, 7—9). Pieśń podnosiła następujące po zwycięstwie uroczystości; w pieśni zgon bohaterów opłakiwano (II Samuel, I, 18; III, 33).

Obok pieśni okolicznościowych, którym dały początek podania narodowe lub wypadki historyczne, znane były jeszcze i inne. Gdy Jefte, podobnie jak Agamemnon grecki, złożył bogu w ofierze na całopalenie swą córkę, „na każdy rok schodziły się córki Izraelskie, aby porozmawiać z córką Jeftego galaadczyka, przez cztery dni w roku (Ks. Sędz. XI, 40).“ Porywaniu dziewcząt na żony również pieśń towarzyszyła (Ks. Sędz. XI, 22). Były to więc pieśni obrzędowe, obyczajowe.

Izajasz prorok zapalony gniewem przeciwko Tyrowi, w jedném ze swych przemówień politycznych, porównawszy to miasto do kobiety nierządnéj, woła w uniesieniu: „wezmij lutnią, obchodź miasto, o nierządnico w zapomnienie podana! Graj dobrze, długo śpiewaj, abyś na pamięć przyszła (XXIII, 17).“ Dramatyczna idylla, znana jako *Pieśń nad pieśniami*, jest niby echem tych pieśni erotycznych, o których wspomina Izajasz. Amos prorok, grożąc żydom gniewem Jehowy, upomina zwłaszcza tych, którzy pędzą życie w rozkoszach i na biesiadach i „śpiewają przy lutni, wymyślając sobie naczynia muzyczne jako Dawid (VI, 5).“

Wszak nawet i księga Psalmów wzmiankuje o bardziéj niż psalmy znanych pieśniach, skoro na ich nutę podkładane były nowe.

Mając pod ręką dowody istnienia bogatéj treścią liryki hebrajskiéj, a tylko niektóre przypadkowo przechowane w kronikach okolicznościowe utwory liryczne, możemy postawić pytanie, gdzież się podziały pieśni owe, których żywotności dowodzi sam fakt powstawania, o których rozmaitości świadczy rozmaitość przejawów pełnym nurtem płynącego życia narodowego?

Do *księgi Psalmów* one nie weszły. A ponieważ w zabytkach starożytnego piśmiennictwa hebrajskiego nie znajdujemy innego oprócz téj *księgi* zbioru utworów lirycznych, więc zaginęły.

Zatém w dziejach żydowskich stało się to, co następnie tylekrotnie powtórzyć się miało wśród innych ludów, w innych krajach, choć w zupełnie zmienionych warunkach. Wyrobiony systemat teologiczny potrzebował ofiar. Pierwszą była literatura. Jak legendy semickie przy przyjmowaniu Chrystyanizmu przez ludy europejskie wyparły literaturę narodową w jéj pełni (grecką i rzymską), lub tylko w zarodku; tak poprzednio też legendy, obrobione w duchu teokracyi, stłumiły inne utwory, a pieśni religijne—inne pieśni.

Z bogatéj i różnobarwnéj liryki hebrajskiéj pozostało to tylko, co bezpośrednio dało się obrócić na użytek świątyni, lub też przynajmniéj do takiego użytku przy odpowiedniéj zmianie zastosować.

6.

Krytyka pomników piśmiennictwa hebrajskiego, inaczéj zwana egzegetyką biblijną jest tryumfem niezależności przekonań, dowodem niezwykłéj przenikliwości umysłu, nagrodą usilnéj pracy nielicznego zastępu uczonych, złożonego z przedstawicieli kilku narodów europejskich (holendrów, niemców i w ostatnich czasach francuzów).

Owoce krytyki są cierpkie dla społeczeństwa żydowskiego. Obdzierają bowiem to społeczeństw z ułudy, która, według zdania często spotykanego, bywa, w pewnych zwłaszcza sytuacyach, konieczną. Ma ona bowiem posiadać szczególniejszą własność wpajania w ogół moralności i utrzymywania jednostek na wysokości zadania, wypływającego z rozwoju dziejowego.

Uczeni żydowscy, niechętnie się skłaniając do rezultatów krytyki, nie korzystają z nich zupełnie, a nawet doniosłość ich starają się osłabić. Dowodem tego jest wydawnictwo pomników piśmiennictwa hebrajskiego prowadzone przez nich. Przedrukowują je obecnie tak zupełnie, jak zaczęto je drukować przed czterystu laty, a tendencya lub przypadek ułożyły przed dwoma tysiącami.

Lecz jeżeli w każdym zgoła wypadku wyświecenie rzeczywistego pochodzenia a ztąd i prawdziwego znaczenia danego pomnika jest rzeczą nader ważną, to niechybnie, gdy idzie o przekład jego na jakikolwiek język nowożytny, stanowisko, na jakiém autor stanął względem krytyki, pracy jego nadaje właściwe cechy. Inaczéj bowiem myśl każdą rozumiéć, obrazy pojmować, przenośnie objaśniać będzie tłómacz, jeżeli pomnik ten pomieścimy nieodwołalnie w czasach mitycznych, a więc mało dla braku materyałów zbadanych; inaczéj, gdy w epoce historycznéj, znanéj dokładnie z ogólnego bie-

gu wypadków dziejowych, znanéj blisko ze szczegółów. Również inne znaczenie nadawać musi tłómacz każdemu pojedyńczemu wyrazowi, jeżeli autorstwo pomnika przypiszemy jakiéj osobistości historycznéj z czasów odległych, na przykład Mojżeszowi, Dawidowi, Salomonowi, inne, gdy autorem będzie nie pojedyńcza osoba, lecz zbiorowa, kilka po sobie następujących pokoleń, gdy, co najczęściéj się wydarza, zamiast osoby autora odkryjemy wszystkie czynniki zewnętrzne, które na autora oddziaływały i oświetlimy tło dziejowe, na którém autor wzrastał i działał, chociaż pozostaje bezimiennym.

W skutek nieuwzględnienia rezultatów krytyki przez uczonych żydowskich przy wydawaniu pomników hebrajskich oczekuje tłómaczy tych pomników, jak obecnie, praca podwójna: oprócz właściwego przekładu jeszcze nowy układ tekstu. Praca podjęta w celu restauracyi takiéj staje się tém trudniejszą, im z mniejszych całości złożony jest dany pomnik.

Że dr. J. Cylków inne niż wykazane miał na względzie cele, dowodzi tekst hebrajski, pomieszczony obok polskiego. Lecz w każdym razie przekład z uwzględnieniem wszystkim rezultatów krytyki byłby dla nas bardzo pożądany.

Przy takich dopiero przekładach obudzić by się u nas mogło zamiłowanie do przedmiotu tak pięknego a zarazem tak ważnego, jakim jest literatura hebrajska, oraz, udać rozpowszechnienie naukowych o niéj pojęć.

7.

Gdy krytyka rzuciła światło prawdziwe na pochodzenie i autentyczność utworów, składających *Księgę Psalmów*; badania nad historyą ludów starożytnych, z którymi Hebreowie w ciągłych zostawali stosunkach, z którymi byli związani przeszłością i pochodzeniem, rozpoczęte na szeroką skalę w skutek odkrycia autentycznych dokumentów i odczytania ich, oddaje inną jeszcze w tym wypadku usługę. Psalmy hebrajskie zyskały takie szerokie uznanie i zastosowanie, ponieważ uważano je za jedyny, najwznioślejszy objaw uczuć religijnych, ponieważ w nich znajdowano najbogatsze obrazy, przedstawiające potęgę Jehowy. A tymczasem okazało się, że i inne ludy, i to dawniéj jeszcze, również wspaniale potrafiły sławić swoich bogów, również świetnie przedstawiać umiały ich wszechmoc. Papirusy egipskie i cegiełki assyryjskie dowodzą tego jasno i niezbicie.

Oto urywek z hymnu egipskiego do Nilu, z połowy trzeciego tysiącolecia przed erą naszą:

Boże ukryty, spuszczasz ciemności, gdy ci się podoba,
Zraszasz roślinność przez słońce stworzoną,
by dać pokarm żyjacym...
Stwarza, lecz to nie wyczerpuje sił jego,
tarczą jest ubogich...
Nie rzeźbią go na marmurze, nie jest on widzianym·
Żadna służba, żadna ofiara nie dochodzi go.
Nie podobna wprowadzić go do świątyni,
Nieznane jest miejsce gdzie przebywa,
Nie ma on ołtarzy ozdobionych wizerunkami jego..
Żaden przybytek go nie zawrze...
Nieznane jest imię, które nosi on w niebie...
Bóg nie pokazuje swych kształtów...

Ten zaś z hymnu do Ra:

Usłysz mię, ty boże wielki,
Serce me rwie się do miasta twego.
Opiekunie milionów, wybawicielu setek tysięcy,
Obrońco tych, którzy wołają do ciebie...
Nie wyrzucaj mi moich grzechów licznych,
jestem słabego ciała, jestem bez serca,
niepokój napada na mnie jak wół na trawę...
Ja wołam, początek mądrości jest droga Ra,
ona jest sterem prawdy.
Ty jesteś, który dajesz chléb tym, co go nie mają,
który utrzymujesz sługę domu swego.
Niech żaden książe nie będzie obrońca moim,
niech skarga moja nie dojdzie do sędziego,
mój bóg jest obrońcą moim...
Przebiegasz niebo z góry na dół,
i nieprzyjaciele twoi są pognębieni!..

Oto jak starożytny assyryjczyk i starszy jeszcze od niego Akkad zwracali się do boga swego:

Przed strachem, który ty rozsiewasz, któż umknąć zdoła!
Rozkaz twój, jest to oręż nad niebem i ziemią zawieszony.
„Rozkazuję morzu i ono się wygładza,
rozkazuję burzy i ona się uspakaja,
rozkazuję łożysku rzeki Sippara
i wola moja podnosi jéj wody...“
Panie, tyś wielki, któż ci dorównać zdoła!...

Lub pierwszy przedstawiał wszechmoc jego przy stworzeniu świata:

On uczynił przedziały, siedem na ilość, dla wielkich bogów,
I oznaczył gwiazdy, które miały być mieszkaniem;

On sprawił obrót roku i podzielił na miesiące,
i dla każdego miesiąca trzy gwiazdy przeznaczył.
Od dnia, w którym się rok rozpoczyna, do końca jego
Dał bogu Nibid (słońcu), by dni powstawały w granicach swoich,
by nie były skracane, ani téż przerywane.
Księżyc był przeznaczony, by oświecał noce...
Rozkazał mu odnawiać się, by ukryć noc, przedłużać dzień...

Znanemi téż były Akkadom i psalmy pokutne:

Upadłem i nikt ręki nie wyciągnął do mnie.
Od płaczu zaniemiałem, a nie podano mi ręki?
Modlitwę moją powtarzam głośno, nikt mię nie wysłuchał.
Jestem powalony, omdlały, nikt mię nie ratuje.
Przeznaczenie człowieka jest utrwalone na piśmie,
lecz nikt nie zna tego pisma...

W innym brzmi modlitwa do bogini:

Oto człowiek, który popełnił błąd, ty go przyjm dobrotliwie.
Ty udzielasz swéj opieki ludziom, a oto człowiek.
Pani wszystkich rzeczy, opiekunko ludzi litościwa,
ty wysłuchujesz próśb i jęków..; (1)

Mieli więc Hebreowie poprzedników i mistrzów.

8.

Porównanie zabytków piśmiennictwa hebrajskiego z zabytkami piśmiennictwa narodów, czy to starożytniejszych, jak Egipcyanie i Assyryjczycy, czy téż współczesnych, jak Grecy, odsłania nową w piśmiennictwie hebrajskim stronę, nowe światło rzuca na jego znaczenie.

Psalmy hebrajskie są pierwszym objawem rodzącego się w uczuciach ludzkich przywiązania do ziemi rodzinnéj, religii narodowéj, zwyczajów własnych; słowem do wszystkiego, co budzi uczucia obywatelskie. Dość jest, by się przekonać, poznać parę Psalmów z czasów panowania nad Judeą Babilończyków. Buta i zajadłość zwycięzców oto jaką skargę do ust wkłada ciemiężonym (będzie to zarazem próbką przekładu nowego):

Panie pomsty, boże, panie pomsty zajaśniéj.
Podnieś się sędzio ziemi, odpłać zasługę pysznym.

---

(1) Urywki te biorę z *Literatury Egipskiéj* i *Assyro-babilońskiéj*, pomieszczonéj w *Dziejach Literatury powszechnéj*, wydanéj pod redakcyą dr. P. Chmielowskiego. t. I, 1883.

Dopókiż niegodziwi, o boże, dopókiż niegodziwi górować będą,
bluzgać, przemawiać hardo, przechwalać się, wszyscy złoczyńcy.
Lud twój, boże, dręczą, a dziedzictwo twoję gnębią,
wdowę i przybysza zabijają, a sieroty mordują,
i mówią: nie widzi Jehowa, nie baczy pan Jakóba.
Zastanówcie się nieroztropni w narodzie,
ograniczeni, kiedyż się opamiętacie.
Kto urządził ucho, czyż nie słyszy?
Kto zbudował oko, czyż nie obaczy?
Kto karci narody, czyżby nie karał? (94).

Hardość i samowola urządzicieli każe nieznanemu autorowi nazywać ich bogami, mocarzami; zaślepieniu ich i spodleniu przypisywać podkopanie porządku społecznego; ostrzega więc, że chociaż panując nad niémi wyglądają jako bogowie, pomrą jako ludzie. Te słowa dla większego wrażenia i uwydatnienia ironii wkłada w usta Jehowie:

Bóg stanął w wiecu mocarzy, w pośród sędziów sądzi.
„Dopókiż sądzić będziecie przewrotnie, a obliczu złoczyńców pobłażać.
Brońcie ubogiego i sieroty; biednemu i podupadłemu wymierzajcie sprawiedliwość.
Uwalniajcie nędznych i uciśnionych; z rąk złoczyńców wyzwalajcie ich".
Nie pojmują i nierozumieją, w ciemności postępują,
Zachwiane wszystkie podstawy ziemi.
„Mniemałem, że bogami jesteście, synami najwyższego wy wszyscy.
Wszelako jak ludzie pomrzecie, jak każdy z panów upadniecie (82)".

Inny znowu utwór przedstawia nam uczucia biednych Żydów, przemocą z ojczystéj ziemi przez babilończyków wygnanych i zmuszonych wśród nich przebywać:

Nad rzekami Babilonu, tam siedzieliśmy i płakali,
wspominając Cyon (= Syon).
Na wierzbach, tam, zawieszaliśmy lutnie nasze.
Tam to domagali się od nas zaborcy nasi słów pieśni,
a gnębiciele nasi radości.
Zaśpiewajcie nam z pieśni Cyonu (mówili).
Jak śpiewać nam pieśń Jehowy na ziemi obcéj?
Jeżeli zapomnę cię Jerozolimo,
niech zdrętwieje prawica moja.
Niech przylgnie język mój do podniebienia mojego,
jeślibym nie pamiętał ciebie,
jeślibym nie stawił Jerozolimy na przedzie radości mojéj.
Pamiętaj, Jehowo, synom Edomu dzień Jerozolimy;
którzy wołali, karzcie, burzcie, aż do podwalin jéj.
Córo Babilonu i ty będziesz spustoszona, szczęsny kto odpłaci tobie przysługę,
któraś przysłużyła się nam.
Szczęsny, kto pochwyci i roztrąci dzieci swe o skałę. (137).

Wszystkie ludy przyjmowały panowanie nad sobą obcych narodów jako fakt dokonany; poddawały się losowi w milczeniu. Jedni tylko Żydzi widzieli w tém zawsze naruszenie porządku naturalnego. Protestowali więc krwią, protestowali słowem. Dwojaki ten protest wytworzył nową erę w dziejach ludzkości (1). I nie zginęli, istnieją.

J. Radliński.

---

(1) Czytelnik znajdzie szersze rozwinięcie téj myśli i udowodnienie takiego poglądu w *Księdze pierwszéj* (Początki nowéj ery) *Dziejów literatury powszechnéj*, tom II wydanéj pod redakcyą dra Piotra Chmielowskiego.

KAMIEŃ.

STUDYUM GEOGRAFICZNE.

Skaliste wzniesienia w południowéj części naszego kraju, a liczne głazy erratyczne w części północnéj dały pobudkę do nadania wielu bardzo miejscowościom na obszarze Polski piastowskiéj miana *Kamień*. Niektóre z tych Kamieni, wzmiankowane w pomnikach historycznych odszukiwano po najrozmaitszych okolicach, mieszano między sobą, brano jedne za drugie, a zawikłanie, jakie stąd wynikło, dotąd nie zostało w zupełności usunięte.

Studyum niniejsze jest próbą wyjaśnienia tych wątpliwości.

I.

Lapis.

„*At. Boleslavus castro munito, horum* (1) *inscius in loco vocabulo lapis residebat.....*“ pisze Gallus pod rokiem 1107, a wydawca kroniki jego (2) objaśnia *lapis* Kamieniem czyli „Kaminem“ w tak zwanych Prusach Zachodnich.

Ustęp ten, wraz z nazwą *Lapis* przeszedł do Kroniki Xiążąt polskich (3), któréj komentator powołując się na powyższe objaśnienie, przywodzi z pewném powątpiewaniem starożytną Polskę M. Balińskiego (4). Baliński wykazuje tam, w województwie Gnieznieńskiém, jakiś Kamień z kasztelanią, położony nad Wartą, o pięć mil od Gniezna.

(1) Odnosi się do wichrzeń Zbigniewa, brata Bolesława Krzywoustego. (2) Bielowski, Monum. I, 452. (3) Tamże, III, 461. (4) Tom I, str. 198.

Lelewel (1) tłómaczy sobie inaczéj słowa kronikarza. „Przesiadując, mówi o Krzywoustym, sam pośrodku Polski i Lechii blisko Kalisza w Kamieniu, warownym go utrzymywał, choć Kamień grodem nie był“.

Roepell (2) wreszcie uważa *lapis* Gallusa za Kamieniec (3) na Szląsku.

Niepewność więc co do miejsca, w którém podówczas bawił Krzywousty, powtórzone przez Balińskiego baśnie o kasztelanii Kamieńskiéj „nad Wartą“ i inne, spotykane w poważnych nawet dziełach, niedokładności geograficzne spowodowały mnie do kreślenia tego szkicu.

Wspomniane powyżéj objaśnienie Bielowskiego upada w obec wszelkiego prawdopodobieństwa, że Kamień, leżący w Krajnie, w tak zwanych Prusach Zachodnich, nad Kamionką, nie był znany w roku 1107 (4). Krajna była wówczas ziemią sporną, która kolejno przechodziła z rąk Pomorzan pod panowanie książąt i królów polskich.

Przypuszczenie Lelewela, jakoby *lapis* Gallusa był Kamieniem kaliskim z pod Koźminka, pozbawione jest wszelkiego prawdopodobieństwa. Kamień ten leżał bowiem w téj części Polski, którą Zbigniew bądź odziedziczył, bądź przywłaszczał sobie, czyli innemi słowy, między Kaliszem, Spicymierzem, Łęczycą i Gnieznem, które to grody Krzywousty tegoż roku 1107 zdobywał na Zbigniewie. Tam nie mógł „przesiadywać“ Bolesław w czasie, gdy wypadało mu mierzyć się z Pomorzanami, Czechami i wyrodnymi wspólnéj ojczyzny synami.

Roepell wreszcie oparł swój domysł na zestawieniu wypadków, jakie w swéj Kronice przekazał nam Gallus. Po odbudowaniu Koźla bawił Bolesław *in loco vocabulo lapis*; szukając tedy Kamienia na Szląsku, wpadł Roepell na wspomniany powyżéj Kamieniec. Tu *confinio terrae* Gallusa i strzeżenie granic polskich od strony Czech mogły go utwierdzić w tém przypuszczeniu, które z przywiedzionych tu domysłów zdaje się być najwięcéj zbliżoném do rzeczywistości.

Zdania Roepella nie podzielał wydawca Kroniki Gallusa, śledząc za Kamieniem na południowém Pomorzu. Bo téż *lapis* kronikarski oznaczać mógł Kamień po prawym brzegu Noteci, w pobliżu Kościerzyna (5), lub Kamień z pod Jastrowia. I między Krakowem a Zatorem leży Kamień, a na Szląsku różne znamy téj nazwy miejsca, wszystkie prawie dalekiéj sięgające przeszłości. Najdawniejszym jest Kamień na Pomorzu nadbaltyckiém, i inny na Połabiu

---

(1) Polska wiek. śred. II, 452. (2) Gesch. Pol. I, 238. (3) Kamenz an der Neisse. (4) Ob. rozdział II niniejszéj pracy. (5) Cüstrin.

średniém, nie pomnąc Hamburga, także niegdyś zwanego Kamieniem. Im więcéj takich wynajdujemy Kamieni, tém trudniejszy staje się wybór w tym wypadku, a odrzucając połabskie i nadbaltyckie Kamienie spotykamy inne jeszcze, które dałyby może sprowadzić się do miejscowości *vocabulo lapis*.

Lapis Sanctae Mariae zwaną była Skała krakowska; dolina *inter Lapidem et Policso*, w okolicy Słupcy, Lądka, Goliny i Kaźmierza Biskupiego, zachodzi w dyplomatach wielkopolskich z r. 1232. Pod nazwą *lapis* mógł Gallus rozumiéć Kamionkę lub Kamieniec jaki, na przykład zamczysko téj nazwy, na prawym brzegu Wisłoka, pod Krośnem, na krańcach Rusi Czerwonéj, między Korczyną i Odrzykoniem, gdzie po dziś dzień znajduje się dzwon z zajmującą mnie tu datą 1107 (1). *Lapis* wreszcie oznaczać mógł jedną z Ścieniaw (2) szląskich itd.

Obok tedy domysłu Roepella i w obec zupełnego braku źródeł odnośnych śmiem stawić drugą hipotezę, którą pod ściślejszy rozbiór podaję uczonym badaczom naszym.

Przypuszczając z Roepellem, że Gallus opowiadał współczesne sobie wypadki w takim porządku, w jakim następowały, streszczam je poniżéj dla uprzytomnienia ich czytelnikowi:

1. Wróciwszy z pod Kołobrzega, zjeżdża się Krzywousty z Kolomanem, królem węgierskim, w początku roku 1107;

2. w tym czasie zdobywa wojewoda Skarbimirz pewien gród na Pomorzu i Bytom nadodrzański;

3. z powrotem od Kolomana, zwołuje Krzywousty do siebie Zbigniewa, z którym pragnie żyć w zgodzie;

4. szlachcic pewien zaprasza naszego króla na uroczystość poświęcenia kościoła, który wystawił *in confinio terrae*; król wpada w zasadzkę włóczących się po ziemiach polskich Pomorzan;

5. jedną część wojska swego wysyła Krzywousty na Pomorze, a z drugą przepędza Czechów;

6. Zbigniew nie przestaje wichrzyć;

7. Krzywousty zdąża pod Koźle, które spłonęło i wysyła orędzie do Zbigniewa;

8. po obwarowaniu Koźla, nieświadom zbrodniczych zamiarów Zbigniewa *in loco vocabulo lapis residebat ibique iacens more solito vicinius et rumores et legationes audiebat ac velocius ex improviso suis hostibus occurebat.*

---

(1) Lub 1101 (Słown, Geogr.) (2) Steinau.

9. Otoczony przez trzy wojska nieprzyjacielskie, godzi się z Czechami, uderza na Zbigniewa i zdobywa Kalisz, Gniezno, Spicymierz i Łęczycę;

10. porą zimową tegoż roku 1107 przedsięwziął nową na Pomorze nadbałtyckie wyprawę.

Pomijając niezmierne, jak na owe czasy, obszary, jakie Bolesław przebiegał w jednym roku, rozpatrywać tu będę niektóre tylko z przywiedzionych powyżéj wypadków.

Między przygodą Krzywoustego przy poświęcaniu kościoła *in confinio terrae*, a przebywaniem jego w Kamieniu zapisuje Kronikarz pożar Koźla. Przypuszczając tedy, że od miejsca przygody do Koźla taka sama była przestrzeń, jak z Koźla do Kamienia Gallusowego, wracam do tegoż miejsca i w okolicach jego szukam ówczesnéj rezydencyi króla. Byłoby to łatwém zadaniem, gdybyśmy wiedzieli, w jakiém to miejscu Bolesław wpadł w zasadzkę Pomorzan. Z Gallusa tymczasem dowiadujemy się tylko, że szlachcic pewien wystawił kościół *in confinio terrae*, że na uroczystość poświęcenia go zaprosił króla i że przy téj sposobności odbyły się gody weselne. Domyślam się, że Krzywousty bawił wówczas w pobliżu miejsca, gdzie wystawiono ten kościół.

Trudniéj wyrozumiéć granicę, o któréj wspomina kronikarz. Bartoszewicz (1) mówi o pograniczu pogańskiém, a Moraczewski (2) o pomorskiém, opierając się zapewne na tém, że zasadzka Pomorzan w tych jedynie okolicach była możliwą. Téj interpretacyi podzielać nie mogę, z powodu, że *per Poloniam discurrentes* Pomorzanie zapędzali się nieraz w głąb kraju i że Zbigniew niezawodnie otaczał się zbrojnemi Pomorzan hufcami. Krzywousty odziedziczył Wrocław, Kraków i Sandomierz, reszta więc ówczesnéj Polski przypadła Zbigniewowi (3), który rozszerzając granice swych dzierżaw ku Noteci, utrzymywał z téj strony czucie z Pomorzanami; Krzywousty przeto w tych okolicach nie *residebat* w r. 1107, po odbudowaniu Koźla.

Pod względem wspomnianego pogranicza zostawia Kronika Gallusowa badacza w wielkiéj niepewności. Czytając *in confinio terrae* (4), szukamy daremnie przymiotnika, któryby tę ziemię bliżéj określił. Gallus zna Polskę i państwo polskie, którego nie zwykł zwać *terra*, mógł więc, kreśląc te słowa, miéć jakikolwiek przymiotnik na myśli. Potrąciwszy o zaręczynach ślubnych, odbiega nasz

---

(1) Dzieła, V, 147. (2) Dzieje Rz. Pol., I, 74. (3) ...Zbigneus cum hoc quod habet Mazoviam simul habeat... Gallus w Monum. Bielowskiego, I, 434. (4) ...in Polonie confinio... w Kronice Xiąż. Pol., III, 459.

kronikarz od przedmiotu, radzi, żeby nie wyprawiać uczt weselnych równocześnie z poświęcaniem kościołów i w końcu przytacza, co wszystko złego stało się podczas konsekracyi kościoła Rudzkiego (1).

Rudensis ecclesia i przerwanie wątku w opowiadaniu nasuwają przypuszczenie, że kronikarz Rudzką miał ziemię na myśli, gdy pisał *in confinio terrae* (*i. e. Rudensis*). Jeżeli zaś cały ten przywiedziony tu ustęp w ścisłym związku stoi, tak z poświęceniem kościoła jak z przygodą Krzywoustego,—i nie jest przypadkowém tylko przykładem na poparcie wypowiedzianych poprzednio zapatrywań, kto wié, czy tu nie jest mowa o poświęceniu kościoła Rudzkiego? W znanych mi dokumentach zachodzi Ruda Wieluńska po raz pierwszy pod r. 1136, znaną więc mogła być dokładnie kronikarzowi naszemu.

Jeżeli wreszcie przypuszczenie to nie wytrzyma ściślejszéj krytyki, w takim razie pozostaje jeszcze drugie, za którém także przemawia pewne prawdopodobieństwo.

Pominąwszy wątpliwość, czy na pograniczu pomorsko - pogańskiém poświęcano w roku 1107 kościoły w sposób tak ostentacyjny, dajmy na to, że kronikarz, pisząc *in confinio terrae*, miał na myśli Polskę. Pod nazwą państwa polskiego w r. 1107 i Polski rozumiał on przedewszystkiém tę część kraju, która przypadła Krzywoustemu, wiadomo zaś, że Zbigniew odziedziczył, prócz tego co posiadał, całe Mazowsze; wiadomo téż, że Krzywousty zdobywał na Zbigniewie Kalisz, Spicymierz z Łęczycą i Gniezno, granice więc dzierżaw Krzywoustego w r. 1107 stykać się mogły z dziedzictwem Zbigniewa w ziemi Rudzkiéj.

Na pytanie, czy Pomorzanie mogli byli dotrzéć do téj ziemi, odpowie nam kronikarz, który zapisuje, że:

Pomorani... per Poloniam discurrentes praedas et captivos agebant et incendia faciebant. Bez względu więc na to, co Gallus tu rozumie pod nazwą *Polonia*, zaprzeczyć niepodobna, że Pomorzanie włóczyli się po ziemiach polskich, a jak Krzywousty mógł przerzucać się w jednym roku z Koźla na przykład Szląskiego do Kołobrzegu nadbałtyckiego, tak Pomorzanie, w sojuszu zwłaszcza ze Zbigniewem, mogli na wschodzie zapuszczać zagony swoje z pod Nakła po za Wieluń i Rudę.

Oparty na tych wywodach, tłómaczę *lapis* Gallusa Kamieniem czyli Kamionem, leżącym nad Wartą, naprzeciw Toporowa, na południo-wschód od Wielunia i Rudy, w pobliżu Mierzyc i Działoszyna.

---

(1) Cuius rei manifestum indicium in consecratione Rudensis ecclesiae Deus omnipotens revelavit, nam et homicidium ibi, et unum de ministris ad insaniam redactum constat evenisse, et ipsos etiam desponsatos infelici connubio, sicum notum est, convenisse, nec anniversarium desponsationis implevisse.

O sięgającéj XII wieku starożytności tego Kamienia nie posiadam, krom pobieżnéj wiadomości o wykopaliskach, żadnych pewników. Ta okoliczność atoli zachwiać nie może przypuszczenia mego. Powstawały bowiem i ginęły w owych czasach wsie i grody bez śladu. Współczesne wypadkom ziemioznawstwo spoczywalo w kolebce, późniejsze nie zbyt pewne stawiało kroki, a dzisiejsze błąka się jeszcze nieraz po manowcach, na których torowanie składały się całe wieki.

Nazwa Kamion, któréj forma pierwotna brzmiała Kamen a obecna Kamień, świadczy tylko o pewnéj, nie dającéj się bliżéj oznaczyć starożytności tego Kamienia, który dziś jeszcze zwanym bywa raz Kamionem, drugi raz Kamieniem. Wychodzący np. w Warszawie Słownik Geograficzny wykazuje (1) wieś Kamień nad Wartą, w pow. Wieluńskim, gminie i parafii mierzyckiéj, a na inném miejscu (2) osadę Kamion czyli Kamień w tym samym powiecie, gminie i parafii. O tóżsamości osady téj i wsi wątpić chyba nie można.

Owóż ten Kamion czy Kamień był miastem (3) w r. 1563, a podług wydawcy Łaskiego *Liber Beneficiorum* (4) miasteczkiem w XVIII jeszcze wieku, na wpół arcybiskupiem i królewskiem. W skład dóbr arcybiskupich wchodziła także leżąca w pobliżu jego wieś Kamionka, wymieniona w potwierdzającym posiadłości kościola Gnieźnieńskiego przywileju króla Kazimierza z dnia 1 marca 1357 r. (5) pod nazwą *Kamona*, która niezawodnie późniejszą od Kamienia czy Kamiona jest osadą.

II.

Kamień, w Krajnie, nad Kamionką.

Z Kamieniem nadbaltyckim, stolicą niegdyś książąt i biskupów Kamieńskich, leżącym nad Dziwném (6), ujściem wschodniem Odry, na północ od Szczecina, mięszają niektórzy Kamień, położony w Krajnie, należącéj niegdyś do Pomorza, następnie do Polski i wchodzącéj w skład województwa Kaliskiego, późniéj Gnieźnieńskiego, a obecnie powiatu Złotowskiego tak zwanych Prus Zachodnich. Kamień ten uważa Bielowski za opracowany w poprzednim Rozdziale *lapis* Gallusa, inni zaś mięszają go z jakimś Kamieniem, mającym leżeć nad Wartą, o pięć mil od Gniezna.

---

(1) III, 732 pod N. 11. (2) III, 777 pod N. 5. (3) Opidum. Pawiński, Wielkop. II, 295 i 310. (4) II, 95 i 113. (5) Nowy Kod. Wielkop. N. 1354. (6) Diewenau.

Kamień, w Krajnie (1), zwany z łacińsko-niemiecka *Camin*, leży na południe od Człuchowa i Chojnic, na prawym brzegu Kamionki, prawego dopływu Brdy, która wpada do Wisły.

Długosz wylicza między miastami polskiemi Kamień, *pontificati excellentia nobilis*, co tłomacz jego przełożył na: „szczyci się katedrą biskupią.“ Jakkolwiek Kamień, w Krajnie, był za czasów Długosza miastem arcybiskupiem, miał historyk nasz na myśli nie należący do Polski Kamień nadbałtycki, którego biskupi zasiadali na synodach Gnieźnieńskich i w którym Mieczysław I miał założyć biskupstwo.

W roku 1109 (2) zdobył Krzywousty Nakło, a sześć innych grodów pomorskich poddało się zwycięzcy (3). Między temi sześcioma grodami wyliczają niektórzy (4) Kamień, w Krajnie, co, będąc domysłem tylko, nie zasługuje na szczególną uwagę. Kamień nadbałtycki poddał się Krzywoustemu w r. 1107.

Schmitt (5), monograf powiatu Złotowskiego, twierdzi, że Kamień w Krajnie zwany był w r. 1225 *Camena*, nie przywodząc źródła, z którego zaczerpał tę wiadomość; łatwo więc być może, iż go pomięszał z Kamieniem z pod Jastrowia, zachodzącym pod tąż nazwą *Camena* w przywileju Władysława Odonicza z dnia 2 października 1225 roku (6).

Tenże Schmitt, powołując się na Damalewicza, wspomina o przywileju z dnia 26 grudnia r. 1236 (7), mocą którego Świętopełk, książe Pomorski, nadał arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu niektóre włości, położone „*in der Clavis Camenensis.*“ O kluczu Kamieńskim mowy być nie mogło w r. 1236; odnośny dokument mówi o „*villas in dominio meo sitas*“ i „*villae in terminis mei dominii...*“ Klucz Kamieński powstał późniéj; Damalewicz (8) użył téj nazwy dla bliższego określenia wymienionych przez siebie włości.

Zachodzący pod r. 1289 w Rzyszczewskiego Kodeksie, II, 632, *Wislaus canonicus Caminensis*, *plebanus in Gdancz*, był kanonikiem w Kamieniu nadbałtyckim.

W roku 1339 pod dniem 15 września (9) rzucają legaci papiescy klątwę na Krzyżaków, a między innymi na komtura kamieńskiego za zabranie dóbr arcybiskupich i za różne bezprawia, jakich Krzyżactwo dopuszczało się podówczas w ziemiach polskich.

---

(1) Krajną zowie się ziemia między Notecią, Kamionką, Głdą i Brdą. (2) U Długosza pod r. 1113. (3) Gallus, w Monum. Bielow. I, 465. (4) Quandt, w F. W. F. Schmitt'a Der Kreis Flatow, 29. (5) Na str. 242. (6) Now. Kod. Wielkop. (7) Roku 1237 podług N. Kod. Wielkop. N. 206. (8) Super villas Cruszewo, Mochle ac Orel, in clave Camenensi constitutas. Series archiep, Gnensn. 144. (9) N. Kod. Wielkop. N. 1192 i 3 i Długosz, Hist. III.

Wydawca Nowszego Kodeksu Wielkopolskiego, Schmitt, monograf powiatu złotowskiego, i ks. Fankidejski, współpracownik wychodzącego w Warszawie Słownika Geograficznego, uważają Kamień, w Krajnie, za siedzibę wspomnianego komtura. Byłoby to więc po raz pierwszy, że w przechowanych, współczesnych dokumentach spotykamy się z tym Kamieniem. Zważywszy atoli, że dopiero w r. 1360 wieś Wawrzyszkowo przezwano urzędownie Kamieniem i że miejscowość ta jest zajmującą nas tu siedzibą komtura, nasuwa się co do tożsamości jéj pewna wątpliwość, która niestety domysłami tylko da się wytłómaczyć. Chcąc przeto pogodzić komturstwo Kamieńskie z roku 1339 z Wawrzyszkowem z r. 1360, przypuszczać należy, że ówczesny Kamień składał się z dwu części, z grodu zwanego Kamieniem i z osady „Wawrzyszkowo,“—że w r. 1360 zlały się te dwie części w jedną całość, którą odtąd mieniono wyłącznie Kamieniem,—lub też, że obok nazwy Warzyszkowa istniała w ustach ludu przed rokiem już 1360 druga nazwa Kamienia, którą przywilej króla Kazimierza potwierdził i ustalił. Starożytności atoli tego Kamienia, czyli raczéj nazwy jego, nie podobna, w braku danych, posunąć daleko wstecz po za rok 1237, pod którym odnośny przywiléj wymienia *Kamonviaz* czyli Kamienny Jaz, przypominający swém brzmieniem i Kamień i Kamionkę. Między rokiem 1237 i 1284 zachodzą Kruszewo i Mochle, które albo znikły, albo zatraciły swe imiona; między rokiem zaś 1343 i 1360 pojawia się wspomniane powyżéj Wawrzyszkowo; osady te wraz z Orłem i innemi tworzyły pewien kompleks w pobliżu Kamienia i Kamionki.

W r. 1343 pod dniem 13 czerwca (1) potwierdza król Kazimierz sprzedaż Wawrzyszkowa, późniejszego Kamienia, nabytego niegdyś od Mirosława z Suchoręcza przez Janisława, arcybiskupa Gnieźnieńskiego; pod dniem zaś 25 lipca t. r. zgadzają się na to kupno Jan, biskup poznański, i Mikołaj z Mędlewa, stryjowie Mirosława.

Dnia 6 grudnia r. 1346 (2) porucza papież Klemens VI opatom, Oliwskiemu, Peplińskiemu i Żukowskiemu zbadanie i zawyrokowanie w sprawie arcybiskupa Gnieźnieńskiego, którego posiadłości, a między innemi także Wawrzyszkowo, był zbrojnie najechał Jan, biskup Kamieński (3).

Traktatem Malborskim z dnia 23 czerwca 1349 r. ustalono granicę między zajętemi przez Krzyżaków ziemiami a posiadłościami korony polskiéj. W téj ugodzie nie zachodzi ani Wawrzyszkowo ani Kamień, lecz Kamionka, która go oblewa.

---

(1) N. Kod. Wielk. N. 1214 i 1227. (2) Tamże pod N. 1256. (3) Z Kamienia nadbałtyckiego.

Pod dniem 1 marca 1357 r. potwierdza król Kazimierz posiadłości arcybiskupów Gnieźnieńskich, między któremi wymienionėm jest także Wawrzyszkowo, należące wówczas do powiatu Nakielskiego województwa Kaliskiego.

W roku 1359 dnia 11 lutego wyniósł Jarosław, arcybiskup Gnieźnieński wieś Wawrzyszkowo do rzędu miast z prawem Chełmińskim, przeznaczył miejsca na kościół i warownię i powierzył starostwo Tomaszowi z Radzimina (1). Mówiąc o téj lokacyi Jan z Czarnkowa (2) i Długosz, dodają jak najwyraźniéj *„in metis Pomeraniae;“* nie ulega więc żadnéj wątpliwości, że tu mowa o Kamieniu, położonym w Krajnie, na pograniczu Pomorza. Pomimo to czytam w dodanym do Herbów Paprockiego skorowidzu (3), że lokowany przez rzeczonego arcybiskupa Kamień leży nad Wartą, o pięć mil od Gniezna. Ten sam błąd, z którego wyłoniły się inne, spotykam także w M. Balińskiego Starożytnéj Polsce (4). Monograf ziemi Poznańskiéj, H. Wuttke (5), nie dowierzając Balińskiemu, szukał lokowanego Kamienia gdzieindziéj i wpadł na Kamienną, leżącą nad Kamionką, lewym dopływem Warty, na południo-wschód od Międzychoda.

Pod dniem 25 czerwca r. 1360 (6) potwierdza król Kazimierz lokacyę Wawrzyszkowa i zamianę téj nazwy na Kamień.

Między rokiem 1363 i 1366 występuje jako pierwszy, znany nam kasztelan kamieński, Wincenty z Rozrażewa i Kępy; po nim nastąpił Janusz ze Starczanowa między r. 1367 i 1372 (7).

Andrzéj Sweradowski, r. 1375—1383 (8).

Czanczemir r. 1385.

---

(1) Z późniejszych Kamieńskich starostów arcybiskupich przechowały się następujące nazwiska:

Herman Templyn r. 1370.
Jan Klonowski r. 1526.
Paweł Szymanowski r. 1606.
Gądkowski r. 1626.
Kazimierz Włostowski r. 1724.
Wałdowski r. 1768.
i Kwiatkowski r. 1772. (Schmitt l. c. 140).

(2) W Monum. Bielowskiego II, 673. (3) Wyd. Turowskiego. (4) Tom I, str. 198. (5) Städtebuch des Landes Posen, 332. (6) N. Kod. Wielkop. p. N. 1433.

(7) Na tém miejscu, odstępując od porządku chronologicznego, podaję cały poczet kasztelanów Kamieńskich, jaki zestawić zdołałem z następujących dzieł: Nowszy Kodeks Wielkopolski; F. W. F. Schmitt, Kreis Flatow, 140; Łukaszewicz, Kr. Op. pow. Krotosz. II, 91; J. Błeszyński, Spis senatorów, 21.

(8) W Kod. Wielkop. zachodzi między r. 1375 i 1380 bez nazwiska; z nazwiskiem zaś i z r. 1383 u Schmitt'a;—przypuszczam, że to jedna i ta sama osobistość.

Wojciech czy Albert, starosta międzyrzecki, r. 1390—1408 (1).
Andrzéj z Danaborza r. 1420.
Dobrogost Nałęcz Ostroróg r. 1422 (2).
Andrzéj z Danaborza, r. 1426 (3).
Dobrogost Nałęcz z Kolna r. 1438 (4).
Dobrogost Nałęcz Ostroróg r. 1443.
Andrzej z Bnina r. 1488—1490 (5).
Wojciech z Potulic 1512—1513 (6).
Łącki Mikołaj r. 1560.
Mieliński Mikołaj r. 1607.
Baranowski Wojciech r. 1630.
Starkowiecki Andrzej r. 1650.
Potocki Józef-Stanisław Pilawa r. 1714.
Firlej Jędrzéj Lewart r. 1714.
Kronkowski—Trąba r. 1719.
Brodzicki Stefan r. 1734.
Kossakowski Stanisław Ślepowron r. 1748.
Potocki Józef Szeliga r. 1761.
Sczaniecki Prokop Ossorya r. 1772.
Kierski Kazimierz Jastrzębiec r. 1777.
i Gorzeński Makary Nałęcz r. 1784.

W r. 1370 (7) odkupił arcybiskup Jarosław starostwo kamieńskie i sprzedał je znów Hermanowi Templyn.

Roku 1372 stanął kościół w Kamieniu (8).

Roku 1374 (9) otrzymał w dożywociu Kamień i inne dobra Jarosław, który był złożył godność arcybiskupią.

W r. 1381 pisze się z Kamienia (10) Bertold, kanonik Gnieźnieński.

Wybrany w r. 1382 arcybiskupem Gnieźnieńskim Dobrogost lecz nie potwierdzony przez króla Ludwika, żąda, jako wynagrodzenie za różne w sprawie kościoła poniesione wydatki, zamku Łowickiego lub też Kamieńskiego (11).

---

(1) W. r. 1401 Woythco, bez dodatku: starosta międzyrzecki; r. 1404 i 1408 Albertus, także.

(2) X. Fankldejski, w Słowniku Geogr. III, 739, nie słyszawszy nic o kasztelanach Kamieńskich w czasach późniejszych, urywa tu ich poczet.

(3) Wuttke, Städtebuch, 53. Może to ten sam Andrzej, który występuje pod r. 1420. (4) O tożsamości Dobrogostów Nałęczów nie rozstrzygam. (5) Rzyszczewskiego Kod. Dypl. II, pod r. 1488. (6) Akta Gr. i Ziem. III, 194.

(7) N. Kod. Wielk. N. 1633. (8) Słown. Geogr. (9) N. Kod. Wield. N. 1703.

(10) Podług wydawcy N. Kod. Wielk, N. 1786 i 7 pochodziłby ten Bertold z Kamienia, w Krajnie. X. J. Korytkowski (Prałaci i Kan. II. 226) nie objaśnia miejsca pochodzenia. (11) Jan z Czarnkowa, w Monum. Bielow. II, 719 i Długosz, Hist. III.

Następnego roku 1383, podczas wojny domowéj, zabiera Sędzimirz Radzicki miasteczko arcybiskupie Kamień (1), „na Pomorzu." Owóż co pisze Cellariusz (2) o tym wypadku: *Camenum, Kamin archiepiscopi Gnesnensis arx et oppidulum, cum Quecissovo urbecula ipsi post Ludovici Hungariae et Poloniae Regis mortem ereptum, eo quod Masoviae Duci adhaerens, Hedvigi, dicti Regis filiae, et haeredi se opposuerit. Prius oppidum deditione servatum est, posterius vero vastatum. Supra Landam in Wartae fluminis margine locatum Castellano subjicitur.* Może ztąd powstała baśń o kasztelanii Kamieńskiéj nad Wartą.

W roku 1384 pisał się z Kamienia Witołd, kanonik Gnieźnieński (3).

„Od roku około 1395, zdaje się, mówi ks. Fankidejski (4), że miasto Kamień jako i pobliższe dobra arcybiskupie, osobliwie na północ leżące i pod rządem Krzyżackim zostające, posiadał z wiedzą i przyzwoleniem papieża Bonifacego IX młody i wielce awanturniczy biskup Kamieński z Pomorza Jan, pochodzący z książąt na Opolu, licho wtedy w dyecezyi swojéj uposażony. Kiedy r. 1398 otrzymał biskupstwo kujawskie, papież napowrót oddał te dobra arcybiskupowi."

W r. 1409 spalili Krzyżacy Kamień; r. 1414 powtórzyło się to samo.

Arcybiskup Łaski (5) utworzył archidyakonat Kamieński w roku 1512.

Arcybiskup Karnkowski wydał w r. 1597 nowy przywilej miasta, potwierdzający dawne prawa jego (6).

W r. 1651 ufundował tu kolegiatę arcybiskup Maciej Łubieński.

Za czasów polskich nie cierpiano w Kamieniu ani żydów, ani protestantów.

Klucz Kamieński składał się pod koniec XVII wieku z następujących posiadłości: Cerekwica Mała i Wielka, Dąbrówka nabyta za Gębarzewo, które wzięto za Chojniczki, Kamień, Lubiewo, Lutowo Małe i Wielkie, Obkas, Orzeł, Piaseczno, Płocice, Sucha, Witkowo, Zabartowo i Zdziechowo. Gruczno i Kozielec darował arcybiskup Karnkowski kapitule Gnieźnieńskiéj w r. 1591. Niewiadomo, jakim

---

(1) Tamże. O Kamieniu nadbaltyckim mowy tu być nie może. (2) Regni Pol. descr. 227.

(3) Ob. powyżéj w przypiskach pod r. 1381. Między Prałatami i Kanonikami X. J. Korytkowskiego znaleść nie mogę tego Witolda. [? Bertolda? (*Przyp. Red.*] (4) W słown Geogr. (5) Liber Benef. 4. (6) Schmitt, 243.

sposobem odpadły od tego klucza Łubnia i Piechowice. Mochle i Kruszewo zaginęły (1).

Z wymienionych tu posiadłości tworzyły tylko następujące pewną całość terytoryalną: Dąbrówka, Obkas, Orzeł, Witkowo, obie Cerekwice, Płocice, Piaseczno, Zdziechowo, Lutowo Małe i Wielkie; wszystkie inne rozrzucone były w okolicach Tucholi, Kościerza, Świecia, Koronowa i Więcborka, dla tego też starostwa, w przyjętém powszechnie znaczeniu, tworzyć nie mogły. Starostowie Kamieńscy byli raczéj rządzcami arcybiskupimi.

Do parafii Kamieńskiéj należały w XVI wieku prócz Kamienia, Płocice i Cerekwice.

W skład dekanatu Kamieńskiego, wcielonego w nowszych czasach do dyecezyi Chełmińskiéj, wchodzą: Buczek, Głupczyn, Kamień, Krajeska, Radownica, Sępolno, Sławianowo, Sypniewo, Więcbork, Zakrzewo i Złotowo.

Utworzony w r. 1512 archidyakonat Kamieński (2) obejmował dekanaty: Człuchowski, Łobżenicki, Nakielski, Tucholski i Więcborski.

Miasto Kamień, czyli raczéj ziemia, na któréj stanęło, należała pierwotnie do Pomorza, a następnie do powiatu Nakielskiego, województwa Kaliskiego. Gdy zaś w r. 1768 utworzono województwo Gnieźnieńskie (3), powstał w pojęciach geografów naszych pewien zamęt, który z powodu szybko po sobie następujących, doniosłych wypadków nie miał czasu wyjaśnić się należycie. M. Baliński np. liczy powiat Nakielki, po r. 1768 do województwa Kaliskiego, Gnieźnieńskie zaś składa w r. 1777 z powiatów Gnieźnieńskiego, Kcyńskiego i Pyzdrskiego, a w r. 1789 z dwóch tylko powiatów Gnieźnieńskiego i Kcyńskiego. Zdaniem mojém był podział taki niemożliwy; powiat bowiem Nakielski byłby całkiem województwem Gnieźnieńskiem oddzielony od Kaliskiego, do którego miał należéć po r. 1768. Uchwała sejmu extraordynaryjnego z r. 1768 (4), opiewając: „A lubo powiat Nakielski do województwa Kaliskiego należéć powinien, dogadzając jednak obywatelów żądaniu, w pobliższym ziemstwie Gnieźnieńskim sądzić się pragnących, postanawiamy, aby wspomniane wyżéj Roki ziemskie Gnieźnieńskie po odsądzonych rokach powiatu Kcyńskiego sądziły się tydzień w Nakle“ itd... mogła wprawdzie wywołać różne interpretacye, najelementarniejsze atoli zasady o podziałach administracyjnych powinny były w tym wypadku zaważyć. To też przechylam się na stronę tych, którzy z Zano-

(1) Słown. Geogr. (2) Księgi archidyakonatu tego zaginęły. (3) Konstyt. Seymu, 267. (4) Str. 284 i Schmitt, 84, przyp.

nim dzielą województwo Gnieźnieńskie na powiaty Nakielski, Kcyński i Gnieźnieński; że zaś przy rozgraniczaniu tego województwa zachodzić mogły różne spory i niedokładności, łatwo pojąć, skoro uprzytomnimy sobie chwiejność ówczesnéj machiny rządowéj, któréj przypisuję i tę okoliczność, że Zanoni oznaczył np. w powiecie Tucholskim, województwa Pomorskiego należące przed r. 1768 do powiatu Nakielskiego Sępolno i Kamień.

Po podziale Polski w r. 1772 zachowano przez pewien czas powiat Nakielski z czasów Rzeczypospolitéj, późniéj atoli utworzono powiat Kamieński z miastami: Gołańcz, Kamień, Krajanka, Łobżenica, Margonin, Miasteczko, Sępolno, Szamocin, Wyrzysko, Wysoka, Złotowo i Więcbork (1).

Klucz Kamieński zabrał król Pruski i utworzył tak zwaną domenę.

Po zawarciu w r. 1807 traktatu Tylżyckiego odpadły od powiatu Kamieńskiego miasta ze swemi okręgami: Gołańcz, Łobżenica, Margonin, Miasteczko, Szamocin, Wyrzysko i Wysoka, które dostały się utworzonemu wówczas W. Ks. Warszawskiemu.

Domenę Kamieńską nadał Napoleon marszałkowi Mortier, który ją posiadał aż do r. 1814.

Pozostawiona Prusom na mocy wspomnionego traktatu część powiatu Kamieńskiego zachowała swą nazwę; tak też zwano drugą część, przyłączoną do W. Ks. Warszawskiego (2); istniały więc między r. 1807 i 1815 dwa powiaty Kamieńskie.

Po r. 1815 przekształcono powiat Kamieński, który odtąd zwie się Złotowskim i wchodzi w skład tak zwanych Prus Zachodnich (3).

III.

Kamień nad Wartą.

Ze źródeł, jakie nagromadziłem do niniejszego studyum, przekonać się nie mogłem o istnieniu Kamienia, grodu i kasztelanii nad Wartą, o pięć mil od Gniezna, w województwie niegdyś Kaliskiém.

W linii powietrznéj, o pięć mil na południo-wschód od Gniezna, między Słupcą i Kaźmierzem Biskupim leży wprawdzie wieś Kamień, znana już w r. 1232, która przecież oddalona o dziesięć staj od Warty, ani grodem ani kasztelanią nigdy nie była.

Zanoni oznacza Kamień na prawym brzegu Warty, przy ujściu spływającego z jeziora Kleczewskiego strumienia, między Lądkiem

(1) Schmitt, 86, 599. (2) ...um anzudeuten, dass man auf den ganzen Caminer Kreis Anspruch erhebe. Schmitt, 90. (3) Po szczegóły odnoszące się do nowszych dziejów Kamienia odsyłam do wychodzącego w Warszawie Słownika Geograficznego.

i Koninem, naprzeciw Krośnic (1). Z powodu niedokładności mapy przywiedzionego autora przypadać może ten Kamień na dzisiejszy Ratyń, Sługocin, Radolinę, Myśliborz, a nawet Kawnice. Cellariusza *supra Landam in Wartae fluminis*, jak o tém wspomniałem (2) w poprzednim rozdziale, mogło było dać początek mniemaniu, że tam istniała niegdyś kasztelania, i gdyby nie oczywiste pomięszanie miasteczka arcybiskupiego z grodem téj nazwy nad Wartą, zasługiwałoby zdanie tego autora na szczególną uwagę. Ale Cellariusz, nie miał jasnego pojęcia o geograficzném położeniu Kamienia swego, na inném bowiem miejscu (3) kładzie Konin między Pyzdry i Kamień, który w takim razie leżałby nietylko powyżéj Lądu, ale powyżéj samego Konina, w okolicy Koła.

Sirisa (4) wspomina o Kamieniu nad Wartą z kasztelanią mniejszą, który rzadko kiedy oznaczony bywa na mapach geograficznych.

Warta zmieniając pod Kołem kierunek, płynie ku zachodowi na Konin, Ląd, Ciążyń i Pyzdry. Mam pod ręką z przeszłego stulecia mapkę (5), która bieg Warty kreśli odmiennie; pominąwszy tę niedokładność oznacza ona między Kołem i Lądkiem „*Kamin*“, którego położenie odpowiadałoby mniéj więcéj Koninowi, Konin zaś przenosi między Lądek i Pyzdry, w przybliżeniu na miejsce Ciążynia.

W. Grodzicki oznacza na swéj mapie „*Comin*“ na zachód od Lądu, pomijając Konin na właściwém miejscu; mylnie więc i pisany i oznaczony *Comin*, który niezawodnie stać miał zamiast Konina, mógł utwierdzać w mniemanie, że tam gdzieś nad Wartą, czy na wschód, czy na zachód od Lądu, leżał gród, zwany Kamieniem.

„*Camenum*“ Sarnickiego (6) nie da się sprowadzić do żadnego ze znanych Kamieni, ponieważ nie tylko że nie podał odnośnego stopnia szerokości, ale podawane w opisie jego stopnie są bardzo często niedokładne i mylne.

Starożytności Polskie Moraczewskiego (7) w kłopocie, gdzie podziać ten Kamień z nad Warty, powołują się na wydany w Warszawie w r. 1782 Dykcyonarzyk Geograficzny Pana Echarda i rozróżniają go należycie od Kamienia w Krajnie, idąc wszelako za Zanonim, który, jak wspomniano powyżéj, oznaczył go w województwa Pomorskiego powiecie Tucholskim.

Mniéj skrupulatny Baliński pogodziwszy jeden Kamień z drugim, stworzył trzeci, to jest taki, który z kasztelanią mniejszą leży

---

(1) „Krasnica“ na mapie. (2) Ob. rozdział drugi téj pracy pod r. 1383. (3) Regni Pol. Descr, 224. (4) Polens Ende, 136 (den man auf wenig Karten findet). (5) Nuora Carta del Regno di Boemia... in Amsterdam da Isac Tirion. (6) Descriptio Vet. et N. Poloniae. (7) Poznań, 1842. Tom I, 413.

o pięć mil od Gniezna, nad Wartą, i który, lokowany na prawie miejskiém przez Jarosława Skotnickiego, ma kościół kolegiacki i probostwo z tytułem infułata.

IV.

Kamień, pod Żerkowem, po lewym brzegu Prosny.

Wychodzący w Warszawie Słownik Geograficzny nie powtórzył pokutujących o kasztelanii Kamieńskiéj nad Wartą baśni;— natomiast odkrył drugą téj nazwy kasztelanią w Kamieniu z pod Żerkowa.

„Kamień“, podaje Słownik na właściwém miejscu, „dominium i osada, niegdyś miasteczko (z kasztelanią), powiat Wrzesiński... Poczta i st. kol. żel. w Żerkowie“.

Ten sam Kamień wykazuje Słownik na innem miejscu (2), jako byłą wieś w archidyakonacie Kaliskim, par. Kretkowo, która po 1815 roku „odpadła“ do królestwa Polskiego, powołując się na *Liber Beneficiorum* Łaskiego. I w rzeczy saméj twierdzi wydawca tegoż dzieła (3), jakoby wieś Kamień po rozgraniczeniu W. Ks. Poznańskiego przeszła do królestwa Polskiego. Objaśnienie to jest mylne.

Za czasów Łaskiego należały do parafii Kretkowskiéj Żerniki i graniczący z nimi, po lewym brzegu Prosny Kamień, *villa deserta*. Regestra Poborowe z r. 1579 nie wymieniają téj wsi, a wydawca ich, A. Pawiński (4), podaje w przypisku do Żernik: *Kamieni Sustkowski nobilium*; i w takich Regestrach z roku 1618—1620 (5) nie spotykamy Kamienia, leżącego zapewne jeszcze pustkami w parafii Kretkowskiéj, która w owych czasach nie sięgała po za prawy brzeg Prosny. Prosna, od Kuchar do samego ujścia swego, rozgranicza szczelnie W. Ks. Poznańskie od Królestwa kongresowego.

E. Callier.

---

(1) Tom III, 736. (2) III, 740. (3) II, 25. (4) Tom I, 121. (5) Parczewski, 82

Wystawa rolniczo-przemysłowa.

I. Dział rolniczy.

Doroczna wystawa inwentarzy na placu Ujazdowskim, zawsze tak sympatycznie witana przez chciwą wrażeń publiczność Warszawską i gości z prowincyi przybyłych, zeszła w tym roku na drugi plan, ustępując pierwszeństwa wystawie przemysłowéj, która świetnością swoją przewyższyła wszelkie oczekiwania. Nie zmniejsza to bynajmniéj doniosłości i znaczenia staréj naszéj znajoméj i dla tego słów kilka o niéj powiedziéć zamierzamy.

Urządzona z inicyatywy i staraniem Towarzystwa wyścigów konnych w Królestwie Polskiem, w r. 1880 specyalna wystawa koni wywołała znaczny ruch pomiędzy hodowcami w kraju i w ościennych prowincyach. Zaczęliśmy pilnie śledzić przyczyny małéj produkcyjności naszéj hodowli i poddawać ścisłéj krytyce jéj kierunki.

Organa prasy peryodycznéj były tą areną, na któréj się ścierały zdania i poglądy nieraz wręcz sobie przeciwne. Przeciętny hodowca, odgrywając tutaj tak często na scenie życia widywaną rolę młynarza w bajce, oczekiwał jasnych i pewnych wskazówek, jaki ma na przyszłość obrać w hodowli kierunek; jak zwykle bywa, wskazówki te zbyt ogólnikowe, nie uwzględniające miejscowych warunków dla każdego pojedyńczego wypadku, nie przyniosły pożądanego skutku i każdy pozostał przy swojém, modyfikując swój sposób postępowania stosownie do własnych wyobrażeń. Małą produkcyjność hodowli koni uznano powszechnie, zaznaczając iż podniesienie jéj da się tylko osiągnąć przy wyjątkowo sprzyjających warunkach, które bardzo rzadko dają się natrafić. Lecz obok tego powstało pytanie, jaki jest stan hodowli innych zwierząt domowych w kraju i czy jéj rezultaty pod względem ekonomicznym lepiéj odpowiadają celowi. Ztąd powstała myśl urządzania dorocznych wystaw inwentarzy, z celem

przeważnie handlowym, aby producentom, a zwłaszcza właścicielom zarodowych obór, owczarni i chlewni, dać możność zbytu celnych okazów kwalifikujących się na reproduktory, nabywcom zaś ułatwić wynalezienie i kupno takiego właśnie towaru jakiego potrzebują, bez uciekania się do niedającego gwarancyi a przytém drogo opłacanego pośrednictwa zagranicznych handlarzy; jedném słowem, wytworzyć bezpośredni stosunek pomiędzy producentem a konsumentem. Doświadczenie przekonało, że obrana droga była rzeczywiście właściwą. Co roku, podczas trwania wystawy, pokup na bydło rogate, owce, nierogaciznę i drób bywa bardzo ożywiony, a i w tym roku, pomimo tak dotkliwie dającéj się uczuć stagnacyi w interesach i trudności zbytu produktów rolnych, obecna wystawa nie daleko pozostała w tyle po za swemi poprzedniczkami. Wystawy więc nasze nie są tylko czczym popisem lecz rzeczywistem ułatwieniem stosunków pomiędzy producentami a konsumentami i ztąd niezaprzeczoną mają racyą bytu.

Przystępując do przedstawienia przed oczy czytelników pojedynczych działów wystawy, przegląd nasz rozpoczniemy od koni, już z tego względu, że inicyatywę urządzenia wystaw zawdzięczamy Towarzystwu wyścigów konnych, jak również dla tego, że ta gałąź hodowli, pomimo trudności jakie jéj rozwojowi stają na zawadzie, tylu u nas liczy zwolenników i tak się z warunkami naszego ziemiańskiego życia zespoliła, że bez niéj, twarde warunki bytu pracownika na roli, posiadacza średnich rozmiarów własności ziemskiéj, pozbawione byłoby uroku, jakiego zawsze dostarcza dogodzenie wrodzonemu a godziwemu upodobaniu.

Przed laty, w obec zupełnie innego ukształtowania społecznych stosunków, kraj nasz posiadał konie zdatne do wszelkich posług i wysoko cenione nietylko w kraju, ale i zagranicą, dokąd téż drogą handlu wychodziły znaczne ich ilości. Ciągłe stosunki ze wschodem aczkolwiek po większéj części przypadkowe lub wywołane katastrofami wojennemi, dostarczały krajowi reproduktorów ras najszlachetniejszych, które przy ogólném zamiłowaniu hodowli koni wpłynęły na poprawę ras miejscowych do tego stopnia, iż znalazło się wielu, już w naszych czasach, hippologów, uznających istnienie w przeszłości odrębnéj rasy szlachetnych polskich koni i ubolewających nad jéj wygaśnięciem. Zdania tego, pomimo wielu wręcz przeciwnych twierdzeń, nie podzielamy. Posiadaliśmy wprawdzie konie niewątpliwie szlachetnego wschodniego pochodzenia, zrodzone i przez liczne pokolenia wychowane w kraju, lecz nie posiadające cech właściwych i tak ustalonych, któreby nadawały prawo zaliczać je do pewnéj odrębnéj i uznanéj rasy. Gdy zbieg niefortunnych okoliczno-

ści ujemnie wpłynął na rozwój stadnin krajowych, rzekoma ta rasa znikła bezpowrotnie, wraz ze stosunkami które na jéj rozwój wpływały. Zawsze jednak, tradycyjne zamiłowanie do konia wschodniego pozostało we krwi i w usposobieniach narodu, a nowe wyobrażenia, stawiające konia angielskiego pełnéj krwi jako typ szlachetnego konia i reproduktora mającego skutecznie wpłynąć na polepszenie zdegenerowanych ras naszych koni, pomimo logicznie przeprowadzonéj teoretycznéj zasady, nie zdołały dotąd jeszcze skutecznie wpłynąć na przekonania mas, ponieważ wysokie koszta tak prowadzonéj hodowli i nieodłączne od niéj trenowanie oraz ubieganie się młodych koni o nagrody na wyścigach, znacznie przewyższają środki i zasoby, jakiemi może rozporządzać hodowca wyższéj nawet nad średnią zamożności. Prócz tego, względnie nawet pomyślny rezultat hodowli nie daje jeszcze rękojmi, że koń wychowany kosztem tak znacznych pieniężnych ofiar i ryzyka, będzie dobrym reproduktorem, przelewającym zalety swoje na potomstwo; liczne nieudane próby przekonały, iż to nie zawsze się trafia i pod tym względem więcéj naliczyć można ujemnych niż dodatnich rezultatów, czego przyczyną jest nieodpowiedni materyał hodowlany, jaki w stadninach naszych posiadamy. Słusznie można powiedziéć, iż pełna krew jest obosieczną bronią, któréj w hodowli należy używać z głęboką rozwagą i znajomością rzeczy; hodowca, który inaczéj postępuje, narazi się na gorzkie zawody i niepowetowane straty.

Rozwój sieci dróg żelaznych, łączących z ogniskami handlowego i przemysłowego ruchu, wytworzył potrzebę środków transportu, któreby na niewielkich przestrzeniach mogły służyć do przewożenia znacznych ciężarów; do tego potrzebny jest koń ciężki pociągowy o wielkiéj wadze ciała i potężnéj sile muskułów, chociaż niezdatny do szybszego biegu, ale powolny i spokójny. Ani drobnéj budowy ognisty koń wschodni, ani obdarzony drażliwym systemem nerwowym koń pełnéj krwi, nie nadaje się do tego celu; takich koni szukać należy w rasach koni tak zw. zimnéj krwi, czyli podług klasyfikacyi Czapskiego w koniach armorykańskich, jakiemi są perszerony i angielskie suffolki, norfolki, clevelandy i inne. I ten kierunek hodowli nie jest obcym wielu naszym hodowcom.

Lecz największą ilość koni w kraju stanowią t. zw. konie robocze, używane do pracy koło roli. Koń taki, przy miernym wzroście, znacznéj sile, spokojnym temperamencie, żelaznéj wytrzymałości na zmiany atmosfery, małych wymagań pod względem paszy i wygód utrzymania, posiadać jeszcze powinien lekką budowę, aby mógł się swobodnie poruszać po rozmiękłych drogach i po spulchnionym przez uprawę gruncie, ciągnąc przytém wóz niezbyt ciężko ładowny

lub potrzebne w danéj chwili narzędzie rolnicze. Każdy przyzna, iż typ taki nie łatwo daje się odszukać i z niemniejszą trudnością w hodowli urzeczywistnić. O te trudności rozbijają się po większéj części usiłowania hodowców, a w praktyce rolniczéj brak takiego materyału zastąpionym bywa mięszaniną zużytych koni rozmaitych typów koni, które za lepszych dni swego żywota przeznaczone były do spełniania innych, mniéj uciążliwych posług. Dzisiaj łatwiéj u nas znaleźć pięknego wierzchowca, parę rosłych o wspaniałych chodach karecianych koni, zdatnego do pociągu silnego konia, niż prawdziwie dobrego konia roboczego, któregoby cena była w odpowiednim stosunku do jego użytkowéj wartości.

Wszystkie te cztery kierunki hodowli dają się dostrzegać w okazach dostarczonych na wystawę przez hodowców i właścicieli. Nawiasem mówiąc, nie widzimy dobréj racyi odznaczania najwyższą nagrodą okazów nabytych tylko, nie zaś wyhodowanych przez właścicieli, gdyż do tego potrzeba tylko szczęśliwego trafu, zamiłowania koni i pieniędzy. Nagrody takie powinny przypaść w udziale tylko hodowcom, którzy czas swój, pracę i koszta wyłożyli na to, aby powiększyć w kraju zasób dobrych koni i stworzyć nowe źródło, z którego część potrzeb kraju w przyszłości zaspakajaną być może.

Nie możemy tu z katalogiem wystawy w ręku wyliczać wszystkie okazy wystawionych koni i nazwiska ich właścicieli, wspomnimy tylko o takich, które stosownie do powyższego podziału, zbliżają się do tego lub owego typu przedstawiającego wybitny kierunek hodowli. I tak koni pełnéj krwi, pochodzących z pierwszorzędnych stadnin, nie było na wystawie, znajdowały się one wszystkie w stajniach lub na polu mokotowskiém, z powodu odbywających się jednocześnie z wystawą wyścigów, zresztą stan w jakim się obecnie znajdują w skutek trenowania, czyli t. zw. w języku sportu „kondycya“, nie czyni ich przydatnemi na okazy wystawowe.

Do stadnin przedstawiających konie pół krwi, prowadzących hodowlę z jasno wytkniętym celem i z umiejętnością zapewniającą jéj powodzenie, na pierwszém miejscu postawić należy stadninę p. Antoniego Bobrowskiego w Snopkowie pod Lublinem. Stadnina ta nabyła już pewnego rozgłosu w kraju, a większego jeszcze zagranicą, dokąd też ma zawsze zapewniony zbyt swoich produktów.

Bolesław hr. Skarbek z Wierzchlesia (gub. Kaliska, pow. Wieluński) przedstawił siedm koni pół krwi angielskiéj, swego chowu, wszystkie po jednym ogierze nazwiskiem Goswin, oraz ośm klaczy i jednego ogiera rasy anglo-arabskiéj, swego chowu, wszystkie po ogierze nazwiskiem „Śmiały“ taka jednolitość w stadninie każe dobrze wróżyć o jéj powodzeniu.

P. Henryk Unrug z Ryk (gub. Siedlecka), dobrze zasłużony na polu krajowego rolnictwa, nie wyłącza i hodowli koni z zakresu swéj działalności i na obecnéj wystawie przedstawia ją w okazach własnego chowu po ogierze trakeńskim; w liczbie ich znajdują się konie wierzchowe i robocze; prócz tego widzimy tu także konie robocze, przychowane po ogierze angielskim. Stado Sernickie p. Ludwika Grabowskiego reprezentowane było na wystawie przez konie pół krwi, po ogierach krwi pełnéj: „Dark-blue“ i „Le Sarrazin“, oba własnego chowu.

Rasa wschodnia przeważa w okazach dostarczanych przez właścicieli stadnin zamieszkałych w „południowo-zachodnich“ guberniach; do tych zaliczyć należy stadninę p. Wienczysława Karnickiego w Rohaczach (gub. Kijowska); konie te maści siwéj wszystkie w wieku lat czterech, przedstawiają cechy świadczące o ich pochodzeniu, ale zarazem i te właściwości, które dzisiaj konia wschodniego mniéj czynią popłatnym, mianowicie drobny wzrost i szczupłą budowę; wady, które jedynie ognisty temperament konia czystéj krwi wschodniéj wynagrodzić jest w stanie. Ale ta czysta, szlachetna krew jakże jest trudną do odnalezienia i jak każdą jéj kropelkę na wagę złota opłacać trzeba!

Bardzo zamożni mogą sobie tylko pozwolić tego zbytku ze względną pewnością powodzenia; przedstawicieli takiéj stadniny widzimy w koniach hr. Władysława Branickiego ze Stawiszcz; są to wprawdzie konie pół krwi, po dwóch celnych ogierach arabskich; czy te ogiery są oryginalne, importowane, czy też przychowane i wyhodowane na miejscu, nie jest nam wiadomo; zresztą widzimy tu i konie angielskie pół krwi, oraz powozowe pół krwi suffolk, cleveland i perszerońskiéj.

P. Mikołaj Herburt-Heybowicz z Szarzyniec (gub. Kijowska), którego konie mieliśmy sposobność oglądać i podziwiać na wystawie przed dwoma laty, w tym roku przedstawił tylko jednego dwuletniego wiśniowo gniadego ogierka, w którym pokłada wielkie nadzieje, ponieważ ten okaz w rodowodzie swoim liczy 14-tu przodków czystéj, oryginalnéj krwi arabskiéj; czy te nadzieje się ziszczą, trudno dzisiaj jeszcze sądzić; cacko to jeszcze zbyt młode i drobne. Lecz właściciel, wytrawny znawca i miłośnik koni, prowadzący hodowlę już długie lata z powodzeniem, musi nadzieje swe opierać na pewnych danych.

Ze stadnin hr. Ludwika Krasińskiego widzimy w tym roku na wystawie same konie powozowe ciężkich ras norfolk, suffolk i tak zwane roadster'y urodzone w Osmolicach; ojca jednego z nich, suffolka słusznie nazwanego „olbrzymem“, oglądaliśmy na wystawie przed pięciu laty

P. Władysław Przyłubski z Zator (gub. Łomżyńska, pow. Pułtuski), piękną swoję stadninę pół krwi angielskiéj i anglo-arabskiéj przedstawił w dwunastu okazach, składających się przeważnie z klaczy, gdyż w téj liczbie mieści się jeden tylko wałach.

Na szczególną uwagę zasługują konie p. Władysława Boetticher'a z Leśmierza (gub. Kaliska, pow. Łęczycki), rasy mięszanéj, to jest pół krwi perszerońskiéj, krzyżowanéj z normandzką; i klacze i ogier, użyte do krzyżowania, są własnego chowu.

Wchodząca dziś w modę rasa ardeńska jako typ konia roboczego, najwłaściwszy dla naszych stosunków, znalazła na wystawie przedstawicieli w dwóch ogierach, dostarczonych przez p. Stanisława Kobierzyckiego z Chorzenic (gub. Piotrkowska, pow. Radomskowski), wyhodowanych u właściciela z klaczy fornalskich po ogierze ardeńskim. P. Józef Ostrowski z Życzyna (gub. Siedlecka) przedstawił bardzo ciekawe okazy, bo „ojca rodu“, ośmioletniego ardeńskiego ogiera i liczne jego potomstwo, składające się z trzech ogierków dwu i trzyletnich, i tyluż klaczek tegoż wieku; widocznie właściciel dąży do rozmnożenia tego zawodu koni u siebie, w celu zaspokojenia potrzeby własnego gospodarstwa, gdyż żaden z tych okazów nie jest przeznaczony na sprzedaż.

Włościanie, jak zwykle, zajęci robotą w polu, nie mogli należycie przygotować swoich koni dla okazania ich na wystawie i dla tego widzimy tu tylko jednego Ignacego Welika z Polubicz (gub. Siedlecka) ze swoją „Własną“, trzyletnią klaczą, krajowego pochodzenia, swojego chowu.

Jeżeli mówiąc o kierunkach hodowli koni, musieliśmy uwzględniać tradycyjne u nas zamiłowanie do chowu tego szlachetnego zwierzęcia, tłómacząc tém niejednokrotnie fakta, niezgodne z ekonomiczném znaczeniem hodowli, to w dziale bydła wkraczamy już w dziedzinę czysto gospodarczą i w kierunku, w jakim chów jest prowadzony, upatrujemy dążności do osiągnięcia czystego zysku, bez czego żadne gospodarstwo istniéć nie może. Zysk ten zależy od bardzo wielu okoliczności, ogólnych i miejscowych, które tu wyliczać byłoby zbyteczném, ale głównie od popytu i podaży produktów, jakie na dany punkt zbytu dostarczyć możemy. Odległość tego punktu handlowego od miejsca produkcyi, rodzaj i stan dróg komunikacyjnych, większe lub mniejsze zaludnienie okolicy, oraz miejscowe gospodarskie warunki, stanowią o formie, w jakiéj produkt ma być na targ dostarczony. W bezpośredniém sąsiedztwie wielkich miast i osad fabrycznych, a więc w okolicach podmiejskich, zbyt mleka w stanie świeżym przynosi najwyższe korzyści i tutaj krowa najlepiéj opłaca zadawaną jéj paszę, która zakupywaną

w mieście w postaci odpadków fabrycznych, jak otręby, słodziny, makuchy itp. stanowi ważny, a nieodzowny dodatek do paszy, wyprodukowanéj na miejscu w samémże gospodarstwie, gdyż w podobnych warunkach bywa jéj zbyt mało, aby za jéj pomocą wyżywić oborę liczniejszą niżby być mogła w innéin położeniu. Wychów cieląt kosztowałby w takich razach zbyt drogo, zmniejszając dochód z mleka, które nie mogłoby być sprzedane, ale musiałoby być obracane na karmienie cieląt. Gospodarz zatém wyprzedaje cielęta, skoro te są już na rzeź zdatne, a na miejsce krów wybrakowanych kupuje nowe: im te są mleczniejsze, im pochodzenie ich z obory, stale prowadzonéj w kierunku największéj mleczności, więcéj przedstawia rękojmi, tém korzystniéj dla niego, ponieważ przy szybkim obrocie kapitału zyski jego tém będą większe. Gospodarzowi nie chodzi zatém o *jakość* mleka, pod względem zawartości w niém tłuszczu, lecz o największą jego *ilość*. Rasy bydła, celujące taką wydajnością mleka, są to t. zw. nizinne, jak holenderska, pochodzące od niéj angielska krótkoroga (shorthorn) i chołmogorska, oraz oldenburska i żuławska.

W większéj odległości od miasta, gdzie zbyt mleka w stanie świéżym nie może miéć miejsca, spieniężanie nabiału następuje w postaci przerobów, a mianowicie masła i séra. Jeśli ta odległość nie przenosi kilkunastu wiorst, a komunikacya z miastem w każdéj porze jest ułatwiona, wtenczas zbyt nabiału w postaci świéżego, stołowego masła jest w takich warunkach najkorzystniejszym, a wyrób zwykłych chudych serów z mleka, pozostałego po wydzieleniu śmietany, dopełnia reszty. W większéj znowu odległości od ognisk zbytu i konsumcyi, masło świéże ustąpić musi miejsca solonemu, przeznaczonemu na dłuższe przechowanie i sprzedawanemu w większych partyach, albo téż wyrobowi sérów tłustych, których tak wiele rozlicznych jest gatunków, cieszących się większym lub mniejszym popytem, w miarę upodobania konsumentów. Rasy bydła, hodowane w podobnych warunkach, powinny odznaczać się znaczną, stosunkowo, ilością mleka, przy wielkiéj zawartości w niém tłuszczu: temi przymiotami celują górskie rasy bydła, jak szwajcarskie: bern, simmenthal i schwytz, algauska, montafuńska i niektóre odmiany, czyli podrasy tychże. Woły tych ras są téż bardzo dobre do roboty.

Mięsną *per excellentiam* rasę stanowi angielska krótkoroga (shorthorn, czyli durham), o cienkiéj, wątłéj budowie szkieletu, wielkiéj masie mięsa, ze szczególną zdolnością do osadzania tłuszczu pomiędzy włóknami mięsnemi, oraz wczesnością rozwoju i wzrostu. Wół téj rasy w ośmnastym miesiącu życia zdatny już jest na rzeź.

Wszystkie te kierunki hodowli mają swoich przedstawicieli na wystawie w okazach, pochodzących z celniejszych obór w kraju.

Bydło rasy holenderskiéj wystawili: p. Stanisław Ciechanowski z Grodźca (gub. Piotrkowska), który dał na wystawę trzy krowy, trzynaście jałówek, trzy buhaje i dwa woły, razem 21 sztuk ze swéj pięknéj obory. P. Henryk Unrug z Ryk (gub. Siedlecka), trzy buhaje i sześć jałowic; p. Mikołaj Glinka ze Szczawina (gub. Łomżyńska) trzy krowy, cztery jałowice, dwa buhaje stadne i cztery buhajki roczne; Bernard hr. Plater z Hruszniewa (gub. Siedlecka) cztery buhaje i cztery jałowice; p. Zygmunt Donimirski z Kożuszek (gub. Warszawska), cztery buhaje i cztery krowy; p. Zygmunt Koelichen z Włoch (pod Warszawą), trzy buhaje, dwie krowy i cztery jałowice; p. Władysław Krauze z Radzikowa (gub. Warszawska), cztery buhaje i sześć jałowic. Hr. Juliusz Piotrowski z Ujazdu (gub. Piotrkowska), buhaja i trzy jałowice; wreszcie p. Honorata Łukasiewiczowa z Tulibowa (gub. Płocka) buhaja, cztery krowy i cztery jałowice. Razem było na wystawie bydła holenderskiego dziewięćdziesiąt jedna sztuka.

Bydło ras górskich należało do następujących wystawców: p. Zygmunt Donimirski z Kożuszek przedstawił siedm buhai rozmaitego wieku i dwie krowy rasy schwytz, wszystkie swego chowu, oprócz wyżéj wymienionych okazów rasy holenderskiéj; p. Wiktor Suski z Golian siedm buhai, sześć krów i dziesięć jałówek téjże rasy, również swego chowu; p. Jan Roth z Wierzchowic (gub. Grodzieńska, pow. Brzeski) trzy buhaje i siedm jałowic, rasy schwytz, krzyżowanéj z tyrolską; hr. Katarzyna Plater z Hruszniewa dwa buhaje i cztery jałowice rasy schwytz; razem bydła rasy schwytz sztuk pięćdziesiąt.

Piękna, mleczna i wydająca dobre do roboty woły rasa montafun przedstawioną była na wystawie przez oborę ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego z Suchowoli (gub. Siedlecka) w liczbie jedenastu okazów, z których siedm buhai przeznaczone było na sprzedaż, cztery zaś jałowice nie do sprzedania. Taż sama rasa, przedstawiona przez oborę p. Tytusa Dembowskiego z Nacpolska (gub. Płocka), znaną zaszczytnie z poprzednich wystaw, liczyła w obecnym roku czternaście okazów, a mianowicie, cztery buhaje, cztery krowy, cztery jałowice i dwa woły. Rasy montafuńskiéj było zatém na wystawie razem 25 okazów.

Rasę algauską w tym roku przedstawił tylko p. Teodor Jelnicki z Bukowia (gub. Piotrkowska), w liczbie trzech buhai. Tak więc, na tegoroczněj wystawie rasy górskie liczyły w ogóle siedmdziesiąt ośm okazów.

Właściciel wzorowo prowadzonego gospodarstwa w Zatorach, p. Władysław Przyłubski, oprócz stadniny i słynnéj swéj owczarni, nie zaniedbał przedstawić na wystawie i obory swojéj, mieszczącéj w sobie bydło rasy krzyżowanéj, a mianowicie miejscowéj, poprawianéj najprzód oldenburską, a następnie berneńską; widzimy na wystawie dwie krowy, cztery jałowice, jednego buhaja i dwa woły robocze, jako okazy téj obory, która jednolitością maści i kształtów świadczy o racyonalnéj metodzie krzyżowania, któremu za podstawę służyła rasa miejscowa. Na tę okoliczność zwracamy uwagę wszystkich hodowców i pragnęlibyśmy na przyszłych wystawach, czy to centralnych w Warszawie, czy też prowincyonalnych, do których urządzania Radom z takiém powodzeniem dał inicyatywę, widzieć obory, złożone z okazów bydła krajowego, ulepszonego przez dobre utrzymanie i staranny dobór sztuk rozpłodowych. Takiemi były okazy krów rasy krajowéj, t. zw. świętokrzyskiéj, przedstawione przed dwoma laty przez hr. Ludwika Krasińskiego i p. J. M. Kamińskiego. Jeśli niektórzy hodowcy z powołania wychodząc z teoretycznéj zasady, bydłu temu zaprzeczają miana samoistnéj rasy, niemniéj przeto bydło to istnieje, posiada wspólne cechy pod względem maści i kształtów, krowy dają nie wiele wprawdzie, ale bardzo dobrego mleka i są matkami najlepszych, jakich sobie tylko życzyć można, wołów roboczych. Że zaś krowy miejscowe przy stosowném żywieniu mogą się odznaczać mlecznością, nie ustępującą rasom zagranicznym, dowodzą tego dwa okazy, przedstawione przez p. Antoniego Boenisch'a z Warszawy, z których jedna krowa daje po ocieleniu pięć, a druga ośm garncy mleka i doi się prawie do samego ocielenia.

Trzy krowy i jeden buhaj rasy angielskiéj krótkorogiéj (shorthorn), wystawione przez Zygmunta bar. Dangla, dopełniają działu bydła na tegoroczném wystawie.

Nagły przewrót, dokonany w stosunkach ekonomicznych kraju, obniżką cen zboża, wywołaną przez konkurencyą amerykańskiéj pszenicy na rynkach europejskich, na naszym zaś przez dowóz rosyjskiéj mąki krupczatki, lepszéj i tańszéj od produktów naszego młynarstwa, był bodźcem dla krajowego rolnictwa do podjęcia usiłowań na inném polu wytwórczości, dotychczas zaniedbaném. Dotąd gospodarstwo nabiałowe znajdowało się u nas na bardzo niskim stopniu rozwoju, ustępując przed owczarstwem na drugi plan i ograniczając się na okrzyczanym i nie wytrzymującym krytyki systemie pachciarskim. Zwrót jednak ku lepszemu, już od lat paru jest widoczny. Jeśli na wystawie widzimy okazy solonego, trwałego masła, pochodzące z dalekich okolic, to masło świéże, stołowe, czyli

t. zw. śmietankowe dostarczają gospodarstwa, położone w pobliżu Warszawy.

Wybornym smakiem, doskonałością wyrobu i nader staranném opakowaniem odznacza się na wystawie masło p. Władysława Łozińskiego z Czernika (przez stacyą drogi żel. warszawsko - petersburskiéj Tłuszcz).

Na uwagę też zasługuje masło solone i niesolone p. Kisielnickiego Zygmunta z Korzenistego (gub. Łomżyńska), jako też masło p. Konstantego Sliwowskiego ze Skardyowa (p. Dorohusk). P. Adolf Jełowicki z Franopola (gub. Wileńska), posiadający mleczarnię urządzoną na wielką skalę, wyrabia masło, przeznaczone na wywóz za granicę, a z odtłuszczonego mleka słodkiego sery chude na sposób holsztyński; sery te były na naszéj wystawie przed dwoma laty; obecnie p. Jełowicki okazał masło w opakowaniu, tak jak bywa wysyłane do Londynu. Masło to, w skutek konieczności stosowania się do nawyknień i upodobań odbiorców, jest farbowane orleanem na kolor pomarańczowy; sprzeciwia się to naszym pojęciom, gdyż my przedewszystkiém cenimy w maśle naturalny jego żółty kolor, którego nabywa wtedy, gdy krowy chodzą już na pastwisko. Biały kolor masła zimowego dla każdego jest nieprzyjemny, lecz sztucznie nadana barwa na miejsce jednéj ujemnéj strony podstawia inną, ale złego nie usuwa, ponieważ nie wiadomo co się pod tą barwą kryje. Nie czynimy tu bynajmniéj zarzutu towarowi p. Jełowickiego, tylko zwyczajom i upodobaniom angielskim. Tegoż wystawcy jest masło t. zw. paryskie, niesolone, ze słodkiéj nagrzewanéj i nienagrzewanéj śmietanki.

Najciekawszym przedmiotem w dziale nabiału jest laboratoryum bar. K. Lessera, gdzie widzimy bogatą kolekcyą przyrządów w gospodarstwie mleczném używanych, jako to skopki do dojenia, naczynia z blachy żelaznéj cynowanéj do przenoszenia mleka, chłodnice do mleka Lawrence'a, kierznie, czyli maślnice beczkowe Lefeldt'a, tegoż obrotowe wygniatacze do masła, naczynia blaszane do podstawania się mleka podług systemu szwedzkiego Swartz'a (przy niskiéj temperaturze), przytém centryfugę, poruszaną za pomocą dwukonnego manežu, a wydzielającą z mleka do 98% zawartéj w niém śmietany. Przyrząd ten powołany jest do odegrania ważnéj roli w wielkich gospodarstwach nabiałowych, liczących co najmniéj 60 krów dojnych. Użycie jego usuwa zupełnie potrzebę obszernych piwnic, mnóstwa naczyń do mleka, które łatwo się tłuką i ciągłéj wymagają baczności, aby je zawsze utrzymać w stanie zupełnéj czystości, przyśpiesza bardzo robotę koło nabiału, czyni możebném zastosowanie podziału pracy a mleczarstwo z podrzędnéj roli domo-

wego zatrudnienia, wprowadza na stanowisko wielkiego przemysłu. Brak miejsca nie pozwala nam wchodzić w bliższe szczegóły, dotyczące tego przedmiotu, ponieważ inne jeszcze działy wystawy domagają się choćby pobieżnéj wzmianki; z przyjemnością wszakże przychodzi nam zaznaczyć, iż demonstracye bar. Lesser'a, wsparte wyczerpującemi ustnemi wykładami, stanowiły prawdziwą ozdobę wystawy; szkoda tylko, że słuchaczami byli przeważnie mężczyzni; piękne panie wolały oglądać wstążki, kapelusze i koronki, niż poświęcić trochę czasu téj ważnéj gałęzi gospodarstwa, będącéj dotychczas wyłącznym ich wydziałem, a traktowanéj przez nie, powiedzmy prawdę, trochę po macoszemu, bo bez gruntownéj podstawy, jaką każdemu przedsiębierstwu nadaje wiedza i świadomość celu, do którego dążymy.

Jeśli hodowla bydła zaczyna u nas dopiero budzić się z letargu i wstępować na racyonalne tory, to owczarstwo oddawna już zajęło odpowiednie dla siebie stanowisko i zepchnąć się z niego nie da, a to z powodu klimatycznych i ekonomicznych warunków kraju. Obszerne przestrzenie lekkich, pagórkowatych gruntów, stanowiących na przemian z uprawą rolną, pastwiska, które tylko owca cienko-wełnista najlepiéj wyzyskać potrafi, zapotrzebowanie wyrobów z wełny sukienniczéj i czesankowéj wyższych gatunków, czynią chów owiec cienko-wełnistych zyskownym o tyle, że ten rodzaj inwentarza dochodowego zdolny jest opłacić koszta utrzymania i paszy, da nawóz darmo i pozostawi gospodarzowi jeszcze pewien zysk czysty i to ryczałtowo, w takiéj porze, w któréj wszelkie inne źródła dochodu z gospodarstwa są nieczynne, wydatki natomiast mnożą się z każdą chwilą. Aby to jednak osiągnąć, potrzeba chów prowadzić racyonalnie, dążąc do najwyższéj wydajności wełny obok jéj cienkości, sprężystości i w ogóle tych wszystkich zalet, które specyaliści obejmują ogólną nazwą szlachetności i charakteru wełny. Każdy, kto miał sposobność oglądać uszlachetnione owczarnie mniéj więcéj przed pół wiekiem, kiedy to najwyższa cienkość wełny była jedynym celem, a owca t. zw. elektoralna, drobna, wątła, łatwo ulegająca chorobom, z gołemi nogami i brzuchem, uchodziła za szczyt hodowli, dając w strzyży przeciętnie ze sztuki około 1½ funta wełny i porówna je z dzisiejszemi owczarniami rasy elektoralno - negretti z wełną wysoko cienką, wyrównaném, gęstem i jędrném runem okrywającém owce duże, silnéj budowy, z obrosłemi po raciczki nogami, dającemi w strzyży nierzadko po 4½ funta wełny przeciętnie ze sztuki, ten przyzna, iż postęp jest widoczny.

Zasługę przypisać należy zarodowym owczarniom, których właściciele nie szczędzą kosztów i pracy, aby odświeżając krew swych

gromad przez zakupno wyborowych tryków w słynnych owczarniach Szlązka, W. ks. Poznańskiego i Meklemburga, przez sprzedaż przychowanych u siebie tryków zaopatrują inne krajowe owczarnie w potrzebny im materyał ulepszający. Nie mniejszą zasługą jest praca specyalistów prowadzących hodowlę, których kilku w kraju naszym posiadamy, a którzy obejmując kierownictwo hodowli w powierzonych im owczarniach, przez dobór sztuk rozpłodowych, brakowanie osobników, nie odpowiadających celom hodowli, oraz sprowadzanie tryków z innych owczarń, wytrwale dążą do zamierzonego celu.

Wymienimy tu właścicieli pierwszorzędnych owczarń w kraju, którzy okazy swe na wystawę nadesłali.

a) Owce elektoralno-negretti: p. Władysław Przyłubski z Zator, hr. Stanisław Alexandrowicz z Konstantynowa, p. Jan Górski z Woli Pękoszewskiéj, p. Wacław Łuszczewski z Kociołek, p. Gustaw Ponikiewski z Przewodowa, hr. Tadeusz Plater-Zyberk z Wojcieszkowa p. Henryk Unrug z Ryk.

b) Owce rambouillet i rambouillet negretti: p. Wł. Przyłubski z Zator, p. Jan Karczewski z Sielca, p. Adolf Poths z Bożéj-woli.

Z wystawców pozakrajowych: owce negretti: baron Gersdorff z Parska (W. ks. Poznańskie), p. Konstanty Szczaniecki z Międzychoda (W. ks. Poznańskie), hr. Schaffgotsch z Kopca (Kopitz, na Szląsku), baron Maltzahn z Gützkow (Meklemburg); owce rambouillet: hr. Stanisław Walewski z Grüben (górny Szląsk), i p. H. Goedecke z Zuzelli (Szląsk).

Owce rasy mięsnéj, oxfordshieredown, przedstawił jak zwykle baron Zygmunt Dangel z Rochal, zajmujący się specyalnie tą hodowlą, tudzież p. Kazimierz Myszczyński z Żab (gub. Warszawska, pow. Błoński).

Z pomiędzy wszystkich zwierząt domowych, chów trzody chlewnéj najmniéj przedstawia trudności. Wielka płodność, szybki wzrost i wczesny rozwój osobników, należących do ras poprawnych, i wyłączny użytek na mięso i tłuszcz, czyni możliwemi wszelkie zmiany w kierunku hodowli w stosunkowo krótkim czasie, podług tego czy większe jest zapotrzebowanie na rasy małe, wykształcające się najwcześniéj i wydające najdelikatniejsze i najsmaczniejsze mięso, czy też na średnie, najprzydatniejsze na szynki i wędliny, czy też na duże, wymagające dłuższego do wykształcenia się czasu i przeważnie tuczone na słoninę. Takiego zwrotu w hodowli dokonała pani Izabella Ryx z Prażmowa; przedtem hodowała średnią czarną rasę berkshire, któréj okazy znajdowały łatwy pokup do Prus, dokąd je też dostarczała całemi wagonami. W skutek zamknięcia granicy

pruskiéj dla nierogacizny, handel ten ustał i dzisiaj przedmiotem hodowli w téj wzorowo prowadzonéj chlewni jest rasa yorkshire biała, przydatniejsza do tuczenia na słoninę. Niektóre okazy są rzeczywiście bez zarzutu pod względem doskonałości form. Do czego tuczenie takich okazów doprowadzić może, świadczy opasowy wieprz „Samson“ wystawiony przez p. Antoniego Bobrowskiego ze Snopkowa pod Lublinem, ważący 900 funtów. Wieprz ten, oraz inne okazy wystawione przez tegoż wystawcę należą do białéj rasy lincoln, również jak trzoda wystawiona przez hr. Aleksandra Jezierskiego z Garbowa (gub. Lubelska). Czarne berkshiry przedstawił tylko p. Julian Zieliński z Turowic (gub. Warszawska).

W dziale drobiu, jak zwykle, pierwszeństwo należy się okazom wystawionym przez panią Izabelę Ryx. Są tu kury najrozmaitszych ras, kaczki białe pekińskie, szare gęsi tuluzkie, śliczne czarne indyki, świadczące o umiejętnéj hodowli prowadzonéj w pewnym wytkniętym kierunku. Pani Marya Rejchel zaś dała na wystawę ładne białe gęsi łabędziowe, białe kaczki bretońskie, kury włoskie. Kury angielskie dorking przedstawił p. Kazimierz Śliwiński z Warszawy, parę zaś bażantów Zarząd księstwa Łowickiego. Gołębi na wystawie w tym roku nie było.

Księżna Róża Lubomirska z Kruszyny przysłała na wystawę króliki rasy angora, odznaczające się delikatnym puchem, p. Konrad Skierkowski zaś, króliki rasy belier i leporydy hodowane na mięso, oraz angorskie.

Psów także znajdowało się dużo na wystawie, lecz o nich z powodu braku miejsca mówić nie będziemy, ograniczając się w naszém sprawozdaniu do działu czysto gospodarczego, z pominięciem okazów dotyczących tylko sportu lub upodobania. Nim jednak rzecz naszą zakończymy, niech nam wolno będzie choć przelotném rzucić okiem na pozakonkursowy dział machin i narzędzi rolniczych i wyprowadzić ztąd niektóre wnioski.

Wszyscy prawie właściciele składów machin i narzędzi rolniczych w Warszawie wzięli udział w wystawie jakby dla zamanifestowania swojéj obecności. Widzimy tu następujące firmy: Alfred Grodzki, H. Goldenring, Cegielski, Trylski i Ska, Wasilewski i Pilaski, Zygmunt Ostrowski, Ławicki. Wszystkie one sprowadzają machiny i narzędzia z najlepszych fabryk zagranicznych i pośredniczą w rozprzedaży towaru wyrabianego przez firmy, których są reprezentantami. Wiele jest pomiędzy temi machinami i narzędziami takich, które się cieszą ustaloną wziętością, jak lokomobile i młocarnie parowe Claytona i Shuttleworth'a, pługi i siewniki rzędowe Sack'a, kosiarki i żniwiarki Wood'a itd. Obecnie wszakże wysokie cło nałożone na

te wyroby czyni je mniéj pokupnemi, a tém samém zmniejsza obroty handlowe i zyski firm pośredniczących. Czy jednak krajowe fabryki zdolne są wyzyskać tę okoliczność na swoję korzyść i tańszym wyrobem zadowolnić odbiorców? Odpowiedź musi wypaść przecząca, z wyjątkiem może firm takich jak Lilpop, Rau i Loewenstein lub Warszawska akcyjna fabryka machin i narzędzi. Warsztaty p. Józefa Sucheni'ego w Gidlach, fabryka p. M. Wolskiego w Lublinie, p. Sarny w Płocku, firmy Rehfeld, Dubeltowicz i S-ka fabryka machin i narzędzi w Bliżynie, pomimo całéj staranności w dokładności wyrobu, nie mogą skutecznie walczyć z taniością zagranicznych kapitałów, a nie posiadając tak rozległych stosunków, nie mają tak zapewnionego zbytu na swe wyroby, iżby mogły specyalizować się w szczuplejszym zakresie obranego przedmiotu, co właśnie stanowi siłę fabryk zagranicznych, zwłaszcza angielskich i amerykańskich. Wspomniéć tu należy specyalną fabrykę żniwiarki noszącéj nazwę „przodownica“ p. Floryana Grubińskiego, która to machina wytrwale doskonalona przez wynalazcę, zdaje się mieć przyszłość przed sobą, czego zresztą dowiodą porównawcze próby, przeprowadzone we właściwym czasie. *Stanisław Rewieński.*

II. Dział przemysłowy.

Tegoroczna wystawa przemysłowa w Warszawie nie daje zupełnego obrazu obecnego stanu przemysłu i rękodzieł w kraju naszym. Niejedna z gałęzi wytwórczości, zajmujących poważne stanowisko w naszém życiu przemysłowém nie, jest wcale reprezentowaną na wystawie, lub reprezentowaną słabo przez stosunkowo nieznaczną ilość okazów, natomiast niektóre rodzaje pracy przemysłowéj, znajdujące się u nas dopiero w zacz ątku i odgrywające podrzędną rolę w ogólnéj produkcyi przemysłu krajowego, wystąpiły pokaźnie, i ilością nadesłanych okazów zajęły na wystawie miejsce wybitne. Objaw ten nie jest bynajmniéj miejscowym,—gdyż można go zauważyć na wszystkich niemal wystawach międzynarodowych i krajowych. Główną albowiem pobudką współudziału przemysłowców w wystawach jest w zasadzie wzgląd na dobrze zrozumiany interes własny? Stąd pochodzi, iż zazwyczaj na wystawach najpokaźniéj przedstawiają się te rodzaje przemysłu, które jużto wskutek niedostatecznego rozpowszechnienia wyrobów, jużto wskutek silnego współzawodnictwa, są zmuszone starać się o zyskanie nowych miejsc zbytu;—najsłabiéj zaś te gałęzie pracy, które mają ustalony odbyt na rynkach handlowych. Na zmniejszenie liczebnego udziału przemysłowców w wystawie wpływają także częstokroć warunki miej-

scowe, (zwłaszcza znaczna odległość zakładu fabrycznego) lub chwilowa stagnacya w rozwoju technicznym i rodząca się stąd obawa narażenia renomy zdobytéj w lepszych czasach. Są wreszcie i tacy, którzy stale usuwają się od współudziału w wystawach, wychodząc z zasady, że wystawy ogólne, obejmując cały zakres pracy przemysłowéj i rękodzielniczéj, nie przynoszą zazwyczaj oczekiwanych korzyści, nie wytwarzają nowych dróg dla zbytu i nie wywołują ulepszeń w metodach produkcyi;—a snać, iż pogląd ten jest niezupełnie bezzasadnym, i że doświadczenia lat ostatnich musiały dostarczyć pewnych faktów, popierających jego słuszność, skoro w krajach zachodnich przebija się co raz to silniéj dążność do zastąpienia wystaw ogólnych, przez wystawy specyalne, urządzane oddzielnie dła każdéj gałęzi przemysłu.

Nie wyłamując się z pod ogólnego prawidła, obecna wystawa nasza jest zbiorem najwytworniejszych okazów pewnéj części produkcyi krajowéj, jest kalejdoskopem oderwanych i w sztuczném oświetleniu przedstawionych objawów naszego życia ekonomicznego,—lecz pogląd na obecny stan przemysłu krajowego oparty wyłącznie na danych dostarczonych przez wystawę byłby z wielu względów chybionym. Z tych powodów postaramy się przy opisie ważniejszych działów wystawy, podać w treściwym zarysie ogólne poglądy na rozwój w latach ostatnich i obecny stan niektórych gałęzi produkcyi, oparte na podstawie danych statystycznych,—przyczém będziemy dawali pierwszeństwo wiadomościom, zaczerpniętym ze źródeł urzędowych. W przeglądzie przedmiotów wystawianych przeważnie uwydatnimy te okazy, które zasługują na wyróżnienie ze względu na nowość i użyteczność pomysłu, na ulepszenie, lub uproszczenie wyrobu, na uzasadnioną konstrukcyą, lub artystyczne wykończenie.

Zanim jednakże przystąpimy do właściwego przeglądu wystawy, uważamy za stosowne, rzucić okiem na urządzenie jéj zewnętrzne. Wystawa przemysłowa, będąca właściwie tylko działem wystawy rolniczo-przemysłowéj, otwartą została w d. 9 czerwca r. b. i mieści się placu Ujazdowskim. Większa część wystawców skorzystała z prawa urządzania własnych pawilonów i kiosków, których ogólna ilość przedstawia pokaźną cyfrę stu kilkudziesięciu. Wszystkie niemal te budynki są urządzone gustownie, niektóre ze zbyteczną poniekąd okazałością. Pawilonowy system ten dodaje wystawie ożywienia i ruchu, lecz jednocześnie powoduje znaczne niedogodności dla odwiedzających wystawę nie w celu chwilowéj rozrywki. Wskutek albowiem rozrzucenia przedmiotów po pawilonach, zestawienie porównawcze okazów jednorodnych i zbadanie całości pew-

nego działu pracy, jest połączone ze znacznemi trudnościami i mitręgą. Zaznaczamy przytém, że z małemi wyjątkami motory i maszyny wystawione, są bezczynne, — że sposób wyrabiania przedmiotów, lub przeznaczenie narzędzi i przyrządów również mało gdzie jest w sposób doświadczalny uwidoczniane i że objaśnienia udzielane zwiedzającym, w kioskach i pawilonach, ograniczają się przeważnie na oznaczaniu cen okazów. Zwiedzając w roku zeszłym międzynarodową wystawę motorów drobnego przemysłu w Wiedniu, mieliśmy możność poznać odmienny sposób urządzenia wystawy przemysłowéj, oparty na innych zasadach, a porównanie wystawy téj z obecną mimowoli nasuwa nam się pod pióro. Okazy jednorodne zebrane były w Wiedniu w oddzielne grupy, z możebném uwzględnieniem systemu warsztatowego. Znaczna część przedmiotów wystawionych, wyrabianą była na miejscu w warsztatach, urządzonych przez wystawców. Zwiedzający wystawę mógł więc przypatrywać się galwanizowaniu metalów, obróbce kamienia, robotom stolarskim, introligatorskim, drzeworytniczym, poznawał naocznie manipulacye przy przygotowywaniu cygara z liścia tytuniowego, rękawiczki, lub rzemienia z kawałka skóry, popielniczki z kawałka blachy,—widział wykonywane roboty szewckie przy użyciu maszyn do szycia skóry,—poznawał zastosowanie narzędzi i przyrządów. Przy okazach zaś, których wyrób na miejscu był z jakichkolwiekbądź względów niemożebnym, ustawiono materyały surowe w różnych stadyach przeróbki, dla uwidocznienia sposobu fabrykacyi danego przedmiotu. Wszystkie motory i maszyny były w ciągłym ruchu (z przerwą jedynie w godzinach południowych) i wykonywały właściwe roboty.—Specyaliści zaś uproszeni przez komitet miewali w obrębie wystawy odczyty i dawali objaśnienia zwiedzającym.

Wiemy, że wprowadzanie projektów w czyn zależy od warunków miejscowych i środków rozporządzalnych, sądzimy jednak, iż przy urządzaniu wystaw naszych, dałoby się zastosować niejedno ulepszenie, bez uszczerbu dla strony finansowéj przedsięwzięcia. Zapewne, że zastąpienie gustownych pawilonów przez warsztaty, nie obyłoby się bez uszczerbu dla okazałości wystawy, ale natomiast nadałoby jéj cechę przedsięwzięcia poważnego i w skutkach swych użytecznego. Wystawa warsztatów i maszyn w ruchu, nie będzie wprawdzie ponętną dla publiczności, szukającéj chwilowéj rozrywki, lub wytchnienia po emocyach doznanych na placu wyścigowym, ale natomiast zgromadzi i zainteresuje poważne zastępy ludzi pracy, drobnych przemysłowców, rzemieślników i czeladzi, których żywotne interesa osobiste są ściśle związane z warunkami bytu i rozwoju przemysłu i handlu krajowego.

Po zboczeniu tém wracamy do właściwego tematu pracy naszéj i rozpoczynamy sprawozdanie o wystawie od przeglądu zasobów przyrodzonych kraju i metod ich eksploatacyi i przeróbki.

Przemysł górniczy w dawnéj Polsce, dzięki zachęcie i opiece królów, rozwijał się pomyślnie i starał się utrzymać na wysokości techniki ówczesnéj. Wydobywano sól w Bochni i Wieliczce, siarkę w niektórych okolicach w pobliżu Krakowa,—srebronośny błyszcz ołowiu i następnie galman w okolicach Olkusza,—marmury, a także rudy ołowiane i miedziane w okolicach Chęcin i Kielc,—wydobywano i przetapiano rudy żelazne w rozmaitych miejscowościach kraju, i nareszcie poszukiwano i wydobywano na coraz to większą skalę węgiel kamienny w zagłębiu węglowém w okolicach Dąbrowy, w granicach polskiego Górnego Szląska. Po upadku bytu politycznego narodu, górnictwo krajowe znalazło gorliwego opiekuna w Staszicu, który przez utworzenie akademii górniczéj w Kielcach dał początek kształceniu się u nas w zawodzie górniczym. Z inicyatywy Staszica i za jego staraniem prowadzone były rozległe badania geologiczne kraju, jako dalszy ciąg prac przeprowadzonych już poprzednio (w latach 1794 — 1796) z polecenia rządu pruskiego. Wpływ reform Staszica uwidocznił się w pomyślnym rozwoju górnictwa za czasów ruchliwéj administracyi ks. Lubeckiego i następnie pod umiejętnym zarządem hr. Henryka Łubieńskiego.—Po ustąpieniu Łubieńskiego przemysł górniczy, nie doznając poparcia ani zachęty ze strony władz krajowych, szybko chylił się do upadku. Kierunek nadany przez Staszica i Łubieńskiego zwichnięty został w rękach rządu, który widząc niepomyślny stan rzeczy, objawiający się w ciągłém zmniejszaniu się produkcyi, zaniechał zrazu eksploatacyi niektórych kopalń, a następnie powziął zamiar pozbycia się wszystkich kopalń i zakładów hutniczych. Z upadku tego podźwignęło się górnictwo krajowe dopiero w ostatnim lat dziesiątku pod ożywczym wpływem prawa, z d. 20 czerwca 1870 r. i wskutek przejścia kopalni węgla w ręce przedsiębiorczych towarzystw prywatnych. Pod wpływem tych okoliczności oraz z powodu upadku kursu i wprowadzenia opłaty cła w złocie produkcya węgla w okolicach Dąbrowy i Sosnowca doszła do niebywałych przedtém rozmiarów, a przeprowadzenie kolei Dęblińsko-Dąbrowskiéj budzi uzasadnioną nadzieję rychłego odrodzenia górnictwa w okolicach Kielc, Chęcin i Olkusza. Wreszcie, Zakłady solne w Ciechocinku mają wkrótce przejść w ręce towarzystwa prywatnego, które zamierza prowadzić produkcyą, obliczoną na 250000 pudów rocznie, przy zastosowaniu metod obecnéj techniki górniczéj,—i odbudować linią drogi żelaznéj, która niegdyś łączyła zakłady solne ze stacyą Ciechocinkiem.

Obecnie jednakże najważniejszym ilościowo produktem górnictwa krajowego jest węgiel kamienny.

Formacya węglowa najlepiéj ze wszystkich pokładów geologicznych w kraju naszym zbadana, zajmuje przestrzeń stosunkowo niewielką, graniczącą na zachód i południe z Górnym Szląskiem i Galicyą, na północ zaś i wschód z pokładami drugorzędowemi. Eksploatacya węgla koncentruje się obecnie przeważnie w okolicach Dąbrowy Górniczéj, Niemiec (wieś w pobliżu Strzemieszyc) i Sosnowca. Węgiel kamienny jako materyał opałowy znalazł obszerniejsze zastosowanie w kraju naszym, dopiero w czasach ostatnich, dawniéj albowiem przy obfitości i niskich cenach drzewa opałowego nie odczuwano potrzeby paliwa mineralnego. Według źródeł urzędowych wydobyto węgla kamiennego w kraju naszym w czasie od 1796 do 1872 r., w kopalniach rządowych 33,2, w prywatnych zaś 367,0, czyli ogółem mało co więcéj nad 400 milion. korcy. Gdy następnie w skutek wytrzebienia wielkiéj części lasów, ceny drzewa opałowego znacznie się podniosły, ożywił się wprawdzie popyt na węgiel kamienny, lecz odbyt węgla krajowego był wciąż jeszcze stosunkowo małym, skutkiem silnéj konkurencyi węgla zagranicznego (szląskiego). Pod względem gatunku i wydajności ciepła bowiem węgiel z zagłębia dąbrowskiego nie dorównywa węglowi szląskiemu,—jest on suchy, siarczykowaty,—nie posiada zdolności koksowania się i zawiera stosunkowo znaczną ilość domieszek zanieczyszczających. W tych warunkach współzawodnictwo z węglem szląskim było utrudnione, témbardziéj, iż dotychczas nie odnaleziono w zagłębiu dąbrowskiém węgla koksującego się. Dopiero po wprowadzeniu opłaty cła w złocie i obniżeniu się waluty państwowéj, odbyt węgla krajowego począł szybko wzrastać i po latach dziesięciu doszedł (w r. 1883) do pokaźnéj cyfry 161,8 milj. pudów, czyli około 16,3 milj. korcy rocznéj produkcyi. W celu uwidocznienia tego nagłego wzrostu podajemy tabelkę wydajności kopalni krajowych w czasie od 1872 do 1883 r. ułożoną na podstawie urzędowych źródeł przez inż. górn. Choroszewskiego (1).

---

(1) Porówn. „Przegl. Techn." T. XIX, str. 151.

Rok	Wyprodukowano węgla kamiennego pudów	Pracowało w kopalniach ludzi	Przy kopalniach działało maszyn	
			sztuk	o sile w koniach parowych
1873	19892381	3255	41	2134
1874	23302783	3838	39	2082
1875	24390407	3610	44	2185
1876	27325117	3537	49	2636
1877	37363030	4429	54	2965
1878	54577979	5330	70	3443
1879	65612508	5612	48	2843
1880	77395923	4857	60	4316
1881	85303733	6235	99	6263
1882	83665013	6388	95	5480
1883	101786596	6878	123	5860

Ilości podane w powyższéj tabelce nie obejmują jeszcze produkcyi węgla brunatnego, który wydobywa się obecnie z jednéj tylko kopalni „Joanna“, położonéj pod wsią Porębą - Mrzygłodzką. Z kopalni téj wydobyto w 1883 r. 606.568 pudów węgla brunatnego. Odkryte niespodziewanie w okolicach miasta Koła (gub. Kaliska) pokłady węgla brunatnego nie są dotychczas na większą skalę wyzyskiwane.

Zaznaczamy przytém, iż obecna wydajność kopalni krajowych nie zaspakaja wszystkich potrzeb miejscowych, i że dowóz węgla zagranicznego przedstawia pokaźną wartość 25—33% produkcyi węgla krajowego. Według sprawozdań komór celnych, dowieziono węgla zagranicznego w roku 1880 około 29,0, a w 1881 roku 27,5 milionów pudów.

Czynnych kopalni węgla kamiennego było w 1883 roku 26. Sposoby wydobywania węgla w kopalniach tych pozostawiają pod względem technicznym wiele do życzenia. Przeważnie stosowany jest jeszcze dotychczas tak zwany system rabunkowy, jako doraźnie tańszy;—w niektórych tylko kopalniach zaprowadzono racyonalniejsze metody eksploatacyi. W kilku większych kopalniach są urządzone sortownie mechaniczne, służące dla rozgatunkowania węgla i płuczki dla oczyszczania węgla od przymieszek niepalnych.

Na wystawie spotykamy okazy węgla tylko z 7 kopalni, należących do 4 właścicieli. Właściciele pozostałych 19 kopalni (a pomiędzy nimi sukcesorowie Kramsty, których kopalnie zajmują pod względem wydajności pierwsze miejsce w kraju i reprezentują 40% ogólnéj produkcyi węgla krajowego,)—nie wzięli udziału w wystawie. Z okazów wystawionych zasługuje na szczególną uwagę model wyzysku systemem podsadkowym (remblay), zastosowanym

w kopalniach dąbrowskich, dzierżawionych przez Towarzystwo Francusko-Włoskie; model sortowni mechanicznéj i wieży dobywalnéj w kopalni „Kazimierz“, należącéj do Warsz. Towarzystwa kopalni i zakł. hutniczych; oraz plany sortowni i płuczek mechanicznych systemu C. Lührig'a, urządzonych w kopalni „Jan“, należącéj do p. Łapińskiego.

Żelazo znajduje się w Królestwie Polskiém, w ilości stosunkowo małéj. Poczynając od Miedzianogórza ciągną się na północ aż do Łyséj Góry i Św. Katarzyny skaliste wzgórza, zawierające obfitą rudę żelazną. Rudy żelazne formacyi dewońskiéj znajdują się w górach zwanych Klonowskiemi w postaci rud magnesowo - żelaznych. Rudy żelazne formacyi Kaypru znajdują się we wsi Mierzęcicach około Siewierza i w okolicach Strzemieszyc. Najobficiéj jednak napotykają się rudy żelazne wśród młodszych formacyj gub. Kieleckiej i Radomskiéj. Zawartość żelaza w rudach tych okolic jest bardzo znaczną i dochodzi w niektórych miejscowościach (jak np. w Chlewiskach) do 45% (1).

Kopalnictwo rud żelaznych nie podlegało do ostatnich czasów żadnéj ściślejszéj kontroli, w skutek czego ilości wydobytych rud nie mogą być dokładnie oznaczone, a odnośne cyfry, przytaczane przez niektórych autorów, mają wartość bardzo problematyczną.

Pomimo łatwéj topliwości i czystości rud żelaznych w okolicach Kielc i Radomia, hutnictwo żelazne chyli się tam do upadku. Od czasu albowiem gdy postęp techniki hutniczéj dał możność ekonomicznego wyrabiania żelaza na węglu kamiennym, zakłady metalurgiczne grupują się przeważnie w ogniskach kopalnictwa węglowego. Pierwszy tego rodzaju zakład w kraju naszym, zwany „Hutą Bankową“, wzniesiony został w roku 1834 w Dąbrowie, z inicyatywy i pod zarządem hr. Łubieńskiego. Zakład ten istnieje do dziś dnia i jest obecnie dzierżawiony przez francuskie towarzystwo akcyjne.

Do niedawna ograniczało się hutnictwo żelaza w kraju naszym na przetapianiu rud na surowiec, z którego wyrabiano następnie różne rodzaje żelaza handlowego, a ogólna produkcya żelaza w kraju nie przekraczała skromnych granic. Według Łabęckiego (1) znajdowało się w r. 1782 w obrębie dzisiejszego królestwa Polskiego 29 wielkich pieców i 75 fryszerek, których ogólna wydajność wynosiła na dzisiejszą wagę tylko 293.760 pudów surowizny rocznie. W r. 1872 było hut żelaznych w Królestwie 35 (z tych 4 rządowe

(1) Porówn. Hałaczkiewicz: „O bogactwie mineralném w król. Polskiém“ (Inż. i Bud. T. VII, str. 37).

(2) Łabęcki: Górnictwo w Polsce.

i 31 prywatnych), a wydajność żelaza w tymże roku wynosiła: w hutach rządowych 79810 pudów żelaza kutego i 5862 pud. walcowanego, w hutach zaś prywatnych 780.491 pud. żel. kutego i 281.512 p. walcowanego, czyli razem 860.301 p. żel. kutego i 43.735 (?) p. walcowanego (1). Ożywienie hutnictwa żelaznego w Królestwie datuje się dopiero od połowy zeszłego lat dziesiątka. W tym albowiem czasie pod wpływem korzystnych chwilowo okoliczności, wywołanych upadkiem kursu, a następnie wprowadzeniem cła w złocie, powstał w kraju nowoczesny przemysł stalowy, który w skutek obstalunków rządowych z r. 1879 i budowy drugiego toru na drodze żel. warsz.-wiedeńskiéj, oraz budowy nowéj kolei z Dęblina do Dąbrowy, szybko się rozwinął i rychło zajął jedno z najwybitniejszych miejsc w ogólnéj produkcyi kraju.

Stal zaczęto wyrabiać u nas na większą skalę dopiero w r. 1878. Obecnie wyrabia się stal głównie w zakładach „Huty Bankowéj" w Dąbrowie i we wzorowo urządzonéj Warszawskiéj fabryce stali na Pradze pod Warszawą. Zakłady „Huty Bankowéj" wytapiają stal w piecach regeneracyjnych, systemu *Siemens-Martin'a*, według metody zastosowanéj po raz pierwszy przez *Martin'a* w r. 1866 w fabryce w Seruel we Francyi i udoskonalonéj następnie przez *Siemens'a*. W zakładach Warsz. fabryki stali wyrabianą jest stal w retortach systemu *Bessemer'a*. Żelazo zlewane (Flusseisen, fer fondu) zaczęto wyrabiać u nas w r. 1880, w tym albowiem roku urządzoną została pierwsza odlewnia stali systemu *Thomas'a* przy zakładach Warsz. fabryki stali.

Oznaczenie w cyfrach ogólnéj produkcyi żeleza, surowicy i stali w kraju napotyka trudności z powodu, iż źródła urzędowe są w tym względzie nie zupełnie pewne. Że tak jest, dowodzą cyfry, zaczerpnięte ze źródeł urzędowych przez L. Karpińskiego (2), według których ogólna wytwórczość surowizny, żelaza i stali w królestwie miała wynosić w r. 1881: 2,6, a w r. 1882: 2,4 milj. pudów, kiedy w rzeczywistości produkcya samych tylko szyn stalowych wynosiła w r. 1881 około 3 milj. pudów. Choroszewski (3) twierdzi, iż w obrębie królestwa wyrobiono saméj tylko stali, w r. 1880: 4,4, a w r. 1881: 3,9 milj. pudów. Fabryki podają produkcyą swoją stali w r. 1884: na 3,1 milionów pudów.

---

(1) Według danych, ogłoszonych przez Skalkowskiego (sekretarza komitetu naukowego górnictwa w Petersburgu w czasopiśmie „Gornyj Żurnał" za r. 1875.

(2) Porówn. L. Karpiński: „Gornozawodskaja promyszlennost Rossii w 1882 godu."

(3) Porówn. „Przegl. Techn." T. XV, str. 135.

Ogólna produkcya rudy żelaznéj w królestwie, wydobywanéj na większą skalę w kopalniach rządowych, oraz w kopalniach „Huta Bankowa“, „Chlewiska“, „Bliżyn“, „Rzucow“ i „Twardowice“ nie pokrywa potrzeb krajowych. Surowiec zagraniczny sprowadzany jest przeważnie z Anglii.

Pod względem technicznym zakłady Warszawskiéj fabryki stali i „Huty Bankowéj“ są urządzone wzorowo i stoją na wysokości współczesnéj techniki metalurgicznéj. Na szczególne wyróżnienie zasługuje wyrób żelaza zlewnego w Warszawskiéj fabryce stali, reprezentowany na wystawie przez liczne wyborowe okazy żelaza sztabowego i fasonowego. Niemniéj korzystnie prezentują się pod względem technicznym wyroby stalowe, a zwłaszcza blachy i szyny przedstawione w okazach téjże fabryki i zakładów „Huty Bankowéj“, Godne uwagi są téż okazy żelaza kutego i walcowanego, wystawione przez francuskie towarzystwo metalurgiczne „Chlewiska“, którego zakłady położone w gub. Radomskiéj znajdowały się dotychczas w trudnych warunkach, z powodu braku komunikacyi kolejowéj i utrudnionego przezto dowozu węgla i koksu.

Hutnictwo miedziane znajduje się u nas dotychczas na bardzo niskim stopniu rozwoju, zarówno ze względu na ilość, jak i sposób wyrobu. Na wystawie reprezentowane jest przez znane zakłady w Osinach (gub. Piotrkowska), których ogólna produkcya roczna nie przekracza 25.000 pudów. Materyał surowy sprowadzany jest z zagranicy.

Hutnictwo cynkowe jest przedstawiane na wystawie przez kilka okazów zakładu rządowego w Bendzinie i walcowni rządowéj w Sławkowie. Zaznaczamy przy téj sposobności, że współudział w wystawie zakładów górniczych rządowych, zawdzięczać należy osobistéj inicyatywie inż. górn. Choroszewskiego, obecnego naczelnika tychże zakładów, znanego w piśmiennictwie naszém autora cennych prac z dziedziny dziejów górnictwa krajowego. Dzieje rozwoju i upadku hutnictwa cynku w Polsce są pouczającym przykładem niezaradności naszéj w dziedzinie przedsiębierstw przemysłowych. Przed niedawnym czasem cynk nasz był przedmiotem wywozu i znajdował odbyt w Anglii,—obecnie dowóz cynku z zagranicy wynosi 50% wartości produkcyi krajowéj. Hutnictwo cynkowe powstało w Europie dopiero w początku bieżącego stulecia, przedtém albowiem znano cynk tylko jako domieszkę do miedzi przy wyrabianiu mosiądzu, do czego używano cynk pod postacią galmanu prażonego. Wprowadzenie w użycie i handel cynku, jako kruszcu otrzymywanego z galmanu, dało u nas pochop do podjęcia nowych starań około odbudowy kopalni Olkuskich. Wprawdzie za-

biegi około osuszenia tych kopalni datują się już od XVIII stulecia, ale dawniejsze usiłowania podjęte za Augusta II, Augusta III i następnie za Stanisława Augusta, miały głównie na celu odrodzenie kopalnictwa srebronośnego błyszczu ołowiu,—późniejsze zaś prace, prowadzone za Księstwa Warszawskiego i po przywróceniu Królestwa miały na widoku przeważnie eksploatacyą galmanu. Ciekawą i pouczającą jest historya tych wiekowych wysiłków,—które podejmowane z niestrudzoną gorliwością, stale rozbijały się już-to o rzeczywiste trudności techniczne i finansowe, już-to o opór i brak poparcia właściwych władz, lub upadały w skutek niepomyślnego stanu stosunków politycznych i ekonomicznych kraju. Barwny obraz dziejów kopalni Olkuskich skreślił inż. Choroszewski (1), na podstawie aktów urzędowych, a my wspominany o tém, ze względu, iż na wystawie są uwidocznione ostatnie prace, podjęte w tym kierunku. Znajdujące się na wystawie plany robót przeprowadzonych w latach 1880—1883, według projektów i pod kierunkiem technicznym zmarłego niedawno inż. Kosińskiego, stanowią wymówną ilustracyą do optymistycznych nieco poglądów ich autora, wyrażonych w rozprawie tegoż, ogłoszonéj w tomie II „Pamiętn. Fizyograficznego".

Produkcya galmanu w kopalniach Olkuskich wynosiła w roku 1868: 96.108, w r. 1870: 83.900 i w r. 1873: 100.888 badyj. (2).

Dolomit bogaty w galman napotyka się także na zachód od Olkusza aż pod Strzemieszyce, Ząbkowice i Siewierz. Z kopalń rządowych i prywatnych, znajdujących się w okolicach tych, wydobyto w r. 1881 (3) ogółem 6,3 milion. pudów. Ogólna produkcya cynku wynosiła w r. 1881: 181.409 pudów, dowóz zaś cynku z zagranicy w tymże roku 101.460 pudów (4). Pomimo więc, że okolice Dąbrowy są jedyném ogniskiem dostawy cynku na królestwo i cesarstwo, produkcya tego metalu nie przekroczyła dotychczas skromnych rozmiarów i zaspakaja zaledwie 66% ilości zapotrzebowań.

Cynk wyrabiają obecnie w kraju naszym tylko dwa zakłady rządowe (w Bendzinie i Sławkowie) i zakłady sukcesorów Kramsty w Sosnowcu. Biel cynkową zaś, jako produkt przetworu samego cynku metalicznego, wyrabia na większa skalę tylko zakład sukcesorów Kramsty. Produkcya bieli cynkowéj w r. 1881 wynosiła oko-

---

(1) Porówn. Choroszewski: Rozwój górnictwa krajowego w król. Polskiém. Przeg. Techniczny, T. I, II i III.

(2) Jedna badya galmanu waży około 15 pudów.

(3) Porównaj „Gornyj Żurnal" za rok 1882.

(4) Porówn. Sprawoczn. kniga perew. towarow czerez tamożni Ros. Imp. 1881,

ło 45.000 pudów, dowóz zaś produktu tego z zagranicy w tymże roku: 77,611 pudów (1).

Urządzenia techniczne rządowych kopalni galmanu i zakładów cynkowych są bardzo niedostateczne i pod żadnym względem nie odpowiadają wymaganiom nowoczesnéj techniki. O wiele wyżéj stoją zakłady sukcesorów Kramsty, które jednakże nie są reprezentowane na wystawie.

Gipsy formacyi miocenicznéj, stanowiące jednę z najbardziéj rozpowszechnionych skał w Miechowskiém i Kieleckiém, są obecnie eksploatowane przeważnie w okolicach Czarkowy. W pokładach téj okolicy znajduje się gips rozmaitéj budowy, zwłaszcza zaś krystaliczny, drobno-ziarnisty, bezkształtny, zbity, ziemisty i bitumiczny. Gips krystaliczny, dostawiany jest z miejsc eksploatacyi w odłamach Nidą i Wisłą do Warszawy (2). Gips krystaliczny w stanie zmielonym stanowi dobry materyał nawozowy, po wypaleniu zaś używany jest do robót sztukateryjnych. Obecna produkcya gipsu w królestwie nie zaspakaja potrzeb fabryk miejscowych. Na wystawie fabrykacya gipsu jest ilościowo słabo reprezentowana przez okazy jednego zakładu warszawskiego, sprowadzającego materyał surowy (gips w odłamach) z gub. Kieleckiéj i Galicyi.

Pokłady gipsu w okolicach Czarkowy mają dla przemysłu jeszcze i tę doniosłość, że dały początek uposadzeniom siarki rodziméj, która w pewnych warunkach tworzy się jako produkt rozkładu chemicznego gipsu. Zawartość siarki w skałach gipsowych około Czarkowy ma być bardzo znaczną (do 20%), a że zapas skały, zawierającéj siarkę, na przestrzeni obecnie eksploatowanéj oblicza już. Kondaki (2) na 21,5 milj. pudów, przeto ilość siarki czystéj wynosi w przybliżeniu 4,3 milj. pudów. Na wystawie reprezentowane jest górnictwo i hutnictwo siarczane przez okazy rudy siarczanéj, oraz siarki surowéj i rafinowanéj, pochodzące z jedynych większych zakładów w kraju naszym, należących do braci Puslowskich w Czarkowéj.

Gliny znajdujemy w obrębie królestwa w licznych bardzo pokładach. W przemyśle znajdują jednakże zastosowanie przeważnie tylko te gatunki gliny, które po zmieszaniu z wodą dają się łatwo urabiać w pewne formy i przez wysuszenie nie tracą nadanego im kształtu, a przez wypalenie nabierają znacznego stopnia twardości.

---

(1) Ibidem.

(2) Porówn. Hałaczkiewicz: O bogactwie mineralném w król. Polskiém. „Inż. Bud. T. VII, str. 79.

(3) Porówn. Przeg. Techn. T. XVII.

Gliny takie znane są pod nazwą glin plastycznych. Stopień plastyczności gliny zależy przeważnie od ilości i gatunku przymieszek zanieczyszczających krzemian gliny. Gliny czyste, których główną częścią składową jest krzemian glinu, czyli tak zwane gliny ogniotrwałe, nie topnieją nawet w bardzo wysokiéj temperaturze. Natomiast gliny, które oprócz krzemianu glinu, zawierają okruchy kwarcu, miki, dolomitu itp. są łatwo topliwe.

Glinki ogniotrwałe formacyi Kaypru znajdują się w kraju naszym przeważnie w okolicach Siewierza, Strzemieszyc, Twardowic, Trzebiesławic. W Mierzęcicach i Siewierzu, napotykają się (według Pusch'a) 6—8 sążni grube pokłady glin pstrych w warstwach, z których najniżéj położona zawiera glinkę białą. Téjże saméj formacyi glinki ogniotrwałe napotykają się w znacznéj ilości pomiędzy Kielcami a Piotrkowem, a zwłaszcza w okolicach Rudy Malenieckiéj i Piotrkowa. Wydobywana pod Siewierzem glinka ogniotrwała ma zbyt nie tylko w kraju, ale i zagranicą (1).

Glinę łupkową formacyi miocenicznéj, charakteryzują w kraju naszym wytryskające z téjże źródła słone i naftowe (2).

Gliny piasczyste i mamutowe form. dyluwialnéj, znajdują się przeważnie w powiatach: Miechowskim, Stopnickim, Opatowskim i Sandomierskim, oraz w niektórych miejscowościach gub. Lubelskiéj.

Kaolinu, który stanowi podstawę wyrobów z gliny białéj (porcelany, fajansu, majolik itp.) dotychczas w królestwie nie odkryto.

Pomimo obfitości pokładów gliny i taniego materyału opałowego, przemysł ceramiczny w kraju naszym, do niedawna, bardzo mało był rozwinięty, co niesłusznie przypisywano właściwościom chemicznym gliny krajowéj. Analizy przez dra Weinberga, w roku zeszłym przeprowadzone, udowodniły, że niektóre gatunki glin krajowych, używane dotychczas do wyrobów garncarskich i do wyrobu cegły, nadają się do wytworniejszych wyrobów ceramicznych.

Z jedynym może wyjątkiem fabryki w Nieborowie, żaden inny zakład ceramiczny w kraju naszym nie stoi na wysokości współczesnéj techniki za granicą. Wyroby fajansowe zakładów krajowych, nie dorównywują zagranicznym, ani pod względem twardości skorupy, ani też pod względem piękności polewy. Według dra Wein-

---

(1) Hałaczkiewicz w Inż. i Bud. T. VI.

(2) Źródło nafty odkryto przed niedawnym czasem w okolicach wsi Załucze (gmina Wójcza, w gub. Kieleckiéj). Źródło to nie zostało jeszcze dokładnie zbadane,— jest jednak już eksploatowane przez zawiązane w tym celu towarzystwo udziałowe. Na wystawie znajdują się okazy wydobywanéj ropy naftowéj, oraz przebitych pokładów górnych. Rafinerya dotychczas urządzoną nie została.

berga, wytrzymałość na zgniecenie fajansów krajowych wynosi zaledwie $^{1}/_{6}$ część wytrzymałości fajansów belgijskich i angielskich.

Majoliki wzorowo prowadzonéj fabryki w Nieborowie dorównywają wyrobom francuskim i włoskim, zarówno pod względem dobroci materyału i sposobu wykonania, jako téż gustownych form i właściwego doboru barw. Równość emalii nie pozostawia nic do życzenia.

Wyrób kafli piecowych ograniczał się do niedawna na najprostszych gatunkach. Kafle wytworniejsze zaś sprowadzano z zagranicy. W ostatnich latach dopiero powstały w kraju wzorowo urządzone i na większą skalę prowadzone fabryki kafli, których wyroby nie dorównywają wprawdzie jeszcze zagranicznym (zwłaszcza pod względem równości emalii), niemniéj jednak korzystnie świadczą o szybkim postępie téj gałęzi fabrykacyi w kraju naszym.

Ogólna produkcya roczna cegielni krajowych przedstawia wartość około 2,4 milj. rubli a fabryk porcelany i fajansu 0,2—0,3 milj. rubli (1).

Okazy gliny zwyczajnéj i ogniotrwałéj na wystawie są bardzo liczne. Objaśnienia jednakże co do składu chemicznego, oraz sposobów i rozmiarów eksploatacyi, nie zostały podane przez żadnego niemal z wystawców.

Wyrób cegły w różnych gatunkach, dachówek, gąsiorów i dren glazurowanych, korzystnie jest reprezentowany na wystawie przez okazy wzorowo urządzonéj i mającéj ustaloną renomę w kraju fabryki Granzowa w Kawenczynie. Na uwagę zasługują również wyborowe dachówki i gąsiory fabryki Ostrowskiego w Maluszynie,— oraz okazy fabryk Bojańczyka w Włocławku i Lesieckiego w Dąbrowie.

Fabryka „Nieborów" nadesłała piękną kolekcyą doskonałych wyrobów z terakoty, fajansu i majoliki.

Z licznych okazów kafli zasługują na bliższą uwagę piękne kafle zwyczajne i majolikowe, z materyału krajowego, wystawione przez fabryki Czernego w Warszawie i Braneckiego w Mszczonowie.

Hutnictwo szkła, którego produkcya roczna przedstawia pokaźną wartość 1,0—1,2 milj. rubli, jest na wystawie reprezentowane ilościowo słabo. Największa w kraju, wzorowo prowadzoua huta „Czechy", nie nadesłała żadnego okazu. Wyroby szklane hut w Targówku i w Klonowie oraz nowéj huty w Zawierciu przedstawiają się korzystnie.

---

(1) Porówn. Wolfheim: Tablica produkcyjności. Jnż. I Bud. T. VI.

Z kamieni naturalnych kraju naszego znajdują największe zastosowanie w przemyśle kamienie wapienne i piaskowce. Produkcya marmurów w okolicach Kielc i Chęcin jest dotychczas mało rozwiniętą, ożywi się jednak prawdopodobnie w niedalekiéj przyszłości pod wpływem ułatwionéj komunikacyi kolejowéj.

Wapienie form. jurajskiéj posiadamy w niewyczerpanych niemal pokładach w południowo-zachodniéj części Królestwa zwłaszcza, w okolicach Strzemieszyc, Sosnowca, Zawiercia aż po Częstochowę i Piotrków. Niezależnie od wapieni z formacyi jurajskiéj posiadamy w różnych okolicach kraju wapienie z formacyi trzeciorzędowéj, które dotychczas mało jeszcze są zbadane. Z epoki trzeciorzędowéj pozostały mianowicie w kotlinach torfowisk, łąk i wód, liczne i znaczną niekiedy grubość posiadające osady skorupiaków, dające często do 95% czystego węglanu wapna (1). Wapienie form. jurajskiéj są prawidłowo wydobywane na większą skalę w licznych łomach, powstałych w pobliżu drogi żel. Warsz. Wiedeńskiéj, pomiędzy Radomskiem i granicą państwa. Wapienie te znajdują odbyt w stanie surowym, jako kamienie wapienne i w stanie przepalonym, jako wapno nielasowane, używane do zaprawy, lub jako miał wapienny do nawozów. Jako materyał budowlany są cenione zwłaszcza kamienie wapienne z pod Strzemieszyc i Częstochowy. Przy wszystkich niemal większych kamieniołomach urządzone są piece do wypalania wapna, idące na węglu. Wapna do zapraw w wyborowym gatunku dostarczają piece w Sosnowcu, Dąbrowie, Rudnikach i Zawierciu. Wapienie formacyi trzeciorzędowéj nie są nigdzie na większą skalę wydobywane,—pomimo że dają dobre wapno budowlane i nawozowe. Okoliczność ta nasunęła w ostatnich czasach technikom naszym myśl zużytkowania materyału tego przez zaprowadzenie w kraju budowli mieszaniną wapna z piaskiem (Pise'bau) i wyrobu cegieł wapienno-piaskowych (2). Budowle z masy wapnolitéj i z cegieł wapienno-piaskowych znalazły już oddawna zastosowanie zagranicą, a zwłaszcza we Francyi i w Niemczech. Spodziewać się więc należało, iż na wystawie tegorocznéj spotkamy się z wynikami pierwszych prób przeprowadzonych w kraju naszym, które, o ile to nam skądinąd wiadomo, wypadły pomyślnie. Nie bez pewnego zdziwienia przychodzi nam przeto zaznaczyć, że tak gorliwie zrazu podjęta i popierana sprawa zużytkowania pokładów wa-

---

(1) Porów. Trejdosiewicz w „Encykl. Rolniczéj."

(2) Porów. Chrzanowski: Budowla mieszaniną wapna z piaskiem oraz sposób robienia cegieł wapienno-piaskowych. Włocławek 1883. Nakładem H. Neumann'a.

piennych, stanowiących dotychczas w wielu okolicach kapitał zupełnie bezprodukcyjny, popadła w stan uśpienia i że inicyatorowie jéj żadnego udziału w wystawie nie wzięli. Produkcya kamieniołomów i pieców południowo-zachodniéj części kraju jest reprezentowaną na wystawie przez wyborowe okazy wapna z kopalni Kanigowskiego w Rudnikach. Na uwagę zasługują również okazy wapna z góry „Kadzielnia“, wypalanego w piecach Zglenickiego w Kielcach, oraz z kopalni w Sulejowie.

Piaskowce lijasowe, drobno-ziarniste, białe, eksploatowane są przeważnie w łomach pod Kunowem i Szydłowcem oraz w okolicach Mniowa (gub. Kielecka). Zastosowanie znajdują jako materyał budowlany i jako doskonały kamień młyński. Kamień ciosowy Szydłowiecki jest ceniony jako wyborny materyał budowlany i do robót rzeźbiarskich, dotychczas jednak pomimo ułatwionéj komunikacyi kolejowéj produkcya ogólna jest nieznaczną. Na wystawie spotykamy okazy kamieni młyńskich, wyrobionych z piaskowców krajowych w fabryce Skoryny na Pradze.

Fabryczny przemysł żelazny zajmował przed niedawnym jeszcze czasem mało wybitne stanowisko w ogólnéj produkcyi przemysłowéj kraju naszego. W obec niełatwéj do zwalczenia konkurencyi wyrobów zagranicznych, fabryki krajowe znajdwoały się w trudnych warunkach, a wyroby krajowe przedstawiały się niepokaźnie, gdyż skromne urządzenia zakładów nie dawały możności wprowadzenia ulepszonych metod produkcyi. Dopiero pod wpływem utrudnionego współzawodnictwa zagranicy wytwórczość fabryk krajowych szybko wzmogła się i doszła w początkach bieżącego dziesiątka lat do pokaźnéj wartości 8 milj. rubli rocznie (1). Szybki ten wzrost produkcyi nie wpłynął jednakże ujemnie na gatunek wyrobów: miejsce albowiem ustępującego współzawodnictwa zagranicy, zajęło współzawodnictwo wyrodzone wewnątrz kraju, wskutek powstania nowych zakładów, założonych przez firmy poważne a urządzonych i prowadzonych wzorowo, z uwzględnieniem wymagań nowoczesnéj techniki przemysłu żelaznego. Głównemi ogniskami zbytu są przemysłowe okolice Królestwa i południowo-zachodnich gubernij cesarstwa. Charakterystyczną cechę rozwoju przemysłu żelaznego w kraju naszym przedstawia okoliczność, że przedmioty na potrzeby dróg żelaznych, oraz maszyny, przyrządy i aparaty dla zakładów przemysłowych cukrowniczych i gorzelniczych,—stanowią

(1) Wolfheim. Jnż. i Bud. T. VI.

najpokaźniejszą gałąź produkcyi fabrycznéj. Z pośród innych działów wytwórczości fabrycznéj górują ilościowo wyroby na potrzeby budownictwa i maszyny rolnicze. Na wystawie dział ten pracy przemysłowéj reprezentowany jest okazale przez wszystkie pierwszorzędne firmy kraju. Z szeregu licznych wyborowych okazów zasługują na szczególne wyróżnienie wyroby zasłużonéj dla przemysłu krajowego firmy „Lilpop, Rau i Loewenstein", oraz wyroby kotlarskie i z blachy szwejsowanéj fabryki „Fitzner i Gamper" w Sosnowcu a niemniéj aparaty i maszyny dla gorzelni gospodarczych, z fabryki „Borman, Szwede i Temler" w Warszawie. Korzystnie świadczą również o postępie techniki przemysłu krajowego, dwie lokomobile leżące (o sile 10 koni każda) i wyborowe roboty kotlarskie firmy „Rudnicki i Kuczyński" w Pruszkowie. oraz rury lane z fabryki „Scholtze, Repphan i Sp.", tartaki do rżnięcia kloców tejże firmy oraz fabryki „Orthwein, Markowski, Karasiński" w Warszawie, drezyna dla dróg żelaznych i maszyna do wyrobu gwoździ z fabryki Hantkego w Warszawie, rury z żelaza lanego, wyroby z blachy żelaznéj i przedmioty budowlane firmy „Rudzki i Sp." w Warszawie. Wszystkie te wyroby firm pierwszorzędnych świadczą o znacznym postępie technicznym produkcyi krajowéj w latach ostatnich. Najkorzystniéj jednakże uwydatnia się wpływ produkcyi krajowéj w fabrykacyi maszyn rolniczych. Przed niedawnym jeszcze czasem maszyny rolnicze sprowadzane były z zagranicy bez żadnego niemal wyboru,—obecnie zakłady krajowe w dobrze zrozumianym własnym interesie starają się o wyrabianie maszyn i przyrządów rolniczych przeważnie według modelów, uznanych w praktyce za dobre i korzystne dla rolnictwa krajowego,—a kierunek ten produkcyi krajowéj nie mógł oczywiście pozostać bez wpływu na jakość maszyn rolniczych, dostarczanych przez zakłady zagraniczne. Z pośród licznych maszyn i narzędzi rolniczych wyrobu krajowego, znajdujących się na wystawie, zasługują na wyszczególnienie wyroby fabryk „Lilpop, Rau i Loewenstein," „Rudnicki i Kuczyński," i „Warszawskiéj fabryki machin i narzędzi rolniczych" oraz „Wolski i Sp." w Lublinie. Odrębne stanowisko w szeregu okazów téj kategoryi zajmują: Szaniawskiego przyrząd własnego pomysłu do zsypywania zboża, i nowa żniwiarka „Przodownica", konstrukcyi inż. Grubińskiego, który już poprzednio dał się poznać z pomysłowości w dziedzinie budowy maszyn rolniczych. Zaznaczamy jednakże, iż przyrząd Szaniawskiego i żniwiarka Grubińskiego dotychczas praktycznie wypróbowane jeszcze nie zostały,—a wspominamy o nich jedynie jako o objawach samodzielnéj, pomysłowéj pracy.

Wzmagający się przemysł fabryczny powołał w ostatnich latach do życia kilka nowych gałęzi produkcyi, z pomiędzy których korzystnie reprezentowaną jest na wystawie fabryka pakunku amerykańskiego w Warszawie.

Odpadki fabryczne są u nas dotychczas z małemi wyjątkami materyałem nieprodukcyjnym,—a niekiedy są nawet powodem strat i niedogodności. Żuzel zalega wielkiemi hałdami place przy hutach naszych, utrudniając eksploatacyą i stanowiąc źródło licznych niewygód, pomimo że za granicą znalazł już oddawna korzystne zastosowanie w przemyśle i że technicy nasi niejednokrotnie kwestyą tę podejmowali (1).

Fabrykacya powozów, wcielona przez komitet wystawy z nieodgadnionych powodów do grupy maszyn i przyrządów fabrycznych reprezentowaną jest przeważnie przez okazy powozów i karet zbytkownych. Wozy i bryczki wystawione zostały tylko przez dwa zakłady: Augustynowicza i Sp. w Warszawie i Szczepanowskiego w Szydłowcu.

Reasumując poglądy na obecny stan fabrycznego przemysłu żelaznego, zaznaczamy, że większe fabryki są urządzone i prowadzone wzorowo i że wyroby przedstawiają się w ogóle korzystnie i uwidoczniają postęp w konstrukcyi i sposobach wykonania. Kierunek rozwoju produkcyi jest jednakże dotychczas bardzo jednostronnym i obliczonym niemal wyłącznie na zaspokojenie potrzeb rolnictwa i gałęzi przemysłu, silniéj w kraju naszym rozwiniętych (zwłaszcza zaś cukrownictwa, gorzelnictwa, młynarstwa i piwowarstwa). Motorów parowych słabych (o sile nie przekraczającéj 1—4 koni parowych) nie ma wcale na wystawie,—przyrządów i maszyn na potrzeby drobnego przemysłu spotkaliśmy nie wiele i to w okazach, świadczących o pewném zaniedbaniu téj gałęzi przemysłu u nas. Słabo lub wcale nie są reprezentowane na wystawie maszyny i przyrządy do obróbki metalów, kości, kamieni, szkła, ziem, gliny, do zaróbki ciasta, kitów itp., obliczone na siłę ręczną, lub motory słabe. Nawet maszyny do szycia, znajdujące w różnych swych odmianach, tak rozległe zastosowanie w rzemiosłach i rękodziełach, nie są w kraju wcale wyrabiane, a okazy odnośne na wystawie pochodzą z fabryk zagranicznych.

W obec takiego stanu rzeczy zachodzi pytanie, czy może w ogóle być mowa o istnieniu u nas przemysłu drobnego, opartego na racyonalnéj technice i mogącego w pewnych gałęziach wytwór-

---

(1) Między innemi: Kozłowski w Przegl. Techn. T. XVI. i Hałaczkiewicz w Inż. i Bud. T. VII.

czości uzupełniać przemysł wielki, lub z tymże współzawodniczyć?— Do kwestyi téj postaramy się powrócić jeszcze przy przeglądzie okazów rzemiosł krajowych.

Przemysł tkacki w głównych swych rodzajach stanowi najwięcéj rozwiniętą gałąź pracy przemysłowéj w kraju naszym. Wartość albowiem ogólna produkcyi rocznéj dochodzi do kolosalnéj w naszych stosunkach sumy 60 milion. rubli (1), z których przypada na fabryki przędzalno-tkackie bawełny około 35—36 milj. rubli,—sukna i wełny okóło 18—20 milj. rubli, zaś lnu, konopi i jedwabiu około 4 mil. rubli. Cała wytwórczość przemysłu tkackiego koncentruje się przeważnie w kilku wielkich i wzorowo urządzonych fabrykach,— natomiast tkactwo jako przemysł drobny mało jest u nas rozwinięte.

Przemysł bawełniany, do którego prócz przędzalnictwa zaliczamy farbowanie, bielenie, drukowanie i wyrób waty, ma główne swe ogniska w trzech wielkich fabrykach: Scheibler'a i Poznańskiego w Łodzi i Towarzystwa udziałowego (dawniéj Ginsburgów) w Zawierciu, których produkcya wynosi razem około 60% odnośnéj ogólnéj produkcyi kraju.

Przemysł wełniany, do którego prócz przędzalnictwa i tkactwa zaliczamy pranie i czesanie wełny, jest stosunkowo mało dotychczas rozwinięty. Są wprawdzie w Łodzi fabryki pokaźne wyrobów wełnianych,—nie posiadają jednak zakładów dla czesania i prania wełny, którą w stanie gotowym do użytku fabrycznego sprowadzają z zagranicy.

Przemysł lniany ma główne swe ognisko w fabryce Żyrardowskiéj, któréj produkcya roczna stanowi 75-80% wartości ogólnéj produkcyi odnośnych zakładów krajowych. Cyfra ta wymownie świadczy, że drobny przemysł lniany u nas prawie wcale nie istnieje. Natomiast w innych krajach, a zwłaszcza w sąsiednim nam Szlązku, drobny przemysł lniany zdołał utrzymać się na wybitném stanowisku w produkcyi miejscowéj, pomimo silnego współzawodnictwa fabryk. Warsztaty albowiem, urządzone z uwzględnieniem współczesnych wymagań techniki i prowadzone odpowiednio do odrębnych potrzeb i warunków bytu drobnego przemysłu, dostarczają wyrobów, które ustępują wprawdzie fabrycznym pod względem wytworności wykonania, przewyższają je jednak pod względem trwałości,

---

(1) Wolfhelm. Inż. i Bud. T. VI.

i wskutek tego znajdują odbyt w klasach mniéj zamożnych i między włościanami.

Fabrykacya sukna i kortów koncentruje się przeważnie w okolicach Zgierza, Kalisza i Tomaszowa. Wyroby nie dorównywują zupełnie zagranicznym, mają jednak jako znacznie tańsze, rozległy odbyt w kraju i cesarstwie.

Przemysł konopny i wyrób dywanów są mało bardzo rozwinięte w kraju naszym i nie pokrywają potrzeb miejscowych. Toż samo da się powiedziéć o fabrykacyi filców i przemyśle jedwabniczym. Wyroby konopne i dywany tanie w gatunkach pośledniejszych, sprowadzane są do nas przeważnie z Rosyi, gdzie stanowią przedmiot bardzo rozgałęzionego przemysłu drobnego.

Na wystawie reprezentowany jest przemysł tkacki bardzo okazale przez wyroby wszystkich niemal pierwszorzędnych zakładów w kraju. Korzystnie wyróżniają się wyroby bawełniane towarzystwa „Zawiercie“ i fabryk łódzkich Scheibler'a i Poznańskiego—wyroby lniane i pończosznicze fabryki Hielle i Dittrich'a w Żyrardowie,—wyroby wełniane fabryk Wiener'a i Meyer'a w Łodzi, oraz sukna i korty dziesięciu fabryk tomaszowskich, i zakładów Braci Repphan w Kaliszu i Borsta w Zgierzu.

Drzewo w stanie surowym i jako materyał budowlany stanowiło u nas oddawna przedmiot rozległego handlu wywozowego. Pomimo znacznego wytrzebienia lasów w latach ostatnich i niedostatecznéj opieki władz nad gospodarstwem leśném, obecny drzewostan Królestwa jest jeszcze względnie znaczny. Według zestawienia sporządzonego przez B. Aleksandrowicza, na podstawie danych urzędowych (1), ogólna powierzchnia lasów niewyrąbanych i wyrąbanych, lecz odmłodnionych w kraju naszym, miała w r. 1880 wynosić 4368,9 tysięcy morg. miary polskiéj. Wartość wywożonego corocznie z kraju drzewa wynosi około 30 milion. rubli. Pomimo bogactwa lasów przemysł drzewny bardzo mało się rozwinął i potrzeb miejscowych nie pokrywa. Wartość corocznie przywożonych z za granicy wyrobów drzewnych wynosi około 5 milj. rubli (2). Dopiero pod wpływem szybkiego zmniejszania się drzewostanu w kraju, zrodziła się dążność do jaknajkorzystniejszego spotrzebowania drzewa wyciętego, i powstawały fabryki wyrobów drewnianych, prowadzone

(1) Porówn. B. Aleksandrowicz: Obecny stan lasów i sadów w Królestwie Polskiém, 1880 r.,—oraz Wykaz lasów i sadów w Król. Polsk. „Inż i Bud.“ T. VII.

(2) Hałaczkiewicz. Inż. i Bud. T. VI.

na większą skalę. Oprócz zwykłych wyrobów stolarskich i ciesielskich zaczęto wyrabiać głównie posadzki dębowe i forniery. Wyroby tego rodzaju są reprezentowane na wystawie przez okazy fabryki Tworkowskiego w Warszawie, fabryki w Tajkurach (gub. Wołyńska) i zakładów Szokalskiego i Żarskiego w Warszawie. Stolarstwo zaś korzystnie się przedstawia w licznych okazach, które jednak pod względem wytworności wyglądu i konstrukcyi nie dorównywują wzorom zagranicznym.

Odrębne stanowisko zajmuje fabrykacya mebli giętych, reprezentowana u nas przez kilka większych zakładów, pomiędzy któremi pod względem rozmiarów i sposobów produkcyi pierwsze miejsce zajmują wzorowo urządzone i prowadzone fabryki towarzystwa akcyjnego „Wojciechów“. Fabryki „Wojciechów“ są jedyne w kraju, które materyał gięty przygotowują na większą skalę na miejscu z drzewa krajowego. Produkcya roczna zakładów Wojciechowskich wynosiła w roku 1876: 40.000 sztuk mebli, obecnie doszła do 170.000 sztuk, z wartością około 0,4 mil. rubli. Główném ogniskiem zbytu jest cesarstwo, w królestwie sprzedają się tylko około 10% ogólnéj produkcyi. Wyroby fabryk Wojciechów, ze względu na materyały, wykonanie i konstrukcyą nie ustępują najlepszym tego rodzaju wyrobom zagranicanym. Na wystawie reprezentowane są zakłady Wojciechowskie przez piękne okazy mebli giętych, zwyczajnych, oraz stylowych, odznaczających się czystością rysunku i gustownym doborem barw.

Wojłok roślinny (materyał torfowy), eksploatowany w lesistéj okolicy Otwocka jest przerabiany na miejscu w fabryce parowéj, na środki dezynfekcyjne i materyały nawozowe. Ocena materyału torfowego, przerabianego w Otwocku na cele dezynfekcyi, ogłoszona przez Komitet Sanitarny Warszawskiego towarzystwa lekarskiego (1), orzeka w zasadzie, iż jakkolwiek materyał torfowy nie jest środkiem dezynfekcyjnym w ścisłém tego słowa znaczeniu, to jednakże domieszka materyału torfowego do zawartości kloacznych (w stosunku około 112 funtów rocznie na osobę), wywiera pożyteczny wpływ, gdyż materyał torfowy posiada własności odwaniające i absorbujące w znacznéj mierze części płynne. Skuteczność środka tego zależy w znacznéj części od właściwego unormowania dozy i starannego mieszania wsypki z zawartością dołu. Używanie materyału torfowego do odwaniania waterklozetów w mieszkaniach jest niewłaściwe, gdyż korzystne zastosowanie może środek ten znaleść tylko

---

(1) Porówn „Gaz. Lekarska“, Nr. 6 z r. b.

w większych zbiornikach nieczystości i dołach kloacznych. Na wystawie znajdują się okazy różnych przetworów wojłoku roślinnego z téj fabryki.

Przemysł chemiczno-fabryczny jest w kraju naszym w rozlicznych odgałęzieniach silnie rozwinięty. Rozmiarami produkcyi górują w tym dziale pracy przemysłowéj cukrownie i gorzelnie.

Przemysł cukrowniczy po okresie świetnego rozwoju, znajduje się obecnie w trudnych warunkach bytu zarówno u nas, jako téż w cesarstwie. Zastój w handlu cukrem przy niemożności zmniejszenia produkcyi,—i co zatém idzie nagromadzenie się zapasów i obniżenie cen,—były bezpośredniemi przyczynami obecnego przesilenia cukrowniczego. Zaznaczamy sam fakt, nie siląc się na rozjaśnienie głębszych jego powodów, i poprzestając na zaznaczeniu jedynie kilku wybitniejszych szczegółów, charakteryzujących obecną fazę rozwoju cukrownictwa w królestwie. Kampania 1880/81 r. była ostatnią pod dawniejszą zasadą obliczania opłat podatkowych, według ilości przerabianego materyału (buraków). Prawo z r. 1881, wprowadzające obowiązującą obecnie zasadę obliczania podatku, według ilości wyprodukowanego cukru (mączki lub rafinady), zaskoczyło cukrownie nasze bezpośrednio przed otwarciem kampanii 1881/82 r., w skutek czego przystosowanie warsztatu do pomienionéj zasady mogło nastąpić dopiero przed kampanią 1882/83 r. Pomimo niezwykłego urodzaju buraków w r. 1882/83 w królestwie, ogólny urodzaj w całém państwie rosyjskiém dał wyniki tylko średnie. Według sprawozdań urzędowych, podczas kampanii 1882/83 r. było w królestwie czynnych fabryk 40, w których wyrobiono cukru (mączki i rafinady) 149,6 mil. funtów. Podczas dwóch następnych kampanij było w królestwie czynnych fabryk 42, a ogólna produkcya wynosiła w 1883/84 roku 111,8, a w 1884/85 roku 150,0 mil. funtów. Zaznaczamy przytém, iż produkcya ogólna w królestwie i cesarstwie razem wynosiła w 1882/83 roku 711,0, w 1883/84 roku 789,3 i w 1884/85 roku 828,8 milj. funtów (1). Dla zaradzenia choćby częściowo klęskom, wynikającym z obecnego przesilenia, wyznaczyła sekcya II warszawskiego oddziału towarzystwa popierania przemysłu i handlu oddzielną komisyą, która ma zająć się zbadaniem niektórych proponowanych środków ulepszenia i uproszczenia sposobów produkcyi.

Gorzelni znajduje się w królestwie (według danych za rok 1883) 456, których produkcya roczna przedstawia wartość około 14 mil.

---

(1) Przegl. Techn. T. XXI, str. 70 i nast.

rubli. Fabryk wódek, araku, likierów itp. jest czynnych (1883 r.) 403, z roczną produkcyą około 2 milionów rubli (1).

Wartość produkcyi rocznéj garbarni i fabryk białoskórniczych wynosi około 2 milj. rubli,—browarów (wraz z fabrykami porteru, miodosytniami itp.) około 3—3,5 milj. rubli,—fabryk papieru 1,6 milj. rubli,—mydlarni 1,6 milj. rubli. Roczna produkcya innych działów przemysłu chemicznego (jak np. fabrykacyi olejów mineralnych, smarów, krochmalu, produktów suchéj destylacyi drzewa i węgla, farb, lakierów itp.), jest znacznie mniejszą i w żadnéj gałęzi nie dochodzi do miljona rubli.

Najokazaléj ilościowo reprezentowane są w tym dziale przemysłu na wystawie browary, gdyż niemal wszystkie pierwszorzędne firmy piwowarskie kraju przyjęły udział w wystawie; — natomiast cukrownictwo jest reprezentowane przez okazy tylko dziesięciu fabryk,—gorzelnictwo i dystylarnie zaś przez okazy 8 fabryk.

Garbarstwo ma u nas wielu zasłużonych krajowi i powszechnie znanych przedstawicieli. Przemysł garbarski i białoskórniczy koncentruje się głównie w wielkich fabrykach warszawskich, które nie tylko ze względu na wartość produkcyi rocznéj, ale i z uwagi na wzorowe urządzenia zajmują pierwsze w kraju miejsce. Na szczególne wyróżnienie zasługują znane i ustaloną renomę posiadające firmy warszawskie: „Bracia Szlenkier“, „Pfeifer“, „Temler i Szwede“, „Fröhlich“, „Lüdtke“. Na wystawie reprezentowane jest garbarstwo przez okazy siedmiu pierwszorzędnych fabryk warszawskich. Papiernictwo zaś przedstawiają okazy fabryki Mirkowskiéj i „Soczewka“. Nadto spotykamy na wystawie wyroby fabryk krochmalu i mączki kartoflanéj, przetworów chemicznych, farb i lakierów, olejów i smarów, świec i mydła.

Fabrykacya artykułów spożywczych jest w niektórych tylko gałęziach silnie rozwiniętą w kraju naszym. Najwybitniejsze stanowisko zajmują w tym dziale młyny parowe, których ogólna produkcya roczna w kraju przedstawia wartość blisko 17 milj. rubli. Drugie z rzędu miejsce zajmują fabryki tabaczne, z produkcyą roczną 4,4 milj. rubli i piekarnie parowe z produkcyą roczną 2,1 milj. rubli. Pokaźnie jest reprezentowane na wystawie młynarstwo przez okazy największych w kraju naszym i wzorowo urządzonych młynów parowych Kropiwnickiego w Warszawie, Beckermann'a w Firleju (gub. Radomska) i Bauernfeind'a w Gołkowie (gub. Suwalska). Piekarstwo natomiast reprezentują na wystawie okazy tylko jednego zakładu

(1) Wolfheim. Inż. i Bud. T. VI.

(Kropiwnickiego w Warszawie). Z licznych w kraju naszym fabryk cygar i papierosów tylko trzy przyjęły udział w wystawie. Z innych artykułów spożywczych, wyrabianych w kraju, spotykamy na wystawie nieliczne okazy wyrobów cukierniczych, makaronów, musztardy, oraz masła i serów. Na wyszczególnienie zasługuje wyrób kefiru w zakładach Sigaliny w Warszawie i urządzenia mleczarni centryfugalnych, wystawione przez bar. Lesser'a, autora rozprawy o mleczarstwie centryfugalném (1).

Cement wyrabiany jest w kraju naszym dotychczas w jednéj tylko fabryce w Grodźcu (gub. Piotrkowska). W roku bieżącym ma rozpocząć produkcyą cementu druga, również na większą skalę urządzona fabryka pod Łazami. Wyroby fabryki Grodzieckiéj są cenione jako wyborowy materyał budowlany i nie ustępują cementom fabryk szląskich;—nie dorównywują jednakże cementom fabryk angielskich i fabryki rygskiéj. Produkcya cementu krajowego nie pokrywa potrzeb miejscowych.

Cement drzewny wyrabiany jest, o ile nam wiadomo, tylko w jednéj fabryce w Łodzi i ma nieznaczny odbyt.

Odlewy cementowe (roboty mozaikowe, kamienie posadzkowe, tafle i płyty, ozdoby, rury, żłoby i koryta) wyrabiane są w kilku większych zakładach w sposób zadawalniający.

Fabryk asfaltu i tektury smołowcowéj, urządzonych na większą skalę mamy w kraju kilka. Z tych najdawniejszą jest wzorowo prowadzona fabryka inż. Spornego w Warszawie, któréj wyroby mają ustaloną i zasłużoną renomę.

Jako zapowiédź nowych gałęzi przemysłu, które pod wpływem ułatwionéj komunikacyi kolejowéj rozwiną się prawdopodobnie w gub. Kieleckiéj i Radomskiéj—pojawił się na wystawie tripolit (trójkamień) wyrabiany w fabryce Stumpfa w Kielcach. Materyał ten budowlany nie jest dotychczas jeszcze dostatecznie zbadany. Zastosowanie znajdzie prawdopodobnie głównie w robotach sztukateryjnych.

———

Okazy drobnego przemysłu włościańskiego pomieszczone są na wystawie w oddzielnym pawilonie. Ktoby jednak złudzony nazwą pawilonu sądził, iż przekroczywszy próg jego znajdzie obraz przemysłowéj działalności ludu, rozwiniętéj i zorganizowanéj na pod-

(1) Porówn. Inż. i Bud. T. VI.

stawach nowoczesnéj techniki, że znajdzie wyroby warsztatów, posiłkujących się motorami drobnego przemysłu, lub okazy produkcyi, mogącéj zdobyć sobie warunki bytu w walce przeciwko wyrobom wielkiego przemysłu, ten dozna niemiłego rozczarowania, obejrzawszy tę garstkę wyrobów włościańskich, nadesłanych z różnych okolic kraju. Względnie najlepiéj przedstawiają się jeszcze wyroby z okolic odległych od głównych ognisk wielkiego przemysłu, jak np. płótna, sukna, dywany z wełny domowéj itp., wykonane przez włościan i szlachtę zagonową okolic Skrzeszewa w gubernii Siedleckiéj, gdzie (jakto nas katalog poucza) „każda gospodyni włościanka lub z drobnéj szlachty wyrabia rocznie ze swego lnu 60—100 łokci płótna, w połowie do zbycia na miejscu lub w miastach sąsiednich.“ Stosunkowo korzystnie przedstawia się także produkcya włościan w gałęziach pracy przemysłowéj nie doznających jeszcze zbyt silnego współzawodnictwa wielkiego przemysłu, jak np. eksploatacya i przeróbka torfu, w okolicach Rąbienia (w gub. Piotrkowskiéj), wyroby koszykarskie i z drzewa w różnych okolicach kraju, i wyroby szewckie i powroźnicze w osadach Pilicy i Praszce.

Lecz ogół pozostałych okazów przedstawia smutny obraz produkcyi, skazanéj na rychłą zagładę i mogącéj odrodzić się tylko pod wpływem zasadniczéj reformy sposobów wykonania i stosunków ekonomicznych. Drobny przemysł albowiem, ażeby mógł zdobyć sobie odrębne stanowisko w produkcyi krajowéj, musi oprzéć się na tanim kredycie, którego u nas nie posiada,—musi mieć możność nabywania dobrych materyałów z pierwszéj ręki,—musi starać się o tanie sposoby wykonania przez zastosowanie w warsztatach swych odpowiednich motorów, maszyn i przyrządów,—musi mieć możność korzystania z postępów i ulepszeń technicznych,—a przedewszystkiém musi być reprezentowany przez instytucyą, któraby mogła skutecznie stawać w obronie jego interesów ekonomicznych oraz regulować jego produkcyą przez wytwarzanie ognisk zbytu i wskazywanie materyałów, które winny być przerabiane, i celów dla jakich je przerabiać należy. Praca zatém około odrodzenia przemysłu drobnego winna być oparta na zasadach ekonomicznych i mieć na celu stworzenie produkcyi, którahy mogła stawić czoło współzawodnictwu. Szkółki wiejskie, zawdzięczające byt swój szlachetnym pobudkom jednostek, drobnego przemysłu nie stworzą, ani od zagłady go nie uratują,—gdyż nowe dźwignie życia ekonomicznego narodu nie powstają i nie rozwijają się w cieplarnianéj atmosferze filantropii. Jeśliby zaś kto sądził, iż pogląd nasz na obecny stan drobnego przemysłu włościańskiego jest zbyt pesymistyczny, niech odczyta choćby uwagi i objaśnienia osób, za których staraniem zebrane zostały oka-

zy, znajdujące się na wystawie. Oto p. Kijewski przesyłając roboty tkackie włościan wsi Błędowa (gub. Warszawska) objaśnia, że we wsi téj istnieje przemysł tkacki już od lat kilkudziesięciu i że „przed laty kilkunastu posiadał przeszło sto warsztatów, które prawie wszystkie przeniosły się do Żyrardowa, a pozostałe przerabiają sita, przetaki, kapelusze, wełniaki, i fartuchy wełniane i drelichowe,“ (zatém przeważnie wyroby nie mające silnego wspózawodnictwa w przemyśle wielkim);—a pani Bigoszewska przesyłając wyroby włościanek z Bylin (gub. Piotrkowska) objaśnia, że włościanki w całéj okolicy zajmują się wyrobem tkanin i płótna,—z powodu jednak wygórowanych cen i trudności nabycia wełny surowéj, każda gospodyni domu tyle tylko produkuje, ile potrzebuje jéj własna rodzina. Smutniéj jeszcze przedstawiają się stosunki w innych okolicach, tak np. pisze p. Olechowski z pow. Władysławowskiego, że włościanie zajmują się przeróbką własnéj wełny i własnych nici ale tylko „na swoje potrzeby.“ „Zbywający zaś materyał surowy, którego jest podostatkiem, dostaje się w ręce żydów na wywóz za granicę.“

Nadesłane na wystawę okazy robót włościańskich, zarówno te, które wykonane zostały przez ludzi szukających zysku i zmuszonych liczyć się z widokami zarobku lub straty, jak i te, które wykonane zostały pod opieką filantropii, pozwalającéj nie troszczyć się o korzystny obrót włożonego kapitału,—nie dowodzą więc bynajmniéj istnienia u nas drobnego przemysłu, jako samodzielnéj gałęzi pracy ekonomicznéj.

Nie lepszym jest stan drobnego przemysłu w miastach. I tu utrzymał się drobny przemysł tylko w tych gałęziach produkcyi, których nie objął jeszcze przemysł wielki,—ale dziedzina drobnego przemysłu z rokiem każdym się zmniejsza, a rzemiosła co raz to silniéj odczuwają zależność swoją od fabryk. Staramy się o zachowanie możebnéj objektywności w poglądach naszych, nie taimy jednak, iż do oceny wyrobów rzemiosł naszych chętnie zastosowalibyśmy odrębną skalę wymagań. Nie doznając opieki ni poparcia ze strony władz, nie mając możności korzystania z taniego kredytu, nie posiadając środków na wprowadzenie zasadniczych ulepszeń w sposobach produkcyi i przez zastosowanie odpowiednich motorów i maszyn,— są rzemiosła nasze pozostawione własnym siłom w walce z wzmagającą się przewagą fabryk. Wśród takich, warunków nie dziw, że na produkcyi rzemiosł widać przygniatający wpływ zależności od wielkiego przemysłu i że wyroby rzemiosł naszych nie dorównywają w ogóle zagranicznym ani pod względem dokładności wykonania i konstrukcyi, ani pod względem dobroci materyałów, ani wreszcie

pod względem artystycznym. Korzystny w tym kierunku wyjątek stanowi ślusarstwo, mające w kraju naszym dobrą tradycyą i starające się utrzymać na wysokości współczesnéj produkcyi zagranicą.

Ze względu na zakres i cel pracy niniejszéj, nie możemy szczegółowo rozpatrywać okazów każdéj z licznych gałęzi rzemiosł i rękodzieł reprezentowanych na wystawie. Zaznaczamy jednakże, iż w niektórych rzemiosłach uwidocznił się znaczny postęp w latach ostatnich, uwagę tę stosujemy przedewszystkiém do wyborów ślusarskich, jubilerskich, bronzowniczych i szczotkarskich.

Przemysł elektrotechniczny reprezentują obecnie w Warszawie głównie trzy zakłady. Z okazów na wystawie wymieniany dzwonki magnetyczne systemu Abakanowicza, nie wymagające bateryi. Termomikrofon pomysłu Ochorowicza przed ukazaniem się na wystawie naszéj zdobył sobie zasłużone uznanie za granicą, jako wynalazek samodzielny, mający doniosłe znaczenie w dziedzinie przyrządów telefonicznych.

W dziale pomocy naukowéj wyróżniają się na wystawie okazy szkół technicznych przy dr. żel. W.-W i W.-B., dr. ż. W.-Ter., oraz szkoły rzemiosł w Warszawie,—a nadto wydawnictwa Prószyńskiego (Promyka) i Szafarkiewicza.

Szkoły techniczne przy drogach żelaznych są właściwie jedynemi zakładami tego rodzaju w kraju naszym. Główne zadanie szkół tych polega na przygotowywaniu kandydatów do posad niższych w różnych gałęziach służby kolejowéj, zwłaszcza zaś maszynistów, telegrafistów, dozorców drogowych i warsztatowych. Nauka prowadzoną jest jednakże w ten sposób, iż uczniowie opuszczający szkołę mogą z korzyścią znaleść pomieszczenie w innych fabrykach i warsztatach,—lub po przejściu odpowiedniéj praktyki zakładać własne warsztaty. Wyroby szkoły technicznéj dróg żel. W.-W. i W.-B. (założonéj w r. 1875) znajdujące się na wystawie, a zwłaszcza rysunki, modele i roboty ślusarskie, zyskały ogólne uznanie i poklask techników, jako dowody znacznego uzdolnienia uczniów i poważnego pojmowania celu szkoły przez jéj kierowników.

Ocena wartości pedagogicznéj wydawnictw ludowych Prószyńskiego i mapy poglądowéj królestwa, ułożonéj z iście banedyktyńską pracowitością przez p. Wojcicką, wychodzi po za obręb naszéj kompetencyi. Zaznaczamy jednakże, iż mapa poglądowa p. Wojcickiéj, wydana znacznym kosztem i trudem przez redaktora „Inżynieryi i Budownictwa“ p. Szafarkiewicza, przedstawia się zewnętrznie bar-

dzo korzystnie i stanowi pod tym względem niezwykły objaw w dziedzinie wydawnictw naszych.

Kończąc uwagi nasze o tegorocznéj wystawie przemysłowéj w Warszawie, nie możemy nie zaznaczyć, iż w żadnym z działów fabrykacyi nie znaleźliśmy okazów ani objaśnień środków przedsięwziętych i przyrządów zastosowanych w celu ochrony zdrowia i życia robotników. Przy pewnych manipulacyach technicznych jak np. przy obróbce minerałów, przy szlifowaniu metalów itp. tworzą się okruchy lub opiłki, które są powodem chorób krtani, kanału oddechowego, i oczu;—przy niektórych procesach chemicznych wytwarzają się gazy szkodliwe dla zdrowia;—w salach fabrycznych robotnik pracuje zazwyczaj w warunkach hygienicznie niekorzystnych, a nadto narażony jest częstokroć na kalectwo lub utratę życia w razie nieumiejętnego lub nieostrożnego zachowania się. Okoliczności te oddawna już zwróciły uwagę hygienistów i techników za granicą. Na zeszłoroczném wystawie motorów w Wiedniu umieścił prof. Reichel kolekcyą przyrządów służących do zabezpieczenia życia i zdrowia robotników, ze szczegółowemi objaśnieniami celu i sposobu zastosowania W zbiorze tym mieściły się przyrządy chroniące od wdychania gazów szkodliwych i opiłków metalicznych, oczochrony, modele, rysunki i opisy różnych systemów przewietrzania, ogrzewania i oświetlania sal fabrycznych;—przyrządy zastosowane lub zasługujące na zastosowanie dla zabezpieczenia robotników od następstw nieostrożności lub nieumiejętnego zachowania się przy maszynach, kadziach itp.,—a nadto różne części ubrania (rękawice, maski, ubrania nieprzemakalne itp.), które mogą być używane przez robotników bez uszczerbku dla wykonywanéj roboty a z korzyścią dla zdrowia.

Byłoby pożądaném, aby kwestya zaprowadzenia w fabrykach i warsztatach przyrządów ochronnych przeciw następstwom nieostrożności i środków dla polepszenia warunków hygienicznych pracy robotnika,—uregulowaną została ostatecznie przez wydanie odpowiednich przepisów. Zanim jednak to nastąpi, może sprawą tą zechciałoby zająć się towarzystwo popierania przemysłu i handlu i może w nieskończonym szeregu wniosków o podwyższanie ceł ochronnych, mających zabezpieczyć interesa wielkiego przemysłu i wielkich przemysłowców, znalazłoby się miejsce na skromny wniosek o obmyślenie środków celem zabezpieczenia życia i ochrony zdrowia robotników fabrycznych. Wszak ściśle biorąc, zdrowie tych tysiącznych zastępów robotniczych nie jest zupełnie bez wpływu ani

na jakość ani na ilość wyrobów;—polepszenie zatém warunków hygienicznych bytu robotnika jest także jednym z żywotnych interesów wielkiego przemysłu,—godnym poparcia choćby ze względu, że nieznaczne stosunkowo koszta i trudy sowicie się opłacą.

A może wreszcie kwestyę tę zechcieliby podjąć ludzie dobréj woli, których u nas nie brak, których działalność i dobre chęci ujawniają się przy każdéj niemal podejmowanéj pracy społecznéj, gdyż sprawa, którą poruszyliśmy, przedstawia wdzięczne pole dla pracy podjętéj z pobudek humanitarnych,—dla filantropii szlachetnéj i w skutach swych użytecznéj.

J. Heilpern.

WRAŻENIA LITERACKIE.

Die Irrthümer des Historismus in der deutschen Nationaloekonomie, von Dr. Carl Menger, o. ö. Professor der Staatswissenschaften an der Wiener Uniwersitaet. Wien 1884.

Zarówno profesorska godność autora, jak i poważny, przedmiowy tytuł książki nakazywałyby przypuszczać, iż treścią pracy powyższéj stosownie do zapowiedzi jest polemika naukowa z poglądami ekonomistów szkoły historycznéj. Szkoła ta, przyjąwszy za podstawę swych badań i wniosków ubiegłe dzieje życia gospodarczego narodów, stanęła tym sposobem na jednakim gruncie ze wszystkiemi innemi dziedzinami wiedzy, które uznały metodę obserwacyi i doświadczenia za jedyną drogą dociekań, pewnie prowadzącą do celu. Ta to właśnie okoliczność sprawiła, iż wzmiankowany kierunek w ekonomii politycznéj wkrótce pozyskał sobie szerokie uznanie wśród świata naukowego i dziś już liczy wielu poważnych przedstawicieli we wszystkich krajach Europy. Naukowa więc polemika z zasadami tak wybitnéj szkoły, przedmiotowa krytyka jéj zapatrywań i wskazanie błędów, mogących wyniknąć z jednostronnego ujęcia przedmiotu, przedstawiałyby dla myślącego czytelnika wiele interesu. Z tego powodu książka Mengera z tytułu swego zaciekawić musi każdego, kto się zajmuje rozwojem tak ważnéj gałęzi wiedzy, jak nauka gospodarstwa społecznego. Niestety jednakże, tak wiele obiecujący na tytułowéj karcie, profesor wszechnicy wiedeńskiéj dotkliwie zawodzi czytelnika treścią swéj pracy. W rzeczywistości nie chodzi w niéj bynajmniéj o wykazanie błędów metody historycznéj, lecz o zemszczenie się na jednym z przywódców nowéj szkoły Gustawie Schmollerze, za nieprzychylną krytykę poprzedniego dzieła autora *Untersuchungen ueber die Methode der Socialwissenschaften und der politischen Oekonomie insbesondere*“ (1883).

Z potopu osobistych, często bardzo zaciekłych, docinków i wycieczek, zalewających około 100 stronic dziełka, można wyłowić zaledwie jednę myśl, mającą bezpośredni związek z przedmiotem zaznaczonym w tytule, a mianowicie, że studya historyczno i statystyczno - gospodarcze nie mogą dać odpowiedzi na wszystkie zagadnienia z dziedziny ekonomii, a skutkiem tego, obok metody historycznéj powinny być równouprawnione wszelkie inne drogi naukowego badania, którym szkoła historyczna żadnego znaczenia nie przyznaje. Nadto autor jest zdania, iż wzmiankowane studya powinny by być prowadzone przez specyalistów - historyków i statystów, gdyż praca ekonomistów na tém polu będzie zawsze tylko dyletantyzmem, a przeto owoce jéj nie będą nigdy budzić dostatecznego zaufania. Pierwsza z tych myśli, jakkolwiek słuszna, nie jest bynajmniéj nową; druga, również nie świeża, mogła by być przyjęta jedynie z silném zastrzeżeniem. Bo jeżeli ekonomista na polu badań dziejowych ustępuje historykowi z fachu pod względem znajomości źródeł, ich oceny krytycznéj itp., to za to z drugiéj strony jest więcéj świadomy swych celów, zna lepiéj wzajemny związek rozmaitych zjawisk ekonomicznych i dla tego daleko łatwiéj może zwrócić uwagę na wiele takich stron przedmiotu, które przez historyka mogłyby zostać niedostrzeżone, lub skutkiem nierozumienia ich ważności pominięte.

W obec tego wszystkiego, cośmy wyżéj powiedzieli, nasuwa się ostateczny wynik, że książka Mengera wzamian za kilka godzin wysiłku wzroku i uwagi nie daje czytelnikowi korzyści żadnéj.

W. W.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

IV.

Po Stasiuku i Krysieńce urodziła się Halenka, a po Halence przyszedł na świat Jadamek, i czworo już dzieci, z których najstarsze miało lat 6, zdrowo i wesoło hodowało się w chacie kowala, w porze owéj, gdy mieszkańcy Suchéj Doliny rozniecili wśród dróg rozstajnych ogień z osinowego drzewa. Na ogień ten, niby motyl nocny, ku zgubie swéj blaskiem płomienia zwabiony, pierwsza nadeszła Pietrusia. Ona więc była tą duszą złośliwą i nieczystą, która w chatach kilkunastu, mleko krowom odebrała. Gdyby zamiast niéj przyszła tam była kobieta inna, opinia publiczna wioski byłaby także żywo zaniepokojoną i silnemi przeciw niéj podejrzeniami nurtowaną; jednak podejrzeniom tym, towarzyszyć-by mogły wątpliwości niejakie. Dla ustanowienia zupełnéj pewności faktu tego, trzeba było szeregu faktów poprzedzających. Tu nikt zaprzeczyć nie mógł, że przeszłość potężnie wspierała chwilę obecną. To dziecko nieznane przywędrowało tu kiedyś ze starą babą, którą niewiedziéć jaka siła, dobra czy zła, po świecie gnała. Baba widocznie kawał świata obeszła i *znała* tyle, ile wszystkie mieszkanki wsi razem wzięte, nie *znały*. Skąd jéj przyszły te wiadomości wszystkie? A potém oślepła. Czy to nie było czasem karą Bożą za jakie brzydkie postępki, których dopuszczała się kiedyś za oczami ludzkiemi, albo za jakie stosunki z nieczystym? A toż srogie lubienie, jakie uboga dziewczyna, przybłęda, rozbudziła w jednym z najbogatszych gospodarzy, w Stepanie Dziurdzi? A téż wyjście za mąż, za chłopca, który sześć lat jéj nie widział, a nie zapomniał? A to odgadnięcie złodzieja? a wszystkież jéj leki i inne porady? Za jéj to przykładem, teraz wszystkie dziewki paliły wienniki, gdy chciały gości do domu sprowadzić;

w skutek jéj ostrzeżenia nikt nigdy nie podjął z ziemi tasiemki związanéj w szereg węzełków, bo zarazby dostał brodawek. Wprawdzie, spory zapas podobnéj mądrości życiowéj istniał w Suchéj Dolinie i w ogóle, w całéj okolicy, niezależnie od Pietrusi i przed przybyciem jéj w te miejsca. Wprawdzie, od *dzidów pradzidów* żadna z tutejszych niewiast, w dniach rozdzielających Narodzenie Pańskie ze świętem Trzech Króli, za nic w świecie nie pokręciłaby ni razu wrzecionem, bo by przez to na wiosnę wszelkie ptastwo domowe z zawrotu głów pozdychało; żadna w dzień Podwyższenia Krzyża Świętego nie chodziła do lasu po grzyby i jagody, bo by przez to wszelkie robactwo i gady las zamieszkujące na chatę swą nawiodła; żadna przy żęciu zboża nie upuszczała z pilnéj uwagi tego, aby przypadkiem nie ściąć sierpem kłosów w pewien sposób związanych, lub załamanych, bo związuje je zwykle lub załamuje tak ręka nieżyczliwa, na nieszczęście téj, która je zeżnie. I wiele, wiele podobnych wskazówek i wiadomości, od *dzidów pradzidów* posiadała ludność Suchéj Doliny, ale Aksena i jéj wnuczka, posiadały ich bez porównania więcéj. A to teraźniejsze bogactwo kowala i jego żony? Chata ledwie nie jak domek w jakim takim szlacheckim dworze, wóz jakoby bryczka okuty, klaczka do zaprzęgu tęga, krowy, owce, wszystkiego pełno. A w chacie samowar i łyżki błyszczące i jeden, drugi biały talerz. Małaż to rzecz bogactwa takie? Zkąd oni je mają? Oddawna już Rozalka Stepanowa a za nią i wiele innych kobiet na cały głos dziwi się i wykrzykuje, że kowalicha jak pani jaka, *harbatę* w domu pije, suknie z kupnych perkalów nosi, do kościoła czasem półjedwabną chustkę na głowę zawiązuje, a on sam w spencerach chodzi, surdutach, butach pięknych, czapeczkach zgrabnych, a siermięgi i chłopskiéj baraniéj czapki, to już na nim ani zobaczyć. Rozalka aż wścieka się, a rozlazła Paraska aż płacze, gdy zapytują się samych siebie i sąsiadek: zkąd u kowala i kowalichy tyle bogactwa być może? Sąsiadki, szczególniéj młoda Łabudowa, która Pietrusię bardzo lubi, wspominają coś o tém, że Michałek podobno trochę pieniędzy z sobą przywiózł, a zarobił je swojém rzemiosłem, że i teraz pracowity jest bardzo i ludzie z robotami jak na odpust do niego przyjeżdżają; że kawał ziemi ma urodzajny, że Pietrusia dobrą jest gospodynią itd. Ale Rozalka i Paraska, a z niemi i inne kobiety, wzgardliwie głowami kiwają, a proszącemi oczami spoglądają na Jakóba Szyszkę, który najczęściéj rozmowom tym obecny bywa i uroczyście prostując się, mówi: — *Czort*, wiedźmie przez komin *hrosze* nosi. Ot, skąd u nich te bogactwo

Teraz, stary Szyszko tryumfował.

— A co—mówił,—kto przyszédł na ogień? Kto krowom mléko odebrał?

Wieś była dużą i nie cała zajmowała się tą sprawą. Ale w kilkunastu chatach wrzało wieczoru tego jak w garnku. Mężczyźni dziwowali się i oburzali zarazem, ramionami wzruszali i pięści ściskali, ale jak zwykle bywa, gdy im wódka ust nie rozwiązuje, mówili mało. Babskie języki za to latały jak młyńskie skrzydła. Rozalka ze swemi żywemi ruchami wiewiórki, a syczącemi ustami żmijki, uwijała się między ludźmi po różnych izbach i dziedzińcach wtedy jeszcze, gdy już na godzinę przed północą koguty zapiały. Stepan z dzieckiem na ręku, do pustéj chaty wszedł, ogień rozniecił, łuczywo zapalił i w szczelinę ściany wetknął, a potém, zmarszczoną i srogą twarz swą pochylił nad dzieckiem, które w objęciu jego spało. Czy na prawdę do żyjącego dziecka należała ta niekształtna głowa, lnianemi włosami zrzadka okryta, z twarzą nabrzmiałą i zamkniętemi powiekami, których żółte rzęsy leżały na woskowéj żółtości policzkach. Przy świetle łuczywa, Stepan przypatrywał się téj twarzy. Dla czego syn jego był mizeractwem takiém, kiedy on sam należał do najsilniejszych i najroślejszych chłopów we wsi i całéj okolicy? Wiecznie zgryzotą jakąś ściągnięte usta Stepana, nad samą twarzą dziecka zaszemrały.

— Oj, biedulku ty, biedulku! kiedy ty był w żywocie matki, *baćko* twój bił żonkę, bo *nawidzić* jéj nie mógł... a kiedy ty ledwie od ziemi odrastał, paskudna matka łopatą cię po głowie uderzyła...

Srogość jego twarzy topniała w okrywającym ją wyrazie bólu. Pocałował w czoło uśpione dziecko, ono zbudziło się i rączynami u szyi mu zawisło.

— Tatku, jeść!

Jednóm ramieniem przytrzymując je u piersi, drugiém sięgnął w przepaścistą głębinę pieca i wyciągnął z niéj garnek z jakąś ledwie ciepłą resztą krupniku. Wziął drewnianą łyżkę i wlewał nią krupnik w usta dziecka. Część krupniku wylewała się z łyżki i ust dziecka na brzeg pieca, dziecko krztusiło się i śmiało zarazem; Stepan także śród niezliczonych zmarszczek swej twarzy uśmiechać się zaczął. Wkrótce jednak, srogo znowu brwi zsunął i z ust wyrzucił ciche przekleństwo. Dla czego w dostatniej chacie jego panuje niedostatek taki, że ot dziecko swe karmić musi zimną resztką krupniku, a sam głodnym będąc, jeść czego niema? Komora przecież pełna. Tak, ale chata pusta. Dziecko w niéj to jedno tylko a żonka po świecie lata, z językiem wywieszonym jak u suki.—Suka! zamruczał i znowu zaklął. Potém jeszcze do dziecka rzekł.—Oj, żeby *tamta* twoją matką była, nie tak by ty wyglądał...

Po chwili, ojcowskiemi rękami na sienniku ułożone, mizerne dziecko znowu zasnęło a Stepan, przyniesioną z komory kromkę chle-

ba z kawałkiem słoniny zjadłszy, siedział przy ścianie na ławie i drzémał. Orał dziś przez dzień cały, tak więc znużonym był, że aż całą swą postacią kołysał się od senności to w tył, to naprzód. Jednak, do snu się nie układał. Na żonę czekał. Byłże to objaw czułości małżeńskiéj? Doświadczyć tego miała Rozalka, gdy na godzinę przed północą, do chaty wracała. Wracała zaś w humorze wybornym. Uszczęśliwiało ją to, że Pietrusię złapano dziś na gorącym uczynku szkodzenia ludziom i że odtąd nie tylko cała wieś ale i Stepan w obrzydzenie ją weźmie najpewniéj. Ta ostatnia nadzieja rozpływała się po jéj wnętrzu namiętną rozkoszą. Ona przecież nie z przymusu i nie z chciwości, ale z lubienia za Stepana poszła. Ostrzegali ją ludzie, że on wielki złośnik. „Już ja jemu dam rady,“ mawiała. „Na złość jest złość i niewiadomo jeszcze, kto kogo przezwycięży. Niechaj bije, byle lubił.“ Aż tu przekonała się, że on jéj nie lubił a pojął ją tylko dla tego, że kiedy matka umarła „gospodyni w chacie konieczną już się stała. Tamtę—to lubił i jak jeszcze lubił. O, gdyby nie bała się kryminału i sądu, byłaby już tę tamtę sto razy zabiła! Ale teraz zabita już ona i tak. Wiedźma ludzi krzywdząca i z nieczystym będąca w zmowie. Teraz, to i Stepan plunie na nią tylko, gdy ją zobaczy. Nadzieja ta uczyniła ją szczęśliwą i bardzo dla męża czułą. Wsunęła się do chaty z cicha i ujrzawszy Stepana siedzącego jeszcze na ławie, jak wiewiórka przyskoczyła, usiadła przy nim i za szyję go ramieniem objęła. Oczy jéj wyglądały jak dwa czarne płomyki, wązkie usta ukazywały w uśmiechu rząd śnieżnych zębów. Na szyję męża ramię zarzuciwszy, chciała przycisnąć się do jego boku, gdy nagle, on pięść podniósł i uderzył ją w plecy tak silnie, że aż z ławy na ziemię kolanami upadła. Zarazem krzyczéć zaczął, zapytując ją, gdzie tak długo siedziała, czemu wieczerzy nie zgotowała, czemu do dziecka nie przyszła? Wtedy ona znowu złością wybuchnęła i zerwawszy się z klęczek a ręce na biodrach oparłszy, zaczęła skakać mu w oczy, zjadliwie śmiejąc się i wołając —Wiedźma twoja Pietrusia! Wiedźma twoja miła! wiedźma twoja lubka najmilsza! wiedźma! wiedźma!

Stepan zerwał się z ławy i za włosy ją porwawszy znowu na ziemię rzucił. W tejże chwili krzyk i łoskot obudził małego chłopczynę, który ujrzawszy rodziców bijących się na środku izby, szybko wysunął się z pod *radna* i cicho, z przestraszonemi ruchami wlazł pod tapczan. Z doświadczenia wiedział o tém, że po każdéj bitwie z mężem, matka porywała go za włosy lub koszulę i jak szczenię na środek izby z pościeli wyrzucała. Ojciec go wtedy najczęściéj na ręce brał i po izbie w ramionach nosił, tuląc i całując, ale czasem, kiedy już był bardzo rozłoszczony, także go nogą kopnął....

Pietrusia tymczasem zaszedłszy do kuźni i chwilkę z mężem pogadawszy, do domu wróciła. Przez ten dzień napracowała się w ogrodzie około pielenia buraków i kapusty, a na godzinkę przed zachodem słońca wybiegła w pole, aby trochę ulubionych ziół swoich narwać. Wiedziała, że w porę jeszcze przyjdzie, aby wieczerzę zgotować.

Dokoła Akseny tymczasem, która przez wnuczkę do ogrodu wyprowadzona, cały dzień na trawie przesiedziała, a teraz już zwykłe swe miejsce na piecu zajęła, skupiło się troje starszych dzieci. Najmłodsze spało w kołysce. W zmroku letnim, który napełniał izbę, gwiazdami do niéj przez szyby okien zaglądając, grupa złożona z czterech istot ludzkich różnéj wielkości, ciemniała i poruszała się w zarysach mętnych, pod samym prawie sufitem izby, nakształt grupy cieniów. W ciszy, którą przerywały tylko oddalone stukania kowalskiego młota, chrypiał i szeplenił głos ślepéj baby i jak srebrne dzwonki rozlegały się cienkie głosiki dziecięce. Ona im coś, to z powagą wielką, to ze swym suchym, klekotliwym śmiechem opowiadała; one jéj mnóstwem wykrzyków i zapytań mowę przerywały. Najczęściéj i najśmieléj odzywał się sześcioletni Stasiuk, najmilszy pierworodny ojca, po trochu już pomocnik matki w pielęgnowaniu najmłodszego dziecka, po trochu téż już i opiekun ślepéj babki, którą czasem na piecu karmił a po dziedzińcu i ogrodzie za rękę wodził. Teraz, był on czegoś niezmiernie rozciekawionym i głosem rozpieszczonego dziecka nieustającemi zapytaniami prababkę napastował.

— Gdzie on był, babulko? gdzie Jadamek był nim do naszéj chaty przyszedł? Gdzie on pierwéj był?

Szło mu właściwie o to, zkąd przyszedł najmłodszy braciszek, który przed miesiącem zjawił się w chacie i co on robił przedtem zanim tu przyszedł? Stara śmiała się długo a potém rzekła.

— W lesie Adamek był, w lesie był twój braciszek mileńki, nim tu przyszedł.

— A co on tam robił? zabrzmiało znowu pytanie.

— Zajączki w lesie pasł, odpowiedziała mu babka.

— A ja, gdzie był pierwéj, nim tu przyszedł?

Stara bez namysłu już odpowiedziała.

— Ty na wysokiem, wysokiem drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A ja? a ja? babulko, a ja?

— Ty, Kryśka, na dnie sinieńskiéj wody siedziała i rybki pasła...

— Halenka? Babulko, a Halenka?

— A ja? babulko, a ja, gdzie była?

Widać prababka trzyletnię Helenkę pocałowała, bo po izbie rozległo się głośne cmoknięcie. Potém, ze śmiechem, w którego starym klekocie czuć było rozkosz, odrzekła.

— Halenka w gęstéj trawie siedziała i robaczki pasła...

W tém drzwi stuknęły i po izbie rozszedł się mocny zapach ziół polnych.

— Czy to ty Pietrusia? zapytał w zmroku głos chrapliwy i szepleniący.

— Mama! zadzwonił dziecięcy chór.

— Wszyscy wy tutaj? zapytała wchodząca.

— A wszyscy.

— Adamek śpi?

— A śpi.

— To i chwała Bogu. Ot zaraz ogień rozniecę i kartofli zgotuję, com ich dziś w ogrodzie nakopała.

— Oj, dobre kartofle... młode... z wyraźną roskoszą zaszepleniła babka.

— Dobre... oj, dobre... powtórzył dziecinny chór.

Szeroki ogień zapłonął w piecu i oświetlił izbę, w któréj przez upłynione lat kilka zaszły niejakie zmiany. Ale, były to zmiany na dobre. Więcéj dostatku i więcéj wymysłów. Pomiędzy oknami stała komódka a na niéj dwa mosiężne lichtarze i lampka ze szklannym kominkiem. U okien firanki z kwiecistego perkalu i pachnące geranium całe w czerwonym kwiecie; za szybami szafki białe talerze a na jednéj ścianie kilka obrazków w błyszczących ramkach. Wszystko to Michałek poprzynosił do domu. Gdy tylko gdziekolwiek za interesem jakim pojedzie, zawsze coś ładnego przywiezie do domu, a potém sam, z tych przybytków, cieszy się jak dziecko i żonce cieszyć się każe. Gdyby i nie kazał zresztą, ona cieszyłaby się sama. Oczy jéj kochają się w jaskrawych barwach perkalowych firanek i złotawych połyskach mosiężnych lichtarzy, a jeźli ztąd doświadcza jakiego zmartwienia to tego chyba, że ślepa babka tych wszystkich piękności i wygód, w jakie ona teraz opływa, widziéć nie może. Opowiada jéj o nich za to długo i szeroko i każdą rzecz nowę do pomacania jéj daje. Zresztą, wszystkie stare rzeczy pozostały w téj izbie tak jak i były. Ławy, stoły, statki gospodarskie, trzy krzesła z drewnianemi poręczami, krośna tkackie Pietrusi, w kącie jednym wielki stos różnego żelaztwa i nad nim na ścianie kilka nowych, tylko co w kuźni zrobionych siekier, pił, kruków i szczypiec. Na krośnach tkackich Pietrusia *radno* rozesłała i na nie wysypała z fartucha rozsypane zioła. Potém zakrzątnęła się około wieczerzy; dzieci, niby ptaki z pieca zleciawszy, biegały koło niéj bosemi stopy i szczebiotały te dziwy, które im babula o zmroku opowiadała.

— Mamo! ja na dnie sinieńskiéj wody siedziała i rybki pasła...

— A ja w gęstéj trawie siedziała i robaczki pasła...

— A ja na wysokim, wysokim drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A Jadamek w lesie siedział i zajączki pasł...

Sypiąc kartofle do garnka Pietrusia żartobliwie przekomarzała się z dziećmi, na piecu stara aż zachodziła się od śmiechu, że te *du reńki* tak zupełnie we wszystko, co mówiła, uwierzyły.

W pół godziny potém wrócił do domu kowal. Dzieci ku niemu się rzuciły.

— Tatku, ja w sinieńskiéj wodzie ..

— A ja, tatku, na wysokim drzewie...

— A ja w gęstéj trawie...

— A Jadamek w lesie...

Michałek jedno po drugiém na ręce je brał, jak piórka wysoko nad głowę swą podnosił i pocałowawszy, na ziemi znowu stawiał. Szeroko przytém i z przyjemnością widoczną rozpytywał się dzieci, co tam w téj wodzie, w téj trawie i na tém drzewie robiły i kiedy to było. Teraz, stał się on mężczyzną zupełnie już dojrzałym, z ramiony od kowalskiéj pracy szeroko rozrosłemi, z twarzą od opalenia prawie bronzową i wielkim, czarnym wąsem nad łagodnemi usty. Znać w nim było siłę pracownika i powagę człowieka, który tylko od własnéj swéj pracy zależał. Z czarnych oczu jego, gdy dzieci całował i po pełnéj dostatków izbie się rozejrzał, patrzało szczęście. Siadając na ławie, zawołał.

— Zuzulu! zmachałem się przy robocie, mało ręce nie poodpadają! Jeść chcę.

Nigdy prawie inaczéj żony nie nazwał jak *zuzulą*, imieniem tego miłego ptaka, który wesołem kukaniem oznajmia rozkwitłą wiosnę.

— W mig będzie wieczerza! wesoło odparła kobieta i postawiła na stole lampkę z długim kominkiem. Od lat paru Michałek chciał już zawsze wieczerzać przy świetle lampki, łuczywo palili tylko w zimowe wieczory, ażeby w chacie jaśniéj i weseléj było. W mgnieniu oka, dwie małe dziewczynki znalazły się na kolanach ojca, Stasiuk na stole siedział i wszystko troje razem gadało, lecz nikt ich nie słuchał. Pietrusia na stole postawiła misę dymiących się kartofli, bochen chleba i nóż mężowi podała, a potém z sieni przyniosła jeszcze hładysz z kwaśném mlekiem.

Wkrótce po wieczerzy dzieci zasnęły: Stasiuk pod kraciastym kilimkiem na tapczanie, Kryśka i Halenka na piecu obok babki. Ślepa baba przez prawnuka nakarmiona mlekiem i kartoflami, nacałowawszy się prawnuczek i naśmiawszy się z ich szczebiotu i swa-

woli, zabiera się także do rozciągnięcia na piecu starych swych kości, kiedy Pietrusia, myjąc miski i łyżki, odezwała się nagle.

— Aha! jaż wam nie opowiedziała jeszcze, co mnie się dziś przytrafiło...

Przez cały wieczór, zajęta mężem, dziećmi i wieczerzą zapomniała o wszystkiém, co nie było najbliższém i najmilszém jéj otoczeniem. Zresztą, do dzisiejszego swego wypadku małą przywiązywała wagę i opowiadała o nim babce i mężowi ze śmiechem, zwyczajnie jak młoda kobieta, która ma głowę nabitą swojém kochaniem i swemi pomyślnościami tak, że nic z tego, co jéj zdarza, na złe sobie tłómaczyć nie umié. Kowal grubym swym i serdecznym śmiechem śmiał się także i z chłopów, którzy ogień na przyciąganie wiedźm rozniecają, i ze zdarzenia, które na ten ogień żonę jego przywiodło. Ale stara Aksena widocznie zmarkotniała. Wprzódy już kłoniła się była ku swemu posłaniu; teraz siedziała wyprostowana, nieruchoma a kościste jéj szczęki poruszać się zaczęły tak, jak gdyby coś z trudem przeżuwała. Był to u niéj znak niemylny zgryzoty lub troski. Kiedy Pietrusia opowiadać przestała, a wymyte miski i łyżki umieszczała na przybitéj do ściany desce, stara głosem objawiającym głębokie zamyślenie ozwała się z pieca.

— To niedobrze, oj, to niedobrze, że ty Pietrusia, pierwsza na ten ogień przyszła!...

— Głupstwo! zaśmiał się kowal i ręką machnął, ale Pietrusia żywo ku babce twarz zwróciła.

— Czemu? zapytała.

Po chwilowym jeszcze namyśle, baba mówić zaczęła.

— Bo najpierwéj, wiadomo, że na taki ogień *zausiudy* (zawsze) wiedźma przychodzi. To już wiadomo, to już tak musi być, tak już Pan Bóg najwyższy siłę nieczystą ludzkim oczom objawia. To czemuż ty Pietrusia *dzisiaka* (dziś) na ten ogień przyszła? Ręce młodéj kobiety opadły nagle i splotły się na spódnicy. Oczami, które otworzyły się szeroko, na babkę patrzała.

— Czy ja wiem czemu? wymówiła z cicha i usta jéj zdumienie czy przerażenie rozwarło.

— Ot! lekceważąco ozwał się kowal, szła to i przyszła. Szkoda gęby na to marnować!

Ale Aksena nie zważała na sceptyczne odezwanie się Michałka a Pietrusia nawet ich nie słyszała. Z otwartemi wciąż usty, rozszerzonemi oczami patrzała na babkę, która daléj mówiła.

— A druga rzecz jest, że teraz już złe ludzie spokojności tobie nie dadzą. Teraz to już pewno za wiedźmę cię ogłoszą i...

Szczękami gwałtownie poruszać zaczęła i po chwili dopiero dokończyła.

— I niech ciebie już Pan Bóg od wszelkiego nieszczęścia broni.

Tu, ręką jakby z żółtéj kości wyrzeźbioną, uczyniła w powietrzu kilka znaków krzyża; ślepe jéj oczy może od wyprężonego wzniesienia powiek, rażącą białością odbijały śród żółtéj twarzy. Pietrusia, tam gdzie stała, osunęła się i na ziemi usiadła, z rękami wciąż splecionemi i otwartemi usty. Michałek mniéj niż wprzódy lekceważącym głosem burknął.

— Już to i ja od wszelakiego nieszczęścia bronić jéj będę... ale jakie tam z tego może być nieszczęście? Nie daj Boże nieszczęścia!

Widać było, że jakkolwiek do rzeczy podobnych daleko mniejszą niż inni wagę przywiązywał, jednak, gadanie ślepéj baby sprawiało i na nim wrażenie niejakie. Ona zaś, po chwilowém milczeniu, znowu mówić zaczęła.

— Dawno już ja, oj, dawno, na tym świecie żyję, wiele świata schodziłam, wiele ludzi słyszałam i takich słyszałam, co żywemi oczami patrzali jeszcze na stare czasy, takie stare czasy, że o nich już teraz i pamięć pomiędzy ludźmi przepadła.

Ot, kiedy ja z maleńką Pietruśką na ręku, w cudzy świat poszła, to zaszła raz do jednéj wioski, w któréj żył jeden taki stareńki człowiek, że mu już na twarzy zielony mech wyrósł a ludzie mówili, że jemu może i więcéj jak sto lat było. Za młodu on sołdatem podobno był, i we dworach służył i dużo świata schodził, to jak zacznie bywało gadać a rozpowiadać, wszyscy gębę otwierają i słuchają; wszyscy... *któby nie był... pany* nawet i bardzo uczone ludzie przychodzą bywało i proszą jego, aby im różne rzeczy gadał. . I ja bywało proszę i słucham... Oj, stary Zachar, stary Zachar! już teraz i kosteczki jego rozsypały się w mogiłce i dusza przed Panem Bogiem stanęła, a to co on gadał i rozpowiadał, *taki* po świecie chodzi, jak żywe... Ot, ja ślepa a jak żywe stoi przed oczami memi to co on o téj wiedźmie rozpowiedział, a słyszał to on sam od swego ojca, który ją już na swoje żywe oczy widział. A mnie teraz to wszystko jakby żywe przed ślepemi oczami stanęło...

Znowu na chwilę mówić przestała. Wspomnienia, które przed ślepemi jéj oczami stały i poruszały się jakby żywe, wyrwały ją z nieruchomości uprzedniéj. Kołysała cienką, kościaną swą postać to w tył, to naprzód i nim znowu mówić zaczęła, parę razy westchnęła głośno. Białe jéj oczy nie świeciły już wśród żółtéj twarzy tak jak przed chwilą, bo przestał padać na nią blask ognia, który powoli przygasając w piecu, rzucał na izbę smugi bladawe kołyszącéj się w zmroku światłości. W jednéj ze smug takich siedziała na ziemi Pie

trusia, z zamkniętemi już usty, ale splecionemi dokoła kolan rękami i niepokojem zmąconą twarzą. Pod drugą ścianą, potężna postać kowala rozpierała się na ławie i stole. Przez oszczędność zapewne zgasił on lampkę, głowę na dłoni oparł i z uwagą słuchał gadania staréj. Słuchał on zawsze bajek jéj i opowieści z uwagą i przyjemnością pewną, płacąc jéj wzajemnemi opowiadaniami o wędrówkach swych po świecie i różnych widzianych i słyszanych rzeczach. Tak im przechodziły dość często niedzielne popołudnie i spore kawały zimowych wieczorów. Teraz, choć spać mu się trochę chciało, słuchał jednak, a ślepa baba, w zmroku zalegającym wierzchołek pieca, chropowatym swym i szepleniącym lecz silnym jeszcze głosem tak prawić zaczęła.

— Była, żyła w siole ludném i bogatém dziewczyna do czerwonéj maliny podobna, słuszna jak ta topolka i taka piękna, że dziwowali się jéj wszyscy ludzie. Parobki młode to wprost już szaleli za nią a i panicze do niéj przychodzili i mówią bywało: „Choć spójrz ty na mnie, Marcysia! Choć razik *ruczku* mnie *swóju* podaj!“ Ale Marcysia nikogo nie chciała, ani chłopa, ani pana. Pójdzie bywało do studni, jak królewna jaka, w spódnicy *stużkami* (wstążkami) naszywanéj, w koralach i bursztynach na szyi, kwiatów sobie pełno we włosy nakładnie i śmieje się tylko ze wszystkich, białe zęby pokazując. I już zaczęli ludzie gniewać się na nią i różnie ją przezywać i bardzo jéj przypatrywać się, co ona takiego robi, że wszyscy do niéj lgną jak te muchy do miodu, a ona sama to nikogo nie chce. Aż tu patrzę, patrzę i widzę, że Marcysia nie zawsze śmieje się i z parobkami albo paniczami baraszkuje, ale czasem téż bardzo pochmurna chodzi, na ludzi zyzem patrzy, do lasu idzie i siedzi w lesie dzień, dwa, trzy dni a jak wróci, potajemnie zioła jakieś warzy, szepcąc nad nimi i dziwne znaki robiąc, a potem już ludziom różnym te zioła do picia daje, od bólów i od kolek i od nudności i od zgryzoty i od wszelakiego ucisku, jaki tylko jest. Byli tacy ludzie, co od niéj napoje te kupowali i potém dziękowali jéj i chwalili ją przed wszystkimi, mówiąc, że ona bardzo ciekawa i dla tego wiele rzeczy poznała, a za ciekawością swoją to już i lubienia żadnego znać nie chce. Milsze jéj było ziółko w lesie, niż chłop na dobréj roli albo nawet i panicz we dworze. I byłaby sobie Marcysia spokojnie żyła i swoje robiła, bo nie miała nikogo, coby ją do czegokolwiek przymuszał, a w siole wszyscy już i przyzwyczaili się do tego, że inną sobie była jak wszystkie dziewki. Bywało, mówią o niéj: „z inném sercem i innemi myślami urodziła się.“ I dawali jéj święty pokój. Ale ot, na nieszczęście Marcysi, polubił ją jeden dworski człowiek, *guberner*, czy *pisar*, czy co takiego. A ona z niego żartowała sobie tak jak i ze

wszystkich. Stanie bywało przed kościołem, tam gdzie i on stoi, jak królewna jaka, w spódnicy *stużkami* naszywanéj, w cienkiéj koszuli, w koralach i bursztynach na szyi i śmieje się z *guberne-ra*, białe zęby mu pokazując. On długo cierpiał i *wszystko* ją prosił, żeby go polubiła, aż kiedy zobaczył, że nic z tego nie będzie, w straszną złość wpadł, do miasta pojechał, przed *księdzami* i wielkimi urzędnikami skarżył się, że ot, tak a tak, Marcysia jest wiedźmą. Wtenczas w siole zrobiło się jak w piekle. Pozjeżdżali się *księdzy* i urzędniki wielkie i zaczęli nad Marcysią robić śledztwo. Zebrali z sioła ludzi i pytali się: a co ona robi? a czego ona do lasu chodzi? a co ona szepce, kiedy zioła warzy? a jakie to zioła? a czy do niéj czart w gościnę chodzi? A zkąd u niéj tyle *stużek* i koralów i bursztynów i wszelakich ubiorów jest? Wypytawszy się o wszystko, Marcysi ręce i nogi związali, na wozie ją położyli i do miasta powieźli. A w mieście na rynku pokazali ją wszystkim ludziom i powiedzieli, że to jest wiedźma. Tak i tak, mówili, tak i tak. Nieczystemu duszę swoją chrześcijańską zaprzedała, mówili, z nieczystym w lesie rozmawiała, mówili; nieczysty jéj przez komin *stużki*, bursztyny i wszelakie bogactwa nosił, mówili. A potém na środku rynku, nałożyli dużo drzewa, a potém kat w czerwonéj sukni Marcysię za włosy schwycił i w ogień wrzucił. Ogień buchnął taki wielki, że prawie nieba dostawał a Marcysia paliła się w nim jak ta trzaska, tak okropnie jęcząc, że jęczenie jéj na cały świat rozchodziło się i prawie nieba dostawało, a od jéj ciała, co paliło się w wielkim ogniu, smród rozchodził się po całém mieście, a *księdzy* na chwałę Panu Bogu święte pieśni głośno wyśpiewywali i sam król na tronie siedzący cieszył się i wszyskim ludziom cieszyć się przekazywał, że tak ot, ukaraną jest wiedźma, co duszę swą chrześcijańską nieczystemu zaprzedała...

Umilkła Aksena i głębokie milczenie w izbie zapanowało. Kowalowi, przy słuchaniu opowieści o wiedźmie, wszelka ochota do spania przeszła. Czy wierzył on albo nie wierzył w istnienie dyabłów i wiedźm? Sam dobrze nie wiedział. Po prostu, wesoły temperament i przewaga praktycznych instynktów, skłaniała go do lekceważenia podobnemi zagadnieniami i nawet do wesołych nad niemi żartów. Jednak, opowiadanie takie jak to, które w téj chwili usłyszał, czyniły na nim wrażenie, chwiały silnie jego niewiarę, budziły w nim żywą ciekawość. Tak było z Michalkiem. Co do Pietrusi, ta z wytrzeszczonemi oczyma i zbladłą od przerażenia twarzą słuchała opowiadania babki, gdy była w niém mowa o ogniu, który aż prawie nieba dostawał, wydała z piersi stłumiony okrzyk zgrozy, a gdy usłyszała o smrodzie, który z piekącego się ciała Marcysi rozchodził się po całém mieście, dreszcze wstrząsnęły silne jéj ciałem od stóp do głowy.

W parę minut dopiero po umilknięciu babki, ozwała się głosem tak cienkim i jękliwym, jakim nie mówiła nigdy.

— Babulo! czy ona naprawdę wiedźmą była? czy tylko tak.. złe ludzie na nią wymyślili?..

— To już niewiadomo, z namysłem i powoli odparła Aksena; tego już i stareńki Zachar nie wiedział. Może była, może nie była. Jeżeli była, to u niéj na plecach czerwony znak od czortowskiego kopyta musiał być. Tego znaku ja nigdy nie widziała i Zachar nie widział, ale mówił, że *dzid* jego ojcu jego rozpowiadał, że widział i że tak musi być...

Po chwilowém milczeniu zakołysała się znowu na mrocznym wierzchołku pieca kościana postać ślepéj baby i chropowaty głos zamruczał.

— Oj, stary Zachar, stary Zachar! kosteczki twoje rozsypały się już w mogiłce i dusza twoja przed Panem Bogiem stoi a to, co ty gadał i rozpowiadał *taki* po świecie chodzi jak żywe...

Kowal wstał z ławy.

— At! zawołał, głupstwo! Ja téż dużo świata schodził i niemało widział i słyszał a nigdy nie widział i nie słyszał, żeby gdzie wiedźmę palili. Teraz już tego robić nie wolno. Teraz już tego nie ma. Chodź spać Zuzulu!

Wstała powoli, ciężko jakoś a w wymownych jéj oczach, malował się niepokój. Policzki jéj zbladły nieco i wydawały się mniéj okrągłemi; natężenie myśli twarz jéj wydłużyło. Po kilku minutach zupełna cisza napełniła izbę. Przerwało ją wkrótce głośne chrapanie kowala a prawie jednocześnie ozwał się szelest kroków i ktoś wyraźnie wdrapał się na piec. W ciemności, na wierzchołku pieca, zaszemrał szept.

— Babulo! czy ty śpisz, babulo?

Spała, ale stary sen jéj był bardzo lekkim i do przerwania łatwym. Przywykła zresztą do tego, że śród nocy, budziły ją sypiające przy niéj prawnuczki. Tym razem jednak, obudziła ją nie mała prawnuczka. ale kobieta, która położywszy się przy niéj gorącém ramieniem suche jéj ciało objęła.

— To ty, Pietrusia?

— Ja, cichoż tylko, babulo, żeby Michałka i dzieci nie zbudzić...

— A czego ty tu przyszła? Czy cię kolki tak jak przeszłego roku sparły? Czy Adamek spać ci nie daje?

Przez długo minutę odpowiedzi nie było; potém cichsze jeszcze niż szept uprzedni zaszemrało pytanie.

— Babulo, czy kiedy ja urodziłam się, ojciec i matka nosili mię do kościoła, do chrztu świętego?

— Nu, a jakże? — odpowiedział szepleniący szept staréj — jakżeby ty bez chrztu świętego żyła? Wiadomo, że nosili.

— Babulo, a kiedy ja mała byłam, żegnała ty mnie na noc krzyżem świętym?

— Nu, a jakże? żegnała, każdego wieczora żegnała...

— Dla tego, żeby nieczysty dostępu do mnie nie miał?

— Dla tego, żeby nieczysty dostępu do ciebie nie miał i żeby Pan Bóg najświętszy opiekował się tobą, biedną sierotą...

— Babulo! mnie zdaje się, że ja przed Panem Bogiem niczém ważném nie zgrzeszyła...

Po chwilowém milczeniu stary szept odpowiedział:

— Mnie zdaje się, że ty przed Panem Bogiem taka czysta, jak ta biała *leleja*, co w kościele przed ołtarzem stoi...

Po téj odpowiedzi dało się słyszéć przeciągłe westchnienia ulgi. Potém młode usta zaczęły znowu cichutką rozmowę.

— Babulo! to i czemuż ja dziś na ten ogień przyszła?

Odpowiedzi długo nie było. Zapytanie mieściło w sobie zagadkę, niezmiernie do rozwiązania trudną. Po długiéj chwili dopiero Aksena szepnęła.

— Bo może to i nie wiedźma te mléko krowom odebrała?

— A któż kiedy nie wiedźma?

— Może ropucha...

— Aha!

Ostatni wykrzyk brzmiał tryumfem.

— Pewno ropucha. Ropuchy, kiedy rozgniewają się na ludzi, tak samo mléko krowom odbierają.

— A-le!

— Un, to pewno ropucha.

— A ropucha, bo żeby nie ropucha, toby wiedźma na ogień przyszła... nie ty!...

— A-le. Śpijże z Bogiem, babulo.

— Śpij spokojnie, zuzulo ty moja, śpij....

Nazajutrz była niedziela, a wiadomo, że w niedzielę chłopu i chłopce wszystko na świecie jaśniéj i piękniéj wygląda, bo choć i dnia tego jaką taką robotę dokonać muszą, lecz po jéj dokonaniu nie schylają już twarzy nad zagonem lub tokiem stodoły, nad balią, albo nićmi rozpiętemi na krośnach. Przez połowę dnia najmniéj patrzéć sobie mogą na słońce, niebiosa i wszystko, co z ziemi wysoko wyrasta, chodzić, siedziéć, śmiać się, gadać i śpiewać—co kto chce. Téj niedzieli pogoda była piękna. Pietrusia wody ze studni przyniosła i ogień w piecu roznieciła w téj jeszcze chwili poranku, gdy nad brzozowym gajem jutrzenka rozwinęła różową szarfę, a pierwsze

promienie słońca, z dołu w górę strzelając, złote podszewki dawały liściom ogrodu. Potém nad staw pobiegła i przyniosłszy ztamtąd pęk pachnącego ajeru, rozrzuciła go po podłodze izby, wprzódy już czysto wymiecionéj i białym piaskiem posypanéj. Kiedy kowal obudził się, stara babka na pościeli swéj usiadła i dzieci gwarzyć zaczęły, w chacie od ajeru pachniało jak na łące, przez dwa otwarte okna lały się strugi słonecznych świateł, a Pietrusia, w białéj koszuli, spiętéj u szyi błyszczącym guzikiem, w kwiecistéj perkalowéj spódnicy i czerwonéj chustce na włosach, przed ogniem stojąc, kartofle oskrobywała z łupin, które starannie do cebrzyka zrzucała, aby nie szpeciły niedzielnéj podłogi. Kowal oczy ze snu otworzywszy, spojrzeniem powiódł do koła na żonę, popatrzał, i wyciągając nad *radnem* potężne swe ramiona, a szeroko jeszczeioziewając, zawołał: — Oj, Zuzula ty moja, Zuzula! Ona za całą odpowiedź zaśmiała się głośno i garść łupin kartoflanych tak zręcznie nań rzuciła, że zasypały mu one twarz i piersi. Do samego prawie południa krzątała się po chacie. Pożywieniem obdzieliła całą rodzinę, babkę i starsze dzieci, myła, czesała i w czystą odzież ubierała, malutkiego Adamka piersią swą karmiła i w ramionach kołysała, męża do miasteczka na dzień cały wyprawiając, zaopatrywała go w zapas żywności i o tém, co miał tam nabywać i sprzedawać, rozważnie i po przyjacielsku z nim rozmawiała. Po południu dopiero, Stasiuk w czystéj i kolorowym pasikiem przewiązanéj koszuli, prababkę do ogrodu poprowadził. Malutką swą ręką trzymając jéj żółtą, kościstą rękę, spełniał on czynność przewodnika z powagą i uwagą wielką, z wydętemi wargami, w milczeniu. Stara szła za nim, kijem wciąż ziemi przed sobą dotykając, w samodziałowéj, sinéj kapocie, w płytkiem obuwiu i świątecznym czepcu, którego błyszczący galonik świecił na słońcu dokoła białych jéj włosów. Pod dziką jabłonią, na trawie usiadła, w zwykłéj postawie swéj wyprostowanéj i tak sztywnéj, że czyniła ją ona podobną do figury wyrzeźbionéj z drzewa czy kości. Nie widziała nic, ale czuła ciepłe wietrzyki, muskające jéj twarz i głowę, słyszała szczebiot ptastwa i głosy prawnuków, czuła pod ręką świeżą miękkość trawy. Szeroki więc uśmiech rozciągnął jéj wązkie i bezbarwne wargi a białe oczy zdawały się z natężeniem i rozkoszą wpatrywać w ten piękny świat. Pietrusia wyniosła przed chatę radno, na które wczoraj uzbierane zioła zsypała, i usiadłszy na nizkim kamieniu, tuż przy progu chaty, poczęła dobierać je i gatunkować. W kupki osobne układała czomber, brunelkę, dziewannę, krwawnik, macierzankę i inne jakieś różne trawki i listki. Tą robotą zajęta, od czasu do czasu przyśpiewywała sobie półgłosem, czasem na zioła patrzéć przestawała i wzrok puszczała po pustem polu, na którém

już zboża nie było, a dziś i ludzi nie było. Ciche i drzemiące leżało dziś ono pod złotą płachtą słońca, jakoby na wzór ludzi w niedzielę odpoczywając. Od wsi za to przylatywały gwary, złożone z głosów zwierzęcych i ludzkich; przed karczmą, którą zdala od innych domostw rozróżnić było można, rój ludzi poruszał się i huczał. Pietrusia w stronę wsi patrząc, zmarkotniała trochę. Wąska, kręta ścieżka, która pomiędzy stodołami a opłotkami ogrodów, od wsi do chaty kowala wiodła, pustą dziś była. Tylko usychające w ogrodach konopie wychylały z za opłotków swe rozczochrane głowy, albo wyjrzał przez nie żółty kwiatek piżma, albo kura głośno zagdakała i kogut załopotał skrzydłami i zapiał. Ale ludzkiéj duszy nie było dziś na ścieżce ani jednéj. Przecież, każdéj prawie niedzieli, kobiety z Suchéj Doliny, licznie Pietrusię odwiedzały; jedne po radę przychodziły, inne tak sobie, na pogadankę i z lubienia. Przychodziła tu zwykle w niedzielę młoda Łabudowa i chłopców swych z sobą do Stasiuka przywodziła; przychodziła córka Maksyma Bodruka, którą Pietrusia kiedyś *dziewięcioranką* swą w ciężkiéj słabości ratowała i inne, i inne. Dziś żadna nie przyszła i żonie kowala markotno zrobiło się koło serca.

Niedługi już dzień sierpniowy miał się ku końcowi, słońce bliskiém było zachodu. Teraz, ścieżką wijącą się pod opłotkami powinny przechodzić dziewczęta. Dziewczęta w dnie świąteczne przychodziły do Pietrusi na śpiewanie. Nikt w całéj wiosce nie śpiewał takim silnym i czystym głosem jak ona; nikt tylu pieśni nie umiał. Bywała zwykle przewodniczką chórów, tych chórów, które każdéj prawie letniéj niedzieli, o zmroku, przed chatą kowala na kamieniach i trawie zasiadały, i aż do późnego wieczora napełniały powietrze rozgłośném śpiewaniem. Dziś, żadna nie przyszła. Słońce już zachodziło, kiedy Pietrusia zobaczyła na ścieżce jedną postać kobiecą, ku chacie jéj zmierzającą. Zdala poznała Frankę, wnuczkę Jakóba Szyszki. Odświętnie niby, ale ubogo ubrana, krępa trochę dziewka, z nieładną lecz hożą twarzą i błyszczącemi, błękitnemi oczami, jękliwym jakimś głosem Pietrusię pozdrowiła i zaproszenia nie czekając, tuż przy niéj na przyzbie usiadła. Dwie kobiety znały się z sobą od lat najmłodszych i często żęły na jednym zagonie, grabiły na jednéj łące, razem śpiewały i w karczmie lub na odbywającém się pod gołem niebem *thryszczu* tańczyły i dokazywały. Wczoraj, gdy kowalowa pierwsza na ogień przyszła, Franka zadumała się o czémś tak głęboko, że nawet na chwilę o bliskiéj obecności Klemensa zapomniała. Z twarzy jéj można było wtedy wyczytać, że coś sobie obmyśliwała, jakieś zamiary i nadzieje w głowie swojéj snuła. Teraz, z temi zamiarami i nadziejami do kowalowéj przyszła i chwilę pomilczawszy, jękliwym głosem zaczęła.

— Oj, biedna ty Pietrusia, biedna! *Wielmi już* ludzie na ciebie nastają. Wykrzykują taj wymyślają....

Kowalowa żywo zwróciła się ku dziewczynię i pytaniami ją zasypała. Co mówią? Kto mówi? Czy i Piotr Dziurdzia także rozgniewany i Piotrowa i Łabudowie i Bodruki? Franka wszystko, co we wsi o Pietrusi gadano, powtórzyła, a potém ramię swe zarzuciła jéj na szyję. Przymilając się, oczy mrużąc, dłonią po twarzy kowalowéj gładząc, zaczęła.

— Ja do ciebie, Pietrusia, z wielką prośbą... kiedy ty taką znachorką jesteś, że możesz ludziom robić i dobrze i źle, to ty mnie poratuj w mojéj wielkiéj biedzie i zgryzocie....

Pietrusia cofnęła się żywo i niechętnie odwróciła twarz rozognioną od gniewu i żalu.

— Jaka ja znachorka! — krzyknęła prawie — idź ty sobie odemnie... nie dokuczaj...

Ale Franka przysunęła się ku niéj jeszcze bliżéj i znowu ją za szyję objęła.

— Nie gniewaj się, Pietrusia, nie gniewaj się ty na mnie... ja nie ze złego serca... oj! żeby ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszéj chyba na świecie nie ma... Wiadomo, sierota i uboga i tak jak w cudzéj chacie zostająca. Dziadowska chata nie ojcowska... Poniewierają się nademną *dziadźki* (stryjowie) i poniewierają się ich żonki.... Pracuję, haruję, jak ten wół w jarzmie, a dobrego słowa od nikogo nie posłyszę... Jak pobiją się z sobą, to i mnie biją, — a ciągle ten chleb, co u nich jem, wymawiają... Już mnie i życie zbrzydło, i za zgryzotą a płakaniem bożego świata nie dojrzę....

Obu czerwonemi i w istocie spracowanemi rękami twarz sobie zakrywszy, rozpłakała się rzewnie.

Wtedy już Pietrusia sama przysunęła się do niéj i zasmuconym głosem rzekła:

— Wiem, ja wiem, że tobie w dziadowskiéj chacie życie nie słodkie... *Dziadźki* twoje złośniki i pijaki, a ich żonki paskudne.... I nie bogato u was. Ale cóż ja tobie na te twoje biedy poradzić mogę?

— Oj, możesz, możesz, *kab* tylko *chaciela!* — ręce od twarzy odejmując, zajęczała Franka, i oba już ramiona na szyję powiernicy swéj zarzuciwszy, całować ją zaczęła tak zapalczywie, że pocałunkami i łzami swemi oba policzki jéj zwilżyła. Potém całém swém krępem ciałem na ramieniu jéj zwieszona, przez parę minut cichutko jéj coś do ucha szeptała.

Pietrusia uczyniła znów żywe poruszenie oporu i niechęci.

— *Nie chaczu!*—zawołała — nikomu już nic doradzać nie będę, żeby tam nie wiem kto był, nikomu! Dalibóg, nie będę.

Franka szyi jéj z uścisku swego nie puszczała i znowu jéj do ucha na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem coś szeptać zaczęła. Pietrusia powtarzała ciągle: — Nie chcę! nie dam! nie poradzę! pobożyłam się, że nie poradzę! Ale widocznie żal jéj robiło się Franki i ogarniać ją zaczęła ciekawość niewieścia. Odpowiedzi przeczące dawała, jednak szeptu Franki słuchała ze współczuciem i ciekawością.

— A lubiż on ciebie choć trochę? — zapytała.

Dziewczyna mokry od łez policzek na grubéj dłoni wsparła i smutne oczy wlepiając w powiernicę swą, odpowiedziała:

— Bóg że to jeden wiedziéć może, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. *Dwa roki* już od tego czasu minęło, jak pierwszy raz mnie zaczepił. Młodzieńka ja byłam wtedy i na żadnego parobka jeszcze ani patrzałam. Aż tu raz pod studnią, jak da mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę, Klemens. Ja mu wody z wiadra wprost w oczy, a on mnie wpół schwycił i po plecach głaszcze. „Ty, Franka — mówi — nie do téj studni przychodź po wodę, ale do tamtéj, co bliżéj naszéj chaty.“ I potém już tak ciągle. Niech tylko gdzie zobaczy, to zaraz zaczepi. Zimową porą *gnilki za pazuchą* przynosił i garściami mnie w fartuch sypał, a ot dwie niedziele temu, z nikim w karczmie nie tańczył tylko ze mną...

— To i dobrze — zauważyła Pietrusia — to znaczy, że lubi...

Dziewczyna wstydliwie oczy ręką sobie zakrywając, cicho odpowiedziała:

— Kiedyż bo innym razem, to miesiąc i dwa i trzy ani na mnie spojrzy, i tak samo inne dziewczęta zaczepia... A tu mnie w chacie taka bieda, że niech Pan Bóg święty obroni. Dziad łaje i *dziadźki łają* i *dziadźkowe żynki* z chaty wygnać chcą. *Idzi w służbu*, mówią, kto ciebie durnę weźmie? mówią; Klemens nie weźmie, mówią; ot już dwa roki, mówią, jak zwodzi ciebie i oszukuje a ty wierzysz...

Ręce załamała i znowu płakać zaczęła.

— Ja i wierzę i nie wierzę...—śród płaczu mówiła,—czyby mnie Pan Bóg takie wielkie szczęście dał, żeby mnie wziął za żonkę syn gospodarski... Oj, szczęście to, takie szczęście, że większego już chyba na świecie niema...

Pietrusię zwierzenia te widocznie wzruszały.

Każdéj żywéj istocie życzliwą ona była, a biadania i pragnienia téj, przypominały jéj przeszłość własną. Franka w obie ręce całować ją zaczęła.

— Ratuj, Pietrusia, ratuj, dopomóż...— jęczała — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę.

— Kiedyż bo — wahającym się już głosem zaczęła kowalowa— kiedyż bo, żeby i to.... *baćko* jemu z tobą żenić się nie pozwoli... syn gospodarski... bogaty i taki urodziwy... Słyszę, Pietruk téj zimy do Budrakówny dla niego swaty ma słać...

— Oj, zajęczała, Franka, *kab* tylko on *chaciel*, *kab* tylko on sam *chaciel*, z *baćkiem* już łatwy *jenteres*. On u *baćki* swego prawe oko w głowie, *baćko* świata za nim nie widzi....

— To jest prawda—potwierdziła Pietrusia—on u rodziców tak jak jeden, bo z *durnego* Jasinka mała pociecha...

— *Kab* tylko *chaciel! Kab* naprawdę polubił... wzdychała Franka i znowu ręce kowalowéj całowała, a policzki jéj pocałunkami i łzami swemi moczyła.

Pietrusia namyślała się jeszcze z wielkiego kłopotu, aż chustkę na głowie przekrzywiła, bardzo nie w porę przyszła jéj ta żarliwa prośba przyjaciółki. Lecz serce nie kamień. Istotnie, gdyby Franka za Klemensa wyszła, byłoby to dla niéj takiém samém szczęściem, jak dla niéj było wyjście za Michałka. Istotnie, Piotr był dobrym człowiekiem, syna lubił i możeby bardzo nie sprzeciwiał się jego woli, gdyby on naprawdę miał tę wolę.

— Nu — rzekła— dobrze... babula mnie kiedyśćiś rozpowiadała o takiém ziółku... Nigdy ja go jeszcze nikomu nie dawałam... ale tobie, cóż już robić? Może i dam. Jeżeli znajdę, to dam, ale nie wiem czy znajdę. Przyjdź dowiedziéć się jutro...

Franka aż na ziemię osunęła się z radości i kolana *znachorki* objąwszy, całować je zaczęła. Potém z ziemi poskoczyła i wyprostowana, obie ręce na kłębach oparła. Była to postawa tryumfująca. Radość i tryumf biły z czerwonéj pucołowatéj jéj twarzy i błękitnych, błyszczących oczu. Zdawać się mogło, że nawet mały, u czoła wklęsły nos jéj stał się więcéj zadartym. Nogą tupnęła i splasnęła rękami.

— Ot ja im wtedy dam, ot ja im wtedy pokażę, i dziadźkom i dziadźkowym żonkom.... Na próg do swojéj chaty nie puszczę... kupnę spódnicę włożę i przed oczami ich chodzić w niéj będę... jak zobaczę, że która chléb je, jedną ręką kiełbasę, a drugą figę jéj pokażę....

Pietrusia aż zachodziła się ze śmiechu z tryumfującéj miny i zawziętych pogróżek Franki. Widoczném było, że dziewczyna daleko mniéj pożądała lubienia Klemensa, niż świetnego losu, któryby dla niéj z małżeństwa tego wypadł. Ale i te także uczucia kowalowa nieco rozumiała i dzieliła. Jéj także, upośledzonéj niegdyś sierocie,

przyjemnie było teraz w kupnéj spódnicy po wsi chodzić i dawnych chlebodawców swych w dostatniéj swéj chacie przyjmować.

— Dobrze, powtórzyła, co robić? Jak tu ludzi nie ratować... kiedy można? przyjdź jutro...

Franka pędem strzały puściła się ku wiosce, pilno jéj było do karczmy, gdzie skrzypce grać już zaczynały i Klemens był pewno. Nazajutrz całkiem już o zmroku, znowu od kowalowéj wracała. Szła tym razem powoli, zamyślona, może trochę rozmarzona i co moment przyciskała ręką coś, co u piersi za koszulą miała. W tém, u końca ścieżki, pomiędzy gęstemi krzakami ostów zarastających brzeg pola, a rosnącą za płotem ogrodu jabłonią, ktoś ją za spódnicę przytrzymał. Zlękła się tak, że aż krzyknęła i żegnać się zaczęła, gdy nagle, w przechylonéj nad płotem postaci poznała Rozalkę. Zwinnie przez nizki płot przeskoczywszy, Stepanowa świszczącym szeptem pytać zaczęła.

— A zkąd ty Franka? Od kowalichy? ty i wczoraj tam chodziła. Nie *bójś*! ja wszystko widzę. A co u kowalichy słychać? Zioła warzy, ropuchy hoduje, czy z czortem rozmawia? ha?

Franka zrazu odpowiadać nie chciała i spróbowała iść daléj, lecz Rozalka znowu za spódnicę ją przytrzymała.

— Czego uciekasz? mówiła; pilno tobie do *dziadźkowych* kułaków i dziadowego łajania? Na, *masz*, siadaj tu i jédz. *Pogadamo.*

W rękę wcisnęła jéj ogórek, chłodny, duży, zielony ogórek i taki sam drugi z za koszuli wyjąwszy na spadzistości pola pomiędzy ostami usiadła. Ofiarowany przysmak zjednał Frankę dla kobiety, względem któréj zresztą żadnych przyczyn do niechęci lub gniewu nie miała. Owszem, Rozalka okazywała jéj nawet niejaką życzliwość i gdy jéj w chacie bardzo dokuczano, ujmując się za nią, ze stryjenkami jéj srodze się raz pobiła. Było to zresztą rzeczą dość prostą. Nie miała nic do zazdroszczenia France a litowała się trochę nad jéj sieroctwem. Obie tedy usiadły pod krzaczystemi ostami i gryząc ogórki, w zmroku szeptać zaczęły. Ogród, przy którym znajdowały się, był pusty, na ścieżce żywéj duszy nie było. Rozalka dopytywała się u dziewczyny, czego do kowalichy chodziła, a Franka, wnet rozrzewniła się znowu nad swoją dolą i jęczeć zaczęła.

— Oj, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszéj chyba na świecie nie ma. Wiadomo, sierota i uboga, tak prawie jak w cudzéj chacie zostająca. I wszystko to samo i tak samo wyjęczała jak godzinę temu przed Pietrusią. Rozalka głową ze współczuciem kiwała a potém zapytała.

— A czego ty do kowalichy chodziła?..

Ale Franka swoje daléj prawiła.

— Bóg że to wiedziéć może, czy on lubi czy nie lubi, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Już dwa roki temu pod studnią jak dał mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło, patrzę... Klemens. Ja mu wodę z wiadra wprost w oczy...

I tak daléj, do końca. Wszystko to samo i tak samo jak przed Pietrusią. Rozalka nie sprzeciwiała się i nie przerywała, po chwili jednak zapytała znowu.

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka nie wygadała jeszcze wszystkiego, co jak codzienny pacierz, w głowie jéj siedziało.

— A innym razem, jęczała, to miesiąc i dwa i trzy ani spójrzy i tak samo inne dziewczęta zaczepia...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

— Ja i wierzę i nie wierzę, żeby mnie Bóg wszechmogący takie wielkie szczęście dał...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

Pomimo całéj dyplomacyi, jakiéj w tym razie użyć zamierzyła, Rozalka była już blizką wybuchu. Franka nie wiedząc zkąd i dlaczego w rękę ją pocałowała i palcami z oczu łzy ocierając, zaczęła...

— Ratuj, ciotko, dopomóż,—ja tobie przez całe życie wdzięczną będę...

— Aha! przeciągle wymówiła Stepanowa i oczy jéj w zmroku błysnęły jak dwa płomyki.

— To ty do kowalichy o poradę prosić chodziła...

— Ale!

— Dała jaką?

— A dała... niech jéj Pan Bóg wszystko dobre daje... Rozalka całém swém giętkiem ciałem zwiesiła się na szyi dziewczyny i do ucha jéj prawie szeptać zaczęła śpieszne, naglące, namiętne pytanie. Franka broniła się przez chwilę wstydliwie i z bojaźnią twarz odwracając. Wstydziła się i lękała tajemnicy swojéj. Ale Rozalka obejmując ją jedną ręką, drugą pchała jéj w usta kawałek swego niedojedzionego ogórka a z wielkiéj serdeczności przyginała ją ku ziemi tak, że obie omal położyły się na trawie. Przytém, osypywała ją pieszczotliwemi nazwami gołąbki, zuzuli, robaczka, rybki. Do czułości takich Franka w twardéj, sierocéj swéj doli przyzwyczajoną nie była. Pochlebiało jéj, że w ten sposób obchodzi się z nią kobieta starsza i gospodyni chaty zamożnéj. W rękę Rozalkę pocałowała, ciotką ją nazwała i znowu skarżyć się i lamentować zaczęła. Rozalka ją pocieszała, pocieszanie wciąż zapytaniami przeplatając, a gdy po upływie godziny, powstały obie z ziemi, czarne oczy Stepanowéj,

pomimo zmroku świeciły radością i tryumfem. Wydobyła już z dziewczyny wszystko o czém wiedzieć chciała i nagle pozostawiając ją śród ostów stojącą, pędem strzały ku wiosce pobiegła. Bez tchu prawie biegła przez uciszoną już ulicę wiejską, aż u wrót chaty Piotrowéj stanęła. Miała zrazu widoczny zamiar wpadnięcia tam nakształt burzy i wygadania wszystkiego, o czem się dowiedziała. Nagle przecież, w głowie jéj powstał plan inny. Teraz, o niczém jeszcze nikomu nie powie, a wtedy dopiero, gdy w rodzinie Piotra stanie się bieda, gdy Klemens z Franką koniecznie żenić się zażąda a ojciec temu sprzeciwiać się będzie, gdy pomiędzy ojcem i synem wybuchnie kłótnia i niezgoda, ona przyjdzie do nich i powie kto temu wszystkiemu jest winien. Ciekawa to rzecz, co uczyni wtedy Piotr, który za nic nie zgodzi się na to, aby syn jego żenił się z dziewczyną byle jaką i w dodatku, ze złodziejskiéj chaty pochodzącą. Sam nie kradł nigdy i wnuczki złodzieja za synowę mieć nie zechce. Oj, będzież tu będzież w téj chacie kłótni i zgryzoty wszelakiéj! oj, będzież za to będzie kowalisze od Piotra i wszystkich porządnych ludzi. Dadzą już wtedy, o! dadzą téj, która jéj życie popsuła, przez którą ona mężowskiego lubienia nie zaznała, a na całém ciele tyle ma sińców, ile jest gwiazd na niebie. Niech by bił, ale lubił. I nie lubi i bardzo bije, a wszystko przez tę...

W zmroku, przed chatą Piotrową stojąc, zapłakała, fartuchem oczy otarła i powoli daléj iść poczęła. Czegóż pośpieszać miała? Wszak wiedziała z góry, co ją w domu czeka. Z rana dziecko zachorowało a wiadomo, że kiedy dzicko zachoruje, Stepan swą żałość w srogą złość przemienia i na niéj ją spędza. Jakby ona temu winną była, że dziecko urodziło się takie, nijakie. Wprawdzie, kiedy dwa lata miało, grzmotnęła je raz łopatą w głowę, tak że od rozumu odeszło i na kilka niedziel zaniemówiło. Ale, czyż ono od tego słabe jest i nierozgarnięte? Gdzie tam? Taka już jéj we wszystkiém dola *pohaną*—i tyle!

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

O DRUGORZĘDNYCH ŹRÓDŁACH MIŁOŚCI.

Mówiąc o źródłach miłości, rozumiem wszelkie wpływy, warunkujące pojawienie się uczucia z danym stopniem natężenia, w danéj postaci, danym czasie, odnośnie do danego przedmiotu; a więc zarówno czynniki tkwiące w organizmie, jak i wszelkie bodźce zewnętrzne. Do głównych źródeł miłości zaliczyć należy, ze względu na podmiot: stan fizyjologiczny ogólny, jako pewną energią odżywiania, i specyficzny—organów miejscowych; ze względu na przedmiot—ogół czynników, stanowiących o t. z. wyborze, a podciągnąć się dających pod zasady: kontrastu, powinowactwa i ideału panującego w pewnéj grupie ludzi. Rozpatrując się jednak w wypadkach konkretnych, łatwo zauważyć, iż momenty powyższe nie zawsze wystarczają do objaśnienia zjawisk, że nie są one jedyne, że działają obok nich pewne czynniki uboczne. Rola tych czynników drugorzędnych zasadza się na tém, że określają one bliżéj działanie pierwszych, a niekiedy wprost je nawet krzyżują. Zbieg okoliczności wytwarza niekiedy takie położenia, że czynniki główne stoją w stosunku do siebie niejako neutralnym, wzajemnie się równoważą i znoszą, albo wskutek po prostu zbyt małego natężenia i innych jeszcze nieprzyjaznych im okoliczności nie dają rezultatu: i tu otwiera się pole dla czynników drugorzędnych, które przeważają obojętną szalę.

Momenty miłości drugorzędne mają to do siebie, iż z pozoru nie są w żadnym bliższym związku z naturą tego uczucia, to też zazwyczaj pomijane bywają w zwykłéj obserwacyi, która zatrzymuje się wyłącznie prawie na czynnikach głównych. Aby jednak ocenić udział drugorzędnych źródeł w procesie uczuciowym, rozjaśnić wprzód musimy niektóre zasadnicze pojęcia.

I.

Większość ludzi własne swe stany podmiotowe, wrażenia i uczucia uważa za cechy, tkwiące w przedmiotach: piołun wedle tego mniemania jest gorzki sam przez się, ogień na kominku mieści w sobie przyjemne ciepło i t. p.; tymczasem rzecz to widoczna, że czucia te są czysto subjektywne, wobec tego samego przedmiotu różne u różnych istot, zależne od obecności pewnego organu nerwowego i od chwilowego stanu tego organu.

Jako mimowolny wniosek z powyższego błędnego założenia, wyprowadza się i ten, choć mniéj widocznie, lecz równie niedokładny pogląd, że dana forma uczucia, popędu wzbudzoną i zaspokojoną być może tylko przez pewien przedmiot określony, którego szczególne cechy uważają się właśnie za przyczynę owego uczucia lub popędu. A jednak, jak przedtém tak i tutaj, istotnym momentem jest organ dla danego uczucia przysposobiony, t. j. przysposobiony tak, że zachodzące w nim zmiany molekularne wydają tylko dane uczucie, niezależnie od tego, przez co zmiany te wzbudzone będą.

Ażeby doświadczyć pewnego wrażenia, uczucia, — w pewnych granicach obojętnym jest bodziec, przedmiot, ważném jest przedewszystkiem, ażeby istniał organ nastrojony do téj specyficznéj działalności. Widoczném to już jest w zakresie wrażeń zmysłowych. Narząd wzrokowy daje zawsze czucie światła, niezależnie czy jest pobudzonym przez drganie eteru, ucisk mechaniczny lub elektryczność; na tylnéj powierzchni języka wywołać można wrażenia smakowe przez uderzenie, prąd elektryczny. O ile objawia się *potrzeba* patrzenia, smakowania i t. p., zaspokojoną ona być może przez wrażenia od bardzo rozmaitych przedmiotów pochodzące.

Jaśniéj jeszcze fakt ten okaże się w zakresie uczuć, w których przeważa charakter podmiotowy, przyjemności lub przykrości. Mamy tutaj organa takie, które czynne są tylko od czasu do czasu z przerwami; w chwilach przeciągającéj się nieczynności, wchodzą one w stan automatycznego pobudzenia, czyli objawiają czynność, którą poznajemy, jako uczucie braku, pożądania: organa te, spontanicznie wyprzedzając niejako swą funkcyą normalną, zazwyczaj warunkowaną i poprzedzaną przez działanie bodźca, w ten sposób okazują nam, jak dalece sam przyrząd nerwowy, odpowiednio przystosowany, stanowczą rolę odgrywa we wszelkich zjawiskach psychicznych, niezależnie od takiego lub innego bodźca. Weźmy dla przykładu *instynkt towarzyski* i instynkt *przyjmowania pokarmów*. Odpowia-

dają im dziedzicznie dla tych funkcyi przysposobione przyrządy nerwowe, aparaty ośrodków sympatycznych mózgowych i mózgowo-rdzeniowych. Pierwsza faza tych uczuć, którą nazywamy wogóle *potrzebą*, w szczególności tęsknotą, apetytem, głodem, polega na tém, że aparaty przed pobudzeniem zaczynają w słabym stopniu swą czynność spontanicznie; ponieważ czynność ta jest niedostateczną, bywa też niekiedy w wysokim stopniu przykrą i pobudza organizm do szukania odnośnych bodźców, przedmiotów. Te zaś przedmioty, dla zaspokojenia potrzeby, czyli dla podniesienia funkcyi do należytego poziomu, nie potrzebują posiadać jakichś cech specyficznych i wyłącznych; w granicach, jakie zakreśla pożytek, samozachowanie organizmu, organ może być pobudzonym, uczucie zadowoloném przez jakikolwiek przedmiot. Tak dla popędu towarzyskiego, gdy jest dość natężony, obojętném jest wogóle jaki to będzie osobnik, który obecnością swą popęd zaspokoi; dla instynktu odżywiania się czyli dla głodu przydatnym jest i przyjemnym wszelki pokarm. Jak w jednym tak w drugim wypadku istotną granicę dla tego wyboru kładzie jeden tylko wzgląd, mianowicie cel samozachowania, dla którego właśnie wytworzonym i przystosowanym został dany przyrząd nerwowy, i ku któremu zmierza subjektywne uczucie potrzeby: instynkt odżywiania może być zaspokojony przez jakikolwiek przedmiot, byleby ten mógł być asymilowanym przez tkankę organizmu— tu bowiem celem jest odnowa materyi; instynkt towarzyski zadawalnia się obcowaniem z jakimkolwiek osobnikiem, byleby on należał do tego samego gatunku lub blisko pokrewnego, gdyż celem tego instynktu jest zabezpieczenie osobnika przez życie w gromadzie istot, mających z nim wspólne cele.

Podobnie twierdzić można i co do *instynktu płciowego*, *miłosnego*. Przyrząd nerwowy, pobudzony przez zmiany ustrojowe, daje nam subjektywne uczucie potrzeby, żądzy; wszystkie późniejsze fazy procesu, rozkosz i t p., tkwią już potencyalnie w przyrządzie nerwowym, w postaci siły napiętéj, jako pewne związki molekularne o równowadze nader niestałéj, gotowe za najlżejszym a bardzo rozmaitym bodźcem przeobrazić się w siłę żywą, t. j. pewną sumę ruchu i ciepła, pod względem objektywnym i pewnego uczucia pod względem subjektywnym. Jak wiele znaczy w całym procesie organ i jego stan siły napiętéj, a jak względnie małoważną jest natura bodźca zewnętrznego, to szczególniéj dobrze widzieć możemy na tym właśnie instynkcie miłosnym. Aparat nerwowy, wszedłszy w stan dostatecznie natężony, przedstawia już w sobie wszystkie prawie warunki uczucia jako takiego; stopień jego siły napiętéj tak podnieść się może, że dla jéj wyzwolenia wystarczy bodziec najlżejszy i przy-

tém często zupełnie wewnętrzny, ustrojowy, nic wspólnego niemający z normalnym bodźcem zewnętrznym: przyrząd funkcyą swą w całości wypełni i da nam uczuć jednocześnie właściwy stan podmiotowy, jak to widzimy mianowicie w odnośnych zjawiskach snu a niekiedy i czuwania. Chociaż nawet siła napięta aparatu nie dojdzie do poziomu, któryby powodował jéj spontaniczne wyzwolenie, to jednak, przy zadawalniającym stanie zdrowia i odpowiedniém wypoczęciu organu, zazwyczaj dość bywa znaczną, ażeby uledz działaniu bodźca jakiegokolwiek, do pewnego stopnia niezależnie od jego tych lub innych właściwości. Do pewnego stopnia — gdyż tu, jak w poprzednich wypadkach, przydatność bardzo różnych przedmiotów dla zaspokojenia instynktu zamkniętą jest w granicach, jakie wyznacza cel danego instynktu. A więc dla zaspokojenia instynktu płciowego przydatnym jest w zasadzie każdy osobnik, byleby posiadał odpowiednią cechę płciową, gwoli zadosyćuczynienia celowi—zachowania gatunku.

O ile rzecz idzie o przebieg procesu czysto zmysłowy, t. j. gdy po obudzeniu się żądzy następuje mniéj więcéj bezpośrednio zaspokojenie, wniosek powyższy jest dość powszechnie uznany i prócz nieznacznych zastrzeżeń, może być w całości przyjęty. Wątpliwości powstają dopiero, gdy przejdziemy do wyższych form uczucia, które występują już i u zwierząt, lecz całéj pełni dosięgają u człowieka. Gdy wskutek jakichkolwiek powodów niemożliwém się staje lub utrudnioném natychmiastowe zaspokojenie instynktu, między momentem pierwszym — wejściem narządu specyalnego w stan napięty, uczuwany albo nieuczuwany wyraźnie jako potrzeba, a momentem końcowym — zaspokojeniem potrzeby, wstawia się okres pośredni — usposobienia, pragnienia, pożądania. Podczas tego to okresu pośredniego, krócéj lub dłużéj trwającego, zachodzi złożony proces psychiczny, który u wyżéj rozwiniętych osobników wypełnia przeważną treść t. z. wogóle *miłości*, a który właściwiéj będzie przyjąć za jednoznaczny z tém, co zwykle się nazywa *tęsknotą miłosną i zakochaniem*. Otóż podczas tego pośredniego okresu, proces nerwowy rozpoczęty w ośrodkach niższych aparatu nerwowo-płciowego, wzmagając się w natężeniu i promieniejąc coraz wyżéj, za pośrednictwem prawdopodobnie nerwu pneumo-gastrycznego, albo pewnych ośrodków rdzeniowych okolicy lędźwiowéj, oddziaływa na ośrodki mózgowe, mianowicie ośrodki zmysłów specyalnych w *sensorium commune* i t. d., które leżą na korze. Doszedłszy do tych ośrodków, wzbudza w nich nowy proces molekularny i powoduje albo niezwykłe podniecenie ich wrażliwości dla pewnych przedmiotów, albo nawet, gdy jest silniejszym, i uświadomienie się pewnych gotowych wyobrażeń.

Wskutek tego człowiek w pierwszym wypadku staje się czułym na powaby płci, kochliwym, w drugim—wymarza sobie ideał, t. j. pewien przedmiot nieokreślony, odpowiedni dla instynktu. Otóż powstaje pytanie, czy i tutaj, w zakresie tego procesu psychicznego, mamy prawo przyjąć to, cośmy stwierdzili odnośnie do procesu czysto zmysłowego, mianowicie równą przydatność przedmiotów, skądinąd bardzo rozmaitych; t. j. czy możemy przyjąć, że w warunkach tylko co wymienionych człowiek staje się równie wrażliwym na każdy przedmiot bez różnicy, że jest zdolnym do wymarzenia lub zakochania się w każdym przedmiocie bez różnicy, byleby tylko ten przedstawiał cechę przydatności płciowéj?

Panujący w tym przedmiocie pogląd i powierzchowna obserwacya faktów każą odpowiedziéć przecząco. Jeżeli instynkt na stopniu czysto zmysłowym zaspakajać się może jakimkolwiek przedmiotem, byleby odpowiednim celowi, to na tym stopniu rozwoju, na którym przyłącza się do instynktu moment idealny, t. j. miłość, zakres przydatnych przedmiotów zdaje się niezmiernie ograniczać. Ażeby dany osobnik mógł zaspokoić swój instynkt w formie idealnéj miłości, przedmiot, zdaje się, posiadać musi pewne szczególne cechy, bez których okaże się dla instynktu nieprzydatnym. Widzimy, iż dany osobnik zostaje obojętnym względem wielu przedmiotów, lecz zapala się miłością wobec jednego; dany przedmiot, który budzi i zaspakaja w zupełności miłość jednego osobnika, jest obojętnym dla wielu innych. Instynkt w przebiegu swym zdaje się tu być zależnym od określonych właściwości przedmiotów, którym nie wystarcza już ogólna cecha przydatności płciowéj: między przedmiotami posiadającymi tę ogólną cechę, dokonywa się jeszcze pewien *wybór*. Jedném słowem w całym procesie budzenia się i zaspakajania instynktu, punkt ciężkości zdaje się być przeniesionym z organizmu, gdzie tkwił w momencie zmysłowym, do przedmiotu, a przynajmniéj zdaje się być równomiernie rozdzielonym między podmiotem i przedmiotem. Czyż byśmy mieli tutaj do czynienia z procesem, różnym od tego, jaki nam wskazuje analogia w zakresie innych instynktów np. odżywczego i towarzyskiego i jaki stwierdziliśmy w samym instynkcie płciowym na stopniu jego zmysłowym? Zobaczmy, czy dla takiego zróżnicowania się bezwzględnie przydatnych przedmiotów, nie da się odnaleść analogicznych objawów i w innych instynktach?

Przyjęliśmy, że instynkty: odżywczy i towarzyski, jak i odpowiadające im uczucia, mogą być zaspokojone przez bardzo rozmaite przedmioty, w granicach tylko głównego celu — zachowania indywiduum lub gatunku. Jest to twierdzenie prawdziwe *w zasadzie* i na

ogół wypadków. Lecz rozpatrując się bliżéj w konkretnych wypadkach, łatwo zauważyć, że nawet w tych ogólnych granicach, różne przedmioty w niejednakowym stopniu dla zaspokojenia instynktów są przydatne. Wprawdzie niejednakowa ta przydatność nie objawia się prawie wcale tam, gdzie instynkt jest silnie natężony, niemniéj jednak przy słabszym jego stopniu wyraźnie występuje. Tak odnośnie do przyjmowania pokarmów, trafiamy na indywidualne gusta i wstręty, zależne od wieku, konstytucyi, w części od przyczyn, wcale nieznanych. Nierównie to częstszém i bardziéj stanowczém jest w instynkcie towarzyskim: osobiste sympatye i antypatye do różnych osób, w normalnych warunkach zacieśniają tu dość znacznie pole, na którém instynkt może znaleść zaspokojenie; trzeba dopiero by doszedł do niezwykłego natężenia, ażeby towarzystwo pewnych osób mogło potrzebie jego zadość uczynić, np. gdy długoletniemu więźniowi sprawi przyjemność nawet obecność dozorcy i t. p. Widzimy więc w tych objawach wyraźnie zboczenie od przyjętéj przez nas ogólnéj zasady o bezwzględnéj przydatności przedmiotów, zboczenie analogiczne do tego, jakieśmy znaleźli w postaci idealnéj instynktu płciowego. Cóż powoduje te zboczenia?

Co do instynktu odżywiania, to przyczyna jest od razu widoczną: różnice ustroju, składu chemicznego tkanek u różnych osobników, wymagają niejednakowego sposobu odżywiania, potrzebę niejednakowych substancyj, i co za tém idzie, subjektywne pociągi i wstręty do pewnych pokarmów; na tym więc punkcie zboczenie nie jest wyjątkiem z zasady, lecz jéj szczególnym przypadkiem: różne pokarmy w różnym stopniu służą celowi— zachowania danego indywiduum. Powtóre, jeżeli osobnik z przyczyn ubocznych zaspakajał instynkt częściéj tym rodzajem pokarmu, niżeli innym, jeżeli taka wyłączność powtórzyla się przez kilka pokoleń (co przy pewnych warunkach gleby lub klimatu łatwo miejsce mieć mogło w życiu pierwotném), to aparat nerwowy urabiał się w szczególny sposób, przystosowywał się dla danego rodzaju pokarmu, który odtąd nabierał większéj zdolności zaspokajania instynktu, a ze strony subjektywnéj stawał się przyjemniejszym: każdy nowy osobnik z danego szeregu pokoleń przynosił już na świat pewną wrodzoną idyosynkrazyą pokarmową lub smakową. Przyczyny te, które, zdaje się, dostateczne są do wytłómaczenia nielicznych zboczeń w sposobie zaspokajania instynktu odżywczego, w zakresie innych instynktów, np. towarzyskiego, miały daleko szersze pole oddziaływania, to też spowodowały tutaj i liczniejsze zboczenia. Zauważmy, że ze względu na genezę instynktu towarzyskiego (potrzeba wzajemnéj pomocy w chwytaniu zdobyczy, wspólnéj obrony lub napadu na nieprzyja-

ciela), ilość pierwiastków anatomicznych, wchodzących w skład aparatu tego instynktu, jest większą niż ilość tychże pierwiastków w aparacie instynktu odżywiania: a gdy ilość pierwiastków, które mają być we właściwy sposób pobudzane do swéj funkcyi i zaspokojone, jest większą, to i większem być musi prawdopodobieństwo, że znajdzie się wiele przedmiotów, które niezdolne będą pobudzić i zaspokoić odpowiednio wszystkie owe pierwiastki, czyli w miarę wyższéj złożoności instynktu zmniejszy się liczba przedmiotów bez różnicy przydatnych dla tego instynktu. Zauważmy daléj, że w instynkcie odżywiania druga przyczyna zboczeń, przyzwyczajenie się osobnika do pewnych pokarmów i dziedziczenie tych przyzwyczajeń, znacznie mniéj miała pola niż w instynkcie towarzyskim: w saméj rzeczy, w pierwszym wypadku instynkt (głód) objawia się nagle i zaspokojenie jego nie może być bezkarnie odkładaném na czas dowolny, a wskutek tego osobnik często musi tworzący się dopiero indywidualny pociąg lub wstręt przezwyciężać, zaspakajać głód pierwszym lepszym pokarmem i w ten sposób uniemożliwia swobodny rozwój i dziedziczenie swojego pociągu lub wstrętu. Instynkt towarzyski, przeciwnie, nie objawia się zazwyczaj gwałtownie, nie domaga się natychmiastowego zaspokojenia, które owszem, może być bezpiecznie na czas pewien odroczone. Stąd rezultat taki, że jeżeli osobnik wskutek jakichś przyczyn ubocznych często zadawalniał swój instynkt obcowaniem z osobnikiem o pewnych właściwościach, to rodzące się stąd przyzwyczajenie, przystosowanie szczególne aparatu, może on rozwijać swobodnie i w dalszym ciągu utrwalać i przekazywać dziedzicznie; nic mu zazwyczaj nie przeszkadza zawsze zaspakajać instynkt odpowiednio do indywidualnych sympatyj lub antypatyj, choćby te zrazu były nawet słabo zaznaczone. Idzie zatém, że w sferze takiego właśnie instynktu na którymś z dalszych szczebłów rozwoju znajdą się liczne i wyraźne zboczenia od ogólnéj zasady, że zakres bezwzględnie przydatnych dla instynktu przedmiotów okaże się bardziéj ścieśnionym, aniżeli w sferze instynktu gwałtownego i naglącego, jak np. instynktu odżywiania.

Przyczyny, które we wskazany sposób powodowały zboczenia w bezwzględnéj przydatności przedmiotów dla instynktu odżywiania i w wyższym jeszcze stopniu w instynkcie towarzyskim, działały również ograniczająco, choć w sposób nieco odmienny i bardziéj skomplikowany, i w sferze instynktu płciowego. Dla różnych osobników różne przedmioty okazywały się niejednakowo pożytecznemi i celowemi, jeśli nie ze względu na samo zaspokojenie instynktu, to ze względu na skutki w potomstwie: na téj więc drodze rozpoczęło się określone brakowanie przedmiotów wedle praw *doboru naturalnego*.

Zazwyczaj przypadkowe w innych instynktach przyzwyczajanie się i przystosowywanie aparatu nerwowego dla niektórych tylko przedmiotów, tutaj systematycznie wspieraném było i utrwalaném dziedzicznie przez *dobór płciowy*. Widzimy, iż czynniki, które w innych instynktach działały na ograniczenie bezwzględnéj przydatności przedmiotów tylko przypadkowo i doraźnie, tutaj wpływały stale i w określonym kierunku; to téż gdy wynikłe stąd zboczenia, indywidualne predylekcye, wstręty i pociągi w innych instynktach, są stosunkowo rzadkie i nie dają się podciągnąć pod żadną ogólniejszą zasadę, w instynkcie płciowym są one jasno uwydatnione, możemy dojrzyć w nich pewnéj prawidłowości i uogólnić je. Wszystkie prawie objawiające się tutaj osobnicze pociągi i wstręty, pewne miłosne idyosynkrazye, podchodzą i tłómaczą się albo przez zasadę częściowego kontrastu i częściowego powinowactwa osobników—jako dziedziczony rezultat doboru naturalnego, albo przez zasadę panującego w danéj grupie społecznéj ideału — jako rezultat doboru płciowego.

Czynniki te, których wytworzenie się i utrwalenie umożliwia dopiero t. z. wybór, a połączone działanie w każdym wypadku rozstrzyga o wyborze, wpływają tutaj w tak szerokim zakresie, że wydają się niemal koniecznymi, ażeby zaspokojenie instynktu przynajmniéj w formie idealnéj wogóle miejsce miéć mogło. Powiedziałem „wydają się", gdyż zbyt przecenilibyśmy wpływ tego nowego czynnika wyboru, uznając go za bezwzględnie konieczny dla zaspokojenia instynktu nawet w formie idealnéj miłości. Określony wybór, jak widzieliśmy, jest rezultatem rozwoju. O ile zaś wiemy skądinąd, rozwój w sprawach psychicznych nie polega na rugowaniu niższych organów i czynności, w celu zastąpienia ich wyższymi, lecz raczéj rozwój w sferze téj polega na tém, iż do organów i czynności niższych, pierwotnych dołączają się stopniowo organa i czynności wyższe; pierwsze nie usuwają się z ogólnego mechanizmu, lecz po większéj części tylko podporządkowują pod drugie. Wyższe i późniejsze utwory otrzymują znaczenie przeważne i stają się regulatorami, miarkującymi i zawiadującymi czynnością niższych. Widziéć to można bardzo wyraźnie na ośrodkach rdzeniowo-mózgowych. Porównawcze badanie okazuje, iż rozwój układu zwojowego od form niższych do wyższych uskutecznia się w taki sposób, że nowe zwoje wytwarzają się i dołączają do poprzednich, bynajmniéj nie usuwając ich i nie zastępując; tak, iż w typie najwyższym, np. u człowieka znajdujemy prócz jemu tylko właściwych ośrodków, także i ośrodki identyczne lub analogiczne z temi, które istnieją u typów niższych, czyli człowiek zachowuje wraz z organami i zdolność funk-

cyj właściwych niższym typom. Zwoje niższe i wcześniejsze z rozwinięciem się wyższych i późniejszych, zajmują względem tych ostatnich stanowisko podrzędne i podległe, to znaczy, iż czynność ich lub nieczynność, kierunek czynności i jéj zakres (stopień) zależne się stają od wpływu ośrodków wyższych, które, ze względu na to ich znaczenie nazywamy w stosunku do niższych koordynującemi lub tłumiącemi.

Przy takim stanie rzeczy, jeśli wpływ ośrodków koordynujących w jakikolwiek sposób, t. j. przez ich niedostateczne rozwinięcie od urodzenia, wycięcie sztuczne, zatrucie lub po prostu wyczerpanie (zmęczenie), zostanie zobojętniony lub usunięty, otrzymujemy w skutku samoistne i spotęgowane działanie ośrodków niższych. Usunięcie półkul mózgowych powoduje spotęgowanie czynności odruchowéj rdzenia. U mikrocefalów (idyotów) w parze z niedostateczném rozwinięciem półkul i zdolności umysłowych, idzie i nadmierna popędliwość ruchowa, np. wielka skłonność do naśladownictwa, a także wzmożenie się i przewaga niższych instynktów zmysłowych: jedzenia, płciowego. Zauważmy nadto, że wszelkie wpływy, ujemnie działające na prawidłową czynność układu nerwowego, uderzają przedewszystkiem na ośrodki wyższe, późniejsze i znoszą tém samém ich funkcyją, oszczędzają zaś do czasu ośrodki niższe, które przy tém, jak to wypływa z poprzedniego, wchodzą w stan spotęgowanego pobudzenia i zdolne się stają do większéj czynności. Senność znamionuje się ustaniem wyższych czynności umysłowych— uwagi, rozumowania, i spotęgowaniem, zwłaszcza u dzieci, czynności odruchowéj. Osłabienie, zmęczenie nerwowe powoduje t. zw. rozdrażnienie, które jest właściwie podniecona zdolnością odruchów i przypuszcza względną nieczynność wyższych ośrodków. W chorobach umysłowych i niektórych nerwowych (paraliż ogólny) zaburzenie występuje najprzód w funkcyach bardziéj złożonych, tych, które w rozwoju pojawiły się najpóźniéj, jak zdolność drobnych i skomplikowanych ruchów organu głosowego, palców (1). Otrzymujemy zatém wnioski następujące:

1) Rozwinięcie się wyższych organów i funkcyj nie usuwa organów i funkcyj niższych, wcześniejszych, lecz tylko poddaje je pod wpływ i kontrolę wyższych; 2) z ustaniem tego wpływu ośrodków wyższych, ośrodki i funkcye niższe, pierwotne odzyskują znaczenie

---

(1) „W rozstroju nerwowym ustaje najprzód czynność przyrządów, które się rozwinęły najpóźniéj. Wpływ ich albo wcale znika, albo objawia się zbyt późno, aby przeciwdziałać przyrządom niższym." *H. Spencer*, *Zasady psychol.* — Porów. nadto: *Ferrier*, *De la localis. des maladies cérébr.* p. 142 i *Ribot*, *Les maladies de la vol.* p. 151 i nast.

samoistne i przeważne i 3) wszelkie czynniki, ujemnie działające na prawidłową czynność całego układu, powodują naprzód rozstrój w ośrodkach i funkcyach wyższych, późniejszych, znoszą ich wpływ tłumiący i koordynujący względem ośrodków niższych i przez to otwierają tym ostatnim pole do działania samoistnego w sposób im właściwy.

Przenosząc wnioski te na zajmujący nas przedmiot, orzec możemy *a priori*, że i w sferze instynktu miłosnego: 1) wytworzenie się z biegiem rozwoju wyższych przyrządów i przysposobień określonego wyboru nie zniosło przyrządów i przysposobień, zawiadujących zaspokajaniem instynktu niezależnie od wyboru; że 2) ile razy wpływ wyższych przyrządów nerwowych wyboru z jakichkolwiek powodów zostanie zobojętniony, niższe przyrządy instynktu funkcyonować będą w sposób im właściwy, t. j. na zasadzie bezwzględnéj przydatności przedmiotów, posiadających cechę główną; że 3) wszelkie warunki ujemnie wpływające na prawidłowy przebieg funkcyi miłosnéj, spowodują rozstrój przedewszystkiem w przyrządach wyższych, najpóźniejszych, najsłabiéj zintegrowanych, które właśnie warunkują określony wybór, wskutek czego działać zaczną swobodnie przyrządy niższe, powodując zaspokojenie instynktu na zasadzie równéj przydatności przedmiotów.

Jeśli teraz rozważymy, o ile stosunki rzeczywiste odpowiadają powyższemu wywodowi, to zgodzić się będziemy musieli, że w saméj rzeczy zasada wyboru miłosnego, jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydaje się konieczną, bynajmniéj w całym procesie istotną nie jest; uznamy, iż nie mogła ona zapanować na całym obszarze zjawisk, że owszem, obok niéj w wielu wypadkach musi pozostać czynną zasada przeciwna, t. j. zasada bezwzględnéj przydatności przedmiotów w granicach głównéj cechy.

Przedewszystkiem, zasada wyboru, zależna jest od długiego i systematycznego działania pojedynczych czynników, a zatém pojawienie się jéj możliwém jest wogóle tylko na wyższych szczeblach rozwoju, gdy tymczasem na stopniach niższych panować musi wyłącznie prawie zasada równéj przydatności różnych przedmiotów. Powtóre, uważając nawet gatunek w wyższém stadyum rozwoju, nie możemy jeszcze przyjąć, że w każdym szeregu pokoleń składających dany gatunek, owe czynniki przygotowujące wybór miłosny, działały równie konsekwentnie i stanowczo, i że dały wszędzie równie wyraźny rezultat; czyli twierdzić musimy, że przy wyższym nawet rozwoju, w każdéj grupie znajdować się muszą indywidua, niemające żadnych wybitnie zaznaczonych miłosnych predylekcyj, takie indywidua, które na tym punkcie nie doszły niejako stopnia roz-

woju, osiągniętego przez inne, może większość osobników tejże grupy. Indywidua te obojętne, które nie mają żadnych wyraźnych. świadomych bądź nieświadomych sympatyi lub antypatyi dla osób, w zaspakajaniu swego instynktu nie kierują się żadném poczuciem świadomém, ani nieświadomém kontrastu, podobieństwa lub ideału, dla nich zatém moment wyboru nie istnieje i teraz jeszcze, wszystkie przedmioty w granicach głównego celu równie są przydatne dla zaspokojenia ich instynktu i uczucia. Pomijając wyjątkowe osobniki w tym rodzaju ze sfery oświeconéj, ten stan rzeczy przyjąć można jako zwykły w najniższéj klasie ludności, w któréj istotnie wybór miłosny nieznaczną tylko rolę odgrywa. Następnie, jeśli weźmiemy jakąś daną chwilę rozwoju, to zdarzyć się może, że te przystosowania aparatu nerwowego, osobnicze pociągi i wstręty, kryterya wyboru miłosnego, które stopniowo wytworzył dobór naturalny i płciowy, okazać się mogą wskutek zmiany warunków zewnętrznych (np. sposobu życia wojowniczego na przemysłowy i t. p.), niedostatecznemi, lub zgoła szkodliwemi, i oto dobór jeden i drugi wykonać będą musiały pewien zwrot, przybrać nowy kierunek, i zanim ten nowy kierunek ustali się i wyda skutki wyraźne, nastąpi chwila pewnego zamieszania i wahania się. Podczas takiego to okresu przejściowego, gdy dawniéj zdobyte predylekcye i ideały miłosne zatrą się i utracą moc oddziaływania, nowe zaś jeszcze nie wytworzą lub nie nabiorą dostatecznéj siły kierowniczéj, wszelki wybór miłosny we właściwém znaczeniu staje się nader chwiejnym, w niektórych wypadkach wcale niemożliwym i miejsce jego w odpowiedniéj mierze zajmuje zasada: równéj, w granicach głównego celu, zdolności każdego przedmiotu do zaspakajania instynktu. Wreszcie, pomijając nawet te przypadki wyjątkowe, t. j. biorąc stan rzeczy, jaki ma miejsce w wyższém stadyum rozwoju u osobników dostatecznie dla wyboru miłosnego przystosowanych i w chwili nie zwrotnéj, przejściowéj, ale normalnéj, znajdujemy, że i przy tych względnie najkorzystniejszych warunkach, zasada wyboru może miéć tylko ograniczone a nie powszechne zastosowanie. Zaznaczywszy, że i u najbardziéj nawet rozwiniętych osobników, moment instynktu zmysłowy, związany z ośrodkami niższymi i pierwotnymi, zaspokoić się może niezależnie prawie od właściwego wyboru, zwróćmy się do momentu idealnego.

Ażeby przyjąć możność wyboru wogóle i działanie składających się nań czynników, przypuścić trzeba dwie rzeczy: dostateczną liczbę przedmiotów, śród których wybór ma być dokonany i, powtóre, umiarkowany stopień natężenia popędu. Co do pierwszego, to biorąc całą grupę, rzadko tylko przytrafić się może brak bez-

względny przedmiotów wyboru np. kobiet w nowych społeczeństwach, w koloniach itp.; ale zato dla pojedynczych osobników z danéj grupy okazuje się bardzo często brak przedmiotów względny, np. wskutek rodzaju pracy, życia samotnego itp., a przy takim względnym braku, zdarzać się może niejednokrotnie, że w liczbie przedmiotów danych, nie znajdzie się ani jeden, względem którego mógłby dokonać się wybór prawidłowy, odpowiedni indywidualnéj idyosynkrazyi miłosnéj osobnika, czyli że tutaj zasada wyboru wcale czynną nie będzie. Skutkiem takiego położenia jest naprzód to, że instynkt zostaje chwilowo niezaspokojony, że niezaspokojenie to przeciągnie się może czas znaczny. Zrazu instynkt milczy i wzbiera nieświadomie, potém objawia się głuchém pragnieniem i tęsknotą, aż dojdzie do niezwykłego stopnia natężenia, czyli wystąpi druga z wymienionych wyżéj okoliczności przeciwnych wyborowi, okoliczność, która uniemożliwiać go będzie nawet wtedy, gdy ustąpi pierwsza tj. gdy się zwiększy liczba przedmiotów wyboru. W saméj rzeczy, działanie wyboru wymaga czasu i to nie dlatego, by tu szło o jakieś świadome poznanie i ocenę przedmiotu; owszem, proces ten dokonywa się zazwyczaj zupełnie nieświadomie, instynktownie. Ale w każdym razie koniecznėm jest postrzeżenie szeregu różnych przedmiotów, z których jeden instynktownie bywa wybrany; lecz umysł nie może postrzegać i uświadamiać wielu przedmiotów naraz, musi postrzegać je kolejno, w czasie; tymczasem, instynkt wysoko natężony objawia się gwałtownie, domaga nagląco zaspokojenia i tak nastraja umysł, iż ten zatrzymuje się na pierwszym zaraz przedmiocie postrzeżonym, lub jednym z pierwszych, wprzód nim inne przesunąć się mogły przez pole świadomości. Jak w instynkcie odżywiania zwykły jego charakter naglący uniemożliwiał wogóle wytworzenie się określonéj zasady wyboru, tak i w instynkcie miłosnym, gdy z jakichkolwiek powodów objawi się ów charakter naglący, paraliżuje on wpływ wyboru, już wytworzonego i w innych wypadkach czynnego.

Widzimy przeto, że w sferze instynktu miłosnego, konsekwentne działanie doboru naturalnego i płciowego, spowodowało zróżnicowanie przedmiotów, ze względu na zdolność ich zaspakajania instynktu, czyli do całego procesu wprowadziło czynnik wyboru, obcy, przynajmniéj w takim zakresie, innym instynktom. Ale widzimy jednocześnie, że czynnik ten i tutaj nie zapanował na całym obszarze zjawisk, że w wielu przypadkach okazuje się zupełny brak koniecznych dla niego warunków, czyli że w tych razach zaspokojenie instynktu dokonać się musi niezależnie od jakiegokolwiek właściwego wyboru, a zatém wedle zasady pierwotnéj i ogólnéj, w myśl któréj

każdy przedmiot, posiadający cechę główną, równie jest zdolnym zaspokoić instynkt tak w jego formie zmysłowéj, jak i formie idealnéj. Przypadków tych, w których działa pierwotna zasada równéj przydatności przedmiotów, znaleźliśmy pięć: zbyt niski poziom rozwoju niektórych gatunków, niedostateczny na tym punkcie rozwój niektórych osobników w danym gatunku, chwile przejściowe w życiu gatunku, brak względny lub bezwzględny przedmiotów dla wyboru i natężenie instynktu do stopnia żądzy gwałtownéj i naglącéj. Ilekroć wystąpi jedna z tych okoliczności, osobnik zaspokoi swój instynkt, albo, gdy idzie o postać idealną, człowiek poczuje dla pewnego przedmiotu miłość, która nie da się wytłómaczyć żadnym z czynników właściwego wyboru, kontrastem, powinowactwem, odczuciem ideału. Skoro więc w wypadkach takich nie działa ani przeciwieństwo, ani powinowactwo ani wpływ ideału, ani téż jakiś inny jeszcze możliwy czynnik właściwego wyboru, jako siły prawidłowéj i konsekwentnéj,—to jakież są przyczyny, które powodują w każdym szczególnym przypadku, że instynkt zaspokaja się, albo że człowiek kocha się raczéj w tym przedmiocie, aniżeli innym? Działają tutaj właśnie wpływy, które nazwałem drugorzędnemi źródłami miłości, i do rozpatrzenia których przystąpię.

II.

Specyalny aparat nerwowy, pobudzony przez procesy ustrojowe, przychodzi do stanu siły napiętéj, niestałéj, czyli okazuje się bardzo pochopnym i skłonnym do czynności. Stan ten rozprzestrzenia się i na dalsze drogi, udziela się i skojarzonym, być może organicznie, z aparatem specyalnym, ośrodkom zmysłów wzroku, słuchu, powonienia i pewnym ośrodkom pojęciowym, wyobrażeniowym; ośrodki te podobnież stają się niezmiernie pobudliwemi dla szczególnych bodźców. Albo ze strony subiektywnéj, człowiek staje się skłonnym postrzegać przedewszystkiém pewne szczególne przedmioty, uświadamiać szczególne wyobrażenia, mianowicie przedmioty i wyobrażenia, będące w związku z instynktem miłosnym, zdolne instynkt ów realnie lub idealnie zaspokoić. W myśl przyjętéj wyżéj zasady, i przy okolicznościach uniemożliwiających wybór, zdolność tę, w granicach głównego celu, posiadają wszystkie przedmioty w równéj mierze. Ale pomimo tego instynkt (żądza, popęd), dążąc do zaspokojenia się, musi bądź co bądź zatrzymać się na jednym z przedmiotów: inaczéj bowiem rozpraszając się i przenosząc po kolei na wszystkie lub wiele z nich, nie mógłby posłużyć za impuls dla

woli, a przez to chybiałby swojego celu, uniemożliwiałby zaspokojenie. Wola objawić się może tylko odnośnie do pojedynczego, konkretnego przedmiotu, tj. wtedy tylko, gdy w umyśle utrwali się jakieś jedno określone wyobrażenie, które posłuży za bezpośredni impuls dla ruchów, dążących do osiągnięcia danego celu. Tak więc nieokreślona żądza musi się zatrzymać na określoném wyobrażeniu, musi się wcielić w jedno. Różne postrzeżenia i wyobrażenia dążą do zatrzymania na sobie żądzy, określanéj przez uczucie uwagi; toczą one z sobą walkę o byt; przypuszczamy, że zrazu szanse dla wszystkich są jednakowe, że przy innych równych warunkach tj. o ile nie działają wpływy uboczne—czynniki właściwego wyboru,—każde z nich ma równą dążność do wcielenia w siebie bezprzedmiotowéj jeszcze miłości.

Otóż w takiém położeniu, zwycięży w walce o byt, to z wielu postrzeżeń i wyobrażeń, które okaże się silniejszém, i ono zatrzyma na sobie błądzące marzenie, skupi uwagę, utrwali się, jako stały impuls woli, czyli ono stanie się przedmiotem miłości. A więc, skoro w tych warunkach o wyborze miłosnym stanowi względna siła postrzeżeń i wyobrażeń, to pośrednio o wyborze tym roztrzygać będą wszystkie te wpływy, które powodują większą lub mniejszą siłę różnych postrzeżeń i wyobrażeń. Widzimy zatém, że w razie zobojętnienia wyboru właściwego, o takim lub innym sposobie zaspokojenia instynktu roztrzygają czynniki uboczne i nie mające zazwyczaj nic wspólnego z naturą, ani celem danego instynktu.

Jakież to są te uboczne, drugorzędne czynniki, powodujące niejednakową siłę postrzeżeń i wyobrażeń?

Jak warunkiem świadomości wogóle jest zmiana we wrażeniu, tak stopień świadomości zależy od *stopnia zmiany*, *różnicy*: im większą jest różnica między daném postrzeżeniem lub wyobrażeniem a innemi, które są z niemi współczesne lub bezpośrednio je poprzedzają, tém większy stopień świadomości towarzyszy owemu postrzeżeniu lub wyobrażeniu, czyli poprostu, są one tém silniejsze. Przy innych równych warunkach, przedmiot, który się różni od reszty bardziéj, niż którykolwiek inny, który powoduje w stanach świadomości żywą i nagłą zmianę, daje tém samém silniejsze postrzeżenie. Takie to właśnie postrzeżenie, dlaczegokolwiek różne, nowe, oryginalne, wobec dążącego do wcielenia się instynktu, zdobywa przewagę nad wszystkiemi innemi stanami, i staje się przedmiotem uczucia. Miłość, która już tkwiła w człowieku, jako siła napięta, bądź tylko jako nieświadome usposobienie, zdolność, bądź jako świadoma tęsknota, pragnienie, budzi się teraz, lub określa i zatrzymuje na danym przedmiocie, który zdołał czémkolwiek wyróżnić się od innych. Wiado-

mo, jak dalece w miłości, zwłaszcza u kobiet (1) popłaca niezwykłość, oryginalność; najbardziéj są one obojętne dla ludzi szablonowych i przeciwnie, doświadczeni w tych rzeczach podają zgodnie, że aby im się podobać, często dość jest być lub tylko *wydawać* się innym od wielu. Zresztą, co do oryginalności, to należałoby w każdym szczególnym wypadku uwzględnić, o ile z tém pojęciem wiążą się pewne pojęcia i domniemania uboczne, w rodzaju tych, że oryginalność jest znamieniem piękna, podniosłości ducha itp.: o ile to ma miejsce, na powstanie uczucia działałaby już nie prosta zmiana we wrażeniu, lecz czynnik ideału danéj grupy społecznéj.

Wszystko, co zwiększa zmianę, różnicę we wrażeniu, udzielając siły postrzeżeniu, zwiększa szanse przedmiotu stania się wcieleniem miłości; a więc jakieś niezwykłe otoczenie, jaskrawe światło, wyjątkowe okoliczności, śród których przedmiot się zjawia itp. Na powstanie miłości Słowackiego („W Szwajcaryi"), jeśli uwzględnimy obok tego podniecone romantyczną naturą usposobienie miłośne, nie było bez stanowczego wpływu zjawienie się kochanki nagłe i w niezwykłem otoczeniu.

„Gdzie Aar wody błękitnemi spada....
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca.
Tak *jasną* była *od promieni słońca*!
Tak pełna w sobie anielskiego *świtu*!
Tak *rozwidniona* źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niéj moje oczy!"

Inne możliwe w tym razie wpływy, czynniki właściwego wyboru, są tu poniekąd wyłączone przez tę okoliczność, że poeta znał dawniéj już Maryą W. a zostawał obojętnym.

Rzecz widoczna, że wrażenie zyskuje dużo na różnicy, zatém na sile i żywości, jeśli zjawia się *pierwsze* w szeregu innych wrażeń, gdy człowiek wychodzi ze stanu dłużéj trwającéj nieświadomości, np. omdlenia, snu. Osoba (rozumie się, posiadająca cechę główną), którą chory, otwierając oczy po długiéj nieprzytomności, pierwszą ujrzy, miałaby duże szanse zbudzenia dla siebie miłości, gdyby nie to, że w takich razach wskutek choroby obniża się zazwyczaj znacznie poziom napiętéj siły instynktu. Zato sen, działając wzmacniająco na

---

(1) Uwagi te, o ile przeciwnie nie zaznaczam, odnoszą się tylko do uczucia męskiego; uczucie kobiece przedstawia niejakie różnice, które należałoby bliżéj jeszcze zbadać.

organizm, wywiera skutek przeciwny: po śnie normalnym i spokojnym człowiek, *caeteris paribus*, jest zdolniejszym do miłości i bardziéj kochliwym niż przedtém, a wpływa na to nietylko ogólne zwiększenie sił, ale i to, że specyalny aparat nerwowy często właśnie podczas snu wchodzi w stan większego pobudzenia. To téż osoba, którą pierwszą ujrzymy po przebudzeniu, łatwo wzniecić może dla siebie miłość, stać się przedmiotem dla gotowego już w człowieku i napiętego uczucia. Objaw ten nie uszedł uwagi Szekspira, który uwydatnił go w „Śnie nocy letniéj,“ w stopniu zapewne nieco przesadnym. Demetryusz i Lyzander pałają miłością to dla Heleny to dla Hermii, stosownie do tego, którą z nich każdy postrzega pierwszą po przebudzeniu. Co do czynników, które rządzą procesem fizyologicznym podczas snu i powodują ukazanie się raczéj téj osoby niż innéj, to mechanizm ich jest tak powikłany i trudny do obliczenia, iż w saméj rzeczy poczytanym być może za dzieło przypadku i przyrównany do jakiegoś nadprzyrodzonego wpływu duchów, jak to właśnie czyni poeta.

Jeśli ze sfery zewnętrznego postrzegania przeniesiemy się do wewnętrznéj dziedziny wyobraźni, to znajdziemy, że i tutaj nieokreślony popęd miłosny zatrzymuje się i wciela w to *wyobrażenie, które wyróżnia się*, odbija od innych. Spotęgowany popęd wyszukuje sobie niekiedy przedmiotu nie śród osób obecnych, postrzeganych, ale z zasobu wyobrażeń, wspomnień. Siła wyobrażenia zależy zwykle od siły pierwotnego wrażenia, tak iż, gdy instynkt miłosny zwróci się do zasobów pamięci, to wydobywa z nich i przyswaja sobie ten właśnie przedmiot, który niegdyś zrobił na umyśle najsilniejsze wrażenie i który teraz jeszcze wydatnieje pośród innych wyobrażeń. Zdarza się w saméj rzeczy, iż poczuwszy silniejszą tęsknotę i pragnienie miłości, zwracamy się do wspomnienia i zaczynamy marzyć o osobie, która czemkolwiek się dla nas zaznaczyła, choćbyśmy dla niéj pierwotnie nie doznawali żadnego uczucia.

Niekiedy wyobrażenie, powstałe z wrażenia niezbyt silnego, wzmocnić się może wskutek innych przyczyn, np. snu. Marzenia senne tém się cechują, że pojedyńcze wyobrażenia, występując na tle znieczulenia zmysłów i umysłu, nabierają szczególnéj siły i żywości, i takie właśnie wyobrażenie osoby, które z przyczyn ubocznych pojawi się we śnie, zdolne jest bardziéj od innych stać się przedmiotem napiętego uczucia. Dość jest śnić o pewnéj osobie, ażeby ją pokochać. Wprawdzie niekiedy bywa tutaj odwrotny stosunek przyczyny i skutku: osoba śni się dlatego, żeśmy ją już nieświadomie pokochali, ale ten wypadek, przy uważnéj obserwacyi, odróżnić można od drugiego, w którym obraz osoby pojawia się we śnie z przyczyn

ubocznych, przypadkowych, a dopiero jako skutek marzenia sennego budzi się uczucie dla téj osoby.

Wrażenia i spostrzeżenia, niezależnie od swych różnic zewnętrznych, przedmiotowych, zyskują zawsze na sile, jeśli noszą pewien *charakter uczuciowy*. Przedmiot, którego postrzeżenie wchodzi do umysłu w towarzystwie pewnego żywszego uczucia, ma większą szansę zbudzić lub zatrzymać na sobie uczucie miłości, aniżeli przedmiot, dający postrzeżenie zupełnie obojętne. Rodzaj towarzyszącego uczucia jest tu prawie wcale obojętny. Wogóle, najgorszym prognostykiem dla miłości, jest to, jeśli osoba robi wrażenie obojętne; jakiekolwiek uczucie, choćby zrazu niekorzystne, lepszém jest niż żadne. Przypadki takiego wpływu są dość różnorodne i interesujące; widzimy z nich, iż niekiedy miłość, jakby niepewna przyjęcia we własnéj postaci, maskuje się w najrozmaitszy sposób, podchodzi nas ukradkiem i gdy człowiek ani chciałby słyszyć o niéj, postrzega ją dopiero, gdy weszła jaką boczną furtką i opanowała go już w zupełności.

Jeśli z pewną osobą prowadzimy częste i *interesujące dla nas rozmowy* np. w przedmiocie ulubionego zajęcia, nauki, to rozmowy te późniéj w różnych okolicznościach przypominają się, a z nimi i wyobrażenie owéj osoby, które w ten sposób utrwala się w umyśle, bardziéj niż inne, i przy innych sprzyjających warunkach stać się może przedmiotem samorodnie budzącéj się miłości; tém łatwiéj, jeśli w rozmowach tych dotknięte było żywiéj uczucie miłości własnéj, zadowolonéj lub upokorzonéj.

Dla niektórych powodem miłości być może *obrażona duma* i *próżność*. Jeśli mężczyzna jest śmiałym, pewnym siebie przywykłym do łatwych powodzeń i względów, a tymczasem dana kobieta okazuje mu obojętność albo i lekceważenie, to porusza w nim ambicyą zdobywcy serc i myśl jego zatrzymuje się uparcie na téj osobie. Na mężczyzn znów nieśmiałych, skromnych obojętność taka bynajmniéj nie działa: przywykli do niéj, zbyt mało się w tym względzie cenią, by mieli do czegoś więcéj pretensyą; dla nich właśnie potrzeba wypadku przeciwnego: zachowania się kobiety, któreby różniło się od tego, co spotykać ich u kobiet zwykło. Wszelki objaw sympatyi, względów, które im kobieta okaże pierwsza, budzi w nich zrazu przyjemne zdziwienie, potém uczucie *wdzięczności*, które już przy innych równych okolicznościach przejść może w miłość dla tejże osoby. Przebieg taki obserwować możemy i w uczuciu kobiecém i to z odmiennym rezultatem, stosownie do tego, czy mamy do czynienia z kokietką, czy kobietą skromną i nieambitną.

Za wstęp do miłości posłużyć może niekiedy *współczucie*, *litość*. Częstem to bywa szczególniéj u kobiet, z natury tkliwych i współ-

czujących; wszelki pozór nieszczęścia, niesprawiedliwego upośledzenia, głębokich smutków i cierpień, budzi w nich litość, żal i utrwala w umyśle wyobrażenie osoby, która w ten sposób osiąga przewagę nad wszystkiemi współczesnemi. Don-Juani wiedzą, iż dobrze okazywać się kobietom nieszczęśliwym, cierpiącym. U mężczyzn współczucie doprowadza także do miłości, ale w odmiennych nieco warunkach. Mniéj skłonny do litości, mężczyzna w objawach nieszczęścia często dojrzy tylko słabość i niedołęstwo, od którego się odwraca. Ale jeżeli się zdarzy tak, iż sam spowodował cierpienie a jest uczciwy, szlachetny, dumny i wogóle zdolny do współczucia to uczuwa *wyrzuty sumienia* i litość nad ofiarą; tak, jeśli wyrządził kobiecie krzywdę, upokorzył ją, znieważył w przystępie rozdraźnienia, i czuje, że niesłusznie, to wyrzuca sobie postępek, przedstawia zadane cierpienie—czyli myśli często i żywo o sobie i przygotowuje z niéj w ten sposób przedmiot dla tkwiącego w nim, nieświadomie, w każdéj chwili mogącego się żywo uświadomić nieokreślonego pragnienia.

Za impuls dla wcielenia się miłości w określony przedmiot służy niekiedy *zazdrość*, i to nie zazdrość miłosna, która, jak wiadomo posiada w wysokim stopniu zdolność podniecania i ożywiania już istniejącego uczucia, ale taka, która wiąże się z zawiścią dla jednéj określonéj osoby, i którą uczuwamy, rywalizując z tą osobą na różnych polach. Choćby nam zrazu nic nie zależało na względach jakiejś osoby, gdy widzimy że zdobywa u niéj powodzenie nienawistny nam skądinąd współzawodnik, zaczyna nas to drażnić, niepokoić, czujemy jakby urazę, nawet gniew dla osoby, która okazuje się przychylną naszemu rywalowi. Ale tém samém właśnie wyobrażenie jéj nabiera siły i utrwala się w umyśle. Podobna nieco sytuacya, choć na innéj zasadzie, wytwarza się i wtedy, gdy uczucie objawiane przez kilka osób dla jednego i tego samego przedmiotu, oddziaływa zaraźliwie na innych. Widok, że ten i ów kocha się w danéj osobie, podaje nam obraz téj właśnie osoby, jako mogącéj być przedmiotem miłości, ustanawia w naszym umyśle skojarzenie między tkwiącém w nas nieokreśloném, może nawet nieświadomém uczuciem a wyobrażeniem téj osoby. Przy gotowém usposobieniu, przy częstem obcowaniu z osobami, doznającemi pewnego uczucia, uczucie to ma własność promieniowania niejako od człowieka do człowieka. Tak też bywa i w danym wypadku. Kokietka zazwyczaj tylko pierwszych wielbicieli zdobywa własną pracą, późniejsi rekrutują się z osobników bardziéj wrażliwych lub próżnych, na których oddziaływa widok szaleństw i zabiegów pierwszych.

Nierzadkie są przykłady, w których motywem wcielenia się miłości są uczucia wprost jéj przeciwne—*gniew* lub *nienawiść*. Osoba, która nas drażni, oburza, wyprowadza z cierpliwości, wywołuje wybuchy gniewu, za każdym razem wywiera na umyśle silne wrażenie; obraz jéj żywo się pamięta i przedstawia, często powraca w świadomości, w pewnym zakresie wypiera z niéj wszelkie inne: i oto niespodzianie pojawia się rezultat taki, iż tkwiące w człowieku bezprzedmiotowe uczucie przyswoiło sobie i skojarzyło się z tém właśnie wyobrażeniem, jako względnie najsilniejszém, w chwili gdy uczucie szukało instynktownie przedmiotu. Gniew, jako afekt, jest stanem nagłym, mniéj lub więcéj gwałtownym, lecz prędko przemijającym i postrzeżenie, które mu towarzyszy, siłę swą zawdzięcza żywości jednego, doraźnego wrażenia; jeśli gniew się nie powtórzy, wprowadzony przezeń do umysłu obraz, jeśli nie był bardzo silny, może wraz z afektem ustąpić. Inaczéj się dzieje, gdy mamy postać uczucia mniéj silną, ale trwalszą, taką jak nienawiść—stan namiętności. Odpowiadające jéj wyobrażenie nabiera wielkiéj siły, nie z powodu żywości pierwotnego wrażenia, które tu bywa zazwyczaj słabe, ale wskutek tego, że długo i uparcie trwa w umyśle: silna nienawiść, tak jak i silna miłość, każe nam wciąż myślić o swym przedmiocie, nasuwa go z najlżejszych napomknień. Otóż, jeśli w pewnéj chwili osoba nie daje nowych powodów do nienawiści, zachowuje się mniéj więcéj obojętnie, a przytém nie sprowadziła dla nas strat zbyt widocznych i ważnych, nie zadała ran zbyt głębokich, to obraz jéj, jako bardzo żywy, trwały, silniejszy od innych, łatwo pociągnąć może i skojarzyć z sobą napięte w danéj chwili uczucie. Jakkolwiek przejście takie wydawać się może dziwném, jest ono jednak niczém więcéj, jak prostym i naturalnym przypadkiem mechaniki naszego umysłu; dziwném i nienaturalném zdaje się tym tylko, którzy w czynnościach umysłu dopatrują pewnéj rozumnéj celowości, pewnéj zasady logicznéj, pojmując przy tém tę celowość i tę logikę w sposób nader jednostronny, oparty jedynie na ich osobistéj grubéj obserwacyi najbardziéj dostępnych i zwykłych zjawisk duchowych.

Inném źródłem siły wyobrażeń jest *częstość powtórzeń*. Wrażenie samo przez się słabe i pozbawione charakteru uczuciowego, daje wyobrażenie blade, nikłe, odpowiedniego skutku w sferze wewnętrznéj nie powoduje. Ale jeśli to samo wrażenie powtórzy się większą ilość razy, to za każdém powtórzeniem wzmacnia swój ślad w umyśle i wydaje wyobrażenie trwalsze i, przy innych równych warunkach, żywsze od reszty wyobrażeń współczesnych. Jednakże zauważyć trzeba, że częstość powtórzeń oddziaływa w tym kierunku korzystnie tylko do pewnego stopnia. Siła, która czyni wyobrażenie

zdolném do wcielenia miłości, polega właściwie nie na jego trwałości, mocy, jako faktu pamięci, ale na jego żywości i wyłączności jako stanu świadomego, czyli na jego stopniu świadomości. Otóż trwałość pamięciowa wyobrażenia nie zupełnie idzie w parze z jego stopniem uświadomienia: jest w nas wiele stanów niezmiernie trwałych, a mimo to wcale lub bardzo mało świadomych np. pamięć niektórych ruchów, słów; i przeciwnie, stany bardzo silnie uczuwane nie zawsze są trwałe w pamięci, np. ból fizyczny. Otóż każde powtórzezenie wrażenia zwiększa trwałość pamięciową wyobrażenia, ale żywość jego, jako stan świadomości, potęguje tylko do pewnéj granicy. Po za tą granicą każde dalsze powtórzenie utrwala wprawdzie pamięć, ale żywości obrazu nietylko nie zwiększa, lecz osłabia ją: wrażenie i wyobrażenie zbyt często powtarzane stają się mniéj jasne, wyraźne, na polu świadomości pojawiają się rzadziéj, krócéj i mniéj żywo od innych, i tém samém tracą zdolność przyciągania do siebie bezprzedmiotowego uczucia.

Wywodowi temu odpowiada położenie takie, którego życie dostarcza przykładów. Mężczyzna i kobieta utrzymują z sobą długi stosunek znajomości, obcują często w rozmowie, przy wspólnéj pracy, ale bez żadnych następstw uczuciowych, prócz może spokojnéj przyjaźni; ale obcując w ten sposób, są na prostéj drodze do zakochania się. I oto przychodzi chwila, mniéj więcéj niespodziana i nagła, w któréj instynkt, wewnętrzne usposobienie, podniecone procesem ustrojowym albo jakimś przypadkowym wpływem zewnętrznym (poezya, muzyka itp.), objawia się gwałtowném pragnieniem, domaga się przedmiotu i znajduje go w tym obrazie, który przez częste obcowanie stał się najbardziéj trwałym i żywym w umyśle. Powstanie wewnętrzne pragnienia i jego wcielenie się, albo są przedzielone pewnym okresem, albo następują jednocześnie. W pierwszym wypadku człowiek zrazu tęskni i marzy i dopiero mu wyobraźnia podsuwa dany obraz osoby; w drugim tak się rzecz odbywa, że uczucie. jakkolwiek się wewnętrznie natęża, niedochodzi jednak samo przez się do uświadomienia, aż dopiero w pewnéj chwili osoba, dawno znana i często widywana, naraz uczucie owo budzi, właściwie zaś dawno tkwiące i napięte tylko uświadamia. Człowiek zapytany wtedy, dlaczego teraz dopiero osobę tę pokochał, nic innego odpowiedzieć nie może, nadto: „w téj chwili zrobiła na mnie jakieś szczególne wrażenie"; wrażenie to niebyło inném od poprzednich, tylko człowiek w danéj chwili był odmiennie usposobiony do jego przyjęcia.

Wszakże, nie zawsze długa znajomość, częste obcowanie prowadzą do miłości: niekiedy, przeciwnie, stać się mogą dla niéj istotną przeszkodą, zmniejszyć dla danego przedmiotu szansę wcielenia

w siebie uczucia. Zbyt częste obcowanie, gdy np. od dzieciństwa żyjąc z osobą pod jednym dachem, nieustannie mamy ją na oczach, sprawia to, iż wrażenie, jakie od niéj odbieramy jest słabo uczuwane, wyobrażenie—blade i nikłe, z łatwością daje się w umyśle zasłonić innym, które są nowsze, mniéj zwykłe, bardziéj świadome. Jeśli długo trwający stosunek wywrzéć ma wpływ na uczucie, potrzeba, ażeby wrażenie było częstém, ale nie jednostajném, tj. ażeby zachodziły w niém przerwy, okresy niewidzenia, nawet niemyślenia o przedmiocie. Warunek ten występuje najkorzystniéj w takim wypadku: dwoje ludzi wychowywało się razem od dzieciństwa, następnie chłopcem i dziewczyną rozłączyli się na czas długi; gdy się spotykają potém jako dorośli, przy innych równych warunkach, istnieje wielkie prawdopodobieństwo wzajemnéj miłości. Trwałość pamięciowa wyobrażenia spowodowaną tu została przez dawne liczne powtórzenia we wrażeniu; żywość zaś, stopień uświadomienia, będące główną siłą przyciągającą dla uczucia, czerpie wyobrażenie z tego naprzód iż obecne wrażenie jest świeżém i przedewszystkiém z tego, że odczuwa się tu uderzający kontrast między obecném spostrzeżeniem—np. dorosłéj panny, a dawném—małego dziewczęcia.

Wpływ częstości powtórzeń na wcielenie się uczucia, zachodzi zawsze przez dłuższy okres czasu, a w ten sposób otwiera się pole i dla innych przyczyn współdziałających; trudném jest wyosobnić skutek jednych i drugich. Długi stosunek sam przez się zrodzić może miłość dla danéj osoby, ale nie w każdym wypadku konkretnym, w którym miłość objawi się po długiéj znajomości, przyczynę tego odnieść można do samego wpływu powtórzeń. Drogą długiego obcowania działać mogą i inne wpływy, mianowicie czynniki właściwego wyboru: przeciwieństwo i powinowactwo natur i poczucie ideału. Jeśli przypuścimy, że w osobniku wewnętrzne usposobienie płciowe jest umiarkowane, i że czynniki wyboru są w nim słabo uwydatnione, to oczywiście żaden z nich wzięty pojedynczo i działając chwilowo skutku nie wywrze, ale skutek nastąpić może przy działaniu czynników dłuższém, często powtarzaném. Działanie to składać się będzie z wielu drobnych, następujących po sobie impulsów, które stopniowo budzić będą i wzmagać popęd nieświadomy; żadnego impulsu pojedynczego nie uczuwa się dopóty, dopóki nie nagromadzą się w umyśle i nie złożą ślady. Wtedy dopiero jakiś jeden impuls, wcale nie silniejszy od innych, dodaje niejako ostatnią kroplę i w połączeniu ze śladami wszystkich poprzednich, zostaje uczuty, uświadomiony w jednéj chwili, jako miłosne pożądanie danéj osoby. Tak iż chociaż uczucie wybuchnie nagle, przygotowuje się powoli i stopnio-

wo, podobnie jak ciało ogrzewa się długo i stopniowo, ale zapala się widzialnym płomieniem w jednéj chwili (1).

Dotąd rozpatrzyliśmy wypadki, w których uczucie wciela się, skojarza z jedném wyobrażeniem, dla tego że to wyobrażenie jest silne, wyłączne lub przynajmniéj nad innemi w świadomości wydatne. Ale skojarzenie takie możemy też spowodować ubocznie, sztucznie i to z wyobrażeniem, wcale nie silniejszém od innych. Mamy przed sobą umysł, w którym tkwi z jednéj strony bezprzedmiotowe uczucie, z drugiéj—pewna liczba wyobrażeń, zdolnych wogóle uczucie to wcielić; w zwykłym biegu rzeczy, wciela je wyobrażenie najsilniejsze; lecz przypuśćmy, że w danéj chwili żadne z nich nie ma wyraźnéj przewagi nad innemi—wszystkich szanse są prawie równe i wtedy łatwo nam szanse te przechylić na stronę jednego. Mówimy człowiekowi: „kochaj, powinieneś, możesz kochać osobę X,“ i wygłaszając te słowa, właśnie wyobrażenie X., czynimy w umyśle jego żywszém, silniejszém od wszystkich współczesnych, a nadto wymieniając jedno obok drugiego: uczucie i obraz osoby X, powodujemy i w drugim umyśle ich bezpośrednie skojarzenie. Zapomocą takiego to *poddawania* możemy nietylko dla uczucia, już istniejącego i silnie w postaci pragnienia napiętego, nasuwać daną osobę, ale téż, lubo w mniejszym stopniu, możemy dla danéj osoby przez poddanie, wmówienie, zbudzić uczucie, drzemiące w postaci tylko nieświadomego usposobienia, zdolności, czyli możemy téż poddawać człowiekowi uczucie. Powikłane warunki życia normalnego okazać mogą niewiele w tym rodzaju objawów, a takich, któreby pewność swéj przyczyny dawały, zapewne wcale. Lecz jeśli zwrócimy się do uproszczonych warunków anormalnych, jak np. w śnie hipnotycznym, to znajdziemy liczne fakty, które świadczą, że możemy przez poddanie słowne wywoływać w człowieku dowolne wyobrażenia i uczucia, w przypuszczeniu, rozumie się, że dla uczuć tych istnieje w nim odpowiedni organ i że organ ten w danéj chwili wogóle do funkcyi jest zdolnym. Dr. Bernheim z Nancy poddaje swemu pacyentowi, że po przebudzeniu czuć będzie ból zęba, drugiemu—że zobaczy na na swym stoliku koszyk jagód, i rzeczywiście, jeden uskarża się na ból zębów, drugi—zabiera się do spożycia poziomek. Ten sam przedmiot, wedle zapewnienia eksperymentatora, wydaje się człowiekowi słodkim lub gorzkim, przyjemnym lub przykrym. Poddane wyobra-

---

(1) Przykład tego, jak zlanie się pojedynczych, drobnych śladów nerwowych wydaje jeden skutek, widzimy w następujacém doświadczeniu: pobudzając nerw ruchowy bardzo słabym prądem elektrycznym trzy, cztery razy w odstępach kilku sekund, nie postrzegamy w mięśniu żadnéj zmiany; dopiero za piątém lub szóstém tejże siły pobudzeniem, mięsień się kurczy.

żenie nie tylko staje się stanem świadomości, ale co dla nas jest szczególniéj znaczącém, oddziaływa i na funkcye ustrojowe np. wywołuje wypróżnienie. Ch. Richet mówi swojéj pacyentce: „po przebudzeniu okazywać pani będziesz sympatyą panu F., i antypatyą panu D."; zbudzona zapomina o tym rozkazie, mimowoli jednak zbliża się po chwili i siada przy F., starannie unika D.; gdy mówi F., twarz jéj wyraża zadowolenie, gdy zaś przemówi do niéj D., spogląda nań zimno, z trudnością ukrywając, że znajduje go nieprzyjemnym. W ciągu pół godziny wyrażała te uczucia *crescendo*, a gdy jéj zapytano, dlaczego robi tę różnicę, wymyślała najbłahsze powody, aby usprawiedliwić, dla czego powinna być ujmującą dla F., oziębłą zaś dla D.

O ile i przy jakich warunkach wnioski, otrzymane ze stanu patologicznego, stosować można do stanu normalnego, wyłuszczyłem to szczegółowo na innėm miejscu. Tutaj powiem ogólnie, że zjawiska w rodzaju poddawania w zwykłym stanie zachodzą rzadziéj i mniéj typowo; że sprzyja im wszystko, co podnosi wpływ osobisty poddający, co zmniejsza odporną siłę osobnika, uwalnia umysł jego od wszelkich stanów, uczuć, myśli ubocznych, co wreszcie zdradza w nim i podnieca usposobienie do doświadczenia danego uczucia, które ma być poddane. Janus Braid wywoływał skutecznie różne subiektywne czucia u ludzi w stanie czuwania i to takich, którzy nigdy nie byli hipnotyzowani, cieszyli się zupełném zdrowiem i trzeźwością umysłu. Powszednia obserwacya okazuje nam niejednokrotnie, jak łatwo poddać, wmówić ludziom, że czują to lub owo, tém bardziéj, gdy i inne okoliczności dają pozory, że w téj chwili właśnie czuć to powinni, albo gdy sami z jakichbądź względów usposobieni są dany stan uczuwać. Wmówione czucie, nie tylko jest świadomém, ale wywołuje skutki fizyologiczne; z wielu znanych w tym rodzaju zjawisk, przypomnę to, które blisko naszego przedmiotu dotyczy, mianowicie, że użycie niewinnego zupełnie środka lub zapewnienie lekarza przywraca mężczyźnie utraconą funkcyonalnie potencyą (1).

Na tych więc podstawach przyjąć możemy jako w zasadzie możliwe i przy przyjaznych okolicznościach, rzeczywiście zachodzące, tak skierowanie się istniejącego uczucia ku danemu przedmiotowi pod wpływem trzeciéj osoby, jak i wywołanie tymże sposobem nieświadomego dotąd uczucia z zasobów drzemiącéj zdolności. W ży-

---

(1) *Dr. Herm. Eichhorst, Handb. der speciellen Pathol. und Therapie, 2-er B. IV. Abth. S. 222.*

ciu skutek ten objawić się może w takiéj np. sytuacyi, gdy dwoje ludzi do uczucia i związku małżeńskiego wogóle usposobionych, chętnych, sprowadzamy i zapoznajemy, uprzedzając, że powinni, że mogą w sobie się pokochać i pobrać, t. j. gdy ich swatamy. Albo gdy człowiek słyszy zewsząd, że niepodobna jest nie kochać się w téj i téj osobie, że każdy pokochać ją musi, gdy widzi przytém wielu innych, którzy w saméj rzeczy w niéj się kochają. O tém, czy przyczyna była tu taka lub inna, obserwacya konkretna, rozumie się, nic rozstrzygać nie może: uznanie lub zaprzeczenie wpływu poddania na miłość, zależéć musi tylko od przyjęcia lub odrzucenia prostszych przesłanek analizy i dedukcyi, jak je wyżéj przedstawiłem.

Wspomnę o jedném jeszcze drugorzędném źródle miłości, którą nazwałbym w tym razie miłością *przez odbicie* albo *przeniesienie*. Zdarza się, iż człowiek pokocha pewną osobę, czy to pod działaniem właściwego wyboru, czy któregoś z czynników drugorzędnych, wyżéj wymienionych; ale po pewnym czasie uczucie to okazuje się chybioném, widzimy, iż dany przedmiot nie może go zaspokoić, albo dlatego, iż osoba kochana umiera, przeniewierza się, albo też sami czujemy, że przedmiot jest nieodpowiedni, nieprzydatny — źle obrany. Pierwszy wypadek działa głównie u mężczyzn, drugi t. j. rozczarowanie co do przedmiotu, obserwowałem tylko u kobiet i z pewnych powodów sądzę, iż u mężczyzn nie zdarza on. się wcale lub bardzo rzadko. Otóż w takich razach przedmiot, który tracimy lub odrzucamy, podniecił pragnienie, dał przedsmak zaspokojenia, ale właściwego zaspokojenia, nie dał. Faktem zaś jest, że pragnienie, uczucie, zaspokojone w niedostatecznéj mierze, cząstkowo, wskutek tego właśnie wzmaga się i dochodzi do natężenia większego, niż to, jakieby miało w danym momencie, gdyby nie było zaspakajanem wcale. Tak więc pragnienie jest w wysokim stopniu natężone, wyobraźnia nastrojona na ton miłości, tymczasem uderzamy się o przeszkodę, widzimy omyłkę, zawód; ale marzenia pozbyć się nie możemy, zmuszeni okolicznościami lub z wysiłku własnéj woli, to jest pewnego silnego wyobrażenia, porzucamy pierwszy przedmiot, ale skwapliwie szukamy nowego; jesteśmy też względem tego drugiego jaknajmniéj wymagający, wystarcza niekiedy, aby tylko nie posiadał cechy, która nas zraziła w pierwszym — lub posiadał tę, któréj brak przykro w poprzednim odczuliśmy, niezależnie od jakichkolwiek swych innych właściwości. Podniecona namiętność przyswaja sobie pierwszy lepszy przedmiot i wciela się weń, poddając się w tém zazwyczaj jednemu z czynników drugorzędnych; a więc obiera osobę, która uczyni niezwykłe wrażenie, albo z którą dawno i często obcuje, którą jéj poddadzą i t. p.

Niekiedy jednak o powtórném wcieleniu się takiéj odbitéj miłości rozstrzyga czynnik, specyficzny dla danego przypadku, a powodujący w szczególny sposób siłę i wydatność jednego wyobrażenia z wielu możliwych. Przypomnijmy tu sobie niektóre punkty z teoryi kojarzenia się wyobrażeń; wyobrażenie, skojarzone ściśle z innemi, które jest bardzo żywe, silne, nabiera samo siły od tego ostatniego; wyobrażenie, skojarzone z innem, które nosi wybitny charakter uczuciowy, np. jest przyjemném, przejmuje od niego tę samę barwę uczuciową, czyli, niezależnie od własnéj swéj natury, staje się przyjemném. Gdy człowiek kocha się w pewnéj osobie, to myśląc o niéj często i żywo, myśli razem i o przedmiotach, miejscach, w których ją spotykał, także o ludziach, w towarzystwie których zawsze lub najczęściéj ją widywał, lub z którymi o niéj rozmawiał. Jednocześnie zauważyć może, że miejsca te i ludzie, w taki sposób z przyjemném wyobrażeniem ukochanéj związane, stają się dlań same bardziéj przyjemnemi, nabierają jakiejś większéj ceny niż przedtém. Dopóki trwa miłość dla danéj osoby, dopóty wyobrażenia te, lubo dość żywe i często odświeżane, stać będą jednak w tyle po za główném wyobrażeniem osoby; ale gdy to ostatnie z jakichbądź powodów zostanie ze świadomości wypartém lub samo ustąpi, wtedy owe wyobrażenia skojarzone, przez długi czas towarzyszące głównemu, zasilane jego siłą i uczuciowym charakterem, teraz wystąpią na pierwszy plan i, *caeteris paribus*, okażą się najsilniejszemi z pomiędzy wszystkich współczesnych. A że uczucie, choć utraciło przedmiot, nie wygasło, lecz owszem, spotęgowało się, łatwo stać się może, iż teraz szukając nowego przedmiotu, zatrzyma się i wcieli w jedno z wyobrażeń, które silnie były skojarzone z poprzednim przedmiotem, i które teraz jeszcze są najżywsze, rozumie się o tyle, o ile każde z nich mieści w sobie cechę niezbędną. W taki to sposób wywiązać się może miłość dla osoby, którąśmy spotykali zawsze w towarzystwie ukochanéj, która służyła za pośrednika i protektora téj miłości, która dużo i sympatycznie mówiła nam o przedmiocie uczucia, lub pocieszała po jego stracie.

III.

Widzimy, jak powikłane i kręte są drogi, któremi przebiega namiętność człowieka, jak subtelne i niedostrzeżone często sprężyny, które powodują pojedyncze jéj drgnienia. Czasem kroczy ona przy pełném świetle świadomości, gościńcem szerokim i równym,

wytkniętym przez stałe, celowe drogowskazy; ale przypadkowe czynniki nieustannie usiłują zbić ją z tego toru, zepchnąć w ciemne manowce, wpada też w nie od czasu do czasu, błąka w ich sieci, ażeby śród złudnych uniesień i nadziei, prędzéj lub późniéj błąd poznać i odcierpiéć.

I otóż, dopóki się komedya nie rozegra w całości, nie łatwo w każdym konkretnym wypadku określić, skąd uczucie wzięło początek, jakie przeszło koleje lub na czém skończy; niełatwo wykryć, czy przedmiot swoje wcielenie zawdzięcza właściwemu wyborowi, czy jednemu z czynników drugorzędnych, których działanie rozpatrywaliśmy. Jedne i drugie w rzeczywistych wypadkach działać mogą to kolejno, to w połączeniu, tak, iż skutki ich mieszają się. Wprawdzie sposób powstania uczucia z właściwego wyboru albo ze źródeł drugorzędnych, wyciska na niém szczególne piętno, które w bardziéj typowych wypadkach pozwala poniekąd odróżnić jedną postać od drugiéj; w uczuciu z właściwego wyboru, uważne badanie wykryć może jakąś zasadę prawidłową, która tłómaczy zejście się tych właśnie osobników: wydatne przeciwieństwo, powinowactwo, ideał grupy; w drugim razie — zazwyczaj nic z tego odnaleść się nie daje, i jedyne objaśnienie faktu, na jakie się wtedy sąd ogółu zdobywa, jest to, że namiętność jest ślepą, nierozumną. Korzystanie i z tego kryteryum jest w znacznéj części czysto hypotetyczném, przypuszcza bowiem zasób wiadomości o fizyologicznych i psychicznych właściwościach indywiduum znacznie większy niż ten, jakiego dostarczyć może obecny stan nauki. Nadto, o ile wogóle kryteryum to jest możliwém, dostępném jest tylko dla postronnego obserwatora, a nie dla czynnego podmiotu, a to dla tego, iż uczucie raz go opanowawszy i wcieliwszy się, w szczególny sposób oddziaływa na jego czynność postrzegania i sądzenia.

Jak tylko uczucie, pod ubocznym wpływem czynnika drugorzędnego, obrało sobie przedmiot, zachodzi między nimi ścisłe i na pewien czas *nierozerwalne skojarzenie*: ilekroć pojawi się w świadomości przedmiot, uświadamia się i uczucie, to ostatnie zawsze pociąga za sobą wyobrażenie danego przedmiotu i żadnego innego. Gdy nastąpi jakiś akt zaspokojenia realnego (pocałunek, dotknięcie i t. p.), lub idealnego (wyznanie, obietnica i t. p.), przedmiot mocniéj jeszcze wiąże się z uczuciem. Skutkiem takiego związku jest to, iż przedmiot, wciąż obecny i wyłącznie prawie dla uczucia obecny, (zakochany myśli prawie tylko o swym przedmiocie, w większém zgromadzeniu nie widzi często i nie słyszy nikogo więcéj prócz swojego przedmiotu), zaczyna na to uczucie sam przez się odziaływać: zrazu z pomiędzy wielu innych przypadkowym sposobem ściągnął

ku sobie uczucie, lecz teraz, gdy panuje niepodzielnie, stara się niejako tę swą supremacyą usprawiediwić, zaczyna odsłaniać i zasilać uczucie ze źródeł właściwego wyboru. Każdy bowiem z przedmiotów, zdolnych wogóle wcielić w siebie uczucie, posiada prócz cechy głównéj i mniéj lub więcéj cech innych, będących w związku i przydatnych dla instynktu miłosnego; w każdym z nich doszukać się można np. pewnego słabego przeciwieństwa lub powinowactwa z podmiotem, pewnéj cechy ideału danéj grupy. Cechy te przedtém, same przez się, działając własną tylko siłą, niezdolneby były uczucia zbudzić ani zatrzymać; ale teraz gdy uczucie to pod wpływem drugorzędnym (niezwykłość wrażenia, częstość i t. p.) zatrzymało się na tym przedmiocie, umysł staje się bardziéj wrażliwym na dany właśnie przedmiot, i teraz to każda z cech jego, choć sama przez się słaba, działa niejako na organ czulszy i skutek wywiera, tém więcéj, że cechy jakichkolwiek innych przedmiotów, może nawet przydatniejszych, wypchnięte przez pierwszy ze świadomości, konkurencyi im nie czynią. Umysł nasz, przytwierdzony niejako uczuciem do danego przedmiotu, wyzyskuje najdrobniejszy szczegół, który w przedmiocie ma wartość dla instynktu, i zużytkowuje go dla podtrzymywania i dalszego podniecenia uczucia. Tak, iż często nawet w miłości, powstałéj ze źródeł drugorzędnych, odnaleść można istnienie i wpływ podstaw właściwege wyboru, które nadają jéj pozór uczucia mniéj kapryśnego i nierozumnego. Rzecz jednak na tém polega, że te podstawy, te czynniki właściwego wyboru są tutaj tak słabe, nieliczne, złudne, iż bez udziału czynników drugorzędnych, nie byłyby nigdy w stanie uczucia wywołać ani utrzymać; że czynniki te znaleść się mogły i w innych współcześnie dostępnych człowiekowi przedmiotach w stopniu równym, albo i większym, a mimo to żadnego skutku nie wywarły, dla tego właśnie, że nie przyszedł im w pomoc żaden z czynników drugorzędnych.

Jaką jest etyczna i życiowa wartość miłości, która wypływa ze źródeł drugorzędnych?

Wytworzenie się określonego instynktu płciowego czyniło zadość celowi — utrzymania i rozmnożenia gatunku. Na najniższych stopniach rozwoju cel ten osiąga się przez zaspokojenie instynktu jakimkolwiek przedmiotem, posiadającym tylko cechę niezbędną. Dalszy rozwój, drogą doboru naturalnego i płciowego, systematycznie pracował w tym kierunku, ażeby zaspokojenie instynktu poddać określonym normom, tak, ażeby instynkt zaspakajał się i cel jego osiągał w sposób najpewniejszy i dla gatunku najpożyteczniejszy. Jako rezultat téj wiekowéj pracy wytworzyła się zasada wyboru, w myśl któréj instynkt ma być zaspakajanym nie przez jakikolwiek

przedmiot, ale przez pewien wybrany, taki mianowicie, który jest dla celu najodpowiedniejszy. Pojedyncze czynniki wyboru są: pewien stopień przeciwieństwa i powinowactwa osobników, oraz świadome lub nieświadome pojęcie ideału, który jest wogóle sumą cech najpożyteczniejszych w warunkach danego gatunku i grupy. Czynniki te, zbliżając do siebie najodpowiedniejsze osobniki, zapewniają to, iż funkcya instynktu wykonaną zostaje w sposób najbardziéj dla gatunku korzystny, że potomstwo przynosi na świat cechy najpożyteczniejsze w warunkach grupy, czyli że funkcya ta staje się wogóle należycie przystosowaną. Że zaś należytemu wykonywaniu funkcyi towarzyszy, ze strony psychicznéj, uczucie zadowolenia i to w stopniu tém wyższym, im należyciéj funkcya jest wykonywaną, to okazuje się, że normalne działanie wyboru, nie tylko najkorzystniéj urzeczywistnia cel instynktu, lecz zarazem zapewnia najwyższy stopień zadowolenia, największą sumę szczęścia. Doświadczenie dostatecznie to potwierdza.

U człowieka współczesnego, rozwój ten i przystosowanie w sferze instynktu płciowego został dość daleko posunięty, jakkolwiek bynajmniéj nieukończony. Zauważyć tu można różnice i stopniowania u różnych osobników i u tego samego osobnika w różnych momentach, które przebywa wykonanie funkcyi. Tak widzimy, że moment instynktu fizyologiczny, zmysłowy, który dziedziczy człowiek w danéj formie, jeśli nie od najniższych, to od bardzo niskich przodków zwierzęcych, nieznających wyboru, zaspakaja się i w nim jeszcze bez różnicy przedmiotów, niezależnie od jakiegokolwiek prawidłowego wyboru. Gdy tymczasem moment wyższy, idealny, który zowiemy miłością, a który wytworzył się i do pierwszego dołączył znacznie późniéj, u wyższych form zwierzęcych, podlega już w znacznéj części i w większości wypadków działaniu określonego wyboru, i niezależnie od takiego wyboru należycie zaspokajanym być nie może. Wszakże, jak to przekonaliśmy się, i tutaj zasada wyboru nie zapanowała dotąd na całéj przestrzeni zjawisk: różnorodne wpływy paraliżują ją od czasu do czasu, a na jéj miejsce rozpościera działanie zasada pierwotna, w myśl któréj instynkt zaspakaja się przez przedmiot dowolny, a raczéj obierany pod wpływem czynników przypadkowych, takich, które obce będąc naturze i celom instynktu, nie dają też żadnéj rękojmi najkorzystniejszego osiągnięcia tych celów.

Tak więc zaspakajanie instynktu, przynajmniéj w formie idealnéj, t. j. uczucia miłości, wedle wpływu czynników przypadkowych, w naszém stadyum rozwoju uważać należy za objaw wsteczny, za brak przystosowania się osobnika do warunków otoczenia.

I te okoliczności, które w warunkach naszego bytu, zazwyczaj ubezwładniają zasadę wyboru, mianowicie bezwgzlędny lub względny brak przedmiotów do wyboru i nadmierne natężenie instynktu, w saméj rzeczy noszą wyraźne cechy niedostatecznego przystosowania. Co do pierwszéj okoliczności, jest to widoczném: przypuszcza ona mniéj lub więcéj nienormalne warunki życia. Nadmierne zaś natężenie popędu jest także wadą przystosowania, przypuszcza bowiem nieprawidłowe wykonywanie funkcyi, co do czasu lub stopnia, mające znów za przyczynę naruszenie równowagi w sferze innych funkcyj. Wszystko, co nadweręża ogólną harmonią czynności: nadużycia zmysłowe, przeciążenie pracą, nadmiar wyczerpujących wzruszeń, niedostatek materyalny, utrudniając właściwe wykonanie funkcyi zmysłowéj i idealnéj, powodują wielkie natężenie popędu i poddają człowieka pod wpływ czynników przypadkowych. Do okoliczności, sprawiających tu zaburzenie, zaliczyć należy i chwilę pierwszego zbudzenia się instynktu, t. z. pierwszéj miłości: ma tu miejsce gwałtowne wyładowanie obficie nagromadzonéj energii, stan towarzyszącego uczucia jest bardzo silny i zostawia w pamięci niezatarte ślady, ale téż wyładowanie takie podlega najczęściéj czynnikom przypadkowym i przedstawia największe niebezpieczeństwo chybionego wyboru. Im bardziéj prawidłowo funkcya jest wykonywaną, tém większa rękojmia wykonania jéj w sposob najkorzystniejszy dla osobnika i dla gatunku. Odnośnie do momentu idealnego, im częściéj ktoś się kochał, tém większe osiąga prawdopodobieństwo trafienia w wyborze, rozumie się, do pewnego tylko stopnia, t. j. o tyle, ażeby odpowiednie ośrodki nerwowe miały potrzebne wypoczęcie.

W doskonalszym stanie społeczeństwa, o ile dotychczasowy rozwój od form najniższych do człowieka spodziewać się pozwala, funkcya miłosna zostanie bardziéj jeszcze unormowaną· z doskonalszém przystosowaniem się organizmu w innych sferach, zmniejszać się musi wpływ czynników perturbacyjnych, przypadkowych, aż te ustąpią miejsca w zupełności działaniu naturalnego wyboru. To téż wszelkie wpływy, które związki miłosne osobników stawiają w sztucznéj zależności od czynników ubocznych, wpływy takie, jak kwestya majątku, swatanie, kantory stręczenia małżeństw, uznać należy za dążenie wsteczne, które występuje w anormalnych tylko warunkach bytu społecznego i cofa człowieka do niższych form rozwoju: z ustaniem tych niekorzystnych warunków, ze zmniejszeniem się ilości pracy podejmowanéj przez jednostkę, podniesieniem dobrobytu, rozwinięciem i ułatwieniem życia towarzyskiego, dążenie to zniknąć musi na korzyść zasady naturalnego wyboru.

Całkowite wypełnienie funkcyi miłosnéj, jak u niektórych wyższych zwierząt, tak bardziéj jeszcze u człowieka, składa się nie z jednego pojedynczego aktu, lecz z długiego szeregu powiązanych z sobą aktów: właściwie miłosnych, zmysłowych i idealnych, aktów wspólnego pożycia, wychowania potomstwa i t. p. Otóż o ile za miarę właściwego (celowego) lub niewłaściwego (niecelowego), wykonywania funkcyi służyć może ze strony podmiotowéj ogólna przewyższka stanów przyjemnych lub przykrych, — to znajdujemy i tutaj dowód, jak daleko jeszcze jesteśmy od zupełnego przystosowania się w sferze funkcyi miłosnéj. Rozpatrując stany uczucia, towarzyszące pojedynczym aktom funkcyi, w znacznéj większości wypadków znajdujemy w ogólnéj sumie, jak sądzę, niezmierną przewyżkę cierpienia nad przyjemnością; w wypadkach tylko bardzo korzystnych, przy swobodném działaniu naturalnego wyboru, przewyżka ta zmniejsza się, albo i przechodzi w stosunek wprost odwrotny: ogólnéj przewagi zadowolenia nad cierpieniem. W miarę tego, jak liczba wypadków tych zwiększać się będzie, czyli w miarę doskonalszego unormowania funkcyi, spodziewać się należy, że wykonywanie jéj nie tylko najkorzystniéj odbywać się będzie dla celów gatunku, lecz że i osobnikowi zapewni możliwie największą sumę szczęścia.

J. Wł. Dawid.

DWIE MISYE

FRANCISZKA PONIŃSKIEGO, STAROSTY KOPANICKIEGO, DO PIOTRA I,

w latach 1717 i 1718.

(*Dokończenie*).

Wiadomości coraz to draźliwsze, coraz przykrzejsze, nadchodzące z Polski, wyciągnęły nareszcie króla Augusta z jego wywczasu Cieplicko Drezdeńskiego. W pierwszéj połowie października 1717 zjechał w zwykłém otoczeniu swego dworu i orszaku saskiego do Wschowy, na pogranicze polskie, gdzie 16 października odbyła się niezwykle uroczysta i liczna rada senatu. Dyaryusz jéj wskazuje, pominąwszy zastęp szlachty województwa poznańskiego, pośród któréj obowiązki jakoby gospodarza domu pełni znany dobrze w ówczesnych dziejach Frańciszek Radzewski starosta wschowski, obecność następnych dygnitarzy: z ministrów stanu Józefa Mniszcha w. marszałka kor., Jana Szembeka w. kanclerza kor.; z senatorów Krzysztofa Szembeka biskupa poznańskiego, Bokuma bisk. przemyskiego podkanclerzego kor., Krzysztofa Jana Szembeka bisk. chełmskiego, Tarły nominata inflanckiego, Andrzeja Radomickiego wojewody poznańskiego, Sapiehy kasztelana trockiego, Piotra Bronisza kaszt. kaliskiego, Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, Macieja Radomickiego wojewody inowrocławskiego, generała wielkopolskiego, Władysława Radomickiego kaszt. poznańskiego, Czapskiego kaszt. chełmińskiego, Andrzeja Dąbskiego kaszt. brzesko-kujawskiego, Adama Pawłowskiego kaszt. biechowskiego. Głównym kłopotem zaprzątającym liczne to, zebrane w małém miasteczku na krawędzi ziemi wielkopolskiéj, grono, była nieustanna obecność „wojsk auxyliarnych carskich.“ Pierwszą zaś niemal w obec tego kłopotu czynnością była „reassumpcya charakteru i negocyacyi Imci Pana starosty Kopanic-

kiego." „A że wiadomość," mówi pobieżny dyaryusz wschowskiéj rady senatu, „nietylko o nie wyszłych jeszcze z granic litewskich wojskach moskiewskich, ale téż i tu w Wielkiéj Polsce pozostałe ich *reliquiae alterat* dużo pańskie J. K. Mości serce, tedy *circa numerosam* Ichmościów Panów senatorów tu *praesentiam* i tak wielu urzędników prowincyi wielkopolskiéj, *resolvit* J. K. Mość pan nasz Miłościwy *reassumptionem* charakteru i negocyacyi J. Mości Pana starosty Kopanickiego do Cara J. Mości z żywemi expressyami, że im mniéj pomienione woyska mają przyczyny *praetextu* do bawienia się, w państwach J. K. Mości y Rzeczypospolitéj *contra jura gentium*, przeciw lidze następnéj i obronnéj i przeciw ostatniemu sojuszowi, tém więcéj J. K. Mość i Rzeczpospolita ma racyi prawo, aby tego dłużey nie cierpiała i że po uczynionych wszystkich stopniach rekwizycyi przyjacielskiéj, jeszcze raz na pokazanie przed światem modestyi *requirere* umyślili. Taką zkoncypowawszy *in his terminis* expedycyą dla pomienionego IMci Pana starosty Kopanickiego, oneyże kancelarya koronna *praesenti senatui* komunikowała. Aby zaś na tak pilną i nieodbitą wyprawę skarb Rzeczypospolitéj trudności nie czynił, tedy *vigore novellae legis*, wszyscy Ichmoście Panowie senatorowie wyżéj specyfikowani podpisali assekuracyą na supplement w tę drogę znaczeniem summy 36 tysięcy złotych tak *pro praesenti* jako i *pro praeterito* za odprawioną już ze dworem Cara J. Mości negocyacyę. Co gdy *factum* na mieszkanie J. Mości Panu staroście Kopanickiemu odesłana."

Od 16 października datuje się tedy ponowna misya starosty Kopanickiego, trudniejsza na ten raz, mozolniejsza od pierwszéj, bo miała się odbyć wśród ciężkiéj zimy, wśród ważnych wypadków, jakie się naówczas właśnie z r. 1717 na 18 na północy odbywały. Wyjazd starosty opóźnił się blisko dwa miesiące z niewiadomych bliżéj powodów. Listy uwierzytelniające zostały dopiero wystawione dlań we Wschowie 13 grudnia 1717. Przytaczamy je w dosłownem brzmieniu, jako najlepszy rzut światła na charakter i przeznaczenie jego ponownéj misyi. „Rozumieliśmy," mówią owe listy, „że woyska W. Carskiego Wieliczestwa nad prawo powszechne wszystkim państwom y narodom służące, nad pakta wieczne dawniejsze y ostatni sojusz następny y obronny tak długo w krajach Rzeczypospolitéj bez żadney racyi y sprawiedliwey przyczyny subsystujące, już dotąd według assekuracyi, ustnie y na piśmie od W. C. Wieliczestwa na instancye y ustawiczne reprezentacye nasze y Rzeczypospolitéj danych, za granicami koronnemi y litewskiemi znaydują się. Aliści za przybyciem naszém (Augusta II) z państwa dziedzicznego do województw wielkopolskich z wielkim zdumieniem nietylko od partykularnych

obywatelów pełno skarg, żalów y lamentów na aktualną jeszcze subsistencyą woysk W. C. Wieliczestwa, tudzież srogie od niego uciemiężenie, przez zbyt z umysłu leniwy marsz Regimentów, tylko po iednéj mili na dzień uchodzących, a przez trzy dni spoczywających, ale téż generalny resentiment y rekurs od Stanów Rzeczypospolitéj do nas uczyniony zastaniemy, że dłużey tej nienależytey y ciężkiey krzywdy cierpieć y dyssymulować nie mogą; za czem lubośmy z strony naszey wszystkie stopnie rekwizycyi y perswazyi przyjacielskiéj zachowali y to wszystko cokolwiek tylko należało do utrzymania skoligowaney przyjaźni wypełnili, jednak żeby wszystkie narody moderacyą, przychylność y aplikacyą Naszą y Rzeczypospolitéj do konserwacyi nie naruszonego pokoju widziały, że jako statecznie y skutecznie sąsiedzką y skonfederowaną przyjaźń z W. C. Wieliczestwem utrzymywać pragniemy, tak tego według wszelkiey słuszności y sprawiedliwości pretenduiemy, żeby woyska W. C. Wieliczestwa zaniechawszy nienależytych aggrawacyi y krzywd obywatelów Rzeczypospolitéj czynić, y nie zostawując żadney partyi tak w Koronie, jako y w Litwie, y Kurlandyi, spiesznym marszem jako nayprędzey za granicę do państw własnych wyszli, urodzonego Franciszka Ponińskiego starostę Kopanickiego na wyrażenie tey intencyi y poparcie żądania naszego do W. Wieliczestwa Carskiego ordinujemy, oraz bratersko żądamy, abyś mu W. Carskie Wieliczestwo łaskawy do siebie przystęp, zupełną w tém wszystkiém wiarę y pożądaną a prędką expedycyą dać raczył." Jak z tych listów uwierzytelniających, obejmujących zarazem instrukcyą posła, widzimy, ograniczało się zadanie starosty ściśle do żądania ewakuacyi wszystkich ziem krajów i miast rzeczypospolitéj przez wojska Piotra. Nie zmieniało się więc jego zadanie w niczém od czasu misyi paryskiéj, stawało się może tylko uciążliwsze ze względu na porę, w któréj, ze względu na kraje, w których mu je spełniać przyszło.

Po krótkiéj raz jeszcze wycieczce do Drezna w listopadzie, podejmuje starosta nareszcie swą podróż w grudniu (1717), obraca ją na Wolbórz, Częstochowę, Lublin, Brześć Litewski, wśród straszliwych dróg i ciężkiéj zimowéj pory. Zapiski starosty z téj drogi, są pod względem politycznym nader interesujące, rzucają charakterystyczne światło na usposobienie ówczesne, na prądy ówczesnéj opinii publicznéj a zarazem tłómaczą tém samém, dla czego poseł rzeczypospolitéj udawał się podobnie ani najprostszym, ani najkrótszym szlakiem na spełnienie swéj misyi. Listy starosty nie są wprawdzie zupełnie pod tym względem jasne i wyczerpujące, każą się więcéj domyślać, ani wypowiadają rzecz wyraźnie, składają się jednakże dla nas, na następny rezultat. Chodziło w przedwstępie misyi

o stwierdzenie usposobień panujących na *Litwie*, gdzie się pojawiają widocznie dwa prądy. Brygadier rosyjski Ropp stoi w Grodnie, co ściąga na ludność okoliczną obowiązek dopełniania rozmaitych dostaw. Ropp żąda nie tylko zaopatrzenia obecnych potrzeb swego żołnierza, ale, co więcéj, domaga się, ponownéj dostawy tego wszystkiego, co Szwedzi idąc w r. 1708 na wyprawę zakończoną tak nieszczęśliwie klęską Pułtawską, w pochodzie swym przez Litwę, z magazynów tamtejszych rosyjskich wyprzątnęli dla siebie. Skutkiem tego ludność miejscowa zniechęciła się bardzo, i podobnie jak w lecie r. 1717 trybunał Radomski w Koronie, tak na Litwie szlachta powiatu Oszmiańskiego w zimie z roku 1717 na 18 zaczęła myśleć o pospolitém ruszeniu jako o jedynym środku zapobieżenia dalszym dolegliwościom. W przejeździe swym przez Litwę znajduje starosta podobne usposobienie i usiłuje gwałtowność jego w interesie skuteczności swéj misyi powstrzymać. Z drugiéj jednakże strony spotyka się starosta na tejże saméj Litwie, w sferach wyższych miejscowego społeczeństwa, pomiędzy dygnitarstwem, z usposobieniami o wiele niebezpieczniejszemi tak dla rządów Augusta, jak dla interesu rzeczypospolitéj i możliwego powodzenia misyi. Nie wskazanemi wprawdzie z imienia i nazwiska, ale łatwemi do odgadnienia filarami owego przeciwnego szlacheckiemu kierunku są, nie mówiąc o innych, nie mówiąc o ich licznéj klienteli, w. hetman lit. Pociéj, hetman polny lit. Denhof.

Nie należy w ocenieniu tych stosunków przepominać. co się wówczas działo na wielkiéj widowni politycznéj. Z roku 1717 na 18 przybierają nareszcie, dzięki zabiegłości ministra Goertza, układy między Piotrem I a Karolem XII o zawarcie partykularnego pokoju dotykalną postać, przez tak zwany kongres Alandzki, na który obie strony wyprawiają swoich reprezentantów. Krótko przedtém, w listopadzie 1717, pojawił się sam Goertz w Warszawie, odbywał, w czém listy starosty Kopanickiego zgodne najzupełniéj z równoczesnemi depeszami rezydenta cesarskiego Martelsa, konferencye z różnymi dygnitarzami, mianowicie litewskimi, wyjechał następnie przez Litwę, by tą drogą puścić się daléj do Rygi. Akcya polityczna Goertza, środki jéj i cele ostateczne wchodziły w wyraźną sprzeczność z wołaniami szlachty o wyprowadzenie wojsk rosyjskich z Polski, tém samém z interesem Augusta a naturalnie i z zadaniem starosty Kopanickiego. Partykularny pokój między Piotrem a Karolem XII, mający pierwszemu ułatwić akcyą na brzegach południowych morza Baltyckiego, drugiemu przywrócenie może na tron polski Stanisława Leszczyńskiego, czynił przedewszystkiém rzeczą konieczną dalszy

pobyt wojsk carskich w Polsce, jako widowni najbliższéj mającym się nadal rozwijać wypadkom. Interes Piotra schodził się tedy w oryginalny sposób z interesem polityki Karola, który znów w tym ostatnim jeszcze akcie swego awanturniczo bohaterskiego zawodu, chciał zapróbować szczęścia dla dawnego swego klienta Stanisława. Rozpoczęły się w tym celu ciche szepty, tuż po podróży Goertza, między panami litewskimi a dworem sztokholmskim. Jeździł w misyi od w. hetmana lit. do Sztokholmu niejaki Sagatowski, który, co ztamtąd przywiózł niewiadomo, ale którego poselstwo dowodziło jak najwyraźniéj, że jeżeli szlachta litewska domaga się wymarszu wojsk rosyjskich, to równocześnie jest pośród dygnitarstwa i panów litewskich możny stanowiskiem i znaczeniem zastęp, który wchodzi w konspiracyą z polityką partykularnego pokoju między Szwecyą i Rosyą a któremu, wręcz przeciwnie, na *pozostaniu* tychże wojsk w granicach rzeczypospolitéj zależy. Otóż stan rzeczy, jaki starosta Kopanicki przez czas przejazdu na Litwie miał sposobność stwierdzić, stan rzeczy, z którym obeznać się poprzednio jest tém większą koniecznością, że jak zobaczymy, przyszło mu się z nim późniéj niejednokrotnie liczyć w ciągu pobytu w Petersburgu. Nie od rzeczy przytoczyć niektóre charakteryzujące sytuacyą ustępy z listów starosty do różnych dygnitarzy rzeczypospolitéj.

Na wstępie spotykamy się z listem do w. marszałka kor. z Brześcia Litewskiego, w styczniu 1718, gdzie starosta dnia poprzedniego stanął. „Im częściey,“ pisze starosta, „w instrukcyi sobie do Cara J. Mości daney się przeglądam, ażebym od niey tém lepiey *impressam cordi* nie odstępował, tym większe uważam trudności, w których, abym się mógł determinować, proszę uniżenie W Pana, abyś mnie w tém rezolwować raczył. 1) Każe mi instrukcya dwoiakie otrzymać ordinanse, z których bym ieden do woyska, drugi do J. K. Mości posłał, w czym obawiam się, aby podobnych danym *in antecessum* nie wydano *in elusionem* ordinansów. Czy tedy uchodząc, y w tym grubego żartu bardziey pretendować *assecurationem in scripto*, że *in certo determinato tempore* wynidą, czyli téż *ex re capere consilium* jakie lepsze *suggerat necessitas*. 2) Nie mam w instrukcyi, abym wyrozumiał o partikularnym między Carem y Królem Szwedzkim pokoju. Jeżeli tedy ma w tym J. K. Mość należytą *certitudinem*, czy być w tym *non intelligens*, czyli *publicam* o tym *famam* Carowi J. Mości namienić na wyrozumienie y upomniéć się racyi, dla któreyby wprowadziwszy Rzeczpospolitą z sobą w kolligacyą, onęsz odstępował. 3) Mam w instrukcyi komiss, abym od Cara J. Mości nie odjeżdżał, pókiby y z Kurlandyi nie była ewakuacya. Kiedy Car J. M. nie przyjmuje *medium commissionis* do Kurlandii, *quo medio* uspokoiony będzie

w pretensyach Xżney synowicy swoiey, bez czego jestem pewien, że od tego iarzma nie będzie wolna Kurlandia. W tych tedy wątpliwościach czekam do Rygi rezolucyi WPana. W interessach litewskich jeszcze żadney dać nie mogę informacyi, nie mogąc nic tak prędko wyrozumiéć, śpiesząc się do Cara J. Mości; ile jednak że *ex variabilitate linguarum* wnieść mogłem, że *Bibont* (?) robi *bilinguitatem.*"

Tymczasem, jak przekonywają późniejsze listy, miał starosta czas i sposobność, mimo wszelkich niewygód i uciążliwości podróży przez Litwę i Kurlandyą, powziąść języka i rozpatrzeć się w tamtejszych stosunkach. Wydawszy z drogi rodzaj otwartego listu do szlachty powiatu Oszmiańskiego, zasięgnąwszy w czasie podróży ze wszech stron potrzebnych informacyj, stanął wreszcie starosta „wśród głodu, mrozów, wilczych dołów, piramid y szpalerów śniegowych litewskich", 4 lutego w Rydze. Za przybyciem tamże rozpisał w te tropy do osób poufnych sobie w Polsce i dygnitarzy listy, z których następny mianowicie daje wyobrażenie o stanie rzeczy na Litwie, dotkniętym przez nas wyżéj. List ten adresowany „do IMci Pana Ponińskiego obersztlejtnanta" (w służbie saskiéj): „Jakom z samego wyjechał Brześcia, tak żem na żadną nie trafił pocztę, dopiero się ztąd tu *bezpieczniey* odzywam W. M. Panu. Nie *in tam perfecto statu et ordine* zastałem Litwę, jako o niey pisano, poniewasz ani *motus* szkodliwych nie masz, ani traktatowi idą *perperam.* Powiat tylko Oszmiański głodem u siebie przyciśniony *fortiter negavit* prowiantu Moskwie do Grodna, która grubych z plewami chlebów od nich brać nie chciała, ani bronił przejścia, broniąc tylko stanowisk we wsiach y miasteczkach, ofiarując za to, jeżeli by w polu stawali po 6 groszy na dzień na konia, poniewasz prowiantu sam Pan Bóg im *denegavit.* Komissya Grodzieńska w jednym tylko punkcie *non satisfecit* traktatowi, że Hetmani zasiadali, co się bardziéj stało w tumulcie, że przysiągł *cum multorum oppositione* y prawie *sub manu* Moskwy, która tam póty trwała, póki komisya i brygadier Ropp *expresse* wyrażał, że na komisyą zjechał. Działo się to *in favorem I. Mości Pana Hetmana interessów,* które miał ciężkie do wyrabiania *in rem sui* na tey komisyi, ale się temu (jakom przeszłą opisał pocztą) poradzić może. Bardziey się obawiać potrzeba cichych y skrytych konjunktur, które w mieyscu od Pana (króla) odległym do wyrabiania łatwieysze y sposobnieysze. Niechcę nikogo *criminare,* ale ile się z różnych relacyi informować mogę, tę u siebie formują suspicyą, *że duch zamorski* (szwedzki) *mając sposoby do korrespondencyi listowney y ustney, ubi vult, spirat.* Mianowicie tam, których zna *capi faciles,* których sobie dawno miał obligowanych y *pensionarios,* których widzi malkontentów z traktatu (warszawskiego z r. 1717), których widzi chcących

per abrupta lapsis privatis succurrere rebus, których fortuna *ex turbido* y którym *tunc optime*, *cum omnibus male*. Zagrzewając jednych do poigrania (?) z ruin domu powróceniem *ad pristinam dominationem*. drugich obietnicami, trzecich kartowemi assekuracyami. Z tych zaś iedni tak szlachtę różnemi nowinami *imbuunt*, żeby skłonni byli y gotowi do wszystkiego, byle się tylko iaka pokazała rewolucyjka, drudzy o jakichściś skrytych powiadaią rozruchach, nie dla tego, że są, ale żeby się autorami ich, gdyby jakie wybuchnęły, nie pokazali. Czemu, aby się zabiedz mogło, że Imci Pan Gercz minister króla szwedzkiego, przejeżdżający przez Litwę, miał na dwie godziny sam na sam konferencyą z J. M. Panem N. N. (hetmanem) u niegosz samego, po czem wokowany do Litwy J. Mci Pan H. H. Przyjechał także temi czasy do Litwy ze Sztokholmu sługa Imci Pana N. N. (hetmana) i zowie się Sagatowski. Z Wrocławia także chodzą korrespondencye (prawdopodobnie od Biebera agenta Leszczyńskiego), obiecujące zawsze Szwedów do Polski, jednych utwierdzające, drugich przynajmniey *in metu impendentes*, aby się całym sercem do J. K. M. (Augusta) nie udawali. Imci Pan H. H. także do Cara I. Mci posłany od N. N. (hetmana) przeciwko traktatowi. To wszystko pochodzi z odgłosu partykularnego pokoju Cara ze Szwedem, na który się zapatrując, albo rekoncyliacyi przez Cara szukają, albo konserwacyi fortun zawczasu *provident*, albo upadłe interesa nową jaką rewolucyą chcą podziwignąć, albo mając *metum* przyjścia Szwedów, *domum* sobie z powitaniem chcą uprzedzić. Sposob na to nie inny widzę, tylko wziąć sądy traktatu (warszawskiego) *in executionem* przeciwko korrespondencyom y nie trzebaby w tym tey iskierce dissymulować, ale ją wcześnie zgasić. *Clementius erit* J. K. Mość rekwirować, co to za konferencya była prywatna z Panem Görtzem, ale Panu H. H. trzeba dać mandat, aby się sprawił, co robił u Cara, Wrocław mieć *in animadversione*, osobliwie β. β. Jeżeli się temu *in herba* zabieży, dawszy na przykład, upewniam, że się zagrodzi droga do korrespondencyi. Wiedziéć y o tém należy, co ten Sagatowski powiada, żeby się jego pryncypał powrócić chciał (Leszczyński?) gdyby *clementiam* znalazł, y oddano mu to, co wzięto."

List powyższy dowodzi, mimo wszelkich swych nierozwiązalnych dzisiaj zagadkowości, jak niepewny grunt przedstawiała w owéj chwili Litwa, jak intrygi Goertza, agentów Leszczyńskiego, polityka partykularnego pokoju zdołały go podminować, jakie ztąd nowe trudności wynikały dla misyi Ponińskiego. Tymczasem, za przybyciem do Rygi, doszła wiadomość o legacyi starosty do Petersburga. Misya jego była tamże pod wielu względami wypadkiem do najwyższego stopnia niepożądanym. Nie chciano, ze znanych nam już wzglę-

dów wielkiéj akcyi politycznéj, wyprowadzać wojsk z Polski, nie chciano sobie również jednakże odmową narażać rzeczypospolitéj. Równocześnie sprowadził Piotr synowicę swą Annę ks. Kurlandzką do Petersburga, by załatwić ostatecznie jéj zatarg ze stanami księstwa a ją samę wydać za ks. Adolfa Weissenfelskiego. Nie dość na tém, trafiał przyjazd starosty w chwilę, kiedy sprowadzony przez Tołstoja i Rumiancowa z Neapolu carewicz Aleksy powrócił do Petersburga a Piotr zabierał się do wytoczenia olbrzymiego procesu jego wspólnikom. Z tych wszystkich powodów pragnęli Piotr, kanclerz Gołowkin, wicekanclerz Szafirow wstrzymać na połowie drogi wyprawę starosty do Petersburga, a znajdujący się w Rydze generał Adam Weyde odebrał rozkaz wejść z nim w porozumienie, dać mu najuroczystsze zaręczenie, że wyszły już nowe rozkazy do dowódców wojsk rosyjskich, tak że najdaléj w przeciągu pięciu tygodni żadnego żołnierza tych wojsk w krajach rzeczypospolitéj nie będzie, a skłonić tém samém posła do zaniechania dalszéj podróży. Weyde wykonał wiernie dane sobie polecenie, ale nie wpłynął w niczém na postanowienie starosty w wykonaniu instrukcyi z najściślejszą skrupulatnością. Po odbyciu nader uprzejmém konferencyi z generałem, puszcza się starosta po dwudniowym wypoczynku w Rydze, 7 lutego w dalszą drogę. Smutnie brzmi opis jego podróży przez kraj nadbaltycki.

„Z Rygi wyiechawszy 7 Februarii, przejechałem przez Narwę 13 *ejusdem*, mil 90, werst moskiewskich 397. Gdziekolwiek przez Inflanty przejechałem, nigdziem wsi staréj nie widział, ani dworu; wszystko popalone, fortece, miasta y miasteczka do szczętu zgładzone. Moskwa się tylko buduje. Ludzi bardzo mało, których nie tak wojna, jako powietrze poznosiło. Wszędzie, gdziekolwiek jechałem przez Inflanty, rudera tylko miast y ledwie mieysce jest, gdzie co było. Wszędzie *tristissima imago.* Chłopi, którzy pozostali, jusz się do niewoli przyuczyli. W Rydze pustki, z Derpt ludzie na Moskwę wybrani. Narew tylko i Rewel Inflanty zdobi. 12 Februarii zjechałem się z kuryerem Carskim nazad od Xcia Repnina powracającym, który był pierwszy wiózł ordinans Carski, aby pośpieszali, oraz y dispozycye zimowe woysku. Ten kuryer zostawił był Xcia Repnina w Kieydanach, mieście na Żmudzi, nie dziwować się, że z kajdan powoli idzie. Ja sam tam zażył prawdziwie moskiewskich mrozów, w jakich jeszczem nigdy nie bywał. Nie podobno ich wyrazić. Dosyć, że ile razy sobie przypominam, zaraz zimno człowieka wskroś przejmuje, moim się ludziom dużo taka naprzykrza podróża, ale i mnie nie mniéj, nie spodziewając się do tego za upały na południu, mrozy na samey północy podjęte, y tego słowa: Bóg zapłać. Jeżeli mi przyj-

dzie Cara I. Mci gonić, na co podobno przyjdzie, nie wiem, jako to zniosę mrozy, bo jeden czasem najcięższy kwadrans, jusz moim nogi odpadają. Inaczéj mi było w tamtych krajach szukać Cara Imci, mogąc się utaić, tu zaś nigdzie się bez paszportu nie ruszę y gdzie przyjadę, jusz wprzód o mnie wiedzą; wszędzie *ingrata persona*, bo wiedzą, z czem idę. Konie jak umyślnie leniwe, zabijaki po pocztach dają, żebym pośpieszyć nie mógł. Jeszcze bym tak mrozów nie czuł, gdyby prędsza była jazda. W drodze z Narwy potkałem kilkadziesiąt niewolnika szwedzkiego, którego Moskwa z Rewla do Petersburga prowadziła; tych Szwedów na morzu zabrali teraz nie dawno, zkąd znać, że traktat nie doszedł. W Petersburgu stanąłem szczęśliwie na południe 15 Februarii, werst 164 z Narwy; Cara I. Mci nie zastałem y nie zaraz go się tu spodziewają; ruszam tedy za nim na Moskwę.“ Otóż sprawozdanie starosty z pierwszego aktu podróży, która miała rozpocząć się po kilkudniowym zaledwie wypoczynku na nowo, ponieważ, w Petersburgu Piotra nie zastał.

Przypomniéć tu trzeba, że w tych samych dniach niemal, kiedy starosta przybył do Petersburga, toczyła się sprawa carewicza Aleksego. Z powodu tego panowało, jak starosta pisze, ponure w całym kraju usposobienie, komunikacye nadzwyczaj utrudnione, korespondencya bardzo niepewna, podróż bez paszportu całkiem niepodobna. Po pewnych staraniach, uzyskał przecież starosta paszport od Mężykowa a oddany, mimo osłabionego zdrowia i strasznie uciążliwéj podróży, jedynie tylko obowiązkom swéj misyi, wyjechał już 20 lutego do Moskwy. Podróż ta odbywała się, jak na ówczesną porę, stan dróg i środki komunikacyi, z niesłychaną szybkością. Dnia 1 marca stanął już starosta w Moskwie, jako gość nader niewygodny i niepożądany ze względu tak na chwilę, w któréj, jak na żądania, z któremi przybywał. „Zastałem tu rzeczy,“ pisze starosta, „y całą Moskwę *in summa consternatione* z okazyi tak dekretowanego przez Oyca Carewicza y odsądzonego *tanquam incapacem et rebellem* od Carstwa *et successione*, jako z zabrania *siccariorum conspiratorum* y onych na inkwizycyą moskiewską danych.“ Mimo to nie lenił się starosta z wykonaniem swych poleceń. Z osób obcéj dyplomacyi, na których mógł nieco liczyć, znajdował się naówczas w Moskwie reprezentant saski baron Loos. Znajdowali się nadto przy boku Piotra, jak zwykle kanclerz Gołowkin i wice-kanclerz Szafirow; był nareszcie wpływową wtedy w otoczeniu carskiém osobistością Jaworski, arcybiskup Riezański. Tuż po przybyciu, kołatał starosta do drzwi ministrów. Z początku nie byli dlań w domu. Dopiero 5 marca udało mu się zastać ich, doręczyć listy uwierzytelniające i prosić o audyencyą u Piotra. Gdy mimo to posłuchania nie wyznaczono, udał się sta-

rosta 8 marca ponownie do Gołowkina, który oświadczył, „iż jeszcze nie miał okazyi mówić z Carem IMcią, a zarazem dał do zrozumienia, „iż poseł staje się nieco uciążliwym swemi żądaniami.“ Starosta zaś na to: „Przyznałem mu, że się naprzykrzam I. Mci, alem prosił o wybaczenie, że się y daléj naprzykszać muszę, kiedy się woyska Carskie bardziey ojczyznie naprzykszają.“ Dzień po dniu odtąd od 8 do 12 marca zapisują listy starosty coraz to natarczywsze nalegania o udzielenie audyencyi, „poniewasz Rzeczpospolita jusz jusz do niecierpliwości jest dowiedziona“, a „o dalszey zwłoce musiałby *evincendo fidem* donieść.“ „Nazajutrz tedy (13 marca) — pisze starosta—*insperate* dano mi znać w kościele, że Car IMci czeka z audiencyą. Niedokończywszy tedy nabożeństwa pojechałem zaraz na audiencyą, po której oddałem ramotę. Uważałem, że pomieszany był Car IMość.“ Że mowa wypowiedziana przy téj sposobności przez starostę, nie podobała się ani Piotrowi, ani jego ministrom, mamy dowód w zarzutach, jakie późniéj robili mu z tego powodu ministrowie, mianowicie Szafirow. „W. Pan — wyrzucał staroście podkanclerzy — exkuzujesz a urażasz, jako w audiencyi u Cara J. Mości drwiłeś Waszeć z Cara mówiąc, że go cały świat słucha a woysko jego nie. Chwaliłeś Waszeć po retorycku Cara IMci, a przecie nie bez przymówki, y my po retorycku potrafimy gdzie tego potrzeba.“

Cóżkolwiekbądź, stało się jednak, według przyrzeczenia danego staroście na audyencyi, a 17 marca 1718 odbyła się konferencya między nim a Gołowkinem i Szafirowem, dająca, według relacyi spisanéj troskliwie przez naszego posła, nie mniéj dobre wyobrażenie o przebiegu toczącéj się sprawy, jak o stanowczości i energii samego posła. Po krótkiéj rozmowie w przedmiocie partykularnego pokoju między Piotrem a Szwecyą, o któréj to materyi obaj dygnitarze rosyjscy znaczące starali się zachować milczenie; po cierpkiéj z obu stron wymianie słów w przedmiocie mowy, z jaką starosta wystąpił na posłuchaniu z 13 marca, zainterpelował starosta obu ministrów wprost o przyczynę i racyą przedłużającego się pobytu wojsk rosyjskich. Odpowiedź Gołowkina na to zapytanie, odsłoniła odrazu prawdę sytuacyi. Gołowkin odpowiedział, że Piotr wydał istotnie rozkazy do dwóch dywizyi swych w Polsce, aby wychodziły; że jednakże trzecia, pod dowództwem Repnina, pozostanie o pięć marszów od granicy rosyjskiéj w krajach rzeczypospolitéj tak długo, „dopóki Król i Rzeczpospolita nie zaaprobują konwencyi zawartéj z miastem Gdańskiem.“ Ztąd zawiązała się na konferencyi owéj 17-go marca między posłem a ministrami Piotra długa i cierpka dyskusya, z któréj zarazem wypłynęły jako istotnie sporne między konferującemi stronami punkta: 1) sprawa konwencyi gdań-

skiéj, 2) sprawa kurlandzka. Co się tyczy *pierwszéj*, okazywali obaj ministrowie niesłychaną i niecierpliwą drażliwość, ile razy tylko poseł usiłował im wytłómaczyć, że król i rzeczpospolita nie mogą żadną miarą konwencyi gdańskiéj zatwierdzić raz dla tego, że się sprzeciwia sojuszowi zawartemu z Piotrem w roku 1704 i traktatowi warszawskiemu z roku 1717, następnie, że obchodzi się z Gdańskiem jakoby z osobną potęgą, któréj chce nakładać osobne jakieś ciężary wojenne, wreszcie, że stawia rzeczpospolitą w przykry delemat: albo wyparcia się opieki nad Gdańskiem, jako częścią swego ciała, albo uznania się hołdowniczą zależnością Piotra. Uległość podobna otworzyłaby oczy i innym sąsiadom rzeczypospolitéj, dla czego żadną miarą zatwierdzać konwencyi gdańskiéj nie można. Przychodziło z tego powodu w czasie konferencyi do ostréj wymiany słów. „Kiedym te proponował racye — pisze starosta w swém sprawozdaniu—wpadał mi często J. Mość Pan podkanclerzy (Szafirow) *impatientier*, pytając się, w czym konwencya gdańska jest przeciwko sojuszowi; pytałem się na to, jeżeli w sojuszu jest wziąść sumę pieniężną od Gdańszczanów? Odpowiadał, że to była sztrofa za korespondencye ze Szwedami. Pytałem się, czy mają dokument? Odpowiedzieli, że jest; prosiłem o kopię. Pytali się, jeżeli mam instrukcyą na to, aby się o to pytał y upominał o pieniądze wzięte. Odpowiedziałem, że nie mam instrukcyi teraz, abym się o to upominał, ale J. K. Mość y Rzeczpospolita inszego czasu o to rekwirować będzie. Tłumaczył to inaczéj J. Mci Pan podkanclerzy, obiecując woyskiem na tę odpowiedziéć rekwizycyą."

Co się tyczy sprawy kurlandzkiéj i ewakuacyi księstwa przez wojska rosyjskie, trwali obaj ministrowie przy dawniéj objawionéın postanowieniu, że ewakuacya przed zaspokojeniem pretensyi księżnéj Kurlandzkiéj nastąpić nie może, kiedy starosta oświadczał natomiast, że dla rozpoznania tych pretensyj będzie wyznaczona osobna komisya sejmowa, która „gdyby się nie podobała, upraszam się teraz najuniżeniéj o podanie inszego do tegoż pomiarkowania sposobu." Na tle powyższych tych oświadczeń swoich wypracował starosta obszerny memoryał i doręczył go 20 marca w Moskwie ministrom, „upraszając imieniem Króla i Rzeczypospolitéj o jak najpożądańszą expedycyą."

Otóż to streszczony obraz usiłowań, jakie starosta podjął ku spełnieniu powierzonego zadania. Tymczasem, pominąwszy już nawet drażliwość jego i trudność, z jakiemi się na dworze moskiewskim spotykał, stanowiła przybierająca coraz groźniejsze i większe rozmiary sprawa carewicza niepospolitéj doniosłości przeszkodę w uzyskaniu przez starostę „owéj prędkiéj i najpożądańszey ex-

pedycyi.“ Czekał za nią nadaremnie starosta w Moskwie do końca marca, dopraszając się równie nadaremno choćby prywatnéj audyencyi u Piotra, który załatwiwszy się z interesami w Moskwie, wybierał się w podróż do Petersburga, dokąd i starosta ruszyć za nim sobie przedsięwziął, „gdzie wolniejszy w większą wziąść może tę materyą reflexyą.“

Pojąć łatwo, że wśród podobnych wypadków, sprawa reprezentowana przez starostę zstąpiła na drugi plan, że ministrowie z żądaną przezeń ekspedycyą się nie śpieszyli.

W ostatnich dniach marca opuścili oni Moskwę i pojechali wraz z Piotrem do Petersburga, ograniczając całą swą ustępczość dla posła na udzieleniu paszportu do podobnejże podróży. Korzystając zeń, wybrał się starosta 9 kwietnia i odbył drogę wśród śniegów i mrozów, następnie roztopów, częścią kolaską, częścią sankami, częścią wodą, w przeciągu 32 dni. Dnia 11 maja stanął ponownie w Petersburgu, we dwa dni późniéj odbył konferencyą z Gołowkinem, która znów obracała się około trzech znanych nam już spornych punktów: pobytu wojsk Piotra w Polsce, konwencyi gdańskiéj i Kurlandyi, a nie posunęła, mimo wszelkich nalegań starosty, głównéj rzeczy, o którą chodziło, ani o jeden krok naprzód. Starosta znajdował się w ciągłéj, jak widzimy, korespondencyi, ze szlachtą kurlandzką. W Gdańsku był jego głównym a najbezpieczniejszym jeszcze wśród bardzo utrudnionéj komunikacyi korespondentem, tamtejszy generalny pocztmagister pruski Sardi. Dochodziły go więc wciąż czy to z Gdańska wiadomości o posuwaniu się dywizyi Repnina na Żuławach, ku terytoryum miejskiemu, lub o ponownéj wyprawie galer rosyjskich, zagrażających blokadą od strony morskiéj, czy z Kurlandyi o nieprzestannym sekwestrze dóbr książęcych, jako i „o przymuszaniu szlachty *et status Curlandiae* do podania Xięcia na miejsce *viventis*.“ Wiadomo dobrze, jak trudném, jak kłopotliwém jest położenie dyplomacyi, opierającéj się jedynie na podstawie prawa, które nie ma za sobą argumentu siły. Starosta Kopanicki, jak to na pochwałę jego bystrości politycznéj powiedzieć możemy, był o téj prawdzie głęboko przeświadczony, dopomina się w listach swych do prymasa, do w. kanclerza kor., do w. marszałka Józefa Mniszka częstokroć o konieczność jakiejbądź zbrojnéj demonstracyi pułków koronnych na Żuławach Gdańskich, a tymczasem grozi zręcznie Portą Ottomańską, która bliska będąc zawarcia pokoju z cesarzem, „gotowe siły czy to do Polski, czy to państw Carskich obrócić może.“ W takim zaś razie potrzebniejsze Piotrowi niż kiedykolwiek, dobre porozumienie z rzecząpospolitą.

Na wszystkie te przedstawienia, odbierał starosta od Gołowkina i Szafirowa tylko w przedmiocie ewakuacyi wojsk jakokolwiek pożądaną odpowiedź. Gdańsk i Kurlandya natomiast stanowiły szkopuły, o które się wszelka ustępczość dygnitarzy rosyjskich rozbijała. „Na wszelkie — pisze starosta 13 maja 1718 do w. kanclerza kor. — *in materia* Gdańska remonstracye, to tylko *repositum*, że C. I. Mość tego nie odmieni, co deklarował, y póty na Żuławach Xże Repnin będzie, póki Kaprów nie wystawią. Przydał, że od Porthy nie ma *metum* Car Imci przeciwko sobie, chyba przeciwko Polsce, *exprobrando* oraz, żeśmy nie chcieli poyść *in societatem armorum* przeciwko Turczynowi; na co *reposui*, że Rzeczpospolita doznawszy *fluctus kolligacyi* z Carem Imcią, dla którój wszystkie *incommoda belli* na grzbiecie swoim do tego czasu znosiła, nie chciała się w tęsz kolligacyą nowey woyny wdawać. Kontynuował daley IMci Pan Kanclerz, że jeżeliby Polska była niecierpliwa, niechay czyni co chce. Interess Carski jest *impedire* wszelkie ze Szwecyą korespondencye, *in quem finem negotiantes Ducatus Prussiae* ze Szwedami zabierać na morzu rozkazał. *In materia* Kurlandyi przyznał reprezentowane przezemnie konsekwencye wdania Cara IMci y Rzeczypospolitey w woynę.“ Tymczasem domaga się starosta nadaremno tak „reskryptu“ na podany memoryał i „expedycyi“ na swe konferencyjne żądania, kiedy przez cały maj dochodziły go pod bezpieczną kopertą kupca Thiringa z Rygi, coraz to więcéj alarmujące doniesienia od poczmistrza Sardego z Gdańska, od szlachcica kurlandzkiego Bülowa z Mitawy.

Nadszedł tak wśród owych żądań z jednéj, odmów czy zwłok z drugiéj strony czerwiec. Wśród ciągłych, ponurych zajęć, jakie wywoływał i na widowni petersburskiéj proces carewicza, nie mogła się mimo nalegań i kołatań starosty doczekać załatwienia i końca powierzona mu sprawa. Natomiast, zebrało się niespodzianie kilka okoliczności, które jéj mniéj lub więcéj otwarcie przeszkadzać poczęły. Jedną z takich był dokonany przez Sapiehów zajazd na dobra litewskie ks. Mężykowa, Dąbrowę. Bliższych szczegółów téj sprawy nie wyjaśniają listy starosty, ani inne znajdujące się w naszych ręku dokumenta. Być może, iżby się znalazły takowe gdzieindziéj. Cokolwiekbądź, stanowił ów zajazd Sapieżynki przykry wypadek, który wpływał niekorzystnie na usposobienie Mężykowa i wychodził na przeszkodę w staraniach posła. W gorszém nierównie świetle przedstawia się inny, nie mniej przeszkadzający jego misyi, zagadkowy nieco fakt następny, dowód widoczny owych prądów i usposobień, jakie starosta miał sposobność stwierdzić w styczniowym swym przejeździe przez Litwę. W czerwcu, właśnie kiedy

starosta nie przestaje kołatać coraz energiczniéj, choć ciągle nadaremno o „reskrypt“ i „expedycyę“, pojawił się w Petersburgu, niby-to mu do pomocy, niby to aby mu dodać ostrogi, niejaki Galiński stolnik wołkowyski. Starosta Kopanicki spoglądał na tę misyą po za plecami króla i rzeczypospolitéj z pewném niedowierzaniem od samego początku, podejrzywał tu nawet, choć jak się przekonał późniéj niesłusznie, skrytą rękę samego króla, a wypadki okazały wkrótce, że Galiński zamiast pomagać staroście w spełnieniu trudnego zadania, był raczéj równie zabiegle, jak intrygancko nurtującą jego przeszkodą. Stolnik wołkowyski przybywał po prostu, jak się pokazało, w skrytéj misyi od obu hetmanów litewskich, Pocieja i Denhofa, z poleceniem, by wejść w porozumienie z ministrami Piotra i postarać się o zatrzymanie wojsk rosyjskich w Polsce. Przyjechawszy w podobnéj misyi, Galiński odnosił naturalnie sukcesy, jakich Poniński z powodu cierpkiéj swéj postawy i niewygodnych żądań odnosić nie mógł. Stolnik zyskał posłuchanie u Piotra, odbywał konferencye z ministrami, był widocznie osobistością dobrze i chętnie widzianą na dworze i w świecie wysoko urzędowym, kiedy starosta nie tylko uwzględnienia swych postulatów, ale nawet odpowiedzi na nie uzyskać nie mógł.

Niedość, że w ten sposób zaszczepiano, jak pisze, za pomocą Galińskiego nieufność między królem a narodem, „*inter libertatem et majestatem*“, wstąpiła też równocześnie, jak donosi starosta w liście swym do starosty Babimojskiego 24 czerwca, i Brandenburgia w rząd czynników zamącających do współki z Petersburgiem sprawę kurlandzką. „Car chce zrobić Rzeczypospolitey zabawkę z Brandeburczykiem“—pisze starosta, a rzeczywiście wystąpił naówczas król Pruski z planem osadzenia na tronie kurlandzkim krewnego swego, margrabiego Brandenburg-Schwedt, a to przez ożenienie go z ks. Kurlandzką, na co Piotr zdawał się przez niejaki czas przynajmniéj przyzwalać. Pomysł podobny jednakże sprzeciwiał się wręcz równie prawom żyjącego jeszcze i przebywającego w Gdańsku ks. Ferdynanda Kettlera, jak najwyraźniejszym prawom rzeczypospolitéj; stawał się zaś tém niebezpieczniejszym, że zamiast jednego, tworzył Polsce dwóch przeciwników na widowni kurlandzkiéj, wikłał coraz gorzéj zatarg z Piotrem i utrudniał w nieskończoność misyą starosty. Wobec tych wzrastających z każdym dniem przeszkód, wobec nieustannych groźb Gdańskowi i pobytu dywizyi Repnina na Żuławach, radzi starosta w liście do w. kanclerza kor. zdobyć się na energiczniejszą akcyą i wyprawić na Żuławy „regimenty koronne.“ „Gdyby sobie tak postępowano wszędzie—pisze nie bez widocznéj goryczy—

skuteczniejsze by były moje remonstracye, ale widząc naszą dissimulacyą, daléj *progrediuntur.*“

Z długiego szeregu listów ówczesnych starosty, przytoczymy w co ważniejszych i charakterystyczniejszych ustępach niektóre. Tak pisze 3 czerwca do starosty Babimojskiego: „Tak długo się doczekać nie mogąc na podany mój memoryał reskryptu, od którego cała determinacya *dependet*, posełałem znowu 30 *Maii*, upominając się o ten reskrypt, który, gdy znowu *differebant*, pojechałem sam nazajutrz. Konfundował się I. Mci Pan Kanclerz z tego przedłużenia, prosił, aby jeszcze zaczekać. Prosiłem y ja o wybaczenie, że się tak często naprzykrzam y naprzykrzać będę. Przypominałem, żem na rekwizycyą Ichmościów dałem memoriał zaraz we trzy dni a reskryptu nań czekam już trzeci miesiąc. Przyznał, że tak, dokładając, że ten memoriał potrzebuje czasu, aby nań dobrze y należycie odpisać, dla tego upraszał o pacyencyą jeszcze. Przypomniałem na to rezolucyą moją, że jeżelibym widział zwłokę, tedybym o paszport upraszał y jeżeliby rezolucya nie *ad vota* Rzeczypospolitéj być miała, na cóżbym za nią miał czekać? I gdy mi odpowiedział, że takasz będzie, jaka dana na pierwszey konferencyi, znowumem przekładał idące za tem konsekwencye, nowe ztąd w Polsce zamieszanie, podanie nieprzyjacielowi okazyi do czynienia praktyk szkodliwych wspólnym interesom. Jeżeli interes Cara Imci jest, aby Rzeczpospolite była *in tranquillo statu, in quem finem* woyska Carskie (jako o tym w Paryżu na konferencyi rezolwowano) w Polsce przebywały, za cóż po uspokojeniu się Rzeczypospolitéj teraz woyska u nas bawiące się okazyą dają do zepsucia tego interesu. Przyznałem się, że uważający interessa, y okoliczności y chęć dobrą ku Rzeczypospolitéj Cara IMci, przy których nic nie chce uczynić *ad desideria* Rzeczypospolitéj, nie inaczey sądzę, tylko że z samey naszey Polski musi być kto taki, który Cara IMci perswazyami w tym utrzymuje. Nic mi na to nie powiedziano, tylko że jeszcze za listami od Xcia Dołgorukiego do Króla I. Mości posłanego, z reskryptem zatrzymują się. Pytałem się tedy, czy jaką mają od niego wiadomość względem determinacyi na rekwizycye Króla I. Mości. Odpowiedziano mi, że żadney. Upewniłem tedy, że inszey rezolucyi mieć nie będą nad tą, którąm tak często w remonstracyach moich na konferencyach przełożył Ichmosciom, dla czego upraszałem, aby się Car I. Mość chciał prędko determinować y obligować Rzeczpospolitę, nie mogąc dłużey czekać nad Sobotę przyszłą, to jest *diem* 4 *Junii.*“

Jak się przekonamy, przedłużył się jednakże pobyt starosty w Petersburgu bardzo znacznie nad powyższy termin, na co się zło-

żyły bardzo różne okoliczności: wspomniana wyżéj misya Galińskiego, proces carewicza, wreszcie umyślne zwłoki, których energia posła zwyciężyć nie mogła. Świadomość tego stanu rzeczy powtarza się ciągle w rozpaczliwych listach starosty, jak znów ze strony ministrów Piotra powtarza się niezmiennie odpowiedź, „że póty trzecia dywizya nie wynidzie, póki approbować nie będzie Rzeczpospolita konwencyi z Gdańskiem uczynioney y póki Gdańsk nie wystawi fregat obiecanych.“ Najciekawszą i najważniejszą pod tym względem była nowa konferencya 24-go czerwca, o któréj starosta tak pisze:

„Byłem 24 *Junii* po poczcie expediowaney u Imci Pana Kanclerza tutejszego, upominając się reskryptu, na co gdy według zwyczaju odpowiedział, że gotują, pytałem się, jeżeli Car I. Mość nie odmienił intencyi względem trzymania trzeciey dywizyi w granicach Rzeczypospolitej? Odpowiedział, iż jako na pierwszey deklarowano konferencyi, tak tosz y teraz Car I. Mości mówi, gdym znowu w téj materyi chciał mówić, czyniąc znowu niektóre remonstracye, niechciał y słuchać mówiąc: żeśmy dosyć już w téj materyi mówili, pytałem się jednak na jakim fundamencie ta dywizya jeszcze *subsistit* po wydanym już w Paryżu ukazie aby wyszła? Odpowiedział, ponieważ Gdańszczanie konwencyi zadosyć nie czynią. Pytam się: Ta sama konwencya Gdańska na jakim fundamencie czyniona? Wszystkie państwa mają prawa swoje, któremi się rządzą. Państwo zaś między państwem niczem się nie rządzi, tylko sojuszami. Jestże ta konwencya Gdańska na fundamencie sojuszu? y owszem, wyraznie jest przeciwko sojuszowi. Przyznał, że tak jest, ale Cara I. Mości wola. Wola, mówiłem, żeby była trwała, powinna być gruntowna, na fundamencie dobrym czyniona. Odpowiedział, że Gdańszczanie mają na wszystko gotowość y pieniądze, tylko Rzeczpospolita nie chce pozwolić. Odpowiedziałem, czy może to czynić z racyi, którém dawno powiedział. Pytałem się jaka rezolucya o Kurlandyi, do którey pretensye pomiarkować by się mogły. Powiedział, że może być tak, jakim projekt uczynił. Żeby zaś przymuszała Moskwa *status* do nominacyi Xcia, tego nie było. Przypomniałem list, któregom kopią podał, P. Bestużewa; exkuzował ten list, że to nie jest przymuszanie. Wziąwszy tedy informacyą nieodmienney Cara I. Mości rezolucyi, prosiłem o reskrypt. Y kiedy P. Kanclerz także prosił o poczekanie, mówiąc, że go gotuje, odpowiedziałem, że jusz czekam responsu tego cztery miesiące. Przypomniałem, żem jusz przed kilką niedziel namienił, że mam w instrukcyi, abym y bez expedycyi odjechał, chociażby ewakuacya woyska Carskiego była, gdyby miała być pózna y zwłóczona, dopierosz kiedy nie *ad vota* Rzeczypospolitéj rezolu-

cya. Dla tego poniewasz przez cztery miesiące nie możecie W. M. Panowie racyi fundamentalnych znaleść, dla których trzymacie u nas woyska, abym się więcey nie przykszył, proszę o paszport. Odpowiedział, że paszportu nie damy, ale reskrypt damy. Mówiłem na to, żeby to był polityczny sposób mnie przyaresztowania, nie dając ani reskryptu, ani paszportu. Iustyfikował się z tey suspicyi I. Mci kanclerz y gestem, y *admirationis notis*, nie mając tego nigdy w pomyśleniu, upraszał jeszcze o jakiś czas do tego reskryptu. Prosiłem, aby determinował dzień, w który reskrypt ma być oddany, obiecując cierpliwość moią do owego dnia. Nie chciał tego czynić, mówiąc, żem jest sługą Cara IMci, deklarować tego nie mogę, ale jak sam Car IMci rozkaże. *Ex hac immediata dependentia* od Cara I. Mci determinacyi czasu oddania reskryptu, domyśliwałem się, dla czego *retardant*. Dla tego tem bardziey *urgebam*, wyrażając, jakom tak długo był cierpliwy y dissimulujący, tak dłużej nie mogę znieść tego, aby Rzeczpospolita cierpiała. Widząc tę prolongacyę, upraszałem o paszport. Pytał się tu I. Mci Pan Kanclerz dosyć niedyskretnie, pretendując, żebym pokazał, czy to mam w instrukcyi. Odpowiedziałem, że instrukcyi mojéj nikomu pokazać nie mogę, ale mi krzywdę każdy czyni, ktokolwiek powątpiewa, żebym się według instrukcyi nie sprawił; prosząc za tem o wybaczenie, prosiłem IMość, jeżeli IMć miał ukaz od Cara IMci pytać się mnie, czy to mam w instrukcyi? Lepieyby mi było nie dawać audiencyi, niżeli dawszy nie wierzyć. Nic na to nie powiedział. Prosiłem daley o wybaczenie, że dłużey czekać nie mogę. Mogą Ichmość zważyć y w Xięstwie Litewskim do osoby moiey nieukontentowanie, kiedy iakobym tu próżnował, wysłali do Cara IMość z trybunału litewskiego. Odpowiedział, że żadnego listu nie było z trybunału do Cara IMci. Inszym zaś Ichmciom korespondencya z Carem IMością żadnym sposobem zabroniona być nie może. Nie chciałem się w to głęboko wdawać, jednak widząc, że to mówił nagotowany, spodziewając się, że tym korespondencyom przeszkadzać miałem, przypomniałem, że to przeciwko powadze Cara Jegomości, utrzymawszy po traktącie warszawskim powagą swoją tę konstytucyą zabraniającą korespondencye onesz *favorare*, odpowiedział, że się to nikomu zabronić nie może. Pytałem się, czyby miło było Carowi IMci, gdyby kto z poddanych iego korrespondował z Królem IMością P. N. N. Odpowiedział, że tego Car IM. zabronić nie może, a jako to przedtym bywało, tak y na potym będzie. Przydał: Macie W. M. Panowie konstytucye, ale się według nich nic nie dzieje. Odpowiedziałem, że jeżeli konstytucye podczas zamieszania zawieruszyły się gdzie w kąt, to teraz przyszedłszy wolność z majestatem do konfidencyi, prawa

te wezmą się na stół y otworzą się, byle komu z tem ciężko nie było. Poniewasz zaś nadzieię czynił prędkiego reskryptu, prosiłem o prywatną u Cara I. Mości audiencyę, którą obiecał, byle się Car ułacnił."

Przytoczyliśmy umyślnie długie powyższe sprawozdanie starosty z konferencyi z Gołowkinem i Szafirowem, ponieważ ono właśnie daje najlepsze wyobrażenie nie mniéj o charakterze i postawie posła, jak o intrydze podkopującéj jego działalność ze strony dygnitarzy litewskich, jak o samemże położeniu rzeczy. Biada wszelkiéj dyplomacyi, która nie ma za swojemi słowami argumentów czynu i siły. Czuł to i rozumiał bardzo dobrze starosta, nalegał dla tego, na jakąbądź w okolicy Gdańska zbrojną demonstracyą ze strony rzeczypospolitéj, jeżeli akcya jego w Petersburgu ma choć do pewnego stopnia być skuteczną. W razie przeciwnym a istniejącym niestety, przedstawiała się rzecz dla Polski i dla misyi starosty w najtragiczniejszych barwach. A więc najprzód niespełniona w niczém obietnica wyprowadzenia wojsk, następnie stanowcze oświadczenie wymuszenia siłą na Gdańsku zawartéj z nim konwencyi, wreszcie okupacya Kurlandyi aż do zadosyć uczynienia pretensyom owdowiałéj księżnéj. W takiém położeniu rzeczy pozostawało tylko staroście uważać układy za zerwane i domagać się paszportu. Jednakże, zabraniał ten sam interes, który wymagał pozostawienia wojsk rosyjskich w Polsce, stanowczego i wyraźnego z rzecząpospolitą zerwania. Zerwanie zagrażało rozpoczętym ze Szwecyą rokowaniom. Niepewna, co najmniéj, postawa Anglii, Hanoweru, cesarza Niemieckiego i Porty zapowiadała, iż w razie istotnego zatargu z Piotrem, Polska nie pozostałaby prawdopodobnie bez sprzymierzeńców, jak się téż rzeczywiście w kilka miesięcy późniéj stwierdzić miało. Ztąd to tłómaczyć sobie należy owe zwłoki stanowczéj decyzyi, owe obietnice „reskryptu" i „expedycyi", owo odmawianie paszportu.

Tymczasem pod koniec czerwca, w pierwszych dniach lipca (1718) zachmurzał się coraz bardziéj horyzont około starosty. Podkopywał go u Piotra stolnik Galiński. Słabą podporę, jeżeli nie wyraźną przeszkodę znajduje w pośle saskim Loosie, którego, nie wiadomo o ile słusznie, podejrzywa o współintrygowanie z Galińskim i o chęć zatrzymania wojsk carskich w Polsce w interesie Augusta. Komunikacya z Polską była nadzwyczaj utrudnioną, zwłaszcza wśród toczącego się jeszcze procesu carewicza. Nie dochodziły go, jak się uskarża, listy z Polski, nie dochodziły listy jego do Polski. Najbezpieczniejszymi, jak dotąd, pośrednikami korespondencyi pozostają kupiec Thiring w Rydze, poczmistrz pruski w Gdańsku Sardi, kiedy

on sam, do Petersburga, każe sobie nadesłać listy pod adresem „leytnanta A. Merfelda."

Równocześnie trwa męcząca zwłoka, bez odpowiedzi, bez paszportu, stan istnéj niewoli, wśród któréj raz poraz powtarzająca się obietnica „rychłego responsu." Jakżeż to inaczéj wszystko w porównaniu z przeszłoroczną misyą paryską, któréj paralela nasuwa się częstokroć pod pióro staroście w jego listach. Jakże rozpaczliwie brzmi w liście z 4 lipca taki np. ustęp: „ale ani paszportu dać nie chcą y jusz y manifestem grożą; jednak tego nie uważają, kiedy króla (Augusta) y hetmanów (litewskich) mają, tamtego dla Kurlandyi (dla zamierzonego następstwa Maurycego Saskiego), tamtych dla pieniędzy."

Jedyną pociechą w ówczesnych utrapieniach starosty a być może, iż i niezupełnie bezskuteczną okolicznością dla zakończenia jego męczeńskiéj misyi i uwolnienia jego osoby, był fakt rady senatu Rydzyńskiéj, odbytéj 10 czerwca 1718 pod przewodnictwem samegoż Augusta, rady zdobywającéj się przecież na jakieś energiczniejsze postanowienia względem carskiego reprezentanta w Polsce, Dołgorukiego. Przebieg wspomnianéj rady był następny. Kiedy starosta męczył się w najlepsze nad spełnieniem swéj misyi, a wojska Piotra mimo wydanych rozkazów, pozostawały w Polsce, zjechał August 31 maja z Drezna do Rydzyny, gdzie w zamku wystawionym przez króla Stanisława, przebywającego na wygnaniu Zweibrückeńskiém, zabierał się odbyć radę senatu. Była ona zewnętrznie świetniejszą, zapowiadała się nadto znaczeniem politycznêm ważniéj i poważniéj, od poprzednich. Zjechał równocześnie do Rydzyny, a dostał pomieszczenie w pobliskiéj wsi Dębcu wysłannik Porty Kapidżi Basza, przybywający, co najważniejsza, z ofiarami przyjaźni i przymierza rzeczypospolitéj przeciw Piotrowi. Na siedemnastu zaś obecnych senatorów i ministrów, było trzynastu Wielkopolan, czyli reprezentantów województw, które cierpiały dotąd najdotkliwiéj przez pobyt wojsk rosyjskich. Rezultatem ztąd dość naturalnym, że rada senatu mogła być i była téż istotnie więcéj, niż kiedykolwiek, stanowczą i śmiałą w postulatach swych wobec Piotra i jego reprezentanta Dołgorukiego. Odbyła się rada, jak już powiedziano 10 czerwca, a pominąwszy inne jéj, obojętne dla naszego przedmiotu uchwały, najważniejszym jéj czynom było wygotowanie do Dołgorukiego długiego, obszernemi argumentami popartego, stanowczego w swych postulatach listu, w którym rada żądała wyprowadzenia wojsk rosyjskich z wszystkich krajów polskich, nie wyjmując owéj trzeciéj dywizyi Repnina, przeznaczonéj iść pod Gdańsk. W liście tymże odmawiała Rydzyńska rada zawartéj między Gdań-

skiem a Piotrem konwencyi wszelkiego obowiązującego znaczenia, dopóki by jéj król i rzeczpospolita sankcyi nie udzielili. Oświadczenie podobne, jakkolwiek tylko akt papierowy, nie poparty żadnym czynem, ani nawet jak tego chciał starosta Kopanicki, żadną choćby demonstracyą zbrojną, nie pozostało przecież bez wpływu, dodało postawie jego więcéj śmiałości. Za odebraniem doniesienia o wystąpieniu rady senatu, udał się starosta 28 czerwca ponownie do Gołowkina i Szafirowa, powołując się na odebrane z Polski wiadomości, żądając natarczywie albo szybkiej odpowiedzi, albo paszportu, w każdym zaś razie audyencyi u Piotra. Ze strony ministrów spotkała go znowu zwlekająca, pełna nowych wybiegów odpowiedź. Co się zaś tyczy żądanéj audyencyi, wpłynęło na to żądanie starosty najniewątpliwiéj rozwiązanie ostateczne strasznéj tragedyi, jakiéj od pół roku już widownią były Moskwa naprzód, następnie Petersburg. Carewicz, z którego procesu i śledztwa śladami spotykamy się jeszcze niejednokrotnie w pozostałych po staroście Kopanickim papierach, zakończył nareszcie opłakany żywot w twierdzy petersburskiéj 8 lipca. Piotr wyprawiwszy synowi uroczysty pogrzeb, wyjechał natychmiast do Kronsztadu następnie do Rewla, potém zamierzał udać się na wyspy Alandzkie, podobno dla osobistego spotkania się z królem Szwedzkim. Dość, że nie uzyskał starosta mimo wszelkich starań żądanego posłuchania.

Przeciągnęły się w takim stanie rzeczy do 23 lipca. Misya starosty, nie poparta akcyą z kraju, paraliżowana do pewnego stopnia z Litwy, znajdująca pierwszą i ostatnią pomoc w uchwale rady Rydzyńskiéj, chybiła; poseł sam domagał się już tylko osobistéj wolności, możności wyjazdu, paszportu, domagał się interwencyi królewskiéj, aby mu swoboda osobista była przywrócona. „Jestem jako w więzieniu,“ pisze do Sardiego, „z którego wybawienia codzień czekam. Jużem nieodmienną odebrał ustną rezolucyą, że trzecia dywizya póty zostanie, póki Rzeczpospolita konwencyi gdańskiéj aprobować nie będzie, ale to *praetext*, w rzeczy saméy zaś, aby bliższymi y gotowszymi byli in *succursum* do Meklemburgii. Chociażby ta trzecia dywizya wyszła, jednakowoby nie dotrzymano, y miawszy sobie Polskę za kamienicę przechodnią, zawszeby się do Meklemburgii przechodzili.“ Nareszcie, 31 lipca, odebrał starosta z rąk ministrów datowaną dnia 12 lipca 1718 z Kronsztadu odpowiedź na swój podany Piotrowi 12 marca memoryał. Uważając go za niewystarczający, upomniał się starosta o list Piotra do króla i rzeczypospolitéj, uwierzytelniający carski „reskrypt“ i uzyskał téż takowy po niejakich targach. „Dali,“ pisze 31 lipca, „paszport y expedycyą a sposobu wyjazdu bronią“ (podorożnego nie dają). Wspomniony reskrypt, nie-

znany dotąd przytaczamy w całéj rozciągłości ze względu, iż stwierdza smutną prawdę ówczesnych stosunków rzeczypospołitéj z przemożnym aliantem. Dokument ten brzmi w oryginalnym swym języku dosłownie, jak następuje.

„O wyprowadzeniu Jego Carskiego Wieliczestwa woysk z ziem Rzeczypospolitéj przy odprawiającey się na Moskwie konferencyi od ministrów *status*, obszernie jest I. Mość Panu staroście Kopanickiemu objawiono, że kiedy IMość od Jego Królewskiego Wieliczestwa y Rzeczypospolitéj z rekwizycyą o wyprowadzenie tych woysk przysłany był do Jego Carskiego Wieliczestwa, natenczas z tymże J. Mością odprawione były Jego Carskiego Wieliczestwa ukazy do komenderującego I. Mci Pana Generała Feldmarszałka Graffa Szeremeta y drugich generałów o wystąpieniu onych z temi woyskami w granice Jego Carskiego Wieliczestwa, według którego Jego Carskiego Wieliczestwa ukazu, ci generałowie jak prędko sposobny czas do tego onym posłużył, marsz swoy odprawowali y jusz dawno większa część wyszła w granice Jego Carskiego Wieliczestwa, tylko jeden generał Xżę Repnin po ukazu Jego Carskiego Wieliczestwa z dywizyę swoią za pięć marszów do granicy był ostawiony y to dla tego, że Gdańszczanie po uczynioney z Carskim Wieliczestwem konwencyi przyobiecali poprzestać z Szwecyą odprawować targów y korrespondencyi, jako z spólnym nieprzyjacielem, tak Jego Carskiego Wieliczestwa, jako y Jego Królewskiego Wieliczestwa y Rzeczypospolitéj (ponieważ przeto wielka pomoc y przybytek jest nieprzyjacielowi) y aktualnie przeciwnych siebie onemu pokazawszy, chcieli wystawić trzy fregaty wojenne swoim kosztem pod imieniem Jego Królewskiego Wieliczestwa y za iedno przy orężu Jego Carskiego Wieliczestwa z temi fregatami starać się chcieli wszelką czynić przestrogę targom szwedzkim, o czym iego Carskie Wieliczestwo tegoż samego czasu hramotę swoją do Jego Królewskiego Wieliczestwa pisać raczył. Oraz y posłowi o tym Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Rzeczypospolitéj przełożyć rozkazał, aby dla dobra pospolitego y spolnego sojuszu na tę uczynioną konwencyą aprobacyą swoią Jego Królewskiego Wieliczestwa uczynić raczył y na wypełnienie wszystkiego tego należące ukazy do magistratu gdańskiego odprawione były. A ponieważ według żądania Jego Carskiego Wieliczestwa dotychczas od Jego Królewskiego Wieliczestwa aprobacya na to nie jest uczyniona y przynależące ukazy, odkładając do następnego seymu, do magistratu gdańskiego nie odprawione. Przeto rozkazano generałowi Xięciu Repninowi z jego dywizyą dotychczas być w ziemiach Rzeczypospolitéj, póki Gdańszczanie według obietnic swoich wszystko wypełnią, gdyż Jego Carskie Wieliczestwo

sprawiedliwe ma przyczyny do tego ich przymuszać y dla tego generał Xiążę Repnin ma rozkaz zbliżać się ku miastu Gdańskowi. A najbardziéj że z wielu mieysc mamy wiadomości, iż Król Szwedzki nie mogąc więcéj armeję swoją, *de novo* teraz w niemałych tysiącach zebraną na swoim koszcie w swoich utrzymywać ziemiach, dla tego ma przedsięwzięcie z tą armją swoję transport uczynić ku Gdańskowi w Polskę, albo też w Prussy i Germanię. Przeto tym Jego Carskiego Wieliczestwa woyskom dla dobra pospolitego wszystkich skolligowanych aliantów pobliżey być należy, ażeby w takiey okazyi z woyskami wysokich Jego Carskiego Wieliczestwa aliantów a osobliwie Jego Królewskiego Wieliczestwa Pruskiego złączywszy się, szwedzkie przedsięwzięcia przeszkodzić mogli. Jeżeli zaś Jego Królewskie Wieliczestwo uczynioną z miastem Gdańskiem konwencyą approbować y należące o tym ukazy a osobliwie o *worężeniu* fregatów do magistratu gdańskiego posłać y ich do wykonania tego wszystkiego przymusić y pobudzić raczy, y żadnego niebezpieczeństwa od transportu szwedzkiego nie będzie, w tym tedy Jego Carskie Wieliczestwo Jego Królewskie Wieliczestwo y Rzeczpospolitą upewnić raczy, że na ten czas bez zamieszkania te pozostałe woyska z ziem Rzeczypospolitéj do swoich granic wyprowadzi... Gdy zaś I. M. Pan starosta Kopanicki w podanym swoim memoriale *inter caetera* y to wyraził, że Jego Królewskie Wieliczestwo dla tego tey uczynioney z miastem Gdańskiem konwencyi approbować nie może, ponieważ tę konwencyę uczynił magistrat bez dania wiadomości y konsensu Jego Królewskiego y Rzeczypospolitéj, dla tego na to daie się ten respons, że przed dwiema roki, kiedy Jego Carskie Wieliczestwo podróżą swoią w Germanię odprawować raczył, w którym z Jego Królewskiem Wieliczestwem miał powitanie w Gdańsku, natenczas tedy tak Jego Królewskiemu Wieliczestwu, jako y znanym Rzeczypospolitéj osobom, przy Królewskiem Wieliczestwie będącym a mianowicie biskupach Warmińskim y Kujawskim, podskarbim Przebendowskim, wojewodzie Chełmińskim Rybińskim, o wszystkich od tego miasta spolnemu sojuszowi czyniących się przeciwnościach, obszernie takim sposobem przekładać raczył, że miasto Gdańsk nazywa się być Jego Królewskiego Wieliczestwa y według obligacyi sojusza należy onym przeciwko spolnego nieprzyjaciela dopomagać y z nim iako z nieprzyjacielem postępować. Lecz oni miasto tego wszystko czynią *in favorem* Szwecyi, poniewasz wspomagaią onych pieniędzmi przez wexel y swobodne targi z nią odprawiaią; przez ich albowiem sukkurs tak długą Szwedzi przeciągayą woynę. Dla tego tedy, aby Jego Królewskie Wieliczestwo y Stany Rzeczypospolitey ich Gdańszczan przymusili, ażeby oni odprawowania targów z Swecyą

poprzestali, y żadnego wspomożenia nie czynili; lecz naybardziey aktualnie według spolnego sojuszu przeciwko oney dopomagali, o czym Jego Królewskie Wieliczestwo y Stany Rzeczypospolitey przy Jego Królewskiem Wieliczestwie natenczas będące, chociay Gdańszczanom przekładali. No, poniewasz wtedy żadnéj skłonności od nich na to nie było, przeto Jego Carskiemu Wieliczestwu Jego Królewskiemu (?) Wieliczestwu (?) raczył, że po wielu remonstracyach Gdańszczanie na to skłonności swey nie pokazuią y że Jego Królewskie Wieliczestwo siłą przymusić ich do tego nie może, lecz żeby sam Jego Carskie Wieliczestwo dla dobra pospolitego do tego onych przymuszać raczył. Co Jego Carskie Wieliczestwo natenczas zaniechał, gdyż woyskom potrzeba było nie opuszczając czasu marsz swóy w Duńską kontinuować ziemię dla maiących się odprawować akcyi przeciwko spolnego nieprzyjaciela. Przy powracaniu się tedy woysk Jego Carskiego Wleliczestwa z Germanii, o pomienioney konwencyi z Gdańszczanami konsentiment jest uczyniony. O czym tegosz czasu Jego Carskie Wieliczestwo przez hramotę swoią Jego Królewskie Wieliczestwo uwiadomić raczył. Z czego I. Mość Pan starosta Kopanicki poznać może, że nie bez komunikacyi o tem Jego Królewskiemu Wieliczestwu y znałym Rzeczypospolitey osobom jest to uczyniono. A do tego, gdy ta konwencya ku dobru jest Rzeczypospolitey, przeto nie z małym iest Jego Carskiego Wieliczestwa podziwieniem, dla czego Jego Królewskie Wieliczestwo konwencyi tey aprobować nie zezwala, kiedy ona uczyniona jest nie w przeciwność interessom Rzeczypospolitey, ino bardziey pożyteczna wszystkim skoligowanym aliantom Dla tego y samym należałoby wszelkiemi sposobami pobudzać do tego Gdańszczan, aby przyobiecanemi worężnemi swemi fregatami mogli iaki uszczerbek przynieść nieprzyjacielowi, poniewasz samych ich wymaga interess szukać tego wszelkiemi sposobami, aby nieprzyjaciela bezsilnym uczynić y ku pożywieniu onego potrzebnych materiałów y chleba nie przepuszczać, ponieważ on większą część do sustentowania się z Gdańska otrzymał. Tu zaś przeciwnym sposobem od przedsięwziętego ich samych worężenia utrzymywaią y oną wypełnić bronią, przez co samo przeciwność czynią postanowionemu z Jego Carskiem Wieliczestwem sojuszowi, gdysz sami nic poczynać nie chcą. Tym zaś, którzy przeciwko nieprzyjaciela postępować y onemu iaki mały uszczerbek uczynić są skłonnemi, od Rzeczypospolitey zabrania się. Wszystek zaś ciężar tey wojny na jednego tylko Jego Carskie Wieliczestwo składają, którą dotychczas Jego Carskie Wieliczestwo z wielkim swoim kosztem musiał ieden ponosić, bez żadnego według obligacyi sojuszu wspomożenia. Mniemamy oraz, że Jego Królewskiemu Wieli-

czestwu y Rzeczypospolitey jest pamiętno, kiedy Turcy wszczęli woynę, przeciwko Jego Carskiemu Wieliczestwu, tylko z tey przyczyny gdy faworyzuiąc oni Królowi Szwedzkiemu to przedsięwzięcie z spólnym nieprzyjacielem wzięli, aby do Polski wstąpiwszy, siłą postanowili królem Stanisława. Co Rzeczpospolita w pilny przyiąwszy rozsądek obaczyć może, jakie Jego Królewskiemu Wieliczestwu niebezpieczeństwo y iak cierpka Rzeczypospolitey mina y naruszenie wolnościom przez to przytrafić się mogłoby. Co widząc Jego Carskie Wieliczestwo y do tego zła Jego Królewskie Wieliczestwo y Rzeczpospolitą dopuścić nie chcąc, rozkazał przeciwko tego u Porty protestować, przez co od Turków nawiódł na siebie woynę y przy początku oney, chociay Jego Królewskie Wieliczestwo y Rzeczpospolita *in senatus consilio* w Jarosławiu byli postanowili y według obligacyi rozhoworu wiecznego pokoiu *et secundum defensivum foedus* przyobiecali z woyskami swemi przeciw Turkom dopomagać, naznaczywszy posłać *corpus* woysk koronnych y litewskich. Lecz potém uwidział Jego Carskie Wieliczestwo, że te woyska nie tylko przeciwko Turkom, ale tesz y za granicę nie wychodziły a Jego Carskie Wieliczestwo za przeciwnym przytrafiwszy się trafunkiem y za niedostatkiem prowiantu, nietylko niebezpieczeństwa wielkie, lecz y niezliczone poniósł ubytki. Przytym y prowinciją Azowską z miastem y *Hawen* (portem) na Taganrogu, gdzie okręty przystają, z drugiemi miasteczkami, dla otrzymania pokoiu oddać Turkom musiał, ażeby z swoiey strony woynę ukończyć, swobodne mieć zaś ręce przeciwko króla szwedzkiego. Oraz należałoby pamiętać przeszłey konfederacyi Tarnogrodzkiej domową woynę, przez którą Jego Królewskiego Wieliczestwa wysokiey osobie i władze, iliteż wolnościom Rzeczypospolitey naruszenie wynikałoby, ieżeliby Jego Carskie Wieliczestwo według prośby Rzeczypospolitéj nie przedstawił mediacyi swoiej y przez *authoritet* swoią, to *oporządziło* (sic), nie przyprowadziłby do dobrego y na wszystkie strony pomiarkowanego przymierza, nie szukaiąc przy tym y nie wymagaiąc żadnego sobie interessu, według którey całemu światu pochwalney, pozyskany zaś interessom Jego Królewskiego Wieliczestwa y Rzeczypospolitey od Jego Carskiego Wieliczestwa uczynioney skłonności, można Jego Carskiemu Wieliczestwu oczekiwać było podziękowania. Lecz przeciwnym sposobem przymuszony widziéć od I. Mci Pana Starosty Kopanickiego przy podaney onemu audiencyi kontenta oracyi, także y na konferencyach bardzo urażające z niektórym ugrożeniem narzekania, czego Jego Carskie Wieliczestwo za takowe swoie dobre sprzyiaiące chęci, których wszystkich y wypisać trudno, nie zasłużył. Chociay tego nie iest wiadomo, jeżeli to pomieniony starosta po ukazu, ili też sam sobą uczynił.

O czym wszystkiem ukaz jest Posłowi Jego Carskiego Wieliczestwa Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Stanom Rzeczypospolitey przedłożyć y iawno uczynić. I tey jest Jego Carskie Wieliczestwo nadzieiey, że kiedy Jego Królewskie Wieliczestwo y Stany Rzeczypospolitey przyjmą wszystkie te Jego Carskiego Wieliczestwa w pilny rozsądek przędłożenia, to nie tylko temu, że woyska Jego Carskiego Wieliczestwa zbliżają się ku Gdańskowi, nie będą przeciwni, lecz rozważając o dobru pospolitym a osobliwie o swoim partykularnym bezpieczeństwie, sami do tego ich Gdańszczan pobudzić nie zaniechają y approbowawszy nawet tę konwencyę, ku wykonaniu oney należące ukazy do magistratu poszlą, nie dopuszczając do ostatniego przedsięwzięcia przeciw tego miasta... Co zaś należy o pretensyach Jego Carskiego Wieliczestwa do Kurlandii. według rozhoworu małżeństwa między nieboszczykiem Xięciem Kurlandzkim y Synowicą Jego Carskiego Wieliczestwa, Jaśnie Oświeconą Carówną Anną, y o tém już wielokrotne prośby od Jego Carskiego Wieliczestwa Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Stanom Rzeczypospolitéj o satisfakcyi przedłożone były, lecz nigdy w tém skłonności nie pokazano było, dla tego tedy sam Jego Carskie Wieliczestwo satisfakcyi szukać był przymuszony. O czym Jego Carskiego Wieliczestwa Poseł ma ukaz przekładać Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Stanom Rzeczypospolitey. (Podp.) Kanclerz *Graf Gołowkin*, podkanclerz Baron *Piotr Szafirow.*“

Nieznany ten a ważny dokument zamieściliśmy w całości z dwojakiéj przyczyny. Najprzód ze względu na ciekawy szczegół, jaki odsłania pod względem *formalnym*. Jak widać z całego stylu, układu i języka niepoprawnego owego dokumentu, toczyły się, jeżeli nie ustne konferencye między posłem rzeczypospolitéj, a kanclerzami carskiemi, to z pewnością piśmienna korespondencya w języku *polskim*, takim naturalnie, jakiego charakterystyczną próbkę dostarcza nam powyższy dokument. Nie mniéj ciekawym jest powyższy dokument pod względem treści. Reprezentanci Piotra odzywają się do sprzymierzonéj z sobą rzeczypospolitéj tonem nie sprzymierzeńców, ale wyraźnych panów. Obietnica wyprowadzenia wojsk pozostaje obietnicą bez jakichbądź widoków urzeczywistnienia, Gdańsk, miasto wchodzące w skład rzeczypospolitéj ma być bezceremonialnie zmuszone przez Repnina do wykonania narzuconéj sobie konwencyi w przedmiocie wystawienia kaprów i zapłacenia kontrybucyi. Co się tyczy Kurlandyi, również części rzeczypospolitéj, zapowiada Piotr że myśli sobie poszukać sam odmawianéj satysfakcyi. Nie dość na tém, poczynione królowi i rzeczypospolitéj zarzuty, że nie dopełnili sojuszu, że zrzucili cały ciężar wojny na Piotra, że go bez pomocy

pozostawili w obec całéj potęgi Porty. Z oskarżającéj stała się w dokumencie tym rzeczpospolita oskarżoną a jeżeli kto wyszedł obronną ręką, to starosta Kopanicki, który „czyto na audiencyi, czy na konferencyach", choć pozbawiony wszelkich środków wspierających zwykle akcyą dyplomatyczną, „odzywał się z narzekaniami i ugrożeniem."

Rozdrażniony i rozżalony do najwyższego stopnia, wśród ciągłych jeszcze sporów i targów z ministrami o list do króla i stanów rzeczypospolitéj, o kopię powyższéj, udzielonéj sobie rezolucyi, znalazł się nareszcie starosta w jéj posiadaniu w pierwszych dniach sierpnia (1718) a po uzyskaniu paszportu i podorożnego, widzimy go z wielkiem zadowolnieniem, po półrocznym przeszło, utrapionym pobycie, przygotowującego się nareszcie do wyjazdu. Kiedy Petersburg opuścił, nie widać dokładnie z pozostałych po nim papierów. Najprawdopodobniéj, nastąpiło to jednakże około połowy sierpnia, ponieważ dnia 20 tegoż miesiąca widzimy go w Rydze, zkąd wyprawia jeszcze cierpki w przedmiocie swéj misyi list do Gołowkina. Złamany na duchu, zmitrężony doznanemi przykrościami i niepowodzeniem legacyi, wyjeżdża następnie do Mitawy, dokąd przybywa 22 sierp. „Y tu ztąd," pisze do starosty Babimojskiego, „zadosyć uczynię powinności moiey, ucierpiałem siła, wyjście zaś trudne... W czym mnie tylko mogli mortifikować, nie omieszkali, nie mogąc ani *pretio*, ani groźbami *frangere.*" Istną rozpaczą był nacechowany inny, równoczesny list starosty, do prymasa: „Jakże *una manus* (starosta sam) miała *aedificare*, kiedy druga (Galiński i dygnitarze litewscy) ruynowała, ale o tym pisać trudno. Posełam kopie, z których się W. X. Mość doczytasz y domyślisz, jakie jeszcze formować będą pretensye. Chociaszby y ta trzecia wyszła dywizya, jednakby nie dotrzymano y *pro libitu* by wchodzili, kiedy im potrzeba będzie, do Meklemburgii." Przewidywania te spełniły się prędko, bo już za przybyciem do Tylży, 17 września, doszła starostę wiadomość o wkroczeniu nowych dziesięciu pułków rosyjskich od strony Smoleńska na Litwę pod Mińsk...

Nie zatrzymując się nad szczegółami przykréj przez Żmudź podróży, połączonéj z tak drażliwemi zajściami, iż się w przedmiocie ich starosta udawał ze skargą do biskupa Żmudzkiego Horaina,—powiedzmy, że Poniński po kilkunastodniowym wypoczynku na terytorium pruskiem w Tylży, ruszył do Grodna, gdzie stanął 3 października 1718. Tutaj to wrzało wszystko gwarem i życiem w obec zbierającego się, pierwszego po uspokojeniu kraju na sejmie niemym, walnego sejmu. Zjechał już był na miejsce, król w zwykłém otoczeniu dworu saskiego, panów i ministrów rzeczypospolitéj, zjeżdżali się

powoli posłowie, znaleźli się ambasador Piotra, jednooki książę Hrehory Dołgoruki, reprezentant króla pruskiego baron Kunheim. Jak w 75 lat późniéj na tejże saméj widowni, tak i naówczas przedstawiali Dołgoruki i Kunheim ligę i wspólny interes obu państw sąsiadujących z Polską, zwłaszcza, że Prusom podobnie jak Piotrowi chodziło o wytrącenie Augustowi naczelnictwa nad wojskiem rzeczypospolitéj, co się spełniło przez rezygnacyą z dowództwa obu hetmanów, zwłaszcza daléj, że Prusy poczęły zaglądać do Kurlandyi z cichem przyzwoleniem Piotra, podejmując plan ożenienia margrabiego Brandenburg-Schwedt z księżną Kurlandzką. Co się tyczy zgromadzonéj szlachty, wrzała ona rozdrażnieniem i gniewem z powodu nieustającego ciężaru, jaki na nią spadał przez pobyt wojsk rosyjskich, domagała się natarczywie nowych środków zaradczych, odkazywała się przeciw Dołgorukiemu, wyprawiała doń nawet deputacye z groźnemi, jak byśmy powiedzieli po dzisiejszemu, interpelacyami. Nie przeszkadzało to jednakże, że w gronie jéj nie zbywało na licznych, mniéj lub więcéj otwartych zwolennikach rosyjskiego interesu. „Przyjaciół moskiewskich siła tutaj“— pisze starosta 26 października, ulegając temu samemu usposobieniu, tym samym wrażeniom, jakie wywiózł z sześciomiesięcznego przeszło na Moskwie pobytu. Akcya jego w Grodnie przedstawia się następnie: Nazajutrz po przybyciu, 5 października, „przywitałem—pisze—Króla IMci, u którego miałem prywatney audiencyi z godzinę. Byłem i u inszych Ich Mościów, osobliwie Ich Mościów P. P. ministrów; wszędzie obawiałem się nagany za to, żem list odesłał od Cara I. Mości nazad, ale to wszyscy pochwalili.“ Odtąd, przez kilkanaście dni, widzimy starostę, nie będącego ani posłem, ani ministrem, na uboczu, co najwięcéj bacznym i bystrym widzem czynności i ludzi sejmowych. Raz poraz, jak sam powiada, przychodziło między nim a Dołgorukim do ostrych, jakkolwiek dyplomatyczną galanteryą osłonionych przemówek. „Byłem ja tamże (u prymasa) — pisze starosta w swym grodzieńskim dzienniku 17 października — gdzie mnie Xżę Dołgoruki nadzwyczay obligował sobie y Sekretarz Carski z nim będący zapraszał mnie znowu do Moskwy, chcąc poprawić tego, w czymkolwiek w traktowaniu mnie *peccatum*.

Dzień 19-go października dopiero zapisuje się w kronice sejmu ważnym aktem, w którym widzimy uczestniczącego i starostę Kopanickiego. W dniu tym, po ustąpieniu arbitrów, w obecności króla, kanclerzy i ministrów obojga narodów, połączonych izb poselskiéj i senatorskiéj— składali wszyscy z kolei wyprawieni kiedybądź do Piotra posłowie, sprawozdanie ze spełnionych przez się legacyi. Pierwszy zdawał sprawę Wołłowicz, referendarz lit., jako sekretarz

misyi, odbytéj przez zmarłego późniéj brata swego, w. marszałka lit. w r. 1710. Jako drugi zdawał podobnąż sprawę Jakób Dunin, regent kancelaryi kor., z misyi odbytéj w trzy lata późniéj,—wszystko nadaremne tylko próby bezsilności starającéj się siłę przekonać argumentami pisanego prawa i literą traktatów. Jako trzeci zabrał głos starosta Kopanicki i odezwał się w następne słowa:

„Posłany na południe, posłany na północ, w ukazach woyska moskiewskie wyprowadzających *ramum olivae* przynosiłem. Z północy *ab aquilone* oziębłą Cara IMości ku Rzeczypospolitéj niosę chęć i ochotę. Niosę *ex centro cordis* jako najniższą Maiestatowi W. K. Mości P. N. M. submissyą. Podnoszę przed Najjaśniejszym Jego Thronem wesołość twarzy z otrzymanych na południu ukazów. Zalewam się wstydem pod nogami W. K. Mości za niedotrzymanie na północy przez Moskwę ukazów swoich..... y musiałbym ten wszystek czas, którym u Cara IMości bawił, relacyi *impendere*, gdybym należytą wszystkiego wyprowadzić miał kategoryą. Nie wspominam, *quibus artibus* tey od Rzeczypospolitéj rekwizycyi uchronić się chciano. Nie wspominam *modum tractandi exoticum*, nie wspominam nieukontentowania z jednoczenia *inter majestatem et libertatem*, aby *in turbido piscari* mogli. Mijam *elusiones* y zapierania się wszystkiego, przepominam tak wiele trudności *et mille discrimina*. Z tym narodem się traktowało, który jeżeli *flectitur*, to albo z interessu swego, albo przymuszany *flectitur*, który interessa nasze *suis metitur utilitatibus*, który *in tantum* sobie więcey pozwala, *in quantum* u nas więcey widzimy dissimulacyi. Pokaże to obszerniey relacya *in scripto* ułożona. Tymczasem dosyć namienić, że po nakłonieniu się do wyjścia z Państw Rzeczypospolitey, wydano ordinanse, aby jako nayprędzey wyszli, nic nigdzie nie pretendując. Przyznać muszę, że nie tak na sprawiedliwe remonstracye to czynili, iako dla tego, że z iedney strony wyiazd Carewicza IMości przez legacyę do obrony naturalney przez pospolite ruszenie ochota Cara IMości w publicznych gazetach *permovebat*. Uczynili prawda y temu ukazowi *in parte* zadosyć leniwszym, niż żółwim krokiem przez 9 miesięcy za granice *progrediendo*; ale się nazad wrócili, *eo* niby *praetextu*, jakoby Rzeczpospolita na konwencyą z miastem Gdańskiem konsensu nie dała. Był to niby *praetext* y nie *praetext*. *Praetext*, bo do Meklemburgii intencya; nie *praetext*, bo wysokim Cara IMci *ad tractanda commercia* intencyom, potrzebna na potym do portowego miasta *ad dispensandes merces* pretensya. Iakożkolwiekbądź, chociażby byli wyszli, jednakby się potym wracali y bawili się póty, pókiby Car IMość woyskami swoiemi do potrzebnego sobie interessu Rzeczypospolitey nie przymusił. Propozycya w konwencyi gdańskiéj, próba to iest i sto-

pień do inszych propozycyi. Ieżeli aprobacyą konwencyi gdańskiéj woyska moskiewskie wymuszą? Ieszcze nie wynijdą póty, póki nie będzie *renovatio foederis* y kolligacyi a przez to zapomnienie wszelkich uraz. Póty nie wynidą, póki Rzeczpospolita przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom wspólnym *in foedus* nie poydzie; póty do kolligacyi przymuszać nas z sobą zechcą, póki Car IMość *cum vicinis* Rzeczypospolitey Turczynem y Cesarzem I. Mością (jako się zanosi), woynę prowadzić zamyślając, potrzebować będzie państw Rzeczypospolitey *ad belli sedem* y ochronę kraiu swego. Poty nie wynidą, póki Rzeczpospolita rekompensować nie będzie Cara I. Mości za Azow y prowincyą tameczną, niby na obronę naszą straconą. Jeszcze póty nie wynidą, póki inszych, których nie wspominam, nie przymuszą propozycyi. I to donieść muszę W. K. Mości y całey Rzeczypospolitey, że przy odmianie praw dawnych y nadaniu nowych, jusz zakazano kraiu zwać Moską, ale tylko Rusią, ani się jusz zowie *imperium* iako przedtym *moschoviticum*, ale *imperium Russicum*..... Szedłem potym do czytania rozgoworów y inszych tranzakcyi Króla I. Mci. Po przeczytaney relacyi oddałem list, ktory mi przyszedł y oddany był od Xcia Dołgorukiego tegosz dnia relacyi, to jest respons Cara I. Mości z kopią tegosz którym to respons nie chciał był odebrać w Petersburgu y odesłał go nazad z tey racyi, że mi był oddawany bez kopii jego, a potym poniewasz go odemnie odebrać nie chciano, odesłałem do I. Mci P. Kanclerza W. Cara I. Mci. Kopia responsu tego taka była: Przybył do nas posłany od Waszego Królewskiego Wieliczestwa y od Stanów Rzeczypospolitey urodzony Poniński starosta Kopanicki, któremuśmy audiencyą nie bawiąc dali y Waszą Królewskiego Wieliczestwa z nim do nas posłaną Ramotę u niego przyjęli; przytym zlecone onemu od Waszego Wieliczestwa komisye naszym ministrom u niego wysłuchać a potym na podany od niego memoriał przez ministrów naszych, rezolucyą naszą onemu objawić rozkazaliśmy. Dla jakich ważnych racyi niektórą część woysk naszych zastanowić *in confiniis* granic naszych, w prowincyach Rzeczypospolitey przymuszeni jesteśmy. O czym *in antecessum* extraordynaryjnemu y pełnomocnemu posłowi naszemu Xciu Dołhorukiemu przy dworze Waszego Królewskiego Wieliczestwa zostającemu rozkazaliśmy Waszemu Królewskiemu Wieliczestwu, senatorom y ministrom Rzeczypospolitey donieść y jesteśmy tego zdania, że Wasze Królewskie Wieliczestwo przez tegoż extraordynaryjnego y pełnomocnego naszego posła, jesteś jusz o tym informowane. I Wasze Królewskie Wieliczestwo mocą sojuszu dla spólnego dobra całey Nordskiey kolligacyi, chciey w tym także uczynić dispozycye, któreby się zgadzały z przy-

jaźnią i sojuszem jako to obszerniey od pomienionego naszego extraordynaryjnego y pełnomocnego posła Waszemu Wieliczestwu doniesiono. Także y ten Wasz przysłany starosta Kopanicki Waszemu Wieliczestwu według uczynioney onemu od nas rezolucyi doniesie, któregośmy z tą naszą Carskiego Wieliczestwa Hramotą Waszego Królewskiego Wieliczestwa od dworu naszego expediowali. Przy tym życzemy Wam, Bratu naszemu, Waszemu Królewskiemu Wieliczestwu od Boga długoletniego zdrowia y szczęśliwego panowania.“ „Czyniłem potym — mówi starosta w swych zapiskach daléj — informacye, pierwszą względem Kurlandii y pretensyi do niéj Cara IMości, drugą *de statu* interesów Cara I. Mości. Złożyłem za tym pod nogi I. K. Mości prace i starania moje, supplikując najuniżeniey Majestatowi, tudziesz y Rzeczypospolitey, aby nie jakiey w applikacyi oziembłości, ale kraju y narodu nieużytości przypisano było, że co południe w wydanych ukazach *illustravit*, to północ w niedotrzymaniu słowa zaćmiła. Poszliśmy potym do przysięgi relacyą czyniący. Approbował za tym *a Maiestate* I. Mci Pan Kanclerz prace y starania, lubo *eventu infelicia*, obiecując za to respekta Pańskie.“

Relacye Wołłowicza, Dunina, przedewszystkiem jednakże starosty Kopanickiego, jako najświeższéj daty, najświeższe wrażenia skreślająca, najwyraźniéj oczy na groźne rzeczypospolitéj niebezpieczeństwo otwierająca, wzburzyły do głębi opinią szlachecką i stały się powodem drażliwych zajść między większością sejmujących a Dołgorukim, który się śmiało czynionych sobie zarzutów wypierał, wypełniły nadto cały szereg następnych sesyi wołaniami o wyprowadzenie wojsk rosyjskich, i zadość uczynienie krzywdom rzeczypospolitey, domaganiami o wyprawienie nowego poselstwa do Piotra. „Siła tam była—mówi starosta Kopanicki—przyjaciół Moskwy.“ Kiedy jedni domagali się głośno wyprawienia „zwyczajnego emissaryusza“, do Piotra, coby było mogło nastąpić prędzéj, a wybór paść najprawdopodobniéj znów na starostę Kopanickiego, żądali owi przeciwnicy starosty wyprawienia osobnego posła rzeczypospolitéj. Druga ta opinia zwyciężyła, a 14-go listopada 1718 zapadła na sejmie uchwała, powierzająca poselstwo to Stanisławowi Chomentowskiemu, wojewodzie mazowieckiemu, króry je pod zmienionemi, jak zauważyć winniśmy, warunkami miał spełnić w następnym roku. Wyraźnie mówimy, w zmienionych faktycznych warunkach, bo przyniesiona właśnie w dzień Bożego Narodzenia 1718 na wyspy Alandzkie wiadomość o zgonie Karola XII w przykopach Frederikshallu, zmieniła od razu całą sytuacyą, obaliła wszystkie plany Piotra opierające się na porozumieniu z królem szwedzkim, zwichnęła szeroko sięgającą politykę jego baltycką; czyniła mniéj potrzebnym pobyt wojsk

rosyjskich w Polsce, również zbyteczną konwencyą gdańską i kaprów gdańskich.

Z uchwałą sejmu grodzieńskiego, powierzającą nowe poselstwo do Piotra wojewodzie Chomentowskiemu, kończą się dzieje poprzedniéj, dwukrotnéj starosty Kopanickiego misyi, które opowiedzieć tu zamierzyliśmy.

Powtórzmy, starosta czuje aż nazbyt dobrze nienaturalność swego położenia, rozumie wyraźnie, że nie mając siły, zmuszony, jak to mówią nadrabiać miną; skarży się częstokroć w swych listach do ministrów polskich, „że sprawa źle idzie, bo jurystów nie ma," błaga choćby tylko o zbrojną demonstracyę na Żuławach gdańskich, doznaje jakby ulgi serca, gdy go dochodzi wiadomość o energiczniejszych nieco postanowieniach rady senatu Rydzyńskiéj. Słowem, jest w tym rzadkim, wyjątkowym okazie swéj epoki materyał na męża stanu i dyplomatę, jakich rzeczpospolita w pierwszéj połowie zwłaszcza przeszłego wieku nie do zbytku zaiste posiadała, a jeżeli mimo to wszystko, dwóch jego misyi do Piotra nie wieńczy, ku największéj *jego* własnéj rozpaczy, sukces,—nie zapominajmy niestety, że wszelka dyplomacya, w któréj odwodzie nie stoją budżety, armie i działa, pozostanie igraszką. Cokolwiekbądź, pozostanie on jednėm z rzadkich, światłych zjawisk na ciemném, zamglonėm tle epoki panowania u nas pierwszego Sasa.

Kazimierz Jarochowski.

HUMÓR U LUDU.

Umiejętność pochwycenia komicznéj strony w życiu i wywołania wesołości, jest jedną z najprzyjemniejszych zalet ludzkich. Śmiech bowiem, to gość, z którym obcować gotowiśmy wszyscy każdéj chwili i któremu drzwi nasze zawsze stoją otworem. I tém cenniejszym jest dar tak zwanego humoru, że tylko wrodzonym być może i nie da się zdobyć ani pracą ani naśladowaniem. Spotykamy go we wszystkich warstwach społeczeństwa, tak samo po salonach, jak i pod słomianą strzechą wiejskich chałup, z tą może różnicą, że w salonie bardziéj wykwintny i elegancki, u ludu za to bardziéj jest swojski i naturalny, a o wiele świeższy i jędrniejszy. Lud nasz bowiem posiada niezmiernie wiele humoru i umie go po swojemu oblec w obrazowe przysłowia, w tak zwane okolicznościowe przymówki, nareszcie w niezrównane anegdoty, które przechodzą z pokolenia na pokolenie i są jakby ustną literaturą wiejską, klasie inteligentnéj zresztą prawie nieznaną. I tak jak różne są szczepy i niejednakie usposobienia, tak też i w humorze ich widoczne są rozmaite miejscowe odcienie.

Krakowiaczek np. cały swój dowcip zasadza na wyśmiewaniu się z bliźniego swego. Najprzód, stroi żarty z górali, których uważa za jakiś pośledniejszy gatunek ludzi,—potém z bliższych i dalszych sąsiadów swoich a nareszcie z całego rodzaju niewieściego. Nie sprosta mu nikt w przypięciu komuś łatki, w nadaniu zręcznego przezwiska, w puszczeniu w obieg dykteryjki, która zwykle tak bywa charakterystyczną, że nie tylko jednostki, ale wsie całe śmiesznością okryć potrafi.

O góralach każdy z nich, i starszy i młodszy, umie kilka anegdotek i z całą przyjemnością je opowiada. Oto jest jedna z najbardziéj znanych i rozpowszechnionych, w któréj, jak zwykle, naśladuje się mowa góralska, mająca na tém niby polegać, że się wszędzie

mazuruje bez wyjątku, nawet tam gdzie stoi *rz*,—chociaż wiadomo, że lud ani w górach, ani w nizinach, nigdy i nigdzie *rz* do dzetacyzmów nie zaciąga.

Pewnego razu szło dwóch górali drogą i znaleźli strzelbę. „Dzis ty, Wojtek,“ prawi jeden, „co to za pseślicno piscàłecka!“ „Zagràj-ze co na ni,“ powiada drugi.—„A no, dobze,“ mówi piérwszy, „ty bedzies pchàł pare, a jà bede psebiràł.“—Wojtek zaczął pchać parę, to jest dmuchać do lufy, a tamten zaczął przebierać, pocisnął kurek, strzelba wypaliła, gdyż była nabita i Wojtek się przewrócił. „A ty Wojtek, coś ty za *łaskomy*,“ powiada piérwszy muzykant, „kiejś ty wygryz korek z piscàłecki!“ Taki był głupi, że nietylko strzelby nie poznał, ale i tego nie zrozumiał, że Wojtek kulką w łeb dostał.

W powiecie Chrzanowskim, o jakie półtory mili od Krzeszowic, jest miasteczko Nowagóra, które niewiedziéć czemu tak zostało ośmieszone przez okolicznych dowcipnisiów, że dziś jest przedmiotem żarcików wszystkich wsi sąsiednich. Opowiadają, że jest starsze od samego Krakowa, ale z pogardą Kobylem miastem je nazywają. Pochodzi to stąd zapewne, że jak wiadomo ze starych kronik, miasteczko to, za dawnych czasów, gdy jeszcze posiadało swego burmistrza i prawo miecza, miało konia drewnianego z ostrym grzbietem, na który sadzano za karę wszystkich przekraczających prawo winowajców. Dziś, wyludniona i podupadła mieścina, zaledwie wsią nazwać się może, ale taki ma rozgłos, że dość wspomniéć Nowągórą lub Nowogórzanina, aby obecni śmiechem homerycznym wybuchnęli. A skoro którykolwiek z jéj mieszkańców pokaże się w okolicy na jarmarku albo na robocie, wnet każdy go nagabuje o zdrowie i powodzenie pewnego stworzenia, które Nowogórzanie mają niby pielęgnować jako wyjątkową i starożytną pamiątkę lepszych czasów, a którego nasze przepisy towarzyskie głośno wymienić nie pozwalają. Jest to bowiem okaz entomologiczny, z tego niestetycznego rodzaju, co to ma wyłączny przywiléj na zaludnianie nieczesanych czupryn dziecinnych. Otóż kiedyś, podobno trafiło się tak, że kobiéta przyszedłszy na ratusz Nowogórski płacić podatki, w podatkowéj książeczce swojéj przyniosła przypadkiem to stworzenie. Burmistrz, spostrzegłszy je, wydał postanowienie, żeby je na ratuszu zatrzymać i miéć w opiece, a wszystkim obywatelom miasta swego kazał pasać je *za okółką*, to jest z kolei. Gdy wypadły nowe wybory i zaszły w nich pewne nieporozumienia z przyczyny rozstrzelonych głosów, wtedy uradzono, aby osobę tę puścić na stół, a rajcowie, których było dwunastu, pokładali brody do koła i czekali, a ten któremu ona na brodę wlazła, został burmistrzem. Odtąd znaczenia jéj przybyło i sława urosła, gdyż gruchnęło wszędzie, że ona burmistrza wybrała. Zatém,

pielęgnowana troskliwie przez wszystkie następujące lata, przyszła dziś do niezwykłych rozmiarów, ma zęby i pazury ogromne, szczeka na psów z ratusza, gdzie jest uwiązana na łańcuchu. Przeszłego lata, przegryzłszy łańcuch, umknęła do przyjaciółki swojéj do Radwanowic i tam jéj na weselu druchnowała. Wracając w nocy trochę pijana, przewróciła się na Chechle (1) i złamała pazur, w skutek czego długo chorowała na nogę, a biuletyny o zdrowiu jéj, gdyż raz było lepiéj, raz gorzéj, codzień krążyły w okolicy, ku niezmiernemu umartwieniu Nowogórzan. Więc téż raz, gdy parobek z sąsiedniéj wsi, Filipowic, wjechawszy na rynek Nowéjgóry, zaczął głośno dopytywać o pacyentkę, wyleciało do niego kilkunastu chłopów z drągami i byliby go stłukli na miazgę, gdyby nie nogi konia, dzięki którym, szczęśliwie umknąć potrafił.

Zresztą krakowiacy nikomu nie darują i na swoich współmieszkańców we wsi mają téż przeróżne koncepta. Opowiadają, jak kiedyś gospodarz, który miał *sydła w ramionach, piásek w rękawach, a żywiec w rękach* (2), poszedł na pole ukraść sąsiadowi kapusty. Ale żeby sumienie było czyste, sześć główek wyrzynał, a siódmą zostawiał, bo skoro siódme przykazanie mówi „nie kradnij," więc on téż siódméj główki nie kradł i sumienie nic mu wyrzucać nie mogło.

Znany jest téż powszechnie figiel, który dzieciom wyprawiają. Posyłają np. dziecko do sąsiedniéj chałupy i powiadają mu: „Idź proś o nawrot,"—albo: „mów, coby ci kręcidło dali." Dziecko w prostocie ducha idzie spełnić polecenie,—prosi o nawrot i ku wielkiemu swemu zdziwieniu dostaje pięścią w kark, lub téż domaga się kręcidła, a tu je za uszy kręcą!

Jeżeli ktoś we wsi ma na imię Symon, to mu dokuczają, opowiadając następującą dykteryjkę. Rzeźnik prowadził kozę, a ona się odzywa: „Symoooonie!" — „Co chces?" — „A kaj mie wieeeeedzies?"—„Na góre."—„A po cooooo?"—„Zdejmie z ciebie skóre."—„O Jeeeeezu!"

Dla tych, którzy się nieprędko pomykają w robocie, jest następująca przypowiastka o jéżu, który był na służbie. Zbliżało się Boże Narodzenie, posłali go po drożdże, a on jak poszedł, tak nie wrócił aż na Wielkanoc. Zaczęła się gospodyni swarzyć, że tak długo siedział, a on się w dodatku na progu przewrócił, flaszkę z drożdżami stłukł i jeszcze powiada: „Bodaj djabli wzięli takie nagłe uwijanie!"

---

(1) Chechły, wieś okoliczna.

(2) Szydła w ramionach i piasek w rękawach oznacza próżniactwo, a żywiec w rękach, złodziejstwo.

Na przednówku zwykle narzekają na św. Jana, opowiadając, że on jest najbiedniejszym ze świętych, gdyż sam Pan Bóg to przyznał. Kiedyś, św. Jakób, który jest szafarzem ziemniaków dla ludzi, bo i przysłowie mówi: „Na św. Jakub ziemniaków nadłub“, przezwał św. Jana Morzykichą. Ten ostatni się obraził i poszedł samemu P. Bogu się poskarżyć. Pyta się go P. Bóg: „I cóż ty masz dla ludzi, żeś się tak o Morzykichę zgniéwał?“ Św. Jan powiada: „Mam trawę zieloną.“ — „Trawę—powiada P. Bóg — cóż ludziom po trawie? To ino koniowi przydatne, a św. Jakub ma ziemniaki, więc ty mój kochany siedź cicho, bo on na ciebie całą prawdę powiedział.“ Takim sposobem św. Jan przegrał sprawę.

O głupich babach jest opowiadań bez liku. Chłop zabił wieprza i zszywał sadło, jak to się zwykle robi, *w bułkę*, a baba się go pyta, na co to? On powiada: „A ot będzie dla nieprzygody“ (1). Nazajutrz przychodzi dziad i prosi o jałmużnę, a baba się go pyta: „Jak wy się dziadku nazywacie?“ On powiada, że się Nieprzygoda nazywa. „Tak? — mówi baba — a to zapewne dla was mój chłop zszywał sadło, bo mówił, że to będzie dla Nieprzygody.“ Poszła do komory, sadło przyniosła i dziadowi oddała. Przychodzi chłop do domu, pyta gdzie się sadło podziało? a baba mówi, że je dała temu dziadkowi, co dla niego było zrobione. Chłop się zgniéwał i chciał babę zabić, ale że mu się bardzo wypraszała, więc powiedział jéj tak: „Dobrze, jeszcze ci dam spokój, a pójdę między ludzi i będę patrzył—jeżeli nie znajdę głupszéj od ciebie, to cię zabiję,— a jeżeli jeszcze głupszą spotkam, to ci życie daruję.“ Zebrał się w drogę, idzie,—zaszedł do drugiéj wsi, patrzy, a baba trzyma kozę na powrózku i ciągnie ją po drabinie na dach. Pyta się, co to ona chce robić? A ona powiada, że chce kozę napaść, bo na dachu trawa urosła. — „A nie możesz ty głupia babo sama wleść na dach, trawę zżąć i dać kozie?“ mówi chłop. — „Boję się żebym nie spadła“, gada baba.—„A to i tak spaść możesz“, mówi znowu chłop. — „A to koza spadnie naprzód, ja zaś na nią, to się nie potłukę.“ Chłop plunął i poszedł,—idzie daléj przez wieś i widzi, jak baba zwoławszy kwokę z kurczętami, złapała ją i biła. Pyta się więc: „Za co ty babo tę kwokę bijesz?“—„A za to—powiada baba—że tyle kurcząt wylęgła, a cóż im da ssać?“ Chłop nie poszedł już daléj, ale do domu powrócił, bo choć nie daleko wędrował, prędko się przekonał, że jego baba jeszcze nie najgłupsza była,— i stosownie do umowy, życie jéj darować musiał.

---

(1) Na wszelki przypadek, na niespodzianą potrzebę.

Przezwiska u Krakowiaków sypią się jak z rękawa i nie ma prawie człowieka, ani młodego, ani starego, któryby jakiémś okolicznościowém mianem nie był przyozdobiony. Jeżeli się spytamy: jak się nazywa ten a ten chłop? — to nam mówią, że on się nazywa Nanicka, albo Zagierzyniec, albo Złoty krzak, albo Ŝtajerek, ale to wszystko będą przezwiska tylko. Chcąc zaś trafić do celu, trzeba się pytać, jak się ten a ten chłop *pisze*? a wtedy dopiero dowiemy się prawdziwego nazwiska. I tak: Nanicka, jest w rzeczywistości Ziomkiem, ponieważ jednak, gdy mu się sprawa jaka nie podoba, ma zwyczaj powtarzać: to na nic, na nic, na nic! Został więc Nanicką. Zagierzyniec jest znowu Źbikiem, ale gdy był małym i służył za *pastuchę* u gospodarza, cielę go słuchać nie chciało,—złapał więc kozik i cielę pchnął kozikiem w bok. A gdy go gospodarz o to strofował, tłómaczył się, że „jà nàm przecie cielęcia nie zabiuł, inom sie zagierzył!“ Miało to oznaczać, że się zamierzył, wyrażenie się podobało, poszło w kurs, i chłopak zostawszy sam gospodarzem i będąc już starszym dziś człowiekiem, zawsze jest Zagierzyńcem, a jego żona Zagierzyńcyną. Złoty krzak znowu nazywa się Owcàrzem, ale to młody i ładny chłopak z gęstą czupryną, jasną jak złoto, więc go dziewczęta Złotym krzakiem przezwały i zapewne dopóty nim pozostanie, dopóki czas go na srébrny nie przerobi. Ŝtajerek zaś, w rzeczywistości Maciejowski, wędrował kiedyś po krajach *miemieckich*— zapewne po Tyrolu— i stamtąd jako nabytek przyniósł umiejętność nowego tańca, *ŝtajerka*, którego i sam tańczył i przyśpiewując „muzykę“, grać go nauczył. Za to został Ŝtajerkiem a syn jego już jest Ŝtajercykiem.

Przysłowia są nadzwyczaj liczne, a tak przez mężczyzn jak i przez kobiéty z wielkiém upodobaniem używane. Np. wyszydzając niezgrabnego, mówią: taki zdarny jak Maćków kot, co świécę zjàd, a po omacku siedziàł“ (1). Gdy kogoś wyśmiać chcą, że jest zarozumiały, powiadają: „Taki honorny jak kulawy koń“, — albo: „paraduje jak w... po płascu.“ Gdy znowu ktoś zbyt gorąco do jakiéj rzeczy się bierze i chciałby wszystko w jednym dniu zrobić, przekładają: „Po kąsku, ksiązku, będzie plebanija!“ Jeżeli ktoś bardzo się czém zdziwi, wyśmiéwają się, że „wywaluł ocy jak wół na nowe wrota,“ — albo jeżeli bardzo mądrego udaje, mówią: „co ty znàs! chyba dwa ptàki, żabe i mys!“ Takiemu znowu, co się bardzo z czém droży, powiadają: „Ceregiele! karcma w lesie!“

---

(1) Jest-to waryant znanego i w innych okolicach wyrażenia: „Niewiniątko z kościego łoju, co świéczkę zjadło, a po ciemku siedzi“, — użyty do zupełnie niewłaściwego porównania. (*Przyp. red.*)

Na każdą też okoliczność mają tak zwane przymówki. Np. gdy zachodzi wątpliwość co do trwałości pogody i jedni twierdzą tak, drudzy inaczéj, wtedy ktoś zabiéra głos i w następujący sposób rozstrzyga pytanie: „Powiedziàł klisc, ze bedzie dysc, powiedziała pchła, ze bedzie mgła, powiedziała mucha, ze bedzie zawierucha, powiedziała woda, ze bedzie pogoda.“

U górali znowu rzadko spotkać się można z podobną przymówką, rzadziéj jeszcze z przysłowiem. Mają oni za to wielką obfitość tak zwanych *piscałecek*, czyli anegdotek okolicznościowych, a tak jak Krakowiacy dowcipkują na koszt górali, tak górale znowu opowiadają różne facecyjki o *Rusnokach*, to jest o Rusinach.

Szedł kiedyś *Rusnok* i zobaczył pszczoły na smreku, zachciało mu się miodu. „Ej, Panie Boże—mówi—dopomóż mi, żebym mógł na to drzewo wleść i miodu dostać, to i tobie dam *połowice*.“ Ale skoro wlazł, zmaczał palec, skosztował — bardzo słodkie było; powiada więc: „Tobie Panie Boże nic nie dam, sam wszystko zjém.“ Wtém ześliznął się z gałęzi i spadł. „O Panie Boże—powiada—jak ty śpasów nie znasz! Przeciek by ci był jaką kapeckę z tego dał, gdybyś mię nie zrucił na ziemię!“

Opowiadają też, że u Rusnoków dla tego nie ma teraz organów, że jak dawniéj zagrały, tak ludzie szli do tańca w kościele. Zatém ksiądz uradził z organistą, że je trzeba wynieść precz, a wyniosłszy, wzięli je, przepili. Przychodzą parafianie na nabożeństwo, pytają gdzie się organy podziały? a ksiądz powiada, że je złodziéj ukradł. Jaki złodziéj? — A ten, co na oknie siedzi. Na oknie zaś siedziała sójka, — ludzie do niéj, a ona w las. Wszyscy za nią do lasu, tak, że w kościele ksiądz sam został z organistą. Ale sójka tymczasem siadła na takiém wysokiém drzewie, że nie mogli jéj dostać i zaczęli stawać jedni na drugich. Najprzód na dole stanęło pięciu, potém tym pięciu na plecach stanęło czterech, daléj trzech i dwóch, jeszcze raz dwóch i dwa razy po jednemu. Dopiéro ten ostatni najwyższy, wsunął rękę do dziupla, a sójka go uszczypnęła za palec, — on w krzyk, tamci pod nim się wystraszyli i pospadali, a on zawisł w powietrzu na jednéj ręce. Pobiegli co tchu po drabinę do wsi, ale nie mogła się zmieścić w lesie, bo ją w poprzek nieśli, a las był coraz gęstszy, — ucinali więc po kawałku, ucinali, ucinali, to z jednego, to z drugiego końca, aż nareszcie tak obcięli, że tylko jeden szczebelek został. Zaczęli więc siekierami ciskać na tego wiszącego, aby mu odciąć rękę w drzewie zahaczoną i tym sposobem uwolnić. Ale tak niezgrabnie rzucali, że spadł nieżywy i musieli go pochować do ziemi, a organy tymczasem przepadły nazawsze.

Panów górale téż chętnie wyszydzają.

Biegł Pan *bez* Kraków i jadł bób, w tém spotkał się z drugim panem. Ten się go pyta: „Co pan jé takiego?“ — „A migdałki.“ Niech-że mi pan da z jednego.“ — „O jéj, kiedym już ostatniego do zębów wraził!“

A znowu był pan bogaty i był także młynarz dostatni i każdy z nich miał konia pięknego, a te konie tak były do siebie podobne, że jak je postawili obok, nie można było odróżnić, który do kogo należy. Pan chciał kupić u młynarza, aby miéć do pary, młynarz téż rad by od pana kupił, ale żaden swego konia pozbyć się nie chciał. Postanowili więc innego użyć sposobu. Weszli do pokoju, a pan powiada: „Gadajmy sobie jakie głupstwa, ale żeby jeden drugiemu durniu! nie powiedział, bo który to powié, konia przegra.“ „Dobrze, gadajmy—mówi młynarz—niech pan zaczyna.“ — „Jakem ja jeszcze był małym chłopakiem — zaczął pan — pamiętam, że mój ojciec miał ogromnego wołu. Jak go zabili, obdarli ze skóry, zważyli, to ten wół miał dziesięć centnarów mięsa, a dwanaście centnarów łoju, — ze spodniéj skóry zrobili sto par kierpcy dla czeladzi, a wierzchnia nietknięta została.“ Skończył pan, a młynarz powiada: „Może i to być. A nas—mówi daléj—było trzech synów u ojca, mieliśmy ul pszczół i z kolei paśliśmy te pszczoły. Najprzód pasł najmłodszy, potém średni, potém nareszcie i ja najstarszy. Wygnałem, porachowałem, było ich sto, — wieczorem przygnałem do domu, rachuję—dziewięćdziesiąt dziewięć jest, jednéj nie ma. Wróciłem się szukać téj pszczoły, przeskoczyłem przez potok, słucham—brzęczy. Idę, a ona leży w *młace* (1), pod górę gardłem, a do góry nogami, i ruszyć się nie może. Ja téż nie wiele myśląc, poderznąłem jéj gardło i spuściłem krew (pana już *brało do porządku*, ale zapanował nad sobą i słuchał daléj). Potém poleciałem do chałupy i opowiedziałem ojcu co się stało, a ojciec wziął, zaprzągł trójkę koni i ligarami pojechał. Wzięliśmy tę pszczołę, położyli na ligarach, przypięli łańcuchami, żeby się mocno trzymało i przywieźliśmy do domu. Jakeśmy jéj zdjęli skórę, daliśmy wyprawić garbarzowi, garbarz wyprawił i zatém kożusarz zrobił z niéj cztéry kożuchy: dla ojca jedén i dla każdego z nas po jednym. Wszyscyśmy w kożuchach chodzili, ino że ich się zdarły wnet, a mój był taki mocny, żem go nosił i nosił i zedrzéć nie mógł,— i dopiéro go potém ojciec pana *dodarl*, jak u mojego ojca świnie pasł....“

Pan jak skoczy, jak krzyknie: „Co ty durniu gadasz? Kiedyż to ojciec mój świnie pasł u was?....“ A młynarz się śmieje. Dopiéro

---

(1) Młaka znaczy mokradło.

się pan spostrzegł po niewczasie, że mu durniu powiedział i konia swego oddać musiał.

O żydach dużo jest tak zwanych *piscałecek*, a w każdéj sens moralny taki, co zresztą nieraz w życiu codziennem się potwierdza, że nie żyd okpił górala, tylko góral żyda.

Był jarmark w małém miasteczku i góral przyszedłszy na kupno, miał w worku starego psa, którego przy téj sposobności chciał zanieść do oprawcy. W tém zastępuje mu drogę żyd jakiś, widocznie zainteresowany tym workiem i pyta się: „Ny gazda, co go gazda niesie?“ — „Cicho żydzie — mówi gazda — bo lisa niosę!“ — „Niech go gazda pokazie!“ — „Juści! pokazywał będę, żeby który z leśnych zobaczył i żeby mię do kozy wsadził!“—„To niech go gazda spsieda, bo ja go gazde wydam!“ Góral udaje wystraszonego i ogląda się na wszystkie strony, żyd coraz staje się natarczywszym. — „A no, co robić — mówi gazda — sprzedać, to sprzedać, co mi dąsz żydzie?“ „Ja go dam tsi papierki.“ — „Daj pięć....“ — „Nie, abo tsi, abo ja go gazde wydam!“ — „To dawaj że już trzy, żydzie, i umykaj prędzéj, bo leśny idzie tu ku nam. Ino pamiętaj żebyś mi na inszy jarmark worek przyniósł!“ — „A jak ja go gazdy będzie wołać?“ — „Wołaj Jaworek z Cisa - odparł góral i zniknął w tłumie. Żyd poszedł gdzieś do kąta za stodołę, otwiera ostrożnie worek, a tu pies do niego z zębami. Puścił go ze strachu samego i leci z workiem szukać górala,—trzęsie nim na wszystkie strony i woła: „Jaworek z Cisa! Jaworek z Cisa! poć po worek!“ Nie odzywa się nikt! Żyd myśli sobie on mi kazał na inszy jarmark przyjść z workiem, już ja go wtedy złapię! Stawi się więc na następny jarmark i biega z tym workiem, trzęsie nim, a woła: „Jaworek z Cisa! Jaworek z Cisa! Zjadeś go tsista, coś mi spsiedał psa za lisa! Jaworek, poć po worek!“ Nikt się nie odzywa, jeszcze się ludzie śmieją. Dopiéro żyd się dowiedział, że Jawora z Cisem mógł w lesie znaleść, ale że między góralami nie było ani jednego, któryby się tak nazywał.

Ciekawe są też tak zwane *brzęki*, to jest okolicznościowe dowcipy, czasem nawet rymowane, jak oto ten następujący, przez starego górala Wojtka Gładysza we wsi Ponicach pod Rabką (1) ułożony.

(2) „Jakek śe ^{u}ozeńuw, chytàwek kvicàle,—nachytàwek kvicàl, c^{u}o jich ḿàwek na vóz, p^{u}ovózek d^{u}o Krak^{u}ova, vypředàw te kvicàle, kuṕuwek mlika vóz ji kuṕuwek k'ern^{u}oza, zapřǫgnowek d^{u}o voza. V́o k'ern^{u}oźe, ch^{u}oć p^{u}o mroźe, choć p^{u}o grudźe, leṕi ci śe pódźe,

(1) Galicya, powiat Myślenicki.

(2) Pisownia fonetyczna jakiéj Akademia Krakowska używa dla gwar ludowych.

a puo na nalodku, jinuo jidź puo środku, buo syrok'e raće màs, tuo śę tàm utřymàs! Jadek—zajechàwek ku V̌iśle, zavadźuw k'ernuoz nuogǫ, zḿisawo śe mliko z vuodą; vróćuwek śe duo duomu z mńijsǫ skuodǫ. Přyjechàwek duo duomu, a baba ḿi tymcasem umarwa. Jà tys vźon, puov́inow v swome, jak svuojǫ puoććivǫ zuone, zav́ózek duo kuośćowa,—mój dysel na kuośćów vysed, a jařmuo tys za ńim puolazwo, a uoswony puolećawy puod zvuony, a kwońice puod zvuońice, a uośi puolećawy duo vśi, a uozvuora duo dvuora, a kuowa syćk'e śtyry guońǫ kuowo kuośćowa, a tuo ćawo ńe v́edźawo, dźe śe tàm puodźawo.

Drugi bywa taki,—buok jàd v́e baby ḿàw,—drugij kàzawek jiść na góre puo spyrk'i; uona sk'idawa śe s nawyśńejseguo scebla, swamawa źobro puod kuolanem ji umarwa s teguo. Duostawa stara kura puo ńi, jesce kvuoka, jà tys vźon ji spředàw jij na puogřeb. Vźonek, zaśv́ećuwek seść śv́ic uolsynuovych ji puogřebawek jij juz. Zaśpivàwek na puogřeb'e.

Puosedem se v gęsty làs,
Nalazem se leleńaska, cuo śe pás,
Puocekaj-ze leleńasku na file, na file,
Jinuo jà se karab'inek nab'ije, nab'ije.
Zacém jà se karab'inek nab'ijàw, nab'ijàw,
Leleńasek v gęsty lasek vyv́ijàw, vyv́ijàw."

Największą zaś uciechą górali są figle, polegające na tém, aby kogoś nieświadomego w pole wyprowadzić. I tak np. gdy się zbliża środopost, zawczasu zaczynają mówić o tém, że trzeba będzie post zważyć, aby na pewno wiedziéć czy już jest sprawiedliwa połowa, czy téż jeszcze żur przeważać będzie? Ma się rozumiéć, że zawsze wtedy znajduje się ktoś ciekawy, kto chciałby widziéć, jak to się robić będzie? Z wielką ceremonią biorą więc garczek niby z żurem,— ale właściwie jest w nim woda, z popiołem rozmieszana,—i idą do ogrodu. Ktoś z obecnych włazi na drzewo, a owemu nieświadomemu rzeczy każą stać pod drzewem i garczek trzymać. Zatém, ów będący na drzewie woła, aby mu go prędzéj podawał i w chwili, gdy tamten śpiesznie spełnia żądanie i stoi jeszcze z podniesioną głową i wyciągniętemi w górę rękami, pierwszy przechyla nieznacznie garczek i wszystko na niego wylewa, mówiąc, że już post się przeważył. Powstaje śmiech i krzyk, ale się gniewać nikomu nie wolno, bo to już *zwyk* taki, który *z ojców* mają, że co roku post ważyć muszą.

Każdy wielki czwartek nazywa się u nich *zwodnym* czwartkiem, jako dzień wyłącznie na to przeznaczony, aby o ile można, zwieść każdego i to jakąś niedorzecznością. Puszczą np. pogłoskę, że do karczmy przyszła cygańska muzyka, a dziewuchy lecą zaciekawione,

niepomne tego, że w wielkim tygodniu nawet i cygańskiéj muzyce grać w karczmie nie wolno. Albo téż powiedzą dzieciom, że kukiełki spadają z nieba nad potokiem i dzieciska na złamanie szyi pędzą ku potokowi.—Kiedyś, w pewnéj wsi, gospodarz kazał swojéj służącéj pójść do sąsiada, pożyczyć wagi do wozu. Dziewucha nie rozumiejąc, że to owa waga, do któréj się para koni zaprzęga i któréj się nigdy nie pożycza, bo każdy wóz ma swoją własną, pobiegła śpiesznie spełnić zlecenie. Figlarz sąsiad wysłuchawszy z powagą tak dziwacznego żądania, zaraz zrozumiał, że tu tylko o zwodzijasza chodziło i kazał jéj iść jeszcze daléj do innego gospodarza, któremu przed paru dniami, był niby sam wagi pożyczył. Tamten jeszcze ją daléj posłał i tak dziewucha latała pół dnia od Annasza do Kaifasza, aż nareszcie, gdy wszystkich w kółko obeszła i z niczém wróciła do swego gospodarza, śmiech homeryczny, który ją spotkał w chałupie, otworzył oczy na mistyfikacyę.

Żyłka ta do płatania figlów nie tylko w zwodny czwartek ale i we wszystkie inne dnie roku jest tak rozpowszechniona, że między dziećmi są zabawy, w których starsi młodszych w pole wyprowadzają. Jest np. jedna, która się nazywa: „*vyganiać vilcka.*“ Pyta się starszy chłopak młodszego: „Cy màs vilcka?“ i każe mu odpowiedziéć: „Màm.“—„A dàs g^{u}o vygnać?“—„Dàm.“ Wtedy każe mu uklęknąć na ziemi i położywszy sobie głowę jego na kolanach, z początku głaszcze go po włosach, mówiąc:

„Přyswa matulina B^{u}oza, jidźe v^{u}odźicka bystra z p^{u}od Jezu Chrysta, b′ere břeǵi ji kaḿeńe, vsyćk^{u}o t^{u}o přeḿińe ji ty vilcku přeḿińes!

Přyswa matulina B^{u}oza na mgwe vygańać vilka ze zb^{u}oza, přez mydwo, přez sydwo ji přez pwot—(tu szczypie i palcem kole)—na ṕiscawce fik'i ḿik'i,—(tu po uszach bije)—na bębenku huku puku!“

I tu, podług autentycznego wyrażenia, *najbardziéj się wali* po głowie, po plecach, za włosy się drze, aby tém skuteczniéj wilka wypędzić i zabawa płaczem się kończy.

E. S.

WYKOLEJONY.

(Juliusz Vallès).

I.

C'est bien la mine bourrue
Qui dans un salon ferait peur,
Mais qui peut-être dans la rue
Plairait à la foule en fureur.
Je suis l'ami du pauvre hère
Qui dans l'ombre a faim, froid, sommeill...
Comment artiste, as-tu pu faire
Mon portrait avec du soleil! (1)

Taką strofę wypisał Vallès pod własnym portretem. Portret rysowany był ręką przyjaciela, zmarłego świeżo w Paryżu głośnego cygana i radykała, André-Gilla, którego karykatury współzawodniczyły za cesarstwa z pamfletami Rocheforta i gromami, jakie ciskał Hugo z swego wyspiarskiego ustronia. Wizerunek przedstawiał Vallès'a w postaci buldoga....

Kto widział tę twarz o rysach wyrazistych, zasępioną i chmurną, oprawną w bujne jeszcze niedawno lubo siwiejące włosy i mleczną już prawie brodę—ten gotów był przyznać pewną słuszność artyście.

W istocie atoli Vallès tak strasznym nie był. Straszył — to prawda, jeśli jednak gryzł — to chyba piórem, i to rzadko kąsał naprawdę i szarpał do kości.... Brakowało mu do tego politycznego i publicystycznego temperamentu oraz zasad ściśle określonych, wyostrzonych jak szabla i godzących śmiało w pierś przeciwnika. Nie, tak niebezpiecznym nie był! Miał jednak poczucie nagiéj prawdy,

(1) Tak, jest to ta twarz nachmurzona, która straszyłaby w salonie, lecz podobała by się może na ulicy rozgniewanemu tłumowi. Jestem przyjacielem nędzarza, co przymiera w cieniu z bezsenności, chłodu i głodu. Jakże mogłeś artysto zrobić mój portret z promieni słońca!

wojował ironią i sarkazmem, a bomby wypełnione sceptycyzmem podkładał nawet pod rewolucyjne świętości!

Juliusz Vallès zmarł d. 14 lutego r. b. w Paryżu naczelnym redaktorem dziennika *Cri du peuple*. Na pogrzebie wyprawiono mu, jako b. członkowi Komuny, manifestacyę. Za trumną szły tylko czarne i czerwone chorągwie.... Zmarły przecież wybitnym działaczem politycznym, ani nawet publicystą pierwszorzędnym nigdy nie był. Pod radykalną atoli zaciągnął się chorągiew; liczył się do obozu i nosił jego barwy, wmięszany do polityki prawie mimowoli.

Przyjacielem był wszelkiéj nędzy niewątpliwie. Sam zresztą doświadczył jéj na własnéj skórze w najdotkliwszéj może postaci, żyjąc długo w szeregach umysłowego proletaryatu. Wychowany w biedzie, po ukończeniu średniego wykształcenia i uzyskania sakramentalnego *bachot* (baccalauréat) — pierwszy stopień intelektualnego mandarynatu — Vallès nie czuł powołania do zaciągnięcia się do jakiéjkolwiek urzędowéj służby i pozostał na bruku, głodnym i niezależnym. Miał wtedy sposobność poznać licznych współtowarzyszów niedoli, cały zastęp wykolejonych lub zbuntowanych przeciwko istniejącemu porządkowi, często bez żadnéj wyraźnéj świadomości owego buntu. Stał się potém gorącym rzecznikiem ich nędzy i jedną z swych prac późniejszych poświęcił „tym, którzy wykarmieni łaciną i greczyzną pomarli z głodu.“ Przeszedłszy taką szkołę, Vallès rozumiał dobrze nędzę i zachował na zawsze żywe spółczucie dla wydziedziczonych. Uważał ich za swych braci, za swą rodzinę i czuł się obowiązanym pracować dla przybliżenia tym nieszczęśliwym lepszéj doli, lubo nie przedstawiał sobie dokładnie w jaki to sposób nastąpić może. Wiem —pisał w jednéj z swych prac, po całym wylewie zjadliwego sceptycyzmu — że gdy zatrąbią pobudkę, miejsce moje tam, gdzie sztandar nasz będzie powiewał....

Przebywając długie lata w otchłani nędzy, z któréj wydobył go następnie talent literacki i pewien rozgłos zyskany w szeregach opozycyi radykalnéj, Vallès nie miał sposobności ni ochoty kształcić się gruntownie, dać swéj opozycyi naukowe i wyrozumowane podstawy. Czas schodził mu na zarobkach dorywczych i ustawicznéj walce z głodem i chłodem. Nie pozwalał mu zresztą iść daléj pewien głębszy lecz jednocześnie jałowy sceptycyzm, pewna niewiara i niechęć do całéj urzędowéj i tradycyjnéj nauki, od któréj nie były, zdaniem jego, wolne nawet doktryny radykalne. Żył tylko goryczą i rozpamiętywaniem doznanych krzywd, przyprawiając ten pokarm ostrym sosem sarkazmu.

To jednak, co odczuł i przeżył, umiał następnie wypowiedzieć językiem dosadnym i barwnym; co znowu zrobiło zeń „przednią straż

naturalizmu“, jak się o nim jeden z krytyków wyraził. Do późniejszego naturalizmu zbliżał go także pewien krytyczny sceptycyzm, daleki od dogmatycznego romantyzmu, który właściwym był wówczas całéj szkole rewolucyjnéj. To co było słabą stroną rewolucyonisty, stało się zaletą „naturalisty“ i w kierunku tym szedł tak daleko, że niektóre jego uwagi o radykalnym obozie iść mogą o lepsze ze znanemi poglądami Taine'a...

On jeden prawie w obozie republikańskim bronił w swoim czasie *Henrietty Marechal*, komedyi Goncourt'ów, którą wygwizdano na scenie z powodu pewnéj słabéj zresztą dozy naturalizmu, jaką zawierała; występował wogóle przeciwko kultowi powag dawnych i nowszych, przeciwko klasycznéj erudycyi i językowemu puryzmowi. „Naukę, jaką daje ulica — mówi krytyk — cenił więcéj niż erudycyą bibliotek.“

Juliusz Lemer usprawiedliwiał w następujący sposób zbiorowe wydanie artykułów Vallès'a: „Odczytując kartki, mające stworzyć zawartość tego wydania, zamierzonego już przed dziesięciu laty, sądziłem, że niektóre poglądy, niektóre zapatrywania na literaturę i sztukę, wypowiedziane przez Valles'a w r. 1867 i 1868, nie są bez pewnéj analogii z teoryami naturalistycznemi, będącemi obecnie w obiegu, że więc nadeszła chwila stanowcza potrącić o nutę realistyczną, dającą się słyszéć w pismach Vallès'a i naznaczyć jéj odpowiednie miejsce w koncercie naturalistycznym, dyrygowanym przez Zolę. Tylko Vallès nazywał wówczas swój kierunek nie naturalizmem, lecz modernizmem.“

Lemer opowiada także, jak Vallès nosił się długo z myślą napisania wstępu do swych zebranych w jedną książkę artykułów, wstępu, który miał być tém dla rodzącego się realistycznego kierunku, czém była głośna przedmowa Wiktora Hugo do *Cromwela* dla romantyzmu.... Nigdy jednak przedmowa ta nie została napisaną.

Wogóle Vallès był jednym z pierwszych we Francyi, którzy w literaturze współczesnéj zatknęli sztandar „modernizmu“; mawiał, ze zwykłą przesadą, że sławy literackie nie powinny trwać dłużéj nad lat trzydzieści i że literatura dla niego zaczyna się od Stendhala i Balzaka.

Jako dziennikarz, Vallès cenił przedewszystkiem fakta, fakta najdrobniejsze, któreby odsłaniały nam wszystko, całą nagą prawdę, nie okrytą żadnemi figowemi liśćmi oportunizmu, faryzeuszostwa lub choćby tylko maską puryzmu.

To właśnie uczyniło zeń „przednią placówkę naturalizmu.“

II.

Głównym spadkiem literackim po Vallèsie jest trzytomowa autobiografia w trzech częściach: *l'Enfant*, *le Bachelier* i *l'Insurgé.* Autor opisuje tu dzieje dzieciństwa, młodości i losów późniejszych *Jacques Vingtras*'a; pod tym właśnie przejrzystym pseudonimem ukrył się sam i własne opisał koleje.

Najbardziéj wykończoną jest pierwsza część téj niezwykłéj autobiografii — *l'Enfant.* Autor poświęca ją „tym wszystkim, którzy umierali z nudów w kolegium i których zmuszano do płaczu w rodzinie; którzy w dzieciństwie swém tyranizowani byli przez nauczycieli i bici przez rodziców."

W *l'Enfant* opisuje Jakób Vingtras swe dzieciństwo i pobyt w szkole. Urodził się z ojca biednego nauczyciela niższego stopnia, który początkowo sposobił się do zawodu duchownego i matki wieśniaczki, co porzuciła zagon ojczysty dla surdutowca, wywodzącego się również z chaty wieśniaczéj.

Życie płynęło nie wesoło na małym partykularzu w Owernii. Zaledwie wystarczało na najskromniejsze utrzymanie; trzeba było sobie odmawiać wszystkiego; ojciec przytém znosić musiał kaprysy i humory przełożonych, poniżać się,—matka zaś pracować podwójnie nad powiązaniem końców domowego gospodarstwa i wdrożeniem się do miejskiego życia, do którego nie nawykła. Trzeba było być „panią profesorową", ubierać się po miejsku i strzedz miejskich obyczajów, a to przychodziło nie łatwo, co gorsza zaś, przy największych wysiłkach kończyło się najczęściéj śmiesznością.

Ciężka ta praca przystosowywania się do obcego zupełnie otoczenia w warunkach materyalnych, niepomyślnych, wyryła wybitne piętno na biednéj wieśniaczce. Ciągła potrzeba pilnowania domu i siebie wyrobiła w młodéj kobiecie pewną surowość i szorstkość w obejściu i postępowaniu. Pilnowała się aż do przesady i wyobraziła sobie, że i syna jedynaka trzeba ustawicznie mustrować, ażeby wychować go na miejskiego panicza. Rygor zresztą domowy jest zasadą patryarchalnego wychowania. Rygoru tego nic nie łagodziło, to téż Vingtras pisze o tych czasach z goryczą: „Nie pamiętam bynajmniéj, czy mnie karmiła matka, czy téż chłopka jaka dawała mi swoje mleko? Nic o tém nie wiem. Jakąkolwiek zresztą pierś gryzłem—nie przypominam sobie zgoła z czasów mego dzieciństwa ani jednéj pieszczoty; nie byłem wcale pieszczony, bawiony i cackany—byłem natomiast często bity." Bicie to wprowadziła pani matka w stały system wobec swego jedynaka. Trzymała się zapewne maksymy, że za jednego bitego dają dziesięciu nie bitych i wcześnie

jęła się jéj zastosowania. Na wrażliwym chłopcu sprawiało to atoli skutek wprost przeciwny; robiło go krnąbrnym, złośliwym, upartym i wyrabiało gorycz, o której u schyłku już wieku dojrzałego zachował żywe wspomnienie, skoro ją tak jaskrawemi odmalował barwami w *l'Enfant*.

Mały Vingtras wyznaje w paru miejscach, że nie podejrzywał matki o stanowczą niechęć względem siebie, nie wątpił o jéj macierzyńskich uczuciach, wcześnie już jednak ubolewał nad jéj pedagogiczną metodą. Wszystkie szturchańce i dokuczliwe z nim postępowanie matki zapamiętał dobrze i opisuje je z całą drobiazgowością, językiem ostrym, dosadnym, obrazowym, w którym matczynéj owéj metody nie oszczędza bynajmniéj. Należy przytém dodać, że do zwykłych powodów, dających pochop do bicia i szturchańców, przybyła tym razem cała długa mustra co do obchodzenia się z ubraniem i zachowania się dziecka... O tém wszystkiém pani profesorowa świeżéj daty nie wiele miała wyobrażenia, była jednak témbardziéj dokuczliwą i wymagającą.

Z ojcem mały chłopiec nigdy prawie nie przestawał; jeżeli słyszał co odeń, to ostre tylko słowa napomnienia i odbierał również tylko szturchańce. Ojciec wracał zresztą zazwyczaj ze szkoły zmęczony, zły i chmurny, i nie miał dla jedynaka słowa łaskawego. Raz tylko, gdy Jakób był już wyrostkiem, odezwał się doń łagodnie i słowa te głęboko utkwiły w pamięci chłopczyny. Jakóbek rzucił kawałek chleba na ziemię. Zamiast ofuknąć, jak zwykle i poczęstować klapsem chłopaka, ojciec przemówił do dziecka rozumnie: „Moje dziecko — mówił — nie trzeba nigdy rzucać chleba na ziemię; ciężko nań zapracować. Nie mamy go za dużo dla siebie, gdybyśmy go zaś mieli za wiele, trzeba by było podzielić się nim z biedniejszymi. Może kiedyś go ci zabraknie, a wtedy ocenisz całą jego wartość. Pamiętaj o tém zawsze, mój chłopcze.“

„Nigdy nie zapomniałem o tém — powiada Vallès. — Uwaga ta, którą poraz pierwszy może w méj młodości zrobiono mi bez gniewu i z godnością, przeniknęła do głębi méj duszy i od owego czasu chléb zawsze szanowałem.“

To, co mi ojciec powiedział o biednych—mówi daléj — utkwiło mi także w pamięci i być może zawdzięczam słowom tym, wypowiedzianym spokojnie i bez pretensyi, że miałem odtąd współczucie dla tych, co głód cierpią i że brać ich zacząłem w obronę....

Były to może jedyne zresztą łagodne słowa ojca, jakie Vingtras zachował w pamięci. Im bardziéj chłopiec rósł w lata, témbardziéj rodzic jego gorzkniał i stawał się niecierpliwym. Na dobitkę Jakób był nie tylko synem, lecz i uczniem swego ojca, synem, który

musiał być dla tego już samego przykładny i dla tegoż przykładu odbierać często najniezasłużeńsze kary, walczyć przytém z obowiązkiem koleżeństwa z jednéj i ojcowskiego posłuszeństwa z drugiéj strony. Że ojciec nie był zbyt łagodnym dla jedynaka, widzimy z faktu, który Jakób w swych wspomnieniach pominął, który jednak przypomniał niedawno jeden z towarzyszów lat młodych Vallès'a, dziś wybitny członek republikańskiéj lewicy, Ranc. Po zamachu grudniowym ojciec wezwał do siebie syna, przygotowującego się podówczas do egzaminów w Paryżu, posłyszawszy, że wdaje się w jakąś rewolucyjną opozycyą. Bał się utracić miejsce, ażeby zaś zachowanie swego syna w stolicy, gdyby to wyszło na jaw, uczynić niepoczytalném—osadził go w domu obłąkanych. Osadzony tam przemocą młody, dwudziestoletni już wówczas Vallès, przesiedział sześć tygodni w domu waryatów i trzeba było wstawienia się przyjaciół paryskich, którzy późno dowiedzieli się o tém zajściu, ażeby młodzieńca wydobyć z tego szczególnego więzienia. Rygor przeszedł tu już niewątpliwie wszelkie granice! Wobec tego jednak faktu trudno nam dziwić się zbytnio goryczy rozlanéj w autobiografii. Młody wychowaniec szkolno-domowéj feruły okazał się jednak mało skłonnym do ugięcia się pod jéj jarzmo. Przeciwnie, liczne przykrości, doznane od rodziny i w murach kolegium sprawiły ten tylko skutek, że młody Jakób przejmował się coraz bardziéj i głębiéj goryczą, że znienawidził dom, szkołę i zawód profesorski, samę nawet naukę.

Wynikały wówczas gwałtowne sprzeczki między ojcem a synem, gdy ten nie chciał pokornie naginać się do jego planów i wcześniéj już zdradzać począł buntownicze zachcianki.

Ojciec sam czuł, że nie jest bez winy, że postępuje nietaktownie. Po jednéj z takich sprzeczek z dorastającym już wyrostkiem skarżył się przed żoną: „Nasz Jakób może nienawidzi mnie nawet! Jestem sam może temu winien. Cóż jednak począć, nie jestem często panem siebie. Profesura zrobiła ze mnie stare bydlę, które potrzebuje budzić postrach; przywyka się do tego. Surowe spojrzenie, bez którego nie ma w klasie spokoju, przyrasta do twarzy... w tych warunkach robi się człowiek nawet okrutnym—i byłem nim często.... Gdybym uległ niekiedy i dał się powodować łagodnością, wydawałoby się, że wykraczam przeciwko karności. Obawiałem się, żeby uczniowie moi, i mój syn między nimi, nie śmieli się ze mnie. Byłem zresztą nadzorcą szkolnym i zostało mi to we krwi. Do niego (do syna) przemawiać będę zawsze jak do swego ucznia i brać go będę mimowoli za chłopca, którego karcić i karać potrzeba, ażeby się mnie bał i nie przywiązywał szczurów do kołnierza mego palta..."

Szczere to wyznanie nie usuwało atoli powodów do nieporozumień; z matką szło lepiéj, od czasu jak syn wyrósł na młodzieńca, a przez to wyszedł z pod jéj opieki. W lepszéj tedy chwili jakiejś szczerości i wylania nastąpiło wzajemne przebaczenie i zgoda.

Mimo to głucha domowa walka nie ustawała i młody rewolucyonista podniósł ją nawet pod koniec do znaczenia zasady, powiedziawszy sobie z determinacyą, że bronić będzie „praw dziecka“ (le droit de l'enfant) jak inni bronili „praw człowieka“ (droits de l'homme)! Przyrzeczenia tego dotrzymał, a cała pierwsza część jego autobiografii jest wymowną, skargą przeciwko tyranii domowéj.

Prócz domu miał młody Vingtras kolegium. Nie wyniósł jednak i stamtąd miłych wspomnień. Trzeba wiedzieć czém jest francuzkie gimnazyum. Szkoły nasze jezuickie z XVII—XVIII wieku mogłyby dać o niém pewne pojęcie. Kolegia są to po większéj części internaty, w których zwraca się główną uwagę na karność, a potém dopiero na naukę. Nauka zaś sama przepełniona jest jeszcze duchem średniowiecznym, jak cała organizacya szkolna. Uczniowie łamią sobie głowę przedewszystkiém nad łaciną i greką, nad klasyczną retoryką i filozofią, robią łacińskie i francuzkie wiersze... Zamiast systematycznego nauczania i egzaminu, któreby w regularnych odstępach czasu świadczyły o postępach uczniów, panuje wszechwładnie system popisów i konkursów, które mają być bodźcem pilności. Popisy te jednak w najlepszym nawet razie stawiają na miejscu zamiłowania do przedmiotu i pracy—chęć odznaczenia się, błyszczenia, wyróżnienia się. Że sprzyja to przedewszystkiém próżności z ujmą nauki prawdziwéj, nie można wątpić. Po skończeniu kolegium uczeń nie zdaje żadnego egzaminu, lecz musi dopiero udać się do uniwersytetu i tam złożyć odpowiedni egzamin na „bakałarza“ (*bachelier ès sciences* lub *ès lettres*)! „Baccalauereat“ ten ma być obecnie we Francyi zniesiony lub zreformowany.

Obdarzony zmysłem krytycznym i poczuciem rzeczywistości młody Vallès wyniósł tylko nienawiść dla tego przestarzałego systemu pedagogicznego; dokuczliwe zajścia, jakie miał nieraz ze szkołą, spotęgowane tém, że był synem nauczyciela i chłopcem niezamożnym, zwiększyły tylko ten wstręt do oficyalnéj tresury. Dom i doznawane w nim przykrości od rodziców, służących przy jednym z ołtarzów owego *Université de France*, dolewały tylko oliwy do tlejącego wciąż w młodym chłopcu ognia niechęci.

Całe to dzieciństwo i młodość opromieniają tylko zabawy z rówieśnikami, zdala od wszelkiego nadzoru i parę wycieczek na wieś do krewnych. Jakże zazdrościł młody chłopiec tym wieśniakom pra-

cowitego lecz wolnego życia na łonie natury, którą nauczył się wcześnie podziwiać i kochać. Budziła się w nim wtedy chłopska krew i zwiększyła tylko odrazę do miejskiéj mizeryi.

III.

Ukończywszy kolegium na prowincyi, Jakób Vingtras przybywa do Paryża dla uzyskania bakalaureatu i wyrobienia sobie jakiegoś stanowiska. W tymże czasie daleka krewna, znająca go od lat dziecinnych, zapisuje mu niewielki kapitał. Rodzice przysyłają mu z tych pieniędzy co miesiąc małą sumkę, która nie wystarcza na najpierwsze nawet potrzeby. Losy tego młodego *bakałarza* stanowią treść drugiéj części autobiografii, *le Bachelier*.

Uzyskawszy ów naukowy stopień, młody Vingtras nie pragnie jednak z niego korzystać. Nie chce się zaciągnąć do służby nauczycielskiéj, lecz życzyłby sobie gorąco zostać robotnikiem! Zdrowa praca ręczna i świeży grosz każdéj soboty, wystarczający na skromne utrzymanie, nęci go niewymownie. Jakże wolnym byłby wówczas od całego tego naukowego balastu, sfałszowanego i ogłupiającego, do którego czuje tylko pogardę!

Dowiaduje się tu i owdzie, czyby go nie przyjęli do roboty, pewien jednak stary robotnik rozwiewa szybko te złudne marzenia. „Nie pal się, powiada, tak bardzo młodzieńcze do tego stanu! Zaczynając późno, będziesz tylko popychadłem; sama nawet edukacya, jaką odebrałeś, uczyni cię nieszczęśliwym. Aczkolwiek uważasz się za rewolucyonistę, czuć cię jednak za bardzo szkołą... W każdym razie ostrzegam, że u kresu życia w bluzie jest życie w łachmanach. Robotnicy kończą w przytułkach dla ubogich... Nie bądź więc na swój wiek za mądrym! Nie myśl tylko o sobie, o swoich pięciu frankach dziennie, o tym „pewnym“ chlebie, któryby wpadał każdéj soboty do twéj robotniczéj kieszeni. Jest w tém nieco egoizmu, towarzyszu!“

Po takiém oświadczeniu i kilku nieudanych próbach trzeba było zarzucić piękne marzenia o zawodzie robotniczym i „wstąpić w szeregi umysłowego proletaryatu, zaliczyć się do biednych *bakałarzy*.“ Przed takim mandarynem otwierała się utarta droga—dosługiwanie się w kolegium profesorskiéj godności, zacząwszy od dozorcy (*pion*), trzeba było pójść drogą, którą przebył ojciec; Vingtras jednak powiada, że miał „w żyłach dziesięć lat gniewu“ przeciwko całéj oficyalnéj nauce i „instynkt buntu“ w piersiach, trzeba więc było zachować niezależność, obok kawałka chleba. Ale jak?

Tymczasem jednak młodemu aspirantowi do niezawisłości życie nie okazało jeszcze wszystkich swych nieubłaganych wymagań. Wpadł w grono kolegów i rówieśników. Zawiązało się niebawem kółko, zasiadające początkowo w kawiarni, potém w mieszkaniu jednego z kolegów. W gronie tém rozbierano różne kwestye—literackie, naukowe, polityczne; brano inicyatywę w urządzeniu manifestacyi z powodu zamknięcia wykładów Micheleta, srożono się jeszcze bardziéj podczas zamachu stanu 2-go grudnia... były to jednak tylko studenckie zabawki, bez żadnych daléj idących konsekwencyi.

Vingtras był jednym z wybitniejszych członków i pozując na nieprzejednanego rewolucyonistę—gorszył wszystkich swym sceptycyzmem, zjadliwą krytyką rewolucyjnego nawet kultu i brakiem wszelkiego entuzyazmu, którego ani szczypty nie posiadał. Oto niektóre z tych herezyj.

Rousseau był oczywiście wielkim duchem tych rewolucyjnych misteryi. Vingtras wystąpił natychmiast z krytyką...

— „Ten Rousseau, mówił, nigdy się nie śmieje, zawsze jest jakiś skrzywiony i płaksiwy; robi frazesy, które nie idą mu z serca bynajmniéj; zwraca się téż ciągle do Rzymian, jak to my musieliśmy robić w naszych szkolnych ćwiczeniach...

Wolę już, ciągnął daléj, Voltaire'a; tylko nie tego Voltaire'a, przybierającego minę poważną i namaszczoną, lecz Voltaire'a drobnych opowiadań, Voltaire'a wesołego, pokazującego figę Panu Bogu, dającego szczutka dyabłu i kpiącego ze wszystkiego. Ten mi się lepiéj podoba, niż ten wasz Rousseau, *pisse-froid* (wyraz nie dający się przetłómaczyć).

— I ty masz pretensyę być rewolucyonistą? zapytał jeden z kolegów, mocno zgorszony.

— Nie mam żadnych pretensyi, odrzekł Vingtras, twierdzę tylko, że Rousseau mnie nudzi, równie jak i Voltaire, gdy udaje poważnego—a nie lubię, żeby mnie nudzono. Jeżeli dla tego, żeby być rewolucyonistą, trzeba się zrobić bałwanem, to podaję się do dymisyi!

— Cała wasza rewolucya, mówił innym razem, wasze długie włosy, wasze Robespière'y i Saint-Just'y wszystko to blaga! Jesteście magami (les calotins) demokracyi! Co mnie to obchodzi, czy Ledru-Rollin, czy kto inny wystrzyga wam tonsurę!... Ach seminarzyści czerwoni! Nieraz wieczorem w mém skromném mieszkaniu pytam się sam siebie, czy nie porzuciłem jednéj zakrystyi dla drugiéj i czy obok klasyków Uniwersytetu nie ma także klasyków Rewolucyi z czerwonymi inspektorami i jakobińską bakalarnią...

Oskarżają mnie koledzy, powiada, o brak wiary; mówią, że nie wierzę w książki i sławę. Ależ ja obawiam się, czy nie mam téj wiary za wiele! Zdaje mi się, że do mego entuzyazmu miesza się romantyzm gorącéj lektury, która nam przedstawia rewolucyę pełną poezyi i wielkości i która trupom republikańskim obiecuje mówkę pogrzebową przy odgłosie wystrzałów armatnich! Czy ja wiem istotnie, dla czego tak pragnę walki i zwycięstwa i skąd ten dreszcz na samo tylko wspomnienie rewolucyi!? Skąd to pragnienie walki, ta żądza męczeństwa? i to wyznanie wiary: „Wierzę w strofy *Marsyljanki.*“

Sceptyk jednak nie formuje ściśle swego protestu, równie jak i nie stara się sięgnąć głębiéj do zasad krytykowanych. Przed sobą samym przyznaje się otwarcie jak jest jałowym, gdy mówi:

„Czuję to dobrze, że mam zupełne pustki w głowie: nic prócz *moich własnych* poglądów, oto wszystko! Jestem próżniakiem, któremu się nie chce szukać idei u innych. Nie mam odwagi grzebać się w książkach... Nic więcéj prócz *moich* idei—rozmyśla—prócz moich własnych, to okropna! Nie widzę daléj nad koniec własnego nosa“...

Był przynajmniéj szczerym. Zresztą godził się rezygnacyjnie z losem. „Wolałbym, mówi, żeby Michelet był czasami zrozumialszym... wiem jednak, że to jeden z naszych, że trzeba go bronić.“

Kupował zresztą codzień *Voix du Peuple* Proudhona a pytając się nieraz siebie „czy nie jest czasem zakonnikiem na wywrót i niewolnikiem Rewolucyi?“ oświadczał, że wie, iż jego miejsce jest po téj stronie, gdzie wołać będą: „Niech żyje rewolucya demokratyczna i socyalna!“

Było to oczywiście bierne zaciąganie się w bojujące szeregi, bez wiary i przekonania. Zarzucano mu tedy słusznie, że niema entuzyazmu, że nawet sieje ziarna sceptycyzmu i niezgody między towarzyszami.

— „Niech i tak będzie, oświadczał, kto jednak z was rzuci na mnie kamieniem?“

Nikt nie rzucał, bo sceptycyzm już wtedy nurtował w młodych mózgach francuzkich, lubo nie znajdował dla siebie odpowiedniego ujścia.

Przyciśnięty materyalnemi kłopotami młody rewolucyonista wyznawał natomiast po cichu, że „żywi w sobie kult dla interesów materyalnych i jest gorącym czcicielem złotego cielca.“

Był tylko bardziéj szczerym od wielu radykałów i aspiracye swe w tym kierunku sformułował nawet potém, jak zobaczymy, w osobnéj broszurze...

Nie tylko jednak na polityce młody sceptyk ostrzył sobie zęby. Wiktora Hugo nazywa „genialną małpą“ i występuje złośliwie prze-

ciwko kultowi Berangera, przeciwko wyidealizowanym przez tego poetę gryzetkom. Utrzymuje, że wielu studentów dlatego uważa sobie za obowiązek utrzymywać metresy, iż tak napisano w Berangerze. Wydaje się mu to bezmyślném małpowaniem, zarówno w zasadzie jak i w najdrobniejszych szczegółach.

Tymczasem upływają lata. Skromna pomoc z domu urywa się. Była ona zawsze niedostateczną; teraz jednak z podwojoną energią trzeba się starać o utrzymanie, o kawałek suchego chleba i dach nad głową. Dla zachowania niezależności Vingtras nie zaciąga się do żadnéj stałéj służby, przyjmuje tylko dorywcze roboty, często upokorzające a przynoszące zawsze zarobek drobny i niepewny. Żyje w ostatniéj nędzy, wiecznie głodny i nieledwie obdarty; mimo cudów oszczędności i wszelkiego rodzaju ograniczeń, często nie ma nawet dachu nad głową i całemi miesiącami przepędza noce na świeżém powietrzu lub w jakiéj mizernéj dziurze. Chwilami trafiają się lekcye lub jakie korzystne zarobki, wszystko to jednak mija; Vingtras z swą naturą cygańską i dążeniem do niezawisłości nie może sobie znaleść żadnego dłuższego zarobku. Wpada wtedy w niemoc i opuszczenie, żyjąc lata całe w okropnéj nędzy; nic prawie nie pracuje nad sobą, nie czyta—bo głodny, nie ma światła a mróz przejmuje go w mieszkaniu, jeżeli je ma zresztą... Poznaje wtedy cały legion wydziedziczonych, całe zastępy umysłowego proletaryatu, ludzi którzy pokończyli nauki, mają swój *bachot* a mimo to żyją w ostatniéj nędzy, bo nie mogli pogodzić się z wymaganiami wkładanych na nich obowiązków, lub poprostu chwyciła ich straszliwemi pazurami nędza i nie pozwoliła zrobić kroku naprzód...

Wrażenia zebrane w tym czasie odtworzył późniéj Vallès w szeregu obrazków, wydanych pod tytułem *Les Refractaires*. Gdy literatura wyrwała go z téj toni, przyrzekł sobie, że stanie się rzecznikiem nędzy, jaką widział i któréj na sobie tak srogo doświadczył.

Nim jednak do tego przyszło, wykolejony *bakalarz* streszczał w następujących słowach wrażenia przeżytego okresu:

„Upływały lata jedne za drugiemi; widziałem jak po zimie następowało lato i tak daléj koleją z nieprzepartą jednostajnością natury. Odeon (1) zmrożony zimą a świeży w kwietniu—oto wszystkie wspomnienia, jakie wypełniały moją głowę i serce...

Oto suma tysiąca lub dwóch tysięcy dni, jaką mam do zapisania.

---

(1) Arkady pod teatrem Odeonu w „cyrkule łacińskim," gdzie są składy książek i zwykłe *rendez-vous* umysłowego proletaryatu.

Jest to okropne nie módz wskrzesić w pamięci ani jednego obrazu, ani jednéj sceny, ani jednéj głowy, ażeby je umieścić wzdłuż przebieżonéj drogi, bezbarwnéj i pustéj. Żadnéj żywéj radości lub ostrego bólu! Nie mam żadnych wspomnień i nic nawet, cobym potrzebował zapomniéć, nic, nic! Czas stoczony został przez robaka nędzy bez żadnego śladu.“ (*Le Bachelier*, 423).

Przywalony tą nędzą Vingtras „poddał się“ wreszcie, „zdradził,“ jak mówiły „czerwone czapki“ pod Odeonem. Po wielu latach protestu i nędzy został *pionem* w kolegium na prowincyi. Odżywił się wtedy i wypoczął—nie popasał jednak na téj posadzie dłużéj nad pół roku. Nie mógł się pogodzić z tém stanowiskiem, ugiąć buntowniczego karku pod jarzmo—znalazł się więc znowu na bruku paryzkim. Teraz zmężniał jednak jakoś i wydobył się ze szponów nędzy. Parę udatnych artykułów, do których zaczerpnął materyał z własnych wspomnień, otworzyło mu drogę do dziennikarstwa; parę szczęśliwych wystąpień na zgromadzeniach ludowych zrobiło zeń figurę polityczną. Nędza nie doskwierała już tak bardzo; bywały nawet chwile obfitego dostatku, nieledwie zamożności! Vallès, jak wiadomo, umarł kapitalistą, dzięki zapisowi, jaki mu zrobił już w wieku dojrzałym jeden z nieznanych wielbicieli, dzięki zresztą niektórym operacyom finansowym, jakie udało mu się przeprowadzić. Na dnie tego rewolucyonisty i sceptyka spoczywał zawsze chłop, zabity owerniak, oszczędny dusigrosz i pożądający gorąco pieniędzy, które mogły by mu zapewnić byt dostatni i... niezależny.

Usposobienie to i towarzyszące mu poglądy wyszły na jaw w przedmowie do ciekawéj broszury, która była prawie debiutem literackim Vallès'a i zapewniła mu następnie miejsce giełdowego sprawozdawcy w „*Figarze*“. Wyszła ona w r. 1857. W owym czasie Vallès borykając się z nędzą, postanowił zapoznać się ze wszystkiemi arkanami gry giełdowéj i zostać bezzwłocznie milionerem... W zamiarze tym długo nie wytrwał—cierpliwość i wytrwałość nie była jego cnotą—zrodził się jednak z tego świstek ulotny, zatytułowany *L'Argent*, w którym ironia mięsza się z prawdą tak, że trudno je odróżnić. Jak w wielu innych razach, tak i w tym wypadku, Vallès był tylko bardziéj szczerym od innych i wypowiedział jawnie to co wielu radykałów chowało głęboko w duszy, dla siebie tylko. Posłuchajmy jednak téj przedmowy: Autorem broszury jak wyjaśniono w tytule, był „literat, który został giełdziarzem“ (homme de lettres qui est devenu l'homme de bourse). Przedmowa napisana jest w formie listu do p. Jules Mirès, któremu Jules Vallès tłómaczy jakim sposobem rzecz ta została napisaną. „Panie, mówi tu,— byłem literatem i straciłem w tém rzemiośle dwa niezbędne organa: serce i żołądek, żołą-

dek—to okropne! Przyszedłem jednak do rozumu; z pod Panteonu udałem się do Giełdy i w drodze porodziłem tego oto bękarta. Widzisz pan, jak śmiesznie wygląda ten mały żydziak (pan jesteś izraelitą—nieprawdaż), którego posyłam panu wraz z tém co w nim siedzi, ażebyś pan został jego ojcem chrzestnym. Jesteś pan trochę literatem i całą gębą milionerem; milionerem—ja także jutro nim będę a literatem już byłem. Z saméj natury rzeczy jesteś pan tedy mym konfidentem...

Tylko nie lękaj się pan; jestem już wykurowany i przemawiam prozą. Nie palę mych wierszy—uciekam jednak jak od cholery od mych dawnych przyjaciół, męczenników myśli... Wyniosłem na strych wszystkie moje fałszywe wielkości, poczciwców, których właściwą siedzibą jest dom waryatów nie zaś Panteon; dołączyłem do nich medalion Berangera, tego staruszka który wypożyczał swój geniusz na lichwę... W szpitalu moi wielcy ludzie są jak u siebie....; pozwalają im tam dowoli spać, palić i nazywąć złodziejami lub episierami wszystkich porządnych ludzi, którzy robią majątek! Ach panie, i ja tak kiedyś myślałem—dziś jednak zmieniłem swój pogląd w tym punkcie. Mam obecnie o sławie i majątku, o atramencie i pieniądzach inne zupełnie wyobrażenia. Nie sądź pan jednak, żeby tak łatwo było zostać sławnym pisarzem i zawładnąć tłumem przy pomocy pióra jedynie... Ażeby założyć szkołę w literaturze trzeba tyle przynajmniéj talentu, ile go mieć wypada dla założenia banku.... I gdyby tylko chcieli ci dzielni szermierze pióra zużytkować swój talent w życiu realném, gdyby zużytkowali w niém swe zdolności, które ich czynią poetami, autorami dramatycznymi, historykami, publicystami, gdyby chcieli własne swe osobistości wplątać w dramat życiowy, odegrywany przez żądnych wzbogacenia się—nie ulega wątpliwości, że wytrzymali by z wami konkurencyę moi panowie plutokraci!“ Na ten temat snuł daléj ten aspirant na milionera ciekawe refleksye. „Kto wie, pisał daléj w owéj przedmowie. Rousseau naprzykład, jako autor *Umowy społecznéj* i *Nowéj Heloizy*, gdyby był mniéj biednym i mniéj sponiewieranym, czy wlałby do swych dzieł tyle goryczy, cynizmu i téj gwałtowności, którą lubią, jak sądzę, tylko natury chorobliwe i umysły niezdrowe. Wady J. J. Rousseau przypisuję właśnie téj męczącéj, złéj i nużącéj nędzy, któréj tyle doświadczył; ona zrobiła zeń człowieka i pisarza, jakiego znamy wszyscy. Nędza wyczerpuje silnych i demoralizuje słabych. Gdy się nie jadło obiadu, jest się złym i okrutnym; człowiek źle ubrany jest niezgrabny, pospolity i śmieszny...“ W uwagach tych Vallès sam się scharakteryzował dokładnie.

Wspomnienia swe z czasów komuny Jakób Vingtras spisał w trzeciéj i ostatniéj części swéj autobiografii: *l'Insurgé.* Jest ona najsłabszą i najmniéj szczerą, chociaż i tu jeszcze znajdujemy Vallèsa takim samym, jakim był całe życie.

Przy samym wstępie do Paryża po powrocie z owéj posady w kolegium trafia na pogrzeb Mürgera, idylicznego piewcy różnych Lisetek i Mimi, i powiada: wyście przedstawiali cyganeryę sentymentalną i spodloną— ja wam ją pokażę zrozpaczoną i groźną!

Wśród tych pomyślniejszych usiłowań prześladują go jednak wspomnienia przebytéj nędzy i żal lat utraconych: „Przejmuje mnie czasami, powiada, podła skrucha i trapią zbrodnicze wyrzuty sumienia. Tak jest, napływają mi niekiedy do serca fale żalu za moją straconą młodością, za życiem mojém oddaném na pastwę głodu, za moją dumą, rzuconą psom na pożarcie, za przyszłością moją zwichniętą dla tłumu, który jak mi się wydawało, miał duszę i któremu pragnąłem przynieść kiedyś w darze całą moją siłę, nagromadzoną w boleści."

Takiego rozczarowania jest wiele w téj trzeciéj części autobiografii.

Nadchodzą zresztą straszne dni komuny i „krwawego tygodnia." Zdawało się, iż zbliżył się dzień, przywoływany tylokrotnie przez Vingtrasa, dzień gniewu i sądu. Vallès'a wybrano członkiem komuny. Gdy go o tém zawiadomił jeden z przyjaciół, Vingtras odzywa się doń w sposób następujący: „Dobrze to, że lud o mnie nie zapomniał, nominacya taka jednak równa się wyrokowi śmierci." Ta perspektywa prześladuje go ciągle. W ruchu nie zajmuje żadnego wybitnego stanowiska; wydaje wprawdzie dziennik *Cri du Peuple*, dziennik ten jednak, jak i jego redaktor, jest niezdecydowany i chwiejny.

Publicystą i człowiekiem wyrobionych zasad Vallès nigdy nie był; umiał tylko być sceptykiem i.... deklamować, w sposób, którego szczerość może być także kwestyonowaną,— co zresztą nie jest faktem wyjątkowym.

Przed komuną jeszcze, gdy przyszło przemawiać na zgromadzeniach i występować w prasie, Vallès, który dla swego radykalizmu nie może znaleść stałego miejsca w prasie legalnéj i konserwatywnéj, czuje także całą swą niemoc w radykalnéj opozycyi. Mimo, że uważa się za rewolucyonistę-socyalistę i wywołuje często postać *la Sociale*, wyznaje otwarcie, że nie czytał wcale Proudhona, który był na ustach wszystkich radykałów; oświadcza przytém wręcz, że kolektywizm i komunizm nie trafia do jego przekonania. I po komunie też tłucze się jak Marek po piekle; zajmuje go tylko ze strony artystyczno-romantycznéj rozpaczliwa walka — potém będzie

miał sposobność pisać często na ten temat deklamatorskie wspomnienia — a wreszcie patrzy na ludzi i wypadki przez ulubiony swój sceptyczny pryzmat, utrzymując, że cała ta rewolucya to tylko kler przebrany.

Oto np. portret Vermorela, jednego z wybitnych działaczy komuny, narysowany w *l'Insurgé.*

„Okropni są ci sekciarze starzy i młodzi! organiści konwentu lub zbiegi z zakrystyi. Vermorel to opat, który sobie wąsy przyprawił; chłopak kościelny, który świeżo podarł swą komeżkę. Nosi na sobie niezatarte piętno seminaryum ten ateusz i socyalista.... Odczytując codziennie swój czerwony brewiarz, komentując stronica po stronicy swe nowe „Żywoty świętych“, przygotowuje kanonizacyę „Przyjaciela ludu“ i „Przeczystego“ (Marata), którego kazania rewolucyjne ogłasza i którego śmierci pocichu zazdrości. Ach! jakby pragnął zginąć od noża jakiejś Charlotty!

„Co do mnie — powiada — nienawidzę Robespiera deisty; nie myślę wcale przysięgać na Marata, tego galernika podejrzeń i histeryka konwentu, newrotyka krwawéj epoki!“

„Vermorel dla tego czci swych rewolucyjnych bohaterów, że w saméj herezyi nie przestali oni być religijnymi; ich wiara i nienawiść zmieniła tylko przedmiot; wszyscy ci słudzy rewolucyjnego kościoła pójdą, jeżeli się zdarzy sposobność, równie jak jezuici, pierwsi ich mistrze, przez morderstwa do celu, który przysięgli osiągnąć. Po nad wszystkiém muszą oni miéć także swe „socyalne papiestwo.“ Konstatuje zresztą, że Vermorel wydaje się nieraz zniechęcony i powiada, że „tym, co wierzyli w niebo, ziemia zawsze wydaje się za małą, nie mogąc się zaś zdobyć na jakiś przedmieściowy Watykan, ogryzają sobie palce ze złości ci dezerterzy kościoła.“ Zawsze zresztą nimi pozostają. „Przyzwyczajeni do dymu kadzideł, potrzebują teraz koniecznie dymu prochu“, gdy zaś nie wiedzie się im w tym rewolucyjnym klerykalizmie, „zrozpaczeni wychylają truciznę, ażeby paść jak bydlęta, które duszy nie znają.“ Jest to także aluzya do Vermorela, który usiłował był sobie kiedyś życie odebrać.

A potém jeszcze ciekawy obrazek w stylu nietylko sceptycznym, lecz i naturalistycznym. „Ten świecki opat ma żonę, złośnicę, która go zabija szpilkowemi ukłuciami. Lubi on to zapewne, pragnąc być napawany octem, ofiarowanym na końcu miotły w braku włóczni z Golgoty.“ I tłómaczy daléj w ten sposób ten rewolucyjny ascetyzm Vermorela: „Nigdy on nie słyszał szmeru strumyka, nigdy nie wsłuchiwał się w śpiewy ptaków; nosząc w sobie swe niebo, nigdy nie śledził na widnokręgu za biegiem chmur, drganiem gwiazd

i nie widział nigdy wschodu słońca.... Nie lubiąc ziemi, gniewa się na tych, którzy w niéj pogrążają swe stopy."

Wśród tych rozmyślań komuna ma się ku schyłkowi i Vingtras obawia się czasem, żeby nie był zabity „nim jeszcze zdołał coś zdziałać."

Jak wiadomo, los oszczędził Vallès'a w straszny ów „krwawy tydzień."

Przebrany za doktora przy ambulansie, zdołał następnie się ukryć i zbiedz do Anglii, skąd go dopiero wróciła amnestya 1880 r.

Z Londynu pisywał do dzienników paryskich i tam właśnie rozpoczął już swą autobiografię, z któréj wyjęliśmy niektóre charakterystyczne rysy.

IV.

Wróćmy jednak jeszcze do Vallès'a z czasów nędzy i głodu. Wrażenia i obrazki, zebrane wówczas i zamieszczane następnie w różnych dziennikach, wyszły w r. 1866 w osobnéj książce pod ogólnym tytułem *Les Refractaires.* Tytuł ten tłómaczył Vallès w przedmowie w sposób następujący: „Za czasów pierwszego cesarstwa, za każdym razem, gdy zabierano Francyi pewną ilość świeżego mięsa, ażeby zatkać niém dziury porobione przez nieprzyjacielskie armaty, trafiały się w każdéj wsi prawie krnąbrne syny chłopskie, którzy odmawiali wielkiemu imperatorowi posłuszeństwa. Obojętny był dla nich blask orłów napoleońskich — woleli uciekać w góry lub lasy i kryć się tam zdala od sławy, która na nich wołała... Nazywano ich „les refractaires". Nie o nich jednak chcę mówić. Moi „refrakterzy" (wykolejeni) błądzą po śmietnisku miast; nie mają cnót naiwnych i nie zachwycają się wschodem słońca. Wśród miejskiego mrowiska istnieje taki gatunek ludzi, którzy przysięgli sobie być wolnymi, którzy zamiast przyjąć miejsce, jakie im świat ofiarowywał, zapragnęli je sobie wywalczyć według swego upodobania i gustu, śmiałością i talentem; którzy myśleli, że jednym potężnym rzutem, siłą gorącego pragnienia, palącém tchnieniem swéj ambicyi zdołają godnie zająć miejsce obok innych; którzy nie mogli zdobyć się na długie i cierpliwe wyczekiwanie; którzy obrali sobie drogę na przełaj przez pola i lasy, zamiast trzymać się utartego i szerokiego gościńca.... Ja tych właśnie nazywam „wykolejonymi."

Vallès opisuje daléj jak ten proletaryat umysłowy mieszka, przepędza dni i nocy, żywi się i umiera. Są to fotografie zdjęte wprost z życia, przejmujące politowaniem i współczuciem. Biedacy ci często nie miewają dachu nad głową, śpiąc parę godzin w nocy

gdzieś za węgłem, wystawieni na chłód i słotę, albo za miastem pod płotem lub drzewem, zdala od czujnego oka policyi miejskiéj. Całemi dniami nie jedzą nic lub niesłychanie mało, używając całego mistrzowstwa, ażeby zdobyć sobie kawałek chleba na dziś, w sposób często poniżający, nie wykraczający jednak przeciwko uczciwości. Dnie całe zimą i latem proletaryat ten, złożony z ludzi młodych i starych, weteranów nędzy, przepędza czas w bibliotekach publicznych, otwartych dla każdego bezpłatnie, jak w wielkiéj czytelni Biblioteki św. Genowefy, lub na wykładach w Sorbonie, w *College de France*, dostępnych również dla każdego. Proletaryusz taki nosi zazwyczaj pozory przyzwoitego ubrania, wytężając wszystkie siły, aby się nie ukazywać w odrażających łachmanach — resztki te bowiem choć wytartego ubrania zabezpieczają mu jeszcze czasami jakiś doryweczy zarobek. Po latach pięciu, dziesięciu, dwudziestu niekiedy takiego życia, pełnego nędzy, poniżenia, chłodu i głodu, wykolejony kończy życie w jakimś szpitalu publicznym z wycieńczenia i choroby. W otchłań tę wpadają ludzie, których wykoleiły często najszlachetniejsze pobudki i którzy giną w bezlitośnych uściskach nędzy, gdy ta już ich raz dobrze w swe szpony chwyciła.

„Oto—powiada Vallès—jak kończą często ci, którzy wszczęli głuchą walkę z przesądami świata. Kończą oni śmiercią bezmyślną, okropną i dochodzą do niéj przez zabłocone ścieżki samotni, opuszczeni, przeklinani i wzgardzeni pod uniformem nędzarzy.... Wzbogaceni pewnego pięknego poranku, sławni nawet niekiedy mogą ci zranieni w potajemnéj walce oblać rany pachnidłami, zetrzéć pot z czoła, suszyć łzy — wspomnienia jednak wciąż otwierać im będą rany, zrywać bandaże. Cierpiéć będą na odgłos jednego słowa, jednéj nuty, wesołéj lub smutnéj, która przypomni tym chorym duszom blade widma przebytéj przeszłości....

„Niezręczni! Czegoż bo od nich żądano? Być czémś w zbiorowéj maszynie, gwoździem, młotem lub kowadłem, piątem kołem u wozu, czémkolwiekbądź, mniejsza o to! Społeczeństwo nie kontroluje tak znów pilnie swych członków, byle mu tylko nie dawano zgorszenia, nie narażano go na niebezpieczeństwa! „Ze mną lub przeciwko mnie!“ Takie jest jego nieubłagane hasło. Powinniście miéć swoje stanowisko, rzemiosło, szyld. Reszta to rzecz drugorzędna. I społeczeństwo to powtarza uparcie, że ono tylko ma słuszność. Biada temu, kto odrzuca jego opiekę i chce iść wpoprzek ścieżki wydeptanéj przez tradycye! Bity gościniec lub rynsztok! do wyboru.... I ażeby wpaść do tego rynsztoku, w którym—mówi Vallès—widziałem tarzających się tyle dusz, które, jak mnie zapewniono, były niegdyś nieskalane i dumne, wystarcza, ażeby pewnego

pięknego poranku zabrakło chleba. Gdy w takiéj chwili nieszczęsny proletaryusz zawaha się, gdy nie wytęży wszystkich sił i nie zbierze całéj swéj przytomności, ażeby zdobyć ten kawałek powszedniego chleba, jeżeli straci stosowną chwilę — jest zgubionym, choćby miał talentu za czterech, cnoty na miarę bohatera i zdrowie atlety. Napróżno potém będzie się bił w piersi i wołał łaski! Zapóźno, hydra nędzy go trzyma i nie puści, póki nie pozrze całego....“

Wiele jest słusznéj goryczy i przeżytego bólu w tych refleksyach — a jednak społeczeństwo prócz utartego gościńca i rynsztoku ma jeszcze cierniowe drogi pracy, niepodległych myśli, szlachetnych pobudek i zamiarów, u kresu których stoi często uznanie szerokiego ogółu, a nierzadko i dostatek. Ci pionierowie dróg nowych posuwają właśnie społeczeństwo ku dalszym ewolucyom i czasem to, co było niemal zbrodnią w jednym okresie, bywa zasługą, zdobną wieńcem zasługi w dalszym. Nie wesoła tylko zapewne dola czeka tych, którzy drąc się przez te ciernie i głogi, upadli, którzy nie mieli dość wytrwałości, pracowitości lub talentu, ażeby się do téj walki dostatecznie uzbroić i wynieść z niéj coś dla ogólnego pożytku, lub którzy zresztą mimo największe wysiłki spotkali na swéj drodze nieprzezwyciężone przeszkody. Ale i ci mają często w nagrodę przeświadczenie spełnionego obowiązku lub uznanie choćby w dalekiéj przyszłości....

Vallès ma tę zasługę, że rzucił jaskrawe światło na trudne warunki życia proletaryatu umysłowego i wykolejonych, na te świadomie lub bezwiednie buntownicze rzesze, mrące z głodu i chłodu, że nie rzucał na nich kamieniem, nie mijał obojętnie, lecz miał żywe współczucie dla ich doli i głębszą wyrozumiałość dla przykrych kolei ich życia, którego na sobie samym doświadczył. Gdy pierwszy raz młodzieńcem jeszcze przybył do Paryża, uderzył go widok młodzieńca dość przyzwoicie ubranego, który maczał pokryjomu w Sekwanie kawałek suchego chleba. Drgnął wtedy, jakby przeczuwając własną dolę w tém ludzkiém mrowisku i wrażenie to pozostało mu w pamięci na długo.

W *Les Refractaires* przesuwają się przed nami różne sylwetki takich wykolejonych proletaryuszów. Autor wtajemnicza nas w zakulisowe sprawy ich nędznego życia, a w dzień zaduszny idzie na cmentarz położyć wianek żałobny na ich samotnych grobach. „Pójdę—powiada—odwiedzić mogiły, na które nikt płakać nie przyjdzie, pożegnam tych nieznanych, rzuconych byle jak do wspólnego dołu.“ Wpada przytém na temat rezygnacyjnych refleksyj. „Boże mnie uchowaj—powiada—ażebym miał tu wytaczać proces moim czasom. Umarli, których pozdrawiam, nie zostali pomordowani, złamała ich

fatalność.“ Nie wzywa do buntu. „Wołam tylko o litość na tych, co mimowolnie może i w dobréj wierze idąc pod wypłowiałym sztandarem tradycyi, zabrali życie i przyśpieszyli śmierć ludziom, których jedyną zbrodnią była chęć życia według swego gustu, w zgodzie z swemi złudzeniami i którzy, mając nogi w rynsztoku a oczy podniesione ku niebu, umartwili swe ciało na rzecz ducha, którzy żyli w zapomnieniu i nędzy, nieszczęśliwsi od zbrodniarzy, karanych publicznie... Nędza pojawiała się zwykle światu bądź po za bladą mgłą filantropii, bądź w czerwonym ogniu rewolucyi, z pianą na ustach i prochem w dłoni. Obok téj jednak nędzy klasycznéj, która ma swoją historyę, jest inna jeszcze niemniéj rzeczywista, straszna, okropna... chcę mówić o téj, która niema swego sztandaru, nie wydaje krzyków, nie rzuca blasku i która spopiela swe ofiary na wolnym ogniu...“ W kategoryi opisywanych przez Vallès'a nieszczęśliwców, zaledwie — mówi on — znalazł się jeden, który zboczył z drogi obowiązku, naruszył prawo... Dla usprawiedliwienia ich powiada daléj: „Wyrzućcie na ulicę człowieka, któryby miał zbyt obszerny surdut na plecach i zbyt krótkie spodnie, człowieka bez kołnierzyka, krawata i grosza w kieszeni—choćby miał geniusz Machiawela lub Talleyranda, zginie w rynsztoku.“ „Nie przyszedłem tu—powtarza jeszcze—potrząsać sztandarem, przemawiam tylko do waszego poczucia słuszności, wołam o słowo pożegnania dla umarłych i pozdrowienie dla zranionych.“

W „Odszczepieńcach“ spotykamy ciekawy rozdział, zatytułowany: „Les victimes du livre“—Ofiary książek, w którym autor wykazuje ilu ludzi wykoleiły głośne i zasłużone skądinąd utwory geniuszu ludzkiego....

Pod koniec téj książki spotykamy się jeszcze z wybornym obrazkiem, który mógłby posłużyć za temat do wzruszającéj noweli. Bohaterem tego opowiadania jest Olbrzym-bakałarz (*le Bachelier-Géant*). Młody człowiek, skromny *pion* w kolegium za wielki był wzrostem dla szkoły. Starsi koledzy nauczyciele i dziatwa szkolna gryzły i raniły szpilkowemi ukłuciami tego olbrzyma. Żył samotny w swych szkolnych koszarach, bez przyjaciół i życzliwych. Zdarzyło się, że do miasteczka, w którém mieszkał, przybyła trupa pajaców i siłaczy. Poszedł na widowisko i ujrzał w ich gronie piękną Rozitę. Pokochał ją i został pokochany. Był odtąd codziennym gościem w szopie tych wędrujących „artystów.“ Gdy odjeżdżali, nie mógł przenieść na sobie rozłąki i przyłączył się do towarzystwa. Był odtąd pożytecznym jego członkiem, a w nagrodę miał miłość Rozity. Dola téj włóczącéj się drużyny nie zawsze była godna zazdrości; obok jaśniejszych dni dobrobytu i łaski wielogłowego tłumu

były czarne lub szare dni nędzy i głodu. Po nad tém wszystkiém jednak świeciła naszemu olbrzymowi jasna gwiazda miłości. Olbrzym kochał po swojemu—całą mocą swéj silnéj natury. Kobiety jednak nużą się często takiém wielkiém uczuciem. Rozita jak bizetowska Carmen lubiła dla rozmaitości kochać, gdy nią gardzono, zczasem więc zaczęła mu się sprzeniewierzać dla rozpustnika, sceptyka i cynika, który powiększył ich towarzystwo. Olbrzym wiedział o tém, udawał jednak, że nic nie podejrzywa; „kochał daléj, pogardzając sobą, mając dla swego uspokojenia tylko to poczucie, że czynił z siebie ofiarę... dla Rozity."

O miłości Jakób Vingtras zupełnie prawie nie wspomina w swojéj autobiografii. Był zbyt biedny, zbyt opuszczony i źle ubrany, ażeby mógł myśléć o sercowych podbojach. W zbiorku tylko „Les Refractaires" spotykamy poemacik p. t. *l'Habit vert*, w którym młodzieniec zakochał się w dziewczynie, podającéj obiady w skromnéj jakiejś garkuchni; młodzieniec ten jednak miał śmieszny kostium na sobie, ruchy niezgrabne, był nieśmiały i został wkrótce ubieżony przez szczęśliwiéj obdarzonego spółzawodnika.

V.

Lemer pisał o Vallèsie w swéj przedmowie (1): „Zdawało mi się często wśród naszych rozpraw bez końca nad rozgłośną „kwestyą socyalną", rozpraw, wśród których Vallès, przesadzając teorye Roussa i niektóre poglądy Proudhona, doprowadzał zawsze prawie siłą logiki do zrobienia *tabula rasa* ze wszystkich instytucyj — zdawało mi się, powiadam, że ten rewolucyonista, nieprzejednany, jak się sam nazywał, wysilał się nadmiernie dla poparcia swych twierdzeń i że w tych wywrotowych zapatrywaniach najbardziéj pociągała go oryginalność pozy, jaką wówczas przybierał i dosadność wyrażeń, któremi się wówczas posługiwał.... Przychodziło mi więc nieraz na myśl, czy Vallès nie był ostatecznie tylko fałszywym gwałtownikiem. Są przecież tacy fałszywie rozsrożeni, jak są fałszywi poczciwcy."

W słowach tych jest wiele prawdy. Nieuctwo swe w kwestyach socyalnych, w których przecie za herolda się uważał, wyznał niejednokrotnie sam Vallès. Mówił otwarcie, że nie czytał Proudhona, mimo że ten wówczas był u wszystkich radykałów na ustach, bo nie miał pieniędzy na kupno jego dzieł, a zresztą nie dowierzał z za-

(1) Les Enfants du Peuple.

sady drukowanemu słowu... Sam wyznaje, w jakim był kłopocie, gdy został już mówcą klubowym, skoro go pytano o zasady i zniewalano do formułowania programu. Lemer przytacza jeszcze jeden przykład charakterystyczny. W toku owych rozmów u Św.-Pelagii zachwalano bardzo jedno z dzieł Proudhona i zaproponowano mu je do przeczytania, równie jak i niektóre rzeczy Fourièra. Tego ostatniego stanowczo nie chciał wziąć do ręki; Proudhona wziął lecz go nie czytał. Natomiast wiele mówił o swém zajęciu się rzeczami literackiemi. I w tym jednak kierunku przychodził tylko do konkluzyi, że „trzeba zniszczyć całą literaturę tradycyjną, literaturę szkolną, literaturę zarówno klasyczną jak i romantyczną, ponieważ ostatnia zapanowawszy wszechwładnie, stała się także klasyczną... Na gruzach tych radził stworzyć literaturę nową, literaturę ludową.“ Po za to jednak *pium desiderium* Vallès poszedł niedaleko. Głosił tylko wciąż swój literacki nihilizm, obiecując kiedyś napisać szereg artykułów, w których miał zdruzgotać Homera, Wirgiliusza, Rafaela, Michała-Anioła, Molièra, Wiktora Hugo... całą tradycyjną literaturę i sztukę. Były to jednak tylko wybuchy negacyjne, nie ujęte w żaden system i nie poparte dostatecznie. Przy sposobności tylko chwytał za pióro i pałaszował na prawo i na lewo. Tak naprzykład pisał o *Hernanim*: „Są tam bezwątpienia wyborne wiersze, ani jednéj atoli sytuacyi prawdziwéj i potężnéj, a przedewszystkiém nic, nic coby utwór ten czyniło dziełem wolności i walki! Co! ten melodramat miał być punktem wyjścia dla rewolucyi? (1830 roku). Vallès potępiał wszystko w czambuł, nie wchodząc w subtelność walki romantyków z klasykami, nie rozumiejąc sytuacyi ówczesnéj. I wypowiadał daléj nieskończone tyrady przeciwko wszelkiéj starzyznie, konkludując że Wiktor Hugo był tylko „wspaniałem monstrum.“ „Przyszedł on na świat, powiadał, z pustą głową i sercem, jak Memnon jednak, o którym mówi, miał dar śpiewania, skoro go tylko dotknął promień słońca, sławy, kościelnego ognia lub połysk broni, skoro go uderzył blask, który bije od korony królewskiéj lub od strzelby buntownika., Był tedy Memnonem wielu rzeczy: Napoleona I-go, Karola X-go Ludwika Filipa, pod-Memnonem Prezydenta—a oto stał się znowu naczelnym Memnonem wolności.“ Potępiał zarówno Wiktora Hugo, jak Berangera, których oskarżał o przesadę i wykoślawienie prawdy realnéj ze szkodą realnéj potęgi... pocieszał się tém jednak, że Wiktor Hugo jest na wygnaniu, Berangerowi zaś wyprawiono wspaniały pogrzeb przy asystencyi wojska i policyi. Gdyby był się doczekał pogrzebu Wiktora Hugo i tę pociechę by utracił!

Charakterystyczne jest także to, co pisał Vallès o Dumasie-synu. „Dumas silny jest w tém, co widział na własne oczy, gdy jednak

opowiada nam o cnocie, dobrym-Bogu, prawi morały i wdaje się w politykę, jest osłem i nikczemnikiem. Nasze bunty nie są przecież gorsze od rewolucyi, którą on się czwani. Ten teatralny buntownik, który, pomiatając zdawkową moralnością, zatknął jako sztandar spódnicę półświatka (i dobrze zrobił), nie powinien pluć na buntowników barykad. Nasi przecież bohaterowie, którzy zginęli od ołowiu, warci są jego bohaterek wyleczonych merkuryuszem. Świat szuka dróg nowych. Dawna moralność skazaną jest na zagładę. On zaatakował ją z skalpelem w ręku w swych książkach, myśmy uderzyli na nią z poza barykad. Witamy w nim talent—dlaczegoż jednak ten błazen nie szanuje naszych przekonań."

Vallès nie przebaczał żadnym antykom, bo zabijają one poczucie rzeczywistości i oryginalny polot. Zżymał się na widok posągów greckich i rzymskich, zapełniających sale Luwru, posągów, które czczono jak jakie bóstwa i które tylko naśladowano i naśladowano! Nie szczędził przy téj sposobności dosadnych wyrażeń i pytań, czy malarstwo straciło na tém, że nie doszły nas obrazy Zeuxisa i Apellesa; mimo to pojawili się Rafael, Rubens, Murillo... jeżeli zaś sława tych ostatnich zbyt ciężko przygniata talenta współczesne, to lepiéj by było zniszczyć te mniemane wzory... Oburzał się także na sposób, w jaki malarze wszystkich wieków i krajów przedstawiali wojnę; protestował przeciwko rutynie tryumfu i apoteozy, Grottgera oczywiście nie znał, a Wereszczagina nie przeczuwał zapewne. Nawoływał do rzeczywistości, tłómacząc, że w nas samych, współczesnych, krystalizują się tradycye ubiegłych wieków i pokoleń, nie należy więc poprzestawać na biernem naśladownictwie. W osobnym artykule rzucał wiele słusznych uwag o „sztuce ludowéj," zanim pojawili się impresioniści z Manetem na czele. Występował przeciwko tradycyjnéj rutynie w uganianiu się artystów pędzla za medalami i nagrodami, rozdawanemi przez instytucye podtrzymujące ślepe naśladownictwo tradycyi. Późniéj mógłby był powiedziéć, że Bastian-Lepage dlatego właśnie został prawdziwym i cenionym malarzem ludowym, że *nie* uzyskał *prix de Rome* i nie był poparty przez protektorów urzędowych sztuki. Gromił tedy zawzięcie „galerników tradycyi," wyznawców „konwenansowych ideałów," którzy gdy zwrócą ku czemu oczy, to patrzą zawsze po za siebie. Literatura, poezya, sztuki wszelkie błądzą jeszcze, powiadał, po udeptanych ścieżkach starożytności i wieków średnich, zaludnionych przez bogi, anioły i potwory. Teraźniejszość włóczy wciąż za sobą trupa przeszłości, jak galernik swą kulę u nogi. Trzeba jednak badać życie nie przeszłość umarłą! Rzym tradycyi i sztuki napawał go niepohamowanym gniewem. Mówił, że należy wyzwolić inteligencyę ludzką, przeszłość bowiem zaprzęgła

teraźniejszość w niewolę. Tradycyjne powagi były mu tak nienawistne, że wołał o krucyatę przeciwko nim i zburzenie ołtarzy, które człowieka robią niewolnikiem. Początki naturalizmu w literaturze witał Vallès sympatycznie; oklaskiwał także rewolucyą, jaką w muzyce klasyczno-romantycznéj zapowiadała operetka i śpiewaczki ogródkowe w rodzaju Thérésy.....

Sceptyczny nihilizm Vallès'a głoszony Francuzom w okresie 1860 — 70 roku, w fazie przejściowéj, kiedy romantyzm ustępował z pola rodzącemu się naturalizmowi, miał zasługę odwagi cywilnéj. Gwałtowne te napaści zwracały się ku rzeczom i poglądom, uważanym wówczas za nietykalne. W tych śmiałych zapatrywaniach Vallès był odosobniony, słuchany jako hereziarcha i późniéj dopiero uznany za zwiastuna naturalizmu. Widoczna tylko jałowość i niesystematyczność jego poglądów, ich dorywczość, widoczny brak trwalszéj podstawy naukowéj skazywal je na pewną niemoc i skuteczność tych uwag znacznie obniżał. Że jednak w negacyi Vallès był bezstronny, nie przebaczał wcale i radykalno-rewolucyjnemu klasycyzmowi, i tradycyjność radykalizmu potępiał również jak tradycyjność reakcyi oraz wszelkiego konserwatyzmu.

Przyznać i to jeszcze należy, że w swych „nihilistycznych“ zapatrywaniach Vallès był wszechstronnym. Pragnął, ażeby literatura, sztuka, nauka i polityka opierały się na rzeczywistości i z téj tylko realnéj krynicy czerpały natchnienie i wskazówki. Sądził przytém, że między wszystkiemi temi kierunkami musi zachodzić naturalna łączność i wcale nie uważał, żeby naturalizm w sztuce miał prowadzić do indyferentyzmu w życiu i polityce. Owszem widział naturalne pokrewieństwo między realizmem w literaturze, a postępowemi kierunkami w życiu polityczno-społeczném. Był on jakby naturalistyczną mgławicą, pierwotną syntezą, z któréj nie wyłonił się jeszcze ów wielogłowy realizm rozproszony przez różniczkowanie na rozbieżne zupełnie odcienia. Zdrowa w gruncie natura Vallès'a i jego chłopski rozum, mało popsuty jakąkolwiekbądź doktryną, strzegły go od wszelkich zboczeń jednostronnych. Naturalizm pesymistyczny i monstrualny spotykał się z jego nieubłaganą krytyką i kolącemi drwinami. Za przykład w tym rodzaju może posłużyć charakterystyka Beaudelaire'a. Chorobliwy piewca *Fleurs du mal* został tu przedstawiony w nader realném świetle.

Oto w ogólnych rysach dzieje jednego z „wykolejonych.“ Vallès był szczęśliwszym od innych, bo talent literacki i życie publiczne wyrwało go z toni zapomnienia i nędzy, która tylu innych pożarła. Gdyby pozostał „bakałarzem“, nie doznałby zapewne w życiu tylu przykrości, nie przeszedł tylu walk wyczerpujących i bolesnych—

nie byłby jednak Vallès'em i nie zaznałby tych wrażeń przyjemnych, jakie daje praca na szerszéj arenie.

Życie wykolejonych jest niezaprzeczenie cierniami wysłane, a dola ich nie zawsze wesołą. W trudnéj walce o byt ginie wielu, którzy opuściwszy utarte ścieżki, przystosować się do warunków otoczenia nie mogli czy nie chcieli. Ciężkie koła społecznego rydwanu druzgoczą takich ofiar tysiące. Nie trzeba jednak zapominać, że w tych właśnie szeregach rekrutują się liczni szermierze postępu.

Edward Przewóski.

POŁOŻENIE PARLAMENTARNE W AUSTRYI

PRZED WYBORAMI I PO WYBORACH.

Dla zrozumienia i dokładnego ocenienia doniosłości wyniku niedawno odbytych nowych wyborów parlamentarnych w Austryi, jako też dla określenia sytuacyi wynikłéj z tych wyborów, trzeba koniecznie cofnąć się wstecz i zaznaczyć, chociażby pobieżnie, stosunki parlamentarne i polityczne, istniejące przy końcu ubiegłego sześciolecia rady państwa, jako też przypatrzyć się nieco bliżéj ustrojowi konstytucyi austryackiéj, stanowiącemu ramy dla świéżo wytworzonego obrazu sytuacyjnego. Ubiegłe sześciolecie parlamentarne inaczéj się zaczęło a inaczéj się skończyło. Kiedy po złamaniu lodów niemieckiego centralizmu, gabinet teraźniejszy objął rządy i przeprowadziwszy wybory w duchu autonomicznym, zwołał przed laty sześciu radę państwa, miał do zaznaczenia zaraz na wstępie dobry i nadzwyczaj doniosły skutek swych usiłowań, mianowicie: wstąpienie czeskiéj prawno-politycznéj opozycyi do parlamentu, która, jak wiadomo, bierną prowadziła owego czasu politykę i nie mało też kłopotów sprawiała wszystkim niemiecko-centralistycznym ministeryom. Izba poselska austryackiéj rady państwa, jak się urzędowo izba niższa zowie, stała się kompletną, co oczywiście nadało całemu ustrojowi konstytucyjnemu więcéj powagi i znaczenia. Przedstawiciele narodów słowiańskich i niemieckich frakcyj autonomicznych weszli z otuchą i wielkim zasobem nadziei do parlamentu. Z zapałem jęli się pracy parlamentarnéj w nadziei, że przy dobréj woli gabinetu i ich własném współdziałaniu zdołają naprawić złe, wyrządzone narodom i krajom przez długoletnie rządy niemiecko-centralistyczne, przeprowadziwszy równouprawnienie narodowe, poręczone artykułem XIX zasadniczych ustaw państwowych, oraz pewne niezbędne reformy natury ekonomicznéj i autonomicznéj. W począt-

kach szła praca w tym kierunku z bardzo dobrym skutkiem, pomimo, że prawica, tworząca większość parlamentarną, składała się z różnorodnych frakcyj i sprzecznych żywiołów narodowych. Bodźcem karności pomiędzy stronnictwami prawicy była przedewszystkiem bojaźń, żeby lewica nie przyszła znowu do steru; a karność z swéj strony nader oddziaływała skutecznie na utrwalanie i wzmacnianie nowéj sytuacyi, zwłaszcza, że pomiędzy gabinetem, w którego skład weszli tak wybitni przedstawiciele stronnictw prawicy, jak dr. Julian Dunajewski, dr. Prażak i hr. Falkenhayn, a większością parlamentarną istniała zupełna i najlepsza harmonia. Rząd czynił wszystko, co tylko mógł, ażeby utrzymać tę większość, ona zaś nawzajem ponosiła chętnie wszelkie ofiary, ażeby jak najmniéj robić rządowi trudności i wzmacniać jego stanowisko. Dobre stosunki, panujące tak pomiędzy stronnictwami prawicy, jako też między prawicą a gabinetem, polegały na kompromisie odnawiającym się „od wypadku do wypadku.“ Stronnictwa prawicy kierowane przez tak zwany „komitet wykonawczy“, złożony z komisyj parlamentarnych wszystkich klubów większości, układały się w podwójnym kierunku: pomiędzy sobą i znowu jako całość — na zewnątrz z gabinetem. Wzajemna dobra wola zastępowała miejsce ściśle określonego programu: zarówno dobra wola pomiędzy sprzymierzonemi, jako też i gabinetu wobec prawicy, który na podstawie harmonii panującéj pomiędzy nim a większością stał się był *de facto* rządem parlamentarnym. Stosunki ułożyły się tedy prawidłowo, nowy system polityczny wzmacniał się i utrwalał, a co najgłówniejsza, miał do wykazania dodatnie rezultaty. Na ten okres czasu przypada załatwienie bardzo trudnéj sprawy podatku gruntowego, nad czém stronnictwo „wiernokonstytucyjne“ pracowało bez żadnego skutku przez lat kilka; założenie wszechnicy czeskiéj w Pradze i przekształcenie wielu niemieckich szkół średnich w Czechach, na Morawii, w Krainie i południowéj Styryi na czeskie, a względnie na słoweńskie; daléj koncesyonowanie i budowa kilku linii dróg żelaznych z pożytkiem dla poszczególnych krajów nie-niemieckich, które przez poprzednie rządy były zaniedbane i w ekonomicznym kierunku. Rząd swoją drogą pracował energicznie nad poprawą administracyi, sądownictwa i skarbowości. Palma pierwszeństwa należy ministrowi skarbu Dunajewskiemu, który silną ręką ujął kierownictwo swojego wydziału ministeryalnego, zakreślając sobie trudne zadanie przyprowadzenia równowagi w budżecie państwa. Niedobory piętrzyły się coraz wyżéj pod rządami centralistycznemi i przybrały były już tak zatrważającą wysokość, że opinia publiczna zaczynała się na serio liczyć z bankructwem państwowém. Niezwykłe zdolności i energia nowego

ministra skarbu zaczęły działać skutecznie tak, że już w trzecim roku jego urzędowania budżet przedstawiał się nadzwyczaj korzystnie, a niedobór zmniejszał się znacznie od roku do roku. Liczby najwymowniéj przemawiały za rządem, którego duszą był i w innym kierunku dr. Dunajewski, „mówca gabinetu“, staczający rok rocznie przy rozprawach budżetowych bitwy krasomówcze z opozycyą niemiecką, idącą pod przewodnictwem weterana parlamentarnego dr. Herbsta na ostrze nożów przeciwko gabinetowi i jego większości. Niezmierne szczęście sprzyjało hr. Taaffemu i gabinetowi na każdym kroku. Wychodził on z najtrudniejszéj pozycyi zawsze zwycięsko, cieszył się zaufaniem korony, a to razem sprawiło, że stanowisko rządu, zrazu bardzo niepewne i chwiejne—opozycya obliczała jego istnienie na krótkie miesiące — utrwaliło się i wzmocniło nad wszelkie oczekiwania. Zdawałoby się, mając ówczesne położenie na uwadze, że w miarę wzmocnienia się stanowiska gabinetu, powinien był róść i wpływ prawicy. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Dotychczasowa harmonia, istniejąca pomiędzy gabinetem a większością parlamentu, doznała małego wstrząśnienia i odtąd szło w tym kierunku *en decadence* zwolna, ale stopniowo i to tak dalece, że przy końcu ubiegłego sześciolecia, pomimo silnego stanowiska rządu, prawica niemal przestała być — większością.

Przypatrzmy się przyczynom tego dziwnego zjawiska.

W innych, prawdziwie konstytucyjnych państwach byłoby coś podobnego wręcz niemożliwém. Przy zachwianéj harmonii pomiędzy gabinetem a większością parlamentu, musiałby albo pierwszy ustąpić lub też parlament być rozwiązanym. W Austryi ani jedno ani drugie się nie stało. Ażeby tę anomalię zrozumiéć, trzeba właśnie miéć na uwadze połowiczność austryackiéj konstytucyi, która przy izbie wyższéj, złożonéj wyłącznie z członków, nie wybranych, lecz przez rząd mianowanych, przez co rząd każdoczesny może w izbie téj miéć większość, jakiéj potrzebuje,— czyni z izby niższéj, t. j. izby posłów, w istocie rzeczy tylko rodzaj ankiety parlamentarnéj, z którą rząd mniéj tkliwy na swoją „parlamentarność“, mało się liczyć potrzebuje. Bez sankcyi izby wyższéj żadna uchwała izby poselskiéj prawomocną stać się nie może, pominąwszy nawet ważną okoliczność, że i izba poselska nie składała się bynajmniéj z reprezentantów mas ludności, lecz z przedstawicieli pewnych grup interesantów i uprzywilejowanych poszczególnie klas społecznych. Ordynacya wyborcza pozwala bowiem tylko mniéj więcéj 5% ogólnéj ludności wykonywać prawa polityczne, ustanawiając zarazem, że 23% z ogólnéj liczby posłów przypada na zastępców kuryi większéj posiadłości ziemskiéj.

Gabinet hr. Taaffego, kiedy przyszedł do sił, opierając się zapewne na duchu téj połowicznéj konstytucyi i zaufaniu korony, okazał się tak dalece mało tkliwym na swoję „parlamentarność“, że już w czwartym roku swoich rządów, kiedy sytuacya zaczynała się komplikować, oświadczył publicznie, że nie uważa się jako „rząd parlamentarny“, czém zasadniczo zerwał z większością, czyniąc ją raczéj zależną od siebie. Sądząc sprawiedliwie, nie można co do tego przypisywać samemu tylko rządowi winy. Część jéj i to nie mała spada na prawicę, w szczególności zaś na frakcye niemieckich konserwatystów i klerykalistów, którzy w swych żądaniach przekroczyli pierwsi miarę umiarkowania i przyzwoitości, a prąc prawicę w kierunku swych żądań, narazili ją na wielkie moralne klęski i wogóle złym przykładem dali początek do rozluzowania się karności i solidarności pomiędzy stronnictwami prawicy, wytwarzali trudne sytuacye dla niéj i dla rządu i ostatecznie zachwiali cały urok, jaki otaczał w początkach i większość parlamentarną i harmonizujący z nią rząd. Wystarczy przypomniéć tylko sprawę tak „zwanéj noweli szkolnéj.“ Od uchwalenia téj noweli zaczęło wszystko iść na dół. Koło polskie w szczególności ściągnęło na siebie niechęć szerszych sfer ludności niemieckiéj, a w kraju naraziło się na cierpkie zarzuty. Chcąc złe powetować, rozpoczęło akcyę w kierunku decentralizacyi galicyjskich dróg żelaznych państwowych. Rząd, czując się silnym, obiecywał wprawdzie uczynić zadość odnośnym żądaniom koła polskiego, ale ostatecznie zawiódł oczekiwania Galicyi. Zaufanie dotychczasowe zostało zachwiane, niezadowolenie jak kamień wrzucony do wody zarysowywało coraz większe kręgi, utrudniało na każdym kroku postęp pracy parlamentarnéj, wśród czego zniechęcenie ogólne stawało się charakterystyczném znamieniem czasu. Rząd nie uwzględniał żądań stronnictw prawicy, ale żądał, dla przywrócenia równowagi w budżecie albo raczéj w celu polepszenia stanu państwowéj skarbowości, nowych podatków, nowych ofiar pieniężnych; prawica z niechęcią i więcéj z musu wotowała, żądając od czasu do czasu na próżno téj lub owéj koncesyi, a otrzymując tylko tu i owdzie małe i mało znaczące koncesyjki. Na domiar złego, parli sojusznicy koła polskiego i czeskiego, niemieccy konserwatyści i klerykaliści pod wodzą książąt Liechtensteinów i dr. Lienbachera, do jeszcze większéj reakcyi, a kiedy Polacy i Czesi nie okazywali wielkiéj chęci zadośćuczynienia ich wymaganiom, podnieśli pierwsi jawny sztandar rokoszu, narażając solidarność prawicy na rozmaite wstrząśnienia. Rząd swoją drogą pogarszał położenie przynajmniéj o tyle, że odstręczył od siebie, przez niepotrzebne zupełnie zaprowadzenie stanu wyjątkowego w Wiedniu i trzech

obwodach dolno-austryackich, wolnomyślne masy ludności niemieckiéj, które dotychczas bynajmniéj nie solidaryzowały się z opozycyjną lewicą. Stan wyjątkowy o tyle przyszedł niefortunniéj, że poprzedziły go rzekome reformy socyalno-polityczne, prowadzone pod kierownictwem księcia Alojzego Liechtensteina, klerykalisty z Tyrolu Zallingera i czeskiego feudała hr. Belcrediego. Dla demonstrowania przeciwko kapitalizmowi i lewicy zwołali ci „chrześciańscy socyaliści“ ankietę, złożoną z posłów, przemysłowców i rękodzielników, w celu poprawy ustaw przemysłowych i przedsięwzięcia reform natury socyalno-politycznéj. Ankieta ta, odbywająca się w wielkiéj sali obrad parlamentarnych, zyskała wkrótce nazwę „parlamentu robotników“, a to z powodu, że powołano do niéj licznych robotników, pomiędzy temi i Peukerta, przewódcy radykalnego stronnictwa robotników. Obrady „parlamentu robotniczego“ z powodu gwałtownych wystąpień kilku przedstawicieli robotników, którzy po raz pierwszy pytani o zdanie, rozwijali bez ogródki swoje teorye socyalistyczne, żądając przedewszystkiem zmiany systemu produkcyi— przerwano nagle i w końcu wyszła nowa ustawa przemysłowa, polegająca na ograniczeniu zarobkowania przez wprowadzenie cechów i tak zwany „wykaz uzdolnienia“, dających majstrom sposobność wyzyskiwania konsumentów i odbiorców z jednéj, a znowu przewagi i wyzysku robotników, a szczególnie chłopców terminujących z drugiéj strony. Za tą reakcyą ekonomiczną, wyszłą pod patronatem klerykalnych reformatorów, poszło następnie do zbyt wygórowanych ceł ochronnych i do stanu wyjątkowego, którego ofiarą padli przedewszystkiem robotnicy powołani do wymienionéj powyżéj ankiety. Ostatnia sesya parlamentarna najlepiéj udowodniła rozkład prawicy i dysharmonią, istniejącą w części pomiędzy nią a rządem. Dawniejsze dobrowolne i z przekonania pochodzące popieranie rządu zamieniło się w rodzaj mameluctwa, patronizowanego w klubach prawicy przez wybitniejsze osobistości, których wpływ o tyle przeważał, że ostatecznie znajdowali w swoich klubach większość. Ale charakterystycznem znamieniem położenia musi pozostać okoliczność, że opozycya przeciw rządowi w klubach ciągle wzrastała i nieraz w sprawach ważnych, przez ministeryum bardzo gorliwie popieranych, rządowcy przy największém wysileniu zyskiwali większość jednego lub dwóch głosów. W kole polskiém był filarem ministeryum prezes dr. Grocholski, u którego stało się zasadą bezwarunkowe popieranie rządu. Ten sam kierunek przedstawiali w kole czeskiém, jednakże z większém umiarkowaniem, dr. Rieger i hr. Henryk Clam-Martinic, a znowu hr. Hohenwart stał na straży interesów rządowych w „klubie prawego środka.“ Koło polskie wyszło źle na

swoim ministeryalizmie, a gorzéj jeszcze na sojuszu z niemieckiemi klerykalistami, ponieważ, jak wiadomo, żaden z jego postulatów ekonomicznych nie uzyskał sankcyi parlamentarnéj, co przecież pomimo oporu klerykalistów, przy silnéj woli gabinetu, dałoby się przeprowadzić. Odnosi się to w szczególności do sprawy regulacyi rzek galicyjskich, którą to sprawę izba odroczyła, a natomiast wskutku silnego, bezprzykładnego parcia gabinetu odnowiła na nowych lat 55 przywiléj grupy finansowéj Rothschild'a, wyzyskujący koleją Północną skarb państwa i masy interesowanéj ludności, pomimo, że państwu przysługuje prawo nabyciu téj drogi na własność. W ciągu całego sześciolecia nie było sprawy bardziéj niepopularnéj jak sprawa odnowienia przywileju dla towarzystwa północnéj drogi żelaznéj. Można powiedziéć śmiało, że rząd „przepędził" prawicę „przez wężowe rózgi Eumenid," żądając od niéj w powyżéj wskazany sposób załatwienia téj sprawy, pomimo że argumentu lewicy wykazującego liczbami, iż skarb państwa traci na téj tranzakcyi z domem Rothschildów nie mniéj jak 53 miliony guldenów, nikt z ławy rządowéj nie zbił—i to na zakończenie sześcioletniéj parlamentarnéj działalności.

Nadto, jak czarna chmura, zawisła na widnokręgu niemiła sprawa galicyjskiéj kolei transwersalnéj, z czego lewica w swój sposób usiłowała korzystać, wyzyskując zarazem, dla wzmocnienia popularności, swoją opozycyą przeciwko sprawie kolei północnéj, któréj upaństwowienia żądała. Przy zachwianéj solidarności prawicy i przy pomocy kilku niemieckich klerykalistów z nią głosujących, udało jéj się przeforsować postawienie sprawy „Schwarz-Kamiński-Kozłowski" na porządek dzienny przedostatniego posiedzenia izby przed jéj rozwiązaniem. Ponieważ jednak zarówno prawicy, jak i rządowi dużo na tém zależało, żeby pod koniec sesyi lewica nie robiła skandalu—o co jéj właśnie chodziło—przeto zamknięto sześciolecie parlamentarne o kilka dni wcześniéj, aniżeli było zamierzoném, a to głównie dlatego, że już ani prawica ani rząd, przy dwuznacznėm zachowaniu się niemieckich konserwatystów i klerykalistów, nie mogli żadną miarą liczyć na większość, z czego wynikało, że lewica mogła nadać sprawie kierunek najszkodliwszy i przez nikogo nie przewidziany.

Taki był epilog sześciolecia. Położenie zarysowało się w bardzo ciemnych barwach. Każdy był zadowolony, że izba poselska zakończyła swój żywot, w przekonaniu, iż takie stosunki parlamentarne nie dały by się w żaden sposób dłużéj utrzymać, a z tego korzystała by tylko opozycya. Jako kotwica ratunku przedstawiły się nowe wybory i nie bez powodu, ponieważ miały się one odbyć na podsta-

wie zreformowanéj ordynacyi wyborczéj, zmniejszającéj w okręgach wiejskich i miejskich cenzus wyborczy na minimum 5 guldenów rocznie opłacanego podatku a nadto dzielącéj wybory z kuryi czeskiéj większéj posiadłości ziemskiéj, która przedtém wybierała razem w swéj całości, na kilka okręgów wyborczych, co czeskiemu stronnictwu narodowemu zapewniło zdobycie dziewięciu nowych mandatów.

Nim przejdziemy do oceny wyniku nowych wyborów, należy wprzódy przypatrzéć się zgrupowaniu stronnictw w rozwiązanéj izbie.

Przedewszystkiém zauważyć trzeba, co już z powyżéj przedstawionego stanu rzeczy w części wynika, że walka sześcioletnia autonomicznéj prawicy i rządu przeciw dawnemu systemowi, bronionemu przez opozycyą niemiecką zjednoczoną w stronnictwie lewicy, wpłynęła znacznie na zmianę położenia i na zmianę programowego stanowiska poszczególnych stronnictw. Początek ubiegłego sześciolecia był bowiem zupełnie innym aniżeli jego koniec. W początkach dążyły stronnictwa prawicy do rozszerzenia autonomii krajów i do wolnościowych reform, jak tego rozszerzenie prawa wyborczego dowodzi, pod koniec brnęły one po szyję w kierunku konserwatywnéj reakcyi a cała czynność ich, nie oparta na żadnym programie, ograniczała się na ustawicznych, często nawet drobnostkowych targach pomiędzy sobą i z rządem, nie już o daleko sięgające i zasadniczo ważne reformy i koncesye, ale o małe ustępstwa. Dawniejszy kompromis w większym stylu i oparty o program zasadniczy zamienił się w pieniaczy targ, uwłaczający nawet po części powadze parlamentu, a właśnie taka zmiana położenia mogła się najwięcéj przyczynić do tego, że rząd oddalał się coraz bardziéj od prawicy i polegając na połowiczności austryackiéj konstytucyi, ogłosił swoję „nieparlamentarność“, usiłując „stać po nad stronnictwami“ i z tego stanowiska „godzić powaśnione narody.“ Przy opozycyi *quand même* „zjednoczonéj lewicy“ to ostatnie najmniéj się powiodło rządowi, ponieważ faktycznie zamiast zgody narodowéj walka i nienawiść narodowa zapłonęła wszędzie silniejszym jeszcze płomieniem. Opozycyjna negacya niemieckiéj lewicy postawiła sobie téż za najgłówniejsze zadanie, różnice narodowe zaostrzać i namiętności narodowe w co raz szerszych kołach ludności rozbudzać, ażeby tym sposobem misyę godzenia narodów, jaką sobie gabinet hr. Taaffego obrał, sprowadzić do absurdu. W tym celu wynalazła lewica rozmaite hasła wojenne, pomiędzy któremi frazes o „uciśnionéj niemczyznie“ (*bedrängtes Deutschthum*) pierwszą odgrywał rolę. Frazesem téż tym prowadziła przeciwko rządowi i większości parlamentarnéj walkę tak zawzięcie, że to ściągnęło jéj z ust cesarza nazwę „fakcyjnéj opozycyi.“

Duszą niemieckiéj opozycyi był dr. Herbst, człowiek ostrzelany w walkach parlamentarnych, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli dawniejszych rządów niemiecko-centralistycznych, mówca pierwszorzędnego znaczenia i mąż wielkiéj wiedzy prawniczéj, administracyjnéj i ekonomicznéj. Bez przesady można go nazwać wielkim w negacyi, którą zwykle na podstawie swéj zręcznéj dyalektyki umie skutecznie używać przeciw swoim przeciwnikom. Dr. Herbst umie burzyć, ale niczego nie umie zbudować. Dowiódł prawdziwości tego twierdzenia, będąc w gabinecie d-ra Giskry ministrem sprawiedliwości i nie przeprowadziwszy na tém stanowisku ani jednéj reformy w sądownictwie, chociaż jak wiadomo, austryackie sądownictwo potrzebuje nie małéj naprawy. Gryząca ironia, świetna dyalektyka, obszerna wiedza i wrodzona zręczność do sofistycznéj szermierki słowem, czynią z niego potęgę opozycyjną. Znają go szczególnie Czesi z tego pola działalności, gdyż od lat przeszło dwudziestu stoi on na czele Niemców czeskich i toczy zawziętą walkę w czeskim sejmie z stronnictwem narodowo-czeskiém. Opozycyjność stała się jego drugą naturą, bez niéj nie mógł by on żyć, co tak dalece nadaje całéj jego osobistości znamię charakterystyczne, iż nawet jako minister i rzecznik większości parlamentarnéj stał on niemal zawsze albo na negującym stanowisku wobec swoich kolegów ministeryalnych, albo też w opozycyi przeciwko części swojego stronnictwa. O nim można śmiało powiedzieć z Szekspirem: każdy cal opozycyonista. Jednakże w politycznym kierunku jest dr. Herbst przedstawicielem niemieckiego liberalizmu w pojęciu programowem dawniejszego „stronnictwa wiernokonstytucyjnego“, w pojęciu niemieckiego centralizmu. Liberalizm ten ma bardzo ciasne granice. Opiera się bowiem na: uciskaniu narodowości w celach germanizacyi, co ma stanowić wedle jego katechizmu: „przestrzeganie austryackiéj myśli państwowéj,“ na bezwzględnéj centralizacyi administracyjnéj; na szczupłym wymiarze swobód i praw autonomicznych i w ogóle konstytucyjnych, a w ekonomicznym kierunku na teoryi manchesterskiéj, dającéj we wszystkich gałęziach wytwórczości stanowczą przewagę kapitalizmowi. Liberalizm ten jest tylko środkiem do celu, środkiem do ustalenia panowania koteryi austryacko-niemieckiego stronnictwa centralistycznego, dążącego do germanizacyi, a tém samém będącego tylko dalszym ciągiem dążności dawniejszéj niemieckiéj biurokracyi absolutystycznéj, uosobionéj w systemie Bacha. Istota dążności pozostała ta sama a tylko na zewnątrz, licząc się z prądem czasu, zmieniono etykiety, zamieniono dawniejszy absolutyzm na pozorny liberalizm i pozorną konstytucyę, która wygłasza wprawdzie najpiękniejsze zasady wolności w tak zwanych „zasadni-

czych ustawach państwowych, jako to· równouprawnienie narodowe, religijne i polityczne, wolność prasy, stowarzyszeń, zgromadzeń i koalicyi, neutralizując je zarazem za pomocą tak zwanych „ustaw wykonawczych,“ poruczających władzom politycznym i policyjnym niemal dowolne przeprowadzanie i interpretacyę wszelkich swobód konstytucyjnych i ustanawiających cały szereg wyjątków i zboczeń od zasadniczych ustanowień. Duch téj połowicznéj konstytucyi, to zaiste duch sofisteryi dr. Herbsta i jego dążności w ogóle. Nigdy bowiem przewódca dawniejszego stronnictwa rządzącego a obecnéj opozycyi nie był wyznawcą prawdziwie liberalnych zasad, a nawet jego program narodowy był zawsze o tyle jednostronnym, że zaczynał się i kończył na Austryi, po za którą dla niego Niemców niema. Wyobraża on przeto germanizatora w Austryi i tylko wyłącznie dla Austryi w duchu dawniejszéj biurokracyi i systemu bachowskiego. Ale dr. Herbst, szermierzący w celach opozycyi zbyt często i namiętnie „uciśnioną niemczyzną“, postępował bardzo nieoględnie, bo przyczynił się głównie do wytworzenia prądów silniéj narodowych pomiędzy Niemcami, które już pod koniec ubiegłego sześciolecia stawały w poprzek jego usiłowań i umniejszały jego wpływ. Przymiotnik: niemiecki zaczął się stopniować. Bardziéj niemieckim, aniżeli dr. Herbst okazał się Plener, z nim o przewództwo stronnictwa współzawodniczący, człowiek wielkiéj ambicyi i wielkich zdolności. Około niego zgrupowali się bardziéj niemieccy członkowie „zjednoczonéj lewicy,“ pomiędzy temi takie wybitne osobistości jak dr. Kopp, dr. Sturm, dr. Menger i inni, którzy poszli o krok jeden daléj w kierunku narodowym, aniżeli tego tradycya austro-niemieckiego biurokratyzmu i pozornie liberalnego centralizmu dozwalała. I ci mężowie stali jeszcze na gruncie „austryackiéj myśli państwowéj,“ ale wzrok ich sięgał już niekiedy poza czarno-żółte słupy graniczne a organa ich prasy przemawiać zaczęły o „potrzebie ściślejszego przymierza pomiędzy Austro-Węgrami a państwem niemieckiém. Z tą bardziéj niemiecką frakcyą pod wodzą Plenera i Koppa musiał dr. Herbst staczać już dość silne utarczki na posiedzeniach klubowych i doznawać nawet od czasu do czasu upokorzenia, że jego wnioski taktyczne nie zyskiwały większości. Nie długo potém, mniéj więcéj przed rokiem, wyłoniła się z „niemieckiego stowarzyszenia szkolnego“ jeszcze skrajniejsza grupa, która się nazwała „narodowo-niemiecką“ a któréj program stanowił wręcz antytezę herbstowskiéj „austryackiéj myśli państwowéj.“ Na widowni parlamentarnéj stanęli mianowicie dwaj nowi mężowie téj barwy: dr. Weitloff i dr. Knotz, pierwszy wybrany w Wiedniu, drugi w północnych Czechach, którzy zwrócili od razu na siebie powszechną uwagę. Wprawdzie wy-

stępowali oni zawsze jeszcze w ramach „zjednoczonéj lewicy,“ ale ton ich przemówień wyróżniał się ostrością i bezwzględnością niemal skandaliczną, kiedy przychodziło im rzekomo walczyć „w obronie praw narodu niemieckiego.“ Im głośniéj, im hałaśliwiéj i częściéj ci statyści idei jedności niemieckiéj w ogólném jéj znaczeniu zaczynali się pojawiać na widowni, tém bardziéj malał wpływ dr. Herbsta. Narodowcy niemieccy zwrócili się bowiem wewnątrz klubowéj organizacyi przedewszystkiém przeciwko „niedostateczności starego programu,“ żądając „ostrzejszego tonu“ wystąpienia, co też nadało im miano frakcyi „ostrzejszego tonu“ (*Fraktion der schärferen Tonart*). Przyszło więc do trzeciego, najwyższego stopnia, do superlatywu przymiotnika: niemiecki, co ostatecznie przy nowych wyborach znalazło wyraz o tyle, że ludzi „ostrzejszego tonu“ wyszło z urny wyborczéj około czterdziestu, którzy postanowili utworzyć osobny „klub niemiecki“, żądający kodyfikacyi przymierza „austro-niemieckiego,“ związku handlowo-celnego Austro-Węgier z państwem niemieckiem i „wykluczenia“ Galicyi, Bukowiny i Dalmacyi z ustroju Przedlitawii, w celu możności skuteczniejszego przeprowadzenia germanizacyi w Czechach i w krajach słoweńskich. Tym sposobem uczynili oni dotychczasową solidarność i jedność niemieckiéj opozycyi złudzeniem, rozbili jednolitość jéj organizacyi klubowéj, objawiającą się z „zjednoczonéj lewicy,“ i na dobitek pozbawili „osiwiałego w bojach parlamentarnych“ wodza lewicy, dra Herbsta, mandatu poselskiego z dotychczasowego jego okręgu wyborczego: Schluckenau-Tetschen w północnych Czechach, piastowanego bez przerwy przez lat dwadzieścia dwa. Spuściznę mandatu objął po nim dr. Pickert, skrajny narodowiec niemiecki, walczący zapamiętale w redagowanéj przez siebie gazecie *Leitmeritzer Zeitung*“ przeciwko „polityce letniéj wody“ lewicy. Gdyby Wiedeń nie dał się nakłonić do wyboru dra Herbsta byłby tenże pozostał bez mandatu poselskiego, co niezawodnie rzuca bardzo charakterystyczne światło na położenie, wskazując jak dalece zmieniło się ono w przeciągu ostatniego sześciolecia.

Podobnie, ale w odwrotnym kierunku, ma się rzecz także i z prawicą, któréj części składowe uległy również znacznéj zmianie, wynikłéj ze zmiany stanowiska gabinetu.

Opozycya lewicy zaostrzyła się z czasem, wytwórczość polityczna i społeczna prawicy stępiła się widocznie pod wpływem rozluzowania solidarności i wzmagającego się kierunku konserwatywnego, oraz drobnostkowego pojmowania zadań parlamentarnych i pewnéj dysharmonii, jaka się wkradła pomiędzy stronnictwa prawicy a gabinet. Smutnym wynikiem tych zmian była wielka stagnacya w dwóch ostatnich latach. Czas schodził na bezcelowych targach

lub też na uchwalaniu rzeczy, które dążyły kosztem najżywotniejszych kwestyi do wzmocnienia kierunku konserwatywnego a nawet wstecznego, forytowanego przez frakcyę niemieckich klerykalistów, należących pierwotnie do klubu prawego środka czyli klubu Hohenwarta. Dopóki klerykaliści pozostawali w jednéj klubowéj organizacyi z umiarkowanymi niemieckimi konserwatystami, z posłami słoweńskimi, dalmato-kroackimi, rumuńskimi i włoskimi i byli trzymani w karbach w części przez większość klubu, w części zaś przez prezesa klubu hr. Hohenwarta, męża stanu bardzo oględnego i wytrawnego. dopóty machina prawicy funkcyonowała prawidłowo. Ale klerykaliści, prowadzeni przez dwóch książąt Liechtensteinów, Zallingera i dra. Lienbachera, nie zadawalniali się długo bierną rolą statystów, postanawiając przez utworzenie osobnego „klubu środka" wystąpić czynnie na widowni parlamentarnéj. Przy małéj większości, jaką prawica rozporządzała przeciw lewicy, „klub środka" liczący dwadzieścia kilka głosów ważną zaczął rolę odgrywać, mając prawie zawsze rozstrzygnięcie o większości w swych ręku. przez co stał się języczkiem u wagi parlamentarnéj. Stanowisko to swoje ważne przy niezaradności sprzymierzonych klubów, wyzyskiwał na każdym kroku, przeprowadziwszy zamach na nowożytną szkołę ludową w formie tak zwanéj „noweli szkolnéj," a następnie ująwszy w swe ręce wszystkie reformy ekonomiczno-społeczne. Utworzył się istotny co do tego tryumwirat: książe Aloizy Liechtenstein, Zallinger i hr. Belcredi, któremu cała prawica była na skinienie posłuszną w rzekoméj „walce przeciw kapitalizmowi," zakończonéj, jak wiadomo, ograniczeniem wolności zarobkowania, zbyt wysokiemi cłami ochronnemi, normalnym, jedenastogodzinnym dniem pracy i święceniem niedzieli, bez dania robotnikom prawa koalicyi, przez co tymże wyrządzono tylko dotkliwe szkody materyalne, a wreszcie—stanem wyjątkowym. Wybitne stanowisko, jakie powyżéj wymienieni „chrześciańscy reformatorowie" zajęli *de facto* wobec całéj prawicy, nie pozostało i w innym kierunku bez skutków, mianowicie zarówno w kole polskiém, jakoteż w czeskiém zaczęły stanowczą przewagę zyskiwać frakcye konserwatywne. W kole polskiém był prezes jego dr. Grocholski najgorliwszym propagatorem konserwatyzmu, dochodzącego do ostateczności i bezwarunkowéj uległości rządowi. Działalność p. Grocholskiego w sejmie galicyjskim i w austryackiéj radzie państwa znaną jest powszechnie, abyśmy mieli szerzéj nad nią się rozwodzić. Jest on widomą głową konserwatyzmu staro-szlacheckiego z wszelkiemi jego przywarami. Postęp czasu i cywilizacyi znajduje u niego uszy bawełną zatkane. Lekceważy on nawet doniosłość wpływu prasy, do któréj czuje wstręt nieprzyzwyciężony. Całą siłę swą zwra-

ca zachowawczéj działalności; ustrój społeczny w Galicyi, jaki istnieje, jest dla niego ideałem doskonałości, i dlatego sprzeciwia się on energicznie wszystkim innowacyom, ażeby „broń Boże nic nie uronić z spuścizny ojców.“ U takich zachowawców mało bardzo jest zmysłu dystynkcyjnego, skoro nie umieją oni odróżnić dobrego od złego, tego co warte zachowania od tego, co usunąć należy. Za p. Grocholskim stała konserwatywna tak zwana „frakcya podolska,“ która posiadała w kole polskiém 18 zwolenników i szła zawsze ręka w rękę z 10 posłami, należącymi do konserwatywnéj krakowskiéj frakcyi stańczyków. Na ten zastęp 38 posłów mógł p. Grocholski bezwarunkowo liczyć, przez co miał zawsze w kole zapewnioną większość, przeciwko któréj od czasu do czasu występowały osobno raz frakcya tak zwana „środka,“ pod wodzą księcia Jerzego Czartoryskiego, Wojciecha hr. Dzieduszyckiego i Abrahamowicza, i frakcya liberalna, grupująca się około p. Ottona Hausnera. *Suum cuique*. Trzeba również przyznać i p. Grocholskiemu pewne rzadkie zalety, które w wysokim posiada stopniu. Prawości jego charakteru, miłości kraju w historyczném tego słowa znaczeniu, jak nie mniéj wielkiéj zdolności dyplomatycznéj do prowadzenia rokowań, przezorności i roztropności w postępowaniu nie może mu i największy przeciwnik odmówić. Owszem dobre te przymioty są bardzo cenne i pożyteczne dla ogółu u człowieka zajmującego tak wybitne, wpływowe i kierujące stanowisko. Za to w przybocznéj gwardyi p. Grocholskiego nie było ani jednéj osobistości, któraby zasługiwała na miano wybitniejszéj. Do najgorętszych zwolenników prezesa koła należeli obadwaj sekretarze koła: Jasiński i dr. Julian Czerkawski. Ważne stanowisko przypada w udziale ks. Jerzemu Czartoryskiemu, a to nie tylko w kole polskiém, ale w ogóle na prawicy. Mąż ten liberalnych przekonań, autonomista szczery i gorący, przedstawia już od wielu lat kierunek słowiański polityki Polaków, przez co wpływ jego na pobratymczych posłów jest wielki i jego to koło polskie zwykle deleguje do prowadzenia najtrudniejszych rokowań. Obok ks. Czartoryskiego, zaliczającego się do rzędu stanowczych przeciwników konserwatyzmu większości koła, widzimy dzielną postać Ottona Hausner'a, najlepszego mówcę w całym parlamencie, człowieka głębokiéj i wielkiéj nauki, który jednakże w karbach dyscypliny koła i w ogóle prawicy zatraca po części swoją indywidualną wybitność polityczną. Koło polskie nie wystąpiło na początku ubiegłego sześciolecia z żadnym, chociażby zarysowo nakreślonym programem politycznym, i dlatego dawało się stopniowo spychać z drogi swych postulatów, które były prawie wyłącznie ekonomicznéj natury. Koło polskie pomimo swéj, rzec można, bezwarunkowéj uległości dla rządu, nie zdołało z swych

żądań prawie żadnego przeprowadzić, zacząwszy od umorzenia długu galicyjskiego funduszu indemnizacyjnego i decentralizacyi galicyjskich dróg żelaznych państwowych, a skończywszy na sprawie regulacyi rzek galicyjskich. Natomiast poniosła Galicya dość dotkliwe straty materyalne przez opodatkowanie nafty i nowy podatek od wyrobów wódczanych. W praktycznym kierunku wielki wpływ polityczny koła polskiego przyniósł tylko bardzo mały pożytek krajowi i to chyba moralny. Że tak się stało, w tém niezawodnie jest także i sporo winy kierownictwa koła, które w zbytnim zapędzie ministeryalizmu i konserwatyzmu za mało okazywało energii i stanowczości zarówno wobec gabinetu, jako też i wobec swoich sprzymierzeńców, mianowicie niemieckich konserwatystów i klerykalistów.

Koło czeskie cierpiało tak samo bardzo wiele pod wpływem biorącego górę konserwatyzmu, przedstawianego silnie przez obydwóch braci Clam-Martiniców. Chociaż kierownikiem koła czeskiego był dr. Franciszek Władysław Rieger, nie mniéj przeto ulegał on bardzo wpływowi hr. Henryka Clam-Martinica, który wobec gabinetu i wogóle wobec całéj prawicy zajmował bardzo znaczące stanowisko, a to na podstawie swéj wysokiéj pozycyi społecznéj i także z powodu swego wielkiego uzdolnienia i pracowitości, szczególnie w sprawach skarbowych. Przy gorliwéj pomocy Polaków zdołali Czesi wymódz na rządzie utworzenie wszechnicy czeskiéj w Pradze, budowę morawsko-czeskiéj kolei transwersalnéj i zmianę ordynacyi wyborczéj, zapewniającéj im przyrost kilkunastu nowych mandatów poselskich. Koło czeskie było najwierniejszym sprzymierzeńcem koła polskiego i, co zasługuje na szczególne podniesienie, nigdy Polakom nie czyniło żadnych trudności. Wskutku tego wyrobiły się też i ścisłe stosunki przyjaźni pomiędzy posłami czeskimi a polskimi, co także nie mało przyczyniało się do wzmacniania węzłów przyjaźni partyjnéj. Gorliwym zwolennikiem sojuszu, daleko idącego pomiędzy Polakami a Czechami, okazał się nadewszystko dr. Rieger i pod tym względem doznawał szczerego poparcia ze strony całego koła czeskiego, nie wyjmując postępowéj grupy młodoczeskiéj, któréj widomemi głowami byli dr. Trojan i dr. Edward Gregr, który w krótkim czasie jako jeden z najlepszych mówców całéj izby zdobył sobie ogólne uznanie w całéj prawicy. Dr. Gregr używał swego wpływu w kole czeskiém w celu złamania w niém wpływu konserwatywnego kierunku, przedstawianego przez hrabiów Clam-Martinic'ów, co mu jednakże wcale się nie udało. Owszem, koło czeskie było coraz bardziéj uległém konserwatyzmowi, podobnie jak koło polskie.

Klub Hohenwarta przedstawiał się z samego początku konserwatywnie na zewnątrz. Uosobieniem jego był właśnie jego prezes hr. Hohenwart, znany mąż stanu, któremu poczytać trzeba przedewszystkiém za zasługę, że dopóki niemieccy klerykaliści należeli do jego klubu, umiał utrzymać w karbach ich dążności, czém salwował prawicę przez długi czas od wszelkiego parcia w kierunku zacofania. Klub ten łączył na podstawie programu autonomicznego przedstawicieli rozmaitych narodowości, jako to: Niemców, Słoweńców, Kroatów z Dalmacyi, Rumunów z Bukowiny i Włochów z Wybrzeża. Autonomiści z rozmaitych krajów skupili się około téj osobistości, która na mocy swéj przeszłości politycznéj tworzyła sama przez się program, znany powszechnie jeszcze z czasów, kiedy ten mąż stanu stał na czele gabinetu, w którego skład wchodził znany niemiecki uczony i pisarz społeczny dr. Albert L. Fr. Schäffle. Powaga i wielka roztropność, cechująca każde wystąpienie hr. Hohenwarta, nadawały mu nietylko wielką wziętość pomiędzy stronnictwami prawicy, ale również i u rządu. Chociaż jednak hr. Hohenwart działał więcéj za kulisami, aniżeli na widowni parlamentarnéj i występował zawsze bardzo spokojnie, skromnie, oględnie i umiarkowanie, nie mniéj przeto można go uważać za przewódcę całéj większości ministeryalnéj, tak jak dr. Herbsta za wodza opozycyi. W obozie jego klubu widzimy niemal wszystkie narodowości, z wyjątkiem Polaków i Czechów, i autonomistów wszystkich krajów, z czego wynika, że klub ten sam dla siebie tworzy federacyjną zbiorowość rozmaitych grup i frakcyj. Najsilniejszą jest frakcya posłów słoweńskich z Krainy, południowéj Styryi, Gorycyi i Tryestu, która dąży głównie do odzyskania tego, co jéj dawniejsze rządy w celach germanizacyjnych wzięły, i walczy w szczególności o rozszerzenie zakresu działania języka słoweńskiego w sądownictwie i w administracyi, jako téż o pomnożenie szkół średnich z wykładowym językiem słoweńskim. Wybitniejszych ludzi w téj frakcyi mało. Dr. Vosznjak uchodzi za przewódcę, co jednakże nie zdaje się być uzasadnioném, ponieważ przy nowych wyborach nie otrzymał mandatu poselskiego. Rzecznikiem żądań słoweńskich bywa zwyczajnie ksiądz Kljun, przedstawiciel klerykalnego stronnictwa słoweńskiego, człowiek bardzo małych zdolności, którego mowy są zawsze tylko szablonowemi perorami, skierowanemi rzekomo przeciwko lewicy, a biorącemi właściwie za cel swych pocisków postęp i liberalizm wogóle. Takie wystąpienia, jak owego księdza Kljuna, są pod pewnym względem bardzo charakterystyczne, o tyle przynajmniéj, że konserwatyści prawicy uważają ją zupełnie za swoję wyłączną dziedzinę, czując się powołanymi jako jéj rzecznicy walczyć przeciwko wszelkim

ideom postępowym w imię rzekomo zagrożonego konserwatyzmu, tak jak gdyby tacy mężowie, jak Otton Hausner, dr. Lewakowski, dr. Edward Gregr, dr. Trojan i inni nie byli członkami tejże prawicy. Łatwo zrozumiéć, o ile zniechęcająco, a nawet odstręczająco muszą oddziaływać podobne elukubracye na postępowo myślących członków prawicy, którzy przecież nie dla obrony interesów konserwatywnych wstąpili do organizacyjnego związku prawicy. Kroaci dalmatyńscy tworzą znowu osobną grupę. Stoją oni przy programie ściśle autonomicznym i narodowym. Przewódcą ich jest dr. Klaicz, członek komitetu wykonawczego prawicy. Aczkolwiek frakcya ta składa się tylko z ośmiu przedstawicieli, nie mniéj jednak umiała ona zręczną polityką osiągnąć nie mało korzyści dla swojego kraju, który do niedawna jeszcze pozostawał w więzach supremacyi włoskiéj. Niemieccy posłowie z Tyrolu pod wodzą Greutera przedstawiają frakcyę autonomistów i zarazem skrajnych konserwatystów, różniących się jednak od konserwatywnéj grupy Lienbachera tém, że ta nie jest autonomistyczną, lecz centralistyczną, w czém znowu zbliża się do lewicy.

Dla skreślenia wyczerpującego obrazu sytuacyi musieliśmy rozszerzyć tło jego więcéj, aniżeli było pierwotnie naszym zamiarem. Uczynić to jednakże musieliśmy ze względu, że tylko przy należytém uwzględnieniu ogólnego położenia zrozumiéć można dokładnie doniosłość nowych wyborów i położenia przez nie wytworzonego, w którego ramy wchodzą również i wybory parlamentarne w Galicyi, najgłówniéj nas zajmujące.

Wyniku wyborów galicyjskich nie można żadną miarą nazwać pomyślnym. Chcemy uzasadnić nasze twierdzenie. Już sama liczba nowych członków koła polskiego wykazuje ubytek w porównaniu do poprzedniego koła polskiego, które składało się z 56 posłów, kiedy teraz będzie do koła należyć tylko 54 posłów. Czesi natomiast uzyskali przyrost 11 mandatów i koło ich będzie obejmowało teraz 66 posłów. Ubytek jednak dwóch głosów, chociaż będąc przez lat sześć rządzącém i rządowém stronnictwem, moglibyśmy się raczéj spodziewać słusznie pomnożenia członków koła, a nie jego uszczuplenia, nie znaczyłby wiele, gdybyśmy przynajmniéj co do jakości osób nowowchodzących mieli do zapisania pewien postęp i gdyby ogólny widok galicyjskich wyborów przedstawiał nam pewne polepszenie krajowych stosunków lub przynajmniéj objawy prądów, dających poniekąd rękojmię przyszłéj poprawy istniejącego, opłakania godnego stanu. Tego wszystkiego jednak nie widzimy, owszem przeciwnie, przychodzi nam patrzéć z boleścią na pogarszające się stosunki krajowe, na wzmagającą się demoralizacyę, na wywieranie

despotycznego niemal nacisku pewnych koteryi i osobistości, nie w duchu ogólno-krajowych interesów, ale w celach osobistych, koteryjnych, stronniczych, przy których znowu tylko konserwatywne prądy idą górą i nawet rozciągają swe skrzydła opiekuńcze na miasta. W gminach wiejskich pobrzękują płatni agenci pieniędzmi, wódka płynie strumieniami, marnują się pieniądze na wywoływanie zaciętych walk wyborczych o osobistości nie posiadające prawie żadnego uzdolnienia parlamentarnego, a które całą swoją powagą popierą krajowy centralny komitet wyborczy. Do miast tak samo wkrada się szerzona z góry demoralizacya. Wymieniony komitet centralny, wbrew przeciw obowiązującemu regulaminowi wyraźnie stanowiącemu, że co do kandydatur miejskich nie przysługuje mu najmniejsze prawo interwencyi, narzuca miejskim okręgom wyborczym kandydatury konserwatywne przeciwko ludziom więcéj uzdolnionym dla tego, że ci hołdują postępowym ideom i obiecują wyborcom iść samoistnie, a nie bezwarunkowo ulegle dla rządu, że działalność konserwatywnej większości koła polskiego podciągają pod surową, ale sprawiedliwą krytykę.

Ale dajmy głos faktom, niech one mówią. Zanim jednak przyjdziemy do samego wyniku wyborów w Galicyi, musimy jeszcze poświęcić słów kilka poprzedniemu kołu. Charakterystykę p. Grocholskiego podaliśmy powyżéj, omawiając poszczególne stronnictwa parlamentarne. Większość jego w kole składała się—z wyjątkiem profesora dr. Bilińskiego, dr. Juliana Czerkawskiego i w najlepszym razie jeszcze pp. Jasińskiego i Stadnickiego Jana—z samych statystów, prostych narzędzi do głosowania, z których większość nie otworzyła ust przez lat sześć ani jednego razu czy to w izbie, czy w kole, lub w jakiéj komisyi. Z pewnością żaden członek koła polskiego nie będzie mógł się poszczycić, żeby kiedy słyszał publicznie przemawiających: pp. Benoë, Halimkę, hr. Krasickiego, Łozińskiego, Oborskiego, hr. Romana Potockiego, Puzynę, hr. Jana Tarnowskiego, Horodyskiego, hr. Tyszkiewicza, Tyszkowskiego, Wolańskiego Mikołaja, hr. Zamojskiego lub Zborowskiego. Prócz Bilińskiego i Juliana Czerkawskiego ani jednéj wybitniejszéj osobistości, same zera polityczne, które jednakże zszeregowane pod „wodzem podolskim“ dzierżą największy wpływ w kraju i wszystko usiłują podporządkować swoim koteryjnym interesom. Z téj większości, t. j. z tak zwanéj prawicy sejmu galicyjskiego, wyszły obadwa galicyjskie komitety centralne, jeden dla zachodniéj części kraju z siedzibą w Krakowie, drugi dla wschodniéj z siedzibą we Lwowie. W pierwszym wodzili rej Popielowie i Tarnowscy, w drugim Grocholscy i Potoccy, cóż przeto dziwnego, że z wyborów wyszli mniéj więcéj sami tacy

statyści parlamentarni, jak ci, których powyżéj wymieniliśmy. Pomijamy wybory z gmin wiejskich we wschodniéj części kraju, przy których antagonizm narodowy spowodowuje często potęgowanie namiętności politycznych, wśród których powiatowe wielkości i powagi łowią jak w mętnéj wodzie swoje specyalne ryby. Żeby się tylko uciekano do moralniejszych środków agitacyjnych. Mówiąc o téj kategoryi wyborów, trudno nie potrącić o kwestyę rusińską. Nie tu miejsce, ażebyśmy się mieli kusić o jéj wyjaśnienie lub też zasadnicze wypowiadali uwagi. Nam chodzi tylko o zaznaczenie, że komitet centralny lwowski przy sposobności wyborów zaznaczył swoje stanowisko wobec téj sprawy w sposób najfatalniejszy, popierając tak zwanych kandydatów „metropolitalnych", kreatury rządowe, przeciwko wolnomyślnym Rusinom, nie zadawszy sobie nawet pytania, jaki właściwie nasz ogół lub koło polskie będzie miało pożytek z takiéj polityki hermafrodyzmu. Czyż sądził komitet centralny, że przez popieranie wyboru pp. Mandyczewskiego Ozarkiewicza, Siengalewicza i Ochrymowicza, kandydatów ministeryum i metropolity rusińskiego Sembratowicza, załatwił sprawę rusińską? Owszem, zaostrzył ją tylko przeciwstawiając zarówno kandydatom stronnictwa staro-ruskiego, jako też i ukraińskiego ludzi rządowych, nieposiadających żadnego programu, ani też najmniejszych sympatyj u swojego ludu. A jakiż inny wyniknął z tego pożytek? Oto chyba ten, że dobrowolnie osłabiono koło polskie bez żadnego celu o dwa głosy, co zawsze stanowi niekorzystny ubytek, a wzmocniono temi dwoma głosami stronnictwo rządowe *par excellence*, które w danym razie może tak dobrze głosować na skinienie ministeryum przeciw kołu polskiemu, jak przeciw lewicy. Wybór metropolitalnych kandydatów uważamy przeto za wielki błąd polityczny i wolelibyśmy stokroć razy, gdyby w ich miejsce przeszli byli wolnomyślni przedstawiciele ludu rusińskiego, kandydaci, jak Romańczuk, Wachnianin, Sieczyński i Sawczak. W zachodniéj części kraju, co do gmin wiejskich, widzimy także smutny obraz. Tu nie są już w grze żadne antagonizmy narodowe, ażeby niemi zasłaniać wybór powiatowych powag, nie posiadających dostatecznego uzdolnienia. Dla czegoż więc narzuca komitet centralny polskiemu ludowi takich kandydatów, nie zaś ludzi zdolnych, miłujących ten lud i pragnących szczerze służyć jego interesom ekonomicznym, dlaczego dąży do systematycznego usuwania od krzeseł poselskich włościan lub ludzi wyszłych z stanu włościańskiego, którzy niezawodnie mają więcéj znajomości stosunków i potrzeb włościańskich, aniżeli np. taki pan Jan hr. Stadnicki, członek rady zawiadowczéj „*Länderbanku*", mieszkający stale w Wiedniu, lub hr. Jan Krasicki, prezydent rady za-

wiadowczéj towarzystwa lwowsko-czerniowieckiéj drogi żelaznéj, również przebywający ciągle po za granicami kraju i z ludem najmniejszéj styczności nie mający. A takich przedstawicieli ludu polskiego moglibyśmy naliczyć więcéj. Czyż piśmienny i język niemiecki znający chłop polski będzie gorszym posłem jak hr. Tyszkiewicz lub hr. Zamojski, jeżeliby nawet, tak samo jak ci panowie przez całe sześciolecie nie dał zupełnie słyszéć swojego głosu? Nam się zdaje, że nie, a byłaby z pewnością ta korzyść, że lud mógłby się naocznie przekonać jak jego interesa są przedstawiane, które, bądź co bądź, co do materyalnéj swéj strony nie zawsze zgadzają się z interesami „obszarów dworskich", która to ostatnia kategorya interesów stała się w Galicyi synonimem „interesów krajowych" tak, jak gdyby masy polskiéj ludności były „antykrajowemi." Jako postęp zaznaczamy przeto wybór włościanina, p. Orzechowskiego, przeciwko kandydatowi komitetu centralnego Janowi hr. Stadnickiemu, jednemu z wybitnych przedstawicieli tak zwanéj „grupy lenderbankowiczów." P. Orzechowski zdaje się trzeźwo zapatrywać na rzeczy, skoro w swéj mowie kandydackiéj wypowiedział między innemi te trafne słowa: „Nie myślę ja, żeby koło polskie było tak ciasném, ażeby tam nie było miejsca dla jednego polskiego chłopa, a dlatego sądzę, że komitet centralny, popierający p. hr. Stadnickiego, nie jest tłómaczem woli koła polskiego. Landerbank nawarzył nam herezyi z koleją transwersalną, a pan hrabia jak słyszę z tym Landerbankiem strasznie pokumiony i poszwagrzony." „Czas" oburzył się na te słowa trzeźwego umysłu a poczciwego serca i nazwał je „obłędem." Wątpimy, czy to odpowiedne wyrażenie się, chociażby p. Orzechowski był jeszcze tak „samozwańczym" kandydatem. Ludzie dobrze myślący w kraju powinni się przedewszystkiém wystrzegać, ażeby nasz lud polski nie uważał polecenia wyboru przez komitety centralny i powiatowy, jako „nakazu wybrania *pana*." A czas byłby na to ostateczny.

Prawdziwie proroczym duchem natchniony, przepowiedział dr. Karol Lewakowski, człowiek zasad postępowych, w mowie swéj kandydackiéj przed lwowskiemi wyborcami wynik galicyjskich wyborów. Mówił on jak następuje: „Z tych wyborów wyjdzie znowu duch kastowy w zwartym szeregu, mniejsza o to, czy będzie on więcéj krakowskim, lub więcéj podolskim, ale pozostanie zawsze dla społeczeństwa—„obszarem dworskim!" Wszelkie inne przymieszki, przez ten obóz wprowadzone, będą tylko żywioły do pracy w radzie państwa i do celów rządu potrzebne, ale z góry do tego kierunku i téj tendencyi zobowiązane, do bezwarunkowego posłuchu związane.... Ogromna większość koła składa się tylko z jednéj warstwy

naszego społeczeństwa, a reprezentuje całość jego! Zadanie to tém trudniejsze, ile że wkłada na nią obowiązki bronienia interesu wszystkich klas społeczeństwa, obowiązki tém świętsze, skoro własnowolnie przyjęte. Czy znajdzie się, ktoby twierdził, że przedstawiciele większéj posiadłości są u nas, tak jak w innych krajach, w wielkiéj części ludzie wykształceni wysoko, niezawiśli majątkowo, niedbający o fawory możnych sąsiadów i rządu, i chociażby w małéj części ludzie postępowi lub liberalni? Gdyby tak było rzeczywiście, możnaby z otuchą patrzéć na przyszłe wybory, bo to im przyznać trzeba, że są oni w Galicyi częścią naszego społeczeństwa najczyściéj polską i najbardziéj z tradycyą narodową związaną. Z natury rzeczy, stronnictwo zachowawcze, głosili oni podczas ostatnich wyborów (przed laty sześciu), ma zamiar kroczenia drogą zdrowego postępu, tymczasem ich wybrańcy czynili ustępstwa stronnictwu wręcz wstecznemu.“

Trafne to są bardzo słowa i najlepiéj charakteryzujące wytworzone w Galicyi położenie. To, co dr. Lewakowski przepowiedział, spełniło się niestety nietylko co do joty, ale owszem stało się w rzeczywistości jeszcze daleko gorzéj, aniżeli wymieniony poseł mógł przewidziéć. Posłuchajmy jeszcze małego ustępu z téj saméj jego mowy. „Pozostają miasta i izby handlowe i w tych jeszcze nie raz zwyciężają wpływy obozu szlacheckiego, z którym zawsze każdy rząd chętniéj się łączy, aniżeli z niezawisłym żywiołem postępowym. Takim tedy jest skład koła. Jeżeli zważycie, że ta większość składa się z rolników a jednak nie zdołała bronić swojego własnego interesu—rolniczego, dowodem czego podwyższony podatek gruntowy, nowy podatek gorzelniany, który zniszczył tę gałąź rolnictwa, przewleczona regulacya rzek, ugoda z koleją północną, z tą martwą ręką ciążącą na handlu i produkcyi galicyjskiéj — to jakżeż od téj większości spodziewać się możemy skutecznéj obrony interesów, które mniéj im są znane, o których potrzebie nie mają oni tak dotkliwego przeświadczenia, jak inne warstwy społeczeństwa?“

Dr. Lewakowski nie przewidział tego atoli, co się przy współdziałaniu komitetów centralnych stało po miastach. Dawniéj na podstawie wyraźnego brzmienia regulaminu pozostawiano przynajmniéj miasta w spokoju. Teraz stało się inaczéj obadwa komitety centralne rozwinęły właśnie po miastach jak najżywszą agitacyą przeciwko wszystkim samoistnym i postępowym kandydatom komitetów wyborczych miejskich. W Stanisławowie przy niesłychanéj presyi rządu i konserwatywnych żywiołów, a jak powiadają, i przy pomocy pieniędzy zwyciężył dr. Biliński postępowego kandydata dr. Mroczkowskiego, w Przemyślu p. Sawczyński dr. Roszkowskiego, w lwow-

skiéj izbie handlowo-przemysłowéj p. Mochnacki redaktora „Nowéj Reformy“ p. Romanowicza, w Tarnowie Zawadzki dr. Rutowskiego a wreszcie w Jarosławiu-Rzeszowie Bartoszewski inżyniera Stwiertnię. Z wyjątkiem jednego Lwowa, gdzie przeszedł obok Smolki dr. Lewakowski i Sambora-Drohobycza, gdzie wybrano Ottona Hausnera, żaden inny galicyjski miejski okręg wyborczy nie wybrał postępowego kandydata, ponieważ pp. dra Euzebiusza Czerkawskiego i Mieczysława Chrzanowskiego w zupełności do obozu postępowego zaliczyć nie możemy. A wszystkich powyżéj wymienionych kandydatów konserwatywnych popierały jak najgorliwiéj komitety centralne, zwracając w szczególności swoję niechęć przeciw dr. Lewakowskiemu, który miał odwagę wypowiedziéć publicznie prawdę i kilku trafnemi uwagami wybornie scharakteryzował całe położenie, wytwarzające się wskutku nowych wyborów w Galicyi, na podstawie dokładnego studyum istniejących stosunków w kole polskiém. Dziwną rolę odegrała w sprawie wyboru postępowego kandydata, dra Lewakowskiego „liberalna“ prasa lwowska, w szczególności „Dziennik Polski“ i „Gazeta Narodowa,“ które własnowolnie przywdziały liberyę pańską i publicznie potępiły słowa prawdy, wypowiedziane przez tego dzielnego posła, jako „herezyę narodową,“ dlatego, że on ważył się targnąć na nieproszone i niepożądane opiekuństwo koteryi nad całym naszym ogółem. Następstwem tego świętego oburzenia organów „liberalnych“ było, że na kilka dni przed wyborem nakłoniły dra Kubalę do postawienia swéj kandydatury i rozpoczęły atak na dra Lewakowskiego, zalecając w miejsce jego wybór pierwszego. Nic to jednak nie pomogło. Lwowscy wyborcy wykazali więcéj zdrowego zmysłu i niezawisłości, aniżeli prasa lwowska, wybierając ogromną większością głosów dra Lewakowskiego, na co „Gazeta Narodowa“, spierająca się jeszcze w przeddzień wyborów z „Dziennikiem Polskim,“ że to jéj zasługą jest podjęcie kandydatury dra Kubali—zachowała wymowne milczenie, a znowu „Dziennik Polski“ robił *bonne mine au mauvais jeu*, podnosząc bombastycznie, że „przecież znalazło się we Lwowie 706 wyborców, którzy przez swe wotum założyli protest przeciwko warcholstwu“ (*sic*!). A trzeba wiedziéć, że dr. Lewakowski w bardzo krótkim czasie swego posłowania wielkie położył zasługi około interesów krajowych, staczając sam jeden walki w kole przeciw odnowieniu przywileju północnéj drogi żelaznéj, którą to sprawę z gorliwością godną lepszéj rzeczy zastępował dr. Biliński, w pismach swych bezwzględny zwolennik upaństwowienia dróg żelaznych; daléj ułatwił swojemi usilnemi staraniami i zabiegami oddanie liwerunków wojskowych spółce galicyjskich rękodzielników, co drzemiący w stagnacyi mały przemysł Galicyi

nie mało odżywi i rozwinie. P. Sawczyński posłował wprawdzie już przedtém w sejmie galicyjskim, ale jeżeli działalność jego w kole polskiém i parlamencie będzie taką, jak mowa jego przedwyborcza w Przemyślu to chyba trudno się nam spodziewać bardzo wielkiego pożytku dla kraju z jego przyszłéj czynności parlamentarnéj. Pan Zawadzki jest prezydentem sądu obwodowego, jest starym urzędnikiem, ale nic więcéj. Nikt nie zna ani jego zasad, ani téż jego działalności publicznéj, bo dotychczas żadnego nie brał udziału w życiu publiczném i aż teraz dopiero, w braku odpowiedniejszego kandydata, powołanym został na krzesło poselskie. P. Biliński, prócz sprawy północnéj drogi żelaznéj, niczém nie zdołał ściągnąć na siebie uwagi kół szerszych. W kole polskiém bywał on rzecznikiem najgorliwszym kierunku ministeryalnego, co dało powód jednemu z pism krajowych do nazwania go „komisarzem rządowym koła polskiego.“ Mówcą jest dobrym, a chociaż przy północnéj drodze żelaznéj bronił złéj sprawy, to przyznać trzeba, że wobec skombinowanych ataków i niedających się zbić argumentów lewicy przeciwko odnowieniu przywileju, okazał dużo przytomności umysłu i taktycznego sprytu, jako téż i krasomówczego talentu, broniąc z dobrym skutkiem sprawy niemiłéj i najniepopularniejszéj, może nawet przeciw swojemu własnemu przekonaniu. Usługi, jakie oddał rządowi w téj sprawie, były szczególnie powodem, że rząd przez swoje organa wybór jego popierał wszelkiemi siłami.—Jak z jednéj strony komitetom centralnym udało się w drodze regulaminem niedozwolonéj presyi na wyborców miejskich zwalczyć kilku postępowych kandydatur, tak znowu okazały te komitety niesłychaną nieudolność i niedołężność, nie mogąc wpływem swoim obalić „antynarodowych“ kandydatur Kallir'a w brodzkiéj izbie handlowo-przemysłowéj, Sochora w miastach Brody-Złoczów i dra Blocha w Kołomyi. Przyznać należy, że lwowski komitet centralny postąpił sobie zupełnie prawidłowo, ogłaszając kandydaturę p. Kallira, który w ubiegłém sześcioleciu należał do lewicy i głosował zawsze przeciw kołu polskiemu, oraz kandydaturę p. Sochora, który na zapytanie, odpowiedział, iż pod żadnym warunkiem do koła polskiego nie wstąpi, jako „antynarodowe“; ale dlaczego to samo uczynił odnośnie do Blocha, który był członkiem koła polskiego i nigdy solidarności z niém nie złamał, zwłaszcza znając dobrze fanatyczne usposobienie kołomyjskich wyborców żydowskich, trudno zrozumiéć, a to tém bardziéj, że przeciwstawił drowi Blochowi dra Byka, który w niczém od pierwszego nie jest lepszym i jeszcze przed kilkoma laty należał do stronnictwa niemiecko-centralistycznego. To ogłoszenie „antynarodowości“ Blocha naraziło tylko komitet centralny lwowski nie potrzebnie na kom-

promitacyą, bo okazało dowodnie jego bezsilność wobec wyborców miast: Kołomyja-Sniatyn-Buczacz. Lepiéj było stokroć razy okazywać mniéj zawziętości wobec polskich postępowych kandydatów, a wytężyć natomiast wszystkie siły przeciwko wyborowi niemieckich aspirantów do mandatu pp. Kallira i Sochora, którzy bądź co bądź, panującym w Galicyi stosunkom zaszczytu nie przynoszą.

Z nowo-wybranych posłów z większéj posiadłości jeden tylko profesor Bobrzyński jest wybitną osobistością, reszta sami ludzie nieznani. Czy będzie z nich jaki pożytek, czy który z młodszych wyrobi się, okaże to niedaleka przyszłość.

Dla lepszego przeglądu i porównania przytaczamy imiennie najprzód tych członków koła polskiego, którzy ponownie nie zostali wybrani. Są nimi: ks. dr. Chełmecki, dr. Julian Czerkawski, ks. Gołda, Hulimka, Kozłowski, hr. Krasicki, Władysław Łoziński, hr. Mieroszowski, Oborski, Puzyna, Sprawiński, Jan hr. Stadnicki, Jan hr. Tarnowski, Erazm Wolański, hr. Zamojski, ks. Zapałowicz i Zborowski (zmarli: Horodyski i dr. Rajski). Liberalna frakcya koła polskiego straciła w powyżéj przytoczonym spisie czterech członków, mianowicie: hr. Mieroszowskiego, Spławińskiego, ks. Gołdę i dr. Rajskiego, nie uzyskawszy natomiast ani jednego nowego mandatu. Jako nowo wybrani wejdą do koła polskiego: Bobrzyński, ks. Chotkowski, Władysław Czajkowski, hr. Gołuchowski, Grotowski, hr. Hompesz, Jarosz, hr. Łoś, Lewicki, Mochnacki, ks. Kopyciński, Orzechowski, Popowski, Sawczyński, Tomasz hr. Stadnicki, Szydłowski, Wysocki i Zawadzki, razem ośmnastu posłów, z któréj to liczby dwunastu ma się przyłączyć do stronnictwa środka. Jeżeli ta przepowiednia publicystycznych organów tego stronnictwa miałaby się sprawdzić, o czém jednakże dla pewnych względów można wątpić, to większość konserwatystów podolskich i krakowskich przestałaby w sprawach, w których by stronnictwo środka było popierane ze strony liberalnéj frakcyi, należałaby do przeszłości, ponieważ połączeni środkowcy z liberalistami rozporządzaliby 29 głosami, co przy ogólnéj liczbie 54 członków koła polskiego stanowiłoby większość dwóch głosów. Ale, ażeby do takiego sojuszu przyszło, potrzebaby najprzód, żeby stronnictwo środka, które zresztą posiada w swém gronie mężów postępowych, jak książe Jerzy Czartoryski, poczyniło pewne programowe ustępstwa liberalnéj frakcyi koła polskiego, któréj widomemi głowami są pp. Hausner i Lewakowski, na czém by pierwsze stronnictwo dużo zyskać mogło, ponieważ już zaraz przy konstytuowaniu się nowego koła polskiego mógłby książe Czartoryski zastąpić p. Grocholskiego, który pominąwszy już jego skrajny konserwatyzm i bezwarunkową uległość rządowi, jest za starym i zanadto na zdrowiu

skołatanym, ażeby mógł w przyszłości kierować sprężyście kołem i przedstawiać jego interesa na zewnątrz wobec sprzymierzonych stronnictw i gabinetu. Słyszeliśmy już nawet o takiéj kombinacyi z tym dodatkiem, że p. Smarzewski, człowiek liberalnych zasad i zasłużony weteran parlamentarny, może jeden z najzdolniejszych posłów polskich, zostałby jego zastępcą w miejsce p. Jaworskiego, którego uzdolnienie, chociaż słynie jako zawodowiec kolejowy, nie kwalifikuje go na wybitniejsze stanowisko, szczególnie ze względu, że jako wice-prezes koła, jest zarazem członkiem wykonawczym prawicy.

Mając przed oczyma wynik nowych wyborów w Galicyi przedstawiony powyżéj w pobieżnym zarysie, dodać należy, że tym razem rząd wywierał z swéj strony bezprzykładny dotychczas wpływ w gminach wszystkich i miastach na korzyść kandydatów jemu uległych. Jeden z najlepiéj poinformowanych korespondentów galicyjskich do „Kraju", zdając sprawę z przebiegu tamtejszych wyborów, tak się o stanowisku rządu wyraża: „Odkąd mamy konstytucyą, pierwszy raz dopiéro rząd tak namiętnie agitował za swymi kandydatami. Dawniéj prowadził agitacyę skrycie; przeciwnie działo się teraz. Czy takie postępowanie jest odpowiedne, nie będę się nad tém rozwodził." Do tych słów dodamy z naszéj strony, iż pod tym względem rząd nie zawsze działał w porozumieniu z galicyjskiemi komitetami centralnemi, a zatém i z kołem polskiém, ponieważ zdarzył się wypadek, gdzie popierał nawet „antynarodowego" kandydata, mianowicie dra Blocha w Kołomyi. Drobny ten fakt rzuca charakterystyczne światło na stanowisko gabinetu, który, jak się zdaje, ma zamiar w przyszłości jeszcze więcéj oddalić się od prawicy i jeszcze większy położyć nacisk na swoją nieparlamentarność, pomimo, że minister skarbu dr. Dunajewski pod koniec sesyi oświadczył publicznie w izbie w imieniu całego gabinetu, że rząd nie ma zamiaru tworzenia ministeryalnego „stronnictwa środka", ale chce w przyszłości lojalnie opierać się na prawicy. Popieranie kandydatury „antynarodowéj" dra Blocha, wytworzenie na koszt koła polskiego frakcyi ministeryalnych Rusinów i wogóle zachowanie się rządu przy wyborach w innych krajach koronnych, nie pozwalają przyjmować powyżéj przytoczonych słów ministra inaczéj, jak tylko za podyktowane chwilowemi względami taktycznemi. Owszem, z całego położenia obecnego wynika, że utworzenie wspomnianego stronnictwa ministeryalnego jest bardzo bliskiém urzeczywistnienia. Jądrem jego będzie „klub liberalnego środka", zwany „klubem Coroniniego", który już przy końcu ubiegłego sześciolecia odgrywał rolę ministeryalnego zbawcy, szczególnie w kłopotliwém położeniu

rządu. W sprawie północnéj drogi żelaznéj rozstrzygnął hr. Coronini z swojemi, którzy téż i z nowych wyborów wyszli mniéj więcéj w téj saméj liczbie. Jednakże klub ten może doznać jeszcze znacznego wzmocnienia ze strony konserwatywnego skrzydła lewicy, pod wodzą pp. Chlumetzky'ego i br. Scharschmidta, które to skrzydło lewicy oświadczyło waraźnie na konferencyi posłów niemiecko-opozycyjnych, odbytéj po przeprowadzeniu nowych wyborów parlamentarnych, przez swego rzecznika br. Scharschmidta, że jeżeliby liberaliści niemieccy ulegli presyi niemieckich narodowców i zamienili nazwę „zjednoczonéj lewicy" na „klub niemiecki", jak się tego bezwarunkowo frakcya Weitlof-Knotz-Pickert domaga, to ono wystąpi z związku lewicy i oczywiście nakieruje swoją nawę na wody ministeryalne, dobijając do przystani — hr. Coroniniego. Ponieważ koło polskie, koło czeskie i klub Hohenwarta liczą razem 160 głosów, co znaczy, że przy ogólnéj liczbie posłów 353, brakuje im do absolutnéj większości 17 głosów niemieckich klerykalistów, którzy są bardzo niepewni i kto wié, czy nawet zechcą należéć teraz do związkowéj organizacyi prawicy, to z tego położenia układa się ewentualność, iż tym razem rząd będzie pośrednio, to jest za pomocą swojego „stronnictwa środkowego" owym języczkiem u wagi parlamentarnéj i dzierżył losy wszelkich uchwał w swoich ręku. Z tego względu pogorszyło się téż położenie, gdyż rozumie się samo przez się, że rząd ubezwładnionéj prawicy jeszcze mniéj będzie folgował, aniżeli prawicy posiadającéj większość w przeszłém sześcioleciu. Jednakże mimo tego i rząd bez prawicy większości miéć nie może, z czego wynika, że zawisłość będzie obopólną: prawicy od rządu a rządu od prawicy.

Bilans nowych wyborów przedstawia się po dokładném obliczeniu jak następuje: koło czeskie 66, koło polskie 54, klub Hohenwarta 40, ministeryalnych Rusinów 4, ministrów posłów 6, a doliczywszy do prawicy jeszcze 17 niemieckich klerykalistów, 4 niemieckich konserwatystów odcienia dra Lienbachera i jednego przedstawiciela tak zwanego „niemiecko-czeskiego stronnictwa gospodarczego (*deutsch-böhmische Wirthsschaftspartei)*, otrzymamy 191 głosów przeciw 137 głosom opozycyi niemieckiéj, reprezentowanéj dotychczas przez zjednoczoną lewicę. Środkowe stanowisko zajmie 35 posłów, pomiędzy temi grupa narodowo-niemieckich antysemitów pod wodzą Schönerera licząca 4 głosy, grupa wiedeńskich demokratów z dr. Kronawetterem na czele, przedstawiająca siłę 3 członków, „klub Coroniniego", składający się z 17 posłów i 9 dzikich.

Liczby przytoczone przez nas uzupełniają rysunek obrazu położenia. Widzimy przedewszystkiém, że na widownią wystąpiły

także nowe zawiązki stronnictw, które w rozwiązanéj izbie albo były liczebnie bardzo nieznacznie lub téż wcale nie zastąpionemi. Najprzód lewica uległa znacznym modyfikacyom. Pominąwszy stratę 21 mandatów, zarysowały się w jéj łonie dwa odcienie, mianowicie stronnictwo narodowo-niemieckie i odcień konserwatywny, zowiący siebie „austryacko-niemieckiém stronnictwem państwowém (*deutsch-österreichische Staatspartei*)“, którego wybitnemi przedstawicielami są Chlumetzky, Scharschmidt i dr. Tomaszczuk, a które z narodowcami niemieckimi pod żadnym warunkiem nie wytrzyma pod jednym dachem klubowym. Głos lewicy musi przeto nakierować się albo na prawo ku frakcyi Chlumetzky'ego, lub téż na lewo ku frakcyi Weitloffa-Pickerta, a w pierwszym razie odłączy się od lewicy „klub niemiecki“, w drugim zaś prawe jéj skrzydło. Ale może przyjść jeszcze do fatalniejszéj ewentualności, że lewicy mogą odpaść obadwa skrzydła, prawe i lewe. Stronnictwo bowiem narodowo-niemieckie dąży bezwarunkowo do utworzenia osobnego klubu, co rozmaite stowarzyszenia i korporacye wyrażają nie dwuznacznie w rezolucyach swoich, a znowu „austryacko-niemieckie stronnictwo państwowe“ zaczyna z swéj strony piętnować opozycyjną politykę Herbsta-Plenera-Koppa jako „jałową“ i nie prowadzącą do celu, co także niedwuznacznie wskazuje, że to stronnictwo chętnie zbliżyłoby się po złotym moście do gabinetu hr. Taaffego.

Grupa wiedeńskich demokratów, która od trzech lat była zniknęła zupełnie z widowni politycznéj, staje się teraz nowym czynnikiem parlamentarnym, który o tyle więcéj ma doniosłości, że kolebka jego stoi na wiedeńskich przedmieściach i że on jest spadkobiercą mandatów niemiecko-liberalnych, jako téż jeszcze i ta okoliczność, że grupą tą będzie kierował mąż wielkiéj nauki i uzdolnienia, jak dr. Kronawetter, którego lewica okropnie nienawidzi z powodu, że on należąc dawniéj do parlamentu, zwalczał ją jako „koteryę kapitalizmu i wyzysku“, ze stanowiska demokratycznego. Dra Kronawetter'a dewizą jest: „wszystko dla ludu i wszystko tylko przez lud,“ a téj dewizie pozostaje on zawsze wiernym i dąży téż bezwzględnie do jéj urzeczywistnienia. Przytém celuje poseł ten niezwyczajnym darem wymowy. Frakcya narodowo-niemiecka antysemitów odcienia Schönerera istniała i w rozwiązanéj izbie. Obecnie tylko zwiększyła się jéj liczba w dwójnasób. Program téj grupy jest bardzo niejasny i zawiły. Pod względem narodowym idzie ona najskrajniéj, bo żąda wręcz — rzecznik jéj Schönerer wypowiedział to publicznie na posiedzeniu w izbie — przyłączenia krajów niemieckich Austryi do państwa niemieckiego, daléj dąży ona do „oczyszczenia niemczyzny od żydowszczyzny“, popadając przytém w skraj-

ność antysemityzmu. Zresztą identyfikuje się ona z stronnictwem demokratycznėm, walcząc przeciwko wyzyskowi kapitalizmu, za rozszerzeniem praw politycznych i poprawieniem losu pracującego ludu w drodze reform polityczno-społecznych. Co do ustawodawstwa przemysłowego, jest ona z powodu „konkurencyi żydowskiéj" za ograniczeniem jaknajwiększém wolności zarobkowania, w czém się styka z niemieckimi klerykalistami i do tego wszystkiego płonie ona ogromną nienawiścią do lewicy, przeciwko któréj zawsze i wszędzie walczy.

Grupa niemieckich konserwatystów pod wodzą dra Lienbachera, jest nawskróś tak samo wsteczną, jak frakcya książąt Liechtensteinów, ale różni się od téj dążnościami centralistycznemi i podnoszeniem swéj niemczyzny w przeciwstawieniu jéj przeciwko „uroszczeniom słowiańskim." Swojego czasu głosował dr. Lienbacher z swojemi zwolennikami za kodyfikacyą języka niemieckiego, jako państwowego w Austryi.

Jeżeli przeto doliczymy do wymienionych powyżéj sześciu stronnictw i frakcyi niemieckich jak niemieckich autonomistów konserwatywnych z klubu Hohenwarta, niemieckich klerykalistów frakcyi Liechtensteina, daléj niemieckich liberalistów umiarkowanych z klubu Coroniniego, luzem idących dotychczas partyzantów „stronnictwa środka", przedstawicieli „czesko-niemieckiego stronnictwa gospodarczego" i „chrześciańsko-konserwatywnego socyalizmu" (Zallinger), to otrzymamy sumę dwunastu niemieckich stronnictw, frakcyi i grup posiadających swój odrębny program polityczny, społeczny i ekonomiczny. Dodać winniśmy, że pomimo takiéj mnogości najrozmaitszych partyjnych odcieni, istnieją jeszcze i niemieccy „dzicy."

Klub Hohenwarta nie uległ prawie żadnéj zmianie. W klubie czeskim wzięły, podobnie jak w kole polskiém, konserwatywne prądy górę, na czém przedstawicielstwo młodo-czechów ucierpiało. Nie wybrano ponownie znanego młodo-czeskiego posła Tilszera, który w sprawach postępu zachowywał sobie wolną rękę działania i nie dawał się krępować dyscypliną klubową.

A teraz zakończymy rzecz naszą pytaniem: czy po nowych wyborach zmieniła się sytuacya parlamentarna na korzyść prawicy? Sądzimy, że nie, a zresztą niechaj czytelnik sam o tém wyciągnie wnioski na podstawie materyału przez nas zestawionego.

G. Smólski.

ZARYSY
RUCHU LITERACKIEGO RUSINÓW.

X.

W roku 1847, kiedy Szewczenko, Kostomarow i kilku innych zostali wysłani na wygnanie, ruch literacki na Małorusi ustał na czas jakiś; w r. 1848 Metliński profesor uniw. charkowskiego wydał tylko niedużą książkę „Jużnyj ruskij sbornik“ z poezyami własnemi a także Makarowskiego, Aleksandrowa i Petrenka. Ten ostatni, niepospolicie utalentowany, pisał tak pięknym językiem i tak obrazowo, że jeden nawet z jego urywków poetycznych dostał się w r. 1876 do zbioru poezyi Szewczenki. Wydawnictwo Metlińskiego nie poruszyło jednak nikogo: w r. 1849 wydrukowano tylko jednę książkę „Propowidi“ księdza Hreczulewicza, w roku następnym żadnéj, w 1851 znowu tylko jedną, czysto etnograficzną, „Małoruskija i halickija zahadki“ Sementowskiego w Kijowie. W r. 1852 Metliński, wówczas profesor Uniwersytetu kijowskiego, rozmiłowany w języku ojczystym, spróbował znowu wydać tomik bajek Lwa Borowikowskiego, chcąc pobudzić innych do pracy; jakoż teraz powiodło mu się lepiéj, w roku następnym wydano w Kijowie bajki Maziukiewicza, a jednocześnie w Czerniehowie w „Guberskich wiedomostiach“ zaczął drukować prześliczne bajki ukraińskie Leonid Hlebow. W r. 1856, po powrocie do Petersburga wygnanych autorów, nastaje nowe ożywienie w literaturze ukraińskiéj; Kulisz wydaje dwa tomy „Zapisek o Jużnoj Rusi“ i „Narodni opowidannia Marka Wowczka“ (pseudonim Maryi Markiewiczowéj), w 1858 pojawiają się dwa tomy powieści Kwitki, w 1859 wydrukowano tomów 11, między któremi „Czorna Rada,“ powieść historyczna Kulisza, wreszcie Pismo zbiorowe literackie Mordowcowa, wydane w Saratowie. W ciągu roku następ-

nego wydano książek 26, z nich ważniejsze: „Kobzar“ Szewczenki, almanach Kulisza „Chata“ i Zakrewskiego „Staroswitskyj Bandurzyst.“ W r. 1860 zaczęto wydawać w Petersburgu miesięcznik „Osnowa“ pod redakcyą Białozierskiego, a w Czerniehowie Hlebow rozpoczął wydawnictwo tygodnika „Czernihowskyj listok.“

Rozpoczynający się na nowo ruch w wydawnictwie, podtrzymany z początku przez dawniejszych pisarzy, wprędce wywołał nowe siły. Zajęli się literaturą: Aleksandrowicz, Witawski (autor bajek), Żytecki, Kuźmenko, Konisski, pani Kulisz, Łazarewski, Kulik, Moraczewski, Nos, Ohiewski, Stecenko, Tawołga, Simonow, Swidnicki, Szyszacki, Czubinski i inni. Nie długo jednak trwał ten rozkwit piśmiennictwa ukraińskiego. Gazeta żydowska „Sion“ rozpoczęła polemikę z „Osnową“ z powodu użycia wyrazu „*Żyd*,“ polemika przeszła prędko w zarzuty propagandy separatyzmu politycznego, maniaki w Moskwie i Kijowie podchwycili ten zarzut, zaczęli dodawać od siebie coraz to nowe insynuacye, posypały się denuncyacye na autorów.

Wydawnictwo „Osnowy“ ustało w r. 1862, a w następnym roku zamilkł i „Czernihowskyj Listok,“—kilku młodych pisarzy, jak niezrównany w swych opowiadaniach doktór Nos, poeta Konisski, etnograf Czubiński i Szymanow musieli wyjechać z ziemi rodzinnéj. Między władzami naczelnemi poczęła się korespondencya co do dalszych losów literatury ukraińskiéj, mianowicie zaś co do rodzącego się zaledwie piśmiennictwa popularno-naukowego dla ludu. Ministeryum spraw wewnętrznych uskarżało się na niezmierną mnogość rękopismów ukraińskich oddawanych do cenzury, które cenzorów obarczały robotą do tego stopnia, że nie mogli się zajmować czem innèm; uważano, że tłómaczenie Ewangelii na język małoruski zgoła wcale nie potrzebne, że używanie w szkołach elementarnych języka ludowego jest rzeczą zbyteczną. Jakiś czas ciągnęła się dyskusya o tych kwestyach, zakończona tém, że ostatecznie dozwolono drukować po małorusku tylko utwory beletrystyczne (1).

Ożywienie ruchu literackiego ukraińskiego przypada na lata 1856—1863, na czas właśnie, kiedy w początkach panowania cesarza Aleksandra II wszystkie umysły były zaprzątnięte wielką sprawą zniesienia poddaństwa; idea ta góruje więc we wszystkich utworach literackich owego czasu, a obok tego ciągłe nawoływanie do oświecania ludu, do starań około podniesienia go zarówno materyalnie jak moralnie i umysłowo. Wskazywano, że klasy oświecone zupełnie nie

---

(1) Poezya Słowian, 1871, str. 163; Istorycz. Wistnyk 1881 r.; Russkaja Starina 1881, zesz. 2; gazeta „Diło“ 1885, N. 21, 22.

znają życia ludu prostego, ani jego potrzeb, ani zapatrywania się na świat, że zatém obowiązkiem ich jest poznać ten lud i badać jego życie wszechstronnie.

Literatura ukraińska od czasów Kotlarewskiego szła ciągle w kierunku ludowo-demokratycznym i zawsze dbała o interesa ludu. Krytycy w Moskwie i Petersburgu długo jakoś nie mogli czy nie umieli zrozumiéć i ocenić tych dążności; dopiero po roku 1856, kiedy lepiéj się zapoznali z poezyami Szewczénki i powieściami pani Markiewiczowéj (Marko-Wowczok) zaczęli pojmować prawdziwe znaczenie prac literackich małoruskich.

„Opowidannia“ Marka-Wowczka przyjęto bardzo sympatycznie w całéj Rosyi, w swoim czasie były one popularne, autora porównywano wtedy z panią Bitcher-Stow. Rzeczywiście, krótkie pełne artyzmu opowiadania Markiewiczowéj ze ścisłością etnograficzną malowały smętne życie ówczesnych „negrów“ rosyjskich. Opowiadań tych mamy dwa nieduże tomy, urwały się one jednocześnie z zamknięciem „Osnowy.“ Obok prześlicznego języka i niepospolitej świeżości kolorytu, jaśnieje w nich myśl przyznania poddanym praw ludzkich. Pani Markiewiczowa próbowała pisać i dłuższe powieści jak „Institutka“ i „Tri doli“, ale próba nie powiodła się, szczególnie „Tri doli“ więcéj mają podobieństwa do melodramatu francuskiego z XVIII wieku, aniżeli do powieści z życia ludu ukraińskiego.

Do cyklu pisarzy ówczesnych należą: zmarły niedawno w Jałcie poeta dr. Rudanski, tłómacz „Demona“ Lermontowa i „Iliady;“ w obu tłómaczeniach mistrzowsko włada on językiem ukraińskim i umie wykazać jego bogactwo i siłę;—daléj, żyjący jeszcze powieściopisarz Daniło Mordowcow. Ten rozpoczął zawód literacki poematem pięknym, ale niestety niedokończonym, „Kozaki u mori,“ drukowanym w roku 1859 w „Saratowskim Sborniku,“ potém wydrukował w „Osnowie“ dwie powieści „Sołdatka“ i „Dzwonar,“ a w roku bieżącym wydał w Petersburgu zbiór swoich powieści, do którego weszły dwa nowe szkice „Son-nie-son“ i „I z ust mładeńcow.“ Te ostatnie to niby jęk duszy czystéj nad boleściami swego czasu i otoczenia. Autor zdaje się śmiać, opowiadania swe zaprawia niby humorem ukraińskim świeżym, zdrowym i nader miłym, ale wśród śmiechu humorysty widać spływające z oczu starca na siwą brodę palące łzy boleści.

W tychże czasach dał się poznać jako pisarz Aleksander Storożenko, urodzony 1805, zmarły w Brześciu Litewskim 1874. Niepospolitego talentu, którym go obdarzyła natura, nie wykształciło ani wychowanie domowe, ani pobyt w stołecznym zakładzie naukowo-wojskowym; nie pojmował on idei współczesnych i dla tego żadnych

nowych pierwiastków nie wniósł do literatury. Całe życie spędził na służbie rządowéj, a przesiadując długo na Podolu, poznał bliżéj lud tameczny, wsłuchiwał się w jego mowę i powieści o czasach dawnych; w opowiadaniach swoich trzymał się on dziedziny historyi i etnografii, a nie poczuwając się na siłach do propagowania pojęć liberalnych i myśli postępowych, ograniczał się na obrazowaniu życia. Powieści jego czytają się z przyjemnością, lepsze pomiędzy niemi „Kindrat Bubnenko Szwydkij," „Roskazy Zaporożca Korża," „Wusy" i „Hołka." Potém pisywał do „Wiestnika" Howorskiego już nie w małoruskim języku: te jego utwory krytycy nie wysoko cenią. Po jego śmierci, wydrukowano 1879 r. w Odessie romans po małorusku, pozostały w rękopiśmie i niedokończony przez autora, „Marko-Prołłatyj," osnuty na przysłowiu „towczetsia nacze Marko po pekłu"; ale romans ten niczem szczególném się nie odznacza.

XI.

Kiedy nad Dnieprem ustawał ruch literacki ukraiński, nastały dlań w r. 1848 czasy pomyślniejsze w monarchii Austryackiéj, któréj rząd wtedy właśnie powoływał swoich Rusinów do życia politycznego, społecznego i literackiego. Wtedy to powstała we Lwowie ruska „Matycia", założono pismo polityczno-literackie „Zoria Hałycka," ksiądz Jakób Hołowacki powołany został na katedrę literatury rusko-ukraińskiéj w uniwersytecie lwowskim a Rusini zawiązali swój klub oddzielny „Ruska rada." Wszystkie te fakta głośno i wyraźnie stwierdzały narodową samoistność Rusinów. W pierwszych swych lekcyach w r. 1849 prof. Hołowacki mówił: „Jużno-ruśka narodnist' tak bohata na piśni, szczo wpliwała i na polsku mowu i na rossijsku poeziju i na rossijskich pisateliw powistej." Wskazując i dowodząc odrębności języka rusko-ukraińskiego od polskiego i wielkorosyjskiego, Hołowacki wzywał słuchaczy do pracowania nad językiem własnym i mówił: „Jaką piękną wielkością okaże się nasza literatura, kiedy wystąpi sama z swojemi talentami rodzimemi, w swym ojczystym, żywym, języku ludowym." Wzory tego języka wskazywał on i u Kotlarewskiego, Kwitki, Hrebenki, Kostomarowa i innych pisarzy z Ukrainy (1).

Na nieszczęście, w czasach tych aż do r. 1861 nie zjawił się pomiędzy Rusinami w Galicyi ani jeden pisarz utalentowany, nie znalazło się tam wyższych zdolności poetyckich, ani szerszych poglądów, ani jasnego zrozumienia zadań literatury rusko-ukraińskiéj.—Mar-

(1) Ruskaja Biblioteka III. str. 329—352.

kijan Szaszkiewicz zmarł w r. 1843 a z jego śmiercią Rusini ponieśli ciężką stratę. Wtedy to wystąpili jako poeci Jakób Hołowacki, Antoni Mohylnicki, późniéj Diedicki, Lisekewicz i inni, ale ich pisma nie miały wpływu; jako poeci byli oni zupełnie nieudolni, brakło im fantazyi a nawet żywszéj wyobraźni. Wiersze ich podobne były do drapiącego ucho głosu rozbitego kotła miedzianego, do czego w znacznéj części przyczyniała się i forma zewnętrzna, mianowicie język jakim „wykładali“ swoją „poezyą.“ Większość tych pisarzy nie znała dokładnie ani języka ludowego, ani téż wzorowych utworów literatury ojczystéj, a wykształceniem nie sięgała po nad zastarzałe poglądy scholastyczne, wedle których, język książkowy powinien być różnym od żywego języka używanego w rozmowie; pisali więc jakąś niemożebną mięszaniną języka rusińskiego z cerkiewnosłowiańskim. Wkrótce potém rusin historyk Denis Zubricki zaznajomił się z panslawistami z Moskwy, z Pogodinem i wielu innymi. Zubrickiego i Iwana Hołowackiego, brata Jakóba, panslawiści nawrócili na swoje idee o jedności narodu i języka wielkorosyjskiego z halickim, i doradzali dążenie do przyswojenia sobie literackiego języka rosyjskiego. Rady te zapewne nie sięgały tak daleko, żeby rusini mieli zaraz chwytać się języka rosyjskiego; zapewne pisarze rusińscy musieliby pierwéj sami *nauczyć się* tego języka, o którym nie mieli zgoła pojęcia. Ale w pierwszym popędzie nie dobrze zrozumiano rady panslawistów i zaczęto *uszlachetniać* język ludowy, czyli pisać tak dziwacznie, że najzacieklejsi panslawiści z oburzeniem tylko mogli to czytać. Wzorem tego dziwactwa językowego tego lingwistycznego „nihilizmu“ pozostaną nazawsze „Buj-Tur“ Bohdana Diedickiego i „Śpiwak s Poliesja“ Mikołaja Lisekiewicza, a z późniejszych—pisma Benedykta Płoszczańskiego. Diedicki znał dobrze język ludowy, a jako uczeń Kollara, musiał pojmować całe znaczenie starań około przechowania jego czystości, ale zarazem „cenił“ téż wysoko ideę Zubrickiego o „uszlachetnieniu“ języka, i myśli panslawistów o jego „jedności“; dlatego występował nieraz w charakterze dwoistym, coś niby nakształt małego Kulisza galicyjskiego. W r. 1861, kiedy w Austryi zaświtała era konstytucyjna, Diedicki założył dziennik polityczny „Słowo,“ a w r. 1862 wspólnie z Jakóbem Hołowackim pismo „Haliczanin“, które istniało dwa lata; oba dzienniki pisane były językiem wcale niezłym i oba gorąco broniły samoistności Rusinów narodowéj i piśmienniczéj.

Wtedy już młodzi pisarze rusińscy, nie sympatyzujący z kierunkiem i nie lubiący języka „Słowa“, założyli pod redakcyą Fedora Zarewicza tygodnik literacki „Weczernyci.“ W r. 1864 dążności Diedickiego, przyjazne panslawizmowi, przyjmują w „Słowie“ odcień

coraz wyraźniejszy, a młodsze pokolenie występuje tymczasem z miesięcznikiem literacko-politycznym „Meta“, który po dwóch latach zastąpiła „Rusałka“. W r. 1867 pośród Rusinów zarysowują się wyraźnie dwa stronnictwa, dwie dążności, partya „starych“ albo „świętojurców“, albo „twerdych“, trzyma się daléj „Słowa“ i jego kierunku“, partya „narodowa“ albo „młodych“ wydaje pismo „Prawda“, które istniało do r. 1880, wtedy zaś jego miejsce zajęło „Diło“, wychodzące dotychczas, oraz pismo naukowo-literackie „Zoria.“

W r. 1867 główny chociaż nieurzędowy kierownik „Słowa“ Jakób Hołowacki pojechał do Moskwy na wystawę etnograficzną, w widokach osobistych pozostał on w Rosyi, zrzekł się stanu duchownego i zajął urząd prezesa komisyi archeologicznéj w Wilnie. Nie możemy tu pisać o pracach naukowych Hołowackiego na polu archeologii i historyi, wspomnimy tylko, że wydał potém zbiór pieśni ludowych, spisanych w Galicyi. Diedicki nie miał zasług naukowych Hołowackago, ale przykład jego tak nań podziałał, że wyrzekł się dawniejszych swych pojęć o samoistności języka rusinów i wydał broszurę, w któréj rozwijał myśl o jedności narodowéj i językowéj na całéj przestrzeni od Karpat do Kamczatki, twierdząc, że każdy z Rusinów galicyjskich „może w ciągu jednéj godziny nauczyć się języka, którym mówią w Wielkorosyi.“ Sam autor jednak własnym przykładem tego nie dowiódł, bo „studyując“ całe lata literacki język rosyjski, nie mógł jednak używać go poprawnie, lub chociażby gramatycznie.

Śmiała „idea“ Diedickiego wywołała silne wrażenie zarówno wśród Rusinów jak i wśród Polaków; po niejakim czasie wyjechał on ze Lwowa i osiadł na wsi, w majątku swoim w okolicach Żółkwi, „Słowo“ zaś oddał Benedyktowi Płoszczańskiemu, który redaguje je dotychczas jako organ partyi „twardych“, przeprowadzający „ideę odrodzenia“, i „jedności języka.“

Gazeta Markowa „Nowyj Prołom“ z charakteru podobna do „Słowa,“ Sympatyzuje z obu temi gazetami pismo „Nauka“, założone w r. 1872 i wydawane dotychczas przez Jana Naumowicza. Człowiek to daleko zdolniejszy i lepiéj wykształcony, włada dobrze językiem ludowym, i dopóki nie mieszał polityki do swych prac pedagogicznych, przynosił swemi wydawnictwami niemały pożytek. W ostatnich czasach wplątano go w polityczne sieci, co go naraził ona proces, więzienie i dalsze nieprzyjemności; zręczni ludzie wciągnęli go nawet w interesa finansowe, i korzystając z jego popularności, za jego pośrednictwem starali się ratować bliski bankructwa bank rusiński lwowski. Misya ta podobno mu się powiodła, ale zwichnęła ona bodaj zupełnie literacką jego działalność.

Wspomniéć tu jeszcze musimy o gazecie „Karpat“, wydawanéj przez braci Holiczkowych w Ungwarze, w dwóch językach, po węgiersku i jakoby po rusińsku. Ale przyszły jaki filolog długo się namęczy nim się domyśli, że język „Karpatu“ był kiedyś uważany za ukraiński. Wogólności powiedziéć można, że do spolszczenia Rusinów w Galicyi a zmadziaryzowania ich na Węgrzech, nikt się tak skutecznie nie przyczynia, jak „Słowo“, „Nowyj Prołom“ i „Karpat.“

XII.

Partya „młodych“ czyli *narodowych* pisarzy rusińskich, wzięła za hasło swéj działalności: „Ruś dla Rusi“; na sztandarze swym zapisała: „praca dla ludu, oświata narodowa, rozwój literatury i nauki w języku narodowym.“ Nie odstępuje też swego sztandaru ani zawodzi wygłoszonego hasła, około którego skupili się poeci i powieściopisarze, jak zmarli niedawno Włodzimierz Barwiński i Włodzimierz Nawrocki, oraz żyjący Jerzy Fedkowicz, Aleksander Konisski, Jan Lewicki, Izydor Worobkewicz i Jan Franko; daléj uczeni i publicyści, nieżyjący już dzisiaj Onyszkewicz, Zakliński i Żelechowski i pracujący dotychczas Aleksander i Emilian Ogonowscy, Stefan Kaczała, Aleksander Barwiński, Izydor Szaraniewicz, Bazyli Ilnicki, Partycki, Jachno i Horbaczewski.

Dla dopięcia swych celów, stronnictwo *młodych* zawiązało w roku 1868 stowarzyszenie „Proswita“, w r. 1873 „Towarystwo imeni Szewczenka“, w 1884 w Stanisławowie „Towarystwo ruśkich żeńszczyn“; pod ich wpływem studenci Rusini we Lwowie urządzili „Akademiczne bratswo“, w celach oświecania się i pracy literackiéj, nakoniec w celach pedagogicznych zawiązano „Ruśke Pedahohiczne Towarystwo.“ Partya *narodowa*, niezmordowaną pracą swoją, podtrzymywaną gorącym patryotyzmem, stworzyła w Galicyi literaturę rusko-ukraińską i szkołę narodową, pomimo braku środków materyalnych i pomimo przeszkód, jakie często spotyka w swéj czynności ze strony Polaków, szczególnie tych, którzy grzeszą szowinizmem i nie chcą, zdaje się, pojmować, jak dużo mają Polacy z Rusinami interesów wspólnych, wzajemnie się mogących wspierać. Podejrzliwość ze strony rządu w ostatnich czasach natchnęła prokuratoryę lwowską szczególnym zapałem do częstego konfiskowania dzienników partyi narodowéj. Nadto, nie uporządkowano dotąd sprawy języka wykładowego w szkołach, w skutek czego Rusini nie mogą wpełni używać prawa, jakie im konstytucya zapewnia, spory ustawiczne w radach szkolnych, o używanie tego lub owego języka przy

wykładzie, przenoszą się często na forum sejmowe, a spory te drażnią namiętności i mogą tylko działać na szkodę ludności krajowéj, budzą zaś w sercach Rusinów smutek głęboki.

XIII.

W czasach kiedy pp. Diedicki i Hołowacki w pismach swoich trzymali się jeszcze języka ludowego, na szpaltach „Słowa“, „Haliczanina“, a także w „Weczernyci“ ukazały się nazwiska Konisskiego i Fedkowicza, które dotąd nie schodzą z łamów pism partyi narodowéj.

Konisski urodził się w gub. Czerniehowskiéj (1), pierwsze poezye jego drukowało „Słowo“ w r. 1861, a pierwszą powieść „Haliczanin“ w r. 1862, potém pisywał do „Prawdy“, „Switu“, „Rusałki“ i „Zori“ podpisywał się pseudonimami *Werniwolia*, *Perebendia*, albo literami *O. Ja. K.* W całym ciągu swéj literackiéj działalności miał zawsze na celu służenie dobru ojczyzny i ludu rusińskiego, starając się o podźwiganie go ekonomiczne i moralne (2). Ideały, którym pozostał dotychczas wierny, dążąc do nich niezmiennie, wyrażał Konisski już w pierwszych utworach poetycznych. Oto urywki z nich:

Moje Bażannia.

Ne obskurant ja, szczo ne płaczu
Za tym czoho nema,
Szczo wże minuło i mina.
Ja Ukrainy dolu baczu
Ne w bunczukach, ne w buławi,
Ne w skarbach schowanych u skryni,
Ne w Zaporożskyj staryni;
Ne w tim szczob wybiwszyś na wolu,
Z Lachami znowu wojowat'
Ta krow Sławiańśku proliwat'
I trupom zasiwati połe....
I wolni wsich Sławian semii
Pobaczyt' choczetsia mini....

Oto urywek z wiersza „Syrotyna“:

Ne toj syrotyna
Chto chodyt' w desiatci, (3)
U koho swytyna

---

(1) Kalendarz „Proswity“ na rok 1885.

(2) Dnia 22 stycznia roku bieżącego Rusini galicyjscy uroczyście obchodzili we Lwowie 25-letni jubileusz pracy literackiéj Konisskiego.

(3) Desiatka — bardzo grube płótno.

Wsia łatka na łatci;
Aby buła w joho
Hołowa ta ruki,
Lubow do narodu,
Woli i nauki,
Win ne syrotyna,
Win rodycziw maje,
Win kraju dytyna
I kraj joho znaje...
. . . .
Chto z wsim kowerzuje,
Zneważa Rodynu,
Swoho ne szanuje,
A służyt' czużyni,
Chto w kraszcze ne wirit',
Duszeju ne rwetsia,
Te szczo bude zmiryt',
Żywe jak żywetsia,
Chto prawdy boitsia,
Chto pańska dytyna,
O toj to bezridnyj,
O toj syrotyna.

Z utworów Konisskiego prozą, musimy wskazać romans-kronikę „Semen Żuk i joho rodyczi“, w któréj autor w obrazach z życia wskazuje na spółczesne potrzeby ludu rusińskiego i zaznacza drogi, na których inteligencya może pracować około ich zaspokojenia. W powieści „Porwani struny“ przedstawione cierpienia człowieka, nie mogącego pracować wedle swych życzeń a zarazem nieszczęśliwego w małżeństwie. W szeregu krótkich opowiadań „Moi dawni znajomi“ przedstawia autor wyradzanie się ludzi pod wpływem spółczesnéj choroby pragnienia bogactw bez pracy; w satyrach „I mi lude“ dotyka się saméj choroby a zarazem zjawiska, zwanego dziś po rosyjsku „sierdcewiedienjem.“

Z prac krytycznych Konisskiego drukowano w „Rusałce“ rozbiory utworów dramatycznych Kotlarewskiego, Hohola i Cyssa; w „Prawdzie“ rozbiór pism małoruskich Kostomarowa, powieści Lewickiego „Chmary,“ książki Barwińskiego „Pro weksel i łychwu,“ i „Pro kary do jakich prysużujut mirowi sudii“—porównanie ustaw o karach wymierzanych przez sędziów pokoju w Rosyi i Austryi: w dzienniku „Świt“ krytyczno-biograficzne szkice o Kotlarewskim, Artemowskim, Hrebence i Bodianskim.

W roku bieżącym w „Zori“ drukowano powieść Konisskiego „Czy złoczyneć czy nedużyj“, poruszającą ważną kwestyą poczytalności w przestępstwach kryminalnych. Włościanin Szełest doszedł do ubóstwa wskutek rozlicznych nieszczęść, które go zrujnowały, nie

ma czém zapłacić podatków, wójt grozi mu rózgami i nie daje paszportu na podróż celem szukania zarobku, póki nie wypłaci zaległości. Szełest decyduje się kraść, okrada młyn, sprzedaje rzeczy skradzione a wracając do domu trafia na scenę wieszania trzech przestępców; robi to na nim tak silne wrażenie, że wróciwszy do domu wiesza swego małego syna; oddano go pod sąd, lekarze psychiatrzy oświadczyli, że działał on w paroksyzmie cierpienia psychicznego, ale przysięgli uznają Szełesta za winnego dzieciobójstwa rozmyślnego, sąd skazuje go do ciężkich robót (katorgi). Powieść tę autor przypisał profesorowi prawa Aleksandrowi Ogonowskiemu, miał więc na celu tę myśl, że kwestye naukowe powinni rozwiązywać ludzie uczeni.

XIV.

We Lwowie w r. 1862 Bohdan Didyćki wydał nie wielką książeczkę „Poezii Osipa Fedkowicza,“ witając w przedmowie autora jako wiele obiecującego poetę ludowego. Poezye Fedkowicza zarówno w Galicyi jak na Ukrainie przyjęto ze współczuciem; oprócz treści, czytelników pociągał niezmiernie język piękny, żywcem z ust ludu wzięty (narzecze huculów bukowińskich), pełen świeżego kolorytu. Po arcy-nudnych utworach Antoniego Mohilnickiego i bigosie językowym Didyckiego, pieśni Fedkowicza robiły na Rusinach najmilsze wrażenie.

Fedkowicz, jak Szewczenko, pochodził z ludu, ale z ludu już nie poddanego, wyrósł jednak wśród biédy. Urodził się w r. 1834 na Bukowinie, we wsi Storonce, wśród Huculów, uczono go nie wiele, potém służył w wojsku, chociaż w lepszych niż Szewczenko warunkach. W r. 1852 wzięty do wojska, służbę odbywał w rozmaitych krajach Austryi a w r. 1859 wrócił do Czerniowiec z rangą porucznika. Tutaj poznał on poetę niemieckiego Neubayera, któremu pokazywał pierwsze swe poezye liryczne, pisane po niemiecku. W jego domu Fedkowicz poznał rusina Kobylańskiego; za radą i pod wpływem jego zdecydował się wydrukować swoje poezye ukraińskie, wydane wtedy przez Didyckiego.

Po uwolnieniu ze służby, Fedkowicz osiadł w okolicach rodzinnych, pełnił tam obowiązki wójta z wyboru gminy a potém był inspektorem szkół. W r. 1872 pracował przy stowarzyszeniu „Proświta“ pisząc i redagując książki ludowe, w r. 1874 osiadł w Czerniowcach i daléj zajmował się literaturą; od 1 stycznia r. b. pod redakcyą jego wychodzi w Czerniowcach pismo dwutygodniowe „Bukowina,“ broniące praw i interesów Rusinów bukowińskich. Z zasad i prze-

konań Fedkowicz jest demokratą-narodowcem, sprzyja równoprawnéj federacyi słowiańskiéj, ale nie jest zwolennikiem czyjejkolwiekbądź hegemonii; dlatego też napaści panslawistów na Fedkowicza i usiłowania ich zjednać go dla swego obozu pozostały bez skutku.

Z poezyi Fedkowicza najlepsze są wydane w r. 1862; potém wydał jeszcze dwie księgi, ale już słabsze, starał się bowiem naśladować w nich Szewczenkę, i dlatego nie ma tam oryginalności. Najpiękniejsze utwory: „Preczysta Diwo, radujsia Marije“ i „Towaryszczi“; w tym ostatnim opłakuje on pamiętną rzeź austryaków pod Madżentą, któréj był świadkiem. Oprócz poezyi, Fedkowicz pisał komedye, dramata i powieści, drukowane w dziennikach „Weczernyci,“ „Nywa“ i „Prawda,“ w almanachu z r. 1877 „Ruśka Chata,“ a ostatnia powieść jego „Dnistrowi Kruczi“ drukuje się w „Bukowinie.“ Napisał około dwudziestu powieści, które są najlepszemi jego utworami, a treścią ich jest życie ludu huculskiego. Żywym pędzlem psychologa i poety zarazem maluje tu autor dziwnie urocze obrazy, podobne do tych, które spisała Markiewiczowa, Auerbach albo Turgieniew; niektóre powieści w r. 1876 wydano w Kijowie, pomiędzy nimi najlepsze: „Safat Zinicz“ i „Opriszok.“

Jednocześnie z Fedkowiczem wystąpiło w pismach ludowych dwóch pisarzy bukowińskich, bracia Worobkiewicze, obaj księża. Grzegorz, pod pseudonimem Nauma Szrama pisywał piękne wiersze patryotyczne, chociaż z trochę zastarzałym kierunkiem; zmarł w r. 1884. Izydor Worobkiewicz (Daniło Młaka) znany na Bukowinie jako poeta i dramaturg, a w Galicyi jeszcze więcéj popularny jako kompozytor.

XV.

Dziesięciolecie 1864—1874 zaznacza się w granicach Rosyi znowu przerwą w piśmiennictwie ukraińskiem, przerwą i zaciszem głębszém jeszcze aniżeli uprzednie (1846—1856). W r. 1864 wydano jeszcze dwie książki, z których jedna czysto etnograficznéj treści— zbiór przysłów, a potém w ciągu lat pięciu nie zjawia się ani jedna książka napisana oryginalnie po ukraińsku. Wiadomo, że jeśli ziemia długo leży odłogiem bez uprawy, to pomimo najlepszego gatunku gruntu, pokrywa się ona bujnym cbwastem; wiadomo też, że gdy panowie z domu wyjadą, służba nieraz w ich pokojach sprawia sobie huczne ale brudne orgie. Tak się zdarzyło z literaturą ukraińską, gospodarze odjechali, wystąpiła tedy czeladź z piekarni i poczęła się hulatyka. Bublij Rucinski, Semeniuk, Ternowski, Szybitko, Podusz-

ka i inni zasypali pole literackie wierszydłami, przynosząc w nich to co ukraińcy nazywają „śmitije.“ Dopiero w r. 1871 ukazały się dwie cieniuchne książeczki wierszów: Sokołowskiéj „Zirka“ i Czubińskiego „Sopiłka“, wierszów słabych wprawdzie, ale przynajmniéj z treści i formy podobnych do mowy ludzkiéj.

W r. 1874 a właściwiéj 1875 rozpoczyna znowu niby świtać, pojawia się cóś podobnego do ruchu, a chociaż główném zajęciem jest wydawanie książek naukowych elementarnych dla ludu, ale i w literaturze pięknéj ukazują się dwaj nowi pisarze, Michał Starycki i Jan Lewicki, którzy obydwa drukowali swe prace znacznie wcześniéj, bo już w 1867 w Galicyi.

Starycki, rodem z gub. Półtawskiéj, rozpoczął zawód literacki od poezyi oryginalnéj i od tłómaczeń, wydanych w r. 1881 w dwóch tomach w Kijowie, tłómaczył bajki Andersena, serbskie dumy narodowe, Szekspirowskiego Hamleta, napisał wodewil „Jak kowbasa ta czarka, to minetsia i swarka“ i dramat „Ne sudyłosia“, drukowany w almanachu z r. 1882 „Rada“. Tłómaczenia Staryckiego zdają się być lepsze od poezyi oryginalnych, szczególnie dobre jest tłómaczenie pieśni serbskich, znacznie słabsze tłómaczenia z Mickiewicza, Kondratowicza a szczególniéj z Niekrasowa. W poezyach jego widnieje talent niepospolity, ale używa samowolnie jakiegoś języka tak oryginalnego, że to przeszkadza dobremu rozumieniu rzeczy, a zatém i nie może być popularném, krytycy ukraińscy, nawet tak pobłażliwi jak Kostomarów, ostro go za to potępiają.

Jan Lewicki rodził się w gub. Kijowskiéj we wsi Steblowie r. 1837, syn księdza, kształcił się w akademii kijowskiéj i jest nauczycielem gimnazyalnym w Kiszyniowie. W Rosyi dopiero w r. 1874 poznano pisma beletrystyczne Lewickiego, chociaż drukowano je już pierwéj w Galicyi; w tym roku wydano w Kijowie powieść jego „Rybałka Panas Krut'“, jednakże imię „Neczuj“ znane było na Ukrainie kiedy powieści jego wychodziły we Lwowie. Pierwsze z nich „Zaporożci“ „Dwi Moskowki,“ „Pryczepa“ i „Chmary“ zwróciły na siebie uwagę w Rosyi i zagranicą. Autor podejmuje tu kwestye stosunków społecznych, wskazuje na opłakane skutki odosobnienia między inteligencyą a ludem prostym, na gorzkie owoce, jakie wydają zarówno bezmyślny obskurantyzm jak i liberalizm czerwony, na demoralizacyą, która pojawia się wślad za każdym wynarodowianiem. „Pryczepę“ przetłómaczono w Poznaniu na język polski pod tytułem „Przybłęda.“ W „Prawdzie“ lwowskiéj w r. 1877 drukowano powieść Lewickiego „Dżerja,“ w almanachu „Luna“ powieść „Pryjateli“ i w osobném wydaniu w 1881 „Burłaczka.“

Nie możemy tu naturalnie przytaczać treści około dwudziestu powieści, cieszących się powodzeniem wśród publiczności, z których naszém zdaniem najlepsze są: „Zaporożci,“ „Dwi Moskowki“ i „Burłaczka.“ Dotyka Lewicki w swych powieściach klas oświeconych i nawpół oświeconych, ale główny interes ogniskuje się zawsze wśród życia ludu prostego, ubogiego, ciemnego, bez nadziei poprawy losu. W „Zaporożcach“ rozwija autor swe poglądy na przeszłość historyczną Ukrainy, w „Pryczepie“ na stosunki plemienne z Polakami, w „Chmarach“ na stosunki z Wielkorosyą. Literaturę dramatyczną wzbogacił Lewicki dramatem „Marusia Bohusławka“ i komedyą „Na Kożumiakach.“ Pracował też dużo nad popularyzowaniem wiadomości historycznych, napisał w tym celu: „Hetman B. Chmielnicki“ (1878), „Istorja Rusi,“ „Petro Mohiła,“ „Unija“ i kilka innych; z prac jego naukowych najważniejsze i najciekawsze, drukowane w „Prawdzie“ w latach 1876 i 77, studya nad mitologią ukraińską pod tytułem „Switohljad Ukrainskoho narodu.“

Z mniejszym zapewne talentem, ale zawsze niepoślednio zasłużony w literaturze ukraińskiéj jest pisarz, ukrywający się pod pseudonimem „Myrnyj“; powieści jego w r. 1872 drukowano w „Prawdzie,“ a w r. 1880 wydał nie wiadomo dla czego w Genewie, zupełnie zdaje się cenzuralny romans „Chiba woły rewut' koli jaslja powni“, pisany razem z „Bielikiem“ (także pseudonim), mogący być ozdobą każdéj literatury. W almanachach kijowskich z lat 1882 i 1884 „Rada“ wyszły dwie pierwsze części powieści jego „Powija.“

XVI.

Jakeśmy już wspomnieli, „rozświt“ ruchu literackiego ukraińskiego zaczął się objawiać w r. 1875, trwało to jednak niedługo; w r. 1876 nastały nowe rozporządzenia, dozwalające drukować wyłącznie utwory tylko oryginalne literatury pięknéj i to za osobném każdorazowo upoważnieniem głównego zarządu prasy, a pod warunkiem żeby używano w nich pisowni takiéj saméj jak w ogólności w literaturze rosyjskiéj. W latach 1881 i 82 daje się znowu dostrzegać jakieś ożywienie w piśmiennictwie, w Kijowie wychodzą almanachy „Łuna“ i „Rada“ i w ciągu tych dwóch lat wydano do pięćdziesięciu książek po małorusku; ale od połowy r. 1883 nie wyszła już ani jedna praca oryginalna ani tłómaczenie zasługujące na uwagę. Pisano w gazetach, że prace tego lub owego z lepszych pisarzy przedstawione zostały do cenzury, ale w druku dotąd ich nie widzimy. Prace zaś takiego rodzaju jak „Kazki“-Chutorniczki, „Poezye“ Żarka i inne lichoty

Borakowskich, Brutów, Kononeńków, Carynnych itd. dowodzą, że autorowie ich zupełnie są pozbawieni nie tylko artystycznego zmysłu, ale i pojęcia co to jest literatura piękna, i lepiejby na tém wyszło piśmiennictwo ukraińskie, gdyby się nie zanieczyszczało podobnym chwastem. Nie wartoby o nich wspominać, gdyby nie przychodziło na myśl pytanie, gdzie się dziewać mogą podobne książki; jeżeli je myszy zjadają, to mniejsza o to albo raczéj Bogu dzięki, ale jeżeli ludzie kupują i czytają, to wielka szkoda. Literatura tego rodzaju szczepi w społeczeństwie demoralizacyą i jest do życzenia, aby takie utwory „hajdamackie" (pożyczamy tego wyrażenia od biegłego w téj materyi pana Kulisza) były ostro przez społeczeństwo potępione i odrzucane jako nic warte.

XVII.

Na tém ciemném tle literatury małoruskiéj jasno odbijają poezye Jakóba Szczegolewa wydane w r. 1883 w Charkowie, w osobnéj książce pod tytułem „Worskło." Autor to już nie młody, urodził się w Achtyrce gub. charkowskiéj w 1824, pierwsze poezye jego drukowano w różnych wydawnictwach w piątym dziesiątku lat naszego wieku; około roku 1847 zamilkł na lat dwadzieścia, w r. 1860 w almanachu Kulisza „Chata" znowu znalazł się wiersz jego, odtąd milczał do r. 1881 kiedy wziął udział w wydaniu „Łuny."

Trzy te peryody twórczości poetyckiéj wyraźnie odbijają się w „Worskło." W latach młodości fantazya lekka i żywa językiem pełnym prostoty maluje obrazy zachwycające świeżością kolorytu; w latach dojrzałych pełna myśli poważnéj, oddana z mniejszą barwnością; na starość myśl prozaiczna, owiana chłodem podeszłego wieku. Podczas kiedy myśl dojrzewała, nim się rozwinęła i stanęła na równi z wymaganiami spółczesnemi, fantazya poety słabła, ogień przygasał. Zresztą pomiędzy ostatniemi wierszami Szczegolewa jest jeden bardzo piękny, zatytułowany „Wercadło", kreślący obrazy pierwszego zasiedlenia Ukrainy Słobodzkiéj, potém doprowadzenia ludu wiejskiego do poddaństwa, oswobodzenia go w roku 1861 i nakoniec niewoli ekonomicznéj, towarzyszącéj z konieczności téj ciemnocie niesłychanéj, w jakiéj pogrążona jest ludność małoruska. Poeta po oswobodzeniu włościan tak się odzywa:

„I żdaw ja w toj welykij czas,
Szczob sonce z neba zaśmijałoś;
Tak promiń hasnuw i pohas
I sonce w chmaru zachowałoś...
I zwykszi retjazi taskat',
Ne mawszi rozumu, ni syły,

Szczob szczastija w praci odszukąt',
Pobriw narod, jak oczmaniłyj,
  Pobriw od szinku do szinka,
Upała tam joho rachuba
A triczi proklata ruka
Żidjuhi, nimcja, salohuba,
  Prostiahszi z mołodu pustu,
Teper hriszmi nabitu zmenju
Hrabasta zemlju zołotu
W swoju bezdonjuju kiszeniu"...

XVIII.

W Galicyi ruch literacki nie ustawał i rozwija się dotąd, chociaż wyznać należy, że w ciągu ostatnich dwóch lat najlepszy z organów stronnictwa narodowego, „Diło", widocznie stał się słabszym; objaśnić to może jedynie śmierć przedwczesna Włodzimierza Barwińskiego, założyciela i redaktora „Diła." Zmarł on skończywszy zaledwie lat 30. Wykształcony gruntownie, po odbyciu studyów w uniwersytecie (fakultet prawny) nie ustawał w pracy; ciągle się zajmował pracą naukową. Jeszcze w 1868 wystąpił na polu literackiém w „Prawdzie," najprzód jako spółpracownik, a od r. 1876 do przekształcenia „Prawdy" na „Diło" jako redaktor. Rozum jasny i energia niepospolita obok wielkiego talentu, raczéj publistycznego niż literackiego, pozwoliły Barwińskiemu rozbudzić życie wśród Rusinów galicyjskich, wzywał ich on do czynności praktycznéj, do pracy nad kształceniem i rozwijaniem życia narodowego we wszystkich sferach i partyą narodową wprowadził na drogę arcy płodną walki realnéj o swe prawa i interesa. Z prac jego beletrystycznych godne uwagi dwie powieści „Skoszenyj ćwit" i „Beztalanne swatanije" których treść wzięta z życia Rusinów galicyjskich. Pomimo ich treści, powieściom tym ważne znaczenie nadaje strona ich zewnętrzna, leksykalna. Ani jeden z pisarzy rusińskich w Galicyi nie potrafił tak jak on używać języka.

Od śmierci Barwińskiego (styczeń 1883) żaden publicysta nie zajął jego miejsca, żaden nie umiał prowadzić daléj téj saméj polityki z równą jemu energią i szczerością. Zamiast dawniejszych artykułów „Diła" szczerych, energicznych i pisanych z talentem, spotykamy tam obecnie dość często wodniste gadulstwo, z którego niezawsze wyrozumiéć można, czego właściwie chce autor; czystość języka powoli się zatraca, a w niektórych kwestyach ważniejszych nawet „Diło" albo milczy albo zadawalnia się komunikowaniem nic nie znaczących wiadomości. Broniąc ze wszystkich sił duszy praw na-

rodowych Rusinów w obec Polaków, Barwiński nie szczędził swych ziomków renegatów, w artykułach politycznych nieraz wyraźnie i dobitnie ich potępiał, nazywając stronnictwo „twardych" nawskróś rewolucyjném i antynarodowém. Nie mniéj energicznie wystąpił przeciwko małéj garstce Rusinów nazywających się socyalistami, w téj polemice szczególnie godne uwagi artykuły przeciwko Drahomanowowi w „Prawdzie", jak: „Sliwce do opoznanija" i „Widpowid Drahomanowu."

Interesowała go nie tylko Galicya, pilnie śledził ruch literacki na Ukrainie i śmiało wskazywał tamecznéj inteligencyi drogi, na których mogłaby działać z korzyścią dla ludu, np. w czterech artykułach zatytułowanych „Zadaczi Ukrainskoj intelihencii."

We wszystkich swych prącach Barwiński stale trzymał się zasady „Ruś dla Rusi" i ciągle uczył swych ziomków, że jedyném ich zbawieniem jest pełna świadomość sił własnych, że po za swoim narodem nie znajdą przyjaciół, i nawoływał ich do pracy w tym kierunku. Oświata i rozwój ludu w duchu narodowym, siłami własnemi bez pomocy cudzéj, poprawa stanu ekonomicznego, kultura w ogólności i wzmocnienie uczuć patryotycznych, oto są idee, które propagował całe życie, nad któremi bezinteresownie pracował, z któremi żył i umarł. Imię jego bardzo jest popularne w Galicyi, bo Rusini umieli ocenić pracę jego i dążności; daj Boże, żeby nie zeszli ze wskazanéj sobie drogi i żeby wpośród nich znalazł się nowy Barwiński, kontynuator prac zmarłego.

XIX.

Pomiędzy spółczesnemi powieściopisarzami rusińskimi w Galicyi wybitnie się odznacza Jan Franko, człowiek młody jeszcze i z wielkim talentem. Pisać zaczął on bardzo wcześnie, około r. 1875 i z początku niedobrze sobie poradził, biorąc się do tłómaczeń z rosyjskiego. Dla pisarza początkującego bardzo niebezpieczném jest tłómaczyć z języka blisko pokrewnego, bo bezwiednie przyswaja sobie formy obce, i zamiast wzbogacenia języka rodzinnego wprowadza doń obroty niewłaściwe, wyrazy i wyrażenia mówiące co innego, niż to co miał na myśli, a odzwyczaić się od tego potém nader trudno. Dla tego styl Franka w pracach jego naukowych upstrzony jest zwrotami i wyrazami nie swojskiemi językowi małoruskiemu jak go lud używa na Ukrainie i niezgodnemi z fonetyką mowy zwyczajnéj. W powieściach język daleko lepszy i zbliża się do stylu pisarzy wzorowych. Oprócz tłómaczeń z rosyjskiego i niemieckiego (Faust Goethego), Franko pisuje artykuły historyczne, krytyczne, antropo-

logiczne, pisze o naukach przyrodniczych, o ekonomii politycznéj i etnografii, pisuje wiersze, powieści historyczne i obyczajowe. Rozmaitość ta prac i zajęć zdaje się nie wychodzi na pożytek dla młodego pisarza; rozrzucając się na wszystkie strony, nie może się skupić na jednym przedmiocie, śpieszy, pisze zbyt szybko, niedość obmyśla przedmiot i niedość opracowywa formę zewnętrzną. Pośpiech ten i brak opracowania daje się czuć we wszystkich pracach Franka. Nam się zdaje, że mu szkodzi jeszcze upodobanie w cytowaniu pisarzy rosyjskich i w używaniu częstém ale mniéj właściwém wyrażeń Szczedrina, którego znakomite satyry trudno są zrozumiałe po za granicami cesarstwa rosyjskiego, dla ludzi nie obeznanych z życiem i obyczajami Rosyi. Cóż, doprawdy, zrozumie Rusin albo Polak w „Istorii odnawo goroda,“ jeżeli mu nie dadzą szczegółowego komentarza z historyi i obyczajów tego miasta.

Za najlepsze z utworów Franka uważamy powieść historyczną: „Zachar Berkut“ i obyczajową „Boa constrictor“ a także studyum „Na dni.“ W „Boa constrictor“ daje on żywy obraz stanu robotników przy źródłach nafty w Borysławiu i eksploatacyę ich przez żydów. Jeżeliby rada nasza miała szanse być wysłuchaną, radzilibyśmy młodemu autorowi pisać tylko powieści, nie rozpraszać swego talentu na wsze strony, a szczególnie unikać drobnych artykułów krytycznych, których kierunek robi na czytelniku wrażenie nie miłe. Komu są znane prace krytyczne „Ukraincia,“ ten łatwo dostrzeże, że Franko stara się przyswoić sobie jego manierę; ale niemiłe w artykułach „Ukraincia“ usposobienie przeczące, mała znajomość faktów i życia i dziwna jakaś złośliwość osłonione są śmiałemi frazesami i lekkim humorem; tych dwóch przymiotów Franko nie posiada, dlatego artykuły Franka drażnią tylko nerwy czytelnika młodszego a zrażają starszego, a więc—nie są użyteczne. Twory zaś mistrzowskie jak „Na dni“ albo „Boa constrictor“ pozostawiają na czytelniku wrażenie silne i ślady niezatarte, budzą w nim myśl, duszę poruszają, a do tego, jak sądzimy, powinien dążyć każdy pisarz poważny.

XX.

Literatura dramatyczna małoruska poczyna się od Kotlarewskiego, od operetki jego „Natałka-Połtawka“ i wodewilu „Moskal Czariwnyk“. W r. 1862 wydrukowano w „Osnowie“ komedyą Afanasija Hohola „Prostak“, pisaną niewątpliwie jednocześnie z utworami Kotlarewskiego, treść sama „Prostaka“ i „M. Czariwnyka“ bardzo podobna, a który z tych pisarzy wystąpił pierwszy na polu dramatu—pytanie to dotychczas nie roztrzygnięte i do rozwiązania go

nie mamy dostatecznych faktów (1). O utworach dramatycznych Kwitki i Kostomarowa jużeśmy wspominali, to zaś co drukowali przed r. 1850 inni autorowie, jak Karpenko, Dmitrenko, Szerepera, Topola, nie zasługuje na uwagę; dopiero w „Osnowie“ zjawia się operetka „Czornomorśkyj Pobit,“ napisana przez Czarnomorca Kucharenkę, serdecznego przyjaciela Szewczenki jeszcze w r. 1836, a drukowana dopiero w 1861, w przeddzień niemal śmierci autora, który we wrześniu r. 1862 wzięty do niewoli przez Czerkiesów, umarł tam prędko z ran ciężkich. Operetka ta—to prześliczny obrazek pełen artyzmu a zarazem etnograficznéj ścisłości; na scenę przerobił ją Starycki, a dzięki prawdzie obrazu i ładnéj muzyce, ułożonéj przez Łysenkę, pod tytułem „Czornomorci“ cieszy się ona wielkim powodzeniem zarówno na Ukrainie jak i w Galicyi.

W czasach, kiedy literatura ukraińska ulegała tylko ogólnym prawom o cenzurze, dramatyczny jéj dział wzbogacił się wielu cennemi utworami; wyliczać ich wszystkich niepodobna, ale wspomnieć musimy takie jak: „Dolja“ dramat Stecenki, „Nazar Stodolja“ dramat Szewczenki, „Narkisza“ dramat Storożenki. Kiedy w r. 1881 złagodzono przepisy dla sceny małoruskiéj, artysta Krapiwnicki najprzód sam a potém w towarzystwie ze Staryckim zorganizował trupę ukraińską. Przedstawienia ich, wskutek doskonałéj gry aktorów, miały powodzenie ogromne w Kijowie, Charkowie, Odessie, Żytomierzu i w innych miastach; ani przed nimi ani po nich żadna trupa operowa czy dramatyczna nie była tak chętnie słuchaną. Jednakże zaraz dało się czuć wielkie ubóstwo repertuaru, jedne bowiem sztuki były już za stare, inne nie odpowiadały warunkom cenzury. Zaradzono temu wydając w r. 1882 zbiór utworów scenicznych Krapiwnickiego, a w r. 1883 w almanachu „Rada“ wydrukowano Staryckiego „Ne sudyłosia“; w r. 1884 Starycki przerobił dla sceny komedyą Lewickiego „Na Kożumiakach“ dając, jéj tytuł „Za dwoma zajciami“, w tymże roku wydano we Lwowie w osobnych książkach dwie komedye „Na dobrodijni cili“—Ceglińskiego i „Porwała sia nitka“ Konisskiego.

Tymczasem w r. 1884 znowu zaszły zmiany: trupie Staryckiego-Kropiwnickiego wzbroniono dawać przedstawień w guberniach generał-gubernatorstwa kijowskiego, a dramat „Nesudołosia“ i komedya „Porwałasia nitka“ były przez cenzurę na scenę niedopuszczone.

---

(1) „Ruskaja Scena“ r. 1865: artykuł „Rusko-Ukrainskaja dramaticzeskaja literatura.“

W Galicyi stały teatr rusiński urządzono w r. 1864, lat kilka dostawał on od sejmu bardzo poważne subsidium (4 do 5 tysięcy fl. austr.), ale repertuar sceny tamecznéj wcale nie bogaty, wybór sztuk zależy naturalnie od upodobań przedsiębiercy. Nie wiemy dla czego na scenie galicyjskiéj nie grają najlepszych utworów pisarzy małoruskich, za wyjątkiem „Natałki-Połtawki," „Czernomorców" i „Swatanija," chociaż tę ostatnią sztukę należałoby już usunąć ze sceny. Grają tam zwykle sztuki oryginalne autorów miejscowych Worobkiewicza, Huszalewicza, Ceglińskiego i Fedkowicza, albo tłómaczenia, ale w wyborze tych sztuk widnieje upodobanie do melodramatu francuskiego. Cegliński w komedyach „Na dobrodijni cili" i „Tato na zaruczinach" próbował sił swoich na polu realizmu, ale nam się zdaje, że próba nie zupełnie się powiodła. Gazety rusińskie bardzo chwalą sztuki Ceglińskiego, my jednak musimy pozostać przy swojém zdaniu. O gustach trudno sądzić, co jednym zdaje się być realnym obrazem życia, w tém drugi może nie znajdować zgoła prawdy i rzeczywistości.

Kropiwnicki, o którym wspominaliśmy, rodził się w gub. Charkowskiéj; w zbiorze jego utworów wydrukowano: „Newołnik" dramat w 5 aktach, „Daj serciu woliu zawede w newoliu" dramat w 5 aktach, „Hłytaj abo Pawuk" dramat w 5 aktach i wodewil „Pomiryłysia;" wszystkie te sztuki nie mają zalet szczególnych i nie wytrzymałyby surowszéj krytyki, a wodewil mógł śmiało pozostać w tece autora. „Niewolnik" to przeróbka poematu Szewczenki pod tymże tytułem, ale przeróbka nieudatna. „Daj serciu woliu"... to nie dramat lecz szereg obrazków etnograficznych, zszytych niewprawną ręką. Ze wszech względów najlepszy jeszcze „Hłytaj", chociaż i tu nie znajdziemy głębszéj analizy duchowéj; autor podjął tu kwestyę spółczesną, wyzyskiwania ludu wiejskiego przez lichwiarzy, wyszłych z jego własnego łona. Chciwy i zepsuty lichwiarz wiejski *Byczok* oplątał w swe sieci całą wioskę i ssie, gdzie co można. Młodą i piękną wieśniaczkę *Olenę* intrygami swemi przekonywa, że mąż jéj, który wyszedł ze wsi za zarobkiem, zdradza ją i już nie powróci; obrażona i opuszczona żona szuka pociechy w wódce i oddaje się Byczkowi, czego ten właśnie pożądał. Olenę świadomość swego upadku doprowadza do szaleństwa, Andrzéj mąż jéj powraca, Olena poznaje go, dowiaduje się, że była oszukaną i umiera, a Andrzej zabija Byczka. W dramacie dużo jest fałszu psychicznego, mimo to jednak na scenie, przy grze dobréj, miewa on powodzenie.

Prawdziwie korzystnym nabytkiem dla literatury i dla sceny jest dramat Staryckiego „Ne sudyłosia." Dramat osnuty na miłości, która nie może doprowadzić do małżeństwa, gdyż kochankowie—

panicz wykształcony w uniwersytecie i prosta dziewczyna wiejska tylko co uwolniona z poddaństwa,—zbyt się różnią między sobą wykształceniem umysłowém i stanowiskiem społecznêm. Wyprowadzono tu na scenę i oddano typowo charaktery: obywatela-plantatora, i młodego ukrainofila, spieszącego służyć dobru ludu, na nic się nie oglądając. Z wielką bystrością dotyka autor bolących ran społeczeństwa ukraińskiego, przedziału niezmiernego między prostym ludem a inteligencyą, i nie wpada nigdzie w przesadę. Dramat ten wystawiony na scenie mógłby mieć znaczenie i wpływ prawdziwie wychowawczy.

Komedya w 4 aktach Konisskiego „Porwałasia nitka" dotyka spółczesnéj choroby dążenia do bogactwa bez oglądania się na środki. Młody lekarz *Dmytro Michno*, zaraz po skończeniu uniwersytetu, narobił długów, a chcąc jaknajprędzéj mieć pieniądze, zaręcza się z dziewczyną wiejską, niemłodą, brzydką i nieokrzesaną, bogatą i chciwą, istnym lichwiarzem w spódnicy. Dla pewności, że się małżeństwo nie rozerwie, Michno bierze od narzeczonéj weksel na 6.000 rub., ale spotyka potém wdówkę młodą, ładną i bogatą, oświadcza się jéj i jest przyjęty; nie zwraca jednak wekslu pierwszéj swéj narzeczonéj *Hryniwnie*, lecz stara się uzyskać zań pieniądze. Powodzi się Michnie, ale Hriniwna przy pomocy swatek i plotkarek psuje jego interesa: wdówka przekonana o jego oszustwie, wyrzeka się go; Michno nazajutrz wraca do Hryniwny i znowu ofiaruje jéj swą rękę, ta niby się zgadza, ale chcąc odebrać swój weksel, obiecuje mu wydać inny na większą sumę; a kiedy Michno kładzie na stół stary weksel, żeby niepiśmienna Hryniwna mogła z niego kopiować swój podpis, ona chwyta zręcznie i drze obadwa. Michno w rozpaczy, błaga Hryniwnę, żeby szła za niego, ale ona nie daje się zmiękczyć i odpędza niezręcznego chciwca. Nie wiemy, dla czego nie dopuszczono téj komedyi na scenę. Michno to produkt wzorów, na które patrząc, wychowuje się młodzież; produkt wpływu pedagogicznego profesorów, którzy obok wykładów zajmują się w radach zarządzających towarzystw akcyjnych.

XXI.

Mówiąc o literaturze dramatycznéj, nie możemy pominąć milczeniem widocznego rozbudzenia ruchu muzykalnego. Wiadomo powszechnie, że Ukraina to kraj muzyki a nadewszystko pieśni. Nigdzie wśród plemion słowiańskich nie ma takiego bogactwa pieśni jak na Ukrainie, pieśni czysto narodowych, historycznych lub stanowiących właściwość różnych obrzędów. Dumki i piosenki ukraińskie

to całe morze melodyi nieskończenie rozmaitych i niezmiernie bogatych; szerokie one i swobodne a zarazem ciche i poważne jak stepy Ukrainy, to znowu miękie, pieszczotliwe i przejrzyste jak czyste błękitne niebo nad stepami wiszące, lub rwące i unoszące z sobą jak porohy dnieprowe, albo znowu burzliwe i głębokie jak fale niespokojnego morza.

Pierwszém opracowaniem muzyki narodowéj było wydawanie pieśni ludowych w latach od 1855 do 60; zajmowali się tém Kocipiński, Jedliczka, Balina, Kamieniecki, Rubiec i inni. Wydania te, wcale dobre, były tylko zbiorem materyałów, który ułatwił pracę pieśniarzowi ukraińskiemu. „Kobzarzem“ muzyki ludowéj ukraińskiéj był Mikołaj Łysenko, który zajął w muzyce miejsce takie jak Szewczenko w poezyi.

Obaj czerpali natchnienie w bogatym zdroju pieśni ludowych, dla tego obaj są prawdziwie narodowi, wiersz Szewczenki i nuta Łysenki drgają życiem i pełne siły, wzruszają duszę ukraińca zarówno w chacie wieśniaczéj jak i we wspaniałym pałacu. Łysenko człowiek jeszcze nie stary (urodz. 1842), kompozytor w pełnym rozwoju siły i można spodziewać się, że jeszcze dużo zrobi dla muzyki ukraińskiéj.

Łysenko, rodem z gub. Półtawskiéj, po skończeniu uniwersytetu Kijowskiego, dwa lata przebył w konserwatoryum Lipskiém i tutaj w r. 1868 ułożył po raz pierwszy muzykę do słów Szewczenki „Zapowit“, którą późniéj przerobił nanowo. Dotychczas znamy 50 z górą niewielkich utworów Łysenki, a za najlepsze uważane są te, które ułożył do słów Szewczenki; ale prawdziwą zasługę położył i tytuł do sławy zjednał sobie kompozytor wydaniem trzech zbiorów pieśni ukraińskich. Znawcy chwalą téż jego opery: „Rizdwiana Nicz“ i „Utoplena,“ do których libreta układał Starycki z powieści Hohola.

W Galicyi znani są zaszczytnie jako kompozytorowie: Huszalewicz (opera „Pidhorjanie“) a także Izydor Worobkiewicz, Wachianin i Matiuk; nie mają oni jednak téj twórczéj siły, tego zlania się z nutą narodową, która króluje w dźwiękach utworów Łysenki.

XXII.

Wspominaliśmy już, że po r. 1856 pisarze maloruscy zajęli się czynnie wydawaniem książek popularnych dla ludu prostego. Do r. 1863 wydano najprzód elementarze czyli „hramatki“ dla nauczania początkowego w szkołach elementarnych: takie są hramatki Kulisza, Szewczenki, Konisskiego, Derkacza, Jaszczenki; w r. 1861 w Półta-

wie wydano „Ukraiński propysi“ ułożone przez Konisskiego, potém dwie Arytmetyki Moroza i Konisskiego, Historyą świętą Opatowicza, Fizykę popularną, śliczną książkę przyrodniczą „De szczo pro świt Bożyj“, która miała kilka wydań i była tłómaczoną na język rosyjski; wydano masę książeczek tanich (3 do 5 kop.) treści beletrystycznéj, przetłomaczone Ewangelie, których nie można było wydrukować. Jak potrzebne były tego rodzaju wydania można wnosić z tego, że Historyi swiętéj Opatowicza w ciągu pół roku sprzedano 6.000 egzemplarzy. Około r. 1872 i 3 zaczęła się na nowo przerwana na czas jakiś praca na tém polu, w ciągu lat trzech wydano książeczek elementarnych naukowych i beletrystycznych więcéj niż 100.000 egzemplarzy. Lepsze między niemi „Pro choleru,“ „Pro zemni syły,“ książka lekarska i parę treści prawnéj. Po nowéj przerwie od r. 1876, w latach 1881 i 1882 wydano „Persza czitanka“ Konisskiego, „Czitanka“ Chutornego—prześlicznie to ilustrowana książeczka dla dzieci, daleko piękniejsza od wszystkich wydawanych w Moskwie lub Petersburgu. Wtedy téż wydrukowano pracę Komarowa „Pro komach“ i kilka broszur Hamalii o narodach zamieszkałych w Rosyi. Odtąd już ruch na tém polu ustał zupełnie.

W Galicyi wydawnictwami tego rodzaju od lat 16-u zajmuje się stowarzyszenie „Proświta,“ zawiązane wśród partyi narodowców, na czele stowarzyszenia stoją zawsze i umiejętnie kierują jego pracami najlepsze siły inteligencyi miejscowéj, profesorowie uniwersytetu lwowskiego Emilian i Aleksander Ogonowscy, wielu profesorów gimnazyalnych a także urzędnicy i adwokaci. Obywatel Władysław Federowicz związał na zawsze swe imię z historyą Proświty i dziejami oświaty Rusinów w Galicyi, ofiarując na rzecz stowarzyszenia majątek ziemski ceniony 15 tys. złot. reńs.

W pierwszych latach prace stowarzyszenia szły nie najlepiéj, członków było mało a zatém i środki niewielkie. Spory stronnictw politycznych utrudniały jeszcze bardziéj powodzenie Proświty, bo partya „twardych“ i ustnie i w druku nie szczędziła nagany i nie zaniedbała rzucać podejrzeń na czynność stowarzyszenia zawiązanego przez narodowców; w krótce jednak publiczność zrozumiała cel stowarzyszenia i wykryła źródło potwarczych insynuacyi;—sprawy Proświty idą obecnie dobrze. Ze sprawozdania przeszłorocznego dowiadujemy się, że liczba członków doszła 2.525, że ma ono filie w Tarnowie, Stanisławowie i innych miejscowościach, majątek towarzystwa w kapitale i książkach oceniony na 37.285 złr. W ciągu lat 16 swego istnienia towarzystwo wydało lub nabyło od wydawców książek ludowych i szkolnych 350.000 egz. z górą, przeważnie treści historycznéj lub religijno-moralnéj, z tych książek już około 250.000 egz. rozeszło się wśród ludu.

„Ruśke pedagogiczne towarystwo,“ zawiązane w celu podobnym jak „Proswita,“ bardzo jeszcze niedawne, energicznie rozpoczęło czynność swą od wydawania książeczek ilustrowanych dla dzieci poczynających się uczyć.

XXIII.

W celu popierania literatury rusińskiéj w r. 1874 zawiązano „Towarystwo imeni Szewczenka,“ ale rozwija się ono niezmiernie powolnie, czego główny powód leży w tém zapewne, że opłata członków za wysoka: 100 fl.; nie można przecież spodziewać się, żeby wśród ludności rusińskiéj, tak na ogół ubogiéj, znalazło się wielu ludzi, którzyby mogli ofiarować podobną sumę i wypłacić ją chociażby ratami; jakoż liczba członków dochodzi zaledwo 50, trzeba więc zniżyć wysokość wpisowego. Dziwném też się wydaje, że towarzystwo istniejące lat 10 przeszło nie liczy ani jednego członka honorowego; możnaby z tego wnosić, że towarzystwo żadnego z żyjących autorów małoruskich nie uważa za godnego tego miana. Dla osiągnięcia swego celu, budzenia ruchu literackiego, towarzystwo zrobiło też nie wiele; posiadając własną drukarnię bardzo porządną, nie przedsięwzięło niczego dla zgrupowania koło siebie sił literackich, pociągnięcia ich ku sobie, nadania im pewnego kierunku. Od stycznia r. b. zaczęło ono wydawać gazetę naukowo-literacką „Zorja“ i przy niéj bibliotekę, o wydawnictwie tém obecnie jeszcze sądu żadnego wydać nie można. Mniemamy, że prostym obowiązkiem towarzystwo byłaby kontynuacya „Ruśkoj biblioteki,“ rozpoczętéj w r. 1877 przez prof. uniw. czerniowieckiego Ignacego Onyszkiewicza. Onyszkiewicz chciał wydać wszystkich znakomitszych autorów małoruskich, ale wydał tylko Kotlarewskiego, Hułaka-Artemowskiego, Hohola Afanasja i Kwitkę; śmierć wydawcy przerwała to tak pożyteczne wydawnictwo. Sprawa ta obchodzi cywilizacyą całéj Rusi i byłoby bardzo dobrze, żeby *towarzystwo* nią się zajęło; tymczasem ono się tego nie ima; a pracę tę podjęło stowarzyszenie studenckie „Akademiczne bractwo,“ złożone ze studentów wyłącznie, ludzi w ogóle ubogich, którzy nie będą mogli prowadzić wydawnictwa z należytym pośpiechem. W roku przeszłym *bractwo* wydało tom 3-i Biblioteki (pisma Szaszkiewicza, Hołowackiego i Wagilewicza) i rozpoczęło nową seryę Biblioteki, seryę pisarzy nowszych, wydaniem pierwszéj części dzieł zmarłego niedawno młodego uczonego Włodzimierza Nawrockiego. Powodzenie wydawnictwa zależy naturalnie od środków pieniężnych, których bractwo nie ma i mieć nie może; zdaje się, że sejm byłby powinien przyjść tu z pomocą i wyznaczyć od siebie,

subsydyum dostateczne do wydawania dwóch tomów Biblioteki co rocznie. Sejm nie może opuścić tego przedsięwzięcia i mamy nadzieję, że nas zrozumieją i za złe nam nie będzie wzięty nacisk, jaki kładziemy na to, że interesa Polaków i Rusinów powinny być jednako ważne w oczach sejmu.

Inne znowu stowarzyszenie zorganizowało się w końcu roku zeszłego w Stanisławowie, w podobnym celu, tj. rozwijania ruchu literackiego; składa się ono wyłącznie z kobiet rusinek i nazywa się „Towarystwo ruśkich żenszczin,“ liczy obecnie w swym składzie przeszło sto osób. Trudno przewidzieć, ile ono wywrze wpływu, ale spodziewamy się, że pójdzie po dobréj drodze i trzymać się będzie dzielnie. Na czele towarzystwa stoją osoby pełne energii panie Baczyńska, Żelechiwska i Kobryńska; ostatnia znana już jest w literaturze, niedawno napisała piękną nowellę „Za dla kusnika chliba.“

Istnieje jeszcze w Galicyi dawne towarzystwo literackie „Matycia“, ale o nim wiadomo tylko, że istnieje i jest okazem „twardéj“ skamieniałości.

XXIV.

Z powodu już braku miejsca nie możemy rozpisywać się o poważnych pracach naukowych pisarzy małoruskich, jak np. etnograficzne i historyczne badania na Ukrainie: Czubińskiego, Rudczenki, profesora Antonowicza, Żyteckiego i innych, lub w Galicyi profesorów Emiliana Ogonowskiego, Izydora Szaraniewicza, Petruszewicza, Partyckiego i innych. Ale musimy wspomnieć o pracy uczonéj Eugeniusza Żelechiwskiego „Małorusko-Niemiecki Słowar;“ autor zaczął go drukować w r. 1882, śmierć przedwczesna zabrała go z tego świata 18 lut. r. b., ale wiemy z pewnością, że Żelechiwski nagromadził wszelkie potrzebne do dokończenia słownika materyały i przed śmiercią oddał je przyjacielowi profes. gimnazyum Stanisławowskiego Sofronowi Nedilskiemu, który ciągnie daléj wydawnictwo, i prawdopodobnie w r. 1886 będzie ono skończone; obecnie wydrukowano już 40 arkuszy a litera P. była już na ukończeniu za życia Żelechiwskiego.

W Rosyi nie masz zupełnie trochę porządniejszego słownika rusko-ukraińskiego; w r. 1880 historyk Kostomarów złożył petersburskiéj akademii nauk kapitał 4 czy 5 tys. rubli na ustanowienie nagrody za ułożenie słownika ukraińskiego, ale nie słyszeliśmy aby dotąd ktokolwiek przedstawił akademii pracę w tym rodzaju.

W niniejszych krótkich zarysach staraliśmy się, o ile to można było, zaznajomić czytelników z ruchem literackim ukraińskim w wieku XIX, zarówno w cesarstwie Rosyjskiem jak i Austryackiém, wskazać zasługi głównych na tém polu pracowników i zaznaczyć idee, którym oni hołdowali. Z zarysów tych rozpoznać można dwa znamiona charakterystyczne téj literatury: przedstawiciele myśli ludu małoruskiego trzymają się stale zasad narodowo-demokratycznych, a w ciągu wieku całego nie zwracali się prawie nigdy na stronę reakcyi, trzymali się drogi postępu, narówni z myślą europejską, i nadewszystko dążą do oświaty i rozwinięcia swego ludu i jego kultury. Powtóre, pomimo warunków otoczenia zgoła nieprzyjaznych, literatura małoruska rozwija się daléj w raz przyjętym kierunku, co wszystko zdaniem naszém znamionuje jéj siłę i żywotność i obiecuje jéj przyszłość świetną wśród plemion słowiańskich.

Znajomość więc literatury małoruskiéj powinna być obowiązującą w całym świecie słowiańskim, szczególniéj wśród tych Słowian, którym los historyczny kazał żyć i pracować pod jednym z Rusinami dachem i dążyć do celu wspólnego i spokojnego rozwoju kultury i oświaty wszystkich Słowian, przy równouprawnieniu narodowościowém każdego plemienia, i poszanowaniu u każdego narodowych jego odrębności.

Uważamy też za obowiązek pism słowiańskich śledzenie za ruchem literackim małoruskim i zaznajamianie publiczności z wybitniejszemj dziełami autorów, podając o nich obszerniejsze sprawozdania lub rozbiory. Oby nasz krótki zarys ogólny posłużył za wstęp do dalszych na tém polu studyów i sprowadził za sobą szereg artykułów, któreby tłómaczyły czytelnikom polskim myśli i uczucia całéj ludności rusińskiéj.

PRZYCZYNEK DO KRYTYKI
STATYSTYKI WSPÓŁCZESNEJ.

Za punkt wyjścia dla niniejszego zarysu, a poniekąd i pobudkę do jego nakreślenia, posłużyła nam praca Giffena o polepszeniu bytu klasy robotniczéj w ostatniém pięćdziesięcioleciu: „*The Progress of the Working Classes in the last half century*", *being the inaugural address of R. Giffen, president of the Statistical Society. Session* 1883 — 1884.

Giffen należy do znanych angielskich statystyków. Jest on powagą, do któréj przy najrozmaitszych odsyłani być możemy okolicznościach, i na któréj wielu opiera swe wnioski z najzupełniejszém zaufaniem. W Anglii przedstawia on tego rodzaju znakomitość, jaką w Niemczech np. Engel, albo Young w Ameryce. Dla każdego więc, kto się zajmuje statystyką, prace jego posiadają wyjątkowy interes.

Nie posądzając bynajmniéj wszystkich czytelników o szczególne w statystyce zamiłowanie, przypuszczamy wszakże, iż do pewnego stopnia mniéj więcéj zawsze może ona budzić zajęcie. Zależy to od *tego* lub *innego* jéj zadania. Statystyka, mówiąc zwięźle, po pierwsze—notuje fakta, powtóre—grupuje takowe, po trzecie—wyprowadza z uporządkowanego materyału wnioski. To—wszystko; cała jéj robota. Otóż, jeśli niejednego nie pociągają zaznaczone pojedyńczo fakta, jeśli dla niejednego obojętnym jest statystyczny materyał, jego klasyfikacya, zestawianie różnych kategoryi; jeśli suche cyfry dla wielu mają w sobie coś męczącego, nieprzezwyciężonego, odpychającego, — to uogólnienia ponętnemi są zawsze, a ponętnemi témbardziéjj im rozleglejszéj są natury: szerszy obejmują zakres wypadków, lub też dłuższy okres czasu.

Praca Giffena nie tylko nie jest przeładowaną nadmiarem danych, ale prędzéj nawet grzeszy ich brakiem; z tego względu znużyć nikogo nie może. Wyniki zaś jéj, obejmujące znaczny okres czasu i stosujące się do poważnéj liczebnie—że tylko tyle powiemy—grupy ludności, wreszcie — co najgłówniejsza — dotyczące tak żywotnéj kwestyi, muszą chyba wywołać zajęcie.

Na Giffenie jednak nie koniec. W danym razie mieliśmy na względzie nie tyle zakomunikowanie jego rezultatów, ile podzielenie się z czytelnikiem uwagami ogólniejszéj natury, jakie nam nasunęła powyższa właśnie praca, uwagami dotyczącemi saméj metody współczesnéj statystyki, Już więc z konieczności rzeczy powtórzyć będziemy musieli przytoczone przez Giffena dane, zaznaczyć sporządzone przezeń ich uszeregowanie,— w ten tylko bowiem sposób damy każdemu najzupełniejszą możność sprawdzenia naszych kombinacyi, ocenienia naszych zarzutów. Następnie zanotować będziemy musieli nieco nowych danych, niekoniecznie zgadzających się z danymi naszego autora; ponieważ zaś z liczbą w tym wypadku tylko liczbą walczyć można skutecznie, przybędzie nam więc jeszcze cyfr nowych. W końcu, by wykazać mylność wniosków, do jakich doszedł Giffen w swoich obliczeniach, zmuszeni będziemy uciec się do nowych obliczeń, nowych obrachunków. Tak więc od cyfr zaczniemy i na nich skończymy. Ktokolwiekbądź poważnie zbadać zechce kwestyę, będzie musiał liczyć wraz z nami.

I.

Zadaniem Giffena w pracy, któréj tytuł przytoczyliśmy na początku, było porównanie bytu robotników przed pięćdziesięciu laty i obecnie.

Posługiwał się on w niéj materyałem po większéj części gotowym, zgromadzonym przez innych; sam go wszakże porządkował, z niego wyprowadzał te lub owe poglądy, na nim opierał swe wywody.

Najprostsza droga, jaką otrzymać można przybliżone o rzeczy pojęcie, jest porównanie zarobków z poprzedniego i obecnego okresu, w zestawieniu z odpowiedniemi cenami głównych artykułów spożycia.

Taką téż drogę obrał nasz autor.

Zaczyna on od omówienia, iż odpowiédź stanowcza w danéj kwestyi dziś nie jest jeszcze możliwą (1). Wiele składa się na to powodów, między innymi zaś już to samo, że robotnicy, noszący jedną nazwę w różnych okresach, rozmaite w saméj rzeczy pełnią czynności: to pociąga za sobą zmiany w zarobku, które później niesłusznie odnosimy do téj saméj zawsze profesyi. Wiele przytém rodzajów pracy znikło zupełnie, wiele nowych natomiast przybyło, co wszystko utrudnia niezmiernie dokładniejsze rozwiązanie zadania (2).

---

(1) Kładziemy na to nacisk, gdyż niejednemu zdawać by się mogło, że przeciwnie, statystyka angielska pod tym względem wypowiedziała ostateczne swe słowo.

(2) Należy zwrócić uwagę na rozwój maszyn i towarzyszącą mu specyalizacyę pracy, która do gruntu zmienia charakter roboty, ustanawiając nowy kompletnie stosunek między różnemi jéj rodzajami, usuwając jedne, wprowadzając nowe i t. d.

To też rezultaty, do jakich dochodzi autor, z konieczności przybliżonemi być muszą i za takie tylko należy je uważać. — Idźmy za nim.

Porter w dziele swém „*Progress of the Nation*“ daje nam następujący obraz zarobków *pięćdziesiąt* lat temu w różnorodnych gałęziach przemysłu i rozmaitych przemysłowych ogniskach:

TABLICA I.

Zajęcie	Miejsce	Zarobek tygodn. 50 lat temu	
		szylingi	pensy
Ciesielstwo.	Manchester	24 *)	0
„	Glasgow (1822)	14	0
Sztukatorstwo.	Manchester (1825)	24	0
„	Glasgow	15	0
Mularstwo	Manchester (1821)	24	0
„	Glasgow	14	0
Górnictwo	Staffordshire	21	8
Farbierstwo (przy tkack rob.)	Huddersfield	16	0
Czyszczenie wełny	„	17	0
Przędzenie	„	25	6
Tkactwo	„	12	0
Osnowanie (na warszt. tkac.), składanie .	„	17	0
Zwijanie na motowidła.	„	6	0
Tkactwo (mężczyzni)	Bradford	8	3
Zwijanie na motowidła	„	7	9
Przędzenie (dzieci)	„	4	5

Co do zarobków *obecnych* w powyższych gałęziach przemysłu i tych samych przemysłowych punktach „*Miscellaneous Statistics of the United Kingdom*“ podaje następujące cyfry:

TABLICA II.

Zajęcie	Miejsce	Zarob. tygodniowy obecny	
		szylingi	pensy
Ciesielstwo	Manchester	34	0
„	Glasgow	26	0
Sztukatorstwo	Manchester	36	0
„	Glasgow	27	6
Mularstwo	Manchester	29	10
„	Glasgow	23	8
Górnictwo	Staffordshire	34	0
Farbierstwo tkanin	Huddersfield	25	0
Czyszczenie wełny	„	22	0
Przędzenie	„	30	0
Tkactwo	„	26	0
Osnowanie, składanie	„	27	0
Zwijanie na motowidła.	„	11	0
Tkactwo (mężczyzni)	Bradford	20	6
Zwijanie na motowidła.	„	15	6
Przędzenie (dzieci)	„	11	6

*) 1 shilling = 12 pensom; 1 shilling = 1 fr. 25 = 30 kop. w złocie; 1 penny = 10 centim. = 2,5 kop. w złocie.

Porównywając obiedwie tablice, znajdujemy *wzrost absolutny* zarobku w każdym fachu, skąd łatwo obliczyć możemy *przyrost odsetny.* — Giffen układa nam taką mianowicie tablicę:

TABLICA III.

Zajęcie	Miejsce	Przyrost zarobku podczas 50-cioletn. peryodu		
		Absolutny		Odsetny
		szyl.	pensy	
Ciesielstwo	Manchester	10	0	42
„	Glasgow (60-let. per.)	12	0	85
Sztukatorstwo	Manchester (57-let.)	12	0	50
„	Glasgow	12	6	80*
Mularstwo	Manchester (61-let.)	5	10	24
„	Glasgow	9	8	69
Górnictwo	Staffordshire	12	4	50*
Farbierstwo tkanin	Huddersfield	9	0	55
Czyszczenie wełny	„	5	0	30
Przędzenie	„	4	6	20*
Tkactwo	„	14	0	115
Osnowanie i składanie	„	10	0	58
Zwijanie na motowidła	„	5	0	83
Tkactwo (mężczyzni).	Bradford	12	3	150*
Zwijanie na motowidła	„	7	9	100
Przędzenie (dzieci).	„	7	1	160

* *Uwaga.* Liczby oznaczone gwiazdką różnią się od dokładnych cyfr bardziéj niż inne: w miejsce 80 powinno być 83,33, w miejsce 50 — 56,97, w miejsce 20 — 17,64, w miejsce 150—148,48. Różnice te wobec już to ujemnéj, już dodatniéj ich wartości znoszą się wzajemnie w ogólnym przeciętnym wyniku, ale zwracają na się uwagę w pojedyńczych rezultatach; dla tego téż je notujemy.

Tablica ta rzuca nam sporo światła na interesującą nas kwestyę. Mamy tu i pracę dzieci i pracę dorosłych, pracę męzką i kobiecą (np. czyszczenie, składanie, zwijanie); mamy różne profesye, rozpatrywane w jednych i tych samych przemysłowych ogniskach, oraz jednakowe — w rozmaitych.

Dowiadujemy się z niéj, iż *przyrost absolutny* zarobku tygodniowego w zakreślonym okresie czasu waha się w granicy od 4,5 szyl. do 14 szyl., gdy *przyrost odsetny* w tym samym czasie—od 20 do 160.

Zestawiając wszystkie trzy tablice, możemy się łatwo przekonać, iż najwyższe cyfry rubryki odsetnego przyrostu (Tablica III). odpowiadają najniższym zarobkom tygodniowym przed pięćdziesięciu laty (Tablica I): przyrost 160% wypada na zarobek 4,41 szyl., 150% — na 8,25, 115% — na 12, 100% — na 7,75 i t. d.; — i odwrotnie, najniższe jéj cyfry — najwyższym ówczesnym zarobkom: przyrost 20% wypada na 25,5 (najwyższy zarobek ze wszystkich podanych w tablicy I), 24% — na 24 i t. d.

Wyczytać byśmy mogli z cyfr powyższych, bezwątpienia, o wiele jeszcze więcéj. Ponieważ jednak w pierwszéj części naszéj pracy

chcielibyśmy głównie przedstawić wnioski Giffena, odłożymy dalsze nasze uwagi do części następnéj, — témbardziéj, że on z cyfr tych czyta inaczéj, a i tak już byliśmy niedyskretni, zaznaczając stosunek między stopą przyrostu i zarobku, stosunek, którego on nie chciał dostrzedz, czy też może tylko zanotować, a o znaczeniu którego przekonamy się późniéj.

Teraz przechodzimy wraz z autorem do zarobków marynarzy, by uzupełnić poprzednie kategorye. Na nieszczęście—powiada on— nie możemy w danym razie cofnąć się daléj po za lat trzydzieści. Dla czego? — nie wiemy; gdyż u tego samego Portera, do którego wielokrotnie się odwołuje, znaleźć można potrzebny materyał.

W każdym razie tutaj podajemy przytoczone przezeń (z „*Progress of Merchant Shipping Return*“) porównanie tych zarobków z r. 1850 i obecnie. Do Porter'a wrócimy późniéj. Zarobki podajemy miesięczne, jak w oryginale:

TABLICA IV.

Miejsce	Żegluga żaglowa 1850 roku		Żegluga parowa obecnie		Przyrost zarobku Absolutny		Przyrost zarobku Odsetny
	szyl.	pensy	szyl.	pensy	szyl.	pensy	
Bristol	45	0	75	0	30	0	66
Glasgow	45	0	70	0	25	0	55
Liverpol (1)	50	0	67	6	17	6	33
„ (2)	50	0	85	0	35	0	70
„ (3)	45	0	60	0	15	0	33
„ (4)	40	0	50	0	10	0	25
„ (5)	42	6	60	0	17	6	40
Londyn (1)	45	0	75	0	30	0	66
„ (2)	50	0	77	6	27	6	55
„ (3)	45	0	65	0	20	0	45
„ (4)	45	0	70	0	25	0	55
„ (5)	40	0	67	6	27	6	69
„ (6)	40	0	67	6	27	6	69

W przeciągu trzydziestoletniego okresu przyrost absolutny miesięcznego zarobku waha się w granicach od 10 do 30 szylingów, gdy odpowiedni przyrost odsetny od 25 dochodzi do 70.

Z kolei autor przechodzi do robotników rolnych, a opierając się na Jamesa Caird'a „*Landed Interest*“, obrachowuje przyrost zarobku, od czasu zniesienia praw zbożowych na 60%. Ponieważ ogłoszenie wolnego handlu (a więc i zniesienie praw zbożowych), odnieść należy do 1846 i 47 roku, mamy w takim razie prawie ten sam, co w poprzednim wypadku, rezultat.

Jako ogólny wynik całego dotąd zgromadzonego szeregu faktów Giffen podaje przyrost zarobku od 50% do 100%.

Ponieważ w tym samym czasie zmniejszenie ilości pracy określić można 20% — przynajmniéj tak jest w przędzalniach, na fabrykach tkackich, na fabrykach mechanicznych, we wszystkich gałęziach budownictwa—przyrost więc zaznaczony poprzednio zwiększa się jeszcze o 20, czyli że wygrana ogólna w zarobku podczas ostatniego pięćdziesięciolecia wynosi od 70% do 120%.

Od zarobków przejdźmy do artykułów konsumpcyi.

Na pierwszym planie autor stawia pszenicę, jako zajmującą poważne w budżecie robotniczym miejsce, szczególnie zaś pięćdziesiąt lat temu.

Cena pszenicy, co w okresie od 1837 do 46 r. wynosiła średnio 58 szylingów 7 pensów za kwarter (1), w ostatnich czasach równała się 48 sz. 9 pens., czyli spadła o 17%. Tego wszakże nie dosyć. Średnie cyfry—powiada Giffen—,dobre są dla rozmaitych celów; ale wiemy dobrze, jak to nieraz jedna tylko cyfra wpływa na taką, lub inną wypadkową. W kwestyach ceny artykułów żywności ma to szczególne właśnie znaczenie. Średnia cena niezbędnych środków życiowych może się utrzymywać długo na umiarkowanéj wysokości (np. od 1837 do 46 r. na wysokości 58,5 szylingów), ale w tym samym peryodzie mogą być lata, powiemy więcéj, miesiące nawet, w których cena ta wyjątkowo podskoczy w górę, a wtedy z liczb średnich nie możemy powziąć należytego o rzeczy pojęcia. Nad tém, oczywiście, niema co nawet dyskutować. Najsłuszniéj więc autor rozpatruje kilka lat z rzędu odzielnie:

W 1836	roku	najwyższa	cena	pszenicy	sięgała	36	szylingów	o	pensów
„ 1838	„	„	„	„	„	78	„	4	„
„ 1839	„	„	„	„	„	81	„	6	„
„ 1840	„	„	„	„	„	72	„	10	„
„ 1841	„	„	„	„	„	76	„	1	„
.	.	.	.	.	.	.	.	.	.
„ 1847	„	„	„	„	„	102	„	5	„

Skąd widzimy, że cena pszenicy ulegała znacznym od średniéj cyfry odchyleniom, co musiało bezwarunkowo dawać się bardzo uczuwać tamtoczesnym konsumentom. Jeżeli jednak nie zadowolniły nas średnie cyfry co do okresu, z którym porównywujemy dzisiejszy, nie mogą téż zadowolnić i co do lat ostatnich. Oto zaś dane, jakie on sam komunikuje nam w téj kwestyi:

---

(1) *Quarter* = 8 buszli=290 litr.=$2^1/_4$ korca nowop. (korzec nowop.=128 litr. franc.; garniec nowop. = 4 litr.).

Przy sposobności podajemy tu i inne miary, z którymi się spotkamy w ciągu téj pracy, by nie powracać już do nich więcéj.

Gallon angielski = 4,54 litr. fr. = 1,14 garncy nowopolsk.

W 1867 roku najwyższa cena pszenicy sięgała 70 szyl. 5 pens.
„ 1868 „ „ „ „ „ 74 „ 7 „
od 1868—77 r. „ „ „ „ 70 „ 0 „

Cyfr tych, jakkolwiek dość zrozumiale przemawiających, najwyraźniéj nie przyjęto pod uwagę zupełnie, gdyż nie wpłynęły one na początkowo zrobioną konkluzyę. Co prawda, spotykamy się z tego rodzaju omówieniem, iż robotnik dzisiejszy, dzięki przyrostowi jego zarobku, mógłby się oprzéć najbardziéj znacznym podskoczeniom ceny chleba daleko łatwiéj, niż robotnik z przedpięćdziesięcioletniego okresu; ale w saméj rzeczy nie nadarzała się nawet do tego potrzeba. Czy nie nadarzała się istotnie—powyższe cyfry dowodem.

Od pszenicy Giffen przechodzi do innych artykułów żywności, udzielając im mało stosunkowo miejsca.* Przytaczamy w całości jego dane:

TABLICA V.

	1839—1840		Obecnie	
	szylin.	pensy	szylin.	pensy
Cukier . . . . . (centnar ang.).	68	8	21	9
Materya bawełniana . . . (yard).	—	$5^3/_8$	—	$3^1/_4$
	(1840)		(1882)	
Nizki gatunek wołow. (8 ℔ av. du p.)	3	1	4	$3^3/_4$
Średni	3	6	4	$9^3/_4$
Lepszy	3	$1^{13}/_4$	5	$7^1/_2$
Nizki gatunek baraniny	3	5	5	7
Średni	3	$10^1/_4$	6	$1^1/_4$
Słonina	4	$3^1/_2$	4	6

Gdy więc cena cukru znacznie spadła w przeciągu zakreślonego czasu, gdy materye bawełniane staniały także, „tylko“ jedno mięso podrożało. Autor i tu pociesza się tém wszakże, iż rodzaj mięsa (?) dostępny dla robotnika przed pięćdziesięciu laty („*bacon*“—słonina) podrożał bardzo niewiele.

Wogóle przyjąć można — powiada on w dalszym ciągu — że wszystkie potrzebniejsze rzeczy przez ten czas staniały. Jedno, co niewątpliwie znacznie się w cenie podniosło, to—mieszkanie.

W 1834 r. wartość roczna mieszkań opłacających podatki wynosiła 12,603.000 funtów sterlingów; podatkom podlegały w Wielkiéj Brytanii wszystkie mieszkania droższe nad 10 fun. ster. W 1881 do 1882 r. wartość ta podniosła się do 56,885,000 fun. ster., mianowicie: 39,845,000 funt. ster. — wartość mieszkań opłacających podatki, t. j.

droższych nad 20 funt. sterl. i 17,040,000 f. st.—wartość mieszkań od 10 do 20 funtów. Ludność Wielkiéj Brytanii w tym samym okresie prawie że się podwoiła: w 1831 r. było 16,500,000, w 1881 r. blisko 30,000,000. Komorne jest wyrazem wartości mieszkania. Jeśli komorne, pobierane od szesnastomilionowéj ludności, w sumie wynosiło w 1834 r. dwanaście milionów funtów sterlingów, to od ludności dwa razy większéj w 1881 r. przyniosłoby dwa razy tyle, czyli dwadzieścia cztery miliony f. st., gdyby rzeczy nie zmieniły się zupełnie. Ponieważ w miejsce 24,000,000 (dokładnie—25,206,000 f. st.) otrzymaliśmy 56,885,000, oczywiście więc trzydziestomilionową tę nadwyżkę odnieść należy na koszt podrożenia mieszkań. Trzydzieści dwa miliony przyrostu na dwudziestopięciomilionową sumę stanowi mniéj więcéj 130% (1). Wziąwszy pod uwagę inne jeszcze dane, wypadnie ostatecznie, iż komorne w przeciągu pięćdziesięciu lat podniosło się półtora raza, t. j. na 150%. Innemi słowy robotnik, co płacił ongi 5 szylingów, obecnie płacić musi 12,5 sz.

Cały zarobek robotniczy podnosił się — jak twierdzi Giffen — podczas gdy oprócz komornego, rozmaite niezbędne artykuły nie tylko nie podrożały, ale owszem, staniały. Przyjmijmy, iż komorne, co zajmowało czwartą część całego budżetu wydatków, podniosło się o półtora raza, a będziemy mieli taki stosunek:

TABLICA VI.

	50 lat temu		Obecnie		Nadwyżka *		
					Absolutna		Odset.
	szyl.	pen.	szyl.	pen.	szyl.	pen.	
Zarobek	20	—	40	—	20	—	100
Komorne	5	—	12	6	7	6	150
Zostaje na inne wydatki	15	—	27	6	12	6	83

* *Uwaga.* Oddzielamy ostatnią rubrykę, jako nieistniejącą w oryginale; jest ona zresztą najprostszém tylko jego uzupełnieniem.

(1) Z samego tylko wzrostu ogólnéj sumy komornego nie moglibyśmy wnosić o wysokości podrożenia mieszkań, nie wiedząc przytém, jak się zmieniła ich ilość i wielkość. Ponieważ jednak Giffen przypuszcza w swych obliczeniach, iż ilość mieszkań rośnie proporcyonalnie do ludności, a stosunek tego rodzaju jest więcéj niż wygórowanym, gdyż, jak wiadomo, kwestya mieszkań robotniczych (zarówno robotników miejskich jak wiejskich) coraz groźniéj występuje na porządek dzienny, — wnioski więc jego nie są bynajmniéj przesadne w tym razie.

Koniec końców, porównywując zarobki przed pięćdziesięciu laty i obecnie, zestawiając je z niezbędnemi ówczesnemi i dzisiejszemi wydatkami, autor dochodzi do przekonania, że stan robotnika niezmiernie się polepszył, innemi słowy — dochód jego podniósł się o 80 do 100%.

* * *

Z kolei Giffen zadaje sobie pytanie: Czy też klasa robotnicza skorzystała na równi z innemi z rozwoju materyalnego bogactwa?

Ponieważ mowa idzie ciągle o pięćdziesięcioletnim okresie, nie będziemy więc już nawet tego dodawać, rozumiejąc to samo przez się.

W raporcie przedstawionym kilka lat temu w Towarzystwie Statystycznem (*The Recent Accumulations of Capital in the United Kingdom*) (1), doszedł autor do tego wniosku, iż w przeciągu lat dziesięciu od 1865 — 1875 kapitał narodowy Zjednoczonego królestwa wzrósł o 40%, co stanowi 27% na głowę, zważywszy na odpowiedni przyrost ludności.

	Całkowity kapitał	Kapitał w nieruchom.	Kapitał w ruchomośc.
1865 r. . . .	121,6 miliardów szyl.	— 64 miliar. szyl.	— 57,6 miliard. szyl.
1875 r. . . .	170,4 „ „	— 76,8 „ „	— 93,6 „ „
Przyrost odsetny .	40	20	62

Jeżeli cofniemy się daléj jeszcze, do 1843 r. np., a o kapitale sądzić będziemy z dochodu podległego podatkowi dochodowemu (*income tax*),—ponieważ ten ostatni z 280 milionów funt. ster. wzrósł do 577 milionów (od 1843 do 1875 r.), t. j. podniósł się o 100 procent, kapitał więc w tym peryodzie zwiększył się w tym samym stosunku (2). Stopa przyrostu wzmogłaby się jeszcze, jeśli w miejsce 280 milionów użylibyśmy cyfry, jaką podaje autor w jednéj z prac swych poprzednich; tam bowiem oblicza on cały dochód podległy podatkowi na 250 milionów tylko.

Rozszerzając daléj granice okresu, w którym badamy przyrost kapitału, otrzymywać będziemy coraz to większe dla tego ostatniego cyfry.

Podajemy za Giffenem tablicę, sporządzoną dla czterdziestoletniego prawie okresu, z uwzględnieniem pojedyńczych kategoryi, jakie się składały na ogólny przyrost.

---

(1) Pracę tę znajdujemy w *Journal of the Statistical Society*, 1878 r.

(2) W Irlandyi podatek dochodowy wprowadzono 1853 r., tak, że na rezultat ogólny oddziaływuje ona od tego dopiero czasu.

TABLICA VII.

Dochód od kapitału i zarobki, podlegające podatkowi dochodowemu (w milionach funt. sterl., 000,000 opuszczone, t. j. 10 = 10,000,000).

	1881		1862		1843	
	Doch. od kapitału	Zarobki	Doch. od kapitału	Zarobki	Doch. od kapitału	Zarobki
Kategorya *A*.						
Ziemie, wyłączając zabudowania . . .	70,	—	60,	—	57,	—
Domy, zabudowania	117,	—	62,	—	41,	—
Kategorya *B*.						
Kapitał rolny i zarob.	25,	44,	22.5,	38.5,	20,	36,
Kategorya *C*.						
Fundusze publiczne	40,	—	29,	—	29,	—
Kategorye *D* i *E*.						
Kopalnie, fabryki, koleje żelazne, etc. .	155,	133,	79,	69,	41.5,	57.5,
Razem . .	407,	177,	252.5,	107.5,	188.5,	93.5,

Skąd widzimy, że cały dochód opodatkowany (czy to w formie zarobku, czy to renty, czy zysku) wynosił 282,000,000 funt. sterl., w r. 1843, w 1862 r.— 360 milionów, a w 1881 r. — 584 miliony f. st. Dochód zaś kapitalistów w pierwszym razie wynosił 190 milionów prawie, w drugim—250, w trzecim—400 mil. f. st.

Myliłby się wszakże absolutnie — powiada p. G. — ktoby przypuszczał, że kapitaliści dużo na tém zyskali. Jeżeli rozpatrzymy zwiększenie się ich liczby, również jak jednoczesne zwiększenie się ogólnéj sumy majątków, dojdziemy do tego wniosku stanowczo, że udział ich, pojedyńczo, w całym przyroście dochodu nadzwyczaj był małym.

Na poparcie tylko co wypowiedzianego zdania autor ucieka się do porównania ilości sukcesyi i ich względnéj wartości w 1838 i 1882 roku:

TABLICA VIII.

	Ilość sukcesyi		Całkowita ich wartość		Średnia wartość jednéj	
	1882 *)	1838	1882 *)	1838	882 *)	1838
			funtów sterl.	funtów sterl.	fun. st.	fun. st.
Anglia	45,555	21,900	118,120,961	47,604,755	2,600	2,170
Szkocya	5,221	1,272	13,695,314	2,817,260	2,600	2,200
Irlandya.	4,583	2,196	8,544,579	4,465,240	1,900	2,000
Zjedn. Królestw. .	55,359	25,368	140,360,854	54,887,255	2,500	2,160

*) Patrz „*Special Report of Commissioners of Inland Revenue.*"

Ten olbrzymi przyrost własności: 86 milionów (140—54 mil.) na 54 m., przyrost, równający się 150 z górą od sta, powinien by pociągnąć za sobą zwiększenie dochodu nie już o 220 milion. (407 mil. w 1881—188 mil. w 1843 r. = 220), ale przynajmniéj o jakie 620 milionów — woła w zapale Giffen.

Ilość majątków dziś przewyższa podwójną liczbę ich w r. 1838 (55 tys. i 25 tys.), a przyrost ten przewyższa stanowczo przyrost w tym samym czasie ludności; to też średnia ich wartość podniosła się o *15 zaledwie* procent: 300 funt. sterl. (2,500—2,160) na 2,160 fun.

Opierając się na wszystkich powyższych danych i rachując ogółem dochód obecny na 1,200 milionów funtów, mamy następujący rezultat:

TABLICA IX.

(w milionach funtów).

	Dochód w 1843 roku	Dochód obecny	Przyrost	
			Absolutny	Odsetny
Kapitalistów od kapit. . .	190*	400*	310	**110**
Zarobek opodatkowany . .	90*	180*	90	100
Zarobek nieopodatkowany.	235	620	385	**160**
	515	1,200	685	130

* *Uwaga.* Liczby te są zaokrąglone 188, 407, 93 i 177.

Gdy przyrost odsetny kapitału równa się 110, przyrost zarobku wynosi 160%. Dla uzupełnienia tego dodać jeszcze tylko należy poniższe obliczenie:

TABLICA X.

	1838	Obecnie	Przyrost	
			Absolutny	Odsetny
	milion. fun.	milion. fun.	milion. fun.	
Całkowity kapitał * . . .	55	140	85	**155**
Wartość jednego majątku *	2,200	2,500	300	**14**

* *Uwaga.* Wszystko to stosuje się do tablicy VIII. „Całkowity kapitał“ nie oznacza *całego* kapitału Zjednocz. królestwa, ale tylko kapitał, o którym poprzednio (Tablica VIII) była mowa. Ponieważ chodzi nam tutaj o *stosunek* jedynie, i z cyfr powyższych osiągnąć go możemy.

Przechodzimy do konkluzyi.

Ze wszystkiego wypada—twierdzi Giffen—iż dochód klasy robotniczéj wzrósł bardziéj, aniżeli kapitalistów.

Gdy przyrost odsetny dochodu pierwszéj wynosi 160%, dochód kapitalistów podniósł się tylko o 100% (Tabl. IX wskazuje nam co prawda 110), chociaż kapitał zwiększył się o 150%. W tym samym czasie klasa kapitalistów zwiększyła się o tyle, że przyrost kapitału na głowę wypada 14%.

„Bogaci“ stali się liczniejsi, ale—nie bogatsi pojedyńczo; „biednych“ zaś mniéj jest niż przedtém, a i ci, co pozostali „biednymi,“. średnio mają się dziś dwa razy lepiéj niż przed pięćdziesięciu laty Na korzyść biednych przypadł prawie cały rezultat postępu materyalnego.

II.

„*Biednemu przypadła w udziale prawie cała korzyść z materyalnego za ostatnie lat pięćdziesiąt postępu.*“

Dixit... Powiedział... ani się zająknął...

Nie mało jednak trzeba było śmiałości, nie mało cywilnéj odwagi, by z wysokości wyroczni, ze stanowiska nieomylnego augura rzucić światu taką *nowinę*!...

Dotąd bowiem, chociaż różnie mówiono, nie posuwano się wszakże nigdy tak daleko. No... ale... niby zawsze... ktoś pierwszy... początek zrobić musi...

Dotąd nawet tacy zwolennicy dzisiejszych stosunków, jak Fawcett, Godkin, Atkins, Grey, Cairnes, odzywali się w danéj kwestyi niekoniecznie z największym zachwytem, ze względu na robotnika właśnie; Giffen, przeciwnie, niby ubolewa nad losem nieszczęśliwych angielskich kapitalistów.

„Życie robotników rolnych—powiada w jedném miejscu Fawcett, jest nieustannym zabiegiem o zarobki, które ledwo... ledwo zabezpieczyć im mogą zadowolenie najniezbędniejszych potrzeb. Żadnéj nadziei wyjścia; praca nie broni ich nawet, w razie wypadku, od przymusowego żebractwa... Mężczyzni, kobiety i dzieci, tworzący ludność, uprawiającą wielkie obszary wysoko zagospodarowanéj ziemi, żyją w takich warunkach, jak gdyby najstraszniejsze gwałty niewolnictwa powstały przeciw nim w dziewiętnastym wieku... Mało jest robotników, coby pod wielu względami w takiém żyli ubóstwie, jak angielscy robotnicy rolni. Są oni tak strasznie biedni, że, gdyby jutro zostali niewolnikami, we własnym interesie ich panów byłoby karmić ich lepiéj, niż karmią się dziś sami“... Courcy Atkins jest zdania („*Case of Ireland stated*“), iż nigdzie produkujący niewolnik nie otrzymywał tak małéj części swych produktów jak nominalnie wolny irlandzki robotnik, albo drobny fermer. Pr. Cairnes pisze („*Some*

leading questions of Political Economy nenly expounded" p. 338):— Zjednoczonymi siłami pracy i kapitału możemy dziś produkować w wielu gałęziach przemysłu pięć, dziesięć, dwadzieścia, nawet sto razy więcéj, aniżeli sto lat temu. Tymczasem co do stopy zarobków... ta prawie nie wzrosła... świat bezwątpienia jest bogatszym... ale wzrost bogactwa krajowego nie poszedł na korzyść zarobku... „Przed stu laty jeszcze—czytamy w *First Report of the Womes and Children's Employment Commission* 1868—robotnik rolny w daleko lepszych był warunkach; zarobek jego dawał mu więcéj daleko na ówczesne potrzeby życia, renta była niższą, odzienie—tańsze, pomieszkanie—tańsze itd." Możnabyłoby przytoczyć wiele podobnego rodzaju poglądów ze strony ludzi, niemających, zdaje się, najmniejszego interesu w fałszywém przedstawianiu rzeczy. Giffen widzi wszystko, w zupełnie odmienném świetle. Optymistyczne zaś wnioski swoje opiera na przytoczonym powyżéj materyale.

By się przekonać o słuszności tych, bądź co bądź, niezmiernie ciekawych wywodów, przyjrzyjmy się dobrze, od początku do końca, procederowi, według którego je osiągnięto.

Jak już nam wiadomo—z pierwszych czterech tablic autor nasz wyciągnął wniosek, że zarobki podniosły się, w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, o 50 do 100 procent, albo, jak często się wyraża, poprostu o *100* procent, co dosadnie widać w zakończeniu pierwszego oddziału części pierwszéj.

Przeciętna odsetnego przyrostu zarobków tablicy III-éj jest—73% (1171 : 16 = 73); taka przeciętna tablicy IV-éj—52% (681 : 13 = 52); odsetny, przyrost zarobku robotników rolnych równa się 60%. Średnia liczb powyższych daje nam *65%* to jest $\left(\frac{73+52+60}{3}\right)$, co już znacznie się różni od przeciętnéj Giffena. Wyrażając się nawet inny sposób, powiedziéćbyśmy musieli, iż przyrost ten waha się od 52% do 73%, albo od 50% do 75%, ale nie do 100%.

Idźmy daléj.

Od pierwszéj chwili nie mogła się nam nie rzucić w oczy wysoka stosunkowo cyfra ostatniego szeregu tablicy III-éj, wyrażająca odsetny przyrost zarobku dzieci. Sto sześćdziesiąt—o tém bowiem mówimy—przewyższa znacznie liczbę średnią odsetnego przyrostu. Łatwo zaś przekonać się możemy, w jaki sposób oddziaływuje ona na ogólny rezultat. Usuwając ją z poprzedniego rachunku, otrzymamy *60%* w miejsce 65%, a to na téj prostéj zasadzie, że (1171—160) : 15 = 67, a (67+52+60) : 3=60.—Wprowadzanie jednéj takiéj kategoryi, jak widzimy, podnosi o *pięć* stopę przyrostu w *dwudziestu ośmiu* innych kategoryach. Oznaczając przyrost granicami 50% do 70%, mielibyśmy takąż samą różnicę.

Jeżelibyśmby wzięli następnie przyrost odsetny zarobku tkaczy bradfordzkich (tabl. III), zobaczylibyśmy także, iż wprowadzenie téj kategoryi podnosi o *trzy* co najmniéj stopę ogólną. Usuwając ją z rachunku, otrzymamy *57%* w miejsce 60%, a to dlatego że (1011—150) : 14 = 61 a (61 + 52 + 60) : 3 = 57. Granicami przyrostu będą 50% i 64%.

Odrzucając najwyższe cyfry przyrostu odsetnego, to jest 160 i 150, braliśmy wszakże w rachubach cyfry najniższych to jest 20 i 24. Otóż usuńmy je z kolei, a otrzymamy w takim razie zamiast 57%, cyfrę daleko wyższą 68%, ponieważ [861—(20 + 24)] : 12 = 68; ta zaś wraz z cyframi, wyrażającemi odsetny przyrost zarobku robotników rolnych i marynarzy, da nam *60%* za przeciętną odsetnego przyrostu zarobków wogóle, gdyż (68 + 52 + 60): 3 = 60.

Porównajmy atoli bliżéj odrzucane kategorye. Otóż: 1°) Pierwsze dwie przewyższają średnią cyfrę odsetnego przyrostu zarobków (73%) o 77 i 87, dwie zaś ostatnie—o 49 i 53; 2°) Pierwsze dotyczą zarobków najniższych, ostatnie zaś—zarobków najwyższych poprzednio i obecnie; mianowicie: przyrost 150% wypada na zarobek 8.25 szyl. tygodniowo, czyli *2 r. 75* kop. w złocie, przyrost 160% wypada na zarobek 4.41 szyl., czyli *1 r. 32* kop. zł., gdy przeciwnie, przyrost 24% wypada na zarobek 29,83 szyl., a przyrost 20%—na zarobek 30 szyl. tygodniowo, czyli na *8 r. 94* kop. i *9 r.* zł. tygodniowo. Oczywiście więc jest różnica pomiędzy odrzuconymi przez nas kategoryami: gdy ostatnie odskakują od przeciętnéj trochę więcéj niż o połowę, dwie pierwsze odchylają się od niéj więcéj niż o drugie tyle, a do tego przypadają na najlichsze nawet i obecnie zarobki. Są to kategorye iście „wyjątkowe.“ Jako takie moglibyśmy je usunąć z obrachunku niezależnie od innych, jak np. 20% i 24%. Nie robimy wszakże tego i pozostawiamy wyżéj otrzymaną przeciętną *60*. Wyrażając ten sam przyrost granicami, w których mógł się on wahać, będziemy mieli 50—70.

Nie mówimy już o wątpliwéj, a jak się przekonamy późniéj, fałszywéj liczbie 60, ktorą Giffen bierze za stopę przyrostu zarobków rolnych, a która utrzymuje ogólną przeciętną na wyższym poziomie; ale *60%* to nie *73%*, a granica 50—70 to nie 50—100. A jakże to łatwo p. G. poprostu, dla zaokrąglenia, w miejsce 73% mówi 100%! Wtedy różnica jeszcze lepsza.

Że cyfra *60%* przedstawia nam rzecz słuszniéj od cyfr ostatnich, nie potrzebowalibyśmy tego dowodzić; zatrzymujemy się nad tém jedynie ze względu na błąd metodologiczny, któremu przypisać należy tę różnicę, na błąd w sposobie grupowania materyału, jeśli nie tendencyjne jego naciąganie.

Zanalizujmy parę tych kategoryi, co przyczyniają się prawie jedynie do tak wysokiéj, jaką nam Giffen podaje, stopy przyrostu zarobków.

Najprzód więc — zarobek dzieci.

Kategorya ta (przędzenie dzieci — Tabl. I, II i III) co najmniéj dla dwóch względów jest nie na miejscu: 1⁰ — jako wyjątkowa, 2⁰ — jako z innymi niejednoimienna. „Wyjątkową"—nazywamy ją dla tego, iż we wszystkich możliwych gałęziach pracy znaleść możemy zaledwie kilka podobnych przykładów, przykładów podobnie wielkiego przyrostu; „niejednoimienną" — gdyż pracy dzieci z pracą dorosłych mieszać niepodobna, gdzie chodzi o jaką taką dokładność. Otóż, jako wyjątkowa i niejednoimienna, kategorya powyższa niema w pośród nich racyi bytu. W imię dokładności mamy najzupełniejsze prawo do jéj usunięcia. Są jeszcze i inne do tego podstawy, ale o nich potém (1).

Od zarobku dzieci przejdźmy do zarobku tkaczy bradfordzkich (zawsze tabl. I, II i III). Przyrost odsetny w zarobku tych ostatnich o mało co się różni od przyrostu w zar. pierwszych. Kategoryę tę możemy nazwać „wyjątkową," ale jest ona z innymi „jednoimienną." Jeśli dla pierwszego względu możemy ją postawić obok poprzedniéj, to z drugiego różni się od niéj. Do pewnego więc stopnia zająć by ona mogła wpośród innych miejsce, gdyby... gdyby nie nowy w danym razie powód. Jeśliby nam chodziło jedynie o wykaz przyrostu zarobków, o wykaz stopy tego przyrostu, a!.. to dobrze... „Sto sześćdziesiąt!.. sto pięćdziesiąt!.." powiadamy i mamy najzupełniejszą racyę... Ale tu o coś więcéj chodzi; tu chodzi o uprzytomnienie sobie położenia pewnéj klasy społecznéj. Giffen z cyfr tych o niém właśnie sądzi... Z tych „stusześćdziesięciu", „stupięćdziesięciu" i t. d. decyduje on o polepszeniu się jego w dwójnasób—nawet wobec dwudziestoprocentowych tylko przyrostów zarobku w wielu gałęziach przemysłu. Trzeba z konieczności przyjrzéć się bliżéj tym cyfrom. Z tablicy I i II widzimy, że tkacze bradfordzcy, co ongi zarabiali ty-

(1) Ktoś mógłby zauważyć, iż wykluczając pracę dzieci z obliczeń, dotyczących zarobku robotników wogóle, należałoby wykluczyć i pracę kobiet. Słusznie. Tylko w danym razie nie wywarłoby to żadnego wpływu na rezultat ostateczny, o czém łatwo się przekonać, wziąwszy pod uwagę, iż zarobki kobiece podniosły się w danym okresie już to o 30% (czyszczenie wełny), już to o 58% (składanie), już o 83%, albo 100% (zwijanie na motowidła), czyli średnio podniosły się o 6'8%, to jest jak raz o tyle, ile wypadło z naszych własnych obliczeń. Czytelnik więc zrozumie, dlaczego nie zadawaliśmy sobie trudu wykluczenia kategoryi, nie oddziaływających wcale na ostateczny wywód.

godniowo 8 szyl. 3 pensy, dziś zarabiają 20 sz. 6 pen.; zarobek ten mniejszym jest o 11 szyl. od średniego dzisiejszego zarobku, nawet jeśli będziemy brać pod uwagę zarobek dzieci. Średni zarobek równa się 31 sz. 3 pen.; 20 sz. 6 pen. stanowi dwie trzecie jego, a zarobek taki nazwać musimy nizkim. *Chociaż więc przyrost liczyć trzeba na 150, ale zarobek jak był, tak i dziś jest nędznym.*

Jeśli czytelnik zechce sobie przypomniéć, na samym wstępie zaznaczyliśmy w kilku słowach stosunek między stopą przyrostu i wielkością zarobku. O znaczeniu tego stosunku mieliśmy się dowiedziéć późniéj. Wróćmy właśnie teraz do niego. Przyrost 160% — pisaliśmy w tamtém miejscu—wypada na zarobek 4.41 sz., 150%—na 8.25, 115%—na 12, 100%—na 7.75. Innémi słowy: ten, co zarabiał przed pięćdziesięciu laty 4 szyl. 5 pen. tygodniowo, zarabia dzisiaj 11 sz. 6 pen.; ten, co zarabiał przedtém 8 sz. 3 pen., zarabia dzisiaj 20 sz. 6 pen.; ten, co zarabiał 12 sz., zarabia 26 sz.; a ten, co zarabiał 7 sz. 9 pen., zarabia 15 sz. 6 p. Wszystkie te zarobki: 11 szyl. 6 pen., 20 sz. 6 pen., 26 sz., 15 sz. 6 pen. — wszystkie bez wyjątku niższe są od średnich, a niższe znacznie, bo średnio prawie o połowę. I cóż widzimy? *Te nędzne absolutnie zarobki wprowadzają do rubryki odsetnego przyrostu najpokaźniejsze cyfry! Piętnastoszylingowy* tygodniowy zarobek wprowadza do niéj całą *setkę*, *dwudziestoszylingowy—sto pięćdziesiąt*, a *jedenastoszylingowy* zarobek dzieci—*sto sześćdziesiąt.* Giffen zaś namiętnie cyfry te pochwytuje i, zmięszawszy z pięćdziesiątkami, czterdziestkami, trzydziestkami, ba! nawet *dwudziestkami*, podaje nam *setkę*, jako ogólny wynik. Tym sposobem z najlichszych zarobków czerpiemy argumenta, otrzymujemy dowody na korzyść polepszenia się bytu klasy pracującéj!.. Czyż metoda Giffena nie do tego nas prowadzi, że właśnie z nędzy wnosimy o bogactwie? z nędzy jednych — o bogactwie drugich? Gdyby téż jeszcze tak przynajmniéj było, gdyby z nędzy *jednych* kazała nam ona wnosić o bogactwie *drugich*, nieraz nie omylilibyśmy się na pewno, ponieważ właśnie między tymi „jednymi“ i „drugimi“ może istnieć podobna zależność wskutek sprzeczności interesów, antagonizmu klasowego, walki o byt, etc.; — ale tutaj chodzi o to, że z nędzy jednych i tych samych mamy wnosić o rosnącym ich dobrobycie: lichy jakiś zarobek bradfordzkiego tkacza—w rozumowaniu Giffena — wzbogaca całą robotniczą klasę, a lichszy jeszcze zarobek dziecka, bogaci je jeszcze silniéj. Do takich nonsensów doprowadzić nas może jedynie zła metoda, lub téż brak jéj zupełny, jeśli nie tendencyjne—jakeśmy to już przedtém wspomnieli—fałszowanie. To ostatnie wreszcie również w parze iść musi z metodologicznemi wykroczeniami.

Po tém, cośmy dotąd powiedzieli, jasném zdaje się być zupełnie, dlaczego wniosek Giffena co do stopy przyrostu zarobku uważamy za bezzasadny. Z uporządkowanego należycie własnego jegoż materyału wypada co najwyżéj 70%, jako przyrost za cały okres od r. 1830, ale nigdy nie 100%.

Na tém jednak nie koniec

Materyał powyższy grzeszy brakiem niezbędnych danych do jakiegobądź poważniejszego wniosku. *Z kategoryi, zawartych w pierwszych czterech tablicach, o żadnym ogólnéj natury wywodzie nawet myśléć niepodobna.*

Tak naprzykład *pominięte są* w nich zupełnie wszelkie *ilościowe stosunki*.

Dla przekonania się zaś, jaką tu mogą one grać rolę, będziemy musieli zwrócić się do małego obrachunku.

(*Dok. nast.*). *Kazimierz Sosnowski.*

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE

Postęp, szczęście i przewroty społeczne. Chłodne uwagi o palących kwestyach, napisał Władysław Michał Dębicki. Warszawa, Księgarnia E. Wendego i S-ki, 1885.

Broszura powyższa jest odbitką szeregu artykułów, drukowanych w roku bieżącym w warszawskiéj *Niwie*. Pod względem treści rozpada się ona na dwie odrębne części. W pierwszéj autor występuje jako zdecydowany pesymista, w drugiéj nagle przedzierzga się w optymistę, patrzącego na rzeczy tak różowo, iż nawet „żebrak, pomiotło, rzucone przez wichry życia pod próg świątyni" wydaje mu się „postępowcem *prawdziwym*," „bo to może bohater pokuty i męztwa (!), a w każdym razie, mimo doli rozpacznéj, nie—samobójca." Cudownéj téj przemiany stanowiska, jak zwykle wszelkich cudów, dokonywa w p. Dębickim wiara, wiara we wszechstronną a dobroczynną potęgę chrześciaństwa. Lecz przyjrzyjmy się bliżéj argumentacyi autora!

Przedewszystkiém, powołując się na zdania statystyka, Haushofera, twierdzi on, iż postęp umysłowy i materyalny nie tylko nie zwiększa sumy szczęścia ludzkiego, lecz przeciwnie zdaje się na nie oddziaływać ujemnie, z biegiem cywilizacyi bowiem liczba przestępstw wszelkiego rodzaju, a zwłaszcza procent samobójstw, „mogący służyć za termometr nieszczęścia," ustawicznie wzrasta. Ponieważ p. Dębicki wszystkie, przytaczane przez się twierdzenia wymienionéj powagi statystycznéj podaje nago, pomijając zupełnie cyfry, na których one zostały oparte, więc czytelnik musi wnosić, że są to wszystko prawdy naukowe, oparte na zupełnie pewnych danych i żadnéj wątpliwości niepodlegające. Tymczasem rzeczy mają się wprost przeciwnie. Z jednéj strony bowiem statystyka jest nauką tak młodą, iż do dziś dnia jeszcze pod wieloma względami nie zdołała zgromadzić dostatecznéj ilości materyału, by mogła wyprowadzać z niego wnioski zupełnie pewne, z drugiéj—większość zjawisk społecznych, a nadewszystko fakty z dziedziny moralności są wytworem tak wielu czynników rozmaitéj natury, iż dokładne określenie tych ostatnich w każdym danym wypadku przedstawia bardzo wielkie, często nawet nieprzezwyciężone, trudności; przypisywanie zaś całego szeregu bardzo złożonych zjawisk działaniu jednéj tylko przy-

czyny, lub bodaj—jednéj kategoryi przyczyn, jak to czyni autor, zwalający wszystkie ujemne przejawy życia społecznego dzisiejszéj doby na karb osłabienia religijności i materyalistycznego kierunku nauki, zdradza grubą nieznajomość przedmiotu, lub stronnicze za ślepienie. Ten sam Haushofer, ktory posłużył autorowi za jedyne źródło wiedzy statystycznéj, na każdym kroku ciągle się zastrzega, że materyał, na jakim się opiera, jest niedostateczny i niepewny, a zarazem nadmienia, iż w kwestyi wpływu oświaty na moralność zdania rozmaitych uczonych dyametralnie się różnią (str. 364). Nie przeszkodziło to jednak p. Dębickiemu podać za pewnik twierdzenia, że „liczba przestępców, posiadających wyższe wykształcenie, w ostatnich latach kilkudziesięciu zdwoiła się prawie.“ Zdanie to u Haushofera nie brzmi bynajmniéj tak ogólnie i stanowczo jak u autora, gdyż czytelnik ma tam przed oczyma tablicę, któréj niedostateczność musi go uderzyć na pierwszy rzut oka. Podczas bowiem gdy pierwszy szereg jéj danych przedstawia cyfry przeciętne za lat 25 (od r. 1826—50), drugi, dający właśnie tak niekorzystny wynik dla wyższego wykształcenia, wzięty jest wyłącznie z jednego roku (1860), nie upoważnia więc do żadnych wniosków. Tendencyjność p. Dębickiego lepiéj jeszcze uwydatni nam fakt, iż na téj saméj stronnicy dzieła Haushofera (365) znajduje się tablica, wykazująca, iż liczba przestępców, posiadających pewne wykształcenie, wzrasta daleko *wolniéj*, aniżeli liczba ludzi oświeconych wogóle.

Skąd autor powziął wiadomość, iż liczba rozwodów ciągle wzrasta—nie wiemy. Haushofer nic o tém nie mówi. Choćby jednakże nawet tak było, to należałoby to objaśniać raczéj wzrostem łatwości otrzymania rozwodu, aniżeli zwiększeniem się ilości małżeństw nieszczęśliwych, boć niepodobna przypuścić, żeby ludzie mieli dziś być bardziéj niezgodni, niż dawniéj, dlatego że nauka weszła w kolizyą z religijnemi podaniami. Jeżeli zaś stosunek małżeństw nieszczęśliwych nie uległ zmianie, a liczba rozwodów pomimo to wzrosła, to suma ludzkiego nieszczęścia zmniejszyła się, gdyż rozwiedzeni małżonkowie przestali się dręczyć a nawet mogli znaleść lepsze pożycie w nowych związkach. Fakt, że „rozwody pomiędzy ludźmi wyżéj wykształconymi są daleko częstsze, niż w klasach niższych,“ objaśnia się bardzo łatwo tém, że pierwsi są zamożniejszi od drugich, a rozwód dużo kosztuje.

Wzrost liczby samobójstw stanowi bezwątpienia ciemną stronę cywilizacyi naszéj, niepodobna jednakże pokuszeń na własne życie uważać za „termometr nieszczęścia“ wobec tego, że u narodów zamożnych procent samobójstw daleko jest większy, niż u biednych. I tak, na milion ludzi przypada przeciętnie samobójstw:

w Skandynawii	. . . . .	126
w Niemczech	. . . .	112
we Francyi	. . . .	105
w Anglii	. . . .	65
w Rosyi	. . . .	28
we Włoszech	. . . .	20
w Portugalii	. . . .	7 (*Haushofer*, str. 369)

Według założenia autora z cyfr tych należałoby wnosić, że pogrążony w ostatniéj nędzy lud włoski jest daleko szczęśliwszy, niż zamożni chłopi norwegscy, lub Francuzi i Anglicy.

„Niemałéj wagi argumentem, że w naszych czasach postęp nie przysparza bynajmnié wesela społeczeństwom ludzkim, jest, zdaniem p. D., rozwój ponurego pesymistycznego na świat poglądu, stanowiący wyróżniającą cechę XIX stulecia.“ Nie da się zaprzeczyć rzeczywiście, że w wieku naszym wielu poetów i myślicieli sadzami świat malowało, lecz małoż im można przeciwstawić równie głośnych imion optymistów? Czyż nie słuszniéj za cechę naszego stulecia można by było uważać właśnie optymistyczną wiarę w potęgę geniuszu ludzkiego, który już tyle dokazał i tak wiele jeszcze dokazać obiecuje? Wszakże nawet dzisiejsze niezadowolenie klas upośledzonych bierze głównie źródło w téj właśnie ufności; nie występuje ono w postaci rozpaczy beznadziejnéj, lecz przejawia się w pragnieniu dalszéj poprawy stosunków, w dążeniu do osiągnięcia możliwie największego dobrobytu. Czyż więc wobec tego wyrzekania jakichś kilkunastu przesyconych roskoszą sybarytów mogą być uważane za dowód rozwoju „ponurego pesymistycznego poglądu na świat“ wśród społeczeństw cywilizowanych?

Że telegramy przynoszą nam dzisiaj „hiobowe wieści o wojnach, rabunkach, mordach epidemiach, powodziach, trzęsieniach ziemi, katastrofach i klęskach,“ to tylko dowód, że obecnie służy ludzkości jedna więcéj siła natury, która dawniéj jéj tylko szkodziła.

Dowodzenie jednak, że jest źle, nie zadawalnia jeszcze autora, stara się więc on wykazać, że nigdy nie będzie lepiéj. Postęp nie tylko dotąd nie przysporzył szczęścia ludzkości, lecz i nigdy, dopóki ludzie pozostaną ludźmi, a ziemia ziemią, „nie wyschnie ani jedno źródło niedoli, a skąpe krynice szczęścia wydajności swojéj nie zwiększą.“ I dlaczego ma zawsze być tak źle na świecie, kiedy Bóg wszakże jest wszechmocny, a dobroć jego nieograniczona? Na to autor nie daje odpowiedzi, lecz wylicza tylko wiecznotrwałe źródła nieszczęścia. I tak ludzie zawsze rodzić się i umierać będą z towarzyszeniem cierpień; nie przestaną się również nigdy starzeć, potrzebować pewnego wychowania i chorować, co wszystko powoduje rozmaite niedogodności i dolegliwości. Areną postępu będzie zawsze

ziemia, na któréj w kilku zaledwie miejscowościach można żyć przyjemnie, gdzieindziéj gnębią człowieka najrozmaitsze plagi, jak mrozy, upały, nieurodzajność gleby, orkany, wiatry, burze śnieżne, albo piaskowe zamieci, trzęsienia ziemi, żmije, grzechotniki, drapieżne zwierzęta, myryady moskitów, roje szarańczy, chrząszcz kartoflany, pchła ziemna, fyloxera i t. p. „Cywilizacya tępi wprawdzie szkodliwe zwierzęta, owady i płazy, osusza miejscowości błotniste i polepsza ich klimat, ale równocześnie zatruwa całe nieraz okolice dymem i wyziewami fabryk, buduje cuchnące i zakurzone miasta, a niszcząc i trzebiąc lasy, sprowadza wcale niekorzystną dla zdrowia i urodzajów zmienność powietrza.“ I tak więc źle, i tak nie dobrze! Dalej, zawsze ludzie będą potrzebowali pracować, co jest rzeczą przykrą; nigdy nie przestaną być egoistami, podlegać rozmaitym szkodliwym żądzom i namiętnościom; nigdy nie znikną różnice cielesne i umysłowe, więc zawsze jedni będą uprzywilejowani, inni upośledzeni; wreszcie, nigdy ludzkości nie przestaną trapić wojny. Oto spis wiecznych źródeł nieszczęścia. Zgoda!—raju na ziemi nigdy nie będzie. Lecz czyż to dowodzi, że w granicach wymagań i dążeń, rachujących się z rzeczywistością, postęp nic dla powiększenia szczęścia ludzkości zrobić nie może? Autor pytanie to przewidział i odpowiada na nie przecząco. Żaden możliwie najwyższy postęp umysłowy i materyalny nigdy, ani na jotę szczęścia ludzkości nie przysporzy, gdyż w miarę wzrostu środków zadowolenia będą zarazem wzrastały potrzeby, im więcej człowiek będzie posiadał i używał, tém bardziéj będzie wymagający i wybredny.

Cóż więc ostatecznie za wniosek wyprowadza autor ze wszystkich powyższych rozumowań? Oto ten, że ani postęp, oparty na zasadach liberalizmu, ani przewrót społeczny w duchu doktryn socyalistycznych nie zdoła powiększyć sumy szczęścia ludzkiego, należy więc szukać jeszcze innego rodzaju postępu, który by to trudne zadanie rozwiązać potrafił. Ależ autor dowodził poprzednio, iż wzrost szczęścia ludzkiego jest bezwzględnie niemożliwy? Tak, lecz w końcu twierdzi, że te „nieszczęścia, których sprawczynią jest niegodziwość, lub namiętność człowieka“ może zetrzeć z oblicza ziemi—postęp chrześciański. A twierdzenie to nie jest bynajmniéj „przesadą, ani czczą deklamacyą,“ gdyż „chrystyanizm zaznaczył się w historyi tylu i takiemi faktami, jest potęgą tak dobroczynną i wielką, iż żaden inny czynnik dziejowy i społeczny porównać się z nim nie da.“ „Wykonany w całości program chrześciańskiego postępu, opierając się z jednéj strony na bratniéj miłości bliźniego, a z drugiéj na głębokiéj wierze w zagrobową odpowiedzialność człowieka za czyny tego życia, sprowadziłby niewątpliwie najwyższą pomyślność, jaka tylko

możliwą jest na ziemi. Zniknęłaby wtedy nędza, o ile jest ona wynikiem nie fizycznych warunków życia, ale złości człowieczéj; zniknęłoby wyuzdanie i zbytek, a nagrodą oszczędności i umiarkowania byłby nierównie powszechniejszy, niż dzisiaj dobrobyt; nie byłoby ucisku, nie byłoby podłości, nie byłoby sług, ani panów, bo wszyscy mimo różnicy, stanowisk i uzdolnienia byliby braćmi i współpracownikami w wielkiém dziele przygotowania rodu ludzkiego do nieśmiertelnéj przyszłości.“

Ponieważ polemizować poważnie ze zdaniami powższemi nie podobna, a żartować z kulawéj ich logiki nie chcemy, więc poprzestajemy na prostém ich przytoczeniu. Nie będziemy również kusili się o przekonanie autora, iż narzucanie liberalizmowi i materyalizmowi teoretycznemu dążności i zasad praktyczno-materyalistycznych jest błędem i niesprawiedliwością, bo na upór i zaślepienie niema środka. Nadmienimy tylko, że D. F. Strauss nigdy nie wygłosił przytoczonego przez autora w cudzysłowie cynicznego zdania: „niech tam sobie lud zostanie na tym punkcie, na którym stoi na mocy świętych praw wszechświata, byleśmy tylko my, wykształceni i posiadający własność, uwolnili się nareszcie od udawania, że jesteśmy chrześcianami, którymi właśnie już nie jesteśmy.“ Zdaniem tém chciał przychylny socyalizmowi Lange określić ujemnie wrogie względem dążeń do przewrotu społecznego stanowisko Straussa, czego dowodem są poprzedzające to zdanie wyrazy: „ściśle bowiem biorąc, właściwy wynik całego tego stanowiska jest taki“: (w oryginale: „*denn die richtige Consequenz dieses ganzen Standpunktes ist doch im Grunde die*“:). Czyż ścisłość literacka i zasady postępu chrześciańskiego nie nakazywałyby być oględniejszym i uważniejszym w cytowaniu zdań źle mówiących o charakterze przeciwnika?

Na pytanie autora, mające źle świadczyć o liberalizmie wogóle, „czy jest na świecie nikczemniejsza gazeta od najliberalniejszej (? !) z liberalnych „*Neue freie Presse*,“ obsługiwanéj przez najmitów, co dziś za Rotszyldowskie guldeny gotowi są plwać na wszystko, co wczoraj jeszcze za pieniądze innego bankiera chwalili bez miary?“— odpowiadamy, że jest równie nikczemna i równie sprzedajna, „*Figaro*,“ dziennik, którego o liberalizm nikt nie posądza.

Na zakończenie winniśmy jeszcze dodać, iż rozumowania pana Dębickiego w ogóle mocno chromają pod względem ścisłości i konsekwencyi logicznej. Jest to pisarz dobry, posiadający wielką łatwość wysłowienia i styl poprawny, jędrny, a nawet barwny, lecz niestety filozof, socyolog i statystyk bardzo słaby. A szkoda, bo, o ile się zdaje, postanowił właśnie być koniecznie filozofem!

W. Wścieklica.

= Wypowiedziane przez księcia Bismarka, na posiedzeniu parlamentu niemieckiego z d. 9-go maja r. z., uznanie dla głoszonego przez socyalistów rozmaitych odcieni *prawa do pracy*, wywołało mnóstwo artykułów i broszur, mających na celu teoretyczny rozbiór tego żądania, zbadanie możliwości wprowadzenia go w życie i oznaczenie granic, w jakich należałoby je zamknąć. Z pomiędzy obszerniejszych opracowań téj kwestyi największe uznanie w szerokich kołach publiczności zjednała sobie książka Ferdynanda Gilles'a, publicysty, którego imię rozgłosił w ostatnich czasach proces o obrazę Bismarka. Książka ta, zatytułowana *Demokratie und Bismark. Ein ehrliches Wort über das Recht auf Arbeit* (Leipzig, 1885), ukazała się właśnie w drugiém wydaniu. Powodzenie swoje zawdzięcza ona zapewne zaciekawiającemu tytułowi, oraz lekkiéj i popularnéj formie wykładu, bo główna jéj treść nie świadczy bynajmniéj, by autor dostatecznie był przygotowany do rozprawiania o kwestyach ekonomicznych, jakkolwiek pomimo to, albo może raczéj, właśnie dlatego wyraża się on o ekonomistach-teoretykach z wielkiém lekceważeniem i pogardą.

W ocenie polityki ekonomicznéj Bismarka jest Gilles wogóle dość nieprzychylny dla kanclerza, ganiąc zarówno stawiane przez niego handlowi międzynarodowemu zapory celne (które mają jakoby tylko bogacić skarb a nie oddawać żadnéj przysługi przemysłowi krajowemu), jak i dążenie do zaprowadzenia monopolów w sferze przedsiębierstw, przejmowanych przez państwo nie w imię dobra publicznego, lecz jedynie dla zysku. Wzamian za to nie szczędzi autor swemu potężnemu pupilowi pochwał za podjęte, a więcéj jeszcze — zapowiedziane przez niego reformy społeczne. Pochwały te jednak udziela mu warunkowo, zastrzegając, że w takim tylko razie zasłuży on na nie, jeżeli uznawszy szczerze prawo do pracy, nie cofnie się przed żadną z jego „logicznych konsekwencyi"; by zaś uchronić omylnego, jak każdy człowiek, kanclerza od możliwych błędów w wywodach, p. Gilles dokonywa ich sam. Zdaniem jego więc, pojęcie prawa do pracy obejmuje nie tylko potrzebę zabezpieczenia robotnika od przymusowego braku zajęcia, lecz zarazem zapobieżenie nadmiernemu wyzyskiwaniu go przez kapitał. Na zdanie to zgodzić się należy, lecz, niestety, do osiągnięcia ostatniego z tych dwu wymagań podaje autor środek praktycznie niemożliwy. Żąda on mianowicie, żeby państwo określiło prawnie *minimum* płacy w ten sposób, że wynagrodzenie robotnika nie może w żadnym razie być niższém od połowy wartości dokonanéj przez niego pracy. Ta zaś ostatnia wartość ma być wynajdywana przez odjęcie wartości materyałów surowych od ceny miejscowéj gotowego produktu. Żą-

daniem tém dowiódł projektodawca, że nie ma najmniejszego pojęcia o sprawach produkcyi. Podczas bowiem gdy w jednych gałęziach przemysłu takie określenie *minimum* płacy zrujnowałoby praconabywców i wprost nie pozwoliło na prowadzenie przedsiębierstwa, w innych wyszłoby nawet na szkodę robotnikom, a to zależnie od wysokości potrzebnego w danym rodzaju produkcyi kapitału zakładowego, kosztowności maszyn, administracyi i t. p.

Żądania powyższe jednakże nie wyczerpują bynajmniéj wszystkich dezyderatów Gilles'a. Opierając się na wywodach głośnego autora „Nędzy i postępu", George'a, domaga się on upaństwowienia gruntów drogą powolnego skupu i oddawania ich w działach pewnéj oznaczonéj wielkości w dzierżawę prywatnym osobistościom za opłatą czynszu. Nadto pragnąłby zreformowania podatków, zaprowadzenia oszczędności w wydatkach na utrzymanie armii, ograniczeń w prawie trzymania terminatorów i t. p. Wszystkie te żądania i projekty odznaczają się taką dowolnością w pomyśle i naiwnością w sformułowaniu, tak nie wiążą się z sobą zupełnie, że nie warto bliżéj ich rozbierać. *W. W.*

= W końcu miesiąca Lipca, za staraniem p. Adama Pługa, wyszło pismo zbiorowe p. n. „**Dla pogorzelców**", zawierające na trzech arkuszach druku (47 stron in folio) w efektownéj okładce, utwory 135 autorów. Mniemamy, iż byłoby zbytecznem zachęcać czytelników do nabywania téj jednodniówki, sam tytuł jéj bowiem jest dość dla każdego wymownym; wspominamy więc tylko o potrzebie pośpiechu, bo głód nie jest cierpliwym i codzień odzywa się z równą siłą. Skład główny jednodniówki w Warszawie, w księgarni Paprockiego i S-ki. Cena kop. 50.

---

† Dnia 9-go Lipca r. b. zakończył życie w Poznaniu **Hieronim Feldmanowski**, konserwator zbiorów i sekretarz tamtejszego Towarzystwa przyjaciół nauk. Pracował on głównie w dziedzinie archeologii i historyi sztuk pięknych, był współpracownikiem „Dziennika Poznańskiego", wydał opis swéj podróży na wschód, wreszcie tłómaczył utwory Byrona, Goethego, Schillera, Andersena, oraz pieśni illirskie i chorwackie. Społeczeństwo w tym troskliwym i wykształconym stróżu zbiorów naukowych i artystycznych straciło zarazem dobrego syna, czego świadkiem, między innemi Miłosław'.

SPROSTOWANIE

omyłek druku w zeszycie lipcowym 1885 roku.

Na str. 167, wiersz 29 od góry: zam. *161,8* winno być *101,8*; — na str. 170 w. 3 od góry: zam. *281512* winno być *37873*;—na str. 170 w. 4 od góry: znak (?) przy cyfrze 43735 należy wykreślić;—na str. 170 w. 22 od góry: zam. *zlewane* winno być *zlewne*; — na str. 170 w. 26 od góry: zam. *surowicy* winno być *surowizny*; — na str. 173 w. 26 od góry: zam. *już* winno być *inż.*

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

Literatura nasza do historyi XVII-go wieku, a w szczególności rządów Jana Kazimierza, należy do uboższych. Czas ten, jakkolwiek stanowiący epokę w dziejach Polski, nie wielu znalazł pracowników; a już zupełnie pod tym względem upośledzony jest krótki, ale niesłychanie ważny okres ośmiu końcowych lat panowania ostatniego Wazy.

Na roku 1660 urywają się dzieła Walewskiego, i ta część znanéj pracy Droysena, która w związku stoi z naszą historyą. Wszystko, co u nas zrobiono odnośnie do rzeczonego ośmiolecia, ogranicza się na szczupłéj liczbie kilku dawniejszych studyów, jak Plebańskiego, Załuskiego i Seredyńskiego (dwie ostatnie o sprawie elekcyi następcy tronu po Janie Kazimierzu), którzy nawet już danego materyału nie wyczerpali i nie zużyli należycie.

Największéj sumienności i niemałego talentu dowody złożył Plebański w szkicu p. t. *Marya Gonzaga.* Postać królowéj, ręką pośpieszną ale trafnie odtworzona, rysuje się jasno i pięknie na ciasném, ale wyraziście i śmiało podmalowaném tle dziejów współczesnych. Historya ostatnich lat rządów Jana Kazimierza, zawarta w rzeczonym szkicu, jakotéż w dziele p. t. „*De successoribus Casimiri regis designandis*“, jest zarazem najlepszém dotychczas opracowaniem tego okresu. Autor nie ogranicza się na źródłach krajowych (jak np. Seredyński, który zna tylko Rudawskiego, Kochowskiego i Puffendorfa), lecz wprowadza wcale pokaźną wiązkę materyałów, wyjętych z francuskich pamiętników i zbiorów aktów dyplomatycznych, a nawet tu i owdzie z rękopisów naszych i zagranicznych.

Mimo tych zalet, szkice Plebańskiego są w całém tego słowa znaczeniu tylko szkicami, w których nie same jedynie szczegóły, ale i ważne rysy czekają jeszcze wypracowania, a nawet zupełnego nie-

kiedy przetworzenia, aby miały prawo do nazwy wykończonych obrazów.

Tu i owdzie zapełniają te luki specyalne monografie, jak np. Kalickiego o Bogusławie Radziwille, Małeckiego i Świderskiego o Andrzeju Morsztynie; ale są to tylko małe przyczynki, które wymogów naszych obecnych zaspokoić nie mogą wobec coraz nowych i coraz liczniejszych źródeł, już-to ogłoszonych drukiem, już w dostępnych rękopisach złożonych.

Jeżeli dziwną nazwiemy rzeczą, iż nawet postać takiéj miary, jak Jerzy Lubomirski, około któréj — rzec można — dzieje rzeczypospolitéj przez lat kilka kupią się i obracają, nie stała się dotąd przedmiotem *żadnego* opracowania, to z drugiéj strony usprawiedliwić możemy w części ten niedostatek względem, iż do niedawna trwający brak potrzebnych materyałów nie małą był w tym kierunku przeszkodą.

Pod tym względem jesteśmy o wiele szczęśliwsi od naszych poprzedników. Otworzyły się przed nami nowe zbiory źródeł niesłychanéj wagi, odsłoniły tajniki archiwów zagranicznych: ubóstwo przemieniło się w prawdziwe bogactwo.

Dostatek ten materyałów zawdzięczamy przedewszystkiém Stanisławowi Lukasowi.

Młody ten, a tak przedwcześnie zmarły badacz zostawił nam w spuściźnie nieocenione zbiory wypisów z archiwów i bibliotek zagranicznych, nagromadzone w ciągu kilkoletniéj mrówczéj, żelaznéj pracy. Nie spełniłbym obowiązku, nie uczynił zadość uczuciom wdzięczności, gdybym choć na tém miejscu nie odświeżył pamięci tego człowieka, który literaturze polskiéj zasłużył się już kilkoma bardzo cennemi studyami, a w sercach bliskich mu osób niezatarte pozostawił wspomnienia.

Nie mała to strata dla historyografii naszéj, że talent tak wielki, że charakter tak piękny i silny nie mógł się rozwinąć w całéj pełni na usługi nauki, tak ubogiéj w podobnych jemu pracowników. Żył on bowiem pracą, w pracy i tylko dla pracy: los nie pozwolił mu, niestety, zebrać jéj owoców....

Tém większa należy mu się wdzięczność od nas, którym przychodzi z łatwością używać plonów uciążliwego zasiewu. Cześć więc jego pamięci!

Materyały do naszego przedmiotu, a mianowicie do historyi roku 1664 znaleźliśmy w pięciu tomach „Tek Lukasa“: XII, XIII, XXXIII, XXXIX i XL (1).

---

(1) Nie miejsce tu rozpisywać się obszerniéj o wartości materyałów, zawartych w zbiorach Lukasa, zwłaszcza, że jeden z młodszych historyków lwowskich zamierza,

Pierwsze dwa zawierają odpisy z archiwum ministeryum spraw zagr. w Paryżu. Mamy tu całą korespondencyą dyplomatyczną między dworem wersalskim a poselstwem francuskiém w Warszawie, a to noty Ludwika XIV i de Lionne'a do de Lumbres'a i relacye poselskie ostatniego z Polski, a z drugiéj strony także korespondencye między Ludwikiem XIV a Maryą Ludwiką, królową pols., między królową a jéj sekretarzami, agentami we Francyi i t. d.

Tom XXXIII zawiera wypisy z archiwum zamku Chantilly. Są tu rzeczy, głównie do rodziny Kondeuszów się odnoszące. Tom XXXIX podaje kilka listów Ludwika XIV do Maryi Ludwiki. W tomie wreszcie XL znajdujemy odpisy listów tejże królowéj do ks. Kondeusza.

Zbiór ten, nader bogaty (mówimy o téj części, którą zużyliśmy w naszéj pracy), bo złożony z kopii kilkuset listów, not, dokumentów i t. p., był téż dla nas główném źródłem.

Jeśli zważymy, że polityka dworu polskiego w ostatnich latach rządów Jana Kazimierza postępowała ręka w rękę z Wersalem, że więc w stosunkach francusko-polskich trzeba szukać głównego wątku dziejów naszych owego czasu, to zrozumiemy, że jakiekolwiek jeszcze materyały na jaw wyjdą, rzeczom zawartym w „Tekach Lukasa,“ zawsze pierwsze wypadnie przyznać miejsce.

Lecz inaczéj rzecz będzie się miała, jeżeli postawimy pytanie w ten sposób: czy i o ile wystarczą one do historyi postaci, która nas głównie na teraz zajmuje, t. j. Lubomirskiego. Bo w takim razie wyznać nam przyjdzie, że materyały francuskie nie mogą w zupełności wystarczyć. Lubomirski nie należał do stronnictwa królowéj (naturalnie mówimy o r. 1664); przeciwnie, był najbardziéj zaciętym jego wrogiem. Działalność jego publiczna wiąże się natomiast najściśléj z polityką austryacką i brandeburską. Nie w Paryżu téż, lecz w Wiedniu i Berlinie leży zapewne tajemnica r. 1664 (odnośnie do naszego bohatera).

---

o ile nam wiadomo, w osobném studyum bliższą o nich podać wiadomość. Aby jednakowoż dać miarę nadzwyczajnéj pracowitości zmarłego, dość powiedziéć, że wypisy te, które nabyła na własność biblioteka Ossolińskich, stanowią w niéj dział osobny, złożony z 44 tomów, nazwanych „Tekami Lukasa.“ Przeważna ich część zawiera kopie z rękopisów paryskiego archiwum ministeryum spraw zagr. i odnosi się do czasów Zygmunta III-go, Władysława IV, a głównie Jana Kazimierza. Prócz tego znajdujemy tu znaczną ilość wypisów z innych zbiorów francuskich, jak z archiwum ks. Orleańskich w Chantilly lub z biblioteki narodowéj w Paryżu. Kopie, notatki i t. p. z archiwum ministeryum spraw zagr. berlińskiego (do czasów Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego) zajmują drugą, mniejszą część.

I na tym punkcie praca nasza utyka: ani materyałów z Wiednia, ani też z Berlina nie mieliśmy pod ręką. Szacowny zbiór dokumentów do czasów Fryderyka Wilh. brandeburskiego, ogłaszany w nieskończoném dotychczas wydawnictwie: „*Urkunden und Actenstücke zur Geschichte Friedrich Wilhelm's von Brandenburg*“, wypełniłby w znacznéj części tę lukę; ale, niestety, źródła do spraw polskich urywają się w tomie ostatnim na r. 1663.

Trzeba więc było na razie ograniczyć się na Tekach Lukasowych. Ta jednostronność materyałów przyczyniła pracy naszéj jednę więcéj trudność. Bo posługując się całą ową cenną korespondencyą francuską, należało pamiętać, iż cokolwiek w niéj znajdziemy, wszystko to pisane jest przez nieprzyjaciół marszałka, stąd bliska możliwość mimowolnych zboczeń od prawdy historycznéj, stąd niebezpieczeństwo popełnienia niesprawiedliwości względem głównéj postaci naszego opowiadania. Aby przeto, o ile można, uchronić się od podobnych błędów, musieliśmy się powodować wobec listów, relacyi i t. p. takiego de Lumbres'a i jego politycznych kolegów, a zatém najzaciętszych antagonistów Lubomirskiego, wielką przezornością; strzedz się domysły i niektóre twierdzenia stronników francuskich podawać za pewne, unikać tonu apodyktycznego, stanowczego, gdziekolwiek się nasuwała wątpliwość, a o jéj rozstrzygnięcie z braku innych źródeł nie podobna było się pokusić: słowem trzymać się wobec przeciwników marszałka tych samych zasad, które były ich programem: polityki nieufności i niedowierzania.

Niedostatki, pochodzące z rzeczonéj jednostronności materyałów zagranicznych, wynagrodziły nam w znacznéj części inne zbiory biblioteki Ossolińskich. Obok listów Lubomirskiego i do Lubomirskiego, nie mniéj mów, uniwersałów i t. p. znaleźliśmy tu dwa cenne dyaryusze sejmu z r. 1664.

Wielce też przyczyniła się do uzupełnienia naszéj pracy piękna kolekcya listów oryginalnych Jana Kazimierza do Maryi Ludwiki, z wyprawy moskiewskiéj (w latach 1663—4) pisanych, z których korzystaliśmy dzięki życzliwości ich właściciela, d-ra Ks. Liskego. Niech mi będzie wolno wyrazić za nie na tém miejscu serdeczną moją podziękę.

Poszukiwania w archiwum aktów grodzkich i ziemskich lwowskiém nie wiele przyniosły w rezultacie; cośmy w niém znaleźli, zostało naturalnie uwzględnione.

Wobec takiego dostatku materyału rękopiśmiennego — inne źródła, mianowicie wszystkie prawie drukiem ogłoszone, maleją niezmiernie i na ostatni dopiero plan się usuwają. Opowiadania Kochowskiego i kilku pamiętnikarzy, współczesnych naszéj sprawie,

dla ich pobieżności musieliśmy pozostawić na uboczu; najwięcéj jeszcze wiadomości zawdzięczamy pierwszemu.

Ale i między tymi drukowanymi materyałami wypada nam poczynić pewne wyjątki. Nieocenioną dla nas rzeczą było mianowicie sprawozdanie urzędowe z procesu Lubomirskiego na sądzie sejmowym w r. 1664, ogłoszone bezpośrednio po jego ukończeniu pod redakcyą samego kanclerza i za wolą króla. Znajdujemy tu zebrane nie tylko wszystkie dokumenty, odnoszące się do téj sprawy, lecz nawet wszystkie mowy, jako to oskarżyciela, obrońców, pojedyńcze uchwały i t. d. i t. d.

Wielu ciekawych szczegółów dostarczyły nam sumienne relacye Gazety francuskiéj, jakotéż dwa zbiory źródeł: Fr. Kluczyckiego „Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego," jakotéż „Zbiór pamiętników hr. Broel-Platera."

Jedno źródło pominęliśmy na razie, mianowicie: „Manifest jawnéj niewinności" Lubomirskiego. Datą wydania należy on do roku 1665. Jest-to protestacya przeciw niesłusznemu rzekomo wyrokowi. Ciekawe to pismo może być użyte jako źródło tylko przy rozbiorze kwestyi: winien czy nie winien? A na to pytanie odpowiadać dziś jeszcze nie czas i nie sposób. Będzie to możliwe dopiero po szczegółowém i gruntownérn zbadaniu dziejów lat 1661—3. Na razie (mówimy: na razie, bo jest zamiarem naszym wypracować całkowitą biografię Lubomirskiego) rzecz tę zostawiamy w zawieszeniu.

A teraz kilka słów o pracy saméj. Stanęliśmy wobec postaci, jednéj z najwybitniejszych w czasach Jana Kazimierza. Nie wyjdzie to na chlubę Lubomirskiego, ani nie podniesie w niczém jego znaczenia i sławy, jeśli powiemy, że był to człowiek niezwykłéj miary: ogarnął on i przepełnił sobą całe nieledwie dzieje polskie w latach od r. 1661—6. Chcąc więc odtworzyć tę postać potężną, nie można się było ograniczyć na lekkiém tylko podmalowaniu tła historycznego; trzeba było wejść w szczegóły, wysunąć naprzód otoczenie marszałka, jeżeli rysunek główny nie miał stracić na barwie i całości.

Stąd rozmiary naszego studyum: z historyka sprawy Lubomirskiego wypadło nam przedzierzgnąć się niekiedy w historyka Polski w roku 1664.

Zaczniemy więc od rzutu oka na sprawę obioru następcy tronu po Janie Kazimierzu i udział w niéj Lubomirskiego.

Trzy siedmiolecia składają się na rządy Jana Kazimierza: trzy siedmiolecia i trzy okresy nieszczęść dla rzeczypospolitéj i dla króla. Bunt Kozaczyzny rozpoczyna te smutne czasy, środek wypełnia

wojna z północnym najeźdzcą, a szereg konfederacyi wojskowych, sejmów zrywanych i rokosz otwarty — oto epilog.

Kilka lat ciężkich doświadczeń i prób bolesnych, częstych upokorzeń i codziennych prawie zawodów wystarczyło, aby złamać serce nawet tak silne i mężne, jakie nosił w piersiach ostatni z Wazów, waleczny żołnierz, dzielny wódz i strategik, ale nie tęgi polityk i dyplomata nie biegły.

Rok 1655 wniósł w umysł króla tę niechęć, to złamanie i zwątpienie, które się objawiało przez dalszy ciąg rządów w zamiarze złożenia korony ze znużonéj skroni, abdykacyi dobrowolnéj na rzecz— szczęśliwszego.....

Myśl ta zrodziła wśród sfer dworskich inną, po tamtéj nasuwającą się w naturalnym rzeczy porządku: projekt obioru następcy tronu za życia Jana Kazimierza. I przyznać się godzi, że sprawa sama, oceniana ze stanowiska dzisiejszych naszych na owe czasy poglądów, nosiła na sobie piętno polityki zdrowéj i zbawiennéj. Zasadnicza korzyść leżała w tém, że przeprowadzenie projektu w sposób prawidłowy mogło uchronić Polskę od przyszłego bezkrólewia; a to znaczyło tyle, co wybuch anarchicznych wstrząśnień stłumić w zarodku, co uchronić nawę rzeczypospolitéj chwiejącą się i uszkodzoną, od nadciągającéj burzy, a może i ruiny.

Kwestya elekcyi następcy, w czasie wojny szwedzkiéj poruszana mimochodem i używana zrazu jako środek polityczny, celem przejednania nieprzyjaciół lub pozyskania nowych sprzymierzeńców, wypełnia ostatnie siedmiolecie rządów króla prawie całkowicie, jako sprawa główna, około któréj wszystkie inne kupią się i obracają. Wówczas na pierwszym punkcie porządku dziennego stanęło pytanie: kto zasiędzie miejsce, mające się opróżnić po ustępującym dobrowolnie lub wskutek śmierci królu? A z tém—oczywiście, sprawa ta z wewnętrznéj, domowéj, przechodzi na widownię polityki europejskiéj.

Wiadomo, jaka jest istota dziejów europejskich w drugiéj połowie XVII wieku: wypełnia je jeden wielki zapas nie o równowagę, lecz o przewagę zupełną, stanowczą nad Europą, rozgrywający się między dwoma mocarstwami, Francyą i Austryą.

Genialny monarcha Ludwik XIV, prawdziwy „żelazny książę“ swego wieku, „Roi-Soleil,“ jak go nazywali współcześni, zamierza się na podupadły, zniszczały kolos cesarstwa, aby na jego gruzach nowy wznieść gmach uniwersalnéj monarchii i władać w nim z koroną rzymską na głowie. Cesarza wspiera urok tradycyi dziewięciowiekowéj; król francuski ufa i wierzy tylko w przyciągającą władzę złota, pieniądzem walczy i zdobywa jednostki, stronnictwa, narody....

Różną bronią, ale z równą zaciętością i wytrwałością toczy się ten bój rywalów przez pół wieku—w pokoju i na wojnie: otwarty na polach bitew i tajny w kołach dyplomatów, na wielkiéj widowni Europy i wewnątrz każdego państwa i państewka, gdziekolwiek różnica interesów lub przekonań stworzy rozdwojenia, dające się wyzyskać. Jeśli zaś na kim, to szczególniéj na Polsce musiało wielce zależéć obu tym przeciwnikom.

Bo—bądź co bądź, mimo upadku swego znaczenia, rzeczpospolita była jeszcze wówczas uważana za potęgę, a ustrój jéj rządów, elekcyjność tronu większą, niż gdzie indziéj podawała możność zdobycia potężnego wpływu. Nie uszły naturalnie baczności Francyi ani Austryi plany dworu polskiego co do obioru następcy po Janie Kazimierzu: owszem, od początku one to same chwyciły w swoje ręce kierownictwo całéj sprawy, a Ludwik XIV nie omieszkał uprzedzić innych, aby w niéj przeważną odegrać rolę. I tu okoliczność jedna niezwykłego znaczenia zdawała się składać na korzyść króla francuskiego: polityka jego znajdowała znamienitą dla siebie pomoc i podporę w małżonce Jana Kazimierza.

Marya Ludwika była rodowitą Francuską. Wspomnieniami młodości i świeżymi tradycyami rodziny (pierwotnie włoskiego—co prawda—pochodzenia) przywiązana do domu burbońskiego, nie dziw, że światła ta i rozumna pani ciążyła całe życie sympatyami osobistemi ku Wersalowi, który nie dla niéj tylko, ale i dla świata całego był przedmiotem podziwu, uwielbienia, a naturalnie i zazdrości. Ta to okoliczność wielką miała dla Ludwika XIV, doniosłość. Bo Marya Gonzaga—wiedziano to powszechnie—nie była malowaną królową. Uderza w téj kobiecie żywy, przedsiębierczy umysł, niezwykła energia i giętkość ducha; wszystkie jéj przedsięwzięcia i czynności cechuje pewna, niezwykła w niewieście, męskość i krewkość. Ruchliwa, niespokojna natura parła ją nieustannie do działania: skłonność ta przeradza się późniéj w prawdziwą namiętność i żądzę kierowania całą polityką państwa, skupiania wszystkich nici działań dyplomatycznych we własnych ręku.

Nie myślimy przemilczać ujemnych stron w charakterze królowéj i podobno było ich nawet więcéj niż dodatnich. Nie umie ona, czy nie chce przebierać w środkach, gdy o osiągnięcie czegoś ważnego idzie; jakkolwiek pilnie przestrzega przepisów kościoła i za wzór pobożności uchodzi, względy sumienia bynajmniéj jéj nie krępują, gdy wykroczenie przeciw niemu może przynieść niezwykłe korzyści. Posługując się innemi osobami, na podsycaniu ich namiętności, na podtrzymywaniu prywatnych niezgód i zawiści niejednokrotnie gruntuje swoje plany i intrygi. Okrywa zwykle swe czynności ta-

jemnicą: strzegąc jednak, by jéj inni nie wyjawili, sama dochować nie potrafi sekretu i lekkomyślnie się zdradza zbyteczną gadatliwością i przez skłonność szczególną do zwierzeń (1).

Otóż ta to kobieta upatrzyła sobie kandydata na króla-następcę w swéj rodzinnéj ziemi. Książe Henryk Juliusz d'Enghien, syn Ludwika Kondeusza Wielkiego, miał się odtąd cieszyć jéj względami i poparciem. Tkwiłaż w tym wyborze głębsza jaka myśl polityczna, czy jedynie był to wynik naturalnych sympatyi i wpływu dworu wersalskiego?

Rozstrzygnąć trudno. Jakkolwiek bądź oceniamy królowę, tego niepodobna zaprzeczyć, że nową swoją ojczyznę, Polskę, nauczyła się ona kochać szczerze, patrząc na jéj dwudziestoletnie nieszczęścia i pracując nad ich usunięciem; a bystry, przenikliwy zmysł polityczny należał też niezawodnie do przymiotów Maryi Ludwiki. Z tém wszystkiém, nie umiemy wskazać, czy kiedy wypowiedziała myśl tę jasno i wyraźnie; to jedno jest pewném, że jeśli działała w interesach swego stronnictwa czy też Francyi, to najczęściéj z tém przekonaniem, że czyni to dla dobra rzeczypospolitéj (2). Nie ulega także wątpliwości, że plan wyniesienia na tron młodego Kondeusza był oparty na silniejszych podstawach, aniżeli sympatye dla Burbonów.

Marya Ludwika nie zaznała nigdy słodyczy uczuć macierzyńskich. Szczęśliwsza w tym względzie jéj siostra Anna Goznaga, żo-

---

(1) Trafną i szczegółową charakterystykę Maryi Lud. przeprowadził Plebański w studyum: „Marya Gonzaga." Odsyłając do niego, nie możemy się jednakowoż powstrzymać, aby do dowodów, które wymieniony autor przytoczył, nie dodać dwóch nowych szczegółów. Jeden z nich, w liście Jana Kaz. do żony (Oryg. w tece dra Liskego Dat. dal campo sotto Corop, 17 di Gennaio 1664), uwydatnia tę znaną gadatliwość i niedyskrecyą królowéj przy wielkiéj mimo to troskliwości o zachowanie tajemnicy wszelkich własnych sekretów: „Non so et non mene posso imaginare,"—pisze król,—„di dove vi sia venuta questa suspizione, che le vostre lettere siano viste d'altri. Siate certa che tutte quante che io ricevo da voi sono sempre brugiate, e che non è nessuna che io non la lega prima d'abrugiarla: *ma se quello che scrivete a me scrivete poi ad altri ancora, come è già occorso qualche volta è che vien essere saputo d'altri, non è la colpa mia!*"—Millet, attaché poselstwa francuskiego w Polsce (od stycznia 1665) wytyka też samą gadatliwość, a przytém zmienność myśli i zdania w królowéj nieco ironicznie, ale dosadnie, w liście do de Lionne'a (Teki Luk. t. XIII k. 14: Varsov. 9 Janv. 1665): „Sa Majesté a certainement de grandes affaires sur les bras *et s'occupe à parler depuis le matin jusqu'au soir* (*!*) *mais je lui vois beaucoup d'incertitude dans ses resolutions*. Il est vrai que les matières sont difficiles et delicates"....

(1) Oto, jak się wyraża Marya Lud. o sprawie elekcyi następcy tronu w liście do Kondeusza (T. Luk. XL. Nr. 15, k. 14: le 13 Mars [1664]): „*De l'affaire présente dépend tout le bonheur ou le malheur de la Pologne*. Il faut donc attendre ce que Dieu a ordonné".... Widać tu, że królowa powodzenie swego dzieła uważała za konieczny warunek powodzenia i dobrobytu państwa.

na palatyna nadreńskiego Edwarda, zostawiła trzy córki: z tych średniéj, urodzonéj r. 1648, było na imię Anna Henryka Julia (1). Na tę to siostrzenicę spłynęło całe nie zaspokojone uczucie miłości Maryi Ludwiki. Ulubienicę swą otaczała krolowa prawdziwie rodzicielskiém przywiązaniem; kiedy téż dziecię dorastać poczęło, zrodziło się w jéj duszy pragnienie wyniesienia młodéj księżniczki na tron polski. Wybrała jéj przeto, za zgodą Ludwika XIV, na męża księcia d'Enghien'a, aby go potém w Polsce przeprzeć na króla elekta. Miłość ta, jako pobudka wieloletnich zabiegów królowéj, jest może najpiękniejszą zaletą téj kobiety, któréj życiu i działaniu wiele jeszcze przyjdzie nam nieraz zarzucić. Dlatego u wstępu z tém większym naciskiem podnosimy ten pogodny rys jéj charakteru (2).

Lecz kiedy się bliżéj przyjrzymy tym energicznym, konsekwentnym staraniom królowéj, téj wytrwałości, która wbrew zmiennéj naturze—mimo niezliczonych trudności—cechuje jéj działania w sprawie elekcyi przez cały lat szereg, to przyjdzie przypuścić, że myśl owa, w szczęśliwéj dla Francyi zrodzona chwili, była dla téj kobiety czemś więcéj, niż wypływem uczucia miłości: była cząstką najpiękniejszych jéj marzeń i ostateczném pragnieniem i celem jéj życia... I wierzymy, że tak było w istocie: bo nie jest to paradoks, lecz wniosek, wysnuty z własnych słów i zwierzeń królowéj.

---

(1) Urk. und Act. zur Gesch. Friedr. Wilh. v. Brandenb. IX, str. 180. Uw.

(2) Wystarczy pobieżnie przejrzéć listy Maryi Lud. do ks. Kondeusza (w XL tomie, Tek Luk. zawarte), aby się przekonać, że stosunek królowéj do siostrzenicy był istotnie taki, jak matki do córki. Przebija w nich wszędzie tyle przywiązania, tyle pamięci, tyle troskliwości, posuniętéj do drobnostek, około wszystkiego, co się odnosi do ks. Anny, że przeciw miłości téj nie można znaleść ani cienia zarzutu. Pełno tu w każdym prawie liście przestróg i napomnień, pełno rad i wskazówek, iście macierzyńskich. Przytoczymy na dowód kilka miejsc bez wyboru.

„Je suis ravie de ce que vous me mandez de la conduite de notre fille,“ pisze 8 lutego 1664 (T. L. XL k. 11). „Je l'aimerai cent mille fois davantage“..... Albo znowu „J'ai recu une lettre de ma fille,“—czytamy gdzie indziéj, (20 marca 1664, ibid. k. 17),—„qui veut que je sache, qu'elle aime passionnement son mari et me parait qu'elle a plaisir de l'écrire. Dieu leur donne sa sainte bénédiction et me fasse la grâce de les pouvoir embrasser un jour. Je vous supplie de prendre soin de leur santé.“

Wspomnienie o Annie i odczytywanie listów z Chantilly od niéj lub o niéj—jest dla królowéj najmilszą rozrywką i ucieczką w chwilach zgryzoty lub cierpienia. Oto co pisze: „Enfin dans le temps, que je lis les lettres que vous prenez la peine de m'écrire et que je puis parler de vous, j'oublie la melancholie, que la continuation de mon mal d'oei me donne“ (11 Sept. 1664. k. 20). Albo: „Combien de fois me verriez-vous au milieu de vos petites conversations, si ce fâcheux obstacle de l'impossibilité pouvait être surmonté! Il faut que je me contente de m'imaginer tout que s'y dit et que tout cela se passe dans mon coeur, n'ayant personne ici capable de me répondre“ (13 Janv., 1664 ibid. k, 10) i t. d.

Wśród niespokojnego, burzliwego żywota, na jaki los skazał królowę w nowéj ojczyźnie, wśród nawału pracy i natłoku zajęć, które się piętrzyły i wikłały, tworząc ciągły chaos i nowe coraz gromadząc trudności, nie dziw, że w Maryi Ludwice budziły się nieraz pragnienia i myśli wypoczynku, zdala od gorzkich trosk codziennych. „Gdyby źli ludzie nie niszczyli moich zamiarów,“—zwierza się królowa Kondeuszowi (1)—„to, cieszyłam się nadzieją, że wyniosłszy syna na tron (polski) wy i my również wyniesiemy go potém i na moskiewski..... Miałabym wtedy spokój i zbyłabym się tych kłopotów, które mi ciężą.... Tysiące razy myśli te od dwóch dni przychodzą mi do głowy.....“

A jeśli się to kiedyś spełni—marzyła (2) — „wówczas będę spoglądać na moje dzieci, którym naprzód oddam całe mienie, aby żadnéj więcéj nie miéć troski — i jestem przekonana, że taka wola Boża.... Trzeba więc miéć cierpliwość.....“

Mając głowę i serce zajęte tą jedyną myślą, rozwija królowa w ostatnich latach życia rozległą i gorliwą działalność ku jéj najwcześniejszemu urzeczywistnieniu. Wszystkie jéj zabiegi i usiłowania kupią się w tym kierunku (3). Projekt obioru Enghien'a staje się jakby „*idée fixe*“ jéj żywota, pochłania ją całą i zaślepia do tego stopnia, że dla ulubionéj myśli uczciwa w gruncie kobieta nie waha się poświęcić wszystkich innych względów, nawet względów sumienia. W ścisłym stosunku z Wersalem, poddana zupełnie wpływowi Ludwika XIV i jego posła de Lumbres'a, stamtąd przyjmuje rozkazy, stamtąd czerpie rady, wskazówki i środki. Intrygą i pieniądzem przygotowuje i zjednywa umysły dla swego przedsięwzięcia. „*L'argent doit être éstimé comme un remède necessaire*,“ powiada w liście do Kondeusza (4) i trzyma się stale téj zasady, przywiezionéj z Paryża.

A trzeba było rzeczywiście rozwinięcia wszystkich sił, rozsnucia wszystkich sideł zabiegów i intryg, aby dotrzéć do celu: bo oto w pół drogi do niego staje zawadą staraniom stronnictwa dworskiego przeciwnik, jeden wprawdzie, lecz równéj siły, bo oparty na wrogich królestwu i Francyi żywiołach wewnątrz i zewnątrz rzeczypospoli-

(1) T. Luk. XL, k. 14—15: 13 Mars (1664).

(2) T. Luk. XII, k. 18: La reine de Pol. à M. de Noyers, Varsov. 25 Janv. 1664.

(3) Dość przytoczyć uwagę Millet'a w liście do Lionne'a wyżéj już cytowanym: „...... je la (la reine) crois si fort attachée d'amitié à la maison de M. le prince qui désire l'élection si ardemment, *qu'il faut qu'elle soit tout-à-fait desesperée et sans ressource, si elle prend un autre parti*“..... „.....M. de Lumbres dit, qu'elle est fort entière en ce qu'elle veut; il n'est question que de savoir à quoi elle se determine.“

(4) T. Luk. XL, Nr. 15, k. 15; 13 Mars (1664).

téj. Był nim Jerzy Lubomirski, marszałek wielki i hetman polny koronny.

Nie miejsce tu rozbierać powody, dlaczego ten wielkiéj zasługi i wpływu senator, gorliwy zrazu poplecznik intencyi królowéj, nagle zmienia swoje sympatye i stanowczo występuje do walki przeciw onemu dziełu, do którego dość długo uczynną przykładał rękę. Że obrażona prywata ważną w tym zwrocie odegrała rolę, to zdaje się nie ulegać wątpieniu; a i to pewna, że marszałek chętny dawał posłuch podszeptom dworów zagranicznych, cesarskiego i brandeburskiego, że w ciągu swojéj zgubnéj działalności w bezustannych z niemi zostawał stosunkach. Lecz, czy działał jedynie w interesie wrogich Francyi mocarstw europejskich, czy też—jak sądziło wielu—dał się porwać ambitnym nadziejom zdobycia tronu dla siebie, na razie trudno rozstrzygnąć... Niejednokrotnie przyjdzie nam o to pytanie zaczepić: lecz nie czas jeszcze dzisiaj i nie sposób ostatnie o tém wypowiedziéć słowo. Jestto zagadka, któréj rozwiązanie dać mogą chyba tajniki archiwów wiedeńskich i berlińskich, a i te nie całkiem pewnie, bo nieraz i o tém wątpić przychodzi, czy wobec swych sprzymierzeńców działał ten dziwny człowiek całkiem otwarcie i szczerze. Do głębi tego umysłu, do samego dna jego niespokojnéj duszy sięgnąć nie łatwo: skryty, fałszywy, a przytém oględny w mowie i piśmie, nie spowiadał się on tak chętnie, jak królowa, ze swoich pragnień i zamiarów przed tymi nawet, którzy za przyjaciół jego uchodzili, a w obec nieprzyjaciół i tych, którym nie ufał, okrywał się zawsze maską nieprzeniknioną; i ze współczesnych nawet mało kto podobno poznał do gruntu tego być może Waldsteina lub Kromwella polskiego... Tém trudniejsze zadanie ma w obec niego historya...

Jakkolwiekbądź się rzecz miała, faktem jest, że z chwilą odstępstwa Lubomirskiego sprawa elekcyi zaczyna chwiać się, tracić podstawę pod sobą i szybko ku upadkowi się chyli.

Sejm r. 1661, na którym ją przeprowadzić zamierzano, okazuje się projektowi niechętnym: król go cofnąć musi na razie, nie chcąc kazić prawomocności uchwał sejmowych. Równocześnie powstaje związek wojskowy i daje początek wewnętrznemu zawichrzeniu rzeczypospolitéj. Wśród ogólnego wzburzenia umysłów sprawa elekcyi upada ostatecznie na sejmie r. 1662: zarzut zbrodni stanu zaciąży nad tym, kto się poważy podnieść ją i popierać w przyszłości. Nieład i zamieszanie dochodzi szczytu. Komisye dla zaspokojenia wojska odbywają posiedzenia, jak na wulkanach. Z wielkim trudem zdobyta ugoda w Wolborzu nie zyskuje zatwierdzenia dworu. Rok 1663 ma się stać widownią wojny domowéj: wrogie partye stają zbrojno naprzeciw sobie i tylko niezrozumiałéj niestanowczości przewodców

rokoszu przypisać należy, że wybuch zażegnano. Ledwie w lipcu r. 1663 zdołano rozwiązać fatalną konfederacyę. Oto, co przyniosła owa sprawa elekcyi, podniesiona w dobréj myśli, lecz w nieszczęśliwych okolicznościach.

Królowa, dwór, Francuzi uważali za sprawcę i patrona tych zamieszek Lubomirskiego. Stąd to rozdwojenie, ta zawiść i rozjątrzenie, które odtąd dzieli Polskę na dwa przeciwne, wrogie sobie stronnictwa. Król wyrusza na wyprawę do Moskwy: lecz przed opuszczeniem Korony rozwięzuje wszystkie chorągwie marszałka, chcąc mu zapewne odjąć możność spełnienia rewolucyjnych zachcianek. Lubomirski, dotknięty do żywego, pozostaje w domu: i odtąd walka otwarta, sparaliżowana chwilowo energicznem zarządzeniem króla, przenosi się znowu na grunt inny: na pole intryg i dyplomatycznych turniejów. Tworzą się jakby dwa obozy, które przy każdéj sposobności, nieprzebierając w środkach, usiłują sobie wzajem dokuczać, szkodzić i krzyżować wszelkie przedsięwzięcia.

I.

Plany królowéj. Układy z Lubomirskim i ich stanowcze zerwanie.

Sejm z r. 1662 był dla partyi dworskiéj okresem najcięższych klęsk i porażek. Uchwała, wymuszona na królu, wydania „reassumpcyi prawa o wolnéj elekcyi, nie mniéj do skasowania wszystkich dokumentów sprawy elekcyi za życia jego się tyczących“ spadła gromem na Maryę Ludwikę. Gmach, z takim trudem i kosztem wzniesiony, runął nagle: dzieło któremu brakło tylko epilogu, zniszczono i wystawiono na indeks, pod grozą śmierci wzbraniając poczynać je i przerabiać na nowo.

Cios ten — co prawda — nie złamał doświadczonéj królowéj (zwłaszcza, że ślub Enghien'a z księżniczką Anną Henryką, dokonany wreszcie w Paryżu 11 grudnia r. 1663 (1), utwierdził ją i wzmocnił na nowo w przedsięwzięciu, które i tak jako jedyne, najmilsze zadanie życia pojęła), ale zawód doznany przyniósł gorzkie, smutne doświadczenia na przyszłość; poznała ona, że dążyć do celu drogą pokojowéj pracy, łagodnéj czy surowéj perswazyi, powolnych starań i zabiegów—był to trud próżny i niby płonna praca Syzyfa: ciężar, z ostatnim sił wytężeniem na szczyt góry prawie wytoczony, zapadał znowu w przepaść, zepchnięty lada nienawistną ręką obrotnego malkontenta. Postępowanie przeciwników naprowadza ją teraz na

(1) Urk. und Act. zur Gesch. Friedr. Wilh. v. Brand. IX, str. 180. Uw.

inną drogę: nie można w ciszy i pokoju, a więc, jak tamci w swoim zakresie, popchnąć i przywieść sprawę elekcyi do celu przemocą, użyciem siły. I oto przykład, na jakie manowce sprowadzić może człowieka, choćby przystępującego do dzieła z dobrą wiarą, namiętność gniewu, długo tłumionéj zawiści i rozjątrzenia. Królowa w boju z anarchią, chwyta się środka, potępianego przez siebie, przeciw któremu chce walczyć: anarchii i gwałtu. Marya Ludwika tak rozumowała: wytoczyć sprawy elekcyi na porządek dzienny w sposób legalny nie podobna, bo byłoby to rażącém wykroczeniem przeciw konstytucyom z r. 1662, które zabroniły tego surowo: od zakazu sejmowego nikt inny wyłamać się nie zdoła, jak tylko armia w pogotowiu wojenném. „Ona to pod pretekstem, że jéj nie spłacono żołdu albo też pod jakimbądź innym pozorem zbliżyć się może do miejsca obrad sejmowych, przedłożyć na nich wniosek obioru następcy i przeprzeć takowy pod grozą użycia broni“..... (Takie były własne poglądy królowéj, wedle podania de Lumbres'a) (1).

I pod wpływem takiego rozumowania jęła się królowa myśli oparcia się na armii i przeprowadzenia przy jéj pomocy swoich zamysłów (2). Zjednać dla siebie wojsko, aby ramieniem jego zniweczyć opór i urzeczywistnić upragnioną ideę—oto w ogólnych zarysach program, którym się kieruje stale przez cały rok 1664, partya dworska z królową na czele (3). Ryzykownemu temu przedsięwzięciu zamierzono nawet nadać ściśle określone formy: pozyskana ar-

---

(1) T. Luk. XII, k. 117: De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 29 Août 1664.—Podobna myśl wyrażona już poprzednio również w liście de Lumbres'a do Ludwika (ibid. k. 73. Varsov. 22 Mai 1664): „Il sera aussi malaisé avant ce-temps-là de pouvoir prendre de justes mesures, si ce n'est qu'on se puisse assurer des armées de Lituanie, *parce qu'en l'un ou l'autre de ces deux cas on pourrait faire proposer la matière de l'élection dans la diète-même par les armées ou par le grand-duché.*“ Por. także: ibid. k. 117: De Lumbres à Louis XIV: Varsov. 29 Août 1664.

(2) Że rzeczywiście plan ten powstał nie w połowie r. 1664, jakby się to wydawać mogło z dat listów, podanych w poprzednich uwagach, lecz o wiele wcześniéj, z początkiem jeszcze tegoż roku, dowodzi ustęp z listu królowéj do de Noyers'a (T. Luk. XII, k. 14. Varsov. 18 Janv. 1664): „(la confédération).... a obligé le roi *à se mettre à la tête des armées* pour en empêcher une autre et *s'en rendre maître pour faciliter l'élection du successeur.*“

(3) „Przez cały r. 1664“ mówimy; bo jeśli z poprzednich cytat widzimy, że w początku i w ciągu roku (maju—wrześniu itd.) myśl ta stale się utrzymywała, to w jednym z listów grudniowych t. r. mamy dowód, że i w końcu r. 1664 nie przestawała ona zaprzątać uwagi królowéj: (T. Luk. XII k. 195. De Lumbres à M. de Lionne. Varsov. 19 Dec. 1664): „.....notre affaire..... ne peut réussir, comme elle (la reine) croit, *sans y employer la force.*“

mia zawiąże się w konfederacyę, król obejmie jéj kierownictwo przez wiernego jakiego marszałka i drogą niejako terroryzmu zapanuje nad sytuacyą (1). Jednem słowem plan ów zakrawał na formalne „*coup d'état*“ dziwnego rodzaju, bo pod auspicyami i w interesie korony, która w innych razach zwykle sama pada ofiarą takowych zamachów.

Lecz zachodziło pytanie, jak przyciągnąć na swoją stronę wojsko, ten żywioł burzliwy i zmienny, a tyle wrogi, jak przeszłość okazała, dworowi i jego stronnictwu?—W tym względzie miała królowa swoje wyrachowanie, oparte na gruntownéj znajomości natury żołnierza polskiego i umiejętném ujęciu i wyzyskaniu bieżących wypadków, ktorych widownią były wschodnie granice państwa.

Jan Kazimierz wyruszył w sierpniu r. 1663 na czele uspokojonéj armii przeciw Moskwie. Była to wyprawa, obliczona na wielkie rozmiary: rozpoczęto ją z wielkim hałasem i pompą. Liczni senatorowie i dygnitarze, nie tylko świeccy lecz nawet duchowni podążyli ku Dnieprowi w orszaku królewskim...

Na tém to dziele wojenném gruntował się właśnie plan królowéj. Niech król wytęży wszystkie siły, zwycięstwami utoruje sobie drogę do stolicy sąsiada, niech go upokorzy w jego własnéj rezydencyi, i podyktuje mu tam warunki pokoju! (2). Świetność i rozgłos zwycięskich czynów odświeży blask jego imienia, odnowi jego zachwianą wobec narodu powagę, podniesie wodza wysoko w oczach rycerstwa. Armia, upojona powodzeniem pod szczęśliwém hetmaństwem króla, pozwoli mu chętnie sobą powodować, stanie się w ręku jego powolném narzędziem. Wtedy na czele wojsk oddanych sobie powróci zwycięsca do Polski i przeprowadzi z łatwością zamy-

---

(1) „J'ai conclu à une confédération“ wyraża się Marya Ludwika krótko w liście do Kondeusza (T. Luk. XL, str. 10: le 14 Fevr. [1664]). Podobnież czytamy w późniejszym liście królowéj do de Noyers'a (T. Luk. XII, k. 55: Varsov. 3 Avr. 1664): ....„Je crois qu'il nous faudra remettre sur pied *la confédération pour mieux réussir à l'élection.*“— Szerzéj zaś plan ten znajdujemy rozwinięty w liście de Lumbres'a do de Lionne'a (T. Luk. XII. k. 34: 29 Fevr. 1664): „Elle (la reine) songe même a prendre de là sujet *de former sous main une confédération, qui* sans qu'il en paraisse rien, sois dans l'obéissance du roi et *sous un maréchal, qui soit dans nos intêrets* pour s'en servir à faire réussir notre dessein, ce qu'elle juge bien ne pouvoir arriver dans la conjoncture, ou les chcses se trouvent aujourd'hui, sans y employer quelque peu de force.“

(2) T. Luk. XII k. 18: La reine à M. de Noyers, Varsov. 25 Janv. 1664: „Je lui (au roi) conseille donc de ne pas revenir, mais *plûtot de s'avancer dans la Moscovie, parce que c'est un moyen pour favoriser notre élection.*“—Por. ibid k. 21, Fantoni à de Noyers. Varsov. 25 Janv. 1664: „Vede necessaria assolutamente la regina la pace con Moscoviti, e per questo non a lasciato di far ogni sforzo per persuadere al rè che entri in Moscovia per necessitar l'inimico à venire à trattati.“ I wiele innych miejsc t. p.

sły, do których zaśniedziała korona nie wszystkich zdołała przywabić (1).

Tą myślą opanowana, wpływa królowa w listach swoich i przez posłańców nieustannie na męża, troskliwa i trwożna, by nie stracił z oczu tych korzyści, jakie może przynieść dobry sukces wyprawy. To przypomina, że już sama ambicya i dbałość o sławę imienia Wazów winna być dla niego bodźcem stanowczych kroków, to znowu przekłada, że nie podobna będzie zawrzéć korzystnego a upragnionego przez szlachtę pokoju z sąsiadem, jeśli się go nie upokorzy, powołuje się na historyków wojen, dowodząc, że wyprawy ostatnich dwóch królów na Moskwę nie odnosiły dlatego pożądanych skutków, że zamiast iść na stolicę, wodzowie zabawiali się oblęganiem twierdz pogranicznych (2). Zdobycie stolicy jest jedynym warunkiem korzystnego pokoju, a korzystny pokój po zwycięstwie armii jedynym warunkiem powodzenia projektów królewskich.

Do końca roku 1663 wyprawa postępowała dosyć po myśli królowéj: armia posuwała się pośpiesznie naprzód, przeszła na Zadnieprze, a król w listach objawiał gorącą chęć i intencyę pochodu na stolicę. O żadnych klęskach i niepowodzeniach nie było wiadomości. Królowa była dobréj otuchy i wielkimi nadziejami witała nowy rok: 1664.

Nie wszyscy w Koronie dzielili jednak te pogodne uczucia. Bo podczas kiedy w jéj otoczeniu panowała radość, kiedy w Warszawie w sferach dworskich gromadzono materyały do budowy tego dzieła, któremu grunt miała zgotować teraźniejsza wyprawa, w wiśnickim zamku znalazł się człowiek, co gryzł się, niepokoił i trawił w sobie gniew zacięty, śledząc z zawiścią postępy armii koronnéj.... Odgadnąć łatwo, że był nim butny marszałek, Jerzy Lubomirski, pozostały w domu pod pozorem choroby, a w istocie na złość i przekór królowi.

Powodzenie oręża polskiego tym razem było mu nie na rękę. Co w Warszawie budziło radość, to w Wiśniczu witano z niechęcią i obawą. Ostatki roku 1663 minęły pogodnie w pałacu królowéj, w zamku Lubomirskiego ponuro i smutno. Dziwne się tam działy rzeczy. Opadła duszę magnata jakaś melancholia, niemoc i rozdraźnienie, które nieraz pozory pół-szału przybierało... Cztery razy

(1) Por. co do tego list de Lumbres'a do Kondeusza (T. Luk. XXXIII: le 18 Avr. 1664. Varsov.): „(La reine).... se promettait, *que le roi retournant avec la paix de Moscovie ou après avoir remporté quelque victoire signalée et ayant gagné les armées, eut rétabli l'autorite royale et fait réussir notre dessein.*“—Toż samo znajdujemy w liście de Lumbres'a do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 60. Varsov. 17 Avr. 1665).

(2) T. Luk. XII, k. 28. De Lumbres à M. de Lionne, 8 Févr. 1664.

nawiedzały go ataki epilepsyi (1). I w styczniu r. 1664 nie było lepiéj. Ci, którzy odwiedzali marszałka, znajdowali go zmieszanym i przygnębionym. Stawał się cierpkim, zgryźliwym, dokuczliwym dla służących i domowników (2). Nie wiedziano, jak zaradzić téj rozterce ducha, jak czarne myśli rozpędzić. Sprowadzano z Krakowa muzyków, znamienitych skrzypków, sądząc, że wpływ melodyi oddziała na niego zbawiennie.... (3). Próby nie odniosły żadnego skutku.

Bo też harmonia tonów nie mogła się pogodzić w tym umyśle z dysonansem niemiłych wieści, które zewsząd dochodziły marszałka z kraju i z po za jego granic. Królowi wiodło się dobrze; królowa umiała wyzyskać chwilowo korzystne stosunki, odstręczając od Lubomirskiego dawnych stronników: dzień w dzień zmniejszała się liczba jego przyjaciół (4). A na domiar złego dochodziły go ostrzeżenia, że poczynają już szemrać przeciw niemu żywioły, na których wspierała się jego siła. Wśród szlachty wielkopolskiéj dawały się dość jawnie słyszéć wyrazy niechęci i niezadowolenia, że kiedy wszyscy senatorowie, nawet duchowni (Prażmowski), wyruszyli na wyprawę, on, hetman w. koronny, zalega ciepłe kąty domowe. Podejrzywano popularnego pana, „którego dotąd uważano za tarczę wolności,“ o nieszczerość, o jakoweś intrygi; szeptano sobie, że nie podagra, którą się wymawiał od wojny, tyle go dręczy, ile niepokój i gniewy, że nie wszystko mu idzie po myśli (5).

Jakkolwiek jednakowoż rzeczy się miały, wiodło się czy nie wiodło na innych polach, królowéj zawsze wielce musiało zależéć na pozyskaniu marszałka, na zgodzie z nim, mimo, że nie lubiła się z tém wyjawiać otwarcie i nawet zwykła była czasem zapierać się tego przed mniéj poufnymi stronnikami (6). Wiedziała ona dobrze, że miéć po swéj stronie marszałka, znaczyło zjednać nie jednostkę, lecz całą potężną partyę, która za nim kroczyła ślepo, znaczyło to wojnę grożącą zakończyć pokojem przed jéj rozpoczęciem.... Dlatego nie wahała się teraz skorzystać z sytuacyi pomyślnéj, w jakiéj się znajdowała chwilowo w grudniu i styczniu z r. 1663 na 64-ty, aby pod łatwiejszemi niż kiedyindziéj warunkami przeprowadzić tę tak potrzebną jéj przedsięwzięciu ugodę.

---

(1) T. Luk. XII, k. 3. B. à de Noyers, 4 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 21. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 25 Janv. 1664. — Ibid. k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Févr. 1664.

(3) Ibid. u. s. (T. Luk. XII, k. 25).

(4) T. Luk. XII, k. 18. La reine à M. de Noyers. Varsov. 25 Janv. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 16. B. à de Noyers, 18 Janv. 1664.

(6) Tak np. zapiera się nawet przed Kondeuszem, jakoby jéj w czasie układów zależało co na ich powodzeniu (NB. już po zerwaniu takowych!). T. Luk. XL, Nr. 11, k. 10. 14 Févr. [1664].

Z któréj strony wyszła pierwsza propozycya - nie wiadomo; podobno z żadnéj, bo znalazł się przyjaciel, który między obiema zająwszy pośredniczące stanowisko, sam (zdaje się, bo nie wiemy tego na pewne) zainicyował sprawę i nawiązał stosunki między jedną i drugą stroną równocześnie. Był to Andrzéj Morsztyn, referendarz w. kor. Zdolny ten i gładki kawaler, zręczny i przebiegły dyplomata, natury giętkiéj i bystrego umysłu, a śliskich i dwuznacznych zasad, właściwą swemu usposobieniu gra rolę w historyi antagonizmu między dworem a marszałkiem. Francuz z wykształcenia i przekonań, dworak z wychowania i przyzwyczajenia, lgnie on do partyi dworskiéj i sympatyzuje z Wersalem; los zbliża go do Lubomirskiego i łączy z nim węzłem dłuższych, bliskich, przyjacielskich prawie stosunków. W chwili rozdwojenia między ostatnim a dworem stanął Morsztyn na rozdrożu; inny, mniéj zręczny polityk musiałby wówczas jedną drogę wybrać lub drugą: nasz dyplomata urządził się w ten sposób, że z żadną stroną nie zerwał stanowczo. Dla tego teraz, kiedy się nasunęła sposobność układów, jemu, który w sobie obopólne sympatye jednoczył, przypadła rola pośrednika.

Ale rola ta w tym wypadku była o wiele trudniejsza niż zwykle. Królowa, obiecująca sobie wiele po przyszłych sukcesach króla, stawiała twarde warunki. Przedstawienia Morsztyna, który raz coś napomykał o wzajemnych ustępstwach, tak ją rozgniewały, że musiał zamilknąć (1) Miała ona nadzieję, że marszałek, widząc, iż dwór zmiękczyć się nie da i w niczém ustąpić nie myśli, ze względu na niepewność sytuacyi skłoni się do wszystkiego, czego odeń zażądają (2).

Kiedy w grudniu r. 1663 zjechał do Warszawy Podlodowski, wysłaniec Lubomirskiego, oświadczyła mu królowa, że nie zadowoli się zapewnieniami przez drugie osoby, lecz żąda, aby marszałek zobowiązania swoje poczynił piśmiennie. A pismo to miało być tak dokładne i ścisłe, „żeby niém można zgubić marszałka, wrazie, gdyby raz jeszcze chciał zdradzić sprawę elekcyi" (3). Takie żądanie powiózł ze sobą Podlodowski do Wiśnicza (4).

---

(1) T. Luk. XII, k. 1. La reine de Pol. à M. de Noyers, 4 Janv. 1664.

(2) Ibid. u. s.

(3) Wyraża się królowa tak (ibid. u. s.): „Je me suis expliquée, que je voulais cette écriture si nette, que je puisse avec icelle faire *pendre* le maréchal etc. etc." Przy „pendre" dopisuje Lukas: tak! nie „perdre." Sądzę jednakowoż, że mimo to wypada to miejsce czytać jako „perdre" (*r* i *n* w piśmie podobne). Wyrażenie „pendre" wydaje mi się w ustach królowéj nawet w stosunku do marszałka niestosowne i nazbyt drastyczne.

(4) Ibid. u. s.

W ostatnich dniach grudnia zjawił się nareszcie z odpowiedzią nowy wysłaniec marszałka, kanonik Wojeński. Natychmiast po przyjeździe pośpieszył do Morsztyna (1). Konferowali ze sobą cztery godziny, poczém referendarz udał się do królowéj, aby jéj donieść o jego przybyciu: uprzedził ją jednak zarazem, że był sam u Lubomirskiego i nie zbyt skorym znalazł go do ustępstw (2). Pokazało się też wkrótce, że Wojeński nic stanowczego właściwie nie przyniósł. Przywiózł listy, ale tylko z rewerencyą, z ogólnymi zapewnieniami uszanowania i uległości (3). Niecierpliwa Marya Ludwika upomniała się o żądane pismo. Kanonik począł się tłómaczyć i wykręcać. Między innymi podawał i ten argument, że królowa jest śmiertelna, że więc marszałek nie może jéj dawać do rąk dokumentu, któryby mu mógł zgubę zgotować, gdyby po śmierci królowéj wpadł w ręce nieprzyjaciół i publicznie został ogłoszony. To tłómaczenie rozgniewało królowę do reszty. Obróciwszy się do Morsztyna, cierpko zauważyła, że takie postępowanie Lubomirskiego wydaje jéj się szczególném. Jeżeli marszałek udaje tylko chęć do układów na to, aby ją podać w podejrzenie u przyjaciół, albo, aby módz zasłaniać się późniéj twierdzeniem, że to królowa zgody nie chce, to myli się bardzo, bo każdemu wiadomo, że ona zawsze szczerze pragnęła pokoju i zgody. Od marszałka jedynie zależy, aby takowa przyszła do skutku sposobem godziwym i możebnym do wykonania. — Na tém urwała się rozmowa (4). W kilka dni potém zgłosił się Wojeński do drugiéj audiencyi. Wiedział, że o układach nie było na razie co mówić: nie chciał się zaś narażać królowéj, która mu była dawniéj jeszcze kazała wypłacić 500 talarów i to bardzo na czasie, bo wówczas miał pustą kaletę (5). Prosił tylko, aby królowa nic nie pisała do Francyi o owym uporze marszałka i powtórzył zapewnienia, że Lubomirski ostatecznie na wszystko się zgodzi, czego odeń zażądają... Odtąd już ani Wojeński, ani Morsztyn nie pokazali się u dworu. Po częstych ze sobą konferencyach, pierwszy wyjechał 2-go stycznia; referendarz tegoż dnia pożegnał królowę w kościele oo. Jezuitów i napomykając mimochodem, że musi „gdzieś“ wyjechać, zapewnił przytém, że jeśli mu się wydarzy zobaczyć z marszałkiem, będzie się nań starał wpłynąć stosownie do jéj myśli. Dodał wreszcie, że właśnie przybył od marszałka z powro-

---

(1) T. Luk. XII, k. 3. B. à M. de Noyers, 4 Janv. 1664. — Tamże, k. 5—7. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 4 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 5. Fantoni à M. de N. etc. u. s.

(3) l. s. cit. k. 3.

(4) T. Luk. XII etc. (por. wyżéj uw. 1) k. 5.

(5) Ibid. u. s. k. 4.

tem Podlodowski, który zapewne sprawę lepiéj wyjaśni i poprowadzi (1). Wyjechał też rzeczywiście pan referendarz, ale nie w tę stronę, gdzie rzekomo zamierzał, lecz na umówione z Wojeńskim miejsce, gdzie się téż obaj złączyli i udali poraz drugi do Lubomirskiego (2).

Podlowski, który ich misyą odziedziczył w Warszawie, na inną zupełnie śpiewał nutę. Pełno było w jego słowach zapewnień o wierności marszałka i pragnieniu przejednania królewskiego majestatu. Gotów jest on przyłożyć nawet rękę do sprawy obioru następcy tronu, byle ją przeprowadzono nie przemocą, lecz w formie zwyczajnéj, bez narażenia na szwank wolności elekcyi (3). Zapewnienia te przyjęła królowa z ironią.

„— Gdyby marszałek rzeczywiście był tego zdania—mówiła— (jak się z tém teraz oświadcza), że przeprowadzenie elekcyi jest potrzebne dla dobra ogółu,—nie pytając się wprzódy królowéj, byłby ją sam przywiódł do skutku. I teraz może to wypełnić, jeśli nie zmienił zamiaru: może przedstawić jéj środki właściwsze; skoro takowe będą wykonalne i słuszne, ona je poprze i chętnie do nich rękę przyłoży, bo nie ma innego celu na oku, prócz dobra publicznego i nie żywiła nigdy ani żywi teraz zamiaru przeparcia elekcyi siłą i bez zjazdu ogółu szlachty, jak to zwykle bywało....“ (4).

Nie mogąc niczém stanowczém odpowiedziéć na to wszystko, Podlodowski wspomniał jedynie, że pojedzie do marszałka, gdzie znajdzie się też Morsztyn i przedłoży, co usłyszał. Z tém pożegnał królowę i opuścił Warszawę (5). — Przez dwa tygodnie nie było żadnéj wiadomości od strony rezydencyi Lubomirskiego. Dopiero w połowie stycznia dowiedziano się, że 16-go ma się odbyć u marszałka narada z Morsztynem i Podlodowskim (6). Ten ostatni obiecywał działać cuda; zaklinał się przed królową, że nie chce miéć żadnych więcéj stosunkow z Lubomirskim, jeśli i tym razem rachuby jéj zawiedzie. Na ten nagły zwrot ku lojalności wpłynęły niewątpliwie

---

(1) T. Luk. XII, k. 6. Fantoni à de Noyers. 4 Janv. 1664.

(2) Ibid. u. s. k. 6.

(3) Ibid. u. s. k. 6.

(4) Ibid. u. s. (Czy słowa królowéj były szczere, o tém łatwo się przekonać, porównawszy je z innymi, pod. w poprz. uwagach).

(5) T. Luk. XII, k. 7 (l. supr. cit.).

(6) T. Luk. XII, k. 16 [...... à M. de Noyers]. Varsov. 18 Janv. 1664: „*Per li 16* del corrente doveva esser appresso di lui (Maresciale) il consiglio; ne sentirò l'effetto.“ — Ibid. k. 14 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Varsov. *le 18* Janv. 1664: „Morstein et Podlodowski se devaient *hier* (mylnie, jak widzimy z poprzedniego; powinno być *avant-hier*) assembler chez le maréchal pour resoudre son accommodement avec moi.“

widoki na pensyą, którą mu przyrzekła wyznaczyć królowa, licząc się z tém, że Podlodowski cieszył się niejakiém zaufaniem i wpływem wśród szlachty małopolskiéj (1).

Odtąd do końca stycznia niknie znowu wszelki ślad dalszych zabiegów około ugody. Królowa oczekiwała z niecierpliwością powrotu Morsztyna (2). Uspokajało ją nieco przekonanie, że ponieważ wieści z widowni wojennéj były dotąd pomyślne, więc marszałek zapewne się okaże powolnym jéj wymaganiom (3). Wbrew tym kombinacyom dowiedziała się w ostatnich dniach stycznia za pośrednictwem Morsztynowéj, która otrzymała list od męża Andrzeja, że starania jego nie miały powodzenia z powodu rozdraźnienia i dziwacznego usposobienia marszałka, a wnet potém przyjechał i sam Morsztyn, ale przyjechał z niczém (4). Przywiózł on same złe wiadomości, a zresztą próżne słowa. Marszałek miał się wyprzéć wszystkiego, względem czego traktował z królową Wojeński, bo oświadczył, że nie poruczył kanonikowi żadnéj od siebie propozycyi, lecz polecił jedynie wysłuchać te, które mu partya dworska przedłożyć zechce. Teraz powtórzyły się ostatecznie jeszcze raz te same co poprzednio przedstawienia. Morsztyn zapewniał, że marszałek nie będzie się sprzeciwiał elekcyi, byle szlachta zechciała się na nią zgodzić, że ofiaruje się nawet pozyskiwać dla niéj popleczników. Królowa, nie zadawalniając się oczywiście słowami, zażądała znowu dowodów realnych: niech Lubomirski zajmie się gorliwie sprawą, a jeśli dobre skutki tych starań będą widoczne, ona ze względu na dobro publiczne chętnie mu poda rękę. Odpowiedź Morsztyna była—jak dało się przewidzieć — wymijająca, podobnie jak poprzednie: marszałek nie może przyłożyć ręki do dzieła elekcyi, póki nie zasięgnie co do niéj zdania podkanclerzego i innych przyjaciół (5).—Na tém się skończyła rozmowa z królową, aby się już na ten temat więcéj nie rozpocząć.

Widoczne było z całego postępowania działających w układach osób, że marszałek szczerze o zgodzie nie myślał. Bo gdyby mu na tém zależało, opatrzyłby wysłańców swoich wyraźnemi instrukcyami i określił dokładnie warunki ugody. Tymczasem wszyscy jego ajenci ograniczali się na pustych słowach, na nic nie znaczących ogólnikowych zapewnieniach, Stąd podejrzenia królowéj, że Lubomirski

---

(1) T. Luk. XII, k. 14 (w liście poprzednio cyt.).

(2) T. Luk. XII, k. 18 [La reine à M. de Noyers]. Vars. 23 Janv. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 20 [B..... à M. de Noyers]. Varsov. 25 Janv. 1664. „Perchè le cose vanno bene, son sicuro che il maresciale fara tutto quello vorrà la regina.“

(4) T. Luk. XII, k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 25—6. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.

chce zyskać tylko na czasie lub też myśli wyzyskać tę historyę układów, aby się w dalszém postępowaniu zasłaniać pretekstem, że ubiegał się i starał o zgodę, że tylko z winy przeciwnéj strony do niczego nie przyszło. Okazało się też wkrótce, że domysły królowéj nie były dalekie od rzeczywistości; lecz musimy dodać, że obok tych motywów, jakie mu podsuwała królowa, były i inne o wiele większéj doniosłości, które wpłynęły oziębiająco na jego usposobienie do zgody, jak to w dalszéj części pracy dokładniéj obaczymy.

Tak więc układy skończyły się na niczém: nie wiele zyskano, nic też nie stracono. Królowa od początku miała przeświadczenie, że to była komedya (tak przynajmniéj późniéj mawiała) (1). Lubomirski wątpił, czy co zyska, skoro założył sobie nie robić ustępstw. Oboje działali więcéj dla pozoru; oboje mieli w tém swoje wyrachowanie.

Ale kto w téj całéj historyi płonnych układów najwięcéj utracił, to Morsztyn. Ufny w swoje względy u stron obu, bo mu ich żadna nie szczędziła partya, sądził, że i nadal potrafi się utrzymać w pośrodku. Wiodło mu się długo, ale i przebrała się miara. Rozdrażnienie wrogich sobie stronnictw doszło do tego stopnia, że nie podobna było dzielić z jedném sympatyi, nie żywiąc antypatyi przeciw drugiemu. Dwuznaczna rola skończyła się niepomyślnym epilogiem: starający się o przyjaźń obu przeciwników, stracił zaufanie obydwu. Królowa już od początku roku patrzała nań krzywo i okazywała mu niechęć. Budziły się w niéj podejrzenia, że referendarz gra rolę donosiciela, że wyzyskuje swoją sytuacyę w celach niegodnych i podstępnych (2). Nie podobał jéj się wcale ten bliski Morsztyna stosunek z marszałkiem: dawała się głośno słyszéć ze zdaniem, że „chciałby on z jedną i drugą stroną stać na dobréj stopie, co, jak każdemu wiadomo, jest niepodobieństwem....“ (3). Podejrzenia te znalazły niejakie stwierdzenie w dalszym toku układów: w postępowaniu i słowach dyplomaty przebijała się wyraźnie jakaś chwiejność i dwuznaczność. Skończyło się na tém, że dawny przyjaciel spadł w oczach królowéj do tego stopnia, iż poczęła go stawiać na równi z samym marszałkiem: tego i tamtego łączy bowiem, pisząc do de Noyers'a, w jedném wyrażeniu, jako dwa indywidua równéj wartości moralnéj: „qui sont deux créatures, qui n'ont point d'honneur.“ (4).

---

(1) T. Luk. XL, Nr. 11, k. 10. Marya Lud. do Kondeusza, 4 Fevr. [1664].

(2) T. Luk. XII, k. 4 [B... à M. de Noyers]: 4 Janv. 1664.—Ibid. k. 26. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 6 [Fantoni à M. de Noyers]. Varsov. 4 Janv. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 18 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 28 Janv. 1664.

Tak więc stracił nasz zwolennik dwulicowéj polityki zupełnie kredyt u dworu: a są wskazówki, że i w stosunkach do marszałka równocześnie zaszły nie miłe zmiany.... Widać przynajmniéj wielką niechęć i zawiść na marszałka w owym liście Morsztyna, pisanym do żony z Wiśnicza, gdzie się uskarża że „Marszałek jest najgorszym w świecie człowiekiem,— że nie można mu ufać, ani nie ma nadziei, aby zeń cokolwiek dobrego wydobyć....“ (1). Odtąd znika też Morsztyn zupełnie z widowni dalszych wypadków r. 1664; skompromitowany bierze widocznie na czas jakiś rozbrat z swoją niefortunną polityką, w nadziei (która go nie zawiodła), że okoliczności same wysuną go znowu kiedyś na plan przedniejszy i otworzą nowe pole do popisu.

II.

Wyprawa moskiewska. — Nowe plany królowéj.

Milczące zerwanie układów ze strony Lubomirskiego przyjęła królowa dość obojętnie. Uwaga jéj była zwrócona w inną stronę: od króla i po jego powodzeniu wojenném spodziewała się tak wielkich rezultatów, że kwestya pozyskania marszałka wydała jéj się na razie podrzędną. „On wyobraża sobie — pisze ona do Kondeusza o Lubomirskim (2) — że się będę za nim uganiać, ja tymczasem sądzę, że się będzie można obejść bezeń bardzo dobrze. Prawda to, że mógłby on usunąć niektóre przeszkody, którebym rada okupić grzecznością...... ale obok złośliwości (w jego postępowaniu) jest też niewątpliwie i wiele głupoty. Bo jestem przekonana, że nareszcie marszałek widzi dobrze, iż mnie nie źle się wiedzie, i że ten tłum stronników, który mię dosyć kocha i rozumié, iż mu potrzeba królowéj, będzie miał sam w sobie dosyć siły, aby podnieść sprawę elekcyi.....“

Pomyślne wiadomości od króla potwierdzały przez jakiś czas to przekonanie. Królowéj się wydawało, wiemy już o tém, że sąsiednie państwo ulegnie zupełnie, jeśli król trafi w samo jego serce, stolicę. Pochód na Moskwę i pokój korzystny, zawarty pod jéj murami, oto czego pragnęła i oczekiwała od Jana Kazimierza. Otóż— jakkolwiek bądź się tam wiodło — to jedno widziała dotąd Marya Ludwika, że armie posuwały się naprzód, coraz daléj ku wschodowi, w głąb północnego państwa; a oto jéj chodziło. W listopadzie przeprawił się król na Zadnieprze, i zajmował jedną po drugiéj pozycyę.

(1) T. Luk. XII, k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.
(1) T. Luk. XL. 14 Fevr. [1664].

Ostre zatrzymało go przez grudzień; po jego zajęciu ruszono ku Deśnie, a owładnąwszy jéj porzeczem, zwrócono się w styczniu r. 1664 ku północy na Nowogród Siewierski.

Tyle wiedziała królowa o sukcesach armii koronnéj w czasie układów z Lubomirskim i to jéj wystarczało. Szło tam wszystko cokolwiek za wolno, przeciągało się nieco za długo, ale niespokojna kobieta postanowiła sobie tym razem czekać cierpliwie w nadziei, że kiedy armia posunie się jeszcze daléj, nadarzy się lepsza i świetniejsza sposobność do spełnienia stanowczych czynów, do owych wymarzonych przez nią zwycięstw. Zawsze obstając przy swoim planie, nie przestawała nalegać na króla w listach, żeby odeń nie odstąpił, a to tém usilniéj, że ją dochodziły wieści, jakoby na radzie wojennéj z 12 stycznia odradzono królowi dalszego pochodu i skłaniano do powrotu na Ukrainę, na leże zimowe (1).

Ale w czasie, kiedy każdéj wieści z Zadnieprza wyczekiwano w Warszawie ze spotęgowaną niecierpliwością, kiedy dwór rad był śledzić każdy krok armii i dzielić się z nią natychmiast każdém powodzeniem, jakaś dłoń wroga i zawistna przecinała wszystkie węzły porozumienia, łączące króla ze stolicą. Co tydzień zwykł był posyłać Jan Kazimierz królowéj osobne relacye przez umyślnego kuryera. Przez cały luty nie doszedł Maryi Ludwiki żaden list z pola działań wojennych. Zrazu pocieszano się myślą, że król gotuje jaki czyn stanowczy i zwleka z wysyłką kuryerów, póki nie będzie mógł donieść o jego spełnieniu. Późniéj tłómaczono sobie to dziwne milczenie trudnością komunikacyi w kraju nieprzyjacielskim (2). Pokazało się wkrótce, że rzeczywiście jednego kuryera opadła zgraja nieznanych ludzi w lasach litewskich i odebrała mu pocztę (3). Lecz to się zdarzyło raz tylko, a tu mijały dni i tygodnie, skończył się luty i marzec rozpoczął, a wiadomości nie było.....

Zamieszanie zapanowało na dworze. Królowę ogarnął niepokój: nękały ją czarne myśli, smutne przeczucia, które oddziaływały tak silnie na kobiecy organizm, że cierpienia moralne przeistoczyły się w fizyczne: opadła ją silna migrena, zapowiedź ciężkiéj słabości, która przyszła w kilka tygodni późniéj... (4)

---

(1) T. Luk. XXXIII, k. 88. De Lumbres à Caillet, 14 Fevr. 1664.

(2) T. Luk. XL, k. 11. Mar. Lud. do Kond. 28 Fevr. [1664].

(3) Ibid. u. s.

(4) T. Luk. XL, Nr. 14, k 13. Mar. Ludw. do Kondeusza, 6 Mars [1664]: „Vous comprendrez facilement l'inquiétude où je suis de n'avoir point de nouvelles de l'armée. *Cela fait un si grand bouleversement dans mon ésprit que mon corps s'en ressent si fort que la douleur de tête ne m'a point quitté depuis quelques jours....*" Że osłabienie to i znękanie trwało dłużéj, to widać już z poprzedniego listu królowéj do tegoż księcia

Pierwsze wiadomości, które przybyły do Warszawy po długiém milczeniu, od Litwy, nie mogły tych cierpień usunąć; przeciwnie, miały je jeszcze zwiększyć, spotęgować (1). Dopiero w drugiéj połowie marca zdołali dotrzéć do stolicy kuryerzy, dotąd gwałtem lub trudnościami podróży wstrzymywani wśród drogi. Przynieśli oni wieści nader niepomyślne. Oblężenie Głuchowa, połączone z bardzo znacznemi stratami, rozpaczliwe położenie wojska, brak wszelkiéj żywności dla ludzi i koni, nieprzezwyciężone trudności terytoryalne każą wątpić o dalszych sukcesach. Wodzowie strony przeciwnéj unikają stanowczéj walki: kryją się po lasach i ograniczają na podjazdowych utarczkach (2). Armie litewska i koronna, połączone pierwszy raz w Siewsku, zamiast iść naprzód, domagają się spoczynku i wytchnienia. Rada wojenna uchwala 18 lutego nie postępować daléj: część wojska ograniczy się na obronie linii Desny, reszta przejdzie na Ukrainę na leże zimowe. Król powróci na Litwę. Wszystko odbyć się ma jak najprędzéj w obawie przed odwilżą, która w błotnistych okolicach dnieprowego porzecza nader utrudnia komunikacyą i odwrót może odciąć zupełnie (3). Tymczasem strona przeciwna przychyla się do pokoju i wyprawia posłów celem układów. Od kwietnia toczą się w Krasném traktaty między komisarzami stron obu (4).

Tak więc wyprawa chyliła się ku końcowi bez żadnych dodatnich rezultatów. Zamiast do postępu rzucono się na wszystkich liniach do odwrotu. Pochód armii (z powrotem) od Staroduba na Krzyczew do Mohilewa w pośród roztopów wiosennych ciągnął się trzy tygodnie. Był to czas okropny. Tysiączne przeszkody komunikacyjne, zimno, wilgoć, brak żywności i paszy, stąd głód, wycieńczenie i choroby—oto z czém mieli do walczenia zbiedzeni żołnierze... Konie padały po drogach—ludzie żywili się ich padliną. Zniechęce-

---

(T. Luk. XL, Nr. 12, k. 11: 28 Févr. [1664]): „*J'ai des douleurs de tête extrêmes; cette nuit j'ai beaucoup souffert.* L'on dit que c'est des vapeurs: mais sans ces vapeurs il viendra d'autres maux, faute de sommeil et du grand échauffement.“

(1) T. Luk. XL. Nr. 15. k. 14: Marya Lud. do Kondeusza, 13 Mars [1664]: „Si vous m'avez vu inquietée de n'avoir point de nouvelles de nôtre armée, je ne la suis pas moins après les dernières lettres qui me sont arrivées depuis deux jours.“

(2) T. Luk. XII. k. 48. Lettre de Vars. 14 Mars, 1664.—T. Luk. XL. Listy Maryi Lud. do Kondeusza: Nr. 17. k. 18: le 27 Mars [1664], oraz Nr. 18, k. 18. 3 Avr. [1664].

(3) T. Luk. XII, k. 53. [La reine de Pol. à M. de Noyers]: Vars. 3 Avr. 1664.—Ibidem, k. 57: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 4 Avr. 1664.—Ibidem: k. 60. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 65: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664.—Ibidem: k. 70: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 16 Mai, 1664.

nie i nieład zapanowały w wojsku, rozstrój i apatya ogarnęły wszystkich (1)......

Takie to wieści przyniosły ostatnie listy z Zadnieprza, wyczekiwane z niecierpliwością i niepokojem. Były to jakby gromy z pogodnego nieba, bo spadły niespodzianie po długiéj ciszy.

Dwa miesiące trudów złamały więc tę wielką armię, która w marzeniach królowéj miała dyktować warunki nieprzyjacielowi w jego własnéj stolicy!... Cały gmach pięknych nadziei runął w jednéj chwili: trzeba się było wyrzec myśli o koronie carskiéj dla Enghien'a, która ciągle jeszcze zaprzątała bujną wyobraźnię królowéj,—trzeba było, co więcéj, porzucić cały ów tak pięknie obmyślany plan przeprowadzenia elekcyi młodego Kondeusza za pomocą konfederacyi armii—zaraz z powrotem ze zwycięzkiéj wyprawy, za przewodem króla, wyglądanego w roli tryumfatora...

Zawód tém więcéj boli, im piękniejsze wyprzedza go złudzenie: nie dziw więc, że głęboko wstrząsnął on drażliwym umysłem Maryi Ludwiki (2). Lecz, co prawda, nie na długo. Spokojna refleksya przywróciła w nim szybko równowagę; dawne plany głowa bujna i pełna świeżych myśli zastąpiła nowymi, a znalazłszy raz punkt oparcia, czynna natura téj rzutkiéj kobiety uczuła się w swoim żywiole i jakby odżyła nowém życiem. Marya Ludwika nie odstępuje bynajmniéj od zasadniczego programu: zamiar pozyskania armii, przeprowadzenia elekcyi za pomocą konfederacyi lub w inny sposób sztuczny, gwałtowny, i teraz zaprząta jéj myśli. Plan pozostaje ten sam: zmienią się tylko środki, inne będą drogi, które do tegoż samego celu powiodą. Minęła już oczywiście, i to niepowrotnie, jedyna sposobność zjednania armii sposobem najmniéj kosztownym,

---

(1) Opis tego odwrotu, zwięzły, ale przejmujący do głębi swą grozą podaje Jan Kazimierz w liście do Maryi Lud. (Z teki dra Liskego): Krzyczew, il 24 di Marcio.

(2) „Les Polonais sont toujours victorieux, lorsqu'ils veulent bien faire et n'ont du désavantage que par leur négligence et perdent les plus belles occasions du monde, *ce qui me fait mourir de déplaisir*"..... wyrzeka królowa w liście do de Noyers'a (T. Luk. XII, k. 53. Vars. 3 Avr. 1664). O stanie umysłu królowéj w tym czasie pisze de Lumbres do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 60: Vars. 17 Avr. 1664): „Cela (niepowodzenie Jana Kaz.) *afflige la reine qui se voit frustrée du fruit qu'elle éspérait de cette éxpedition*, tant pour le rétablissement de l'autorité royale, que pour l'avancement de notre dessein, si le roi fût retourné avec la paix ou après avoir remporté une victoire signalée à la tête des armées, qui eussent été à sa dévotion." Tak samo pisze de Lumbres do Kondeusza (T. Luk. XXXIII, k. 89, Vars. 18/IV 1664).—Jeszcze późniéj pisze do Ludwika XIV de Lumbres o królowéj (T. Luk. XII, k. 73: Vars. 22 Mai 1664): „*L'affliction qu'elle a de ce que le peu de succès de l'expédition de Moscovie n'avance pas notre dessein* et l'application avec laquelle elle continue de se porter aux affaires, *causent tant d'altération à sa santé, qu'elle a peine à se remettre.*"

a najradykalniejszym: wyprawa wojenna chybiła. Wypadło powrócić do owych tylokrotnie używanych środków, których skuteczność wypróbował mistrz-dyplomata, Ludwik XIV: pieniądz miał znowu pierwszorzędną odgrywać rolę. Zanim jednak wejdziemy w ten nowy okres działania królowéj, musimy się rozpatrzéć nieco w stosunkach wewnętrznych rzeczypospolitéj, a przedewszystkiém wypadnie potrącić o pytanie, na jakim stanie opierała się wówczas władza królewska? Odpowiedź na nie przywiedzie nas wprost do rzeczy, wprowadzi w sam środek téj walki między stronnictwami dworskiém i Lubomirskiego, która nas głównie zajmuje.

Wiadomo, że królowie polscy dawno już byli odstąpili od owego olbrachtowego programu współdziałania ze szlachtą przeciw oligarchii senatorów. Idąc za przykładem wszystkich współczesnych monarchów, Jan Kazimierz i Marya Ludwika opierali także swoje rządy na magnatach i z ich potęgi czerpali siły i środki do utwierdzenia swego tronu. Stawać zaś po stronie możnowładców było to samo, co stawać przeciw szlachcie uboższéj; i stąd, rzecz to znana, byli wszyscy królowie, od Zygmunta Augusta począwszy, w niższych sferach niepopularni, stąd na każdym kroku napotykać i zwalczać musieli w ciągu działalności swojéj żywioły niechętne i wrogie. Jaskrawo występuje ten stosunek szczególniéj w Koronie: szlachta polska nauczyła się już była w szkole XVI wieku pojmować i przeceniać swe siły: a czasy Zborowskich i Zebrzydowskich nie minęły bez ujemnego wpływu na butne i rozpolitykowane umysły. Wiedziała o tém dobrze królowa i dlatego nie od Korony zamyślała swoje dzieło rozpocząć: od początku uwaga jéj zwracała się ku drugiéj połowie rzeczypospolitéj na w. księstwo litewskie. Tu bowiem były stosunki zupełnie odmienne.

Oddalona bardziéj niż Polska od Zachodu, a więc mniéj przystępna wpływom jego cywilizacyi, szlachta litewska, znacznie późniéj też przyuczona do parlamentaryzmu polskiego, ciemna i zacofana, brodziła jeszcze głęboko w mętach wyobrażeń i przyzwyczajeń średniowiecznych. Krew niewolników-ziemianów nawet w dziesiątém pokoleniu nie odmieniła swéj właściwości: było w tych nowokreowanych braciach Litwinach dużo z téj natury leniwéj, ociężałéj, która łatwo się gięła i pod twarde nawet jarzmo chyliła. Stąd poszło, że kiedy w Koronie brać szlachta przybierała ton coraz więcéj dyktatorski, tu zawsze jeszcze cieszyły się nieograniczonym wpływem nieliczne, dawne rody magnackie, jakby dziedzice owych pogańskich wszechpotężnych królików grodowych. Nieliczne, bo śmiało powiedziéć można, że w rękach trzech familii: Sapiechów, Radziwiłłów i Paców znajdowała się cała Litwa. W obec tego faktu kwe-

stya pozyskania w. księstwa obracała się w kwestyę pozyskania jéj panów i przewódców. I to zadanie, jako łatwiejsze, obrała sobie Marya Gonzaga (1).

Wypadnie nam usunąć tutaj sprzeczność, która się zapewne każdemu nastręczy. Programem Wazów miało być przymierze polityczne z magnatami: nie istniałoż więc takie przymierze za rządów ostatniego Wazy,—skoro królowa dopiero o pozyskanie senatorów starać się zamierza? Odpowiedź na to pytanie z konieczności na dwie musimy podzielić części: inaczéj było z Koroną, a inaczéj z Litwą.

Senat koronny znajdował się najczęściéj w otoczeniu króla i królowéj; zostawał z rodziną panującą w ciągłéj nieledwie styczności. Monarcha miał więc tutaj możność baczne zwracać oko na wszystkie czynności panów senatorów; działanie nie odległych wpływów dworskich dopełniało reszty,—bo wiadomo, ile ważył jeszcze wówczas na szali przekonań i usposobień jeden uśmiech, jeden dowód łaskawości królewskiéj.

Na Litwie okoliczności składały się odmiennie. Dumny magnat w. księstwa, zdala od stolicy rzeczypospolitéj zamieszkały, nie mógł podlegać i nie podlegał téż nigdy urokowi tronu tak wyłącznie, jak koronny. Świetne stosunki materyalne, rozległy i wszechstronny wpływ na oddaną sobie ślepo szlachecką klientelę, tradycye wreszcie rodowe i wogóle historyczne budziły w tych potentatach poczucie samodzielności i niezawisłości. Duch Witołdów i Świdrygiełłów nie zstąpił wraz z ich ciałami do grobów; przeciwnie, i w późniejszych wiekach, przez cały prawie ciąg dziejów naszych cechują często postępki i działania wybitnych rodów litewskich separatystyczne tendencye. Gdyby sięgnąć do tajników duszy takiego Radziwiłła Rudego lub Czarnego, pewnie znalazło by się tam w głębi tę samą myśl, która mieszkała w twardéj piersi Witołda: żądzę korony w niezawisłém wielkiem księstwie. Dążenia te nie tak wyraźnie występują, co prawda, wśród Litwinów XVII wieku; nie mniéj jednak i tu jeszcze widoczną jest skłonność do seperacyi, do opozycyi przeciw królowi i jego zabiegom około skoncentrowania władzy we własnych ręku.

---

(1) Że te względy, któreśmy wymienili, kierowały rzeczywiście Maryą Lud. w tém postanowieniu, znajdujemy to wyraźnie zaznaczone w liście de Lumbres'a do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 62, Vars. 17 Avr. 1664): „Elle (la reine) se porte avec d'autant plus d'application *à s'acquérir entièrement la Lituanie qu'elle y voit beaucoup plus de facilité qu'à unir et gagner toute la Pologne, où il y a beaucoup plus de grands indépendants les uns des autres* et dont les intérêts ne s'accordent pas bien: outre qu'elle se persuade, et non sans fondement que si toute la Lituanie etait a elle, plus de trois quarts de la Pologne se rangera de son côté."

Za czasów Jana Kazimierza skończonym typem takiego to magnata pół-króla był hetman wielki Paweł Sapieha. Zakochany w swojéj Litwie, wychowaniec jéj ciemnych puszcz i borów, syn dzikiéj, pierwotnéj prawie natury, wyssał on i przyjął od téj macierzy surowe, brutalne pierwiastki (1). Złączony węzłami pokrewieństwa z podkanclerzym Aleksandrem Naruszewiczem (który był jego zięciem) i z wojewodą połockim Janem Karolem Kopciem (szwagrem), a związany nadto stosunkami serdecznéj przyjaźni z Bogusławem Radziwiłłem, głową starożytnego rodu—pół wielkiego księstwa miał za sobą ten człowiek twardy, butny i gwałtowny. Stała za nim cała parentela Bogusława, a wśród niéj i tacy panowie, jak Michał Radziwiłł, kasztelan wileński i Jan Karol Chlebowicz, starosta żmudzki (2).

Ale promienie zachodnich wpływów dotarły już były wówczas i nad Niemen, aby wycisnąć piętno swoje na wewnętrznych kraju stosunkach. Blask Francyi i korony Burbonów rozluźnił jedność i spójność w łonie téj dawnéj solidarnéj oligarchii: rodzina Paców porzuciła stare tradycye i dała się porwać prądom wiejącym od Wersalu. Krzysztof Pac, kanclerz w. litewski, wykształceniem Francuz, z Francuską też de Mailly ożeniony, okazał się na urzędzie swoim gorliwym stronnikiem Ludwika XIV, a więc i obojga polskich królestwa. Cieszył się on zaufaniem Maryi Ludwiki, która przekładała go nad wszystkich innych przyjaciół dla pięknych przymiotów charakteru. Świadomy najskrytszych nawet planów i zamiarów królowéj, aż nadto skłonnéj do zwierzeń, umiał je ten rozsądny senator zachować zawsze w tajemnicy, co go podnosiło wysoko ponad gadatliwego Prażmowskiego; ulegał zresztą wpływom swojéj z Paryża przywiezionéj żony, któréj pośrednictwa używała często królowa, korzystając z przyjaźni przychylnéj rodaczki (3). Król również cenił go sobie wysoko i odznaczał wszędzie szczególnemi względami: słuchał chętnie rad jego i najczęściéj zgodnie z niemi postępował (4). Mikołaj brat jego, wojewoda trocki i syn Michał, hetman polny li-

(1) T. Luk. XII, k. 61: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664: „C'est un ésprit capricieux et même brutal“.....

(2) T. Luk. XII. k. 61—2: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 8: De Lumbres à M. Lionne. Vars. 4 Janv. 1664: „......celui-ci (tj. Krzysz. Pac) a la confidence de la reine, ce qu'elle fait tant à cause qu'elle le connait plus secret, plus discret et plus ferme, que parce qu'elle lui fait entendre plus aisement ses sentiments par le moyen de sa femme, qui a beaucoup d'ésprit et travaille fort, écrivant à son mari et en chiffre ce qu'elle désire qu'il fasse.“

(4) „..... le roi suivait presque toujours ses sentiments“.... pisze de Lumbres o Pacu do de Lionne'a. (T. Luk. XII. k. 65. Vars. 26 Avr. 1664).

tewski i wojewoda smoleński, człowiek otwarty, a wódz odważny i stanowczy, i w ogóle cała familia Paców dzieliła przekonania kanclerza litewskiego (1). Młody Michał, podobnie jak ojciec, bardzo dobrze był widziany na dworze: królowa mawiała, że przewyższa Gąsiewskiego, który przecież wielce zasłużył się był sprawie francuskiéj (2).

Antagonizm Radziwiłłów i Sapiehów do Paców nie datował się od dawna: jak wszystkie inne w rzeczypospolitéj, miał on swoje źródło w prywacie, która mnóstwo zawsze rodziła u nas Montecchi'ch i Kapuletów... Spoglądano z niechęcią i gniewem na wzrastającą potęgę Paców: zazdroszczono im łaski króla i królowéj,—oburzano się, że zagarniają dla siebie najlepsze beneficya. Bogusław Radziwiłł ubiegał się był w minionym roku o wakanse po Gąsiewskim: otrzymał je Michał Pac syn Krzysztofa (3). Sam kanclerz był dumny i zarozumiały z natury; łatwo więc przyszło do rozdwojenia i niechęć przybrała formy nienawiści, czyniąc ze współzawodników—nieprzyjaciół. Było tak zresztą i w Koronie: bo i kanclerz Prażmowski i wielu innych senatorów należało, jak się późniéj przekonamy, do przeciwników litewskiego ministra, oczywiście dlatego, że był on „*persona gratissima*" u dworu (4).

Z bólem serca śledziła królowa już od początku roku postęp i rozwój tego zatargu, który przychodził wtedy, kiedy właśnie jéj tyle zależało na skupieniu najwięcéj ile można sił w jednym kierunku. Ujawnił się on najbardziéj jaskrawo w początkach roku 1664. Wojsko litewskie miało podążyć na Zadnieprze, aby się połączyć z królem: lewe skrzydło armii winno było, zjednoczone z prawem, dostać się pod dowództwo hetmana w. Sapiehy. Tymczasem do-

---

(1) T. Luk. XII. k. 61: De Lumbres à Louis XIV: Vars. 17 Avr. 1664.

(2) „La reine éspère beaucoup plus de Michel Pac, que du défunt [Gonsiewski] pour être plus hardi, plus résolu et plus franc, que Gonziewschi, qui avait de trop vastes désirs, trop d'ambition, de finesse, de fourberies et d'irrésolution pour se pouvoir bien assurer de lui."—T. Luk. XII. k. 50. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 28 Mars. 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 59: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 64—5. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664: „Mais la reine a bien compris de ces propos, que le peu de succès de cette éxpédition (en Moscovie), dont la Pologne concevait de si belles éspérances *n'est venu que de la jalousie, que lui* (Prażmowski) *et les autres ministres et officiers du royaume ont eue du grand-chancelier de Lituanie*, parce que le roi suivait presque toujours ses sentiments"..... albo: Ibid. k. 8. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. le 4 Janv. 1664: „Il semble, que le grand chancelier du royaume, quoique très-bien intentionné, a quelque jalousie de ce que Tetera et les Cosaques..... s'attachent davantage à celui du grand duché (Pac) et de ce que celui-ci (tj. tenże Pac) a la confidence de la reine.

wódca pierwszego Michał Pac ani wiedziéć nie chciał o tém połączeniu (1). Mówiono, że i kanclerz Krzysztof umaczał w tém swoje ręce i podejrzywano, że przeciwny zjednoczeniu armii litewskiéj sieje niezgodę między wojskami (2).

Marya Ludwika, jakkolwiek rada złagodzić tę sprawę, bo jéj chodziło o powodzenie wyprawy wojennéj króla, wahała się i namyślała, jak postąpić. Dochodziły ją bowiem wieści, że Sapieha znajduje się w porozumieniu z Lubomirskim (3). Stąd nasuwała się obawa, czy hetman, stanąwszy na czele całéj armii nie zechce skorzystać z tak łatwéj sposobności do działania w myśl planów ambitnego marszałka (4). Z drugiéj strony trzeba się było liczyć i z tém, że zbyteczny opór ze strony Paca i lewego skrzydła może oddziałać na Sapiehę tak szkodliwie, iż się przerzuci zupełnie do obozu malkontentów. Sprawa zdawała się zaogniać. Michał Pac nie skłaniał się do połączenia—chyba pod twardemi warunkami. Skrzydło lewe żądało wypłaty umówionéj tytułem żołdu sumy dwóch milionów z góry, domagało się sądu na zabójców Gąsiewskiego, byłego hetmana polnego. Pierwsze żądanie nie łatwo było zaspokoić w obec pustéj kasy litewskiéj; drugie dotykało ubocznie Sapiehę; dość powszechnie bowiem przypisywano i jemu udział w haniebnéj zbrodni morderstwa na hetmanie polnym spełnionego (5).

Uspokoiła się nieco królowa, kiedy ją doszło ze stron kanclerza lit. wyjaśnienie rzeczywistego stanu rzeczy. Kanclerz zapewnił, że mu nic nie wiadomo o złych intencyach Sapiehy. Owszem hetman wielki pisał do niego niedawno nader uprzejmie; on zaś nawzajem zjednał sobie dawnego przeciwnika przysługami, jakie mu wyświadczył, wyrobiwszy dla starszego syna jego marszałkowstwo nadworne lit., a starostwo jedno dla młodszego. Sapieha zresztą nie myśli wcale sam prowadzić wojska na Zadnieprze: nie pozwala mu na to zły stan zdrowia. Tak przynajmniéj pisał hetman do króla, a ten przyjął jego tłómaczenie łaskawie i uprosił go listownie, aby wpłynął osobiście

(1) T. Luk. XII. k. 2: La reine de Pol. à M. de Noyers. S. l. 4 Janv. 1664.—Ibid. k. 15: La reine de Pol. à M. de Noyers. Vars. 18 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII. k. 4: [B. à de Noyer]. S. l., 4 Janv. 1664: „Il palatino di Vilna et il vice canceliere di Lituania stanno benissimo colla regina (wnet się pokazało, czy rzeczywiście tak bardzo dobrze było); ma *il canceliere Pac al solito per private passioni intorbida le cose*, non amando, che le armate si unischino, è però semina fra esse delle zizanie“......

(3) T. Luk. XII. k. 29: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 8 Févr. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 10: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Janv. 1664.

(5) T. Luk. XII. l. sup. cit.

na zjednoczenie skrzydeł i oddał na czas swéj nieobecności dowództwo Michałowi Pacowi (1).

Ze swojéj strony poleciła królowa Krzyszt. Pacowi, aby się postarał o złagodzenie warunków układu między obiema dywizyami. Miała nadzieję, że kiedy armia stanie w obozie królewskim, Jan Kazimierz swoim osobistym wpływem usunie wszystkie przeszkody, które jeszcze stać będą na zawadzie zupełnéj zgodzie stron powaśnionych (2). I w istocie—właśnie dzięki staraniom komisarzy, wydelegowanych przez Jana Kazimierza przyszło nareszcie w Siewsku—w pierwszéj połowie lutego do połączenia armii koronnéj i litewskich skrzydeł, nad którymi sam król generalne objął dowództwo (3).

Wśród tych zajęć nie zapominała tymczasem Marya Ludwika i o drugim malkontencie litewskim, Bogusławie Radziwille. Książę ten, skoligacony z elektorem brandeburskim, od wielu lat służył krewnemu, jako doradca i minister. Otóż dzięki dobremu porozumieniu z Morsztynem młodszym (bratem referendarza), sekretarzem Radziwiłła, zasięgła królowa co do niego pewnych informacyi, których zręczne użycie mogło się wielce przyczynić do pozyskania dygnitarza. Dawny magnat, choć właściciel wielkich dóbr na Litwie, miał się znajdować w nieszczęśliwych stosunkach materyalnych. Z majątku swego nie mógł korzystać z powodu ciągłych wojen, które weń wniosły zupełną ruinę. Żył więc i utrzymywał się prawie jedynie z pensyi, pobieranéj od elektora (4).

Było to królowéj bardzo na rękę: pieniądz mógł tu działać wiele, a o pieniądz dzięki Ludwikowi XIV nie było trudno. Umyśliła więc Marya Ludwika wyrobić mu stałą u króla pensyę, zwłaszcza, że Morsztyn zapewnił, iż Radziwiłł jest usposobiony przychylnie dla królowéj i jéj stronnictwa i gotów porzucić zupełnie elektora, byle względy materyalne nie stały na przeszkodzie. Za Radziwiłłami i Pacami pójdzie większość szlachty litewskiéj, a może i cała Litwa, jeśli Sapieha—czego się spodziewano—rękę do sprawy przyłoży. Pac bowiem donosił, że czyni gorliwe zabiegi około naprawienia niezgody, jaka go dzieliła od hetmana: rzecz była na drodze do pomyślnego załatwienia (5).

---

(1) T. Luk. XII. k. 11: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII. k. 13. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 18 Janv. 1664.

(3) List Jana Kaz. do Maryi Lud. (Z teki dra Liskego): dal campo sotto Głuchow, il 7 di Febrajo 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 43—4, [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 4 Mars 1664.

(5) Ibid. u. s. k. 44.

Zdawało się z téj strony wszystko składać w myśl intencyi dworu. A ponieważ z innéj strony, z Zadnieprza dochodziły właśnie wieści, które pierwotny plan królowéj (osnuty na tle wyprawy) nagle zniweczyły, tém goręcéj chwyciła się ona teraz nowéj myśli, pragnąc korzystać z pomyślnego usposobienia Litwy: a to pozyskania armii litewskiéj za pomocą magnatów (1). Wojsko — tak układała sobie — zażąda za przewodem swych panów obioru następcy tronu: podsunie się im kandydata w osobie Enghien'a, sprowadzi nawet księcia w razie potrzeby na Litwę (2)—i elekcya przyjdzie do skutku. Za w. księstwem przystąpi do sprawy Korona — chcąc niechcąc—w obawie, aby nie stracić korzyści unii i nie rozrywać całości rzeczypospolitéj.

Trzebaż było, aby w téj chwili, kiedy powodzenie sprawy zdawało się zależéć jedynie od zgodnego współdziałania senatorów litewskich z koronnymi, z dworem i jego stronnikami,—ci ostatni, najgorliwsi poplecznicy d'Enghien'a, narzędzia planów Ludwika XIV i Maryi Gonzagi, sami zerwali to dobre porozumienie, które z takim trudem udało się sklecić chwilowo....

Oto na radzie wojennéj w Siewsku wnet po połączeniu obu armii, 18 lutego przyszło do gwałtownego zatargu w samém łonie stronnictwa francuskiego. Dawna zawiść względem Krzysztofa Paca,

---

(1) T. Luk. XII, k. 61. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664: „Ce moyen (l'éxpédition en Moscovie) venant à manquer, la reine songe à un autre, qui est de s'acquérir toute la Lituanie, ce qu'elle fera, si elle se peut assurer du Sapiha et du prince Razevil, puisque ceux-ci avec le grand-chancelier sont trois seuls qui peuvent former quelque parti dans le grand-duché.“ Mowa tu jest wogóle o pozyskaniu całéj Litwy; ale w liście de Lumbres'a do Kondeusza (T. Luk. XXXIII, k. 89, 18/4 1664) wyraźnie zaznaczono, że królowa miała na myśli w szczególności armię: „......la reine veut maintenant gagner *toute l'armée de Lituanie.....*“

(2) Mimo, że oficyalnie królowa i jéj stronnicy stale zaprzeczali, jakoby mieli na myśli sprowadzenie Enghien'a do Polski dla przyspieszenia elekcyi i nawet za rozszerzanie wieści o takim zamiarze kryminał zadawali późniéj Lubomirskiemu, nie ulega wątpliwości, że jakiś czas faktycznie i zupełnie na seryo plan ten zajmował uwagę Maryi Ludwiki. Znajdujemy na to dowody już w listach, datowanych ze stycznia r. 1664; inne listy późniejsze dowodzą, że plan ten i późniéj był wznawiany, a raczéj i nadal się utrzymywał. T. Luk. XXXIII, k. 87, Caillet à St. Martin, S. l., le 25 Janv. 1664: „Pour ce que vous écrivez du voyage de Mr. le duc en Pologne, son Altesse m'a dit *qu'au premier avis, que M. le duc aura de l'intention de Sa Majesté là-dessus, il sera prêt de faire ce voyage-là.*“ Również T. Luk. T. XII, k. 53 [La reine de Pologne à M. de Noyers], Varsovie, le 3 Avril 1664, królowa sama pisze: „*Enfin il faut penser...... au temps, que M. le duc d'Enghien pourra venir ici pour s'y faire connaître.*“ A jeszcze we wrześniu pisze Kondeusz do de Noyers'a (T. Luk. XXXIII, k. 94, 3/10 1664): „Pour ce qui est de la sûreté de nos personnes au cas qu'il faille que nous fassions ce voyage (en Pologne), nous y pourvoirons le plus qu'il nous sera possible.“

którą żywili nie tylko panowie litewscy ale i koronni, Stanisław Rewera Potocki, hetman w. kor., Czarnecki, wojewoda ruski, a szczególniéj kanclerz Prażmowski, wybuchła teraz żywym płomieniem. Pac bowiem był współautorem owéj myśli pochodu na stolicę sąsiedniego państwa (1); plan runął, a „kiedy wszystkie poszły im wstecz rzeczy, sami między sobą uczynili warchoł, jeden na drugiego kładąc winę, a najbardziéj na pana kanclerza litewskiego“ (2), który też przeczuwając, na co się zanosi, na radę nawet nie przybył. Od złorzeczeń przyszło do pogróżek.... „Za te jego rady — zaklinał się Potocki — którymi króla do takowych przywiódł labiryntów, sam za kudły wziąwszy, utnę mu szyję!...“ I dobył przytém szabli (3). Równie namiętnie przemawiali i inni: Prażmowski najgwałtowniéj nastawał na kolegę z Litwy. „Jakoż przy konkluzyi rozjazdu z sobą się pp. kanclerze mocno powarcholili; dlaczego i w jednę z sobą nie przyszło im jechać drogę, albowiem pan kanclerz litewski z królem IMcią jechał do Litwy, ksiądz zaś kanclerz z IMcią panem wojewodą krakowskim tu tędy na Dymir Polesiem....“ (4).

Dzieło napoczęte zaczęło się więc psuć i rozpadać na nowo. Trzeba było się spieszyć, aby zażegnać grożącą burzę. Nie starczyły tu listy: piśmienne perswazye rzadko odnoszą skutek, bo nie ma konieczności dawać na nie odpowiedzi. Uczuła królowa, że czas jéj do energiczniejszych zabrać się kroków, że konieczną jest jéj obecność, aby mir ponieść między zwaśnionych. Powzięła przeto plan podróży na Litwę naprzeciw króla (5). Ufała tyle wpływom swéj

---

(1) Wiemy bowiem, że miesiąc przedtém, w styczniu jeszcze, na radzie wojennéj pojawiły się już głosy za powrotem z Zadnieprza na Ukrainę; a wtedy Krzysz. Pac radom tym się sprzeciwił. T. Luk. XXXIII, k. 88, De Lumbres à Caillet, 14/II 1664: „Dans le conseil de guerre, tenu le 12/I, presque tous les officiers étaient d'opinion, que le roi se retirât et laissât les armées agir seules, ne pouvant s'engager dans un pays où il est difficile et impossible de se retirer après le dégel. *Le grand-chancelier* (de Lituanie—jak widać z poprz. słów) *est au contraire d'avis de marcher droit à la ville capitale, pour y jeter la terreur et la confusion.*“

(2) Por. List Samuela Czaplickiego do Jerz. Lubomirskiego, Dan z pod Sośnicy, 12 Martii a. 1664 (Zbiór pam. do dziej. pols. hr. de Broel-Platera. IV, 155).

(3) Ibid. u. s. str. 156.

(4) Loc. s. cit (jak w poprz. uwadze).

(5) T. Luk. XXXIII, k. 89, de Lumbres à [Condé]. Vars. 18/IV, 1664: „Comme cela a manqué, la reine veut maintenant gagner toute l'armée de Lituanie par le moyen du grand général, le lier avec le grand-chancelier (par le mariage de sa fille avec Michel Pac) et Radzivill. *C'est pour cela que la reine veut aller au devant du roi en Lituanie.*“ Również T. Luk. XII, k. 54: *La reine de Pologne* à M. de Noyers. Vars. 3 Avr. 1664: „L'on m'écrit d'auprès du roi les brouilleries survenus entre les chanceliers. *Il faut que*

wymowy i umiejętności zyskiwania ludzi, że spodziewała się usunąć wszelkie zwady i rozterki, działając osobiście, ręka w rękę z królem. Nie omieszkała też poruszyć wszystkich sprężyn, aby nie doznać zawodu. Hetmanowi litewskiemu przypomniała się uprzejmym listem; odezwała się nie mniéj do przyjaźni hetmanowéj i jéj siostrzenicy, prosząc o pomoc w kłopocie (1). Zdarzyła jéj się wtedy wreszcie i sposobność nawiązania bliższych z Bogusławem Radziwiłłem stosunków: książe przyjechał do Warszawy 9-go kwietnia. Nie obeszło się — co prawda — bez skazy i wyrzekań ze strony pretensyonalnego ministra: nie mógł on zapomniéć zawodu, jakiego doznał w staraniach o wakanse po Gąsiewskim, uprzedzony przez Michała Paca. Ale królowa zwyciężyła: Radziwiłł zobowiązał się do wszystkiego, czego żądała, obiecał natychmiast porzucić marszałka, dotychczas bliskiego przyjaciela, a nawet pogodzić się z kanclerzem litewskim. Otrzymał w zamian obietnicę piętnasto-tysięcznéj pensyi (we frankach) (2). Swoją drogą dostał odpowiednią naganę Prażmowski za porywcze postępowanie: poleciła mu królowa listownie, aby pierwszy podał rękę do zgody i Czarnieckiego do niéj nakłonił (3).

Podróż była zatém postanowiona i ułożona z królem, który w swoich listach myśl szczęśliwą popiera usilnie i wielokrotnie jak najwcześniejszego jéj spełnienia się dopomina (4).

Ale nad Maryą Ludwiką ciążyło jakieś fatum: od Nowego roku niczego do skutku przywieść nie mogła. Każde dzieło wiodło jéj się zrazu, obiecywało nawet świetne rezultaty: w chwili stanowczéj zaszło zawsze coś, co plan cały obracało w niwecz. Kiedy już zarządzono przygotowania do podróży i zamiar długo żywiony miał wejść w życie nareszcie: królowa zapada nagle — 23 kwietnia — w ciężką gorączkę. Choroba w końcu miesiąca przybrała groźne rozmiary: z obawy, by zbyteczna krwistość nie sprowadziła złéj katastrofy, pięć razy musiano krew oddalać sztucznie. Kryzys nastąpiła 30-go

---

je les voie pour leur faire reprendre de bons sentiments l'un pour l'autre parce qu'autrement notre parti en pourrait souffrir...."

(1) T. Luk. XII, k. 54 (w miejscu pod. w uw. 5, str. poprz.).

(2) T. Luk. XII, k. 59. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 64—5. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664.

(4) Por. listy Jana Kaz. do Maryi Lud. (Z teki D-ra Liskego [z braku paginacyi numerujemy je wedle porz. dat]). *Nr. 3:* Krzyczew, il 24 di Marcio [1664]. *Nr. 5:* A Mohilow, 1 Avr. 1664. *Nr. 6:* Da Mohilewo, 5 d'Aprile [1664]. (Pisze w tym ostatnim w PS.: „Aspetto con grandissima impazienza la risposta delle mie lettere, nelle quali vene prego di venire a trovarmi im Lituania..,."). Podobnież *Nr. 7:* Mińsko 28 d'April [1664], etc. etc.

i minęła szczęśliwie. Gorączka w pierwszym tygodniu przebyła swoje maksymum: w następnym zwolna ustępowała (1). 6-go maja zaszło chwilowe pogorszenie; dziewiątego z choroby pozostało już tylko wielkie wycieńczenie i osłabienie.

Lekarze nie pozwalali ani myśléć o dłuższéj podróży (2); dwóch co najmniéj miesięcy będzie potrzeba, aby rekonwalescentce wróciły wszystkie siły. Tak téż było rzeczywiście. Cały maj i czerwiec zachodziła ciągła obawa recydywy: zdrowie wzmacniało się bardzo powolnie i wymagało szczególnego starania (3).

Ten przypadek, który do głębi wstrząsnął szczerze do żony przywiązanym królem (4) i przykre wywołał wrażenie w kołach, gdzie królowa, skądinąd nie lubiana, dla swych przymiotów osobistych serdeczną i niekłamaną cieszyła się sympatyą, uniemożliwił oczywiście projekt podróży na Litwę, jakkolwiek Jan Kazimierz podnosi go jeszcze nieraz w swoich listach (zawsze w nadziei, że czas zatarł już ślady przebytego cierpienia) i chociaż królowa powraca doń także niekiedy, złudzona chwilowo dobrym stanem zdrowia..... Z powrotem niemocy usuwała się dawna myśl znowu z porządku dziennego (5).

---

(1) Gaz. de France, De Varsov. 4 May 1664.—T. Luk. XII, k. 65. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664. — Ibidem k. 66. De Lumbres à M. de Lionne. Varsovie 2 Mai 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 67. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 9 Mai 1664. — Gaz. de France: De Warsovie, 10 May, 1664.

(3) Loco s. cit.

(4) Listy Jana Kaz. kr. pol. do Maryi Lud. (Z teki D-ra Liskego): Nr. 8. Mińsko. 6 di Magio. — Nr. 9. Mińsko, il 9 di Magio. — Nr. 10. List Trabuc'a do Maryi Ludwiki. A Mińsko, 16 May, 1664.

(5) I tak np. 16 maja pisze królowa sama do Kondeusza (T. Luk. XL, Nr. 19, k. 19), że zły stan zdrowia nie dozwala jéj więcéj, jak kilka słów skreślić, a mimo to, jak widzimy z listu de Lumbres'a do Ludwika XIV z 22-go maja (T. Luk. XII k. 71) projektuje znowu podróż do Litwy („....elle souhaite pouvoir se rendre auprès du roi dans trois semaines ou un mois, comme elle éspère de faire.... si sa santé se trouve alors assez rétablie pour le permettre."). Tymczasem dowiadujemy się, że w kilka dni potém dostaje znowu gorączki (Gaz. de France: De Wars. le 26 Mai 1664). Ledwie powróciła do zdrowia po téj recydywie, już i dawny plan znowu się odnawia. Porów. Gaz. de France: De Warsovie 9 Juin 1664: „La reine de Pologne, à présent en parfaite santé (?), ayant eu avis de Wilna, que le roi devait estre ici, le 20 de ce mois, se dispose pour aller au devant de lui."—Ale w tydzień potém czytamy w tejże saméj Gazecie (G. de Fr. de Wars. 16 Juin, 1664), że plan ten nie mógł przyjść do skutku; królowa bowiem czuje się znowu tak osłabioną, że chociaż wyjeżdża na przechadzkę powozem, to jednak lekarze nie radzą jéj wydalać się z Warszawy i wogóle puszczać w jaką dłuższą drogę. I tak powtarzało się ciągle: a skutkiem tego projekt podróży na Litwę upadł ostatecznie zupełnie.

Marya Ludwika zniewolona więc była pozostać w Warszawie i przekazać rozpoczętą około Litwy pracę mężowi i Pacom. Plan pozyskania armii litewskiéj nie rozpłynął się wprawdzie, ale wykonanie jego musiało się przeciągnąć. Stracono wiarę w możność wczesnego wykonania owego zamachu na konstytucyę z roku 1662 o elekcyi, zapomocą armii. I może się to dobrze złożyło, że plan podróży do w. księstwa rozbił się na razie,— bo zbieg innych okoliczności sprawił, że obecność królowéj stała się w stolicy niezbędną. Nie od Litwy, lecz skąd inąd nadciągały chmury: zbierała się jakaś burza nad Koroną.... Trzeba było ją zażegnać.

Na ponurém tle zasnutego tymi chmurami horyzontu miała się teraz zarysować inna postać: Jerzy Lubomirski zabierał się do swego dzieła.

(*D. c. n.*) *Wiktor Czermak.*

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

V.

Do chaty Piotra istotnie zajrzało nieszczęście, nie zaraz jednak i nie takie, jakie przewidywała Rozalka. Obszerną izbę, w słoneczny dzień październikowy napełniali ludzie, którzy tam z radami i pocieszeniami przychodzili. Jakkolwiek Piotr od lat już paru przestał być starostą, jednak powaga obejścia się, rozważność mowy, nadewszystko zaś może zamożność jego, jednały mu szczególne poważanie i przychylność, wśród mieszkańców Suchéj Doliny. Gdy tylko więc wieść o nieszczęściu, które go dotknęło rozeszła się po wsi, ten i ów z gospodarzy przychodził, aby rozpytać się o szczegóły zdarzenia i ze zmartwionym sąsiadem pogadać, powzdychać, głową pokiwać. Zdarzało się to tém częściéj, że roboty letnie i jesienne były już prawie skończone, a od cepa i toku stodoły łatwiéj oderwać się na godzinkę, niżeli od pługa i zagona. Piotr młodszemu synowi rozkazał żyto w stodole młócić a sam zamierzał zrana udać się za pługiem, na pole, dla wyorywania kartofli. Ale południe już było blizkiém, a on nie mógł jeszcze wydalić się z chaty. Myślał wciąż o kartoflach, kilka razy już drzwi otwierał, aby iść konie do pługa zaprzęgać, ale za każdym razem wracał i znowu na ławie, pod ścianą izby siadał. Nie wyrzekał głośno i nawet nie wzdychał, tylko widocznie ręce mu bezwładnie na kolana opadały, ochota do niczego nie brała i czoło zmarszczyło się w głębokie fałdy. Na pozdrowienia wchodzących sąsiadów odpowiadał krótkiem: *na wieki wieków*! i znowu zapadał w milczenie. Czasem, rękę do czoła podnosił i ustami poruszać zaczynał tak, jakby żegnał się i pacierze mówił. Sąsiedzi stawali przed nim, albo rozsiadali się na ławie i zadawszy kilka zapytań, podziwiwszy się trochę, głowami pokiwawszy, milczeli także, wzdychali i odcho-

dzili a na ich miejsce przychodzili inni. Tak było z mężczyznami. Ale z kobietami działo się wcale inaczéj. Tłumnie otaczały one tapczan, na którym leżał chory, gadały, doradzały, nad Agatą, która na ziemi u tapczana siedząc cicho płakała, głośne lamenta zawodziły. Chorym był Klemens. Urodziwego parobka sroga jakaś gorączka niby kosa trawę podcięła. Pod kraciastym kilimkiem leżał on nieruchomy, nakształt kłody drzewa, z twarzą ziejącą ogniem, wciąż jękliwym głosem matkę ku sobie przywołując. Piotrowa podnosiła się z ziemi, stojący obok dzbanek z wodą brała i klęcząc, brzeg jego do ust synowskich podawała. On pił chciwie, jéj łzy ciekły po zżółkłéj od zgryzoty twarzy. Nie krzyczała jednak, rąk nie łamała i rzadko nawet odzywała się do sąsiadek. Zawsze była ona najcichszą prawie z całéj wsi niewiastą, tak już przy swoim poważnym mężu i w swojéj spokojnéj chacie być przywykła. Inne za to kobiety, tapczan ścisle otaczając i choremu przypatrując się gwarzyły jak na targu, lub zawodziły jak na pogrzebie Łabudowa, gospodyni tak jak i Agata zamożna i poważna, prawiła.

— Nie wytrzyma, już ja wiem, że nie wytrzyma, już ja może dziesięciu ludzi w takiéj chorobie widziała i żaden nie wytrzymał.

Piotrowa rzewniéj jeszcze płakać zaczęła i z twarzą w dłoniach aż zakołysała się cała z żałości, ale żona Maksyma, Bohdanka, tęga i zamaszysta baba, złowróżbną sąsiadkę od tapczana odepchnęła.

— Czemu nie wytrzyma? czy to zmiłowania boskiego nad grzesznymi ludźmi nie ma? Pan Bóg najwyższy zmiłuje się i uzdrowi. Agata! hladysz mi dajcie, prędko! Słyszycie, Agata? jemu trzeba hladysz do *żywota* przystawić!

Paraska Szymonowa z małém dzieckiem na ręku i dwoma starszemi, które czepiały się jéj spódnicy, skora do płaczu, bo zawsze prawie głodna i skłopotana, palcami rozmazywała sobie łzy po chudych policzkach i zawodziła.

— Oj, bogate takie i szczęśliwe ludzie, a *taki* spadła na nich zgryzota! Oj, Klemens, Klemens, żebyś ty był lepiéj na tę łąkę nie pojechał, na tym deszczu nie przemókł i nie wyspał się na téj zgniłéj kopicy! Oj, z téj zgniłéj kopicy choroba ta wylazła i w twoje ciało wlazła... oj, biednaż twoja młoda główka, biedna!

Młody parobek istotnie przed kilku dniami jeździł na dość oddaloną łąkę, dla zabrania z niéj wprzódy już skoszonéj otawy, w drodze zmókł na ulewnym, jesiennym deszczu i noc przespał na stożku zgniłéj od wilgoci trawy. Nazajutrz do domu wróciwszy kożuch włożył bo go dreszcze trzęsły, lecz że dnia następnego chłopcy wiejscy mieli w stawie niewodem ryby łowić, poszedł wraz z nimi, zdjął na brzegu odzienie, po ramiona prawie wlazł w wodę i przez parę go-

dzin pomagał niewód ciągnąć. Po téj już wyprawie był na tapczanie i od dwóch dni zeń nie wstawał. Przytomnym był zupełnie, tylko czasem na różne bóle wyrzekał, a teraz tak zajęczał, że stara Łabudowa ręce jak do pacierza splotła i z nogi na nogę przestępując, Agatę zapytała.

— A gromnica jest u was? Już jemu biedakowi gromnicę by w rączki włożyć.

Budrakowa ze swéj strony wołała o hładysz, aby go do *żywota* choremu przystawić, inne kobiety szeptały o księdzu i przenajświętszych sakramentach; młodziutka, wysmukła dziewczyna, w cienkiéj koszuli i z żółtym kwiatem za uchem, która przy oknie stała i na chorego Klemensa jak w tęczę patrzała, zajęczała głośno.—Oj! Boże mój Boże!—Była to córka Maksyma Bodruka, najładniejsza i najbogatsza dziewczyna we wsi, która tu niby po matkę, ale w istocie z niespokojności o ładnego parobka przyszła i wstydliwie w milczeniu, przy oknie stanęła. Piotrowa zachodząc się od płaczu, dźwignęła się z ziemi i poszła do komory po hładysz i po gromnicę a flegmatyczna Paraska, krok w krok za nią wraz z trojgiem dzieci swych chodząc, z uporem ogłupiałych i rozlazłych istot, wciąż swoje powtarzała.—Oj, żeby on był nigdy na tę łąkę nie jechał, na tym deszczu nie zmókł i nie przespał się na téj zgniłéj kopicy!

W tém, pomiędzy gwarzącemi kobietami i tuż za Piotrową, która *hładysz* Bodrukowéj podawszy, z kawałkiem woskowéj świecy w ręku znowu na ziemi u nóg syna usiadła, zabrzmiał najdonioślejszy ze wszystkich, ostry i syczący głos niewieści.

— Ale, albo to od łąki i od deszczu i od kopicy ta choroba na niego przyszła? Od czego innego ona na niego przyszła i nie Boska w tém wola jest, ale czyja inna!

Słowa te wymówiła Rozalka, która dnia tego już kilka razy wpadała do Piotrowéj chaty i popatrzywszy chwilę na chorego, wybiegała z niéj, aby po kwadransie lub godzinie powrócić znowu. Z ruchliwéj i ognistéj jéj twarzy poznaćby można, że czuła się czémś mocno zdziwioną i zakłopotaną. Spodziewała się wcale czego innego niż to, co się stało. Za wrotami Piotrowéj chaty stawała i z palcem do ust przyłożonym dumała głęboko. Potém biegła do domu, aby strawę gotować i lnu choć trochę natrzéć, była to bowiem pora tarcia lnu, a Rozalka za lnem przepadała i pomimo wszystko, zupełnie o nim zapomniéć nie mogła. Przytém, Stepan który żyto młócił, parę razy już przez drzwi stodoły na nią zawołał, aby z chaty nie odchodziła, bo zaraz pójdzie za nim na pole kartofle zbierać. Była więc dnia tego na wszystkie strony rozrywaną. Tu len trzéć chciała, tam mąż ją wołał, owdzie znowu, w chacie Piotra, ważną sprawę załatwić

musiała. .Ze wszystkiego jednak, co na świecie istniało, ta sprawa najbardziéj na sercu jéj ciężyła, więc raz jeszcze wpadła do chaty Piotra i usłyszawszy dowodzenia Paraski o przyczynach choroby Klemensa, zawołała.

— Ale nie od łąki i nie od deszczu i nie od zgniłéj kopicy tu choroba na niego przyszła! Nie Boska w tém wola, ale czyja inna.

A gdy wszystkie prawie obecne kobiety, nie wyłączając Budrakowéj, która już z hładyszem w ręku nad chorym stała, oczy na nią zwróciły się, splotła na fartuchu ciemne swe małe, ruchliwe ręce i wymówiła.

— To jest *zrobione*?

— Co? zapytał chór niewieścich głosów.

— A taż choroba. Ją któściś jemu zrobił.

Teraz, kilku mężczyzn, którzy w milczeniu naprzeciw Piotra siedzieli i sam Piotr przysłuchiwać się zaczęli babskiéj rozmowie. Chory nawet zwrócił ku mówiącéj przyćmione cierpieniem, ale przytomne i pytające oczy.

— Aaaa! zadziwiło się parę kobiecych głosów, a któż to taki zrobił?

Z nogi na nogę przestępując i oczami błyskając, Rozalka zaczęła...

— Ja wiem kto. Ta co jemu ziele jakieś na lubienie dawała. *Musić* nie takie ono było jak trzeba, to i zamiast lubienia chorobę zrobiło. Paru mężczyzn lekceważąco skinęło rękami a Klemens na Rozalkę popatrzał i wstydliwie brodę pod kilimek wsuwając pomimo bólów swych, parsknął krótkim śmiechem. Wiadomość o tém, że ktoś mu ziółko na lubienie dawał, zawstydziła go nieco, lecz więcéj jeszcze ucieszyła. Zajęczał zaraz, bo go w krzyżach srodze zabolało, niemniéj przecież przyćmiony wzrok swój na ładną Budrakównę zwrócił, jakby chciał jéj powiedziéć. —A co? widzisz, jaki to ja! Ale hoża dziewczyna aż zbladła od przestrachu i wylękłe swe oczy w Rozalkę wlepiała. Inne kobiety pootwierały zrazu usta, potém zwiastunkę dziwnéj wieści pytaniami osypywać zaczęły. Ona ze zwykłą swoją żywością do Piotra się zwróciła.

— *Chadzi*, Pietruk, zawołała, tobie *skażu*. Nikomu, nie *skażu*, ale tobie *skażu*. Ty ojciec i *pomstowanie* za krzywdę syna do ciebie należy.

Piotr wstał i za kobietą, która go za rękę chwyciła, do sieni wyszedł. Tam, w pół zmroku z kwadrans ze sobą rozmawiali. W izbie tymczasem zapanowała cisza; Budrakowa *hładysz* do żołądka chorego niby olbrzymią bańkę przystawiała. Na dworze dał się słyszéć głos męzki, niecierpliwie wołający Rozalki. Ona mu z sieni krzykli-

wie odpowiadała.—Zaraz! zaraz! Stepan z pługiem zaprzężonym parą koni zatrzymał się przed chatą stryjecznego brata i żony doczekać się nie mogąc, klął ją straszliwie. Po kwadransie dopiero, Piotr wrócił do izby widocznie wzruszony i rozgniewany. Czoło jego sfałdowało się więcéj jeszcze niż przedtém, a zwykle łagodne oczy rzucały ostre błyski z pod ściągniętych i zjeżonych brwi. Zrazu jednak nic nie rzekł, tylko ze zgiętym grzbietem i pochyloną głową na ławie usiadłszy, splunął i zamruczał.

— *Zhiń, przepadnij nieczystaja siła*!

Potém na syna badawczy wzrok zwrócił i zapytał.

— Klemens! pił ty niedawno miód z Franką, Jakóbową wnuczkę? ha? pił, czy nie? odpowiadajże!

Parobkowi trudno było na to pytanie odpowiedziéć. Wstydził się, brodę wraz już z ustami pod kilimek wsuwał.

— Nie dokuczajcie, *baćku*, *wielmi* w kościach boli! zajęczał.

— Ja nie dla dokuczania pytam się, tylko dla wiadomości, odparł Piotr i proszącym prawie głosem dodał. Po ojcowsku ja pytam się ciebie, czy pił ty w karczmie miód z Franką, Jakóbową wnuczką?

Ładna Budrakówna w płomieniach cała stanęła. Ona wiedziała o tém, że Klemens brzydką i biedną Frankę zaczepia i chciała nieraz gniewać się za to na niego srodze, ale nigdy nie mogla. W naturze już jéj gniewu nie było. Odwróciła się więc tylko znowu do okna i głośno nos w palce utarła. Poczem pilnie słuchała, co będzie daléj. Nu, badał daléj Piotr syna, pił, czy nie pił?

— Pił, jękliwie odpowiedział Klemens, taj, cóż takiego że pił?

Piotr rozpaczliwym ruchem głową rzucił.

— Nu, rzekł, to ty z tym miodem i chorobę tę wypił. Dziéwka ci do niego paskudnego ziela nasypała. Na śmierć nie na życie, na *pohybel* nie na lubienie, ziele te wiedźma ludziom daje...

Kilka kobiet splasnęło w dłonie. Piotrowéj oczy zmęczone, spłakane, z wyrazem obłąkania prawie na mówiącego patrzały.

— Wiedźma! rozległ się chóralny krzyk.

— Kowalicha! przez zaciśnięte zęby dokończył Piotr, przyczém z ławy wstał i do komory poszedł. Po chwili wrócił, niosąc Ewanielję owę, z któréj pomocą Pietrusia niegdyś złodzieja odgadywała. Przystąpił do chorego syna i uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, starą książkę nad samą głową, na poduszce mu położył. Czyniąc to szeptał.

— Może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad nami nieszczęśliwymi Może Boska siła przezwycięży *czortouskuju siłu*. Może ty synku wyzdrowiejesz i sam na téj nieprzyjaciółce ludzkiego rodu krzywdę swą pomścisz! Może ja jeszcze na wiosnę orać z tobą razem pójdę; może ja jeszcze na twoje wesele patrzéć będę...

Kreślił w powietrzu nad synem nieskończoną ilość krzyżów, świętą księgę do głowy mu przyciskał a kilka grubych łez stoczyło się z jego oczu, po ściągłych, bladawych policzkach. Klemens udzieloną mu wiadomością i słowami ojca przeraził się i wzruszył bardzo; głowa silniéj mu zapłonęła, oczy nabrały rażącego blasku, zaczynał tracić przytomność, okropnie jęczeć i kląć. Kobiety ze swéj strony uderzyły w krzyk i płacz, wołały, że już po wszystkiém, że po księdza posyłać trzeba, że nawet księdza chory nie doczeka; Łabudowa gromnicę zapaliła i w ręce chorego wetknęła; Budrakówna przed oknem na klęczki upadła i z głośnym płaczem krzyczéć zaczęła: Wieczneż odpocznienie duszyczce jego daj, Panie! Piotr głowę tracąc, szedł już, aby konie zaprzęgać i po księdza jechać, a idąc, trząsł się cały z żalu i ze złości, od czasu do czasu z za zaciśniętych zębów wyrzucając straszne przekleństwa.

— *Kab* jéj nogi połamało! *kab* ona światu za płaczem nie widziała, wiedźma ta przeklęta, nieprzyjaciółka Boża, dusza chrześcijańska *czartouskiej* sile zaprzedana!

Piotrowa zapaloną gromnicę w rękach syna ujrzawszy, po raz pierwszy przeraźliwie krzyknęła, zarazem, z błyskawiczną szybkością chustkę na rozczochraną głowę narzuciła i z chaty wybiegła. Biegła naprzód ulicą wiejską, potém skręciła na tę wązką ścieżkę, która pomiędzy ścianami stodół a opłotkami ogrodów ku domóstwu kowala wiodła.

Były to jasne dnie babiego lata. Nad ziemią wisiały błękity nieba, blade lecz tak czyste, że niepodobna by na nich dopatrzéć najlżejszéj chmurki. Z pobladłéj i jakby zmalałéj tarczy słonecznéj, płachta niezmąconego światła spadała na ciemne pola, których nagości nie przysłaniały szczupłe cienie drzew, nawpół ogołoconych z liści. Gaje rozrzucone po wzgórzach stały całe w złocie i w przeróżnych odcieniach purpury, a powietrze przeniknięte rzeźwym i suchym chłodem było tak ciche i czyste, że najlżejsze drgnienie nie poruszało srebrnych pajęczyn, wieszających się po gałęziach drzew, krzewach polnych i badylach ogrodów, że widnokrąg wyglądał jak okrągła tarcza, wypukłemi rzeźbami napełniona i kloszem z najprzezroczystszego kryształu okryta. W cichym krysztale powietrza i łagodném świetle słońca, pomiędzy szmatą zoranéj roli a ogrodem pełnym uschłych badyli, domostwo kowala przedstawiało obraz głębokiego spokoju, ożywionego migocącemi w słońcu szybami małych okien. Cisza zalegała pole i ogród, bielejącą za ogrodem ławicę piasku i srebrnie za piaskiem połyskującą szybę stawu; przerywały ją tylko dwa odgłosy pracy ludzkiéj: miarowe, twarde, silne uderzenia

kowalskiego młota i miarowe także lecz daleko szybsze i mniéj głośne stukanie, trącéj len *cierlicy*. To ostatnie zdawało się wtórzyć pierwszemu a z ciężkich uderzeń młota i szybkiego tententu cierlicy, z dymu wijącego się nad kominem domu i płomienia błyskającego za otwartemi drzwiami kuźni, z rozlegających się w ogrodzie głosów dziecinnych i głuszącego je czasem piania kogutów, w łagodną harmonię i ciche ukojenie otaczającéj natury, tryskał zdrój czystego, zdrowego, pracowitego życia.

Michał naprawiał w kuźni pługi nadwerężone orką jesienną, Aksena pod złotawą jabłonią ogrodu na uschłéj trawie siedząc, w ostatniem cieple słoneczném rozgrzewała swe stare kości, a przy niéj mały Stasiuk, ku zachwyceniu dwóch mniejszych jeszcze dziewczynek, dmuchał w drewnianą gwizdawkę, wydającą z siebie piszczące i przeraźliwe tony. W izbie chaty, przyciemnionéj nizkim sufitem, firankami z kwiecistego perkalu i kilku doniczkami z geranium, mirtem i piżmem, oprócz śpiącego w kołysce dziecka nikogo nie było. Na ziemi, ławach, stołkach, nawet na trzech paradnych krzesłach, piętrzyły się tam ciemne snopy wymoczonego i wysuszonego lnu, jeden zaś kąt sporéj sieni napełniały wysoko białawe głowy kapusty. Niedarmo te ostatnie dni pogody i słońca noszą nazwę babiego lata. W nich to na pracownice wiejskie spada istotny grad robót różnych. Pietrusia dziś od świtu ścinała kapustę i znosiła ją do domu a teraz pod ścianą chaty ustawiwszy narzędzie długie i wklęsłe, lnu weń nakładła i uderzając go deską opatrzoną w nagłówek, miękkie włókna rośliny ogałacała z ich suchéj i twardéj powłoki. W podniesionéj nieco spódnicy i grubéj koszuli, bosa i w okrągłym czepku z czerwonéj bawełnicy, z pod którego ciemne i gęste włosy wymykały się na szyję jéj i czoło, prędko, coraz prędzéj uderzała deskę *cierlicy* a sucha *kostrzyca* wzbijała się w powietrze, osypywała jéj odzież i owijała ją całą złotawą w słońcu kurzawą. Robota była ciężką; pracownica krztusiła się suchym pyłem, oddychała szybko i głośno, grube krople potu wystąpiły na czoło jéj i policzki, jedna z jéj rąk zakrwawiła się w paru miejscach. Ani na chwilę jednak roboty téj nie przerywała i była w niéj tak pogrążoną, że nie usłyszała otwierania się wrót małego dziedzińca, ani śpiesznych stąpań zbliżającéj się ku niéj kobiety i wtedy dopiero głowę podniosła, gdy o kilka kroków od niéj głos kobiecy, od płaczu i gniewu ochrypły, wymówił.

— Niech *czort* pomaga! Bodajby ty ze lnu tego sobie i swoim dzieciom śmiertelne koszule utkała!

Podniosła głowę i oczy jéj spotkały się z błyszczącemi oczami Agaty. Wyprostowała się, ręce jéj wzdłuż spódnicy opadły. Słowa

Piotrowéj przeraziły ją widocznie. Wczoraj już Franka przybiegała do niéj z wieścią o chorobie Klemensa. Byłaby zaraz do dawnych gospodarzy swoich pobiegła, aby dowiedziéć się, co tam słychać, pocieszyć, może dopomódz, ale wiedziała, że źle tam o niéj gadają i że odwiedzin jéj nie żądają wcale. Piotrowa sama przyszła i od przekleństwa zaczęła. Nie przywykła do łajań i krzyków, zrozpaczona matka, z twarzą zżółkłą i zmalałą, stała i teraz w swych płytkich trzewikach i dużéj chuście na głowie, nie miotając się jakby czyniły inne, owszem, bez ruchu prawie i tylko srogim wzrokiem na nią patrząca. Na Pietrusię nieruchomość ta, ten wzrok w nią utkwiony i te wyrzucone przekleństwa, wywarły wrażenie takie, że aż jęknęła i niby przed widmem cofnęła się o kroków parę.

— Czego chcecie, ciotko? — wyjąkała.

Teraz Piotrowa głową kiwała i po razy kilka, jakby jéj oddechu do dłuższego mówienia brakowało, powtórzyła: — Oj ty! oj ty! oj ty!

— Oj ty niegodziwa! — wybuchnęła nakoniec, toż ty przez tyle lat chléb nasz jadła, toż my ciebie, jak co dobrego lubili i hołubili... Za co ty nam teraz syna otruła?.. ha?

Piotrusia rękami splasnęła.

— Ja wam syna otruła? ja!

Agata postąpiła naprzód i zbliżyła się do niéj tak, że rozdzieliła je tylko wązka *cierlica*. Szyję wyciągnęła i w twarz młodéj kobiety wpiła jadowite, błyszczące spójrzenie. Z przeciągłem syczeniem słowa z jéj ust wychodziły.

— Co ty jemu zrobiła? *Skaży*, co zrobiła? jakie ziele téj dziéwce dała, żeby go ona niém napoiła? Nie dawała może? ha? *Skaży*, że nie dawała? Zełżyj, co tobie szkodzi? ty już i tak zgubiona, *czortu* zaprzedana, Boga obrazić nie boisz się! *Skaży*, że nie dawała?

Do zarumienionéj od pracy twarzy Piotrusi buchnęły ogniste rumieńce, załamała ręce i krzyknęła: — Aha!

Zrozumiała teraz, czemu w Piotrowéj chacie jéj przypisywano chorobę Klemensa i nagły strach zatrząsł jéj sercem, które gwałtownie bić zaczęło. A może to i od tego ziela, może naprawdę i od tego ziela on zachorował? Łzy nabiegły do wylęknionych jéj oczu, do Agaty zwróciła się profilem i stała nieruchoma, jak słup, oniemiała.

— Aha! — krzyknęła już teraz Piotrowa, nie pobożysz się ty, że nie dała! bo i dała! już ja i z twarzy twojéj widzę, że dała i że to prawdą jest, co Rozalka mówiła! No, kiedy tak, to odróbże teraz co zrobiła? *czujesz*? Daj co takiego, żeby jemu truciznę z ciała wypędziło? Kiedy ty wiedźma, to ty wszystko znasz... Kiedy ty źle możesz robić, to i dobrze możesz.... Odrób co zrobiłaś! *czujesz*? odrób...

Wyciągając obie ręce nad *cierlicą*, kobietę w niemy słup zamienioną za koszulę i ramiona targała, a we wzroku jéj, obok gniewu i nienawiści zjawiać się zaczął wyraz trwogi i prośby. Z nienawiścią, to z prośbą w głosie, powtarzała.

— Znasz, możesz.... jak zrobiła tak odrób....

Pietrusia targnęła się, z rąk jéj koszulę swą wyrwała i załamując ręce, jęknęła.

— Co ja zrobię!... odczépcie się wy odemnie....

Wtedy, Piotrowa, choć osłabła ze zgryzoty i płaczu, jak łania skoczyła i osunąwszy się przed nią na podłogę, kolana jéj objęła.

— Pietrusia! mileńka, zuzula! ratuj ty jego! daj jemu co takiego, żeby ta trucizna z ciała mu wyszła... tyż sama ją dawała... jak zrobiła, tak i odrób... ja tobie za to wszystko dam... co tylko zechcesz... lnu dam, i wełny, i jajek, i płótna i *hroszy*, kiedy zechcesz; oboje z Pietrukiem nie pożałujem... tylko odrób, co zrobiła... niechaj on przy życiu zostanie, nasz gołąbek mileńki, nasza podpora na stare lata... Ty wiesz... Jasiuk jest tak jak do niczego... A ten prawa ręka nasza... pracownik nasz najlepszy... Ratuj ty jego... *znasz* możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Ściskała kolana jéj, brzeg jéj spódnicy całować zaczęła. Pietrusię ten żal matczyny i to rozpaczne błaganie widocznie na torturach rozciągały. Sama przecież matką była, a z tą kobietą tyle lat niegdyś życzliwie i zgodnie przeżyła. Podniosła ręce do głowy i zawiodła.

— Oj, Bożeż mój, Boże! co ja pocznę! nie robiła ja i odrabiać nie mogę...

Agata porwała się z klęczek i syczącym głosem zapytała.

— Nie zrobiła? może pobożysz się, że nie zrobiła?

Pietrusia znowu profilem zwróciła się ku niéj i oniemiała. W głowie jéj zrobiło się ciemno jak w noc jesienną i wichrem tylko tłukły się po niéj słowa.

— I zrobiła i nie zrobiła... Może to nie od tego, a może i od tego....

Męczarni téj długo znieść nie mogła, od grożącéj jéj znów kobiety odskoczyła i wpół z żałością, wpół z gniewem krzyknęła.

— Odczépcie się ciotko... czego wy odemnie chcecie... idźcie o radę dla syna znachorki jakiéj prosić, nie mnie!

Teraz Piotrowa wybuchnęła i po nieskończoną ilość razy wiedźmą ją nazwała. Nie przeklinała bardzo, bo już przyzwyczajenia tego i umiejętności téj nie miała; wzywała tylko boskiego gniewu na głowę jéj i jéj dzieci, a potém pomstą Piotra i wszystkich poczciwych ludzi groziła. Potrząsając pięścią, przez zaciśnięte zęby mówiła:

— Poczekaj! poczekaj! będzie tobie kiedyś od ludzi za wszystkie nasze krzywdy i *czort*, twój przyjaciel nie wyratuje ciebie, kiedy na twoją głowę pomstowanie ludzkie przyjdzie....

Wtém, przypomniała sobie, że gdy ona tu kłóci się z wiedźmą, syn jéj może tam już i nieżywy leży, obu rękami schwyciła się za głowę, z dziedzińca wypadła i z powrotem ku wsi pobiegła, Pietrusia zaś, tam gdzie stała, osunęła się na ziemię i twarz rękami zakrywszy, rozpłakała się głośno i rzewnie. Płakała jednak niedługo. W izbie dało się słyszéć skwierczenie obudzonego dziecka; skoczyła i do chaty wbiegła. Musiała tam dziecko karmić i bawić je przez czas jakiś, bo słychać było jak pieszczotliwie doń przemawiała, kilka piosnek śpiewać zaczynała i przerywała je sobie krótkim śmiechem i głośnemi pocałunkami. Dziecko widocznie bąkaniem swém i ruchami małych rączek rozśmieszało ją i usta jéj ku sobie ciągnęło. Potém słychać było miarowe stukanie biegunów kołyski, a potém w izbie zapanowała cisza. Adamek usnął znowu, a Pietrusia z pękiem upranéj bielizny na ramionach na dziedziniec wyszła. Dzień był piękny, trzeba było przed wieczorem bieliznę w stawie wypłukać.

Paręset kroków zaledwie dzieliło ten staw niewielki od ostatnich domostw Suchéj Doliny. Z jednéj jego strony słała się owa ławica piasku, na któréj z porady staréj Akseny bawił się niegdyś całemi dniami chory syn Piotra Dziurdzi, daléj już obejmował go w półkole wązki pas łąki, za którym ciemniały i na poblizkie wzgórza pięły się uprawne role. Z łąki téj oddawna już uczyniono pastwiska dla bydła. W lecie, brzeg stawu był z téj strony miejscem pełnem zielonych gąszczy, szczebiotu ptastwa, skrzeczenia żab, kwiatów błękitnych i żółtych, czerwonych jagód kaliny, rozłożystych gałęzi wierzbowych, w których cieniu błyskała biała kora wysmukłych brzoz. Teraz, pod brzozami, które na błękitném tle nieba rysowały się jak delikatnie ze złota rzeźbione kolumny, pod zróżowionemi, o wiecznie drżących liściach osinami, pod wierzbami, które maczały w wodzie swe osiwiałe gałęzie, na trawie uschłéj, pod stopami trzeszczącéj a usianéj zwiędłemi liśćmi i siwym puchem ostów, kilkanaście kobiet pochylało się nad cichą i gładką wodą. Prały one albo płukały wypraną w domu bieliznę, a odgłosy ich rozmów i suche, rytmiczne uderzenia pralników rozchodziły się daleko po pustém polu. Na polu, jak okiem sięgnąć, widać było tylko dwoje pracujących ludzi: chłopa, który prowadził pług, i chłopkę, która w pewnéj odległości za nim postępując, wyorywane kartofle do fartucha zbierała, a napełniwszy go, zsypywała je do umieszczonych w rozorze worków. Zagony, na których pracowali ci ludzie, dotykały wązkiego pasu pastwiska. Chłopem pług prowadzącym był Stepan Dziurdzia,

kobietą zbierającą kartofle, Stepanowa żona, Rozalka. Składali oni parę ponurą. On, zaledwie trochę nad pługiem pochylony, szedł w milczeniu silny i chmurny, od czasu do czasu tylko basowym głosem na konie swe przeciągle wołając: hoo! hoo! hoo! Ona z grzbietem tak zgiętym, że śniada twarz jéj prawie ziemi dotykała, na klęczkach czasem pełzała po zagonie, rękami w ciemnym piasku grzebiąc i ze szczupłem swém, giętkiém ciałem, mając chwilami pozór wijącego się po glebie robaka. Jednak, ta wspólna praca z mężem, choć ciężka, niemiłą znać jéj nie była, bo nie ustając w niéj ani na chwilę, czasem do idącego przed nią mężczyzny uprzejmym głosem zagadywała.

— Ot, chwała Bogu! *bulba* w tym roku jak ta rzepa wielka! — mówiła.

A potém znowu:

— Ciekawość jak tam Klemens ma się? czy umarł już, czy jeszcze przy życiu?

Albo jeszcze:

— Stepan! w przyszłą niedzielę do kościoła pojechać warto, taj Kaziuka wziąć z sobą i Panu Bogu go polecić, ażeby zdrowszy był...

Mężczyzna nie odpowiadał, ot tak, jakby nie słyszał tego, co mówiła. A jednak, w jéj głosie najczęściej syczącym i zapalczywym brzmiały teraz tony serdeczne. Zaczepiała go, do rozmowy wyzywała, raz nawet zaśmiała się i na zagonie uklękłszy, kartofel mu w same plecy cisnęła. On obejrzał się tylko, coś zamruczał i daléj pług popychając, ponuro na konie zawołał: — Nuuu! Nie rozgniewał się wprawdzie, ale i twarzy nie rozchmurzył, słowa dobrego nie rzekł. Kobieta znowu nad zagonem grzbiet pochyliła i jak zgnębiony robak, w milczeniu, smutnie po ciemnéj glebie pełzać zaczęła. Nagle podniosła głowę. Stepan, który teraz twarzą ku stawowi był zwrócony, konie zatrzymał i niby coś około pługa robiąc, patrzał w tę stronę, z któréj brzegiem stawu nadchodziła kobieta, z ramionami owieszonemi mokrą bielizną. Patrzał na nadchodzącą z wytężeniem takiém, że aż rozciągnęły się i wygładziły muskuły jego twarzy i zarazem okryła się ona głupowato wyglądającym lecz w rzeczywistości błogim uśmiechem. Rozalki oczy także nad staw pobiegły. W nadchodzącéj kobiecie poznała Pietrusię i syknęła tak, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza.

— Czegóż stanął jak ten słup! na męża krzyknęła i głos coraz podnosząc, nalegała aby szedł daléj. Ból całego jéj życia, srogi ból kłuć ją znowu zaczął i budzić w niéj furyę złości.

Pietrusia zbliżając się do kobiet nad wodą pochylonych, uprzejmie je pozdrowiła. Jeden tylko głos i to zcicha jakoś odpowiedział

jéj wzajemném pozdrowieniem. Była to młoda Łabudowa, która jako synowa jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, przez męża i całą rodzinę lubiona, ośmieliła się, choć nieco trwożnie, przychylność swą jéj okazać. Inne kobiety, albo milcząc opuszczały pralniki swe na pogrążoną w wodzie bieliznę, albo téż głowy z nad roboty podniósłszy rzucały na nią wejrzenia, w których ciekawość i lękliwość mięszały się z gniewem i obrzydzeniem.

Rozumiała już dobrze co wszystko to znaczyło i stanęła na uboczu, pod rozłożystą wierzbą, u któréj stóp spuszczało się ku wodzie, sznurem do pnia wierzby przywiązane czółno. Było to czółno, którém chłopcy wiejscy po stawie pływali, wędami łowiąc płotki i karasie, na którém téż często kobiety z téj strony stawu, dla skrócenia sobie drogi, na tamtą jego stronę do wsi przepływały. Obok czółna stanęła, przyniesioną odzież w wodzie zanurzyła i tak jak inne wybijać ją pralnikiem i płukać zaczęła. Nie przeszkadzało to jéj jednak słyszéć rozmowy toczącéj się pomiędzy jéj sąsiadkami. Zrazu, zcicha one pomiędzy sobą szeptały, ale długo to trwać nie mogło, bo gdzieżby im długo powściągać uczucia czy głosy! Zaczęły więc mówić głośno, a mówiły o tém, czém dziś zajmowała się wieś cała, o chorobie Klemensa Dziurdzi i jéj przyczynach. Opowiadały, że Piotr po księdza pojechał, że choremu dwa razy już zapaloną gromnicę do rąk dawali, że matka tylko co nie umiera z żałości, że jeśli Klemens umrze, gospodarstwo Piotrowe zginie, gdyż on sam zestarzeje się rychło, a młodszy syn jest, jak wiadomo, niedołęga i głupiec. Parę głosów zajęczało. — Oj, *biedne*, *biedne nieszczęśliwe* ludzie!

A jedna z kobiet, głośniéj jeszcze niż inne, mazgajowatym, przewlekłym głosem zawiodła:

— *Kab* temu, co *heto* zrobił, dobrego życia nie było! *Kab* on za krzywdę ludzką zmarnował się i na pogrzebach dzieci swoich płakał!

Była to Paraska, która, mówiąc to, na Pietrusię z pod oka patrzała.—Patrzajcie, dodała po chwili, czemu to kowalicha dziś kupnéj spódnicy i materyalnéj chustki na siebie nie włożyła?

Oj, ta kupna spódnica i pół-jedwabna chustka, w które kowalowa czasem się przystrajała, dawno już dawno dolegały Parasce, maczającéj teraz w wodzie liche, stare łachmany swoje i swéj rodziny.

Wtém na polu rozległy się grube i piskliwe krzyki. Kobiety śmiać się zaczęły. Stepan Dziurdzia znowu skłócił się z żoną. Kłócili się oni z sobą tak już często, że dla jednych byli przedmiotem surowéj przygany, w innych wzbudzali śmiech. Teraz, ze słów tu dolatujących wnieść było można, że szło im o jakiś worek na kartofle, po który Stepan żonkę do chaty posyłał. Czy naprawdę worek był przyczyną kłótni? A może on téj chwili zażądał, aby żona

z oczu mu zeszła, ona zaś w téj chwili właśnie za nic go tu samego zostawić nie chciała. Boże! jakże czuła się nieszczęśliwą! Poczucie tego nieszczęścia zdawało się podnosić ją nad ziemię, tak szybko, z rękami u głowy ku stawowi biegła. Biegła wprost na Pietrusię i pochyloną ku wodzie tak ją całém ciałem potrąciła, że zatoczyła się ona i aby nie upaść, rękami gałąź wierzby pochwycić musiała. Przytém, zazdrością i bólem oszalała, Rozalka łajać poczęła tę, którą za rywalkę swą poczytywała, mnóstwem grubych wyrazów, wśród których najczęściéj powtarzał się wyraz: wiedźma. Kowalowa uczyniła zrazu ruch taki, jakby pierwszym jéj popędem było rzucić się na napastującą ją kobietę i obelgi, które ona rzucała na nią, odwzajemnić. Widać było jednak, że bardzo prędko ogarnął ją wstyd przed bójką, a gniew jéj przemienił się w żal i przestrach, od których rumieńce z policzków jéj zniknęły. Schyliła się znowu nad wodą i stukiem pralnika zagłuszyć usiłowała krzyki Rozalki, która miotając się nad nią wygrażała jéj pięściami i osypywała ją gradem przekleństw i łajań. Niektóre z kobiet piorących bieliznę śmiały się i żartowały głośno tak z napastującéj, jak z napastowanéj, inne wzruszały ramionami, spluwały i wskazując na Rozalkę nazywały ją *chfiksatką* (waryatką), gadziną, jędzą. Były jednak i takie, które ujęły się za Pietrusią. Młoda Łabudowa krzyknęła do Rozalki, że niesprawiedliwie przyczepiła się do kowalowéj, która na jéj męża i patrzéć nie chce, nietylko co! Jedna z Budrakowych, synowa starosty, targała nawet wściekłą kobietę za koszulę i spódnicę, poważnie ją za jéj złość i szaleństwa gromiąc. Wszystko to przecież nic nie pomogło, dopóki Rozalka nie zobaczyła męża swego, biegnącego ku niéj z tym samym biczem w ręku, którym konie poganiał. Wtedy, jak ptak zraniony, krzycząc i ramionami w powietrzu miotając, zerwała się do biegu i ku wsi, jakby na skrzydłach poleciała. Długo jeszcze słychać było jéj piskliwe i rozpaczliwe krzyki, przeplatane łajaniem i pogróżkami, na Pietrusię miotanemi.

Co tam już daléj działo się nad stawem, Pietrusia nie wiedziała i wiedziéć nie chciała. Nie podnosiła głowy ani oczu, bo przed spojrzeniami ludzkiemi robiło się jéj i wstydno i straszno. Wolała nie patrzéć na te kobiety, które podziwiwszy się, pogadawszy jeszcze, bieliznę swą z brzegu zbierały i gromadkami lub kolejno, ku wsi odchodziły. Niebawem, po ciszy, która zapanowała nad stawem, odgadła, że już poszły sobie wszystkie. Wtedy wyprostowała się i oczy podniósłszy, zobaczyła Stepana, który o kilka kroków od niéj, pod różową osiną na pniu ściętego drzewa siedząc, z łokciami na kolanach i brodą w dłoniach, wzrok swój w nią wlepiał. Żona kowala

twarz od niego odwróciła i w milczeniu skręconą bieliznę do czółna wkładać zaczęła. On odezwał się zaraz.

— Dawno już, Pietrusia, ja ciebie nie widział i z tobą nie rozmawiał. Ot z rok już będzie, jak ty mnie z chaty swojéj wypchnęłaś i drzwi za mną zaryglowałaś. Od tego czasu już ja nie przychodził do was i nigdzie ciebie nie zaczepiał....

— Bo i nie trzeba! nad czółnem schylając się, gniewnie mruknęła kobieta.

Chłop mówił daléj.

— Trzeba czy nie trzeba, a tak już musi być... tak ty mnie już zrobiła, że gdzie ty, tam moje chęci i całe moje myślenie... Kiedy nie chciałaś żeby tak było, to na cóż robiłaś... czy na wieczne moje nieszczęście robiłaś? ha?

Tym razem odwróciła ku niemu twarz z wylękłemi i razem rozgniewanemi oczami.

— Żebym ja wiedziała jaki sposób, tobym co takiego zrobiła, żeby ciebie, Stepanie, nigdy na oczy nie widziéć, nigdy, aż do końca mojego życia. Ot, cobym ja zrobiła, żebym wiedziała jak robić, ale choć wy wszyscy wiedźmą mnie przezywacie, — nie wiem, na moje wieczne nieszczęście, nie wiem!

Znowu bieliznę do czółna składać zaczęła; pąsowe wargi jéj wydęły się jak u rozgniewanego dziecka, do oczu nabiegły łzy.

Stepan poprawił się na swém twardém siedzeniu i oczu z niéj nie spuszczając, mówić zaczął.

— Wiedźma ty czy nie wiedźma, lepszéj od ciebie i łaskawszéj (łagodniejszéj) i pracowitszéj w całéj wsi niema, gdzie tam! w całéj okolicy a może i na świecie niema! Może ty mnie kiedy i dała napić się tego ziela, którego za twoją przyczyną napił się od Franki Klemens, a może i nie dawała, czy ja wiem? Może to ziele, co mnie w żywot weszło, to twoja taka łaskawość (łagodność) i wesołość, że kiedy jeszcze dziewczyną byłaś, to jak na ciebie bywało popatrzę, a twego śpiewania i śmiechu posłucham, to i sam zrobię się inny, ot, *takijże* łaskawy, cicheńki i wesoły, jak ty...

Po chwili milczenia mówił daléj.

— Ja bardzo lubię cicheńkich i wesołych ludzi... Ot ja z Piotrem i z Agatą dobrze żyję dla tego, że pomiędzy nimi zawsze święta spokojność i obchodzenie się ładne, i Klemensa lubię za to, że on posłuszny starszym i wesoły. A sam ja złośnik, to prawda, i niespokojny jak ten wicher, i pochmurny jak to niebo na deszczu... Tak już ja widać urodził się, z taką chorobą w duszy urodził się, a nie wyleczyła mnie z niéj matka, jędza taka, że za jéj łajaniem a biciem, ja dziecinnych lat swoich nie pamiętam i nie wyleczył brat, co ze mną o ten mój kawał ziemi po sądach ciągał się... i nie wyleczyła

żonka *hadzina*... i nie wyleczyła wódka, którą w gardło leję... Nikt nie leczył i nic nie wyleczyło....

Mówił powoli, smutnie, z wlepionemi w ziemię oczami. Po chwili podniósł znowu wzrok na Pietrusię.

— Tyby mnie z téj choroby wyleczyła, ale nie chciała—dodał.

Kobieta uspokojona łagodnością jego głosu, a smutkiem jego może wzruszona, roboty swéj nie przerywając, spokojnie odpowiedziała.

— Przeznaczenia już takiego widać nie było. Ale jakie tobie nieszczęście? Daremnie narzekasz i Pana Boga obrażasz. Czego tobie brakuje? Chatę i gospodarstwo porządne masz... żonkę i dziecko masz... ot Boguby dziękował i kontent byłby... żeby tylko chciał.

— To prawda—odparł Stepan — żonka taka dobra i taki zdrowy, silny syn! Będzie z niego kiedyś robotnik tęgi i podpora moja! oj!

W głosie jego brzmiała gruba ale boleśna ironia; zaśmiał się i zaklął zcicha, dla tego może zcicha, aby nie spłoszyć téj kobiety, która po raz pierwszy, oddawna, rozmawiać z nim chciała.

— Ot prawdę ja tobie powiem, Pietrusia, że mnie już i gospodarstwo obrzydło. Dla kogo człowiekowi starać się i pracować? Czy u mnie chata pełna dzieci? Jedno tylko, a i to takie, że tylko tchu w nim słuchaj, czy jeszcze żyje. I więcéj już nie będzie. Żonka mnie nie żonka. Ja na nią i patrzéć nie chcę, nie tylko co. Przyjdę do chaty z pola, taj położę się jak pies, do nikogo słowa nie przemówiwszy. Dobrze jeszcze, jeżeli *ta* milczy, ale jak przyczepi się do mnie ze swoją złością, albo ze swojém lubieniem, to zaraz i wyjemy oboje, jak te dwa wilki, żeby ich razem zamknąć. Ot jakie moje szczęście. Ludzie ze mnie naśmiewają się, jak gdybym już ja był ostatni, i gospodarstwo prędko czort weźmie... bo człowiek do niczego ochoty nie ma, tylkoby świat przeklinał—*taj hodzi*!

— Wstyd!—zawołała Pietrusia—wstyd bo tobie Stepan, tak robić i tak gadać! Pilnowałby gospodarstwa, a z żonką żył jak Pan Bóg przykazał, zgodnie, w spokojności... ot jak ja z moim żyję, że u nas nigdy jednéj minutki gniewu, ani nienawidzenia jeszcze niebyło...

— Tylko ty mnie o swoim nie wspominaj.... z błyskającemi oczami rzucił Stepan. Ona nie patrząc na niego, wzbierających w nim namiętności nie dostrzegła.

— Żeby ty dla żonki swojéj taki był jak mój dla mnie, to i ona byłaby lepsza — zauważyła.

— *Kab* oni potopili się oboje! *Kab* im oczy prędzéj na ten świat pozamykały się—ponuro mruknął Stepan.

— Phi! jaki zły i niegodny człowiek! ludzkiéj śmierci żąda!— ze zmarszczoném czołem i rozgniewanemi oczami splunęła kobieta,

a podnosząc z ziemi resztę skręconéj bielizny, którą do czółna wrzuciła, dodała:

— Był u mnie rozum, kiedy ja za ciebie iść nie chciałam... dobregobym męża miała...

Widząc, że blizką jest wejścia do czółna i odpłynięcia, zerwał się z siedzenia i tuż przy niéj stanął.

— Poczekaj, Pietrusia, poczekaj troszeczkę — zaszeptał — jeszcze minutkę porozmawiamy... co tobie szkodzi? jeszcze jedną minutkę! Ja dla ciebie byłby inny, jak dla *téj*... jabym z tobą *łaskawy* zrobił się i cicheńki jak ten pies, co pana swego poznał... tyby mnie dzieci inaczéj hodowała jak *ta*... tyby mnie w chacie śmiała się i śpiewała jak ta makolągwa w gnieździe... a jaby tobie ręce i nogi przez całe życie całował, jabym z tobą pracując, ręce sobie od pracy pokrwawił... Oj Pietrusia ty moja, mileńka ty moja... nie uciekaj choć teraz odemnie... niech ja choć minutkę pocieszę się tobą...

Z płonącemi oczami, z uśmiechem namiętności miłośnéj na twarzy, następował na nią, pchał ją pod rozłożyste gałęzie wierzby, palącym oddechem oblewał szyję jéj i plecy, żelaznêm jakby ramieniem stan jéj otaczał. Ona krzyknęła z przerażenia i gniewu, skokiem łani do czółna wskoczyła i wiosło schwyciwszy, w mgnieniu oka odbiła je od brzegu. Minuta zaledwie upłynęła, a czółno znajdowało się już w pewnéj od brzegu odległości. Po gładkiéj błękitnéj wodzie, mknęło ono prędko, równo, nie kołysząc się prawie i unosząc ku przeciwległemu brzegowi kobietę wysoką i zgrabną, zaledwie trochę przechylającą się ruchem rytmicznym, nad wiosłem roztrącającém wodę. Z pod czerwonéj chustki opadające włosy, zaledwie dostrzedz dawały ognistą rumianość jéj twarzy, nagie aż prawie do kolan jéj nogi i wiosłem poruszające ramiona, różowiło i ozłacało zachodzące słońce. Pozostały pod wierzbą chłop, błyskał za nią oczami, jak dwoma snopami płomieni. Uśmiech miłośnéj namiętności ustąpił na jego twarzy przed zmarszczkami zgryzoty i gniewu, coś okrutnego, zawziętego przewinęło się mu po ustach.

— Kiedy tak — za odpływającą kobietą krzyknął, to ty doprawdy wiedźmą jesteś. Czartowską siłą ciągniesz do siebie ludzi, a potém ich na zgubienie wieczne oddajesz! Poczekaj ty! będzie tobie! Już ja na ciebie pomstę za swoją krzywdę znajdę, ty wiedźmo, przeklęta dusza twoja!

Odległość była taką, że krzyki jego słyszéć musiała. Nie odpowiedziała jednak nic, tylko czółno zakołysało się pod nią, jakby drżeniem jéj nóg wstrząśnięte. Potém jednak popłynęło znowu, równo, szybko, a nienawistny, okrutny uśmiech przewijał się po bronzowéj twarzy mężczyzny stojącego w cieniu gałęzi wierzbowych.

Z cienia, w którym stał, kobieta w ogniach słonecznych po błękicie stawu płynąca, wydała mu się może strasznėm, złowrogiém i zarazem świetlistém, ponętném zjawiskiem.

— Wiedźma! dalibóg wiedźma! zaszeptał, a gdy ona u przeciwnego brzegu do białych piasków już przybiła i ku domostwu swemu śpiesznie szła, z zaciśniętemi pięściami ku pługowi swemi wracając, dodał...

— *Taki* ona nie powinna po bożym świecie chodzić... *taki* nie powinna!

Męża swego Pietrusia w domu nie zastała. Stasiuk, który na jéj spotkanie, aż ku brzegowi stawu wybiegł, brnąc w białym piasku i czepiając się jéj odzieży, w drodze już wyszczebiotał, że tatko poszedł do karczmy, aby z arendarzem pomówić. Wiedziała o tém, że arendarz stręczył mu dużą i zyskowną robotę w jednym z sąsiednich dworów, nie dziwiła się też ani była niespokojną, że Michałek w porze zwykłéj do domu nie wracał. Interes był ważnym i dużo o nim z żydem do mówienia było. Gotując wieczerzę, gdy dzieci w kącie izby bawiły się drewnianą piszczałką i chrupaly wysuszone ziarna słoneczników, przyciszonym głosem opowiedziała babce wszystko, co ją dziś od Piotrowéj i nad stawem spotkało. Przy opowiadaniu tém, Aksena przędła zrazu coraz prędzéj. ale wkrótce, u kądzieli nitka rwać się zaczęła i wrzeciono wysunęło się z jéj palców. Na kolanach złożywszy ręce, siedziała wyprostowana jak struna, i choć Pietrusia dawno już mówić przestała, nie przemówiła ani słowa jednego, tylko żółte jéj szczęki prędszym niż kiedykolwiek ruchem przeżuwały uczutą zgryzotę, a białe oczy z większym niż kiedykolwiek wytężeniem zdawały się wpatrywać w przestrzeń izby, oświetloną chwiejném półświatłem płomienia. Wieczerza była już zgotowana, ale kobiety czekały z nią na gospodarza chaty, który lada chwila nadejść musiał. Płomień w piecu przygasał, dzieci uciszyły się i drzémiące pod stojącemi u ściany snopami lnu, utworzyły grupę zmięszanych z sobą bosych stópek i małych, rumianych twarzy.

Pietrusia z podwórza do sieni wniosła *cierlicę*, chwilę jeszcze krzątała się po izbie, aż westchnąwszy głośno usiadła także na ziemi i plecy o len opierając zadumanym wzrokiem przed siebie patrzała. W ciszy, która zapanowała w izbie, ozwał się po chwili ochrypły i czegoś się dziś bardzo trzęsący głos ślepéj baby.

— Pietrusia! zawołała.

— A co, babulo?

— Spal zioła, te zioła, co z pola w tym roku nanosiła i te, co z przeszłego lata zostały i wszystkie co w chacie są.

— Czemu tak, babulo?

— Spal! krzyknęła prawie stara i ciszéj lecz gniewnie zamruczała jeszcze: Głupia! pyta się jeszcze, czemu?

Pietrusia podniosła się z ziemi, chwilę jeszcze pomyślała, głowę ze zdumieniem zakołysała i do komory poszła. Z komory, ze strychu, z sieni, w fartuchu lub radnach znosiła mnóstwo uschłych i kruchych lub tylko zwiędłych i jeszcze pachnących kwiatów i traw polnych, wszystkie je u stóp wielkiego pieca na ziemię zsypywała a potém, ogień podnieciwszy, garściami w płomień rzucać zaczęła, wszystko to czyniła w milczeniu zupełném, z rozpalonemi oczami i trochę zaciśniętemi usty. Z twarzy jéj widać było, że uczuwała ból i trwogę. Rośliny te, w których barwach i woni od niemowlęctwa prawie kochały się jéj zmysły, te czombry liliowe, żółte dziéwanny, girlandy czépiających się wzajem traw i łodyg, obejmowały teraz ogniste języki płomienia i owijały sine zwoje dymu, który słupem wzbijając się w komin, ział na izbę silne, upajające wonie. Gdy kilkanaście garści uschłego ziela zgorzało już w płomieniu, podniosła głowę ku wierzchołkowi pieca i zapytała znowu.

— Czemu tak, babulo?

Stara nie odpowiedziała. W takiém zamyśleniu pogrążoną była, że nie słyszała może nawet zapytania wnuczki. Po chwili dopiero, u wierzchołka pieca, głos chrapliwy i trochę drżący zagadał.

— Wiele ja na tym świecie dziwnych dziwów widziała i słyszała, wiem ja co z czego wyniknąć może... Stara Prokopicha mnie teraz przed ślepemi oczami jak żywa stanęła i jak żywe stanęły te łzy, co po jéj stareńkiéj twarzy jak ciekły, tak ciekły...

Im dłużéj ślepa baba mówiła, tém więcéj głos jéj stawał się monotonnym i zarazem do śpiewnego, żałośnego recytatywa podobnym.

— Była żyła w siele ludném ale bardzo niebogatém, Prokopicha sołdatka, najemnica uboga, chaty swéj ani krewnych żadnych nie mająca. Męża jéj na dalekim świecie, na wielkiéj wojnie zabili, a został się przy niéj jeden tylko synaczek nieboraczek, który nazywał się Prokopek, imieniem, znaczy, ojcowskiém. Biednieńki był ten Prokopek, od wszystkich, prócz rodzonéj matki, opuszczony. Ani u niego ojca i bratów, ani chatynki i pola nie było, przyszedł na świat goły jak Jadam, a jak wyrósł, do cudzych ludzi pracować poszedł. U cudzych ludzi w poniewierce i biédzie wielkiéj pracował, na cudze dobro zyzem patrzał i pochmurny stał się jak noc jesienna. Choćby wszyscy nie wiem jak weselili się, on sam jeden, jak wilk, bywało, chodzi, w ziemię patrzy, jakby już sobie mogiłkę chciał kopać, a wszystko o czemściś myśli i myśli. Nie lubili jego ludzie za pochmurność i niechętność i nie szanowali go, zwyczajnie, jak sierotę *jedynokiego*, za którym ująć się komu nie było. Aż tu jednego roku

zaczął ktościś gospodarzom konie kraść. Jednemu gospodarzowi koń zginął, drugiemu zginął, trzeciemu zginął. Po całém siole poszło krzyczenie taj płakanie, bo ludzie byli tam nie bogate i strasznie żywiołów tych żałowali, bez których w gospodarstwie ciężko. Szukali złodzieja, rozpytywali się, pilnowali--niema! Niema i niema, rozstąp się ziemio! A konie jak giną, tak giną! Jednego razu ktościś podpatrzył, że Prokopek czasem przepada z sioła. Przejdzie, bywało, dzień, dwa, trzy, przejdzie i *niedziela* (tydzień) cała a jego w siole niema, gdzieściś *mandruje*. Z żydami niedowiarkami w lesie rozmawiającym go widzieli, i w miasteczku go widzieli, jak pił w karczmie i *stużki* dla jakiejś dziéwki kupował, nie wiadomo zkąd *hrosze* biorąc. Wtedy już wszystkim przyszło do głowy, że to Prokopek parobek konie kradnie. Wzięli i do sądu jego zaciągnęli. Sąd słuchał, słuchał i powiedział, żeby sobie Prokopek do sioła powracał, bo, mówi, nie wiadomo jest, czy to on konie kradł; pewności, mówi, niema; dowody, mówi, lepsze na niego dajcie... Prokopek do sioła powrócił, a konie jak ginęły, tak ginęły. Wtenczas już ludzi wielki gniew za ich dobro ogarnął. Zaczaili się raz pod lasem i jak Prokopek z lasu furę drzewa gospodarzowi swemu wiózł, złapali go, taj zaczęli w niego walić kijami...

— Jezu! rozległ się po izbie krzyk Pietrusi, która z fartuchem pełnym ziół i ręką zatopioną w uschłe rośliny przed piecem stojąc, oczy szeroko otworzyła i zatrzęsła się całém ciałem.

— Kijami! jęknęła jeszcze i opamiętawszy się nieco, znowu zioła w ogień rzucać zaczęła. Płomień buchnął żywiéj, na izbę wionęła sina i pachnąca mgła, z wierzchołka pieca, głos staréj powtórzył.

— Kijami. Żebra jemu połamali, ręce, nogi połamali, ludzką twarz krwią oblali i nieżywego porzucili na szerokiém polu, na pustém polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom i kawkom na strawę.

W izbie zapanowała chwilowa cisza, poczém ślepa baba opowieść swą kończyła.

— A Prokopicha sołdatka z żalu po swoim nieboraczku synaczku wzięła i *sfiksowała*. Z litości ją ludzie karmili i odziéwali a ona, bywało, w ciemny kąt zalezie i ciągle o swoim parobku Prokopku opowiada i opowiada, a po zmarszczonéj, stareńkiéj jéj twarzy, jakby kto grochem sypał, łzy cieką a cieką... I ja tam była, gadania jéj słuchała, na łzy jéj patrzała a teraz to wszystko przed ślepemi oczami memi, jak żywe stanęło...

Kiedy chrapliwy i klekoczący a zarazem śpiewny głos staréj umilkł, Pietrusia z cicha przemówiła.

— Babulo!

— A co?

— Czy ten Prokopek doprawdy konie kradł?

Stara z namysłem odpowiedziała.

— Może kradł a może i nie kradł. To już nie wiadomo. Pewności nie było... ale ludzkie posądzenie było i straszny gniew ludzki był...

— Straszny! jak echo powtórzyła kobieta przed ogniem stojąca i śpiesznie, śpiesznie resztę ziół uschłych w płomienie rzucać zaczęła!

Po chwili stara zagadała znowu.

— Pietrusia!

— A co, babulo?

— Żeby ty od tego czasu nie ważyła się doradzać...

— Nie będę, odparła młoda kobieta.

— Nikomu, pamiętaj. Żeby tam nie wiem jak ciebie prosili. *Czujesz?*

— Nie będę, babulo...

— Cicheńka taka bądź, jak ta rybka na dnie wody, żeby ludzie i zapomnieli o tobie.

— Dobrze, babulo.

Drzwi izby otworzyły się i wszedł kowal, na którego gdy tylko Pietrusia spojrzała, zaraz krzyknęła.

— Oj Bożeż mój! a tobie co takiego *przytrapiło się* Michałku?

Musiało mu istotnie przytrafić się coś złego. Twarz miał rozognioną, jedno oko zapuchłe i kilka sińców na policzkach i czole. Czapkę z rozczochranych włosów zdjął i na stół ją rzuciwszy, dzieci, które obudziły się i do niego przybiegły, z gniewem od siebie odpędził. Potém, na ławie siadł i do żony zwracając się, ochrypłym trochę głosem mówić zaczął.

— *Przytrapiło* się mnie to, czego jeszcze nigdy w życiu ze mną nie bywało. Sołdatem byłem i sześć lat włóczyłem się po świecie, a nigdy nie biłem się z nikim; tutaj już siedm lat żyję i panuję, a ludzie szanowali mnie zawsze, bo sam siebie szanowałem. A ot, dziś, pobiłem się przed karczmą z chłopami. Z twojéj przyczyny, Pietrusia, *hawantura* ta mnie spotkała. Pfe! wstyd tylko, zgryzota, *taj hodzi*!

Splunął i głowę od żony odwracając, skaleczone oko dłonią sobie zakrył. Ona milczała i stojąc przed ogniem patrzała na niego szeroko otwartemi oczami, z rękami wzdłuż ciała opadłemi. Po chwili ozwał się znowu.

— Rozmawiam ja sobie z arendarzem o *jenteresie*, aż słyszę, przed karczmą, chłopi na ciebie wykrzykują, że ty Klemensu Dziurdzi chorobę zrobiła... Szymon Dziurdzia wykrzykiwał, Jakób Szysz-

ko, złodziéj ten wiadomy, i Stepan potém przyszedł i także gadać zaczął i baby, co od zbierania kartofli tamtędy wracały, stanęły także i jak wrony krakać zaczęły: taka ona, owaka ona, krowom mleko odebrała, a teraz Klemensa struła. Słuchał ja, słuchał, aż nie wytrzymał, z karczmy wyleciał, kłócić się o ciebie zaczął. Od słowa do słowa, do bitwy przyszło. Bił ja, bili mnie... pfe! wstyd! Człowiek pracuje jak ten ostatni parobek, prowadzi się porządnie, ludzi i samego siebie szanuje, aż tu, niewiadomo zkąd, przyjdzie na niego hańba taka... co to? miło to słyszeć, że żonkę od wiedźm i czartowskich kochanek przezywają, a potem na twarzy nosić ślady pijackich i złodziejskich kułaków! Oj, Bożeż mój, Boże, za co na mnie taka hańba i ta zgryzota przyszła!

Przez rozżalenie i zawstydzenie jego przebijała się uraza, do żony uczuwana. Ona wciąż milczała, przestraszona tak, że aż jéj ręce, któremi garnek ze strawą z pieca wyciągała, drżały widocznie. Ze spuszczonemi powiekami zapaliła lampkę i wieczerzę na stole stawiała. Kiedy wedle zwyczaju, bochen chleba i nóż mężowi podawała, on, przysłaniając wciąż dłonią spuchnięte oko, drugiem bacznie na nią popatrzył.

— Pietrusia! rzekł, co ty takiego ludziom zrobiła, że oni na ciebie, jak te kruki na ścierwo napadli...

Zwolna wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem? szepnęła.

— Już to nie może być bez przyczyny? ha? zapytał jeszcze.

Zapytywana w ten sposób kobieta, sama pogrążała się w coraz głębsze zamyślenie.

— Czy ja wiem? powtórzyła.

Widocznie sama zagadki losu swego zrozumiéć nie mogła i czy w istocie przyczyna jego w niéj saméj nie spoczywała, pewną nie była. Pomimo téj niepewności, inna roztopiłaby się cała w zaprzeczeniach, przysięgach, uniewinnianiu siebie a złorzeczeniu ludziom. Ona tego nie uczyniła. Nigdy jeszcze przed mężem nie skłamała. Żyli oni z sobą, jedno drugiemu duszą w duszę patrząc, jak dwa przejrzyste, obok płynące potoki. A teraz, kłamałaby, gdyby mu powiadała, że jest czegokolwiek pewną, gdy wnętrze jéj nurtowała trwoga, nie tyle przed ludźmi, ile przed czémś nieokreśloném, tajemniczém, groźném, uczuwana.

— Czy ja wiem? powtórzyła i z czołem zmarszczoném w dwie głębokie fałdy, od męża twarz odwróciła. On patrzał na nią i dziwiąc się jakby czemuś, lub nad czémś smutnie rozmyślając, parę razy głową zakołysał. Potém dzieci ku sobie przywołał, a do niéj już nic nie mówił i ani razu tego wieczora, *zuzulą* jéj nie nazwał. Markotny

i milczący spać się położył, ciemność i cisza zaległy izbę, aż w połowie nocy, w ciemności i ciszy, ozwał się szelest ludzkich kroków i ktoś wdrapał się na wierzchołek pieca.

— Babulo! babulo! czy ty śpisz? Na wierzchołku pieca zaszemrał szept, wyraźném przerażeniem przejęty.

— Nie *splu*, *ditia*, *nie splu*! *Wsieńko* o tobie myślę, odpowiedziała Aksena, któréj od czasu pewnego starość przywodzić już zaczęła bezsenne nocy.

— Babulo! zajęczał głos drugi, cościs mnie dziś okrutnie dusiło... na żywocie i piersi cościs położyło się i tak dusiło, że tylko co już Panu Bogu duszyczki nie oddałam...

— *Szto heto*? zadziwiła się stara a po chwili zapytała.

— Może ty w świętą niedzielę robiła co takiego, co pozwolone nie jest?

— Nie robiła, babulo, nic w świętą niedzielę nigdy nie robiła...

— *Prypomnij* sobie tylko... może robiła! Bo jeżeli robiła, znaczy, niedziela do ciebie przyszła i dusiła za to, że ty ją obraziła... Takie rzeczy na świecie bywają... ja sama takiego człowieka znałam, co w niedzielę zawsze wszystko robił. Aż tu razu jednego, niedziela do niego przyszła, taka wielka jak to słońce złote, położyła się na nim i zadusiła... na śmierć zadusiła. *Prypomnij*, tylko sobie, czy czego broń Boże, w niedzielę nie robiła...

— Nie robiłam, Babulo, pobożę się, że nigdy w niedzielę nic nie robiłam...

— No, to *sztoż heto*, co ciebie dziś dusiło?

Długie potém zapanowało milczenie, aż w ciemności, szept młody i przerażony, cichutko zaszemrał.—Babulo! ja słyszałam, że kiedy *czort* do kogo przyczépi się, to tak samo dusi...

U wierzchołka pieca, gwałtownie coś zaszeleściło, może ślepa baba wyprostowała się na swym sienniku.

— Przeżegnaj się, *ditia*, przeżegnaj się ty krzyżem świętym...

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen.

Znowu chwilowa zapanowała cisza, potém, stara Aksena zaszepleniła jeszcze.

— Zgryzota to ciężka dusiła ciebie, Pietrusia ty moja, *zhryzota* i żałość.

— A-le! twierdząco odszepnął głos drugi.

Cościs Michałek markotny był dzisiaj i *hniewny*...

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

LISTY CZESKIE.

XII.

Powodzenia Czechów. Wszechnica. Muzeum. Teatr. Wycieczka do Pesztu. — Stosunki z Niemcami. — Wolnomularstwo i jego dzisiejsze zadania. — Dawniejsze a obecne stanowisko Niemców austryackich. — Zatargi plemienne.

Nie zapomniałem o przyrzeczeniu uczynionem w moim ostatnim liście, mianowicie, że nakreślę dokładny obraz pocieszających postępów w naszéj literaturze narodowéj, a jeżeli dziś nie wypełniam obietnicy, to sądzę, że mnie w zupełności usprawiedliwi treść niniejszego listu.

Po takiém zastrzeżeniu, pobieżnie tylko wspomnę o tém, co może być dla nas pocieszającém i przyjemném, zachowując większą część listu na rzeczy nierównie ważniejsze, na odmalowanie stosunków, które nie są dla nas ani pocieszającemi ani przyjemnemi.

Do przyjemnych dla nas rzeczy należy przedewszystkiém widoczne wzmaganie się świadomości narodowéj w społeczności czeskiéj. Wszyscy napół już zgermanizowani Czesi garną się do swego rodzinnego plemienia. Większa część szlachty, najpierwsze w kraju rodziny: Scharzenbergowie, Lobkowicowie, Clam-Martinice, Harrachowie, Kaunice, wielu Thunów i Kinskich, przystają do narodu czeskiego, z którym ich łączy rzetelnie austryacka i dynastyczna polityka. Możemy więc żywić uzasadnioną nadzieję, że lud czeski będzie znów posiadał szlachtę narodową.

Nowa czeska wszechnica, *Carolo-Ferdinandea*, rozwija się pomyślnie. Wiadomo, że po rozdziale jéj na niemiecką i czeską, ponieważ fakultet teologiczny został przy uniwersytecie niemieckim, a raczéj nie jest jeszcze rozdzielonym, wszechnica niemiecka ma wszystkie cztery, czeska tylko trzy fakultety.

W roku szkolnym 1884/5 uczęszczało do obu uniwersytetów:

Niemiecki uniwersytet		Czeska wszechnica	
4 fakultety		3 fakultety	
	1304		1530
odliczywszy 272 teologów,		doliczywszy czeskich teologów	231
	1032		
dodawszy zaś 41 niemieckich teologów,			
	1073		1761

Na ostatniém posiedzeniu wiedeńskiéj rady państwa dr. Edward Gregr wykazał dosadnie niestosowność pomieszczenia, wyznaczonego dla czeskiego fakultetu medycznego, wskutek czego zaradzono już téj niedogodności i w czerwcu roku bieżącego wypracowano na podstawie kosztorysów, sporządzonych przez komisyę, szczegółowe plany przebudowania i ulepszenia tych lokalów za sumę 170,000 złr. Zatwierdzenie tego wydatku nastąpi niewątpliwie na najbliższém posiedzeniu rady państwa.

Budowa pomnikowego gmachu na muzeum czeskie, które będzie instytucyą krajową, jest już rozpoczęta. Miasto Praga ofiarowało na ten cel bezpłatnie na rogu placu Ś-go Wacława obszar wynoszący 13,598 metrów □, sejm czeski wyznaczył na to niedawno w drodze prawodawczéj sumę 1,793,500 złot. reńs. z funduszów krajowych. Wielkie zasługi w téj ważnéj sprawie położył i niezmordowaną działalnością zdobył sobie prawo do wdzięczności ogółu profesor czeskiéj wszechnicy Jan Kvičala, członek wydziału krajowego. Budowa ma być ukończona najpóźniéj w ciągu 3 lat i stanie się nową ozdobą stolicy upiększanéj rozmaicie, dzięki godnéj uznania zapobiegliwości obecnéj reprezentacyi gminnéj.

Nowy teatr narodowy czeski jest ciągle przedmiotem ogólnéj sympatyi ludności słowiańskiéj Czech i Morawii, a nawet wywiera już znaczną siłę przyciągającą na niemiecką część ludności Pragi.

Mamy do zawdzięczenia umiejętnemu kierownictwu téj instytucyi narodowéj, że artystyczna jéj działalność o wiele jest wyższą w czeskim aniżeli w niemieckim teatrze. Byłoby do zyskania, w dobrze zrozumianym interesie obu teatrów, ażeby zakończyły się raz narodowe niesnaski; zyskałyby na tém zarówno czeski jak niemiecki teatr. Tak zwane „pociągi teatralne" (divadelni vlaky), których początek przedstawiłem w moim ostatnim liście, dowożą ciągle teatrowi czeskiemu entuzyastycznych wielbicieli z Czech i Morawii i przyczyniają się, szczególniéj w téj drugiéj prowincyi, do zupełnego rozwoju samowiedzy narodowéj.

Wypada mi w tém miejscu wspomniéć o niezwykłym wypadku, o przybyciu do Hamburga w połowie czerwca okrętu z teatralną publicznością z Ameryki północnéj. To przypłynięcie czeskich gości

z Ameryki, pozostanie na długo w pamięci wszystkim, którzy tego świadkami byli. Emigranci od dawnych lat, osiedli w Ameryce i po większéj części bardzo zamożni, tamtejsi Czechowie postanowili wybrać się wspólnie do czeskiego teatru narodowego. Własny wynajęty w tym celu statek „Westphalia“ przywiózł ich z Nowego-Yorku do Hamburga. Tam już przyjęła ich umyślnie wysłana deputacya czeska, na któréj czele stanął znany czeski patryota Náprstek, który sam długo mieszkał w Ameryce. Na przeciw gości wyjechał do czeskiéj stacyi granicznéj Podmokli (Bodenbach) pociąg z kilkuset Czechami (mężczyznami i damami), a dwa długie pociągi nadzwyczajne przywiozły stamtąd amerykańskich gości i ich towarzyszy do Pragi. Prawie na wszystkich stacyach kolei, między Podmoklami a Pragą, witano i przyjmowano uroczyście amerykańskich ziomków. Przyjęcie w Pradze było wspaniałem, a ja, jako naoczny świadek, mogę zaznaczyć, że nigdy jeszcze ulice Pragi nie były wypełnione takiemi tłumami, jak w dniu przybycia Amerykanów i że nigdy jeszcze nie widziałem tak powszechnéj, tak serdecznéj radości.

Dziś już nie potrzebuję nadmieniać, że na cześć gości amerykańskich dano w teatrze narodowym kilka uroczystych przedstawień, na których parter oddany był im bezpłatnie, że wszyscy umieszczeni zostali w mieszkaniach prywatnych, i że ze strony Prażan uczynione było wszystko, coby przyjezdnym mogło pobyt uczynić jaknajprzyjemniejszym. Niedawno dopiero „amerykanie“, jak ich powszechnie zwano, odjechali znów z Pragi do Hamburga. Niemcy zarzucali nam przy téj sposobności zbyt wielki entuzyazm; zarzutu jednak tego podnosić nie myślę, bo Niemcom w obecnych stosunkach zapał taki musiał nie tylko wydać się za gorącym, ale był zupełnie niesympatycznym.

Z kolei, kierując się angielskim „*last not least*“, zaliczę do pomyślnych dla nas rzeczy, wytworzenie lepszego porozumienia z Madziarami, jest-to już ostatnie, ale nienajmniejsze dobro ze wszystkich przytoczonych. Przywódcy polityczni narodu czeskiego starali się przeprowadzić przyjazny kompromis między Czechami a Madziarami, i można dziś powiedzieć, że uczciwe ich usiłowania zostały uwieńczone dobrym skutkiem, a nawet, dodać wypada, że ogólno-państwowy interes Austryi nic na tém nie ucierpi. Inicyatywę tego pomyślnego wypadku zawdzięczamy wypróbowanéj przezorności politycznéj naszego narodowego przywódcy i pierwszego w téj sprawie szermierza d-ra Rigera. On to, przy pomocy doświadczonych spółpracowników politycznych, założył do tego podwalinę podczas posiedzeń ostatnich, austro-węgierskich delegacyi, które odbyły się ustanowioną koleją w jesieni w 1884 r. w Buda-Peszcie. Obecnie,

w lipcu 1885 r., wytworzone wtedy zbliżenie przyniosło praktyczne owoce; Madziarowie znajdują się w Czechach, a 1500 rolników czeskich, którzy udali się do Pesztu w celu zwiedzenia węgierskiéj wystawy rolniczéj, przyjęci zostali demonstracyjnie w Węgrzech jako przyjaciele. Że to Niemcom wypadnie nie na rękę, przekonamy się dowodnie poniżéj, zresztą pojmie to każdy łatwo, pamiętając, że taktyka Niemców polega na możliwém odosobnianiu Czechów.

Wogóle niełatwo nam przyjdzie dogodzić Niemcom, dopóki między niemi panować będą te dążności, których jasnemu określeniu zamierzam w tym liście szczególną poświęcić uwagę i z których, jak sądzę, okaże się dość wyraźnie, że to, co w przytoczonych faktach znajdzie się przyjemnego, nie tyle cieszyć nas może wobec ogólnie niepokojącego stanu, w jakim się znajdujemy.

Pisząc te słowa, jestem silnie przeświadczony, że nie należę bynajmniéj do kategoryi czarnowidzących pesymistów, przenoszących swoje własne rozdraźnienie na wszystko, co zgodnie z rzeczywistością powinno było w jaśniejszych barwach być przedstawioném; ale nie jestem też dość lekkomyślnym, ażeby to, co mi się wyraźnie w groźnéj postaci przedstawia, uważać za mniéj znaczące, aniżeli jest istotnie.

Narodowa rozterka z Niemcami stanowi czarny punkt naszego położenia i nastręcza obecnie wielkie pytanie, czy będziemy w stanie oprzéć się uorganizowanym przeciwko sobie napaściom, albo ściśléj mówiąc, czy będziemy tak szczęśliwi, ażebyśmy widzieli te napaści odparte samą siłą sprzyjających nam okoliczności.

Ponieważ w każdéj walce rzeczą jest przedewszystkiem ważną znać siłę nieprzyjaciela, jego pozycyę i sposób w jaki uderzyć zamierza, jeżeli się nie chce być zaskoczonym znienacka, będę przeto zmuszonym mówić tu o rzeczach, o których dotychczas nie wspominałem i wyjaśnić stosunki, trzymane rozmyślnie przez naszych nieprzyjaciół pod osłoną tajemnicy, w celu pewniejszego pobicia wroga, na podobny atak nieprzygotowanego. Czas już wielki tę zasłonę uchylić i grożącemu nam niebezpieczeństwu zajrzéć prosto w oczy. Jeżeli niebezpieczeństwa uniknąć można, uniknie się go tém łatwiéj.

A teraz do rzeczy.

Naród niemiecki odniósłszy zwycięstwo nad Austryą, szczególniéj zaś po swoich świetnych a bezprzykładnych tryumfach wojennych nad Francyą, przejął od Francuzów te wszystkie właściwości, które ich od czasów napoleońskich cechowały.

Niemcy mają dziś przeświadczenie, że są pierwszym narodem na świecie; Anglików i Francuzów uważają za swoich rywali a wszystkich Słowian za niższą rasę, za przedmiot swojéj rozbudzonéj żądzy panowania.

Spotęgowanie siły i wielkości państwa niemieckiego jest dziś przewodnią myślą patryotyzmu niemieckiego, a jako naturalny tego skutek, stało się zadaniem narodowo-niemieckiéj propagandy zaszczepić we wszystkich Niemcach przekonanie, że wszędzie powołani są i przeznaczeni na władców.

Zachodnia połowa Austryi, która i tak należała już raz do rzeszy niemieckiéj i wszędzie uważana była za część Niemiec, przedstawia się prawdziwym patryotom niemieckim, jako prowincya gotowa do anneksyi, i chodzi tylko o to, ażeby przygotować dziś to co, według ich mniemania, prędzéj czy późniéj stać się musi.

Ponieważ, zdaniem mojém, niemiecki związek wolnomularski, rozwijając w tym kierunku groźną działalność, jest dla istnienia Austryi wielce niebezpiecznym, niech mi wolno będzie w krótkich słowach to moje twierdzenie udowodnić.

Przedewszystkiém muszę tu wystąpić przeciwko ogólnie rozpowszechnionemu poglądowi, jakoby całe wolnomularstwo mogło być uważane za coś zgoła niewinnego, za jakieś nieszkodliwe amatorstwo kosmopolityczno-humanitarnych ideałów przyszłości. Rzecz się ma inaczéj. Wolnomularstwo dzisiejsze, wolnomularstwo z 1885 r. nie jest już tém, czém było przed stu laty, przyjęło bowiem w różnych krajach Europy według istniejących obecnie stosunków odrębną, śmiało rzecz można, narodową cechę. W Anglii masonerya nie ma żadnego znaczenia pod względem politycznym i społecznym, we Francyi jest prawie wyłącznie anty-katolicką, we Włoszech i w Hiszpanii republikańską, w Niemczech zaś zdecydowanie monarchiczną a przedewszystkiém niemiecko-narodową, z dążnością rozszerzenia granic państwa niemieckiego, tak daleko, jak tylko sięga mowa niemiecka.

Rozpowszechnianemu przez wolnomularzy twierdzeniu, że z zasady nie zajmują się kwestyami religijnemi ani politycznemi, wierzyć nie należy. W masoneryi dzieje się tak, jak w armii: zwykły szeregowiec nie wié dziś, co wódz na jutro przygotowuje, ale jutro wykona to, co mu wódz rozkaże. W wolnomularstwie znajdują się, jak wiadomo, niższe stopnie niewtajemniczonych, tak zwane loże Janowe (*Johanneslogen*) i wyższe stopnie wtajemniczonych według obrządku szkockiego.

„Gazeta wolnomularzy“ z 1874 r. (Nr. 19) zawiera na str. 150 nader pouczającą pod tym względem mowę wolnomularza włoskiego, w któréj powiedziane jest między innemi:

„Punkt ciężkości naszéj pracy znajduje się wśród wyższych stopni. *Tam stwarzamy postęp, politykę i historyę.* Dla tego szkocki obrządek utrzymuje się w całéj swéj rozległości. W tym rytuale

ojcowie nasi pełnili swoje sławne czyny, strącali tyranów, wypędzali obcych. Ale wielkie dzieło nie jest jeszcze we Włoszech spełnioném (utworzenie rzeczypospolitéj), dla tego potrzebny nam jest jeszcze obrządek szkocki. Czém ma być dla nas Joannes (niższe stopnie)? *Niczem więcéj tylko spokojną nazwą, potrzebną do zaskoczenia nieprzyjaciela z nienacka.* Co dla nas znaczy symbol? Ma być tarczą i osłoną w dniu walki—niczém więcéj. Do czego służyć nam mają wszystkie formy lóż? Ukryją nas przed wrogiem, ilekroć zdarzy nam się nieszczęście, lub ilekroć będziemy potrzebować wypoczynku, skupienia.“

W Niemczech wolnomularstwo ma dążyć do „najwyższych celów ludzkości.“ Otóż dla narodu niemieckiego najwyższym celem obecnie jest panowanie nad światem, a według Findla (Duch i forma wolnomularstwa, str. 69), wolny mularz ma być „człowiekiem pojmującym swój czas i pracującym nad utorowaniem drogi dla piękniejszéj przyszłości.“

Pod tym względem na uwagę zasługuje okoliczność, że w Niemczech przed rokiem 1866, a więc przed wielkiemi powodzeniami Prus i dynastyi Hohenzollerów, wątpiono dość powszechnie o wartości i pożytku naówczas jeszcze humanitarnego wolnomularstwa, i że masonerya rehabilitowała się i znacznie rozpowszechniła dopiero po roku 1866.

Z 492 istniejących w Niemczech lóż i tak zwanych „kółek“, 199 powstało po 1866 r. albo zupełnie na nowo, albo téż odrodziło się z dawnych, które porozwiązywano z powodu, iż zupełnie utraciły swoje znaczenie.

W Alzacyi i Lotaryngii po 1871 r. znikli francuscy wolnomularze, a na ich miejsce zjawili się niemieccy, co dowodzi, że dawny kosmopolityczny charakter masoneryi ustąpił wobec nowych cech narodowych.

Cesarz niemiecki jest protektorem wielkich lóż pruskich, a następca niemieckiego tronu jest jego namiestnikiem.

Jeden z „dawnych wolnych mularzy“, należący widocznie do kierunku kosmopolitycznego, pisze w swojéj książce „Loże masońskie i anneksya“ (str. 16) co następuje:

„Wypada tu jeszcze wspomniéć, że zgodnie z najwyższemi intencyami Związku, probowano zaczepić i o politykę.“ A na str. 25 pisze daléj:

„Dotychczas poczynano sobie w Prusiech w ten sposób, że wszystkie loże, tworzące się pod zwierzchnictwem innych (t.j. niepruskich), były rozwiązywane, loże zaś przybywające wskutek zdobycia innych krajów zmuszano do poddania się wielkim lożom pruskim.“

Rzecz zatém tak się ma od 1866 r. Wielkie loże pruskie wytwarzają w innych krajach, a mianowicie w Austryi, loże masońskie, albo tak zwane kółka humanitarne, ale żadnéj niepruskiéj loży niewolno jest w Prusach, (co ma znaczyć w całém państwie niemieckiém) zakładać filii miejscowych.

Wielkie loże berlińskie sterują obecnie szczuplejszém kołem lóż niemieckich, w których dawniejszy kosmopolityzm humanitarny stanowczo ustąpił miejsca narodowo-niemieckiemu kierunkowi szowinistycznemu.

Od 1872 r. istnieje niemiecki związek wielkich lóż, składający się z 8 wielkich lóż niemieckich, z których 3 w Berlinie, a po jednéj w Bayreucie, Darmsztadzie, Dreznie, Frankfurcie nad Menem i Hamburgu.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości że działalność wolnomularstwa niemieckiego jest obecnie prawie wyłącznie polityczną. Przytoczę tu kilka dowodów.

W uroczystéj loży w Stendalu, brat Ronnenfahrt mówił 22 marca 1869 r.

„On (król pruski) jest nietylko naszym królem, ale członkiem naszego związku i protektorem wolnomularstwa. Jak niegdyś Jehowa mówił do Dawida i Salomona: „„Zbudujcie mi dom, ażebym mógł mieszkać przy moim ludzie, któremu przygotowałem ojczyznę w Chanaanie,““ tak Bóg wszechmocny powiedział do naszego króla „*Zjednocz mi wszystkie ziemie niemieckie w jedną wielką dzierżawę*, ażebym nareszcie mógł znaleść upodobanie w tym ludzie, który zawsze miłowałem mimo jego niezgodności, odśrodkowych dążeń i kłótliwych skłonności.““

Następca tronu niemieckiego miał z powodu stuletniego jubileuszu wielkiéj loży w Berlinie, 24 czerwca 1870 r., mowę, w któréj, jako ówczesny mistrz zakonu, otwarcie wypowiedział: „że wolnomularstwo nie może uchylać się od umysłowego ruchu swego czasu.“

O co wtedy chodziło, wiadomo powszechnie, a co pod tym względem loże mają do czynienia, wyjaśnia nam „Gazeta wolnomularzy“ z 1874 r. na str. 141, w słowach dość wyraźnych.

„Ażeby loże ze swemi braćmi skuteczniéj działać mogły, należy je więcéj oświecać i obznajmiać z wielkim ruchem współczesnym. W Niemczech zrobiono już krok ku temu celowi. Jeżeli w pewnym punkcie centralnym będą przygotowane niektóre zgodne z duchem czasu temata i tak przygotowawczo opracowane dostaną się do lóż pod rozprawy, aby jednocześnie uwaga wszystkich lóż zwróconą została na te kwestye, w takim razie wytworzy się spokojne, duchowe przekonanie, a w następstwie zbawienna działalność.“

Jeżeli przytoczone wyżéj fakta zdołają czytelnika przekonać, że wolnomularstwo niemieckie rozwinęło w ostatnich czasach działalność polityczną, czyli ściśléj mówiąc, służy za dobrowolne narzędzie do celów politycznych to w dalszym ciągu wypadnie odpowiedzieć na pytanie: jak się zachowuje masonerya niemiecka względem cesarstwa austryackiego?

Tu wydaje mi się szczególniéj ważnym manifest rewolucyjny Mazziniego, wolnomularza najwyższego stopnia. Manifest pochodzi z 1851 r. i jest drukowany w „Journal des Débats“ z 16 maja 1851 r. Mowa tam o Austryi:

„Wymowny głos wyrzekł co do Austryi słowa, które mówią wszystko: *Delenda est Austria*!“

Za najstosowniejsze środki do tego celu uważa Mazzini: „*l'exploitation de la rivalité des nationalités diverses*“—a zatém rozniecanie i podtrzymywanie waśni narodowych. Tym sposobem zginąć ma Austrya. „Należy zawładnąć Prusami, budząc wojskową ich ambicyę i drażliwość; trzeba opanować Austryę, podburzając i szczując jedne przeciwko drugim rozmaite ludy, z których się składa.“ Tak mówi Mazzini w 1851 r.

Możnaby zaiste mniemać, że Bismarck, zarówno jak stronnictwo niemiecko-narodowe w Austryi, kształcił się w szkole Mazziniego.

Posłuchajmy teraz partyi narodowo-liberalnéj w Niemczech, o któréj wiadomo, że ma z masonami niemieckiemi powinowactwo z wyboru, jeżeli nie zupełną jednomyślność.

„Dziennik drezdeński“ z 21 sierpnia 1859 r. podaje nam program ówczesnego stronnictwa narodowo-liberalnego, w którym czytamy:

1) Utworzenie jednego wielkiego stronnictwa narodowego z tą samą względem Prus postawą, jaką zachowywali konstytucyjni względem Piemontu.

2) Stronnictwo nie liczy się zupełnie z Austryą. W tym kierunku winno czekać chwili, kiedy to państwo wskutek nowego ruchu narodowego, rozpryśnie się na prowincye. *Wtedy prowincye niemiecko-austryackie same z siebie połączą się z Niemcami.*

Trudno wyraźniéj powiedzieć, czego się chce i do czego się dąży. Pierwszy ruch narodowy w Austryi przypadł w 1848 r. Wtedy Niemcy z Czech i Morawii poszli do Frankfurtu, a Słowianie do Wiednia i nie ulega wątpliwości, że Austrya w 1848 r. utrzymała się tylko przez Słowian. Otóż drugi ruch narodowy w Austryi ma zdziałać to, czego w 1848 r. nie osiągnięto, i nie ulega wątpliwości, że tak zwane niemiecko-narodowe stronnictwo w Austryi przyczynia się do tego ze swéj strony, o ile mu sił starczy.

„Dziwne są czasy, w których żyjemy, pisał „Cyrkiel,“ wiedeński organ masońskiego kółka *Humanitas* w maju 1874 r. „Stoczyły się potężne wojny, a wszystkie były wyzwalającemi, bądź z najhaniebniejszéj niewoli (Ameryka), bądź téż z więzów, które ludom, broniącym nieprzedawnionych praw wolności i zjednoczenia, nakładały mocarstwa i dynastye, nie mogące przeciwstawić tym odwiecznym prawom nic więcéj, prócz przestarzałych i w dzisiejszych czasach zgoła już niezrozumiałych zasad prawowitości.“

Jestto również dość wyraźnie powiedziane—a dla stosunków austryackich byłoby zajmującém wiedziéć pod jakim wpływem wydane zostało rozporządzenie ministeryalne z 19 stycznia 1868 r., na mocy którego z roty przysięgi urzędników austryackich wykreślono klauzulę, że wstępujący na urząd nie należy, ani nigdy należyć nie będzie do jakiegobądź związku tajnego.

Że w Austryi, a szczególniéj w niemieckiéj części Czech jak niemniéj w Pradze, istnieją związki wolnomularskie i że egzystują wszędzie tam, gdzie się znajdują stowarzyszenia niemiecko-narodowe, o tém wiadomo powszechnie. Nie jest również żadną tajemnicą że Schneeberg w Saksonii, o kilka godzin od Karlsbadu oddalone, ma naczelną zwierzchność nad związkami wolnomularskiemi w Czechach *via* Karlsbad i że tym sposobem kierunek całego niemiecko-narodowego ruchu w Czechach wychodzi właściwie z cesarstwa niemieckiego. Trudno przypuszczać, aby znalazł się ktoś tak naiwny, ktoby wierzył, że celem całéj agitacyi jest utrzymanie samoistności, potęgi i wielkości cesarstwa austryackiego, gdyby mu nawet niemiecko-narodowe zwierzenia nie otwierały uszów na wręcz przeciwne cele. Do stronnictwa niemiecko-narodowego należy wielu młodych ludzi, którzy, najprzód nie nauczyli się jeszcze milczéć, a powtóre, szukają w tém sławy, ażeby pewne rzeczy bez obawy jawnie wypowiadać, jak np. *studiosus philosophiae* Brückner, który oświadczył w Wiedniu na publiczném zebraniu, 12 listopada 1883 r. odbytém, „że możemy się jeszcze spodziewać ostatniego aktu wielkiego dramatu narodowego, w którym bohaterką jest Germania, a treścią rewindykacya zachodniéj części Austryi jako ojcowizny prawnie należącéj się narodowi niemieckiemu.“

Widzimy z powyższego, że z téj strony pracowano otwarcie i charakterystycznym jest zaiste objawem, że wobec tego rząd austryacki zachowuje się niemal bezwładnie, możnaby nawet powiedziéć, niezaradnie; że zaś w tych sprawach idzie o samo istnienie Austryi,—wątpić niepodobna. Ponieważ jednak chodzi tu również o narodowe istnienie Czechów, więc czytelnik pojmie, że było koniecz-

ném wyświecić te stosunki i knowania, których znaczenia lekceważyć nie należy.

W mowie, którą miałem 3 marca 1883 r. w wiedeńskiéj radzie państwa z powodu rozpraw nad budżetem, powiedziałem między innemi:

„Wtedy gdy naród czeski wypisał na swoim sztandarze równouprawnienie narodowe i polityczne i nic nad to więcéj, gdy naród czeski spodziewa się osięgnąć to równouprawnienie w wolnéj konstytucyjnéj Austryi i o niczem innem nie myśli, kiedy naród czeski niczego gorącéj nie pragnie jak pokojowego porozumienia się z Niemcami, ażeby potém wspólnemi siłami strzedz interesów materyalnych i umysłowych kraju (Czech) i cesarstwa, stronnictwo niemiecko-narodowe, mimo swego, tak zwanego liberalizmu, obstaje przy mniemaném prawie do narodowéj przewagi, odtrąca rękę, podaną do porozumienia się i pojednania, i w razie konieczności, chce przy pomocy potężnego cesarstwa niemieckiego wszechwładztwo swoje utrzymać, choćby nawet runąć przy tém miała pozycya Austryi jako wielkiego mocarstwa a w końcu i jéj istnienie. Partya niemiecko-narodowa głosi: Austrya musi być niemiecką albo nie istniéć wcale.“

W tych kilku słowach scharakteryzowana jest nasza sytuacya w stosunku do Niemiec, ponieważ zaś ta sytuacya doszła już obecnie do punktu nader niepokojącego, na którym musi się rozstrzygnąć waśń narodowa, wiec sądzę, że nie od rzeczy będzie dorzucić jeszcze parę uwag dla dopełnienia obrazu i zupełnego wyjaśnienia położenia. W tym celu muszę cofnąć się nieco w przeszłość.

W roku 1866, Niemcy w Austryi (mogę tu powiedziéć, nie mijając się z prawdą: inteligentna ich klasa, zajmująca się politycznemi sprawami i wypadkami) byli, z małym wyjątkiem, zdecydowanemi przeciwnikami Prus. Konstytucya Schmerlinga z 26 lutego 1861 r. uczyniła ich ludem rządzącym w nowéj kostytucyjnéj Austryi; na podstawie Schmerlingowskiéj ordynacyi wyborczéj mieli większość w sejmach Czech i Morawii, stanowili wyłącznie uprzywilejowaną, uzdolnioną do rządzenia ludność zachodniéj Austryi, czyli tak zwanéj Przedlitawii, nic nie zagrażało ich narodowemu istnieniu, a jako konstytucyjni obywatele Austryi, mieli prawo domagać się korzystania ze wszelkich materyalnych zysków, jakie przysługiwały Niemcom, mającym za sobą znakomitą większość w ciałach reprezentacyjnych. Mieli przy tém wielko-niemieckie zachcenia, ale jako austryacy, z dążeniem ku austryackiéj przewadze w Niemczech. Ruch narodowo-niemiecki w krajach Rzeszy nie występował jeszcze urzędownie,—miał raczéj tu i owdzie stanowczo rewolucyjny charakter.

W Czechach i w Morawii Niemcy byli *beati possidentes*; sądzili, że przewagę swoją utrzymają bez wielkich zachodów za pomocą *ad hoc* obmyślanych urządzeń prowincyonalnych i że z opozycyą czeską załatwią się kilkoma w duchu narodowym ustępstwami.

Wypadki 1866 r., zwycięstwo Prus nad Austryą i wykluczenie téj ostatniéj z Niemiec, z zagrodzeniem jéj z góry drogi, w tajemnych traktatach Prus z Badenem, Wirtembergiem i Bawaryą, do utworzenia związku południowo-niemieckiego, nie wprowadziły właściwie żadnych zmian ważnych do przedstawionego wyżéj stosunku między Niemcami a Słowianami w Czechach i Morawii. Uprzywilejowana pozycya pierwszych wzmocniła się raczéj i utrwaliła, dzięki stworzonemu w 1867 r. dualizmowi; wtedy bowiem otwarcie wygłoszoną została maksyma państwowa dualistycznéj Austryi. We wschodniéj połowie panującym narodem są Madziarowie, w zachodniéj—Niemcy.

Rok 1870, niewątpliwie epoka w dziejach Europy, miał również i dla stosunków austryackich, następstwa stanowcze, rozstrzygające. Jeżeli w początku tego roku żywiono jeszcze w Austryi nadzieję, że można będzie przeszkodzić utworzeniu się zjednoczonego cesarstwa niemieckiego pod berłem króla pruskiego, to w końcu roku bezprzykładne klęski Francyi położyły kres tym nadziejom. Hrabia Beust, karmiący się temi złudzeniami, musiał oddać ster polityki austryackiéj w inne ręce, których zadaniem było wytworzenie między Austryą a zwycięzkiém nowopowstałém cesarstwem niemieckiém jakiegoś sąsiedzkiego pożycia, odpowiadającego nowym stosunkom. Chodziło przedewszystkiém o zupełne i stanowcze zamknięcie rachunków z niemiecką polityką austryacką, która polegała na utrzymywaniu przewagi Austryi w Niemczech i na przedstawianiu w tym celu Austryi za bardziéj niemiecką, aniżeli nią jest w rzeczywistości. Jeżeli dotąd warunkiem dążenia do téj supremacyi była uprzywilejowane stanowisko Niemców w Austryi, jako narodu panującego, a zatém wypieranie i możliwa germanizacya wszystkich nie-niemieckich ludów Austryi, to nadal należało wyrzec się stawiania przewagi Niemców jako *conditio sine qua non* austryackiéj polityki państwowéj, interesom bowiem dynastyi austryackiéj odpowiadało raczéj przedstawienie nie-niemieckiego charakteru Austryi w świetle odpowiadającém rzeczywistym stosunkom, słowem, wypadało rozproszyć fikcyę, którą dotychczas sztucznie podtrzymywano, bynajmniéj nie w interesie zdrowéj polityki wewnętrznéj, ale w celach polityki zagranicznéj.

Że przy takiém radykalném przekształceniu polityki wewnętrznéj w Austryi, Czechy musiały odegrać główną rolę, dowiodły tego właśnie teraz istniejące stosunki. Naród czeski, tak długo rozmyśl-

nie ignorowany, przeznaczony był do wykazania *ad oculos* przed całą Europą nie-niemieckiego charakteru zachodniéj połowy Austryi.

Przeprowadzenie nowéj zasady politycznéj państwa austryackiego powierzono gabinetowi Hohenwartha w lutym 1871 roku. Sama okoliczność, że dwóch Czechosłowian (dr. Habětinek jako minister sprawiedliwości i Jireček jako minister oświaty) należeli do tego gabinetu, była wskazówką charakteryzującą obrany kierunek i dostateczném ostrzeżeniem dla Niemców, że ich uprzywilejowane w Czechach wszechwładztwo zbliża się ku końcowi. Sytuacya stała się zupełnie jasną, kiedy sejm czeski został rozwiązany i nastąpiły nowe wybory, w których przez widoczne wpływy rządu niespodzianie wyszła na jaw czeska większość w sejmie czeskim. Powinienbym raczéj powiedziéć „nie-niemiecka" większość, i pozwolę sobie pokrótce o tém przypomniéć, że według obowiązującéj obecnie ordynacyi wyborczéj w sejmie czeskim zasiada prawie jednakowa liczba niemiecko-narodowych i czesko-słowiańskich posłów i że 70 deputowanych z większéj własności ziemskiéj stanowią zarówno o charakterze jak i o barwie sejmu. Ponieważ tych 70 posłów z wielkiéj własności ziemskiéj wybierani są jednym aktem wyborczym, więc zwycięża albo stronnictwo, które nazwać można niemiecko-narodowém albo tak nazwana partya zachowawcza, która wprawdzie nie jest czesko-narodową, ale w sejmie głosuje z Czechami przeciwko niemieckim narodowcom.

Nowy sejm czeski w 1871 energicznie zabrał się do roboty. Wypracowano dla Czech nową ordynacyę wyborczą, która miała zaradzić jawnym niesprawiedliwościom ordynacyi Schmerlingowskiéj, naturalnie nie na korzyść Niemców; stworzono prawo o narodowościach, które zastrzegając równe prawa dla obu narodów, również nie wypadło na korzyść Niemców, zmierzało bowiem do położenia tamy ich uprzywilejowanéj supremacyi i nareszcie w okrzyczanych „artykułach zasadniczych" zaprojektowano daleko sięgającą zmianę w konstytucyi, która podobnież nie mogła przypaść do smaku Niemcom, jako nie z ich korzyścią zrobiona, bo wbrew ich centralistycznym dążeniom miała na widoku szerszą autonomią pojedynczych królestw i krajów.

Opozycya Niemców przeciwko gabinetom Hohenwartha była ogólna i bardzo gwałtowna. Właśnie w chwili, kiedy Niemcy austryaccy poczuli się w swéj świadomości narodowéj tak wysoko podniesionemi, jako cząstka zwycięzkiego narodu niemieckiego, kiedy cała Europa z podziwem, ze zdumieniem patrzyła na bezprzykładne tryumfy zjednoczonego w chwale i rozgłosie narodu, właśnie w téj chwili mieli być pozbawieni panowania, które im się, przynajmniéj

według ich przekonania, należało z prawa wyższości umysłowéj i które było im dotąd zapewnione zasadniczemi ustawami państwa. Nie można było wymagać takiéj rezygnacyi od Niemców austryackich, ani od Niemców w nowém cesarstwie. Mówiono, że upadek gabinetu Hohenwartha był dziełem wpływów berlińskich głównie, i w istocie trudno o tém wątpić.

Ale nieudana próba przekształcenia Austryi na wyłącznie austryackich podstawach, zrobiona przez ministeryum Hohenwartha, fatalnie oddziałała na stosunek między Niemcami i Słowianami w Czechach. Jeżeli dotąd Niemcy widzieli w Czechach przeciwników narodowych, których skłonni byli zadowolnić i zaspokoić w pewnych granicach i pod pewnym względem, to od téj chwili Czesi wydali im się nienawistnemi wrogami, dążącemi do wydarcia im najdroższego dobra, nieprzyjaciółmi, których właśnie dla tego trzeba było uczynić nieszkodliwemi. Wina Czechów stała się w oczach Niemców, o tyle większą, że ten mały naród, pozostawiony na etacie wymarcia, chciał się zmierzyć z częścią wielkiego rozsławionego narodu niemieckiego, że tak zwany pogardliwie przez Niemców „narodek," który uważano po prostu za przedmiot do prób cywilizacyjnych, wstąpił w szranki o zdobycie jako nagrody, wpływu politycznego w zapasach z narodem „kulturowym," który nadto przyznawał sobie prawo nazywania się pierwszym między narodami kulturowemi.

Po gabinecie Hohenwartha nastąpiło niemiecko-narodowe ministeryum Auersperga, dla którego naród czeski był przedmiotem namiętnego prześladowania. Blizko 8 lat trwał terroryzm tego ministeryum, które mimo bezwzględnéj energii nie zdołało złamać oporu Czechów, zakończył się zaś ten okres cierpienia narodu czeskiego nie wskutek owego oporu, ale dla tego, że cesarstwo niemieckie potrzebowało mieć pod ręką dogodnego, przejednanego sprzymierzeńca. We wrześniu 1879 r. przybył książę Bismark do Wiednia w celu zawarcia z Austryą nowego przymierza za cenę swobodniejszego dla Austryi ruchu w polityce wewnętrznéj. Hrabia Taafe podjął się trudu przekształcenia Austryi na samoistnie z cesarstwem niemieckiem sąsiadujące państwo, na podstawach istniejących w niém stosunków rzeczywistych. Dawniejszą, niemiecką politykę porzucono stanowczo, bo nie było już żadnego interesu w przedstawianiu Austryi za bardziéj niemiecką aniżeli nią jest istotnie; przeciwnie leżało w interesie dynastyi przedstawić ją jako nie-niemieckie, złożone z różnych ludów mocarstwo. Czesi ukazali się w radzie państwa (1879), a przez ten ich udział dotychczasowa większość niemiecko-narodowa stała się mniejszością. Nowy rząd wziął się bardzo ostrożnie do dzieła; niemniéj jednak prześladowanie narodowe i ucisk nie-niemieckich ludów,

a szczególniéj Czechów został zaniechany; słowem gabinet Taafego nie był rządem systematycznie germanizującego, wrogo dla Słowian usposobionego stronnictwa narodowców niemieckich. Przeciwnie, ta ostatnia partya uczuła, że to dla niéj kwestya życia lub śmierci i poruszyła wszystkie sprężyny celem obalenia nienawistnego gabinetu. Środki, użyte do tego celu przez stronnictwo niemiecko-narodowe, prowadzą do nowéj fazy waśni narodowéj w Czechach. Niemiecka ludność w Czechach była w kierunku narodowym z dwóch stron obrabiana i miała służyć za narzędzie do osiągnięcia dwóch zupełnie odrębnych celów.

Po jednéj stronie stała niemiecka partya konstytucyjna, koterya złożona z parlamencistów z profesyi, którzy, dzięki uprzywilejowanéj pozycyi, zdobyli sobie siłę, znaczenie, a nawet majątek, i którzy nie mogli oswoić się z myślą, że ich nowy porządek rzeczy pozbawi tych wszystkich przyjemnych i pożytecznych nabytków. Ludziom tym szło przedewszystkiém o to, żeby na nowo dostać się do wpływu i znaczenia i nie czuć nadal braku związanych z tém wszystkiém korzyści materyalnych. Jako przywódcy stronnictwa niemieckiego, musieli naturalnie głosić *pro domo sua* teoryę, że Austrya jest państwem niemieckiém, w którém jedynie niemiecka partya może być uważana za istotnie przeznaczoną do rządzenia i za podporę państwa. W tym téż celu musiała być postawiona zasada, że Niemcy, z powodu swéj wyższości narodowéj, są, jako naród kulturowy, powołani do panowania w Austryi nad innemi, niższemi rasami, które tylko przy pomocy wyższéj kultury Niemców mogą się spodziewać lepszéj, godnéj człowieka przyszłości. Jeżeli to wszystko było w ich oczach niezbitym pewnikiem, to należało pracować nad rozbudzeniem wśród niemieckiéj ludności w Czechach rzetelnego uczucia godności narodowéj, to jest nad rozpowszechnieniem przekonania, że Niemcy są czémś nierównie lepszém, szlachetniejszém, wyższém od słowiańskich ziomków, i że tylko przez utrzymanie w nieposzlakowanéj czystości téj narodowéj przewagi, mogą godnie odpowiedzieć swojéj wzniosłéj misyi wszechwładztwa.

Dzięki samolubstwu wrodzonemu naturze ludzkiéj, bywało po wszystkie czasy wdzięczném zadaniem, wmawiać w kogoś, że jest lepszym od innych, i nie trzeba zaiste długich wywodów ani historycznych cytat, ażeby dowieść słuszności tego twierdzenia. Nietrudno téż było rozpowszechnić wśród ludności niemieckiéj podobne poglądy, na których żądna władzy koterya niemieckich wiernokonstytucyjnych oprzéć chciała urzeczywistnienie swoich egoistycznych planów. Rozporządzenie w przedmiocie języka z kwietnia 1880 r. było pod tym względem doskonałym przedmiotem do agitacyi.

Główna zasada tego rozporządzenia, równouprawnienie obu narodowości, natrafiła na gwałtowny opór i przedstawioną została jako niesłychana krzywda, którą wyższości niemieckiéj wyrządzono. Uznano to za tyrańskie poniżenie Niemców, żeby urzędnicy zmuszeni byli do uczenia się języka niższego ludu, a z graciarni absolutyzmu odgrzebano twierdzenie, jakoby język niemiecki był językiem rządu, z czego miało wynikać, że powinien być nietylko urzędownie obowiązującym we władzach politycznych i sądowych, ale że i strony powinny być zmuszane do używania z władzami urzędowego języka niemieckiego.

Ażeby w zupełności ocenić skuteczność téj agitacyi wśród niemieckiéj ludności, trzeba należycie zwrócić na to uwagę, że działano tu na dwie wiadome słabe strony natury ludzkiéj: na próżność i lenistwo, na próżność, podniecając przeświadczenie o narodowéj wyższości, na lenistwo, przedstawiając mozoł uczenia się języka czeskiego. Że przytém podraźni się wiele nieszlachetnych i gwałtownych namiętności wśród mieszkańców niemieckich, o to panowie niemieccy kandydaci do rządu zdawali się niewiele troszczyć, bo mieli zawsze tylko jeden cel przed oczyma: obalić istniejący systemat rządowy przy pomocy wzrastającego zaniepokojenia i niezadowolenia ludności niemieckiéj i samym znów dostać się do steru.

Winienem tu wyraźnie zastrzedz, że istniejący systemat rządowy nie tamuje żadnemu Niemcowi swobodnego rozwoju jego życia narodowego, że ten rząd, zwany nieprzyjacielem niemczyzny, nierównie troskliwszą otacza opieką duchowe interesa Niemców, aniżeli takież sprawy innych nie-niemieckich ludów, że językiem najwyższych władz centralnych i korporacyi przedstawicielskich w parlamencie (rada państwa i delegacya) pozostał bez sporu ani opozycyi z czyjéj bądź strony język niemiecki, że zatém w Austryi istnieje faktycznie państwowy język niemiecki, jakkolwiek niemieckie stronnictwo nie jest panującém w parlamencie ani w państwie; daléj, że w sejmie czeskim, gdzie obecnie partya niemiecko-narodowa znajduje się w mniejszości, że w urzędach gminnych miasta Pragi, w którego radzie gminnéj i kolegium municypalném niema obecnie ani jednego Niemca, równouprawnienie narodowe przeprowadzone jest jaknajprzezorniéj i jaknajsumienniéj. *Nie istnieje zatém w Austryi ani w Czechach najlżejszy ślad ucisku Niemców, lub prześladowania żywiołu niemieckiego*, a cała krzywda, jaką wyrządzono Niemcom w Austryi i w Czechach, według ich mniemania i twierdzenia, polega na tém, że uprzywiliowane zwierzchnictwo niemieckie nie jest już uważane za *conditio sine qua non* istnienia i utrzymania się cesarstwa austryackiego.

Mimo to, ruch narodowy wśród ludności niemieckiéj Czech doszedł teraz do takiego punktu, że musi każdego szczerego patryotę austryackiego napełnić obawą i można nawet śmiało twierdzić, że przywódcy niemieckiéj partyi konstytucyjnéj, którzy pierwiastkowo ten ruch według gotowego planu wywołali, teraz stoją bezsilni wobec własnego dzieła, nie wiedząc co z niém począć. Kierownictwo ruchu wymknęło im się z rąk w zupełności, a agitacya zeszła na drogę, na któréj panowanie Niemców w Austryi przestało już być jedynym celem.

Wspomniałem wyżéj, że niemiecka ludność w Czechach z dwóch stron jest obrabianą pod względem narodowym, z kolei więc wypada mi pomówić o téj drugiéj stronie. I tu proszę przedewszystkiém czytelnika, ażeby raczył przypomniéć sobie to, co powiedziałem o niemieckim związku wolnych mularzy. Żądni władzy panowie z niemieckiéj partyi konstytucyjnéj w Austryi, swoją zorganizowaną propagandą, w któréj namiętne podniesienie niemieckiego uczucia narodowego główną odgrywało rolę, przygotowali doskonale ludność niemiecką do stania się przedmiotem wielkoniemieckich narodowych agitacyi masonów germańskich. Taki jest, treściwie określony, obecny stan rzeczy.

Program narodowy, przedstawiony ludności w Czechach przez pp. Herbsta i Schmeykala, o których austryackiém usposobieniu nie chcę bynajmniéj wątpić, i streszczający się w słowach: „Panowanie polityczne Niemców w Austryi“, uległ wielkiéj zmianie i zamiast specyficznie austryackiego, nabrał czysto wielko-niemieckiego charakteru. Wszystkie niemieckie stowarzyszenia i śpiewackie i gimnastyczne i narodowe, które pozakładało właściwie stronnictwo konstytucyjne austryackie w niemieckich częściach Czech dla popierania własnych celów, stały się teraz ryczałtem stowarzyszeniami z wielko-niemiecką dążnością, których centralny kierunek znajduje się już nie w rękach d-ra Herbsta, lecz w lokalu Związku wielkich lóż. Ton tym stowarzyszeniom nadaje już nie Herbst lub Schmeykal, lecz p. dr. Knotz, adwokat w Czeskiéj Lipie, i jego współwyznawcy. Sytuacya zmieniła się zupełnie; dla nas Czechów, jak to wkrótce będę miał sposobność wykazać — nie polepszyła się bynajmniéj.

Że w obozie Niemców chodzi o radykalną zmianę pozycyi i szyku bojowego, dowodzi stanowczy opór, jaki postawili przeciw kandydaturze dra Knotza w wiedeńskiéj radzie państwa pp. Herbst i Schmeykal. Wiedzieli dobrze, co znaczy Knotz i sądzili z początku, że własnym wpływem przeszkodzą jego wyborowi. Ale kiedy spostrzegli, że trwając w oporze, mogą sami stracić dotychczasowy

wpływ na ludność niemiecką, poddali się konieczności, przyjęli Knotza jako swego własnego kandydata i uniknęli w ten sposób fatalnego dla siebie starcia. Dr. Knotz ukazał się na ostatniéj sesyi rady państwa na początku 1885 r. w charakterze przedstawiciela tak zwanéj „ostrzejszéj tonacyi", jak się eufemistycznie wyrażano. Dr. Knotz pragnął téż w radzie państwa zabrać głos, ażeby najprzód po swojemu coś powiedziéć o stosunkach czeskich.

Dr. Knotz jest synem swego czasu, stworzonym do takiego zadania, jak namiętne podbudzanie mas, mała przysadzista figurka, potężny, niezbyt przyjemny, ale tém hałaśliwszy głos, namiętna dykcya z odpowiednią gestykulacyą. Sądząc z wrażenia, jakie wywierają jego mowy na długoletniego i pod tym względem zahartowanego parlamencistę, słowo d-ra Knotza musi zapalnie działać na masy i tém się tłómaczy jego popularność wśród niemieckiéj ludności Czech w tych burzliwych czasach. Nie będę czytelnika utrudzać treścią mów, które wypowiadał dr. Knotz w radzie państwa, bo to, co tam mówił nie jest jeszcze ważniejszém od tego, co ma właściwie do powiedzenia. Oczywistym celem jego mów było naturalnie rozbudzenie namiętnéj nienawiści przeciwko Czechom. Ta praca jest teraz głównem zadaniem agitatorów narodowo-niemieckich i główną treścią tak zwanego poczucia narodowego niemieckiéj ludności w Czechach. Winienem tu jednak dodać, nie całéj ludności, wśród któréj znajdują się przecie żywioły umiarkowane, dające do siebie przystęp ludzkości i słuszności, których głos, niestety, jak to się zwykle dzieje w chwilach niespokojnych, zagłuszają namiętne i krańcowe hasła.

W ostatnich czasach (blisko od 2 lat) wytworzyła się w północnych Czechach „austryacka partya ekonomiczna", rekrutująca stronników głównie między ludem wiejskim. Sama nazwa już wskazuje, że zadaniem tego stronnictwa ma być występowanie przeciwko nieaustryackim zachciankom, a przytém zwrócenie publicznéj działalności, wyzyskiwanéj jedynie na agitacye narodowe, w innym kierunku, przez wytknięcie jéj, jako celu, pracy około interesów materyalnych. Ta austryacka partya ekonomiczna wegetuje bez szczególniejszego powodzenia, jakkolwiek na jéj czele stoi kilku dzielnych mężów niemieckich. Stronnicy jéj napiętnowani zostali przez krańcowych narodowców mianem zdrajców, cierpią przy każdéj sposobności najbrutalniejsze prześladowanie i mimo, że są prawdziwemi Niemcami, denuncyowani byli ludności niemieckiéj jako przyjaciele Czechów, lub po prostu jako Czechowie, a zatém jako wrogowie i godni pogardy nieprzyjaciele świętéj sprawy narodowéj. Austryackie usposobienia stały się już nieledwie występkiem w oczach

prawdziwych narodowców niemieckich w Czechach, a najlżéj przychylne zdanie o Czechach uchodzi u tych egzeltowanych za zdradę przeciwko czci niemieckiéj. Namiętne wzburzenie, szczególniéj wśród młodszéj części niemieckiéj ludności w Czechach, z pomiędzy któréj rekrutują się stowarzyszenia śpiewackie i gimnastyczne, doszło obecnie do tego stopnia, że dla Czecha stało się rzeczą ryzykowną podróżować po okolicach niemieckich, nie jest bowiem bezpieczny od publicznych obelg i czynnych zniewag. Mógłbym pod tym względem przytoczyć cały szereg poszczególnych wypadków, które posłużyłyby za dowód tego co wyżéj powiedziałem.

Ponieważ w większéj części miast, mówiących po niemiecku, znajdują się czeskie mniejszości (w Reichenbergu naprzykład około 5000) dochodzące w niektórych miastach przynajmniéj do kilkuset, a jednym z punktów programatu narodowców niemieckich jest przedstawienie terytoryum, na którém przeważa język niemiecki jako czysto niemiecki i miast na niém jako na wskróś niemieckich, można więc sobie łatwo wyobrazić, że egzystencya tych czeskich mniejszości w niemieckich miastach w Czechach, nie może być obecnie arcy przyjemną. Stanowią one teraz przedmiot sporny walki narodowéj, prowadzonéj z wielką zawziętością; ze strony Czechów robi się co tylko można, żeby je utrzymać i wzmocnić, Niemcy pracują nawet nad możność, żeby im życie zatruć i zmusić do usunięcia się. W téj walce stowarzyszenie staje przeciw stowarzyszeniu, *Ústřední matice školská*, przeciw niemieckiemu stowarzyszeniu szkolnemu, *Pošumavská jednota* przeciw „Związkowi Lasu czeskiego“, *Severočeská jednota* przeciw miejscowym stowarzyszeniom narodowym. Czy lud czeski, mimo całą swą ofiarność, ostoi się wobec coraz obficiéj napływających środków pieniężnych od mnogiego narodu niemieckiego, jest-to kwestya, któréj tu podnosić nie będę. Sądzę natomiast, że zajmie czytelnika to, co o ofiarności narodu czeskiego powiedział jego przeciwnik. Dr. Langer miał 26 stycznia 1885 r. w niemieckiém kasynie w Pradze odczyt o działalności wymienionych wyżéj stowarzyszeń narodowych, pozwolę więc sobie z téj prelekcyi przytoczyć dosłownie następujące wyjątki:

„W niemieckim „Böhmerwaldbund“ doszliśmy z wielkim trudem do 45 grup miejscowych; Czesi mają ich przeszło cztery razy więcéj, t. j. 200 w swojéj *Pošumavská jednota*, choć nie zwracali się ani do Wiednia, ani do Linzu. Gorliwość Czechów jest istotnie zdumiewająca, jeżeli się weźmie na uwagę, że przed czterema tygodniami mieli tylko 170 stowarzyszeń miejscowych i że w tym krótkim czasie przybyło ich 30. Gdy oni posiadają w jednym tylko okręgu Volyńskim 12 czeskich stowarzyszeń miejscowych, my posiadamy

w całych zachodnich i północnych Czechach tylko 9, wyraźnie dziewięć, a doliczywszy do nich 2 w Pradze,—11. Do tego winienem dodać, że Czesi mają w trzech okręgach (1) po 7 stowarzyszeń miejscowych, w 7 okręgach po 6, a w wielu innych po 3 lub po 2. Czesi ogłaszają ciągle w swoich dziennikach obfite składki, a my musimy milczéć, żeby sobie nie wystawić świadectwa ubóstwa. Czesi mają 84 członków-założycieli swego stowarzyszenia, wnoszących po 100 złr., my posiadamy tylko 6 członków téj kategoryi. Między temi 84 członkami-założycielami liczą Czesi 29 korporacyi, a mianowicie reprezentacye okręgowe, gminy, kasy oszczędności, kasy zaliczkowe i inne stowarzyszenia. Czesi mają w swoich stowarzyszeniach wielu członków, płacących rocznie od 10 do 5 złr.; my posiadamy jednego członka wnoszącego 10 złr., a kilku zaledwie płacących 5 złr. W swojéj „Ustředni matice škol. skà“ mają Czesi 22,574 członków, 181 stowarzyszeń miejscowych; w 1884 roku osiągnęli dochodu 210.928 złr.; liczą 112 członków-założycieli składających po 500 złr., 1254 płacących po 100 złr., 1159 rzeczywistych członków ze składką roczną 10 złr. i 1951 opłacających rocznie po 5 złr. Czesi rozdali już w swojéj *Pošumavská jednota* 18 stypendyów wynoszących rocznie po 2520 złr.,—my dopiero 2 po 600 złr. Czesi wyznaczyli 500 złr. wsparcia jednemu dusz-pasterzowi czeskiemu, my w tym kierunku nie robimy nic, jakkolwiek potrzeba nam niemieckich dusz-pasterzy. Ale Czesi prześcigają nas nietylko w rzeczach pieniężnych, są o wiele ruchliwsi i pod innym względem: mianowicie podczas ostatnich świąt Bożego narodzenia *uszczęśliwili* (sic) 36 miejscowości Lasu Czeskiego wędrownemi nauczycielami z Pragi, Pilzna i Kolina. Nasz *Böhmerwaldbund* wyprawił w tym roku z trudnością 4 nauczycieli wędrownych.“

Jest u nas wielu ludzi, którzy dają się łatwo ukołysać zaspakajającemu uczuciu pewności tryumfu wobec takich świadectw naszych przeciwników i zgoła o tém nie wątpią, że Czesi muszą jako zwycięzcy wyjść z walki, która między niemi a ich niemieckiemi ziomkami doszła w ostatnich czasach do takiéj gwałtowności, że możnaby ją nazwać walką nieledwie na śmierć lub życie. Ja nie mogę poddać się bezwarunkowo takiemu uczuciu i uważam za odpowiedniejsze celowi spokojnie rozważać wszystko, co jest możliwém, ażeby być przygotowanym na wszelkie ewentualności.

Z jednéj więc strony mam zaspakajające przekonanie, że zapasy, w których walczymy, są sprawiedliwe, bo jest to walka samozachowawcza, walka o byt narodowy ludu czeskiego, zatém walka

---

(1) Okręgi polityczne administracyjne.

o dobro, do którego każdy naród, każde państwo ma naturalne, nie podlegające sporowi prawo. Celem naszéj walki nie jest ani przemoc, ani podbój, nie chcemy ani ujarzmiać, ani wynaradawiać żadnego narodu, chcemy sobie tylko zdobyć rzeczywiste prawo utrzymania w państwie austryackiém naszéj odrębności narodowéj i miéć zabezpieczone warunki życia narodowego, bez troski i bez żadnego ograniczenia.

Według idealnego nieco, albo raczéj chrześciańskiego, czy téż humanitarnego na świat poglądu, możnaby wierzyć, że osiągnięcie celu, do którego wyłącznie i jedynie dążymy, nie może być tak trudném. Możnaby mniemać, że w Europie, w tym centralnym punkcie tak zwanéj cywilizacyi, wszystkie tak zwane narody kulturowe, musiały przynajmniéj w tém dojść do jasnego pojęcia, co właściwie stanowi cywilizacyę ludzką, na czém duchowy postęp ludzkości polega, a zatém do jakich celów zdążać muszą narody, które rzeczywiście chcą zasłużyć na nazwę narodów cywilizowanych i krzewicieli kultury. Możnaby przypuszczać, że czasy, kiedy nie istniały żadne prawa, kiedy czynami ludzkiemi nie kierowały żadne zasady humanitarne, lecz tylko siła brutalna, która na każdą potrzebę tak zwane prawa tworzyła, aby je potém znów podeptać, że takie czasy barbarzyństwa daleko już po za nami zostały. Możnaby wierzyć, że moralność chrześciańska: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło“, takiego już znaczenia nabrała w świecie chrześciańskim, że powinnaby miéć wpływ rozstrzygający na stosunki międzynarodowe ludów i państw chrześciańskich. Należałoby przypuszczać, że zasady tak zwanego humanitaryzmu, według których utrzymanie i pielęgnowanie życia pojedyńczych osobników winno być otoczone wszelkiemi możliwemi względami i pieczołowitością, według których uważa się za barbarzyństwo zabijanie słabych dzieci i ułomnych starców, mogłyby być również zastosowane do pielęgnowania życia całych narodów, że zatém nie może być pozwoloném żadnemu narodowi choćby materyalnie najsilniejszemu, najpotężniejszemu, a duchowo najwyżéj stojącemu, jedynie z samowoli wykreślać z liczby żyjących imię innego narodu. Możnaby mniemać, że tak zwane nowożytne idee: wolności, równości i braterstwa nie są przecież pustemi słowami bez wszelkiego znaczenia praktycznego, lecz stanowią ogólne duchowe mienie całéj ludzkości, do którego każdy naród może swoje skromne rościć pretensye. Możnaby przypuszczać, że w chrześciańskiéj cywilizowanéj Europie XIX stulecia wszędzie już powinna była przeniknąć zasada, że niema zarówno między jednostkami jak między narodami urodzonych tyranów i urodzonych niewolników, ale że drogi swobodnego rozwoju i możność zdobycia sobie rów-

nych praw i równego znaczenia muszą stać otworem dla każdego narodu, jako przyrodzone jego prawo.

Gdybyśmy liczyć mieli na potężny wpływ takich idei (a nie przeczę bynajmniéj, że nań po części liczymy), w takim razie nie mielibyśmy potrzeby lękać się o rezultat naszéj walki narodowéj. Niestety jednak, w rozwoju humanitarnym europejskiéj powszechności nastąpiło niepokojące cofnięcie się ze strony tego właśnie narodu, który sądzi, że stoi obecnie na czele narodów europejskich. Dawniejszy kierunek humanitarny narodu niemieckiego, tego narodu myślicieli i filozofów ustąpił w nowszych czasach przed wojowniczym szowinizmem, a hasło jego moralności publicznéj zawiera się w słowach: *siła stwarza prawo*. Czy słowa te wymówił i uświęcił Bismarck, jest w gruncie rzeczy obojętném,— idzie głównie o to, że postępuje się według nich. Samolubstwo narodowe w najostrzejszéj formie nastąpiło po dawniejszym kosmopolityzmie humanitarnym. Potęga i wielkość cesarstwa niemieckiego, panowanie Niemców—oto polityczne *credo* nowożytnych patryotów niemieckich; prawa innych narodów, nie wykluczając prawa do istnienia pogardliwie przez nich nazywanych „narodków", są to rzeczy, których, wobec wzniosłego celu, t. j. rozszerzenia własnéj potęgi, nie mogą brać na uwagę. Tém się téż tłómaczy najnowsze przekształcenie masoneryi niemieckiéj.

Istnienie narodu czeskiego jest zasadniczą przeszkodą na drodze do urzeczywistnienia wielko-niemieckich planów i nienawistnym kamieniem obrażenia przy tworzeniu wielko-niemieckiego dzieła narodowego. Więc próbowano w obozie niemieckim po prostu zaprzeczyć rzeczywistemu istnieniu narodu czeskiego, rozwojowi własnéj czeskiéj literatury narodowéj i przedstawić wszystko, co naród czeski może wykazać na polu duchowém, jako importowane z Niemiec, jako pracę niemieckich krzewicieli kultury. W tym celu trzeba było przedewszystkiém podać w wątpliwość autentyczność królodworskiego rękopisu, a to i owo co najmniéj z góry ignorować. Gdy to wszystko nie pomogło i naród czeski wydźwignął się do znaczenia narodowego i politycznego, wzięli się do propagowania w najbrutalniejszy sposób wojny, tępiącéj niewygodny dla wielkoniemieckich planów naród czeski i do rozniecania przeciwko Czechom fanatycznéj nienawiści rasowéj nietylko w Niemcach czeskich, ale w całym wielkim narodzie niemieckim. Każde narodowe dążenie Czechów przedstawiane jest jako krzywda wyrządzona narodowi niemieckiemu, a Niemcy czescy, bynajmniéj nie zagrożeni w swojém życiu narodowém ani ze strony rządu austryackiego, ani ze strony Czechów, odgrywają rolę upośledzonych dzieci cesarstwa niemieckiego i uważa się za narodowy obowiązek narodu niemieckiego wy-

zwolić te nieszczęśliwe dzieci z ich ciężkich cierpień, a niegodziwych Czechów ukarać należycie za wyrządzaną im krzywdę.

W chwili, gdy piszę te słowa (21 i 22 lipca), odbywa się właśnie w Dreznie ogólno-niemiecka uroczystość gimnastyków. Samo z siebie rozumie się, że na ten festyn zaproszone zostały i przybyły stowarzyszenia gimnastyczne niemieckie z Austryi, a zatém i z Czech. Gdyby gdzieś w Rosyi była urządzona ogólno-słowiańska uroczystość gimnastyków, a czeskie stowarzyszenia „Sokoła“ chciały w niéj przyjąć udział, możeby rząd austryacki uznał taki udział za zbyteczny lub niestosowny i miał coś przeciw niemu do nadmienienia. Jeżeli zatém nie uczynił tego względem zjazdu niemieckich gimnastyków w Dreznie, to dla każdego nieuprzedzonego badacza stosunków austryackich będzie to dowodem, jak Niemcy austryaccy uciskani są pod względem narodowym. Pragnąc wykazać, jakie znaczenie dla Austryi mają takie zjazdy gimnastów niemieckich, pozwolę sobie nadmienić co następuje.

Kiedy austryacko-niemieckie stowarzyszenia gimnastyczne przyjechały swoim własnym pociągiem do pogranicznéj stacyi austryackiéj, Podmokli, skąd pociąg saski miał je daléj wieźć do Drezna, zarząd kolejowy saski chciał dla nich okazać uprzejmość i przyozdobić świątecznie przeznaczoną do pociągu lokomotywę. Jedlina i chorągwie stanowią, jak wiadomo, materyał do takich ozdób. Sasi więc sądzili, że robią stosownie i odpowiednio do przyjaznych sąsiedzkich stosunków między obu cesarstwami, wywiesiwszy na lokomotywie przy większych chorągwiach niemieckich dwie mniejsze czarno-żółte flagi austryackie. Ale rozsądny saski zarząd kolejowy nie dość w tym razie uwzględnił anty-austryackie usposobienie dziarskich niemieckich gimnastów z Czech, w czém oświecił go dopiero następujący epizod. Gdy kilku niemieckich gimnastów z Czech spostrzegło czarno-żółte flagi austryackie na lokomotywie saskiéj, owładnęło dzielnemi młodzieńcami z nieprzepartą siłą uczucie, jakiego doznaje byk na widok czerwonéj chusty, rzucili się na lokomotywę, zerwali z niéj flagi austryackie, podarli je na strzępy i podeptali nogami, przyczém, widocznie dla odróżnienia się od byków, wydali z siebie kilka ludzkich odgłosów, mniéj więcéj téj treści: „Jesteśmy Niemcami, nie Austryakami.“ Ten pośpieszny nieco sposób postępowania kilku nierozważnych młodzików, którzy, widocznie niepowołani, urządzili taką anty-austryacką demonstracyą wielko-niemiecką, był może niezupełnie przyjemnym dla rzeczywistych przywódców politycznych ultra-narodowców niemieckich w Czechach, bo tym sposobem cała taktyka zbyt jawnie wyszła na wierzch, a pp. dr. Knotz, Strache *e tutti quanti*, którzy również jechali z gimnastami

do Drezna z Czech niemieckich, w celu wypowiedzenia tam politycznych mów i nadstawiania się do pieszczot, jako upośledzone dzieci musieli być ostrożniejszemi w swych mowach i zasłonić trochę karty tak nieopatrznie odkryte. Powiedziano jednak i tak dosyć (Strache z Warnsdorfu w Czechach oświadczył bez ceremonii: „Względem naszego cesarza austryackiego spełniamy obowiązki, cesarza niemieckiego i jego kanclerza szanujemy i kochamy“), mianowicie do Czechów wzięto się znów ostro, ogłaszając ich za wyklętych jako dziedzicznych wrogów Niemców, przeciwników wszelakiéj prawdziwéj cywilizacyi i ludzkiéj kultury, co naturalnie znaczy, że jest obowiązkiem narodowym każdego prawdziwego Niemca w Czechach, nienawidziéć z całéj duszy Czechów i narodowym ich dążeniom brutalną przeciwstawić siłę. Możemy się więc spodziewać, że zrywanie czeskich napisów i szyldów w miejscowościach niemieckich, wypędzanie ztamtąd czeskich robotników i służących, odbieranie roboty rzemieślnikom czeskiéj narodowości, systematyczne prześladowanie urzędników, nauczycieli i duchownych, którzy, jakkolwiek urzędujący w niemieckich miejscowościach, nie chcą wyprzéć się swéj narodowości czeskiéj, nakoniec znieważanie pojedynczych Czechów pokazujących się tam przypadkowo, słowem, że narodowa partyzantka przeciwko Czechom w niemieckich częściach Czech, z nową energią będzie prowadzoną, że z téj partyzantki wywiąże się formalna wojna rasowa, w któréj naród niemiecki z całą swoją zbrojnością będzie musiał wystąpić, celem rozstrzygnięcia nareszcie walki według swych pragnień (1).

---

(1) Następujące fakta niech służą za ilustracyę tych stosunków:

1. W sprawie, toczącéj się 21—23 lipca r. b. przed sądem w Jičinie przeciw Robertowi Schmidtowi, lat34, cieśli, Józefowi Riedlowi, lat 20, czeladnikowi rzeźniczemu, Janowi Helligemu, lat 41, gospodarzowi oberży, akt oskarżenia jest takiéj osnowy:

„W dniu 13 listopada 1884 założona została w Arnau (w pólnoc. wschod. Czechach) czytelnia czeska „Čtenářská beseda.“—21 grudnia 1884 r. w lokalu hotelowym Henryka Bürgla w Arnau, odbyła się z powodu założenia tego stowarzyszenia uroczystość otwarcia, w któréj przyjmowali udział oprócz członków stowarzyszenia z Arnau, obcy goście ogółem do 60 osób.—Kiedy członkowie stowarzyszenia „Čtenářskiéj besedy“ odbywali ten obchód, zebrało się około wpół do 11 godz. wieczorem w tymże domu, w pokoju z drugiéj strony sieni położonym i urządzonym na bufet, jak również w saméj sieni i przed domem do 200 osób narodowości niemieckiéj, które dawały folgę swemu gniewowi z powodu uroczystości otwarcia stowarzyszenia czeskiego, w słowach: „czeskie psy, czeska chałastra“ itp.—Jednym z pierwszych, który wyraził chęć wtargnięcia do lokalu, gdzie odbywała się uroczystość, był Gustaw Rückmilch; wołał on przed oberżą Henryka Bürgla: „My tam wejdziemy.“ Kilku innych chciało dostać się do lokalu, w którym znajdowali się członkowie stowarzyszenia, pod pozorem że jestto zwykły szynk i że oni chcą tam także napić się piwa. Oberzysta, H. Bürgel bronił im wstępu, oświadczając, że

„Gazeta Reichenberska,“ jeden z głównych organów ultra-narodowców w Czechach, otwarcie to przepowiada, gdyż oto co pisze o zjeździe gimnastów niemieckich w Dreznie:

„Nasi bracia w cesarstwie uważają nas jako upośledzone dzieci rodziny niemieckiéj, które nieszczęśliwa wojna 1866 r. rozdzieliła politycznie ale nie narodowo. Uroczystość zbratania między Niemcami cesarstwa i Niemcami austryackiemi nie przejdzie bez trwałych następstw. Dziś przecie nie ulega wątpliwości, że w walce którą toczymy o utrzymanie naszego języka i obyczaju, stoją za nami całe Niemcy; a jeżeli my, Niemcy czescy, znajdujemy się w pierwszéj potyczce przeciwko odwiecznemu, niezmordowanemu wrogowi wszystkiego co niemieckie, to za nami stoi w zwartym szeregu, na wszelki wypadek gotowa do pomocy, rezerwa potężnego i zjednoczonego lu-

---

się tam teraz znajduje zamknięte towarzystwo; i prosił cisnących się, żeby weszli do przeciwległego lokalu zamienionego na piwiarnię. Robert Schmidt odrzucił tę propozycyą gospodarza, wołając „my chcemy tam wejść!“ Ale Bürgel stał przededrzwiami i nie pozwolił wejść nikomu. – Podczas tych rokowań z gospodarzem, wzrastało wzburzenie między zebranemi przed domem Niemcami, i jak to się zwykle dzieje w podobnych wypadkach, objawiało się coraz gwałtowniejszemi obelgami, rzucanemi na członków stowarzyszenia czeskiego. Robert Schmidt, chcąc widocznie podburzyć do wtargnięcia przemocą, zawołał z podniesionemi rękami do zgromadzonego tłumu: „Tylko śmiało na nich!“ Świadkowie tego są wymienieni. W tym wykrzyku akt oskarżenia widzi przestępstwo podburzania do gwałtu publicznego. Wezwanie Schmidta do napaści na lokal pozostało jednak bez skutku.—Wtedy Schmidt zawołał do stojących przed domem, ażeby zerwali tablicę z napisem czeskim „Čtenářská beseda,“ umieszczoną nad drzwiami wchodowemi domu. Jan Stiller i Edward Kahn próbowali to zrobić, ale im przeszkodził gospodarz Bürgel w wykonaniu tego zamiaru. Nareszcie, część zgromadzonego przed domem tłumu udała się do tymczasowéj piwiarni w sieni a z nią Schmidt i Riedel. Tu odezwał się Riedel do Schmidta, ażeby stanął na czele szturmu do lokalu stowarzyszenia czeskiego. Schmidt nie usłuchał téj namowy, bo tymczasem zjawiła się policya, ażeby czuwać nad utrzymaniem porządku publicznego i spokojności, a w końcu przybył i burmistrz; tłum rozszedł się i oberża została zamkniętą koło 11 w nocy.—Dnia 22 grudnia 1884 r. koło godziny 2 po połud. przyszedł do oberży H. Bürgla, gdzie właśnie znajdował się dyrektor stowarzyszenia „Čtenářská beseda,“ Frańciszek Kazda, ten sam R. Schmidt, a z nim Jan Hellige i kilku innych. Fr. Kazda powitał wchodzących czeskiém pozdrowieniem: „Má ucta!“ na co Jan Hellige odpowiedział: „Má ucta basamateremtete! My ci damy Má ucta! po pysku.“ Fr. Kazda oddalił się. R. Schmidt i jego towarzysze zasiedli do piwa a świadkowie słyszeli łajanie: „Psy czeskie, motłoch czeski“. R. Smidt wołał: „My nie ścierpimy tego, żeby w Arnau istniała czeska Beseda. Jeżeli tylko przyjdzie taki czeski pies, to mamy porozstawiane straże i zaraz go wypędzimy—nie wejdzie tu żaden Czech!“ J. Hellige krzyczał także: „Arnau jest naszém; nie będzie w niém żadnéj Besedy; już my tego dopilnujemy.“ Na to jest kilku świadków.—Potém R. Schmidt mówił, widocznie w celu rozdraźnienia H. Bürgla, że on z Helligem kupią dynamitu i besedę w powietrze wysadzą; że ma u kogoś pieniądze, 1400 złr., odbierze je i odda Helligemu, który kupi oberżę H. Bürgla i w powietrze ją wysadzi: J. Hellige podał Schmidtowi rękę na znak zgody, mówiąc. „Tak, ku-

du niemieckiego. Przy tém moralném poparciu podają nam dziś Niemcy silne ramię do krzepienia i podtrzymania ducha niemieckiego. Sieć licznych miejscowych filii niemieckiego stowarzyszenia szkolnego rozpostarta jest po całéj Saksonii i wkrótce ogarnie całe Niemcy.“

Niemieckie stowarzyszenie szkolne! Wszakże o niém mówią ciągle Niemcy, że stoi zdala od spraw politycznych i że jedynym jego celem jest utrzymanie zagrożonéj narodowości niemieckiéj. W rzeczywistości to stowarzyszenie ma na celu zakładanie szkół niemieckich nawet tam, gdzie sam rząd postępując według praw obowiązujących, zakładać ich nie może z powodu braku dzieci niemieckich; główne zaś jego zadanie—to germanizacya, któréj obecny rząd austryacki również nie uważa już za punkt kardynalny swojéj polityki wewnętrznéj.

---

pimy dynamitu.“ Przytém wszyscy obecni hałasowali uderzali szklankami w stół i oddalili się dopiero o 4 g. popołud., *mimo interwencyi policyi, którą wezwał H. Bürgel do przywrócenia porządku.*— Postępowanie R. Schmidta i J. Helligego wydało téż wkrótce złe owoce.—Wieczorem tego samego 22 grudnia przyszli do H. Bürgla robotnicy czescy Antoni Hlavatý, Antoni Hurka i Józef Mahrle i pili piwo. Wkrótce potém przybyli robotnicy niemieccy Józef Hawel, Antoni Gottwald, Gustaw Geznert, Józef Richter, Gustaw Hackel, Gustaw Kraus i inni, żądali piwa, hałasowali, uderzali kuflami w stół, łajali i krzyczeli ostentacyjnie: „Nie ścierpimy u nas czeskiéj hałastry!“—Józ. Hawel i Gust. Hackel przystąpili do H. Bürgla i powiedzieli doń, jak on sam świadczy: „Nie chcemy u ciebie znosić czeskiéj hałastry; będziem do ciebie zawsze przychodzić i wypędzać hałastrę czeską.“ Mówiąc to Józ. Hawel podarł leżące na stole dzienniki czeskie. Tumult trwał do 10 godz. poczém hałasujacy goście oddalili się z oberży.—26 grudnia ponowiły się te hałaśliwe sceny i tym razem przyszło do zajść czynnych. Gromada robotników niemieckich, na czele których stał Fryderyk Fischer, wtargnęła przemocą do lokalu stowarzyszenia „Čtenářska beseda“ i poturbowała obecnych tam członków, przyczém kilka osób poniosło na ciele mniéj więcéj ciężkie obrażenia.“—Tyle w urzędowym akcie oskarżenia, którego skromne miejscami brzmienie umyślnie zachowałem, ażeby czytelnik sam sobie dopełnił obraz nieśmiało wskazanéj sytuacyi.—Okręg sądowy Jičiński, należy według narodowości do mięszanych, a przy wylosowaniu przysięgłych, Niemcy znaleźli się w większości. To téż wszyscy oskarżeni zostali uwolnieni.

2. Mała próbka stylu dziennikarstwa niemiecko-narodowego. „Gablonzer Zeitung“ pisze: „Na piątkowym targu, wśród stosów ogórków i główek kapusty czeskich przekupniów, stała fura, któréj powierzchowność miała na sobie wyraźne ślady niedawno uskutecznionego transportu guana, i z któréj wnętrza wyglądała pewna ilość jarzyny, nazwanéj podobno przez Franciszka Drakego „brambori“ [czeska nazwa kartofli]. Nie byłoby w tém nic nadzwyczajnego, bo wozy gnojowe naładowane kartoflami przychodziły już do nas często z „czeskiego kraju.“ Ale do wozu przyczepiona była tablica z następującym napisem: „Jan Bernard, Rychnov, cis. 80,“ co poniemiecku znaczy: „Jan Bernard, Reichenau, N. 80.“ Ten Jan Bernard jest proboszczem w niemieckiéj na wskróś miejscowości [„Na wskróś niemieckiéj“ jeżeli się ignoruje mieszkających tam Czechów], zaledwie o godzinę drogi odległéj od Gablonz, i ten człowiek ma czoło swoje produkta

Jeżeli streścimy to wszystko, co tu wyłożyłem, to okaże się następujący rezultat.

Waśń narodowa między Niemcami a Czechami dosięgła w Czechach niepokojącego punktu i mimo wszelkie, *ciągle* z naszéj strony ponawiane propozycye pojednania, popychana jest przez Niemców do jakiegoś gwałtownego rozstrzygnięcia, którego ostatecznym celem ma być wytępienie narodu czeskiego. Morawia ma być dla tego tylko trzymana w więzach germanizacyi, ażeby Czechów odosobnić a w końcu pochłonąć. W tym celu, dawniejsza, austryacka jeszcze, dążność niemieckiego stronnictwa konstytucyjnego musi ustąpić wyłącznie narodowéj, to jest kierunkowi wielko-niemieckiemu, z zupełném poświęceniem Austryi. Wobec tych, otwarcie już występujących dążności, możemy wprawdzie ściśle zjednoczoném postępowaniem, i natężoném skupieniem całéj narodowéj siły ludu czeskiego

---

gospodarskie pod firmą czeską do niemieckiego Gablonzu posyłać i zbywać je tu za pośrednictwem swojéj, naturalnie, czeskiéj kucharki! Ksiądz, który ma powierzone duszpasterstwo w miejscowości niemieckiéj, nie wstydzi się przyczepiać demonstracyjnie do fury z kartoflami swoich czeskich opinij! Zaiste, my Niemcy godni jesteśmy pożałowania, nie dla tego że czescy duchowni publicznie chełpią się swoim husytyzmem, ale że niemiecki kler, z małemi wyjątkami nie idzie tak ręka w rękę ze swoim ludem, jak czescy fanatycy swego wyznania."

3. Fakt charakterystycznego znaczenia. Czeskiemu proboszczowi Nyklíčkowi w Trutnowie wytruto chlorkiem wapna wszystkie pstrągi w strumieniu. Niemiecki „Tygodnik Trutnowski" wyraża jawnie swoje zadowolenie z téj udatnéj psoty.

4. Prazki „Politik" podaje w wydaniu wieczorném z 24 lipca r. b. następującą korespondencyę z Reichenberga: „Do jakiego stopnia doszedł upadek moralny „Gazety Reichenberskiéj" i jéj stronników, tak zwanéj partyi, posiadającéj „pieniądze i ukształcenie," pokazuje artykuł jéj zamieszczony 19 lipca 1885 r. w N. 167 pod tytułem: „Czesi w Reichenbergu". Artykuł ten napada podszczająco na stowarzyszenie kobiece „Karolina Světlá," założone przez tutejszych Czechów jedynie z pobudek własnéj obrony. To stowarzyszenie powstało z powodu, że tutejsze niemieckie „Stowarzyszenie wspomagania ubogich położnic" odmówiło wszelkiéj pomocy położnicom czeskim i ponieważ tak to stowarzyszenie jak również niemieckie stowarzyszenie „Żłobek" (*Krippe*) nie chciało przyjąć czeskich kobiet na członków i odrzuciło ofiarowane przez nie składki. Wobec takich okoliczności tutejsze kobiety czeskie postanowiły założyć stowarzyszenie „Karolina Světlá" celem wspomagania ubogich czeskich położnic i dzieci. I to właśnie nie przypada do smaku „cywilizowanym" Reichenberczykom; z jednéj strony pogardzają czeskiemi pieniędzmi na zapomogę biednym, odbierają ubogim położnicom czeskim potrzebną pomoc, a kiedy kobiety czeskie decydują się zrobić to, co właśnie jest potrzebném, stawia im się zarzut, że dążą do odebrania miastu Reichenbergowi jego czysto niemieckiéj cechy. Humanitarny wiek XIX tworzy stowarzyszenia celem wspierania rannych wojowników,—bez względu na to, czy niemi będą przyjaciele czy wrogowie—a tak zwana „niemiecka metropolia Czech" powstaje przeciwko stowarzyszeniu wspomagającemu ubogie dzieci czeskie! Czy tém chcą tutejsi Niemcy dowieść swéj cywilizacyi i duchowéj wyższości? Zaiste godni pożałowania pionierowie niemieckiéj kultury!"

Wszystko to, mojém zdaniem nie potrzebuje żadnego komentarza.

utrudniać Niemcom urzeczywistnienie ich niemiecko-narodowych planów, ale stanowcze rozstrzygnięcie pozostaje w rękach wielkiéj polityki europejskiéj, po któréj tylko możemy się spodziewać, że nie wystąpi przeciw Austryi, a więc i nie zwróci się przeciw nam.

Mówiąc wszakże o potrzebie jedności i zgody w naszym obozie narodowym, jako o niezbędnéj konieczności w tak ciężkich dla nas czasach, nie mogę nie wspomnieć o przeszkodach, które ma do zwalczenia we własném łonie naród czeski, a mam tu na myśli przedewszystkiém działalność człowieka, którego nazwisko zawsze będzie powtarzane w dziejach naszych narodowych walk, ale którego działalność musi być stanowczo potępioną przez bezstronną historyę tych walk. Tym człowiekiem jest dr. Juliusz Grégr, właściciel prazkiego dziennika „Narodni listy.“

Człowieka tego należy oddzielić od jego pisma, jeśli go się chce słusznie osądzić; trzeba go oddzielić od tak zwanych „młodych Czechów“, bo Grégr odgrywa w naszym narodowym obozie rolę jaknajbardziéj osobistą. „Narodni listy“ mają kilku utalentowanych współpracowników, których cenne artykuły spożytkowywane są przez właściciela gazety w celu podtrzymywania jéj dziennikarskiéj wartości, a między „młodo-Czechami“, o ile ci mogą miéć znaczenie, jako radykalniejszy odłam czeskiéj partyi narodowéj, są prawe charaktery, których nie należy utożsamiać z zupełnie osobistemi dążeniami dra Grégra.

. . . .

Silny terroryzmem i ostracyzmem dziennikarskim, wprowadzonym do swojéj gazety, dr. Grégr, jak prawdziwy uzurpator, stał się winnym gorszącego nadużycia władzy, którą mu do rąk oddano, co mu tém bardziéj musiało odjąć powagę ukształconych i rozważnych ludzi, że wywierał ten terroryzm i ostracyzm w sposób jaknajbardziéj bezwzględny, rzucając obelgi i podejrzenia na wszystkich, którzy nie chcieli poddawać się bezwarunkowo jego uzurpatoskiéj wielmożności. „Narodni listy“ dr. Grégra doprowadziły naród czeski do zupełnéj obojętności na gazeciarskie łajania, a historya dziennikarstwa czeskiego nie podziękuje kiedyś temu człowiekowi, że tego dokonał i że tym sposobem dotkliwie zaszkodził godności i znaczeniu tak ważnego czynnika w życiu polityczném.

Do czego zaś posunąć się może człowiek, kierujący się tylko interesem osobistym i osobistą ambicyą, dowodzi przymierze d-ra Grégra z naszemi wrogami narodowemi. Dr. Juliusz Grégr stoi ze swoim dziennikiem na nieprzyjaznem stanowisku względem „klubu czeskiego“ w wiedeńskiéj radzie państwa, a zatém względem posłów narodu czeskiego, i ilekroć chodziło tam o stanowcze działanie, tyle

razy był po stronie niemieckiéj lewicy i skutecznie ją popierał. Przytém wykonywa najdziwniejsze polityczne skoki, które mniéj roztropnym czytelnikom jego dziennika miały dowodzić, że on sam w każdéj potrzebie ma najbardziéj na sercu cześć i znaczenie narodu czeskiego, jak np. kiedy w swojéj gazecie proponował na seryo, ażeby naród czeski wysłał delegata na zjazd cesarzów do Skierniewic.

Wszystko to tém tłómaczą, że dr. Grégr, nie wiedząc co czyni, przystał do masonów niemieckich i teraz jakoby słucha ich komendy. Istotnie, to wyjaśniłoby wiele rzeczy, a nie jest nieprawdopodobném, gdyż wiadomo, że i dr. Sladkowski dał się przez masonów zwerbować. Prawda, że między Sladkowskim a Grégrem wielka zachodzi różnica; Sladkowski bowiem był prawdziwym charakterem i rzetelnym patryotą czeskim, który, gdy wystąpiła na jaw wroga nam dążność wolnomularzy niemieckich, robił wszystkie wysiłki, żeby się z pod ich wpływu wydostać; gdy tymczasem dr. Grégr jest tylko pospolitym samolubem, dla którego dobre są wszystkie środki, pozwalające mu osiągnąć jego osobiste cele.

Gwiazda d-ra Juliusza Grégra zaczyna już blednąć. Ostatnie wybory do rady państwa (w końcu maja i na początku czerwca) dowiodły wszystkim jego dotychczasowym zwolennikom, że jego sztandar nie prowadzi do zwycięstwa. Wielkie, coraz bardziéj jednolite stronnictwo narodowe, na czele którego stoi dr. Rieger, ma oprócz niemieckiego „Politika“, dwa, bardzo dobrze redagowane organa czeskie, „Pokrok“ i „Česká Politika“, które w ostatnich czasach usiłowały z powodzeniem przedstawić we właściwém świetle szkodliwą pod każdym względem i antynarodową działalność d-ra Grégra. Dr. Grégr, jak istny uzurpator, liczył zawsze tylko na ograniczone umysły mas i nie ujdzie zwykłego, zasłużonego losu podobnych uzurpatorów.

Dr. Gabler.

PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA.

(Outlines of Psychology by James Sully).

W ciągu ostatnich lat trzydziestu psychologia uległa zupełnemu przeobrażeniu. Ze służebnicy, niewolniczo kroczącéj śladami metafizyki i zmieniającéj swą postawę stosownie do systematu, w którego służbie zostawała—stała się umiejętnością niezależną, opartą na podstawach trwałych i ściśle oznaczonych. Zamiast, jak dotąd, zajmować się duszą ludzką i gubić w scholastycznych subtelnościach, dotyczących jéj istoty, usiłuje ona zbadać zjawiska umysłowe, tak jak one same podają się wewnętrznéj i zewnętrznéj obserwacyi, bez wszelkiéj troski się o to, co się po za temi zjawiskami kryje.

Wyzwolenie swe zawdzięcza psychologia głównie naukom przyrodniczym, które, wykazawszy ścisły związek między czynnościami umysłowemi a sprawami cielesnemi, dowiodły tém samém, że abstrakcyjne rozważanie umysłu za pomocą saméj tylko wewnętrznéj obserwacyi do niczego zgoła nie prowadzi. Jakoż od téj chwili, gdy do badań nad umysłem została zastosowana metoda zewnętrznéj obserwacyi i doświadczenia, psychologia postąpiła w krótkim przeciągu czasu tak daleko, że obecnie jest ona o tyleż ścisłą w swych zasadniczych twierdzeniach, ile każda inna umiejętnośc. Odtąd stała się ona nauką doświadczalną, która czerpie wskazówki dla siebie nie w metafizyce, ale w naukach biologicznych, a szczególniéj w fizyologii. Zapatruje się ona na zjawiska umysłowe, jako na objawy życia w ogóle, i w zasadniczych prawach życia szuka klucza do wyjaśnienia owych zjawisk. Z tém wszystkiém, nie zaciera różnicy, jaka zachodzi między czynnością umysłową, a sprawami cielesnemi, i nigdy nie traci z oczu właściwego im charakteru. Uznając wzajemną zależność ciała i umysłu, stara się ona zbadać każdy szczególny

objaw umysłowy w związku z innemi tegoż rodzaju objawami, oraz z towarzyszącemi mu zjawiskami fizyologicznemi. W ten sposób, określa warunki jego powstawania i dochodzi powoli do uogólnień, które pozwalają jéj sformułować prawa, jakiemi się rządzą czynności umysłowe w ogóle. Stąd indukcya odgrywa w niéj tak ważną rolę, jakkolwiek nie gardzi ona i dedukcyą, która, właściwie użyta, oddaje nieocenione usługi, pozwalając jéj zastosowywać prawdy ogólne do pojedyńczych wypadków.

Badania psychologii doświadczalnéj dadzą się sprowadzić do trzech kierunków, odpowiednio stanowisku, z jakiego zapatrują się na sprawy umysłowe:

a) Kierunek abstrakcyjny. Wychodząc z założenia, że świadomość jest zjawiskiem swego rodzaju, dostępném tylko wewnętrznéj obserwacyi, kierunek ten wymaga, ażeby wszelkie badania psychologiczne opierały się na faktach obserwacyi wewnętrznéj, gdyż w nich jednych leży klucz do wytłómaczenia faktów, jakich dostarczają obserwacya zewnętrzna i doświadczenie.

b) Kierunek fizyologiczny. Ten, odrzucając, za przykładem Kanta i Comte'a obserwacyę wewnętrzną, jako złudzenie, posługuje się w swych badaniach wyłącznie obserwacyą zewnętrzną i doświadczeniem, gdzie takowe jest możliwém. Nie zajmuje się on więc analizą faktu umysłowego, lecz przyjmując go całkowicie, jak go znajduje w świadomości, bada on jego warunki fizyologiczne i tą drogą stara się wykryć pierwiastki jego składowe.

c) Kierunek rozwojowy. Przedmiotem psychologii rozwojowéj jest embryologia umysłu. Chodzi w niéj nie tyle o przyczynowy związek stanów świadomości i warunki ich fizyologiczne, ile o to, ażeby zbadać, jak w rozwoju postępowym żyjących organizmów urabiały się pod wpływem otoczenia wszystkie te różnorodne czynności umysłowe, które w najniższych zwierzętach dają się zaledwie domyślać, a które w człowieku wykształconym dochodzą do najwyższego stopnia rozwoju.

Trzy te kierunki badań psychologicznych, jakkolwiek uprawiane są z osobna, uzupełniają się wzajemnie. W każdym razie punktem wyjścia dla nich są dane psychologii abstrakcyjnéj.

Badania te, zawarte w dziełach ściśle naukowych, takich jak: Bain'a, Spencera i Wundt'a, lub w monografiach, bądź oddzielnie wydawanych, bądź pomieszczanych w różnych czasopismach — są w ogóle niedostępne dla szerszéj publiczności. Nie łatwo w nie się zaopatrzéć, a następnie, czytanie ich wymaga pewnego przygotowania naukowego. Dla tego téż powszechnie dawał się uczuwać brak dzieła, któreby, podając w zsumowaniu ostateczne wypadki psycho-

logii, ułatwiało czytelnikom bliższe zapoznanie się z jéj zadaniem i głównemi założeniami. Wprawdzie ostatniemi czasy próbowano spopularyzować psychologią doświadczalną; próby te wszakże nie odpowiadają swemu przeznaczeniu. Jeżeli jedne z nich grzeszą tém, że są zbiorem luźnych wiadomości, bez naukowéj ścisłości połączonych; to inne znowu noszą na sobie zbyt wyraźną cechę indywidualności autora i są raczéj wykładem jego własnych zapatrywań, jak sprawozdaniem z osiągniętych przez naukę rezultatów. Jedynym pod tym względem wyjątkiem jest psychologia Sully'ego, o któréj francuskie pismo peryodyczne *Revue Philosophique*, powiada, że „ze wszystkich prób, jakie dotąd były robione, jest ona najdokładniejszém i najbardziéj metodycznem przedstawieniem rezultatów psychologii empirycznéj."

Imię Sully'ego nie znaném jest naszéj publiczności, jakkolwiek należy on do pierwszorzędnych filozofów angielskich i używa wielkiéj powagi w świecie naukowym. Pierwsze jego prace z dziedziny psychologii i estetyki, pomieszczane przed dziewięciu laty w pismach peryodycznych, zwróciły na niego powszechną uwagę i odrazu wyrobiły mu zaszczytne stanowisko w filozofii współczesnéj. Bain, a za nim inni krytycy powitali go jako pierwszorzędnego psychologa.

W 1874 r. wydał on w osobnym tomie wszystkie swe rozprawy, rozrzucone po pismach peryodycznych, pod zagłówkiem: *Sensation and Intuition*, którego drugie wydanie, poprawne i pomnożone ukazało się w 1880 r. Na szczególną uwagę zasługują w nim dwa artykuły: teorya rozwoju w zastosowaniu do psychologii i rodowód doktryny o wolnéj woli. W 1877 r. ogłosił dzieło o pesymizmie. W pierwszéj jego części podaje dokładny rys historyczny doktryny, która zawdzięcza swe powodzenie w naszych czasach Schopenhauerowi i Hartmannowi; w drugiéj zaś przeprowadzona jest szczegółowa krytyka zasad owych dwóch filozofów, oraz rozbiór podstaw, na jakich się opiera pesymistyczny pogląd na świat. Odrzucając pesymizm zarówno, jak i optymizm, które są dwiema ostatecznościami, godzi on sprzeczne zapatrywania za pomocą teoryi rozwoju, która pozwala mu ustanowić na ich miejscu *melioryzm*. W 1881 roku ukazało się w „Bibliotece międzynarodowéj" nowe jego dzieło: *Illusions, a psychological study*, w którém stara się wytłómaczyć wszelkie złudzenia, jakim człowiek ulega we wszystkich sferach życia umysłowego tak podczas czuwania, jakotéż we śnie i w stanie hipnotycznym. Nareszcie w roku ubiegłym wydał swą psychologią, któréj drugie wydanie ma się niebawem ukazać. Dodać potrzeba jeszcze, że będąc stałym współpracownikiem kwartalnika „Mind", zamieszcza w nim liczne artykuły i rozbiory dzieł z zakresu psychologii i pedagogiki.

Wszystkie te dzieła, odznaczające się obszerną i gruntowną wiedzą, dokładną znajomością filozofii obcych narodów, a szczególniéj niemieckiéj, świadczą o wielkim talencie pisarskim autora, który umié zestroić harmonijnie powagę traktowania o rzeczy z wykładem przystępnym, pełnym wdzięku i prostoty. Lecz co stanowi największą wartość jego dzieł, to oryginalność poglądów. Ani filozofia niemiecka, na któréj kształcił się, ani genialne pomysły Spencera, którego teoryą rozwoju przyjmuje w zasadzie, nie zdołały pozbawić go samodzielności myślenia. To téż słusznie widzą w nim filozofa, który kiedyś godnie zastąpi Bain'a i Spencera i przyczyni się znacznie do rozwoju filozofii. We wszystkich swych pracach trzyma się on ściśle gruntu doświadczenia, strzegąc się pilnie zbyt pośpiesznego uogólniania. A jakkolwiek nie odrzuca metafizyki, pojmuje ją inaczéj, niż niemieccy filozofowie, którzy najwyższe zagadnienia rozumu usiłują rozwiązywać w sposób abstrakcyjny, w oderwaniu od danych doświadczenia. Woli on w braku dostatecznych danych poprzestawać na gołém zaznaczeniu faktu, niż wdawać się w jego tłómaczenie, któreby żadnéj nie miało podstawy. Wszechstronne wykształcenie, zarówno jak i pewna moc panowania nad sobą, dozwalająca mu oprzéć się urokowi przyjętych teoryi, dają mu możność dopatrzéć się nowych dróg badania, wyszukać nowe punkty widzenia, które ukazują mu rzecz ze strony albo zgoła dotąd pomijanéj, albo tylko niedokładnie pojętéj.

Poprzestając na téj pobieżnéj charakterystyce prac Sully'ego i jego stanowiska w filozofii angielskiéj, przystępuję do jego psychologii. Rozbierając ją szczegółowo, będę się starał uwydatnić w niéj te punkty, w których autor zaznacza własny swój pogląd na czynności umysłowe. Gdzie zaś jest tylko sprawozdawcą z nabytków osiągniętych przez naukę, tam wystarczy pobieżny onych nabytków przegląd. Nie chodzi tu bowiem o systematyczny wykład psychologii, co może być przedmiotem tylko obszernéj pracy, lecz o uwydatnienie stanowiska, jakie zajmuje w nauce Sully.

Psychologia Sully'ego, jako dzieło popularne, przeznaczone dla szerszéj publiczności, która nie ma ani czasu, ani odpowiedniego przygotowania do czytania dzieł obszernych i ściśle naukowych, ma charakter przeważnie sprawozdawczy. Ogranicza się w niéj autor na podaniu faktów dowiedzionych, a przynajmniéj ogólnie przyjętych, przytacza główniejsze teorye i hypotezy, za pomocą których objaśniają bądź wszystkie w ogóle, bądź tylko niektóre objawy umysłowe,—ale sam wstrzymuje się po większéj części od wypowiedzenia swego zdania, zostawiając zupełną swobodę czytelnikowi w wyborze mniemań o zagadnieniach spornych. Z tém wszystkiém nie

zrzeka się on samodzielności—i takową uwydatnia tak w określeniu stanowiska, z jakiego zapatruje się na czynności umysłowe i na zadanie psychologii, jako też w całym układzie dzieła, wynikającym konsekwentnie z obranego punktu widzenia.

W przedmowie do dzieła określa on swe stanowisko w sposób następujący:

„Upieram się przy dawném zapatrywaniu na psychologią, a mianowicie, że jako podstawa nauk moralnych, różni się ona od umiejętności fizycznych i przyrodniczych. Ma ona do czynienia ze zjawiskami świata wewnętrznego i posługuje się metodą jéj tylko właściwą—obserwacyą wewnętrzną. Utrzymują następnie, że zostaje ona w najściślejszym stosunku do zagadnień filozoficznych, czyli metafizycznych, takich, jak natura poznania i jego granice, oraz odpowiedzialność moralna.

„Jednocześnie uznają, że psychologia, jako nauka o umyśle, jest nauką w tém znaczeniu, że naprzód zajmuje się wypadkami, czyli sprawami, które, podobnie jak zjawiska świata zewnętrznego, wykazują pewien porządek następstwa, pewną jednostajność, i dla tego mogą być sprowadzone do praw dokładnie oznaczonych; powtóre, że własne jéj metody badania, należycie pojęte i zastosowane, są dostatecznym środkiem do wykrycia owych praw i ich sprawdzenia.“

Zajęcie tego tradycyjnego stanowiska nie przeszkadza autorowi ocenić słusznie najnowszéj dążności, która stara się „właściwe psychologiczne badanie nad umysłem uzupełnić poszukiwaniami fizyologicznemi nad jego warunkami nerwowemi i współczynnikami natury fizycznéj.“ Tego rodzaju poszukiwania, lubo nie mogą zastąpić bezpośredniéj obserwacyi zjawisk umysłowych, są przecież ważnym przyczynkiem do nauki o umyśle, szczególniéj w jéj dziale najprostszym — w teoryi wrażeń zmysłowych.

„Podzielam—powiada daléj—zdanie Lewes'a, że ponieważ psychologia zajmuje się głównie typem rozwoju umysłowego, jaki się ujawnia w członkach społeczeństwa oświeconego, należy przeto uwydatnić w niéj wychowawczy wpływ, jaki ukształtowany system społeczny wywiera na jednostkę za pomocą budowy języka, tradycyjnych form myślenia i t. d.

„A jakkolwiek za główne zadanie psychologii uważam badanie spraw umysłowych, zachodzących w życiu indywidualném, uznaję przecież za konieczne, ażeby nie spuszczano z uwagi szerszego, genetycznego poglądu na umysł, podług którego, wzrost i rozwój indywidualnego umysłu jest rezultatem przeszłego doświadczenia rasy, działającego nie tylko pośrednio, za pomocą zewnętrznych wytwo-

rów takich, jak: język, tradycyjna wiedza, obyczaje i t. d., które stanowią otoczenie społeczne; ale także wprost i bezpośrednio przez odziedziczone zdolności i usposobienia.

„Dla tego zastanawiam się obszernie nad tym, co możnaby nazwać embryologią umysłu, a mianowicie nad najwcześniejszemi i najprostszemi formami typowych czynności umysłu, jak one objawiają się w życiu dziecka. Oprócz tego, do ogólnéj teoryi umysłu dołączam krótkie uwagi, wykazujące ważniejsze różnice indywidualne.“

Dodam tu jeszcze od siebie, że autor nie zaniedbuje korzystać, ile na to zakres dzieła pozwala, z faktów, jakich dostarczają psychologia etnograficzna i zwierzęca.

Z tych głównych punktów programatu, jaki sobie autor nakreślił i który wypełnił jaknajstaranniéj, o ile na to pozwalał materyał gotowy, łatwo można przekonać się, że chociaż psychologia Sully'ego jest przeważnie abstrakcyjną, zawiera ona jednakże wszystkie nabytki, jakie zostały osiągnięte w drodze badań fizyologicznych i porównawczych. Tym sposobem jest ona jedyném w literaturze filozoficznéj dziełem, które, podając ostatnie wyniki badań psychologicznych, osiągnięte w różnych kierunkach, wtajemnicza czytelnika w sposób przystępny we wszystkie zagadnienia psychologii empirycznéj i przez to samo ułatwia dalszą pracę w celu głębszego jéj poznania.

---

1. Na samym wstępie nasuwa się pytanie: czy psychologią można uznać za umiejętność samoistną, opartą na własnych podstawach? Pytanie to nasuwa się tém natrętniéj, że są uczeni, którzy odmawiają jéj samoistności, którzy ją uznają za jedną z gałęzi biologii i uprawiają ją ze stanowiska czysto fizyologicznego. Sully odpowiada na to pytanie w sposób twierdzący — w czém idzie za tradycyą psychologii angielskiéj, któréj przedstawicielami głównymi są dziś Bain i Spencer. Psychologia, posiadając przedmiot ściśle określony i używając sobie tylko właściwéj metody, tém samém jest już umiejętnością, która ma za sobą wszystko, co jest potrzebném do zapewnienia jéj niezależnego stanowiska. Autor określa psychologią w sposób następujący.

Psychologia jest ogólném poznaniem umysłu, sprowadzoném do formy ścisłéj i systematycznéj. Przedmiotem więc psychologii jest umysł. Cóż to jest umysł? Muszę tu wprzódy usunąć pewne wątpliwości, dotyczące samego wyrazu. Zrobiono zarzut, że umysł nie oznacza tego, co angielskie *mind*. Zarzut ten jest niesłuszny. Umysł tak samo, jak i *mind* ma dwojakie znaczenie: ściślejsze i szersze.

Oznacza on zarówno tak władzę poznawania, inteligencyę, jak i wszystkie w ogóle władze razem wzięte, a więc uczucie i wolę. W tym ostatnim wypadku znaczy on to, co nazywamy duszą. Mówimy więc w tém znaczeniu, naprzykład: wzniosły umysł, szlachetny umysł, a przeciwnie nie powiemy logiczny umysł. Że psychologia empiryczna woli używać wyrazu umysł zamiast dusza, to dla tego, że ten ostatni wyraz ma uświęcone przez tradycyą znaczenie i nasuwa pojęcia, które nie zgadzają się ze stanowiskiem psychologii doświadczalnéj, któremi ona zajmować się nie może. Wyraz zaś umysł nie przesądza o kwestyi istoty duszy i oznaczając całość zjawisk psychicznych, wszystkie wiążące się z niemi zagadnienia metafizyczne usuwa na bok. Tym sposobem umysł w znaczeniu, w jakiém go pojmuje psychologia doświadczalna, jest sumą zjawisk psychicznych. A jakkolwiek w podstawie jéj badań leży przypuszczenie jedności umysłu, jedność tę przyjmuje ona jako fakt empiryczny i nie wdaje się w rozstrzyganie, czy jest ona substancyalną, czy tylko fenomenalną.

Co się tyczy zjawisk umysłowych, to nie podobna ich bliżéj określić. Są to pierwsze dane świadomości, których nie można sprowadzić do czegoś prostszego. Można je oznaczyć tylko za pomocą zdań równoznacznych, jak np. że zjawiska umysłowe są stanami naszéj świadomości, że stanowią one część naszego świadomego życia i t. d. Jakkolwiek wątpliwém jest jeszcze, czy świadomość ogarnia wszystkie w ogóle stany psychiczne, czy nie ma zjawisk umysłowych bezwiednych.

Zresztą, chcąc ściśléj oznaczyć umysł, można go przeciwstawić temu, co nim nie jest—materyi rozciągłéj. Umysł jest nierozciągłym i jego zjawiska nie dadzą się podciągnąć pod formę przestrzeni. Zaznaczając jednakże różnicę między umysłem, a ciałem, nie powinniśmy zapominać o ich ścisłym związku. To, co nazywamy człowiekiem, składa się z organizmu cielesnego i z umysłu. Nasza jaźń jest jaknajściśléj związana z materyalną budową. Każda czynność umysłowa zespala się z czynnością układu nerwowego. Jaknajbardziéj oderwanéj myśli towarzyszy zawsze pewien rodzaj czynności ośrodków mózgowych.

Stosunek umysłu do ciała należy do najzawilszych zagadnień filozofii. Psychologia empiryczna musi poprzestać na uważaniu umysłu i ciała, jako zespolonych z sobą w życiu. Przekonywa się ona, że nie tylko czynność fizyczna towarzyszy zawsze czynności umysłowéj, ale nadto zachodzi między niemi wzajemne oddziaływanie. W pewnych wypadkach czynność nerwowa poprzedza i zdaje się wywoływać zjawiska umysłowe; w innych znów, jak w ruchach do-

wolnych, czynność umysłowa zdaje się być przyczyną choć w części zjawiska fizycznego. Z tém wszystkiém, lubo czynności umysłowe są uwarunkowane sprawami nerwowemi i od nich zależne — nie są one przecież tém samém, co owe sprawy — i psychologia nie powinna nigdy spuszczać z uwagi różnicy, jaka zachodzi między czynnością nerwową, a zjawiskiem umysłowém. Pewna czynność nerwowa, poprzedzająca np. wrażenie światła, dźwięku i t. d. nie jest tém samém, co owe wrażenia. Taki jest zakres przedmiotu, którym psychologia zajmuje się. Jakież są metody, których ona używa do poznania owego przedmiotu?

Dwie są metody, za pomocą których poznajemy umysł. Pierwszą z nich jest obserwacya wewnętrzna, wyłącznie saméj tylko psychologii właściwa. Jest-to metoda podmiotowa. Daje nam poznać wprost i bezpośrednio to, co się dzieje w naszéj świadomości. Zwracając uwagę na zjawisko umysłowe, na pewien stan naszéj świadomości, poznajemy, jaka jest jego natura, jakie składowe jego części, jakie w nim zmiany zachodzą pod wpływem danych okoliczności itd.

Szkoda, że autor nie oznaczył dokładniéj, na czém polega metoda wewnętrznéj obserwacyi. Wiadomo bowiem, że nowo-kantyści, uczniowie A. Comte'a, a nawet Wundt utrzymują, że to, co nazywają obserwacyą wewnętrzną, nie jest czém inném, jak zwykłą świadomością i na miano metody wcale nie zasługuje.

Drugą metodą, przedmiotową, jest obserwacya zewnętrzna, za pomocą któréj poznajemy umysły innych ludzi, jak one się objawiają w słowach, spojrzeniach, ruchach ciała i w całém ich postępowaniu. Tą drogą poznajemy nie tylko umysły ludzi, z którymi stykamy się, ale i takich, o których dowiadujemy się z opowiadania lub z historyi. W ten sam sposób poznajemy także umysły zbiorowe narodów, jak one ujawniają się w wypadkach dziejowych. Badania porównawcze nad różnicami, jakie zachodzą pod względem umysłowym między rasami ludzkiemi, jak również między zwierzętami, dokonywają się także za pomocą obserwacyi zewnętrznéj. Do niéj nareszcie i do doświadczenia należy badanie czynności umysłowych w związku ze sprawami fizyologicznemi.

Cechą umiejętnego poznania jest pewność i dokładność, a następnie ogólność. Musimy bacznie obserwować, ażebyśmy byli pewni tego, co postrzegamy i mogli dokładnie zdać sobie z tego sprawę. Musimy następnie od poznania szczegółów wznosić się do poznania ogółu. Stąd łatwo przekonać się, że ani obserwacya wewnętrzna, ani zewnętrza, oddzielnie wzięta, nie wystarczają i potrzeba je łączyć z sobą. Wypadki jednéj potrzeba objaśniać, uzupełniać i sprawdzać wypadkami drugiéj. Naturalnie, że każde badanie psycholo-

giczne musi opierać się na pewnéj sumie postrzeżeń bezpośrednich. Obserwacya wewnętrzna jest koniecznym warunkiem zewnętrznéj. Jeżeli obserwacya wewnętrzna sama przez się daje nam tylko poznać nasz własny, indywidualny umysł, — to przez obserwacyą zewnętrzną, pozwalającą nam porównywać objawy umysłowe różnych ludzi, w różnym wieku i na różnych stopniach wykształcenia, dochodzimy do ogólnego poznania umysłu. Sama zaś obserwacya zewnętrzna dostarcza tylko znaków, zewnętrznych objawów, które są dla nas tém, czém wyrazy obcego języka. Dla ich zrozumienia potrzeba się odwołać do obserwacyi wewnętrznéj.

Zadaniem psychologii jest uogólnienie wiadomości o umyśle. Dochodzi ona do tego za pomocą analizy, która pozwala jéj rozklasyfikować zjawiska umysłowe, a następnie wykryć prawa niemi rządzące. Ponieważ zjawiska umysłowe zachodzą w czasie, przeto prawa niemi rządzące, dotyczą ich następstwa, przyczynowéj zależności. Zależność ta panuje nie tylko między zjawiskami bezpośrednio po sobie następującemi, ale i między takiemi, które są oddzielone od siebie znacznym przeciągiem czasu, jak np. wprawa, nałóg. Stąd jedném z najważniejszych praw umysłu jest prawo jego rozrastania, rozwoju.

2. Na pograniczu między fizyologią a psychologią leżą zagadnienia, dotyczące stosunku ciała i umysłu. Stanowią one treść tak zwanéj psychologii fizyologicznéj i są niejako wstępem i przygotowaniem do systematycznego badania zjawisk umysłowych. Do takich zagadnień należą pytania: gdzie jest siedlisko życia umysłowego? jakie są ośrodki mózgowe, odpowiadające pewnym czynnościom umysłu? Jaki jest stosunek ilościowy zjawisk fizycznych i umysłowych? Jakie są następstwa psychiczne zmian, zachodzących w organach nerwowych? Co się tyczy pierwszych dwóch pytań, psychologia fizyologiczna nie daje stanowczéj odpowiedzi. Pewném jest, że siedliskiem umysłu jest mózg, wątpliwość jednakże zachodzi, czy wszystkie jego części biorą udział w czynnościach życia świadomego, czy tylko niektóre, a następnie, czy do organów życia umysłowego nie potrzeba zaliczyć i innych ośrodków nerwowych.

Większa jeszcze niepewność panuje pod względem umiejscowienia szczególnych czynności umysłu. Podział mózgu na oddzielne organy, jak go dawniejsza frenologia obmyśliła, nie ma dziś żadnéj wartości naukowéj. To zaś, co pod tym względem zrobiła fizyologia przy pomocy patologii i anatomii porównawczéj, bardzo jeszcze wiele pozostawia do życzenia.

W każdym razie, dwa są główne poglądy, tłómaczące związek czynności umysłowych ze sprawami mózgowemi. Podług jednego,

pierwiastki składowe życia umysłowego, wrażenia zmysłowe, są umieszczone w oddzielnych komórkach szaréj masy mózgu; podług drugiego, cały mózg, a przynajmniéj znaczne jego części biorą udział w pojedyńczych czynnościach umysłowych.

Do ważniejszych rezultatów doszła psycho-fizyka w kwestyi ilościowego stosunku umysłu i ciała. Drogą doświadczenia wykryto, że ażeby powstało wrażenie zmysłowe, potrzeba, ażeby bodziec zewnętrzny posiadał pewne natężenie; tak samo, ażeby powstało zjawisko umysłowe, musi nerwowe działanie lub pobudzenie w mózgu mieć pewne natężenie i pewną trwałość. Są pewne zmiany mózgu, które, będąc zbyt raptowne, nie dochodzą do świadomości i stanowią to, co nazywamy czynnościami bezwiednemi.

Tak samo drogą doświadczenia wykryto, że wszelka zmiana w warunkach nerwowych wywołuje odpowiednią zmianę w czynnościach umysłowych, że zmiany w stanie umysłu można spowodowywać nawet sztucznie za pomocą czynników fizycznych, które działają na układ nerwowy. Wogóle mówiąc, czynność umysłu zależy jak najściśléj od rozporządzalnéj przez mózg energii, która znowu zależna jest od zdrowia organizmu, od odżywiania się, rodzaju pracy i wypoczynku.

3. Życie umysłowe, rozwijając się w czasie, przedstawia się jako pasmo różnorodnych zjawisk psychicznych, które wiążą się z sobą i splatają w jedną całość. Za pomocą tylko analizy można każde takie pasmo rozłożyć na składowe pierwiastki i oddzieliwszy je od siebie, sprowadzić do pewnych grup, czyli rozklasyfikować.

Takie czynności, jak postrzeganie, wyobrażanie, sądzenie i t. d. zaliczamy do poznania; ból, radość, smutek—do uczuć; wszelkie następnie działanie wraz z pobudkami, które niemi kierują — do woli. Trzy te działy faktów umysłowych opierają się na naturalnych różnicach, jakie między niemi zachodzą, a które są większe niż ich wzajemne podobieństwa. Stanowią one trzy strony życia umysłowego, trzy jego kardynalne przymioty. Można je nazwać władzami, ale z zastrzeżeniem, że się nie będzie przez nie rozumiało tego, co psychologia popularna przez nie rozumie. Nie są one czémś zewnętrznie tylko z sobą zestawionem, jakąś wiązką oddzielnych sił, które niezawiśle jedna od drugiéj działają. Nie są one czém inném, jak odmiennemi sposobami działania tego samego umysłu, odmiennem oddziaływaniem na zewnątrz. W uczuciu umysł zachowuje się biernie, w poznaniu—bierno-czynnie: biernie, o ile wrażenia zmysłowe są mu dane, czynnie zaś, o ile na to wrażenie oddziaływa; czynnym zaś jest w woli.

Że poznanie, uczucie i wola są oddzielnemi, czynnościami umysłu, który w każdém z nich bierze udział w całości — dowodzi tego najprzód antagonizm, jaki między niemi panuje, a następnie ta okoliczność, że wszystkie one w mniejszym lub większym stopniu występują w każdym akcie umysłu. Gwałtowne uczucia nie pozwalają człowiekowi ani myśléć, ani działać swobodnie. Jakoż codzienne doświadczenie uczy nas, że ludzie zbyt wrażliwi i uczuciowi nie odznaczają się ani ścisłością logiczną, ani stałością i wytrwałością. Przeciwnie zaś ci, u których władze rozumowe silnie są rozwinięte, zazwyczaj grzeszą brakiem uczucia i niepewnością w postępowaniu. Ludzie znów żelaznéj i nieugiętéj woli, jakkolwiek mogą miéć wysoko rozwinięty rozum, rozum ich atoli nie posiada nad nimi takiéj mocy, żeby w danym razie skłonić ich mógł do takiego, a nie innego działania. Upór jest ich właściwą cechą. Tłómaczy się to tém, że zasób energii, jaką mózg posiada, jest ograniczony i zużyty w jednym kierunku, nie może już dostatecznie zasilać innych.

Pomimo tego antagonizmu panuje między niemi ścisła łączność. Poznaniu towarzyszy zawsze uczucie przyjemności lub przykrości, oraz wola, jako uwaga, utrzymująca myślenie w natężeniu; uczuciu towarzyszy poznanie, jako odróżnienie danego uczucia od innych i umiejscowienie go, tudzież wola, jako usiłowanie przedłużenia uczucia, gdy jest przyjemném, lub pozbycia się go, gdy jest przykrém; we wszelkiém nareszcie działaniu, będącém aktem woli, łatwo odkryć pierwiastek uczuciowy w pobudkach, rozumowy w zamiarze i wytkniętym celu.

Analiza służy nam nie tylko do tego, byśmy mogli rozklasyfikować zjawiska umysłowe, lecz nadto, byśmy mogli głębiéj wniknąć w ich istotę, wykryć w nich zasadnicze pierwiastki i zbadać prawa, czyli warunki ich objawiania się.

Poznanie daje się sprowadzić do dwóch zasadniczych czynności: do wykrywania różnicy i podobieństwa między rzeczami. Poznanie nie jest czém inném, jeno odnoszeniem danéj rzeczy do innych, już poznanych, z któremi porównywamy ją i dochodzimy do wykrycia, czém się ona różni od nich, a w czém jest do nich podobną. Zasadniczym zaś faktem wszelkich uczuć, ich cechą charakterystyczną, jest uczucie przyjemności i przykrości. Wszelkie nasze uczucia są stanami umysłu bądź przyjemnemi, bądź przykremi. Co się tyczy woli, to ta, będąc wogóle działaniem, odznacza się tém, że towarzyszy jéj zawsze wysilenie, czyli po prostu jest ona usiłowaniem.

Prawa umysłowe oznaczają zależność przyczynową czyli warunki zjawisk umysłowych. Warunki te są psychiczne i fizyologiczne.

Tak w jednych, jak i w drugich potrzeba odróżniać bliższe, czyli bezpośrednie, i dalsze, a następnie —szczególne, właściwe pewnym tylko czynnościom umysłu, i ogólne, które dotyczą wszystkich jego spraw. Między temi ostatniemi najważniejsze ma znaczenie *uwaga*, która, będąc aktem woli, stanowi konieczny warunek tak poznania, jak i uczucia.

Umysłowe czynności nie u wszystkich ludzi są jednakie. Jedni z nich są mniéj, drudzy więcéj zdolni, ci odznaczają się większą żywością uczucia, niż tamci, lub téż większą od nich posiadają energią w działaniu.

Wszelkie różnice umysłowe dadzą się ocenić ilościowo, pod względem ich natężenia, trwałości i liczby pierwiastków składowych. Dwa są sposoby oceniania owych różnic: pierwszy polega na tém, że w dwu wypadkach używamy tego samego bodźca i porównywamy umysłowe nań oddziaływanie; drugi zaś na tém, że badamy, jaką potrzeba zachować różnicę w bodźcach, ażeby w obu wypadkach oddziaływania umysłu były równe. Metody te, lubo tylko w zakresie wrażeń zmysłowych dają się ściśle przeprowadzić, mogą być przecież stosowane do pewnego stopnia i w innych sferach umysłowego życia. — Niektórzy starają się wyprowadzać indywidualne różnice umysłu z pewnych stałych właściwości organizmu cielesnego, czyli z tak zwanego temperamentu; doktryna atoli temperamentu tak samo, jak dawniejsza frenologia nie wytrzymują naukowéj krytyki.

4. Jeżeli będziemy porównywać pod względem umysłowym człowieka dorosłego z dzieckiem, łatwo przekonamy się, że władze umysłowe pierwszego znacznie różnią się od władz umysłowych drugiego. Czynności umysłowe, które w wieku dziecinnym są proste, niedokładne, z trudnością wykonywające się i wymagają silnych bodźców, w wieku dojrzałym stają się łatwemi, potrzebują słabych bodźców, są doskonałe i złożone. Oddalając się coraz bardziéj od wrażeń zmysłowych, które są źródłem wszelkich czynności umysłowych, nabierają one coraz większéj ogólności i stają się bardziéj oderwanemi. Wszystkie te zmiany, zachodzące w umyśle człowieka w miarę jego wzrastania, stanowią rozwój umysłu. Prawa rozwoju umysłowego, czyli jego warunki są tak samo stałe i pewne, jak każdego innego zjawiska umysłowego.

Ponieważ umysł jest całością organiczną i wszystkie jego czynności wzajemnie od siebie zależą i oddziaływają na siebie, dla tego rozwój jednéj z nich pociąga za sobą z konieczności rozwój wszystkich, jakkolwiek nie w jednakim stopniu. Wyrabiana na przykład zdolność odróżniania i upodobniania w zakresie wrażeń zmysłowych, wpływa na rozwój wszystkich dalszych czynności rozumowych ta-

kich, jak postrzeganie, wyobrażanie, pojmowanie, sądzenie i rozumowanie, które w gruncie rzeczy nie są czém innem, jak wykrywaniem różnic i podobieństw między rzeczami. Tak samo rozwój władzy poznania oddziaływa na uczucia i wolę, które towarzyszą każdéj czynności rozumowéj, żywy biorąc w nich udział, tém samém muszą się wznosić do wysokości, jaką rozum zajmuje, i doskonalić, stając się bardziéj złożonemi i coraz więcéj oddalając się od sfery zmysłowych wrażeń. W miarę, jak umysł się kształci, rozwija się także mózg, który jest organem życia umysłowego. Rozwój jego polega nie na wzrastaniu, powiększaniu się jego masy, która w siódmym roku życia dochodzi swego maksymum, ale na coraz doskonalszém ukształtowywaniu się jego wewnętrznéj budowy, na ciągłém różnicowaniu się w składowych jego częściach i wytwarzaniu między niemi szczególnych związków. Rozwój mózgu dokonywa się pod wpływem wprawy, ćwiczenia. Każda czynność umysłowa, oddziaływając na pojedyńcze części mózgu, wywołuje w nich zmianę i staje się powodem ich ukształtowania się, a jednocześnie wytwarza „*linie najmniejszego oporu*“, które, łącząc szczególne części mózgu, ułatwiają wspólną ich działalność w danym akcie umysłowym.

Rozwój tak umysłu jak i mózgu w odniesieniu do otoczenia jest ciągłém przystosowywaniem się do niego. Doskonałość organów zmysłowych nie jest czém innem, jak dokładném przystosowaniem się mózgu do zewnętrznych czynników takich, jak światło, dźwięk itd. Zdolność trafnego sądzenia i wnioskowania jest przystosowaniem się umysłu do warunków otoczenia dalszych i pośrednich, oddzielonych od niego mniéj lub więcéj znacznym przedziałem czasu i miejsca. Delikatność i żywość uczuć pochodzi także z dokładniejszego przystosowania się umysłu do otoczenia, którego czynniki szkodliwe wywołują w nim uczucie przykrości, pożyteczne zaś— uczucie przyjemności. Wola, która w gruncie rzeczy nie jest czém innem, jak usiłowaniem, mającém na celu zapewnienie tego, co jest przyjemném, a usunięcie i zabezpieczenie od tego, co jest przykrem, jest również o tyle rozwiniętą, o ile umysł zdołał się przystosować do otoczenia.

Chociaż rozwój mózgu i umysłu z tego stanowiska rozważany jest przystosowaniem się do otoczenia, nie można przecież tego przystosowania uważać za skutek czysto mechaniczny. Mózg, a tém bardziéj umysł, mają swe własne prawa rozwoju—i otoczenie jest wobec nich tylko warunkiem. Potrzeba więc w przystosowywaniu się umysłu do otoczenia odróżniać dwa czynniki: wewnętrzny i zewnętrzny. Do pierwszego należy dana organizacya umysłu ludzkiego, mocą któréj doznaje on różnych wrażeń i zdolny jest z nich tworzyć postrzeżenia,

pojęcia, sądy itd., doznawać przyjemności lub przykrości i odpowiednio temu oddziaływać na zewnątrz. W niéj ważną odgrywają rolę usposobienia odziedziczone, które są wypadkiem dziejowego doświadczenia rasy. Są to takie czynności umysłowe, które nie są nabyte przez indywidualne doświadczenie. Oznaczają one szczególny sposób myślenia, czucia i działania. Skutkiem dziedziczności psychiczny rozwój jednostki uwarunkowany jest stopniem rozwoju rasy, do któréj należy, a następnie, że każde nowe pokolenie przynosi z sobą pewien przyrost w zdolnościach wrodzonych.

Do czynników zewnętrznych należy świat zjawisk fizycznych i społeczeństwo.

Pod wpływem otaczającéj nas przyrody wytwarzają się w naszym umyśle nie tylko wyobrażenia i pojęcia o rzeczach, ale i o ich stosunkach. Porządek świata, współbytność zjawisk i ich następstwo, ich związek przyczynowy, ustalają w naszym umyśle pewien porządek myślenia, opierający się na tém, co nazywamy kojarzeniem się wyobrażeń.

Wpływ społeczeństwa na rozwój umysłowy słabo był dotąd uwzględniany. Tymczasem skutki jego są bardzo ważne, jakkolwiek nie w tym stopniu, jak to utrzymuje Lewes. Wpływ ten dokonywa się w części przez samo stykanie się z ludźmi, przez mimowolne zastosowywanie się do ich sposobu myślenia, czucia i postępowania, w części zamiarowo—za pomocą wychowania, kontroli moralnéj i prawnéj itd. W obu tych wpływach czynnemi są: budowa języka, tradycyjna wiedza, obyczaje, sympatya i naśladownictwo.

Poznanie.

1. Głównym warunkiem poznania jest uwaga. Zanim więc przystąpimy do rozpatrzenia wszystkich czynności, stanowiących zakres inteligencyi—rozumu, musimy zastanowić się nad tém, co to jest uwaga i jakie są jéj warunki.

Rozdział o uwadze stanowi oryginalną część dzieła Sully'ego. Rzuca on światło na zapatrywanie autora na naturę umysłu. Przyznaje on mu większą samodzielność, niż to czynią inni psychologowie angielscy, a szczególniéj Spencer, który wszelkie czynności umysłowe sprowadza do odruchów mniéj lub więcéj złożonych. Zapatrując się z tego stanowiska, poznanie nie jest czém innném, jak dokładném odbiciem zewnętrznego porządku rzeczy lubo w formie symboliczněj. Sully, wyprowadzając na jaw czynny pierwiastek umysłu, jakim jest uwaga, zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy czysto mechaniczną teoryą umysłu a teoryą spirytualistyczną. Zaznaczając bo-

wiem fakt, świadczący o pewnéj samodzielności umysłu tak w poznaniu, jak i w woli—poprzestaje na tém i nie wdaje się w żadne wnioski, wychodzące po za zakres psychologii doświadczalnéj.

Rzecz godna zanotowania, że Sully, wysuwając na pierwszy, na główny plan uwagę, jako najważniejszy czynnik poznania, zbliża się pod tym względem do naszego Śniadeckiego, który w swéj Filozofii ludzkiego umysłu powiada: „baczność jest czynnością wolną umysłu, jest najważniejszą siłą i istotnym warunkiem poznawań ludzkich.“

Czémże jest uwaga i na czém zależy? Jest ona samodzielném skierowaniem się i zastanowieniem umysłu nad przedmiotem, który mu jest obecny. Możnaby ją przeto nazwać świadomością danego przedmiotu, tylko że zakres świadomości jest daleko obszerniejszy, obejmuje ona bowiem i takie stany umysłu, które są tylko na pół świadome, jak gdyby na drugim planie zostawały.

Przedmiotem uwagi mogą być tak objawy myślenia, jako też uczucia i woli. Bezpośrednio dostępnemi są dla niéj wrażenia zmysłowe, wyobrażenia, pojęcia i całe w ogóle myślenie; pośrednio zaś, czyli ubocznie - uczucia i czynności. W miarę, jak zwracamy na dany przedmiot uwagę i zastanawiamy się nad nim, staje się on wyraźniejszym. Znaczenie i charakter uwagi szczególniéj uwydatnia się w czynnościach poznawczych. Przedmioty, które się nastręczają naszym zmysłom, wtedy tylko mogą być odróżnione od innych czyli poznane, gdy pilną na nie zwrócimy uwagę, gdy mamy na baczeniu nie tylko wrażenia obecne, ale i te, które są z niemi skojarzone. Myślenie zatém czyli sprawa poznawania jest stanem umysłu czynnym, zależącym na dowolném zwracaniu się uwagi i zastanawianiu się. Sama zaś uwaga w odniesieniu do poznania jest udziałem czynnéj strony umysłu, dopomagającéj, kierującéj i kontrolującéj mechanizm myślenia.

Doniosłość uwagi bywa różna. Gdy przedmioty są rozproszone i nie mają związku z sobą, może ona po kolei tylko nad każdym z nich zastanawiać się; przeciwnie, gdy są połączone i stanowią jedną całość, może ona ogarnąć zarazem kilka z nich albo też całą ich grupę. Co się tyczy natężenia, z jakiém uwaga może zastanawiać się i rozważać, zależy ono od ilości przedmiotów, któremi się zajmuje. Im więcéj będzie takich przedmiotów, tém natężenie uwagi musi być słabszém.

Przedewszystkiém siła natężenia uwagi zależy od energii, jaką w danéj chwili umysł rozporządza, a następnie od bodźców i pobudek, które zwracają uwagę w odpowiednim kierunku. Uwaga, posłuszna bodźcom zewnętrznym, działa w sposób czysto odruchowy

i jest mimowolną; staje się zaś dowolną wtedy dopiero, gdy zaczyna się powodować pobudkami wewnętrznemi.

Uwaga mimowolna, ulegająca niewolniczo bodźcom zewnętrznym, zwraca się zwykle na przedmioty, które robią silne wrażenie, sprawiają większą przyjemność albo téż przykrość, uderzają swą nowością, niezwykłością. W ogóle mówiąc, zmiana wrażeń, która jest jednym z głównych warunków życia umysłowego, ważną gra rolę także w uwadze mimowolnéj, działającéj, jak każda czynność odruchowa, w kierunku najsilniejszego ciągnienia. Z saméj natury jéj wynika, że jest ona chwilową, dopóty zastanawiającą się nad przedmiotem, pokąd nowy, większą siłę posiadający, nie pociągnie jéj ku sobie.

W miarę, jak umysł rozwija się, pobudki wewnętrzne nabierają w nim przewagi nad bodźcami zmysłowemi—i uwaga z mimowolnéj staje się powoli dowolną. Uwaga dowolna nie znosi uwagi odruchowéj, pozostaje ona zawsze czynną, jako skłonność, i łącząc się z uwagą dowolną, może ją znacznie wzmocnić, jakkolwiek w innych przypadkach może utrudniać jéj działanie.

Charakterystyczną cechą uwagi dowolnéj jest mniejszy lub większy stopień wysilenia, jaki towarzyszy jéj czynnościom. Od tego wysilenia uwaga mimowolna jest całkiem wolna. Pierwszym objawem uwagi dowolnéj jest zwracanie się jéj na przedmioty interesujące. W dalszym swym rozwoju zastanawia się ona i nad takiemi rzeczami, które tylko pośrednio obchodzą, same zaś przez się nie posiadają żadnéj wagi. Dla tego téż uwaga dowolna przedewszystkiém zależy na zdolności opierania się bodźcom zewnętrznym. Jéj doskonałość polega nie tylko na swobodném zwracaniu się na przedmioty, stosownie do pobudek wewnętrznych, do zamiarów i celów, jakiemi się kierujemy w życiu, ale także na jéj zdolności zastanawiania się nad rzeczami tak długo, jak tego okoliczności wymagają. Uwaga skupiona, niedostępna dla wszelkiego roztargnienia, niepodzielnie zajmująca się jednym przedmiotem, jest najwyższym stopniem rozwoju uwagi dowolnéj. Właściwa ona jest geniuszom. To właśnie dało powód do błędnego mniemania, że istotę geniuszu stanowi sama tylko uwaga skupiona.

Podzielność uwagi stanowi zdolność szybkiego przechodzenia od jednego przedmiotu do drugiego, jak np. malowanie lub granie i jednoczesne rozmawianie. Zależy ona na łatwém przystosowywaniu się do nowego przedmiotu i jest dziełem nawyknienia.

Wprawa, jak we wszystkich w ogóle czynnościach dowolnych, ważną odgrywa rolę w kształceniu uwagi. Za pomocą niéj wyrabia się nawyknienie do pilnego zastanawiania się, przez co uwaga staje

się swobodniejszą w swém działaniu, które się też odbywa z mniejszém wysileniem.

2. W dwóch następnych rozdziałach mówi autor o wrażeniach zmysłowych i postrzeganiu (percepcyi). Rozdziały te należą do najlepiéj opracowanych. Dziwić się temu nie można. Zajmują się one bowiem zagadnieniami, które stanowią podstawę poznania, a które, przynajmniéj u psychologów francuskich i niemieckich, obrabiane są w sposób, pozostawiający wiele do życzenia. Dwa fakty tak różne, jak czucie zmysłowe i postrzeganie, nie są u nich dokładnie określone, a kiedy jedni całą różnicę między niemi upatrują w tém, że czucia są proste, a postrzeżenia złożone; to inni utrzymują, że ścisłéj między niemi granicy przeprowadzić niepodobna.

Autor, wierny tradycyi filozofii szkockiéj, utrzymuje ścisłą granicę między czuciem a postrzeżeniem, co zresztą robią i inni współcześni psychologowie angielscy. W każdym razie uwydatnia on tu właściwe sobie zapatrywanie na sprawy umysłowe.

Nadmieniłem powyżéj, że według autora, poznanie jest sprawą czynną umysłu. Ponieważ wrażenia zmysłowe pochodzą z zewnątrz i w odbieraniu ich zachowuje się umysł biernie—stąd nie stanowią one jeszcze poznania, ale są tylko surowym dla niego materyałem. Właściwe poznanie zaczyna się od postrzegania, za pomocą którego umysł przerabia dany materyał zmysłowy.

Z tém wszystkiém, Sully nie uważa wrażeń zmysłowych za zjawisko czysto fizyologiczne. Podrażnieniu fizycznemu organów zmysłowych i spowodowanéj przez nie odmianie w nerwach odpowiada zwykle czucie, które jest faktem czysto umysłowym. Dla tego też potrzeba ściśle odróżniać stronę fizyologiczną wrażeń zmysłowych, od ich strony psychicznéj. Pierwszą właściwie byłoby nazywać wrażeniem, drugą zaś czuciem. Czucie bezpośrednio nam jest dane, kiedy o wrażeniu dowiadujemy się dopiero za pośrednictwem czucia. Że wrażenie zmysłowe, a czucie nie jest tém samém, przekonywamy się z tego, że nie każde wrażenie wywołuje czucie, które wtedy tylko powstaje, gdy umysł jest swobodny i może zwrócić uwagę na wrażenie, i że czucie zmysłowe może powstać niezależnie od wrażeń, co ma miejsce w tak zwanych czuciach podmiotowych.

Cóż to jest czucie w ogóle. Określić go niepodobna. Jest ono pierwszém daném świadomości i nie ma w umyśle prostszych zjawisk, do których by można było je sprowadzić. Dla wyrozumienia, czém jest czucie, potrzeba się odwołać do indywidualnego doświadczenia, do świadomości.

Czucia bywają powszechne, właściwe wszystkim częściom organizmu, posiadającym wrażliwość, i szczególne, które stanowią wła-

sność pewnych tylko części organizmu, zaopatrzonych w odpowiednie przyrządy nerwowe.

Czucia powszechne, czyli organiczne, nie mają oznaczonego charakteru i różnią się od siebie tylko mniejszym lub większym stopniem przykrości i przyjemności. Lokalny koloryt zawdzięczają one późniejszemu doświadczeniu, a mianowicie nabytéj zdolności umiejscowiania ich w odpowiednich częściach ciała. Związane jak najściśléj z fizyologicznemi sprawami organizmu, oznaczają one tylko stan jego w danéj chwili. O świecie zewnętrznym nie dają nam one żadnego poznania.

Czucia zmysłowe szczególne należą do znanych pięciu zmysłów. Posiadają one charakter ściśle oznaczony i przez to stają się znakami, które dają nam poznać własności rzeczy zewnętrznych, oraz zachodzące w nich zmiany. To téż cały zakres naszéj wiedzy ograniczony jest ściśle ilością różnic, jakie zachodzą między zmysłowemi czuciami.

W czuciach zmysłowych potrzeba najprzód uwzględniać stopień ich natężenia. Zależy on od siły bodźca. Mierzeniem czuć zajmuje się psycho-fizyka. Podaje ona następujące prawo: każdy bodziec musi dojść do pewnego natężenia, ażeby mogło nastąpić dokładne czucie. Ten punkt natężenia zowie się progiem albo granicą natężenia. Oznacza on *bezwzględną wrażliwość* organu zmysłowego. Gdy próg zostanie przekroczonym, natężanie bodźca nie zawsze sprowadza natężenie czucia. Ażeby nastąpił pewien przyrost czucia, musi natężenie bodźca dojść do pewnéj określonéj miary. Miara ta, wyrażająca się za pomocą ułamka, oznacza *wrażliwość odróżniającą* (discriminative). Powiększając coraz bardziéj bodziec, dochodzimy nareszcie do punktu, w którym dalsze jego powiększanie nie wywołuje już w uczuciu różnicy. Punkt ten stanowi maksymum wrażliwości zmysłu, jéj *wysokość*. Wrażliwość odróżniająca podciągniętą została pod prawo, zwane prawem Webera. Daje się ono wyrazić w ten sposób: ażeby czucie mogło wzrastać w stosunku arytmetycznym, potrzeba, by bodziec wzrastał w stosunku geometrycznym.

Zdolność odczuwania najmniejszych różnic nie jest jednakowa we wszystkich zmysłach. Dla zmysłu dotyku równa się ona od $^1/_3$ do $^1/_{30}$; dla temperatury — $^1/_3$; dla słuchu — $^1/_3$; dla wzroku — $^1/_{100}$; dla zmysłu mięśniowego — $^1/_{51}$ w ocenianiu ruchu, $^1/_{25}$ — w ocenianiu ciężaru.

Czucia zmysłowe różnią się od siebie stosownie do organu, w którym powstają. Różnicę tę stanowi ich jakość, która zależy od budowy ich organów. W czuciach tego samego rodzaju zachodzą jeszcze pewne różnice, jak np. różne kolory, dźwięki itd.

Dla obserwacyi wewnętrznéj każde czucie szczególne przedstawia się, jako całość nierozdzielna. Tymczasem fizyologia wykazuje, że są one natury złożonéj. Spencer i Taine, posuwając analizę jeszcze daléj, utrzymują, że każde czucie, bez względu na ich jakościowe różnice, składa się z pewnych jednostek, atomów czucia, któremi są uderzenia nerwowe, że zatém różnice czuć naszych tak rodzajowe, jak i gatunkowe, zależą od różnéj kombinacyi owych pierwiastków psychicznych.

Wszystkie nasze czucia mają pewną trwałość, jakkolwiek ta różną bywa dla różnych zmysłów. Trwałość np. smaku i powonienia bywa bardzo nieoznaczona pod względem ich początku i końca.

Niektóre nareszcie czucia, jak dotyku i wzroku, odznaczają się właściwym sobie charakterem lokalnym. Dwa czucia, pochodzące od dwóch różnych punktów powierzchni organów, pomimo że są sobie równe pod względem jakości i natężenia, objawiają się jako dwa oddzielne czucia. Lokalny charakter czuć zależy na czynności oddzielnych grup włókien nerwowych, które, rozpościerając się na powierzchni organu zmysłowego, tworzą oddzielne, lubo zachodzące na siebie obwody czuciowe. Dotykając się skóry końcami cyrkla, gdy nóżki jego są odpowiednio rozstawione, wywołujemy dwa oddzielne czucia, albowiem dotyka on punktów, które leżą w dwóch osobnych obwodach czuciowych. Jeżeli zaś dotknięte punkty leżą w tym samym obwodzie, powstaje jedno tylko czucie. Wielkość tych obwodów jest różna—im część powierzchni organu jest wrażliwsza, tém obwody czuciowe są mniejsze.

Lokalnego charakteru czuć nie należy brać za jedno z ich umiejscowianiem. To ostatnie jest dziełem postrzegania i odbywa się na podstawie charakteru lokalnego, jakim odznaczają się czucia, od rozmaitych części powierzchni organu pochodzące.

Zmysły, stosownie do ich ważności pod względem poznania, można ułożyć w następującym szeregu: smak, powonienie, dotyk, słuch i wzrok.

Smak i powonienie są najniższemi zmysłami. Zbliżają się one do czucia organicznego, z którym mają to wspólnego, że przeważa w nich pierwiastek uczuciowy (przyjemność i przykrość). Czucia ich pozbawione są wyrazistości, a trwałość ich pod względem początku i końca jest nieokreślona. Dla tego téż w poznaniu świata zewnętrznego mają one małe dla nas znaczenie. Umieszczone u wnijścia kanałów oddechowego i pokarmowego, zdają się mieć jedynie za zadanie ostrzegać organizm o tém, co mu jest szkodliwém, a co zbawienném.

Dotyk, z którym się łączy zmysł temperatury, odegrywa wielką rolę w poznaniu, dzięki lokalnemu kolorytowi swych czuć, oraz naturalnemu swemu połączeniu ze zmysłem mięśniowym.

Najwyższe miejsce zajmują słuch i wzrok.

Słuch, posiadający wysoką zdolność odróżniania jakości i trwałości dźwięków, dostarcza nam za pomocą muzyki szlachetnéj przyjemności; za pośrednictwem zaś członkowanego głosu, czyli mowy, ogromnego zasobu wiedzy. Czucia jego atoli posiadają bardzo słaby koloryt lokalny.

Najbardziéj wykształconym organem zmysłowym i dla tego dostarczającym najliczniejszych informacyi o świecie zewnętrznym— jest wzrok. Zawdzięcza on swe znaczenie temu, że obdarzony jest ruchem i jaknajściśléj połączony jest z czuciem mięśniowém, że posiada wysoką zdolność odczuwania najmniejszych różnic w doznawanych wrażeniach tak świetlnych, jak i ruchomych, a następnie, że wrażenia siatkówki mają silny koloryt lokalny.

Osobne miejsce w szeregu zmysłów należy się czuciu mięśniowemu, które pochodzi nie od działania na jego organ przedmiotów zewnętrznych, ale od działania samegoż organu-mięśni. Dla tego téż, kiedy wszystkie inne zmysły są bierne, zmysł mięśniowy jest czynnym. Działaniom jego towarzyszy czucie energii, usiłowania. Źródłem tego czucia jest przedewszystkiem inerwacya nerwów odśrodkowych, czyli ruchowych, z którą się łączy czucie nerwów dośrodkowych, czyli czuciowych, naciskanych przy poruszeniach mięśni. Do właściwości jego należy jeszcze i to, że wchodzi on w ścisłe połączenie z innemi zmysłami, a mianowicie z dotykiem i wzrokiem, które téż, o ile się łączą ze zmysłem mięśniowym, mogą być uważane za zmysły czynne. Posiada on przytém wysoką zdolność odczuwania najmniejszych różnic, jakkolwiek czucia jego nie posiadają lokalnego charakteru.

Czucia mięśniowe są dwojakiego rodzaju: czucie ruchu, czyli energii niehamowanéj, czego przykładem jest ruch ręki w próżnéj przestrzeni, i czucie oporu. czyli energii hamowanéj, które objawia się, kiedy np. popychamy lub podnosimy ciężar.

Czucie ruchu różni się znowu stosownie do tego, w jakim kierunku i z jaką chyżością ruch odbywa się, oraz jak długo trwa i jaki zakres obejmuje.

Zmysły nie u wszystkich ludzi są jednakie. A jakkolwiek indywidualne różnice pod tym względem pochodzą z ich ukształtowania, w czém dziedziczność ważną odgrywa rolę, przecież wielkie ma znaczenie dla ich wykształcenia wprawa. Doskonałość zmysłów zależy nie na saméj tylko zdolności odczuwania różnic, ale i podo-

bieństw, jakie zachodzą między ich wrażeniami. Otóż jak jedno, tak i drugie nabywa się i wyrabia przez ćwiczenie.

3. Wiadomo już nam, że zmysły dostarczają tylko surowego materyału, który umysł obrabia, łącząc z sobą pojedyńcze wrażenia lub je rozdzielając. Pierwszą czynnością umysłu poznającego jest postrzeganie, które autor określa w sposób następujący: „Postrzeganie jest czynnością, za pomocą której umysł, odróżniwszy i utożsamiwszy rzeczywiste wrażenie proste lub złożone (z wrażeniami uprzednio doznanemi), uzupełnia je szeregiem wrażeń wznowionych, czyli przypomnianych i całą tę grupę zespolonych wrażeń rzeczywistych i odtworzonych ujmuje w formę postrzeżenia, które jest pozornie bezpośredniém poznaniem (intuicyą) przedmiotu, znajdującego się w danéj chwili w pewném miejscu przestrzeni."

Istotę postrzegania stanowi umiejscowianie wrażeń zmysłowych. Wrażenia organiczne odnosimy do pewnéj części obwodu naszego ciała, wrażenia zaś innych zmysłów wyrzucamy nie jako po za siebie i umiejscowiamy w przedmiotach zewnętrznych, które uważamy za ich przyczyny.

Postrzeganie może nastąpić wtedy dopiero, gdy umysł drogą doświadczenia codziennego zostanie zaopatrzony w pewien zasób wrażeń. Postrzeganie bowiem dokonywa się przez odróżnianie i utożsamianie wrażeń danych z wrażeniami przeszłemi. Zaczyna się ono więc w bardzo wczesnéj dobie życia i odtąd towarzyszy wszelkim wrażeniom. Jakoż w późniejszym życiu niepodobna oddzielić wrażeń zmysłowych od postrzeżeń. Lubo postrzeżenia dokonywają się w zakresie wszystkich zmysłów, głównemi atoli narzędziami jego są zmysły czynne dotyku i wzroku. W wieku dziecinnym zmysł dotyku przeważną odgrywa rolę w postrzeganiu i dopiero później ustępuje miejsca wzrokowi, który, wykształciwszy się pod jego kierunkiem, staje się w końcu jedynym prawie organem postrzegania.

Zmysł dotyku, który jedynie daje nam poznać twardość i ciężar, dwie najważniejsze własności ciał, wprowadza nas w najściślejszy związek ze światem zewnętrznym. Za jego pomocą również nabywamy intuicyi przestrzeni, któréj podstawę stanowi grupa jednoczesnych wrażeń dotykowych, odznaczających się miejscowym kolorytem, oraz czucia mięśniowe, towarzyszące ruchowi ręki.

Oprócz tego, za pośrednictwem zmysłu dotyku poznajemy względne i bezwzględne położenie przedmiotów, ich kształt, bryłowatość, wielkość, ilość, ich ruch i temperaturę, twardość i ciężkość, gładkość i chropowatość.

Nie podobna mi, idąc za autorem, wdawać się w szczegółowy rozbiór wszystkich doświadczeń, za pomocą których zmysł dotyku,

połączonego z ruchem, dochodzi do wytworzenia właściwych sobie postrzeżeń o świecie zewnętrznym. Dość, że postrzeżenia dotykowe są pierwsze, które dają nam bezpośrednio poznać istotne własności ciał i świata zewnętrznego, i które dla ludzi, pozbawionych od urodzenia wzroku, stanowią jedyny prawie zasób ich wiedzy. W postrzeżeniach dotykowych przeważa pierwiastek obecny (*presentative*) nad przedstawionym, odtworzonym (*representative*). Dla tego też zakres ich ogranicza się w danéj chwili do małéj tylko cząstki świata zewnętrznego, a mianowicie do tych tylko przedmiotów, których można jednocześnie się dotknąć.

Różnią się od nich pod tym względem postrzeżenia wzrokowe. Dla tych dostępnemi są nie tylko przedmioty bliskie, ale i w znacznéj znajdujące się odległości, jak np. ciała niebieskie. Jednym rzutem oka zdolni jesteśmy objąć rozległą grupę przedmiotów w najróżnorodniejszych kierunkach i w różnéj od nas odległości znajdujących się.

W postrzeżeniach wzrokowych działają te same czynniki, co i w dotykowych, a mianowicie: czucie mięśniowe, towarzyszące ruchom oczu i lokalny koloryt wrażeń siatkówki.

Wzrokowa przestrzeń tak samo, jak i dotykowa, składa się z grupy współczesnych wrażeń siatkówki, odznaczających się miejscowym kolorytem, skojarzonéj z czuciami mięśniowemi, towarzyszącemi ruchom oczu. W postrzeżeniu wzrokowém przestrzeni, oczy, poruszając się w kierunku pionowym i poziomym i naprowadzając w ten sposób najczulszy punkt siatkówki na różne miejsca powierzchni przedmiotu, działają na podobieństwo rąk, przesuwających palce po powierzchni przedmiotu, ażeby dać możność zmysłowi dotyku poznać kolejno wszystkie jego części Oczy nasze jednakże, poruszające się swobodnie z góry na dół, oraz na lewo i na prawo, nie mogą odbywać ruchu naprzód ani w tył, dla tego też w postrzeżeniu wzrokowém przestrzeni bezpośrednio dane są tylko dwa wymiary. Co się tyczy głębokości — takową poznajemy tylko za pośrednictwem dotyku. Głębokość bowiem nie jest czém inném, jak odległością pewnych punktów od punktu wyjścia. Otóż wszelka odległość dostępna jest tylko dla dotyku, połączonego z ruchem ręki lub też całego ciała. Nie mniéj jednakże wzrok nie jest całkiem pozbawiony zdolności postrzegania odległości, i, co za tém idzie, głębokości, bryłowatości ciał. Wzrok do oceniania odległości posiada dwa środki, a mianowicie: sprowadzanie osi widzenia do punktu przecięcia bliższego lub dalszego, oraz tak zwaną akomodacyę oka. Każdéj z tych czynności towarzyszą właściwe czucia mięśniowe, które same przez się nie mają znaczenia, ale nabierają go, gdy się

skojarzą ze współczesném doświadczeniem dotyku czynnego. W ten sposób stają się one symbolicznemi znakami, które w postrzeżeniach wzrokowych nabierają tém dokładniejszego znaczenia, im silniéj skojarzyły się z wrażeniami dotykowo-ruchowemi. Dla tego téż twierdzenie, że przedmioty zewnętrzne przedstawiają się naszym oczom, jako płaskie, tak mianowicie, jak je widzą w pierwszych chwilach po dokonanéj operacyj ślepi od urodzenia, a zapewnie i niemowlęta—nie jest słusznóm.

Wzrokiem poznajemy również kształt, wielkość pozorną, ruch przedmiotowy, względne położenie przedmiotów i ich ilość; ale wielkość rzeczywistą przedmiotów i ich położenie bezwzględne, tj. położenie ich części względem naszego ciała, a mianowicie, która z nich leży w górze, a która w dole, która po prawéj, a która po lewéj ręce—dają się poznać tylko za pomocą dotyku czynnego. I to właśnie tłómaczy, dla czego przedmioty, które na siatkówce mają położenie odwrócone, widzimy prosto. Fakt ten jest wynikiem doświadczenia dotykowego. Za jego współudziałem również dwa obrazy naszych oczu zlewają się w postrzeganiu w jeden, jakkolwiek ważną przytém odgrywają rolę symetryczne punkty siatkówek naszych oczu.

„Przekonywa to nas, że jakkolwiek postrzeganie wzrokowe w dojrzałym wieku jest czynnością automatyczną, jest ono przecież wypadkiem licznych doświadczeń. Prawdopodobnie, że dziecko w związku z odziedziczonym układem nerwowym przynosi z sobą usposobienie wrodzone do koordynowania wrażeń siatkówki z wrażeniami ruchowemi oka, oraz wzrokowych wrażeń, jako całości, z doświadczeniem dotyku czynnego.“

„Pomimo, że widzenie jest w ten sposób oparte na postrzeganiu dotykowém, przewyższa ono to ostatnie tak pod względem delikatności w ocenianiu najmniejszych różnic, jako i w tém, że jest bardziéj rozumowém. Widzenie jest czemś wiecéj, niż samém przetłómaczeniem dotykowego poznania na nowy język, lub prostém jego skróceniem. Spotęgowuje, udoskonala ono to poznanie pod tym względem, że jego pierwiastki czuciowe łatwiéj dają się odróżniać i dzielić i przez to mogą wchodzić w liczniejsze kombinacye.“

Postrzeganie własnego naszego ciała dokonywa się za pomocą dotyku czynnego, któremu towarzyszy podwójne czucie—palców lub całéj dłoni, za pomocą któréj dotykam się i miejsca dotkniętego, które się nadto odznacza kolorytem lokalnym. Pod kierunkiem tego doświadczenia wzrok poznaje względne położenie części ciała i wytwarza pewien rodzaj mapy, w któréj te części ułożone są we właściwych sobie miejscach.

Ponieważ dziecię powoli tylko wyrabia w sobie zdolność refleksyjną, za pomocą której zwracać możemy uwagę na to, co się wewnątrz nas dzieje, na stany naszego umysłu, przeto nie odróżnia ono swego ciała od jaźni. Następuje to dopiero późniéj, i to w miarę, jak ustala się w niém przeświadczenie o stałości zewnętrznych przedmiotów, co jest już dziełem wyższéj czynności umysłowéj.

Oprócz postrzeżeń dotykowych i wzrokowych, są jeszcze postrzeżenia słuchowe. Postrzeżenie słuchowe przestrzeni jest bardzo wadliwe—z trudnością tylko zdolni jesteśmy poznawać miejsce, z którego dźwięk nas dochodzi, oraz jego odległość. Za to postrzeżenia słuchowe czasu odznaczają się największą dokładnością—i téj to właśnie doskonałości ucha pod względem oceniania stosunków czasowych zawdzięczają muzyka i mowa ludzka swój rozwój.

Wszelkie postrzeganie wymaga w pewnym stopniu natężenia uwagi. Im z większą zastanawiamy się uwagą nad rzeczą i usiłujemy poznać wszystkie jéj szczegóły, tém postrzeganie staje się systematyczniejszém—i wtedy przybiera charakter obserwacyi. Obserwacya zatém nie jest czém inném jak usystematyzowaném postrzeganiem.

Władysław Kozłowski.

DRUGI WALNY ZJAZD

TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

WE LWOWIE.

Rzadko która instytucya wykazać zdoła w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu istnienia tak dodatnie i ważne rezultaty swéj działalności, jak galicyjskie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych. Zawiązane w kwietniu 1884, powitane zostało w szerokich kołach społeczeństwa z radością, jako rzecz nie tylko pożyteczna ale i potrzebna, a skierowawszy swą działalność zaraz od samego zawiązku na właściwe tory, uprawniało do pięknych a daleko sięgających nadziei. Obrady walnego zjazdu Towarzystwa, odbytego we Lwowie podczas Zielonych świąt b. r. ziściły te nadzieje w zupełności; może je nawet przewyższyły. Opuszczaliśmy salę obrad z podniosłym nastrojem umysłu, dumni, że się pochlubić możemy tak żywotną w stosunkach naszych instytucyą; opuszczaliśmy ją z szczerém uznaniem dla pracy i zasług stanu nauczycielskiego, który związany w jedno stowarzyszenie, dał dowody, iż zadanie swoje uczciwie i rzetelnie pojmuje, i dobréj myśli, rzuconéj pośród siebie, nie da pójść na marne.

W tém żywém zainteresowaniu się sprawą Towarzystwa ze strony nauczycieli, w umiejętném a sprężystém jego kierownictwie ze strony zarządu, leży niewątpliwie wiele czynników, które rozwój jego umożliwiły i przyśpieszyły. Właściwa jednak tajemnica jego żywotności tkwi jeszcze głębiéj: w saméj naturze stosunków, wśród których Towarzystwo powstało, a które nie tylko usprawiedliwiają jego racyą bytu, ale nadto wskazują wyraźnie na konieczność jego istnienia.

Ktokolwiek tylko nieuprzedzoném okiem rozpatrzéć się zechce w stosunkach szkolnictwa galicyjskiego z ostatnich lat kilkunastu, ten przyznać musi, że w czasie tym osiągnięto nie mało dodatnich

rezultatów, że rozwój szkolnictwa tego jest na drodze coraz dalszego rzeczywistego postępu. Zapewne, że nie we wszystkich kierunkach można było iść naprzód jednakowym, równo wymierzonym krokiem; ale też zważyć trzeba, że olbrzymie zadanie reformy, jakie w tym względzie przedstawiało się do urzeczywistnienia, nie od razu dało się objąć w całości; że trzeba było przedewszystkiém zająć się szczegółami ważniejszymi, sprawami niecierpiącemi zwłoki, i tym najprzód poświęcić uwagę, ażeby potém przejść do innych kwestyi, dla których chwilowa zwłoka nie przedstawiała niebezpieczeństwa. Najbardziéj zaś piekącą ze wszystkich spraw było podniesienie wychowania elementarnego. Ku temu celowi zwrócono się też przed wszystkimi innymi. Zarówno sejm galicyjski, jak i rada szkolna krajowa rozwinęły sprężystą działalność, ażeby podnieść i ulepszyć stan szkół ludowych, wydoskonalić metodę nauczania, pomnożyć ich liczbę, zaopatrzyć je wreszcie w odpowiednio wykształcone, fachowe siły nauczycielskie. Nie małą dźwignią około podniesienia szkolnictwa ludowego stało się istniejące od dłuższego czasu Towarzystwo pedagogiczne, z siedzibą główną we Lwowie i całą siecią filii po kraju, które pomiędzy stanem nauczycieli ludowych potrafiło wytworzyć poczucie solidarności i wspólności interesów, zagrzać ich do wytrwałéj a racyonalnéj pracy w swoim zawodzie, które, jedném słowem, podniosło stan ten moralnie. Kto dzisiaj bada bliżéj urządzenie i wartość galicyjskich szkół elementarnych, i porówna je z temi, jakie widział przed laty dwudziestu, ten przyznać musi, że około podniesienia ich zdziałano bardzo wiele w ciągu tego stosunkowo krótkiego czasu.

Nie chcemy oczywiście twierdzić, jakoby stosunki dzisiejsze były już idealnie doskonałemi. Szkolnictwo ludowe w Galicyi ma jeszcze wiele braków, których usunięcie jest zadaniem przyszłości, a praca nad dalszym jego rozwojem musi być ciągle jeszcze wytrwałą i nieustającą. Przyznaliśmy tylko postęp względny, ale widoczny. A zarazem chcieliśmy zaznaczyć, że z chwilą, w któréj przynajmniéj z grubsza zreformowano ten dział wychowania publicznego, nadszedł czas, kiedy trzeba było objąć horyzont szerszy i zwrócić bliższą uwagę na podniesienie innych działów edukacyi, przedewszystkiém zaś t. z. szkół średnich, t. j. gimnazyów i szkół realnych. Nie da się zaprzeczyć, że w ostatnich czasach i na tém polu postąpiono o kilka kroków naprzód, ale w stosunku do tego, co zrobiono dla szkolnictwa ludowego, był to postęp nieznaczny. Wpłynęły na to dwie głównie okoliczności. Naprzód bowiem urządzenie szkół średnich w Galicyi nie przedstawiało tylu braków, ile organizacya szkół elementarnych; powtóre zaś, w myśl obowiązujących

ustaw, przysługuje władzom krajowym, mianowicie zaś sejmowi i radzie szkolnéj, o wiele szczuplejszy zakres atrybucyi co do urządzania stosunków w szkołach średnich aniżeli w szkołach elementarnych; w wielu tedy względach nie wystarczały nawet chęć i dobra wola władz krajowych, które pozostawiać musiały ostateczne rozstrzygnięcie centralnym organom austryackim.

Bądź-co-bądź jednak, kwestya poprawy stosunków w szkołach średnich nie była rzeczą, nad którąby kraj przejść mógł do porządku dziennego. Pewne braki, które początkowo mniéj zdawały się razić, z biegiem czasu występowały na jaw coraz jaskrawiéj; a nadto sama istota szkolnictwa galicyjskiego, regulowanego z góry przeważnie na tę samę modłę, jak w innych prowincyach austryackich, wymagającego jednak w licznych wypadkach uwzględnienia stosunków miejscowych, prowincyonalnych, nawoływała do wzięcia inicyatywy w reformie, inicyatywy, do któréj szczególniéj musiał się czuć powołanym sam kraj, jego władze autonomiczne, społeczeństwo, przedewszystkiém zaś stan nauczycielski, żyjący w codziennéın zetknięciu ze sprawami szkolnemi, bogaty w doświadczenie i szereg praktycznych wiadomości, jakie zrodzić musi każda praca zawodowa. Ale w jakiejże formie wystąpić mieli nauczyciele z tą inicyatywą? Niezwiązani w żadną korporacyą, działać mogli chyba każdy na własną rękę, w odosobnieniu. Nie potrzeba tłómaczyć, że nie była to właściwa droga do wytkniętego celu. Jak wszędzie, tak i tutaj okazała się potrzeba połączenia sił rozstrzelonych w jedną całość, ażeby przy wspólném zajęciu się przedmiotem zyskać należytą podstawę do dalszego działania, rozszerzyć sobie horyzont jego, wreszcie zaś uchronić się od możliwych zboczeń, którym odosobniona jednostka daleko łatwiéj ulegać może.

Wychodząc z tego punktu widzenia, podjęto we Lwowie, z początkiem marca r. 1883 myśl założenia Kółka nauczycieli szkół wyższych, które, jako składowa część Towarzystwa pedagogicznego, postawiło sobie za cel uzupełniać prace przezeń podejmowane, przez bliższe zajęcie się sprawą szkół średnich. Od pierwszéj chwili zawiązania się, Kółko to skupiło około siebie poważny zastęp nauczycieli. Nie stanowiąc żadnego samodzielnego organu, nie mogąc zwłaszcza wystąpić samoistnie na zewnątrz, musiało Kółko ograniczyć początkowo działalność do skromnych rozmiarów. Najgłówniejszym punktem téj działalności było wspólne omawianie spraw dydaktycznych i pedagogicznych, na posiedzeniach odbywanych regularnie co miesiąc. Poruszano zagadnienia ciekawe i ważne, jak np. rzecz o wypracowaniach piśmiennych, o lekturze polskiéj w klasach wyższych, o egzaminach wstępnych do

pierwszéj klasy szkół średnich, o podręcznikach w nauce geografii, o uproszczeniach w nauczaniu fizyki, o najnowszym kierunku gramatycznym, o nauce matematyki i t. p. Nadto postanowiło Kółko zająć się ułożeniem szczegółowéj instrukcyi do nauki języka polskiego w szkołach średnich i wybrało w tym celu komisyą, złożoną z sił fachowych, poruczając jéj wykonanie tego zadania. Wreszcie zajęto się z samego początku kwestyą polepszenia opłakanych sto- stosunków t. z. suplentów szkół średnich—rzecz, którą poniżéj omówimy dokładnie—i wystosowano w tym celu dwie petycye do sejmu galicyjskiego i austryackiéj rady państwa, które niestety, dotychczas nie przyniosły jeszcze pożądanych rezultatów.

Życzliwe przyjęcie, jakiego czynności Kółka zewsząd doznały, oraz nasuwająca się sama z siebie potrzeba rozszerzenia zakresu jego działalności, która w dotychczasowéj formie nie mogła się należycie rozwinąć, skłoniły zarząd do podjęcia starań celem utworzenia osobnéj, samoistnéj Sekcyi nauczycieli szkół wyższych w łonie Towarzystwa pedagogicznego, którąby miała dążyć do popierania wszelkich spraw, zostających w związku z pomyślnym rozwojem szkół wyższych (mianowicie zaś t. z. szkół średnich, w przeciwstawieniu do elementarnych). Odbyte w tym celu walne zgromadzenie Towarzystwa pedagogicznego zmieniło odpowiednio statut towarzystwa i przedstawiło go do zatwierdzenia władzom przełożonym. Tu jednak zaszła nieprzewidziana przeszkoda. Ministerstwo spraw wewnętrznych zabroniło reskryptem z 15 grudnia 1883 utworzenia osobnéj sekcyi, z następujących powodów: 1) dla tego, że podanie przez zarząd wniesione, nie zawierało bliższych szczegółów o wewnętrznym ustroju sekcyi; 2) że kółka (t. j. kółko lwowskie, tudzież te, któreby się w przyszłości utworzyć miały w innych miastach) nie mając prawa do samoistnego występowania na zewnątrz, według przepisów ustawy o stowarzyszeniach nie mogą tworzyć związku; 3) że utworzenie krajowéj sekcyi nauczycieli szkół wyższych mogłoby naruszyć powagę zwierzchności szkolnéj.

Była chwila, w któréj można się było obawiać, że myśl dobra, dla braku formalności, upadnie; a groziło przytém niebezpieczeństwo, że raz porzucona, znowu długiego będzie potrzebowała czasu, zanim ją kto na nowo podniesie i w czyn zamieni. Na szczęście inicyatorowie sprawy nie cofnęli się przed trudnościami. Ponieważ głównie chodziło tylko o formalności, przeto postanowiono je ominąć, i zamiast tworzyć odrębną sekcyą w łonie Towarzystwa pedagogicznego, powzięto myśl (na wniosek prof. uniw. lwow. dra Bronisława Radziszewskiego) utworzenia całkiém samoistnego Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, obejmującego kraj

cały i działającego zupełnie niezawiśle od Towarzystwa pedagogicznego. Tak więc odmowna odpowiedź ministerstwa, na pozór dla sprawy szkodliwa, sprowadziła w rezultacie najkorzystniejsze jéj rozwiązanie. Nie trudno bowiem dojrzéć, że pomysł utworzenia samoistnéj korporacyi, niezawisłéj od innych, był najszczęśliwszym ze wszystkich, jakie dotychczas powzięto. Gdyby nawet była przyszła do skutku owa projektowana sekcya nauczycieli szkół wyższych, jako osobny oddział Towarzystwa pedagogicznego, nie byłaby ona w stanie rozwinąć tak skutecznéj działalności, jak całkiém osobne Towarzystwo. Byli wprawdzie tacy, którzy się obawiali, że rozstrzelenie sił nauczycielskich na dwa stowarzyszenia osłabi tylko dawniejsze, a nowemu nie zapewni warunków żywotności; zapomnieli jednak, że nie chodzi tu o rozstrzelenie, ale właśnie o skupienie tych sił; to zaś, co oni nazywali rozstrzeleniem było tylko racyonalnym podziałem pracy, który tak tu, jak i wszędzie indziéj dodatnie tylko przynieść może skutki. Byli znowu inni, którzy opierając się na treści ostatniego motywu w reskrypcie ministeryalnym, obawiali się, iżby nowe Towarzystwo nie weszło w kolizyą z krajową radą szkolną. Atoli i te obawy były płonne, bo działalność jego zmierzała przecież tylko do poparcia jednego z celów, do których dąży rada szkolna: do reformy szkół średnich; nie było zatém obawy, iżby instytucya ta nieprzychylném miała patrzéć okiem na usiłowania w tak szlachetnéj podjęte myśli, a zmierzające tylko do ułatwienia jéj zadań. Najbliższa przyszłość wykazała téż w zupełności bezzasadność tych obaw.

Po załatwieniu czynności przedwstępnych, mianowicie zaś ułożeniu statutu i zatwierdzeniu go przez namiestnictwo, zwołanym został do Lwowa na dzień 9 kwietnia 1884 r. pierwszy walny zjazd, którego zadaniem było ukonstytuować się przedewszystkiém w Towarzystwo, następnie zaś porozumiéć się bliżéj co do kierunku działania, jakiby mu na przyszłość wytknąć należało. Na czele wydziału towarzystwa, z dwunastu członków złożonego, stanęli profesor uniw. Radziszewski, jako przewodniczący i dyrektor gimnazyum III-go we Lwowie, dr. Zygmunt Samolewicz, jako jego zastępca.

Statut przez walne zgromadzenie przyjęty wskazuje jako cel towarzystwa: popieranie wszelkich spraw, mających na względzie rozwój szkół wyższych lub dobro ich nauczycieli; wzajemne udzielanie sobie najnowszych zdobyczy naukowych tudzież spostrzeżeń i doświadczeń w praktyce nauczycielskiéj; zaznajamianie szerszéj publiczności z ustrojem szkół wyższych; pokrzepianie ducha koleżeństwa wśród stanu nauczycieli przez wzajemne zbliżanie się i wymianę myśli. Do urzeczywistnienia powyższych celów służą nastę-

pujące środki: posiedzenia zwyczajne, odbywane przez każde koło przynajmniéj raz na miesiąc, z porządkiem dziennym, obejmującym wykłady lub odczyty połączone z dyskusyami, roztrząsanie spraw pedagogiczno-dydaktycznych i organizacyjnych w zakresie szkół wyższych, oraz załatwianie innych spraw bieżących; daléj zgromadzenia walne, odbywające się raz na rok w miejscu przez wydział oznaczonéni, powołane do omawiania tych samych spraw, jakie wchodzą w zakres czynności przedsiębranych na posiedzeniach; wnoszenie memoryałów i petycyj do władz, w sprawach dotyczących szkół wyższych i ich nauczycieli; wydawanie pism treści naukowéj, a przedewszystkiém czasopisma poświęconego sprawom szkół wyższych, jeżeli na to fundusze pozwolą; urządzanie odczytów publicznych, wreszcie znoszenie się z podobnemi towarzystwami w państwie austryackiém. Członkowie Towarzystwa dzielą się na honorowych i zwyczajnych. Członkiem honorowym może być każdy, który na polu oświaty lub około rozwoju Towarzystwa znakomite położył zasługi; członkami zwyczajnymi (czynnymi) mogą być: nauczyciele szkół wyższych tj. uniwersytetów, szkół politechnicznych, szkół specyalnych, seminaryów nauczycielskich, gimnazyów i szkół realnych, jak nie mniéj osoby zajmujące się sprawami szkół wyższych.

Nowo wybrany zarząd przystąpił bezzwłocznie z energią do organizowania filii czyli kół Towarzystwa w poszczególnych miastach, a poparty wszędzie dobrą wolą stanu nauczycielskiego, doprowadził w krótkim czasie do znacznych w tym kierunku rezultatów. Prócz koła lwowskiego zawiązało się w ciągu roku jeszcze pięć innych kół: w Krakowie, Przemyślu, Drohobyczu, Tarnowie i Stanisławowie. Nauczyciele innych miast nie połączyli się wprawdzie dotąd w osobne koła, ale należą prawie bez wyjątku do towarzystwa jako członkowie kół istniejących w sąsiednich miejscowościach. Dowodem prawdziwego zainteresowania się nową instytucyą, jak nie mniéj jéj żywotności i rozwoju jest znaczny wzrost liczby członków w ciągu ostatniego roku. W chwili zawiązania się przystąpiło do niego zaledwie 200 członków; do końca kwietnia 1885 r. liczba ich doszła do pokaźnéj sumy 482. Korzystnie téż przedstawia się rozkład téj cyfry na poszczególne kategorye szkół, świadcząc, że idea przewodnia Towarzystwa znalazła wszędzie prawdziwe uznanie. I tak mianowicie przypada stąd: na uniwersytety 44, na szkołę politechniczną 3, na akademią przemysłowo-techniczną 4, na szkołę sztuk pięknych 1, na gimnazya 305 (dyrektorów 12, profesorów 169, zastępców nauczycieli 124); na szkoły realne 63 (dyrektorów 4, profesorów 45, zastępców nauczycieli 14); na seminarya nauczycielskie 9 (dyrektor 1, profesorów 8). Oprócz tego należy do grona członków Towarzystwa: 1 in-

spektor szkolny krajowy, 1 radca szkolny, 5 inspektorów okręgowych, 12 nauczycieli innych kategoryi; 34 osób nie należących do stanu nauczycielskiego.

Poparcie to i uznanie, jakiego Towarzystwo zewsząd doznało, usprawiedliwiło ono działalnością swoją w zupełności. Z dwóch zaś stron wychodziła ta działalność: naprzód od zarządu lwowskiego, jako organu centralnego, powtóre zaś od poszczególnych kół.

Zarząd położył prawdziwą zasługę, wykonywując uchwałę walnego zgromadzenia w sprawie wydawnictwa czasopisma poświęconego sprawom szkół wyższych. Czasopismo to, pod tytułem: „Muzeum“, wydawane w zeszytach miesięcznych od początku r. 1885 przez komitet redakcyjny, w którym przedwodnictwo objął prof. Palmstein, stanęło od razu na wysokości swojego zadania. Jestto, o ile nam wiadomo, pierwsze u nas pismo poświęcone wyłącznie sprawom szkolnictwa wyższego, redagowane w sposób umiejętny i ze zrozumieniem rzeczy. Za wzór obrało sobie wprawdzie wychodzącą w Wiedniu: *Zeitschrift für österreichische Gymnasien* tudzież inne podobne niemieckie czasopisma, ale trzeba mu przyznać, że nie popadło w ślepe naśladownictwo, lecz umiało wszędzie zastosować się do potrzeb i warunków miejscowych. Prócz części, niejako urzędowéj, zawierającéj sprawozdania z działalności zarządu i kół, podaje każdy zeszyt artykuły w sprawach bieżących, o ile zostają w związku z kwestyą szkolnictwa wyższego, czasami także specyalne rozprawy naukowe, wreszcie zaś zawiera bogaty dział recenzyi książek szkolnych i naukowych tudzież wiadomości z zakresu szkoły i nauki. Kto się bliżéj przypatrzył trudnym warunkom, z jakiemi nauczyciele w pomniejszych miastach Galicyi walczyć muszą, ażeby iść razem z ciągłym rozwojem nauki i przyswajać sobie najnowsze jéj zdobycze, ten zrozumie, jakie usługi oddaje im „Muzeum,“ utrzymując ich w ustawiczném zetknięciu z postępem umiejętności. Nadto zaś, częste poruszanie spraw bieżących i gruntowne ich wyświecanie podaje im cenne wskazówki do zoryentowania się w swém położeniu, obowiązkach, a zarazem zaostrza ich pogląd na sprawy zawodu i stosunki szkolne.

Nie mniéj energiczną działalność rozwinęły także sekcye Towarzystwa. W odczytach i wykładach poruszano najżywotniejsze kwestye pedagogiczno-dydaktyczne, wyjaśniane wszechstronnie w wyczerpujących dyskusyach, które po nich następowały. Najbogatszą w rezultaty była działalność dwóch kół: lwowskiego i krakowskiego, z których ostatnie, wyposażone w większą od innych autonomią, cieszy się pod umiejętném kierownictwem prof. Bobrzyńskiego, najpomyślniejszym rozwojem. Jednym z najciekawszych tematów, na po-

siedzeniach tego koła poruszonych, było wyjaśnienie wzajemnego stosunku między wychowaniem domowém a szkolném. Gruntowny referat dra Germana o téj sprawie wywołał dyskusyą, która się ciągnęła przez kilka posiedzeń. Lwowskie zaś koło, podejmując dalszą pracę nad rzeczą, poruszoną jeszcze przez dawniejsze, przed zawiązaniem Towarzystwa istniejące Kółko, ogłosiło drukiem elaborat komisyi, wybranéj w celu ułożenia instrukcyi do nauki języka polskiego, w opracowaniu prof. Franciszka Próchnickiego.

Wśród téj cichéj, powiedzielibyśmy, więcéj wewnętrznéj pracy, zbliżał się czas, kiedy w myśl statutu należało zwołać walne zgromadzenie. Była to chwila, w któréj nauczyciele szkół wyższych stanąć mieli po raz pierwszy wobec społeczeństwa i kraju jako jedna, w ścisły związek zorganizowana całość, w któréj złożyć mieli dowody, czy i o ile rozumieją swe powołanie i obowiązki, jak się zapatrują na potrzeby szkolnictwa, jakie na podstawie długoletniéj praktyki obmyślili środki, celem usunięcia jego wad i uzupełnienia braków. Była to chwila, w któréj najsnadniéj było wystąpić z inicyatywą reformy, o ile zachodziła jéj potrzeba; jasną bowiem było rzeczą, że lubo Towarzystwo reformy téj samo przeprowadzić nie może, to jednak zdanie, które wypowie tak kompetentne zgromadzenie, zaważy nie mało na szali u władz decydujących. Była to wreszcie chwila, w któréj rozrzuceni po rozmaitych stronach kierownicy oświaty mieli się zbliżyć do siebie, porozumiéć co do ducha, w jakim działać mają na przyszłość, wyrównać różnice, jakie między nimi zachodzą, pouczyć się wreszcie nawzajem, ażeby wychowaniu młodzieży nadać jednolity, na racyonalnych podstawach oparty kierunek. Zrozumiałą była każdemu ważność zbliżającego się (na Zielone Święta b. r. zwołanego) zjazdu; zrozumiał ją przedewszystkiém zarząd Towarzystwa. Za jego inicyatywą opracowano cały szereg ważniejszych kwestyi, w osobnych referatach, które następnie poddano pod dyskusyą i uchwały zgromadzenia. Rozpatrzmyż się bliżéj w tym ciekawym a obszernym, roztrząśniętym na zjeździe materyale, który z dwojakiego względu zasługuje na uwagę: raz dla tego, że pozwala ocenić całą dodatnią stronę działalności Towarzystwa, powtóre dla tego, że rzuca wiele żywego światła na stosunki szkolnictwa galicyjskiego.

Pierwszą z porządku dziennego, a zarazem najdokładniéj na zjeździe omówioną kwestyą była sprawa nauczania języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych. Dwaj referenci, prof. Próchnicki i Sędzimir, pierwszy w imieniu wydziału, drugi w imieniu koła krakowskiego, przedstawili braki, jakie pod tym względem odczuwać się dają, a zarazem środki, któreby im zapo-

biec mogły. Od czasu, kiedy w szkołach galicyjskich zaprowadzono język polski jako wykładowy, zrobiono wprawdzie bardzo wiele dla zapoznania młodzieży z naukowemi jego zasadami i prawidłami, i przyznać trzeba, że polszczyzna, jakiéj dzisiaj używają w Galicyi, jest znacznie lepszą od téj, jaka panowała tamże przed laty kilkudziesięciu, kiedy uczono wyłącznie w języku niemieckim. Z tém wszystkiém jednak, rezultat nauki języka polskiego nie jest jeszcze zadowalniającym, a to z następujących powodów.

Przedewszystkiém brak jest *szczegółowéj instrukcyi dla nauki tego języka*. Skutkiem tego nie ma w całym kraju dwóch zakładów naukowych, w którychby plan nauki tego przedmiotu zupełnie jednostajnie był przeprowadzony. W jednéj i téj saméj klasie uczą np. z gramatyki: tu fleksyi, tam składni, gdzieindziéj znowu etymologii; są zakłady, gdzie niektórych części gramatyki (np. etymologii) w zupełności się nie uwzględnia. Podobnaż niejednostajność okazuje się w innych częściach nauki języka polskiego, a szczególniéj co do lektury w klasach wyższych, któréj zadaniem jest zapoznać uczniów z najwybitniejszemi utworami literatury polskiéj, bądźto w wyjątkach, bądź téż w całości. Gdzieniegdzie rozkładają to odczytywanie według porządku historycznego, indziéj znowu według rodzajów poezyi i prozy, bez względu na chronologiczne następstwo; są zakłady, gdzie czytają wyjątki z autorów wieku złotego przez dwa lata, w innych tylko przez rok; w jednych poświęcają piśmiennictwu wieku XIX dwie klasy, w innych tylko jednę; w jednych czytają utwory literackie tylko w wyjątkach, w innych niektóre także i w całości; co do tych ostatnich zaś, wybór bywa rozmaity; i tak np. są zakłady, w których czytano Irydyona, Nieboską komedyą itp. rzeczy, trudne do zrozumienia dla ogółu uczniów, przystępne co najwięcéj dla najzdolniejszych z nich. Że taka niejednostajność w traktowaniu przedmiotu nie może wpłynąć na pomyślny rozwój nauki, to oczywista, a potrzeba uregulowania jéj okazuje się konieczną. Również pożądanemi byłyby wskazówki pod względem *metodycznego* obrabiania przedmiotu z uczniami, z którychby korzystać mogli nauczyciele, a których dotychczas nie ma. Wobec takiego stanu, potrzeba wydania *szczegółowéj instrukcyi do nauki języka polskiego* stała się od dawna żywotną, co więcéj, stała się konieczną. Od samego zawiązania Towarzystwa zajęło się téż ono bardzo gorliwie tą sprawą. Złożona przezeń komisya, o któréj już wspomnieliśmy rozebrała dokładnie zasady, na których instrukcya taka miałaby się oprzéć; owocem zaś narad w tym względzie przedsięwziętych były znane nam *wskazówki do nauki języka polskiego*, opracowane przez prof. Próchnickiego. Dziełko to

przesłane poszczególnym kołom do oceny, wywołało żywą dyskusyą naukową, któréj rezultatem był szereg opinii przez koła te nadesłanych, zwłaszcza zaś bardzo gruntowna opinia, opracowana przez koło krakowskie. Walne zgromadzenie rozporządzając tak bogatym materyałem, opartym na teoryi i praktyce, uchwaliło tedy, na wniosek wydziału, polecić raz jeszcze téj saméj komisyi, która obradowała nad „Wskazówkami,“ ponowne opracowanie instrukcyi; instrukcya ta przesłaną zostanie radzie szkolnéj krajowéj z prośbą, ażeby ją bądź to w brzmieniu projektu, bądź téż w formie zmienionéj, jaką uzna za stosowną, wprowadziła jako przepis obowiązujący w nauce języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych.

Dalszą okolicznością tamującą pomyślny rozwój téj nauki jest brak odpowiednich wypisów i to zarówno dla klas niższych (I—IV) jak i wyższych (V—VIII). Wypisy dla klas niższych, jakich w Galicyi używają, mają wprawdzie pewne zalety, wszakże brakuje im jeszcze wiele do prawdziwéj doskonałości. Ustępy w nich pomieszczone, nie zawsze są szczęśliwie wybrane, brak im niejednokrotnie zaokrąglenia, jakie tutaj okazuje się konieczném, brak téż odpowiednich wyjątków z poezyi, wreszcie w całym ich układzie, niekiedy nawet w pisowni nie widać jednolitego kierownictwa. Znacznie gorzéj jeszcze ma się rzecz z wypisami dla klas wyższych. W dwu rozmaitych wydaniach używane są one dotychczas w szkołach galicyjskich. Jedno, składające się z dwu tomów a czterech części, ułożone zostało jeszcze przed rokiem 1860, w czasach kiedy o racyonalnéj nauce jezyka polskiego nie miano w Galicyi dokładnego pojęcia. Widać téż w nich na każdym kroku zupełny brak planu, rażące błędy rzeczowe, wiele niedostatków i luk i więcéj jeszcze niewłaściwości. Używanie takich wypisów jest już dzisiaj anachronizmem, a zarazem rzeczą niebezpieczną, ponieważ skierować może naukę na niewłaściwe tory. A jednak, rzecz dziwna, w ostatnich czasach czytano je jeszcze w ośmiu zakładach naukowych! Daleko korzystniéj przedstawiają się już wypisy Mecherzyńskiego, w dwu tomach, używane we wszystkich innych gimnazyach i szkołach realnych. Widać w nich pewien plan naukowy, zawierają one ustępy niekiedy bardzo trafnie dobrane, ale mimo to nie brak im także wad zasadniczych. Uwzględniają one wprawdzie wielu pisarzy, ale nie dają poznać żadnego z nich dokładnie, przytaczają ustępy z ich dzieł tylko w krótkich wyjątkach. Zresztą znaczna część pomieszczonych tam ustępów jest z treści swojéj nieprzydatna dla szkoły. W końcu nie uwzględniają one niektórych rodzajów poezyi lub prozy, a nadto i wielu pisarzy nowszych, których ze względu na treść ich dzieł, jako téż i świetny język koniecznie uwzględnić należało. Wszystkie

te braki wymagają koniecznie naprawy, i to tém śpieszniejszéj, ile że odpowiednie ułożenie wypisów może dać jedyną podstawę do racyonalnéj lektury, z któréj uczeń poznać może bogactwo języka i nauczyć się strzedz jego czystości. Licząc się z tą potrzebą, przedstawił wydział zebranym członkom do uchwalenia rezolucyą téj treści, iż zgromadzenie uważa wydanie odpowiednich wypisów dla niższych i wyższych klas gimnazyalnych i realnych za rzecz konieczną, jako podstawę metodycznego traktowania nauki języka polskiego. W dyskusyi, jaką wniosek ten wywołał, nie odezwał się nikt z obroną wypisów używanych w klasach wyższych; natomiast padło kilka głosów za zatrzymaniem wypisów wydanych dla klas niższych. Była to jednak niewdzięczna obrona; ci, którzy się jéj podjęli, przyznać musieli sami liczne niedostatki i błędy, wobec czego wydziałowi przyszło z łatwością przeprowadzić swe wnioski w całości. Dodatkowo poruszono jeszcze inną kwestyą, zostającą w związku z omawianym tematem. Ponieważ w wypisach nie dałoby się pomieścić wiele całkowitych, a dłuższych utworów, które w klasach najwyższych bywają czytane, przeto na wniosek prof. Wójcika uchwalono potrzebę wydania utworów tak prozaicznych jak i poetyckich, w całości lub stosownie skróconych, a przeznaczonych do czytania szkolnego lub domowego. Myśl tę, wydawnictwa utworów klasycznych do użytku szkolnego, praktykowaną już od dawna z powodzeniem za granicą, witamy jako bardzo szczęśliwą; należałoby tylko życzyć, aby do zadania tego przystąpiono z należytém przygotowaniem i ażeby je prowadzono według pewnego jednolicie i systematycznie obmyślanego planu.

Nie małą wagę dla pomyślnego rozwoju nauki języka polskiego przedstawia daléj p o w i ę k s z e n i e l i c z b y g o d z i n w y k ł a d o w y c h t e g o p r z e d m i o t u. Według dotychczasowego stanu, przypadają dlań tygodniowo trzy godziny, w klasach najwyższych zwykle dwie. Jestto oczywiście zbyt mało czasu, ażeby przejść gruntownie gramatykę, objąć lekturą większą ilość utworów, a wreszcie znaleść jeszcze sposobność do częstszych wypracowań piśmiennych. Wobec niedostatecznéj ilości godzin wykładowych, nauka języka polskiego nie może stanąć na wysokości swego zadania, musi się z konieczności ścieśnić i ograniczyć. Istnieje wprawdzie okoliczność, która ten niekorzystny stan rzeczy tłómaczy. W szkołach galicyjskich młodzież uczyć się musi obok języka polskiego także i niemieckiego, który nie mało pochłania czasu; stosunek jest tu więc mniéj korzystny, aniżeli w innych prowincyach państwa, zaludnionych przez Niemców, gdzie z języków żyjących obowiązkowym jest tylko niemiecki. Tam poświęcić można nauce języka wykładowe-

go (niemieckiego) znacznie więcéj czasu; w Galicyi konieczność równoczesnego uczenia się dwu języków żyjących spowodowała ograniczenie liczby godzin przeznaczonych dla polszczyzny. Wyjście z tego przykrego położenia przedstawia dylemat trudny do rozwiązania; powiększenie godzin dla języka polskiego wymagałoby bowiem albo zmniejszenia godzin innych wykładów, co jest rzeczą trudną, albo téż zwiększenia ogólnéj ilości godzin wykładowych, co jest już prawie niemożebném, wobec faktu, że młodzież gimnazyalna w Galicyi, jest daleko więcéj przeciążona nauką, niż w innych prowincyach państwa. Nie łudząc się co do trudności, jakich pomyślne rozwiązanie sprawy nastręcza, podniósł jednak wydział, a raczéj koło krakowskie przez usta swego referenta, myśl rozszerzenia czasu dla nauki języka polskiego, a walne zgromadzenie, mimo podnoszonych, nawet z najkompetentniejszéj strony wątpliwości, przyjęło odnośny wniosek. Zapewne, że jestto na razie uchwała tylko teoretycznéj wartości, nie wskazano bowiem środków, jak myśl tę urzeczywistnić w praktyce; prawdziwą zasługą Towarzystwa będzie, jeżeli w dalszéj swéj pracy wynajdzie sposób pomyślnego załatwienia rzeczy; niech nam jednak będzie wolno już teraz zaznaczyć, że nie powinnoby się to stać nigdy kosztem przeciążenia młodzieży, lecz co najwięcéj kosztem uszczuplenia godzin wykładowych dla innych przedmiotów. Ale czy będzie to rzeczą możliwą, i czy władze decydujące zgodzą się na to?

Na podobne trudności ze strony tych władz, choć już nie ze względów zasadniczych, ale fiskalnych, natrafićby musiał czwarty punkt, dotyczący reformy w nauce języka ojczystego: s p r a w a p o w i ę k s z e n i a l i c z b y k w a l i f i k o w a n y c h n a u c z y c i e l i tego przedmiotu. Obecnie jest przy każdym zakładzie j e d e n t y l k o p r o f e s o r, mający specyalną kwalifikacyą do nauki języka polskiego. Nawet w stosunkach dzisiejszych, gdzie na każdą klasę tak mało przypada godzin tego przedmiotu, nie podobna mu poruczać obowiązków uczenia go we wszystkich bez wyjątku klasach: zdarza się tedy zwykle, że nauczyciel kwalifikowany uczy polszczyzny tylko w klasach wyższych, kiedy tymczasem w niższych udzielają tego przedmiotu inni nauczyciele. Rola ta dostaje się zwłaszcza nauczycielom młodszym. Oczywiście znajdą się między niemi tacy, którzy nie mając specyalnéj kwalifikacyi, znają jednak przedmiot doskonale i uczą go z najlepszém powodzeniem; ale są i tacy, którzy nie są do tego odpowiednio uzdolnieni, którzy czasami nawet nie mają należytego w téj mierze naukowego przygotowania. Dyrektorowie, rozkładając naukę, nie zawsze zważają na te okoliczności; z reguły rozstrzyga tutaj wzgląd na ogólną liczbę godzin naukowych,

jaka jest przepisana dla każdego nauczyciela. Jeżeli tedy np. matematykowi, naturaliście, historykowi, brakuje jeszcze kilka godzin do przepisanéj dlań tygodniowo ilości, poruczaną mu bywa nauka języka polskiego w jednéj lub dwu klasach. Wynikają stąd czasem bardzo smutne następstwa: nauczyciel, nie mający warunków a czasem nawet chęci i zamiłowania do nauki tego przedmiotu, zmuszony jest zajmować się nim wbrew swojéj woli. Że na tém cierpi zarówno powaga zakładu jak i postęp naukowy młodzieży, zbyteczném byłoby dowodzić. Najlepszy środek przeciw téj niedogodności leżałby oczywiście w utworzeniu tylu stałych posad nauczycieli, specyalnie kwalifikowanych do udzielania tego przedmiotu, ilu ich w każdym zakładzie okaże się potrzeba; ale zgromadzenie rozumiało dobrze, że postawienie takiego żądania byłoby tylko pobożném życzeniem, które wobec trudności finansowych, musiałoby pozostać na papierze, bez uwzględnienia ze strony władz. Nie pozostawało tedy nic innego, jak tylko załatwić sprawę w sposób mniéj wprawdzie stanowczy, ale za to mający więcéj widoków praktycznego urzeczywistnienia. Uchwalono mianowicie rezolucyą następującą: Walne zgromadzenie wyraża przekonanie, że nauki języka polskiego powinni udzielać tylko nauczyciele do tego przedmiotu uzdolnieni. To znaczy: rezolucya nie żąda wprawdzie, ażeby nauka polszczyzny spoczywała tylko w ręku specyalnie do tego kwalifikowanych nauczycieli, ale licząc się z istniejącym stanem rzeczy, domaga się, ażeby dyrektorowie przy rozkładzie nauki powoływali do udzielenia tego przedmiotu tylko takie siły (mające specyalną kwalifikacyą do innych przedmiotów), które mają przynajmniéj pewne uzdolnienie do tego. W myśl więc téj rezolucyi, już nie wzgląd na uzupełnienie przepisanéj ilości godzin, ale na zdolność uczącego będzie czynnikiem decydującym przy wyborze nauczycieli do języka polskiego.

Z tą ostatnią sprawą, która zamknęła szereg wniosków w kwestyi reformy nauki języka polskiego, zostaje w pokrewieństwie wniosek przedstawiony przez prof. Salę, co do ustanowienia drugiéj stałéj posady nauczycielskiéj dla języka niemieckiego w każdém gimnazyum i w każdéj szkole realnéj. Podobnie jak dla języka polskiego, tak też i dla niemieckiego istnieje przy każdym zakładzie jedna tylko posada specyalnie kwalifikowanego nauczyciela. Ponieważ ilość godzin wykładowych dla języka niemieckiego jest znacznie większą niż dla polskiego, przeto stosunek między siłami nauczycielskiemi, powołanemi do udzielania tego przedmiotu, a czasem, jaki nauce jego poświęcić należy, jest tu daleko jeszcze niekorzystniejszy. Gdybyśmy przyjęli gimnazyum ośmioklasowe bez żadnych klas równoległych, czyli t. z. „paralel-

nych", okaże się, że dla języka niemieckiego potrzeba tygodniowo poświęcić 36 godzin we wszystkich klasach; ale w Galicyi każde niemal gimnazyum ma jeszcze i klasy równoległe, tak, że ta ilość w rzeczywistości jest o wiele jeszcze znaczniejszą. Tymczasem nauczyciel nie jest obowiązany uczyć tygodniowo więcéj nad 16 godzin; pozostaje tedy, nawet w najprostszéj formie, 20 godzin niezapełnionych; ilość, która w rzeczywistości, wobec istnienia klas równoległych zwiększa się jeszcze czasem w dwójnasób. Wobec tego, koniecznością jest znowu poruczać częściowo naukę języka niemieckiego, zwłaszcza w klasach niższych, siłom niefachowym, kwalifikowanym do innych przedmiotów. Stąd płyną rozmaite niedogodności, przedewszystkiém zaś ta, że nauka języka tego dostaje się niekiedy w ręce ludzi, którzy sami dobrze go nie znają, albo znając go wprawdzie, nie są jednak dostatecznie przygotowani, aby go umiejętnie i zpożytkiem uczyli. Młodzież nie może tedy korzystać w odpowiedni sposób z nauki tego przedmiotu, tyle dla niéj ważnego w stosunkach, wśród których żyje i na przyszłość ma działać. Wogóle też zaznaczyć należy, że znajomość niemczyzny nie stoi obecnie u młodzieży galicyjskiéj na poziomie pożądanym, a jakkolwiek składają się na to rozmaite inne okoliczności, to wszakże niewątpliwie i brak odpowiednich sił nauczycielskich odgrywa tu nie małą rolę. Pomysł stworzenia drugiéj stałéj posady nauczycielskiéj dla tego języka, przy każdym zakładzie, zasługuje tedy sam w sobie na poparcie, jako rzecz, która częściowo przynajmniéj mogłaby usunąć zachodzące niedogodności, atoli urzeczywistnienie jego przedstawia znowu, ze względów finansowych i przewidywanego oporu władz, nie małe trudności. Walne zgromadzenie, zapatrując się na tę sprawę z tego samego stanowiska, jakie zajęło poprzednio co do wniosku utworzenia drugiéj stałéj posady dla języka polskiego, nie mogło, ze względów praktycznych przyjąć wniosku prof. Sali bez żadnych zastrzeżeń; uznając jednak ważność sprawy, przekazało ją, na wniosek prof. Ćwiklińskiego, wydziałowi do bliższego zbadania i do przedstawienia swojéj opinii na najbliższym zjeździe.

Drugą kwestyą, bez porównania ważniejszą, co do języka niemieckiego, poruszył referat dra Samolewicza, przedstawiający konieczność wydania osobnéj a szczegółowéj instrukcyi do nauki tego przedmiotu w szkołach galicyjskich, w których język niemiecki nie jest wykładowym. Wprawdzie w maju r. 1884 wydało ministerstwo oświaty bardzo dokładną instrukcyą, dotyczącą nauki poszczególnych przedmiotów w szkołach średnich, a więc także i nauki języka niemieckiego, atoli w instrukcyi téj miano na uwadze przedewszystkiém te szkoły, w których język niemiecki jest wykładowy, a więc

szkoły w prowincyach austryackich, zamieszkałych przez ludność niemiecką. W Galicyi, gdzie językiem wykładowym jest polski, instrukcyi téj we wszystkich szczegółach stosować nie podobna; trzeba uwzględnić odmienne stosunki, wśród których szkolnictwo tamże się rozwija. Jakichże tedy zasad trzymać się mają profesorowie w nauczaniu tego przedmiotu? Istnieje wprawdzie obszerny elaborat, wypracowany jeszcze w r. 1881 przez dra E. Czerkawskiego p. t. „Uwagi o nauce języka niemieckiego w gimnazyach i szkołach realnych z językiem wykładowym polskim i ruskim", obfitujący w nader trafne wskazówki dydaktyczne, mogący posłużyć za szczegółową instrukcyą. Atoli rada szkolna krajowa nie uznała tego elaboratu jako instrukcyi obowiązkowéj, według któréj należałoby ściśle unormować całą naukę; poleciła ona tylko gronom nauczycielskim zaznajomić się z tém dziełem, a zarazem postępować w myśl zawartych tamże wskazówek, o ile to uznają za odpowiednie. Wobec takiéj bezwzględnéj swobody w korzystaniu z tych uwag, dzieło Czerkawskiego nie może oczywiście uchodzić za instrukcyą. Rzecz przedstawia się więc obecnie w ten sposób, że instrukcyi ministeryalnéj z r. 1884 w Galicyi stosować nie można w całéj rozciągłości; prócz tego zaś nie ma żadnych innych dokładnych wskazówek, któreby mogły dostarczyć wytycznéj do metodycznego traktowania nauki języka niemieckiego w szkołach galicyjskich. Brak ten odczuwać się daje, oczywiście, bardzo dotkliwie; co mając na uwadze, walne zgromadzenie uchwaliło, bez dyskusyi, rezolucyą następującéj treści: Walne zgromadzenie uznaje za rzecz konieczną uzupełnienie instrukcyi ministeryalnéj z r. 1884 dokładną instrukcyą dla nauki języka niemieckiego w tych szkołach, w których język ten nie jest wykładowym. W jakim duchu i na jakich zasadach instrukcya ta miałaby być zredagowaną, nie wypowiedziało zgromadzenie wyraźnie, o ile jednak ze słów referenta wnosić można, wyrażono pośrednio życzenie, aby praca Czerkawskiego, ze wszech miar zresztą poważna i gruntowna służyła za podstawę w jéj ułożeniu.

Wspomniana instrukcya ministeryalna z roku 1884 zawiera zresztą i co do nauki innych jeszcze przedmiotów niektóre postanowienia, nie dające się z całą ścisłością zastosować w szkołach galicyjskich. W dalszym ciągu referatu swego przedstawił tedy dr. Samolewicz dezyderaty, jakie w tym kierunku ze względu na stosunki tutejsze postawićby należało, celem odpowiedniéj zmiany instrukcyi. Wogóle zaznaczyć należy, iż odrębność warunków, wśród których rozwija się szkolnictwo galicyjskie, stawia je w mniéj korzystném położeniu od szkół istniejących w innych prowincyach z wykładowym językiem niemieckim. Ujemne strony tego stanu rzeczy są następu-

jące: 1) większa niż gdzieindziéj liczba uczniów poszczególnych zakładów, i co ważniejsza, poszczególnych klas; 2) większa liczba przedmiotów nauki, gdyż oprócz języka wykładowego trzeba uczyć jeszcze języka niemieckiego, a we wschodniéj Galicyi młodzież ruska uczy się nadto obok polskiego także języka ruskiego, i to, nad czém ubolewać wypada, w godzinach poza-szkolnych; 3) większa liczba godzin tygodniowéj nauki, bo kiedy w gimnazyach niemieckich liczba godzin wynosi:

	w klasie I.	II.	III.	IV.	V.	VI.	VII.	VII.	Razem
	22	23	24	25	25	25	25	25	194
to w Galicyi zwiększa się ona do	27	27	28	29	29	29	29	29	227,

czyli razem o 33 godzin w całém gimnazyum więcéj. Ta liczba godzin wzrasta jeszcze bardziéj dla uczniów narodowości ruskiéj, a w t. z. gimnazyach realnych sięga daleko po nad praktykowane gdzieindziéj maksymum. Wobec tego byłoby rzeczą wielce pożądaną, już chociażby ze względu na stan zdrowia młodzieży, zmodyfikować instrukcyą w ten sposób, iżby wymagania, stawiane uczniom, nie były w Galicyi większe aniżeli w prowincyach niemieckich. Takie modyfikacye w instrukcyi dałyby się niewątpliwie przeprowadzić i to bez uszkodzenia całego jéj organizmu, bez uszczuplenia wewnętrznéj spójni i bez nadwérężenia ostatecznego celu, wytkniętego w nauce poszczególnych przedmiotów. I tak np. względem języków klasycznych dałyby się przeprowadzić pewne uproszczenia co do przepisanych przez instrukcyą wokabularzów, kollektaneów, które mają spisywać uczniowie, a które im za wiele zabierać muszą czasu, głównie zaś i przedewszystkiém należałoby cokolwiek ograniczyć zakres lektury z autorów klasycznych, który w instrukcyi zanadto został rozszerzony. W nauce geografii zwraca znowu instrukcya zanadto wielką uwagę na niemieckie prowincye monarchii austryackiéj a następnie na Niemcy wogóle, podczas gdy w Galicyi należałoby mniéj specyalnie traktować Niemcy, natomiast zaś zwrócić większą baczność na geografią dawnych krajów Rzeczypospolitéj. W historyi powszechnéj pożądaném byłoby na koszt pewnych części dziejów, dla nas całkiem obcych lub zanadto odległych, uwzględnić więcéj dzieje Polski i Słowiańszczyzny wogóle. Co do matematyki, to materyał przepisany przez instrukcyą jest stanowczo za obszerny, i należałoby go nieco skrócić i uprościć; naukę fizyki zaś zastosować więcéj do warunków miejscowych. I tak np. przypuszcza instrukcya, że każdy zakład ma osobną salę wykładową do fizyki i że rozporządza wszelkiemi środkami, niezbędnemi dla doświadczeń. Tymczasem w rzeczywistości nie wszędzie rzeczy tak stoją; t. z. gabinety fizykalne mają w niektórych zakładach bardzo niedo-

stateczne przyrządy, wobec czego niemożliwą jest rzeczą w stosunkowo krótkim czasie wykonać ogromną ilość wymaganych doświadczeń. Tak więc pozostaje tylko dwojaka alternatywa: albo niech rząd uposaży szkoły hojniejszą dotacyą, któraby umożliwiła odpowiednie urządzenie gabinetów i sal wykładowych, albo też trzeba cokolwiek zniżyć zakres wymagań, jakie co do téj nauki postawiła instrukcya. Co do nauki historyi naturalnéj, przedstawiają przepisy instrukcyi najsłabszą stronę; niekiedy są one wręcz niewykonalne. I tak np. żąda ona, ażeby nauczyciel w przeciągu 5 — 6 tygodni (w klasie VI) rozporządzając tylko dwiema godzinami na tydzień, przerobił z uczniami anatomią i fizyologią ciała ludzkiego! Te i tym podobne wady, przedstawione przez referenta, który zresztą zastrzegł się wyraźnie, że omawia przedmiot tylko przykładowo, bez pretensyi wyczerpania go, usprawiedliwiają w zupełności uchwałę, która na podstawie powyższego referatu zapadła: Walne zgromadzenie uważa za potrzebne w instrukcyach do nauki poszczególnych przedmiotów, zwłaszcza do nauki języków klasycznych, wprowadzenie pewnych modyfikacyi, które bez uszczuplenia ostatecznego celu nauki tych przedmiotów, pod względem środków dydaktycznych i objętości lektury, uwzględnić mają właściwości szkół galicyjskich, jako to: większą liczbę uczniów, przedmiotów i godzin tygodniowéj nauki.

(*Dok. nast.*) *R.*

TANTYEMA.

(OBRAZEK WSPÓŁCZESNY).

Bryczka, przy niéj jeden koń w hołoblach, drugi—na orczyku. Na jednym łęk, kółkiem pobrzękujący, na drugim—tylko chomąto. Od lewéj łopatki pierwszego i prawéj drugiego—wodze konopne, gruba i pełna odcisków dłoń woźnicy je trzyma. W tyle, na siedzeniu słomianém, tułów burką okryty, wyżéj—sterczy głowa w czapce czarno-barankowéj. Z pod czapki i kołnierza nastawionego widać twarz, z niéj para oczu czarnych i posępnych patrzy, wąsy zwieszają się nad wargami, niby strzecha, i zgryzota drga w każdym mięśniu.

Dokoła pole, z tyłu kępa lasu, z przodu kupa szarawa czegoś—to miasteczko, po za niem zatoczyło się półkole czarne i tajemnicze—to bór. Nad głową czarne, nudne, przygniatające tęsknotą—chmury. W powietrzu wiatr, mięszający z sobą nieokreślone wonie ziemi zoranéj z zapachem potu końskiego i smoły, ciekącéj z kół.

Podróżnym trzeba przejechać miasteczko, potém się w bór zagłębić, i jechać jeszcze czas jakiś drogą wyboistą.

Konie ospale zaczynały biec, z truchta w stępa przechodząc. „Wio, wio! bodaj was wilki...“ Bat świsnął, na boku orczykowego pręga brudna się zjawiła, ogon się poruszył... Od szybszego ruchu bryczki podróżnym rzeźwiéj się zrobiło. „Ej, ej, małe!.. Cm, cm!“

Woźnica odchrząknął, spojrzał na młodzieńca zadumanego.

— Wygryźli was, paniczu-sokole, psubraty te!.. Psiarnia dworska! Bodajby szczęścia nie doznali nigdy!..

— Tak, tak, Karnieju... Prawda, że ciężko na świecie?..

— Oj tak, paniczu, tak, sokole!.. Złote słowa!.. Biedne moje dziecko lube... I jemu popasać tam nie długo, inaczéj sińców na grzbiecie i guzów na czaszce nie zliczy... Kto tak, jak wy, paniczu, przemówi doń po ludzku, co to, choć i zasłuży, bo głupie jeszcze, na połajanie, to je połajecie, bywało, i tyle, ale do czupryny, pyska,

grzbietu—wara wam!.. Cyt!.. Sumienie!.. Nie wolno!.. O, oni, ludożercy, pijawki, nie tak!... Zaraz ci niemiec opętany, ledwie oczy przetrze, jak na bydlę bezmyślne, wsiądzie na chłopca, i—w potylicę go! Mocno, mocno... żeby aż świéczki stanęły w oczach!.. Tak! o tak!.. Jeszcze raz! Bij! Wytrzyma!.. Dziecko chłopskie... Co ma nie wytrzymać?.. Za kołnierz?.. Dobrze, niemcze, trzęś je i za kołnierz!.. Tylko mocno, bo ducha nie wytrzęsiesz—chłopski!.. He, he... a tobie już i piana z gęby pada?.. Oj, prawda, paniczu, prawda, sokole!... Że ciężko, to ciężko chłopu żyć na świecie!.. Wio! A, bodaj was wilki gryzły!.. Alboż i ten rządca, *okomon*, czy jak go tam zwać! Toć to przy was, paniczu, było? Pamiętacie?.. Przybiegł do *browaru*, jak bies sierdzisty, i co nie nawymyślał dziecku lubemu od cnoty matczynéj ta febry!.. Albo i dziś?.. Ha, ty, psie niechrzczony, gadzino!..

Ostatniemu słowu towarzyszyło niezwykle mocne szarpnięcie lejc, garść ścisnęła silniéj bat, jeszcze wyraźniejsza ukazała się pręga na boku orczykowego... Zawirowały żywiéj smukłe sosny o szczupłéj koronie, kałamaszka zadrgała dotkliwie, wjechawszy na drogę pełną korzeni. Światło zaczęło pobłyskiwać poprzez drzewa. Zapach smoły i terpentyny zaleciał.

— Wio, wio, małe! Eh, cm—cm...

Odchrząknął.

— Ot i smolarnia, a het-het i tatko wasz!..

Młodzieniec nic nie odpowiedział—nowe, głośniejsze odchrząknięcie...

— Dokąd-że wy teraz, paniczu?.. Kto was przytuli?.. Stary dobry, oj, dobry pan—nie wydoła...

— Zobaczymy!.. Pożyjemy, zobaczymy, Karnieju...

— Ej, paniczu, paniczu-sokole!.. Dzielnyś ty, oj i dobry panicz! Wyście wszyscy dobrzy!.. I ty, i twój ojciec, i brat, i matka nieboszczka, świéć jéj Pan Bóg, powiadam—wszyscy!.. Wszyscy, ilu was jest... A cóż, może nie prawda?.. Niechże mię Bóg skarze, kiedy nie prawdę mówię!... Za wami krzywdy ludzkiéj, ni łez—niema! Wszak prawda?.. To raz... Ot ci i jedna prawda!.. Możeś nie wyłajał, jak przystało, ludożerców, niemca ta *okomona*?.. Hę? A co?.. Widzisz!.. Cha, cha, cha... serce dobrym ludziom dygotało z radości, kiedy patrzali, jakeście nie pozwolili, by was rządca, opętany Lach, krzywdził... Ta i za nami chamami serce wasze dobre się cięło... Oj, pamiętać ludzie będą to słowo gorzkie a prawdziwe, coście wtedy powiedzieli... Wio, wio! bodaj was kudłaty...

Mówił tak, a gorzałka mu z ust cuchnęła i czkawka wstrząsała piersią. Na twarzy panicza-sokoła radość zadrgała tajona... Potém

znowu smutek i zgryzota wróciły. Znowu we wspomnieniach się zatopił.....

Tego panicza-sokoła, inaczéj jeszcze, Bogusławem Godziebą zwano. Nazwisko szlacheckie! Jednakże, za przewinienie ojca, zaliczony był do tłumów, największe brzemię dźwigających—do mieszczan. W zarządzie miejskim brał paszport, płacił poduszne. Z utratą posady ojca, nastawało pełne poniżeń „wycieranie cudzych kątów." Wtedy przychodziło do zgrzebnéj koszuli, parcianych spodni i łapci. Bywało, serce drgnie litością u dzierżawcy jakiego, da rodzinie, złamanéj kaprysem chlebodawcy, kawałek łąki, co najwięcéj zarośnięty łozą, gdzieś u skraju lasu, po za brodem. Kosi panicz—a tuż daléj, dla dzierżawcy, na trzeci stóg koszą ci, co panicza zwą sokołem, dziatwa Chama. Zimą, nieraz kiedy siana dostarczyć trzeba jedynéj chudéj krowie i staremu koniowi, lód się na błocie załamie i nogi się w wodzie skąpią, a potém od mrozu skrzepną, zdarzało się, iż długo przed ogniem nacierać musiał palce, które późniéj puchły. Nadrywał też siły swe drwa rąbiąc, ścinaniem drzew, wtaczaniem kloców na wóz, łupaniem ich klinem upartym. Doznawał więc doli chłopa, pijał rozkosze jego.

Ojciec jego całe swe życie lasów doglądał, lub smołę pędził. Za młodu ceniony był wielce przez chlebodawców, powierzali mu zwierzchni dozór nad lasami, wierzyli w jego zdolności wrodzone, dopóki im obiecał przemieniać drewno w płyny popłatne na rynkach zagranicznych. Kiedy zestarzał i w rodzinę urósł, często, za lada podszeptem czyhających kolegów, bywał wydalany i stawał się pastwą lichwy żydowskiéj. Ciasne życie, opłakane koleje! Syn nie chciał ich przechodzić. Troska wieczna i poznanie z książek innych światów, szerszych i świetlejszych, pchały go gdzie indziéj.

Czuł się na siłach i postanowił dostać się do gorzelni dziedzica. Krytyka, bez któréj człowiek kroku nie stąpi, spadła i na niego ze strony oficyalistów i dzierżawców. Pamiętał dobrze opowiedziane sobie rozmowy ich.

— E-e! chłopiec ten, panie dobrodzieju, nie potrafi być pomocnikiem gorzelanego!... Gdzieżby znowu? Przywykł pędzić smołę, a teraz by miał być pomocnikiem przy gorzelni?

— Niech-no tylko pan hrabia przystanie na to, pocieszy się!..

— Ale! Prawdę rzekłeś, panie Ignacy. Dość, słodu nie dopilnuje, przeparzy krzynkę—przepadło!..

— Strata, panie dobrodzieju, strata oczywista... Toć to nie nasze stare gorzelnie! Tam ci przecie tyle nowych aparatów, a wszystkie maszyna porusza. Wszystko parą, panie dobrodzieju!..

— Nie potrafi! Gdzie mu tam!

— Tak, tak, panie dobrodzieju mój, ma się rozumiéć... Czy jemu to, smarkaczowi, co od pieluszek smołę i terpentynę wąchał, podołać?.. Toć niemiec-bestya, sprytniejsza sztuka, co to ciągle, zwiesiwszy łeb nad kadzią zacierną, macza i macza termometr w ukropie, żeby, hm... uważacie, panowie, spirytusu więcéj było, a mimo to, jakby na złość, mniéj go jest...

Wyrok ludzi tych był taki, odpowiedź zaś Godzięby, niema lub bliższym tylko znana, następująca: „Głupcy! Nie śni się wam jeszcze, żeby krajowiec, dziecko smolarza, mogło się zmierzyć z niemcem, wyrocznią mózgów waszych baranich! Mam i ja spryt, jak wielu podobnych mnie, mam wierzycieli, żydów, łakomych na nędzną płacę moję za noce bezsenne w smolarni. Życie bym całe spędził w bratnim uścisku szmulów, nasiąkając do szpiku kości wonią smoły. Wysilę się, przejdę niemca, przeniknę sposoby! Od czegoż podręczniki do gorzelnictwa. Wódka również śmierdzi, ale ma odbyt większy, niż smoła... Wypędzę więcéj, ponieważ od nadwyżki dochód większy biorą gorzelnicy, trud mój nie będzie daremny... Nie dośpię nocy, nie podzielę wczasu świątecznego z ojcem i braćmi, ale pracą dosłużę się wyższego zarobku!“

Dosługuje się.

Śród rozległych pól, nad rzeczką konającą w uściskach łozy, sitowia i osoki, czerwieni się cegłą budowla. Przed nią kopce kartofli. Zewnątrz unosi się łagodna woń okowity, dławiąca we środku. Budowla ta pnie się w górę trzema piętrami. Dolne zajęte przez kotłownią, drożdżownią i kadzie fermentacyjne—wszystkie w oddzielnych salach. Na drugiém mieści się kadź zacierna i aparat do parzenia kartofli, naładowują go z trzeciego. Na temże samém piętrze—naczynia dystylujące i skraplające oraz aparat kontrolujący z herbem państwa. Robotnicy, zbliżając się doń, na palcach chodzą mimowoli i szepcą trwożliwie, jak wobec świętości. Na trzeciem zaś słodownia i balia do chłodzenia zacieru. Wszystkie te piętra schodami krętemi łączą się ze sobą. W tym gmachu dola nowa, lepsza!..

Kampania się rozpoczęła.

Od dołu do góry robota zaczyna wrzeć. Na dole czterech chłopów brudnych i mokrych zgrzebuje codzień do przemywalni kartofle zabłocone. Stamtąd, za pomocą bloka, poruszanego przez parę, wiadra kolejném podnoszeniem się i opadaniem, wyłapują je i dostawiają na trzecie piętro. Tam jeden robotnik naładowuje niemi parnik. Tak się zaczyna przygotowanie zacieru. Na dole palacz podsyca ogień, maszynista lokomobili pilnuje. Na górze hałasuje parnik od nacisku pary, miażdżącéj w nim kartofle na papkę żółtą. Prycha,

chrząka nią przez gardziel swój do kadzi zaciernéj, a tam mięszadło zębate, puszczone w ruch wirowy, zaciera ze słodem. Równocześnie i po innych częściach gorzelni kipi życie: w słodowni, na trzeciém piętrze, około balii chłodzącéj, w sali kadzi fermentacyjnych i drożdżowni. Robota taka trwa od czwartéj z rana do ósméj, często dziewiątéj wieczorem. W godzinach, dopełniających dobę, cały gmach zalega cisza—zacier wpompowany do kadzi dystylacyjnych, przeistacza się w wódkę... Jedyna chwila, gdy wszyscy—od palacza do gorzelanego śpią. Szmer pasów, warczenie kół i ryk parnika, zastępuje niby szept, niby łkanie gorzałki, po rurach spływającéj do zbiornika. Kadzie od burzenia się zacieru rzężą... Krople potu, odrywające się z pułapu, dzwonią tęskno, uderzając się o kałuże drożdży, niemieszczących się w kadziach. Powietrze ciężkie od kwasów, woni wyskoku—pełno.

Za ścianą, rozdzielającą salę z parnikiem, zgrzytnąwszy wyjęczał budzik—czwartą. Po schodach rozlegają się odgłosy trepek gorzelanego, o drewnianych podeszwach. Na dole powietrze wstrząsają klątwy. Odpowiedzią na nie bywają z razu szczere chłopskie chrapnięcia, obwieszczające powrót do jawy, do trudów szesnastogodzinnych... Jedni w plecy się drapią, drudzy oczy przecierają. Ciała ich widocznie wabi ku sobie ziemia-matka, bezwładność kolan, biódr i karku zdradza ochotę przytulenia się do jéj zimnego, czarnego łona jeszcze na jakie kilka godzin...

— Ach, wy, bydlę! Świnia chłopska!.. Wstać! Do robota zara!..

Jeszcze się drapią w plecy, patrzą błędném okiem i, ruszając się leniwie, coś mruczą.

— Ja was tu zara!.. Bydlę, świnia chłopska!.. Do robota! Bo ja tym kij was bić!..

Na rozmowę się zanosi, bo chrząknął któryś.

— Dobrze wam, panie *machaniku*, grozić kijem, kiejście w ciepłych i miękkich pierzynach wyspali, a my...

— Szti-i-il!.. zawarczy gardło niemieckie.

— A my, nie przymierzając, jak ów mówił, ot, niby te psy, zaledwie cztéry jakie godziny na téj brudnéj i mokréj ziemi leżéć musimy...

Z głowy chłopa spada czapka, gardło chłopskie charczy od wpijających się w nie palców niemca..

— Toć to tak?! —wyrwie się z kilku naraz piersi. Tak tedy brata naszego częstują?!..

— Rzućmy robotę.

— A zawal się ty, plucho, z fabryką swoją!.. Bodaj cię choroba ciężka trzęsła!..

Tymczasem już piąta, akcyźnika, jak nie widać! Za przerwanie roboty odpowiedzialność czeka gorzelanego!

— Panie Godzięba! Pan umiéć z nimi mówić... Daj *rat*!..

— Zleś pan zrobił, targając za włosy... No, chłopcy, będziecie mieli po dwa kieliszki duże gorzałki na śniadanie, tylko się uspokójcie!..

— My byśmy radzi, ale niechże nas nie uważają za psów! Jesteśmy, paniczu, jak i wy chrześcianie...

— Ale! Toć-to téż, chrześcianie!..

— „On dobry panicz"—szepcą.

Pasy w kotłowni, pod pułapem, drgnąwszy, znowu się kołyszą i nucą pieśń szmeru—szesnaście godzin... Koła, liźnięte przez nie, znowu warczą. Po chwili, jak dawniéj, przywtórza im parnik swym rykiem, chrapaniem i chrząkaniem. W uszach ból, rozmowa—żadna. Świstawka gorzelanego przeszywa powietrze.

W takiem-to otoczeniu Godzięba musiał pół roku spędzić i takich scen być świadkiem.

Uczucia jego tkliwe nieraz twarda rzeczywistość zraniła srodze. Och, z jakim ciężarem i smutkiem na duszy przebudził się, kiedy pierwszéj nocy, po przybyciu do gorzelni, spał w wyznaczonéj dla siebie izdebce, na tém samém piętrze, gdzie parnik, obok mieszkania gorzelanego, pryncypała swego. Marzeniami przeniósł się był do smolarni. Oto tam robota trwa, czuwać trzeba aż do rana; wtedy kilka godzin spać można. Tak trzy razy na tydzień, drugie trzy—po całych nocach snu do syta. Przytém jestto polanka niedawno wykarczowana, naokoło, bliziutko—las. Zacisznie. Można książki czytać, ssać myśli z nich nowe, ideały wielkie czerpać. Bracia przyjadą ze stolicy, ze szkół, zrobi się gwarno, przypomną się dawne chwile przeżyte wspólnie, przed rozproszeniem się jeszcze po świecie. Oni jemu prawią o życiu nowo skosztowaném przez siebie, on im o tém, co tuż, na miejscu, zaszło. A chciwiż tacy szczegółów tych!.. Stolica znać zaostrzyła tak ich myśl i dała nić przewodnią do wiązania ze sobą tego, co luźnie niegdyś zapadało do duszy, leżąc tam bez użytku... Całego jakieś ożywienie miłe ogarnia. Błogo! Nic to, że szmule miasteczkowi z objęć swych nie puszczają, czułości téj nabrawszy od czasu, gdy ciężka choroba, a potém śmierć biednéj matki, zmusiły pożyczać u nich. Otóż i gorzelnia! Zgiełkliwsza, co prawda, od smolarni, ale, aj! ciekawa... Zwłaszcza, gdy się zna podstawy naukowe robienia wódki. No, i zarobek większy od tego, co się „nad normę wypędzi." Ej, głupie jednakże i ślamazarne było życie, choćby w téj smolarni, naprzykład...

Wtém ocknienie. Gorzelnia zbudziła się do całodziennego życia, zagadała mnóstwem głosów dziwnych i tajemniczych... Na piersi ciężar legł i odetchnąć głęboko nie można. Łkanie porywa za gardło, coś łechce boleśnie po sercem... Ani jednéj twarzy kochanéj, choćby dobrze znanéj! Twardo, twardo duszy! Oswoić się przecież trzeba—o chléb idzie...

Oswoił się, pojął wszystkie tajemnice produkcyi. Skutkiem téj wiedzy jego, nadmiar wódki po nad wyznaczoną przez rząd ilość — wysokiemi odsetkami obliczano. Niemiec takiego zaufania nabrał do niego, że, zaczynając od doglądania parnika, aż do mierzenia temperatury zacieru i robienia drożdży, najtrudniejszéj rzeczy—wszystko powierzył jemu. Za to sam dostatecznie się wysypiał, spał od godziny *dziesiątéj wieczorem do ósméj rano*. Godzięba zaś o dziesiątéj się kładł, a wstawał o czwartéj —ledwie świt. Znużenie nie odstępowało nigdy!

Niemiec, razem z pensyą i udziałem w zysku posiadacza, brał *dwa tysiące*. Pomocnik zaś otrzymywał miesięcznie *piętnaście rubli*, za cały więc czas pędzenia — niespełna *sto*... Ale pryncypał zaraz, pierwszego dnia, powiedział: „mój i pański interes wypędzić jaknajwięcéj wódki.“ Śliczne to słowa! Tak bratersko i niewinnie brzmią, napełniają duszę nadzieją, a wyobraźnię zdolne są do budowania zamków na lodzie pobudzić... Pod ich dobroczynnym wpływem trudniéj jest odczuć, ile potu ze skóry wyciekło, ile sił ubyło...

— Dobra to rzecz jest tantyema — zachwalał Godzięba bratu-studentowi.

— Na pozór, bracie, na pozór? Wsłuchaj się w siebie po pracy, ileś się napocił, namęczył i nie dospał... Łupiestwo na organizmie dokonane!

Nie wierzył. Czujny był i baczny dniami całemi. Niemiec się nań spuścił we wszystkiém, stąd wieczna trwoga a większa pilność. Najwięcéj tętn przyśpieszonych wywoływał w nim straszliwy parnik. Więcéj nad kilka minut krokiem od niego ruszyć się nie można, wypadkiem grozi. Nadmiar pracy rozsadzić gotów aparat! A tu co chwila oderwać się trzeba, wszędzie okiem rzucić. Temperaturę zmierzyć zacieru, wbiedz na trzecie piętro, czy w kilsztoku ciecz nie ochłodła zbytnio, potém się spuścić na dół, by do sali fermentacyjnych i drożdżowni zajrzéć. A tam znów być na stanowisku.

Nad głową smukła, żelazna szyja parnika, zwanego aparatem Henca, pod nią krzesło, na niém siedź i nie odejmuj ręki od wentyla, miarkującego dopływ pary. Ryk straszliwy, odurzający! Gardziel rybocze, parsknie żółtą papką, a drobne jéj, gorące cząstki rozbiegną się w powietrzu i wpadną do oka, do ucha, zlepią włosy, upstrzą

twarz, do odzienia przylgną. Młynek do słodu warczy, ludzie posępnie uginają się, dźwigając ciężary po schodach krętych. Gdyby nie hałas, dosłyszéć by można stękanie ich. Pod szyją parnika zziajanego Godzięba marząc, pogwizduje tęskno.

Ósma — budzik wyrwał niemca z pierzyn miękkich. Zniecierpliwienie błądzi po twarzy jego zarozumiałéj.

— Źle pan robić, panie Godzięba, że termometr nie mierzyć....

— Owszem, tylkom co go zanurzał.

— Pańska wina być, jak nie tyla gorzałka wychodzić!

Pokręcił się trochę, a potém w mieszkaniu znikł. Tego dnia dużo było okowity. Gdy wieść o tém rozniesiona przez żydów, dobiegła uszu rządcy pana hrabiego, wstąpił do gorzelni powinszować niemcowi. Spojrzał surowo na pomocnika, zmierzył go siedzącego nieruchomie pod parnikiem.

— Pan Knaus zuch, w osłupienie wprawił całą okolicę, szaloną wydajnością wódki! Nie popsuj mu tylko, panie Godzięba!

— Jestem spokojny. Nie wiem, jak kto...

— Zawsze jednak radziłbym słuchać go. Więcéj on od pana umie....

— No, i ślicznie!

Zmierzył go za to surowo, ale na twarzy dostrzegł tylko — pogardę. Usta poruszały się, wydymane gwizdaniem. Poruszył wentyl, pary weszło więcéj, gardziel chrząknął mocniéj, zaryhotał głośniéj i parsknął miazgą kartoflaną w same oczy rządcy, baranki jego krymskie zdobiąc gomułkami żółtemi. Godzięba zawsze był hardy, gdy tymczasem inni oficyaliści karki gięli. Jak szyldwach, ciągle był na straży godności swéj ludzkiéj, zawsze się spodziewając natarć brutalnych ze strony zwierzchników. Na czole jego czytać można było wyrok świata: „Z głodu umrzesz!“ Za innych się ujmował nieraz, za maluczkich szczególniéj, za co witano i żegnano go wejrzeniami wdzięczności.

Stąd téż więksi oficyaliści i dzierżawcy szerzyli sławę niemca, robotnicy zaś, niższa służba folwarczna i czynszownicy—pomocnika.

Milczące przymierze wywiązało się pomiędzy robotnikami a Godziębą i wyrosło z czasem we współczucie. Rzecz prosta. On brał piętnaście rubli miesięcznie, oni—jedni po *dziesięć*, drudzy po *osiem*, niektórzy znów—po *sześć* zaledwie. On i oni o jednéj godzinie się kładli, o jednéj do pracy wracali. Oni w kierpciach łyczanych, w koszuli zgrzebnéj, podwiązanéj krajką, w siermiędze samodziałowéj, o twarzach brudnych, o włosach i zaroście w strąki od potu i kurzu pozwijanych. On, w starym węgierskim kapeluszu, w trepkach drzewem podbitych, w kurtce, papką kartoflaną oblepionéj. On przy

parniku zawsze lub nad kadzią zacierną schyla się często, jego wszędzie pełno. Tamci przy pompach, przemywalni, drożdżowni i piecu. Dla nich wszystkich przez całą kampanię dzień od dnia się nie różni. Siła jakaś niewidzialna przykuła każdego z nich do czegokolwiek w gorzelni i gna do pracy ciągłéj — aż do zaparcia tchu. Nie lekka to rzecz! Żal duszę wypełnia, to szarpie ją boleśnie-łaskotliwie w okolicach serca i w krtani, to przygniata całym ciężarem otoczenia, tamując oddech. Pies z kotem staliby się przyjaciółmi, dopieroż człowiek z człowiekiem! Wszystko wokoło wrogie, więc ręce same się wyciągają ku sobie...

— Czemu wy, paniczu, nie zbudzicie niemca? Niechby on popilnował trochę!.. Śpi, plugawy...

— Daj pokój, Hardzieju! Słyszałeś, co rządca mówił? Mówił, żebym niemca słuchał, bo więcéj odemnie umié...

— Oj-oj-oj! Albo to prawda? Łże, pies! My lepiéj wiemy, paniczu, co kto umié. Wy, co innego, ale on—ni dyabła! Nim tu przybyliście, paniczu, co mój niemiec, bywało, nie napoci się, niech Bóg uchowa! żeby tylko wódki było, ot potąd — ani rusz! Bywało, jak ten Marek po piekle, tłucze się z kąta w kąt gorzelni, ludzi rozbija, w niebogłosy wrzeszczy: „a wy tacy, a wy owacy, zziaja się, jak nie przymierzając mój stary Burek, co go to w lecie biorę do bydła gromadzkiego na pastwisko, a wódki—ani kwarty więcéj nad to, co dla rządu! Gorzéj bywało nieraz... Czasami mniéj wyjdzie wódki, jak potrzeba było akcyźnikom, dopieroż gniéwy ich na niego! Niech Bóg strzeże i uchowa! Ot, jak nastaliście wy, paniczu, zupełnie inaczéj poszło. Dnia niema, żeby niemiec rąk nie zacierał z radości. A kto sprawca tego? Może on? Śpi, plugawiec! Wierzcie, nie wierzcie, paniczu-sokole, a przecieć to prawda, co ludzie gadają, że my z wami pędzimy wódkę—niemiec śpi tylko... Oj, dolaż nasza, doleczka!..

— Słodka, jak wisienka... A popraw-no tam, Hardzieju, pasa. Zdaje się, już resztki kartofli wychodzą—zwolnić trzeba.

Raz, gdy pod pułapem na dole pasy skrzyżowane drgały, szemrząc usypiająco, a koła warczały, gorzelnia zaś cała kipiała życiem od góry do spodu, uwijał się ze smarowidłem, spełniając swój obowiązek, chłopiec od maszyny. Wtém krzyk przeraźliwy. Zbiegli się. Wił się biedny z bólu, wplątany w pasy, twarz kurczami swemi mrowie wzbudzała w patrzących. Ścięgna mu pękły na nodze. Było potém dużo jęku... Dozór nad nim z porządku rzeczy przypadał na właściciela. Na folwark z nim, tam zaś wyznaczyćby kogo, coby go doglądał! W gorzelni pozostał. Raz obandażowany, pozostawiony był sobie samemu, znać, żeby szmer pasów i łoskot ciągły do snu go

tulił... Nie utulił się jednak i jęczał. Zniesież to serce człowieka, co sam niedawno był świadkiem cierpień przedśmiertnych własnéj matki? Kładł się przeto już nie o dziesiątéj, jak dawniéj lecz o jedénastéj, byleby choremu bandaż odmienić, opatrzyć ranę i dopomódz, w czém mu ból przeszkadzał....

— „Dobry panicz!"—szeptały usta robotników.

Skończyła się zima, a z nią i roboty w gorzelni. Serca niespokojnie uderzają tym, co najwięcéj trudów ponieśli... Posępna chwila obrachunków... Rządca z kasyerem obliczali zysk dziedzica, najemnicy z pomocnikiem o swój zarobek drżeli...

Od rządcy wiało duchem wojskowego człowieka, nie był jednak nim nigdy. Skończywszy jakiś zakład techniczny rządowy, trudnił się zarządem dóbr posiadacza z nadwołżańskich prowincyi... Odtąd zdradzał narowy wojskowe. Z zachowania się jego względem podwładnych oficyalistów znać było, że ci ostatni szeregowcami dla niego są, on zaś dla nich oficerem. Jemu więc miejsce na krześle, im zaś—u progu, z postawą struny, mocno napiętéj... Jemu głosem pewnym i surowym gromić ich, im zaś odpowiadać ze drżeniem serca i z nogi na nogę przestępywać... Sprowadzony przez hrabiego, chciał owoce kultury wyższéj zaszczepić w jego dobrach, zaprowadzić od dawien dawna niebywałą tam karność we wszystkiém. Dzień nie upłynął, iżby ludność miejscowa nie doznała niepokoju od jakiego nowego pomysłu jego. Czynszownikom i oficyalistom staréj daty najwięcéj skóra cierpła. Pierwszym—z powodu czynszów, drugim—na myśl ładu nieubłaganego. Czapka porucznikowska rządcy z gwiazdką srebrną na czole, używana przezeń dla postrachu, siała go w dusze ludzi, których byt zależał od hrabiego...

Godzięba z twarzą zapadłą i znużoną, z brodą rozczochraną, był także obecny przy wypłatach.

Robotnicy cisnęli się przez drzwi, popychając się wzajemnie. Wszedł który, zaraz się do pasa ukłonił przed „panami." Ani cienia hardości w wejrzeniu, w twarzy, w postawie całéj. Tacy przybici wszyscy, tacy niezdarni w członkach, z wyjątkiem szyi i pasa... Rozmawiać nawet głośno nie potrafią wobec „panów", szepcą tylko. W szepcie ich wyraźnie słychać, jak się chwalą, ile komu należy, co kto zrobi z zarobkiem, gdy mu go wydadzą.

— „Otożeśmy doczekali się wiosny!

— „Ale! Teraz kto do orki, kto z bydłem na pastwisko.

— „A innemu znowu chatę budować...

— „To mnie niby? Nie kpij!.. W staréj zostać przyjdzie, nie wystarczy grosza...

— „Ileż się spodziewasz?

— „Czterdzieści, według mojego sumienia...

— „Ho, ho, człowieku! Nie masz się czego martwić...

— „Juści ono tak, gdyby wszystkie przy mnie zostały... Ale no patrz tylko, jak się rozlecą. Te gminie... podatki widzisz... Te żydowi... Ej, wyślizną się wszystkie, ino patrz!

— „Pokłoniłbyś się panom, taniéj by odstąpili drzewo...

— „A ty Nieścier, co zrobisz z swojemi?

— „Ta! Dawaj tylko, znajdzie się, gdzie wydać!

— „Ileż według ciebie?

— „Trzydzieści... jak obszył...

— „Ej-że! A nuż obetną...

— „Gdzie zaś! Wiem, ilem wziął...

— „Ty wiesz! A oniż—co?

— „Cóżeś oszalał, człowieku! Sumienie, sumienie przecieć....

Tak szeptali. Godzięba zaś dumał. „Zbędę się, choć w części, długów, jak tylko należność odbiorę... W gorzelnictwie przecież i nadal kształcić się trzeba, inaczéj nigdy sam nie pokieruję gorzelnią. Och, jakże wiele jeszcze przeczytać trzeba! Księgarz z Warszawy odpisał, że najlepszy podręcznik Ginsberga... Gdybym też mógł posłuchać wykładów praktycznych dla gorzelników w stolicy... Ej, trudno, nie wystarczy! A miałbym porządne wyobrażenie o chemii, doświadczenia przytém w laboratoryum... Ani marzyć!.. Toć koszula ostatnia, co na karku, a spodnie? Do czego podobne! Tu wytarte, tam dziury... tam plamy, tu plamy... Surdut... Och, świecie, poznany z książek, ponętnyś, a takeś niedostępny! Łotr niemiec, gotów mniéj dać, coś mi się widzi.“

Więc szept tamtych, a dumy tego pełne pragnień i obaw...

Kasyer oderwał oczy od księgi, ręką sięgnął po coś.

— Hardziéj Iwanowy! Rubli srebrem trzydzieści! — zabrzmiał głos kasyera.

— Oj, panowie-gołębięta, nie krzywdźcie biednego człowieka...

— Co? ostro, wojskowo, wybiegło z ust rządcy.

— Mnie-bo, panie, wedle mojego rachunku, nie tyle się należy...

— No?

— Mnie się należy, panie, około czterdzieści...

— Precz!

— Dajcie, a późniéj już wypędzajcie—wola wasza...

Do podłogi przylgnęło kilka pewnych, junackich, dwiema zgrabnemi nogami wymierzonych kroków. Na karku chłopa spoczęła kształtna ręka i pchnęła go za drzwi.

— Kiryło Piotrowy Morhacz! Dwadzieścia cztery! No?.. Masz!.. Weź!..

Ukłonił się do pasa, podrapał w głowę, a potém:

— Nie wezmę, panie-sokole! Krzywo...

— On nie brać! Cha, cha, cha... Kijem go!

— Ileż według ciebie?

— Trzydzieści, panie-sokole, jak obszył!

— Świniaś! Naucz się liczyć!..

— Ja zaraz policzę... Na Trzy Króle wziąłem pięć...

— Sześć!

— Nie, panie-sokole, jak mi Bóg miły — pięć! Niech mię w tę ziemię pogrzebią, nie....

— Precz!

To samo, co wprzód. Trwało tak, aż wszyscy najemnicy, nie znaleźli się przed gankiem i oknem. Znalazłszy się zaś tam, zbili się w gromadę i wywijali gwałtownie rękoma. Otóż coś uradzą stanowczego! Co za poruszenia śmiałe! Namawiają się wzajemnie do czegoś... Ileż siły przekonywającéj w postawie jednego z nich! Schwycił się rękoma za uda, zgiął tułów, wyciągnął żylastą i ogorzałą szyję i głową swoją zataczał półkola, podsuwając ją każdemu po kolei, wskazując przytém często kiwnięciem, snadź dla dowodu, na okna, gdzie kasyer, gdzie rządca... Ot wtargną tam niebawem i w jeden głos zażądają sprawiedliwości, wymuszą na rachmistrzach, co słuszne, jednomyślną, wstrząsającą, brzmiącą częstem „oddajcie nam krwawicę naszą“, skargą.

— Chamskie plemię!— oburzył się rządca.

— Tak, tak, wielmożny panie—dorzucił kasyer—nie ciśnij ich, to ci na głowę wlézą!

— Ja ich ugnę psubratów — pogroził rządca pejczem swym. Jakem był nad Wołgą, tom sobie tylko w ten sposób radził. Najtrudniéj mi było ze starowiercami... Chamstwo, psiakość, skądeś się nauczyło czytać i dyabelnie się stawi! O, nierównie łatwiéj z tymi...

— Ja to, wielmożny panie, zawsze mówiłem! — wścibił swoje łaszący się kasyer. Chłop nauki zawsze na złe użyje! Będzie wiedział, jak prośbę napisać do sądu, zwęszy łatwiéj, co jego skórze grozi... Syn mój, co z łaski jaśnie wielmożnego hrabiego plenipotentem jest, ciągle mi się skarży, że z chłopami czytającymi nie może się uporać w sądzie... Wielkie szkody z nauki chamskiéj!

— Uważam, panie Sokolski — wtrącił Godzięba, błysnąwszy okiem—że śpiewasz piosnkę tego, na czyim wózku jedziesz...

Znowu, jeden po drugim, wchodzili najemnicy i, jak przedtém, przybici, onieśmieleni. Ani śladu stanowczości w postawie, którą mieli za oknem. Spoglądali na siebie, wyraźnie zachęcając się do wypowiedzenia czegoś. Ani jednego nie stało na odwagę, ani jeden

się nie znalazł, coby swoim i towarzyszów rzecznikiem był... Podrapał się każdy w głowę i zgodził się na przyznany sobie przez „panów“ zarobek.

— Za drzwiami dopiero klątwy słychać było, któryś bąknął o odwecie w czasie żniw, drugi dodał a „juści“ i tyle tylko!..

Przyszła koléj na pomocnika.

— Teraz my z panem, panie Godzięba, robić rachunek.

Poklepał go w ramię.

— Owszem. Ciekaw go jestem.

— Panie Knaus! Najlepiéj niech pan Sokolski obliczy...

— O, nie, panie łaskawy. Zrobi pan dobrze, jeśli się wtrącać nie będzie. To nasza rzecz—moja i pana Knausa.

— Czyżby? Jednak i ja coś znaczę. Gdyby się *mnie* podobało, pan Knaus kogo innego wziąłby za pomocnika...

A oczy mu się iskrzyły tłumioną złością.

— Wierzę... mruknął Godzięba, a od serca wzruszenie już się rozbiegało po całém ciele, ślinę połykał. Kończmy, panie Knaus!

— Doch dobrze! Panu należéć *pensyon* sześćdziesiąt rubli, aber *tantyem* — sto tylko...

— I słusznie, panie Knaus! Pan Godzięba za młody i zamało jeszcze umié, żeby mógł więcéj brać!

— Zapewne, łaskawy panie, nie skończyłem tak, jak pan, instytutu inżynieryi, ale pracowałem na równi z panem Knausem, chociaż na karb mojego uczniowskiego położenia, mniéj sypiałem.. Ci, co za oknem stoją, poświadczą temu. Nie wiem więc, czém jestem gorszy od pana?

— Możesz pan sobie schować w zanadrze swoich świadków!.. Odemnie tém jesteś gorszy, żeś jeszczcze—błazen!

— Czyżby? Większy, czy mniejszy od pana?

— Milczéć, błaźnie jakiś! Wiesz, ktom taki?

— Rządca i zwierzchnik dla ekonomów, a dla mnie taki sam, a może gorszy jeszcze człowiek, jak każdy inny.

Trzymał w ręku pejcz, bo konno przyjechał na obrachunek, klasnął nim, wściekły, w powietrzu, i, na drzwi wskazując, „tam“!—wrzasnął.

— Nie tak gwałtownie! — była odpowiedź. Nie podobnym do tych biednych, co tam...

Pomruk tylko jakiś zwierzęcy wydał. Zęby się zacisnęły, ręce szukały wroga, nogi sunęły krokiem kocim, oczy wpijały się w twarz—na nią zemsta miała być wywartą. Nim jednak do obelgi przyszło czynnéj, dwoje krzepkich i żylastych rąk Godzięby ujęły dwoje ramion rządcy. Nic dotąd podobnego nie bywało w majątku

hrabiego, uczucia godności osobistéj u niższego ofiyalisty zagłuszały trwoga zajęcza lub służalczość.

— Zuch panicz!—rozległo się za oknem.

— Za naszą i swoję krzywdę...

— *Stanowego*! Hej, *stanowego* zaraz!.. Panie Knaus! wydalić go!

— Ryknął — i już go nie było w pokoju. Tylko późniéj zjawił się w mieszkaniu pomocnika podrządca.

— Pan rządca rozkazuje panu dziś jeszcze przed wieczorem wynieść się z gorzelni, w przeciwnym razie będzie pan miał do czynienia z policyą i sądem.

— Wyniosę się, kiedy będę mógł.

— Dziś — koniecznie.

— Jużem powiedział, donieś to pan zwierzchnikowi swemu.

Ekonom przyniósł świstek téj treści: „Rozkazuję panu, nie zwlekając, natychmiast opuścić gorzelnię i folwark! inaczéj poczujesz pan, kto z nas silniejszy.“

Nocował, nazajutrz poczuł, kto był silniejszy. Wezwany stanowy wyrzucił jego tłomok, jedyny sprzęt. Kipiało wszystko wewnątrz, pięść zaciskała się kurczowo, ślina się cisnęła obficie, a na twarzy skóra zzieleniała. Przed siłą ustąpić musiał, wysworowawszy się samotnie, łeb pojedynczy za słaby na przebicie ściany...

Przed gorzelnią stali najemnicy, gotowi do rozejścia się w swe strony rodzinne. Na plecach sakwy zgrzebne, sagany czarne i zatłuszczone, kociołki miedziane, okopcone — znany statek wędrownych najemnikow... Wszystko ludzie bezrolni lub właściciele chałup walących się ze starości, paru grząd chudych. W opłotkach, za kołowrotem, siedziby ich, nie we wsi. Jednym wypadnie przez lato paść bydło gromadzkie, drugim—odnająć swe ręce gospodarzom do orki, siejby lub kośby.

— Wyrzucili was, paniczu-sokole, gadziny, bodajby dobra nie znali?

— Jedziecie już, paniczu? Opuszczacie nas?

— Stęsknimy się za wami...

— Niech was Bóg prowadzi!

— Dobrzyście byli dla nas!

— Ludzkiém słowem poczciliście nieraz...

— Pamiętasz, Hardzieju, jak się za nami ujął?

— Czemu nie! Dobre słowa pamięta się długo...

— Jużci... kiedy same złe się słyszy...

— Oj! bracia-gołębięta, aleć i pamięta je jeszcze dłużéj dusza...

— Wy je, paniczu, także pamiętaliście długo, aż sił nie stało... nie ścierpieliście!..

— Napijmy się lepiéj, bracia! Weseléj będzie na duszy.

— Słyszycie, chłopcy, co paniez mówi?

— Ehe!.. Dobry on...

Rozchodziła się woń wódki, kieliszek dźwięczał.

— No, teraz za wasze zdrowie, paniczu-gołąbku!.. Niech wam się szczęści!

— Niech was Bóg uchowa od ludzi-ludożerców!..

— I za wasze bracia! Niech śladu po nich nie będzie!.. A tyż, Karnieju, czemu nie pijesz? Pij!

— Wypiję... Za wasze zdrowie, paniczyku!

— Ech! paniczu, paniczu!..

— A powieziesz mię do smolarni? Nie mam na czém jechać, z folwarku konia nie dają!

— Powieziemy, jakże nie! Tyż nasze złoto... Siądźcie ino, to ci machniemy!.. Raźniéj od czwórki rządcy!

I sunął się go objąć. Wszyscy cisnęli się doń z pożegnaniem. Bardziéj rozgrzani wódką obejmowali go, ślinili, sapali mu wonią jéj, mówili wyrazami urywanemi, wykrzyknikami niezrozumiałemi. Łez opanować nie mogli—nosy wycierali. Inni trzeźwiejsi, zdala się trzymając, żegnali. Wszystkim im ręce uścisnął — i ruszyli, każdy w swoję stronę. Jechał Godzięba do domu, a w piersiach wrzało. Wyobraźnia, rozdymana żalem, bujała. Pamięć sytuacyi, w któréj przed chwilą był, nie wynurzone myśli i uczucia do dna samego, nasuwały obrazy coraz bardziéj upokarzających położeń, i on z nich wynosił zwycięsko swoją godność, niepokalaną przez złych ludzi! Upajał się temi widmami duszy zbolałéj. A serce tymczasem przyśpieszoném, niezdrowém tętnem, strach! jak kołata, a w gardle nieznośnie sucho!.. Pielęgnował tak niezadowolenie swe! Dobre to!.. Z takich stanów duszy rodzi się obraz nas samych, jakimiśmy powinni być w walce ze światem o swoje... Z pewnością kiedyś postąpi inaczéj, drugi raz znalazłszy się w podobném położeniu!.. Jakże to męczące... ukojenie nadpływa, a w okolicach serca liże łaskotliwie fala uczuć tkliwych... Węzłowato odpowiada woźnicy swemu. Zalatuje woń smoły i terpentyny, poprzez bór przetrzebiony migoce światełko z mieszkania ojca. Staje w pamięci przeszłość przeżyta tutaj, śmierć matki, smutki pognębiające, co późniéj napastowały, noce zmór pełne, potém natrętne jarmułki i pejsy szmulów-wierzycieli...

Stąd wybiegł w swiat, by ich zaspokoić, a no jak teraz?

— Toś ty, Sławcio?.. Miałeś na same święta wrócić?.. Możeś się dowiedział... wczoraj chłopcy przyjechali z Warszawy?

Właśnie wybiegli obaj. Starszy obrzucił okiem brata wychudłego i ze współczuciem wymówił: „Organizmie złupiony!“

No i naturalnie—powitanie. Potém gawęda błaha, pomimo długiego niewidzenia się i wielu rzeczy nagromadzonych w głowie i sercu, rzeczy ważnych, ciekawych, godnych co rychlejszego wypowiedzenia... Nic to! Późniéj—spokojniéj mówili, chodząc po lesie ze strzelbami, przy wtórze budzącéj się do życia przyrody, przy nieśmiałym, cichym jeszcze wtórze żab, dopiero co ogrzanych promieniami kwietniowemi, przy śpiewie drozda, do marzeń usposabiającym, przy pochrząkiwaniu słomek i przy pogwarze lasu różowo szmaragdowego, tonącego wieczorami w czerwieni zmierzchowéj. Często długo w noc przeciągała się ich rozmowa. Wtedy z piersią pełną szczęścia zasypiali.

Po każdéj takiéj rozmowie z braćmi Godzięba mężniał na duchu, inaczéj mu się układały myśli, ilekroć sprawy i porządki ludzkie rozważał.. Odtąd nie wielbił już ani tantyemy, bo łudziła nadzieją złotych gór, a napełniała cudzą kiesę, sprawiając mu zmęczenie tylko i wielki ubytek sił, gdy olśniony obietnicą, pracował nadmiernie, wytężając się zbytnio,—ani podarunków, dawanych dla zachęty do wysiłków, szkodliwych zdrowiu...

Zygmunt Komar.

NOWSZE POGLĄDY NA ŻYCIE ORGANIZMÓW.[1]

Przy dzisiejszym stanie naszéj wiedzy biologicznéj nie podobna podać dokładnego określenia pojęcia życia. Największą trudność przedstawia tu okoliczność, że zjawisko to jest kombinacyą licznych i różnorodnych przemian, stanowiących wszakże nierozerwalną jedność.

Istoty życia nie rozumiemy jeszcze dziś zupełnie tak samo, jak nie pojmowali jéj mędrcy starożytności. Ale obecnie zdołaliśmy wyjaśnić w znacznéj mierze przyczynę różnorodności form życiowych (teorya rozwoju), wykryć liczne prawa, rządzące przemianami świata organicznego, otrząsnąć się z błędnego pojęcia siły żywotnéj, jako czynnika specyficznego objawów biologicznych, wykryliśmy ogólny substrat życia — protoplazmę, a wszystkie do zrozumienia najtrudniejsze i najbardziéj złożone przejawy, począwszy od ruchu mechanicznego, a kończąc na najwyższych czynnościach ducha, sprowadzamy do prostych objawów tego ogólnego podścieliska życia.

Badanie życia protoplazmy, coraz jaśniejsze i piękniejsze rzuca światło na istotę życia wogóle i coraz więcéj rozjaśnia pojedyńcze, najbardziéj powikłane objawy biologiczne organizmów. W ostatnich czasach poruszono w nauce kilka bardzo interesujących kwestyi, dotyczących życia organizmów. Niektóre z wypowiedzianych w tym względzie poglądów, jako oparte na ścisłych danych faktycznych, zdołają, sądzę, zaciekawić szersze koło czytelników.

Jak wiadomo, komórka organiczna, czyli kulka protoplazmy (najczęściéj z jądrem i z jąderkiem pośrodku) stanowi jednostkę elementarną, wchodzącą w skład ciała wszystkich zwierząt i roślin. Pomiędzy istotami żywemi odróżniamy grupę organizmów jednoko-

---

(1) Praca niniejsza stanowi rozszerzony i uzupełniony wykład, miany w roku bieżącym na posiedzeniu sekcyi przyrodniczéj Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego.

mórkowych, których ciało jednę tylko przedstawia komórkę, oraz istoty wielokomórkowe, zbudowane z wielu komórek pojedynczych, których liczba niezmiernie może być wielką.

Do istot jednokomórkowych należą np. ameby, przedstawiające bezkształtne kłaczki zarodzi, zmieniające wciąż swą postać wskutek wysuwania i wciągania wyrostków protoplazmowych i przelewania ciała swego z miejsca na miejsce. Inne twory jednokomórkowe o wiele wyższą mają budowę. Wymoczki np. przedstawiają także jednę tylko komórkę, ale silniéj zróżnicowaną. Jest ona pokryta błoną złożonéj budowy, w zarodzi widzimy ziarenka, banieczki, płynem wodnistym wypełnione i często tętniące, na powierzchni zaś migawki, szybko drgające i t. d., jednêm słowem w ciele pojedynczéj komórki zachodzi wyraźny podział pracy pomiędzy różnemi, składającemi ją częściami.

Istoty jednokomórkowe rozmnażają się drogą dzielenia; komórka rozpada się na dwie lub więcéj części, z których każda przedstawia nowy znów organizm jednokomórkowy. U istot cokolwiek wyższych, w skład ciała zwierzęcia wchodzi już nie jedna, lecz kilka, lub więcéj komórek, luźno obok siebie ułożonych i stanowiących kolonią. W takiéj najprostszéj grupie, czyli kolonii komórek organicznych, wszystkie zupełnie są jednakowe i samodzielnie pełnią funkcye życiowe; nie ma jeszcze pomiędzy niemi żadnego podziału pracy, lub też bardzo tylko nieznaczny. Organizmy takie rozmnażają się również drogą dzielenia; kolonia rozpada się na komórki pojedyncze, a z każdéj z tych ostatnich drogą podziału powstaje nowy agregat; ile zatém było komórek w kolonii macierzystéj, tyle tworzy się oddzielnych kolonii potomnych. U organizmów jeszcze wyższych, komórki, składające ciało zwierzęcia, znajdują się w ściślejszym już związku wzajemnym, stanowią fizyologicznie nierozerwalną grupę jednostek, pomiędzy któremi istnieje wyraźny podział pracy: odróżniamy tu komórki nerwowe, zmysłowe, mięśniowe, komórki biorące na siebie rolę specyalnie trawienia, wydzielania, rozmnażania, czyli płciowe (jajka i ciałka nasienne) i t. d.

Zobaczymy, że przy rozpatrywaniu istot żywych w ich stopniowym łańcuchu rozwojowym zauważyć się daje niezmiernie interesujący fakt ogólny, dotyczący życia i śmierci niższych i wyższych organizmów.

W r. 1882 prof. O. Bütschli z Heidelberga ogłosił w czasopiśmie naukowém „Zoologischer Anzeiger“ kilka ważnych poglądów na tę kwestyą. Przeglądając — powiada ten uczony — zjawiska powstawania i zamierania w wielkim szeregu organizmów zwierzęcych, nie możemy nie dostrzedz uderzającéj różnicy, jaka zachodzi pomię-

dzy osobniczością (indywidualizmem) wyższych t. j. wielokomórkowych zwierząt i niższych, jednokomórkowych. Kiedy w pierwszych osobnik zachowuje obok potomstwa swego określony i wyraźny byt indywidualny, — u organizmów jednokomórkowych, przeciwnie, osobnik jako taki przestaje istnieć przy rozmnażaniu, indywidualność zaś jego przechodzi na osobniki, powstające jako bezpośrednie jego potomstwo. Zjawisko to okaże się bardzo charakterystycznem, jeśli zechcemy zastosować do tych niższych organizmów pojęcie śmierci tak, jak je nam nastręczają organizmy wyższe. Śmierć tych ostatnich nie jest wygaśnięciem życia wogóle; jest ona raczéj zakończeniem życia indywidualnego. Organizm wyższy umierając, przestaje istnieć jako osobnik. Z tego też względu proces rozmnażania się tworów jednokomórkowych, czyli rozpadanie się ich na inne, potomne osobniki, może być do pewnego stopnia uważany jako śmierć, jest bowiem zakończeniem życia indywidualnego. Ale z drugiéj strony u organizmów wyższych z pojęciem śmierci wiąże się pojęcie wyłączenia materyi organizowanéj z obiegu życia, pojęcie zniszczenia materyi żywéj, utworzenia trupa, a tego momentu brak zupełnie przy rozmnażaniu się istot jednokomórkowych.

Jeśli zatém śmierć określimy jako zakończenie życia indywidualnego z wyłączeniem materyi organizowanéj z obiegu życia, będziemy zmuszeni przyznać, iż właściwe zjawisko śmierci u organizmów jednokomórkowych nie istnieje. Uczeni niemieccy Bütschli i Weismann wypowiedzieli też zdanie ogólne, że istoty jednokomórkowe są nieśmiertelne („die Unsterblichkeit der Einzelligen"), wielokomórkowe zaś śmiertelne.

Istota jednokomórkowa żyje pewien czas, dzieli się na dwie np. części, z których każda znów po pewnym czasie rozdziela się na dwie nowe i t. d., jedném słowem osobnik pierwotny żyje wiecznie w potomstwie swojém, coraz liczniejszém i liczniejszém, a w tym długim, ciągłym łańcuchu życia nic nie ginie, nic nie umiera.

Myliłby się atoli ten, co by przypuszczał, że organizmy jednokomórkowe nigdy nie umierają. Przeciwnie, całe ich miliardy giną w każdéj chwili, ale śmierć ich nie jest objawem normalnym, fizyologicznym, lecz jest zjawiskiem patologiczném, przypadkowém, wywołaném przez jakąś zmianę niekorzystną warunków zewnętrznych. Śmierć jednokomórkowych istot może np. nastąpić wskutek znacznéj i gwałtownéj zmiany temperatury, wskutek braku pokarmów i t. d., ale jest to, że tak powiem, śmierć sztuczna, przyczyna jéj nie leży w samych organizmach, jak to ma miejsce u istot wyższych, gdzie pomimo najlepszych warunków życia występuje starzenie się i śmierć, jako wynik saméj organizacyi.

Fakt, iż organizmy jednokomórkowe są nieśmiertelne, prowadzi do kilku filozoficznych wyników, rzucających piękne światło na życie organizmów wogóle. Aby uwydatnić je czytelnikowi, poproszę go najprzód o uprzytomnienie sobie kilku następujących faktów biologicznych.

Każdy organizm wyższy rozwija się, jak wiadomo, z komórki organicznéj, zwanéj jajkiem. Jajko (komórka żeńska) gdy zostaje zapłodnionem, czyli zlewa się z ciałkiem nasiennėm (komórką męską), ulega t. z. dzieleniu czyli segmentacyi. Rozpada się na dwie, cztery, ośm i stopniowo na coraz większą ilość komórek, ułożonych obok siebie, z początku zazwyczaj w kształcie kuli. Komórki te, pierwotnie jednakowe, ulegają różnicowaniu, układają się w tak zwane listki zarodkowe, z których powoli powstają zaczątki wszelkich organów zwierzęcia.

Otóż, jak wykazały nowsze poszukiwania prof. Maurycego Nussbauma, Weismanna, Grobbena i innych, pomiędzy komórkami, przedstawiającemi produkt podziału jajka, najsamprzód różnicują się komórki płciowe, t. j. elementy, które po dojrzeniu zwierzęcia dają znów życie potomstwu. W niektórych wypadkach elementy rozrodcze powstają wtedy, kiedy zwierzę jest już zupełnie prawie rozwinięte (np. u meduz), lecz to późne ich wystąpienie nie przeczy faktowi wczesnego fizyologicznego różnicowania się ich, albowiem ważne poszukiwania prof. Weismanna (1) wykazały, iż to opóźnienie się zależy tylko od tego, że cząsteczki protoplazmy elementów rozrodczych ukryte są w innych komórkach, z podziału jajka pochodzących i nieco późniéj dopiero gromadzą się w jedno wspólne miejsce, tworząc komórki rozrodcze. Fakta te posłużą nam do zrozumienia interesującego poglądu prof. Weismanna, dotyczącego stosunku zwierząt wyższych do niższych.

Dla wyjaśnienia sobie téj sprawy weźmy pod uwagę cztery organizmy: amebę, kolonialną formę, zwaną Magosphaera planula (Haeckel), wyższy nieco organizm, zwany Orthonectida i wreszcie jakąś wysoko uorganizowaną istotę, np. zwierzę ssące. Ameba przedstawia jedną komórkę organiczną, Magosphaera—luźny zbiór komórek, zupełnie jednakowych, wcale nie zróżnicowanych, Orthonectida—zbiór komórek, pomiędzy któremi nastąpił taki podział pracy, że zróżnicowały się komórki środkowe płciowe (wytwarzające potomstwo), otoczone przez warstwę mniejszych, zwanych somatycznemi (*soma*—ciało); wreszcie wysoko-uorganizowana istota, np. zwierzę ssące, przedstawia agregat licznych bardzo komórek, o bardzo

(1) A. Weismann. Die Entstehung der Sexualzellen bei d. Hydromedusen. 1882.

znacznym podziale pracy; znajdujemy tu komórki płciowe czyli rozrodcze (jajka lub ciałka nasienne), oraz somatyczne, zróżnicowane na nerwowe, mięśniowe, trawiące i t. d.

Przedstawiliśmy tu cztery typy coraz wyższéj organizacyi; rozumie się jednak, że można je połączyć całym szeregiem form pośrednich, które uwidoczniłyby powolny i stopniowy podział pracy i postęp organizacyi.

Otóż ameba zachowuje, jak wiemy, całkowitą ciągłość życia, osobnik dzieli się na potomne, te znów na potomne i tak daléj bez przerwy trwa łańcuch życia nieśmiertelnego. Organizm Magosphaera rozpada się na pojedyncze osobniki, z których każdy drogą dzielenia tworzy nową kolonią; te kolonie potomne znów się rozpadają na osobniki pojedyńcze i tak trwa daléj bez przerwy życie nieśmiertelne tych istot, w któróm nic nie ginie. Organizm Magosphaera jest zatém kolonią nieśmiertelnych jak ameba komórek. W organizmie Orthonectida, przedstawiającym także kolonią, nie wszystkie komórki są nieśmiertelne, jak w Magosphaerze. Organizm taki składa się z licznych komórek płciowych i somatycznych. Płciowe są wiecznie żyjące, somatyczne zaś ulegają śmierci. A mianowicie, skoro organizm dochodzi do dojrzałego wieku, z elementów rozrodczych powstają drogą dzielenia nowe zbiory komórek, czyli kolonie potomne; pozostałe zaś komórki somatyczne kolonii macierzystéj mają byt doczesny i po pewnym czasie umierają. W organizmie zatém Orthonectidy widzimy ciągłość życia: komórki rozrodcze, dzieląc się, wytwarzają wprawdzie grupę komórek śmiertelnych, ale pośród nich nową znów komórkę płciową, zdolną do propagowania życia. Jednóm słowem w długim łańcuchu życiowym, komórki rozrodcze nie umierają, lecz jedne pokolenia wydają drugie, podobnie jak ameby. U ameby wszystkie osobniki są swobodne, tu zaś każde pokolenie nieśmiertelnych komórek rozrodczych otoczone jest doczesną powłoką somatycznych: równolegle zatém do nieśmiertelnego życia komórek rozrodczych żyją i umierają doczesne grupy somatycznych. Od organizmu Orthonectidy proste już przejście do wysoko uorganizowanych tworów. Weźmy np. zwierzę ssące. Z komórki jajowéj drogą dzielenia powstaje zarodek przyszłego zwierzęcia, a pomiędzy komórkami jego, jak to zaznaczyliśmy wyżéj, najwcześniéj prawie zjawiają się komórki płciowe, służące do propagowania życia gatunkowego. Organizm rozwija się, rośnie, odżywia, ilość komórek jego znacznie się powiększa, a wielka ta kolonia komórek przedstawia właściwie także agregat elementów płciowych i somatycznych. Płciowe, oddzielając się od organizmu, wytwarzają nowe osobniki, znów zawierające w sobie, nieśmiertelne elementy

płciowe. W taki sposób organizm wyższy jest agregatem zróżnicowanych somatycznych komórek doczesnych: nerwowych, mięśniowych, kostnych, zmysłowych itd. oraz płciowych, przenoszących życie z pokolenia na pokolenie, wiążących sobą materyalnie rodziców z dziećmi, stanowiących nieprzerwaną, wieczną drogę życia, na któréj, że się wyrażę obrazowo, z każdego pokolenia odpadają grupy śmiertelnéj materyi, jako masy komórek somatycznych, niby odpadki, wydzieliny wielkiéj fali życia. Posuwając się od organizmów niższych do wyższych, widzimy więc coraz większą przewagę masy ciała śmiertelnego (*soma*) nad materyą wiecznie żyjącą.

Większości czytelników znane jest zapewne t. z. prawo biogenetyczne, według którego rozwój embryonalny każdego organizmu, począwszy od jajka aż do formy rozwiniętéj, jest krótkiém powtórzeniem rozwoju rodowego danego gatunku, lub grupy danéj, do jakiéj organizm ten należy, czyli powtórzeniem kolejnych stanów i przemian istot organicznych od form najniższych do coraz wyższych, które stanowią odległych przodków tego gatunku lub grupy (1). Organizm każdy jest naprzód jajkiem, czyli istotą jednokomórkową, powtarza zatém przedewszystkiém stadyum jednokomórkowości istot organicznych. Jako jajko mniéj, lub więcéj zróżnicowane, odpowiada on tedy swobodnie żyjącym istotom jednokomórkowym, stojącym na najniższym szczeblu drabiny rozwojowéj.

Otóż, to podobieństwo biologiczne pomiędzy jajkiem zwierzęcém i istotami jednokomórkowemi staje się nader uderzającém, jeśli uwzględnimy poglądy powyższe. Wymoczek nie ulega śmierci, lecz dzieli się i tracąc indywidualność żyje wiecznie w potomstwie swojém; to samo dzieje się téż, jak widzieliśmy, z nieśmiertelnemi komórkami płciowemi, wiążącemi z sobą życie pokoleń.

Jeśli mówimy, że komórki płciowe organizmów wyższych są nieśmiertelne, nie znaczy to, aby wszystkie bez wyjątku przedłużały życie gatunkowe. Przeciwnie, tak samo jak organizmy jednokomórkowe pomimo wieczności ich życia, umierają śmiercią, jak powiedzieliśmy wyżéj przypadkową całemi milionami, podobnie też giną miliony komórek rozrodczych. Z mnóstwa komórek, składających ikrę rybią, lub skrzek żabi, jakaż olbrzymia ilość ginie i przerywa falę życiową! Lecz śmierć ich, podobnie jak u wymoczków, jest zjawiskiem anormalném, patologiczném, życie zaś prawidłem.

---

(1) Czytelnik znajdzie bliższe wyjaśnienie prawa tego w broszurze mojéj p. t. „Rzut oka na dzieje i stanowisko nauki o rozwoju zwierząt.“ Odbitka z „Wszechświata,“ r. 1883.

Teraz zrozumié czytelnik zdanie, sformułowane przez profesora Weismanna, że istoty jednokomórkowe (Protozoa) są nieśmiertelne, wielokomórkowe zaś przedstawiają współżycie nieśmiertelnych elementów jednokomórkowych („Keimzellen") ze śmiertelnemi, zastępującemi się kolejno, grupami wielokomórkowemi (Metazoa). Pojęcie ciągłości życia („Continuität des Lebens") wszystkich organizmów, na którą przedtem już zwrócił uwagę genialny Johannes Müller w słynnym swym podręczniku fizyologii, ma wielką doniosłość filozoficzną. Każdy umierający śmiercią naturalną osobnik, należy uważać za zużyty i jakby zbyteczny produkt wielkiéj i wiecznéj nici życia, ciągnącéj się bez przerwy; jest on tylko ogniwem, przekazującém falę życiową z przodka swego na potomka.

Komórki płciowe, wiążące sobą bezpośrednio pokolenia, następujących po sobie osobników, odżywiane i ochraniane przez somatyczne komórki ciała tych ostatnich i zależne od nich fizyologicznie, ulegają nieznacznym i powolnym zmianom, odpowiadającym przemianom samych osobników, wystawionych na ciągłe i bezpośrednie wpływy zewnętrzne, oraz walkę o byt; cechy nowo nabyte przekazują się za pośrednictwem komórek płciowych osobnikom potomnym. W taki więc sposób fala życia bieży wiecznie i bez przerwy przy ciągłéj, powolnéj przemianie samych pokoleń.

W obec poglądów powyższych dotychczasowe nasze pojęcie osobnika staje się niezmiernie subjektywném. W rzeczywistości w naturze nie istnieje osobnik, jako całość zakończona sama w sobie; osobnik biologiczny jest to tylko przelotna, przejściowa, chwilowa postać, od wiecznie długiéj i nierozerwalną stanowiącéj całość, nici życiowéj.

— Spytajmy teraz, jak ze stanowiska teoryi ewolucyi wytłómaczyć sobie powstanie zjawiska śmierci u istot wielokomórkowych, czyli zamieranie pojedyńczych osobników w obec ciągłości życiowéj fali?

W rozwoju świata organicznego widzimy wciąż dwa wielkie współdziałające prawa: całkowania i różnicowania. Zasadą pierwszego jest wzmacnianie funkcyi przez powtarzanie się i liczebne powiększanie jednostek, pełniących czynności życiowe w danym organizmie, drugie polega na fizyologicznym podziale pracy pomiędzy temi jednostkami.

Prawem całkowania z organizmów jednokomórkowych wytworzyły się kolonie komórek; produkta podziału komórki macierzystéj zamiast rozbiegać się i tworzyć swobodne organizmy jednokomórkowe, pozostawały w związku wzajemnym, jednoczyły się w istotę

wielokomórkową. Tą drogą powstały agregaty jednakowych komórek organicznych.

Skoro w agregacie wstępują komórki w bardzo ścisły związek wzajemny, powstaje pomiędzy niemi fizyologiczny podział pracy, wywołany wprost przez zewnętrzne warunki życia oraz walkę o byt. Jedne z komórek rozwijają w sobie wrażliwość i czucie—elementy nerwowe, inne biorą na siebie rolę trawienia i roznoszenia pokarmu we wszystkie zakątki agregatu itd. Przystosowane do różnych funkcyi życiowych, w wysokim stopniu wyspecyalizowane fizyologicznie, komórki te nie mogą żyć samoistnie po za obrębem organizmu, a ogólna funkcya rozmnażania się coraz bardziéj w nich słabnie w miarę tego, jak potęgują się pewne specyalne, właściwe im czynności. Ale oto, prawem tego samego podziału pracy i *różnicowania się* komórek agregatu, niektóre z tych ostatnich nie biorą na siebie żadnéj specyalnéj nowéj funkcyi, lecz *zachowują bez zmiany właściwości komórki macierzystéj* (jajowéj), to jest, zdolność energicznego dzielenia się i wytwarzania nowego agregatu. Są to właśnie komórki płciowe.

Tak więc drogą fizyologicznego podziału pracy, w organizmie wielokomórkowym zróżnicowały się elementy rozrodcze, biorące na siebie wyłącznie rolę przenoszenia życia z pokolenia na pokolenie oraz komórki somatyczne, które pełnią różne specyalne funkcye życiowe i których ograniczona zdolność rozmnażania się warunkuje sobą ograniczony byt osobnika. Taki podział pracy wywołany został przez dobór naturalny, albowiem pozwalał somatycznym komórkom ciała osobników na coraz większe specyalizowanie się pod względem morfologicznym i fizyologicznym, a tém samém na coraz silniejsze różnicowanie się części organizmu i doskonalenie się osobników.

Zaznaczenie przez prof. Bütschli i Weismanna faktu nieśmiertelności jednokomórkowych organizmów wywołało w literaturze naukowéj spór ciekawy pomiędzy profesorem Aleksandrem Goette (1) i prof. Weismannem (2).

Kiedy jeszcze nie znaną mi była broszura prof. Goettego „O początku śmierci", streszczając we „Wszechświecie" (r. 1883) poglądy Weismanna, wypowiedziałem zdanie, iż trudno *a priori* przypuścić, by u istot jednokomórkowych, u których znajdujemy przecie początki wszelkich prawie funkcyi i objawów życiowych, właściwych zwie-

---

(1) Dr. A. Goette: „Ueber den Ursprung des Todes" r. 1883.

(2) A. Weismann: „Ueber Leben und Tod." Patrz także „Biologische Centralblatt" za r. 1884 i 1885.

rzętom wyższym, nie miało istnieć żadne zjawisko, analogiczne śmierci? Skoro niższy organizm jednokomórkowy pod tylu względami jest tylko znacznie uproszczoną istotą wyższą, skoro porusza się, odżywia, oddycha, wydziela, rozmnaża, dla czego nie miałby też podlegać normalnemu zjawisku śmierci (sztucznéj bowiem, przypadkowéj, jak rzekliśmy, podlega)? Liczne objawy życiowe powstają u form niższych w postaci nadzwyczaj mało zróżnicowanych i słabo wyrażonych czynności, potęgujących się stopniowo u zwierząt coraz wyższych. Czyż-by zatém pierwsze, najsłabiéj chociażby wyrażone, ślady śmierci, tak ogólnego i powszechnego w świecie organicznym zjawiska, nie miały istnieć zupełnie u istot niższych? Pytanie takie mimowoli nasunąć się musi każdemu biologowi, wierzącemu w powolny i stopniowy rozwój świata organicznego. Otóż, myśli podobne wypowiedział też prof. Goette w wyżéj wspomnianéj broszurze. Ale jakkolwiek w ogólném na tę sprawę zapatrywaniu należy się z nim zgodzić najzupełniéj, to jednak nie podobna przystać na pogląd jego co do kwestyi, gdzie mianowicie szukać należy pierwszych śladów śmierci u pierwotniaków?

Rozpatrzmy w krótkości rozumowania tego uczonego.

U istot jednokomórkowych, np. u wymoczków i wielu korzenionóżek, znane jest, bardzo powszechne u nich, zjawisko t. z. encystacyi. Polega ono na tém, że organizm w pewnym, nieoznaczonym okresie życia wydziela na powierzchni ciała swego mniéj, lub więcéj grubą błonę, czyli cystę, wewnątrz któréj pozostaje przez pewien czas szczelnie zamknięty, jakby w stanie letargicznym nie przyjmując pokarmu i nie poruszając się. Dany osobnik traci wtedy zazwyczaj dotychczasową swoją specyficzną organizacyą, staje się „jednorodną masą“ i przedstawia, jak powiada Goette, zarodek („Keim“), z którego znów żywy powstaje osobnik. Otóż, według Goettego ten stan letargiczny, oddzielający sobą dwa życia i przedstawiający jakoby „martwą substancyą organiczną“ jest najprostszym, najpierwotniejszym objawem śmierci istot jednokomórkowych.

Istnieje tu zatém śmierć, lecz tylko czasowa, powodująca odmłodnienie („Verjüngung“) danego osobnika. Na pogląd Goettego nie podobna się jednak zgodzić.

Przedewszystkiém bowiem wewnątrz cysty nie znajduje się martwa substancya organiczna; wprawdzie ustają w niéj *widoczne* objawy życiowe, jak ruch lub przyjmowanie pokarmu, tém nie mniéj jednak życie nie uszło z niéj zupełnie, jest ono tylko utajoném, ukrytém, jest w stanie, że tak powiem, energii napiętéj, która po pewnym czasie przechodzi znów w kinetyczną. Gdyby substancya ta była martwą, uległaby rozkładowi i nie mogła by odżyć napowrót.

Większość uczonych uważa encystascyą, jako specyalne przystosowanie życiowe, mające znaczenie ochronne; zabezpiecza ono organizm od wysychania, od zmian temperatury itd.; w wielu razach organizm encystuje się, gdy przyjął bardzo obfity pokarm; encystacya i związany z tém spokój, pomaga wtedy lepszéj assymilacyi pokarmów. W niektórych razach otaczanie się cystą przedstawia inny jeszcze objaw przystosowania. Profesor Grube opowiada np., że w zatoce Genueńskiéj obserwował wymoczka, który miał zwyczaj nagłego encystowania się na szybko pływających raczkach wiosłonogich. Okazało się, że w tym wypadku korzyść z encystowania się polegała na możności szybszego wędrowania. Jeśli przy encystowaniu się organizacya do pewnego stopnia zanika, to polega to tylko na dążności do oszczędzania przestrzeni i wciągają się niby nóżki, zanikają zbiorniki wodne itd. Zresztą znane są wypadki, że zwierzę wewnątrz cysty zachowuje w zupełności budowę swoją (np. u wymoczka *Tillina magna*, według Grubera). Jednem słowem, proces encystacyi nic nie ma wspólnego ze śmiercią; jest to tylko czasowe osłabienie procesów życiowych, jest to tylko, jak powiada Weismann, śmierć pozorna („Scheintod“), ale nigdy nie rzeczywista, bo niema tu martwego ciała, niema trupa.

Jeśli jednak z jednéj strony u istot wielokomórkowych następuje pomiędzy komórkami zróżnicowanie się na elementy somatyczne i rozrodcze, a wpośród samych komórek somatycznych pewne grupy biorą na siebie pewne specyalne funkcye, z drugiéj zaś strony jeśli u wielu ustrojów jednokomórkowych pewne części komórki przystosowują się do pewnych czynności (np. u wymoczków, gdzie odróżniamy dosyć znaczną specyalizacyę części w komórce), to czyby nie należało przypuścić, że i pod względem zjawiska śmierci pewne części ustroju jednokomórkowego żyją wiecznie, inne zaś—tylko życiem indywidualném osobnika. Zbierając odpowiednie materyały w celu wyjaśnienia sobie tego pytania, doszedłem do wniosku, że rzeczywiście w pewnych przynajmniéj wypadkach, części organizmu istot jednokomórkowych podlegają śmierci, powracając na łono materyi nieożywionéj.

I tak u wielu organizmów jednokomórkowych, np. u wymoczków, istnieje zjawisko t. z. koniugacyi, czyli sprzężenia, polegające na częściowém zlewaniu się i następném rozchodzeniu dwóch osobników, z których każdy ulega potém energicznemu rozmnażaniu się drogą dzielenia. To sprzężenie, podczas którego odbywa się wzajemna wymiana materyi obu istot, ma, zdaje się, na celu ogólne podniesienie ich działalności życiowéj. Odbywa się ono co pewien, nieokreślony przeciąg czasu, a po każdém ma miejsce przyśpieszone

rozmnażanie się. Każdemu takiemu sprzężeniu towarzyszy zazwyczaj ciekawy fakt, iż znaczne części jąder i jąderek, koniugujących z sobą, osobników, występują na zewnątrz ciała i *wyłączone z cyklu życiowego*, ulegają rozkładowi. Podobnie też u innych organizmów jednokomórkowych, np. u t. z. Gregarinidae, przy rozmnażaniu się pozostaje pewna martwa część protoplazmy komórki. Faktom takim należy, zdaje mi się, daleko większe nadawać znaczenie, aniżeli to dotąd czyniono, gdyż w tych właśnie zjawiskach dopatrzéć się możemy pierwszych, że tak powiem, przebłysków naturalnego umierania materyi organizowanéj.

Profesor Weismann, któremu zwróciłem uwagę na okoliczności powyższe, wyraził mi listownie następujące w tym względzie zapatrywania: „Rzeczywiście zupełnie jest słuszném, iż zjawisko śmierci, podobnie jak wszelki inny objaw nowy, nie mogło wystąpić *nagle* i bezpośrednio w ciągu rozwoju rodowego. Nie podobna tego przypuścić. Upatruję też łącznik zjawiska tego z jednéj strony w przykładzie, dotyczącym Gregarinidów, z drugiéj zaś w tém, że u niższych istot wielokomórkowych *soma* (śmiertelne komórki ciała), rozwinięta jest jeszcze bardzo mało i dopiero u wyższych organizmów przewyższa znacznie masą swą komórki rozrodcze. Sądzę atoli, że należy ściśle odróżniać umieranie części... od śmierci fizyologicznéj całego ciała, a pojęcie śmierci naturalnéj stosuje się właśnie do całéj indywidualności.“ Otóż, co do tego ostatniego punktu nie mogę się z Weismannem zgodzić. Pojęcie osobowości biologicznéj jest, jak wiadomo, bardzo względne; odróżniamy całą hierarchią osobników coraz wyższych: komórka jest osobnikiem biologicznym; organizm wielokomórkowy, np. polip jest także osobnikiem, ale wyższym, bo złożonym już z komórek; kolonia zaś polipów sama w sobie przedstawia również osobnik biologiczny, jeszcze wyższego rzędu. Cała kwestya sprowadza się więc do tego, czy rzeczywiście komórka organiczna jest najprostszym osobnikiem biologicznym, czy jest zbiorem pewnych niższych jednostek, podobnie jak polip jest zbiorem komórek?

Prof. Naegeli (1) w swéj nowéj „Mechaniczno-fizyologicznéj teoryi“ rozwoju starał się dowieść, że organizm najprostszy np. monera, stanowiąca wprost kłaczek zarodzi, przedstawia już właściwie dosyć wysoki i złożony organizm na drabinie rozwoju, jest bowiem zbiorem wielkiéj ilości najprostszych, *elementarnych jednostek biologicznych* t. zw. *micellów*, przedstawiających kompleks pewnéj ilości

---

(1) Prof. C. Naegeli: Mechanisch-Physiologische Theorie der Abstammungslehre, 1884 r.

fizycznych już cząsteczek (Moleküle) białka. Protoplazma jest zbiorem micellów, odpowiednio ułożonych; różny kształt, wielkość i ugrupowanie ich—wytwarzają liczne kombinacye, stanowiące o fizyologicznych i morfologicznych właściwościach różnych istot żywych.

Micelle pozostają w takim stosunku do protoplazmy komórek, w jakim komórki do organizmu wielokomórkowego. Jeśli zatém pomiędzy komórkami organizmu różnicują się jednostki śmiertelne (soma) i nieśmiertelne, dlaczegóż by więc pomiędzy micellami komórki nie miały też występować grupy, utrzymujące ciągłość życia gatunkowego (być może, idioplazma Naegelego), oraz pewne grupy protoplazmy odżywczéj, mającéj tylko znaczenie dla życia osobnikowego komórek? Nie idzie zatém, by to zjawisko było powszechne u pierwotniaków; owszem, większość ich jest zapewne całkowicie nieśmiertelna, u niektórych atoli, wyższych nieco istot jednokomórkowych różnicują się stopniowo śmiertelne grupy micellów.

W miarę ciągłego rozwoju, w miarę stopniowego całkowania i różnicowania się organizmów, oraz bezustannego działania doboru naturalnego— coraz jawniéj i wyraźniéj występowała śmierć somatycznych jednostek, w przeciwstawieniu do ciągłości życia komórek rozrodczych!

Badanie odwiecznych praw przyrody doprowadza nas nieraz do niespodziewanych wniosków. Śmierć, tak okrutna dla jednostek, z tak nieubłaganą siłą wyrywająca istoty najdroższe sercu naszemu... jest jako zjawisko naturalne niczém innném, jeno najlepszém przystosowaniem, umożliwiającém *wieczne życie* i bezustanne *doskonalenie* się świata organicznego!

Józef Nusbaum.

PRZYCZYNEK DO KRYTYKI
STATYSTYKI WSPÓŁCZESNEJ.

(*Dokończenie*).

Weźmy dwie kategorye robotników, np. cieśli i mularzy. Przypuśćmy, iż ongi zarabiali oni jednakowo zupełnie po 24 szyl. tygodniowo; dziś zarobek pierwszych wzrósł o 12 sz., zarobek ostatnich—o 5 szyl. Pierwszych niech będzie 9.000, drugich—1.000. Z powyższych danych ułożyć możemy taką tablicę:

Zajęcie	Ilość	Zarobek poprzedni		Zarobek obecny		Przyrost		
						Absolutny		Odsetny
		szyl.	pen.	szyl.	pen.	szyl.	pen.	
Cieśle	9,000	24	—	36	—	12	—	50
Mularze.	1,000	24	—	29	—	5	—	20

Gdyby się nas zapytano o polepszenie się losu cieśli i mularzy, posługując się giffenowską logiką, odpowiedzielibyśmy poprostu: Położenie ich polepszyło się o 35%, gdyż (50 + 20) : 2 = 35, a Giffen na ilość ich nie zwraca uwagi. Widocznem jest wszakże iż taki mianowicie rezultat jest mylnym. Całkowity zarobek cieśli poprzednio równał się 216,000 szyl., a całkowity zarobek mularzy = 24,000 szylingów. Dzisiaj zarobek pierwszych równa się 324,000 sz., drugich—29,000 sz. W rezultacie całkowity zarobek dzisiejszy (353,000 sz.) przewyższa całkowity zarobek dawniejszych (240,000 szyl.) o 113,000 sz., co stanowi 48 od sta. Jedynie tylko przyjęcie pod uwagę ilości robotników każdéj kategoryi spowodowało tę różnicę, iż w miejscu 35% otrzymaliśmy teraz 48%.—Zwróćmy jeszcze i na to uwagę, że zarobki, któreśmy wzięli, nie bardzo różniły się od siebie. Porównajmy zaś odpowiedź jaką nam dałby Giffen w tym np. razie: Mamy 1,000 robotników, co zarabiali niegdyś 8 sz. 3 pensy tygodniowo, a dziś

zarabiają 20 sz. 6 pens., tj. o 150% więcéj i, z drugiéj strony, 9,000 takich, co zarabiali ongi 24 sz., dziś zaś 29, czyli o 20% więcéj;—a przekonamy się, że rozminie się z prawdą o całe *sześćdziesiąt*. Według niego wypada 85% gdyż (150 + 20) : 20 = 85, w rzeczywistości zaś jest tylko 25%, tj. dochód robotników powiększył się o jedną czwartą, a nie o 85%.

Tylko co mówiliśmy, że z materyału zgromadzonego w pierwszych tablicach niepodobna wyciągnąć żadnego wniosku *ogólniejszéj* natury, gdyż pominięte są np. ilościowe stosunki; teraz dodać możemy, że *pominięte są* również *niektóre kategorye*.

Wallace w swojém „*Land Nationalisation*“ powiada:—„Oficyalnie liczy się w Zjednoczoném królestwie około 1,000,000 biédnych, w saméj rzeczy jednak ludzi, pozostających ciągle nad przepaścią nędzy, liczyć można 4,500,000!..“ A iluż to między tymi czterema z górą milionami należy właśnie do bezroboczego proletaryatu, do rezerwowéj armii kapitalistycznéj produkcyi, do pozbawionych a wyczekujących pracy robotników!.. Nie mamy dostatecznéj ilości danych, by sądzić o téj liczbie i o jéj zmianach, ale wiele faktów świadczy na korzyść ciągłego jéj wzrostu.

Mógłby nam jednak ktoś zarzucić, że urzędowe dane statystyczne przeczą temu twierdzeniu. Między innymi takiego jest właśnie zdania p. Leroy-Beaulieu.

Na str. 431 dzieła swego *Essai sur la répartition des richesses*, (wyd. 1881 r. Paryż), przytacza następującą tablicę co do liczby biédnych w Anglii.

Lata	Ilość biédnych			Ludność Anglii w milionach
	wspieranych w workhouse'ach	w domu	w sumie	
1849	119375	815044	934419	17.5
1850	118559	801984	920543	17.7
1853	104126	694636	798822	18.4
1856	125597	752870	877767	19
1859	123305	737165	860470	19.7
1862	143191	802975	946166	20.3
1865	138119	833314	971433	21
1868	158723	876100	1034823	21.8
1871	165289	916637	1081926	22.7
1874	149558	679723	829281	23.6
1877	157191	571159	728350	24.5
1878	166875	575828	742703	24.8

Ażeby tablicę tę skrócić cokolwiek, wynotowaliśmy oprócz pierwszego i ostatniego roku, tylko dane co trzy lata. Od r. 1849 do

1878, gdy ludność podniosła się aż o 30%, ilość biednych spadła o 20%. Czy istotnie z cyfr powyższych można wyprowadzić wniosek podobny, kiedy w r. 1863 ilość biednych podniosła się do 1,142,624, w r. 1863 do 1,039,549, a tak niedawno jeszcze, bo w r. 1870 do 1,079,926; czy z danych tych, powtarzamy, można wyciągnąć wniosek o stanowczém zmniejszaniu się pauperyzmu, niech sądzi sam czytelnik. A potém, czyż z ilości biednych, wspieranych oficyalnie można wnosić o pauperyzmie w ogóle? Już to samo, że dane, któremi się posługiwał Leroy-Beaulieu doprowadziły go do sprzecznych z rzeczywistością rezultatów, służyć może dostateczną rękojmią, iż cyfry powyższe nie są wystarczającemi. Według niego, stosunek biédnych do ludności jest taki mianowicie: w Irlandyi na 100 wypada 1.59, w Szkocyi—2.7, w Anglii zaś 2.33 biédnych. Mowa tu o roku 1877. Otóż w rzeczywistości sprawa przedstawia się wprost przeciwnie; w Anglii biédnych stosunkowo jest najmniéj, w Irlandyi najwięcéj, o czém sam Leroy-Beaulieu wspomina. Samo stopniowe wyludnianie Irlandyi—nie mówiąc już o znaném całemu światu wyjątkowo nędzném położeniu robotnika irlandzkiego, dostatecznym tego dowodem: ośmiomilionowa ludność z r. 1841, w dziesięć lat spadła do 6.5 milionów, w r. 1861—do 5.8 milion., a w 1866—do 5.5 milion.! Co do Szkocyi możnaby Giffenowi przytoczyć słowa tego samego Caird'a, na którego pracy (*The Landed Interest and the Supply of Food*) opierał on optymistyczne swe wywody co do polepszenia się dobrobytu robotników rolnych. Nie mamy pod ręką oryginału, ale oto krótki z niéj wyciąg, który znajdujemy u Maxa Schippel'a w niemieckiém tłómaczeniu: „Trzecia część ludności żyje w ten sposób, że cała rodzina mieści się w jednym pokoju; druga część zamieszkuje dwa pokoje z całą rodziną. (*Zwei Drittel des ganzen Volkes leben demnach unter Verhältnissen, die mit Bequemlichkeit und Anstand, wie man sie heute versteht, unverträglich sind*).“ Zresztą nie będziemy kontynuować argumentacyi na korzyść twierdzenia, które jest słuszném i dla Leroy-Beaulieu (str. 437), chociaż cyframi dowiódł on czego innego; zwrócimy tylko raz jeszcze uwagę czytelnika, że z cyfr tych niepodobna wyciągać wniosków ogólniejszéj natury. Sam Leroy-Beaulieu wspomina, iż oprócz biédnych wspieranych przez państwo, są inni jeszcze, co do których niema dokładnych danych. Dlaczegóż w takim razie wnioski swe rozciąga na wszystkich jednocześnie?

Z dwóch kategoryj: biédnych wspieranych oficyalnie i nie wspieranych—robotnik pozbawiony czasowo roboty należy prędzéj do drugiéj. Workhouse'y są przytułkami dla starców, zniedołężniałych, kaleków, ale nie dla jednostek, wyrzuconych na bruk w czasie przesilenia, pozbawionych zarobku wskutek przymusowego bez-

robocia itd. W danym zaś razie chodzi nam przeważnie o tych ostatnich; tymczasem wywody Leroy-Beaulieu nie stosują się do nich wcale.

W kwestyi wzrastania ilości niezajętych sił roboczych rzucą nam nieco światła poniżéj zgromadzone dane. Czerpiemy je z Maxa Schippel'a (*Das moderne Elend und die moderne Uebervölkerung*. Leipzig. 1883).

Dowodząc, iż produkcya angielska prowadzi się z coraz mniejszą ilością rąk roboczych, na poparcie swego zdania przytacza on rozmaite argumenty, z których wybieramy kilka:

Ilość robotników w rozmaitych gałęziach produkcyi w r. 1861 i 1871:

	1861 r.	1871 r.		1861 r.	1871 r.
W rolnictwie . . .	2,010,454	1,657,137	Słodownictwo . .	10,677	10,274
W przem. jedwabnym	117,989	82.053	Przerabianie prod. zwierzęcych . .	12,040	11,134
„ wełnianym	130.034	128,464	Tracze	31,635	27,949
Przędzenie lnu . . .	22,050	17,993	Ceglarze	39,620	38,779
Koronkarstwo . . .	53,987	49,370	Garncarze	2,665	2,389
Drukarstwo na perkalu i płótnie	12,556	9,860	Gwoździarze . . .	26,130	23,231
Farbierstwo	4,772	2,322	Modelarze	8,218	7,538
Guzikarstwo	6,644	5,811	Mosiężnicy	9,733	5,758
Pończosznictwo . . .	45,869	42,038	Usługa na żegludze rzecznéj . . .	31,221	29,487
Powroźnictwo . . .	11,762	10,294	„ „ morskiéj	94,665	94,370
Szewctwo	250,581	223,365	Robotnicy w portach i dokach . . .	32,450	28,740
Szmuklerstwo . .	10,598	8,670			
Rękawicznictwo . .	22,271	15,217			
Młynarstwo . . .	31,689	29,720	Razem	3,030,000	2,562,000

Gdyby ilość robotników rosła proporcyonalnie do wzrastającéj ludności, w r. 1871 liczba ich—powiada autor—powinna by się podnieść do 3.430,000; tymczasem spadła ona do 2,562,000, to jest o 868.000, czyli o 30 prawie procent. Co prawda, w tym samym okresie, wzrosła liczba robotników w przemyśle żelaznym, na fabrykach maszyn, narzędzi rolniczych, ale cóż to za wzrost! Gdy w r. 1861 liczba ta wynosiła 399,498, w r. 1871 podniosła się do 491,341, to jest o 91,843. Natomiast w przemyśle bawełnianym z 563,014 spadła na 562,015, a biorąc pod uwagę mężczyzn samych—jeszcze bardziéj, bo ze 156,000 na 144,000. Gdy na fabrykach bawełnianych od roku 1861 do 1875 liczba warsztatów tkackich podniosła się z 339,992 na 463,118, liczba tkaczy spadła z 166,209 na 163,632. Tymczasem, cóż to za olbrzymi wzrost produkcyi zanotować trzeba w tym samym okresie! Gdy w r. 1860 produkcya żelaza wynosiła 3,826,752 tonny, w 1871 prawie dwa razy tyle, bo 6,627,462; gdy produkcya bawełniana wynosiła 959 miljonów funtów w r. 1861, w 1871 podskoczyła do 1416 miljonów funt., a produkcya wełniana w tym samym okresie podwoiła się, mianowicie z 93 milionów funt. podskoczyła do 188 (*Statistical Abstract for the United Kingdom*).

W Lancashire, Cheshire i Yorkshire, okręgu liczącym 570 fabryk tkackich, w okresie od 1860 do 1865 r. stosunki zmieniły się w sposób następujący:

	1861 r.	1865 r.
Warsztaty tkackie parowe	85,622	95,163
Wrzeciona	6,819,146	7,025,031
Siła maszyn parowych w koniach parow.	27,439	28.925
„ kół wodnych w koniach parowych	1,390	1,445
Ilość osób zajętych	**94,119**	**88,913**

Tablicę tę przytaczamy, jako typową. Gdy ilość warsztatów wzrosła o 11%, ilość wrzecion o 3%, ilość koni parowych o 5%, ilość ludzi pracujących na fabrykach spadła o 5.5%!

Przejdźmy jeszcze do przemysłu górniczego. Przytoczone cyfry dotyczą okresu późniejszego.

	Eksploat węgla w tonnach	Ilość robotników zajętych
1874	140.713,832	538,829
1875	147,700,313	535,845
1876	148,989,385	514,532
1877	148,846,260	494,391
1878	145,798,138	475,329
1879 (Rok zmowy)	145,366,369	476,810
1880	161,466,739	484,933

Przyjrzyjmy się teraz zmianie stosunków w tym samym mniéj więcéj okresie, w jednéj z najbardziéj rozległych gałęzi przemysłu angielskiego. Leone Levi (*The History of British Commerce and of the Economic Progress of the British Nation 1763—1878*. London, 1880 str. 551) daje nam obraz téj zmiany:

	Fabryki		Wrzeciona		Ilość osób zatrudnionych	
	1871	1878	1871	1878	1871	1878
Bawełna . .	2665	2674	37515772	39527920	479515	482903
Wełna . . .	2572	2425	5348351	5433827	276702	265269
Len	449	400	1473800	1264766	128459	108806
Jedwab' . .	878	706	1114703	842538	45559	40985
	6564	6205	45452626	47069651	930235	897963

Widzimy tu znowu wzrost produkcyi (mniejsza ilość fabryk pochodzi z ich koncentracyi) i zmniejszenie ilości rąk zajętych, a tymczasem ludność w tym samym okresie wzrosła o 10%. Gdyby nawet ilość robotników pozostawała taką samą, nie spadała wcale,— wobec wzrostu ludności, któremu z konieczności rzeczy towarzyszy liczebny przyrost sił robotniczych, zapytaćbyśmy się musieli, co

się z niemi robi, gdzie się podziewają; o odpływie ich bowiem ku innym gałęziom pracy (1), w danym razie najmniéj może być mowy, ponieważ górnictwo, przędzenie i tkactwo rozwijają się bardziej od nich i więcéj zdaje się powinnyby sił absorbować. Ale tu są inne przyczyny, bezpośrednio związane z samym systemem obecnéj produkcyi. Reasumując wszystko, cośmy przytoczyli w kwestyi pauperyzmu, powiedziéć można, iż względne przeludnienie, albo inaczéj—nadmierna ludność, wytwór naturalny obecnych warunków ekonomicznych, jest właśnie tym gruntem, na którym pauperyzm pleni się. Miejsce ludzi zajmują maszyny, miejsce robotników dorosłych—dzieci, miejsce mężczyzn—kobiety, a wszystkim im razem odbierają chléb peryodyczne kryzysy, stwarzając coraz bardziéj wzrastającą „armię rezerwową" robotników, jak ją nazwał Marks.

W obec istnienia takiéj rezerwowéj armii, wobec jéj wzrastania, należałoby wprowadzić do ogólnych rachunków nową tę kategoryę, nie już cieśli, nie mularzy, ani tkaczy, ani téż przędzarzy, ale... poprostu... „kategoryę próżnujących."

Tymczasem dla ilustracyi wprowadźmy w saméj rzeczy do rachunków Giffena tę kategoryę, do trzydziestu kategoryj „sytych"— jednę kategoryę „głodnych brzuchów." Zobaczymy wtedy, ile téż odbiorą one pierwszym. - Przeciętna odsetnego przyrostu zarobków tablicy III-éj, jakeśmy to już mówili, równa się 73 = 1171 : 16. Dodawszy jeden rząd, w którym przedstawimy obniżkę zarobku do zera, jakimkolwiekby on był przedtém, to jest zanotujemy obniżkę o 100% (przedtem był np. 10 ,15, 20 szylingów tygodniowo, teraz— równa się 0; we wszystkich tych wypadkach zniżenie zarobku wynosi 100%),—w miejsce 73% otrzymany tylko 63%, gdyż (1171—100) : 17 = 63. Łącząc zaś tę przeciętną z takąż tablicy IV-éj i odestnym przyrostem zarobku robotników rolnych, będziemy mieli w rezultacie 58% $\left(\frac{63+52+60}{3}=58\right)$ zamiast 65%, albo oznaczając przyrost granicami, w których się waha, 50% do 66% Możemy jeszcze w ten sposób dokonać tegoż samego rachunku:—Suma odsetnego przyrostu zarobków tablicy III-éj równa się 1171, takaż suma tablicy IV-éj równa się 681, dodając do tego odsetny przyrost zarobków rolnych, mamy ogółem 1,912; odpowiednich zaś kategoryj—30 (tabl. III—16, tabl. IV—13 i jedna kateg. zarob. roln.). Nowowprowadzona kategorya armii rezerwowéj obniża sumę odsetek o całe sto; zamiast zaś

---

(1) O czém łatwo przekonać się możemy z dzieł Ernsta Engla: „*Das Zeitalter de Dampfes in technisch-statistischen Beleuchtung.*" Berlin, 1881 i „*Zur Statistik der Dampfkessel und Dampfmaschinen in allen Ländern der Erde*, Berlin. 1874.

30, mamy obecnie 31 kategoryi. Tysiąc osiemset dwanaście (1912—100=1812) podzielone przez 31 daje nam 58—zupełnie tak jak poprzednio. Dodajmy, że kategoryi téj „wyjątkową“ nazwać nie można.

Jedna więc „głodna gęba“ pozbawia trzydzieści „sytych“—7% (65—58=7) ich dochodu. Mówiąc inaczéj, jeśli przypuścimy, że trzydziesta tylko część zwykłego dnia roboczego opłaconą nie jest (w skutek np. bezrobocia), zarobek rzeczywisty, *w danym razie* (1), spada o 7 procent. Trzeba bowiem odróżniać zarobek „nominalny“ od „rzeczywistego.“ „Nominalny“ w danym wypadku będzie zawsze ten sam, czy się pracuje rok cały, czy téż pół roku, czy nawet jeden tylko tydzień na całych pięćdziesiąt dwa tygodni; ale zarobek rzeczywisty—to rzecz inna.

Tyle co do saméj metody; przynajmniéj na tymczasem.

Zanim przejdziemy do artykułów konsumpcyi, chcielibyśmy zwrócić uwagę na specyalny dobór materyału, jaki spotykamy u Giffena.

Nie mówiąc już o pierwszych tablicach, w których wykazaliśmy istotnie wyjątkowe kategorye, sprawdzimy jeszcze tablicę IV-tą.

Posługując się statystyką Porter'a na każdym kroku, w danéj chwili p. Giffen zapomina o niéj zupełnie. Bierze on cyfry z r. 1850, podczas gdy u Portera znajdujemy z r. 1832, t. j. właśnie z daty najodpowiedniejszéj, gdyż wnioski autora dotyczą pięćdziesięcioletniego okresu.

Oto dane z Portera (*The Progress of the Nation in its various social and economical relations from the beginning of the nineteenth century to the present time.* London 1838, t. II, p. 253):

Zarobki marynarzy w roku 1832 w Anglii.

American Trade	60	szyl. miesięcznie
Baltic Trade	60	„ „
Coal Trade to London (od podróży)	65*	„ „

* *Uwaga.* Wyjątkowo 65 sz., ponieważ na długo przedtém i ciągle późniéj zarobek ten wynosił 70 szylingów.

Jakaż różnica z zarobkami podanymi przez Giffena, a odnoszącemi się do 1850 r. Co prawda, ponieważ zarobki marynarzy różnią

---

(1) Cyfrowe te rezultaty stosują się tylko do danego wypadku. Nie moglibyśmy np. powiedzieć, że wprowadzenie jednéj kategoryi robotników „bez pracy“ obniży zawsze stopę przyrostu o 7%, ale z tego tylko wnosimy o znaczeniu jéj przy ogólnych rachunkach.

się znacznie, stosownie do ich zajęcia, nie możemy protestować przeciw samym tym cyfrom (patrz tab. IV, średni zarobek 47 sz.), — ale protestujemy przeciw ich zestawianiu z zarobkami marynarzy prawdopodobnie innéj kategoryi. W ten sposób postępując, można byłoby również nietylko nie otrzymać żadnego przyrostu zarobków, ale olbrzymią ich obniżkę, gdybyśmy tego chcieli. Niech nam wolno będzie przytoczyć w téj saméj kwestyi kilka danych z Younga (*Labor in Europe and America* (1). Washington. 1876, p. 278):

Zarobki marynarzy w ostatnich czasach w Anglii.

Port Hull	1-sza kategorya	(A. B. Seamen)	zarabia	od	58	szyl.	do	96	miesięcznie
	2-ga	„ (Ordinary seamen)	„	„	38	„	„	96	„
Port Dundee	1-sza	„	„	„	58	„	„	68	„
	2-ga	„	„	„	10	„	„	48	„

Otóż, gdy pierwsza kategorya zarabia przecięciowo 70 szylin. $\left(\frac{58+96+58+68}{4}\right)$, jak tego chce Giffen (tabl. IV, kol. 3), — druga zarabia 47 szyl., t. j. tyleż, co i marynarze z 1850 r. przytoczeni przez niego tamże (kol. 2, ob. str. 364).

Nie wątpimy, że zarobek istotnie podnieść się musiał, chociaż nie w takim, jak Giffen powiada, stosunku; wreszcie porównanie danych Portera i Younga daje nam o nim pojęcie,—ale widzimy i tutaj celowe, świadome dobieranie materyału, by poprzéć nim z góry powzięte założenie.

Jak mylną jest stopa przyrostu zarobków tablicy III, tak również mylną jest stopa tab. IV i przyrostu zarobków rolnych, o czém przekonają nas dane poniżéj przytoczone.

Opierać się będziemy na źródłach kilkakrotnie już cytowanych i paru nowych.

Zarobki rolne przedstawiają się w ten sposób:

(1) *Special report on the rate of wages, the cost of subsistence and the condition of the working classes in Great-Britain, Germany, France, Belgium and other countries of Europe; also in the United States and British America*, by Edward Young, chief of the United States' Bureau of Statistics. 1 v., gr. In 8°, p. 840.

W *Irlandyi* według *Journal of the Statistical Society of London*, March, 1870.

Miejscowość	Dziennie								Tygodniowo							
	Zarobek i utrzymanie				Zarobek bez utrzymania				Zarobek i utrzymanie				Zarobek bez utrzymania			
	od		do		od		do		od		do		od		do	
	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.
Cork Limerick, Waterford	0	24	0	61	—	—	0	97	0	73	1	46	1	70	2	43
Antrim, Armagh, Down, Londonderry, Tyrone	—	—	—	—	—	—	—	—	0	50	1	00	—	—	—	—
Dublin, Wicklow, Kildare	—	—	0	85*	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Meath, Queens, Wexford	—	—	0	33	—	—	—	—	—	—	0	97	—	—	1	70
Louth, Cavan, Down	0	17	0	24	0	24	0	49	—	—	1	46	1	20	2	43
Kings, Longford, Roscommon	—	—	—	—	0	24	0	37	—	—	1	56	1	40	1	92
Westmeath	0	37	0	85*	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Donegal, Fermanagh	—	—	—	—	0	30	0	61	—	—	—	—	—	—	—	—
Clare Galway, Kerry, Limerick	—	—	—	—	0	37	0	49	—	—	—	—	—	—	—	—
Cork	—	—	—	—	0	33	0	47	—	—	1	96	1	70	2	43
Carlow, Cork, Tipperary	0	37	0	50*	—	—	0	35	—	—	1	22	—	—	1	83
Leitrim, Mayo, Roscommon	0	37	0	50	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	46
Sligo { zimą	0	22	0	25	—	—	—	—	—	—	1	22	—	—	—	—
Sligo { latem	0	25	0	37	—	—	—	—	—	—	2	93*	—	—	—	—

* *Uwaga.* Cyfry, przy których stoją gwiazdki, oznaczają zarobki wyjątkowo wysokie, podczas żniwa.

Tablica ta jednak nie dałaby nam dokładnego o rzeczy pojęcia, gdybyśmy jéj nie uzupełnili notatką, zawierającą całoroczne zarobki, a z któréj wypada, że robotnik wcale nie przez cały czas otrzymuje powyżéj wypisane tygodniowe zarobki. Oto ta tablica:

Miejscowość	Zarobek roczny i utrzyman.			
	od		do	
	dol.	cen.	dol.	cen.
Cork, Limerick, Waterford	38	93	48	67
Antrim, Armagh, Down, Londonderry, Tyrone	24	33	48	67
Kings, Longford, Roscommon	—	—	38	93
Donegal, Fermanagh	48	67	73	00
Cork	58	37	68	10
Carlow, Cork, Tipperary	—	—	50	18
Leitrim, Mayo, Roscommon	38	93	48	67
Sligo	38	93	48	67

Od pierwszego wiersza widzimy już różnicę, wynikającą z tego, że robotnik wiejski nie zarabia okrągły rok zanotowanéj poprzednio tygodniowéj sumy, gdyż w takim razie zarobek całoroczny wahałby się w granicach od 38 dolarów do 76, a nie do 48 dol. 67 cen. Mniejsza jednak o to. Rachujmy tak, jak gdyby tygodniowy zarobek informował nas najdokładniéj. Przeciętna ostatniéj kolumny tablicy

poprzedniéj wyrażać będzie w takim razie zarobek tygodniowy irlandzkiego robotnika rolnego na własném utrzymaniu. Przeciętną tą jest 1 dolar 83 centy, czyli 7 szyl. 6 pensów. Jakiego zaś rodzaju jest to utrzymanie, a przynajmniéj—ile nań odrachowują patroni, przekonać się możemy z całotygodniowego nań wydatku, który nie przewyższa 97 centów, to jest 3,9 sz., co stanowi dziennie 16.5 kopiejek.

Z kolei przechodzimy do *Szkocyi*, gdzie zarobki rolne stoją najwyżéj. Young na str. 358 swego dzieła przytacza nam odnośne dane, z których będziemy mogli odpowiednie wyciągnąć wnioski. Przyjmijmy jednak pod uwagę, iż w tablicy téj pomieszczone są nietylko zarobki robotników.

Klasa	Zarobek roczny						Zarobek tygodniowy	
	Pieniędzmi		W naturze		Całkowity			
	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.
Oficyaliści	101	64	za 125	35	226	99	—	—
Robotnicy rolni	82	28	„ 124	96	207	63	—	—
Pasterze	116	88	„ 125	36	242	24	—	—
Leśnicy:								
Nadzorcy.	—	—	—	—	—	—	5	08
Gajowi	—	—	—	—	—	—	3	63

Z tablicy téj zarobek tygodniowy robotników wypada na 4 dolary, czyli 16 szylingów, co stanowi sumę dwa razy większą od zarobku robotników rolnych irlandzkich. Oczywiście szczęśliwców tych musi być nie wielu, przynajmniéj, tak wnosić można z przytoczonych już słów Fawceta, Atkinsa etc.

W dalszym ciągu przejdźmy do *Anglii* i *Walii*. Zarobki odnoszą się do 1870 r.

Prowincye	Mężczyzni — Zarobek tygodniowy bez utrzymania				Kobiety — Zarobek tygodniowy bez utrzymania			
	od		do		od		do	
	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.
Południowo-wschodnie . .	2	17	3	63	0	96	1	61
Południowo-centralne . .	2	42	3	38	0	96	1	45
Wschodnie	2	42	3	14	0	72	1	46
Południowo-zachodnie . .	2	05	3	63	0	72	1	45
Zachodnio-centralne . . .	2	17	3	63	0	64	1	43
Północno-centralne . . .	2	90	3	63	0	96	1	45
Północno-zachodnie . . .	2	90	3	63	1	45	2	17
Północne.	3	38	4	35	1	08	2	17
Yorkshire	2	90	4	35	0	60	1	69
Welsh	2	66	4	00	1	21	1	45
Walia	1	21	3	63	0	96	1	45

Średni tygodniowy zarobek mężczyzn wynosi 2 dolary 96 cent., takiż zarobek kobiet 1 d. 27 c., czyli 12 szyl. i 5 sz. 3 pensy.

Zarobek kobiecy pomijamy, chociaż Giffen powinien był go uwzględnić przy swém obliczaniu, albowiem rezultat przez niego podany dotyczył zarobków rolnych wogóle,—wyprowadzamy zaś przeciętną jedynie z zarobków męskich, które obliczaliśmy — jak czytelnik mógł się przekonać—na najdogodniejszych dla twierdzeń Giffena warunkach, dla usunięcia wszelkiéj wątpliwości co do słuszności naszych zarzutów. Otóż *przeciętną wszystkich zarobków rolnych* (irlandzkich, szkockich i angielskich) jest (7.5 + 16 + 12) : 3, to jest *11.8 szylingów tygodniowo.* Cyfra ta, wyprowadzona przez nas zupełnie niezależnie, na zasadzie powyżéj zgromadzonego materyału blisko odpowiada rzeczywistym stosunkom, gdyż zgadza się z obliczeniami np. Stanley'a James'a („*On the condition of the working-classes of England*"), na którego powołuje się Young. Według Fawcetta, wypada 10 do 11 szylin.

Gdyby tak być miało, jak zapewnia Giffen, mianowicie, że zarobki rolne podniosły się o 60% od czasu zniesienia praw zbożowych do obecnéj chwili, to jest w okresie niespełna czterdziestoletnim, musiałyby one wtedy wynosić 7 szyl. tygodniowo. Że zaś tak nie było, że musiały być one wówczas wyższe — niższemi mogły być tylko chwilowo, to jest wyjątkowo — najlepszym dowodem są zarobki rolne z końca ostatniego stulecia. Już w r. 1787 młockarze, według Younga (str. 148), zarabiali po 6 szyl. tygodniowo, a żniwiarze do 8 szyl. Co do innych lat mamy szczegółowsze nieco dane. W Cumberland np. zarobek męski wynosił w r. 1792—7.5 szylingów, w 93 r.—7 szyl., w 94 r.—8 szyl., w 95 r.—7.5 sz.; w Huntingdonshire w r. 1792 wynosił 7.3 sz., w 93 r.—7.25 sz., w 95 r.—7.3 sz.; w Bedfordshire w r. 1795 zarobek wynosił 8 szylingów, czyli przeciętnie 7.5 szyl. Porównywując zarobek ten z dzisiejszym zarobkiem rolnym według Fawceta, otrzymujemy wszystkiego 40% przyrostu. Ale idźmy daléj. Tylko co przytoczone cyfry zapożyczyliśmy u Younga (str. 163—165), poniżéj wypisane bierzemy również od niego (str. 156): przeciętny zarobek tygdniowy robotnika rolnego w r. 1768, wyprowadzony na zasadzie zarobków w osiemdziesięciu z górą miejscowościach Anglii, miejscowościach rozmaicie odległych od stolicy, wynosił 7 szyl. 1 pens! Od r. 1768 do 1880 mamy lat 112. Otóż zaledwie w ciągu tych 112-tu lat, biorąc najbardziéj wygórowaną przeciętną obecnych zarobków rolnych, przyrost równać się może cyfrze podanéj przez Giffena; dla okresu zaś mniejszego, dla 90-cioletniego np., przyrost wyniesie tylko 40%, jakeśmy to już wyrachowali, i t. d. Być może, iż Giffen wybrał sobie za punkt wyjścio-

wy rok, w którym zarobek rolny, dla jakichkolwiekbądź powodów, spadł czasowo bardzo nisko. Inaczéj owych 60% jego wytłómaczyć sobie niepodobna. Bądź-co-bądź cyfra ta nie daje nam żadnego o rzeczywistym stanie pojęcia. Przy takich danych można otrzymać rezultaty według własnéj woli. — A zresztą zarobki robotników rolnych są i dzisiaj tak liche, że już doprawdy niepodobna posługiwać się ich przyrostem dla wniosków o rosnącym dobrobycie robotników wogóle. Niezmiernie wymownym w téj kwestyi jest ustęp Fawcetta o robotnikach rolnych (str. 234—238) w dziełku jego *Pauperism, its causes and remedies*. London 1871.

* * *

Przechodzimy do środków utrzymania.

Zaczynamy od pszenicy, od któréj zaczął także nasz autor. Niepodobna nie zgodzić się na rozumowanie jego, iż przeciętna cena przedmiotów codziennego użycia nie daje należytego o rzeczy pojęcia, tam gdzie chodzi o wykazanie większéj lub mniejszéj możności zaspakajania potrzeb. Jeżeli średnia roczna cena zboża np. wynosi 25 szyl., a mamy miesiąc taki, w którym wynosi trzy, lub cztery razy tyle; albo np. średnia roczna cena kartofli równa się x szyling., a w jednym miesiącu podniosła się do $3x$, lub $4x$ (1), jeżeli będzie to miało i z innymi przedmiotami codziennego użytku, — oczywiście, pomimo umiarkowaną cenę przeciętną, będziemy mieli miesiąc głodu. Średnie cyfry w takich razach nie wiele znaczą dla tych, co nie mają możności robić jakichbądź zapasów, co własnéj nie mają spiżarni. Nie podobna — powtarzam — nie zgodzić się na to rozumowanie; cóż, kiedy Giffen znowu wyzyskuje je tylko w pewnym celu, stosuje tam, gdzie mu ono jest użytecznem na poparcie *a priori* postawionego twierdzenia.

W 1847 roku cena pszenicy podskoczyła wyjątkowo do 102 sz. 5 pens. podczas gdy w 1836 r. była tylko 36 sz.; Giffen podchwytuje tę okoliczność, by dowieść, jakie to okropne były dawniéj zboczenia od średniego poziomu. To, że w 1868 r. cena pszenicy podskoczyła do 74 sz. 7 pens., podczas gdy w 1840 r. była tylko 72 sz. 10 pens., to — niby go nie obchodzi wcale.

Dziwna rzecz jaką to czułością, jakim symentalizmem tchnie logika Giffena, gdy mówi on o warunkach robotnika przed pięćdzie-

---

(1) Niedaleko idąc, weźmy przykład z pięcioletniego okresu od początku 1870 do końca 1874 r. (Young, ibid. 378 p.). W czerwcu 1871 r. kartofle kosztowały 60 szyl. tonna; w czerwcu 1873 r.—204 szyl. Średnia cena za cały ten peryod wynosiła 100 sz. Oczywiście w czerwcu 1873 roku była bieda.

sięciu laty. Z niezrównaną pieczołowitością wyszukuje on najdrobniejsze fakciki, szpera niby z zamiłowaniem w ówczesnéj nędzy robotniczéj; nie dziw więc, że usposabia go to pesymistycznie. Im bardziéj zaś zbliża się do naszych czasów, tém powierzchowniéj rzecz traktuje, tém różowiéj téż przedstawia mu się wszystko.

Ale mniejsza o jego logikę... Wróćmy do logiki liczbowéj.

Na stronicy 378 cytowanego już dzieła Younga znajdujemy następujące dane co do ceny zboża za kwarter w Anglii i Walii podczas trzydziestu pięciu lat od 1840 do 1874 r. włącznie:

Peryod	Pszenica		Jęczmień		Żyto	
	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.
1840—44 (5 lat) . .	13	88 (*)	7	66	8	22
1845—49 (5 lat) . .	12	96	8	26	8	10
1850 - 54 (5 lat) . .	8	70	6	96	7	60
1854—59 (5 lat) . .	13	84	8	86	9	30
1860	12	78	8	78	8	70
1861	13	28	8	66	8	58
1862	13	30	8	42	8	72
1863	10	74	8	14	7	78
1664	9	64	7	18	7	30
1865	10	04	7	14	—	—
1866	11	98	8	98	—	—
1867	15	48	9	64	—	—
1868	15	30	10	32	—	—
1869	11	56	9	46	—	—
1870	11	26	8	30	—	—
1871	13	60	8	68	—	—
1872	13	68	8	96	—	—
1873	14	08	9	70	—	—
1874	13	38	10	78	—	—

Naumyślnie przytoczyliśmy ten długi szereg cyfr, gdyż rzuca on zupełnie nowe na kwestyą światło.

Skąd brał swoje cyfry Giffen — niewiemy, cyfry zaś powyższe pochodzą z źródła urzędowego.

Z nich dowiadujemy się: popierwsze — iż cena pszenicy, ulegając ciągłym wahaniom, w przeciągu trzydziestu pięciu lat pozostała na tym samym średnim poziomie (w 1840 — 13.88, w 1874 — 13,38, a ogólna przeciętna — 13.20); powtóre — że niepodobna mówić o spadaniu ceny wobec cyfr stosunkowo wyższych w ostatnim dziesiątku (1864—1874), aniżeli w dwóch pierwszych (1840—1864); po trzecie — że porównywanie kilkoletnich okresów nie daje wcale należytego o rzeczy pojęcia, tak np. zestawienie dwóch dwuletnich peryodów (od początku 1863 roku do końca 1864 i od początku 1867 do końca

(*) 1 *dolar* = 100 *centom* = 4.13 szyl. We Francyi dolar rachują 5 fr.

1868), każe nam wnieść o podniesieniu się ceny o 55%, gdy w saméj rzeczy, w przeciągu bardzo długiego czasu cena średnia stoi prawie na tym samym poziomie.

Sądzimy, że przy obliczaniu, mającém jaką taką do dokładności pretensyą, tak postępować, jak p. Giffen — niepodobna.

W tablicy powyższéj wypisaliśmy również z Younga cenę jęczmienia, która znowu widocznie wzrasta, a o któréj, *chyba dla tego właśnie*, pan G. zapomniał. Żałujemy, iż niepodobna było prześledzić postępu cen żyta. Jakkolwiek wszystkie te ceny nie dochodzą do 1882 r., niemniéj wszakże oświetlają nam rzecz do pewnego stopnia, gdyż wykazują, iż zniżenie ceny pszenicy, o jakiém mówi Giffen miało miejsce dopiéro w ostatnich latach, nie może więc być rozciągane na cały okres pięćdziesięcioletni.

O cukrze (tabl. V) powiedziéć tyle możemy, że, chociaż cena jego spadła bardzo znacznie, cyfry Giffena i tutaj są przesadzone. Na poparcie odwołujemy się do Porter'a (Progress of the Nation. *Statement of the Value of each of the principal articles of British and Irish produce*, tom II p. 109), który podaje nam, jako cenę 1 cnt. w 1832 roku, 45 szylin. (1). Mniejsza jednak o cukier. Wśród wydatków robotnika stosunkowo nie wielkie on zajmuje miejsce.

Co do kategoryi następnéj (mater. bawełniana)—trudno jest powiedziéć coś dokładnego. Autor za jéj pośrednictwem chciał nam uprzytomnić zapewnie obniżkę ceny odzienia; dla takiego wniosku jest ona szczupłą zanadto. Trzebaby wielkiéj śmiałości, by na podobne puścić się uogólnienie. Ponieważ jednak nie kładzie on na nią szczególnego nacisku, ponieważ nie wprowadza do liczbowych kombinacyi, możemy pozostawić ją na stronie.

Co do mięsa, sam Giffen przyznaje, że ceny jego w przeciągu ostatnich lat czterdziestu wzrosły o 40 procent. Podrożenia takiego chyba niepodobna nazwać bagatelą?...

W rezultacie, sumiennie rozpatrując rzeczy, przyjść trzeba do wniosku, że przez cały czas, o którym idzie mowa, ani zarobek tak bardzo nie urosł, ani téż nie staniały środki utrzymania. Tymczasem wiele kategoryi podniosło się bardzo znacznie (mięso — 40% z górą nawet przy cyfrach Giffena, mieszkanie 150%), ale najbardziej podniosły się... potrzeby... Te bowiem nie pozostają ciągle na jednym i tym samym poziomie, ale, owszem, rosną i rosną nieustannie...

---

(1) Young znowu podaje 32 szyl., jako cenę cukru w Londynie w 1872 roku. Czterdzieści pięć sz. w 1832 i trzydzieści dwa szyl. w 1872, nie jest to znowu tak wielka jak u Giffena różnica.

A czyż mielibyśmy prawo decydować o większym dobrobycie z samego tylko ich wzrostu?... Człowieka, co może tylko zaspakajać niezbędne swe potrzeby, chociażby one były dzisiaj daleko większe, czyż mamy prawo już dla tego samego zaliczać do kategoryi szczęśliwców, do szeregu ludzi, na korzyść których przypadł cały materyalny ostatnich czasów dorobek?...

Wreszcie przykład najlepiéj nas objaśni w téj mierze.

Ponieważ autor do rzędu tych szczęśliwców, którym się wszystko dostało, zaliczył między innymi robotników bradfordzkich, huddersfieldzkich i manchesterskich przyjrzyjmy się z blizka ich środkom utrzymania:

Wykaz rozchodu tygodniowo	Bradford 2 dorosłych i 3 dzieci		Huddersfield 2 dorosłych i 2 dzieci		Manchester 2 dorosłych i 5 dzieci	
	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.
Mąka i chleb	1	02	—	92	1	34
Mięso, świeże i solone	1	20	—	84	—	60
Sadło	—	18	—	60	—	10
Masło	—	48	—	60	—	16
Sér	—	20	—	60	—	—
Cukier, mączka	—	50	—	56	—	52
Mleko	—	30	—	14	—	36
Kawa	—	12	—	—	—	12
Herbata	—	18	—	20	—	18
Ryby świeże i solone	—	—	—	—	—	18
Mydło, krochmal, sól, pieprz, ocet, etc.	—	24	—	36	—	16
Jaja	—	12	—	6	—	12
Kartofle i inne jarzyny	—	24	—	36	—	24
Owoce świeże i suszone	—	—	—	16	—	8
Opał	—	28	—	32	—	60
Światło	—	8	—	9	—	12
Rozmaite wydatki	—	28	—	12	—	20
Spirytus, piwo, tytoń	—	48	—	—	—	36
Komorne	1	08	—	86	1	08
Na przedmioty do szkoły, kościoła, etc.	—	24	—	36	—	36
Całkowity rozchód tygodn.	7	22	7	15	6	88
Rocznie	375	44	371	80	357	76
Ubranie (na rok)	120	—	25	—	25	—
Podatki (na rok)	—	—	10	—	—	—
Całkowity rozchód roczny.	495	44	406	80	382	76
Tygodniowy zarobek	10*	20*	7	20	7	96
Roczny zarobek, licząc 52 robocz. tygod.	530	40	374	40	413	92

* *Uwaga.* Zarobek rodziny.

Powyższe dane notujemy według Younga (*Labor in Europe and America*, p. 388). Cyfry—podane są w dolarach i centach (1 dolar= 100 centów =4.13 szyling.).

Tablica ta służyć nam może za nadzwyczaj cenną wskazówkę dla uprzytomnienia sobie obecnego stanu robotnika. Nie chodzi nam już bowiem o porównanie tego stanu z poprzednim, ale, wyłącznie, o położenie jego dzisiejsze.

I cóż widzimy?

Licząc na dobry zarobek (7,96 dol. = 32 szyl., a 10.26 dol. = 42 szyl.) i—co ważniejsza jeszcze, na zarobek ciągły, bezustanny; innemi słowy—licząc na *wyjątkowo* dobre okoliczności, robotnik ma *ledwo* tyle, co mu potrzeba na *pierwszorzędne* wydatki, albo nie zarabia nawet i tego.

Przedmioty wykazane w rubryce pierwszéj należą do rzeczy *niezbędnych*, tymczasem całkowity roczny dochód robotnika *prawie* ich nie pokrywa. Mówiąc o robotniku bradfordzkim, Young bierze pod uwagę zarobek całéj rodziny i w ten sposób daléj rachuje; trzeba wszakże wiedzieć, że dziecko nie od kolebki przecież zarabia, a podczas ośmioletniego co najmniéj peryodu rodzice muszą nań wydawać. Z dziesięciu dolarów—tygodniowy zarobek zredukuje się w takim razie do ośmiu, dziewięciu, co uczyni rocznie 416, wreszcie 468 dolarów, a i w takim nawet razie deficyt wyniesie jakich 30 dolarów (1). W kasie hudersfieldzkiego robotnika—także deficyt; zarobek manchesterski—ledwo... ledwo wystarcza. Możemy dodać jeszcze, że Young stosunkowo zamało liczy na mieszkanie. Według Clif-

(1) Jak rozumiéć należy komentarz Younga przy tygodniowym zarobku robotnika bradfordzkiego—„carnings of family"—trudno jest odpowiedziéć napewno. Tłómacząc dosłownie należałoby powiedziéć „zarobek rodziny" i w takim razie inne (7.20 i 7,96) uważać, jako zarobki samego tylko ojca; w takim jednak razie na zarobek męski wypadnie zbyt wygórowana suma np 32 szyl. (7 d. 96 c.), gdy na zarobek reszty rodziny—tylko (10.20—7.20) = 3 d., albo jeszcze mniéj, mianowicie (10.20—7.96) = 2.24 d. Dziewięć szylingów na cztery pracujące osoby (matkę i troje dzieci)—to trochę za mało. Przypuśćmy atoli, że komentarz ten należy rozumiéć dosłownie, że carnings of family znaczy zarobki rodziny. W takim razie matka z dziećmi podnosi zarobek ojcowski o 30 prawie procent, dzieci zaś same, ponieważ jest ich troje, co najmniéj od 15 do 20%. W rodzinie bradfordzkiéj mamy więc dzieci dorosłe, mogące już pracować; w dwóch innych rodzinach (huddersfieldzkiéj i manchest.) dzieci małe, niepozwalające nawet, prawdopodobnie, zarabiać matce; która musi pilnować je w domu. Dlaczegoż w takim razie Young utrzymuje wydatki wszystkich tych rodzin na jednakowéj wysokości? a nawet z wyjątkiem paru artkułów (mąki, mięsa, mleka, komornego i ubrania) wszystkie inne znacznie obniża? Rachując w ten sposób, nic dziwnego, że nie znajduje on deficytu w kasie robotnika bradfordzkiego. Ale czy tak jest w rzeczywistości? Największą ulgę, jaką dziecko robotnika, przynieść może rodzicom, jest zarobek wystarczający na własne jego utrzymanie.

forda (*Agricultural Lock-out of* 1874 p. 246) robotnik miejski wydaje nań co najmniéj *piątą* część całego swego zarobku; według Giffena—wydaje on jeszcze więcéj, bo $^1/_4$; inni zgadzają się z tém także. W takim razie na komorne odliczyć by trzeba było nie 1.08 dol., ale—2 dol.; nie 0.86, ale 1.80. A jakąż to znaczną robi różnicę, jak znaczną ujmę w innych artykułach!.. Na siedmiu dolarach dwa dolary w miejsce jednego—to rzecz nie mała.—Nie będziemy jednak wdawać się w krytykę cyfr pojedyńczych, ale postarajmy się tylko o ich zrozumienie.—*Chleb* w saméj rzeczy zajmuje bardzo poważne miejsce w wykazie rozchodów; wydatek nań i na mąkę dochodzi niekiedy do $^1/_5$ całego zarobku. Niekiedy! z wielkiéj ilości spożywanego chleba nie tylko o dobrobycie wnosić trudno, ale, nieraz, nawet przeciwnie wnosić można o biedzie. Nie tak jest z *mięsem*. Nawet przy tak wygórowanym nań wydatku, jaki nam podaje Young, mówiąc o bradfordzkiéj rodzinie, na tydzień wypada wszystkiego 6.4 funt.; pamiętajmy zaś, że to dla pięciorga. Huddersfieldzka rodzina ma tylko 4.5 funt., a manchesterska 3.2 funt. i to dla siedmiorga na tydzień, W tym ostatnim razie *na jednego dziennie wypada 0.06 funt.* Wyznać trzeba, że istnie ptasia to porcya. A panu Giffenowi, co tak pochopnie decyduje o świetném położeniu robotnika, nawet i dwadzieścia takich porcyi nie wystarcza zapewne. Z *masłem* także jest nie lepiéj. Licząc cenę funta na 1.4 szyl. wypada przeciętnie na jednę rodzinę tygodniowo funt z czemś, średnia rodzina w danym razie składa się z pięciu członków. Na tąkąż samę liczbę wypada tygodniowo: cztery *jaja*, rachując po szylingu tuzin; za szylinga (30 kop.)—*mleka*, za trzy czwarte szylinga—*herbaty*, za pół szylinga—*kawy*, za półtora szylinga—*opału*, za pół szyl.—*światła* itd. itd. Niektóre z tych porcyi tak są homeopatyczne, że i wyliczać by ich nie warto. Ale!.. jeszcze *ubranie*. Gdy Young mówi o 120 dolar. (150 rubli), jako rocznym wydatku rodziny złożonéj z 5-ciu członków, wszystko jest dobrze; ale gdy mówi o 25 dol. (30 rub.) na siedmioro, łatwo jest zrozumiéć, że zaszło tu jakieś nieporozumienie: w miejsce „ubrania“ należałoby powiedziéć—„łachmany“, „szmaty“, albo—może... jakoś inaczéj; wtedy przynajmniéj nie łamalibyśmy sobie głowy nad tém, co też to za stroje na rok za taką sumę i na tylu ludzi sprawić można!?..

Już po tych tylko komentarzach czytelnik nam przyznać musi, żeśmy zauważyli słusznie, iż, przy *wyjątkowo* nawet dobrych okolicznościach, zarobek *ledwo* wystarcza na *pierwszorzędne* potrzeby.

Niechcemy uogólniać wniosków powyższych. Ponieważ przytoczone cyfry stosują się do Bradfordu, Huddersfieldu i Manchesteru, niech mają one racyą bytu *tylko* dla nich; ponieważ stosują się do familijnych domów, co w robotniczéj klasie zawsze w gorszych stoją

warunkach, niechaj téż *tylko względem nich* będą słuszne (1). Ale, czyż i wtedy nie są one dla nas dość przekonywującemi? Czyż i wtedy nie świadczą one z całą siłą przeciw bezzasadnemu Giffenowskiemu optymizmowi? Niejeden może skłonny by był jeszcze, po tem wszystkiem, zawahać się przed taką decyzyą, przypuszczając: że ludność bradfordzka, huddersfieldzka i manchesterska są *wyjątkami*; że ten olbrzymi potok bogactwa, co miał wylać—według słów Giffena—na robotniczą Anglię, ominął właśnie wymienione powyżéj robotnicze siedliska, że... itd... Jeśli co może zwichnąć zdrową logikę, to... najprędzéj—wielki jakiś autorytet... Giffen—imponuje!.. Jakże tu z nim się nie zgadzać?.. W danym jednak razie kwestya na tyle jest jasną, iż chyba tylko *umyślnie* można jéj nie rozumiéć:—*Giffen opiera swe wywody prawie przeważnie na zmianie bytu robotnika manchesterskiego*, *huddersfieldzkiego* i *bradfordzkiego* (patrz tabl. I, II i III), *a ostatnia tablica daje nam najdokładniejszy jego obraz w danéj chwili.*

Nie tęgi to byłby wzrost bogactwa, o którym wnosić byśmy mieli jedynie z polepszonego bytu *mas*!.. Dwie te rzeczy, *wzrost bogactwa* i *dobrobyt mas*, są tak od siebie różne, że ci, co—jak wielki stytystyk Wielkiéj Brytanii—przyjmują je za równoznaczne, stają się w wielu razach kompletnie niezrozumiali. Prawiąc o „wzroście bogactwa,“ a mając zawsze na myśli równoznaczny dla nich „dobrobyt mas,“ podają nam oni w rezultacie taką mieszaninę, w któréj najbystrzejszy nawet umysł odkryć niczego nie zdoła, a już najsłabszy dopatrzy się—zgoła braku wszelkiéj logiki!

Istotnie téż, nie tam wzrostu bogactwa szukać trzeba! A jeśli kto w tym mianowicie wypadku zamyka oczy na olbrzymie fortuny angielskie, nie dziw—że wszystko na wspak widzi.

Dlaczego p. Giffen odwrócił się od znanych całemu światu dowodów koncentracyi własności prywatnéj w Anglii i towarzyszącego jéj gromadzenia się wszystkich dochodów w niewielkiéj stosunkowo ilości rąk?.. Przez dyskrecyą, czy téż dla innego jakiego powodu?—niewiadomo. Ale faktem jest, że nic o nich nie mówi. Tymczasem, gdybyśmy chcieli tak jak on wnioskować, z „sukcesyi“ (Tabl. VIII), dowiedzielibyśmy się rzeczy zupełnie nowych.

Z pracy A. Forille'a (*Les grandes fortunes en Angleterre*. Journal de la Société de Statistique de Paris, 1883) dowiadujemy się naprzykład, iż od r. 1863 do 1872 włącznie Zjednoczone królestwo do-

---

(1) A z robotnikami rolnymi jest jeszcze gorzéj. Oto słowa Stanley'a James'a w téj kwestyi: „Jest to rzeczą niemożliwą dla człowieka żonatego, ażeby za taką płacę (12 szylingów tygod.) wyżywił należycie siebie i rodzinę.“ *On the condition of the working classes of England.*

starczyło 161 sukcesyi *ruchomości* większych nad 6,250,000 franków, z których 53 przewyższało 12,500,000 fr., 10 zaś—25,000,000 fr.; od r. 1873 do 1882 wykazano znowu 277 sukcesyi, z których 45 wyższych nad 12,500,000 fr., a 17—nad 25,000,000 fr. Ilość więc fortun większych wzrosła. O rozdrobnieniu własności również mówić niepodobna, albowiem właśnie posiadłości największych mamy prawie dwa razy tyle co przedtém. A przypomnijmy tylko sobie, jakie to wnioski z sukcesyi także porobił Giffen.

W jednym z dokumentów („*Financial reform almanach*“ for 1883) znajdujemy cyfry następujące:

W Królestwie Zjednoczoném liczyć można:

	750	kapit.,	posiadających	(każdy	oddziel.)	więcej nad	6,250,000	fran. *w ruchom.*
Z tych:	160	„	„	„	„	„	12,500,000	„
	60	„	„	„	„	„	25,000,000	„
Nadto:								
	1,011	właścicieli	ziemskich,	których majątki	warte są	więcéj nad	6,250,000 fr. (1)	
Z tych:	17	„	„	„	„	„	od 90 do 225	milionów,
	159	„	„	„	„	„	od 25 do 90	milionów,
	263	„	„	„	„	„	od 12.5 do 25	milionów,
	572	„	„	„	„	„	od 6.25 do 12.5	milionów.

Pierwsi w sumie mają fortunę 8,000 do 9,000 milionów, drudzy—18,000 z górą milionów franków. W tę ostatnią niewliczona jest jeszcze własność ziemska miast.

---

(1) Podajemy siedmnastu największych właścicieli:

Nazwisko	Powierzchnia majątku w hektarach.	Wartość w miljonach franków.
Ks. Norfolk	18,000	225
Margr. Bute	47,000	193
Ks. Buccleugh	185,000	192
Ks. Northumberland	75,000	147
Sir J. N. Ramsden	28,000	146
Ks. Devonshire	78,000	143
Ks. Derby	26,000	142
Ks. Bedford	35,000	118
Ks. Hamilton	63,000	117
Ks. Portland	65,000	116
Hr. Fitz-Wiliam	46,000	113
Ks. Sutherland	488,000	108
Lord Tredegar	16,000	104
Hr. Dudley	10,000	103
Lord Calthorfe	3,000	102
Lord Haldon	4,000	91
Margr. Anglesey.	10,000	90
	1,197,000 hektarów.	2,250 mil. frank.

W rezultacie fortuny większe nad sześć milionów franków tworzą razem trzydzieści miljardów, a to bogactwo znajduje się w rękach 1760-ciu ludzi.

Podatek dochodowy rzuca nam także pewne światło w téj kwestyi:

Opłacających	50,000	fr.	rocznie	jest	9,661,
„	250,000	„	„	„	1,122, a
„	1,250,000	„	„	„	8.

Miljonerów w Królestwie Zjednoczoném jest wszystkiego 20,000 na 30 miljonów ludności.

Przed pięćdziesięciu laty nie mieliśmy ani tych olbrzymich kapitałów, ani tych olbrzymich majątków ziemskich. Dzisiejsze kolosalne fortuny zawdzięczać należy — nie mówiąc o pierwszych momentach ich powstawania, nie mówiąc o innych przyczynach — nieustannemu procesowi pochłaniania drobnéj własności przez wielką, *nieustannemu absorbowaniu przez tę ostatnią największéj części przyrostu bogactwa.*

„Tylko kosztem setek pchniętych w niedolę jednostki zaciągają się do szeregu wyjątkowo bogatych“ — powiada Wallace. Giffen innego jest zdania. Cały przyrost bogactwa, według niego, idzie na biédnych. Bogacze — rekrutują się z biédaków!... Niemasz losu — jak pełen nadziei los biedaka!... Ba!... nietylko nadziei, ale... i największych zysków?!...

O ile nam wiadomo, statystyka — pierwszego Giffena doprowadziła do podobnych wniosków.

Poddaliśmy je dość szczegółowéj analizie, by trzeba było raz jeszcze do nich powracać (1). Jedno, co nam pozostaje, to—streścić w kilku słowach uwagi nasze ogólnéj natury, któreśmy wypowiadali tu lub owdzie, w rozmaitych miejscach przy sposobności, a które dotyczyły nietylko już jednéj pracy p. G., ale — w ogóle prac podejmowanych w tym kierunku i w ten sam prowadzonych sposób, to jest uwagi, które dotyczyły saméj metody statystyki.

Jak bo téż często spotykamy wręcz przeciwne sobie konkluzye, chociaż oparte na tych samych statystycznych źródłach! Do jak

---

(1) Oprócz dzieł wyżéj wspomnianych, statystyczny materyał czerpaliśmy:

René Lavollée. *Les classes ouvrières en Europe.* Paris. 1882.—David Cunningham. *Conditions of social well-being, or inquiries into the material and moral condition of the populations of Europe and America with particular reference to those of Great Britain and Ireland.* London 1878.—Francis Walker. *The wages questions; a treatise ou wages and the wages class. Production and Population. Distribution.* London. 1878.—Thomas Brassey. *Foreign Work and English Wages.* London. 1879.—Bevan. *The Industrial Classes and Industrial statistics.* London 1877.—Leone Devi. *Wages and Earnings of the Working Classes.* London 1867.

sprzecznych wniosków dochodzą różni autorowie, rozporządzający wszakże jednemi i temiż samemi danemi! Dość jest przejrzéć choć jednego Younga (Labor in Europe and America). Oprócz surowego materyału, dotyczącego zarobków, cen różnych artykułów, wydatków, etc. podaje nam on, w traktowanéj przezeń kwestyi, *résume* z wielu autorów. Co do materyału — ten jest niezaprzeczonéj wagi, co zaś do wniosków — trudziłby się napróżno, ktokolwiek chciałby szukać w nich *jakiejbądź* zgodności. Kogo tu słuchać?... Oczywiście bowiem, wszyscy nie mogą mieć racyi.

I zkądże to pochodzi?

Nie mówiąc o drugorzędnych powodach, jak pochopność, aprioryzm, tendencyjność i t. p., wiele tu bezwątpienia stanowi — brak dokładnéj metody. Bez niéj zaś — statystyka do żadnych *poważnych* prowadzić nie może rezultatów, do żadnych rezultatów *pewnych.*

Najelementarniejszemi jéj wymaganiami, które notujemy z tego tylko względu, iż wykraczają przeciw nim nawet tacy jak p. Giffen, koryfeusze, najprostszemi takiemi wymaganiami są:

1. *Ocena materyału*, z którego się korzysta:

a) pod względem jego wartości;

b) pod względem jego zupełności—jeśli bowiem takowy jest niezupełnym, chociażby był najprawdziwszym, ograniczone tylko może mieć znaczenie;

c) pod względem wzajemnego do siebie stosunku różnorodnych jego kategoryi—jedne naprzykład mogą być daleko bardziéj od innych ważne, a jako takie odpowiednio winny być traktowane.

2. *Należyte jego uporządkowanie*:

a) rozsegregowanie kategoryi, różniących się jakościowo, ilościowo, co do stopnia oraz czasu;

b) wykluczenie kategoryi wyjątkowych—rezultat bowiem ogólny i ostateczny nie może się na nich opierać;

c) zestawienie kategoryi jednoimiennych.

3. *Uwzględnienie wszystkich znanych czynników*, wpływających na na ostatnią wypadkową.

Jeśli przeciw wymaganiom tym wykracza badacz zupełnie *bezstronny*—w takim razie powiedzielibyśmy tylko, iż nie ma on żadnéj metody; jeżeli zaś czyni to z powziętą z góry myślą, jest to już świadome fałszerstwo. W pierwszym wypadku nie mamy do czynienia z nauką; w drugim, pod przykrywką nauki, występuje szarlataneryа — tém szkodliwsza, im z bardziéj głośnego wychodząca źródła.

Kazimierz Sosnowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Der Kampf um den Besitz. von Dr. F. L. Chleborad. Wien, 1885.

Przez długi czas ekonomia polityczna pouczała ludzi, że warunki ich bytu na ziemi podlegają równie niezłomnym prawom, jak prawa fizyczne, że w obec praw tych są oni zupełnie bezsilni, że żadne instytucye, żadne środki prawodawcze, żadne pomysły najgenialniejszych głów nie są zdolne usunąć dolegliwości materyalnych, dręczących nieszczęsne dzieci Ewy. Nędza, według tych poglądów, miała być wieczną, bo mógłby jéj jakoby jedynie zapobiedz środek niepodobny do wykonania: zrzeczenie się przez wszystkich biédaków najwyższego szczęścia na tym padole płaczu, największéj osłody w troskach — uciech miłosnych i życia rodzinnego. Za taką cenę naturalnie nikt by się nigdy okupić sytości nie zgodził, żołądek więc musiałby zawsze płacić haracz sercu. To też nazwano ekonomię „nauką smutną". Ponieważ wszelkie stosunki materyalnego bytu jednostek i narodów miały się układać siłą niezłomnych praw ekonomicznych, przeto wdawanie się rządów w sprawy gospodarstwa społecznego mogło tylko tamować naturalny jego rozwój, a więc oddziaływać na nie niekorzystnie, dlatego ekonomiści pragnęli widzieć w państwie jedynie ochraniacza bezpieczeństwa publicznego i stróża własności. Ze wszystkich katedr rozbrzmiewało ich głośne hasło: *laissez faire*, *laissez passez*, *le monde va de lui même.* To téż Ferdynand Lassalle mógł nie bez pewnéj słuszności o tym kierunku powiedzieć: nauczcie szpaka mówić „wolna wymiana, wolna wymiana", a będziecie mieli ekonomistę!

Wszystko jednak na świecie ma swój koniec, więc i teorya absolutnie wolnéj wymiany usług i nieinterwencyi państwa musiała zczasem obudzić reakcyą. Zaatakowali ją z jednéj strony zwolen-

nicy ceł ochronnych w imię potrzeby opieki dla początkującego przemysłu w krajach, stojących na niższym szczeblu rozwoju gospodarczego, z drugiéj — rzecznicy interesów ludu roboczego, w imię obrony pracy przed przewagą kapitału. I oto zaledwie sto lat upłynęło od czasu powstania doktryn wolnohandlowych, a poglądy największych powag w dzisiejszéj ekonomii wprost przeciwny dawnym przyjęły kierunek. Nie mówiąc już o utopijnych marzycielach, którzy chcieliby za jednym zamachem znieść zupełnie własność indywidualną wszelkich środków produkcyi, zwalić w gruzy cały, mozolną pracą wieków zbudowany, gmach dzisiejszego ustroju społecznego, oparty na zasadach gospodarki prywatno-kapitalistycznéj, i cały ciężar prowadzenia i regulowania tak zawikłanych zadań produkcyi, podziału i wymiany bogactw złożyć na barki państwa, — nie licząc się, powiadamy, z tego rodzaju marzycielskiemi zapędami, i w dziełach poważnych myślicieli coraz częściéj spotykamy się w ostatnich kilkunastu latach z żądaniem rozszerzenia atrybucyi państwa w dziedzinie regulowania spraw ekonomicznych społeczeństwa. Nowy tedy kierunek w ekonomii politycznéj przezwali epigonowie staréj szkoły „socyalizmem z katedry“, lub „państwowym“. Najznakomitszych jego rzeczników dostarczyły Niemcy. Nie brak mu jednak licznych przedstawicieli i w innych krajach europejskich, za wyjątkiem głównie Francyi, gdzie w nauce przeważa jeszcze zasada *laissez faire*, *laissez passer*, jakkolwiek w praktyce prawodawczéj i tam już „socyalizm państwowy“ stanowcze odniósł zwycięstwo.

Do zwolenników tego właśnie nowego kierunku należy autor, wymienionego w nagłówku dzieła. Książkę swą wydał on pierwotnie w języku czeskim pod tytułem *Boj o majetek* (Berno, 1884), a uznanie z jakiém ją przyjęto w rodzinnym kraju, skłoniło go do przełożenia jéj na język niemiecki. Uczony ten pisarz pobratymczego nam plemienia znany jest zaszczytnie w swéj ojczyźnie nietylko z pracy na niwie naukowéj, lecz więcéj jeszcze — praktycznéj, jako założyciel, a w części i kierownik licznych stowarzyszeń spożywczych, zaliczkowych i wytwórczych. Okoliczność ta tém większą właśnie nadaje wagę uznaniu przezeń potrzeby opieki państwowéj dla interesów klasy pracującéj w jéj walce z przewagą kapitału, a jakkolwiek żądania d-ra Chleborada w tym względzie idą, zdaniem naszém, za daleko i o wiele przekraczają granice tego, co państwo jest zrobić w możności, to jednakże błąd ten nie może być uważany za argument przeciwko słuszności bronionéj przez autora zasady w najogólniejszym jéj zarysie. Lecz poznajmy bliżéj jego poglądy.

Dla zachowania swego bytu człowiek zmuszony jest walczyć z otaczającą go naturą w celu zdobycia sobie pożywienia i odzienia.

Walkę tę, w pierwszéj dobie swego istnienia na ziemi, prowadził on dorywczo i bez żadnego planu. Z czasem jednak wyćwiczywszy swe siły i nauczywszy się gromadzić sobie pewien zapas środków do życia potrzebnych, pozyskał możność zastanawiania się i obmyślania sposobów skuteczniejszéj walki z przyrodą, tak, że w końcu osiągnął zupełnie nad nią zwycięstwo i zdołał zmusić do służenia sobie te nawet żywioły, które dawniéj szkodę mu tylko wyrządzały i których potęga budziła w nim strach zabobonny. Ponieważ bez nagromadzenia pewnego zapasu dóbr, czyli majątku, nigdy człowiek rezultatów powyższych osiągnąć by był nie mógł, więc majątek, wnioskuje autor, jest koniecznym warunkiem rozwoju i doskonalenia się indywidualności ludzkiéj, a stąd naturalne następstwo, iż walka o posiadanie jakiego takiego mienia, umożliwiającego ten rozwój, musi stanowić główną treść życia ludzkiego. Na podstawie takiego właśnie poglądu na walkę o majątek, oświadcza się stanowczo dr. Chleborad przeciwko zniesieniu własności indywidualnéj. Nie trudno jednakże dostrzedz, iż jest to argument bardzo słaby. Posiadanie bowiem majątku jest wprawdzie przy obecnym ustroju społecznym warunkiem poniekąd koniecznym dla możności zupełnego rozwoju i doskonałego spożytkowania zdolności indywidualnych każdéj danéj jednostki, lecz jest nim jedynie dlatego, że istniejące prawo własności prywatnéj czyni je takiém. Ponieważ wszystkie środki produkcyi są zawłaszczone, więc kto ich nie posiada, jest pozbawiony możności wprowadzenia w działanie swych sił wytwórczych i nabycie jéj drogo opłacać musi. Gdyby jednakże środki produkcyi, jak tego chcą socyaliści, stanowiły własność kolektywną państwa, każda jednostka miałaby do nich dostęp wolny i tym sposobem mogłaby doskonale rozwijać i spożytkowywać swoje zdolności indywidualne, nie posiadając żadnego majątku prywatnego, oprócz przedmiotów spożycia. Tego rodzaju oderwanemi uogólnieniami, jakiemi walczy z socyalizmem autor, pobić go niepodobna, ale natomiast bardzo łatwo wykazać można złudność jego obietnic i nadziei przedstawieniem tych mnóstwa trudności nie do pokonania, z jakiemi gospodarka kolektywistyczna na każdym kroku i w każdéj chwili by się spotykała. Autor jednakże téj metody dowodzenia chwycić się nie mógł, ponieważ, jak to widać z jego własnych projektów, wierzy on prawie na równi z socyalistami w wysokie administracyjno-gospodarcze zdolności państwa i gorącą miłość jego urzędników dla dobra publicznego.

Obok walki człowieka z naturą, drugim czynnikiem dziejów gospodarczych ludzkości jest walka o mienie człowieka z człowiekiem. Owocem téj walki było w biegu dziejów najprzód niewolnictwo

a następnie poddaństwo, pańszczyzna i inne tym podobne formy mniejszéj, lub większéj zależności jednych ludzi od drugich. Wszystkie te postaci organizacyi społecznéj stanowiły rozmaite, coraz wyższe formy zjednoczenia sił ludzkich dla skuteczniejszéj walki z naturą, lecz wszystkie oparte były na wyzysku jednych ludzi przez drugich. W dzisiejszym ustroju społecznym żadnéj *widocznéj* formy takiéj zależności i wyzysku jednych przez drugich niema, tém niemniéj jednak zależność ta i wyzysk istnieje, a nawet, zdaniem autora, w większym stopniu, niż w ustroju średniowiecznym. Źródłem téj niesprawiedliwości społecznéj jest przewaga kapitału nad pracą pozbawioną mienia, oraz wielkiéj własności nad małą. O ile z jednéj strony przy dzisiejszym sposobie produkcyi, opierającym się na użyciu maszyn i wielkim podziale pracy, walka człowieka z naturą przyjęła kierunek dla ludzkości pomyślny, o tyle z drugiéj—walka człowieka z człowiekiem wysunęła się w życiu społeczeństw cywilizowanych na plan pierwszy i ukształtowała się w sposób zabójczy dla upośledzonéj majątkowo większości. Ponieważ wielki kapitał we wszystkich dziedzinach produkcyi, dzięki maszynom i udoskonalonemu fabrycznemu podziałowi pracy, produkuje zawsze daleko taniéj, niż mały, a przytém pierwszy korzysta z kredytu w daleko większym stopniu, niż drugi, przeto pierwszy musi w naturalnym wyniku takich stosunków pobijać ostatni. Tym sposobem drobni producenci ciągle zostają wyzuwani z mienia na korzyść wielkich. Gorzéj jeszcze przedstawia się stosunek sił w walce ekonomicznéj robotników z przedsiębiercami. Nie posiadający żadnego mienia robotnik, jakkolwiek pozornie zawiera z praconabywcą umowę zupełnie swobodną, to jednakże w gruncie rzeczy najczęściéj pod groźbą głodowéj śmierci musi się zgodzić na takie warunki, jakie mu przedsiębierca ofiarować zechce.

Przedstawione powyżéj względy stanowią, według dra Chleborada, naturalne przyczyny centralizowania się majątków przy dzisiejszym ustroju społecznym. Po za temi przyczynami jednakże istnieją jeszcze inne, potęgujące ten niesprawiedliwy stosunek podziału bogactw sztucznie, a mianowicie—drogą prawodawczą. Ponieważ dzięki swéj ekonomicznéj przewadze w społeczeństwie, do władzy, nawet przy rządach parlamentarnych, dochodzą najczęściéj, zdaniem autora, ludzie bogaci, lub ich kreatury, przeto stanowią oni prawa, popierające ich interesa ze szkodą warstw majątkowo upośledzonych.

Otóż taki stosunek rzeczy stoi w sprzeczności z interesem państwa, celem istnienia którego jest dobro ogółu obywateli. Zmienić więc to położenie i uczynić zadość sprawiedliwości społecznéj jest

dziś najpilniejszém zadaniem wszystkich społeczeństw cywilizowanych, a zadanie to, według autora, spełnione być może jedynie przez *sojusz warstw pozbawionych mienia z monarchą*. Rzeczompospolitym przepowiada dr. Chleborad stanowczą zagładę, a to mianowicie z tego powodu, że prezydent w nich nie uosabia w sobie majestatu, wznoszącego się po nad wszystkie sfery społeczne i ich interesa, lecz jest tylko prostym mandataryuszem, wybranym wprawdzie pozornie przez najwyższą wolę całego narodu, w rzeczywistości jednakże kreowanym przez klasy zamożne i od nich zależnym, a więc zmuszonym popierać ich interesa. Możnaby tu zarzucić, że przy głosowaniu powszechném i tajemném warstwy pozbawione mienia mają wszelką swobodę wybrania sobie przedstawicieli ze swego łona i bronienia tym sposobem swoich interesów, lecz autor w to wierzyć nie chce, a natomiast wierzy widocznie, że zawsze każdy monarcha posiada dość przymiotów serca, charakteru i umysłu i jest dość niezależnym od zamożnych warstw społeczeństwa na to, by mógł wbrew interesom tych ostatnich bronić skutecznie dobra ludu pracującego.

Pożądany i przepowiadany przez autora sojusz ów monarchy z pracą bez mienia polegać ma w monarchiach konstytucyjnych na tém, iż panujący winien odmawiać swéj królewskiéj sankcyi wszelkim takim projektom do prawa, które miałyby na celu wyzysk klas upośledzonych, oraz starać się przy pomocy odezw monarszych do wyborców o zapewnienie tym klasom większości w ciele prawodawczém, a to w celu zniesienia istniejących już praw, z dobrém ludu pracującego niezgodnych, i ustanowienia natomiast innych, odpowiadających wymaganiom sprawiedliwości społecznéj. Określiwszy w ten sposób ogólnie zadania przyszłego sojuszu, zastanawia się następnie autor szczegółowo nad tém, co, zdaniem jego, zrobić by należało celem zapobieżenia centralizowaniu się majątków i rozpowszechnienia własności.

I tak, dla osiągnięcia pierwszego z tych celów domaga się dr. Chleborad poparcia dla stowarzyszeń, mających za zadanie oświatę ludu, jak np. czytelnie ludowe, odczyty i t. p. Takiém samém poparciem cieszyć się też winny stowarzyszenia, dążące do polepszenia bytu klas upośledzonych, jak stowarzyszenia spożywcze, zaliczkowe, wytwórcze i t. p., a niemniéj, mające na celu podniesienie płacy i wogóle zbiorowe przeciwdziałanie przewadze kapitałów przy pomocy bezroboci. Jakkolwiek te ostatnie przynoszą często wielkie szkody obu stronom walczącym, to jednakże, jak słusznie twierdzi autor, korzyść z nich przeważa, gdyż poznawszy wielkość ofiar, jakie one za sobą pociągają, obiedwie strony stają się skłonniejszemi do zgodnego załatwiania nieporozumień i tylko w razach konieczněj

potrzeby do tego rodzaju walki się uciekają. Dla zapobieżenia stanowieniu praw, niezgodnych z dobrem warstw upośledzonych, domaga się autor zapewnienia wolności zgromadzeń, stowarzyszeń i prawa petycyi, ustanowienia powszechnego głosowania tam, gdzie w tym względzie istnieją jeszcze ograniczenia majątkowe, wreszcie zaprowadzenia powszechnego i obowiązkowego nauczania. Dalej rozpatruje dr. Chl. sprawę systemu podatkowego i przemawia gorąco za ustanowieniem podatku dochodowego, postępowego, oraz zniesieniem wszelkich podatków pośrednich, obciążających stosunkowo daleko więcéj ludzi biédnych niż zamożnych.

Wszystkie powyższe żądania są, jak widzimy, zupełnie usprawiedliwione i prawie powszechnie już dziś za takie uznawane. Do równie uzasadnionych wymagań autora zaliczamy jeszcze żądanie popierania przez państwo rozwoju przemysłu krajowego, ułatwienia kredytu warstwom niezamożnym, oznaczenia minimum podziału własności gruntowéj, kolonizacyi gruntów nieuprawnych przy pomocy kredytu państwowego, ustanowienia przymusowego ubezpieczenia pewnego minimum środków utrzymania w razach braku zarobku, niespodowanego własną winą, i wreszcie kilka jeszcze innych, mniéj ważnych projektów, których praktyczność, równie jak powyżéj przez nas wymienionych, albo została już stwierdzona doświadczeniem, albo przynajmniéj przez wielu poważnych myślicieli uznana. Natomiast nie zdaje nam się, ażeby przyszłość mogła urzeczywistnić tego rodzaju pomysły autora, jak np. uorganizowanie przez państwo *całego* wielkiego przemysłu i handlu na zasadach stowarzyszeń współdzielczych (*partnership*), lub arteli rosyjskich. Dokonanie tak kolosalnego przedsięwzięcia przechodzi najprzód, zdaniem mojém, możność państwa, a następnie wątpić należy, ażeby uorganizowane w podobny sposób stowarzyszenia trwale istnieć mogły. Przytoczony przez autora przykład pionierów rochdalskich nic tu nie dowodzi, bo wiadomo, że setki podobnych stowarzyszeń, założonych na takich samych zasadach, upadły. Nie chcę przez to bynajmniéj twierdzić, żeby stowarzyszenia takie nie miały przed sobą przyszłości. Owszem, należy przypuszczać, że z postępem oświaty ludowéj i wyrobieniem się zmysłu organizacyjnego, oraz karności, solidarności i doświadczenia ekonomicznego wśród klasy roboczéj, stowarzyszenia współdzielcze będą powstawały coraz liczniéj i rozwijały się pomyślnie, lecz będą powstawały samodzielnie, bez pomocy bezpośredniéj państwa, którego zadanie w tym względzie może polegać co najwyżéj na dostarczaniu, istniejącym już instytucyom tego rodzaju taniego kredytu, lecz nigdy na organizowaniu nowych, bo tym sposobem mogłoby do nich napłynąć wielu ludzi nieodpowiednich, co musiałoby je doprowadzić do upadku.

Nie wydaje mi się daléj rzeczą pożądaną, ażeby państwo zagarnęło w zupełności w swoje ręce interesa bankowe. Drobni przedsiębiercy, o których wszakże autorowi najwięcéj chodzi, straciliby na tém niewątpliwie, czego dowodem jest fakt, że dzisiaj wszędzie korzystają oni daleko więcéj z kredytu prywatnego, niż państwowego. Ażeby mogło być inaczéj, musieliby urzędnicy odznaczać się nadludzkiem umiłowaniem sprawy dobra publicznego, gdy tymczasem, jak wiadomo, są oni tylko zwyczajnymi ludźmi i nie posiadają przywileju na tę równie rzadką, jak piękną cnotę. Oprócz tego ostatniego przymiotu, należałoby jeszcze przypuszczać w ludziach, powołanych do służby publicznéj, nadzwyczajną sumienność, wysoki rozum praktyczny i wszechstronną znajomość danych stosunków, ażeby można było głosować za oznaczaniem przez państwo *minimum* płacy roboczéj, oraz *maximum* czynszu dzierżawnego i komornego, jak tego chce autor.

Projektami swemi przeprowadzenia w pewnych razach przez państwo zamiany własności prywatnéj na kolektywną ze wspólném użytkowaniem współwłaścicieli wkracza już autor w dziedzinę socyalizmu radykalnego. Ale mniejsza o nazwę, bo nie o nią nam chodzi, lecz o fakt, że wszystkie przedsiębrane na większą skalę próby tego rodzaju („warsztaty narodowe" we Francyi i „stowarzyszenia produkcyjne" w Niemczech, założone przez Bismarka z funduszów ofiarowanych przez cesarza) zrobiły zupełne fiasco. Trudno więc wobec tego doradzać nowe doświadczenia, zwłaszcza tak szeroko pomyślane, jak w projektach dra Chleborada.

Ostatnie rozdziały dzieła poświęcone są dowodzeniu, że walka o majątek zarówno człowieka z człowiekiem, jak i człowieka z naturą nigdy zupełnie nie ustanie, lecz z biegiem rozwoju cywilizacyi pierwsza będzie coraz łagodniejsze przyjmowała formy, coraz bardziéj zmniejszała swój zakres i słabła, druga zaś coraz pomyślniejsze dla człowieka wydawala rezultaty.

Wydać ogólne zdanie o książce dra Chleborada dość mi jest trudno. Nie posunie ona naprzód nauki, lecz nie jest też bez wartości, gdyż obok znacznych wad, posiada i zalety. Do pierwszych należy niezręczny układ i dziwaczny podział treści, częste przerwy i luki w ciągu rozumowań, wreszcie zbytnia pohopność do podnoszenia bardzo prostych i nienowych spostrzeżeń, a czasem nawet nieuzasadnionych dostatecznie, lub sprzecznych z sobą mniemań do godności praw społecznych. Zaletę książki stanowi przedewszystkiém gruntowne wykształcenie ekonomiczne autora, dzięki czemu czytelnik może się spotkać z niejedną wiadomością pożyteczną i uwagą słuszną, a następnie przebłyskujące z każdéj stronnicy szczere współczu-

cie dla doli upośledzonych warstw społecznych, wolne jednak zupełnie od zazdrosnéj nienawiści do ludzi zamożnych—przymiot tém bardziéj sympatyczny, im rzadszy!

W. Wściekłica.

Explication nouvelle du phénomène des marées. Cause de courants atlantiques et des vents par A. Aug. Thauvenin. Varsovie 1885.

Każdy, kto miał do czynienia ze ścisłą nauką o przypływach i odpływach morza, zdziwi się mocno, przeczytawszy tytuł powyższéj książki. Istniejąca teorya oparta jest na pewnych i znanych zjawiskach mechanicznych i rozwinięta na gruncie matematycznym, a fakty najzupełniéj stwierdzają wywody książek. Nikt nie czuł potrzeby stawienia nowych hypotez, czy teoryi, gdyż nikt nie kwestyonował starych, wykończonych zupełnie już za czasów Laplace'a. Przejrzenie książki potęguje jeszcze to zdziwienie, gdyż nie znajdujemy tam zupełnie formuł matematycznych; natomiast, wpadają od pierwszych stronic w oko krótkie, urywane zdania, wykrzykniki, znaki zapytania. Teorya wyłożona jest widocznie w sposób bardzo popularny, popularniejszy niż kursa gimnazyalne. Takie traktowanie rzeczy ma za sobą tradycyą, bo *L'exposition du système du Monde* Laplace'a było również w ten sposób napisane. Zachodzi tylko ta różnica, że twórca nowoczesnéj astronomii popularyzował rzeczy znane, dowiedzione, a p. T. występuje z „nową teoryą." Tylko co odkryte światy naukowe należy przedewszystkiém pokazywać ludziom kompetentnym. Szersza publiczność o istniejących teoryach, wie zaledwie nieco, piąte przez dziesiąte, ani więc ocenić nie jest wstanie świeżego pomysłu, ani nie czuje potrzeby dowiadywania się, o niedostateczności teoryi, któréj nie zna. W pierwszéj chwili nie mogliśmy odgadnąć, z jakiego powodu autor dla siebie samego, dla skontrolowania swéj idei, nie wprowadził rzeczy na grunt ściśle naukowy. Przeczytanie jednak kilku, początkowych, wierszy książeczki daje wytłómaczenie zjawiska. Oto te wiersze: „W książkach kosmografii, które mamy pod ręką, a *nawet* w wykładzie astronomii Delaunay, wytłómaczenie, dawane zjawisku przypływów, jest według nas, niekompletne i najzupełniéj niewystarczające." Słowo *nawet* myśmy podkreślili, astronomia Delaunay'a jest książką przeznaczoną dla uczniów 6-éj, 7-éj klasy, nie opiera się wcale na wyższéj matematyce, musi więc nieraz poświęcać ścisłość, aby stać się dostępną dla czytelników. Autor, biorący się do krytyki teoryi naukowéj i budujący nową, gdyż go *nawet* podręcznik szkolny nie zadawalnia... dowieść jest zdolny chyba zbyt wielkiéj odwagi. Śmiałość

wystąpienia p. T. opiera się na niezrozumieniu tych nawet książek elementarnych, które zna. Zjawiska przypływu zachodzą jednocześnie w dwóch miejscach kuli ziemskiéj, leżących na dwóch południkach, odległych od siebie o 180°; czyli, jeżeli przez oś biegunową ziemi przeprowadzimy płaszczyznę i jeśli płaszczyzna ta poruszać się będzie w ten sposób, że przejdzie zawsze przez środek księżyca, to na przecięciu się jéj z kulą ziemską po obydwóch stronach osi będzie zawsze przypływ. P. T., który objaśnienie zjawiska bierze w sposób bardzo elementarny, dziwi się jak można je przypisywać tylko przyciąganiu księżyca, gdyż łatwo zrozumiéć, że ta część wodnéj powierzchni ziemi, która zwróconą jest do ciała niebieskiego podnosi się, zbliża ku niemu i oddala od środka ziemi, ale przez to samo odwrotna część powinna wykonać ruch wprost przeciwny w stosunku do środka ziemi, zbliżyć się a nie oddalać. Niepotrzeba jest znać istniejącéj teoryi, aby powątpiewać o słuszności wykładu p. T. Kto wie o ścisłości, z jaką badano wszystkie wywody mechaniczne i astronomiczne, ten *a priori* nie uwierzy w możność przeoczenia takiego absurdu (p. T. używa tego wyrazu), gdyby on istniał, przez wszystkich potężnych myślicieli, co się tą sprawą zajmowali.

Działanie księżyca (będę tu mówić tylko o księżycu dla krótkości, wszystko to jednak stosuje się i do słońca) na twardą część ziemi jest takie same, jak gdyby cała masa była zawarta w środku. Działanie tegoż ciała niebieskiego na cząsteczki płynne jest różne, w skutek nie jednakowego oddalenia od nich. Skutkiem tego, w chwili przechodzenia księżyca przez południk, cząsteczki wody, leżące na tym południku, są jak gdyby odciągane od środka ziemi. Ta cząsteczka, która leży od strony księżyca przyciąganą jest więcéj niż środek ziemi i gdyby nasza planeta mogła poddać się działaniu ciała niebieskiego, to będąca w mowie cząsteczka miała by przyśpieszenie większe i oddaliła by się od środka; to się nie staje, dzięki sile ciężkości ziemskiéj. Cząsteczki wody, leżące na téj saméj wielkiéj elipsie, to jest na południku, odległym o 180°, są przyciągane mniéj niż środek ziemi, i znowu, gdyby ruch był możebny ku księżycowi, to one oddaliły by się od środka przez opóźnienie. Cząsteczki, leżące na południkach, stanowiących z pierwszemi kąt 90°, są przyciągane prawie tak samo jak środek ziemi. Skutkiem tego, przyciąganie ziemi jest różne w różnych punktach oceanu: na dwóch południkach, przez których płaszczyznę w danéj chwili przechodzi ciało niebieskie przyciąganie to jest minimum, na południkach, których płaszczyzna jest prostopadłą do pierwszéj, jest maximum (bo nie zostało wcale zmienione, kiedy wszędzie indziéj uległo zmniejszeniu). Dla przywrócenia równowagi, w miejscach maximum wzrość musi grubość warstwy wody i maleć będzie stopniowo aż do punktu minimum.

Starałem się wyłożyć rzecz jak najelementarniéj, bez figury dokładne wytłomaczenie jest nie łatwe; sądzę jednak, że czytelnicy zrozumiéć mnie zdołają, nakreśliwszy koło przecięcia ziemi z orbitą księżyca, gdzie zjawisko jest najoczywistsze, i rozważając wspólne działanie na cząsteczki ziemi przyciągania ku środkowi ziemi i ku ciału niebieskiemu. P. T. dokładniéj poinformować się o tém może w książce Garceta „*Leçons nouvelles de Cosmographie*“ (Paris 1866) str. 307 i 308.

Ostatecznie teorya p. T. streszcza się w następujących słowach: „zjawiska przypływów i odpływów nie pochodzą jedynie od przyciągania księżyca, ale jedna część ich powstaje wskutek *siły odśrodkowéj;* następnie prawdziwą przyczyną prądów morskich i wiatrów jest również *siła odśrodkowa*, dzięki któréj ciała cięższe, jak woda zimna i powietrze zimne, pchane są ku równikowi, wtedy, gdy woda i powietrze cieplejsze i lżejsze zwracają się ku biegunom.“ P. T. walczy może o uznanie praw *siły odśrodkowéj*, którą określa i traktuje w sposób bardzo luźny, i któréj geometrzy, badając zjawiska meteorologiczne, naturalnie nie ukrzywdzili nigdy. I punkt wyjścia i „*la raison raisonnante*,“ z jakiemi p. T. rozwija swoję teoryą, nie pozwalają na poważną krytykę twierdzeń i szczegółowych wywodów.

L. S.

= Nie często się to zdarza, żeby młody debiutant w dziedzinie badań naukowych wystąpił od razu z szeregiem prac tak obszernych i poważnych, jak prace p. *Józefa Wolffa*, dotyczące dziejów rusko-litewskich. W roku zeszłym ogłosił on w XVII tomie „Rozpraw wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności“, w Krakowie studyum historyczne „**O Kniaziach Kobryńskich**“ które do owego roju kniaziowskiego, jaki w końcu XIV wieku do dziejów naszych wkracza, stara się wprowadzić ład, rzuca na ich stosunki wzajemne pewne światło. Rozprawa p. Wolffa jest poniekąd uzupełnieniem dawniejszych poszukiwań Kazimierza hr. Stadnickiego nad dziejami Gedyminowiczów i prostuje je w niektórych szczegółach.

W roku bieżącym autor dał do rąk publiczności dwa imponujące wolumina. Jeden z nich, pod napisem „**Pacowie. Materyały historyczno-genealogiczne**“, sam przez się nie maléj wartości, witamy z tém większém zadowolnieniem, że zdaje się zapowiadać szereg dalszych prac tego rodzaju, nosi bowiem jeszcze drugi, ogólniejszy tytuł: „Senatorowie i Kniaziowie Litewscy.“ Monografia ta, wspiera

się prawie wyłącznie na aktach metryki litewskiéj, znajdującéj się obecnie przy Senacie w Petersburgu. Zacząwszy od Paca Dowkszewicza, żyjącego w połowie XV wieku, autor mówi o każdym członku możnego domu, szykując ich pokoleniami, a kończy na córce generała Ludwika, ostatniéj z rodu. Powierzchowność téj książki, zbytkowną niemal, rzec można, ozdabia kilka portretów. Drugi z wspomnionych woluminów nosi tytuł **„Senatorowie i dygnitarze Wielkiego Księstwa Litewskiego** *1386—1795*", i obejmuje chronologiczne spisy wojewodów, kasztelanów, ministrów i dygnitarzy, z krótkiemi objaśnieniami wstępnemi o czasie powstania urzędów i znaczeniu każdego. Owoc to pracy mozolnéj i wytrwałéj, który nie dostarczy zapewne łatwéj i przyjemnéj lektury, ale przez każdego pracującego nad czterema ostatniemi stuleciami dziejów naszych z wdzięcznością przyjęty będzie, oszczędzi mu bowiem zmudnych poszukiwań w źródłach, które zresztą dla wielu badaczy byłyby niedostępne.

„Żyd ministrem króla Zygmunta. *Szkic historyczny.*" W szczupłéj, bo tylko 40 stron obejmującéj broszurce p. J. Woff zaznajamia nas z osobą Abrahama Ezofowicza, który dorobiwszy się znacznéj fortuny, dzierżawił myta, udzielał pożyczek monarchom, otrzymał nobilitacyą, a wreszcie w roku 1510 został podskarbim ziemskim litewskim i potomstwo swe złączył węzłami małżeńskiemi z najpierwszemi domami w kraju. Treść téj książeczki z wielu względów zająć powinna myślącego czytelnika.

= Wzrastająca ciągle ludność miasta Warszawy, zwiększa coraz bardziéj potrzeby jéj rynku spożywczego. Okoliczność ta daje możność naturalnym jego dostawcom, właścicielom gruntów podmiejskich, coraz większego urozmaicania produkcyi i powiększania swych dochodów. Wiadomość o ile oni z téj sposobności korzystają i oszczędzają tym sposobem miastu opłacania znacznych kosztów transportu, byłaby bardzo pożądaną, bo dałaby wskazówki, co w tym kierunku dałoby stę jeszcze zrobić dla zniżenia cen ważniejszych artykułów spożycia i regularnego zaopatrywania rynku. Niestety jednakże, w większéj części wypadków panują pod tym względem iście egipskie ciemności. To też każdy promyczek światła, przedzierający się przez nie, ma dla nas tém większą wartość. Taki właśnie promyk rzucił świeżo *Ogrodnik Polski* (w N-rze 13 z d. 1 lipca r. b.) na stosunki produkcyi warzyw pod Warszawą, na Woli i Czystem, i dlatego skwapliwie go podchwytujemy.

W miejscowościach tych, posiadających wyborną gliniastą ziemię, oddawna już, bo co najmniéj od początku bieżącego stulecia,

poczęła się osiedlać ludność ogrodnicza, zajmująca się wyłącznie uprawą owoców i warzyw. Produkcya tych artykułów rozszerzyła się tam nadewszystko w ostatnich kilku lat dziesiątkach, gdy wskutek zakupu ziemi pod budowę domów ilość ogrodów, wewnątrz miasta położonych, poczęła gwałtownie się zmiejszać, a jednocześnie zaludnienie równie szybko wzrastało. Bliższych jednakże wiadomości o owych koloniach ogrodniczych aż do ostatnich czasów nie posiadaliśmy zupełnie. Dopiéro, gdy zawiązane w roku zeszłym Towarzystwo Ogrodnicze, zdołało przyciągnąć do siebie kilkunastu ogrodników zamiejskich, w utworzonéj przy niém sekcyi warzywnéj rzucona została myśl zebrania chociażby przybliżonych danych o produkcyi warzyw we wzmiankowanych koloniach na Woli i Czystem. Myśl tę bardzo chętnie podjęli się urzeczywistnić pp. Jan Kubalski i Jan Rząca i zakrzątnęli się tak gorliwie koło téj sprawy, iż już w roku obecnym zdołali dostarczyć potrzebne wiadomości, na podstawie których p. Józef Kaczyński zestawił odpowiednie tablice statystyczne.

Statystyka ta obejmuje produkcyą warzyw u 86 hodowców, posiadających ogółem 762 morgi ziemi. Co do wielkości pojedynczych ogrodów kolonie powyższe przedstawiają następujące stosunki:

26	warzywników	posiada	od	2	do	5	morgów	ziemi,	razem	102
37	„	„	„	5	„	10	„	„	„	286
14	„	„	„	10	„	15	„	„	„	183
6	„	„	„	15	„	20	„	„	„	117
3	„	„	„	20	„	25	„	„	„	74
86	„	„	ogółem	. . . .						762 m.

Przeciętna wielkość jednéj posiadłości wynosi około 9 morgów.

Pod względem ogólnéj wartości produktu, uprawiane warzywa szeregują się, jak następuje: pierwsze miejsce zajmują produkty uprawy inspektowéj, daléj idą kolejno: kapusta biała, cébula, kalafiory, pietruszka, sałata, selery, marchew, buraki, kapusta włoska, kapusta czerwona, szpinak, pomidory, kapusta brukselska, roszponka, pasternak, rzepa, kalarepa, pory, jarmuż i groch.

Inspekty obejmują ogółem 21,625 okien. Przyjmując średnio za dochód brutto z 1 okna 3 rs., otrzymamy, iż dochód ogólny z inspektów wynosi rs. 64.875.

Kapusty białéj hoduje się średnio kóp 31,040, co przy cenie przeciętnéj za kopę rs. 2, da nam rs. 62,080.

Cébuli 8.405 korcy po 5 rs. daje hodowcom rs. 42,025.

Kalafiorów otrzymano 6,140 kóp. Ceny ich bywają nadzwyczaj różne zależnie od wcześniejszéj, lub późniejszéj pory. Dochodzą one

nieraz do 20, a nawet 25 rs. za kopę, lecz średnio można je liczyć po rs. 6, skąd na ogólną wartość podanéj wyżéj ilości produktu wypadnie nam rs. rs. 36,840.

Pietruszka sprzedaje się na pudy i przedstawia równie znaczne różnice w cenie, dochodzącéj nieraz do 9 rs. Ogólny jéj plon podaje p. Kaczyński na 17,810 pudów po cenie przeciętnéj rs. 2=rs. 35,620.

Sałata w porze bardzo wczesnéj dochodzi w cenie do 8 rs. za kopę, przeciętnie zaś liczy się po 60 kop. Średnio hoduje się jéj kop 46,230 wartości rs. 27,738.

Produkcya innych warzyw, uprawianych na Woli i Czystem, znacznie już mniejszą przedstawia wartość. I tak produkuje się: *selerów* 10,620 kóp po cenie przec. rs. 1,50, czyli za rs. 15930,—*marchwi*, 7,740 korcy po rs. 2 = rs. 15,840, — *buraków* 6,785 korcy po rs. 2 = rs. 13.572,—*kapusty włoskiéj* 8,340 kóp po rs. 1,50=rs. 12,510,— *kapusty czerwonéj* 4,410 kóp po rs. 2,50=rs. 11,025, — *szpinaku* 12,690 koszy (półkorcowych) po kop. 60 = rs. 7,614, — *pomidorów* 9,250 kóp po kop. 60 = rs. 5,550, — *kapusty bruksel.* 1,690 kóp rs. 3 = rs. 5,070,—*roszponki* 2,755 koszy (ćwierciow.) po rs. 1,50=rs. 4.534,50,— *pasternaku* 2,560 korcy po rs. 1,50 = rs. 3,840, — *rzepy* 1,135 korcy po rs. 3 = rs. 3,405, — *kalarepy* 9,780 kóp po kop. 30 = rs. 2,934, — *porów* 11,570 kóp po kop. 20 = rs. 2,314, —*jarmużu* 1,235 korcy po rs. 1.50 = rs. 1,852,50, —*grochu* 536 korcy po rs. 3 = rs. 1,608.

Wszystkie te cyfry ogólne podaje p. Kaczyński w pozycyach szczegółowych, podług wielkości ogrodów i na ich podstawie oblicza w końcu dochód z 1 morga. Z rachunku tego wypada, że 1 mórg ziemi przynosi dochodu brutto ogrodnikom, posiadającym od 2 do 5 morgów rs. 389,57 kop., od 5 do 10 — rs. 450.70, od 10 do 15 — rs. 810,67, od 15 do 20—rs. 856,87, od 20 do 25—rs. 655,88. P. Kaczyński wnosi z tego, że najgorzéj uprawiają ziemię ogrodnicy pierwszéj kategoryi, potem drugiéj, następnie — piątéj, daléj—trzeciéj i najlepiéj — czwartéj, czyli, posiadający od 15 do 20 morgów. Nam się wydaje, że wniosek ten może być słusznym jedynie w zastosowaniu do 3 ostatnich kategoryi. Co do pierwszych dwóch, to niekorzystną dla nich różnicę w dochodach należałoby, zdaniem naszém, przypisać raczéj brakowi kapitału obrotowego, zmuszającemu drobniejszych posiadaczy do uprawy tych warzyw, które wymagają mniejszych kosztów produkcyi.

Winniśmy jeszcze dodać, że cyfry powyższe nie obejmują całéj produkcyi warzyw pod Warszawą, gdyż po za Wolą i Czystem istnieją jeszcze inne kolonie ogrodnicze, acz mniéj, o ile nam wiadomo, ważne. Dane te nadto nie mogą być uważane za zupełnie do-

kładne. Mają one jedynie znaczenie przybliżone, lecz w braku zupełniejszych, należy je przyjąć z uznaniem dla tych panów, którzy nie szczędzili trudu, by na sprawę dotąd zupełnie nieznaną rzucić jakie takie światełko. *w.*

= **Polnische Stimmen. I. Ausrotten?** *Zürich, 1886. Verlags-Magazin (J. Schabelitz).* — Numer I, położony na książeczce, nakazuje się domyślać, iż bezimienny jéj wydawca zamierza częściéj zaznajamiać niemiecką publiczność z „głosami Polaków.“ Leżący przed nami zeszycik obejmuje tłómaczenie wszystkich poważniejszych artykułów, pomieszczonych w pismach naszych, tak w Królestwie, jak w Poznańskiém i w Galicyi, w odpowiedzi na równie głośne, jak zwierzęco-brutalne nawoływanie pruskiego filozofa, Hartmanna, do tępienia Polaków w dzielnicach w obręb państwa niemieckiego wchodzących. Znajdujemy więc tutaj przedewszystkiém replikę K. Jarochowskiego, A. Świętochowskiego, Maryana Morawskiego S. J. (z krakowskiego „Przeglądu Powszechnego“), J. Karłowicza, St. M. Rzętkowskiego i dwie bezimienne — z „Kłosów“ i „Kraju“ petersburskiego.

Dalecy jesteśmy od przeceniania pożytku wydawnictwa powyższego, lecz w każdym razie sądzimy, że informując nieuprzedzoną część społeczeństwa niemieckiego o naszych myślach, dążeniach i zapatrywaniach, korzyść niejaką przynieść ono może, i dla tego życzymy mu powodzenia, naturalnie—w Niemczech.

= *Arnold Toyrebee.* **Lectures on the Industrial Revolution in England.** *London 1884.* — Jest to pośmiertna spuścizna po tym pełnym talentu i gruntownéj wiedzy uczonym, niestety, przedwcześnie zgasłym dla nauki. Należał on do téj nowéj szkoły ekonomistów, która w badaniach swoich posługuje się metodą statystyczno-historyczną. W wymienioném dziele stara się autor wykazać przyczyny tego przewrotu stosunków ekonomicznych, jaki miał miejsce w Anglii w drugiéj połowie zeszłego stulecia, a zarazem przedstawić dalszy jego rozwój i tendencye. Za punkt wyjścia bierze rok 1760 i na podstawie danych statystycznych kreśli obraz ówczesnego stanu rozmaitych gałęzi produkcyi narodowéj — rolnictwa, przemysłu i handlu, przedstawia stosunki liczebne rozmaitych klas ludności, gwałtowne zmniejszanie się liczby drobnych posiadaczy ziemskich i położenie klas pracujących.

W związku z faktami rozpatruje autor panujące wówczas teorye ekonomiczne. Bierze więc przedewszystkiém pod rozbiór zasady systematu merkantylnego, a następnie poddaje dość szczegółowéj krytyce poglądy ekonomiczne Adama Smitha, teoryą ludności Mal-

thusa i teoryą renty Ricarda, wykazując zarazem wpływ, jaki te nauki wywarły na pojęcia ogółu, a przez nie pośrednio na realny bieg życia ekonomicznego Anglii. Z późniejszych pisarzy ekonomicznych uwzględniony został głównie J. S. Mill.

W poglądach swych na zadania państwa stoi Toyrebee na jednakim gruncie z niemieckiemi „kateder-socyalistami“ i powstając przeciwko zasadom absolutnie wolnéj konkurencyi, domaga się dla klas pracujących opieki prawnéj, a nawet w pewnych wypadkach pozytywnéj pomocy (budowania domów i zakładania szkół technicznych dla robotników) ze strony rządu.

Wogóle książka Toyrebee a nadewszystko jej część historyczna stanowi cenny przyczynek dla pozytywnéj wiedzy ekonomicznéj, z tego też względu polecamy ją uwadze ludzi zajmujących się kwestyami społecznemi, a zwłaszcza dziejami rozwoju gospodarczego narodów.

NEKROLOGIA.

---

† **Stanisław Szafarkiewicz,** inżynier, zakończył życie w Warszawie 5 sierpnia r. b., budząc powszechny żal po sobie. Syn zasłużonego profesora poznańskiego, po ukończeniu wyższych studyów w Berlinie, przybył do Warszawy i tu rozwinął niezmordowaną a wielostronną działalność. Udział jego w wydawnictwie „*Inżynieryi i budownictwa*“ odbił się bardzo wyraźnie na kierunku tego pisma. Szafarkiewicz wydawał przy niém dodatek specyalny dla ślusarzy, zamierzając z czasem i dla innych rzemiosł stworzyć podobne organa. Mapa lasów Królestwa Polskiego, Tablica drzew krajowych (opracowana przez J. Homułkę), Tablica naszych zasobów mineralnych, Mapa produkcyjności pojedynczych gubernii Królestwa (wykonana przez Józ. Wolfheima), wreszcie znana Mapa Poglądowa Królestwa (ułożona przez p. Wójcicką) wyszły staraniem Szafarkiewicza. Przed samym wreszcie zgonem młody inżynier otwiera agencyą, mającą ułatwiać sprzedaż wyrobów rzemieślnikom niemającym własnego sklepu, czyli najbiedniejszym. Szafarkiewicz zdobył sobie istotne uznanie w społeczeństwie, poparcia jednak praktycznego, które nie zawsze chodzi u nas w parze z uznaniem, zabrakło w danéj chwili i utraciliśmy dzielnego pracownika.

† Dnia 11-go sierpnia r. b. zmarł **Adam Rzążewski,** znany w piśmiennictwie pod pseudonimem *Aëra.* Urodził się w r. 1844 na Podlasiu, we wsi Cieleśnicy, kształcił w gimnazyum Lubelskiém, następnie przez lat trzy w b. Szkole Głównéj Warszawskiéj na wydziale filologicznym, wreszcie w Hohenheimie, zkąd powróciwszy, oddał się gospodarstwu wiejskiemu. Przed kilku laty osiadł w Paryżu i tam wśród zajęć literackich ciężka choroba kres jego życiu położyła.

Z licznych jego prac przytoczymy tu powieści: „*Pierwszy romantyk*“ z życia Kniaźnina, „*Ostatni krzyżacy*“, i „*Miłość poety*“ (Juliusza Słowackiego), wychodząca obecnie w „Tygodniku illustrowanym.“ W piątym tomie „Pamiętnika wydziałów filolog. i filozof.-historycznego“ Akademia krakowska ogłosiła jego pracę p. tyt. „*Złoty wiek literatury Dobrownika.*“ Najwięcéj czasu, starań i zamiłowania poświęcił Rzążewski obszernemu życiorysowi A. Mickiewicza, spoczywającemu dotąd w rękopisie, z którego wyjątek podało „Ateneum“ (r. 1884, t. III i IV). Ustępy z pamiętników Leona Dembowskiego, któreśmy w naszém piśmie pomieszczali, były ułożone i przygotowane do druku przez Rzążewskiego. Literatura nasza traci w nim sumiennego i pracowitego pisarza.

OFIARY.

Na pogorzelców grodzieńskich przesłali na ręce nasze:

PP. Łopato Stanisław . . rubli 4,
Pawłowski Kalikst . . „ 1,

które to ofiary w dniu 15 Lipca złożyliśmy w Redakcyi „Kurjera Warszawskiego“ za kwitem Nr. 663.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

